

Biblioteka  
Warszawska

Mf 12451

Warszawa  
1856 r.

t. 1-2



poz. Mf 12451

Biblioteka warszawska

Warszawa 1856 t.1-2,og.zb.61-62(m-c I-VI),  
sp.rzeczy

Oryg.:ZNi0 sygn.117.152

neg. Mf 12451



**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1856.

Tom pierwszy.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXI. P



117152

WARSZAWA.

W DRUKARNI GAZETY GODZIENNEJ.

1856.

## SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIÉRSZYM

Z R. 1856.

### *Materyały historyczne.*

	Stron.
Zakon Dobrzyńców aż do wdania się w układy z Krzyżakami; przez <i>Nepomucena Romanowskiego</i> .....	1
Legenda o ucieczce Samuela Koreckiego z niewoli tureckiej. Przez <i>Zygmunta Komarnickiego</i> .....	179
Słowo o dzisiejszych Łużycach i Łużycanach, przez <i>Oskara Flatt</i> ...	197

### *Biografia.*

Józef Lompa i jego stanowisko na Szlązku. Przez <i>J. J.</i> . . . . .	378
Ryciny Jeremiasza Falcka, Gdańszczanina, Polaka, przez <i>Edwarda bar. Rastawieckiego</i> .....	525

### **Nauki społeczne.**

Machiny parowe na wystawie powszechniej .....	100
---	-----

## Literatura.

	Stron.
Przysłowia i przypowieści od nazw panujących, przez <i>Tymoteusza Lipińskiego</i> .....	57
Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. Wystawa powszechna. VIII. Telegrafy i zegary elektryczne.—Maszyna amerykańska do składania czcionek.—Dywany.—Wystawa sztuk pięknych: Teodor Rousseau.—Bellel — Rosa Bonheur.—Isabey.—Diaz.—Zamknięcie wystawy.....	67
Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. Wystawa powszechna. IX. Wystawa przemysłowa: Wiadomości ogólne.—Lampy i świece.—Konserwy.—Wystawa sztuk pięknych: Cornelius.—Wilhelm i Fryderyk Kaulbach.—Hübner.—Knauss.—Malarze belgijscy.—Malarze hiszpańscy.—Wiadomości literackie.....	302
Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. Rzeźbiarstwo na wystawie: Cromwell, studjum historyczne pana Renée.—Oreste, dramat Dumasa przerobiony z greckiego.—„Obiaduje z matką”; noworoczna elegia teatru Gymnase.—Korsarz, balet w trzech aktach.....	551
Pamiętniki <i>Sabiny z G. G.</i> .....	126, 220, 420
Przegląd literatury zagranicznej. I. Współczesna literatura angielska. Longfellow, Arnold, Smith. Przez <i>Felixa Jezierskiego</i> .	261
II. O powieściach ludowych w Niemczech, przez <i>I. Z.</i> .....	278

### Powieści.

Synowie gajowego. Obrazek z nad Bugu, przez <i>Leona Kunickiego</i> .	594
---	-----

### Poezye.

Paproć, przez p. <i>Ilnicką</i> .....	32
Dzieci. Obrazek na ścianę chłopskiej chaty. Przez <i>T. L.</i> .....	92

### Dramat.

Gentile Bellini. Obraz dramatyczny, przez <i>Józefa Korzeniowskiego</i> .	288
Don Karlos. Poemat dramatyczny Szyllera. Tłumaczenie <i>Waleryana Tomaszewicza</i> . (Wyjątki).....	326
Hagbart i Sygna. Poemat w pięciu aktach Oehlenschlegera. Tłumaczenie <i>Juliana Bartoszewicza</i> . .....	439

### Sztuki piękne.

Sposób zapatrywania się Waldmüllera i Völkerja na dzisiejszą sztukę malarską, przez <i>Lucyana Falkiewicza</i> .....	39
--	----

Przegląd muzyczny: Pani Gruszczyńska.—Precyoza.—Lalka norymberska.—Czwarty Śpiewnik Moniuszki.—Kujawiak Ig. Komorowskiego. Przez <i>M. K.</i> .....	155
Przegląd muzyczny: I. Teatr. II. Koncert na dochód ubogich: Marsz żałobny Chopina, instrumentowany przez Quattriniego. III. Nowakowski.—Ig. Komorowski.—Kania.—Krzyżanowski.—Sobański.—Kajetan Kraszewski. Przez <i>M. K.</i> .....	370

### Rozbiory.

Obraz słowa polskiego i jego odmian, przez X. P. Semeneńkę. Poznań. 1852. Przez <i>Wł. Sabowskiego</i> .....	164
Wieczorne rozrywki przy kominku. Poznań. 1855. Przez <i>I. Z.</i> .....	363
Karola X Gustawa króla szwedzkiego trofea i sprzęty stołu, zdobyte przez Stefana Czarnieckiego w 1656 roku; opisane i ogłoszone przez hr. Eustachego Tyszkiewicza. Wilno. 1856. Przez <i>K. Wł. W.</i> .....	368
Dzieje Polskie wewnętrzne. Opis zwyczajów i obyczajów za panowania Augusta III, przez księdza Jędrzeja Kitowicza. 4 tomy. Petersburg. 1855.—Znakomici mężowie Polscy w XVIII wieku, przez Juliana Bartoszewicza.—Cmentarz Powązkowski, przez K. Wł. Wójcickiego.—Słownik malarzów polskich, Edwarda Rastawieckiego. T. 1. 2.—Krótkie wiadomości z dziejów piśmiennictwa polskiego, zebrał M. Ł. 1855. Warszawa. Przez <i>T.</i>	580

### Nauki przyrodzone.

O gąsienicach, które w miesiącu styczniu b. r. wyszły na śnieg przed gmachem Instytutu Szlacheckiego w Warszawie. Przez <i>Antonię Wagę</i> .....	381
---	-----

### Nauki lekarskie.

O długowieczności ludzkiej. Wyjątek z niedrukowanej jeszcze Hygieny polskiej. Przez Dra <i>T. Tripplina</i> .....	393
<i>Kronika bibliograficzna</i> .....	188
Doniesienia literackie .....	189, 386, 614
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném warszawskiem:	
za miesiąc listopad r. z. ....	193
— — grudzień r. z. ....	389
— — styczeń r. b. ....	617
Wypadki dostrzeżeń meteorologicznych, w obserwatoryum warszawskiem w roku 1855 robionych.	

## SPIS BZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

Z R. 1856.

### Filozofia.

	Stron.
Teofrast i niektórzy nowsi badacze charakterów. (Z księgi Szkiców i Fragmentów).....	421

### Materyały historyczne.

Normanowie i Germanowie, z uwagą na dzieło p. A. Muncha: Der Norske Folks Historie, tudzież poglądem na Germanią przez Tacyta opisaną i jej u polskich pisarzów wziętość. Przez <i>Wacława Alexandra Maciejowskiego</i> .....	201
Najdawniejsze dzieje salin krakowskich aż do żupnictwa Jana Bonara, czyli do r. 1515, przez <i>Hieronima Eabeckiego</i> .....	265
Genealogia portretowa Sapienhów w kościele parafialnym Świętej Anny w Kodniu. Przez <i>Józefa Łoskiego</i> . (Z ryciną).....	588

### Podróże i opisy.

Listy z Syberyi <i>Agatona Gillera</i> .....	186
--	-----

## Literatura.

	Stron.
Przysłowia kaszubskie, przez <i>K. Wł. Wójcickiego</i> .....	105
Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. Historia angielska Macaulaya.—Literatura hiszpańska; dzieła pana Guella y Rente.—Zdjęcie z krzyża, fresk Teodora Chasseriau.—Henryk Heine.—Wiadomości literackie.....	115
Przegląd literatury zagranicznej. Literatura angielska. Powieściopisarki angielskie.....	140
Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. Giulia Grisi.—Ristori: Myrrha i Rosmunda Alfierego.—Przyjęcie pana Legouvé do Akademii.—Studnia artyzejska w lasku Bulońskim.—Gospodarstwo rybne pana Coste.—Wiadomości literackie.....	326
Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. „Franciszka“ komedia w czterech aktach pani Georges Sand.—„Jak wam się podoba“ wolny przekład z Szekspira, téjże.—Historia artystów żyjących Silvestra: listy z Rossyi Verneta.—Przedmowa Lamartina do kursu literatury.—„Les Contemplations“, Wiktora Hugo.—Wiadomości literackie.....	565

## Powieści.

Jermoła. Obrazki wiejskie przez <i>J. I. Kraszewskiego</i> .....	1, 227, 462
--	-------------

## Poezje.

Wiara, przez <i>Wład. Rog</i> .....	34
Dwie drogi, powieść fantastyczna.....	66
Miód, ustęp z poematu „Piast“, przez <i>Deotymę</i> .....	137
Nad kolebką, przez <i>W. Korotyńskiego</i> .....	225
Śmiech (naśladowanie z francuzkiego), przez <i>Antoniego Czajkowskiego</i> .....	307
Wyjątki z baśni p. t. Książę na Ostrogu, przez <i>T. L.</i> .....	456

## Dramat.

Juliusz Cezar. Tragedya w pięciu aktach, przekład z Szekspira przez <i>J. Paszkowskiego</i> .....	353, 503
---	----------

## Sztuki piękne.

Ikonaografia. (Część archeologii ogólnej). O nimbach, aureolach, glorych i symbolach świętych używanych na obrazach, przez <i>Józefa Łepkowskiego</i> . (Z 3 tablicami rycin).....	36
O rzeźbiarstwie. Przez <i>A. L.</i> .....	409
Przegląd muzyczny. Koncerta amatorskie.—Mozart i jego Don Juan.—Słówko o ogólnej u nas dążności muzycznej.—Histo-	



rya o jednym fortepianie Erarda.— Koncerta pp. Prùme, Albano, Haumana, Thalgrüna, panny Ortolani.— Muzyka kościelna w Wielkim Tygodniu.— Lubowski i Brzowski. Przez <i>M. K.</i> ....	629
---	-----

### Rozbiory.

Do szanownych wydawców Słowiańsko-Polskiego Słownika Lindego, i czysto-polskiego Słownika zapowiedzianego przez Maurycego Orgelbranda z Wilna. Przez <i>Fran. Xawerego Malinowskiego</i> .	175
Przegląd muzyczny. Doręcznik muzyczny przez Józefa Sikorskiego. Przez <i>M. K.</i> .....	396
Mechanika teoretyczna dla użytku inżynierów i techników, przez Juliusza Weisbacha i t. d., przełożona na język polski przez Stanisława Bakkę inżyniera. Warszawa. 1856. Przez <i>S. P.</i> ...	405
Wyrachowanie masy i wartości drzewa opałowego w kłocach, oraz porównanie wartości tegoż z węglem kamiennym i torfem, przez Benedykta Alexandrowicza. Warszawa. 1855. Przez <i>K. S.</i>	408
O pracach naukowych Kommissyi ustanowionej przy uniwersytecie św. Włodzimierza, dla opisania Kijowskiego Naukowego Okręgu. 1849—1853. Przez <i>Tadeusza Padalicę</i> .....	601

### Nauki przyrodzone.

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych: Przyrząd ciepłorodny bez ognia, przez pp. <i>Beaumont</i> i <i>Meyer</i> .	645
--	-----

### Technologia.

O wypieku chleba, przez <i>St. Przyszańskiego</i> .....	309
---	-----

### Korrespondencya.

List otwarty Waćława Alexandra Maciejowskiego do redakcyi Biblioteki Warszawskiej z powodu wzmianki w jej piśmie przez p. Alexandra Tyszyńskiego o najnowszém dziele jego uczynioném..	639
--	-----

<i>Kronika bibliograficzna</i> .....	193, 411, 647
--------------------------------------	---------------

Doniesienia literackie .....	195, 412, 649
------------------------------	---------------

Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném warszawskiem:	
za miesiąc luty r. b. ....	197
— — marzec r. b. ....	417
— — kwiecień r. b. ....	653
Od redakcyi.....	652

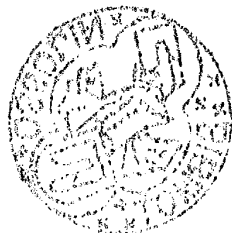


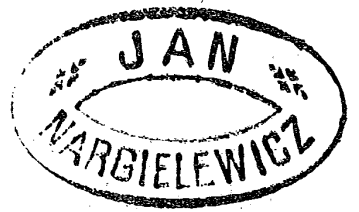
Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury,  
po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, d. 3 (15) grudnia 1855 r.

*Starszy Cenzor,*

**F. Sobieszczański.**





## ZAKON DOBRZYŃCÓW

AŻ DO WDANIA SIĘ W UKŁADY Z KRZYŻAKAMI.

PRZEZ

*Nepomucena Romanowskiego.*

---

### I.

**Z**akony rycerskie powstały w czasie wojen krzyżowych. Pierwsze z nich zawiązały się w Palestynie w celu niesienia opieki chorym pielgrzymom; później opiekę swą i nad zdrowiem rozszerzyły. Zakon Joannitów ukonstytuował się w osobne ciało roku 1100 pod zwierzchnictwem Gerharda z Prowancyi. Hugo z Payens położył 1118 r. fundament zakonu Templaryszów, który obronę ziemi św. i pielgrzymów w podróży do Jerozolimy za cel główny wziął sobie. Oba te zakony wkrótce do znacznych przysły dostatków, któremi ziomkom swoim: pierwszy Włochom, drugi Francuzom biegły w każdej potrzebie w Palestynie na pomoc. W r. 1128 brak podobnego przytułku dla swych ziomków, skłonił jakiegoś Niemca w Jerozolimie mieszkającego do założenia szpitala dla chorych Niemców przeznaczonego. Za zezwoleniem patriarchy, wybudowano kościół przy szpitalu i oddano kościół ten i szpital pod opiekę N. P. Maryi. W czasie oblegania Akkonu podniósł Fryderyk ks. Szwabii braci szpitala Jerozolimskiego, który wraz z mieszczanami kilku bremeńskimi i lubeckimi pielęgnować i tutaj nie przedstawiali pomocy potrzebujących chorych Niemców, do stopnia

rycerskiego zakonu. Klemens III (1) potwierdził czyn księcia bullą z dnia 6 lutego 1191, a gdy bullę pod Akkonem odebrano, odział w suknie zakonne patriarchy Jerozolimski 40 ochotników. Bój z poganami i pielęgnowanie chorych, dwoma były zadaniami zakonu. Szybko wzmógł się zakon w liczbę i bogactwa; rozprzestrzenił się w Azji i Europie, i w miarę jak głośno u chrześcijan zaufanie w uwolnienie miejsc św. z rąk niewiernych, przenosił się do Europy, hojnie obdarowywany przez książąt i cesarzy, a przez papieży w opiekę brany. Herman Salza położył kamień węgielny przyszłej jego wielkości. W czasie jego mistrzostwa rozszerzyły się posiadłości zakonu; oprócz poprzednio w Palestynie i Sycylii uzyskanych, w Austrii, Saksonii, Turyngii, Palatynacie Reńskim, Elzacyi i t. d., król węgierski Andrzej (2) przywołał go do Siedmiogrodu 1211 przeciw Kumanom, i osadził nad granicami Mołdawii i Wołoszczyzny. Po nieszczęśliwej obrzeżeniu z Damietty nad brzegami Nilu wyprawie przekonał się Herman Salza dowodnie, że zakon niewiele zdziała na Wschodzie dla chrześcijaństwa; a gdy Andrzej węgierski w pychę rosnących zakonników z Siedmiogrodu w końcu 1222 r. wypłoszył: zyskiwał ciągle mistrz zakonu nowe dowody szczodrobliwości cesarza i papieża, wznagał się zakon i opływając w zamożność wyczekiwał niejako chwili, w której go nieudolność mazowieckiego Konrada na swą obronę na północ nie powoła.

Na północy tymczasem, w Inflancjach, powstał w roku 1201 (3) zakon mieczowy, *fratres militiae Christi*, a w Mazowszu zakon Dobrzyńców, r. 1222.

Aby zobaczyć, jakie okoliczności powstanie ostatniego spowodowały, rzucmy okiem na stan Polski w owych czasach.

Z końcem XII a początkiem XIII wieku, na trzy główne części widzimy rozpadłą monarchią Bolesława Krzywoustego; trzy w Lechii książęce domy panujące, i pilnym okiem przestrzegające nadwyrężenia granic swych posiadłości, wybitnie

(1) De Wal. Recherches sur l'ancienne constitution de l'ordre Teutonique: powiada w T. I Introduction p. XV, że: Clement III... n'avoit pas vecu assés long-tems pour le confirmer lui-même. J. Voigt Geschichte Preussens T. II, p. 33 błąd jego poprawił.

(2) De Wal. ibid. I, w nocie VII do rozdziału X się odnoszącej p. 385 i następne. J. Voigt tamże T. II p. 85 i 145 i następne.

(3) Henryk Łotwak, wydanie Grubera, str. 22, § 6.

cechować się zaczynają. Do udziału krakowskiego, przy którym była pretensya i cień słabego zwierzchnictwa nad całą monarchią, należało Krakowskie, Lubelskie, Sandomierskie, zwierzchnictwo nad Rusią Czerwoną, Łęczyckie, Sieradzkie i Pomorze. Wielkopolska obejmowała Poznańskie, Gnieźnieńskie i Kaliskie, z ziemią Rudzką czyli Wieluńską. Trzecie księstwo tworzył między potomków Władysława II podzielony Szlązk.

W miarę przybierania liczby udzielnych ksiąząt w monarchii mnożyły się kłótnie, zatargi, niezgody i wojny domowe, podczas gdy sąsiedzi chrześciance przeciwnarodowemi wpływy, a poganie pożogami i rabunkiem kraj nawiedzając, zgodę i opór znaleźćby byli powinni. Zamieszki wewnętrzne tymczasem ułatwiały postęp germanizmu ryczałtem zalewającego Szlązk najprzód, potem Wielkopolskę i Krakowskie, koloniami niemieckimi, osadzanemi w dobrach klasztorów, duchowieństwa i prywatnych ludzi, i wyjmowanemi z pod powinności krajowych, nieuglaskanym zaś hordom dziczy pruskiej i jaćwiezkiej, sposobność obłowienia się plonami Mazowsza i sąsiednich prowincyj.

W takiemto położeniu Polski, dzierżył tron krakowski Leszek Biały: dziecko zostające pod opieką słabiej matki i ambitnego wojewody krak. Mikołaja, który wraz z bratem swym Pełką biskupem krak. rządził księstwem swego pupilla. Pierwszy rok panowania Leszka Białego nacechowany jest morderczą rozprawą Mozgawską, w której synowie jednego kraju: Wielkopolanie, Pomorzycy i Szlązanie z jednej; Małopolanie i Rusini z drugiej strony za pretensye do tronu Mieczysława Starego i Leszka, w krwi bratniej ręce swe zboczyli (1). Zupełną klęską swego stryja, tysiącami trupów Wielkopolan, ranami Romana ruskiego, swego stronnika i znaczną w jego wojsku stratę, gdy się Szlązanie z placu bitwy cofnęli; umocował Mikołaj Leszka na tronie na to jedynie, aby go jego matka, usidlona intrygami Mieczysława, i obawą przemożnego wpływu wojewody na Małopolan spowodowana, dwukrotnie w ręce pierwszego oddała. W skutek nagłych kilkukrotnych zmian panujących, zwiększały ogólne osłabienie Lechii stronnictwa, na których czele w Sandomierskiem, Krakowskiem, Goworek Rawita i Mikołaj stali. Powagą ostatniego utrzymał się Władysław

(1) Długosz, wydanie dobromilskie, str. 512, r. 1195.

sław Laskonogi po śmierci ojca swego, który w ostatnich latach burzliwego swego życia od Mazowsza część Kujaw oderwawszy, udział krakowski bezskutecznie pograniczami Sandomierskiego powiększyć usiłował, na krakowskim tronie. Goworek wierny Leszkowi, wspólnie z Krystynem wojewodą płockim, bronił Sandomierza podczas panowania Laskonogiego w Krakowie przed srogimi Romana napadami. Zwycięstwo Krystyna pod Zawichostem (1) nad zbuntowanym tym panem księstwa, którym władcy Polski rozrządzali, i śmierć Romana w tej potrzebie, ustaliło Leszkowi niedługie zwierzchnictwo nad księstwem Halickim, a rozgłos jego i niezadowolenie duchowieństwa z Laskonogiego, wprowadziły go znowu na tron Krakowian, przychylniejszych młodszej linii potomków Krzywoustego.

Objąwszy ostatecznie tron swego ojca (r. 1206) (2) Leszek podzielił się z bratem Konradem ojcowizną w ten sposób, iż odstąpił bratu Kujaw i Mazowsza z ziemią Chełmińską i Dobrzyńską, a sobie zostawił Krakowskie, Sandomierskie, Lubelskie, ziemie Sieradzką, Łęczycką i Pomorze (3). Poczem uporządkowawszy sprawy Pomorza (4), całą swą uwagę zwrócił na Halicz, z którego już to wspólnie z Andrzejem królem węgierskim wypędzał krajowych uzurpatorów, już to ruskim księżętom pomagał oczyszczać kraj z Węgrów razem z obcem panowaniem wyznanie łacińskie Haliczanom narzucić starających się. Po różnych wojny kolejach, srogich bitwach, niszczących Ruś wyprawach, w skutek których to Daniel Romanowicz za protekcją Leszka, to bojar Władysław za pomocą mocnego stronictwa krajowego, to król Koloman, syn Andrzeja a zięć Leszka przez silne wojska obu tych monarchów wprowadzony, to Mściśław Mściśławicz, to znowu Daniel Romanowicz tron Halicza osiadali: widział się w końcu Leszek, mimo poczęści zwy-

(1) Tamże, str. 533, r. 1205.

(2) Że Leszek 1206 roku jeszcze tron odzyskał, dowodzi list Innocentego III z początku stycznia 1207 r. w którym papież bieżę posiadłości Leszkowe pod opiekę św. Piotra. Porówn. Roepell Geschichte Polens, p. 403, uwaga 22.

(3) Dług. p. 535, r. 1207.

(4) Dług. kładzie to pod r. 1210, str. 544, Bogufał u Sommersberga T. II, str. 56 zaraz po objęciu tronu przez Leszka o tém wspomina.

ciężkie swe na Ruś wyprawy zupełnie pozbawionym, od ojca Kazimierza ugruntowanój nad Rusią przewagi. A przecież tę szczególnież w czasie dość długiego, i w ważne zajścia w Polsce obfitującego panowania swego zachować usiłował, wcale nie mieszając się w długoletnie klótnie Laskonogiego z duchowieństwem i w wojny jego z synowcem; nie starając się powściągnąć na swawole i okrucieństwa rozpasanego brata swego Konrada; nie troszcząc się o zabory Duńczyków na Pomorzu, i mało bardzo opiekując się nowo-powstałym biskupstwem pruskim.

Władysław Laskonogi dzierżył po ustąpieniu z Krakowa całą Wielkopolskę: Poznań i Gniezno jako część własną, Kaliskie i ziemią Rudzką (Wieluńską), jako opiekun synowca swego Władysława Odonicza, którego ojciec umarł jeszcze przed Mieczysławem. Oprócz udziału swego Wielkopolskiego i nie najgorszych zdatności w prowadzeniu wojny, odziedziczył Laskonogi po swym ojcu wyobrażenia jedności monarchicznej, która jedynie Polskę zbawić mogła i istotnie zbawiła po upływie wieku jeszcze rozterek i rozdrobnienia. Do przeprowadzenia myśli téj, siły większej przedewszystkiém potrzeba mu było: nie zawieszał więc walki, którą jeszcze na krakowskim tronie wydał hierarchii, lekceważąc cenzury kościelne przez Henryka arcybiskupa na siebie rzucone, zwłaszcza, że Filip biskup poznański zwykłe w jego obecności odbywał nabożeństwa. Przebrał wszakże miarę w gwałceniu praw kościelnych, targaniu się na własność i przywileje kościelne i klasztorne: krzywdzone duchowieństwo wespół z niezadowolnionemi panami polskimi ośmieliło nieletniego Władysława Odonicza do wypowiedzenia posłuszeństwa stryjowi i opanowania Kalisza (1). Od téjto chwili, od roku 1207, zaczyna się nieprzerwany przez wiek ten cały prawie szereg wojen między panami Wielkopolski, których skutkiem było zupełne zbezwładnienie téj prowincyi i wy-

(1) Dług. str. 551 kładzie to dopiéro pod r. 1214 i bezpośrednio po opanowaniu Kalisza uciekać mu każe do Węgier, z kąd r. 1223 p. 562 przeprowadza go w habicie mniszym przez Polskę do Świętopelka. Stało się to wiele prędzej; i wiele dłużej Odonicz księstwem kaliskim się cieszył. Już bowiem w roku 1209 podpisuje się w dyplomie, mocą którego daje lubuskiemu biskupstwu wieś Lubogosz i dwa jeziora: *dei gra. dux de Kalis*. Jako świadek podpisany i Wład. Laskonogi, a nic o opiekuństwie nie

danie jej na niebezpieczne wpływy zniemczonych i całą siłą niemczących książąt szlązkich. Za pomocą Henryka Brodatego odzyskał wyparty przez stryja z Kalisza Odonicz swą schedę 1217 r. i aby się na niej utrzymać, jął ujmować sobie duchowieństwo stryjowi i tak już nieprzychylne. Jeśli dać możemy wiarę Kromerowi (1), to właśnie téż teraz, około roku 1219 wyrobił Henryk arcybiskup gnieźń., syn Teodoryka księcia Bernu i Eudoksyi Polki, iż „za zgodą książąt, panów polskich i całego senatu, cały stan kościelny z poddanymi i wszystkimi zapisami z pod jurysdykcji świeckich sędziów, książąt, nawet z pod jurysdykcji monarchy uwolniono zupełnie, tak, iż nie miał być na przyszłość żadnym prawem wyjątkowym, ani nową uchwałą pod forum świeckie podciągniętym”. Jednak mimo skuteczne ujmowanie sobie nieprzyjaciół stryja, mimo starania Honorego III, który groźnymi listami od gorszących tych kłótni i wojen Władysława Laskonogiego odwieść usiłował, nie ustawała nieprzyjaźń między synowcem i stryjem; owszem około 1223 r. musi uchodzić znowu Władysław Odonicz z Kalisza, udaje się do Świętopelka pomorskiego, żeni się z jego siostrą Helingą (2), i za pomocą szwagra opanowuje Ujście. Szczęśliwą wycieczką odpędziwszy stryja, oblegającego Ujście, zajął silnie wspierany przez szwagra Odonicz wszystkie posiadłości jego, a jego samego na Szlązk wypędził.

Tymczasem znacznie się téż postać rzeczy na Pomorzu zmieniła. Roku 1207 był tutaj Leszek, załatwiał sprawy, zwiedzał miasta, i na prośby mieszkańców przekładających, że im zadaleko w Krakowie sprawiedliwości szukać, ustanowił Świętopelka swym pełnomocnikiem, wierność sobie przysiądz i 1000 grzywien srebra rocznie do skarbcza krakowskiego na

wspomina. Patrz Liegm. Wilh. Wohlbrueck *Gesch. des ehemahligen Bisth. Lebus* I, p. 15 w przypisku. Równie jako książę Kalisza darował r. 1212 Krystynowi bisk. pruskiemu wieś Cecoviz, a papież Honory III potwierdza tę donacją r. 1218. Patrz *Codex diplomaticus Prussicus* J. Voigt'a I, p. 9, nr. 7. Porówn. Roepell p. 419 i następane.

(1) Księga VII w zbiorze Pistoryusza str. 527. J. Długosz wspomina o tém na str. 558; r. 1219, Boguf. u Som. p. 59 T. II, pisze o tém pod r. 1232. Być może, że postanowiono to już w r. 1219, a przywilej później dopięro dano.

(2) Nie córką, jak wielu utrzymuje, patrz Boguf. tamże p. 57.



znak zwierzchnictwa płacić mu z Pomorza gdańskiego kazał (1). Pomorze Słupskie do książąt Wielkopolskich należało (2). Domowe wojny książąt Wielkopolski, Leszkowe zatrudnienia na Rusi, odległość wreszcie od Krakowa, bez obrony zostawiły Pomorze, gdy Waldemar II wyprawivszy się na pogańskich Prusaków w roku 1210, nagle zamiar swój świątobliwy zmienił i zamiast chrzcic Prusaków, grabieżyc w Pomorzu gdańskim zaczął. Sile jego oprzeć się namiestnik Leszka nie zdołał. Uległo przed wojskiem zaborcy miasto Gdańsk; księstwo słupskie zwierzchność Duńczyka uznało. Niezrównanym zmysłem wojennym obdarzony Świętopelk, potrafił wszakże wkrótce wyprzeć załogi duńskie z miast pomorskich; i oczyściwszy kraj z najeźdzców, węzłami pokrewieństwa i sojuszem połączony z księciem Wielkopolski, zapragnął, sprawę swą wiążąc z sprawą swego szwagra, niezależności nad ziemią przez siebie z rąk najeźdzców wydarta. Wkrótce potem straciła Lechia na czas długi ważną tę prowincyą, a jej utratę Leszek krwią własną zapieczętował.

Wśród takiej ogólnej niemocy, coraz przybierającego rozdrabniania się monarchii, rośnienia panów w znaczenie i przemoc, uwalniania ziem wielu z pod ogólnych powinności: nie dziw, że na Mazowszu najokropniej wyglądało.

Rozległe to podówczas było księstwo. Na zachód obejmowało w sobie Kujawy; na północ ziemie Chełmińską, Lubawską i Michałowską, a więc opierało się w tym o pruską, w północno-wschodnim zaś kierunku o dzicz jaćwieszką; na wschód i południowo-wschód mieściło w sobie ziemię Czerską, i rozgraniczało się od Wielkopolski ziemią Łęczycką. Na roz-

(1) Nie tu miejsce zbijać uprzedzenia Niemców, przeczących Leszkowi praw i posiadania Pomorza, a usamowalniających namiestników i starostów Pomorza. Kogo nie przekonały słowa współczesnego Bogufała: *post haec Lestco Albus Pomeraniam intrat ibique ab.... proreribus, tam quam eorum legitimus Princeps et dominus.... est susceptus.... Negotiis... pertractatis statuit loco sui capitaneum Swanthopelconem nomine etc.* Som. II, p. 56, tego i inne dowody nie przekonają. Wspomnieć tu można, że Świętopelk podpisując się jako świadek w dyplomach obok książąt, *duces*, polskich, skromny tytuł *principis* sobie daje. A co *princeps* znaczyło, można obaczyć w Naruszewiczu T. VI, p. 193 uw. 2. Dyplom taki jest np. w Acta Borussica I, p. 275.

(2) Porówn. Narusz. T. VI str. 189, uw. 5.

ległych i obszernych tych ziemiach osiadł panem niezależnym Konrad brat Leszka, r. 1207. Młody, lekkomyślny, niewdzięczny, podejrzliwy, bez téj siły ducha i woli, które panujących zdobić powinny, a mimo to okrutnik wyszukany, gnuśny i leniwy w czynnościach, bo rychło żar huci cielesnych wypalił i wypaczył w nim chęć i popęd do naśladowania sławnych swych przodków; wreszcie pozbawiony wszelkiej przebiegłości i jasnego na swe położenie poglądu, a w niepohamowany strach zbyt kujący przy najmniejszém niebezpieczeństwie: nie umiał szanować męża, który rządził za niego, a dzielną swą prawicą i mądrą radą sprawiał, że bez złych skutków na Mazowsze zostawał oddawna przyjęty zły tryb życia książęcia. Szczęśliwe było Mazowsze póki żył zwycięzca Zawichostki Krystyn, wojewoda płocki. Mąż ten, którego zdadności Prusacy na równi z boskimi kładli, a który sobie na miano Wielkiego wojewody mazowieckiego już u współczesnych krajowców i obcych zasłużył (1), umiał powściągnąć napady dziczy i ugłaskiwał ją żelazną, chlubną swą ręką. To téż spokojnie za jego życia Konrad Chełmińskie posiadał, mógł ustanowić osobnego ziemi téj wojewodę (2), a postęp chrześcijańskiej religii, której rozkrzewienie było zarazem środkiem zapewnienia sobie panowania nad poganami, jest w Prusiech wyraźnym. Po bezskutecznych usiłowaniach św. Wojciecha, Brunona, Ottona Bamberskiego, aby lud pruski od czci bałwanów odwieść, wstąpił w ślady tych apostołów pruskich Bogumił opat klasztoru w Łukni (3) już roku 1207. Chociaż niebezowocnymi były prace jego w winnicy Pańskiej, zaprzestał ich jednak po zamordowaniu Filipa towarzysza i współnika swego przez Prusaków; a jego miejsce godnie zastąpił Krystyn zakonnik oliwski (4) w dwa lata później. Usiłowania jego tak pomyślny ukoronował skutek, że go już w roku 1212 Innocenty III biskupem pruskim nazwał (5), a opiekę

(1) Dług. str. 554 i 555.

(2) Porów. Narusz. T. VI p. 213, uwaga 6.

(3) Voigt Preuss: Gesch. T. I p. 429. Dominik Szule: O znaczeniu Prus dawnych, str. 100.

(4) Że nie był opatem oliwskiego klasztoru, tylko prostym zakonnikiem, dowodzi wbrew przyjęciu wielu list Innocentego III do arcyb. gniez. z roku 1211. Wydrukowany jest w Hartknocha Kirchen-Gesch. v. Preussen, p. 30—31.

(5) Patrz przypisek na str. 5.

metropolitalną nad nowo nawróconemi oddał Henrykowi arcybiskupowi gnieźnieńskiemu (1).

Szcześnie szło i nadal nawracanie Krystynowi; zaburzenia pogan (2), dzieło jego zniszczyć usiłujących, szybko uskromiono, tak, iż nie miał potrzeby apostoł pruski uciekać się do środka (przez Honorego III 1217 r. pozwołonego mu) (3) obwołania krucyaty na buntujących się. Lecz nie na długo. Rok 1217 jest w historyi naszej naznaczonym haniebném oślepieniem i zamordowaniem Krystyna z Gozdowa, wojewody płockiego, (4) „żołnierza dzielnego, ozdoby całego Mazowsza, męża sławnego i bohaterskiemi jaśniejącego czyny.” Mordercą jego był Jan Czapła kanonik płocki, a narzędziem morderstwa Konrad książę Mazowsza. Prusakom do religii ojców swych tak mocno przywiązanym, że ich ani Bolesław Chrobry, ani żaden prawie z dzielnych jego potomków, ani orężem, ani słowem od niej odwieść nie potrafił, uciążliwą też już być zaczynała nowa nauka wywracająca dawną niepodległość, niszcząca dawne obyczaje i przynosząca z wielą dobrodziejstw, ciężary niejaki, choć słuszne, lecz dawniej nieznanne. Mile więc przyjęli wiadomość o śmierci Krystyna, który ich był trzymał na wodzy: odpadli od chrześcijaństwa, a ziemię tych, którzy w nowej wierze niezachwianie wytrwać postanowili, nawiedzili ogniem i mieczem (5). Nie dosyć na tém: znacząc ślady przechodu swego rumowiskami twierdz, zgorzeliskami osad, miast, wiosek i kościołów, mordami chrześcian; nawiedzili w roku 1218 ziemię Lubowską, Chełmińską (6) i Mazowsze aż do Płocka, i obla-

(1) Hartknoch Kirch. Gesch. p. 30–31. Voigt Cod. dipl. Pr. I, p. 14. N. 13 wydrukował bulle, którą Honory r. 1219 zwalnia arcybiskupa z ciężaru legata in partibus Prussiae.

(2) Hartknoch tamże kładzie je pod r. 1215.

(3) Acta Bor. I, 262.

(4) Dług. p. 554.

(5) Tamże. Wspomina tu wprawdzie Dług. o napadzie Połowców na ziemię Konrada. Jeśli to nie jest błąd drukarski, to Długosz też nie myślał o Połowcach, bo zaraz pisze o przywróceniu chełmińskiej ziemi, do której wiedział, że Połowcom było za daleko.

(6) Ziemię chełmińską poddał wojewoda ówczesny tejże ziemi Prusakom. Kromer hist. pol. w Pistoryusza II, p. 527 nie nazywa go. Naruszewicz T. IV, p. 213, uw. 6 domyśla się, że to był Żyra, lub syn jego.

dowani bogatym plonem i mnogim jeńcem, w niedostępnych leśnych swych moczarach bezpiecznie go złożyli. Nie miał już Konrad obrońcy na pogan, serca na ich odparcie, ale miał natomiast dosyć bezwstydu pozbyć się ich w ten sposób, że gdy przysłali do niego z żądaniem więcej jeszcze sukni kolorowych i dobrych koni, sprosił Konrad na ucztę panów i panie swój ziemi, a gdy ci się bawili, oddał ich konie i suknie wystawcom pruskim (1). Aby odnowić zapadłą i coraz walącą się budowę kościoła pruskiego, powstrzymać napady na kraje zdawna chrześcijańskie, dodać otuchy ręce opuszczającemu księciu, biskup Krystyn użył pozwolenia danego sobie na obwołanie krucyaty na Prusaków (2), a Honoryusza III uprosił, że i Ojciec św. kazał ją głosić arcybiskupom: mogunckiemu, trewirskiemu, kołńskiemu, magdeburskiemu, salcburskiemu, gnieźnieńskiemu i kilku innym (3). Oprócz tego napomniał papież osobną bullą wiernych, którzy się na Prusaków wyprawili, żeby nie obławiali się mieniem pogan, powiadając, że Krystynowi na takich cenzury kościelne pozwolone (4). Znanym skutkiem tej wyprawy, podjętej (5) 1219 r. po większej części przez cudzoziemców (6), a w roku 1222 wzmocnionej świeżemi Leszka Białego, Świętopelka i Warcisława wojewodów pomorskich zastępami (7), jedyne dzieło, które kilku książąt polskich w czasie

(1) Duesburg Chronicon Prussiae ed. Hartknoch'a, pars II, c. III.

(2) Konrad mazowiecki daje Krystynowi r. 1222 ziemskie posiadłości za to, że sprowadził Krzyżowców; wydrukowany jest ten dyplom w Szulca: O znaczeniu Prus dawnych, str. 147—149.

(3) Voigt Cod. dipl. Pr. I p. 11, N. 9.

(4) Tenże, tamże p. 8, N. 6. Wspomina im O. Ś. że wyszli ad convertendum ad Dominum non ad subjugandum vestrae servituti paganos.

(5) Wohlbrueck Gesch. v. Lebus, I p. 57 powiada, że 25 sierpnia 1219 r. Krystyn był w Trzebnicy i niedługo potem przyłączył się do uchwalonej na Prusy wyprawy, którą Henryk Brodaty dowodził. Myli się więc Voigt Gesch. v. Pr. I, p. 448 wyprawiając Krzyżowców na Prusaków już wiosną t. r.

(6) Cod. dip. Voigta I p. 3, N. 2 i p. 4 N. 3; p. 8 N. 6.

(7) Dług. pod r. 1225 powiada, że przyczyną wyprawy Henryka Brodatego przeciw Leszkowi było ztchórczenie kilku panów małopolskich w wyprawie krzyżowej przeciw Prusakom. Panów tych odsądził Leszek od wszelkich urzędów, przez zemstę więc nasadzili na niego Henryka. Miejsce to dowodzi, że byli Leszka

monarchii Leszka podjęto, było odbudowanie zburzonych przez Prusaków fortec, a zatém zabezpieczenie chwilowe przeciw powtórnemu podobnemu zalewowi, i udarowanie Krystyna biskupa ziemskimi posiadłościami (1). Dobrodziejom pruskiego biskupstwa przoduje Konrad. Zapisał mu cum jure ducali część chełmińskiego, w której niegdyś były zamki Grudziądz, Wabsko, Kopriven (Pokrzywno), Wielżaż, Kolno, Ruch, Rysin, Głębokie, Turno, Pień, Płot z przyległościami, oprócz tego posiadłości wojewody Żyra i sto innych wsi. W tymże samym przywileju zrzekł się Getko biskup płocki praw swych duchownych i świeckich w ściśle Wisłą, Ossą i Drwęcą oznaczonych granicach Chełmińskiego na rzecz Krystyna (2). O poważném tém nietylko

wojownicy w téj wyprawie. Prawdopodobném jest, że i Leszek tam był, bo w Akta Bor. I, 273 wydrukowany jest przywilój Leszka, mocą którego daje L. Krystynowi wieś Małymnów. Przywilój ten jest (bez miejsca) z r. 1223. Wojewodowie pomorscy podpisani są jako świadkowie w przywileju Konrada, nadającym Krystynowi trzy wsie; patrz Acta Bor. I, 275. Obecność Świętopelka w téj wyprawie razem z Leszkiem domniemywać się każe, że nie odzywał się jeszcze z życzeniami usamowolnienia.

(1) Dominik Szulc O zn. Pr. dawnych p. 147. Dogiel Cod. dipl. Poloniae IV, p. 2, N. 2 i dal. (Wzmiankując o dyplomach odsyłam do dzieł, które mi się najprzystępniejszymi wydają, a dla oszczędzenia miejsca nie wymieniam wszystkich w których są drukowane). Dyplom ten, chociaż początek jego popsuty, nadzwyczaj jest ważnym. Jako świadek podpisany jest znowu Leszek B. a więc musiał być na téj wyprawie. Data jego jest: Łowicz Nonis Augusti 1222.

(2) Zżyma się mocno Lucas Dawid, Gesch v. Preussen ed. Hennig. Koenigsberg 1811 T. II p. 26 i 29 na to, że Konrad nazywa to obdarowanie biskupstwa pruskiego donatio; Cessio raczój nazywać to każe: *sunder Cession und vorzeihung seines rechten so er dran gehabt oder haben mochte*. Kusi to mocno późniejszych historyków niemieckich: nie odsadzają jednak wszyscy i zupełnie Konrada od własności Chełmińskiego lub przynajmniej od mogących się usprawiedliwić pretensyi do posiadania téj ziemi. Często im nawet potrzeba do przeprowadzenia późniejszych rozumowań, żeby ziemia ta przed r. 1225 do Konrada należała. Lengnich Polnische Bibliothek, 4 Stueck, p. 302, nie spostrzegłszy się, że aby ją Krzyżakom mógł słusznie durować musiał przynajmniej do r. 1225 ziemię tę posiadać Konrad, tłumaczy to „donavi cum jure ducali” dyplomu w ten sposób: *das jus ducale bedeutet allhier die Obergerechtigkeit, oder das dominium directum. da denn Christian zugleich von der Lehns Pflicht loss gezehlet worden*. Za zdaniem

dla kościoła pruskiego, ale i dla całej Polski, a szczególnie Mazowsza dziele, bo biskup Krystyn teraz dopiero doszedł do znaczniejszych biskupich posiadłości, a więc podwoić musiał usilność, aby owieczki sobie powierzone bronić od wszelkich niebezpieczeństw z północy im grożących, piszą czasów i stron tych badacze: rozjechali się Krzyżownicy w końcu roku 1223, zostawiwszy biskupowi pruskiemu świeże dowody swój szczodroblowości (1).

pracowitego i nadzwyczaj zasłużonego tego badacza rzeczy polskich, który wyprawivszy się na błędy w historii naszej zastarzałe, niezmierne mnóstwo ich wytknął, ale sam się z błędnych wielu wyobrażeń otrząść nie umiał, czy nie chciał: poszedł i Voigt *Gesch. v. P. I*, 451 — 2, interpretując owe wyrazy: *mit herzoglichem oder oberherrlichen Rechte*. Stara rzecz stronność i niezajomość zupełna Niemców w naszej historii. Z małemi wyjątkami wszyscy są tacy. Więc, oswoiliśmy się z ich pojmoowaniem. Wszelako mocno uderzyć musi tak krzywe wyobrazenie uczonego tego męża co do pojmoowania znaczenia, jakie kładli nasi książęta w wyrazy „*cum jure ducali*” w mnóstwie przywilejów klasztorom i duchowieństwu nadawanych umieszczane; w takim tylko razie pojąłby tu Voigta było można, gdyby było pewną, że chciał pocieszyć swych ziomeków, mało historią polską się zajmujących, w mówieniu, że jak Niemcy teraz w księztwa Reuss (*Greiz*) *Hechingen*, *Schaumburg Lippe*, *Lichtenstein* obfitują; tak w nie swego czasu Polska obfitowała. *Solamen miseris etc.* Na tej zasadzie, to jest gdyby to „*cum jure ducali*” znaczyło to co Niemcy utrzymują. mielibyśmy w samej Wielkopolsce kilka państw udzielnych, jak np. chątkowskie utworzone przez Władysława Odonicza 1237 r. (*Kodeks dyplom. wielkopolski Raczyńskiego* p. 19, N. 16) pod sztandarami Joannitów; bukowski utworzone przez Przemysława I, a potwierdzone przez brata jego Bolesława 1257 r. (tamże p. 51 N. 43) pod znakami kościoła ś. Piotra w Poznaniu; księstwo Śródka utworzone przez Przemysława II, 1288 r. (tamże p. 78. N. 70) pod sztandarami biskupów poznańskich; księstwo oliwskie utworzone przez Mestwina II także przy zejściu tego wieku (*Pomerellische Studien: I, Das Kloster Zuckau v. Dr. Hirsch, Koenigsberg, 1853 p. 57*) na Pomorzu; i nareszcie, że wielu innych nie wspomnę. świeższej daty księstwo zbąszyńskie i kiebłowskie utworzone przez Jagiellę 1393 (*Cod. Racz. p. 143, N. 106*) pod herbami Nemerzów. Książęta nasi dawając posiadłości „*cum jure ducali*” nie zrzekali się praw zwierzchniczych z ziem darowanych, lecz udzielali takim przywilejem pożytki i dochody poprzednio do skarbu książęcego idące. Porów. *Roepell Gesch. v. Polen* p. 440 i następne.

(1) Patrz *Acta Bor. I*, 276.

## III.

Lecz najważniejszym tój krucyaty dziełem jest, jak to dowieść usiłujemy, założenie nowego zakonu. Przekonać się dostatecznie mogli książęta, biskupi i panowie polscy, niemniej i krzyżowcy, którzy na Prusaków wyruszyli w ciągu długiej tój wyprawy, w której oprócz chwilowego zabezpieczenia granic ziemi chełmińskiej nowo wzniesionemi zamkami, nic nie zrobili, za Osse wcale nawet nie przeszli: że nader trudna sprawa z bitnym ludem pogan, że aby choć niejako nowy kościół i nie-szczęśliwych w nim chrześcian zabezpieczyć, milicyą ciągle w tych krajach zostającą urządzićby trzeba. Niudolność Konrada, rozdrobnienie i swary książąt polskich, trudność przedsięwzięcia nowój krucyaty na obronę chrześcian tutejszych, mogły im być bodźcami do tego kroku, a przykład istniejących już zakonów gwarancyą, że krok ten będzie skutecznym.

Oprócz powodów niżej przytoczonych ośmiela mię do oznaczenia tego czasu za początek zakonowi zdanie M. Bielskiego, wyd. warszawskie 1829, ks. II p. 90; Hennelii ab Hennenfeld annal, Siles. ap. Sommersberg T. II p. 244; Schuetza historia rerum Prussicarum wahrhafte und eigentliche Beschr. etc. p. 166; Kromera hist. pol. lib. VII w zbiorze Pistoriusza II, p. 528, z których pierwsi pod r. 1222, ostatni bezpośrednio po wymienieniu tegoż roku o zjawieniu się rycerskiego zakonu w tych okolicach wspominają. Na samym wstępie, jeśli zakon ten podczas tój krucyaty założono, zobaczymy zaraz, jak analogiczném jest powstanie zakonu krzyżackiego i dobrzyńskiego. I pierwszy i drugi powstały w czasie wyprawy krzyżowój, na którą wybrać mogli się rycerze całe życie pragnący walczyć za wiarę Chrystusa: widoczną jest, że warunku tego, t. j. aby byli tacy ochotnicy koniecznie do założenia zakonu rycerskiego, potrzeba było. I pierwszy i drugi założono bez poprzedniego zezwolenia papieża. Tam współudział Fryderyka księcia Szwabii, patriarchy jerozolimskiego, panów i wysokiego duchowieństwa niemieckiego; tutaj takż współudział książąt, duchowieństwa i panów polskich, niemniej i biskupa Krystyna, ulubieńca stolicy rzymskiej: tam i tutaj stosowność i bardzo prawdopodobna skuteczność zakonu, dodawały twórcom zakonów tych nadziei, że stolica papieżka dzieło ich zatwierdzi.

Że do zakonu dobrzyńskiego wpisali się początkowo zaraz sami Niemcy, naprowadza nas dokument w Kodeksie dyplomatycznym Voigta (1), którym Gunter, biskup płocki, oddaje mu dziesięciny z wsi swój dyecezyi przez Niemców osiadłych w terytoryum przez Kónrada zakonowi darowanem (2). Utrzymują Niemcy, że północne Mazowsze podówczas bardzo było ziemczone. Zgadzam się, że jak wszędzie prawie w Polsce, tak i tam znajdowały się kolonie niemieckie. Przypuścić jednak takiego ziemczenia niepodobna, aby z stanu rycerskiego Mazowsza czternastu aż Niemców znalazło się czujących powołanie do przykrego zakonnego życia i do ciągłych walk z poganami. Stamiłyby się tam w takim razie szlachty niemieckiej znajdować musiało. Koniecznie więc przyjąć trzeba, że zakon dobrzyński powstał przed rozejściem się ostatniej krucyaty, w którymto czasie mogła się z pomiędzy licznych krzyżowców znaleźć taka liczba niemieckich rycerzów z podobnym usposobieniem.

Brak zresztą wszelki śladów zakonu przed r. 1222 i niepodobieństwo założenia jego wiele późniejszego, mówią za powstaniem jego w tym czasie. Żaden z dawniejszych kronikarzy, do których zresztą co do tego zakonu mało bardzo albo wcale odwoływać się nie można, nie nadmienia o wcześniejszym jego założeniu. Mniejszej téż to tutaj wagi, a główniejszym jest, że w żadnym piśmie urzędowym, w żadnej bulli papieżkiej, których wiele mamy z owego czasu i to miejsc naszych się tyjących, wzmianki o zakonie nie ma. Gdyby zakon ten już był istniał, niepodobna, aby Honory III w liście do arcybiskupa gnieźnieńskiego, (3) w którym boleje nad napadami pogan na

(1) I, 18 i 19, nr. 19.

(2) Jestto tak naturalnym, że jedynie przez wzgląd na tę samą narodowość odstępuje dziesięciny i wszelką styczność z Niemcami zakonowi biskup, iż to dalszych dowodów nie potrzebuje. To samo działo się przed kilkunastą laty z zakonem niemieckim w Siedmiogrodzie, jak powiada De Wal w przytoczonym dziele I, 386: nous voyons ensuite un acte de W. Evêque de Transylvanie, de l'an 1213 confirmé par une bulle du Pape Honorius III. du 19 Avril de l'an 1218 (Arch. de Mergenth). L'evêque donne à l'ordre, le droit de percevoir la dime sur les biens de tous les habitants presents et futurs du pays de Borza (Burzen), à la reserve de ceux qui appartiendroient à des Sicules ou à des Hongrois etc: (3) Voigt Cod. dipl. I, p. 1, N. 1.



ziemie do jego metropolii należące, i dlatego skłania się do prośb książąt i biskupów metropolii i zwalnia arcybiskupa od wyprawy do ziemi św. pod warunkiem, że krzyżowców swych użyje do walki przeciw Prusakom i t. d.; niepodobna więc, żeby Honory w tym liście nie był o nim wspominał. To samo można powiedzieć o bulli do krzyżowców napisanej, a napominającej ich, aby nawracając Prusaków nie szukali ziemskiego w ich krajach dobra (1). W żadnej z wielu innych i do Krystyna i do duchowieństwa wyższego Niemiec, Morawii, Czech i t. d. (2) i do książąt polskich i pomorskich (3), aby nie uciśkali nowo-nawróconych, w żadnej z tych bull papieżkich nie masz śladu istnienia zakonu. Żeby zaś bez wątpienia byli o nim wspomnieli, każą nam wnioskować ciągle wzmianki o zakonie niemieckim, skoro się w tych stronach ukazał. Nie mogą go dosyć bulle papieżkie nazalecać opiece książąt, duchowieństwa (4); niewyczerpnięte są w napomnieniach krzyżowców, aby wspólnie z mistrzem zakonu i z jego członkami działali. Najważniejszym jest brak zakonu w krucyacie z 1219—1223 i następnie w dokumencie kres kładącym biskupowaniu Krystyna in partibus infidelium, a darzącym go znacznemi ziemskimi posiadłościami.

Gdyby zakon był już istniał, najczynniejszy braćby był musiał w wojnie téj udział, boć jedyném zadaniem jego było bić się z poganami, a w takim razie czyny jego zupełném milczeniem i zapomnieniem nie byłyby pokryte; następnie byłby jaki członek zakonu obecnym przy spisywaniu wzmiankowanego, a i dla zakonu nader ważnego przywileju. W dokumencie tym są jako świadkowie podpisani dwaj książęta polscy, Leszek Biały, i Henryk Brodaty; dostojnicy duchowni całej monarchii, jakoto: Wincenty arcybisk., Iwo krakow., Paweł pozn., Wawrzyniec wrocł., Wawrzyniec lubuski, Michał kujaw. biskupowie; świeccy dygnitarze Mazowsza, krakowskiego, Szlązka, jakoto: Gothard mazowiecki, Mikołaj krakowski kanclerze; Arnold mazow., Marek krak., Jakób sandomier., Dyrsko wrocławski wojewodowie; Pakosław krak., Mysłwin sandom., Ostafi wiślicki, Klemens plocki, Teodor kruświcki, Maurycy władysławski, Sobiesław

(1) Tenże, tamże p. 8, N. 6.

(2) Tamże p. 3, N. 2, p. 4 N. 3.

(3) Dogiel Cod. dipl. Pol. IV, p. 1, N. 1.

(4) Voigt, Cod. dip. I p. 25, N. 26; p. 29, N. 31; p. 35 N. 36; p. 36 N. 37 etc.

wrocławski, Stefan bolesławski, Pietrko łączycy kasztelanowie; ale napróżno szukać mistrza lub którego z braci zakonu, chociaż w późniejszych mniej ważnych dokumentach występują (1). Jak więc to jest prawdopodobnym i jedynie możebnym, że zakon ten wymienieni co dopiero książęta, duchowni i panowie polscy z Krystynem założyli, tak jest pewnym, że dotychczas go nie było.

Ale zakon ten i później powstać nie mógł. Że istniał przed wdaniem się w układy z zakonem niemieckim, zaświadcza nam Duesburg (p. 33) pars II, cap V, powiadając, że „residit in corde ipsius (sc. Conradi) divinitus inspiratum, quod dictos fratres (sci. hospitales domus Teutonicorum) vellet ad defensionem suae terrae, fidei et fidelium invitare *ex quo videret, quod fratres milites Christi per eum ad hoc instituti non proficerent in hac causa*“ (sc. in defensione fidelium a paganis). Przekonał się o tém Konrad latem 1225 r. i zaraz wysłał do Hermana Salza, bo już w marcu r. 1226 napisany, potwierdzający krzyżakom przyrzeczenia Konradowe dyplom Fryderyka II (2). W całym ciągu czasu od ostatniej krucyaty, aż do wszczęcia układów z Krzyżakami nie możemy sposobnej do założenia zakonu napotkać chwili. Do lata 1225 r. nie wychylali się Prusacy z swych moczar, nie niepokoiili ani Chełmińskiego, ani Mazowsza; nie było więc przyczyny zakonu zbrojnego przeciw nim zakładać (3). Oprócz tego nie było Konrada w Mazowszu (4) przez długi czas r. 1225, bo wyszedł z wojskiem na pomoc Leszkowi przeciw Henrykowi Brodatemu (5). Ta okoliczność, jako też świadectwo Alberika (6) dostatecznie dowodzą, że księstwo

(1) W dyplomie, którym Krystyn odstępuje Krzyżakom darowizny Konrada i biskupa płockiego z r. 1222 u Dogiela IV p. 6, N. 8. Potém tamże p. 6 N, 9; oba dyplomy z r. 1230.

(2) Dog. IV N, 4.

(3) Voigt Gesch. v. Pr. I p. 457 i 8 twierdzi przeciwnie za Lucasem Davidem II p. 30—31, i opowiada z różnemi szczegółami świeży napad Prusaków. Lucas David nie oznacza roku temu napadowi, a Voigt się nie spostrzegł, że wszystkie prawie szczegóły, które w tym napadzie miejsce mieć miały, wydrukował na stronie 445 i 6 tego tomu przy napadzie Prusaków r. 1218.

(4) Jak się powie niżej, Konrad był obecnym przy zakładaniu zakonu.

(5) Patrz przypisek 7, na str. 10.

(6) W przypisach Grubera do Henryka Łotwaka str. 171, uwaga 6.

Konradowe od napadów pogan w owym czasie wolném było. W przeciwnym bowiem razie nie byłby mógł wywodzić wojsk z kraju swego Konrad, a kronikarz wspomniany nie byłby mógł pisać o Wilhelmie z Sabaudyi bisk. modeńskim: „in Prucia... missus a papa legatus, ingenio et sapientia sua, non fortitudine (non armis) (1) multos paganos ad fidem attraxit, et linguam eorum ex magna parte didicit. Insuper principium artis grammaticae, scilicet Donatum in illam barbaram linguam cum maximo labore transtulit.” Wśród swędu świeżych pogorzelsk, rumowisk miast, wsi i kościołów; na zroszonej co dopięro krwią chrześcian, ręką pogan przelaną, ziemi biskupa pruskiego, podczas gdy echo razów palek pruskich, i łoskotu trzaskanych niemi zbroi Mazowszan tu i owdzie jeszcze się odbijało: nie mógł Wilhelm, „ingenio et sapientia” pogan do wiary nawracać, grammatyki Donata na pogański ich język tłumaczyć; a gdyby był zakon rycerski w czasie odwiedzin nowego biskupstwa wspólnie z Krystynem założył: nie mógłby był kronikarz pisać o nim, że nie nawracał „fortitudine”. Mimo to jednak chce Voigt, żeby Prusacy przed przybyciem w te strony Wilhelma krwawy napad w granice Chełmińskiego i Mazowsza uczynili (2), i domniemywa się, że aby się zastrzedz od powtórnego takiego napadu, Krystyn w czasie bytności legata i za jego współdziałaniem, zakon założył. Przypuszczeniu temu Voigta, że dopięro 1225 r. za współdziałaniem Wilhelma zakon dobrzyński założono, zbywa na wszelkich, najslabszych nawet podstawach. Wilhelm wyprawił się z Lateranu na początku roku, o którym mowa, bo oprócz że list Honorego III zalecający go Infantczykom datowany II Kal. Jann. pontif. an. IX (3), mamy inny list tegoż papieża datowany V. Idus Jann. p. a. IX, dający temuż biskupowi pełnomocnictwo urządzania kościołów neofitów i ustanawiania lub potwierdzania biskupów (4), któreto listy podług wszelkiej rachuby wziął ze sobą legat. Niepotrzeba pewnie zwracać uwagi, że podróż z Lateranu do Prus dość długiego podówczas, zimową zwłaszcza porą, wymagała czasu. W Prusiech stanąwszy, nietylko

(1) Interpretacya Grubera.

(2) Patrz przypisek na str. 6.

(3) Gruber w wydaniu Henr: *L. silva documentorum* p. 265, N. XLIII.

(4) *Cod. dip. Voigta*, I, p. 17, N. 17.

nie mógł znaleźć legat 14 Niemców gotowych do wdziania płaszcza zakonnego, ale co gorsza, nie zastał Konrada w Mazowszu, bo właśnie wtenczas przypadają swary między Henrykiem i Leszkiem. Swary te kładzie Długosz, jak się powiedziało pod r. 1225, bez bliższego oznaczenia, w którym czasie tego roku miały miejsce. W źródłach z tamtych wieków przystępnych mi nie mię nie mogło na bliższe oznaczenie czasu tych kłótni naprowadzić. Następne kombinacye skłaniają mię do przyjęcia tego właśnie czasu na zajścia z Henrykiem, w którym legat do Prus zawitał. Bitwę pod Brodnicą stoczono latem 1225 r. (1). Przygotowania więc Prusaków do wojny zaczęły się przynajmniej wiosną. Lucas David zaś powiada, że przygotowaniem Prusaków zatrwożeni Dobrzyńcy, wysłali uwiadomić o nich Konrada, i prosić o pomoc. Gdyby Konrad był w Płocku lub gdziebądź w swém księstwie, zbytęczne byłoby z ich strony uwiadomienie księcia o grożącym niebezpieczeństwie, boby o niem równie szybko dowiedział się Konrad, jak i Dobrzyńcy; że zaś do niego posyłano z zawiadomieniem, przyjąć wypada, że go w domu nie było. Mógł być tylko w Małopolsce, bo z biegu całej niedoszłej wojny Henryka z Leszkiem, jak ją Długosz w wymienioném miejscu opowiada wypada dalej, że Konrad dłuższy czas bawił u Leszka z swemi posiłkami. Jeśli więc bitwę pod Brodnicą stoczono latem; Konrad dłuższy czas przed zawiadomieniem go o niebezpieczeństwie bawił w Małopolsce, a legat dopiero ku połowie stycznia Lateran opuścił, udając się do Infant: stanąć mógł w Prusiech wiosną, gdy Konrad z wojskiem mazowieckim już był w Małopolsce. Siedział tam Konrad tak długo, aż go poselstwo Dobrzyńców o grożącym niebezpieczeństwie nie uwiadomiło. Tym sposobem wyjaśnia się nam przyczyna, dla której Konrad nie przyjął zaprosin Leszka po zgodzie z Henrykiem, i nie był uczestnikiem fet, bankietów przez Leszka Henrykowi w ciągu ośmiu dni dawanych (2): biedz bowiem musiał na obronę swój schedy i był

(1) Podług Voigta Pr. Gesch. II, p. 162 naradza się Konrad z swemi panami „im Spaetsommer des Jahres 1225” czy się oddać w opiekę zakonowi niemieckiemu. A więc i podług Voigta jest „im Spaetsommer des Jahres 1225” po bitwie pod Brodnicą.

(2) Porów. Mathiae de Miehovia Chronica polon. cap XXXI lib. III u Pistoriusza II p. 82, Cromer de oryg. et reb. gest. Pol. lib. VII; u Pistor. II p. 528 i 29.

następnie współnikiem klęski pod Brodnicą. Zresztą przypuśćmy że był Konrad w Mazowszu, i że podczas bytności legata zakon założono, jak chce Voigt: czy wtedy podobna, żeby przez jedyne lato można było rycerzom Dobrzyń wybudować, i żeby ci następnie przez to samo lato mogli byli to zdziałać, co o nich Voigt pisze (1)? Dłuższego bez wątpienia na takie czyny czasu potrzeba.

Ani więc przed wyprawą 1219—1223 r. na Prusaków, ani po jój rozejściu się, lecz podczas jój działania w Prusiech, po udotowaniu biskupstwa pruskiego, zakon dobrzyński pojawił się w Mazowszu.

### III.

Autorowie, za których zdaniem poszliśmy co do oznaczenia czasu założenia zakonu i wielu innych, których spis zadługo byłoby tu umieszczać, myślą się twierdząc, że zakon dobrzyński z Inflant, od biskupa Alberta, sprowadzono. Henryk Łotwak współczesny Albertowi biskupowi inflanckiemu w kronice swój Inflant nic o tém nie powiada.

W roku 1217 ogólnie sprowadzenie mieczowników podają. Jest on jak najnieszczęśliwiej wybrany: w tym bowiem roku nie miał już Albert władzy rozkazywania braci, żył w ciągłych kłótniach z mistrzem Volquinem, a zajęty najusilniej zawojowaniem Estonii, nietylko nie miał kilkudziesięciu rycerzów z giermkami do lekkomyślnego z kraju wyprawiania; ale starał się przeciwnie wszystkiemi sposoby spowodować Waldemara II króla duńskiego do podjęcia na korzyść kościoła inflanckiego krzyżowej wyprawy. Aby się przeświadczyć, że urojeniem jest sprowadzanie z Inflant zakonu Dobrzyńców, przejrzyjmy pobieżnie historią zakonu inflanckiego do 1224 roku, podług króniki współczesnego Henryka Łotwaka.

Zakon inflancki założył w roku 1201 (2) Albert biskup tegoż kraju, a na utrzymanie przeznaczył mu  $\frac{1}{3}$  nawróconych

(1) Pr. Gesch. I str. 464.

(2) Henr. Łotw. wyd. Grubera, str. 22 Eodem tempore... Albertus.... ad multiplicandum numerum fidelium et ad conservandam in gentibus ecclesiam fratres quosdam militiae Christi instituit, quibus Dom. Papa Iunoc. III regulam Templariorum commisit, et signum in veste ferendum dedit scilicet gladium et crucem, et sub obedientia sui episcopi esse mandavit.

Inflant. Nieliczny w początkach swych powiększał się coraz przyjmując w szeregi swoje znacznych z rodu niemieckiego, którzy rok rocznie prawie krucyaty w kraje nieśli inflanckie. Nawracanie szło bardzo opornie. Prace i wojny biskupów Meinharda i Bertolda, zapal, z jakim następca ich Albert (1) dzieło ich wykształcał: rozbijały się o stałość w stariej wierze tamtejszych mieszkańców. Ustanowienie stałej milicyi rozjątrzyło bardziej jeszcze okolicznych pogan, Kurlandczyków, Estów, Lettonów, Litwinów, a nabawiło niepokoju księcia pskowskiego Włodzimierza, który zaraz w 1202 r. (2) w chrześcian granicę wtargnął. Nawracanie dlatego było tak trudnem, że nowi apostołowie razem ze starą religią niszczyć usiłowali i rzeczywiście niszczyli i starą narodowość, a pod sztandarami prawdziwej wiary zaszczeplali pierwiastki niemczyzny w ochrzczonych krajach (3). Dlatego téż przenosili poganie sąsiedztwo i zwierzchnictwo książąt pskowskich, płacić im woleli daniny roczne, i starali się nawet wciągnąć ich do wspólnej sprawy, gdy r. 1205 zamysłali wyprzec z Inflant Niemców (4).

Podczas, gdy tak licznych i zaciętych mieli nieprzyjaciół, swarzyli się między sobą chrześcianie, a mianowicie biskup i nowy zakon o posiadłość nawróconych krajów. Niesnaski (5) te skończyły się tymczasowo 1210 r., w którym biskup i mistrz zakonu, zostawiwszy i nowonawróconych i pogan na wolą Bożą do Rzymu pojechali, aby Innocenty III papież zadecydował w ich sporze. Wyrok papieża wypadł na korzyść zakonu. Do  $\frac{1}{3}$  Inflant dostali jeszcze  $\frac{1}{3}$  Łotwy; zostali wyjęci z pod zwierzchności biskupa; z dóbr swych dziesięcin płacić nie mieli, a co najważniejsza, wolno zakonowi podbijać pogańskie ziemie i z tych nikomu nie ma być zobowiązany. Co do osadzania

(1) Albert został biskupem 1198. H. Ł. p. 15.

(2) H. Ł. p. 26

(3) Voigt Pr. Gesch: I p. 413 powiada, że umierającego Inflantczyka ziomkowie temi pocieszali słowy: *gehe Ungluecklicher in die bessere Welt, wo die Deutschen nich mehr deine Gebieter, sonder deine Knechte seyn werden.* Z tego sądzić można o nawracaniu niemieckim tamtejszych pogan.

(4) H. Ł. p. 35 wysłali Inflantczyczy do Włodzimierza potajemnie kilku, powiada tu kronikarz: *qui, ut animum regis inclinarent ad expellendos Teutonicos de Livonia, quaecunque... poterant... proponebant.*

(5) Porówn. Voigt, Gesch. v. P. I, 417.

miejsce swych duchownemi: ma zakon zdatnych biskupowi przedstawić, a ten potwierdzić ich winien. W razie sprzeczki co do tego punktu, mają strony czekać wyroku Rzymu (1).

Wyjęcie to zakonu z pod władzy biskupa dobre chwilkowo skutki wywarło w nawracaniu i podbijaniu pogan, bo gdy pierwszy na swą rękę wojował z pogany, nie ustawał i biskup; owszem podwajał usiłowania, aby poruszać nowych krzyżowców, którzyby i dla niego co z ziem pogan zdobyć mogli. Już w powrocie z Rzymu zebrał wielu ochoczych krzyżowników w Niemczech, w których liczbie znajdowali się biskupi, jakoto: Filip Raceburgski, Yso z Werden i Padebornski (2), i wielu panów niemieckich. Za pomocą tych krzyżowców usiłował Estonów podbić; o urządzeniu w ich kraju biskupstwa zamyślał i wyznaczył już nawet na ich biskupa Teodoryka opata z Duena-muende (3). Za pośrednictwem tychże krzyżowców ugodził się Albert z nowonawróconemi Inflantczykami o dziesięciny i ułatwił im ich płacenie (4). Oprócz tego starali się z pskowskim księciem pogodzić chrześcian (5), niemniej i wypośrodkować granice między posiadłościami biskupa i zakonu, a Otto IV cesarz wziął zaraz r. 1211 zakon w swą opiekę i protekcją (6).

Po odejściu krzyżowców przekonali się Niemcy, na jak kruchych podstawach ich panowanie, bo już w tymże roku wszyscy prawie nowonawróceni w Inflanciech powstają, podsycani przez drażnionych Estończyków, (7) a podczas krwawych i zaciętych z nimi wojen wykazywali się Litwini z lesistych swych moczar po kilka razy (8). Gdyby nie usilne starania

(1) Gruber, *Origines Liv. sacræ et civilis*, w kronice Henr. Ł. p. 228, X (*Silva documentorum*) *Confirmatio compositionis inter Albertum Rigensem ep. et Volquinum Mag. et ffr. militiae Christi initae*. Uwagi jest godne, co za stosunek papież między osobą mistrza a biskupem postanawia: *verum mag. eorum: qui pro tempore fuerit obedientiam semper Rigensi ep. repromittet*. Dat. Laterani XIII Kalendas Novemb. p. n. a. XIII.

(2) Gruber H. Ł. pod r. 1210, p. 75 § 2.

(3) Tamże p. 78 § 4. Tu także powiada H. Ł. że Albert miał władzę: *vice archiepiscopi episcopos creandi et consecrandi*.

(4) Tamże, p. 79 § 5.

(5) Tamże, p. 85 i 6 § 2 r. 1211.

(6) Dokument ten wydrukowany u Voigta *Pr. Gesch.* I, p. 675.

(7) Gruber H. Ł. pod r. 1211, p. 86 et sqq.

(8) Tamże, p. 92 § 2 r. 1212.

papieża, zachęcającego Niemców do wypraw krzyżowych, nie pomoc hrabi Albrechta z Orlamuende (1) i za jego pomocą i współdziałaniem z zakonem nie klęska Estończyków pod Felinem (2), trudnoby się było Niemcom ostać w Inflanciech, tém mniej opanować Estonią. Powodzenie swe wyłącznie krzyżowcom zawdzięczając, mieli słuszną obawę się po ich odejściu, że Estonia znowu odpadnie, zwłaszcza, że Mściśław Nowogrodzki bardzo niechętnie na rozpościeranie się władzy niemieckiej spoglądał. Dlatego Albert najusilniej starał się teraz nakłonić Waldemara II króla duńskiego do wyprawy krzyżowej (3). W czasie wybierania się jego na krucyatę, którą na cześć Najświętszej Panny i odpuszczenie swych grzechów przedsięwziąć postanowił, miewał mistrz Volquin krwawe rozprawy z Estończykami, połączonemi z Mściśławem nowogrodzkim i Włodzimierzem pskowskim (4). Rok 1218 zapelniają krwawe wojny Waldemara II (5), które zapewniły chrześcianom Estonią, lecz stały się zarazem przyczyną długoletnich niezgód między chrześcianami, bo Waldemar, o intencji swój t. j. czci Najświętszej Panny i odpuszczeniu swych grzechów zapomniawszy, zwyczajem tamtych czasów, nawrócone przez swych wojowników kraje, za swą uważał własność (6). Nie uśmierzone jeszcze tych niezgód, a nowy zjawił się apostoł. Jan król szwedzki z wielkiem w Estonii zjawił się wojskiem (7), chcąc resztę kraju zagrabieć i nawrócić. Jego zachętkom i chwilowemu powodzeniu położył koniec napad wyspiarzów Oeselskich (8), skutkiem którego załogi szwedzkie, wódz ich ks. ostrogocki i biskup wyginęli. Z zamieszek tych korzystając Rusini pskowscy wpadli z licznym wojskiem 1221 r. do Inflant, znacząc ślady pochodu swego mordami, pożogami i łupieztwem. Po ich ustąpieniu wzmogło

(1) De Lovenborch. Tamże p. 113, § 1 r. 1216.

(2) Veliende. Tamże p. 118, § 2 r. 1216

(3) Tamże p. 122—3, § 1, r. 1217.

(4) Tamże p. 123 et sqqu § 2 et sqqu r. 1217.

(5) Tamże p. 128 et sqqu. § 2 et sqqu

(6) Tamże p. 139, § 10, r. 1218.

(7) Wylądował w Rotalii, o której pisze Gruber w H. Ł. p. 96 uwaga b. est enim Rotalia regiuncula in ora Estoniae maritima, Osiliae insulae objecta, quae ora maritima teutonice „die Strandwyck”, estonice „Löne-ma” vocatur: in qua parochia Rotaliensis, estonice Riddali Kirrik, pristinum nomen retinet.

(8) Tamże, p. 146 § 3, r. 1219.



się znowu znaczenie Duńczyków, ale uciski ich, duma a następnie szczególnie uwięzienie Waldemara II (1223) przez Henryka hrabiego na Skwierzynie, spowodowały i na północy ich upadek. Po ich nastąpieniu znowu wznicły się wojny z poganami i Rusinami, które wyłącznie prawie na zakonie ciążyły. Zdobyć Dorpatu (1) w r. 1223 przypadające, kres tymczasowy położyło wojnom i uspokoiło na czas niejaki Inflanty (2).

Bardzo naturalnym, że ci, którzy sobie w Inflanciech rady dać nie umieli, tém mniej wysłać mogli kilkunastu z swego grona na awantury do Mazowsza. Jedyną też przyczyną sprowadzania braci dobrzyńskich z Inflant było nieważne Duesburga czytanie (3). Razem z Długoszem nadzwyczaj mętne mającym wyobrażenie o zakonie dobrzyńskim, rozpowszechnił u nas Kromer sprowadzenie ich z Inflant, a za nimi wszyscy ich wypisywacze. Niemcy z dwóch tych pisarzy i z swego Lucasa Davida wiadomości co do tego względu czerpali. Pierwszy Hartknoch w przypisach swych do Duesburga (4), a potem w dziele *Alt und Neu Preussen* (5) wystąpić odważył się przeciw temu zastarzałemu, a od wszystkich powtarzanemu uprzedzeniu. Zdanie jego poparł zasłużony nader w historii naszej Lengnich (6). Poszedł za nimi uczony Naruszewicz i Ostrowski (7). Voigt w końcu i w historii Prus, i w rozprawie o bractwie (8) jaszczurek usunął wszelkie w kwestyi tej wątpliwości, wykazał dostatecznie, że go z Inflant nie sprowadzono; a mimo to odzywają się jeszcze tu i owdzie o jakimś z Inflant rycerzów zwolywaniu (9).

(1) Tamże, p. 168, § 6, r. 1223.

(2) Tamże, p. 170, § 1, r. 1224: *Annus bisdecimus septimus autistitis extitit, et jam Livonum terra tranquilla pace silebat.*

(3) II, 4

(4) P. 33 przypisek do cap. 4 części II.

(5) P. 270.

(6) *Polnische Bibliothek*. 4 Stueck, p. 307—8.

(7) Pierwszy w historii narodu Polskiego tom VI str. 214 i następne; drugi w „*Dzieje i prawa kościoła polskiego*” T. II, str. 18 i następne, wydanie poznańskie 1846; pomylili się tylko w oznaczeniu czasu

(8) *Gesch. v. Pr.* I p. 460 et sqq.: w rozprawie o bractwie jaszczurek jest zakonowi poświęcony XII przypisek, str. 250 et sqq.

(9) *Starożytności polskie* T. I, Poznań 1842 w artykule „*Dobrzyń*”.

Roku więc 1222, co wypływa z wyżej podanych okoliczności, Konrad: de consilio fratris Christiani Episcopi Pruschiae et quorundam Nobilium pro tuitione terrae suae *instituit* fratres milites Christi appellatos cum albo palio, rubro gladio, et stella, qui tunc in partibus Livoniae fuerant et multas terras infidelium subjugaverant potenter fidei Christianae, et episcopus praedictus quendam virum discretum, Brunnonem dictum, et cum eo XIII alios ad dictum ordinem investivit (1). W rozdziale następnym powiada tenże sam kronikarz, że tenże książę sprowadzić postanowił Krzyżaków po przekonaniu się „quod fratres milites Christi per eum ad hoc *instituti* non proficerent in hac causa.“ Zepsute jest miejsce wyżej cytowane Duesburga, mimo to dosyć wyraźne, żeby przekonać, że Duesburg nie myślał przy tém o sprowadzaniu Inflantczyków. Wyraźniej wysłowił się tłumacz kroniki Jeroszyna, (który Duesburga w rymy niemieckie przełożył), powiadając w swój za karę zapewne pisanój „cronica vetus“ etc. „dictus dux cum Cristino episcopo in protectionem terrae instituit milites in albis cum rubeo ense et stella signatis, quia hujusmodi milites in Livonia multa fecerunt“ i t. d. (2). Jeroszyn wspominając o zakonie dobrzyńskim żadnego z Inflantczykami nie robi porównania (3). Między innemi aktami urzędowemi z owych czasów, instrument (4) wyznaczający posiadłości przez Konrada Dobrzyńcom dane, najwyraźniej poświadcza, że ich zakon nowo założono; powiada tu Konrad: „ego Conradus—contuli Magistro militum Prussiae et fratribus ejus militaturis contra Prutenos more Livoniensi Castrum Dobrin, etc. Wzmianka o mieczowych, która w Duesburgu jak go dzisiaj mamy, jak Piłat w Credo zamieszana, bałamuci zrozumienie, nie może tu nikogo oszukać. Dobrzyńcom jest tu tylko to samo co i Inflantczykom przeznaczone zadanie. Wszelką zaś wątpliwość, jeśli jeszcze jaka pozostaje, usuwa confirmacya zakonu przez Grzegorza IX, w której wyraźnie powiada papież, że zakon Krystyn założył (5). W wyżej cytowaném miejscu Duesburga, nietylko słowo *instituit* dowodzi

(1) Duesburg II, 4.

(2) Voigt, Eidechsen Gesellschaft p. 257—8.

(3) Tamże.

(4) Dogiel, IV p. 5 N. 7.

(5) Voigt Cod. dipl. I p. 19, N. 20; p. 20 N. 21. Dat. Perussii V Kal. Novembris p n a II (1228).

założenia nowego zakonu, ale i ta okoliczność, że biskup Kry-  
styn inwestuje wstępujących do zakonu braci (1). Przyjmo-  
wanie bowiem nowych członków należało jedynie, po ukon-  
stytuowaniu zakonu, do mistrza i głównej kapituły; a tylko  
przy zakładaniu nowych zakonów przyjmowali do niego człon-  
ków dostojnicy duchowni, jak np. pod Akkonem patriarchy je-  
rozolimski, w Rydze biskup Albert.

Założywszy zakon wybudował Konrad braciom zamek  
Dobrzyń na pograniczu ziemi dobrzyńskiej i chełmińskiej przy  
rzece Drwęcy, a na utrzymanie dał im wieś Cedelice (Szadło-  
wice) z przyległościami. Bracia nawzajem zobowiązali się  
ziemią pogan, którą za pomocą boską zdobędą z księciem po-  
dzielić (2). Zobowiązania te prawdopodobnie przy założeniu  
zakonu spisane, później zaginęły (3). Błędem uważać trze-  
ba osadzanie Dobrzyńców w Dobrzyniu nad Wisłą. Nasi  
zwłaszcza historycy wszyscy prawie ich tu osadzają. Dobrzyń  
tymczasem nad Wisłą stare jest miasto. Wzmiankuje o niem  
i o zamku dobrzyńskim Długosz już pod r. 1065 (4). Gdyby  
więc Konrad tu był braci osadził, nie potrzebowałby był im  
zamku budować, ale dawno wybudowany byłiby tylko bracia  
zajęli. Tymczasem Duesburg wyraźnie o nowo budowanej  
wspomina twierdzy (5). Nie zgadza się nareszcie z prawdo-  
podobieństwem, aby Konrad w Dobrzyniu nad Wisłą, daleko  
od granic Chełmińskiego, dalej jeszcze od siedlisk Prusaków  
milicyą jak najbliżej Prusaków być mającą, w głębi urodzaj-  
nego swego, wsiami i kościołami zasianego kraju miał osadzać.  
Byłoby to z jego strony jak najlekko-myślniejszém utrudnianiem

(1) Mała liczba członków nowego zakonu zadziwiać nie po-  
winna. Czternastu dobrze uzbrojonych rycerzów mogło wiele  
zrobić w owych czasach, zwłaszcza przeciw źle uzbrojonym  
Prusakom. Nareszcie każdy z tych 14 rycerzów miał swoich lu-  
dzi, giermków i t. d., których liczba liczną być musiała. Zgadza-  
ją się bowiem wszyscy na to, że po bitwie pod Brodnicą 4 lub 5  
tylko zostało rycerzów, a jednak nie wzięli Prusacy zamku do-  
brzyńskiego, w którym się ci czterej lub pięciu zamknęli. Tém  
się to tylko da wytłumaczyć, że każdy z pozostałych rycerzów po-  
prowadził z sobą do zamku niemałą liczbę swych ludzi.

(2) Duesb. II, 4.

(3) Lucas Dawid II, 7 powiada, że je zniszczono.

(4) Wyd Dobrom. str. 237.

(5) Duesb. II, 4.

zakonowi jego zadania, a ułatwianiem łotrostw łupów chciwym Prusakom, które powściągnąć założeniem zakonu zamierzano.

Bracia, po wybudowaniu i wzmocnieniu zamku wzięli się do dzieła. Najeżdżali północne Chełmińskiego, pogranicze niezupełnie czyste, i zapuszczali się nawet w odleglejsze Pommeranii okolice (1). Często ich napady, niespodzianie wykonywanemi drażnieni Prusacy, korzystając z nieobecności Konrada, zebrali się w ogromnej sile, przeprawili się przez Drwęcę, zamierzając wypłoszyć niebezpiecznych sąsiadów z mocnego gniazda. Przewagą nieprzyjaciół zatrwożeni bracia, spiesząc o grożącym im niebezpieczeństwie uwiadomili Konrada, prosząc o wczesną pomoc. Wyruszył Konrad z swym wojskiem, złączył je z zastępami zakonu i stoczył fatalną pod Brodnicą bitwę. Dwa dni trwać miała. Jej wypadek zupełna Mazowszan i zakonu klęska. Wojsko Mazowszan poszło w rozsypkę, niedobitki zakonu, 4 czy 5 tylko rycerzów zostało, zatarasowawszy się w zamku: gdzie trwożni dopóty siedzieli bracia spokojnie, pozwalając pod murami twierdzy łotrować Prusakom, aż nawałnica pogan do swych siedzib się nie usunęła. W czasie tej katastrofy wrzały w Wielkopolsce burze między Władysławami stryjem i synowcem, broczyły się miecze w krwi bratniej, a Leszek Biały spoczywał w Krakowie po fetach danych Henrykowi, który jego księstwa pożądał.

Po okropnej tej klęsce Konrad, dawno zwątpiwszy w swe siły, odwagę i zdatność, powierzywszy swą własną i krajów swych obronę, a nawrócenie i podbicie pobratymczego swego, pogańskiego szczepu obcym ludziom: przekonał się, że i zakon dobrzyński obronić go nie potrafi. Nie miał nikogo, coby stanął w drodze scenom z r. 1218. Sam nadstawiać pierśi w obronie swego kraju nie myślał. Odrodny potomek Chrobrych, Śmiałych, Krzywoustych nie marzył o wstąpieniu w ich tropy. Jedyłą nadzieję swą złożył w ręce rozgłośnego bohaterskiemi czyni zakonu niemieckiego; ich na swą obronę a na ugięcie karków pogaństwa pod prawo Chrystusa, za radą Krystyna biskupa i krajowych swych dostojników zwołać postanowił; w ich ręce drapieżne, jak historia okazała, oddał losy licznego ludu, i rozumiał może, że oddalił nazawsze łuny pożog od swego Płocka, że oczu jego dzikie pogan oblicza, uszu świst

(1) Luc. Dav. II, 7, 8, 9. Porówn. Voigt Pr. Gesch. I p. 464.

strzał ich i zgrzyt pałek nie nastraszy. Rozczarował się w lat kilka, lecz było już niewczesnie.

Ale wracając do naszego zadania, czas tutaj, wspomniawszy o wdaniu się w układy z Krzyżakami, zatrzymać się nad twierdzeniem pana Dominika Szulca, który zakon dobrzyński i niemiecki jednym być mieni. Dowodząc swego twierdzenia nie miał pan Szulc najmniejszego względu na przywiedzione od nas miejsce Duesburga, nauczające, że nowy założono zakon; nie rozwiązał kwestyi, jakim prawem Krystyn mógł inwestować w Mazowszu 14 braci, i wyznaczyć im przełożonego, gdy przyjmowanie nowych członków mistrzowi i wielkiej kapituły jedynie statuty zakonu zastrzegły (1). Nie usunąwszy dwóch tych trudności, żadną miarą do dalszego dowodzenia przystępować nie można. Pan Szulc przystąpił jednak, a w dalszém dowodzeniu tego, znacznego dopuścił się błędu, że postawiwszy twierdzenie, „zakon dobrzyński i niemiecki jedném były ciałem”: przyjął premisę, że były jedném i wszelkie wzmianki o zakonie dobrzyńskim a priori do zakonu niemieckiego stosuje.

Zaczyna się to poczęści już od strony 65, na której przy wyrazach „stolica rzymska pisząc do Krzyżaków i t. d.“ do Voigta się odwołuje. Voigt w cytowanym przy tych wyrazach miejscu dalekim jest od twierdzenia, jakoby stolica rzymska Krzyżaków zakonem mazowieckim nazywała; przeciwnie, powiada on tam, że poszukiwania jego około zakonu dobrzyńskiego, i twierdzenie, że sam w sobie i dla siebie całość składał, stwierdzają dwie nowe bulle papieżkie. Na mocy téjże saméj premisy cytuje pan Szulc na stronie 70 w Dogielu przywilój, który, jak to Voigt już dostatecznie wyjaśnił, nie Krzyżakom, lecz Dobrzyńcom dał Konrad (2). Zdanie to zresztą trudno pogodzić z słowami p. Szulca na str. 75 „Voigt słusznie mniema, że ten ostatni zakon (Dobrzyński) nic nie miał wspólnego z In-

(1) De Wal. Recherches etc. T. I, Chap. II, p. 40, § 29. Lorsqu'il s'agissoit de quelque aliénation, de la réception d'un frère, ou de quelque autre affaire importante, le Maître ou le supérieur devoit convoquer tous les frères et suivre l'avis de la plus saine... partie etc. T. I, Chap. III, p. 61, p. 30. Lorsque le Maître et le chapitre avoit résolu de recevoir un sujet qui se présentoit, on lui envoyoit un .. etc. Le postulant étant entré, ce mettoit à genoux devant le Maître ou le président du chapitre etc.

(2) Eidechs. Gesell. p. 265.

flantczykami prócz sposobu wojowania, i to zdanie potwierdzają wyrazy dyplomatu z r. 1228 „militaturis more Livoniensi.“ Na stronie 70 bowiem dyplom ten podług p. Szulca Krzyżakom, na str. zaś 75 Dobrzyńcom dany. Na str. 71 i 72 wyrazy: „gdy zaś kronikarz zakonny na jedném miejscu mówi, że (scil. Krzyżacy) z bojaźni za zamek Dobrzyń wychylić się nie mogli, tak że w końcu czterech lub pięciu Prusaków bezkarnie około nich chodziło, a na inném twierdzi, że nie mieli (scil. znowu Krzyżacy) gdzie głowy położyć“, są lekceważeniem wiadomości czytelników: bo w pierwszej połowie zdania tego Duesburg o braci Dobrzyńskiej, w drugiej o Krzyżakach mówi. Na str. 72 powiada p. Szulc, wspomniawszy o bitwie, w której Konrada Landsberg'a i jego towarzysza Prusacy ciężko poranili: „godziło się Voigtowi na cudzą wiarę powtarzać, że jednemu w owej porażce zabrakło odwagi w piersiach, ufności w sobie, mężkiego uczucia cnoty, księżęciu mazowieckiemu? Przecież sam Duesburg świadczy, że ta wyprawa miała miejsce pod nieobecność Konrada.“ Duesburg i Voigt w miejscu przy tych słowach cytowanym nie mówią o potyczce, w której Konrada Landsberga poraniono, ale o bitwie pod Brodnicą, w której Dobrzyńcy klęskę ponieśli. O potyczce, w której Krzyżaków raniono, pisze Voigt dopiero w tomie II, str. 169 i nie miesza w nią Konrada księcia; na miejscu przez autora cytowanym nie znalazłem wzmianki o Konradzie krzyżaku: że zaś Voigt księciu męstwa odmawia, nie wyrządził mu krzywdy ani niesprawiedliwości; nigdzie nie można się doczytać o jego bohaterskich czynach. Na str. 74 przyjmuje znowu autor tożsamość dwóch tych osobnych zakonów, i powiada, że Krzyżacy ugodzili się z księciem pod tym warunkiem, iż się równo podzielą krajem zdobytym. Cytowany jest błędnie w tém miejscu Duesburg II, 7. W całym niezmiernie długim rozdziale 7 części II Duesburga najmniejszej o ugodach Krzyżaków z Konradem wzmianki nie ma. Domyślałem się, bo błędny cytat w spisie omyłek nie poprawiony, że autor chciał się na Duesburga II, 4 odwołać, ale tam nie o ugodach z Krzyżakami, ale najwyraźniej o ugodach z Dobrzyńcami Duesburg mówi. Popelniwszy tyle znacznych usterek, przystępuje autor str. 75 do dowodu, że wzmiankowane zakony jedno tworzyły ciało. We wstępie do dowodu zaraz gruba jest pomyłka. „Voigt słusznie mniema,“ są słowa autora, „że ten zakon nic nie miał wspólnego z Inflantczykami i t. d. ale przydaje, że

pod inném żył prawem“ i t. d. stwierdzone cytatem rozprawy Voigta o jaszczurkach, dodatek XII p. 250. Pierwsza połowa zdania tego prawdziwa, co do drugiej napróżno przerzucałem karty rozprawy o jaszczurkach: dodatku tego nie masz tam. W historyi Prus zaś I p. 461 mówiąc o zakładaniu zakonu dobrzyńskiego powiada przeciwnie Voigt: „Offenbar aber sah Bischof Chrystian bei dem Entwurfe zur Verfassung und Lebensweise dieses Ordens auf die Brüeder des Ritter-Dienster Christie in Livland hin... Demnach war die Verfassung und Regel des Tempelordens *auch* bei diesem neuem Orden die eigentliche Grundlage des ritterlichen Lebens.“ Tem „*auch*“ chce powiedzieć Voigt, że prawo mieli jedno i to samo mieczowi i dobrzyńcy, bo I p. 408, że za radą Innocentego III wzięli mieczowi regułę i prawa Templaryuszów za swoje. Godłami tylko trzy te zakony różniły się i różném powodzeniem.

Z czterech potem cały dowód składa się punktów. Dwa pierwsze brzmią jak następuję: „A najprzód tenże Duesburg utrzymuje, że Dobrzyńcom oddał ks. mazowiecki wieś Siedlec, przywilej zaś Fryderyka z roku 1226...wyraźnie ich (?) nazywa braćmi szpitalnemi Panny Maryi domu niemieckiego: Frater Hermanus sacrae domus hospitalis sanctae Mariae Theutonicorum.“ Z tego wypływa niepojęty wniosek: „więc Dobrzyńcy i Krzyżacy szpitalni są jednym zakonem.“ Duesburg mówi istotnie w cytowanym miejscu o Dobrzyńcach; dyplom Fryderyka z r. 1226 wystawiony wyraźnie Hermanowi Salca i jego zakonowi; ale czytając w Duesburgu o Dobrzyńcach, a w przywileju Fryderyka o Krzyżakach, wywnioskować niepodobna, że przywilej Fryderyka do tych samych adresowany, którym Konrad podług Duesburga wieś Siedlec darował. W przywileju Fryderyka przynajmniej najmniejszej wzmianki o Siedl-  
cach nie znalazłem.

„Powtóre biskup płocki w przywileju, okazuje toż samość rycerzy Chrystusa, milites Christi, których Duesburg uważa za Dobrzyńców z braćmi szpitalnemi domu niemieckiego, tak się albowiem wyraża: Milites Christi, scilicet fratres de domo Theutonicorum Jerosolimitanorum.“ (Stronczyński p. 5). Nie mam Stronczyńskiego pod ręką, ale pewnie to o tym dyplomie mowa, który i u Dogiela IV p. 9, nr. 11 wydrukowany; to też zresztą wcale niepotrzebne: najważniejszą rolę gra tu „scilicet“. Scilicet tymczasem nie znaczy w ówczesnych dyplo-

matach i w takim związku „to jest“, tylko „aby się jaśniej wyrazić.“ Na dowód niech służy każdy przywilej z owych czasów, w którym się „scilicet znajduje: np. w Kodeksie Raczynskiego p. 21, nr. 18. Niemniej scilicet w słowach Alberyka wyżej od nas przytoczonych. Wszystkich Krzyżowców nazywano podówczas milites Christi, bo się wszyscy za wiarę bili, przynajmniej podług mniemania współczesnych. Biskup więc płocki, pisząc „milites Christi scilicet fr. de domo Theutonicorum“, zrobił ten dodatek, żeby się jaśniej wyrazić, żeby kto przywileju tego Dobrzyńcom nie przyswoił. W tym razie miałby tylko autor słuszność, gdyby Duesburg „milites Christi scilicet de domo Theutonicorum“ za Dobrzyńców uważał. Lecz tak nie jest.

Trzeci i czwarty punkt spokojnie pomijam, bo są z lat 1236 i 37, a zakon Dobrzyńców, podług bulli Grzegorza IX z 19 kwietnia 1235 połączył się z Krzyżakami. Bullę tę opisaną przez Dr. Lindego z archiwum narodowego w Warszawie, wydrukował Voigt w rozprawie swój o jaszczurkach p. 272; nie wątpię więc, że ją autor zna, odwołując się często na tę rozprawę. To tylko jeszcze wspomnę, że autor w punkcie czwartym str. 76 powiada, jakoby Voigt późniejsze, niż 1237 roku przyjął połączenie się dwóch tych zakonów. Eidechsen-Gesellschaft p. 269 et sq., Gesch. v. Pr. II p. 260 et sq. powiada Voigt wyraźnie, że się połączyły przed r. 1235.

Ustęp ten napisałem badając prawdy i chcąc wyrećzyć jakiego Niemca, któryby z przechwałkami rozfrębywał, że w naszej historii błędy historyków naszych poprawiać musi.

Powszechném było zdaniem do Voigta, że za nadejściem Krzyżaków do ziemi obiecanej (1), którego to porównania pierwszy chwalca zakonu użył, nie było już i śladu zakonu Dobrzyńców w Mazowszu. Pochodziło to ztąd jedynie, że nie rozróżniano nazwiska zakonu tego, od nazwiska zakonu dobrzyń-

(1) Duesb. pars II, cap. IX. Herman Salca wyprawiając Hermana Balk'a do Prus, rzekł mu: „Zbierz siły swoje i bądź mężny, ty bowiem wprowadzisz Izraela to jest braci swych do ziemi, którą przyrzekł im Pan, a Bóg będzie z tobą.“ Szczególnie odbija to od poprzedniego rozdziału, w którym Duesb. sili się ziemię pruską jako *horraris, vastae solitudinis, et bello durissimo plenam*, odmalować i ubolewa nad braćmi niemieckimi, że *dolce solum natalis patriae suae opuścić musieli*.



skiego. Mieli i nasi i obcy w ręku przywileje dawane Dobrzyńcom; ale przekonani, że rycerze ci albo (po klęsce pod Brodnicą) korporacją swą rozwiązali, albo do Inflant się usunęli: przywileje te Krzyżakom przypisywali. Aby w błąd ten nie popaść, uważać trzeba, że Krzyżacy pilnie przestrzegali, aby nazwę i tytuł ich zakonu dokładnie w przywilejach i pismach urzędowych wypisywano. Bez wahania można więc téż poznać każdy im dany przywilej, bo w każdym z nich są nazwani albo: milites de domo *Teutonica*; albo hospitale S. M. domus *Teutonicorum*; albo milites Christi scilicet de domo *Teut. Jerosolimitana*; albo mil. Christi Hospitali S. D. *Teutonicorum* i t. d. Dokumenta z owych czasów, w których bliższego tego oznaczenia nie ma, a są dane zakonowi w Mazowszu, do Dobrzyńców należą, i z nich téż jedynie historią zakonu dalszą zebrać można.

Berlin, dnia 3 sierpnia 1855 r.

---

# PAPROĆ.

---

## I.

Zaszło nad lasem słońce czerwcowe,  
Do snu w królewskiej zaszło purpurze  
Na pogodnego nieba lazurze  
Świecą z północy zorze różowe,  
Migocą gwiazdki; a ponad siołem  
Księżyc srebrzystém wzbija się kołem.

I tajemnicze nocy milczenie  
Zaległo pola, łąki i gaje;  
Ziemia się niby zasypiać zdaje,  
Niby w rozkoszne tonie marzenie:  
Tylko jój do snu brzęczą komary  
I z ciepłym wiatrem dąb szumi stary.

Nagle w milczącej ciszy wieczoru  
Rozległ się brzącający okrzyk wesela.  
Uśpione echa budzą się w boru,  
Ognista luna ku niebu strzela;  
I w cieniach nocy czerwono błyska  
Jasny choć drzący płomień ogniska.

Noc świętojańska! sobótkę pałą!  
Ogień ze wzgórza wysoko bucha,  
Wietrzyk zachodni z lasu nań dmucha;  
Dym się białawą rozplywa falą,  
A młódź ochocza tańczy wokoło  
Jak nocnych duchów zakłęte koło.

Tańczą—ognisko w łańcuch zamknęli,  
Silnym uściskiem związali ręce.  
Dziewki w świątecznych szat swoich bieli,  
Na złotych kosach zielone wieńce.  
I woń się jakaś rozchodzi dzika,  
Wonieje ruta i betonika.

Tańczą, lecz płomień blednie pomалу:  
Trzeba nań smołne rzucić łuczywo.  
Tańczą—lecz koło krąży leniwo,  
Gaśnie gorąca iskra zapалу;

Czas ją podsycić dopóki gore,  
Chodź tu lirniku! zjawiasz się w porę!....

Chodź tu lirniku, zanuć piosenkę:  
Czego tam stoisz gdzieś na uboczy?  
Czego ci łzami zachodzą oczy,  
Gdy do strun drżącą przyłożysz rękę?

Śpiewaj lirniku! my cię uraczym  
Złocistym miodem, białym kołaczem.  
Śpiewaj lirniku!—Pod dębem cieniem  
Stał wieszcz wędrowny smutny i blady:  
Włos mu złocistym wił się pierścieniem,  
Na czole dumań głębokie ślady;  
Lecz blask, co w jasnym oku się żarzy,  
Ogniem natchnienia błyskał mu z twarzy.

—„Chodź tu lirniku! — zgraja nań woła,  
Dziewki płasając ktaskają w ręce—  
Chodź tu lirniku, prosim do koła.  
Raźniej nam będzie przy twój piosence.  
Wreszcie tak każe obyczaj stary,  
Pieśnią się nocne odpędza mary.”

Lirnik po tłumie powiódł oczyma,  
Włos swój złocisty odgarnął z czoła;  
Na drżących strunach palce już trzyma,  
Lecz struny milczą choć rzesza woła:  
—Spiesz się! zaczynaj, teraz noc krótka,  
A o świtanu gaśnie sobótka!

Lecz lirnik stoi, nie odpowiada:  
Co mu się stało? czego on zwleka?  
Czy treść piosenki w myślach układa,  
Czy może z niebios natchnienia czeka?  
Wtém jak za wyższym jakim rozkazem  
We wszystkie struny uderzył razem;  
A strun tych dźwięki czarowną zgodą  
W cudną się jakąś melodyą zlały:  
Rzekłbyś, gdzieś w gaju nad cichą wodą  
Boginki chórem pieśń zaśpiewały.

—„Przegrywka—szepcze tłum u ogniska—  
Czekajmy chwilę, bo pieśń już bliska”!  
Czekają—dźwięki płyną z wiatrami,  
I gdzieś się gubią w głuszech dąbrowy.  
Dziewczętom oczy zachodzą łzami,  
A starcy siwe schylają głowy.

Nuta tych dźwięków dobrze im znana,  
W pięknych młodości dniach zasłyszana!....  
Ale po chwili szept krąży w tłumie:

—Jakie to dziwne i nudne dźwięki?  
 Co mi za lirnik? on grać nie umie!  
 Lirniku! innéj chcemy piosenki!  
 Ta nam na sercu ciąży niemiło:  
 Przy niéjby tańczyć nie można było!...  
 Innéj piosenki!...—Lice lirnika  
 Mieni się nagle, pobladł jak chusta;  
 Bolesną skargą drgnęły mu usta,  
 Aż w oczach iskra mignęła dzika.

Wystąpił naprzód dumny i hardy,  
 Objął tłum zimném okiem pogardy,  
 I z gorączkową jakąś rozpaczą  
 Drgające palce spuścił na struny.

Struny syknęły—zgrzytają, płaczą,  
 Zdaje się z niebios ściągną pioruny.  
 Bledną od trwogi dziewczki lękliwie;  
 Wtém struny pękły, jęcząc jak żywe!..

Wieszcz niemą lirę na ogień rzucił,  
 Poszedł. Dreszcz grozy wstrząsł całą zgrają;  
 — Wróc się lirniku! wróc się! wołają.—  
 On spojrział smutnie, ale nie wrócił:  
 Cisza go lasów nęci ku sobie,  
 Jako piastunka dziecko w chorobie.

## II.

Szumi dąbrowa z wiatrów powiewem,  
 Szemrają listki jak dzieci we śnie;  
 Na mech wilgotny pod starém drzewem  
 Padł biedny lirnik łkając boleśnie.

— „O liro moja! o liro złota!  
 Co ja bez ciebie pocznę sierota?  
 Kiedy mnie dola przyciśnie sroga,  
 Kiedy mnie życie znęka tułacze:  
 Jak ja tęsknotę z piersi wyplacę,  
 Jak ja się będę modlić do Boga?  
 O liro moja!” — Zapłakał rzewnie,  
 I w drżących dłoniach mokrą twarz kryje.  
 Och! serce w piersi pęknie mu pewnie,  
 I lirnik, liry swéj nie przeżyje....

Płakał, aż wreszcie jak małe dziecko,  
 Co z wolna z płaczu w cichy sen wpadnie,  
 Czuł, że mu głowa cięży bezwładnie  
 I jakoś niemoc powieki gniece.

Więc zamknął oczy i złotą głową  
 Wsparł się o twardą gałąź dębową.  
 Wtedy łagodny powiew wietrzyka  
 Szmer mu jakowys przywiał do ucha,  
 Niby podziemna *Elfów* muzyka,  
 Melodya tęskna, tłumiona, głucha.

Zerwał się—patrzy: w głębinie boru,  
 W drżących promieniach światła nocnego  
 Owiany białą mgłami wieczoru,  
 Stał drugi lirnik, rzekłbyś brat jego:  
 Takie jak na nim ubogie szaty.  
 Tak jak on smutny, tak jak on blady;  
 Na piersiach takie zwiędłe miał kwiaty,  
 Nawet na licu świeżych łez ślady;  
 Tylko że lirę przy sercu trzyma,  
 Ale niestety! strun na niej nie ma....

Zadrzał wieszcz biędny, nie wie dlaczego  
 Na serce dziwna trwoga mu padła:  
 Może to tylko własny cień jego  
 Stoi odbity od mgły zwierciadła?  
 Lub który z biednej, wędrowniej braci  
 Takiegoż lica, włosa, postaci?  
 Może?..... Wiatr chłodem ostrzejszym wionął,  
 Znać już północy przyszła godzina:  
 Pochylił głowę, w myślach utonął,  
 A tamten drugi śpiewać zaczyna

### III.

—, „Bracie lirniku! czego tam stoisz  
 Blady i drżący, z schyloną głową?  
 Czego tę starą puszcę dębową  
 Niewieścią żalu łzą niepokoisz?  
 Gdzie twoja lira? czemu jej nie ma?  
 Biada, kto z prózną przychodzi dłonią!  
 Co ty odpowiesz, gdy jak Kaima,  
 Pan Bóg cię z niebios zapyta o nią?

Biada ci! biada...! Bóg na twém czole  
 Złożył znak, nie wiem kary czy łaski;  
 A ty chcesz bożą zniweczyć wolę,  
 Ducha świętego przygasić blaski!  
 Próžno: ty musisz iść swoją drogą,  
 Bo ci nie wolno innej wybierać,  
 Choćby długiego męczeństwa trwoga  
 Serce ci miało w piersiach zamierać.

Musisz— niech usta żółcią napoją,  
 Kamieniem wzgardy uderzą w łono,  
 Niech ci brzemienia ciężar podwoją:  
 Musisz iść naprzód—tak osądzono....

Pod różgą losów, szyderstwem świata  
 Nigdy zwątpienia nie puścić w serce;  
 Nawet odstępce, nawet bluźniercę  
 Kochać gorącą miłością brata.

I w tej najświętszej miłości bratniej  
 Piersi otworzyć jak ów ptak puszczy,  
 Byś do krwi twojej kropli ostatniej  
 Kołł pragnienie łaknącej tłuszczy.

A jeżeli sił ci braknie, jeżeli  
 W gorzkich zawodów bolesnej męce,  
 Zapragniesz na dół opuścić ręce,  
 A pierś się skargą jęknąć ośmieli;  
 Biada nieszczęsny! stokroć ci biada!  
 Kto z wolą bożą igrać się kusi,  
 Kto na pół drogi beżsilny pada:  
 Długą pokutę przecierpieć musi.

Śluchaj!.... na waszym świecie, przed laty  
 Żył lirnik, Bóg go wieszczem namazał,  
 W serce skarb uczuć złożył bogaty,  
 I z braćmi skarbem dzielić się kazał.

Kazał mu brzmiać lirę nastroić,  
 I iść za głosem świętego ducha;  
 Tysiąc rozpierzchłych ogni w łańcucha  
 Zarem gorącej miłości spoić.

On, syn Adama! on zlepek ziemi!  
 Z wagą ciężaru sił swych nie zmierzył:  
 Wziął wieszczą lirę, w struny uderzył,  
 Struny zabrzmiały dźwięki cudnymi....

I tłum się cisnął sypiąc oklaski,  
 Jak kuglarzowi chłopięta wioski;  
 Aż mu zgłuszyli w sercu głos boski  
 I ziemskiej sławy zwiodły go blaski.

Zachciał wawrzynów, a świat szyderca  
 Rzucił mu palmę z cierni i głogu;  
 Podniósł—piers kółcem przebódl do serca,  
 I upadł jęcząc i bluźnił Bogu....

W gorzkiej boleści bezbożnym szale  
 Klątwa rozpaczy na tłumy zionął;  
 Struny swój liry stargał zuchwale  
 I w samolubnym żalu utonął.

Tylko gdy z nędznej piersi lirnika  
 Duch się za pieśnią nazbyt wrywał,  
 W pustyniach, jako ptaszyna dzika  
 Wśród głuszy lasów sam sobie śpiewał.

Aż raz wśród cichéj czerwcowéj nocy,  
 Gdy, (jako każe obyczaj stary)  
 Lud palił ognie, i o północy  
 Bogom pobożne święcił ofiary;  
 On zasłyszawszy pienia ofiarne  
 Zapłakał gorzko: wziął lirę złotą,  
 Te lirę wieszczą, dziś cacko marne,  
 I uciekł w lasy gnany zgryzotą.

I jak ogniki nocą widziane,  
 Znikł—nie zostawił śladu po sobie,  
 Tylko wśród lasów na świeżym grobie  
 Wyrosła paproć, ziele nieznane!

Paproć, roślina smutna i dzika,  
 W nocy zaklętym kwitnąca kwiatem;  
 Paproć, to biędna dusza lirnika  
 Upadła w ciężkiéj walce ze światem!..

Ty drzysz?... przeczucie jakieś złowieszcze  
 Serce ci ściska grozą téj doli:  
 Wróc się nieszczęsny, póki czas jeszcze,  
 Wróc się! daj Bożéj spełnić się woli.

Wróc się! odszukaj liry w popiele  
 Nawiaż trzy struny i po kolei  
 Pieśnią miłości, wiary, nadziei  
 Zadzźwięcz jak kapłan w bożym kościele!

Niech pieśń ta będzie błogosławieństwem  
 Tym, co pracują w znoju i pocie;  
 Niech będzie siłą, niech będzie męztwem  
 Tym, co w Ogrójcu i na Golgocie.

Niech, jako mały skowronek siola  
 Lud do pacierza i pracy budzi;  
 Niech jako straszna trąba anioła  
 O sądzie Pańskim woła do ludzi.

Aż, kiedy biedne to serce twoje,  
 Co dziś jak dziecię szłocha pod razem,  
 Wiara i miłość złączone razem  
 W taką hartowną ukrzepią zbroję:  
 Że w téj miłości, w téj żywéj wierze,  
 Ciernie na wieńce spleciesz z wawrzynem,  
 I kapłan, sam się wydasz w ofierze,  
 By słowo twoje stało się czynem.

Wtedy o wieszczu! przyjdź tu raz wtóry,  
 Przyjdź tajemniczą północy doba,  
 A kwiat paproci, jak gwiazda z chmury  
 Tysiącem iskier błysnie przed tobą.

A gdy go zerwiesz, gdy go posiędziesz,  
 Wróci do nieba dusza zaklęta;  
 A ty lirniku silniejszym będziesz  
 Niż Samson twarde kruszący pęta.

Na dźwięk twój pieśni mocą nieznaną  
 Wstrząsną się trumny, groby otworzą,  
 Z łoża niemocy Łazarze wstaną  
 I ciemni przejrzą światłością bożą.

Bo kiedy święty ogień, natchnienie,  
 Zstąpi do czystej serca świątyni,  
 Kiedy podsyci go poświęcenie:  
 Prorok powstaje i cuda czyni!...

## DZIEWCZYNA WRACAJĄCA Z SOBÓTKI.

Wiej wietrzyku, szum dobrowo,  
 Świeć księżycu, świeć nad głową  
 Bładem, drżącym światłem twojém:  
 Bo mi czoło żarem płonie,  
 Bo mi serce bije w łonie  
 Dziwnym jakimś niepokojem.

Gdy pod starem dębem drzewem,  
 Czarodziejskich strun swych śpiewem,  
 Wieszcz zanucił pieśń przeszłości:  
 Jam podniosła wzrok do góry.  
 A tu—w szacie białej chmury,  
 W tajemniczej zorz światłości  
 Zbiegła ku mnie postać biała:  
 Śnieżną lilią w rękę miała  
 I zielony liść palmowy.

Niby smutno, niby dumnie,  
 Skłoniła się z niebios ku mnie,  
 I dotknęła mojej głowy.

Odtąd czoło żarem płonie,  
 Odtąd serce bije w łonie  
 Dziwnym jakimś niepokojem.

Wiej wietrzyku! szum dąbrowo!  
 Świeć księżycu, świeć nad głową,  
 Bładem, drżącym światłem twojém!...



# SPOSÓB

zapatrywania się Waldmüller'a i Völker'a na dzisiejszą sztukę malarską (\*).

PRZEZ

*Lucyana Falkiewiczza.*

Sztuka, ów kwiat ukształcenia ludzkości, jest najwyższym pięknem w tém życiu. Sztuka jest przedmową do owych rajskich rozkoszy, o których wyobraźnia wscho-

(\*) W czasie mojego pobytu w Wiedniu w latach 1851 i 1852, uczęszczałem do akademii sztuk pięknych, a przytém i do pracowni Waldmüllera, gdzie miałem sposobność poznać metodę tego mistrza najnowszej szkoły malarskiej. Widziałem zadziwiający postęp jego uczniów, wykonywających prace godne nawet dojrzałych artystów. Sposób jego postępowania jest tak popularny, zasada tak prosta, wykład umiejętnej treści względnej ze sztuką piękną tak czysty i zrozumiały: iż niepodobna nawet uwierzyć, że obok takiej szkoły, oprócz samej akademii wiedeńskiej i inne jeszcze istnieją, gdzie się nieszczęsna metoda kopijowania, manierowania i tém podobne obalamucenia w naśladownictwie złych wzorów i pokaleczonych antyków na wielki rozmiar prowadzi. Z tą metodą Waldmüllera porównałem najnowsze obszernie dzieło Völker'a malarza niemieckiego, pod tytułem: *Praktische Anweisung zur Kunst*, a znalazłszy w niém takie same dążności, w tym samym duchu prawdy napisane, jakie w systemie Waldmüllera naocznie widziałem: poczytałem sobie za święty obowiązek metodę tych dwóch kapłanów sztuki w niniejszej rozprawie rozebrać, z błędami innych systemów porównać, prawdziwe pojęcie sztuki wyświecić, i takowe wszystkim czcicielom sztuk pięknych do ocenienia przedłożyć.

dnich narodów marzyła: ona umiła śmiertelnikowi tę krótką pielgrzymkę żywota. A chociaż uczucie piękna niejako wcielonym się być zdaje naturze człowieka: jednakowoż występuje ono na jaw i pozwala się swobodnie używać dopiero wtenczas, kiedy już wszystkie potrzeby życia są zabezpieczone; wtedy dopiero pojawia się ta córka niebios w całej swój kwiecistej okazałości, i wdzięczy się do duszy naszej uśmiechem ubóstwionej przyrody, do duszy z której siłą wyobraźni i pojęcia wychodzi, a powraca na skrzydłach uniesienia, wdzięczna stwórcy swemu—człowiekowi, że ją osadził na tronie obok wszechmatki świata: cudownej *natury*. Jednakże jestto zalotnica, o której byt i powodzenie troszczyć się potrzeba. Niedostatek jest mordercą sztuki. W cichém tylko zadowoleniu życia, pełny jej rozwój jest możliwy. Dopóki narody zabezpieczeniem swego cielesnego bytu były zatrudnione, napotykały wszędzie tylko surową formę, tylko taką, jaka do zaspokojenia chwilowych wymagań i potrzeb życia okazywała się dostateczną. Później dopiero występuje zmysł piękności, kiedy pożytek z przyjemnością, a potrzeba z powabem i ozdobą pogodzonemi być mogły. Z wykształceniem duchowém narodu podnosi się zarówno i sztuka, w której przeobrażeniach piętnuje się charakter i uczucie, wysokość i stopień ukształcenia jego. Naród zniewieściały i zmysłowy nie zna kształtów silnych w swoich utworach artystycznych; a z upadkiem cywilizacji i sztuka do grobu się kładzie. Nim przystąpimy do szczegółowego rozbioru tego przedmiotu, należy słów kilka o samém pojęciu sztuki w ogólności nadmienić.

Pod wyrazem *sztuka* rozumiemy tę czynność, przez którą coś wewnętrznego, duchowego w zakres ludzkiego poglądu wstępuje. Istota sztuki w tém pojęciu wzięta, zasadza się na tém, że człowiek pragnie przedstawić, czyli urzeczywistnić to, co dusza wewnętrznymi zmysłami uczuła i pojęła. Tém samém różni się od wszystkich praktycznych czynności, służących do osiągnięcia celów w życiu zewnętrzném, a mianowicie od rzemiosła. Rzemiosło przedstawia przedmiot praktycznie do użytku; sztuka zaś upiększa, i przedstawia go oku ludzkiemu wdzięcznie i mile.

Zewnętrzna forma przedstawionego przedmiotu jest zawsze zmysłowa: czy ona jest utworem wyobraźni, czy rzeczywistości płodem; ale jeżeli takowa ma się stać dziełem artystycznym, natenczas powinna z niej przemawiać taka sama siła duchowa, jaka się stała pobudką do jej utworzenia. Pod prawami sztuki rozumiemy warunki, pod którymi możliwość uczucia duszy ludzkiej, zewnętrznymi wrażeniami pobudzoną być może. Przedewszystkiem powinna forma sztuki mieć ogólne prawo, odnoszące się do matematycznych stosunków, które niejako granicę stanowią dla kształtów zamkniętych w jej obrębach. Obok tych praw jest piękność najbliższym warunkiem sztuki i jej formy względem uczucia: dlatego też tylko te kształty nazywamy pięknymi, które duszę naszą sposobem właściwym jej naturze, to jest miłym i dobroczynnym, do uczucia skłaniają, i takową niejako w duchowe wprawiają drżenie. Najwyższa zatem piękność stoi w sprzeczności z dążeniem przedstawienia czegoś szczególnego: dlatego słusznie Winkelmann powiedział „że najwyższa piękność, równie jak najczystsza woda nie może być określona.“ Podział sztuki zasadza się na właściwości formy, którą się przedstawienie jakiegokolwiek urzeczywistnia. Wszystkie zatem kształty podlegające pewnemu prawu, zdolne są stać się formą sztuki: anianowicie formy matematyczne, od których natura ciał i ich systemów zawisła, i formy organiczne, w których się życie ziemi naszej coraz dalej i wyżej rozwija. To boskie ziarno sztuki złożyła ręka Wszzechstwórcy w człowieku, poruczywszy je troskliwości tych wybranych, którzy wartość tego daru pojąć i ocenić są zdolni. By zaś to ziarno bóstwa wypielegnować, do dojrzałości doprowadzić, a tém samém człowieka do jego wzniosłego usposobić przeznaczenia: powierzyła go społeczeństwu, któremu przez dobroczynny wpływ sztuki nawzajem uszlachetnienie i niejako nadziemskie uszczęśliwienie odrasta.

Jeżeli sztuka w najwyższym swém pojęciu wpływ swój ma wyrzeć na obyczajność i uzacnienie człowieka; jeżeli jako silne, samoistne drzewo ma się rozrastać, rozstaczać cień swój łagodny i przynosić kosztowne owoce; jeżeli ludzkości zależeć ma na tém, aby takowa przewrotném przekształceniem, obca swój naturze nie wiodła życia suchotniczego, lub

téż jako pasożytne zielsko bezkorzystnie i bezowocnie nie uwiedła, a nakoniec bez śladu swego istnienia nie zagięła: natenczas posłannictwo wykształcenia, udzielanie zrozumienia jéj natury, przez co drzemiąca siła talentu staje się wiedzą i dochodzi do uzdolnienia w używaniu odpowiednich środków na zewnątrz: natenczas posłannictwo takiego wykształcenia jest niezaprzeczenie najwyższej wagi.

Ze ta niebiańska roślina, podobnie jak ziemskie, tylko przy odpowiedniej troskliwości i pielęgnowaniu wzrastać i dojrzewać może: nie da się zaprzeczyć. Tym ogrodnikiem, stosownie do natury sztuki, tylko duch ludzki być może; wszakże jemu wyłącznie Opatrzność tę opiekę nad nią poruczyła. On powinien pojąć jéj naturę, chcąc jéj potrzebę odgadnąć, on najstosowniejszą formę powinien jéj umieć nadać, chcąc takową doprowadzić do dojrzałości. Tę samą moc i władzę, jaką wychowanie w ogólności wywiera na człowieka; tę siłę, która dary bóstwa w nim ukryte rozwija na błogosławieństwo lub na klątwę człowieczeństwa: tę samą potęgę posiada nauka sztuki względem kształcącego się artysty. Ona jedyném jego jest wychowaniem w tak szczytném powołaniu. Ważność takiego kształcenia nie da się rozpoznać, a o dowody do podobnych domysłów nietrudno. Summa sił szlchetnych, ale przytłumionych i skrzywionych we funkcjach naukowości minawszy się ze swém przeznaczeniem, w każdym razie nie jest mniejszą od téj, którą geniusze szczęśliwszemi okolicznościami kierowane i porwane powodzą swéj genialnéj siły, przełamawszy wszelkie tamy i zapory, stwarzały dzieła, którym najwyższe podziwienie po wszystkie wieki złożyć należy w ofierze. W tychto bowiem dziełach uczymy się poznawać całą świetność sztuki, a jéj okazałość szczytną poznawać i podziwiać. Wszelkie zwichnięte i przewrotne dążenia we funkcjach nauki artystycznej, jakkolwiek one były przekształcane, mają jeden i ten sam początek i źródło, a tém jest *nieprawda*. W życiu duchowém i materyalném, równie jak w odbiciu jednego i drugiego, to jest w sztuce, *prawda* jest piérwszém kardynalném prawem. Jakkolwiek pięknie i zalotnie kłamstwo się przystraja i wdzięczy, jakkolwiek wiele zwycięstw zwodniczy głos téj syreny już odniósł, i chociaż tyle niewolników hołduje téj ponętnej ułudzie: prędzej późnij

błyszczące jój panowanie zmierzchnąć musi przed promienistém słońcem prawdy, a boskie jój prawo tylko tém świetniej na tronie osiedzie.

W nauce sztuki wszelki grzech przeciw prawdzie popełniony, najmniejsze odstępianie od wytkniętej przez nią drogi bywa równie karane, jak przewinienie przeciwko moralnym ustawom społeczeństwa popełnione: srożej nawet, bo ściąga na siebie klątwę moralną, i wiecznie stać będzie pod pręgierzem sprawiedliwej historii. *Die Weltgeschichte ist das Weltgericht*, powiedział Szyller; a geniusz należy do całej ludzkości. Kto się staje prawdy odszczepieńcem, staje się zarazem mordercą sztuki, bo przeznaczenie jój osiągniętém być nie może, jeżeli prawda nie będzie jój przodkującą zasadą. Prawda w naturze w takiej sile i mocy, a zarazem w takiej prostocie nam się objawia, że tylko niedołączny człowiek pojąć jój nie jest zdolny, a przewrotny tylko jój się opiera. Spojrzenie na obszar nieba, na krocie światła błyszczących u jego sklepienia; spojrzenie na morza niezmierność, którego groźna powierzchnia dotyka się ostatnich krańców świata; widok gór niebotycznych na których barkach olbrzymich zda się opierać budowa podniebia górnego, ich głębie i katarakty szumiące, ich skały piętrzące się w obłoki: to wszystko wzbudza w nas wiadomość o naszej wzniosłej naturze, przez którą czujemy się być wyższemi wyobraźnią, pojęciem i uczuciem nad wszystkie te cuda natury, które ogromnością swych przedmiotów pozwalają sam dochodzić do najwyższej prawdy i pojęcia Stwórcy wszechświatów.

Prawda więc jest najwyższą siłą moralną w życiu naszym: ona powinna też i w sztuce jako w objawie materialnym przodkować; bo natura, to zwierciadło prawdy wiecznie czyste i jasne, jest źródłem, u którego ona czerpać się powinna, aby sztuka w siłę i potęgę wzrosć mogła. Przyznać należy, że artystycznemu dziełu tylko duch ożywiający jego formę, swój własnej istoty udziela piętna, którego kształty ożywić jest zdolny. Ależ forma i duch zarówno muszą być prawdziwemi, inaczej skutek byłby niedoskonałym. Prawda w prostocie swój duchowej nigdy się pobratać nie może z affektacją we formie, równie jak skończona piękność formy nie zgodzi się z duchową affek-

tacyą pojęcia. Ztąd wynika, że wszędzie i we wszystkich względnościach co do pojedynczych warunków artystycznego utworu prawda celuje, która w miarę zastosowania jęj do sztuki, dzieło artysty podnosi lub zniża. Na tęg drodze prawdy sztuka się poczęła i wstąpiła w życie, na tęg drodze wzniosła się do najświetniejszych epok swego istnienia; a rzut oka na starożytną sztukę przekonywa nas o tęg dostatecznie. Grecy, ten naród, u którego pod przyjaznym niebem, pod szczęśliwemi stosunkami, pojęcie piękności tak wysoko się ukształciło jak u żadnego innego narodu: z jakiegoż źródła czerpali swą sztukę? Nie byłaż tęg źródłem natura?...Z bogactwem wzrastającym Greków, z coraz obszerniejszemi ich stosunkami na zewnątrz, nabierała tęg ich sztuka coraz większego wydoskonalenia. Około pięćdziesiątej Olimpiady doszła do zenitu swęj doskonałości, bo podziwienie najżywsze piękności w budowie i kształtach ciała ludzkiego prawie do zachwycenia posunęli. Atleci najprzód zwrócili na siebie uwagę i spowodowali swemi pięknemi kształtami głębsze studyum natury. Najzręczniejszym szermierzom, odnoszącym palmę zwycięstwa w szrankach amfiteatralnych, stawiano nawet posągi, z czego wydoskonalenie wyobrażeń bohaterów i bogów początek swój wzięło. Otóż z natury i jęj prawdy wyprowadzili Grecy sztukę, służącą w antykach następnym wiekom za przedmiot podziwienia i za wzór do naśladowania piękności, tak wielce zrozumianej i tak głęboko pojętej.

Na tęgże samęj drodze prawdy, czyż wielcy mistrzowie wszystkich szkół średnich i nowszych czasów nie dochodzili do celu swych usiłowań? Jednym z najważniejszych ustępów w dziejach sztuki jest epoka sławnych eklektyków: Ludwika, Augustyna i Hanibala Caraccych, mistrzów i założycielów bolońskiej szkoły. Z kilku przykładów, które w rozprawie tęg przytoczyć wypadnie, zobaczymy, jaką zgubę przewrotność zgotowała sztuce z jednéj strony, a jak wielkie błogosławieństwo przyniosło jęj pojęcie prawdy z drugéj strony. Ludwik Caraccy urodzony w roku 1555 był synem rzeźnika, i pobierał piérwsze nauki u Prospera Fontana. Dla swego spokojnego a bardziej myślącego charakteru, był od swego mistrza za niezdolnego do sztuki uznany. Młody jeszcze podówczas Carracci ograniczył się

odtąd na kształceniu się własnymi siłami, przez siebie samego. Przez niejaki czas bawił we Florency i studyował dzieła sławnych mistrzów, mianowicie: Prymatycego, Andrea del Garto, Correggia, Guilio Romana, Pawła Weronesa i Ticiana. Uzbrojony głębokiem pojęciem artystyczném, wystąpił później już sam jako mistrz, a droga do sławy przed nim leżała utorowana. Tą samą drogą poszli i dwaj jego bracia: Augustyn i Hanibal, a w roku 1580 wszyscy trzej zeszedli się w pałacu Fawa, gdzie pracowali wspólnie. Mimo prześladowań i zawiści swych współzawodników, trzej ci kapłani sztuki postępowali skromnie po wytkniętej sobie drodze, którą za jedyną i prawdziwą uznali; tą drogą była *natura*. Utworzyli szkołę malarską, gdzie prawda i przyroda miały swój ołtarz, a umiejętne studia względne z temi boginiami, stały się nieodstępniemi ich stróżami. Anatomia, perspektywa, budownictwo, studia nagiego ciała i antyków były wyłącznie warunkiem ich gorliwości i posłannictwa.

Od tej chwili rozszerzała się sława braci Caracców coraz bardziej. Ludwik wsławił się już wzniosłemi utworami w malarstwie, w tym samym zawodzie Hanibal wzbudzał powszechnie podziwienie, a Augustino uświetnił się rylcem. Bracia Caracci utworzyli sobie osobny sposób malowania, który w każdym z nich był oryginalnym, odbijającym właściwość osobistego charakteru i usposobienia. Rozum ich i zamiłowanie prawdy pozwalały to tylko wybierać między mistrzami do naśladowania, co się w ich wewnętrzzném przekonaniu okazało właściwém i stosowném, a tak połączyli oryginalność z naśladownictwem; wszakże nie odrzucali tego, co już istniało w sztuce, i co czystym wynikiem natchnionych mistrzów już było za najlepsze uznaném. Oni budowali wyżej, bo zdobyte odkrycia uwieńczone niezaprzeczoną chwałą przydawali skromnie i umiejętnie do własnych swych dzieł. Korzyść tę upatrywali w techniczném tylko wykonaniu, bo twórczość do której technikę stosowali była wpływem ich własnego geniuszu. Sława, której sobie nawzajem nie zazdrościli stała się tak powszechną, iż niejedna praca zamiast osobno jednemu z nich, powierzona była wszystkim trzem wspólnie.

Jak wielkim czcicielem prawdy był Ludwik Caracci, niech sama przyczyna śmierci jego odda mu sprawiedliwe

świadcstwo. Ostatnią jego pracą byłato arkada u sklepienia bolońskiej katedry, na której malował Zwiastowanie Najświętszej Maryi Panny, gdzie stosownie do perspektywy, figury Maryi i anioła w kolosalnych oddał rozmiarach. Na nie-szczęście popełnił jeden błąd w tym obrazie, który stał się powodem śmierci jego. Anioł zbliżający się do Najświętszej Panny okryty był wiotką szatą, przez którą ruch jego ciała był uwydatniony. Wpatrzywszy się w kierunek fałdów ła-two było dostrzedz, że prawa noga tam była, gdzie powinna być lewa, i odwrotnie. Ludwik spostrzegł błąd ten dopiero wtenczas, kiedy już rusztowanie było zniesione, i pomyłka ta naprawioną być nie mogła. Zgryzota z téj przyczyny zrodzona była dla mistrza tak wielką, bolesną i dotkliwą, że od tej chwili upokorzony tą klęską upadł na duchu, za-padł na zdrowiu, i niedługo umarł. Sztuka go zabiła!! Tu można powiedzieć słowami Walter Skota, że się otruł mlekiem swój matki—prawdy.

Uczniów pozostałych po braciach Caracci było bez li-ku; między którymi znajdujemy najslawniejszych mistrzów owego czasu, a temi byli: Dominikino, Guido, Albano, La Franco i inni. Obok szkoły Caracców istniała druga szko-ła tak zwanych naturalistów, pod przewodnictwem Micha-ła Anioła Merigi, zwanego Carwaggio. Mistrz téj szkoły tak ślepo trzymał się prawd natury, iż nawet błędy jej bez względu na harmonią całości kopiował. Z tego powodu utworom jego brakowało godności, a tém samém przy-miotu, którego tylko umiejętném wykształceniem i głębo-kiém pojęciem piękności dopiąć można. Michał Carwaggio nie troszczył się o to, aby wdzięk połączyć z prawdą: su-rowo i niewolniczo trzymał się naśladowania przedmiotu bez względu czy ten był brzydkim, czy pięknym, byleby wiernie był schwyconym. Przy takiej ostateczności stał się wszelako wzorem dla swych uczniów, nadawszy im kie-runek, na którym uzupełnić mieli to, do czego sam nie czuł w sobie dostatecznego usposobienia. Czystej wody źródła, z którego sam czerpał, nie zmącił żadnym narowem uczucia, ani przewrotnością swego geniuszu, którego mu dzieje sztuk pięknych zaprzeczyć nie mogą.

Przytoczone tu przykłady dały nam poznać oświetloną stronę sztuki, którą czysty i nieskalany promień prawdy



błogosławieństwem i przebóstwieniem darzy. Ale spojrzymy na stronę cieniistą a zobaczymy, jak wielki upadek gotuje sztuce zapomnienie prawdy i odstąpienie od natury. Dowodem tego był nadzwyczajny mąż w artystycznym świecie, który przewrotnym swoim systemem zgotował grób sztuce, z którego nim się dźwignęła, długiego potrzebowała czasu i usiłowania. Zaledwie trzy wieki wystarczyły, zanim się znowu ocknąć zdołała z omdlenia, spowodowanego prawdziwym wandalizmem długich wojen średniowiecznych. Po tém odrodzeniu się sztuki udało się jednemu człowiekowi popchnąć ją napowrót w przepaść i zgotować jej zgubę na długo. Tym nadzwyczajnym mężem był Lorenzo Bernini, urodzony w roku 1595 w Neapolu, uczeń swego ojca Piotra Berniniego. Już w dziesiątym roku swego wieku wypracował głowę w marmurze, a sława jego imienia jako rzeźbiarza i architekty od téj chwili rosła coraz więcej, do tego stopnia, że w młodzieńczym już wieku Bernini stał się przedmiotem podziwienia i uwielbienia swoich współzawodników i rodaków. Geniusz jego szydzący z wszelkich granic umiarkowania dopuścił się największego grzechu przeciwko sztuce, a tym był lekceważenie prawdziwej piękności, prawideł uzasadnionych, dobrego smaku i plastyki. Kapryśny, podług swego własnego upodobania i narowu wywierał wpływ prawdziwie oplakany na ogólną obrazową sztukę od XVII do połowy XVIII wieku. Dzieła jego nie były płodami natchnienia, ale raczej rozognienia przewrotnego rozumu, noszące na sobie piętno affektującej istoty jego własnej, w których panuje zasada czysto malowna tylko, zamiłowanie jakiegoś dziwnego sposobu technicznego, znoszącego zupełnie wszelkie prawa plastyki. Jemu nie chodziło o prawdy przyrodne, bo się raczej uwziął, aby naturę w przeciwnych ideach umyślnie przekształcić i poprawić, z których tworzył zwodnicze obrazy tam, gdzie potrzeba było najprostszej prawdy. Zgubna i straszna dla sztuki była Berniniego zasada, którą dla swych uczniów położył: „że długie studia na nic się nie przydadzą, bo zadowolenie oka wystarczy zawsze i wszędzie do ocenienia dzieła artystycznego; a kto się tylko stał panem pięknego kolorytu, ten ze 100 warunków malarstwa, 99 już posiada.“ Pod takimi prawidłami prawdziwa

sztuka rozwinąć się nie mogła; z téj przyczyny wszyscy naśladownicy Berniniego zaledwie godni są szczególnego wspomnienia. Dopiero Pompeo Girolamo Battoni, żyjący w połowie XVIII wieku, nadzwyczajnymi darami ducha uposażony zwałił zdradliwą zasadę Berniniego; a widząc, że natura w połączeniu ze studjami antyków jedyną była przewodniczką Rafaela, poszedł i on za nią, a dzieła jego stały się wzorem i podziwem wdzięcznej mu potomności. Twarze jego obrazów, ruchy i kształty są miłe, rzuty światła wdzięczne i pełne powabu, a wszystkie te zalety przenosił na dzieła swe z natury. Jednym z najpiękniejszych pomników jego talentu i sławy jest pokutująca Magdalena w Galeryi Dreźnieńskiej.

Takim samym odnowicielem podupadłej sztuki w Rzymie był jego spólcześnieik Rafael Mengs, żyjący naprzemian w Rzymie, we Florencyi, Madrycie i Neapolu. Prace tego mistrza były wynikiem głęboko pojętej i uczutej prawdy, która do ostatniej chwili życia w dziełach jego się objawiała. Jeżeli dwóch tych wskrzesicieli sztuki między sobą porównać zechcemy, natenczas śmiało o nich wyrzec można, że Mengsa filozofia, zaś Battoniego natura malarzami robiła. Battoni miał zmysł naturalny, porywający go w krajinę piękności, którą tworzył bez zdania sobie sprawy dlaczego ją tworzył tak a nie inaczej. Mengsa zaś wydoskonaliły głębokie studia, połączone z namysłem i czystym pojęciem rzeczy. Pierwszy był może więcej malarzem niż myślicielem, mniej badaczem, ale za to więcej naturalnym; drugi był więcej myślicielem, i dlatego bardziej ukończonym artystą. Ale jeden i drugi był czcicielem prawdy, a na jakiegokolwiek drodze do niej dochodzili, obadwa byli kapłanami godnymi jednej i téj samej bogini—świętej natury.

Taki sam upadek sztuki jak w Rzymie, Florencyi i Wenecyi pojawił się w tym samym czasie i w Lombardyi. Ubieganie się za nowością, różnorodna rozmaitość stylu, uchylanie się przed trudnościami połączonemi ze sztuką, affektacya na koszt gruntowności i zrozumienia istoty piękności, postawiły sztukę nad grobem, i zagroziły jej ciężkim upadkiem. Pojawiali się wprawdzie reformatorowie, którzy starali się ją podźwignąć. Ale cóż z tąd wynikło? Oto z jednéj ostateczności wpadali w drugą. Rzucono się

na studia antyków, chcąc z nich utworzyć umiejętny system. Ztąd wyrodziły się normy i teorye, które później doprowadziły sztukę do scholastycznej mechaniczności, do przewagi czczych prawideł nad formą, które stawszy się abstrakcją wyłącznie rozumowi przydzieloną, nie postępowały ręką w rękę z duchem sztuki, ale zgubne na takową wywierały skutki.

Później na téj drodze już powszechnie postępowano, mając skierowaną uwagę na usystematyzowanie umiejętności, przez co praktyczna jój strona zupełnie zaniedbaną została.

Abstrakcyje w prawidłach, wymysły w teoryach, ustawy w normach czyli tak zwanych manierach, wznosiły wprawdzie naukę tego rodzaju do coraz obszerniejszego systemu, ale przez takie pierwszeństwa czystej nauki nad praktycznością, sztuka coraz dalej się cofała, słabła i ustawała. Pominąwszy, że czas, który na takiej drodze do wydoskonalenia był potrzebny, zanim uczeń do wyzwolenia mógł być przypuszczonym był długi, mozolny i zniechęcający; ale przykłady dowiodły, że przy takim kształceniu całe życie jego ubiegło, nim się zaledwie do problematyczności wznieść zdołał, nie mówiąc już o prawdziwem uzdolnieniu na artystę, bo takowe zaginęło na błędnych drogach manierowania, affektacyi i martwego naśladownictwa.

Z tych więc i wielu innych przyczyn, o których w ciągu téj rozprawy wspomnieć wypadnie, znakomici dwaj artyści niemieccy: Waldmüller i Völker uznali tę drogę po której tegoczesna sztuka do wydoskonalenia dąży za błędną i fałszywą; i postanowili system prosty, do zrozumienia łatwy, nie zagmatwany teoryami, ani przewrotnemi zasadami, w których prawdziwa sztuka tak długo się błąkała.

Gwałtowność wypracowania, chwytnie, wygórowanych efektów, ostateczność w teoryach, czeze naśladownictwo, późniejsze wysilenie i zniewieściałość sztuki w tak zwanym sielankowym peryodzie czyli rococco; to znowu owa panująca epoka szukania w martwem ubóstwianiu antyków wybawienia i odrodzenia się sztuki; w nowszym czasie ów powrót do średniowiekowego manierowania:

wszystkie te zmiany smutne dają nam przekonanie, że sztuka nie opierała się na silnych fundamentach, bo ją lada powiew przewrotnego geniuszu zachwiał i obalał. Budziła się wprawdzie dążność i pragnienie wybawienia jęj, ale właśnie tam gdzie je znaleźć było można, tam go nie szukano—w prawdzie natury! Szkolny przymus i reguły nie chciały uznać nad sobą władzy, z istoty form wynikającej.

Jesteśmy teraz w epoce, w której życie sztuki stosownie do dążności czasu stara się odrodzić. W życiu moralném i materyalném, w każdej indywidualności, równie jak w ogóle spotrzegamy usilne dążenie do odepchnięcia od siebie chorobliwój materyi, celem osiągnięcia silnego, przez samą naturę udzielonego nam zdrowia. Zastosowanie to do sztuki, samo przez się już dostatecznie się wyjaśnia. W naśladownictwie, w kradzieży, starano się życie sztuki rozwinąć. Nadaremna praca!...Martwém naśladowaniem antyków życie sztuki wzbudzoném być nie może; życie trwałe, któregoby korzenie zdołały się rozrosnąć i opasać cały ten wielki obszar widomych tworów ziemskich, a którychby kwiaty z dziedziny nadziemskiej wdzięk swój pożyczaly. Piérwszeństwo i zalety antyków nie zostaną wszakże bez nauczającego wpływu na mistrza, jeżeli je tenże zrozumie i do swych własnych utworów zastosować potrafi. Niechaj się uczy zapatrywać na naturę i czuć jęj prawdę w takim samym duchu, w jakim ją nieśmiertelni starożytni mistrze czuli i pojmowali, chociaż właściwość greckiej sztuki nie może się stać właściwością naszego czasu.

To samo można odnieść do średniowiekowego sposobu produkcji. Wszędzie i zawsze ma tylko ów duch być pojętym, a forma uchwycona z jednego źródła sama przez się przystanie do niego. Otaczająca nas przyroda, nasz wiek i zwyczaje są temi przedmiotami, które w naszych utworach sztuki na widownię wprowadzać powinniśmy. Kto się nauczył na naturę zapatrywać i ją pojmować, ten jęj wyraz i w historycznym obrazie najstosowniej odbić zdoła, bo prawda jest wszędzie jedna i ta sama. A przecież obłąkanie w sztuce do tego już doszło stopnia, że zapatrywania się na przyrodę nietylko że nie zalecano, ale nawet potępiano. Czas niedawny, kiedy idealny krajobraz był w najwyższej cenie; w wyższej nawet, jak każde z pierwotworu

odwiecznego, z natury schwycone naśladowanie. Do jakiego stopnia zaślepienie w tej gałęzi sztuki doszło, o tém dzisiejsza jeszcze generacya może dać świadectwo. Że nauka sztuki co do jej form podziśdzień w ogólności błędnie się traktuje, a ztąd wielkim podlega ułomnościom, jest prawdą niezbitą. Wszędzie prawie mniej więcej z małym wyjątkiem udziela się nauka sztuki obecnie podług takich teoryj, jakie przed połową XVIII wieku fałszywe miały uzasadnienie. Wyjaśnienie tej przyczyny należy do historyi sztuk pięknych, ale tyle można przynajmniej na zabicie błędnej tej teoryi w szczupłym zakresie tej rozprawy powiedzieć, że zdania XVIII wieku nie są już zdaniem naszymi, niemi nawet być nie mogą, ponieważ dostatecznie nauczyło nas doświadczenie, żeśmy się na tej drodze od natury coraz bardziej oddalali, i poznali jak wielką potrzebą się stało, ażeby do niej powrócić. A przecież duch nauki z silną wynikłością temu postępowi dotąd się opierał. Artyści sami zakreśliwszy sobie zaczarowane koło, jakby zakłęci po jego manowcach i bezdrożach bładzili; i nie dziw, wszak im tę drogę od młodości za jedyną i prawdziwą wskazywano i zalecano, po której dojść mieli do zamierzonego celu, do wykształcenia artystycznego. Aż nakoniec przypadkiem, po długiej i niepowetowanej stracie czasu pokazało się, jak daleko zboczyli od prawdziwej drogi, i co im czynić wypadało, ażeby do niej znowu powrócić, chcąc talentowi swemu nadać jakąkolwiek uchwałę. Po takich preludyach niejednemu, nawet znakomitemu talentowi skierowanie się na prawdziwą ścieżkę stało się rzeczą niepodobną; przy podobnej mitrędze czasu w nauce błędnej, po nadaremnym dążeniu za pewnym punktem oparcia się, największe zdolności malały, a brak zaufania w swoje własne siły tamował drogę do dalszego postępu. 15 i 20 lat na tej dotychczas za normalną ogłoszonoj drodze zaledwie wystarczały do przywłaszczenia sobie technizmu w sztuce, co przy odpowiedniem prowadzeniu w jednym roku osiągnięciem być mogło. Takie postępowanie powinno i musi być uznane za mylne i niedostateczne, przez które znakomite talenta w samym kwiecie swego rozwoju skrzywione, nawet utłumione być mogą. Bo w najszczęśliwszym razie, w późnym dopiero wieku, kiedy lata

silnej młodości, owa chwila twórczości i wyobraźni już upłynęła, przychodzi artysta do poznania (jeśli do niego wznieść się potrafi), że się omylił na sobie; i wtenczas dopiero poznaje, jaką drogą iść był winien, aby z zadowoleniem duszy i sumienia zdać rachunek z talentu, jakim go Bóg obdarzył. Ale już zapóźno!... Droga zamknięta tu przed nim i za nim; on sam tylko pozostał bez pociechy z żalem i z grozą w duszy!! Nadaremnie usiłuje pozbyć się więzów scholastycznych krępujących wolne jego dążności; nadaremnie natęży skrzydła, by się wzbić do potęgi myśli, wznieść się do działania, do którego talent go upoważnił: aż nareszcie schodzi z widowni świata, z dziedziny sztuki karłem, mogąc się stać olbrzymem. Takie przekonanie mają dwaj artyści Waldmüller i Völker, stojący na czele szkoły nowiej, szkoły tegoczesnej malarstwa, której starają się nadać kierunek prawdziwy i niemylny. Oni to sami doszli do tego przekonania na drodze bolesnych doświadczeń, i pojęli obowiązek święty, aby temu złemu zaradzić, które się na niwie sztuk pięknych zakorzeniło. Całą wystarczającą im siłą, nieugiętą i najlepszą wolą poświęcał się jeden i drugi studjom tego rodzaju, a plony ztąd uzbierane podali światu pod sąd w dziełach drukiem ogłoszonych. Blask jakiegokolwiek on był natury i pochodzenia, którym się nauka sztuki dotąd osłaniała, wzroku ich nie zdołał oślepić, ani powstrzymać badania najskrytszych szkodliwych przyczyn, które się zakradły do przybytku sztuk pięknych.

Zaledwie wierzyć można, ażeby który z optymistów, chociażby najmocniej zadowolony ze swego systemu, mógł się odważyć na twierdzenie: że ta lub owa metoda nauki jedynie jest niezawodną i najdoskonalszą w swoim sposobie, niepotrzebująca już żadnej a żadnej poprawki. Taką zaletą żadna instytucja w świecie poszczycić się nie może, bo ustawiczna możliwość poprawy jest warunkiem wszystkiego co ziemskie, co postępowe. Teorya jedna robi miejsce drugiej, a myśl Göthego znajdzie przytém najlepsze zastosowanie: „Zgrzybiała jest wszelka teorya: życia tylko złote drzewo wiecznie jest majowe“.

W ogólności uważa nowa metoda szkoły artystycznej długoletnie nauki w sztuce za największą ułomność.

Metoda ta zasadza się na tém, ażeby ucznia o ile możności w jak najkrótszym czasie, i na najprostszej drodze na doskonałego rysownika i malarza wykształcić. Podług takiego postępowania czas kształcenia ograniczy się na rok jeden, po którego upływie zwolennik sztuki z powołania i poświęcenia celu swego dopiąć musi, bo się ujrzy w zupełném posiadaniu formy, która go doprowadzi do umysłowej wiedzy i wyobrażeń, a zarazem wzniesie bez przeszkody do samodzielnej doskonałości.

Jednakowoż ta metoda nie rości sobie bynajmniej prawa, ażeby ucznia wykształcić na skończonego artystę, na mistrza, wzięwszy słowo *sztuka* w jej najwyższém, najszlachetniejszym znaczeniu. Powołanie na artystę (w pełném znaczeniu tego wyrazu) powinien uczeń z sobą już na świat przynieść. Ani obecny sposób uczenia, ani jakikolwiek inny istniejący lub odkryć się mogący nie może być zdolnym natchnąć duchem twórczym tego, kto z natury daru tego bóstwa w sobie nie posiada. Ale jeżeli duch, ta twórcza wyobraźnia w uczniu istnieje: natenczas potrzeba mu środków materyalnych, pomocnych, aby się ta myśl rozwinęła i owoce przyniosła. Każda produkcyja tego rodzaju jest przykuta do tych środków, a zwycięstwo jej zawisło od panowania nad formą. Metoda Waldmüllera i Völкера zmierza jedynie do tego, ażeby usposobienie ucznia do sztuki przywieść do samowiedzy, i im rychléj, tém lepiej postawić go na szczeblu możliwości, ażeby wszystkie kształty służące za środek do urzeczywistnienia wycobraźni, uczynić posłusznymi woli artysty. Że zaś przy podobném ćwiczeniu się ucznia na artystę duch jego nie do podrzędnej przeznaczonym jest roli, rozumie się przez się.

Ale właśnie ten warunek jest względny z istotą usposobienia ucznia do sztuki, na któreby wpłynąć należało. Przy metodzie dwóch tych mistrzów cała tendencya skierowaną jest do tego, ażeby indywidualności ucznia zostawić zupełną niezawisłość w rozwoju duchowym. Sznurówka starozwyczajnego pochodzenia, którą ściśniony uczeń widział się pozbawionym wszelkiej samodzielności, nie ma tu miejsca, nawet niepotrzebna: wszakże uczeń sam już domyślać się uczy tego życia duchowego, które wionie

w przyrodzie: ono go samo przez się natchnieniem przejmie, wcieli się w duszę jego i doprowadzi do doskonałości. Żaden półśrodek nie powinien się ostać między odwieczną naturą, matką wszelkiej prawdy i piękności, a jej stworzeniem. Na tej drodze postępowania, uniknie uczeń wszelkiej ułudy, affektacyi, manierowania, a nauczywszy się poznawać kształtów natury w jej prawdziwym, żadną larwą nie okrytém świetle, duch jego się wzmocni, i celu swego dopnie zwycięzko.

Ciało ludzkie jest pierwszym, najważniejszym, a nawet niezbędnym studjum w kształcącej się sztuce. Tu, równie jak w naturze objawia się człowiek jako najszlachetniejszy utwór, jako najdoskonalsza istota.

Żaden przedmiot w naturze nie ma tak pięknych, ale zarazem do oddania tak trudnych kształtów, jak ludzkie ciało: dlatego też studjum jego, jako podstawa i zbiór wszelkich wiadomości w kształcącej się sztuce na widownię najprzód wystąpić powinno. Tém przekonaniem przejęci byli wszyscy artyści najcelniejsi starego i średniego wieku, a najświetniejsze peryody mistrzów włoskich, niemieckich i niderlandzkich poczynają się od uczynionego postępu w studjum kształtów ciała ludzkiego.

W tychto epokach promienistych sławą artystyczną, wielcy mistrzowie jedno tylko zadanie mieli do rozwiązania w sztuce, a tém było: przedstawienie człowieka. Onito głęboko tę prawdę pojęli, że w rozwiązaniu tego zadania wszystkie inne fulguracye sztuki jakby w ognisku promiennym schodzą się, z którego się znów odbijają. Jeżeli mistrz genialny w tym jednym przedmiocie doszedł do doskonałości, tedy reszta, we wszystkich gałęziach sztuki z łatwością odgadnioną i pojętą być może. Wzniosłość i wspinałość w architekturze, w ornamentach, różnaitość w całym pojawie zwierzęcego świata, krótko mówiąc, wszystkie wyobrażenia, jakie tylko sztuka do życia wzywa z pojęciem ciała ludzkiego, znalazły najgodniejsze przedstawienie w ręku tych mistrzów, którzy w studjum człowieka najwznioslejszą i najdoskonalszą formę opanowali. Na mocy tych zdań i niezbitęj ich prawdy można powziąć to głębokie przekonanie, iż nietylko jest korzyścią, ale raczej potrzebą, ażeby pejzażyści i malarze zwierząt, architektoniści



i ornamentyści, równie jak uczniowie poświęcający się malarstwu historycznemu, przedewszystkiém budowę ciała ludzkiego gruntownie studyowali, do czego podług téj metody rok jeden stanie się wystarczającym. Skoro uczeń w tym względzie dostatecznie będzie wykształconym, natenczas dowolny mu wybór może być zostawiony, ażeby sobie taki zawód w dziedzinie sztuki malarskiej obrał, w jakim swój talent dalej rozwinąć zamysła.

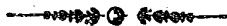
Studyum ciała ludzkiego, podług zasad Waldmüllera i Völкера, powinno być podług natury zaczęte i skończone. Wszelki rodzaj kopiowania, bądź z wzorów, antyków albo z obrazów, wywiera szkodliwy wpływ na kształcącego się ucznia. Jestto bowiem kardynalna zasada w prowadzeniu młodego artysty, ażeby żaden z nich w pojmowaniu natury stosownie do swéj indywidualności nie był zbałamuconym, ale kształty jéj tém samém oddawał uczuciem, jakiemu towarzyszyło przy zapatrywaniu się na nią. Ta oryginalność, ta właściwość naśladowania czystéj natury, zwichniętemi być mogą nie tylko czczeniem kopiowaniem wzorów, ale bardziej jeszcze tém, jeżeli nauczyciel błędy przez ucznia popełnione własnoręcznie poprawia, zamiast go na takowe uważnym uczynić. Przy takim zgubném postępowaniu zaszczepia się uczniowi manierowanie obce, jego samodzielność gubi się zupełnie, a przeznaczenie jego znosi się powoli samo przez się. W tym względzie grzeszą wszyscy ciężko przeciwko duchowi sztuki, którzy w kole naukowém dyletantyzmu, podobnéj metody kształcenia używają. Dyletanci mają zazwyczaj tak zwanego metra rysunków, który częstokroć sam jest początkujący, a czasem i lichy. Prace, które uczniowie ich za własne wydają, wykonywają ci rysownicy z reguły sami. Jaki więc rezultat z takiej wygodnej nauki wyniknąć może, każdy się domyśli; bo po trzech albo więcej latach, każdy z tych uczniów słowami Fausta śmiało odezwać się może:

„Da steh' ich nun, ich armer Thor,  
Und bin so dumm, als wie zuvor.“

Wbrew takiemu braku wykształcenia, cisną się przecież dyletanci na téj drodze usposobieni do przybytku sztuki, a sądząc mieć prawo do kadzenia przed ołtarzem téj bogini, z całą zarozumiałością półmędrkom i nieukom wła-

ściwą, podnoszą głos swój do wyroku o pracach i dążnościach prawdziwych artystów, niemając najmniejszego pojęcia nawet o tém, na co patrzą. Takie natrętne postacie napotyka niejeden mistrz na drodze swego artystycznego życia, a ich orzeczone wyroki mają swój początek w mętném źródle dyletantyzmu. Na właściwe drzewo sztuki, pielęgnowane przez doświadczonych poświęceniem i swoim powołaniem przejętych artystów, nie wywiera wprawdzie taki zarażliwy wiatr szkodliwego wpływu: jednakowoż zaprawia goryczą ich posłannictwo, bo jadowity ten oddech sarkazmu i ironii udziela się publiczności, która częstokroć spłaszczona te zdania i skrzywionę pojęcia zasłaniające jasność i świetność oblicza sztuki, za dobrą przyjmuje monetę.

Takie jest zapatrywanie się ogólne Waldmüllera i Völkera na tegoczesną metodę w nauce sztuki malarstwa i plastyki. Metoda, jaką ci dwaj mistrzowie do naśladowania położyli, nie jest żadną nowością, ale raczej systemem starym; ona jest tylko powróceniem do tego źródła, z którego dawni mistrzowie czerpali, a od którego nowsi tak daleko odbiegli. Metoda ta otwiera znowu koło niezmiernie geniuszom, które się w nowszych czasach w coraz to węższe granice ściszało, dopóki ich wolnego nie pozbawiło ruchu. Wszystko zatem co się o systemie tych dwóch mistrzów i autorów powiedziało, można zamknąć w kilku wyrazach: że wszelkie naśladownictwo jest ciasne i niewolnicze—natura tylko sama, jak geniusz, jest nieograniczona!!..



# PRZYSŁOWIA I PRZYPowieŚCI

OD NAZW PANUJĄCYCH.

---

Szczupły posiadamy w narzeczu naszym zasób wyrzeczeń historycznych, odnoszących się do imion lub też nazwisk rodowych głów ukoronowanych. Niektóre z tych przypowieści całkiem się już zatarły, kilka zaledwie usłyszeć się jeszcze dadzą w potocznej mowie, inne zalegają ukryte tu i owdzie w dawnych księgach i rękopismach, nie każdemu przystępnych. Zebrać je w jedną całość, objaśnić o ile się dało, a tém samym zachować od zupełnej zagłady: pracy mojej jest zadaniem. W układzie niniejszym przyjąłem za zasadę porządek chronologiczny, czyli następstwo w rządach. Zachodzą tu znaczne luki, to jest: brak przypowieści zastosowanych do panujących; natomiast o jednymże królu po kilka znajduje się odmiennych sposobów mówienia, i oddanie téjże samej myśli innemi słowy lub zwrotami: co dowodzi, że fakt jakowy więcej wywarł wpływu na umysł narodu, że mocniej utkwiał w pamięci ludzkiej. Zapisuję je tu wszystkie jak przyszły do mojej wiadomości, chociaż wiem, że niejednemu zdawać się to będzie zbytecznym, niepotrzebnym, słowem: że się nie spodoba. Na co mu odpowiem prostym przodków naszych axiomatem: mój miły panie, każdy ma swe zdanie.

**Lech.**

1. *Od Lecha ród swój wieździe sznurem* (1).

Wyprowadza, wywodzi w prostęj linii; szczyci się odwiecznym rodem; sięga rodowodem bajecznych czasów jakoby od Lecha, około 550 r. krajem władającego.

**Leszek.**

2. *Było to za króla Cwiczka i brata jego Gwoździa.*

Ów Gwoźdź w mowie ludu przytaczany, jest zapewne Leszek II, o którym wzmiankują bajeczne dzieje: że po śmierci Przemysława czyli Leszka I około 784 r. gonitwa konna do słupa miała okazać następcę narodowi. Zdążył do kresu Leszek, gdy innych jeźdźców przez zakopane na placu gwoździe od mety zatrzymał.

3. *Kolasa, co króla Goździka pamięta.*

Odwieczny powóz, stara jak świat landara, stary grat.

4. *Stara to budowa, jeszcze za króla Cwiczka!*

5. *Kto puste wiadra spotka, powiedział król Leszek,  
Mieć będzie pustki we łbie, albo pusty mieszek.*

Zauważałem podczas mego pobytu na Wołyniu i Podolu, że wieśniaczki idące z wiadrami po wodę, spotkawszy mężczyznę zatrzymywały się, i nigdy mu drogi przejść, ani go wyminąć nie poważyły się. Idącą zaś z naczyniem wody, każdy z uśmiechem pytał: *a połno?* Na to zwykła następowała odpowiedź: *połno dla was!* Obie te okoliczności w ścisłym są związku z tém, co niyby kiedyś miał wyrzec Leszek, a co odwieczny przesąd ludu, o pustych wiadrach, że tak rzekę, w artykuł wiary zamienił.

6. *Powiedział król Leszek:*

*Puste wiadra, pusty mieszek.*

7. *Mawiano za króla Leszka:*

*Ten dom zdołi, kto w nim mieszka. Kras.*

8. *Ubiegają się dziś do mężów żony:*

*Jak zdradny Leszek do polskiej korony* (2).

**Popiel.**

9. *Króla Popiela myszy zjadły.*

Wyrażenie to zastosować się daje do różnych przygód w życiu, jakoby słowa pociechy, że większe zdarzają się

(1) Poczet herbów szlachty korony Polskiej i t. d. przez Wacława Potockiego podczasz. krak. 1696 r.

(2) Kalendarz na r. 1732 przez Wawrz. Józ. Sałszewicza w przesławnej akad. krak, nauk wyzwol. i filoz. Dra, matem. prof., burse Strangel-skiej seniora.

nieszczęścia, czego doznał Popiel II. Panować on miał około 850 roku w Kruświcy, mając przydanych do rady 20 swoich stryjów, których z namowy żony otruc kazał. Z niepogrzebionych trupów takie powstało mnóstwo myszy, że te rzuciwszy się na Popiela, pożarły go z żoną i dziećmi na zamku jeziora Gopła. Dotąd istniejące szczątki murów, noszą nazwę *Mysiej wieży*, a złorzeczenie: bodaj cię myszy zjadły! niech cię myszy zjedzą! odnosi się może do powiastki o zgonie nieszczęsnego Popiela.

10. *Myszka popielowska.*

Wino bardzo stare, myszkami oddające, trącające, o którym się mówi, że króla Popiela zapamięta.

11. *Polować jak król Popiel.*

Myślistwa nie znać; za myszami się uganiać, łapać je, wytępiać.

**Łokietek.**

12. *Duży jak Łokietek.*

Ironiczne wyrażenie, zamiast malec, karzełek, pigmejczyk z niego. Władysław, od niskiego wzrostu Łokietkiem zwany, synem był Kazimierza ks. kujawskiego. Za powtórniem obraniem siebie na księstwo krakowskie i sandomirskie, piérwszy koronował się na Wawelu 20 stycznia 1319 r. Przeważnie odniósł nad Krzyżakami zwycięztwo pod wsią Płowcami 27 września 1331; zmarł 2 marca 1333, mając lat 73. Słusznie do niego zastosować można: mały, ale serdeczny; albo to drugie: nie patrz na postawę, ale na człeka sprawę.

**Kazimierz W.**

13. *Co ociec zyskał bitny w żelaznym pancerzu:*

*Utrzymałeś w pokoju wielki Kazimierzu! (1)*

Synem był Władysława Łokietka i Jadwigi księżniczki kaliskiej; urodził się w Kowalu na Kujawach 1310 r. objął rządy 1333 r., zmarł 1370 r., a z nim wygasł ród Piastów w Polsce. Opieka rozciągana nad włościanami nadała mu nazwę króla chłopków; ustanowił statut wiślicki 1347 r., wznosił gmachy, świątynie, zakładał miasta, opasując je murami: słowem zastał Polskę drewnianą, a zostawił ją murowaną.

14. *Kazimierz Wielki*

*Pijał miód u Esterki.*

(1) Naruszewicz: Oda na pokój marmurowy, portretami królów z rozkazu Stan. Aug. nowo przyozdobiony, 1771 r.

Śliczna Estera żydówka, rodem była z Opoczna, gdzie dotąd istnieje murowany dom, zwany domem Esterki. Następnie przemieszkiwała w Łobzowie pod Krakowem, i została matką dwóch synów: Niemiry i Pełki. Zwiedzając Stan. August 1787 r. Łobzów, polecił rozkopać mogiłę w ogrodzie, w której jak wieść niosła złożone być miały zwłoki Estery; ale nic nie znaleziono, coby stwierdzić mogło upowszechnione o tym grobowcu podanie.

### **Jagiello.**

15. *Król Jagiello zbił Krzyżaki,  
I pan Krupa chce być taki.  
Darmo suszysz mózg nieboże:  
Krupa jagłą być nie może.*

Wiersz ten ma się odnosić do jakiegoś Krupy czyli Krupskiego, właściciela wsi Krupe pod Krasnymstawem, który podług miejscowego podania, uporczywie miał się bronić w swym zamku przeciw Władysławowi Jagielle, pogromcy Krzyżaków 1410 r. pod Grunwaldem i Tanenbergiem. Rzecz wszakże ma się zupełnie inaczej, gdyż powyższy epigram ułożony przez Alberta Ines Jezuitę, ma nadpis: O Krupie, mającym sprawę sądową z Krzyżakami.—Ob: *Acromata epigrammatica latino-polonica. Gedani, 1655.*

### **Olbracht.**

16. *Za króla Olbrachta  
Wymiszczona szlachta.*

Tak ma Rysiński w swoich Przypowieściach 1619 r. Obodziński zaś (*Pandora starożytna monarchów polskich, 1643 r.*) mówi: Wygubiona szlachta, dodając na str. 157: że tak chłopcy wszędzie wołali; a Stan. ks. Jabłonowski wojew. rawski w wierszu: *Pamiętne uprowadzenie wojska z cieśni Bukowińskiej w r. 1745* wydane, przywodzi toż przysłowie: za króla Olbrachta wyginęła szlachta. Odnosi się to do klęski w bukowińskich lasach, jaką poniósł Jan Olbracht syn Kazimierza Jagiellończyka 1497 r. wracając z wojny ze Stefanem Wdą Wołoszczyzny. Przepowiedział Matys Strykowski w swoim *Goncu enoty* 1574 r.: „Na wieki będą baczyć ten smętny las Polacy”; jakoż przypomina nam go dotąd powtarzane przysłowie.

### **Bona.**

17. *Bona była przezwiskiem, skutkiem jako komu.  
Po téj apostrofie dodaje Rej w *Zwierzyńcu* na str. 49:  
Rozum miała, że i dziś ta niewieścia główka  
Sławna w Polsce, i długo pamiętne jój słówka.*

Przeszedł do naszych czasów epigram za żywota Bony ułożony, okrywający niesławą jęj imię:

*Ut Parcae parcunt, ut luce lumina lucent,  
Ut bellum bellum, sic Bona bona fuit.*

Bona Sforcyą (*Sforza*) księżniczka medyolańska, zaślubiona Zygmuntovi I roku 1518, zabrawszy ogromne summy pieniężne, wyjechała z Polski 1556 r.; zmarła we Włoszech 1558 r.

18. *Królowa Bona umarła.*

Wiadomość o jęj zgonie wielkie musiała sprawić wrażenie w naszym kraju; jeden drugiemu skwapliwie udzielał tęg nowiny, która i przestała nakoniec być nowiną. Powyższe wyrażenie zamieścił Jan Jabłonowski wojew. ruski w swoim rękopisie: *Polityka włoska i polska, albo przysłowia i t. d. w Königstajnie, anno 1715.* Jest ono i po dziś dzień w użyciu, jako za odpowiedź służące temu, który rzecz powszechnie wiadomą, za nowość powiada.

19. *Pomnicie, Polskę jak niszczyła Bona!*

Wyrzekł to Bartosz Poprocki w wierszu 1587 r. napisanym: *Pamięć nierządu w Polsce*, i t. d.; wznowił zaś tęg samę prawdę Opaliński w swoich *Satyrach* 1650 r. przemawiając: Pomniemy Boneczkę, jako wszystko kupowała i przedawała u nas.

Wszechwładna nad umysłem męża i syna Bona, przeważny wywierając wpływ w kraju, mnóstwo dzierżyła starostw, a nadto wzbogacała swe skarby przedajnością posad i dygnitarstw, tak w stanie świeckim, jak i duchownym. Przechowały nam dzieje trafną a szczerą odpowiedź Gamrata na jęj zarzut, że biskupstwo krak. kupił. Długi przeciąg pobytu Bony w Polsce sprawił, że imię jęj będące w ustach całego narodu, przeszło i do odległej potomności, gdyż wszystko co jest silném piętnem w umysły ludzkie wrazone, tradycyjnie się przechowuje. To mając na uwadze, postrzegamy: że trzy rzeczy lubo niedorzeczy, zawsze lud nasz ma w pogotowiu do odpowiedzi, jakoto: każde niemal stare zamczysko jest u niego dziełem rąk królowej Bony, a przynajmniej był przez nią zamieszkiwany; odwieczny kościół: to aryński zabytek; mogiły zaś, szance i okopy: nię inne tylko szwedzkie, chociaż pierwsze nierównie odleglejszą zapamiętają przeszłość.

**Zygmunt August.**

20. *Było to za króla Augusta.*

Bardzo dawno; kiedyś, ale ludzie tego nie pamiętają; nie za ludzkiej pamięci to się stało. Zygmunt August

syn Zygmunta I i Bony, urodził się 1 sierpnia 1520 r. koronowany 21 lutego 1530 r., objął rządy 1548 r. Ostatni ten rodu Jagiellońskiego potomek, zmarł w Knyżynie na Podlasiu 7 lipca 1572 r.

### Henryk.

#### 21. Rex Henricus *splatał Polsce psikus.*

Makaroniczne to przysłowie, dobitnie rzecz oddające, znalazłem w starym rękopiśmie, zawierającym krótkie wyciągi z dziejów krajowych. Henryk Walezyusz ks. Andegawii, syn Henryka II króla francuzkiego, w 22 roku życia obrany został królem polskim 16 maja 1573 roku, koronowany 21 lutego 1574 r. Dowiedziawszy się o śmierci brata swego Karola IX, opuszcza 18 czerwca t. r. tajemnie stolicę nocną porą, pospieszając do Francyi na objęcie dziedzicznego tronu <sup>(1)</sup>. Wystawiwszy kraj na wielkie zamieszki, ludził przez dwa lata obietnicami rychłego powrotu. Nie przestawał do końca życia używać tytułu króla polskiego.

### Stefan.

#### 22. *Za króla Stefanka* *Strach było na panka.*

Albo: Był strach i na panka.—Stefan Batory ks. Siedmiogrodu obrany królem w grudniu 1575 r., usiłował ująć w karby swawolę szlachty, powściągnąć bezprawia i w całym znaczeniu wyrazu panować. Pamiętna jest jego mowa na sejmie w Toruniu 1576 r., w której wyrzekł: *Per vos in regem vestrum sum electus, vobis postulantibus et instantibus huc veni; per vos corona capiti meo imposita est. Sum igitur rex vester, non fictus, neque pictus; volo regnare et imperare!* Jakoż dobrze o nim wyrzekł Petrycy w przekładzie Horacego ks. IV, M. 3: nie chciał być królem malowanym. Zmarł w Grodnie 12 grudnia 1586 r. Wielce mu nieprzyjazny Jan Karczewski podczaszy czerski, napisawszy 1587 r. wiersz: *Przestrożnik*, taki między innemi czyni zarzut Stefanowi:

Wszyscy monarchowie, którzy przed nim byli:  
Tak wiele jak Batory ludzi nie zgladzili.

Przeciwnie zaś Seweryn Bączalski (*Przestrach śmiertelny*, 1608 r.) dając przestrogi rodakom, tak się odzywa:

Królu zmarły Stefanie, terazby cię trzeba!  
Kiedyby to mogło być, abyś zstąpił z nieba,

(1) Lakonicznie się o Henryku wyraził Naruszewicz w odzie 1771 r. „Jako bystry kometa ledwo błysnął, zmyka.”



Byłżeby tu niejeden przedsiębiorczo bez głowy,  
Dałbyś był na złe ludzie edykt swój surowy.

Jestto apostrofa do świeżych zamieszek w kraju, z powodu rokoszu Mikołaja Zebrzydowskiego wojew. krakowskiego.

### **Jan Kazimierz.**

#### 23. *Za Jana Kazimierza*

*Niestalo miast i żołnierza.*

Był on synem Zygmunta III i Konstancyi arcyksiężniczki austriackiej; wstąpił do zakonu Jezuitów w Rzymie 1643 r., został kardynałem 1646 r., obrany królem 17 listop. 1648, złożył koronę 16 września 1668, zmarł we Francyi w mieście Nevers jako opat św. Marcina 16 grudnia 1672 r.—Najniezwyklejszy był stan Polski za jego rządów; niezgody domowe, najazdy Szwedów i Siedmiogrodzian zamieniły kwitnące miasta w popiół i gruzy. Gdy niestalo już własnego żołnierza na obronę kraju, wezwać musiano 1657 r. na pomoc drogo opłacone, a mało czynne posiłki rakuskie.

### **Michał Korybut.**

W niedostatku przypowieści zamieszczam tu szaradę na okładce rękopismu 1796 r. treści ekonomicznej, która opiewa:

#### 24. *Pierwsza z drugą na drzewie, a trzecie ze skóry: Wszystko król polski, ale zgadnąć proszę który?*

Król Michał synem był Jeremiasza ks. Wiśniowieckiego wojew. ruskiego i Gryzeldy Zamojskiej; obrany 19 czerwca 1669 r., zmarł 10 listopada 1673 we Lwowie. Z Eleonory arcyksiężniczki austriackiej nie zostawił potomstwa (1).

### **Jan III.**

#### 25. *Król Jan, Europy pan.*

Pod wizerunkiem Jana III malowanym na ścianie, umieszczone głoski K J E P, dały początek temu wyrażeniu. Wysłędzony sprawca pociągnięty do właściwego sądu za obrazę majestatu, uniewinnił się zupełnie, dając wykład znaczenia przez skrócenie wyrażonego podpisu, jako zawierającego w sobie tytuł pełen chwały i za-

(1) Ród ks. Wiśniowieckich wygasł na Michale Serwacym wojew. wileńskim, hetmanie W. L., który zmarł d. 18 września 1744 r. w Mereczu, pochowany w Wiśniowcu w koś. Karmelitów.

szczytu <sup>(1)</sup>—Jan Sobieski synem był Jakóba i Teofli Daniłowiczownej; świetne nad Osmanami zwycięstwo 11 listop. 1673 pod Chocimem odniesione, utorowało hetmanowi W. K. drogę do tronu, na który 28 maja 1674 r. wybrany został; zmarł w Wilanowie 17 czerwca 1696 r.—Rubinkowski w swojej *Janinie*, zowie Jana III Europy słońce, otomańskiego zaćmienie księżyca, pion run wschodnich krajów.

26. *Za króla Jana*

*Wiara nasza ratowana.*

Gdy Turcy oblegli Wiedeń 1683 r. wezwany Jan III przez cesarza Leopolda I na odsiecz swój stolicy, pośpieszył na czele rycerstwa, i pamiętne nazawsze odniósł nad niewiernymi zwycięstwo 12 września, które mu zjednało zaszczytne imię obrońcy chrześcijaństwa.

27. *Za króla Sobka*

*Nie było w polu snopka.*

Jana Sobieskiego zwał lud Sobkiem. Przypowieść ta stosuje się może do nieurodzajów, a raczej do staczanych ciągle utarczek z dzierżącymi kraje podolskie Turkami, lub częstych zagonów, to jest napadów tatarskich, chociaż klęski ztąd na rolnika przypadające nie dotyczyły całego kraju, i były tylko miejscowe i chwilowe. Cóżkolwiek bądź, dość, że tak się przysłowie wyraża.

28. *Zarobił jak król Jan na Wołoszczyźnie.*

Jan III powziąwszy zamysł zhołdowania Wołoszczyzny, przedsiębrał trzy bezowocne, a nadto niepomysłne wyprawy, przez co utwierdził dawne wyrzeczenie: *Valachia tumultus Polonorum*—K. W. Wojcicki przywołując powyższe przysłowie, dodaje: Dziś ono budzi żal i boleść serdeczną, ale w swojej dobie grzmiało głosem wyrzutu ciężkiego <sup>(2)</sup>.

**August II.**

29. *August Wtóry wdzięcznej krasy*

*Wniósł do Polski złote czasy.*

Tak się ozwał Tom. Ormiński medycyny Dr., w akad. zamojskiej prof., wydawca kalendarza na r. 1699; złote atoli owe czasy niedługo trwały i zamieniły się w opłakane, kiedy 1702 r. Szwedzi kraj najechali. August II,

<sup>(1)</sup> Objaśnienie owych czterech głosek znalazłem w rękopismie około 1700 r. lub nieco późniejszym, a nadto czytałem toż samo i w książce drukowanej, której tytuł zaginął z moich notatek.

<sup>(2)</sup> Ob. *Zmarte przysłowia*, Bibliot. Warsz. 1842, T. IV, str. 225.

syn Jana Jerzego elektora saskiego, obrany królem 27 czerwca 1697 r., zmarł 1 lutego 1733 r.

30. *Jeden do Sasa*

*Drugi do lasa.*

Albo: Jedni do lasa, drudzy do Sasa; albo: Ten do Sasa, ów do lasa. Przysłowia te odnoszą się do epoki, kiedy Karol XII król szwedzki ścigając Augusta II po Polsce, narzucił jej 1705 r. nowego króla, jakim był Stanisław Leszczyński wojew. poznański. W powszechném zawichrzeniu kraju, każdy wedle swego sposobu myślenia, lub osobistych widoków chwycił się różnych stronnictw: jedni przeto trzymali z Augustem Sasem, inni znowu popierali Leszczyńskiego, czyli jak wyraża allegorya, udawali się do leszczyny, do lasu. Dziś używa się tych przysłów zamiast: rozpierzchli się, poszli w rozsypkę, każdy w swą udał się stronę; oznaczają też niezgodę.

**August III.**

31. *Gdy August pijał, Polska bywała pijana* (1).

August III, syn Augusta II, obrany królem 5 października 1733 r. Pomnożyły się za jego rządów zbytki, pijaństwo i pijatyka. Zmarł w Dreźnie 5 paździer. 1763 r. Krasicki wyrzekł o nim: August Sas, Polskę do reszty rozpoił; inny zaś poeta:

Zawsze przykład monarchy zbyt przeważnie działa;  
Kiedy pił August: Polska rozpiła się cała.

32. *Za króla Sasa*

*Była wolność nasza.*

Przypowieść ta brzmiała w ustach szlachty, która nie płaciła podatków i broiła bezkarnie, co tylko żywnie chciała. Była to przeto wolność względna, stanowa, z krzywdą i uciskiem ogółu ludności.

33. *Za króla Sasa*

*Było chleba do pasa.*

Długoletni za jego rządów pokój, dozwalał swobodnie używać obfitych dostatków z uprawy roli pochodzących. Wspomnienie tych błogich czasów przechowało się i w Litwie, gdzie jeszcze lud powtarza: Za korola Sasa, było chleba i mięsa.

34. *Za króla Sasa:*

*Były dobre czasy.*

(1) Ant. Nagłowski, *Zabawy przyjemne i pożyteczne* 1777 r. T. XV, str. 75.

Tak mówi Kaszub, podług świadectwa Mrongoviusa. Kaszuby, północna część b. województwa pomorskiego nad morzem Bałtyckiem, gdzie dotąd lud używa mowy polskiej.

35. *Za króla Sasa:*

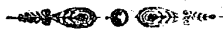
*Jedz, pij i popuszczaj pasa!*

Albo: Człek jadł, pił, a popuszczał pasa. Wyrzeczenie to małuje dobitnie zniedołężnienie narodu i odrętwienie umysłowe za panowania Augusta III; jakoż o nic więcej nie dbano, byle tylko brzuch napelnić, a gardło zalać. I takieto czasy poczytując za błogie i szczęśliwe, rymami uwiecznić usiłowano! Lada biesiady magnatów lub znakomitszej szlachty, festyny dworskie, zjazdy obywatelskie, uroczyste obchody imienin, zaślubin, chrzcin, na których tokaj wszystkim nogi podcinał, miały swoich tuzinkowych poetów, którzy uwielbiali i wynosili pod niebiosa złote owe czasy.

Otóż i wszystko, co mogłem dotąd na tém polu uzbierać; może niniejsze ogłoszenie pobudzi kogo do odgrzebania jakiego przysłowia w tym przedmiocie. Każdy tego rodzaju przyczynek, byleby tylko był uzasadniony, i żadnej nie ulegał dowolnej zmianie, czyli przeinaczeniu, wielce pożądanym mi będzie i z wdzięcznością przyjętym.

Warszawa,  
d. 30 października 1855 r.

*Tymoteusz Lipiński.*



# KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

## WYSTAWA POWSZECHNA.

### VIII.

Wystawa przemysłowa: Telegrafy i zegary elektryczne. — Maszyna amerykańska do składania czcionek. — Dywany. — Wystawa sztuk pięknych: Teodor Rousseau. — Bellel. — Rosa Bonheur. — Isabey. — Diaz. — Zamknięcie wystawy.

**Z**gromadzone aparata telegraficzne na wystawie, dają sposobność poznania stanu obecnego téj sztuki i porównania między sobą narzędzi, służących do korespondencyi telegraficznej w różnych krajach. Aby je wymienić, musimy piérwój przypomnieć zasadę ogólną mechanizmu, która polega na własności prądu elektrycznego, że magnesuje żelazo w chwili kiedy nań działa. Kawalek miękkiego i bardzo czystego żelaza okrécony jest drutem, który idzie od stosu Wolty; kiedy prąd przepływa przez drut, żelazo staje się magnesem sztucznym, który tak jak naturalny magnes przyciąga inne żelazo w niewielkiej odległości będące.

Na téj zasadzie polegają telegrafy. Magnesowanie sztuczne, które się objawia na żelazie przy działaniu prądu elektrycznego, znika natychmiast skoro tenże ustaje, tak, że w ciągu sekundy można nadać i odjąć żelazu własność przyciągania. Przerwanie zaś samego prądu łatwo się otrzymuje.

Jeżeli pręcik żelazny przytwierdzony jednym końcem do sprężyny, leży naprzeciw sztucznego magnesu: to tenże w chwili przepływu prądu przyciągnie go do siebie mimo słabego opo-

ru sprężyny; skoro jednak prąd ustanie, sprężyna pociągnie pręcik do dawniej pozycyi. Tym sposobem elektryczność w jakiej-bądź odległości sprawia skutek mechaniczny, to jest *ruch tam i nazad*, który jest zastosowany do dawania znaków.

Rozmaitych sposobów używają do przemiany tego ruchu, ażeby różne znaki mógł dawać, i w tém tylko różnią się narządy telegraficzne, które można podzielić jak następuje:

1. Przyrząd amerykański pana Morse.
2. Przyrząd angielski, o dwóch drutach i dwóch skazówkach.
3. Przyrząd francuzki pod nazwą Foy-Brèguet, a właściwie Bregietowski.
4. Przyrząd głoskowy powszechnie na kolejach używany.
5. Drukujący, który pisze sam znakami kolorowanemi albo drukiem.

Wszystkie te systemy znajdują się na wystawie; my mówić będziemy tylko o trzech pierwszych.

W telegrafie amerykańskim wążka taśma papieru posuwa się ciągle między dwoma wałkami, za pomocą sprężyny zegarowej. Nad papierem jest zastrzona sztabka żelazna, około której obwija się przewodnik elektryczności; kiedy prąd przepływa, ta sztabka przyciąga inny kawałek żelaza, które się znajduje pod papierem (pośrednictwo papieru nie przeszkadza działaniu siły magnesowej); papier chociaż ściśnięty z dwóch stron, posuwa się ciągle, kiedy tymczasem zastrzony żeleziec rysuje go. Jeżeli prąd działa dłużej, wyciśnięty ślad będzie kreską, jeżeli bardzo krótko, ślad będzie tylko punktem. Kreski, punkta i ich permutacye, składają alfabet tego telegrafu, który był pierwszy na świecie. W Ameryce i w Szwajcaryi jest wyłącznie używany; niżej wskażemy powody, dla których zapewne wszędzie zostanie wprowadzony.

Mimo mechanicznych zdolności Anglików, którym każdy pod tym względem pierwszeństwo oddaje, telegraf ich jest najmniej doskonały; wymaga dwóch drutów i dwóch prądów elektrycznych. Dwa konduktory władają dwiema skazówkami, z których każda na osobnym posuwa się cyferblacie: dopiero kombinowane ich ruchy, składają głoski konwencyonalnego alfabetu.

Założenie tego telegrafu jest dwa razy kosztowniejsze od telegrafu Morsa; korespondencya jest przepelniona błędami,

które nie mogą być poprawione, bo nie zostawią żadnego śladu; pamięć i przytomność urzędnika, który odczytuje znaki w miarę jak są przysyłane, jest słabą rękojmią dokładności depezy.

We Francyi dopiero 1845 r. poczęto zaprowadzać linie telegraficzne na większą skalę. Pan Foy dyrektor tój administracyi, polecił panu Breguet wymyśleć jaki przyrząd telegraficzny, żeby mógł powtarzać znaki telegrafów powietrznych, których naówczas była wielka mnogość, a których część przez oszczędność zachowano. Aparat Foy-Breguet wymagał także dwóch konduktorów, a nie dawał tylko połowę znaków telegrafu powietrznego, bo zamiast trzech, miał tylko dwa ramiona ruchome. Powoli przemieniono go na telegraf alfabetowy, a przez wzgląd na kosztowny materiał, którego odrzucić niepodobna było, zachowano go jeszcze dla depezy sekretnych, to jest rządowych. Dla potrzeby zaś prywatnej wprowadzono aparat Morsa.

Między powodami jakie skłoniły administracyą francuzką do przyjęcia tego telegrafu, najważniejszym jest jego powszechne użycie: Ameryka, Niemcy, Belgia, Szwajcarya, posługują się nim prawie wyłącznie. Druga korzyść tego systemu jest ta, że bez przerwy konduktora, może posyłać elektryczność na bardzo dalekie punkta; nakoniec, że zostawia ślad materialny korespondencyi, którą dlatego zachować można. Aparat sam pisze, więc w razie pomyłki rzadki błąd łatwo jest odszukany. Dążność do uproszczenia służby telegraficznej w stosunkach między narodami, przemawia także za tym telegrafem; wyjątkowo przyjęli go nawet Anglicy przy linii podmorskiej, która łączy Duwr z Calais. Dzisiaj w obec tak wielkich rezultatów do jakich doprowadziła ludzi elektryczność, powiedzieć można śmiało, że telegraf czyni podobnym ów uniwersalny język, o którym marzyli filozofowie, a ileż z tój potęgi wyniknie jeszcze rzeczy, o których im się nie śniło!

Przejście od telegrafów do zegarów elektrycznych jest bardzo naturalne. W poprzedniej korespondencyi wspominaliśmy o nich, mówiąc o sztuce zegarniczėj w ogóle; przecież idąc za układem wystawy, gdzie też same przedmioty odnajdują się po kilka razy, wracamy i my do zegarów elektrycznych, aby dać o nich szczegółowsze sprawozdanie.

Oddawna zegarmistrzowstwo rozmyślało napróżno nad sposobami, któreby dały zegarom równoczesność chodu. Gdy-

by można było za pomocą nici lub łańcuszka połączyć skazówkę jednego zegara z indexem drugiego, jednoczesność ruchu byłaby otrzymana; ale długość, ciężar i bezwładność nici, sprzeciwiają się temu. Tylko elektryczność, ten cudowny czynnik, dla którego nie ma odległości, a który do działania swego czasu nie potrzebuje, mógł rozwiązać zadanie.

Zwykły zegar ma penduł wiszący, albo dwu-ramienne wahadło oscylujące na osi, które regulowane jest przez parcie sprężyny i zwykle wybija sekundy za każdą oscylacją. Przy obu końcach kursu wahadła, można umieścić dwie blaszki metalowe, którychby wahadło dotykało się, dochodząc do kresu oscylacji. Jeżeli do tych blaszek są przyczepione końce drutu idącego od stosu Wolty, to widoczne jest, że wahadło z metalu jako dobry przewodnik elektryczności, będzie przeprowadzać prąd elektryczny za każdym dotknięciem się blaszek, i przerywać go za każdym oddaleniem się od nich. Za każdą oscylacją wahadła, będziemy mieli przeprowadzenie i przerwanie prądu. Przypuśćmy teraz, że drut (konduktor) stosu Wolty, idąc od tak urządzonego zegara, dochodzi w jakiejś odległości do cyferblatu opatrzonego dwoma indexami; że te indexy mają sprężynę lub wagę, która je co chwila o jeden krok popchnąć może; że sprężyna lub waga jest równoważona albo powstrzymywana przez kawałek żelaza; nakoniec, że ten kawałek żelaza leży naprzeciw magnesu, to jest miękkiego żelaza, które magnesuje się za każdym przebiegiem prądu: obaczmy, co z tego układu wyniknąć musi: Gdy wahadło pierwszego zegaru przy końcu każdej oscylacji dopuści przepływu prądu elektrycznego przez konduktora, który podwójnie łączy obadwa cyferblaty, magnes odległego zegaru staje się czynnym, i przyciąga ów kawałek żelaza (który w fizyce *uzbrojeniem* się zowie) będący naprzeciw niego; usuwające się uzbrojenie dozwała, ażeby kółko z indexami uległo parciu sprężyny lub wagi, i postąpiło o krok, a indexa o sekundę na cyferblacie. Ale wahadło odchodząc od blaszek, przerywa natychmiast prąd elektryczny; uzbrojenie staje się nieczynne, wraca na swoje miejsce, i utrzymuje nieruchomość indexów dopóty, dopóki wahadło nie przywróci powtórnie komunikacji ogólnemu przebiegowi prądu elektrycznego. Wahadło na sekundę robi jedną oscylację, więc co sekunda prąd udziela ruchu drugiemu zegarowi, który tym sposobem odbija jak zwierciadło postęp indexów zegaru głównego.



Co się powiedziało o dwóch, stosuje się do wielu zegarów. Konduktor wychodzący ze stosu Wolty przy głównym zegarze, przebiegać może przez tyle zegarów ile się podoba, i następnie wraca do przeciwnego bieguna tegoż stosu: bo żeby prąd elektryczny istniał, potrzeba komunikacji między dwoma biegunami; wahadło przerywa i przywraca ją co chwila. Widzimy, że mierzenie czasu za pomocą elektryczności polega na tej samej zasadzie co telegrafy. W telegrafii ręka człowieka przerywa lub otwiera wolny przebieg prądowi elektrycznemu, i działa tym sposobem na magnes odległej stacyi; w zegarach wahadło zastępuje rękę człowieka, i przez równe oscyllacje, co sekunda otwiera przebieg prądowi. Telegrafy przesyłają myśli, zegary czas sobie telegrafują.

Za pomocą jednego rzeczywistego zegara, można przesyłać godzinę, minutę i sekundę cyferblatom placów publicznych, sal wielkiego budynku, lub pokoikom małego domku: wszędzie tej samej chwili odbijać się będzie obraz godziny, którą główny zegar pokazuje. Gdyby zegarem przesyłającym godziny był chronometr, który w obserwatoryum znajduje się przy lunecie południkowej, w takim razie całe miasto miałoby miarę czasu równie regularną, jak dotąd sami dyrektorowie obserwatoryj, przy bardzo kosztownych chronometrach, mają ją dla siebie. Pożytek z dokładnej i na każdym punkcie jednakięj miary czasu jest widocznym nie tylko na kolejach żelaznych, pocztach, biurach, fabrykach; ale i w życiu domowém. Dotąd po miastach rozprawdzano rurami podziemnymi wodę do picia i gaz do oświetlania, dwie potrzeby życia; teraz rozprawdzony będzie czas, to jest miara życia.

Znakomity fizyk pan Steinheil z Monachium, pierwszy roku 1839 zrealizował myśl przesyłania czasu za pomocą elektryczności. Zaraz 1840 r. wynalazek rozpowszechnił się w Londynie, bo Anglicy nie ograniczając się na płonnej admiracyi, uważają sobie za punkt honoru, żeby wszystko cokolwiek na świecie odkryto lub wynaleziono, co rychlej u nich było wykonane.

To, cośmy powiedzieli, jest dopiero pierwszą fazą zegarów elektrycznych. Teraz ta ważna gałąź fizyki zastosowanej postąpiła znacznie. Umiejętności mają to do siebie, że przy najszybszym rozwoju nie prowadzą nigdy do ostatecznego rozwiązania: zawsze dopełniony postęp służy tylko do przygotowania

drogi nowemu postępowi — we wszystkiém widać nieskończoność.

Znacznyto już był rezultat, że można było za pomocą jednego zegara znaczyć godziny na wielu cyferblatach. Ale i ten jeden zegar mógłby być nieregularnym; gdyby przypadkiem w chodzie się zatrzymał, tysiące innych stanęłoby naraz: więc go usunięto. Jakby chodziło o całkowitą zagubę zegarmistrzów, osądzono, że i jeden regulator jeżeli ma być dokładny, jest jeszcze zadrogi.

Złożono więc zegar, któremu ruch nadaje sama elektryczność; ten chronometr elektryczny przesyła godziny innym cyferblatom za pomocą drutów tak jak dawniej. Jakim sposobem elektryczność zastąpiła liczne kółka, które dokładny zegar składają, to nam objaśnić wypada.

Dwie są przyczyny nieregularności zwykłych zegarów: wydłużanie lub skracanie się pendułu wedle zmiany temperatury, i niejednaki impuls, który sprężyna za pośrednictwem kółek nadaje wahadłu lub pendułowi. Zadaniem więc zegarów elektrycznych jest usunięcie całego mechanizmu zegarkowego, a zastąpienie go przez siłę, któraby regularnie poruszała wahadło. Siłą tą jest elektro-magnetyzm. Ponieważ elektryczność działając na żelazo, sprawia skutek mechaniczny, to jest ruch: widoczném więc jest, że elektro-magnes umieszczony stosownie, może przyciągać wahadło (które na ten cel ma jedną część żelazną) i utrzymywać ciągle jego oscyllacye. Tak zrobiony zegar nie potrzebuje sprężyn, kółek ani nakręcania; dostatecznym jest odmieniacz w kilka miesięcy cynk i kwas stosu Wolty, ażeby nie słabnął prąd elektryczny, który budzi siłę przyciągającą elektro-magnesu.

Początkowo elektro-magnes działał wprost na wahadło, ale to urządzenie było niedobre z tego powodu, że i elektryczność raz z większą, drugi raz z mniejszą mocą działa wedle siły stosu. Dopóki stos Wolty poruszał bezpośrednio wahadło, ruch jego musiał być bardzo niestateczny; potrzeba było wynaléźć jakiego pośrednika, któryby przyjmując działanie elektro-magnesu, regulował je i oddawał wahadłu. Wrócono więc do sprężyny, ale bardzo pojedynczej i takiej, że jakkolwiek siłę elektro-magnes wywiera, ona zawsze rozciąga się i ściąga o jedną ilość, i tak ujednostajniony ruch komunikuje wahadłu.

Wszakże metal z którego sprężyna jest zrobiona, zmienia objętość w pewnym stosunku do temperatury; dlatego w ostatecznym ulepszeniu zastąpiono sprężynę przez ciężarek (wagę), który jest podnoszony przez elektro-magnes i upuszczany w chwili, kiedy tenże działać nań przestaje. Ciężarek spadając, daje impuls wahadłu, a że wysokość z której spada jest zawsze jednaka, więc i impuls zawsze ten sam. Można powiedzieć, że wahadło ma oscylacje bezwzględnie jednostajne.

Wszystkie zegary elektryczne na wystawie są zrobione podług ostatniego systemu, nie mają dawnego mechanizmu zegarowego i nie potrzebują nakręcania.

Między zegarmistrzami, którzy robią zegary elektryczne, najrzęczniejszy jest pan Froment. Z podziwieniem patrzy się na jego małe zegarek, który przysyła ruch trzem ogromnym cyferblatom (sześć stóp średnicy), znaczącym godziny, minuty i sekundy. Indexa które pokazują sekundy, mają chód wyraźny; z precyzją zatrzymują się na każdej podziałce. Pan Froment nie używa wagi ani sprężyny do posuwania skazówek: w zegarach jego uzbrojenie elektro-magnesu pobudzone do ruchu w chwili przepływu elektryczności, działa na małe kółko zębate, do którego są przytwierdzone skazówki.

Pań Vérité z Beauvais, który jeden z pierwszych zaczął używać wagi do poruszania wahadła, wystawił zegar podobny innym co do zasady, ale odmienny w wykonaniu. Waga, która daje popęd wahadłu, ma formę dzwoneczka; zawieszona na nici srebrnej, nie spada, ale kładzie się łagodnie na wahadle poziomem. Kiedy waga jest w tém położeniu, przywraca się prąd elektryczny, przez co elektro-magnes stając się czynnym, zniża drążek, na którym wisi dzwonek, i dozwala mu ciężarem swoim popchnąć wahadło. Po usunięciu się wahadła, zetknięcie ustaje; prąd elektryczny przerywa się dopóty, dopóki przeciwna strona wahadła nie napotka drugiego dzwonka, który jest symetrycznie położony względem pierwszego. Inne zegary pana Vérité odznaczają się wielką elegancją roboty: wszakże, co się tyczy dokładności, są one mniej dobre od zegarów pana Froment.

Pan Garnier, zegarmistrz paryzki, który wszystkie koleje francuzkie zaopatrzył w zegary elektryczne, używa jeszcze dawnego mechanizmu zegarowego. Sławny kuglarz paryzki Ro-

bert Houdin wymyślił odmienny system zegarów elektrycznych; odmiana atoli, którą wprowadził, nie jest bardzo szczęśliwa, za to taniość jest nadzwyczajna: wspólnie z zegarmistrzem Detouche sprzedają swoje zegary elektryczne po 60 franków.

Widzimy, że miara czasu za pomocą elektryczności nie jest już w kolebce, jak to sobie wiele osób wyobraża; dzisiaj chodzi tylko o zastosowanie jej powszechnie i na wielką skalę. Jeden zegar elektryczny pana Froment idzie już ośm lat bez najmniejszej przerwy, i przesyła oznakę czasu licznym cyferblatom, które się znajdują w każdym pokoju jego ogromnej fabryki. Zegar astronomiczny w Greenwich, z obserwatorium przesyła godziny do Londynu, a żeby mieszkańcy przynajmniej raz na dzień swoje zegarki regulować mogli, z kopuły urzędu telegraficznego wznosi się co południe balon, który od całego miasta widziany być może.

W Lipsku już w 1850 roku pp. Storer i Szolle postarali się u rządu o przywilój opatrzenia miasta tym wynalazkiem chronometrycznym. Domy i ulice podzielili na grupy: każda grupa ma swój drut, który zewnątrz lub wewnątrz domów przebiega, odnogi swoje posyłając do najmniejszych mieszkań. Końce konduktora schodzą się przy zegarze głównym, który jest w magistracie miasta. Za kilka złotych opłacanych rocznie, mieszkańiec wiedzieć może godzinę, minutę i sekundę z astronomiczną dokładnością. Sam zaś zegar elektryczny z łokciowym cyferblatem, kosztuje w Lipsku nie więcej jak 15 do 20 talarów.

W Gand elektryczność znaczy godziny na cyferblatach, które zarazem są szybami latarni gazowych; w dzień i w nocy na latarni widać godzinę. W Paryżu znaczniejsze budynki, szczególnie te, które się obecnie wznoszą, otrzymują zegary elektryczne. W świeżo otworzonym olbrzymim hotelu Luwru, wielką mnogość indexów porusza jeden zegar elektryczny. W seminarjum w Beauvais pan Vérité zaprowadził zegar elektryczny, który pokazuje godziny na 32 cyferblatach: jedne z nich są wieżowe, inne pokojowe. Cyferblat opatrzony dzwonkiem, budzi cały dom o piątą z rana; ten, który jest w mieszkaniu ekonomy znaczy dnie, święta, miesiące, odmiany księżyca i t. d. Ażeby służba domu Bożego pełniona była z akuratnością, jeden aparat uwiadamia przełożonego na kilka minut piérwój o różnych zatrudnieniach podwładnych, które on w danych chwilach ma

kontrolować. Konduktor od stosu Wolty i zegara głównego, obiegający te wszystkie cyferblaty, ma kilka tysięcy łokci długości.

Przy zastosowaniu tego wynalazku na większą jeszcze skalę, konduktor jest żelazny, pobielany cynkiem, i w rurkach z asfaltu lub gutaperki przechodzi popod budynkiem, lub jest przyczepiony do sklepienia kanału, tam, gdzie kanalizacja miasta jest więcej rozwinięta, lub nakoniec biegnie obok rur gaz rozprawiających. Oprócz stosu Wolty, który jest przy zegarze głównym, inne wzmacniają prąd elektryczny na stacjach, jeżeli takowych wymaga bardzo wielka długość konduktora.

Mówiąc o drukarni pominęliśmy kilka nowych pomysłów, których próbki dopiero później na wystawę nadesłano. Takim jest naprzykład sztych, wyobrażający pomnik Gutenberga, a który w pracowni pana Plon złożył jeden robotnik z drucików, które wyginał i przerywał tak, jak tego linie i kontury rysunku wymagały. Złożył tym sposobem kasztę, która pozwoliła wydrukować portret, zamiast go sztychować.

Jest także wiele ręcznych pras, które służą do odtłaczania liści na ołowiu: roślinna tkanka liścia lub kwiatka, ma jeszcze dość twardości, aby jak najdokładniej wszystkie swoje rysy odtłoczyć na ołowiu; odcisk przeniesiony na papier ma dokładność natury. Gabinety i nauka botaniki ogromne znajdują ułatwienie w tym wynalazku.

Mniej świetnym, ale nierównie ważniejszym pomysłem jest mechanizm amerykański Sörensena, który służy zarazem do rozkładania czcionków i do składania.

Przyrząd cały stanowi podwójny cylinder pionowy, złożony z tyłu pręcików mosiężnych, ile jest liter alfabetu i znaków pierskich; między pręcikami są przedziały. Każdy pręcik ma listewkę, która pasuje do narznięcia na czcionce. Wierzchnia część cylindra jest ruchoma i obraca się ponad dolną, za pomocą pedału, który działa w ten sposób, że bęben wierzchni zatrzymuje się w obrocie, ile razy listewki jego pionowe zbiegają się z odpowiednimi listewkami dolnego bębna.

Czcionki które potrzeba sortować, kładą się w rowki cylindra wierzchniego; pręciki które go składają, mają z jednej strony listewki w kształcie jaskółczego ogona, które przystają do odpowiednich karbów czyli fug na czcionkach. Podobne listewki mają także w całej swjej długości pręciki spodniego cylin-

dra. Ale każdy rowek dolnego bębna ma, jak zamek, przy otworze gardę, to jest wyrznięcie takie, że części wyskakujące otworu, odpowiadają właśnie karbom jednej litery, na przykład *A*, inne odpowiadają literze *B* i t. d.; tym sposobem oznaczona tylko litera może wpaść do swego rowka; mijając tę gardę, podczas kiedy się zwierzchni cylinder obraca, każda czcionka musi nareszcie znaleźć odpowiedni sobie rowek w dolnym cylindrze.

Skoro w spodnim cylindrze jest już dostateczna liczba czcionek rozgatunkowanych alfabetycznie (to jest że każda litera zajmuje odpowiedni sobie rowek), a w wierzchnim są zawsze czcionki do rozebrania; zecer siada przed klawiaturą, która jest u dołu całego przyrządu: uderzając wedle manuskryptu palcem klawisze, z których każdy odpowiada innej głosce, czcionka z rowku spada do kanału prowadzącego do winkelaka, i tu zabiera miejsce jakie jej naznaczył palec zecera; ten nogą przyciska równocześnie pedał i gatunkuje czcionki znajdujące się w wierzchnim cylindrze. Wychodząca z maszyny linia ułożonych czcionków, na kilka łokci długa, potrzebuje być połączoną na wiersze, co już rękami się uskutecznia.

Czcionki których używano na wystawie, były własnością drukarni dziennika kopenhagskiego *Foedertomder*: w drukarni tej jest maszyna Sörensona. Czcionki do przyrządu Sörensona potrzebne, mają kształt osobny: jedna litera od drugiej różni się narznięciem, także liczbą i ułożeniem karbów, służących do sortowania w wierzchnim bębnie; wszystkie mają jeszcze wspólne jedno narznięcie w kształcie jaskółczego ogona, odpowiadające zawsze jednakiem listewkom dolnego bębna.

Już w roku 1842 baron Séguin zdawał sprawę Akademii nauk z podobnego wynalazku pana Gaubert: rzecz ta w swoim czasie wielki miała rozgłos. Później p. Delcambre na wystawach francuzkich 1844 i 49 r. pokazał maszynę zbliżoną układem do tej, o której mówimy. Ale wszystkie poprzednie wynalazki stosowały się tylko do *składania* czcionek. Piérwszy Sörenson w jednym przyrządzie bardzo małych rozmiarów, połączył dwie wprost przeciwne operacye rozkładania i składania, to jest: *dystrybucyi* i *kompozycyi*.

— Fabrykanci dywanów najwięcej się przyczynili do ozdoby pałacu wystawy; zamiast zgromadzić wyroby swoje na jednej przestrzeni jak inne produkta przemysłowe, rozwiesili je

po całym gmachu: w każdym zakątku napotyka je przechodzień. Zdobią one wyniosłe mury sal dolnych, przejścia do pobocznych galeryj, schody na wyższe piętro: cała rotunda od góry do dołu jest nimi wysłana. Co krok wabią oczy świetnością kolorów i nowe odświeżają desenie zawsze piękne a rozmaite, bo przez rozmaite narody układane. Dywany wschodnie, francuzkie, angielskie, belgijskie, pruskie, austriackie i holenderskie, pomieszane razem i rozwieszane we właściwém świetle i miejscu, stanowią jakby płaszcz monarszy, w który drapuje się cały pałac wystawy.

Taki układ prócz że odpowiada zupełnie wymaganiom estetyki, ułatwia niezmiernie porównanie i pogląd na ten wyrób ze stanowiska przemysłowego; wykazuje ile który naród rozwinął tę piękną gałąź przemysłu, ile zniżeniem ceny fabrykatu dopomógł do pożądanego rozpowszechnienia dywanów, które nietylko do ozdoby mieszkań, ale i do zdrowia mieszkańców wiele się przyczyniają.

Francya najpierw z wszystkich narodów zaczęła się zajmować wyrabianiem przednich dywanów, tak zwanych *haute lisse*. Odwieczna fabryka takich tkanin, jedyna wtedy we Francyi, produkująca bardzo mierne wyroby na sposób flamandzki, z rozkazu Ludwika XIV przeniesiona została 6 czerw. 1662 roku do zakupionego na ten cel domu, który od nazwiska dawnego właściciela przezwano: *Maison Gobelins*. Ztąd wzięły nazwisko gobeliny.

Fabryka ta oddana pod zarząd Colbertowi słynnemu dobroczyńcy francuzkiego handlu, niezadługo pod szczególną pieczę jego zaczęła się doskonalić i na coraz obszerniejszą produkować skalę. Mając sobie także poruczone upiększenie królewskich pałaców, Colbert zgadł jak wielką będzie mu pomocą w tém zadaniu fabryka gobelinów: postanowił przeto posunąć ją jak tylko można najwyżej, a chcąc uprościć sobie dozorowanie wszystkich artystów i rzemieślników, którym wykonywać kazał ozdoby do królewskich gmachów przeznaczone, zgromadził wszystkich w obszerném domostwie gobelinów, które przez długi czas było jakby artystyczno-rzemieślniczym bazarem, mieszczącym w sobie pracownie malarzy, rzeźbiarzy, snycerzy, kamieniarzy, złotników, zegarmistrzów, tokarzy, stolarzów, i t. d. Fabryka zaś dywanów została oddana pod zarząd Lebruna, pierwszego malarza królewskiego.

Ale nietylko sam Lebrun zajmował się malowaniem wzorów, które reprodukowac miała wzrastająca coraz fabryka gobelinów; 50 znakomitych naówczas malarzy pomagało mu w tej pracy. Wedle wydanych przez nich kartonów, od roku 1662 do 1690 wyrobiono do królewskich pokoi w fabryce gobelinów 4,110 metrów kwadratowych materji na obicia ścienne (*haute lisse*) i tyleż późniejszej makaty, zwanój *basse lisse*; prócz tego wykonano tamże mnóstwo wspaniałych dywanów, portier i obić na meble, któremi ozdobiono monarsze gmachy Luwru i Wersalu.

Fabryka gobelinów wzrastała i kwitła pod przywództwem Lebruna, a następnie Mignarda aż do 1694 roku. W tym czasie z powodu wyczerpanego wojnami skarbu, obstalunki królewskie prawie ustały, dygnitarze państwa także ograniczyli swoje wydatki, tak, że fabryka zbytku wpadła w suchoty i większą połowę robotników, jako nieużytecznych, oddaliła. W widocznym upadku wlokła swój żywot przez dwa panowania Ludwika XV i XVI, aż w końcu podczas wielkiej rewolucji 1793 r. zamkniętą zastała.

Otwarta na nowo za restauracyi, do dawnego powróciła blasku i odtąd aż do dni naszych coraz nowemi bogacąc się wynalazkami, stanęła najwyżej ze wszystkich i doszła do sławy jakiej na całym świecie słusznie używa.

Fabryka Aubusson mniej sławna i mniej artystyczna od fabryki gobelinów, bo nie wyrabia obrazów, ma tę zasługę, że jest kolebką sztuki robienia dywanów w Europie, któryto przemysł, jak również umiejętność robienia szalów kaszemirowych, przyszedł do nas ze Wschodu. Początek jej podobny do wszystkich początków.

Saraceni, którzy w VII i VIII wieku część Francyi zajęli, pierwsi nauczyli ją tego rzemiosła. Po walnej bitwie, jaką im wydali krajowcy, garstka rozbitków pozostałych z mnogiej niegdyś hordy Saracenów, osiadła w mieście Aubusson, ukrytém między wzgórzami środkowej Francyi, i tam spokojnie rozpoczęła swoje rodzinne rzemiosło, do którego powoli zaczęli się garnąć ludzie miejscowi, aż w końcu maleńka rękodzielnia rozrosła się w ogromną fabrykę, która wyroby swoje nietylko po Francyi, ale po całym świecie rozsyła.

Kilkakrotnie otrzymawszy nagrody na dawniejszych wystawach krajowych, fabryka Aubusson na wystawie powszech-



nój nie rywalizuje już z innemi, bo jój naczelnik pan Sallandrouze de Lamornaix zasiada pomiędzy sędziami w Radzie naczynającej nagrody.

Ze wszystkich fabryk francuzkich, aubussońska produkuje najwięcej; rocznie sprzedaż jój wyrobów przenosi 3,000,000 franków. Nie jestto atoli jeden dom fabryczny, jakby to z nazwy sądzić można: całe miasto Aubusson jest wielkim warsztatem, przykłada się do pracy i bierze udział w ogólnych zyskach: każdy bowiem jego mieszkaniec tém rzemiosłem się trudni.

Wyroby aubussońskie po gobelinowych obrazach i obiciach z cesarskiej fabryki Beauvais, najśmieliej wkraczają w dziedzinę sztuk pięknych; a jeżeli nie dorównywają dwom powyższym fabrykom to dlatego jedynie, że nakłady swoje stosować muszą do przychodu, to jest wyrabiać materye, którychby cena nie przechodziła możliwości kupujących. Dywany aubussońskie po większej części nie są kosmate, ale gładkie, tak zwane *tapis ras*, w powszechném użyciu będące. Prócz tych robią także i zbytłowne długo-włose (genre de la Savonnerie). Ten rodzaj dywanów jest bardzo kosztowny, ale zato niezmiernie trwałe: prócz bowiem że farba wełny wyborna, każdy ścieg z których tworzy się aksamit, przytwierdzony jest pod spodem węzełkiem, niedozwalającym wyprówać się nitkom. Nie mówię już o doborze kolorów i piękności rysunku, bo obie te zalety tak są nieodłączne od francuzkich towarów, że zbytłownie byłoby nad niemi się rozwodzić.

Nie porównywając dywanów zagranicznych z wyrobami fabryk cesarskich Gobelin i Beauvais, jako będących wyjątkowej piękności i niejako nie należących do handlu: jeszcze w tój gałęzi przemysłu Francyi przysądzić wypada pierwszeństwo. Miasta Nimes, Tourcoing, Amiens, Abbeville i t. d. nadesłały wyroby, które przewyższają wszystkie inne żywością kolorów, deseniem i miękkością wełny. Sama tylko belgijska rządowa fabryka Tournai dorównywa francuzkim, i tak do nich się zbliża co do gustu i sposobu roboty, że różnica prawie jest nieujętą,

W wystawie austryackiej najpiękniejsze kobierce wystawił pan Filip Haas z Wiednia. Ale jeden z tutejszych fabrykantów głośno się uskarża, że znajdujące się na tych dywanach desenie, były kryjomo z jego fabryk do Wiednia posłane; zatóm pochwała kompozycyi, która jest ich główną zaletą, nie

Wiedniowi, ale Paryżowi się przynależy, dopóki obwiniony fabrykant od zarzutu się nie uwolni.

Dywany pruskie nadesłane przez panów Praetorius i Protzen, dwóch berlińskich fabrykantów, stoją na równi z wiedeńskimi. Aczkolwiek błedną nieco obok francuzkich, niektóre są bardzo ładne, a mięsistość ich i grubość dobrze świadczą o trwałości.

Van Alphen, Holender, wystawił nowego rodzaju kobierce, robione z krowiej pilśni; nie są one piękne, ale tanie i bardzo mocne. W Niemczech probowano już podobno mieszać pilśń do wełny przeznaczonęj na tkanie dywanów, ale samęj pilśni nigdy nie używano z powodu trudności jęj przedzenia. Holenderski fabrykant za pomocą umyślnie na ten cel wymyślonęj przedzalni usunął wszelkie zawady, i przysłał owoc swęj pracy, który z powodu taniości zapewne wkrótce się rozpowszechni.

Oddawszy słuszne pochwały dywanom francuzkim, które pięknością wszystkie inne przenoszą, wyznać potrzeba, iż mają jednę wielką wadę: są najdroższe ze wszystkich; angielskie zaś najtańsze. Przyczyna, tego leży nie tyle w cenie wełny, którą Francuzi drożęj kupować muszą, jak raczęj w zamożności fabrykantów i obszerniejszém polu handlowém Anglików. Sam jeden zakład pana Crossey w Halifax produkuje rocznie więcéj niż wszystkie francuzkie fabryki razem, a wiadomo jest, że im fabryka produkuje więcéj, tém taniej wyroby swoje pozbywać może.

Nadto, dywany angielskie nie podlegają modzie jak tutejsze; fabrykanci nie są smuszeni zmieniać co chwila deseni i kolorów. Krajowa i zagraniczna klientela angielska nie jest wymagająca. Anglik kupujący kobierzec nie zważa czy desień na nim nowy, czy istniał już zeszłego roku. Niejedna fabryka wyrabia przez lat 15 i 20 dywany, nie zmieniawszy w nich jednęj nitki, i dlatego niemniej dobrze je sprzedaje. Tym sposobem odpadają nakładcom ogromne summy, które tutejsi fabrykanci rysownikom płacić muszą. Kilka znaczniejszych fabryk we Francyi wydaje na ten cel rocznie po 50, do 60,000 fr. a często więcéj; w Anglii dziesięć razy większy zakład zaledwie 12,000 rysownikom płaci.

Nie na tém koniec: jednostajna produkcyja łatwo mechanicznym sposobem prowadzić się daje. Maszyny parowe od dawna zastąpiły w fabrykach dywanów angielskich ręce ludzkie,

kiedy we Francyi dotąd w téj gałęzi przemysłu nie używają maszyn. Wprawa doprowadziła Anglików do znamienitych ulepszeń, mianowicie téż nowo wynaleziony środek uprościł niesłychanie robotę dywanów. Zasada się on na *drukowaniu* deseni po wyrobieniu dywana; zwyczajnie takowe są wrabiane odrazu na warsztacie. Jestto nietylko nadzwyczajna oszczędność czasu, ale i farby, gdyż mniej potrzeba jej na odbicie deseni niż na ufarbowanie nici do wyrobienia go. W robocie takich dywanów nie ma żadnego zawikłania: kolor jest jeden, a robota takąż sama jak płótna. Tak uproszczony sposób dozwala wyrabiać na jednym warsztacie 20 metrów dziennie; francuzkie zaś ręczne warsztaty zaledwie trzy na dzień wyrabiają. Wyjątkowa taniość powyższych dywanów sprawia, iż mimo nie-trwałości swojej, licznych znajdują nabywców.

Angielski wynalazek drukowania kobierców, który Francuzi niezwłocznie przyjęli, przyczyni się niezmiernie do rozpowszechnienia ich na stałym lądzie: dotąd nawet we Francyi były one w użyciu tylko małej liczby zamożnych. Na 36,000,000 Francuzów, zaledwie 1,000,000 ma w mieszkaniach swoich dywany. W Anglii stosunek jest odwrotny; tam dywany spotkać można wszędzie, zarówno używa ich wieśniak, wyrobnik i kupiec, panowie zaścieniają nimi domy swoje od piwnic aż do strychu. Jakkolwiek klimat kontynentalny mniej jest wilgotny niż angielski, przeto brak dywanów mniej się na nim czuć daje: jednakowoż sądząc po skwapliwości z jaką każdy z nowego wynalazku korzysta, wnosić wypada, że gust dywanów jest powszechny, tylko na sposobach zaspokojenia go zbywało.

(Dalszy ciąg w przysłym numerze).

## WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH.

### VII.

Teodor Rousseau, Bellel, Rosa Bonheur, Isabey, Diaz. — Zamknięcie wystawy.

Pomiędzy ważnemi przysługami, jakie Jan Jakób Rousseau oddał ludzkości, policzyć należy zwrócenie uwagi powszechnéj na piękności natury. Autor *Nowej Holoizy* piérwszy dopatrzył istnienia lasów, łąk i jezior, na które nikt przed nim nie zważał, mimo nieustajacéj ich wystawy od lat 6,000.

Sztuka piękna u starożytnych zajmowała się wyłącznie człowiekiem, i to człowiekiem idealizowanym, który swęj formy używał bożyszczom. Najprzód przedstawiano bogów, potem półbogów i bohaterów: ludzi zwyczajnych zaczęto malować daleko później, a pejzażów nie znano wcale.

W XVIII wieku natura weszła w użycie jako przyprawa do ozdobienia myśli. Zdrój w ówczesném znaczeniu tego słowa, znaczył Najadę opartą na wywróconej urnie, z której płynęła woda; laur był suknią przemienionęj w drzewo Dafny; skała, mieszkaniem Nimfy; łąka, salonem Rusałki: cała przyroda była tylko teatralną estradą, na której odgrywały się mitologiczne dramata. Nikomu nie przyszło na myśl malować lazurowe błękity Genewskiego jeziora zarumienione jutrzeńką; góry w śniegowym wianku; drżące w powietrzu drzewa, co długie cienie ścielą po murawie; zachodzące słońce co sypie światło jak dukaty przez szczeliny ciemnych szpalerów; strumienia szemrzącego na żwirowém posłaniu; chaty z omszonym dachem; wołów ciągnących do zagrody napełnione pachnącém sianem wozy; błyszczących wieczorem wśród pola ogni, przy których pastuszkowie kartofle pieką; niknących we mgle dalekich widoków, co napełniają duszę tęsknotą: wszystko to zdawało się nie godne pędzla, niedosyc szlachetne, niedosyc historyczne. Przyroda służyła czasem za tło obrazowi: nikt nie malował jęj dla nięj samęj.

Z początkiem XIX stulecia, ludzie przejrzawszy nieco przy pomocy genewskiego filozofa, łaskawiej zaczęli się przyglądać naturze; teraz zaś człowiek Zachodu zmęczony zbytciem cywilizacyi, rad chroni się na jęj łono. Podrażniony złością jednych, znudzony głupstwem drugich, w ogóle nie kontent z siebie i sobie podobnych istot, zachwyca się wszystkiém, co ani do niego, ani do nich niepodobne. W tęj biernęj kreacyi wynajduje tajemnicze pokrewieństwo z cierpieniem własném, rodzaj niemego współczucia na serdeczne tęsknoty, z których sobie samemu sprawy zdać nie umie.

Dlatego za naszych czasów pejzaże doszły do wysokięj doskonałości. Artyści tegocześni pojęli, że aby nadać sztuce normalne warunki istnienia i trwania, potrzeba ją poddać ideom i dążnościom swego czasu. Rafael, Michał Anioł, Tycian, Rubens i Rembrandt, niemal wszyscy mistrze starożytni wiednie czy bezwiednie stosowali się do tego prawa; mianowicie tęż

ten ostatni nietylko wiernie odbijał myśl swojej epoki, ale nadto w niektórych utworach miał jakoby widzenie przyszłości.

Zerwawszy z Parnasem, wyziębiwszy w sobie wrażenia wspomnień, które gorąco wierzącej szkole gotyckiej dostarczały wzorów; potrzeba było nadać sztuce nowoczesnej kierunek zgodny z duchem XIX wieku. W czasie ruchu romantycznego, który tak potężnie oddziaływał nietylko na sztuki piękne, ale na sposób myślenia społeczności francuzkiej, iż zdawało się, że cały stary porządek przewróci: malarze rzucili się do uplastyczniania nowych pojęć, nowych dogmatów; ale wnet o nieloice pierwszych, a niedostateczności drugich przekonani, zwrócili się do malowania natury, uznawszy ją za jedyną nieomylną boginią, mogącą zwątpiałych nową natchnąć wiarą.

Dziwnym trafem, jakby do imienia *Rousseau* przywiązana była moc nawracania ludzi na łono natury, Teodor Rousseau pierwszy z tłumu malarzy zwrócił się całą duszą do matki przyrody, pewny, że kto się w nią serdecznie wpatrzy, nie pobłądzi. Teodor Rousseau jest więc ojcem ogromnej szkoły nowoczesnych pejzażystów francuzkich. Pędzel jego prosty i nie przesadnie-idealny podnosi ducha, a pośród mnóstwa przedmiotów krwawych lub bolesnych, których dla łatwiejszego efektu wyszukują malarze, daje patrzącemu miły i upragniony odpoczynek.

*Bagnisko* jest zapewne najlepszym dziełem tego artysty. Trzoda bydła przebywa trzęsawiska, skubiąc trawę moknącą w stojącej wodzie; opodal widać mały lasek oświecony promieniem zachodzącego słońca. W głębi białawe chmury mieszają się z pasmem gór dalekich; lekka mgła powstająca z wody zaciemnia niebo; na pierwszym planie tatarak, trzcina i wodne kwiaty rosną jak żywe. Cały obraz zalewa cisza i niewysłowiona tęsknota.

*Wybrzeża Granvillu* dają dokładne pojęcie o położeniu Normandyi. Rozległe pastwisko ciągnie się pochyło nad morzem, które spód obrazu zalewa. Zdale widać wioskę ukrytą w bukacie drzew; tu i owdzie sterczy skała naga, porośnięta rzadką wypaloną od słońca trawą. Ustron tę cechuje dziwna powaga, wyrażona głęboko harmonią nieba, ziemi i morza. Rozkład przypomina obrazy Hobbema i Ruysdaela, wykonanie dowodzi pilnego studyowania pejzażystów holenderskich.

*Lisière des Monts Gérard* stanowi część malowniczego lasu Fontainebleau, w którym artysta coraz to nowe wynajduje

piękności. Obraz przedstawia dzikie wzgórze; na jego szczycie rośnie dąb odwieczny, patriarcha lasu ze spiorunowaną głową i rozpostartymi szeroko rękami, co drżą w powietrzu wyciągnięte, jakby błogosławił młode pokolenia buków, brzoź i kasztanów, które tam u stóp jego wyrosły. Kamienista drożka wiję się po lesistym gruncie pomiędzy gęstą leszczyną i skałami. Chmurne niebo zapowiadające blizką burzę, dodaje dzikości tej pęsepnęj okolicy. Obraz cechuje siła właściwa pierwotnym dziełom: jest w nim wiele pociechy dla znużonego powszednią pracą człowieka, bo zwraca myśl jego na wiecznie trwałą piękność i ogrom przyrody, w obec której drobne zabiegi i kłopoty ludzkiej rodziny nader podrzędne się wydają,

Pomijając tysiące innych obrazów tegoż malarza, z których każdy zachwyca prawdą: dodam tylko, że Rousseau układa obraz jak Beethoven symfonią: przeprowadza go przez stopniowane odcienia i subtelne transformacje, odpowiednie przeobrażaniu natury, która nie przez kontrasty, ale przez zupełną harmonię do efektów dochodzi.

Bellel mniej świetny kolorysta niż Rousseau, lepszym jest rysownikiem. Nikt mu nie zrówna w powabnej dokładności z jaką oddaje każdy szczegół, podnosi choćby najdrobniejszą piękność krajobrazu. Nikt z większą znajomością rzeczy nie potrafi malować pęsepnęj fizynomii starych drzew, pogarbionych wiekiem, łysych i chropowatych, co krzywemi korzeniami, jak zaciśniętą konwulsyjnie ręką, uporczywie trzymają się ziemi; nikt śmielęj nie potrafi wyprowadzić w górę pnia dorodnego dębu i ubrać go we wspanialszą koronę. A jak rysuje skały nagie, lesiste wzgórze, jak żłobi kontury horyzontów, jak piętrzy góry, jak układa na niebie z chmur archipelagi: to się opowiedzieć nie da. Nic ładniejszego jak *pisane* peizaze, jeżeli ich genialna nie kreśli ręka: zawsze wydawały one nam się wtedy podobne do lekcyi poezyi. Dlatego w tém sprawozdaniu czytelnicy znajdą raczej katalog nazwisk najslawniejszych peizazyistów francuzkich, niż opisanie ich obrazów.

Ale jeszcze słów kilka o panu Bellel, którego rzadki talent na obszerniejszą zasługuje wzmiankę. Najznakomitsze dzieło jego na wystawie jest *Wspomnienie Włoch*, krajobraz widziany piérwszy raz na wystawie paryzkiej 1853 roku, o którym obszernie mówiliśmy w swoim czasie. Zaledwie bardzo długi i czysto specjalny opis mógłby wykazać czytelnikom za-

lety tego obrazu, którego jedynymi aktorami są drzewa, skały i woda płynąca po kamienistym gruncie; wyższość jego nad innemi którą odrazu dostrzega oko, w opowiadaniu znika. Dodamy więc tylko, że jak w salonie 1853 roku, tak na wystawie powszechnój *Wspomnienie Włoch* nie znalazło rywala, i wedle sądu znawców jest uważane za najpiękniejsze dzieło szkoły pejzażystów francuzkich.

*Ucieczka do Egiptu* tegoż artysty, napót tylko do pejzażów należy; jestto prawie obraz historyczny, aczkolwiek osoby mniejszą w nim grają rolę niż krajobraz. Święta rodzina przeprawia się przez rzekę, poza którą widać dalekie wzgórza; tu i owdzie rozsiane palmy kąpią się w różnym blasku wschodzącej jutrzeńki. Okolica dziwnie piękna, ale więcej do Grecyi niż do Palestyny lub Egiptu podobna.

Oprócz dwóch wymienionych było jeszcze na wystawie kilka obrazów Bellela, jakoto: *Okolice Neapolu* „gdzie kwitnie laur i cyprys cicho stoi”, a błękitne powietrze pełne złotój kurzawy cudnie odbija od szeroko rozpostartych ciemnych sosen, które tam jak słońco-chrony stoją, czekając na znużonego skwarem wędrowca: dziki zakątek lasu *Fontainebleau*, zdumiewający swą prawdą. Dalej *Normandya* opiewana w balladach zielone rozlacza smugi, na których gesto rozsiane sterczą stare zamczyska, i pasą się białe trzody—bogactwo rolnika. *Zmrok listopadowy* przejmując dreszczem i wywołuje wspomnienia strasznych dramatów; wreszcie *Widok jesieni* bogaty w efekta i kolory sztuczne, któremi zwykła się stroić jesień jak kokietka, co przetańcowała już wiosnę i lato swojego życia. Można by pisać sonety, elegie, ballady i sielanki, przypatrując się tym obrazom, w których natura schwytna na uczynku, tak zrozumiale mówi tłumaczona genialnym pędzlem artysty.

Kogoż postawić obok króla pejzażystów, żeby przejście znośném uczynić? Chyba kobietę: tém więcej, że w téj niewieściój formie mieszka prawdziwie męzki talent. Rosa Bonheur udarowana na wystawie powszechnój wielkim medalem piérwszój klasy, nie dla zabawki, ale na seryo zajmuje się sztuką; malarstwo nie jest dla niój robotą na kanwie cierpliwie zaszywaną drobnym ścięciem: mała jój rączka kreśli kontury i rzuca kolory, które z najsmielszemi dziełami artystów rywalizują. Jest ona znakomitą pejzażystką, ale przedewszystkiém celuje w malowaniu koni, które znawcy na równi z Wernetowskimi kładą.

Przed dwoma laty wystawiła *Jarmark na konie*, ogromny obraz i nadzwyczaj efektowny, który był ozdobą wystawy paryzkiej 1853 roku; dotąd jest on najlepszym dziełem Rosy. Wyobraża plac jarmarczny, po którym przeprowadzają przed kupującymi cały tabun koni normandzkich, których potężne formy, charakter i fizyonomia oddane są z rzadką doskonałością.

Nowy jój obraz *Siano-zbiór w Auverni* nie dorównywa poprzedniemu. Szafir nieba nieco zaciemny, kłóci się z jasną zielonością siana. Ta dysharmonia niezawodnie istnieje w naturze, bo inaczej nie znajdowałaby się na obrazie Rosy Bonheur, ale tą razą nieco fałszu nie zaszkodziłoby pewnie. Pominąwszy ten błąd, jeżeli błędem można nazwać zbyt dużą dokładność, wykonanie obrazu jest wyborne, a mianowicie téż woły rysowane i malowane są po mistrzowsku.

Wybitną cechą obrazów pana Isabey jest wdzięk i dowcip, nie iżby malował kalambury, albo wyszukiwał komicznych przedmiotów—bynajmniej; Isabey przestaje na pierwszym lepszym wzorze: Łódź porzucona na piasku, morskie bałwany bijące o brzeg skalisty, rybacy zarzucający sieci, wystarczą mu do stworzenia obrazu, który wrywają sobie lubownicy. Dowcipem w utworach jego nazywamy tę szczególną właściwość pędzla, która wszystko charakterystycznie ożywia, polituruje; ten gust dobry, który tak na płótnie jak w rozmowie nie dopuszcza niefortunnej myśli, ani niesmacznego konceptu. Natura przez niego tłumaczona nigdy nie jest płaska; kolory na jego obrazach odbijają od siebie wyborne, mienia się w oczach jakby paliły płótno; rzuty pędzla pewne i szybkie nadają przedmiotom właściwą wartość, ożywiając je zawsze jakąś ukrytą iskrą.

Ulubionym przedmiotem pana Isabey są widoki morskie. Chociaż w części należy on do malarzy rodzajowych, sławę swoją jednak zawdzięcza morzu. Jak czarnoksiężnik jednym skinieniem różdżki, tak on jednym rzutem pędzla wywołuje najstraszniejsze burze na oceanie, topi okręty, wydaje pełne grozy bitwy morskie, lub po równej jak zwierciadło fali, niekołysanej najłżejszym wiatru podmuchem, puszcza wążkie kaiki, lub weneckie gondole napełnione śmiechem i muzyką wesolego grona żeglarzy. Najslawniejszy utwór jego jest *le Combat du Texel*, w którym jako malarz marynarki szczytu doskonałości dosięgnął.

Szkoda, że Diaz przeniewierzył się naturze, bo jakkolwiek jego rodzajowym obrazom nie można zaprzeczyć wartości, to je-



dnak widoczna jest, że jako pejzażysta wyżej stoi. Gdyby chciał, przeszedłby zapewne najbieglejszych w tej sztuce, ale na nie-szczęście zaniedbuje wrodzony talent: natury używa teraz jedynie za tło dla ludzkich postaci. Kto zna jego dawniejsze dzieła, nie może być rad tej transformacji Diaza, bo któż lepiej od niego umie illuminować słońcem lasy, we mchy srebrne odziewać stare buki, zawieszając na murawie brylantowe krople rosy, ubierać skały w zielone aksamity, otwierać w zaroślach drogę, którą biegnie spłoszona sarna. Diaz wymalował tysiące takich widoków, ale żadnego nie dał na wystawę, uważając je za niewarte widzenia. Zamiast czarujących pejzaży w których znać rękę mistrza, wystawił obrazy *de genre*, na które nikt nie zwraca uwagi, bo tysiące lepszych wisi wokoło; ale to zwykły błąd ludzi, że nie czują w czym rzeczywiście są mocni, a upatrują swą siłę właśnie w najsłabszym punkcie. Opowiadają o malarzu Delacroix, że jak kto chwali jego obrazy, mało go to obchodzi; ale skoro powie że pięknie gra na skrzypcach, rzuca mu się na szyję. Trzeba wiedzieć, że gra zawsze fałszywie.

(Dalszy ciąg w przyszłym numerze).

---

Czytelnicy nasi, których przed sześcioma miesiącami wprowadziliśmy w rozwarłe podwoje pałacu wystawy, słusznie od nas domagać się mogą, żebyśmy im ceremonią zamknięcia opowiedzieli. Przerываяc przeto na dzisiaj dalszą podróż po galerii sztuk pięknych, zapraszamy ich z sobą do świątyni przemysłu, której, że nie zdołamy pokazać jaką była 15 listopada, w dniu rozdawania nagród, to przynajmniej spróbujemy wywołać jej cienia.

Nie będę tu opowiadać, co już po sto razy powtórzyły we wszystkich językach dzienniki: jak 40,000 łokci ponsowego aksamitu, oszytego złotą frandzlą, i dwa razy tyle sukna spadało w długich draperyach po wysokich ścianach nawy; jak sala wkoło zastawiona amfiteatrem ławek, mieszczących 40,000 ludzi, podobną była do rzymskiego Colizeum; jak górne galerye podzielone na łoże zmieniły się w girlandę postrojonych kobiet, ubarwionych wszystkimi kolorami tęczy i oświetlonych ogniem dyamentów; jak naprzeciwko głównej bramy wznosił się tron wspaniały, na którym zasiedli N. N. Państwo; jak przed tronem

defilowało 273 wystawców, z których każdy z rąk cesarskich otrzymał najwyższą nagrodę; jak tej processyi przygrywała armia muzykantów; co mówił książę Napoleon, co odpowiedział cesarz: wszystkie te szczegóły bowiem, jako wypadek dzienny, stugębna sława przez usta dziennikarzy już opowiedziała każdemu, kto chciał słuchać. Nam więc pozostaje tylko pożegnalny rzut oka na wyborowe dzieła przemysłu, o których staraliśmy się dać wyobrażenie czytelnikom; ostatnia wzmianka o obrazach sławnych mistrzów, które oglądaliśmy razem, a które na pożegnanie ukazały nam się ukoronowane.

Najpiękniejszą ozdobą sali, a raczej duszą jej była podwójna wystawa dzieł wybranych pomiędzy milionami płodów przemysłu i sztuki, które przepełniały obadwa pałace.

Naprzeciw szkarłatnego tronu, przy którym stały dwa przepyszne kryształowe kandelabry z huty Bacarat, równolegle od estrady przeznaczonój dla dostojników państwa, wznosiły się rzędem godła przemysłu, przeplatane olbrzymiemi bukietami kwiatów we wazonach z angielskiej porcelany. Poza tym szpale-rem rozłożono produkta exponentów, którzy otrzymali ordery lub wielkie honorowe medale.

Pomiędzy produktami po lewój stronie tronu, zauważaliśmy wyroby Froment-Meurica, prasę drukarską Edwin-Hilla, amerykańską maszynę Sörensena do składania czcionek, sewrskie i pruskie porcelany, brzozy i tkaniny angielskie, produkta towarzystwa min, wyroby żelazne różnych narodów, hiszpański tytuń w różnej formie, saskie i francuzkie instrumenta muzyczne i t. d. Po prawej, rozłożono mappy Francyi, lugduńskie materye, allansońskie koronki, płótna z fabryki Mulhouse, instrumenta chirurgiczne, zbytkowne bronie Delacoura, srebrne wyroby Christoffla, sukna z Elbeuf, gobeliny, makaty z Beauvais, brzozy Barbedienna, druki z drukarni cesarskiej i t. d. W końcu jakby pomnik przemysłowój chwały wznosiła się francuzka latarnia morska.

Poza wystawą przemysłową stał długi rząd posągów, a za nim na ścianie zawieszono obrazy.

Chociaż w poprzednich sprawozdaniach opisaliśmy szczegółowo wszystkie obrazy piérwszą udarowane nagrodą, spojrzjmy jeszcze poraz ostatni na ten kwiat nowoczesnego malarstwa, którego wspaniała korona wkrótce osypie się niepowrotnie; zatrzymajmy się chwilę przed dziełami dwóch mistrzów,

którzy są uosobieniem jego najwznioślejszych dążeń, a których utwory kontrastem swoim stwierdzają wielkość sztuki zawsze jednéj w zasadzie, a różnéj formą.

Prawą stronę zajął Ingres, stały wielbiciel piękności starożytnéj, naśladowca Fidiasza i Rafaela, skamieniały w swéj wierze artysta, samotny pośród szkoły francuzkiéj, żyjący wyłącznie na opustoszałém polu sztuki starożytnéj, gdzie błyszczy oślepiający na ludzką piękność ideał, z twarzą greckiego pół-boga. Wszyscy zwracali oczy na *apoteozę Homera*, owę schadzke wielkich mężów, gdzie nowocześni geniusze pokazują nam się jakby srogawani tchnieniem nieśmiertelnego piewcy trojańskiéj wojny, bo tylko twarze ich wyrażają myśl czasu w którym żyli: reszta ciała modeluje się na greckie marmury.

Obok *apoteozy Homera* jaśnieje *apoteoza Napoleona*, zdjęta z ratuszowego sufitu, owalną formą do starożytnéj kamei podobna. Dalej *męczeństwo świętego Symforyana*, święta tragedia w Kornelowskim stylu, rzymska grupa pełna siły i energii, ponad którą unosi się anielska postać Matki Chrześcianki, co nadludzką nawiedzona mocą, syna do męczeńskiéj śmierci zachęca. Przy Symforyanie Cherubini, wieńczony przez modro-oką muzę harmonii, i kartony fresków kaplicy Dreux, przypominające surową powagą utwory Michała Anioła.

Tuż obok jaki kontrast! W mgnieniu oka przenosisz się ze strefy umiarkowanéj pod równik. Na prawo panuje w obrazach najdoskonalsza poprawność, hamująca wszystkie zbyt śmiałe nieklassyczne ruchy; na lewo widzisz jakby huraganem łamane dzieła mistrza ruchu, namiętności, koloru i potężnych efektów: Eugeniusza Delacroix. Obrazy jego jakby ogromne okna otwarte na jakieś tajemnicze światy, pełne poezyi i zachwytu, przyciągały najliczniej chciwe wrażeń tłumy. Z przestrachem patrzano na *Rzeź Scio* spaloną gorączką i słońcem, oświeconą błękitnym firmamentem Wschodu, który swą pogodą zda się urągać ludzkiéj niedoli. Obraz ten, to wcielony poemat Lorda Byrona, pełen krwi, rozpacz i grozy, ofiar i rozbójników przybranych w azyatyckie ubiory z krzywymi szablami u boku; to jęczące pobojowisko oświecone z góry niebem jasnym i suchym jak oko sceptyka, którego nigdy łza litości nie wilży.

Obok téj strasznéj elegii postawiono *Sprawiedliwość Trajana*, jeden z tych tryumfalnych pochodów, w których układzie celuje Delacroix. Świetnie rozwinął tu swój koloryt

artysta. Gdzie spojrzysz spadają draperye, błyszczą zbroje, spinają się ogniste rumaki. Pośród tych postaci w przeróżne gnących się ruchy, pośród téj zachwycającej gry kolorów, wabi i ćmi zarazem oko płomienny pions niezrównanego blasku: ów sztandar kolorysty, który nad całym dziełem powiewa zwycięzko.

Daléj *Wjazd krzyżowców do Carogrodu*. Średniowieczny bohater Beaudoin na czele rycerstwa wjeżdża konno do Wschodniej stolicy. Obraz ten przypomina układem stare weneckie freski, przedstawiające Byzantyńskie miasta plądrowane przez korsarzy Archipelagu, gdzie artyści do klassycznego stylu mieszały nieco gotyckiej sztywności.

Obok, żelazną ręką trzymająca dwoje dzieci *Medea*, odwraca głowę jak doganiana przez strzelców zgłodniała wilczyca, co swoją zdobycz unosi w lasy. Malarz rzucił na tę czarną zbrodnię podwójny welon, który ją uszlachetnia: dał obrazowi styl i kolor. *Medea* ma fatalną piękność *Eumenidy*, a biust jéj nagi mocno oświecony, przywodzi na myśl *Nimfy Corregia*.

Pomiędzy szkołą *Ingra* i *Delacroix*, *Decamps* stworzył odrębną szkołę własną, w której panuje jak pasza w swoim paszalicu. Koroną jego dziesięciu wystawionych obrazów jest *Bitwa Cymbrów*, walka olbrzymów zmniejszona tak, żeby się zmieścić mogła w złote ramy, jak owe szatany *Milтона*, które się kurczą w karłów, żeby przejść mogły przez drzwi *Pandoemonium*. Ale dzieła sztuki nie łokciem się mierzą; miniatura nie raz większa jest od ogromnego obrazu, statuetka wyższa od kolosu. Zbliżka oko nie może rozwikłać *Bitwy Cymbrów*, nie może się rozpoznać w tym lesie dzid, proporców, ludzi, koni, i jeźdźców, tworzących jakby jedno ciało; ale oddaliwszy się nieco, zbite massy łamią się na potężne kolumny: widać szarżujące legie rzymskie, uciekające hordy barbarzyńców; widać wyraźnie groźną postać *Maryusza*, który jednym gestem pchnął ten huragan na wroga.

Daléj rozwieszono inne obrazy *Decampa*, które dawniej szczegółowo opisaliśmy, jakoto: *Wspomnienie Azji mniejszej: Turecką kawiarnię, Bazar Wschodni, Szkołę Turecką* i t. d. Przy tych wschodnich widokach ciągnie się jak okiem zasięgniesz pustynia, na której *Vernet* rozpostarł swoje *Smale*. Daléj olbrzymi karton *Corneliusa*: *Apokalipsa*, wizya na ogromne rozmiary oddana w niepewnych konturach, jak senne widzenie. Daléj pełne spokoju i miłego ciepła, rodzinne obrazy *Anglika*

Leysa i Landseera, przyjaciela zwierząt, którego jeleni rzucający się w jezioro przed pogonią zjadłej sfory, liczy się do najlepszych dzieł tego rodzaju. Rozpacz biednego zwierza, które podnosi piękną głowę ku zapadającemu w jezioro słońcu, jakby go prosząc, żeby przedź w zaszło, przejmuje smutkiem jak widok konania.

Oprócz wrażenia, jakie działało na wyobraźnię przez oczy, uderzone widokiem tylu arcydzieł, które już nigdy zapewne nie zejdą się pod jednym dachem: było jeszcze drugie niemniej wielkie, działające na czucie. Przepyszna muzyka wokalna złożona z 500... śpiewaków, i orkiestra nieznanych przedtym rozmiarów, złożona z 250 instrumentów dętych, 120 skrzypców, 40 wiolenczelli, 40 basetli i 35 harf.

Tą armią harmonii komenderował Berlioz za pomocą elektrycznego *Metronoma* z pięcioma odnogami, czyli przyrządu do wybijania taktu, zrobionego umyślnie dla tego koncertu w Bruxelli. Przyrząd ten komunikował rozkazy naczelnego wodza pięciu generałom dywizyi, którzy je kazali wykonywać wojsku.

Berlioz dowodzący tym monstrualnym koncertem był jakby elektryczny zegar harmonii, poruszający swą iskrą tysiące cyferblatów, tak, że szły wszystkie jak jeden chronometr.

Orkiestra jakiej dotąd jak świat światem nie było, wykonała same utwory wielkich mistrzów: chór z Mahabeuszów Haendela: Finał symfonii tryumfálnej Beethovena, rozłożony na dwa chóry i dwie orkiestry; chór z czwartego aktu Hugonotów (*sola* śpiewało dwudziestu-czterech basistów); modlitwa z Mojżesza Rossiniego z trzydziestą pięciu harfami, *Ave verum* Mozarta, i uwerturę z Freyschütza.

Efekt był niezrównany! Muzyka sławnych mistrzów podjęta przez tysiąc dobranych głosów i tysiąc instrumentów, co grały wszystkie jak jeden człowiek, doszła do najwyższej potęgi. Uwertura Webera szumiała po ogromnej sali jak nawałnica po lesie; Modlitwa Rossiniego brzmiała jak jęk błagalny całego narodu; symfonia Beethovena rozlewała przeczyste źródła harmonii: słowem, że dzień 15 listopada wyrzył się głęboko w duszy każdego artysty. Byłto prawdziwy bankiet dla umysłu, a dla serca święto, które *Malarstwo i Muzyka* wyprawiły wśród Pól Elizejskich na pożegnanie gości, co się tu zbiegli ze wszystkich stron świata.

# DZIECI.

## OBRAZEK NA ŚCIANĘ CHŁOPSKIEJ CHATY,

OFIAROWANY

pani Franciszce z Wilczyckich M.....

Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, jeżeli się nie staniecie jako te dzieciątka, nie wnikniecie do Królestwa Niebieskiego.

**P**ójdźcie Grzegorz, Walku a Staszku,  
Mój rówienniku, mój szary ptaszku;  
Wydarza nam się szczęśna godzina:  
Gwiazda na wschodzie świecić poczyna.  
Hejno! jak bieli ciemność topieli,  
Teraz na piasku, smużyna blask u ..

— Gwiazdko! gwiazdeczko! gdzie Bóg prowadzi,  
Powiedźże, powiedz, bo i my radzi?...

— Moście, moi, daleka droga:  
Dzieciątko czeka, matka nieboga,  
Józef się patrzy z ciemnego kąta,  
Mały aniołek szopkę poprząta,  
Osiołek chucha, wołek przeżuwa,  
A sam Bóg-Ojciec na niebie czuwa.

Idą królowie, świata panowie,  
Złote korony mają na głowie,  
I płaszcze lite, złotem naszyte  
Za gwiazdką bieżą, drogi nie wiedzą,  
Na ich wielbłądach murzyny siedzą;  
Murzyny siedzą z drogiemi skrzyński,  
Z myrrą kadzidłem dla téj dziecinki.  
Nad wodą stają, na piaskach leżą,  
Perły, brylanty, garściami mierzą.

—Pójdźcie Grzegorzu, Walku, a Staszku,  
Mój rówienniku, mój szary ptaszku.  
Owo Betleem pod modrą górą,  
Cztery drożyny nie wiada którą?

— Prosto! hej! prosto, a zajdziem do dnia,  
Za miasto idzie gwiazda przewodnia.

— Mój miły bracie, trza było wcześniój,  
Zabrakło czasu dla naszej pieśni.  
Najświętsza dziecku otula nóżki,  
W krasne opaski, w jasne pieluszki;  
Siwy osiołek uszami strzyże,  
Biedne zwierzątko niebardzo chyże:  
Czasem się uprze, czasem polecą,  
A tu żołnierze szukają dzieci ...

Idą, już idą. Józef na przedzie  
Kijem się wspiera, bydłatko wiedzie;  
A przy dzieciątku i przy panience,  
Widać przejasne główki i ręce.  
Lecą, przelecają: w dole, to w górze,  
Jakby się srebrne gonily róże.  
O! Matko Boża! ...

— Spieszmy się, spieszmy,  
Panu naszemu drogę zabieżmy,  
Plasterek miodu podać na szmatce,  
Temu dzieciątku, téj świętej matce,  
Dla naszej jednej w świecie pociechy  
Dzbaneczek mleka, leśne orzechy:  
Bo to Paniątko, a my cóż? bieda...  
Dzień nam się głodu we znaki nie da,  
Gdy na przednowku we wielkie głody  
Warzymy jeno bedłki, lebiody.

Już przejechali piaski i laski,  
Góry nie góry jakby obrazki,  
Wszystko niebieskie jak woda w stawie,  
A czasem złote jak piórko pawie;  
Zmijom, padalcom, paluszkiem groził,  
Po smokach deptał, na lwie się woził...  
O Jezu! Jezu!...

Hejno! studzienka,  
Gdzie chusty prała Matka-Panienka,  
Między drzewami zdroik przezroczy:  
Weźmyno wody, przemyjmy oczy,  
A dojrzym prędzój, gdzie nam się podział.  
Niebem się okrył, obłokiem odział,  
Widać go, widać... z za leśnej figi

Święte pachole gada na migi  
 Z temi główkami, co się doń miecą.  
 Wietrzyki dzwonią, strumienie lecą.  
 Calemu światu Kwietnia Niedziela...  
 Po ziemi liść się wdzięcznie rozściela,  
 Białemi dzwonki ciągną powoje.

— A co tam robi Paniątko moje?...  
 — Coś sobie wije—róże, lilie,  
 Bogać lilie:—ciernie a głogi,  
 W onych jasnościach Zbawiciel drogi.  
 Józef staruszek boży parobek,  
 Siekierką żłobi cisowy żłobek,  
 Modrą snkmanę coraz zarzuci:  
 To robi, robi, to nuci, nuci,  
*Kto się w opiekę...*

Tymczasem z skraja,  
 Obca dziecina to się przyczaja,  
 To raz przyklęknie, by do pacierza,  
 To ręce składa, to je rozszerza,  
 A krzyżyk z trzciny w rękach dzieciny:  
 To Janek z puszczy... Za Jankiem jagnie,  
 Bieluchne jagnie, do matki pragnie:  
 To się zatrzyma. to się zacieknie,  
 Na cierniach, głogach, żałośnie beknie  
 Jako jagniątko.....

— Witaj Jasiuchno! ...  
 Jużęsto z puszczy? już tak raniuchno?  
 Ledwie że słońce weszło nad bramą,  
 I takeś samo przyszło?...

— A! samo.....  
 Dla ciebie Boże, gdy się położę,  
 Co oczy zamknę, to je otworzę.  
 Świt, świt, skowronek budzi mnie wczesny,  
 Dzień, dzień mój biały śpiewa mi we sny.  
 I ja téż wstaję z mchowej kolebki,  
 Nieraz pod wodą śpią jeszcze rybki  
 A ja już nie śpię... W cichym Jordanie  
 Ledwie się mieni jasne świtanie,  
 A ja już w drodze: bo mi do ciebie  
 Wiatrem po liściu, gwiazdką po niebie,  
 Myślą po głowie...

— Moja sieroto!



— Spójrzyno Stachu jak rączki plotą,  
 Aż mi coś w sercu z radości szlocha:  
 Dwoje dzieciątek na śmierć się kocha.  
 Więc Józef daje folgę siekierze,  
 I pacholątko na ręce bierze;  
 A one z żywą liczka pogodą  
 Bawi się z siwą staruszką brodą:  
 Jedną okrągłą trzyma się szyi,  
 Drugą słonecznej sięga lilii,  
 Co z Józefowój laski srebrzyście  
 Rozwija przed nim swe sześcio-liście.

— Puść mnie już; puść mnie, pójdę na ziemię —  
 Józef kochane uwalnia brzemię:  
 — A gdzie paniczu?

— O! tam na wzgórek.  
 Gdzie się coś bieli jak kilka piórek.  
 Oj! to nie piórka: nie polne kwiaty,  
 Bielaż ze wzgórką niewieście szaty,  
 A dalej palma, a jeszcze dalej  
 Zamek królewski w gruzy się wali,  
 A niebo ciche.. .

— Do miejskich dzieci?  
 Józef staruszek pomagać chce ci.  
 — Nie, nie, zostańcie Ojcie piastunie.  
 Z świętych się ramion ptaszkiem zesunie,  
 I już na ziemi, już w drodze z Jankiem,  
 Z onym krzyżykiem, z owym barankiem.  
 Mały pustelnik pracuje szczerze,  
 Przed Panem swoim wyrzuca perze,  
 Wszelką posługę dzieciątku czyni:  
 Jeden, jedyny głos na pustyni.  
 To i my za nim z boku przystaniem,  
 Góra doliną, różą kaliną.

Wyszły dzieciątka jak owiec trzódka:  
 Pan Jezus idzie do tego ludka,  
 A one patrzą, każde się garnie,  
 Jakby otworzył drzwi do owczarnie  
 I sól pokazał.

Dziwy, przedziwy,  
 Jakto przy Panu każdy szczęśliwy!  
 Każde się czoło k'niemu podniosło,  
 Każdemu jakby serca przyrosło.  
 Samo po sobie spogląda mnóstwo,  
 Jużciż ubóstwo, a nie ubóstwo....

Ledwie ramiona święte otworzył,  
Już jakby szczęścia ludziom przysporzył:  
Pójdźcie ubodzy ja was zbogacę,  
Pójdźcie skrzywdzeni, ja wam zapłacę.

Dziwnieź-bo cudne boże pachole!  
Rzewne na ustach, jasne na czole,  
Ciche a tęskne: przepiękność sama.  
Wiatr mu koszulkę białą rozmama...  
To też siedzące niewiasty chyżo,  
Z krzykiem radości k'niemu się zbliżą,  
A jak się zbliżą, tak też i staną,  
Patrzą, popatrzą, zegną kolano:  
— Nie, to nie-nasze być to nie może.  
To takie piękne, że chyba Boże.

— Więc pokój z wami—od dzwonka cieniów  
Perłowém słówkiem dziecie szepleni.  
Między małemi pod drzewem siada  
A przepowiada, a rozpowiada.  
A te słuchają jak czego trzeba:  
Owych powieści z jasnego nieba.  
Skończył, spogląda na pracę dzieci,  
I uśmiech jasne lice przeleci:  
— Cóż wy robicie?...

— Ha! tak się bawim,  
Stawimy zamki, kościoły stawim,  
Ptaszki robimy...

— Ptaszki prawdziwe?  
Prawda że piękne, ale nie żywe:  
Pokażcieżże mnie...

— I patrzcie cuda,  
Stachu mój miły, jeśli nie złuda:  
To mu na rękę skowronek ożył.  
Ledwie go podniósł, do ust przyłożył.  
Jak jeno w dziobek Jezus nadmucha,  
Gliniane ptasze nabiera ducha;  
Już piórka na nim, już dziobek z rogu,  
Już podskakuje a śpiewa Bogu,  
Jak wszystkie ptaki letniego świtu.  
Masz ty Paniczu dużo błękitu.  
To ja się będę w błękitcie wieszał,  
Ciebie wychwalał, ludzi pocieszał  
Szary skowronek.

— To leć—nieboże  
A śpiewaj ptaku.

## Południe gorze.

Dzieci się cieszą, rękami klaszczą,  
 Wyniosłe drzewa cieniami głaszczą  
 Spoczone czoła... Znowu cud nowy!  
 Ledwie im oczy nie wyjdą z głowy:  
 Znów ptaszek frunął. Oj! leci, leci,  
 Jezus wciąż cuda robi dla dzieci,  
 Bo on je kocha, ho! bardzo kocha!...  
 Nieraz się biedna matka zaszlocha,  
 Kiedy umarłe w mogiłę sieje;  
 A sieroteńka w górze się śmieje,  
 Bo sobie leci prędkością strzały,  
 W same jasności niebieskiej chwały.  
 O! Jezu Jezu!

## Patrzajcie na nie:

Jedno ukłękło przy małym Panie,  
 Ujęło w rękę dzianą sukienkę,  
 I do ust ciśnie; drugie uważa,  
 Jak ptaszki puszcza, jak cuda stwarza,  
 — Jak ty to robisz?...

## — Jak ja to robię?

Co ci do tego: ja robie sobie!  
 Patrzaj i ciesz się z skowronkiem razem,  
 Co oto spada na łąkę głazem  
 Z przenajbarwistszą motylów rzeszą.  
 One biegną, one się cieszą,  
 Bo nic nie wiedzą...

## — Jak my szczęśliwi!

Co Pan ożywi, to i wyżywi!  
 Przyszło południe, pora obiadu,  
 Lecą słowiki z wonnego sadu,  
 Wiewiórki z drzewa... Zwolna, nieśmiało,  
 Szybuja ryby w wodnym kryształu,  
 Mienia się złote, srebrne pancerze,  
 I lew przychodzi i wszelkie zwierze,  
 Jakie na świecie... i nic... i zgoda.  
 Panicz każdemu na rękę poda,  
 Każde pogłaszcze, pobłogosławi,  
 Z każdym pogada, potem odprawi.  
 — Idź, idź mój strusiu, idź lwie kudłaty,  
 Owiec mi nie bierz, nie chodź na czaty:  
 Z Bogiem już z Bogiem...

## Więc na kolana.

Cała kraina wymalowana

Złotem, lazurem; cisza bezpieczna,  
 Nad światem myśli mądrość-przedwieczna.  
 Słowo zakryte w sennéj ustroni.  
 Słysząc jak drzewo pod cięciem dzwoni,  
 I jak przy studni około żłobu,  
 Ludzie się swarzą o ziarno bobu.

Jezus dzieciątko jeszcze by długo  
 Bawił z dzieciną jedną a drugą,  
 Gdyby nie Józef, co przyszedł po nie,  
 By je do matki odnieść na łonie.  
 Przyszedł o kiju, jak mleko broda:  
 — Szkoda nam ciebie, mój Boże szkoda,  
 Ale cóż począć gdy trzeba, trzeba.  
 Za to gdy przyjdziem do twego nieba,  
 To już Jezusie nie zakryj twarzy  
 Przed tą gromadą wiejskich nędzarzy,  
 Co oto klęczą!

Hejno! baczenie!

Ze wszystkich piersi poszło westchnienie,  
 Kiedy dzieciątko rączką białą  
 Jedno po drugim dziecko żegnało,  
 Błogosławiło paluszka znakiem;  
 A potem cisza jak zasiał makiem.  
 Piśtwa po ciemnych gałązkach siada,  
 Pod szare skrzydła główki podkłada,  
 Tylko od czasu do czasu jeszcze,  
 Słowik zaszlocha, liść zaszleszcze...

Więc święty Józef niesie na łonie  
 Ono paniątko, choć nie w koronie,  
 Ale w jasności całej świecącej,  
 Jak gdyby małe prześliczne słońce,  
 Do Matki Boskiej. W górze nad głową  
 Coraz to gwiazdą zabłyśnie nową  
 Lazurowy; coraz to więcej  
 Aniby zliczył ile tysięcy  
 Tych gwiazd wychodzi, oczy jasnymi  
 Patrząc na Pana nieba i ziemi;  
 Jak mu wiatr czesze kręcone włosy,  
 Jak się przytula małeńki bosy  
 Do łona starca.....

Z jasnego smuga,

Gdzie jeszcze zorza świeci się długa,  
 Słysząc dalekie głosy pokorne  
 One żalose pieśni wieczorne:

„Dobranoc kwiecie, kwiecie różany,  
Dobranoc dziecię Jezu kochany.“

Ot i chateńka.

Skłońmy się Panu

Wedle możności kmieciego stanu.  
Złożmy u proga cośmy przynieśli,  
Dla pacholątka, świętemu cieśli.  
— Święty Józefie! przyjmijże dzbanek,  
Wianek orzechów i grzybów wianek,  
A przemów słówko jako za wielą;  
Wszyscy się ludzie w świecie weselą,  
I myby radzi...

— Złóżcież z ramienia

Dary z miłości a z przemożenia  
A ci tam drudzy, co w kącie stoją,  
Co w kącie stoją, skrzypeczki stroją?

— To kobeźnicy i grajki nasi,  
Leśni lirnicy, górscy juhasi:  
Ciby też chcieli zagrać na dudzie.

— Ha! toć już wejdźcie poczętowi ludzie—  
I drzwi otworzył...

Ale nie śmieli,

Bo już dzieciątku grali anieli:  
Ten na skrzypeczkach, ów na basettli  
Ze skrzydelkami, a tacy świetli;  
Ów nóżką tupta, a znowu trzeci  
Służy dzieciątku i na wiatr leci,  
Przenajśliczniejszy ..

Czołem do ziemi

My najbiedniejsi między biednemi!  
Prośmy pokornie świętą dziecinę,  
Przez Przenajświętszej Matki przyczynę:  
O długie zdrowie. o świętą zgodę,  
O deszcz na wiosnę, w żniwa pogodę;  
O szczęście w kraju, o pobyt w raję,  
O królowanie, wraz z tobą Panie  
Na wieki.

T. L.

## MACHINY PAROWE

### NA WYSTAWIE POWSZECHNEJ.

---

Wiele osób z pewnym rodzajem dumy wyznaje niezdolność swoją do matematyki i w ogóle do rachunków. Upředzenie to a raczej umysłowe lenistwo, dzielą częstokroć nawet ludzie wykształceni: niejeden twierdzi, że geometrya mniej przystępną jest dla niego niżli hieroglify, algebra jest łamigłówką wymyśloną przez profesorów, a rachunek prawdopodobieństwa, niepodobieństwem. Przeciwnie zaś filozofia, a zwłaszcza filozofowanie nie wzbudzą tyle wstrętu: dlatego licznym zwolennikom filozofii przypominamy napis na drzwiach domu Sokratesa: „Nikt tu nie wejdzie, kto nie geometra.” Klassyczne studia w programie swoim mało zostawiają miejsca dla mechaniki, a estetyka, w tak powszechnych łaskach dziś będąca, lubując się w dowolności, ścisłych nauk wcale nie uznaje.

Tysiące ludzi ciśnie się codzien na wystawę machin, ale ogromna większość nie egzaminuje ich, bacząc jedynie, czy można przejść bezpiecznie koło szaleńca téj lub owéj maszyny, czyli para nie sparzy, lub olej sukni nie powala. Między tą publicznością jest przecież wielu doktorów, prawników, kupców, rolników, którzy, gdyby tylko tysiäczną część pracy czasu i talentu poświęcili wiadomościom fizycznym, jużby w tym zbiorze znaleźli coś więcej, niż stopy węgla, żelaza i miedzi. Przykro patrzeć szczególnie, kiedy młodzi ludzie przystrajając się z umysłu w szatę trzpiotowatą, z odrazą odbiegają przedmiotów, do zrozumienia któ-

rych sama uwaga wystarczy. A jednak bez specjalnych wiadomości, przy odrobinie namysłu, dowiedzieć się tu można rzeczy, które w praktycznym życiu są źródłem pożytku i przyjemności.

Na pozór, nie trudniejszego do wy tłumaczenia, jak maszyna parowa: niezliczone stemple, klapy, koła, kółka komplikują ruch; wszakże pominawszy na chwilę przeznaczenie podrzędnych organów, przekonać się można, że działanie głównych, istotnych części, prostsze i łatwiejsze jest do odgadnienia, niż węzeł intrygi niejednego dramatu.

Aby mózdz wymienić celniejsze fabryki maszyn parowych, ulepszenia jakie w nich porobiono, i maszyny na wystawie będące, musimy przypomnieć ogólną zasadę ich działania.

Wiadomo, że para wrzącej wody ma siłę rozprężliwości, zdolną rozsadzić najmocniejsze naczynie, jeżeli takowe jest szczelnie zamknięte. Tę siłę użytkuje się w sposób następujący: para wywiązująca się w kotle parowym jest skierowana, za pomocą rurki, do walca metalowego czyli pompy (1), której tłok szczelnie do ścian przylega; przychodząc pod tłok, para wywiera parcie, które sprawia, że tłok przebiega pompę od dołu do góry. Jeżeli w tej chwili przerwiemy przystęp pary od dołu, i tę, która pod tłokiem się znajduje, aby nie przeszkadzała, wypuścimy właściwym otworem, a otworzymy u góry przystęp parze nad tłok: to ten przebiegnie pompę z góry na dół. Wpuszczając więc parę co chwila i naprzemiany, to pod tłok, to nad tłok, a wypuszczając za każdą razą parę zalegającą w przestrzeni pompy, którą tłok ma przebyć (a która została z poprzedniego działania): tenże będzie przebiegał pompę z dołu do góry i z góry na dół. Tak otrzymany ruch posuwisty, przemienia się w ruch obrotowy za pomocą pręta, przytwierdzonego jednym końcem do tłoka, a drugim końcem do korby, która obraca wał. Jeżeli jeszcze drążki związane z wałem obrotowym same

(1) Ostrzegamy czytelnika, że przestrzeń w której tłok się porusza nazywamy pompą, walcem, cylindrem parowym, bo dotąd jeszcze, mimo niejasności która ztąd wynika, nie ustalono nazwy dla tej części maszyny. Kocioł parowy zwiemy parowcem.

otwierają przystęp parze do pompy, to maszyna fonkeyonuje bez niczyjój pomocy. Wał przesyła ruch jakim bądź przyrządom.

Aparat, którego skielet nakreśliśmy, nazywa się maszyną o wysokim ciśnieniu, bo w niej para aby przeprzeć działanie powietrza, potrzebuje mieć siłę kilka razy większą, to jest kilku atmosfer. W maszynie tej, która jest najpowszedniejszą, para raz wywarłszy działanie na tłok, ulatuje w powietrze.

Ulatująca w powietrze para jest stracona wraz z ciepikiem, który z sobą unosi. Dlatego w maszynie więcej udoskonalonej, zamiast z pompy wypuszczać parę w powietrze, kieruje się ją za pomocą osobnej rury do naczynia kondensorem zwanego, gdzie się skrapla czyli kondensuje, za pomocą chłodu, przez nastrzykiwanie zimnej wody otrzymanego. Skroplona para robi próżnię w przestrzeni, którą zajmowała, to jest w kondensorze i w pompie. Jak widzieliśmy w maszynie o wysokim ciśnieniu, para działając na tłok pompy, musiała przewyciężać ciśnienie powietrza z drugiej strony tłoka będącego; tutaj z jednej strony tłoka działa para, z drugiej jest próżnia, z kąd siła pary o jedną atmosferę się zwiększa. Ta maszyna potężniejszej siły nazywa się maszyną parową z kondensatorem; porusza się przy niskim ciśnieniu pary, bo w próżni wystarczy pół lub ćwierć atmosfery parcia do wprowadzenia w ruch tłoka.

Amerykański inżynier Olivier Evans wymyślił maszynę o wysokim ciśnieniu w końcu zeszłego wieku. Maszynę z kondensorem zawdzięczamy gieniuszowi Watt'a, który ją sporządził, udoskonalając dawniejszą maszynę Newcomen'a.

Jest jeszcze jeden system maszyn parowych, z którym najbliżej chcielibyśmy obeznać czytelnika, bo największe oddaje usługi dzisiejszemu przemysłowi. Chcemy mówić o maszynie Artura Wolfa, noszącej nazwę od swego autora, a wymyślonej także w Anglii 1804 roku.

Udoskonalenie maszyny parowej przez Wolfa zasadza się na korzyści, jaką wyciągnął z rozprężliwości pary. Para przychodząc z kotła do pompy, działa na tłok stale, przez cały ciąg jego biegu z dołu do gó-



ry lub odwrotnie. Wiadomo z fizyki, że siła stała daje ruch przyspieszony, dlatego tłok posuwający się wolno przy początku swego kursu, w końcu nabywa zbyt wielkiej chyżości: uderza o spodnie lub górne dno pompy, sprawia wstrząśnienia niszczące materyał, i zużywa napróżno siłę.

Ażeby zapobiedz téj niedogodności, już w r. 1769, Watt, do którego przy maszynie parowej zawsze wracać potrzeba, miał myśl przerywania przystępu pary z kotła do pompy. Jeżeli za pomocą kurka zamkniemy przystęp parze do pompy już wtedy, kiedy tłok jest za ledwie w trzeciej części kursu swojego, to ten nie zatrzyma się wcale: ale raz, skutkiem nabytej chyżości, drugi raz, skutkiem siły rozprężliwej pary, kursu swojego dokona. Takim sposobem tłok dochodzi do kresu swojego biegu nie z wzrastającą, ale z malejącą chyżością, uderzenie nie niszczy maszyny, wstrząśnienia nie rysują murów budynku, a nadto oszczędza się pary a zatém i opału, który jest bardzo wielkim wydatkiem przy maszynach o ciągłym ciśnieniu. Ażeby człowiek, którego praca jest mniej regularna, nie potrzebował co chwila otwierać i zamykać kurka; Watt wymyślił suwadło, suwające się we właściwej szufladzie, które zamyka przystęp pary w chwili, kiedy tłok jest w danej wysokości. Po zamknięciu nowa para nie napływa, tylko ta, która jest pod tłokiem rozpręża się i pcha go mocą swojej elastyczności.

Wolf chcąc lepiej jeszcze zużytkować elastyczność pary, zmienił zupełnie dotychczasowy system maszyn. Przy cylindrze dawniej pompy umieścił drugi, mniejszy cylinder. Para przychodzi pod tłok większego walca z pełnym czyli ciągłym ciśnieniem czterech do pięciu atmosfer; tłok za pośrednictwem pręta udziela ruch balansierowi. Ale spód mniejszego walca komunikuje przez rurkę z wierzchem większego walca i odwrotnie. Dlatego para zrobiwszy swój efekt w większym walcu, przechodzi do mniejszego, i tam działając już tylko przez rozprężanie się, popycha także tłok aż do końca kursu; ten tłok będąc również połączony z balanserem, wywiera nań drugą siłę. Dopiero sprawiwszy ten podwójny skutek, to podwójne działanie, para przechodzi do kondensora i tam się skrapla.

Takie jest urządzenie maszyny o dwóch cylindrach, która skutkiem licznych korzyści, mianowicie regularności ruchu i oszczędności opatu, rozpowszechniła się w kilku latach, pod nazwą maszyny Wolfa o podwójnym działaniu.

Po tym krótkim rozbiorze, będziemy mogli przebieść z niejaką korzyścią wystawę maszyn, wskazać główniejsze fabryki, znakomitszych konstruktorów i szczególniejsze odmiany. Nie piszemy dla inżynierów, bo im nic nowego nie potrafilibyśmy powiedzieć; ale sądzimy, że tak potężny czynnik jakim jest dzisiaj para, każdego czytelnika mniej więcej obchodzi.

Maszyna parowa jako czynnik mechaniczny, do wszelkiego przemysłu siłę swą zastosować pozwala. I tak: jako maszyna stała, to jest nieruchomie osadzona, wprawia w ruch warsztaty, kuźnie, młyny; inna porusza statki na rzekach i morzach, z wielką szybkością ciągnie po żelaznych drogach ludzi i towary; nakoniec w nowym zastosowaniu służy do operacji rolniczych. Ten ostatni użytek dał początek nowej kategorii maszyn, które nazywają lokomobilami. Pod względem użycia można więc podzielić maszyny parowe na: maszyny stałe, maszyny do żeglugi, lokomotywy i lokobile.

W tym porządku przejrzymy je na wystawie.

### *Maszyny stałe.*

Przedstawiają nam trzy odrębne typy: maszyny z cylindrem (pompą) stojącym, z cylindrem leżącym i oscylującym.

Wystawione maszyny z cylindrem stojącym czyli pionowym, są prawie wszystkie zrobione wedle modelu Wolfa, to jest o dwóch cylindrach, z których jeden większej objętości przyjmuje parę z pełnym ciśnieniem czterech lub pięciu atmosfer; a drugi mniejszy, w którym para działa przez rozprężanie. Ogromna liczba tych maszyn, zwiezionych niemal ze wszystkich stron świata, dowodzi najlepiej, jak mimo dość wysokiej ceny, powszechnym jest ich użycie. Między najlepsze-

mi celuje maszyna pana Lecouteux z Rouen. Jest o sile 30 koni; para działa przez swą rozprężliwość nie już w jednym, ale w obu cylindrach, co jest zupełnie nowym pomysłem. Maszyna osadzona między trójbocznymi podporami z lanego żelaza i na żelaznej podstawie, stać może niezależnie od murów; regulator sam, bezpośrednio działając na suwak w szufladzie, otwiera i zamyka przystęp parze i reguluje chwile, w których otwierając przystęp, para ma działać z pełnym ciśnieniem, a zamyka na czas, w którym para ma działać przez rozprężanie. Tę dyspozycją napotyka się przy najlepszych maszynach. Panowie: Powel, Scott, Lacroix, konstruktorowie z Rouen wystawili maszyny Wolfa, odznaczające się dokładnością wykonania.

Maszyny z cylindrem leżącym czyli poziomym, zrobione wedle Wolfa czy Watta, są zawsze o jednym walcu. Mała przestrzeń którą zajmują; łatwość przystępu, którą dają przez swoje położenie; widoczność wszystkich części, a nadewszystko cena umiarkowana: jedną im zwolenników. Jakkolwiek bardzo liczne, jest ich jednak mniej na wystawie, niż maszyn o walcu pionowym. Maszyna pana Farcot jest najpiękniejszym typem maszyny o poziomym walcu; ma honor obracać w Annexie wał obrotowy, który udziela ruchu tokarniom, walcownikom, młotom, wentylatorom, drukarniom i t. d. Ma siłę 50 koni, jest o wysokim ciśnieniu i z kondensorem. Taż maszyna bardzo szczęśliwie posługuje się paralelogramem Watta: drążek poziomy porusza tłoki pompy zasycającej (kocioł wodą), i pompy powietrznej; na ten cel drążek musi być obdarzony ruchem prostodrożnym, a właśnie paralelogram Watta może mu go udzielić, mając mimo ruchu kolistego, jeden punkt taki, że zawsze suwa się po linii prostej. Przy maszynach stojących, z balanserem, paralelogram oddaje tę samą usługę, ale w pozycji pionowej.

Maszyny horyzontalne wystawili konstruktorowie Derosne, Cail, Rouffet, Bourdon z Paryża; ostatni dobrze znany jest przez wynalezienie monometru (do miary parcia gazów) metalowego, który używają przy maszynach parowych. Pan Farinaux wystawił maszynę horyzontalną, ale o dwóch cylindrach; odmiana ta, we-

dle powszechnego mniemania, nie przedstawia korzyści odpowiednich wydatkowi.

Maszyny z cylindrem oscylującym wymyślone w Anglii przez p. Mauby, robione we Francyi najprzód przez p. Cavé, używały kilka lat nadzwyczajnej wziętości; po wielu probach dzisiaj są zarzucone. Widzimy ich jednak pięć czy sześć na wystawie. Dystrybucya czyli udzielanie pary z kotła do cylindra jest utrudnione, bo każdy punkt na tym oscylującym walcu obiega łuk; tylko oś obrotu rusza się w miejscu, dla czego robią ją wydrążoną, aby tędy para wchodziła do walca. Ale oscylacje niszczą panwy, w których oś cylindra spoczywa, zaczęm idzie ochwierutanie, które przy ruchu ciężkiej masy cylindra, sprawia takie wstrząśnienia, że osada i budowa maszynę obejmujące, niedługo zniszczeniu się opierają. Korzyść z oszczędzenia miejsca i żelaza, którą daje ta dyspozycya, jest niczem w obec wspomnionój niedogodności. Mimo to, p. Boyer z Lille zbudował maszynę oscylującą nie o jednym, ale maszynę Wolfa o dwóch oscylujących cylindrach, godząc najsprzeczniesze trudności; przy piękném wykonaniu, jest ona majstersztykiem, ale nic więcej. Czytelnik się zdziwi, dowiadując się, że i w mechanicie jest moda, ale tak jest: onato sprawiła, że maszyny oscylujące rozpowszechniły się. Na szczęście moda oscylowania niepowrotnie minęła.

Aby uzupełnić rzecz o maszynach stałych, potrzeba nam wspomnieć o maszynach obrotowych, i o maszynach wielkiej chýżości.

Maszyna obrotowa, której myśl miał już James Watt, ma na celu usunięcie wszystkich pośrednich organów, służących do przestania ruchu, jakoto: stempla, nawodnika, korby, balansera, które koniecznie utratę siły powodują. Ażeby znieść wszystkie ząbienia i organa przyboczne, potrzeba ażeby para działała wprost na wał obrotowy. I rzeczywiście w maszynie obrotowej, wał otoczony jest walcem; w przestrzeni pierścieniowej między nim a ścianami walca, chodzi tłok stosowny, który pchany przez parę, postępuje i obraca się razem, ma ruch posuwisty i kolisty, obrotu udziela wałowi, do którego jest przytwierdzony.

Pecquoeur, Moret, Montferrier, wystawili maszyny obrotowe. Nieodpowiadająca skutkowi ilość opatu, którą konsumują, czyni je jak dotąd mało praktycznemi.

Maszyn o wielkiej chyżości zadaniem jest zredukować rozmiary, a powiększyć ilość ruchu, aby to co się traci na sile przez ubytek masy, nagrodziło się przez chyżość. Każdej maszynie można przymnożyć siły działania, powiększając jej szybkość przez większy przyptyw pary; ale to zwiększanie ma granicę naczyną przez wytrzymałość ciał. Większa masa, przedstawiając większą bezwładność, mniej jest wytrzymałą na ruch bardzo wielki: dlatego zmniejszenie rozmiarów, a przyspieszenie ruchu, ma wielkie dogodności przy równym skutku, i z tego powodu wielu konstruktorów obecnie zajmuje. Tego rodzaju maszyna wystawiona przez p. Flaud (z Paryża) jest dziełem znakomitým: fonkcyonuje z ciśnieniem 4 atmosfer i jest o sile 20 koni; tłok robi 250 uderzeń na minutę. Z ostupieniem patrzy się na tę szybkość. Dopiero dłużej i uważniej przypatrując się, dostrzegamy po niejednostajnym ruchu dwóch kul regulatora, że pojedyncze części koniecznie częstych reparacyj wymagać muszą. Nadto rozprężanie pary w tej maszynie jest ograniczone, co jest wielką jej ujmą. Cokolwiekbądź, maszyny o wielkiej chyżości zajmują mało miejsca, mało kosztują, a w niektórych gałęziach przemysłu mogą być bardzo przydatne. P. Flaud wystawił jeszcze drugą taką maszynę, ale o cylindrze poziomym i o sile jednego tylko konia. Dyspozycya części tak jest dobra, a objętość tak mała, że cały ten przyrząd pod ręką nosićby można.

Wymieniliśmy znaczniejsze fabryki maszyn stałych we Francyi; zacytujemy ich jeszcze kilka z tych krajów, które swoje dzieła na wystawę przystały. Pozytywni Amerykanie sądząc, że mimo dobroci ich maszyn, Europejczycy skutkiem odległości, sprowadzać ich nie będą: wstrzymali się prawie zupełnie od opisu. Anglia przystała tylko jedną maszynę stałą. Z Wiednia, p. Schmid, z Belgii Stordeur, z Holandyi fabryka Van Vlissingen et Comp., z Stockholmu p. Bolinder, nadesłali bardzo piękne maszyny. Dawszy ogólną, niejako kieszonkową teorią maszyn parowych, uwolnimy się od opisywania ich każdej poszczegółe.

Od dziesiątka lat, konstrukcyja maszyn parowych co do istotnych części nie uległa zmianie; postęp widać tylko w wykonaniu i w rozpowszechnieniu szuflady. Nadto, maszyna parowa nie ma już jak dawniej, jednej, zwyczajem przyjętej formy, ale zmienia ją wedle przeznaczenia. Przemysł dzisiejszy używa pary jako narzędzia pod tysiącem postaci: ona podnosi najcięższe baby u kafarów, porusza miechy, wentyluje kopalnie i pompuje z nich wodę, za pomocą prostego wału co sekunda podnosi kilkocentnarowe młoty, które kują najgrubsze sztuki z żelaza: w tokarni, w giserni, w drukarni para zarówno pracuje.

Jakkolwiek maszyny parowe doszły do téj doskonałości, że zdają się nie ulegać już zmianie: nie ustają przeto zaprzętać najcelniejszych umysłów. Tak w maszynie działającej z wysokim ciśnieniem, jak w maszynie z kondensacją, para wychodząca z pod tłoka albo wylatuje w powietrze, gdzie ginie wraz z swoim ciepłikiem, albo przechodzi do kondensora, gdzie ogrzewa niepotrzebnie wodę. Ta strata ciepła dzieje się przecież kosztem opału. Dlatego fizycy położyli sobie za zadanie: jak zużytkować ciepłik, który para posiada już po wywarciu swéj siły mechanicznój na tłok cylindra? Trzy sposoby rozwiązujące to zadanie, szczególniej zasługują na uwagę; temi są: maszyna p. Tremblay działająca za pomocą pary i eteru, maszyna Ericssona, i maszyna o parze odgrzewanej.

Tremblay inżynier francuzki miał myśl użycia pary wychodzącej z cylindra, do obrócenia w stan gazowy innego płynu np. eteru siarczanego, który wre przy daleko niższej temperaturze aniżeli woda. Tak otrzymana para z eteru nie kosztuje ciepła, a służy do poruszania w osobnym cylindrze tłoka, który dorzuca swoją siłę do siły tłoka przez parę wody działającego. W maszynie z eterem, para, działawszy z wysokim ciśnieniem i rozprężaniem w pierwszym cylindrze, przechodzi przez liczne rurki, w których jest eter siarczany: tam para wody skrapla się, oddając ciepło eterowi, który się ulatnia. Skroplona a zatem dystylowana woda zasycza na nowo kocioł, co już jest wielką korzyścią, bo dystylowana woda nie zostawiając osadów glinia-

nych, wapiennych lub innych, ochrania materiały i uwalnia od mozolnego a zbyt częstego chędożenia maszyny. Para eteru przechodzi do swojego walca i tam działa na tłok zwyczajnym sposobem. Ztamtąd wyszedłszy, aby nie był stracony, eter kondensuje się: ciekły wraca za pomocą osobnej pompy do rurek i waporyzuje na nowo. Zaręczają, że maszyna Tremblay'a daje 50 procentu na opale.

Ale eter jest łatwo zapalny, dlatego p. Lafont, oficer marynarki, umyślił zastąpić go chloroformem. Maszyna p. Lafont, parą wody i chloroformem poruszana, pracowała przez 4 lata przy robotach hydraulicznych. Proba musiała być dostateczną, bo rząd francuzki obstawiał taką maszynę dla jednego z swych statków.

Amerykański inżynier Ericsson zamiast pary wodnej, użył za motora powietrza. Rozprężanie i skupianie powietrza ogrzewanego i oziębianego naprzemiennie w zawartém naczyniu, jest zasadą maszyny Ericssona. Powietrze przechodzi przez znaczną liczbę siatek z drutu, rozgrzanych do 250°, powiększa objętość swoją, odpycha tłok, bo się już w ciasnej przestrzeni pomieścić nie może—oto ruch otrzymany. Wywarłszy działanie na tłok, to samo powietrze przechodzi znów przez siatki metalowe, aby im zwrócić resztę nie zużytego ciepła. Nowe powietrze nadchodzi, rozgrzewa się, idzie pod tłok, i tak bez końca.

Zadziwiająca jest łatwość, z jaką siatki za każdym ruchem tłoka dają ciepło powietrzu, i takowe mu odbierają. Jednakże skutkiem prędkiego rdzewienia siatek metalowych, skutkiem niestęchanej precyzji wykonania, jakiej potrzebują pojedyncze części, maszyna ta nie odpowiedziała wymogom praktyki. Cytujemy ten wynalazek, chociaż jego aplikacyi nie ma na wystawie, dlatego jedynie, że zaprzęta bardzo wielu ludzi na drugiej półkuli.

Dwie lub trzy maszyny na wystawie, używają pary odgrzewanej. Zamiast wychodzącą parę z cylindra obracać na ułatwienie eteru lub chloroformu, można ją samą używać ciągle, zwracając jęj utracony ciepłik, a z nim elastyczność. Siła elastyczna pary wodnej rośnie bardzo prędko z temperaturą, tak, że wyżej 100° mało potrzebuje dodatku ciepła, aby nabrać

wielkiej rozprężliwości. Na téj zasadzie, p. Hick konstruktor angielski z Bolton, zrobił maszynę o sile 40 koni, która obok głównego cylindra, ma dwa małe. Para wywarłszy swoje parcie na tłok wielkiego walca, przechodzi do małych, które są ogrzewane wprost od ogniska; tam nabiera na nowo siły rozprężania i przechodzi do wielkiego walca. Ta sama więc para prawie ciągle działa. To téż konstruktor zareczy, że jego maszyna zużywa tylko funt węgla na godzinę i na siłę jednego konia, kiedy inne sześć razy więcej potrzebują. Nie ulega wątpliwości, że ta maszyna jest jedną z najciekawszych na wystawie; obawiać się tylko należy, aby wystawione na bezpośrednie działanie ognia dwa małe walce, prędkiemu nie podpadały zniszczeniu.


### *Maszyny parowe do żeglugi przeznaczone.*

Tego rodzaju maszyn mniej jest na wystawie aniżeli maszyn stałych, co się tłumaczy przez ich przeznaczenie zupełnie specjalne; jest ich jednak tyle, że w tém użyciu pary reprezentują wszystkie typy maszyn.

Pierwsze maszyny użyte na statku, prawie niczem nie różniły się od owoczesnych maszyn stałych: były zawsze robione wedle Watt'a, o podwójném działaniu i z kondensacją. Stawiano ich dwie na statku: za pośrednictwem wału jedna obracała jedno, druga drugie koło. Tylko balanser umieszczony u góry w maszynie Watta, niedogodny dla swoich rozmiarów i wysokości, został ulokowany u spodu. Z tą zmianą maszyna Watta służyła długona rzekach i morzach. Kocioł nawet mało się różnił swoim położeniem i wewnętrzną dyspozycją, od kotła maszyny stałej. Dzisiaj zaszła wielka zmiana, szczególnie przy statkach morskich: helisa zastąpiła koła z łopatkami. Ta zmiana pociągnęła inne.

Do wprowadzenia w ruch lokomotywy, służy pręt tłoka, który za pośrednictwem nawodnika, działa na korbę obracającą oś kół głównych; tak dwa cylindry działając naprzemian na dwa koła główne, poruszają lokomotywę. Ta dyspozycja, w której wszelkie ząbienia są zniesione, i w której koła lokomotywy pełnią zarazem funkcje szaleńców (rozpędowe), jest



używana z wielką korzyścią przy różnych maszynach. Najszcześniejsze jednak jest jej zastosowanie do statku pchanego helisą. P. Gâche konstruktor z Nantes, wystawił maszynę, która jest pięknym wzorem nowego systemu: dwa cylindry są nachylone jeden względem drugiego pod kątem 45°; dwa ich tłoki razem przesyłają obrot wałowi łamanemu , na którego końcu jest utwierdzona helisa. Rozkład maszyny jest doskonale pomyślany: prosty, oszczędza miejsca tak drogiego na statku, a przytém daje ruch regularny; ma siłę 60 koni, działa z kondensacją jak zwykle maszyny żeglowne, którym wody nie brakuje do téj operacyi. Pompy zasycają kocioł; te, które wstrzykują wodę do kondensora, i sam kondensator, są umieszczone pionowo nad korbą obracającą wał w samym środku przyrządu.

Przy małej objętości, maszyna p. Gâche mogła być umieszczona w końcu statku, w miejscu gdzie się pudło już ścieśnia. Rozkład stosowny ładunku powinien zapobiedz, aby statek tyłem nie zanurzał się zbyt znacznie.

Na rzekach rzadko się używa maszyn o wysokim ciśnieniu pary, bo, jak powiedzieliśmy, nie braknie wody do jej kondensacyi. Jednak druga maszyna p. Gâche, o sile 25 koni, przeznaczona do żeglugi rzecznej, działa z wysokim ciśnieniem i jest bez kondensora. Maszyna o wysokim ciśnieniu, bez kondensora, jest prostsza i lżejsza, ale za to przy równym koszcie opatu mniej siły daje.

Ażeby aparat nie w środku, ale na tyle statku ciężący, nie wypaczał go, pan Sneider z Creusot dał maszynie wystawionój przez siebie taką podstawę, aby ciężar swój rozkładała na jak największej powierzchni statku: wszystkie części umyślnie wydłużył, ażeby się podpierały lub opierały o różne punkta statku. Zresztą maszyna jego nic nowego nie uczy; jest z kondensorem: dwa poziome cylindry działają wprost na korby, które obracają oś kół z łopatkami. Przeznaczona do żeglugi rzecznej, mimo że ma siłę 80 koni, może ją jeszcze powiększyć w razie, gdyby statek napotkał zbyt szybkie prądy: ta okoliczność podwyższa bardziej jej zalety. Kuźnie Creusot w ogóle odznaczają się bardzo staranném wykonywaniem swych wyrobów.

Maszyny francuzkie cechuje szczególnie prostota, która we wszystkiem tak miła, w mechanice jest nieoszacowanym przymiotem. I rzeczywiście, maszyny parowe, jeżeli mają wejść do najpowszedniejszego użycia, co jest widoczném dążeniem, powinny być tak pojedyncze, aby ich skład, installacya i reparacye nie wymagały rąk wyjątkową obdarzonych zręcznością. Nie ujmując nic starszym w hierarchii maszyn produktom angielskim, wyznać musimy, że nie posiadają wspomnianego przymiotu. Maszyna pana Mac-Gregor z Glasgow'a, pod nazwiskiem Simla, fonkeyonuje jak zegarek, ale ma ilość podrzędnych organów tak wielką, że nie dochodząc ich przeznaczenia, wolimy odejść powtarzając: Sancta simplicitas.

Obok Simli stoi Wonder, zrobiony w Londynie przez pp. Seaward i Capel; chociaż o sile 30 koni, jestto tylko model: prototyp jego obraca helisę ze siłą 1000 koni parowych. Jak rozmaicie można dysponować parą, najlepiej dowodzi ta maszyna, niczém nie różniąca się od stariej maszyny Newcomena, zbudowanej jeszcze w końcu zeszłego wieku do wysuszania kopalni w Cornouailles. Maszyny Cornouailles przyjąwszy stopniowe naprawy, dziś jeszcze tak skutecznie działają i z tak małym kosztem, iż powiedzić można, że są ideałem w dziedzinie maszyn. Tak jak one, Wondor jest o pojedynczém działaniu pary (bez rozprężania); cała odmiana leży w tém, że zamiast ogromnego cylindra, któryby zawadzał na statku, zrobiono trzy małe i umieszczono pod wałem: ich tłoki obracają naprzemiany wał za pomocą korb.

Z Amsterdamu przysłano małą maszynę do żeglugi, zrobioną wedle systemu p. Gâche. Jestto typ lokomotywy, ale z przeznaczeniem obracania helisy. Podobieństwo do lokomotywy jest zupełne w nachyleniu cylindrów, w sposobie odwrócenia pary za pomocą dwóch excentryków, z których jeden lub drugi może zmienić udzielanie (dystrybucyą) pary do cylindrów i odwrócić tym sposobem kierunek ruchu. Zajmuje bardzo mało miejsca; dwa jéj cylindry umieszczone z jednej strony wału są do niego nachylone pod kątem 30°; tłoki obracają wał za pomocą łamanego drążka; wał w końcu ma koło zębate, które zazębia inne koło obracające

w wodzie helisę. Położenie cylindrów z jednéj strony osi, bardzo źle rozdziela ciężar na statku; ażeby środek ciężkości sprowadzić na oś, potrzeba umyślnie drugą jéj stronę obciążyć. Maszyna Gâche nie ma téj wady.

Na końcu przystawki annexem zwanéj, stoi prawdziwe arcydzieło mechaniki, zrobione w kuźni szwedzkiej Montala przez p. Carlsund. Ta maszyna musi mieć dobre dyspozycye; kiedy Anglicy, którzy tylko swoje rzeczy oglądają, i Francuzi, którzy tylko dla siebie są niewyczerpani w pochwałach, zgadzają się na przyznanie jéj pierwszeństwa między wszystkiemi. Aparat umieszczony w tyle statku ma dwa cylindry pod 45° do wału nachylone; ruch przesyłają bez pośrednictwa zazębień; para działa z wysokim ciśnieniem i z kondensacją; użycie większój lub mniejszój rozprężliwości pary, zależy od woli i ręki maszynisty. System kondensacyi jest z największą elegancją pomyślany: w czterech rogach podstawy stoją symetrycznie 4 pompy różnej średnicy: dwie z nich pchają wodę do kondensora, dwie zasycają kocioł. Sam kondensator jest skrzynia prostokątna, którój spód tak się wygina, że przystaje do dna statku. Maszynista za pomocą drążka włada podwójną szufladą: jedna parę wpuszcza, druga reguluje jéj rozprężanie.

W téj maszynie wszystkie części odznaczają się odmianami, których praktyczności nie zarzucić nie można; przy tak piękném wykończeniu, żeby gabinetu fizycznego mogła być ozdobą, jest ona jeszcze tańszą od francuzkich i angielskich maszyn, a sama ta okoliczność jużby wystarczyła, aby jéj zjednać suffragia omnium.

### *Lokomotywy.*

Przeszło 20 lokomotyw z różnych stron świata przysłanych na wystawę, przedstawiają wszystkie typy motora, na kolejach żelaznych używanego. Jest więc okazja porównać wprowadzone ulepszenia i ocenić postęp; jest sposobność pokazania dowodnie, jak jest potężny zmysł wynalazku, który cechuje dzisiejszą epokę. Niezrównana maszyna, która biednym i bogatym podróżnikom zarówno oszczędza czasu i wydatku, powolna

kierunkowi jednego człowieka, wlecze z bajeczną szybkością tysiące centnarów, jest dziełem ostatnich lat kilkunastu. Zawdzięczamy ją Anglikom. Tylko nieuleczone samochwalstwo, chcące przywłaszczyć sobie wynalazek, sili się jeszcze aby dowieść, że już bardzo dawno we Francyi o tém myślano i probowano. Od dwóch wieków używano w kopalniach angielskich kolei żelaznej lub drewnianej, aby po niej łatwo toczyły się wozy. Zapewne od czasu zbudowania pierwszej maszyny parowej, myślano ciągle jak ją uruchomić i do pociągu użyć. Próby nawet robiono. Ale to pewna, że dopiero 1829 r. lokomotywa urodziła się w Anglii.

Chociaż już kilkadziesiąt lat pierwiej istniały maszyny parowe, to jednak siła ich wtedy dopiero znacznie się zwiększyła, kiedy wynaleziono sposoby produkowania pary w większej ilości; lokomotywa więc wtedy dopiero stała się możebną, kiedy kocioł przy małych rozmiarach, potrafił prędko a wiele pary dostarczać.

Kolej żelazna budowana między Liverpooliem a Manchesterem, była pierwsiastkowo przeznaczona pod towary; później miano ją użyć do przewozu wojażerów przez maszyny stałe, które tak jak w minach, osadzone po stacyach, za pomocą łańcuchów lub sznurów przyciągałyby wagony ze stacyi do stacyi. W chwili kiedy kolej na usługi publiczności otworzoną być miała, dyrekcya powzięła myśl ogłoszenia powszechnego konkursu na dostawę maszyn lokomotyw. Na czas oznaczony stawiono ich pięć. Nagroda przysądzoną została maszynie Stephenson'a (Fusée), która po równi poziomej ciągnąć mogła 240 centnarów z szybkością trzech mil na godzinę, a bez ładunku pięć mil przebiegała.

Wy tłumaczymy, jakim sposobem Stephenson nadał swojej maszynie chyżość dotąd nieznaną. Ilość pary dostarczanej przez kocioł, proporcjonalną jest do powierzchni ogrzewanej. Przy dawniejszej dyspozycji ogień działał na bardzo małą powierzchnię kotła; stosunkowo massa wody do ogrzania była zawielka, para wywiązywała się wolno i w małej ilości. Ażeby ułatwić parowanie w kotle, p. Séguin wymyślił 1827 r. we Francyi kocioł z rurkami. Przeprowadzając przez wnętrze kotła napełnionego wodą kilkanaście rurek

miedzianych małej średnicy, w których płomień i gazy z ogniska pochodzące cyrkulowały, p. Séguin powiększył znacznie powierzchnią ogrzewającą: woda, która wypełnia przestrzeń między rurkami, zaczęła wrzeć bardzo prędko. Otóż ten pomysł Stephenson zastosował do swojej lokomotywy: kocioł jego na pięć stóp długi, przebiegały z końca w koniec 25 razy rurki dwóch-calowej średnicy.

Na tém nie ograniczył się Stephenson. Parę wychodzącą z cylindrów, która dotąd przy maszynach o wysokim ciśnieniu ulatywała w powietrze, obrócił i wypuścił kominem. Ten przebieg sprawia wielki cug w kominie, a więc przyspiesza palenie się na ognisku; bo prąd pary przebiegając szybko przez komin, wypycha z niego powietrze, co sprawia, że nowe powietrze prędko napływa do ogniska. Czytelnik, aby ocenić zasługę Stephenson'a, musi sobie przypomnieć, że wielkie wynalazki dopiero po skutecznieniu wydają się bardzo proste: zrodzone przez natchnienie jednych, często-kroć długo oczekują szczęśliwej exekucyi drugich.

Przyspieszone palenie i przyspieszone parowanie, dały szybkość lokomotywie Stephenson'a. Myśl kotła z rurkami pożyty od Francyi; pomysł dęcia w komin znany był jeszcze Rzymianom. Inne dyspozycje były takie same jak w niepraktycznych lokomotywach, które przed nim robić już probowano.

Jeźliby Robert Stephenson potrzebował dzielić się chwałą z wynalezienia lokomotywy, to jedynie z ojcem swoim, Jerzym. Jerzy Stephenson za młodu był prostym górnikiem. Z pod głębokich sklepień kopalni, geniusz potrafił wydobyć się na powierzchnię ziemi, którą siatka jego promieni wkrótce miała okolicę. Bez żadnej prawie nauki, mocno zajmując się swoim powołaniem, potrafił w początku drobnymi naprawami zwrócić na się uwagę przełożonych; później, kiedy w braku nauki, praca rozwinęła zdolności jego, doszedł do najwyższego stanowiska w przemyśle. Walcząc z tysiącem trudności, którychby nie napotkał przy znajomości fizyki, mechaniki, chciał tę przeszkodę usunąć synowi: przepędzał nocy na naprawie zegarków, ażeby mógł opłacać nauki, które Robert pobierał. Później budował koleje i lokomotywy, które służyły do przewozu węgla.

Jeszcze później, mimo oporu który napotkał, zbudował kolej żelazną dla przewozu podróżnych, a która posłużyła za wzór do budowy kolei w całej Europie. Przez te olbrzymie prace doszedł wielkiego znaczenia; wszakże najmilszy mu owoc był zapewne ten, że mógł godnemu synowi przekazać do czego sam mozolnym doszedł doświadczeniem. Miasto Liverpool wzniosło mu statwę. Syn ciągnąc dalej prace ojca, zbudował lokomotywę fusée, która na konkursie nagrodę otrzymała. Obecnie jest wielkim dostojnikiem i pierwszym konstruktorem lokomotyw w Anglii. Fabryki jego, oprócz talentu, który im przywodzi, mają korzyść z tradycyi długiego doświadczenia.

Dzisiaj jeszcze, w najdrobniejszych nawet częściach, lokomotywy są takie same jak ta, którą Stephenson na konkurs zbudował. Kilka słów wystarczy do objaśnienia mechanizmu.

Lokomotywa jest maszyna parowa o wysokim ciśnieniu, która się ciągnie sama, a zbytek siły obraca na ciągnięcie konwoju. Para wprowadzona do dwóch cylindrów, obraca oś dwóch kół głównych, za pośrednictwem tłoka i nawodnika; wywarwszy siłę ulatuje z cylindrów. Koła główne jak i inne przy lokomotywie jedno z osią stanowią, tak, że obrót osi pociąga obrót kół i wzajemnie. Zwyczajne koła obracają się na osi, tutaj koła obracają się z osią.

Dyspozycya i przeznaczenie pojedynczych organów są następujące. Wydłużony walec czyli kocioł parowy stanowi korpus maszyny; ściany jego z blachy, są podwójne: wewnątrz przebiega 80 do 100 rurek miedzianych, w których cyrkulują gazy, pochodzące z ogniska zanim przejdą do komina: rurki te przyspieszają parowanie. Do parowca przytwierdzone jest ognisko z miedzi. Para tworzona w parowcu udaje się do dwóch cylindrów, które są albo zewnątrz kół głównych, albo wewnątrz. Jak powiedzieliśmy, tłoki tych cylindrów przez pośrednictwo prętów i nawodników obracają oś, która zmusza do obrotu koła główne jedno z nią stanowiące; obrót kół głównych posuwa lokomotywę. Z cylindrów, para wymyka się przez rurkę dmącą do komina, gdzie jej przebieg służy do podniecenia cugu.

Wielkie rozwinięcie się kolei żelaznych sprowadziło niejakię modyfikacyę w lokomotywie, chociaż mechanizm nie odmienił się. W maszynie Stephensona, powierzchnia kotła, która jest wystawiona na działanie ognia, nie przechodziła 54 stóp kwadratowych; w roku 1850 doszła 1170 stóp □. Obaczymy niżej, jak powierzchnię ogrzewalną doprowadzono do 1800 stóp □. W miarę zwiększania ogrzewalnej powierzchni parowca, można było coraz większą ilość pary otrzymywać, tak, że jęj ciśnienie od trzech poskoczyło do 7, 8, nawet 9 atmosfer.

Ciężar lokomotyw zwiększał się w tym samym stosunku: to powiększyło przyleganie kół do szyn, a zatęm i siłę pociągową. Lokomotywa fusée była o 4 kołach i ważyła 90 centnarów; w r. 1850 robiono lokomotywy ciężkie na 720 centnarów; nakoniec lokomotywy nowego systemu, o których będziemy mówić, niesione przez 12 kół, dochodzą do 1320 centnarów.

W r. 1851 zaprowadzono znaczne odmiany w sposobie budowania lokomotyw. Do tęg epoki, aby powiększyć chyżość, powiększano ciągle średnicę kół głównych. Ale i to powiększanie ma swoję granicę: kocioł bowiem maszyny jest zawieszony nad osiami kół; powiększając koła, lokomotywa stawała się coraz wyższą, a przekroczenie pewnej wysokości naraża równowagę i stałość. Zdawało się więc niepodobienstwem roić o większej chyżości nad tęg, którą miano w r. 1851.

Znów jęden inżynier angielski rozwiązał trudność, umieszczając oś kół głównych nie jak dotąd pod kotłem, ale w tyle niego; odtąd bez podwyższania lokomotywy można dawać kołom głównym średnicę dowolnie wielką, co stosunkowo przymnoży chyżości. Pierwszą taką lokomotywę pod nazwą Folkstone, zbudował na warsztatach Stephensona pan Crampton; średnica kół gł. ma 6 stóp wysokości; chyżość jest 20 mil na godzinę. Ten system lokomotyw nazwano imieniem wynalazcy (Crampton). Od tego czasu normalna chyżość na kolejach żelaznych jest 10 mil na godzinę; można ją posunąć i do 15 mil.

Późniejsze, a jak dotąd ostatnie ulepszenie, zawdzięczają lokomotywy dwom inżynierom austriackim.

Chyżość nie jest jedynym celem, któremu zadość czynić mają koleje żelazne. Przewóz towarów wielką gra rolę w ich eksploatacyi, a ta służba wymaga lokomotywy odpowiedniej. Bezpieczeństwo nakazuje, aby o ile można zmniejszać liczbę pociągów drogę żelazną przebiegających, ztąd potrzeba składania konwojów ciężkich i długich, wyłącznie pod towary przeznaczonych. Ażeby wlec treny długie i niestychanie ciężkie po pochyłościach, częstokroć po krzywiznach małego promienia, lokomotywa musi być osobliwie ciężką, i powiązanie wagonów między sobą osobliwie silne.

Na kolei żelaznej z Wiednia do Tryestu, wzdłuż góry Semmering, są pochyłości znaczne, których uniknąć niepodobna było. Treny ciężkie nie mogły ich przebywać za pomocą lokomotyw dotąd używanych. Rząd więc austriacki ogłosił 1851 r. konkurs na budowę lokomotyw o małej chyżości, a które byłyby w stanie ciągnąć długie konwoje po pochyłościach i krzywiznach. Nagrodę otrzymała Bawarya, maszyna zrobiona w München, na warsztatach p. Maffei. Zmiana jaką wprowadził konstruktor zasadzała się na zjednoczeniu lokomotywy ze swoim tenderem, to jest z wagonem, który za każdą maszyną wiezie węgiel i wodę. Łańcuch bez końca połączył oś kół głównych z zębatymi kółkami będącemi na osi kół tendera, tak, że tender i lokomotywa jedno stanowiły. Ciężar tenderu dodany do ciężaru maszyny zwiększył o wiele przyleganie kół na szynach, zaczęło poszło, że maszyna miała potężniejszą siłę ciągnięcia.

Chociaż Bawarya otrzymała nagrodę, wszelako nie odpowiedziała zupełnie oczekiwaniu. Łańcuch bez końca zrywał się przy małych a koniecznych zmianach siły poruszającej.

W roku 1854, udoskonalając system Maffei, inżynier austriacki Engerth, rozwiązał należycie zadanie lokomotyw o małej chyżości, a o wielkiej sile. Dyspozycją jego najlepiej pokazuje wystawiona lokomotywa, pod nazwą *Książę bra banki*, zrobiona w kuźni belgijskiej, Seraing. Nietylko oś przednich kół tendera złączoną jest z osią kół głównych maszyny, ale maszyna i tender jedno ciało stanowią. Część parowca spoczywa na tenderze, nad osią kół przednich. Sama lo-



komotywa ma 4 pary kół: z tych czterech par kół, trzy parzą się między sobą, to jest że ruch, który tłoki cylindrów komunikują pierwszej parze kół, za pomocą dżżków udziela się drugiej i trzeciej; jest więc trzy pary kół głównych obracających się jak jedno. Nadto, osi pierwszej pary kół tendera komunikuje bezpośrednio ruch obrotowy, osi ostatniej pary kół lokomotywy. Można powiedzieć, że nie dwa jak dawniej, ale ośm jest kół głównych w tej maszynie. Naśladując lokomotywy amerykańskie, tender tej maszyny opatrzony jest swoim podobnie jak przodek wozu zwyczajnego; to urządzenie pozwala maszynie giąć się przynajmniej w dwoje, co jest wielką korzyścią na kolejach, które mają krzywizny mniejszego promienia. Lokomotywa Engertha ma cylindry swoje umieszczone zewnątrz kół: w tej pozycji maszynista lub konduktor może mieć zawsze na oku te delikatne organa.

Taki jest skład lokomotywy Engertha, która mogąc przyjąć ogromne działanie pary, rozwija tyle siły, że z najcięższym ładunkiem przebywa pochyłości ( $\frac{1}{200}$  do  $\frac{1}{150}$ ) pod górę i z góry. Ten rezultat otrzymano przez powiększenie ciężaru maszyny, przez pomnożenie punktów podpory, a co za tem poszło, przez możliwość użycia potężniejszej siły pary. Druga korzyść tego systemu jest, że się może obracać po krzywiznach małego promienia, które przy budowie kolei rzadko dadzą się uniknąć.

Przedstawiliśmy czytelnikowi stopniowe ulepszenia lokomotywy, od czasu, jak pierwsza z nich r. 1830 przez Stephensona złożoną została. Dzisiaj dzielą je na trzy odmiany: maszyny o wielkiej chyżości czyli wojażerskie; o małej chyżości czyli towarowe, i maszyny mieszane. Przeznaczone do przewozu podróźnych biegną z chyżością 5 do 6 mil na godzinę, nie rachując przestanków. Towarowe przebywają 3 mile na godzinę i mogą ciągnąć 40 do 50 wagonów z stosownym ładunkiem (4,000 cetn.). Ciężar takiego konwoju, wagony i lokomotywę rachując, dochodzi 14,000 cetn. Na kolei zupełnie horyzontalnej ten ciężar może być podwojony. Maszyny mieszane wloką pociągi złożone z podróźnych i z towarów: pierwszych i drugie rozdzie-


lają, zatrzymując się często po stacyach. W przecięciu robią 4 mile na godzinę.

Maszyny Crampton przeznaczone do szybkich i długich kursów, mają 6 kół wysokich, formę wydłużoną, i przypominają wyścigowego konia; przeciwnie, maszyny towarowe, niskie, skupione, o małych kołach, porównać można do konia roboczego: liczba ich kół od 6 dochodzi do 14. Mieszane maszyny, wedle przeznaczenia, zbliżają się formą do pierwszych lub drugich, mają zwykle 6 kół, z których główne są zawsze w tyle wedle systemu Cramptona.

Powyższe wstępne objaśnienia pozwolą nam przejrzeć pobieżnie lokomotywy na wystawie zgromadzone.

Fabrykant Cail z Paryża wystawił dwie lokomotywy: jedna zrobiona podług Cramptona, druga w dawnym systemie, to jest z kołami głównymi w środku maszyny. Pierwsza z nich zwraca uwagę powszechną: już bowiem służyła 6 lat na kolei. P. Cail aby pokazać trwałość swojej roboty, powziął myśl wystawienia tego weterana parowej służby, dołączając mu autentyczną cedułę; liczne guzy świadczą, że szanowny emeryt, który jeszcze zamysła o czynnej służbie, nie oszczędzał swęj korpulentnej figury.

Anglicy przystali dwie lokomotywy: Emperora z kuźni R. Stephensona, i Eugenią pana Fairbairn z Mąnszester. Emperor ma 6 kół, z których dwa są z tyłu maszyny; cylindry, co się często napotyka w maszynach angielskich, nie są podług Cramptona umieszczone na zewnątrz kół, ale między niemi, pod popielnikiem. Tę odmianę musimy wytłumaczyć.

Jeżeli cylindry są umieszczone między kołami, pod popielnikiem, wtedy tenże udzielając im swojego ciepła, zapobiega oziębieniu przez promieniowanie ciepła, i tym sposobem przyczynia się do oszczędności opału; zapobiega nadto skraplaniu się pary w cylindrach, które ruchowi tłoków przeszkadza, i ten delikatny organ naraża na zepsucie; nakoniec zawieszenie cylindrów między kołami, powiększając stałość maszyny, zmniejsza w biegu wstrząśnienia. Ale jak zwykle, z temi zaletami łączą się niedogodności. Chcąc mieścić cylindry między kołami, potrzeba używać osi dwa razy łamanych () a wyrabianie takich osi jest bardzo kosztowne, ukru-

szenie się osi niestłuchanie łatwe; nadto trudnym jest bardzo czuwanie nad schowanymi pod parowcem cylindrami. Szufflada, którą maszynista nieomal na każdej stacyi oglądać powinien, jest niedostępna, bo się znajduje na samym spodzie maszyny. Z tych powodów, wbrew powadze Stephensona, Francuzi nie umieszczają cylindrów między kołami, ale zewnątrz.

Eugenia, lokomotywa z Manszester, jest na 6ciu kołach; cylindry są między kołami: dwa koła główne 8 stóp średnicy mające są w środku, nie w tyle maszyny. Odznacza się najprzód tém, że ma osie wydrążone; powtórę, że resory jej są z kauczuku; potrzebie, że ma kocioł dwa razy mniejszy od zwykłego, dzięki pomnożeniu liczby rurek przez które dym cyrkuluje w środku parowca. Średnicę rurek musiał zmniejszyć konstruktor: za to ich liczba dochodzi 400, przez co powierzchnia ogrzewająca została o wiele zwiększoną. Ażeby ciasne rurki nie były zatykane przez sadze, powiększono znacznie ognisko: ze strony przeciwniej drzwiczkom i od góry, wpuszczono przez rurę prąd powietrza, który zawracając dymy na ognisko, pomaga do zupełnego spalenia kopciu i gazów z węgla pochodzących. Urządzenie takie ogniska jest nietylko ekonomiczne, bo wszystek węgiel skonsumować pozwala, ale nadto sprawia, że lokomotywa nie rozpościera niezdrowych gazów po okolicy, którą przebiega.

Z Niemiec przysłano dwie lokomotywy wedle Cramptona zrobione: jedna pochodzi z Esslingen, druga z Karlsruhe; obydwom nie zarzucić nie można pod względem wykonania. Ostatnia odznacza się tém, że ma przód ruchomy na sworzniu, co usuwa zarzut czyniony maszynom Cramptona, że jako nazbyt długie, są mało obrotne. Długa, nie zginająca się na krzywiznach lokomotywa, zużywa szyny i koła, nie toczy się, ale ślizga, i łatwo w szybkim pędzie może wyskoczyć z kolei. Dla tych powodów uruchomienie przodka maszyny będzie bardzo zbawienne, jeżeli go praktyka uświęci.

Fabryki belgijskie i berlińskie pana Borsig są także godnie reprezentowane na wystawie. Austria przysłała między innymi lokomotywę Wien-Raab, pana Hatwell, przeznaczoną do przewozu towarów na kolei wydzierżawionej Francuzom. Należy do systemu Engerth.

Austryackie maszyny odznaczają się ogromnym komi-  
nem w kształcie lejka, rozszerzającego się pod górę.  
Te kominy, niezgrabnością swoją zdumiewające Fran-  
cuzów, są podwójne: między ich ścianami zbiera się po-  
piół, którego drzewo, zwykły opał w Niemczech, wię-  
cej niż węgiel dostarcza.

Z maszyn mieszanych, to jest przeznaczonych do  
przewozu ludzi i towarów, mających przy bardzo silnej  
budowie koła główne o wielkiej średnicy, najznakom-  
mitszą jest Geneva, lokomotywa z Mulhous'y. Dotąd  
przy lokomotywach nie korzystano z rozprężliwości pa-  
ry. Pierwsza Geneva ma przyrząd, który pozwala re-  
gulować rozprężliwość pary, tak, jak w maszynach sta-  
tych. Trudno jednak przewidzieć, czyli aparat jest prak-  
tyczny, czy oszczędność opału jest dosyć znaczna, aby  
skłoniła do zaniechania prostszego użycia pary o pełnem  
ciśnieniu.

Do żadnej kategorii nie można wliczyć lokomoty-  
wy orzeł, pochodzącej z fabryki pana Gouin. Budując  
to olbrzymie narzędzie, konstruktorowie założyli sobie  
pogodzić w niem wszystkie typy lokomotyw, to jest  
chcieli, aby z osobna służyła do poruszania szybkich  
pociągów wojażerskich, lub ciężkich trenów ładownych,  
lub nakoniec jednych i drugich. Zapewne, gdyby się  
dało na kolejach używać jednego tylko rodzaju ma-  
szyn, służba byłaby znacznie uproszczoną; ale przy  
największej różności przewożonych przedmiotów,  
z których jedne mają blizkie przeznaczenie, inne znów  
bardzo dalekie; że dla dogodności wojażerów, dla uła-  
twienia służby urzędników kolei, potrzebna jest konie-  
cznie jakaś klasyfikacya konwojów: dlatego, i z wielu  
innych powodów, lokomotywy na kolejach wielkiego  
rozwoju do jednego typu zredukować się nie dadzą.

### *Lokomobile.*

Co do istoty rzeczy, gospodarstwo nie różni się od  
każdego innego przemysłu: tu i tam, na folwarku czy  
w rękodzielni, chodzi o to, ażeby przy użyciu sił natu-  
ralnych lub sztucznych, przemienić materiały surowe,  
na przedmiot do właściwego użytku zdolny. Przeista-  
czać krzemień na szkło, glinę na garnek, dobyty z łona  
ziemi kruszec przerabiać na narzędzia i maszyny, ka-

mień, drzewo naginać pod rozmaite formy: słowem tworzyć niezliczone produkta przemysłu, czy téż kierować z doświadczeniem a umiejętnością siłami gleby, wody, nawozu, ażeby pomnożyć ziarno powierzone ziemi: wszystko to zmierza do powiększenia wartości użytego materiału. Przemysł prędko ocenił wyższość, jaką daje maszyna nad robotą ręczną; wprowadzenie jej do rękodzielni, mało sto razy pomnożyło siły produkcji. Przemysł rolniczy, mimo nieprzyjaznej odmianom rutyny, nie mógł także zostawać długo obojętnym na użycie maszyn w ogóle, a maszyny parowej w szczególe.

Amerykanie najprzód dali przykład. Mieli do uprawy kraj prawie bez granic, którego ludność rozsiana na ogromnej przestrzeni, nie dostarczała dość rąk do roboty. Usposobienie czynne i przemysłne naszych antypodów prędko zaradziło złemu, i już w początku tego wieku znojną pracę powierzyło narzędziom, a kierunek człowiekowi. Maszyna parowa, jako czynnik przy małym koszcie największą dający siłę, prędko weszła w użycie.

Anglii łatwo było iść za przykładem Stanów-Zjednoczonych, bo ma grunta nierozdrobnione, w ręku przemożnych właścicieli. We Francyi, dopiero od lat kilku, to jest od czasu jak maszyny znacznie staniały, zaczęto z ich pomocy korzystać w rolnictwie.

Maszynę parową przeznaczoną do gospodarstwa zredukowano do najprostszej formy; nazwano ją lokomobilą dlatego, że jest łatwo przenośną z miejsca na miejsce. Ponieważ ma być składana i rozkładana przez ludzi niedoświadczonych w mechanice, ma działać z przestankami a nie ciągle: nie może więc być skomplikowaną. I rzeczywiście w tej maszynie para działa z wysokim ciśnieniem: po wywarciu siły na tłok uchodzi w powietrze, nie ma więc kondensora i innych organów do skraplania pary, co jest znacznym uproszczeniem. Cały aparat składa się z kotła parowego i z cylindra. Kocioł jest z rurkami jak u lokomotyw: 8 albo 10 rurek, w których cyrkulują gorące gazy z ogniska, przyspieszają parowanie; ma formę wydłużonego walca, i spoczywa na zwyczajnych kołach: jeden koł wystarcza do przewozu. Cylinder jest umieszczony poziomo nad kotłem. Za pomocą pręta i korby, tłok cylindra obraca wał poziomy, położony na po-

przek względem maszyny; z wałem obraca się koło, na którym owija się pas bez końca. Za pośrednictwem tego pasa można poruszać młockarnią, pompę, tartak, młyn i t. d. Wszystkie tego rodzaju maszyny są jednakie na wystawie; przytoczymy kilka mających odmiany w szczegółach.

Między mechanikami, którzy się robieniem lokomobil trudnią, najcelniejszy jest Calla, który w r. 1851 poznał je na wystawie londyńskiej; od tego czasu udoskonalił i we Francyi rozpowszechnił. Jedna z jego lokomobil, którą codziennie w ruchu można widzieć na wystawie, ma siłę trzech koni parowych, zajmuje tyle miejsca, co mały wózek, waży 30 centnarów, jest o dwóch kołach i może być ciągniona przez jednego konia po zwyczajnej drodze. Przy długim dniu roboczym zużywa trzy centnary węgla.

P. Flaud z Paryża wystawił lokomobilę, którą zrobił na sposób w jaki się robią maszyny o wielkiej chyżości; dlatego aparat jego daje siłę 12 koni parowych, co jest może więcej niżeli potrzeba. Inne z tych maszyn należą do pp. Rouffet z Paryża, Renaud i Lotz z Nantes. Ci ostatni umieszczają cylinder pionowo nad kotłem i odziewają go powłoką z blachy, aby nie ostygła. Przez kilka lat tylko, rozprzedali maszyn takich 250 w kilku departamentach zachodniej Francyi. To, co wystawił p. Nepven z Paryża, możnaby nazwać taczkami parowemi: wózek czy taczki są o jednem kole, maszynka nie ma nawet siły jednego konia i zrobioną zapewne była dlatego, aby pokazać, jak rozmaite może być użycie pary.

Z angielskich konstruktorów pp. Clayton, Hornsby, Ransomens, Garret, przysłali bardzo piękne maszyny. Jedni z nich mieszczą cylinder w ognisku, bojąc się utraty ciepła; inni odziewają go podwójną kloszą z blachy, w której cyrkuluje para, i utrzymuje działającą parę wewnątrz cylindra w stanie wysokiej rozprężliwości. Zresztą wszystkie lokobile są jednakie.

Niepodobna przypuścić, ażeby wielka ilość wystawionych maszyn parowych w zastosowaniu do rolnictwa, nie przekonała czytelnika o ich praktyczności; bo przemysł prób robić nie lubi i fabrykuje takie tylko przedmioty, których zakup jest niezawodny. Jednak zarzutów nie brakuje. Na pierwszym miejscu jest dro-

gość maszyny. Cena lokomobili jest około 1000 fr. na siłę jednego konia parowego; to jest 4000 fr. za maszynę o sile czterech koni. Ale oszczędność codzienna pokryje bardzo prędko zaawansowaną sumę. W maszynie np. Hornsby pali się 4 funty węgla przez godzinę na siłę jednego konia par. (jeden koń parowy znaczy dwa rzeczywiste). Łatwo policzyć koszt utrzymania i porównać z utrzymaniem koni. Nadto maszyna jeżeli nie pracuje, to i nic nie kosztuje, czego o koniu powiedzieć nie można. We Francyi drobni nawet właściciele skupują maszyny; skoro takowe nie mają co robić u nich, najmują je sąsiadom; gdzieby delikatność sąsiedzkich stosunków najem odrzucała, można kupić maszynę na spółkę i dnie pracy opisać.

Nieugruntowany także jest zarzut, który oskarża maszyny o podpalanie. Każda z nich ma popielnik napełniony wodą; komin dość wysoki, aby iskra zgasła nim wyjdzie na powietrze; zwykle pracuje zdala od budynków. Od czasu jak je wprowadzono do Francyi, żadna jeszcze nie stała się przyczyną pożaru.

Ostatni zarzut, czyniony maszynom w ogólności, jakoby odbierały zarobek potrzebnym, za ledwo zasługuje na uwagę. Od kilkudziesięciu lat jak maszyny na Zachodzie weszły w użycie, statystyka liczbami dowodzi, że dobry byt i ilość wyrobników dziesięć razy się powiększyła.

Rolnictwo nietylko jest najdawniejszym przemysłem, ale wszędzie, a szczególnie u nas, jest podstawą bogactwa. Jakkolwiek wielka jest produkcya fabryk, rękodzielni, nie wyrówna ona nigdy produkcyi rolniczej. Uprawa ziemi zajmują największą część ludzi; sztukom i rzemiosłom dostarcza materyału. A jednak nikt nie zaprzeczy, że w porównaniu z wszelkim innym przemysłem, najniżej stoją środki, jakich rolnictwo używa ku ułatwieniu swojej produkcyi. Te same sposoby, które tak szybko rozwinęły przemysł, posłużą zapewne do rozwinięcia gospodarstwa. Uważając maszyny jako pierwszą dźwignię do osiągnięcia tego celu, pozwoliliśmy sobie przeciągnąć nieco ten pobieżny przegląd, za co cierpliwych czytelników, którzy nam do końca towarzyszyć raczyli, jak najmocniej przepraszamy.

## PAMIĘTNIKI

*Sabiny z G. G.*

---

Urodziłam się we wsi Mażęcinie, bywшем województwie krakowskiém, w dniu 18 stycznia 1808 roku, z rodziców znanéj, dość zamożnéj i dawnéj rodziny. Dziad mój, Konstanty Gostkowski, dziedzic miasteczka Kromołowa, generał-lejtnant na-przód w służbie pruskiéj, a następnie polskiéj, adjutant Fryderyka Wilhelma II-go króla pruskiego, późniéj zaś Jana Branickiego hetmana wielkiego koronnego; umarł zostawiwszy pięciu synów, z których mój ojciec był średni, i cztery córki. O ile mi wiadomo z rodzinnego podania, byłto człowiek światły, z nowszemi wyobrażeniami, noszący się jak dawniéj mówiono *po francuzku*, i należący do frakcyi owéj szlachty postępowéj, reprezentowanéj na sejmie cztero-letnim przez Małachowskiego, Ignacego i Stanisława Potockich, Mostowskiego, Kołłątaja, Wybickiego i innych, którzy chcieli ukrócenia swawoli i nadużyć szlachty, i rządu silniejszego i swobodniejszego. Są jednakże dowody niebardzo na korzyść liberalnych opinii mego dziadka przemawiające. Usunąwszy się od publicznych interesów, osiadł w miasteczku swoim dziedziczném Kromołowie, z kąd starym obyczajem, częste wojny i napady z sąsiadami swoimi odbywał. Jedną z najważniejszych była wojna z Bnińskim starostą mrzygłodzkim, którego dobra graniczyły z Kromołowem i przyległemi mu wioskami. Nie wiem kto miał słusznosc, kto piérwszy granice sąsiada najechał: to pewna, że obie strony silnie się okopały, że stary wojak trzymał ludzi zbrojnych na swym żołdzie, że przez lat wiele często przychodziło do krwawéj bójkii z ludźmi starosty Bnińskiego; i że po śmierci mego



dziada, już za pamięci mojego ojca zmarłego, przy spisie inwentarza pozostałych po nim ruchomości, znaleziono jeszcze znaczną liczbę broni palnej, karabinów, moździerzy, rusznic i t. p. Babka moja z domu Jordanówna, starościanka siedmiechowska, owdowiawszy niemłodo i mając dziewięcioro dzieci, poszła za mąż za pana Paszyca, z którym, jak to zwykle bywa, nie była szczęśliwa. Wkrótce też z nim się rozłączyła i tak go znieawdziła, że swoim ludziom, domownikom, sąsiadom, nie pozwalała inaczej się nazywać, tylko po tytule i nazwisku pierwszego męża. Ja ją już bardzo mało znałam: musiała mię jednak jęj postać uderzyć, gdyż jeszcze podziśdzien mam ją w pamięci obecną: małą, otyłą, z oczami czerwonymi i zapuchłemi, ubraną w czarnej krepowej sukni, siedzącą przy kartach, w które była w stanie trzy dni i trzy nocy grać, nie wstawszy od stolika.

Po jęj śmierci dobra Kromołów przeszły na własność najmłodszego z braci, który ożenił się z Kordulą Ankwicz, stryjeczną siostrą arcybiskupa lwowskiego, a później pragskiego. O tym pralacie krążyła w rodzinie naszej anegdotka, z oryginalności swęj zasługująca na umieszczenie w tych wspomnieniach. Kiedy w roku, jeżeli się nie mylę, 1833, ks. A.... przeniesiony został na bogate, bo dwa miliony rocznie przynoszące arcybiskupstwo pragskie, wypadło mu drogę obrócić na Kraków, w którym się niejaki czas zatrzymał, uprzedziwszy wprzód listem swoim panią G..... krewną swoję, w Kromołowie o mil dziesięć od Krakowa mieszkającą, o nastąpić mającym przez to miasto jego przejeździe. Moja ciotka przybyła niebawem na wezwanie i oboje prawie jednocześnie stanęli w hotelu Knotza, pod królem węgierskim. Po kilkunastu latach niewidzenia, powitanie było czułe: splakali się wzajem, o dawnych czasach rozmawiali. An..... narzekał na los, który go trzymał w oddali od ukochanego kraju i rodziny; w końcu po dniach kilku oświadczył, że w dalszą podróż udać się musi.

Już konie pocztowe były założone do ogromnej podróźnej karety, i stały rżąc w bramie wielkiego hotelu Knotza, kiedy arcybiskup objawił chęć pomówienia sam na sam z moją ciotką; jakoż podawszy jęj rękę, poprowadził do przyległego gabinetu. Po ponowionych jeszcze oświadczeniach współczucia i pamięci, wyznał jęj, że dręczony jest wyrzutami sumienia za czyn grzeszny, przeciw niej kiedyś popełniony, o którym ona wiedzieć nie

może, a który mu chwili spokoju nie da, póki nie uzyska od niej samej przebaczenia. Nie dając mojej ciotce czasu zapytać się jakiby to miał być grzech, za który sobie tak srogie czyni wyrzuty, opowiedział, że kiedyś przy działach majątkowych, będąc obecny téj czynności jako członek rady familijnej, nie ujął się za nią sierotą, gdy się znaleźli tacy, co korzystając z niedbałości opieki, krzywdzili ją na majątku: czego sobie darować nie może, i co zatruwa całe jego życie gorzkimi wyrzutami sumienia.

Zdaje się, że po takiem wyznaniu nastąpić było powinno zadosyć uczynienie i wynagrodzenie krzywdy; przynajmniej u chrześcian i uczciwych ludzi tak się rzeczy pojmują, zwłaszcza gdy kto ma w posiadaniu jakie z kilka milionów dochodu: tutaj wszakże inaczej się stało. Moja ciotka uradowana z widzenia krewnego, wszystko przebaczyła; poczem arcybiskup wsiadł do powozu i odjechał do Pragi, gdzie sobie téż szczęśliwie umarł, nie napisawszy do ofiary swojej obojętności ani jednego listu, nie wspomniawszy nawet w testamencie.

W ciągu mojej młodości raz tylko byłam w Kromolowie, tém rodzinném naszym gnieździe. Jestto miasteczko niewielkie, mające mniej więcej 2,500 do 3,000 dusz, a jako pograniczne, wyłącznie chrześcianami zamieszkałe. Dawniej trudniło się fabrykami sukienkami i bławatnami, które się tu na wielką skalę rozwijały; nieprzyjazne krajowe zawichrzenia nawpół je zniszczyły. Kościół starożytny zachowuje w sobie groby rodzinne J... i G..... Pałac stary w nowym guście przyozdobiony, ogród angielski starannie utrzymywany z wytworną oranżeryą i trephauzami, były jedyną tego miejsca ozdobą, gdyż leży w okolicy dzikiéj, piaszczystéj i bagnistéj. Jedném z interesujących wspomnień Kromolowa był odźwierny pałacowy nazwiskiem Bilnicki, dawny kamerdyner mojego dziadka, mający przeszło lat 100, a zdrów, rzeźki, jakby ich 40 dopiero liczył. Miejsce odźwiernego było w téj rodzinie jakoby dziedziczne od ojca do syna, a pradziadek znanego mi staruszką zapamiętał jeszcze czasy Michała Wiśniowieckiego. Rozmowny Bilnicki prawił różne gawędy i powiastki, cztery niemal pokolenia przesunęły mu się przed oczy: znał ich przygody, związki, koleje, miał przytém tak lokalną pamięć, że wypadki z największą dokładnością szczegółowo rozpowiadał; a ludzi, ich nazwiska, czyny, charaktery, obyczaje, zwyczaje, opisywał w tak żywych kolorach, jakby ich jeszcze chodzących i mówiących widział. Opo-

wiadania jego nie odnosiły się jedynie tylko do jego czasów: zapamiętał on jeszcze swojego dziada, i z ust jego słyszał wiele faktów, których tamten znów był świadkiem: to też Bilnicki był chodzącą kroniką wypadków przynajmniej półtora wieku w tył. Z opowiadań jego wiele było miejscowego tylko interesu, np. o ogierze pana starosty, o chartach pana generała, o najezdach ludzi pana starosty, o imieninach, zjazdach familijnych, ślubach, suchych weselach i przenosinach, bogatych rzedach, jak to dawniej bywało, jak to stoły gięły się od srebra, a kulbaki nawet były ze srebra złoczonego; a broń taka, jakiej dziś już na lekarstwo nie zobaczy. Były w tych gawędach legendy o duchach, czarach, były też i prawdziwe historyczne opowiadania. Z liczby tych ostatnich, najsilniej młodocianą moję wyobraźnię zajęła gawęda o królu Michale Wiśniowieckim i pani Warszyckiej jego siostrze, dawniej właścicielce Kromołowa, a prababce mojego ojca. Jak to dawne panie polskie, acz księżniczka z rodu, pani Warszycka była rządna, gospodarna i do pracy skora. Raz tedy gdy siedziała w olearnii przy rzepaku z którego jój olój zbić miano, i sama pilnowała, by broń Boże jaka cząsteczka sposobem nieprawym na bok nie poszła; nagle daje się słyszeć zdała po brukowanym dziedzińcu tętent konia, i wraz pokazuje się z za drzewiny dorodny jeździec, dojeżdżający na prześlicznym arabskim rumaku, ubrany w ferezji sutó złotem naszywanej, z szablą przy boku i sobolim kołpakiem na głowie. Zsiadł opodal przed pałacem, i zażądał widzieć się z panią Warszycką; a gdy mu wskazano miejsce gdzie się znajduje, spiesznym krokiem ku olearnii mierzy. Wszedłszy do tego budynku, zastaje w nim siostrę królewską przedzającą kądziel, siedzącą na długiej ławie kobiercem wybitój, z pokoju naprędce przyniesionój. Miała na sobie jupkę starą niby koloru brązowego, wyszywaną w ciemne jedwabne kwiaty, której powierzchowność zdradzała starość i częste użycie. Służyła ona do codziennój wizyty w stajni, wołowni, krowiarni, i nazywała się *gospodarką*. Pani Warszycka podniosłszy głowę i zmierzwiwszy przybyłego od stóp do głowy, zapytała poważnie: czego by żądał?... Zagadniony skłoniwszy się prawie do ziemi, wręczył jój pismo własnoręczne Jego Królewskiej Mości (albowiem było dworzanin królewski), w któróm donosił siostrze swojój, że jadąc z Krakowa do Warszawy, trakt obrócił na Częstochowę i Kromołów umyślnie, aby ją nawiedzić, z nią się ugadać i nacieszyć. Uradowana

z obiecanego przybycia brata, powstała czémprędzej z swojego siedzenia, i biegła już do pałacu, aby tak wysokiego gościa przyjąć stosownie i uczciwie, o ile nagły jego przyjazd i czas krótki pozwalały; kiedy rzuciwszy okiem na mielący się rzepak nagle się zatrzymała, i obróciwszy się do dworzanina; „Uradowana jestem, rzecz, że wielce mój miłościwy brat i pan, raczył pomyśleć o nawiedzeniu mojej chudoby; jednak wyznam Waszmości szczerze, że mi te dzisiejsze jego odwiedziny niekoniecznie na rękę, kwoli, że mi wypadł właśnie obrządek koło oto tam tego rzepaku. Jaką oni sobie dadzą radę bezemnie: wszystko mi rozszarpią.” Ledwie tych słów domawiała, za-tętniła zdala na dziedzińcu sześciokonna kolasa, i wysiadł z niej król Michał, niestary jeszcze, ale blady, chwiejący się, widocznie chroniczną chorobą, która go téż niebawem zabrać z tego świata miała, powalony, i powolnym krokiem szedł ku nadbiegającej siostrze, którą czule powitał. Za królem przybyło kilkadziesiąt różnego kalibru kolas, kolebek, bryk i bryczek z panami i dworzanami królewskimi, którzy wszyscy przez dni kilka w pałacu, suto i wspaniale podejmowanemi byli. Gdy w roku 1827 ojciec mój zamieszkały w Warszawie, odwiedził panią Tarczewską, siostrę panny Klementyny Tańskiej, wówczas jeszcze niezamężnej, na jednym z jej środowych wieczorów opowiadał przy herbacie to zdarzenie, z którego autorka *Rozrywek*, w jednym z wstępnych numerów tego pisma, utworzyła tak odmienną od prawdziwej powiastkę, że ją żadnym sposobem za tęż samą przyznać nie możemy. Jakże się dziwić, że odległej starożytności fakta historyczne, w opowiadaniu tak różną od prawdy przybierają postać, kiedy zdarzenie drobne i niezbyt dawne, tak przeobrażone zostało, że go poznać nie można?....

Dziadek mój z matki Wielogłowskiej, starosta olszański, poseł w czasie cztero-letniego sejmu, którego mam kilka listów w rękę, do żony pisanych w czasie agitującego się sejmu, był człowiek wielkiej poczciwości. Umarł w roku 1801 zostawwszy dwie córki i czterech synów, z których dwóch młodo pomierało, a najstarszy Kasper, był ostatnio senatorem, kasztelanem Królestwa Polskiego i prezesem senatu bywszej Rzeczypospolitej krakowskiej, któryto urząd w roku 1838 złożył. Moja babka podzieliwszy dość znaczny majątek między dzieci, pozostawiła sobie w dożywocie alimenty i wieś Proszówki nad

rzeką Rabą w cyrkule bocheńskim, Galicyi austryackiej, o mil trzy od Krakowa położoną. Gdy mój ojciec urzędował w tém mieście, kilka razy na rok jeździłam z moją matką do Proszówek: to téż wszystko co tam widziałam i słyszałam, w żywej mi stoi pamięci. Zajeżdżało się dość długim, drzewami wysadzonym dziedzińcem, przed długi, niski, drewniany dworzec, nie-tynkowany, starością poczerniony, z małą facyatką i gankiem wchodowym we środku. Opodal, może o dziesięć kroków, stała w ogrodzie kaplica tak urządzona, że moja babka słabowita i delikatnego zdrowia, z okien salonu, mszy świętej bardzo wygodnie słuchać mogła. W owych czasach, to jest, koło roku 1815 i 1816, mogła mieć lat 70: była blada, szczupła, rysów ściągłych, nadzwyczaj miłych i szlachetnych, noszących ślady niepospolitej regularności. Jój dobroć dla ubogich, szczerza i wylana gościnność dla przybyłych w jój prógi, nie miały granic. Nie było dnia, żeby w proszowickim dworcu nie było naraz dwadzieścia do czterdziestu osób na obiedzie. Ona sama nie siadała prawie nigdy do stołu: żyła jedynie kaszką drobną, którą sobie w czasie obiadu lub wieczery podać kazała, i jadła chodząc koło siedzących gości, a pilnując uważnie, aby każdy jadł i pił według gustu i zwyczaju swojego. Widzę jeszcze salę jadalną w Proszówkach, długą a wąską, papierem zielonym naklejoną, wysokie aż do sufitu białe lakierowane szafy, w których za szkłem połyskiwały talerze z stariej saskiej porcelany z niebieskimi w gzygzak obwódkami, wówczas w powszechném użyciu będącemi. Widzę jeszcze owe olbrzymie czarne hebanowe świeczniki (1), porcelanowe na ogromnych podstawach wazy, imbryki, płaskie filizanki z ogromnemi różami na środku wprost uszka; owe słynne w Dunajcu poławiane jesiotry i łososie, które długością swoją cały środek stołu zajmowały, i wpośród kwiatów, owoców, cukrów, butelek i kieliszków, wspaniale spoczywały. Widzę jak w dzień świętego Józefa, jako w dzień imienin pani domu, gdy jadalna sala nie mogła pomieścić przybyłych gości, musiano stół powiększyć i przeprowadzić go wzdłuż całego domu przez sieni ogrzewaną aż do salonu, który

(1) Z powodu ogromnego na srebro podatku, obywatele galicyjscy musieli pochować, lub do krewnych w królestwie Polskiem zamieszkałych poodsysłać swoje stołowe srebra, które stosownie do użycia zastępowali porcelaną, hebanem, lub różanym drzewem.

cały nim zajęty został. W liczbie osób zwykle w te dni uroczyste przybyłych, bywał krais-kapitan cyrkułowy, En... z żoną, generał stojący garnizonem w miasteczku, kilku oficerów z jego sztabu, przyjeżdżających zwykle w wygodnych miejscowych powozach. Starosta był sobieto Niemiec, lat może sześćdziesiąt mający, z garbem z tyłu, suchy, chudy, zatabaczony, w okularach na ogromnym chociaż wcale nie rzymskiego kroju nosie, powolny, mało mówiący i głuchy. Do tego słowa nie umiał ani po polsku, ani po francuzku, co niemało zalet przydawało jego konwersacyi. Nie wszyscy umieli dość biegle po niemiecku, aby się wdać z nim w gawędkę; a chociaż się kto i znalazł wprawny w mowie Schillera i Goethego, to mu się znów nie chciało wsuwać nosa i ust w ogromną trąbę, którą starosta uprzejmie podawał każdemu, kto się tylko do niego zbliżał. Greczny i uniżony w obejściu, zawsze uśmiechający się i ucha nadstawiający; cała wizyta jego ograniczała się na kilkanaście razy wyrzeczonych wyrazach „was sagen sie Madame?“ na które naturalnie nie odpowiadano, o co dobroduszny Niemiec wcale się nie gniewał, i poprzestawał na siedzeniu u stołu zaraz obok starszej córki gospodyni: w którymto czasie rola jego nie była już bierną, gdyż doskonale podawane sobie łakocie z talerzy zmiatał i kieliszki wypróżniał. Żona jego o lat może trzydzieści młodsza od niego, długa, sztywna, sztywniej jeszcze w falbany i niezmiernie wysznurowaną suknię ubrana, mniej od męża mileżąca, umiejąca trochę z niemiecka po francuzku i mająca pretensyą do tańca, a nawet do kontredansa, którego najpocieszniej w świecie tańczyła, układając usta, twarz, figurę, według swojego wyobrażenia, stosownie do ruchów tańca. I tak: w *chassé croisé* najmiliej się uśmiechała do tańczącego naprzeciwko tancerza; w *la trompeuse*, która wówczas *furorę* robiła, odwracając się nagle stroiła filuterną minkę; w *balancé* zaś i w podaniu ręki swojemu tancerzowi, przybierała czułość Heloizy, a gracyą Dydony. W dzisiejszych czasach, gdzie wszyscy są jakby na jeden kształt wykrojeni, już nie ma na nieszczęście takich oryginałów; a jeżeli są, to raczej w charakterach, narowach, wyobrażeniach: w obejściu i powierzchowności bardzo rzadko. Ta szanowna para łącznie z generałem i oficerami austryackimi, najwięcej mię bawiła. Któż nie zna, albo nie słyszał przynajmniej o wojskowym mundurze austryackim, tak pociesznego kroju: trójgraniastym kapeluszu obszytym

szerokim złotym galonem, podobnym do papierowych kapeluszy, jakie dzieci sobie robią dla zabawki z arkusza papieru, ogromnym pałaszu hałaśliwie suwającym po pokoju, krótkich szaraczkowych surdutach z zielonym kołnierzem i dwoma rzędami świecących guzików!. Wszystko to dokuczliwe, sarkastyczne, fiskalne, gburowate i nieznośne w stosunkach urzędowych i garnizonych, było niesłychanie uniżone i potulne w salonie. Systematyczność niemiecka poszła w przysłowie i nie jest zabawna dla krajowców: cóż dopiero, gdy miała do czynienia ze szlachtą polską najmniej systematyczną!.... Obie strony wzajemnie się skarżyły, z Wiedniem korrespondowały, kommissye na siebie sprowadzały, nim się pogodzić zdołały; wszakże systematyczność niemiecka jako silniejsza, przemódz musiała, zawsze przecież z całą grzecznością i uniżonością. Lubiłam bardzo dość częste przejażdżki nasze do Proszówek, bo mnie tam zawsze nowe przyjemności czekały. Naprzód sama droga z Krakowa do Proszówek była dla nas pasmem wesołości i niespodzianek; a jedną z nich była niezaprzeczenie przeprawa przez Wisłę we wsi Sierosławice, gdzie była komora austriacka. Tam zwykle bywaliśmy przyjęci przez *Einnemera*, to jest pisarza czyli naczelnika komory, którego usługą względność opłacali rok rocznie moi rodzice kilkunastą furami siana, i kilkudziesięcią korcami owsa. Pan *Einnemer*, szczególném bardzo zdarzeniem nie Niemiec, był serdecznym przyjacielem wszystkich obywateli na kilka mil wokoło: z każdym się kochał, poufalił, bo każdemu był wielce przydatny. Ten miał wyprawę córki lub siostrzenicy do przewiezienia, inny brykę ładowną winem, cukrem, kawą; inny świeży wiedeński powóz w zamian za stary, który po tamtej stronie szlabana pozostawił. Takim pisarzem przez czas długi był pan S..... pół-Polak, pół-Francuz, człowiek niski, jowialny, wielki myślistwa amator, mający kieszenie napełnione prochem, chubką, rogami obfitości w srebro oprawne, ubrany zimą i latem w bekieszkę watowaną, u której na trzecim lewym guziku wisiała kanwową robotą wyrabiana włóczkowa torebka na tytuń.

Etykieta przyjęcia *przyjaciół* na komorze była taka:

Zajeżdżało się przed zamknięty szlaban, wychodziło dwóch strażników z laskami żelaznymi zakrzywionymi, którzy ukłoniwszy się ze znaczącym uśmiechem, zaczęli się krzątać niby koło rewizyi rzeczy, to jest, końcem laseczki dotykali się waliz, tłu-

moków i kieszeni, a dostawszy poczęstne od państwa przejeżdżających, dawali znak podniesienia szlabanu, a na stangreta zawołali: „*jeżdż z Bogiem!*“; co się znaczyło, że stangret zaciął konie, przejechał baryerę i zajeżdżał przed mały domek murywany, z ganeczkiem i rabatami z róż centofolii. Był to rezydencyja pana Finnemera, który wybiegłszy na dziedziniec, z uprzedzającą grzecznością wysadzał panie, i uroczyście wprowadzał do przedsionka, gdzie leżało kilka psów legawych, chartów i jamników, a następnie do pokoju mającego pretensją być pokojem bawialnym, bo stała w nim kanapa jesionowa, amaranutowym merynosem pobita, przed nią stół okrągły kobiercem nakryty, komoda na której mało już śladu politurę znać było, zastawiona filizankami różnej formy, kalibru i mody, z których połowa pęknięta, nadtluczona i bez uszka; kryształową zamykaną, w bronz oprawną cukierniczkę, kilku porcelanowemi fajkami, ogromnym tłukiem do tłuczenia orzechów, kilkoma szklanemi kubkami z napisem *Carlsbad* lub *souvenir*, i wypchanym kanarkiem. [We środku tego kwodlibetu stał rodzaj samowaru na spirytusie, mosiężny, w kształcie beczki. Na ścianach było pozawieszanych kilka sztuk strzelby, para pistoletów, kordelas; a w kącie fajczarnia z długimi cybuchami. Dalej stolik na którym była talia kart zabrudzonych polskich w maszynie od przyściskania, kilka biletów wytlaczanych z powinszowaniem imienin i Nowego Roku, leżących w czerwono-lakierowanym koszyczku; parę pół-arkuszowych ze złożonemi brzegami i girlandą powinszowań od dzieci i siostrzeńców. Naprzeciwko drzwi wchodowych, jako najparadniejszy mebel, stał fortepian orzechowy, fornierowany, mający półpiętej oktawy, z czarnemi hebanowemi klawiszami, z których większa część nie odpowiadała. Na nim było porozrzucanych kilka odwiecznych walców i mazurków, Grammatyka Meidingera i *Matki Rywalki* pani Genlis, w tłumaczeniu polskiem; nad fortepianem zaś wisiała gitara angielska o pięciu strunach. Na ścianie, jako konieczny mebel, paradowały portrety pana i pani.

Gdyśmy weszli, gospodarz posadził nas na kanapie i poszedł po żonę, która niebawem weszła w czepku z czerwonymi wstążkami naprędce włożonym na głowie, niekoniecznie starannie uczesaną, i brudnym szlafroku, z zarzuconą (także naprędce) bagdacką paliową chustką. Za nią osmolona dziewczyna przysłała po filizanki, które zabrawszy z komody wraz z cu-



kierniczką, w kwadrans potem wniosła już nalaną kawę napół z cykoryą, z kilkoma na talerzu kraciastym desserowym podaniem *prawdziwie suchemi sucharkami*.

O pani Einnemerowej niewiele można powiedzieć, gdyż usiadła na ostatnim stolku zdala od kanapy, kilka słów prawie niezrozumiałych przemówiła, i znów wróciła do siebie, gdzie kawę gościom przyrządzała. Zresztą nie miałam czasu jej się przypatrywać, gdyż pan Einnemer wniósł ogromny półmisek ciast w jednej ręce, a duży kosz owoców w drugiej. Był to zwykła niespodzianka przysłana przez moją babkę, i będąca zwiastunem innych daleko miłszych, które nas w Proszówkach czekały. Po chwili oboje państwo Einnemerowie odprowadzali nas do promu, gdzie nas czekali zamówieni już przewoźnicy. Byli to chłopci zagrodnicy, poddani dziedzica Sierosławic, którzy za dni pańszczyzny, przeznaczani byli do statku, i mając go w ciągłym użyciu, doskonale nim kierować umieli. Ubrani byli jak zwykle lud koło Krakowa: w białych sukmanach i czerwonych czapkach czworograniastych. Nasłuchaliśmy się różnych żartów, śmiechów, dowcipów, dykteryjek, bo krakowski chłopiek jest z natury wesoły, rzeźki i lubiący żartować z siebie i drugih, zwłaszcza jeżeli ten z którym ma do czynienia, jest tak nazwany *ciarach*, to jest szlachcic z dalszych okolic: bo co z swoim panem, jego ekonomem lub sąsiadem, jest potulny i nawet nieśmiały.

Uraczywszy dobrze naszych przewoźników, wyjechalśmy na trakt, zwykle zwany w Galicyi austryackiej cesarskim gościńcem, to jest na drogę murowaną, czyli zwirowaną, która tak jak dziś nasze *chaussé*, nie była szeroka i gładka, ale wązka, grudziasta, pełna zasp, dołów, najeżona głębokimi kolejami od bryk furmańskich, ustawicznie po niej krążących. Nie wiem czém się to dzieje, ale wjechawszy do Galicyi, co naprzód uderza, to ten ustawiczny ruch handlowy, z żadną inną prowincją dawniej Polski równać się nie dający. Zdaje się, że przemysł nasz zwykle niebardzo czynny i energiczny, na tym punkcie wyłącznie się skoncentrował.

Za przybyciem do Proszówek, ledwie mieliśmy czas wysiąść z powozu, już nas babka zaprowadziła do przeznaczonego dla nas pokoju, gdzie zastaliśmy na dużym stoliku porozkładane mnóstwo zabawek. Tu ogromna lalka z długim warkoczem w koturnach, mechanicznie chodząca i niziutko kłaniająca się,

w atłas i blondyny strojna, grzecznie do swego towarzystwa zapraszała, kiedy mój brat już dosiadł ogromnego drewnianego konia, na którym się chustał niby galopując. Przyjmował nas zwykle na przyjeźdźnym, w dziedzińcu, ogromny pies brytan czarny, nazwiskiem Bukiet, który tak znał moją matkę, że gdy wysiadała, czepiał się jej sukni i póty nie puścił, dopóki ją z wszelką czcią i powagą do pokoju nie wprowadził. Był on postrachem wilków i złodziei na mil kilka naokoło; ale w starości swojej źle skończył, bo przez wilków, z wielkim żalem pani, domowników i gości, pożarty został. Lubił on niezmiernie dzieci, które go zaprzęgały do wózków, dosiadały, poganiały, nie mogąc go nigdy zniecierpliwic.

Były w Proszówkach dwie panie tak zwane respektowe, dalekie krewne pani domu. Starsza z nich pani kapitanowa Usielska, była to sobie kobiecina podżyła, ale dobrze i czerstwo wyglądająca: wysoka, twarzy ściągłej, rysów nieco ostrych, drobnych, z wąsikami, co ją czyniło podobną trochę do huzara. Nazywano ją panią kapitanową, i nikt się nie ważył, nawet moja babka, jej dzieci i goście, inaczej ją nazywać. Była wdową po kapitanie Usielskim, który w bitwie pod Szczekocinami, obok generałów Wodzickiego i Grochowskiego, kulą ugodzony został. Niezmiernie lubiła dzieci: to też my ją nawzajem bardzo lubiły. Niejeden wieczór zszedł nam na słuchaniu jej opowiadań różnych przygód życia, których my z upodobaniem i zawsze z wielką słuchali uwagą. Czasami dla urozmaicenia tańcowała z nami, i w jednym z tych skoków upadłam, i nos sobie stłukłam. Trzeba było widzieć strach i rozpacz staruszki! Co tylko miała w swym pokoju i apteczce kosmetyków, olejków, spirytusów, wódek kolońskich, anodyn, wszystko to użytém było na pierwszy ratunek mojego nosa; nic to nie pomogło: dni ośm najmniej, z wielką boleścią kochanej Usielsi, chodziłam z nosem czerwonym jak piwonia, a dużym jak pięść. Czas swój dzieliła staruszka między nas, maryaszem z księdzem proboszczem z Krzyżanowic, lub konsyliarzem Kanką, w Bochni mieszkającym. Ksiądz proboszcz był to sobie człowiek wysoki, chudy, pobożny i dobroczynny, ale przepadający za maryaszem, któreto zamiłowanie dzielił z doktorem Kanką; w czém zresztą zgadzali się, bo co do wszystkich innych rzeczy, byli w ciągłych sprzeczkach. Kanka był wesół staruszek, i równie jak ksiądz proboszcz, konieczny i codzienny gość proszowickiego dworca.

Nazywał się rzeczywiście *Kanka*, i był dziadem z matki pana Limana, który oddał się zawodowi dyplomatycznemu, i jako rezydent austriacki w Krakowie, roku 1846 ważne zajmował stanowisko. Szanowny Eskulap zwykle przyjeżdżał do Proszówek o godzinie dwunastej w południe, zawsze na koniu, mimo lat siedmdziesięciu przeszło; nosił na białych jak śnieg włosach rudą perukę z harcapem, długi frak szaraczkowy, podobny do dzisiejszych rajtroków, na jeden rząd jedwabnych guzików zapinany; nosił w ręku znakomitej grubości bambusową laskę z srebrną połączoną gałką, pod którą wymodelowany był konwulsyjnie śmiejący się satyr. Na siwych, pełnych jeszcze żywości i dowcipu oczach, nosił okulary w złoto oprawne; twarz i czoło zmarszczkami poorane, nosiły cechę wielkiej prawości: mimo tego, my dzieci niezmiernieśmy się go bały, bo nam zawsze groził i często nas z pokoju wypraszał. Program jego przyjazdu i wyjazdu z Proszówek był zawsze tenże sam: zsiadłszy z starego swojego stępaka, wchodził do pokoju z laską i kapeluszem, który zdejmował dopiero próg przeszedłszy, niezmiennie dodając: „Upadam do nóg pani starościny Dobrodziejki; jak mi się miéwać raczy?” Czy był kto w salonie czy nie, czy była sama gospodyni lub jéj nie było; nie to formy przywitania nie zmieniało, i niebawem jął się do swojego wydziału, tojest do nakręcania zegarów.

Było ich ośm, między niemi jeden grający w biurku stojącym, inaczej zwanym sekretarzem, który niemaló zadawał pracy staremu, bo się często psuł i niezawsze stawał się powolnym przygrywaniu ulubionych kurantów, które codzién z zajęciem od lat trzydziestu słuchał i przybyłym gościom zachwalał.

O godzinie piérwszej po południu, jako obiadowej porze w Proszówkach, ściśle przez zacnego konsyliarza przestrzeganej, stary lokaj Rzepecki ukazywał się w progu salonu z serwetą w ręku, co było niezawodnym znakiem, że dano do stołu. Jeżeli innych kobiet nie było, szła zwykle naprzód gospodyni domu z jakim obcym panem lub księdzem proboszczem, a doktor podawał rękę pani kapitanowej, z którą po skończonym obiedzie, przybrawszy księdza proboszcza do swojego towarzystwa, grywał maryasza w pole, w owe ogromne miedziaki austriackie, których objętość dochodziła wielkości zwyczajnej dłoni. Po dwugodzinnéj partyi, w której się bez sprzeczek nie

obeszło, pani kapitanowa brała ogromną włóczkową robotę, a doktor przechodził do sąsiedniego gabinetu, gdzie smaczno zasypiał; poczem wysuwał się cichaczem, poszedł do stajni, sam okulbaczył ulubionego kasztanka, i małym truchcikiem wracał do domu i chorych.

Inną jeszcze znaczącą figurą proszowickiego dworca była druga panna respektowa, którą zwykle tytułowano panną podsędkówną. Była o tyle kwaśna, niekontenta, gdyrająca i marudząca, ile pani kapitanowa była humoru wesołego, łagodnego i jednostajnego. W naszej epoce, w której wszystko dąży do pewnej doskonałości, typ stariej panny coraz bardziej niknie, tak, że jej prawie już rozeznac nie można od doletnich mężatek. Jeżeli są jakie różnice, to w charakterze, uczuciach, bo co w ubiorze i obejściu, już ich oddawna nie ma.

Dziś stara panna, a nawet i młoda mieszka, jeździ sama bez mężatki, chodzi w czepku i sukniach z ciężkich materyj, rozsiada się na kanapie lub gdzie zechce, rozmawia głośno i śmiało o wszystkich przedmiotach, i nikt jej tego nie ma za złe. W owiej epoce, to jest przed trzydziestą laty, rzecz się miała inaczej. Panny tworzyły że tak powiem inny świat, dla którego były inne zwyczaje, inne prawa przyzwoitości i nieledwie inny język; to też były najnieszcześniejsze w świecie stworzenia: nie wolno im było ani mówić, ani śmiać się, ani tańcować, tylko podług przyjętych form. Młode przynajmniej miały w niedalekiej perspektywie męża, który im miał przynieść upragnioną wolność; ale biada starym!... Nad niemi nikt nie miał litości: byłyto stworzenia na usługi wszystkich, szczęśliwe, jeżeli na usługi tylko, a nie wzgardę i pośmiewisko! Na wytłumaczenie jeżeli nie usprawiedliwienie tak wielkiej niesłuszności, możnaby przytoczyć wiele fizyologicznych i filozoficznych wniosków, domysłów i spostrzeżeń: możnaby powiedzieć naprzykład, że ludzie instynktowo czują potrzebę rodziny i gardzą starymi pannami, które jej obędnosc niejako reprezentują; że miłość i poświęcenie jest w naturze kobiet, że przeto ich brak w płci słabszej, szpeci ją i zawczasie starzeje; możnaby jeszcze wiele innych rzeczy powiedzieć, które byłyby tylko dowodem, ile świat był niesprawiedliwym dla panien, które tu są daleko mniej winne jak starzy kawalerowie, gdyż ci mają wybór, a one go czekać muszą, a częstokroć doczekać się nie mogą. Ale wróćmy się do panny podsędkówny... Żyła ona na swoje nieszczęście

w czasach daleko dla starych panien krytyczniejszych; nie dziwnym się przeto jój złemu humorowi, zwłaszcza, że i powierzchowność jój niewiele ją do swobody i wesołości usposabiać mogła. Była nieładna, niska, widocznie ułomna: miała przynajmniej tę korzyść, że była wieku niedocieczonego, i przez lat przynajmniej dwadzieścia, wcale nie starzała. Pretensyi wszakże nie brakło jój: często oczy spuszczała, czerwieniała, a w rozmowie potocznój udawała, że pewnych allegoryi i dwuznaczników nie rozumie. Nosila trzewiki na korkach, włosy do góry wyczesane i upudrowane, grzebieniem spięte, z jednym łokiem z tyłu wiszącym. Zawsze starannie wysznurowana, mimo łopatki widocznie wystajaczej; nosila najczęściej ciemne, do figury robione jupki gradeturowe w kwiaty wyrabiane, na długiej czarnej jedwabnej sukni. Nie mając żadnego w domu zajęcia, gdyż apteczka i nalewanie kawy były wydziałem pani kapitanowej, panna podsędkówna najczęściej milcząca z natury i małomówna, wiecznie coś robiła na drutach, siedząc pod oknem i mrużąc gniewnie na wszystko i na wszystkich; nie ruszyła się z swojego miejsca do niczego, chyba aby chwycić za klapkę od much, bo wygubienie tego niewygodnego owadu do niej należało: zatrudnienie, które zresztą podzielała z Domicyanem rzymskim cesarzem. Nie wiem, czy ją muchy lubiły, bo co my młodzi, nie kochaliśmy jój wcale; ustawicznie na nas gdyrała, łajała, skarżyła, i z jój przyczyny nieraz srodze strofowani, a nawet karani bywaliśmy. Moja babka jój nie lubiła, a w częstych jój z panią kapitanową nieporozumieniach, zawsze tej ostatniej stronę trzymała. My młodzi, częste jój figle plataliśmy: to chowając jój drut od roboty, to wypróżniając tabakierkę, lub drażniąc się z jój ulubionym szpicem, który był również zły, kwaśny i mrużący jak jego pani.

Mówiąc o proszowickim domu, nie mogę pominąć czterech podrzędnych, ale ważnych w nim figur. Piérwszą z nich był pan Kaliciński ekonom od lat trzydziestu w służbie swojej pani, prawdziwy typ starych sług, z jakich w każdym domu dawniej był przynajmniej jeden; a jakich dziś naprózno byśmy szukali. Pan Kaliciński nosił się po polsku, miewał złociste pasy od święta, wąs zawieszisty, a jako szlachcic, miał prawo do szabli. Nie miał on nic wspólnego z innemi, a szczególnie dzisiaj z ekonomicami. Nie okradał on swojej pani, ani się panoszył, nie pijał kawy ani wina chyba we dworze, a na śniadanie kontento-

wał się kminkówką lub polewką z piwa. Łagodny i wyrozumiały dla chłopków, nie karał ich dla fantazyi lub w skutku złego humoru, ani ich obdzierał, ani oszukiwał, ale był prawdziwym dla nich ojcem. Drugą z kolei ważną w domu osobą była pani Tuchowska klucznica zła, gdyrliwa, kłótniwa, ale wierna, i bardzo tę wierność wysoko ceniąca. Ludzie, a szczególnie dziewczki dworskie, bali jęj się jak ognia. Była kolosalnych jak na kobietę rozmiarów, twarzy czerwonej, połyskującej, nieco ospowatej: ubrana zimą i latem w watowy merynosowy koloru niewiadomego szlafrok z ogromnym pękiem kluczy u pasa. Pani Tuchowska żyła w otwartej ze wszystkiemi wojnie, wyjąwszy z panią swoją, gośćmi i dziećmi: szczególnie te ostatnie bardzo lubiła. Zachowałam ją w pamięci, gdyż mi często przynosiła gomulki z sera, świeże ciasteczka i sucharki. Widzę ją wtaczającą się co rano do sypialnego pokoju *Jasnie pani*, jęj postać zadziwiała mnie objętością niemniej jak jęj czepek, a jak go nazywała *kornet*, który od święta nosiła, z wielkiemi złotemi wstążkami i szeroką petifeniową falbaną, idącą od ucha do ucha przez środek głowy, bardzo wykrochmaloną i sztywną. Po nięj następowały jeszcze dwie inne dworu mojęj babki figury: panna Szuderska panna służąca, i Wojciech Rzepecki kamerdyner. Pięrsza wysoka, chuda i tak szczupła w pasie, że się zdawało iż się przelamie, z nosem ogromnym i ustami ściśniętymi, wysznurowana jak lalka, wypomadowana jak peruka, loki zawsze w papilotach, bo ich nie miała kiedy zrobić. Panna Szuderska mogła mieć lat około trzydziestu, i wiele pretensyi do młodości; była zawsze w trakcie pójścia za mąż i nieodmiennie za młodszego od siebie; ale z niewiadomej przyczyny, zawsze te zamierzone małżeństwa spelżyły na niczém. Więcej mi jest pamiętnym Wojciech, zrazu lokaj, później awansowany na kamerdynera, Rzepecki, a to z wielu różnych przyczyn. Naprzód w wieczór w szarą godzinę rozpowiadał nam *bajki*, które on *gadkami* nazywał: o słomianym królewiczu, żelaznym wilku, worku sto-dukatowym, po wypróżnieniu zawsze cudownie napełnionym, o obrusie rozwijającym się na każde zawołanie z nakryciem, potrawami na osób dwadzieścia cztery, o wojsku napowietrzném i t. d. Siedząc w sali jadalnej na kanapce, obok wielkiego marmurowego kominka, płomieniejącego żarem suchej dębiny, poczciwy stary trzymał mnie na kolanach, a brat mój i rówiennik jego Walery Wielogłowski, brat nasz cioteczny

(dziś znany autor kilku dzieł treści religijnej), stali przy nim; i wszyscyśmy słuchali jego opowiadań z nieporównanym zajęciem. Przed laty trzydziestu, powieści ludu nie miały tego poszanowania i wziętości co dziś; wszakże przez wzgląd na długą i wyprobowaną służbę Wojciecha, jego pobożność i nigdy nieposzlakowaną poczciwość, nikt, ani rodzice moi, ani *Mademoiselle Josephine* bona francuzka, téj przyjemności nam nie bronili. Rzepecki posiadał całe zaufanie swojej pani. On sobie zawsze miał powierzone pieniądze na bieżące wydatki, był kasjerem ubogich, zwykle wszelkie datki i jałmużny przez jego przechodziły ręce. Dni wtorkowy i czwartkowy odróżniały się w Proszówkach od innych dni w tygodniu. We wtorek jako dzień targowy, Rzepecki jeździł do Bochni, gdzie skupił całą brykę cacek i zabawek; niby dzieciom na niespodziankę. Była to wszakże z upragnieniem spodziewana niespodzianka, gdyż się co dni ośm regularnie powtarzała; z niemniejszą przecież radością przyjmowana była. Ktoż może wyrazić nasze zaciekawienie, gdy ładowna bryka we wtorek wieczór zatętniła na dziedzińcu, i zaczęto z niej wydobywać po jednym: lalki, maryonetki, konie, wózki, bicze, bębny, pałasze, gospodarstwa, które Rzepecki otulony jeszcze w płaszczu, rozdawał dzieciom z wielką przezornością i sprawiedliwością, aby broń Boże które w dziale ukrzywdzone nie było. Stary gniewał się i łajał, jeżeli jakim wypadkiem pani generałowa przywłaszczyła sobie konia pana pułkownika, albo pan pułkownik mieszał się do gospodarstwa pani marszałkowej: albowiem służąc kiedyś w wojsku Kościuszkowskiem w kompanii Usielskiego, stary wojak tchnął duchem wojowniczym, mustrował codziennie paniczów i każdemu z nich dawał tytuł wojskowy. Walery Wielogłowski jako najstarszy, był panem generałem; mój brat zwał się panem pułkownikiem, mnie zaś jako *dame*, tytułował panią marszałkową. Te hierarchiczne stopnie wywoływały między nami różne nieporozumienia, bo nam bardzo chodziło o utrzymanie rangi; a bywało, że Rzepecki bez miłosierdzia jednych awansował, a drugich degradował: bo prawa do honorów, były w stosunku dobrego prowadzenia się paniczów. Człowiek ten bez wysokich wyobrażeń o wychowaniu, bez mądrych systemów i wielkich zasad, wynalazł najskuteczniejszy sposób do zmuszenia nas do grzeczności, albowiem niczego tyle nie baliśmy się jak *degradacyi*, i dość było nam pogrozić staruszką, aby

nas zmusić do porządku; a mówiąc nawiasem, potrzeba wojskowej karności czuć się w Proszówkach dawała, gdy nas babka trochę psuła i każde strofowanie ze strony rodziców lub nauczycieli, jój zły humor wywoływało.

Dni *czwartkowe* były mniej wesołe dla nas, ale jakże upragnione dla wszystkich ubogich w okolicy: były to dni rozdawania jałmużn na pamiątkę śmierci mojego dziadka, który w dzień czwartkowy poczciwy swój zakończył żywot. Od samego rana w dniu tym, wszystkie zakątki obszernego dziedzińca zajęli ubodzy, chorzy, kaleki o mil kilka czasem przybywający. O samąj dwunastąj, Rzepecki na ogromnej tacy wynosił przeznaczoną dla nich sumę, i stosownie do wieku i rodzaju kalectwa, pomiędzy nich rozdawał. Zwyczaj ten trwał bez przerwy lat dziewiętnaście, tojest od śmierci mojego dziada, do skonu jego żony. Ze zaś moja babka jako mająca dobra w Galicyi, wraz ze wszystkimi współobywatelami, różne losu koleje przechodziła, mianowicie zaś słynną redukcją papierowych pieniędzy, przez którą bardzo wielu obywateli postradało całe mienie: zdarzało się nieraz, że pieniądze w kassie zabrakło, i we środę w wieczór, a nawet czasem i we czwartek rano nie było ich jeszcze. Biedny Rzepecki, sługa i powiernik pani, bardzo się kłopotał, w głowę zachodził jak to będzie: kiedy zawsze jakaś niespodziewana ręka w pomoc mu przychodziła, czy to przez przybycie kupca na okowitę, na zboże, na wełnę; czy też przez odniesienie zaległego czynszu: słowem, nie było wypadku, aby we czwartek w południe pieniędzy w kassie nie było. Trzeba było widzieć z jaką wiarą, z jakim rozrzewnieniem stary rozpowiadał ten prawdziwy cud Opatrzności Bożej: nieraz słyszałam go mówiącego w chwilach jakiejś trwogi lub kłopotu: „*to nie na naszą głowę; Pan Bóg tu radzić musi.*“

Z uczonych zwiedzających Proszówkę, o ile zapamiętać mogę, był Jan Śniadecki i Józef Sołtykowiez, professorowie uniwersytetu krakowskiego. Piérwszego bardzo słabe mam wyobrażenie, gdyż powołany do Wilna przez Cesarza Alexandra, opuścił nazawsze Kraków, i już w jego rozkosznych okolicach czasu feryi czyli wakacyi przepędzać nie mógł. Zostawił w rodzinie naszej drogą po sobie pamięć przez przyjaźń, jaką ją zaszczycał, i cnoty towarzyskie, o których często słyszeć mi się zdarzyło. Jak mówiono, Śniadecki zwiastował już wówczas, kiedy na wakacje do Proszówek przejeżdżał, człowieka niepospolitego, i tu



gotował materiały do pięknego dzieła „*Geografia astronomiczna*“ którą w lat kilkanaście później w Wilnie wydał. Mówiono, że w piękne noce gwiazdziste, uzbrojony w podręczne narzędzia astronomiczne obserwował niebo, i spostrzeżenia swoje, siedząc na skale o milę a czasem i dwie od domu, przy świetle stoczka notował. Józef Sołtykowicz bardziej mi był znany, gdyż go często i w Krakowie widywałam, z powodu, że wszyscy prawie młodzi moi krewni B. B. i W.W. na pensyi u niego byli. Pełen dobroci i słodczy w obejściu, z twarzą wesołą i uśmiechającą lubo poważną, nie odstręczał od siebie, owszem przyciągał, a przecież wzbudzał poszanowanie. Jego wychowawcy bali się go jak ognia, a czcili jak ojca. Pensya jego w Krakowie miała najwięcej wziętości i sławy, tak dla dobroci professorów, między którymi sam Sołtykowicz wiele jój czasu poświęcał; jak dla nader ograniczonej liczby wychowawców. Sołtykowicz mało się rodziłał od uczniów swoich; starszych sam czasami wprowadzał w świat dla obeznania ich z jego zwyczajami. Kupił o kilka mil od Krakowa wieś *Harzewice*, gdzie ich w miesiące letnie woził w celu wczesnego obeznania z pięknościami przyrody, z gospodarstwem, i dla świeżego powietrza.

Przejażdżki nasze do Proszówek zawsze kilka tygodni trwające, odbywały się regularnie dwa razy każdego roku: w epoce św. Józefa, i na święta Bożego Narodzenia. Wszakże moja babka coraz bardziej upadając na siłach, uległszy natarczystem prośbom dzieci; we wrześniu 1817 roku, stała zamieszkanie w Krakowie obrała. Najęto dla niej całe piętro domu dawniej Żochowskiego aptekarza, na ulicy Floryańskiej, wprost hotelu zwanego dziś „*de Russie*“. Po jój sprowadzeniu się do Krakowa, już téż prawie żadnego wieczoru, wyjąwszy dni na przyjęcie u moich rodziców przeznaczonych, w domu nie przepędzaliśmy. Upadające mojej babki zdrowie, nie pozwalało jój wychodzić; a że lubiła bardzo świat, i bez ludzi obejść się nie mogła: dom jój był miejscem zebrania nietylko rodziny i przyjaciół, ale całego towarzystwa; i dlatego zwano ją krakowską, kasztelanową Połaniecką. Wielkich zebrań nie bywało u niej; nie pamiętam nawet, aby kiedy w jój salonach tańczowano; co wieczór jednak zbierało się po kilkanaście a czasem kilkadziesiąt osób. Drzwi u niej bywały otwarte dla każdego: ubożsi i bogaci krewni, równie serdecznie przyjmowani byli. Z osób

téz zwykle uczęszczających, o ile zapamiętać mogę, byli: ksiądz biskup Woronicz, starościna Olbromska, ksiądz referendarz Sołtyk, Józef Sołtykiewicz o którym już wspomniałam; margrabstwo Wielopolscy, Wincenta Gostkowska, Mikołajowie Gostkowscy, pani wojewodzina Małachowska, pani Potulicka. O każdej z tych osób, muszę coś w tych wspomnieniach umieścić, zwłaszcza, że ich nazwiska zkadınąd znane, nie mogą być dla czytelników obojętne.

Naprzód zacnę od księdza biskupa Woronicza, którego wizerunek tu podam, nie jak zwykle widzę go opisywanym w mnogich panegirykach; ale w całej prawdzie mojej młodzieńczej pamięci.

Pierwszym dawniejszym wypadkiem, jaki pamięcią objąć mogę, był wjazd Woronicza do Krakowa w roku 1816, gdy przybył obejmować stolicę biskupią, i jego processjonalny pochód na zamek.

Mieszkaliśmy wtenczas na ulicy Kononnój, i z okien mojego pokoju mogłam się przypatrzeć téj uroczystości. Wszystkie władze, instytuta i cechy wystąpili; baldachin nad głową biskupa przybranego w insygnia swojej godności, niesiony był przez obywateli i wyższych urzędników; towarzyszyli kanonicy, profesorowie uniwersytetu przybrani w togi, w asystencyi okiem niedościgłych tłumów ludu zebranego z miasta i dalekich okolic, bo obrzęd ten nabrał większego jeszcze blasku, głośném już w świecie Woronicza imieniem. Jego postać i powierzchowność nosiły cechę talentu i cnót, które go prawdziwie odznaczały. Był wzrostu średniego, tuszy niezbyt szczupłej; rysów twarzy okrągłych, cery bladój, wyrazu oczu melancholiznego: był zwykle smutny, milczący, wszystko widział smutno i czarno. Był nieco dziwak, a nawet hipokondryk. Zwano go powszechnie *smętoszem*. Postać pasterza-poety, szlachetność i powaga malująca się w każdym poruszeniu; ta ręka unosząca się nad ludem i błogostawiająca mu, głęboką czią każdego przejmowała. W prywatném życiu widywałam go bardzo często. Jego fioletowy ubiór, duży krzyż złoty i gwiazda orderowa błyszcząca na piersiach, rozmowa i ruchy pełne godności i powagi, przejmowały mnie bojaźnią i uszanowaniem, zwłaszcza, że żadna jego wizyta nie obeszła się bez dość ścisłego examinu z katechizmu i Pisma świętego. Miłośnik nauk, a mianowicie dziejów polskich, pałac jego w Krakowie tak ze względu fresków, jak różnych pa-

miątek tam zgromadzonych, był prawdziwem muzeum. Budowa tego gmachu sięga jeszcze piérwszych wieków chrześcijaństwa w Polsce: architektura jest oczywiście ciężka, niezgrabna, bez śladu jakiegokolwiek sztuki, jak to bywało w czasach poprzedzających wiek odrodzenia. Woronicz wyrestaurował go swoim kosztem, a mury górnych mieszkań ozdobił freskami pędzla słynnego wówczas Stachowicza, wyobrażającemi główne wypadki i sceny z dziejów polskich. Nie mogę zapomnieć wrażenia, jakiego doznałam patrząc na te wierne obrazy staréj Polski z jéj konfederacyami, sejmikami, elekcyami i bitwami; te malownicze ubiory, wąsy zawiesziste, głowy ogolone, energiczne rysy fizynomii dawnych Polaków, a razem ich postawa pełna powagi, dumy i szlachetności. Stoi mi jeszcze w żywej pamięci chwila, w której gospodarz wiodąc mię za rękę, oprowadzał po tych salach, kazawszy mi tłumaczyć sobie szczegółowo każdy ustęp dziejów ojczystych, który mieliśmy przed sobą.

Woronicz zawód swój zaczął od probostwa w Powsinie, i dla głębokiej nauki, znakomitego talentu poetycznego i rzadkiej kaznodziejskiej wymowy, wywyższony na wielkie w kraju tak cywilne jak duchowne godności; umarł w Wiedniu r. 1829, arcybiskupem warszawskim i prymasem Królestwa: godność, którą ostatni aż dotąd piastował. Mówią, że w czasie jego pogrzebu, Wiedeńczycy piérwszy raz widzieli smutne ceremonie obrzędu tego, i pochodu processjonalnego z ciałem przez miasto. U nas najuboższe klasy ludu, sumiennie cześć publiczną zmarłym oddają; dla krewnych te powierzchowne oznaki ulgę czynią żalowi; dla ogółu są pożyteczne nauką, przypominającą nieodzowny koniec człowieka, i marność żądz i uciech tego świata. W Wiedniu wszakże wywożą zmarłych najczęściej wieczorem, w karecie zamkniętej, nienoszącej żadnych powierzchownych oznak swojego przeznaczenia. W czasie śmierci Woronicza, Polacy w Wiedniu bawiący, pamiętni jego zasług, umyślili go pochować z całą okazałością i obrzędami u nas praktykowanemi: to téż pogrzeb polskiego prymasa, dodziś dnia jest Wiedeńczykom pamiętnym. I jakże widok trumny nie miał zrobić wrażenia na ludności, która nigdy na ulicy trumny nie widziała?... Leczył wówczas Woronicza słynny Malfatty, lekarz europejskiej sławy; miał on za żonę Polkę, pannę Ostrowską, siostrę Władysława i Antoniego Ostrowskich, która będąc na

kuracyi u niego, tak go pokochała, że wbrew woli rodziny poszła za niego; ale niedługo się tym związkiem ciesząc, w lat kilka umarła. Malfatty leczył naszego wieszca na chorobę wątrobianą, jakoż się nie pomylił: była to choroba, która ledwie nie od lat młodzieńczych trapiła go prawie bez przerwy, i temu téż przypisać należy humor melancholiczny i cierpiący arcybiskupa. Kto wie, czy nie w cierpieniu czerpał owe pełne uroku poezye, które w pismach jego uwielbiamy. Mimo wielkiego daru wyśpiewania wszystkich boleści i katuszy tęsknej za lepszym życiem duszy, nie było podobno człowieka, któryby mniej jak Woronicz talent swój cenił. Rzadko o pismach swoich mówił, jeszcze rzadziej je publicznie czytał. Miał on jedną słabość dość dziwną w człowieku tego usposobienia: od wstąpienia na stolicę biskupów krakowskich, nie przestawał żalić się i utyskiwać, nad czém?... oto nad upadkiem blasku, wielkości i bogactwa biskupów krakowskich. Nieraz w potocznych rozmowach przytaczał napamięć owe przywileje prawdziwie monarchiczne książąt siewierskich; wyliczał miliony złotych dochodu, będącego do ich rozrządania, powagę i blask do téj godności przywiązane; i stękał i płakał nieborak.

Raz w poufnéj rozmowie, gdy go przyjaciele nazywali po tytule:

— Nie zwieście mię—wołał smutnie—nie zwieście biskupem, ale biskupiną; bo czemżeto ja jestem w godności i dostatkach w porównaniu z mojami poprzednikami (1)?!

— Mości księżu biskupie — odezwał się na to jeden z obecnych—zawsze lepiej się masz od apostołów, których całym mieniem była torba i kij; a przecież jesteś dziś ich następcą i przedstawicielem.

Mimo téj słabości, pochodzącej podobno więcej z żalu za przeszłością, jak za osobistemi korzyściami o które niezbyt wiele dbał; Woronicz miał niezaprzeczone zasługi. Obok pra-

(1) Po drugim podziale kraju, księstwo siewierskie przeszło pod panowanie pruskie, a dochody biskupów krakowskich, zredukowane z dwóch milionów do złp. 60,000. Biskup Turski był ostatnim księciem siewierskim. Jak wiadomo, książęta siewierscy mieli przywileje wszystkie udzielnych książąt: mieli prawo łaski i miecza, udzielania szlachectwa, utrzymywali wojska na swym żołdzie, bili monety i t. p.

(Przypis. autor.).

wdziwie genialnych zdolności, był dobroczynnym, a w końcu życia rzetelnie pobożnym. Mówią, ale tego z pewnością zapewnić nie mogę, że przez jakiś czas podzielał błędy masonów, i był wielkim téj sekty zwolennikiem, z czego wszakże miał zrezygnować w późniejszych latach życia.

Ostatnio publicznie widziałam Woronicza, gdy na kilka miesięcy przed śmiercią, koronował Cesarza Mikołaja na króla polskiego, w maju 1829 roku; a widziałam go zblizka, bo z galerii sali koronacyjnej czyli senatorskiej, w zamku. Zachował w tym obrzędzie wiele godności i powagi jak zwykle, ale twarz blejsza jak zazwyczaj i chwiejące kroki, świadczyły o chorobie chronicznej, która nam go wkrótce zabrać miała.

Mówiąc o Woroniczu, uprzedziłam o wiele lat epokę w której się w tych pamiętnikach obecnie znajduję, a chciałybym się o ile możności porządku dat trzymać. Książd Woronicz, który mię nieco dłużej zatrzymał, zastał mnie w salonie mojej babki. Drugą z rzędu figurą pod względem wieku i znaczenia, była w nim pani starościna Olbromska, Dembińska, Morsztynówna z domu. Posiadająca jeden z najznacniejszych majątków w Polsce, niepospolitego rozumu, i jak naówczas nauki; starościna trzęsła polityką i interesami województwa krakowskiego, gdzie miała obszerne dobra i w którego stolicy stałe zamieszkiwała, w własnym domu na ulicy św. Jana. Przed rokiem 1794 wszystkie wybory urzędników, posłów na sejm, odbywały się pod jej wpływem, i powiedzmy z bolem serca, nie w sposób przynoszący chlubę naszej narodowej reprezentacji. Zaraz po rozestaniu uniwersałów zwołujących sejmiki na umówiony dzień, pani starościna posyłała swojego marszałka z krendensową i kuchenną służbą, do miasteczka powiatowego Proszowic, gdzie najmowano najobszerniejsze jakie można było znaleźć pokoje, zastawiano stoły, beczki stały otworem z winem dla wszystkich bez wyjątku obywateli. Te wspaniałe podejmowanie weszło w konieczny obyczaj: rachowano na niego z całą pewnością, to téż nikt zjeżdżających do Proszowic na sejmiki, nie uznawał potrzeby zaopatrywania się w żywność i napoje. Mówiono: „chodźmy na obiad do pani starościny“ jak się zwykle mówi dziś w Warszawie: „chodźmy do hotelu Angielskiego.“ Dlatego pani starościna była pewna swoich kandydatów, i nikt nie pomyślał nawet walczyć z nimi o pierwszeństwo; ale téż przyznać trzeba, że téj wziętości nie nadużywała, i najczęściej

wybór jój padał na ludzi ze wszech miar godnych zaszczytu zasiadania w sejmie. W rządach parlamentarnych partya ministerjalna, zwykle potrzeb ludu nieświadoma, kieruje wyborczemi intrygami: tu kierowała niemi, lubo sposobem niekoniecznie prawym, jedna z miejscowych obywaterek, która z konieczności lepiej obeznana była z potrzebami i interesem swoich współobywateli. Co bądź to bądź, pani starościna nie była pospolitą kobietą. Ksiądz Chołoniewski w dziełku swoim jój pamięci poświęconém („Dwa wieczory u starościny Olbromskiej“) wybornie odszkicował jój obywatelskie i towarzyskie cnoty, uprzejmość, gościnność, szczególniej téż opiekę, pomoc i uprzejme przyjęcie, jakich doznawali u niój uczeni, których była przyjaciółką i znawczynią. Nizka, rysów twarzy nieco surowych, wzbudzała uszanowanie, a niekiedy bojaźń. Pamiętne mi są jój dzieciinne wieczorki, które czasami dawać lubiła; mniej jednak swobodnie młode pokolenie u niej się bawiło, gdyż się jój powszechnie bano. Widzę ją jeszcze poważnie siedzącą przy kominku i robiącą siatkę, rozmawiającą z starszemi gośćmi, gdy jój ludzie ubrani w niebieską liberyą z kołnierzem amarantowym, kawę i ciastka roznosili. Otoczona zwykle bywała swojemi córkami i wnuczkami, i kilkoma osobami z dalszej rodziny lub przyjaciół, czasowo u niój przebywających. Miała dwie córki z których jedna była za generałem Wielhorskim, ministrem wojny za czasów księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego; a druga wydaną została za słynnego Tadeusza Czackiego, o którego życiu prywatném, a mianowicie sławném roztargnieniu, wiele się nasłuchiłam. Jego żywość i ruchliwość naturalna, wiele się do tego roztargnienia przyczyniały. Był obok tego powszechnie kochanym, a w rodzinie uwielbianym (1). Anegdoty o jego roztargnieniu są powszechnie znane: ledwie nie więcej jak zasługi obywatelskie i uczona sława założyciela szkoły Krzemienieckiej. Wspomnę tu wszakże jeden przykład, który mi się nie zdarzyło nigdzie słyszeć ani czytać: opowiadała mi go pani wojewodzina Wielhorska, siostra jego żony. Bawiąc raz w Warszawie za czasów Stanisława Augusta, przyjmował króla u siebie. Wśród przygotowań tego przyjęcia, Czacki, który za-

(1) Pełen dobroci i słodczy w domowém pożyciu, miał trochę ułożenie oryginalne. Ubiór zaniedbany, włosy zawsze rozrzucone, i nadzwyczajna żywość odznaczały go od wszystkich.

wsze zamało miał czasu do zaspokojenia swojej namiętnej żądzy szperania w starych księgach i rękopismach, czytał w najlepszym według swojego zwyczaju wyciągnięty na podłodze twarzą na dół; gdy szwajcar zadyszany, przybiega oznajmić mu, że król się zbliża, i że czerwone mundury eskortującej go gwardyi mirowskiej ukazały się na rogu Młodowej ulicy. Czacki zrywa się czémprędziej z ulubionego swojego legowiska, zrzuca wygodne, acz niebardzo przyzwoite jak na przyjęcie króla ubranie, przyczesuje naprędce rozczochrane włosy, i w wielkim pośpiechu porywa za leżącą na stole wstęgę orderu Orła Białego, którą zawiesza sobie przez prawe ramię, i pewny będąc że jest w całym komplecie swojej toalety, gdy przywdział order, znika z oczu zdziwionego szwajcara i wybiega na schody na przyjęcie króla, którego sześciokonna karetą wjeżdżała właśnie w bramę pałacu. Wystawmy sobie zadumienie obecnych, gdy ujrzeli gospodarza całego w bieli, tojest w koszuli, w sukiennych białych *indispensablach*, ze wstęgą orderową na wierzchu. Król, który znał roztargnienie Czackiego i nieraz się z niego uśmieł, widząc go w tym stroju, wstrzymał duszący go śmiech, i ściskając go za rękę, którą mu podał, i wysadzając z karety:

— Jak się miéwasz mój starosto—rzekł monarcha—ale cóż u kata dziwnie mi jakoś wyglądasz w tym niezwyčajnym stroju!

Ten żart króla przebudził biednego uczonego, który zobaczywszy się w obecności króla w takim negliżu, pomieszany i zrozpaczony, pobiegł do swojego pokoju dla wzięcia przyzwoitszego ubrania. Dziwnyżto ten rozum ludzki: jak blizki on jest upadku w chwili nawet, gdy zdaje się na najwyższym swéj doskonałości szczęblu! Jakie tu uderzające podobieństwo uczonego do waryata!...

Ten błąd organiczny Czackiego nie odejmował mu w niczym szacunku i powszechnéj czci, jakiej używał wpośród wdzięcznych rodaków. Oprócz powszechnego uwielbienia dla jego cnót i zasług, ceniono w nim może więcéj i powszechniej tę wadę, bo ludzie mają słabość dla roztargnionych, nie przypuszczają w nich fałszu, udawania, kłamstwa; bo jakże ma kłamać i udawać ten, co połowę swojego życia nie wie sam co robi?...Mówiąc o Czackim nie mogę nie przytoczyć tu powszechnie znanéj o nim powieści, którą słyszałam i czytałam w różnych wersjach najmniej zbliżonych do prawdy. Stosunek familijny

łączący rodzinę moję z domem starościny Olbromskiej, dał mi sposobność kilkakrotnie słyszeć ją opowiadaną przez samych niemal aktorów téj sceny. Czacki przebywał czasami z żoną w Szczekocinach u pani starościny, matki saméj pani Czackiej. Jednego ranku, gdy wszyscy zeszli się na kawę do pokoju pani domu, przyszedł i nasz pan Tadeusz, ale tak blady, drżący i pomieszany, że uwagę a nawet przestrach obecnych na siebie zwrócił.

— Co tobie jest panie Tadeuszu?—zapytała pani starościna— zdajesz mi się być mizerny: czyś czasem nie słaby?..

— Źle spałem—odręcze Czacki—a przytém miałem zdarzenie tak osobliwe, tak niesłychane, że go nawet opowiedzieć nie umiem, nie śmiem i nie mogę.

To powiedziawszy wstał od stołu i poszedł do swojego pokoju. Proszę sobie wystawić ciekawość wszystkich obecnych. Pani starościna niebawem wstała także od kawy: poszła do siebie i pełna trwogi i niespokojności, zadzwoniła i kazała zięcia poprosić do siebie. Przyszedł Czacki; drzwi zamknął za sobą na klucz, rzucił się na krzesło, a zasłaniając sobie oczy rękami, chwil kilka w głębokim zostawał zadumieniu. Pani starościna siedziała w krześle przy kominku; długo nieprzerywała, ale w końcu nie mogąc zataić swojej niespokojności:

— Trwożysz mnie! jesteś w niezwykłym sobie stanie: coś się dzieje z tobą nadzwyczajnego, co tobie jest?..

— Co mi jest? rzecze Czacki, co mi jest?.. Oto ojca mojego dziś w nocy widziałem,,tak, ojca mojego zmarłego; widziałem go, mówiłem z nim, dotykałem się go. Nie był to sen, gdyż doskonale pamiętam, że to się działo na jawie. O jakież okropne jego przepowiednie!...Czegoż je mam powtarzać; czyż nie dosyć nieszczęścia gdy przyjdzie!... O jakżebym chciał oddalić trapiącą mnie myśl!... Jakoś wczoraj z wieczora—ciągnął dalej Czacki—długo nie mogłem zasnąć: napróżno przewracałem się, oczy zamykałem, gdy nagle zaszleściła firanka mojego łóżka. Pełen trwogi porywam się, i widzę przed sobą wyraźną postać ojca mojego. Ubrany był jak go zwykle za życia widywałem; mówił do mnie i mówił dość długo.—Czacki domawiając tych słów umilkł; starościna patrzyła na niego ze współuczuciem mieszaném z trwogą i zadumieniem, ale mu nie przerywała. W końcu Czacki wstał z krzesła, i począł chodzić po pokoju. Twarz blada, oczy czerwone łzami zaszłe, nosiły ślady wzruszenia i bo-



leści. W końcu jakby nie mógł przewyciężyć miotających nim uczuć:

— Wątpić nie mogę—rzekł przystanąwszy trochę przed starościna—wątpić nie mogę, że to on, że duch jego zszedł z krain wieczności, aby mi straszne wypowiedzieć prorocstwo.

Tu starościna przes traszona, poczęła go zaklinać, aby jój objawił przepowiednie ojca.

— Chcesz wiedzieć matko, dowiesz się, ale uzbrój się w odwagę: *oto wnuk twój ukochany Felix, w przeciągu roku żyć przestanie!*

To wyjąknąwszy nieszczęśliwy ojciec, padł prawie bez przytomności na krzesło. Po krótkiej chwili otrzeźwiwszy się trochę i przebudziwszy jakby ze snu, ciągnął dalej swoje opowiadanie.

Tu Czacki opowiedział starościnie, że ojciec jego wzięwszy za życia od żyda w Porycku zamieszkałego 500 dukatów, umarł wkrótce niedawszy na tę summę rewersu, i nie zostawiwszy żadnego śladu tego długu ani w papierach, ani w notatkach swoich. Napróżno żyd poszukiwał swojej należytości u massy, żądającej dowodu, którego tamten nie mógł jój okazać. Otóż owój pamiętnej nocy, starosta Czacki upomniał syna o oddanie tego długu. Jak wielu uczonych, wyłącznie oddających się jednemu przedmiotowi, Czacki nie był pietystą, ale bynajmniej nie dzielił niewiary i bezbożności, tak w modzie między uczonymi owych czasów będącej; wierzył w Boga, w nieśmiertelność duszy, miał religią w poszanowaniu. Głęboko przekonany o prawdzie swojego widzenia, żyda zaspokoił, ale nie lubił mówić o tej nadzwyczajności, bo jój sobie racjonalnie wytłumaczyć nie mógł. Okoliczność ta wpłynęła mocno na humor i swobodę szanownej tej rodziny: czarny ją dręczył smutek, który zamienił się w rozpacz, gdy rzeczywiście według słów prorocstwa, Felix Czacki syn pierworodny Tadeusza, ukochany od rodziny, pełen nadziei młodzieniec, w rok później żyć przestał!

Pani Czacka była jedną z najpiękniejszych kobiet swojego czasu. Wielkiej dobroci i słodczy charakteru, pełna uprzejmości, przyjemności i talentu, była prawdziwą ozdobą salonów. Po utracie męża, zamieszkała przy matce w Krakowie, z kąd już prawie nie wyjeżdżała. W roku 1813 zawarła tajne śluby z panem Z.... swym nadwornym lekarzem, z którym później

miała syna. Nikt oprócz państwa W... obecnych temu aktowi nie był przypuszczony do tajemnicy, i nikt też jęj się nie domyślał: aż do śmierci pani Czackiej, która w testamencie dopiero oświadczyła, że od lat kilkunastu rękę swoję oddała panu Z... i syna jego przyznała. Co może przesąd nazwiska i związków?! Pani Czacka, która miała dość cnoty, aby się nie usidlić w niedozwolone związki, i miłość swą małżeńskim uświęcić węzłem; nie miała odwagi poświęcić dawne a świeżo zasługami pierwszego męża uświetnione imię, kobiecej sławie i koniecznym pozorom moralności i przyzwoitości. Jęj związki z panem Z. nie były nikomu tajne, a świat nie przypuszczony do tajemnicy ich świętości, miał je słusznie prawo potępiać. Takto przesąd, czasowe wyobrażenia, pycha i słabe pojęcie o tém, co stanowi rzeczywisty honor, kładą nas często w najfałszywszém położeniu i w sprzeczności samym z sobą. Powiedzmy na obronę pani Czackiej, że żyła w epoce zbliżka pamiętającej czasy Stanisławowskie, a zatém mającej wyobrażenia o moralności nieco przekrzywione; że zapomniała o tęg ważnej maxymie: że niedosyć jest czynić dobrze w własnym przekonaniu, że potrzeba jeszcze nie dać z siebie żadnego pozoru zgorszenia. Inna jeszcze okoliczność zastanawiająca w tym epizodzie jest ta moc duszy i umiejętność panowania nad sobą, w kobiecie słabęj i hołdującej uczuciu, którego nie mogła przewyciężyć, a która przecież znalazła dość odwagi, aby się przez lat przeszło 20 tacić, nietylko z miłością, ale z obowiązkiem: boć pani Czacka, albo raczej pani Z. była żoną i matką. Pojmuje, że można zachować cudzą tajemnicę, tém bardzięj pojmuje zachowanie jęj tam, gdzie honor i życie ukochanego przedmiotu może być narażone: nie pojmuje jak czasowe wyobrażenia mogą mieć tyle mocy, aby nietylko nakazać sercu tyloletnie milczenie, ale nawet zastąpić pozorną obojętnością uczucie dość silne, aby też same pozory przemogło.

Synowa pani starościny Olbromskiej, pani Katarzyna, najstarsza z siostr mojego ojca, poszedłszy za mąż, pojechała do Wiednia, gdzie lat kilkanaście mieszkała. Córka jęj Zofia umarła na suchoty. Przecudnej urody, była co to nazywają *une beauté magnifique*; rzadko bowiem znaleźć regularniejsze rysy twarzy, połączone z figurą pełną gracyi i majestatyczności. Przed parą jeszcze laty znajdował się w album mojęj matki jęj portret, ołówkiem przez nią samą w zwierciadle rysowany, gdzie

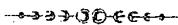
się wystawiła trzymającą na ręku prześlicznego baranka. Nie wiem jakim sposobem psotna ręka niewiadomej osoby, drogą tę pamiątkę z księgi, z niewypowiedzianym żalem moim, wydarła. Amelia, trzecia siostra, żyje jeszcze. Jest to jedna z tych anielskich istot, które natura od czasu do czasu skąpo i oględnie stwarza dla szczęścia i pociechy rodzin. Pełna poświęcenia i uległości dla sędziwej babki, nie odstępowała jej do zawarcia powiek, z nosząc nieporównaną cierpliwością marudztwa i zmienny humor schorzałej już w końcu życia staruszki. Bóg przedłużył życie Amelii, aby dał jej do dna wyczerpać wszystkie gorycze tego życia, przez najdolegliwsze straty. Najprzód skończył prawie w jej oczach, bo w domu pani starościny Olbromskiej, ten, z którym dozgonnym miała się połączyć węzłem, Konarski, stryji tego, który ożenił się w Krakowie z córką najstarszą autora słynnego dzieła o Ogrodach, Katarzyną Wodzicką; zmarł na ręku rodziny swój narzeczonej w Szczekocinach. W rok później sama pani starościna wśród łez i starań wnuczki, ostatnie oddała tchnienie. W skutku wyraźnej jej woli na łożu śmierci objawionej, Amelia będąc jeszcze w żałobie, oddała rękę swoje znanemu z zdolności i dowcipu Ludwikowi Dembińskiemu, a synowi pani chorążyny Dembińskiej, którą często w dzieciństwie mojem widywałam. Pamiętny mi jest ten ślub i piękna mowa, którą Woronicz powiedział z tej okazji, łącząc państwa-młodych 1825 roku w kaplicy pałacu biskupiego w Krakowie. Niedługo Amelia cieszyła się mężem swojego serca i wyboru. W lat kilka utraciła go najokropniejszym wypadkiem. Było to w lecie, w którym Ludwik Dembiński miał zwyczaj pić wodę salcerską. Przyjechawszy ze wsi do Krakowa na czas krótki, mieli oboje zrobić tegoż wieczora kilka wizyt. Amelia poszła ubierać się do swojego pokoju, a jej mąż pobiegł na górę wypić szklanek ulubionego napoju. Niebawem daje się słyszeć niezwykajny ruch na schodach, i okrzyk „*Pan umiera!*” rozlega się po domu. Nieszczęśliwa żona, bezprzytomna wypada ze swego pokoju, leci na górę, i widzi męża leżącego na kanapie, miotającego się wśród śmiertelnych konwulsji, i oddającego ostatnie tchnienie. Ta chwila jest nie do opisania, i ona jedna zastąpićby mogła wieki katuszy. Szczególną jakąś igraszką natury, mąż Amelii był prawie zupełnie pozbawiony zmysłu węchu. Gdy kamerdyner jego Francuz Detrais odkorkował butelkę

dopiero co przyniesioną ze sklepu, i nalał owęj niby salcerskiej wody w szklankę, poczuł niezwykły zapach i przestrzegł pana; lecz ten nieszczęśliwy z zwykłą sobie żywością porwał za szklankę i wychylił do dna... Niestety! byłato najzjadliwsza trucizna, ekstrakt z gorzkich migdałów, który subjekt sklepowy przysłał mu przez pomyłkę, myśląc, że to woda salcerska!... Ale nie na tém koniec cierpień biednej kobiety. Bóg przedłużył jeszcze jej żywota, aby widziała w krótkich po sobie odstępach śmierć matki, szesnasto-letniej córki, i dwudziesto-letniego syna, który zginął śmiercią tém okropniejszą, że zginął w pojedynku (1).

Takto: są istoty błakające się po tej ziemi jedynie, aby życie swoje przeplakały, lub je drugim w ofierze niosły. Cała ich pociecha jest pamięć śmierci i nadzieja lepszego życia.

(1) Nie mogąc znieść ani wsi, ani Krakowa, gdzie wszystko jej przypominało dolegliwą stratę; pojechała na mieszkanie do Drezna, jako będącego niedaleko miasteczka Frejburga, gdzie nieszczęśliwy młodzieniec kształcił się w górnictwie. Mało znacząca przygoda na balu, pozbawiła go życia!... Bóg pocieszył Amelią, zostawiwszy jej jeszcze dwoje dobrych dzieci, ze wszech miar mogących uszczęśliwić ją; ale na zranione serce nie ma lekarstwa... „Czyż uwierzysz, (pisała do mnie niedawno), że w Górach (jej majątność) gdzie 20 lat przeplakałam, bawiono się! Cóż robić, nie żyjemy dla siebie, my matki; niech się dzieci nasze bawią póki mogą...”! I święta kobieta, przez dni kilka 70 przeszło osób miała u siebie, tłumiąc łzy i tęsknotę, i uśmiech anielski mając dla gości.

(Dalszy ciąg nastąpi).



# KRONIKA LITERACKA.

---

## *Przegląd muzyczny.*

- I. Pani Gruszczyńska—Precyoza.—Lalka norymberska.
- II. Czwarty Śpiewnik Moniuszki.—Kujawiak Ig. Komorowskiego.

### I.

Miesiąc wrzesień obfitym był w nowości na polu sztuki muzycznej. Miłośnicy sceny naszej w tym krótkim przeciągu czasu mieli sposobność podziwiać piękny śpiew pani Gruszczyńskiej, poraz pierwszy na naszej scenie słysząc się dający, w *Napoju Miłosnym*, najpiękniejszej może operze Donizettego; oceniać niepospolity talent dramatyczny panny Palińskiej, powtórnie po kilku-letniej przerwie w *Precyozie* występującej; a nakoniec usłyszeć nową operetkę komiczną Adama, pod tytułem: *Lalka Norymberska*.

To téż teatr bywał przepelniony: wiadome jest bowiem zamięłowanie naszej publiczności do teatru, szczególnie do opery. Wykształcenie muzyczne dosyć u nas rozwinięte jest przyczyną, że na każdą nową operę, publiczność tłumnie się zgromadza. Jestto jedyne miejsce, gdzie muzyka najwszechwładniej panuje. Skutkiem tego, w miarę pojawiających się wyższego rzędu utworów lub artystów, i smak publiczności się kształci. Czém jest pod wielką względami salon dla towarzystwa, tém teatr dla mass. Salon kształci indywidualum: teatr ogół.

Wieleżto spoczywa ukrytych w łonie człowieka uczuć, które tylko czarodziejska moc sztuki poruszyć i do życia wywołać może. Dlatego smutne i twarde jest życie narodów, które sztuk pięknych nie znają, lub ich nie uprawiają; tak jak i człowieka, do którego nie przemówi ten jedyń język, łączący duszę jego z światem nadzmysłowym.

Niepodobna z piérwszych wystápien sádzić bezwarunkowo o spiewaku lub spiewaczce; tyle rzeczy jest do obserwowania juź w metodzie spiewu, juź w saméj grze artysty na scenie! Bo ażeby spiewać, niedosyć posiadać głos piękny, chociaż jest to największym przymiotem spiewaka; lecz kto prawdziwie posiada sztukę spiewania, ten nieraz z mizernym głosem więcéj dokáže od tego, który lubo z piéknym, a naleźycie użyć go nie umie.

Porpora, jeden z najlepszych nauczycieli w piérwszój połowie zeszłego wieku we Włoszech, zajął się serdecznie jednym młodym uczniem; a widząc w nim niepospolite zdolności, zapytał go: czy czuje w sobie dosyć odwagi i wytrwałości do pójścia sumiennie drogą, jaką on mu wskaże, jakkolwiek przykrą i nudną? Gdy ten przyrzekł święcie służyć we wszystkiém rad nauczyciela, Porpora dał mu jeden arkusz papieru, na którym były wypisane gammy diatoniczne i chromatyczne, odległości przez tercye, kwarty, kwinty i t. d. trylle, appogiatury i innego rodzaju wokalizacye. Przez cały rok uczeń pod okiem swego nauczyciela z tego tylko arkusza spiewał; na drugi rok to samo; na trzeci nie myślano o zmianie: uczeń zaczął się niecierpliwić, lecz nauczyciel przypominał mu jego przyrzeczenie. Przeszedł rok czwarty i piąty, a ciągle ten sam arkusz w robocie. Szóstego roku nie porzucono go jeszcze, lecz dodano lekcyje artykulacyi, wymowy i deklamacyi; w końcu tego roku uczeń, który myślał że jeszcze jest w początkach nauki, został ogromnie zdziwionym, gdy mu nauczyciel powiedział „D osyć mój synu, juź wszystko umiész; jesteś najpiérwszym spiewakiem nietylko we Włoszech, lecz na świecie całym.” I prawdę powiedział, bo tym spiewakiem był Caffarelli (1).

Nie takto się teraz dzieje. Dzisiaj jeżeli uczeń przychodzi do nauczyciela, to tylko dlatego, ażeby go nauczył arii, duettu, tercettu, lub téj a téj roli. W niewielu stolicach Europy są szkoły, gdzieby się przez lat sześć uczono spiewu; za to też tak mało Caffarelich. To prawda, że chcąc téj jednéj nauce tyle lat poświęcić, potrzebaby brać uczniów bardzo młodych, a peryod mutacyi tak krytyczny, może w niwecz obrócić owoce kilku-letniéj pracy.

Na sto młodzienców, którzy mają piękny głos w dzieciństwie, dziewięćdziesięciu tracą go w mutacyi, lub zaledwie z poslednim dźwiękiem odzyskują. Więc na dziesięciu szczęśliwszych może się znaleźć tylko jeden, co przy piéknym organie posiadać będzie o tyle żywe i głębokie uczucie, ażeby mógł zostać prawdziwie dobrym spiewakiem.

Lecz jeżeli epoka mutacyi u mężczyzn trudniejszą, za to u kobiet jest bez porównania łatwiejszą, a tém samém mniej nie-

(1) *Curiosités historique, par Fétis.*

bezpieczną. Przez kilka lat tylko daje się dostrzegać pewne zmniejszenie w dźwięku głosowym, lecz później głos odzyskuje całą swą świetność, a nawet staje się piękniejszym aniżeli był przed zmianą. To nam tłumaczy, dlaczego stosunkowo więcej jest kobiet dobrze śpiewających.

Pani Gruszczyńska przy ujmującej powierzchowności, posiada głos sopranowy, miły, dźwięczno-metaliczny, niezbyt mocny, lubo skali szerokiej; naturalne jego cechy przypominają bardzo głos pani de La Grange. Ta sama natura, ten sam dźwięk i rozmiar, tylko że naszej śpiewaczki jest świeższy, a mniej spracowany. Lecz jeżeli tamtej traci na świeżości, za to zyskuje na nadzwyczajnym wykończeniu wszystkich zasobów mechanizmu, których p. Gruszczyńskiej idącej w jej ślady (lubo byśmy sobie tego nie życzyli), jeszcze wiele zbywa. Unikam dalszego porównania, by mię nie posądzono o chęć postawienia na równi tych dwóch śpiewaczek; zresztą p. de La Grange kończy swój zawód artystyczny, a pani Gruszczyńska dopiero go rozpoczyna: z czasem i to może nastąpić, a zatęm ograniczę się w sprawozdaniu li tylko do naszej artystki, jako więcéj nas dzisiaj obchodzącej.

Nadzwyczajna giętkość i niepospolite już wykształcenie głosu pani Gruszczyńskiej, pozwala jej z łatwością pokonywać trudne zadania kadencyi, których wiele zastosowała w tej pierwszej roli. Dwa ustępy wsunięte w jej partya, jakoto: Mazurek Nowakowskiego i arya koncertowa dyrektora opery Quatryniego, napisane w celu wykazania mechanicznej biegłości śpiewaczki, lubo dobrze i szczęśliwie odśpiewane, przecięz jasność i czystość pokonanych trudności nie była jeszcze taką, jakiej sobie życzyć należy, i jaka jest koniecznie potrzebną w tego rodzaju utworach. Zapewne, że wypada mieć wzgląd na pierwsze dopięro wystąpienia przed publicznością, a ztąd obawę, brak oswojenia się scenicznego, niedoświadczenie stosunku akustycznego do miejsca i towarzyszącej orkiestry i t. d.: są to ważne przyczyny, których pomijać nie należy, gdy się ocenia artystkę w podobnym położeniu zostającą. Lecz jak strój najozdobniejszy nawet, jest tylko środkiem przypodobania się: tak i trylle, passaże, fioritury i wszelkiego rodzaju wykonane trudności przez śpiewaka, powinny być środkiem, a nie celem śpiewu. Śpiew, owo *Cantabile*, jak Włosi nazywają, ma inne zadanie: idący z pełnej piersi lub delikatnie modulowany, a ogrzany czuciem duszy i serca, jak na wosku odbije się w duszy i sercu słuchacza. W czasie jednej reprezentacyi dworskiej za Napoleona I, dawano *Romeo i Julia*; *Crescentini* śpiewając w tej operze, zrobił tak silne wrażenie na słuchaczach, że widziano Napoleona i cały dwór jego płaczących ze wzruszenia, a wiadomo, że wielki ten monarcha, który cały zajęty był burzeniem

i wznoszeniem tronów, nie grzeszył zbytnią czułością. U nas ci, co słyszeli pannę Sontag, z rozkoszą i zachwyceniem do dnia dzisiejszego o niej wspominają, gdy tymczasem trudności jakie de La Grange z instrumentalną prawie dokładnością głosem swym wykonywała, przesliznęły się przez uszy nasze, zostawiwszy krótko-trwałe zdziwienie: zaledwie wyborną a pełną czucia grą dramatyczną w Normie, cokolwiek o niej pamięci zostało. Dlaczego publiczność nasza tak chętnie spieszy do teatru, gdy Dobrski występuje, a zapal jej do entuzjazmu dochodzi? Oto w śpiewie tego znakomitego artysty jest taka siła ognia, głębokiego uczucia i z taką artystycznością objawiona, że porusza najskrytsze tajniki duszy naszej.

Użycie głosu najlepsze, oddychanie najdoskonalej uregulowane, wszelkie ozdoby najdokładniej wykonane, i co jest rzeczą najrzadszą—intonacya najczystsza, to jeszcze nie wszystko: prawdziwie wielkim artystą jest ten, co potrafi się przejąć charakterem jaki przedstawia, ogniem swęj duszy ogrzać i wywołać w nas uczucia, i wnieść je do wysokości, do jakiej się w nim wnieść zdołały.

Takim śpiew być powinien, według naszego przekonania, i po tej drodze pójdzie zapewne p. Gruszczyńska; szeroko albowiem przed nią roztwiera się horyzont sztuki, a posiada wiele do tego warunków. Głos jej, jak już powiedziałem, piękny, obszerny, a chociaż w Napoju Miłosnym, jako w komicznej operze, mało było sposobności okazać silniejsze uczucie; to bez zaprzeczenia obficie je posiada, czego był dowód choć krótko i przelotnie, w akcie drugim téjże opery.

Publiczność nasza, która jest nadzwyczajnie pobłażającą dla debutantów, poraz pierwszy na scenie występujących, dla pani Gruszczyńskiej była sprawiedliwą: bo rzeczywiście talent jej jest niepospolitym; a gdy nabierze pewniejszej i właściwszej akcyi, tudzież gdy wykształci gamnę do stopnia jakiego mamy prawo po niej się spodziewać, a pozbędzie się zbytecznego drżenia w głosie: niezawodnie pani Gruszczyńska będzie znakomitą artystką.

Precyoza, melodramat znany od lat wielu na tutejszej scenie, nowy miał powab dla lubowników sztuki dramatycznej z okoliczności wystąpienia panny Palińskiej. Muzyka do niego napisana przez twórcę Frejszycy, zostanie nazawsze wzorem dla wszystkich piszących tego rodzaju dzieła. Największą ozdobą Precyozy są chóry; w sposobie ich tworzenia Weber jest prawdziwie wielkim kompozytorem. W Niemczech są one tak popularne, iż gdzie tylko się zbierze pewna liczba osób śpiewających, niezawodnie chóry Webera muszą być wykonane, a ów sławny strzelców z Frejszycy, nawet u nas powszechnie jest śpiewanym. Dawniejsi włoscy kompozytorowie zaniedbywali w swoich utworach scenicznych tak ważną dzisiaj ozdobę oper



nowszych; pochodziło to z tego, że publiczność włoska nie przywiązywała do nich żadnej wagi, a nawet i do dnia dzisiejszego tak samo się dzieje. Dopiero pierwszy Rameau kompozytor francuzki, w swoich operach dał im większe znaczenie: w jego też ślady poszli Gluck, Mehul, Cherubini i Rossini. Ten ostatni w Wilhelmie Tellu podniósł je do najwyższej potęgi. W Niemczech Weber najpiękniejsze w swoim czasie chóry pisał, a te co się w Precyozie znajdują, do arcydzieł tego rodzaju policzone być mogą.

Czy nadzieje powzięte w tych pierwszych wystąpieniach panny Palińskiej, w obecnym u nas stanie sztuki dramatycznój ziszczą się: tego nie wiem; to tylko pewna, że panna Palińska więcej jak ktokolwiek do tego ma prawo.

Trzecią a zarazem ostatnią nowością była operatka komiczna Adama, pod tytułem Lalka Norymberska. Celem jój wystawienia było wystąpienie poraz pierwszy pp. Dutkiewicza i Borawskiego, uczniów szkoły dramatycznój i śpiewu. Czysto francuzki ten utwor. miał wielkie powodzenie przed dwoma laty w Paryżu: jest w nim dowcip, wesołość, życie, muzyczka miła, lekka, zręczna, maskaradowe stroje, tańce, musztra i tak miły Francuzom bęben wojskowy, bez którego rzadko która opera komiczna się obejdzie: jedném słowem wszystko, co tylko w podobnych sztuczkiach wymagają. A jeżeli do tego dodamy wyborną grę artystów, nie zadziwi nas wcale, jeżeli takie operetki lubę są Paryżanom.

Oto jój treść. Stary fabrykant zabawek (p. Dutkiewicz) zrobił lalkę, a ufny w zakłęcie doktora Fausta, miał nadzieję dać jój życie, przeznaczwszy ją na żonę swemu synowi (p. Borawski), który natarczywie ojca o to upomina. Potrzeba do tego było tylko burzliwój nocy, w którój „puszczyk i sowa krzyczy.“ Chociaż ta lalka robiona była w największej tajemnicy, jednakże Henryk, siostrzeniec starego (p. Ziolkowski), co mu tenże zatrzymał niesłusznie spadek po ojcu, a u którego zajmował się robotą zabawek w fabryce, dopatrzył starego z lalką, i korzystając z oddalenia się majstra z synem na bal w ostatni wtorek, gdy narzeczona jego Berta (panna M. Fruzińska) nie miała się w co ubrać na maskaradę, bo pieniądze pracą oszczędzone, a przeznaczone na kostium biednej umierającój z nędzy kobiecie, oddała; radzi jój wdziać na siebie strój lalki, a sam przebrany po diabelsku, oczekuje, robiąc przygotowania do kolacyi, po którój mieli razem pójść na ostatnią maskaradę. Lecz na nieszczęście stary z synem zwrócony z drogi ulewną burzą, powraca do domu; Berta tylko co zaczęła się przebierać, więc wyjść nie może, Henryk zaledwie miał czas naprędce schować się do komina. Stary uradowany z burzy, chcąc pocieszyć zmartwionego syna, wyjawia mu nareszcie tajemnicę, że przygo-

tował dla niego żonę bez niczyjój pomocy, i teraz właśnie nadszedł czas do przywołania jój do życia. W chwili gdy wymawia fatalne zaklęcie doktora Fausta, wyskakuje diabeł z komina, na którym w ciągu téj sceny, syn zziębnięty, dla ogrzania się ogień rozpalil. Henryk nie tracąc przytomności korzysta z stroju diabelskiego i z roli do jakiej ogień i dym duszący go zmusiły: oznajmia przestraszonym iż jest szatanem, zeslanym na skutek zaklęcia dla dokonania tego wielkiego dzieła. Tu się zaczyna szereg scen najpociesznieszych, do których należy i Berta, lalkę udająca. Nakoniec, gdy znudzona tą komedią, dokuczywszy staremu i młodemu, narozbijawszy kosztownych naczyń, mebli i t. d. ucieka do gabinetu, gdzie się przebierała, ażeby wziąć swój własny ubiór i wymknąć się ztamtąd oknem jak najprędzej; stary postanawia zniszczyć lalkę, co mu się tak źle udało, a później zrobić inną słodszeo, łagodniejszego charakteru, i właściwszą dla syna. Syn go wstrzymuje, bo mu się pomimo tylu psot bardzo podobała; lecz ojciec nie słucha, a uzbrojony pałaszem, idzie zabójstwa dokonać. Tutaj potrzeba wspomnieć o ślicznym ustępie muzyki przez same smyczkowe instrumenta wykonanym, wśród którego słyhać loskot niszczonej lalki. Gdy takowe spełnioném zostało, wchodzi siostrzeniec, lecz już w zwyczajném odzieniu, i wyjawia struchlałemu wujowi, że przed kilką dniami będąc z natury ciekawym zbliżył się do lalki potajemnie i rozbił ją przez nieostrożność, a obawiając się gniewu wuja, w jój miejsce żywą dzisiaj kobietę posadził. Przerażony tém wyznaniem stary, zaklina siostrzeńca, ażeby milczał, nikomu o tém co zaszło nic nie mówił; lecz ten kładzie za warunek, by mu wuj oddał pieniądze po ojcu do niego należące, a które nieprawnie zatrzymuje. Stary nie chce, Henryk już ma wezwać patrol pod oknem przechodzący, gdy na prośby i przedstawienia syna, oddaje wreszcie pieniądze z zastrzeżeniem, aby uszedł z tych miejsc nazawsze. Henryk woła Bertę, oznajmia jój że ma pieniądze i że się z nią ożeni: stary poznaje w niej owę lalkę, dowiadyuje się że go oszukali, i tak się kończy ta pełna wesołego humoru operetka.

Panna Fruzińska posiada wiele bardzo zdolności do ról podobnego rodzaju; w akcji wiele życia, głos mezzo-sopranowy lubo ładny i miłego dźwięku, nieśmiało użyty, zdradza brak wprawy i wyrobienia. Jeżeli panna Fruzińska zechce szczerze nad nim popracować, to szczególnie w podobnych rolach będzie bardzo przyjemną i pożądaną śpiewaczką.

Pan Ziolkowski dobrze wywiązał się z swój roli: grał ją z życiem i swobodą; mianowicie w piérwszej aryi „Niech żyje czas młodości“ śpiew był tak śmiały, pełny, dobrze i z werwą poprowadzony, że nic do życzenia nie pozostaje; tylko wszystkie miejsca, gdzie pan Z. mówi na stronie, tak cicho,

prędko, niewyraźnie wymawia, że spektatorowie nie dosłyszczą nie mogą, a są bardzo ważne, i nieraz cały bieg intrygi wyjaśniają.

Pan Dutkiewicz posiada zdolności do niższego rzędu ról komicznych; tego rodzaju ról jedyna trudność spoczywa we właściwem zrozumieniu prawdziwej komiczności, i pojęciu, gdzie są jej granice. Otóż panu Dutkiewiczowi jeszcze tego brakuje. Nie tak bo to łatwo być dobrym komicznym artystą, a na pociechę pana Dutkiewicza powiem, iż także nie odrazu Kraków zbudowano. I p. Dutkiewicz takim zostać może: jedyna do tego droga przez pracę i rozważne zapatrywanie się na wzory, których chwała Bogu u nas nie brakuje. Jak wszystko na świecie, tak i komika ma swoje granice, poza któremi sztuka przestaje być sztuką. Niech pan Dutkiewicz studjuje Żółkowskiego, a przekona się, że w niższego nawet rzędu rolach komicznych, wielki ten artysta umie się zachować na stanowisku godności sztuki. Zresztą, de sublime au ridicule, il n'y a qu'un pas: każdy z artystów miłujących swą sztukę, powinien zawsze o tém pamiętać.

Pan Borawski z czasem może być użytecznym scenie, posiada bowiem przy korzystnej powierzchowności przyjemny głos tenorowy. Lecz intonacya niepewna, brak widoczny wokalizacyi, a ztąd i umiejętnego wydobycia głosu. Są to zarzuty, które pana Borawskiego powinny tylko zachęcić do pracy, a pewnie sam później uzna dzisiejszą ich słusność.

## II.

O muzyce salonowej czyli prywatnej, wiele możnaby powiedzieć, bo jest kilka miejsc, gdzie liczniej zebrani artyści i amatorowie, wykonywają starannie i z zamiłowaniem utwory najznakomitszych klassycznych mistrzów; lecz mając wzgląd na wiele przyczyn miejscowych, zaledwie na téj małej wzmiance nateraz poprzestaną.

Zapowiedziano nam kilka koncertów przeznaczonych na cele dobroczynne; zapewne wielu amatorów i amatek słyszeć się na nich dadzą: więc później damy o nich wiadomość, a teraz przystąpimy do czwartego Śpiewnika Moniuszki, który się nam niedawno okazał.

Moniuszko w dziedzinie muzyki u nas ma ogromne znaczenie. Liczne utwory jego cenione są najwyżej przez artystów, lecz na nieszczęście, nie są tak upowszechnione pomiędzy publicznością tutejszą, jak na to zasługują, i jak do tego mają prawo. Kompozytor, który sam nie śpiewa w towarzystwach

swych pieśni, z trudnością może być znanym: jest to ważna droga do popularności, dlatego prowincye będące bliżej siedliska Moniuszki, więcej korzystają z jego utworów jak Warszawa i jej okolice. Dodać do tego potrzeba jeszcze wysokie ceny śpiewników, i stosunkowo innych pieśni, po większej części zagranicą wydawanych. Kilkanaście naprzykład najlepszych włoskich lub francuzkich romansów, zaledwie takż kilkanaście złotych u nas kosztować będą, gdy tymczasem za podobną liczbę krajowych utworów, kilkadziesiąt zapłacić potrzeba. Wydawcy powiedzą „że to nic dziwnego. bo tam jedną pieśń wybijają w kilku-tysiącach lub więcej egzemplarzy, gdy tutaj zaledwie dwieście lub trzysta sprzedać można.“ Lecz właśnie w wysokiej u nas cenie najmniejszej nawet piosnki, leży przyczyna małego pokopu. Nie każdy może dać trzydzieści złotych za śpiewnik, ale bardzo wielu nabywając każdą pieśń z niego za złotówkę mniej lub więcej, w krótkim czasie i o małym koszcie cały posiadać będą. To dziwna, że tak prostej i jasnej rzeczy nasi wydawcy zrozumieć nie mogą. Już to zauważała gwiazdka w nrz. 271 Gazety Warszawskiej, która od pewnego czasu nie przestaje kołatać do okrytych pancerzem obojętności naszych wydawców: onato swém piórem potrafiła skruszyć twarde ich zbroje. Można już dostrzedz pewien ruch pomiędzy tutejszemi wydawcami: pp. Friedlein, Sennewald i Bernstein, okazują chęci podniesienia naszej literatury muzycznej; może nakoniec czego się doczekamy, co daj Boże! Bo my tylko jedni na tej drodze pozostaliśmy tak daleko. Dotąd polki, mazurki i kontredanse, jedynie miały nabywców; p. Friedlein może cokolwiek więcej od innych uczynił, wydając niektóre mniejsze dzieła Dobrzyńskiego, Nowakowskiego, Lubomirskiego, Komorowskiego, lecz wielu innych niemogąc uzyskać nakładców, zmuszeni są starać się z wielkim trudem o wydanie dzieł swoich za granicą, gdyż tutaj nietylko że z pracy swojej żadnej nagrody ani korzyści obiecywać sobie nie mogą, lecz nawet chcąc cokolwiek wydać, musi się każdy na znaczne wydatki narażać. Ztąd powszechna stagnacya w sztuce i zniechęcenie pomiędzy artystami; a to jest rzeczą niezawodną, że ludzie największemi talentami obdarzeni, potrzebują sprzyjających okoliczności: inaczej zginą nieznanymi lub zrażeni trudnościami niepodobnemi do przełamania.

Czwarty Śpiewnik St. Moniuszki, wydany nakładem J. Zawadzkiego (cena złp. 30), zawiera w sobie wiele pięknych melodyj, łatwo mogących być upowszechnionemi, wiele bogactwa harmonii, jako też wiele dobrych wzorów za przykład innym służyć mogących.

Aniołek, dosyć dużego rozmiaru pieśń: melodia łatwa, płynna, dobrze obmyślana; akkompaniament jak w wszystkich pieśniach M. staranny, urozmaicony i obfity w piękne zwroty.

Zosia (wiersz Goethego), krótka lecz prześliczna; ta piosnka, jako też Kwiaty i Dary również wielkiej prostoty i wdzięku, najudatniejsze są może z wszystkich w tym Śpiewniku. Te trzy pieśni przystępne dla wszystkich, którzy cokolwiek śpiewać umieją, powinnyby się jak najprędzej stać popularnemi.

Nad Rzeką: mniej udatna, pomimo starannego opracowania w akkompaniamencie, niższą jest od poprzednich.

Czary, piosneczka mała, miła i oryginalna. To samo można powiedzieć o następnej Dumce, tylko że melodia jej wydaje się być nieco oryginalną.

Następne, jakoto: Groźna Dziewczyna; Do Pałeczka; Piosnka Dziada; Marzenie; Rybaczka; Entuzyasta; Znaszli ten kraj? Dzieweczka nad rzeką; Wędrowna ptaszyna: są mniej-więcej ładne, lecz najpiękniejszą z nich jest Miłość, (słowa Walter-Scota, przekład A. Odyńca), w niczem nieustępująca ślicznym swym poprzednikom, jakoto: Zosia, kwiaty i dary.

Najslabszą z wszystkich wydaje mi się być do słów J. B. Zaleskiego: Śpiewak Tęskniący. Kompozytor niewszystkie nawet strofy dopisał do muzyki, bo jest ich sześć, a tutaj tylko trzy znajdujemy; więc każdej należało dać właściwy charakter i koloryt muzyczny. Melodia w niej blada, bez wyrazu, nie posiada żadnej oryginalności: wtedy to najwięcej czuć można, gdy się ją śpiewa bez akompaniamentu. Prawda, że dobry i piękny akkompaniament o wiele podnosi wartość melodyi, lecz w pieśniach tego rodzaju, których przeznaczeniem jest jak największe upowszechnienie, melodia powinna łatwo wpływać do ucha, a piękność jej budząc większą sympatyą, snadniej wnika w tajniki duszy naszej. Nie pojmuję, dlaczego Moniuszko, który nawet dla pośledniej wartości tekstów tyle potrafi zlać piękności muzycznych, tak mało miał dla tej pieśni Zaleskiego? A przecież ona warta jest staranniejszego i głębszego opracowania: zdaje mi się nawet, że potężny talent autora Trenów Kochanowskiego, najzdolniejszym jest do jej wyśpiewania.

Ostatnie duettino z operetki Cyganie, miła i charakterystyczna kompozycja, podoba się w salonie, a na scenie z towarzyszeniem orkiestry, malującą w właściwszym kolorycie sytuacje dramatyczne, więcej zapewne jeszcze zyskać musi.

Ignacy Komorowski obdarzył nas Kujawiakiem (słowa Gregorowicza, nakład Friedleina). Komu w Warszawie nie znane są pieśni tego młodego kompozytora? Melodye ich tak sympatyczne, rzewne, tyle mają w sobie żywiołu narodowego, że nawet pomimo usterków w formie, jakim niektóre z nich ulegają, piękne są. A i cudzoziemcy pochlebnie się o nich wyrażają. Kujawiak jest ostatniem wydanem dziełem Komorowskiego,

posiada wszystkie zalety poprzednich, a nawet w formie jest więcej artystycznego wykończenia. Ale nie jest on łatwym do wykonania: potrzeba mieć dar autora do śpiewania podobnej pieśni, potrzeba się wsłuchać w sposób w jaki on to wykonywa, tém więcej, że i akkompaniament jest dosyć trudnym.

Lecz co to za życie w tym pełnym właściwego charakteru Kujawiaku! Jest tam rubaszność mazura, gwar karczemnej gawiedzi; a owe miejsce, gdzie starzy wrzekomo młodym przemawiają:

Co tam młodzież: to junaki,  
Niewarta niucha tabaki.  
My młodem i także byli,  
I śpiewali i tańczyli.  
A że nogi nie statkują,  
Ino w miejscu przytupują,  
Toć niedziw, bo spracowane,  
I zmęczone, sturbowane i t. d.

lub:—Patrzcie kumie! hej! sąsiedzie! Górą nasza! o mój Boże!... z taką prawdą i uczuciem oddane, stawia tę pieśń na czele wszystkich kompozycyj Komorowskiego.

Spodziewamy się wkrótce powitać poloneza tegoż kompozytora; jak tylko wyjdzie, nie omieszkamy dać o nim sprawozdania.

M. K.

---

*Obraz słowa polskiego i jego odmian, przez X. P. Semë-  
neńkę. Poznań. 1852.*

Nikt dotąd nie ocenił pisma wydanego pod powyższym napisem w Poznaniu, jako przedruk z *Przeglądu Poznańskiego* (drukem W. Deckera i współki, w 4-ce str. 57 z dodaniem tablicy arkuszowej, przedstawiającej obraz odmian słowa polskiego); w szeregu przecież rozpraw o słowie w ostatnich czasach wydanych, lub ocenianych: nie zajmuje ona ostatniego miejsca, bo autor objawia myśl własną i nową, nie kompiluje innych, chociaż może zazbyt w powagę obcych języków względem naszego wierz. Takim myśлом należy się ocena, jakkolwiek teoria tu podana ani na chwilę nie może być przyjętą; jakkolwiek zapatrzenie się na obowiązki oceny takiej pracy, od zabrania się do oceny odstręcza. Nie na faktach i szczegółach zbudowaną jest nauka języka, lecz na nieodmiennych zasadach, na których jak na podwalinach wznosi się budowa mówni. Dosyć więc różnić się w zasadzie, aby być pewnym, że i rozwój zasad różnić się będzie. W nauce

dwie teorie stać obok siebie nie mogą: waląc zasadę, walimy teorię; cóż na jej miejsce postawi recenzent, wskazany wiecznem przeczeniem przyjmować prace cudze, które się różnią z jego zasadami? Łatwo jest przeczyć, ale smutno przeczyć. W dziele sztuki, po naganieniu ogółu, można odkryć szczególne piękności oddzielnych części; a ganiąc szczegóły, można uznać myśl całości. Tu przeciwnie, po obaleniu zasady, nic nie zostaje autorowi za mądrą pracę, za poświęcenie się przedmiotowi, za myśl własną, i krew i życie, które w swą pracę przelęwa. Ale myśl, wprzód nim w pewnik się rozwinie; prawda, nim do jej poznania ludzie dojdą, w tysiącu faz, w tysiącu kształtów oczom ludzkim przedstawiać się musi: umiemy więc uznać zasługę tych nawet, których błędy potrafimy wykryć, bo oni prawdzie torują drogę, którą nam dalej ubijać przeznaczono; bo człowieka udziałem nie jest nieomylność.

Uważając za przesad mówniczy mniemanie, że źródłem słowa jest tryb bezokoliczny, autor przeciwstawi pewnik, że źródło słowa leży w czasie teraźniejszym, bo w innych językach każde słowo ma dwa tryby bezokoliczne: dokonany i niedokonany; bo „śmianoby się za czasów Kwintyliana lub Warrona z gramatyka, któryby poważnie dowodził, że słowo: *amavisse* jest słowem osobnem, dokonaniem, a słowo *amare* innem słowem niedokonanem, jak to się u nas ciągle powtarza“ (str. 5). Nie można więc za cechę słowa brać rzeczy, która w niem nie jest pojedynczą. Z pewnika przyjętego przez autora wypływa, że każde słowo, które ma czas teraźniejszy, jest odrębnem słowem; te zaś, które nie mają czasu teraźniejszego, są odmianami tegoż samego słowa. Drugą prawdą, którą autor za oddzielny pewnik uważa, a która jest tylko prostym wnioskiem z poprzedzającego, jest, że te tylko *przedstawki* („malutkie cząstki mowy dodawane na początku słowa“) (str. 6) zmieniają słowo na inne słowo, które stać mogą w czasie teraźniejszym trybu oznajmującego. *Rzucam, rzucę, porzucę*, są więc odmianami tegoż samego słowa; zaś *rzucam, porzucam, przerzucam*, są to różne słowa.

Z tych zasad, czyli z tej zasady wysnuwa się cała praca ks. Semeneńki; aby ocenić ją, a raczej odpowiedzieć na nią, musimy, odstępując na chwilę od przedmiotu rzeczy obecnej, przedstawić szczegół, który nam usprawiedliwienie zdania swojego ułatwi.

Liczba wyjątków przytaczanych w celu obalenia pomysłu p F. Żochowskiego o *stopniowaniu rzeczowników*, nie jest go w stanie obalić, bo pomysł ten ma zasadę w duchu języka. Pan Żochowski uznaje pięć stopni rzeczownych: *koń, konik, koniczek, konisko, konina*. Ta liczba nie może objąć w sobie całego rozwoju rzeczownika na tej drodze, dlatego przedstawiamy tutaj własne rozwinięcie tej myśli.

Na oznaczenie względów, wyrażanych przez tak zwane stopniowanie imion, używa się trzech końcówek 1) *k*, z samogłoską jakoto: *ek, ik, ak, ka, ko*, na oznaczenie zdrobniałości; 2) *isko*, na oznaczenie zgrubiałości; 3) *ina*, na oznaczenie zniszczałości.

Każdy więc rzeczownik prócz siebie może mieć trzy stopnie, tworzące się przez dodanie powyższych końcówek, a mianowicie: 1) *stolek, stolik, pniak, pieniek, chłopak, dziewczka, szydelko*; 2) *stolisko, pniisko, chłopisko, szydlisko*; 3) *stolina, pnina, chłopina (nędzny chłop), szydlina*; ale znowu każdy z tych stopni może z siebie trzy takie stopnie tworzyć, jakoto: *stoleczek, stolczyisko, stolczyzna; stoliczek, stoliczyisko, stoliczyzna; pniaczek, pniaczyisko, pniaczyna, pienieczek, pieńczyisko, pieńczyzna; chłopaczek, chłopaczyisko, chłopaczyna; dzieweczka, dziewczyisko, dziewczyzna; szydeleczek, szydelczyisko, szydelczyzna; kobiecinka, kobiecinisko, kobiecinina* i t. d.

Idąc dalej powiedzieć można, że każdy ze stopni o tak popodwojonej końcówce może tworzyć trzy stopnie w tenże sam sposób; np. *dziewczynka, dziewczynisko, dziewczynina*. Przykłady na to są dość rzadkie, albowiem powtarzająca się spółgłoska *k*, mięgcząc (1) się na *cz*, czyni wyrazy nadto szczebiotliwymi, a prócz tego kombinacje znaczeń nie są i nie mogą być tak liczne, jak są kombinacje końcówek. W ustach też chyba matek, do dzieci swoich mówiących, usłyszeć można, ze szczególną pieśczołliwością wymawiane, imiona o potrojonej końcówce *ek*, np. *Janeczczek* i t. p. Używalnijsze za to są kombinacje końcówki *ina* z końcówką *ka* lub *ek*, np. *dziewczyninka* i t. p.

Na poważną mowę naszą zbyt może wiele pieśczołliwości jest w tych rzeczownikach: wyraz rozplywa się nieledwie w ustach. Zawsze to bogactwo, którego nam Francuzi, mimo całej delikatności, i Włosi, mimo całej pieśczołliwości mowy swojej, mogą pozazdrościć. Wyraz *dziewczyninka*, nic rażącego nie zawierający, ma aż poczwórną końcówkę stopniową: *dziéwa, dziéwka, dziewczyna, dziewczynina, dziewczyninka*. Któż nam bogactwa mowy i zasobów zaprzeczy? Nikt zaprawdę; oby tylko nikt umiejętności korzystania z nich przeczyć nie chciał. Cudzoziemcy uboższe mają mowy od naszej, a do nas po rozstrzygnięcie swych wątpliwości nie spieszą: dlaczegóż dla nas mają być powaga? Czyż dlatego, że w żadnej obcej gramatyce stopniowania rzeczowników nie przyjęto, a przynajmniej nie oznaczono oddzielną nazwą, bo nigdzie tak nie jest rozległe jak u nas: mamy i my nie przyjmować go u siebie, gdy u nas stopniowanie rzeczowników jest najogólniejszym prawem? gdyż przymiotnik w stopniu wyższym lub najwyższym przez stopnie odmieniać się już nie może: rzeczownik przeciwnie: chociaż jest stopniem względem innego, sam z siebie nowe trzy stopnie snuć zdolny.

Najogólniejsze tedy prawo na tworzenie się stopni rzeczownych jest takie: każdy rzeczownik bez względu na końcówkę przybierać może trzy końcówki, nadające mu znaczenie: *zdrobności, zgrubności lub zniszczałości*, t. j. *ek, ik, ak, ka* lub *ko* w pierwszym razie, *isko* w drugim, *ina* w trzecim. Skoro w prawie powiedzieliśmy, że przybieranie końcówki dzieje się bez żadnego

(1) Pisownia autora, którą tenże usprawiedliwił w *Uwagach Mówniczych* umieszczanych w *Gazecie Codziennej* i *Dzienniku Warszawskim*, zachowaną została w całym artykule. P. R.



względu na poprzednie zakończenie rzeczownika, mogą się więc na zasadzie tego prawidła stopniować i takie rzeczowniki, które już raz lub więcej przybierały którą z stopniowych końcówek.

Nie zgadzamy się na pewnik autora ocenianej rozprawy, że źródłem słowa jest czas terażniejszy trybu oznajmującego; nie potrzebując obszernie wyjaśniać powodów tej sprzeczności zdania, bo w ostatnich czasach udowodniono dostatecznie, że źródłem wszystkich odmian słownych jest trzecia osoba czasu przeszłego l. pojed., że czas terażniejszy od czasu przeszłego się tworzy. Nie zgadzamy się także na to, co autor osobnemi słowami nazywa, a ku udowodnieniu że mamy zasadę nie zgadzać się, jako jeden z pomocniczych środków posłuży nam wyżej rozwinięta teoria stopniowania rzeczowników, której poświęciliśmy obszerniejszy ustęp, bo w ten sposób żadna gramatyka jój nie rozwija.

Podział na części mowy więcej ciała zapewne, niż ducha języka się tyczy. Dowodem tego, między innymi, jest przedstawiony wyżej, a stopniowaniem nazwany rozwój rzeczowników. Żadna z odmian tam wskazanych nie jest połączoną ze zmianą istoty rzeczy, którą pierwotnie wyobraża rzeczownik; a przecież *stół* i *stolik* uważamy za odrębne rzeczowniki, z których każdy ma swoją odmianę. Rzeczownik może się rozwinąć na stopnie, i otrzymamy z niego kilkanaście innych rzeczowników, z których każdy zarówno jak pierwotny stać może w pierwszym przypadku. W rzeczowniku więc jednym może być tak samo kilkanaście przypadków pierwszych liczby pojedynczej, jak w słowie trybów bezokolicznych; a jak w rzeczowniku istota rzeczy przy żadnej odmianie się nie zmienia, tylko przypadkowy wzgląd tejże jest różnym: tak i w słowie, istota czynności przez odmianę stosowną trybu bezokolicznego się nie zmienia, ale jój sposób się zmienia. Czemuż za różne części i mowy mamy *dobroć* i *dobry*, *czyn*, *czynny* i *czynić*, *słodycz*, *słodki* i *słodko*, kiedy tu duch, istota rzeczy w pierwiastku leżąca; zawsze taż sama, tylko wzgląd różny? Odpowiedź na to pytanie leży w twierdzeniu naszym, że podział na części mowy więcej ciała niż ducha języka się tyczy; twierdzeniu prawdziwem wtedy, jeżeli przez wewnętrzną część wyrazu rozumieć będziemy znaczenie w jego pierwiastku leżące, a przez zewnętrzną względy w jakie to znaczenie końcówka przyodzięwa.

W przymiotnikach *biały* i *białawy* istotą przymiotu jest *białość*; pierwszy w większym, drugi w mniejszym stopniu ją posiada, i to także różnica powierzchowna i przypadkowa: istota rzeczy taż sama. W słowach *czernieć* i *czernić* istotą czynności jest *czernienie*: w pierwszym tylko podlegamy mu, i wola nasza nie ma na niego wpływu, w drugim zaś sami jesteśmy działaczami. I to przecież wzgląd przypadkowy, który istoty rzeczy się nie tyczy, bo czy bez swojego współdziałania *zczerniałem*, czy też mnie kto *po-czernił*, skutek jest jeden, bom *czarny*.

Ztąd też nie zgadzamy się z mównikiem, który chce widzieć nietylko zewnętrzną część mowy, ale i głębiej sięga badaniem,

a przecież twierdzi, że słowa *rzucam* i *przerzucam* są zupełnie odrębne. Nigdy nie powiemy, żeby odrębnymi były te wszystkie rzeczowniki, któreśmy mówiąc o stopniowaniu imion rzeczownych z jednego wyprowadzali. Odmiany więc dzielą się także na rodzaje, i tak: przymiotnik odmieniać się może: 1) przez stopnie: *długi, dłuższy, najdłuższy*; następnie: 2) każdy stopień przez rodzaje, wreszcie 3) każdy rodzaj każdego stopnia przez liczby i przypadki. W ten sposób od jednego przymiotnika *długi* tworzy się 126 odmian, których na żaden sposób mównik za odrębne uważać nie może; bo pojęcia stopnia wyższego bez równego nie ma; bo we wszystkich tych odmianach jeden wspólny pierwiastek do jednego sprowadza je źródła. I czyż dlatego, że z każdego prawie przymiotnika 126 się ich rozradza, ma mównik wszystkie te względy w jeden splatać i twierdzić, że wszystkie razem jedną przymiotnikową odmianę stanowią? Tak nigdy byśmy do ładu nie doszli.

Rzecz sama nicby na tém nie straciła, ale straciłaby nauka, straciłby systemat. To, cośmy wspomnieli o stopniowaniu rzeczowników, o stopniowaniu i rodzajowaniu przymiotników, rzucamy tylko jako echo swojej myśli zasadniczej, przez którą, gdyby ją tu obszernie rozwinąć było można, i gdybyśmy do jęj rozwinięcia byli zupełnie przygotowani, doszlibyśmy do przekonania, że przytoczona wyżej odmiana rzeczownika przez stopnie, liczby i przypadki, lub przymiotnika przez stopnie, rodzaje, liczby i przypadki, jeszcze w rzędzie odmian mówniczych za oddzielną i skończoną w sobie samą uchodzić nie może.

Aby choć pobieżnie mieć o tém przekonanie, dość spojrzeć na jakibądź pierwiastek, jak on wszedłszy w mowę razem z jęj początkiem, rozrodził się w nięj, przyjął wszelkie możebne końcówki, lub do ich przyjęcia zdolnym się okazał; jak scharakteryzował się różnemi odcieniami znaczeń, tak dalece, że nieraz podobieństwa dwóch wyrazów tęj samęj rodziny trudno dostrzedz. Naprzykład wyrazy: *serce* i *środek* mają wspólny pierwiastek, pokrewną końcówkę, a przecież różnią się tak dalece postacią! Komu trudno dostać się do źródła, ten widząc że *serce* zmienia się na *serduszek* a nie na *sercuszek*, gotówby ten wyraz za bardzo nieprawidłowy uważać, albo też zawnioskować z niego, że mównicy się mylą twierdząc, że *c* na *d* się nie zamienia, tak jak z wyrażenia: *świeca świeci świetnie* wnoszono, że zamiana *c* na *ś* i *t* jest właściwą językowi polskiemu; kto zaś z wyrazów *serdeczny*, *serduszek* i t. p. będzie umiał poznać, że *serdce* etymologicznie *serce* pisaćbyśmy powinni, i że tylko dla trudności wymawiania do opuszczenia *d* przyszło; że *serd* to *śred*, *śród*: przekona się, że *serce* i *środek* tęj tylko mówniczą mają różnicę, że pierwsze z końcówką *ce*, drugie z *ek* się łączy, że w pierwszym w skutek połączenia jedna głoska się opuszcza, że w *sercu* pierwiastek w innym istoty swojej jest objawie.

Nie mamy powodu błąkać się po labiryncie odmian i odmianek. bo wszystkie odmiany spojć można w jedną wielką odmianę pierwiastku przez końcówki z nim się łączące, a w tej dopiero odmianie dostrzegając bliskości związków jednych końcówek z drugimi, różne postanowić działy. Jak w układzie roślin zabłądziłbyśmy musieli, przechodząc bez systematu od rośliny do rośliny, bez rozłożenia ich na rodzaje i klasy; tak błądzimy i w mówni. W odmianie pierwiastku przez końcówki leżycały, systematyczny łańcuch odmian, leżą niby pokolenia tego pierwiastku, całe jego drzewo rodowe (genealogiczne), a ostatniem ogniwnem tego łańcucha, liśćmi tego drzewa są dziś żyjące istoty, dzisiajsze nasze, różne postacią i za odrębem części mowy uważane, wyrazy.

I znowu rozwijając pomysł Żochowskiego, nim swój o odmianie pierwiastku przez końcówki z dostateczną jasnością i ścisłością przedstawić będziemy mogli; wskażemy, że ten ród, z pokolenia pierwiastku wyszły, biorący za wspólny objaw czynność lub stan, oddzielną część mowy, słowem zwaną, stanowiący, rozwija się w mowie naszej z niezwykłym innym językiem bogactwem: że chcąc spleść wszystkie odmiany naszego słowa, inaczej mówiąc: wszystkie słowa z jednego pierwiastku wyszłe, w jedną odmianę i podać wzór tej odmiany, niepodobnych rzeczy chcemy. Autor ocenianej rozprawy byłby tej chęci, której urzeczywistnienie za niepodobne mamy, gdyby nie wyminał się z myślą, że słowa *rzucam* i *przerzucam*, chociaż mają czasy terażnijsze, jako z jednego powstałe pierwiastku, nie są obcemi sobie słowami.

Autor *Mówni* słowa polskie podzielił na 4 rodzaje, t. j. na słowa pierwotne, różnokierunkowe, częstotliwe i jednochwilowe; np.

siedzieć, siadać, siadywać, siaść,  
drgać, drygać, drygiwać, drgnąć.

W tym podziale nie mieści się to wszystko, co się mieścić powinno: obok słowa *siedzieć* nie ma słów: *sadzić, sadzać, sadowić, sadawiać* i t. d.; obok *drgać* nie ma *drzść, drygnąć, drgiwać* i t. p. a miejsca na te słowa brakuje. Nie pomysłu to wina, ale systematu. My podzielimy: słowa polskie podług końcówek na 4 działy:

1) Słowa *nijakie*, końcówka główna *ć*: *siedzieć, drzść, widzieć, bielć*. Tych więc słów są dwa rodzaje, jedne *nijakie* stanu, drugie przejścia w stan. Stan oznaczają: *siedzę, drzę, widzę* (trzecia osoba *widział*, liczba mnoga *widziemy*); przejście w stan: *bieleję*.

2) Słowa *czynne*, pierwotna końcówka główna *ić*: *sadzić, bielić, widzić* (*odwidzić*), *sadowić*.

3) *Jednotłowe*, końcówka główna *ąć*: *siaść, drgnąć, drygnąć*.

4) *Wielotłowe*, końcówka główna *ać*. Te dzielą się znowu na dwa rodzaje:

a) *Wielotłowe o tle kierunkowém*, czyli *różnokierunkowe*, końcówka główna *ać* i *éwać*: *siadać, sadzać, sadawiać, drgać, drygać, bielać* (*pobielać*), *widzać* (*odwidzać*) *bieléwać, drzéwać*.

b) Wielotłowe o tle czasowym, czyli *częstotliwe*, końcówka główna *ywać, iwać: siadywać, drgiwać, drygiwać, widywać*, a wreszcie jako wzór tworzenia przytaczamy nieużywane: *bielewywać*.

Ostrzegamy, że nie miejsce tutaj wspominać o wyjątkach od ogólnego prawa, o słowach o odrębnej końcówce do któregoś z powyższych działów należących, a należących dla właściwej przyczyny, którą nietrudno będzie, przy rozwijaniu tej myśli, gdy do tego przyjdzie, wykazać: albowiem zwykle leży ona w zewnętrznej słowa budowie.

Każdy z tych działów, różnym znaczeniem i końcówką, ma wiele poddziałów, ze względu na tworzenie się słów weń wchodzących; nie można twierdzić, że słowa: *drżać, drgnąć, drgać, drygać, drgiwać, drygiwać* są różnymi słowami, skoro istota czynności lub stanu zawsze w nich jedna; nie można przecież spleść ich w jedną konjugację, bo chaotyczna taka konjugacja by była.

Jak więc w każdym systemacie naukowym, tak i tutaj ostatnie ogniwo łańcucha odmian za ostatni i odrębny objaw brane być powinno. Każde słowo mające tryb bezokoliczny, każdy przymiotnik lub rzeczownik mający pierwszy przypadek, uważamy za oddzielne słowo, za oddzielny przymiotnik lub rzeczownik, jak ciała kopalne w układzie Wernera, jak rośliny w układzie Lineusza lub Jusieu'go. I tu i tam wolno nam przyznać, że ten ostatni objaw ma jeszcze odmiany; ale tak już podobne, że ich ani na chwilę rozłączyć niemożna. Tak więc rzeczowniki odrębne odmieniają się jeszcze przez przypadki, słowa przez czasy i osoby.

Tu leży źródło opozycji naszej przeciw konjugacji ks. S. wyprowadzonej z zasad, że źródłem słowa jest czas terażniejszy, i że przedstawki, które nie mogą znajdować się w czasie terażniejszym, słowa danego na inne słowo nie zamieniają.

Autor dostrzegł, że przedstawki *po* i *na* najrzadziej stoją w czasie terażniejszym, i ztąd, prócz formy czasów dokonanych i niedokonanych, wprowadził czasy pełne, przez przybranie *po* i *na* się tworzące. Ubóstwo mowy naszej widziałby w tej okoliczności, że w konjugacji greckiej są czasy tworzące się za pomocą przedstawków (używamy słownictwa autora), a w naszej takich czasów nie ma; a że przekonany o bogactwie tej mowy, musi więc tej okoliczności zaprzeczyć. To prawdziwy przesąd mówniczy, bo i różnica jednych od drugich, jednych lub drugich bogactwem jeszcze nie jest, i brak tego, co nam niepotrzebne, ubóstwem nazywać się nie może.

Wszystkie słowa dzieli autor na dwa wielkie działy: na te, które czas przeszły dokonany tworzą przez dodanie przedstawka, i inne, które go tworzą przez wewnętrzne skrócenie samogłoski.

Czas tedy terażniejszy jest: czynię strzelam

Czas przeszły niedokonany: czyniłem strzelałem.

Po czasie przeszłym niedokonanym nie idzie zaraz czas przeszły dokonany: *uczyniłem, strzeliłem*, lecz następują, owe wspomniane wyżej, czasy pełne.

Pierwszy z nich, który nazywa autor przeszłym pełnym pierwszym czyli *przedsobnym* (*objectivum*), jest: *poczynilem, postrzelalem*; drugi, tworzący się przez przybranie przedśłówka *na*, nazywa się przeszłym pełnym wtórym czyli *wsobnym* (*subjectivum*) (1) i ten jest: *naczynilem, nastrzelalem*.

Nakoniec czas przeszły dokonany: *uczynilem, strzeliłem*. Słowo według autora ma po 4 takie objawy każdego czasu, t. j. zaprzeszłego i przyszłego w trybie oznajmującym, trybu rozkazującego, czasów przeszłego i przyszłego w trybie łącznym, który autor tak nazywa dlatego, że on sam raczej łączy się z innymi zamiast inne łączyć ze sobą (str. 14). Takież same 4 objawy ma tryb bezokoliczny, i tryb nieosobisty oznajmujący i łączny. Zbiór tych odmian razem z imiesłowami stanowi formę czynną. Końjugacja, jak z opisu widzimy, ogromna.

Każdy czas autora, prócz terażniejszego jest czworaki; zmienimy tylko porządek czasów w jego wzorze, a otrzymamy najprzód końjugacją niedokonaną z czasem terażniejszym, później pełną pierwszą i drugą, a wreszcie dokonaną. Nie będą to bezgłówki, jak chce autor, bo głową i źródłem wszystkich odmian słowa jest trzecia osoba czasu przeszłego, a czas przeszły w każdym znajdować się będzie; nie będą słowa oddzielne, skoro jeden mają pierwiastek, ale będą różne odmiany słowa: tak jak *piękny* i *piękniejszy* nie są różnymi przymiotnikami, bo tylko większą lub mniejszą moc jednego wyrażają przymiotu, a przecież mają oddzielne odmiany.

Ale języki, jako wszystkie ludzkie, i wszystkie z jednego źródła początek biorą, wszystkie też są do siebie nawzajem podobne. To też i w obcych językach o wiele ułatwiłaby się nauka gramatyki, gdyby w niej końjugacją niedokonaną oddzielono od dokonanej. Obce języki w większej części mniej są bogate od naszego; przetwarzanie się pierwiastków nigdzie nie przedstawia tylu odmian, tyle różności, co u nas; końcówki nigdzie nie są tak

(1) Powodem do takiego przetłómaczenia *objectivum* i *subjectivum*, ma być niesmak jaki rodzą wyrazy: *przedmiotowy* i *podmiotowy*, lub *miotowy*, zapewne przez przypomnienie *wymiotów*. Za panowania klasycyzmu w epopiejach i trajedjach, pisanych zawsze górnym, deklamatorskim, traicznym stylem, wstawionych łączeniem wyrazów w najdziwniejsze zbiegi, aby górnolotność słodko-płynnych rymoplotów, jeżeli nie natchnieniem, to zimną, mechaniczną sztuczką wydobyć: Jowisze *miotali* pioruny swojego gniewu, a bohaterowie, *miotani* burzą nieszczęść, upadali pod gromami Zeuksa,—i nie przypominało to *wymiotów*. Dziś, kiedy język książkowy zgasł niepowrotnie, kiedy w mowie zapanowała prostota, kiedy przekonano się że każdy wyraz jest dobrym, byle był dobrze użytym: na co się przyda ta odrażająca swem wymuszeniem nerwowość, spazmatyczność uszów naszych? Pojawiała się ona nie w porę: strzegący się *miotów, przymiotów* i *przedmiotów* przestarzałości przekonani dowodzą; pieniądz to już wytarty i wyszły z obiegu. *Miot* jest pierwiastkiem w mowie naszej, jest rodzicem mnóstwa wyrazów polskich, które najwybredniejszego nie obrażą ucha, i nie wolno nim *pomiatać*.

bogate i tak możliwe do składania. Nauka ich mowy jest prostszą od nauki mowy naszej, o ile są jednorodne, o ile, nie będąc zbiorem mów różnych, różnorodnymi prawami się nie rządzą: to też zastosowanie tej myśli byłoby daleko widoczniej ważne w innych językach, jak w mowie naszej. Dziś rzucamy tu myśl tylko, zostawiając jej obrobienie nieodległej może przyszłości; a teraz pilno nam dalej.

Nie bez przyczyny powstajemy na zbytęzną obszerność formy czasowania, jakiej wzór ks. S. przedstawia, oprócz trudności zachodzących bezpośrednio w jej nauczaniu się, wiedzie ona za sobą mnóstwo trudności w składni, wymaga mnóstwa drobnych prawidełek, a nieskończoną prawie trudność w ustanowieniu następstwa czasów przedstawia. Weźmy za przykład słowa, które w czasie terażniejszym mogą się składać z przedstawkami *po* i *na*, np. *wstaje* i *powstaje*, *daje*, *podaje* i *nadaje*. Są to słowa różne, obce sobie, podług teorii autora, a przecież czasy przeszłe pełne słów *wstaje*, *daje* są: *powstawałem*, *podawałem*, *nadawałem*, a czasy przeszłe niedokonane słów *powstaje*, *podaje*, *nadaje* są takie: *powstawałem*, *podawałem*, *nadawałem*. W jakiej subtelne rozgraniczenia odcieni znaczeń wdawać by się musiała składnia, gdyby na takim wzorze czasowania się oparła, kiedy sam autor czyniąc o tym zbiegu nawiasową uwagę (str. 31 i 32), różnicy tych znaczeń nie określa.

Ale i czas zaprzeszły pełny 1-szy od słów *wstaje* i *daje*, zbiega się z czasem zaprzeszłym niedokonanym słów: *powstaje*, *podaje*, i brzmią oba: *powstawałem był*, *podawałem był*. Tak samo i zaprzeszły pełny 2-gi słowa *daje*, będzie taki sam jak zaprzeszły niedokonany słowa *nadaje*. Ten sam zbieg powtórzy się w czasie przyszłym, powtarzać się będzie i dalej; a po cóż skłania rozróżniać ma rzeczy, ani na jotę nie różniące się między sobą?

W przywiedzonej wyżej uwadze swojej o tym nie zwraca autor baczności na to, że takie zbiegi aż nadto wyraźnie wykazują dowolność, a więc i bezzasadność stanowiska obranego przez niego.

Byt czasu zaprzeszłego w języku polskim uznaje ks. Semeńko, i to jest jeden z ważniejszych jego błędów mówniczych. Zkąd ten błąd powstał, że go tak powszechnie przyjęli mównicy, poznać i wskazać nie trudno. Jest w słowie naszym czas warunkowy, złożony ze słowa posiłkowego i czasu przeszłego: *byłbym robił*, *byłbym zrobił*, ale czasu *robił był*, *zrobił był*, *był był* nie ma. Tej sztucznej z obcej mowy naśladowanej formy nie usłyszecie w ustach ludu: znana jest ona gramatykom i ich uczniom tylko. Swoboda języka naszego pozwala zamiast *byłbym robił*, mówić *robiłbym był*, ale trzeba pamiętać, że dla utworzenia tego czasu łączymy z trzecią osobą czasu przeszłego, czas warunkowy słowa posiłkowego, a chcąc na wzór tego (jak postąpiono) utworzyć czas zaprzeszły *był był*, *robił był* musimy łączyć czas przeszły z przeszłym. Nie rozprawiam o tym jak się to wyda w językach obcych, lecz w naszym będzie to *masło maślane* i nic więcej.

Na bierną postać naszego słowa przedstawia autor podobną co do obszerności i układu konjugacją, lubo przyznaje, że nieczęsto używamy sposobu biernego, bo *łatwiej i zgrabniej* inaczej go nam wyrazić. (str. 22). Jednoznaczne to wyrażenie z tém twierdzeniem, że słowa nasze nie mają oddzielnej formy biernej, tylko imiesłowem biernym i słowem posiłkowym ją zastępują. Chętnie zgodzilibyśmy się z autorem na zdanie, którego nie wyjawil wprawdzie, ale które jak z pracy ocenionej widac, podziela, że cokolwiek w naszej mowie jest niełatwym i niezgrabnym, to niepotrzebnie sztucznie wprowadzono w nią. Te czasy zaprzeszłe wszystkich prawie mówników, ta strona bierna autora, należą do tych sztucznie wprowadzonych szczegółów. To zaszczeniopiona oспа, która jak oспа jest chorobą; ale tę ma tutaj słabą stronę, że od chorób przyszłości nie zabezpiecza. Czasu zaprzeszłego prawie nigdy, a strony biernej, odrębnej, jaką ks. Semenińko uznaje, nigdy nie usłyszycie z ust ludu: to też i w wykształconych mowie wyglądają jak owe z zamorza południowe rośliny w naszej zimnej strefie. lub jak nasze cieplarniowe owoce, otrzymane wysileniem ogrodniczej sztuki, pozbawione dojrzałości i smaku. Obcy to przybysze; co ani naszego stroju, ani naszych zwyczajów przejąć nie chcą; nie wiemy też do czego zdadni, gdzie się nimi posługiwać i wyręczać: lepiej doprawdy byłoby im bez nas, ale nie gorzej nam bez nich.

Chociaż śmiech współczesnych Kwintyljana lub Warrona nie doszedł jeszcze do powagi dowodu, użyję przecież tego wyrażenia, którego autor ocenianej broszury używa; tak, śmiano by się zapewne za owych czasów z gramatyka, któryby przyznał, że jaki szczegół, jaka odmiana jest niełatwą, niezgrabną, barbarzyńską w łacinie, a później byt tej odmiany za jedno z bogactw mowy uważał. A śmiano by się i dziś, bo gdzież tu loika?

Bierną postać naszego słowa w czasie terażniejszym tak autor przedstawia:

palonym, palonam, palonem,  
 palonyś, palonaś, paloneś.  
 palony, palona, palone i t. d.

Odmiana powyższa (mówi autor) nie jest przypadkowym złożeniem imiesłowu *palony* i słowa *jestem*, ale jest złożeniem organicznem, żywotnem, tak jak *byłem*, *kochałem* i t. d. czemu bynajmniej nie przeszkadza sposobność oderwania zakończenia właściwego tym odmianom, i postawienia go gdzieindziej; i jak te ostatnie odmiany są dokładnymi formami czasów przeszłych, tak: *palonym*, *palony* i t. d. jest dokładną formą bierną słowa (str. 23 i 24).

Najłatwiej nam przekonać autora, jak dalece się myli, biorąc: palonym, palonyś, palony i t. d. za postać bierną naszego słowa. Nie usprawiedliwi go tu przykład sposobu mówienia biernego w dalszym ciągu przytoczony: *Adam zgrzeszył i cały rodzaj ludzki potępiony; dopiero krwią Chrystusa zglądzona winna i odkupieni wszyscy*. Nie są to bynajmniej imiesłowu, jak twierdzi autor, lecz

trzecie osoby czasu przeszłego biernego: *potępionym, potępionys, potępiony*; *zgladzonym, zgladzonyś, zgladzony* i t. d.; gdyby to były imiesłowcy, zdanie nie miałyby żadnego sensu, jak o tem łatwo się przekonać, tłómacząc to polskiezdanie na inny język (str. 26). Dalej tłómaczeniem francuzkiem dowodzi autor tego co wyrzekł, i twierdzi, że próżno ktoby chciał odpowiedzieć, że w naszym języku domyśla się przy tych imiesłowach słowa *jestem*, a w innych językach nie domyśla, bo dlaczegóż ta różnica? Oto odpowiedź: domyśla się u nas, bo to nie są imiesłowcy, ale czasy bierne: nie domyśla się w innych językach, bo tam nie są czasy bierne, ale imiesłowcy (str. 26) My przeciwnie sądzimy, że gdy potrzeba (a to rzadko) nam używać formy bierniej, używamy zawsze imiesłowu i słowa posiłkowego *być*; że końcówka tego słowa z imiesłowem łączy się przypadkowo tylko, a żadnej organicznej, żywotnej całości nie stanowi: bo gdyby przyjęta przez autora odmiana była osobną, organiczną całością, w takichże samych prawach znalazłoby się i:

pięknym, pięknam, pięknem,  
pięknys, pięknaś, piękneś.  
piękny, piękna, piękne i t. d.

a jakiegoż to słowa bierną będzie postacią?

Imiesłów jest tu w prawach i przywilejach przymiotnika, bo jest przymiotnikiem, lubo od słowa pochodzi: może nawet stać w szóstym przypadku, tak jak przymiotnik:

palonym'em paloną'm palonem'em  
palonym'ies palonąś palonem'ies i t. d.

jakkolwiek ta odmiana nie jest wcale z harmonją mowy naszej zgodną; i nie dziw też, że ją słyszeć można tylko w ustach silących się na obdarzenie naszej mowy formą bierną: tak też samo może być i w przymiotniku: np. *bardzo pięknaś*, i *bardzoś piękna*.

Kiedy więc zarówno przymiotnik jak imiesłów może się łączyć ze słowem posiłkowym w ten sposób, że po opuszczeniu *jest*,kończówka przystanie do przymiotnika lub imiesłowu: czy można za oddzielną żywotną, organiczną formę bierną słowa polskiego, które z tych połączeń uważać?

Co nam po téj organicznej niby i doskonałej samej w sobie stronie bierniej, skoro bez niej łatwiej i zgrabniej obejść się możemy? skoro wszystkie względy jakie ona wyraża za pomocą słowa posiłkowego i imiesłowu wyrazić umiemy.

W osobnym ustępie rozróżnia autor jeszcze dwie postacie naszego słowa, z których jedną nazywa *samodzielną*, drugą *zaimkową*. Przytaczamy tu ich określenia słowami autora: w postaci *zaimkowej*, którą możnaby równie nazwać *czynno-bierną*, osoba słowa jest najprzód czynnikiem, a potem swoim własnym biernikiem, to jest, że swoją czynność jako *wsób* działający wywierają na siebie samą, jako na *przedsób* też samą czynność znoszący. W postaci przeciwnie *samodzielnej*, którąby równie nazwać można *biernoczynną*, osoba jest najprzód biernikiem znoszącym jakąś



czynność, ale wnet tę czynność odebraną przemienia na własną, i staje się tejże czynności odebraną czynnikiem, *wsobem* działającym tą odebraną i bierną czynnością (str. 28). Kiedy mówię *palę siebie* jest to samo, co inne języki zaimkowo wyrażają: *je me brûle, ich brenne mich, comburo me* i t. d. Osoba czynna obraca swą czynność na siebie samą. Ale kiedy mówię: *palę się*, wyrażam nie czynność która przechodzi w bierność, ale bierność przechodzącą w czynność, czynność przezemnie przyjętą, coś, co się ze mną dzieje, a nie co sam sobie robię (str. 28 i 29).

Zgadza się na różnicę znaczeń przez autora podaną, a usprawiedliwioną (str. 27) licznymi przykładami; nie przystajemy jednak na to, aby z zaimkiem: *siebie* słowa polskie tworzyły oddzielną formę. Wzór téj formy musiałby chyba być taki:

biję siebie, ciebie, go,  
bijesz mnie, siebie, go  
biję mnie, ciebie, siebie  
bijemy siebie, was, ich  
bijecie nas, siebie, ich  
biją nas, was, siebie,

albo tak:

biję siebie  
bijesz siebie  
bije siebie  
bijemy siebie  
bijecie siebie  
biją siebie.

a takim nie jest, bo każda taka odmiana odrębne zdanie stanowi. Zdanie w którym *miotnik* się domyśla *biję siebie* jest zdaniem oddzielnem, tak samo jak *biję konia, chwaleń ciebie*, zdanie skończone; tak samo jak *chwaleń Władysława*, zaimek więc *siebie* zastępuje tutaj rzeczownik (1), a że to jest czynność zaimkowi właściwa, odrębnej więc formy wcale nie stanowi. Mamy tylko oddzielną słowa polskiego postać: *kocham się w kim, biję się z kim* i t. d. tę właśnie którą autor samodzielnie nazywa. Jak powiedzieliśmy, zgadzamy się na rozróżnienie znaczeń tych dwóch postaci, choć nie zgadzamy się na to, żeby druga z nich, t. j. podług autora *zaimkowa*, była oddzielną formą w naszym języku; ale na wspomnianą różnicę znaczeń zgadzamy się tylko z tem zastrzeżeniem, że często *siebie* zastąpionem być może bez błędu przez *się*, choć w takim razie nie stanowi jeszcze formy, którą autor samodzielnie nazywa. Nie ma naprzykład błędu w wyrażeniu: przez rozmyślnie czytanie złych książek *zepsujesz się* i zgubisz na zawsze, (str. 29) chociaż autor każe pod obawą błędu wyrażać tę myśl przez *siebie*. *Się* nie stanowi tu formy samodzielnej. jest to skrócenie *siebie*, i pełni czynność tego zaimka, zastępując imię osoby i będąc przedmiotem zdania.

Ostatni a najdłuższy ust. p swojej rozprawy (str. 33—54) przeznaczają autor na objaśnienie tworzenia się czasów. W tym

(1) Często się trafia czytać lub słyszeć błędny sposób mówienia, który jak tutaj brzmiałby: *zastępuje rzeczownika*. Błąd ten poszedł z mylnego wzięcia przyp. 4 za 2gi. Dobrze mówimy: *zastępuje Władysława*, ale źle: *zastępuje rzeczownika*, bo w pierwszym razie jest przyp. 4 jak być powinno, w drugim 2gi bez zasady. Dowód na to w rzeczownikach żeńskich: nie mówi się przez drugi przypadek *zastępuje panią*, ale przez 4ty *zastępuje panią*.

celu w 1ej osobie liczby pojedynczej czasu teraźniejszego wynajduje pierwiastek słowa, i na otrzymanie go potrzebuje aż 4 prawideł; tak więc słowa *kocham* pierwiastek jest *kocha*, słowa *leją* — *le*, słowa *ciekę* — *ciek*, *kraje* — *kraj*, *lecze* — *lec*. Cały ten wykład mimo skutecznych po części usiłowań w celu uczynienia go jasnym i łatwym, dosć jest zawikłany, a prawa, któremi się rządzi, dosć dowolne.

Nie znaleźlibyśmy tutaj objaśnienia różnicy słów częstotliwych na *ywać* i *iwać* zakończonych, od słów na *ać* się kończących, ani różnicy słów *widzieć* i *widzić*. Pisownia autora nie rozróżnia *musiemy* od *musimy*, *gnieć* od *gnij* i t. d. Autor nie korzystał z gramatycznych prac polskich, pod względem więc pisowni — czym w teorii słowa pozostał w tyle, mało się za Kopczyńskiego wysuwając, pod względem teorecznym wznosił swoją teorią zbyt zawikłaną i trudną, przepelnioną przesadami mówniczymi o czasach zaprzeszkłych i stronie biernej; wznosił teorią, która się przyjąć nie może, bo jej systemat mylny, zamiast upojedynczania, upraszczania roboty, w ogromną pracę ją zamienia. Są szczegóły, które autor widział jasno i dobrze, które mu zaszczyt przynoszą. Że teoria autora w jego pojęciach jest prostą i jasną, nie dziwimy się, bo to jego myśl własna; że ją przedstawił, o ile przy jej zagmatwaniu można było, najjaśniej, za zaszczyt dlań szczegół chętnie uznajemy. Ale tego nie dosyć, by teorią przyjąć.

Teoria słowa polskiego dziwnie jest prosta i łatwa. Nieporządek, jaki w tej części grammatyki autor dostrzega (str. 1) jest urojonym, jeżeli rzecz względnie do innych części mowy brać będziemy. Owszem słowo nasze po rozprawach, jakie nad niem w ostatnich czasach stoczono, przedstawia się dziś jasno i świetnie, w pełnej prostoty teorii; choć i dziś zaprawdę różnobarwna obwódka połamanych światła otacza brzegi obrazu i dokładnie ich dopatrzeć nie daje, ale winą tego jest, że nie mamy jeszcze lunety zupełnie achromatycznej do uważania zjawisk mówniczych. Przyjdzie czas, że w znajomości innych słowiańskich języków, w dokładnem oznaczeniu mówniczego stosunku cudzoziemców do nas, znajdziemy to szkło, przez które wszystkie światła i cienie językowej naszej dziedziny, wszystkie jej brzegi i granice zobczyzną dokładnie będziemy mogli ujrzeć. I codziennieśmy bliżej tego czasu.

Jedno z prawideł na tworzenie się imiesłowów wywołuje uwagi autora nad tłumaczeniem na język polski przymiotników łacińskich zakończonych na *bilis*, *ivus* lub *osus*: na przykład *amabilis*, *activus*, *odiosus*. Na tworzenie się odpowiednich polskich podaje następne правило: „przymiotniki możności, właściwości, tworzą się zwykle od słowa w jak najkrótszej postaci wziętego, do jakiej je można przyprowadzić, przez dodanie zakończenia *ny*. Za takie więc przymiotniki uważa autor: *baczny*, *śmiészny*, *czujny*, *straszny*, *pełny*, *skoczny*, *chwytny*, *spójny*, *budowny*, *czarowny*, *kosztowny*, *pokutny*, *ślubny*, *pilny*, *kupny*, (str. 52 i 53); za wyjątko-

we co do zakończenia uważa autor: *jadalny, mieszkalny, czytelny, pociéralny, namaszczałny, wybieralny, dotykálny, krzykliwy, płacźliwy, jắkliwy, piskliwy, chrąpliwy, wrzaskliwy, gadatliwy, fukliwy, tkliwy, życzliwy, pogardliwy, popędliwy, żarliwy, burzliwy, cierpliwy, uszczypliwy, łękliwy, mściwy, kryjomy, znikomy, widomy, znajomy, rodzimy, twórczy, śledczy, badawczy, zachowawczy, pojednawczy i t. d.* Zaprawdę wyjątki liczniejsze będą od prawidła.

*Amabilis* na zasadzie swego prawidła radzi autor przetłómaczyć przez *ukosźny*, na wzór *rozkosźny*.

Nie wdając się w porównywanie znaczeń wymienionych łacińskich przymiotników z naszymi, bo by to zadaleko nas zaprowadziło, powiemy tylko, że autor zgrzeszył przez połączenie pod jednym prawem wszystkich tych końcówek, które każdy prawie pierwiastek w większej części pojedynczo przybierać może, bo każda inne nadaje znaczenie. Każdy czuje różnicę między *jadalny* i (z)*jadliwy*, między *czynny* i *czuwalny*, *chwytny*, *chwytałny* i *chwytiliwy*, *kupny* (t. j. ten, który kupiono) i *kupowalny* (ten, który można kupić, którego istota nie sprzeciwia się temu) *widny*, *widzialny* i *widomy*, *twórczy*, (s)*twarzalny* i (cudo)*twórny*, *znajomy*, (rozpo)*znawalny*, *straszny* i *straszliwy* i t. d. Od *kochać* trzy takie przymiotniki się tworzą (roz)*kosźny*, *kochalny* i (roz)*kosźliwy*. Różnica znaczeń tych przymiotników jest tyle jasna i widoczna, że uwagi nad nią dla skrócenia, i tak już zaobszerniej rzeczy, pomijamy.

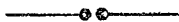
W końcu oceny podnieśby i nam wypadło sprawę, którą autor w *domówieniu* (str. 54) do swojej rozprawy podnosi. Idzie tu o powstanie języków. Autora szczególniej obraża myśl, że już po stworzeniu ludzi, i z ich łona, bez gwałtownego współdziałania zewnętrznego, języki wyszły, bo w pomieszaniu języków na wieży Babel, widzi nietylko poetyczną legendę, ale najczystsza i najświętsza prawda. Ale każda prawda, każda zdobycz ludzka w dziedzinie wiedzy, wyda się nam tak dziwaczną, jak autorowi myśl naturalistów o powstaniu języków. jeżeli do jej przyjęcia przystąpimy bez należytego przygotowania, jeżeli nie rozumiąc jej zechcemy sądzić o niej. Legendę o wieży Babel obalić najłatwiej, nie potrzebując do tego wielkiej rozumowania siły. Jak wszyscy ludzie od jednego człowieka, tak wszystkie języki od jednego języka pochodzą; im dawniejszą weźmiemy epokę, tym podobniejszemi się staną narzecza jednych szczepów językowych, na przykład języki słowiańskie. Był czas, kiedy Słowianie wszyscy jedną mówili mową, kiedy inne plemiona, dziś różnemi mówiące narzeczeniami, jednego także używały języka. Z rozrodzeniem się ludzi, rozrasta się mowa, bo z każdego języka tworzą się prowincjonalne narzecza. Im głębiej spójrzmy w starożytność, tym mniej znajdziemy języków, tym podobniejsze jedne do drugich, aż nakoniec dojdziemy do przekonania, że naonczas ziemia cała miała jeden język i jedną mowę (Gen. XI. I.), że ta jedna mowa z rozmnożeniem się ludzi i obraniem odległych siedlisk, wpływem klimatu i innych okoliczności, jak sposobu życia naprzy-

kład, musiała się rozwinąć na oddzielne narzecza. Gdyby wola boża pomieszała języki na wieży Babel, nie tak rozwijałyby się mowy, bo różnica między językiem polskim a ruskim naprzykład od onego czasoby datowała; czyż na to rozum pozwala?

Rozum zaprawdę przyjąć każe, że Bóg tworząc człowieka, nie stworzył pierwszego języka, tej matki mów ludzkich, nie wlał z wyrazami pojęć o czynnościach i rzeczach, jakich ów człowiek nie widział i przez całe swe życie nie miał widzieć, ani też bezdusznych, bo pozbawionych znaczenia dźwięków mu nie dał, na oznaczenie rzeczy, które z lat upływem miał poznać. Bóg rozmawiał z pierwszym człowiekiem nie ludzką mową, lecz językiem ducha, głosem sumienia: kto inaczej twierdzi, ten materyalnie pismo tłómaczy. Podług tegoż Pisma Sgo, człowiek pierwotnie był sam, po cóż mu mowa kiedy był sam? Mowa jest wpływem towarzystwa i począć się musiała pomiędzy pierwszą parą ludzi, i wyrażać najpierw uczucia. Miłość jest matką mowy, jak matką śpiewu słowika, mówią naturalisci; my dodajemy ze swojego mówniczego stanowiska patrząc, że rozum jest ojcem mowy. Mowa powstała pomiędzy ludźmi, i powstać mogła bez zewnętrznych przyczyn; bo Stwórca obdarzając człowieka organami głosu, w budowie ich i całego jego ciała umieścił prawa niezienne, z których płynie to, że na wydanie pewnych uczuć, pewnych wrażeń głos ludzki podobnie zawsze wydaje dźwięki. Porządny zbiorem takich dźwięków jest mowa ludzka, która, jako mowa istoty obdarzonej rozumem, od wyrażania uczuć przyjść musiała do oznaczenia nazw rozmaitych rzeczy, a wreszcie do nazwania oderwanych pojęć i czynności.

Tyle tylko o tej rzeczy uważamy za stosowne powiedzieć, prosząc o przebaczenie, że tym krótkim ustępem poważyliśmy się wyjść z granic swojej specjalności.

*Wł. Sabowski.*



## ROZMAITOŚCI.

### *Legenda o ucieczce Samuela Koreckiego z niewoli tureckiej.*

(Wyjątek z tomu XV Roczników kościelnych Baroniusza, dopełnionych przez Abrahama Bzowskiego, i z łacińskiego na język polski przełożony.)

Niktby się nie domyslił, że dochodząc źródła branego na świadectwo pewnych faktów z wieku XVIIgo, to, co miałby znaleźć w porządku chronologicznym pod r. 1617 lub 1618, napotka daleko wyżej opowiedziane, bo pod r. 1383, i to nie z powołania, ale jakby nawiasem, jakby zdarzenie pobożną wiarą jedynie wsparte. Tak gdybyśmy idąc za wskazówką Niesieckiego lub Siarczyńskiego, szukali potwierdzenia owych faktów w naszym Bzowskim pod epoką właściwą, odeszlibyśmy z niezaspokojoną ciekawością: traf ledwie naprowadza nas na wiadomość, gdyśmy może pragnęli pewnego światła co do zdarzeń pod rokiem 1383, albo latami blizkiemi. Taką systematycznością źródeł naszych w istocie więcej się zaciemniają, niż wyjaśniają dzieje. Gdyby przynajmniej bez względu na porządek w latach, można poledz bezpiecznie na opisach, jakoby z ust samegoż działacza czerpanych; ale i co do wiarogodności tych opisów, ujrzymy w zamieszczającym się tu niżej wyjątku z Roczników Bzowskiego wiele do powiedzenia. Nie śmiemy nawet owemu świadectwu historycznemu innego nadać tytułu jak pobożnej legendy, już że Bzowski z powodu fundacyi księży Paulinów w Częstochowie i przeniesienia obrazu Panny Maryi z Bełzu na Jasną Górę, wylicza cuda w tém miejscu od kilku wieków doznawane, a za 26 cud kładzie wyzwolenie księcia Samuela Koreckiego z niewoli Carogrodzkiej w r. 1618; już że wszystkie cechy wewnętrzne tego opisu, legendy tylko mogą nosić charakter. W zamknięciu więcej o tém świadectwie historycznym powiemy. Te-

raz przedewszystki<sup>em</sup> ów ustęp z Roczników dajemy w dostojnym przekładzie:

„Ze wszech miar na obszerniejsze zasługuje opowiadanie“ mówi Bzowski „co się w roku 1617 zdarzyło księciu Samuelowi Koreckiemu, potomkowi wielkich książąt litewskich na Rusi, z niewoli carogrodzkiej więc<sup>ej</sup> za pomocą Najświętszej Panny, do której progów w Lorecie i na Jasnej Górze się ofiarował, niżeli przemyś<sup>łem</sup> ludzkim w wigilię ś. Katarzyny męczenniczki, wyzwolonemu. Powód niewoli był następujący.

„Dwaj książęta, rzadkich przymiotów młodzieńce, synowie Jeremiasza Mohiły wojewody wołoskiego, tejże prowincyi prawni dziedzice, dwie rodzone siostry dwóm wslawionym bohaterom (1): księciu Michałowi Wiśniowieckiemu i księciu Samuelowi Koreckiemu, na towarzyszk<sup>ę</sup> życia w związek dozgonny oddali; to mając głównie na celu (jak wieść powszechna niesła), ażeby księztwo dziedziczne, przez Turków sobie wydarte, za wdaniem się krewnych, w sztuce marsowej biegłych, odzyskać. Nie omyliły ich t<sup>ę</sup>ż nadzieje. Książęta bowiem krwią i sposobem myślenia zbliżeni (choć mimo woli króla) spisawszy liczne wojsko, pomyślnie w mnogich bitwach z Turkami się zwarli, zamków i miast wiele na wrogu zdobyli, a w 21 spotkaniach więc<sup>ej</sup> jak 100,000 Turków i Tatarów (2) na placu położyli. Wkrótce pot<sup>em</sup> Wiśniowiecki morową gorączką (febre pestifera) dotknięty, z niezmiernym swoich i całej Wołoszczyzny żalem, życie zakończył, i dalszy ciąg wojny na barkach Koreckiego oparł. Ten przecie<sup>ż</sup> nie zrażony zgonem towarzysza, ruszył na nieprzyjaciela i tak dalece go przycisnął, iż w rozpaczającym położeniu poseł od Turków (c a u s z c a d u c e a t o r) do Koreckiego wyprawiony został, z obietnicą pozostawienia młodych książąt przy dziedzictwie, jeśli tylko on (Korecki) broń włoży do pochwy, a wojsko rozpuści. Nie do-

(1) Podług Bzowskiego, małżeństwo książąt naszych wołyńskich, należałoby datować po zgonie Jeremiasza Mohiły, zat<sup>em</sup> po r. 1608. Każąc jednak dwóm braciom stanować o wyborze dla sióstr swoich związków, zapomina o dwóch innych siostrach: o najstarszej zwłaszcza Marvi, za Stefanem Potockim będącej, o której wiedząc, osnowę textu swego musiałby zmienić. Lecz genealogii domu Mohiły nie znał oczywiście.

(2) Wolelibyśmy tu raczej imiona owych miast i zamków mieć wyszczególnione, jak owe hyperboliczne liczby trupów. cięciem pałasza położonych, w które uwierzyć trudno. Ale to była metoda liczenia, nie jednemu tylko Bzowskiemu w onym wieku właściwa. Nikt się t<sup>ę</sup>ż może z czytelników współczesnych nad temi hyperbolami nie zdumiewał. Byłoby echo leśne w skałach łamane; ale bez znaczenia. Gdyby był jednak Bzowski miał tę powieść od samegoż Koreckiego rzeczywiście, wskazałby nam przynajmniej drogę jego pochod<sup>u</sup>, na której owe zamki leżały, a przy których 21 bitew zwyciężkich stoczyć można było. Do poświadczenia przecie<sup>ż</sup> t<sup>ę</sup>ż liczby bitew, zdają się heraldycy nasi mianowicie wywoływać Bzowskiego.

trzymał jednak obietnicy Turek. Zaledwie bowiem (1) książę dozwolił rozejść się wojsku, w nieprzeliczoną cme, albowiem w sześćdziesiąt i więcej tysięcy Turków, Tatarów i zdrańczej Wołoszy, na rozbrojonego prawie uderzyli. Można jeszcze było do trzech tysięcy rachować tych, co przy Koreckim zostali. Szlachetny jednak i dzielny umysł w najtrudniejszych nawet razach rozpaczać nieumiejący, przeciw takiemu nawałowi dziczy stanął odważnie: owszem upomniawszy swą garstkę, by raczej śmierć ponieść, a niżeli wpaść w ręce nieprzyjaciela, dał hasło od bitwy. Walczono przez trzy dni całe z najpotężniejszym oporem, nie bez nadziei nawet zwycięstwa. I zwycięstwo to byłoby się przeważało niewątpliwie, gdyby wróg w tej chwili dział ciężkich nie sprowadził, które poczęły rwać tabor i okopy nasze. Gdy nie została w końcu żadna droga do ocalenia, Korecki, który dla niepoznaki wdział był na siebie odzież prostego żołnierza, pojmany został, a wspaniałością marsowej postaci zdradzony, zawiedzion do Carogrodu w tryumfie, i do najgłębszej turmy wrzucony. Za zbliżeniem się do stolicy, chcąc okazać prowadzonego w tryumfie tak znamienitego jeńca, włożono nań odzież dostatnią, na pysznego rumaka go wsadzono, a przydawszy dla przepychu znamiona książęce, jako wspaniałego jeźdźca (choćby niektórzy pieszo prowadzonego widzieć woleli), przywiedziono z uroczystą pompą przed krużganki pałacu sultańskiego, a całe miasto, baszowie i sam sułtan w oknach dających widok na zewnątrz, zbiegli się dla ujżenia nieulekłego bohatera, z dobrą myślą postępującego. Zapytywali go baszowie i inni dostojnicy dworu, z czyjego umysłu zbrojny wtargnął do Wołoszczyzny: czy z polecenia senatu królewskiego wojnę wydał Turkom; ile i jakich żołnierzy w swoich szeregach przed walką liczył; co mu obiecywano, gdyby pomysłny skutek był jego zamiary uwieńczył? Na te wszystkie pytania odpowiadając z twarzą nieustraszoną, wspomniawszy swe pokrewieństwo, w którego obronie stanął, zaprzeczył wiadomości króla i senatu polskiego o przedsięwzięciu swoim, owszem rzekł śmiało, iż bez rozkazu, bez rady i przyzwolenia niczyjego do Wołoszczyzny wkroczył. Na to cała prawie starszyzna turecka okrzyknęła, pochlebnych przytém nieszczędząc wyrazów, aby się wyrzekł wiary katolickiej (2). Ale gdy nadto

(1) Skrócenie wojny do tak małego obrebu czasu, jest może największym niedostatkiem w opowiadaniu kronikarza naszego. Tyle innych świadectw, i zresztą samo podobieństwo do prawdy, walczy przeciw temu. Lecz znajdują się po nim pisarze, którzy w ciasniejszych jeszcze ramach zawrą ten obraz.

(2) Najważniejszy może interes co do osoby Koreckiego ginie w tém opowiadaniu kronikarskiem, to jest zmiana wyznania, jako skutek rozmyślań samotnych w turmie, może wspomnienie naprzykład nawrócenia brata swego Jana Karola w więzieniu sztokolmskiem, albo skutek wpły-

poczęli obiecywać bogactwa, zaszczyty oraz godności, tak dla niego, jak dla następców jego: odparł z oburzeniem, iż woli zginać, niżeli Bogu i ojczyźnie się przენiewierzyć. Dodał owszem, iż dziwno mu słyszeć podobne namowy z ust dygnitarzy, tak wysoko u swego pana postawionych, którzy nawzajem, gdyby ich los podobny spotkał, ani by wyrzec sobie nie dozwolili rady, wyrzeczenia się przesądu swego. Odmawiającego przyjęcia wiary Mahometa, cesarz turecki, lubo nie mógł utaić podziwu stałości, odprowadzić kazał do zamku, o szóstą staję (szósty kamień) od Carogrodu nad Bosforem położonego, i wtrącić do więzienia, które tak dalece posłedniem zwać się nie mogło, gdzie polecił go zakuć w pęta żelazne, 60 funtów ważące. Nakazując przez swego przystawę czuwanie nad bezpieczeństwem jego życia, miał nadzieję Turek złamania go wreszcie długotrwałością czasu i niewoli, i nakłonienia do islamizmu. Od niczego dalszym nie mógł być Korecki, lecz dla utwierdzenia w tej swój przygodzie umysłu, prosił o dozwolenie sobie godzinek do Matki Boskiej, różańca i obrazu Bogarodzicy, oprócz ksiąg innych pobożności chrześcijańskiej, czego mu nie odmówiono, i dziennymi oraz nocnymi modłami myśl swoję rozrywał, a z najmocniejszą ufnością w pomoc owęj Matki Boga, ślubował pielgrzymkę do Loretu i Jasnej Góry, miejsc poświęconych Orędownicze i Oswobodzicielce więźniów, jeśli go uchowa od niebezpieczeństwa duszy i ciała. Wysłuchała go ta Pani, niezwykłą mocą krzepiac jego serce, ażeby albo nie upadł, albo się rodu swego nie zaparł, Natchnęła postanowieniem szukania rad i obmyślania środków, na rozbrojenie zajadłości barbarzyńskiej, zaczęm z pęt nie wyjdzie. Radą było, owe dziwnęj grubości kraty żelazne, troistym rzędem w oknach ustawione, przelamać i z wierzchołka wieży się spuścić. Pomoc miał mieć od pewnego Francuza (1), od dziewięciu już lat w niewoli zostającego, któremu Turek, względ mając na znamienitość więźnia, pełnić przy nim posługi dozwolił. Dopomogły pieniądze, których dostarczył za wiedzą

wów katolickich duchownych, którzy z nim między kratami więzienia mogli mieć styczność. Bzowski posuwa zapomnienie swe dalej, jak z następnego ciągu i żądań ksiąg do nabożeństwa widzimy. Wszystko to złane dziwnym sposobem w całość, podobnie jak tyleż innych szczegółów, jednostajnym kolorytem powleczonych. A przecieżyby z tego, chociażby dla wiadomości dawniejszych i późniejszych polemików się okazało, że nie było *ostatni z Koreckich*, ów brat Samuela, Jan Karol, (jak ktoś dzisiaj jeszcze twierdzi), który przyjmował za panowania Zygmunta III wiarę katolicką.

(1) Proszę uważać, iż Francuz z Grekiem u naszego opowiadacza nieraz się w czynności mieszają. Jestto rzeczywiście niedbałość pisarska i nie objęcie ogółu w postępie, przed wzięciem pióra do ręki. Ale to są rzeczy łatwiejsze do dostrzeżenia: oby w główniejszych zarysach nie ściażał tego zarzutu na siebie!



Turków jakiś Francuz od żony jego z Polski przysłany (1). Dopomógł także przezacny Adam Hieronim Sieniawski, podczaszy wielki koronny, który ulitowawszy się niedoli w jakiej ów mąż zostawał, wysłał ze dworu swego pewnego Greka, świadomego dobrze mowy, obyczajów i miejscowości tureckiej, opatrzonego w narzędzia i przedmioty niezbędne, do Carogrodu, dla jego wyzwolenia. Ten Grek ująwszy sobie stróżów pieniędzmi i będąc do Koreckiego dopuszczony, podał mu list, i winem na wierzchu nalaną, z dnem dwoistém flaszę (wewnątrz której znajdował się ukryty sznur długi, jakiego do spuszczenia się z wieży było potrzeba i kilka pilników zwanych głuchemi); o godzinę téż nocną z Koreckim się umówił, w której miał pracować u ścian téj wieży, a naradzać się względem środków dalszych. Więc szło podług umowy: co było potrzebne do przepiłowania prętów żelaznych i zakrywania poczętych, ów pomocnik dostarczał, na sznurku spuszczonym zawieszał listy od swoich nadsyłane, pocieszał i wyzwolenie niedługo nastąpić mające obiecywał. Wszystko to Grek czynił, choć niegreckiej wiary. Korecki zażądał mieć gęślę, chcąc nią już nie tak umysł zabawiać i zabijać czas długi, jak łoskot zagłuszać, jaki z tarcia krat pilnikiem mógł się rozchodzić. Dostawszy ją, zwykle u drzwi więzienia przygrywał. wówczas gdy Francuz (?) kraty piłował. Praca ta nietylko w nocy, ale częstokroć i we dnie się odbywała, a dla zakrycia tego, co się zrobiło, brał okruh chleba z kurzem zmieszany, rdzę cudnie nasladujący, i nim przecięte miejsca zalepiał. Co piątek z kolei, dozorca więzienia, z początku zwłaszcza nieomylnie, później ze ścisłością już mniejszą, wszystkie skrytości więzienia oglądał: podczas tego przeglądu książkę starał się go rozmową zabawiać: jakoż ani mu na myśl przyjsć mogło, ażeby wewnątrz flaszy co innego prócz wina znajdować się miało, nie dopieroż pomocnicze do oswobodzenia narzędzia. Było gąsior szklany, żywicą na wierzchu powleczony, w środku którego inny się znajdował, napęczniony winem, trudny do rozpoznania. Wino zwykle Turcy przed podaniem księciu odlęwali, niedomyślając się, ażeby między dwoma gąsiorami stycznymi ukrywało się co innego; zwłaszcza, iż Korecki na to się oburzał, że sprośnemi i nieczystymi rękami plondrowali po naczyniu, z którego miał pić wino, pozorem tym gniewu odwracając ich bacność od ważniejszego przedmiotu w ukryciu. Miękczełi przeto siepące i w następnych razach mniej ciekawie przeglądali; wiedząc

(1) Miałby o tém powiadać mu Korecki? Przecież spółcześni (jak Maszkiewicz, Gorczyn i t. p.) mówią co innego, a w najnowszym czasie odkryte listy księżny matki Samuela, najdowodniej walczą przeciwko temu twierdzeniu, jak o tém mieliśmy już powód mówienia na inném miejscu.

o tém już z góry, że baszowie dozwolili Koreckiemu, choćby trupem położyć, wyrządzającego krzywdę sobie. Ułatwiała téż Koreckiemu pokonanie barbarzyńców już ta swoboda, jaką się odznaczał zawsze w postępowaniu, już ponawiane z nimi społem bankietowanie, co oboje ich wstrzymywało od ściślejszego zbadania wewnątrz dwoistój flaszy. Ten, który był ujęty datkiem pieniężnym, odwodził drugich, a nadzieję pomysłnego skutku czynił. Korecki prócz tego wziął się na sposób, iż w dniu przeglądu więzienia u krawędzi okna siadał, a nikt się nie ważył z miejsca go poruszać, wstrzymywany powagą męża majestatem.

„Po przepiłowaniu troistój kraty, powleczonej miękiszem chleba zakurzonym dla utajenia, gdy już zamysłał dzieło swe kończyć, a byłoto w wigilią św. Katarzyny męczenniczki, przyrzadził sobie ów sznur zdolny pod ciężarem ciała nie prysnąć, a rozmyślnie jął obficie niż zwykle stróżów swych częstować; co tak do późnej nocy na wesołym bankietowaniu potrwało, dopóki snem i opilnością znużeni, wszyscy nie ustąpili. Nie dowierzał jednak, i chcąc po chwili doświadczyć czyli spią rzeczywistoście, zaczął wołać o podanie wody: tę podał mu przezedrzwi Turek z widoczną niecierpliwością: a inny, jakoby mu dobrej nocy chciał życzyć, wszedł nagle i tém go przeraził. Pozbył się go jednak wkrótce, rzucając się na łożo, i udając snem mocnym zdjętego. Był jeszcze na przeszkodzie we drzwiach otwór, przez który stróże w progu będący, co chwila zamiar ucieczki dostrzedz byli zdolni. Dla jego zastłonięcia, Korecki następnego użył sposobu. O zwyczajnej prawie godzinie nocnej właził przez ten otwór do ciemnicy kot, znęcany resztkami jadła, które Korecki z umysłu dla niego porzucał. I téj nocy właził podobnie, ale nie znalazł jadła; począł więc miauczyć coraz przeraźliwiej, dopóki śpiących u drzwi nie pobudził; odpędzany, właził na nowo, i snem znużonych stróżów tak wreszcie zniecierpliwil, iż ze wściekłością precz go wyrzucili. Korecki w czasie téj wrzawy jął także niemilosiernie przeklinać. więc zaradzając stanowczo, otwór ów we drzwiach szmatami zatkali, ażeby i Korecki, i oni następnie mogli snu użyć. O północy, gdy już słychać było chrapanie uspiionych, więzień nasz powstawszy z łoża padł na kolana, Bogu, Maryi w Lorecie, oraz na Jasnej Górze cudami słynącej, wszystkim także świętym patronom. życie i całość swą na nowo polecił, a nawiedzić progi świątyni książęcia Apostołów ślubował: poczem ufnością zagrzany, obwinawszy wprzód pęta swe szatą, ażeby brzęku nie wydawały, kraty żelazne rozerwał, sznur przysposobiony do szczątku kraty w murze uwiązał, i po nim szczęśliwie na dół się spuścił. Francuz podobnymże wyszedł sposobem, przy pomocy owego Greka i jednego z Turków, stu czerwonymi złotemi przekupionego, którzy

u góry sznur przytrzymywali. Nader sprzyjająca była noc do wyjścia i ucieczki: albowiem wichur i deszcz ulewny, oraz grzmoty i pioruny z niezwykłym łoskotem się ponawiające (6), tak dalece dokoła wszystko wstrząsały, iż w tym huku ogólnym niepodobna było, ażeby jakikolwiek łoskot inny był dosłyszany. Nastąpiła potem taka nawalność deszczowa, iż na krok prawie nic przed sobą dojrzyć nie można było. Z burzy téj i ciemności korzystając, mógł być pewny, iż przez nikogo spotkany nie będzie. Napotkał jednak Turka jednego pędzącego konno; więc z drogi do rowu głębokiego, napełnionego wodą skoczył, i w nim się ukrył, dopóki go po niejakiem czasie, Grek, który umiał natrętnego jeźdźca pozbyć się sztucznie, z tego niebezpieczeństwa nie wy dobył. Większej doznali trwogi od psów i pasterzy, trzody samego wielkiego Turka strzegących. Mało brakowało, ażeby od psów owych nie byli poszarpani, lub rozpoznani od stróżów trzody i na nowo pojmani. Pasterzy złagodzano datkami pieniężnymi, od psów uratowała pomoc Maryi Panny, która go razem z towarzyszami na miejsce bezpieczne wprowadziła; schronili się bowiem do pewnej lepianki ziemnej, pod miastem leżącej, którą już przedtém Greczyn przezorny upatrzył. Korcecki za ledwie do niej w kajdanach dowlec się zdołał, uchodzić jednak znowu dalej był zmuszony, jak tylko na niebie brzask pierwszy jutrzeński świtać począł. Greczyn z miejscowością obeznany, wskazał mu drogę do pewnej winnicy: tam w dole go ukrył, osłoniwszy to schronienie żerdziami i odłamkami desek, jakie mógł wynaleźć: sam na chwilę udać się musiał do miasta. Lecz i to schronienie znów pewne nie było, z porankiem bowiem rozwidniającym się, gospodarz téj winnicy począł się po niej przechadzać, a z miejsca na miejsce postępując, do dołu onego się zbliżył; co gdy dostrzegł przez szpary swego zakrycia, książę już prawie struchlał. W tém przeto niebezpieczeństwie, raz jeszcze gorąco westchnął do nieba, i opieka Maryi zrządziła, że człek ten mimo przechodząc nie nie dojrzał.

Podówczas gdy się to dzieje, wieść nagła gruchnęła po mieście, iż książę z więzienia uciekł. Powstał rozruch wielki, i jak najsurowsze po wszystkich miejscach trzęsienie. Niektórzy z dworzan poselstwa francuzkiego, przez których ów Francuz niewolnik pieniądze dla księcia swego otrzymywał, podejrzani prócz tego, iż jeden z nich także razem uszedł z księciem, pojmani zostali i do więzienia wtrąceni. Wszystkich posłów, wyjąwszy jednego weneckiego, domy strażami zostały otoczone i przetrzęsione. Przejrzano wszystkie domostwa, miejsca

(1) Gromadząc do nadzwyczajności i to zjawisko natury około d. 25 listopada, zapomina o nióm Bzowski po chwili, i w obrębie jedykuły je zostawia. Później cichość.

uczęszczane, najskrytsze zakamarki, nie pomijając okrętów, czółen, świątyń, klasztorów, ba! grobów nawet bardzo wielu. Po wszystkich drogach czaty stanęły. Obsadzono porty morskie, szpiegowie na rozmaite strony rozesłani; wyznaczona nagroda sto tysięcy dukatów temu, co go odkryje! Wszelkich nakoniec, jakie są w mocy ludzkiej sposobów szukano: wszystko nadaremnie. Albowiem Marya Orędowniczka w opiece go miała i chroniła, dopóki wieczorem nie nadszedł do niego Greczyn. Posiliwszy go przyniesioném jadłem, korzystał z ciemności nocy i znowu go do owej znajomej chatki zaprowadził. Ztąd się udać mieli na schadzkę umówioną z przełożonym pewnego klasztoru, który przysięgą do zachowania najgłębszej tajemnicy obowiązany został. Przez tego miał być wynaleziony kowal chrześcianin, i do zdjęcia lub przepiłowania kajdan wezwany. Jakoż książę i towarzysz jego ucieczki Francuz, nie wprzód do owego przełożonego byli przeprowadzeni, aż obaj oni, pieczęcią sekretu związani, stanęli przed ołtarzem, a w obec Chrystusa ukrzyżowanego, przysięgą na dochowanie tajemnicy stwierdzili. Wtenczas też dopiero Grek umówione pieniądze im obu wyliczył. Dzień prawie cały upłynął, zaczęł kowal pęta na nogach książęcych przepiłować zdołał; przez ten przeciąg czasu przełożony stał ciągle na warcie u furty klasztornej, i czuwał nad odwróceniem niebezpieczeństwa, jakieby zająć mogło. Potem jeszcze przez dni kilka książę przebył w klasztorze, nim zmienił kryjówkę, a z nią twarz i odzienie z kolei: narreszcie się odważył po tylu niezmiernych obawach i trudach, do Carogrodu się udać. W nim strawił dni 40 całych (1) na obejrzeniu miejsc rozmaitych: dopiero wysławszy na zwiady przed sobą ludzi pewnych, puścił się w drogę. Krążąc po szlakach ubocznych i wracając nieraz, gdy niebezpieczeństwo zagrażać się zdawało: dostał się na górę świętą zwaną Athos (2), a tam dziwne mnóstwo zakonników spotkał. Wiele niebezpieczeństw miał jeszcze do przebycia, nim w Raguzie stanął. Z tego mia-

(1) Nie naznacza Bzowski celu tego powrotu i narażania się Koreckiego przez dni 40. Albo o tém, o czém inne świadectwa mówią, nie wiedział, albo wziął sobie za zasadę wygodną, i podobnego jemu widzenia pisarzom właściwą, *certe si quod nescias, fingas*. Przecież chociażby rodzinę Mohiłów zturzonych winien był odwiedzić.

(2) Prowadząc widocznie naszego zbiegą brzegami morza Marmora, ku którym od Złotego Bogu się udał, gdyby też choć parę wyrazów był powiedział dla objaśnienia, iż od tylu wieków sławna ta góra w dziejach chrześcianstwa na Wschodzie, przez swych mieszkańców mogła mieć związek z ocaleniem chrześciańskiego tułacza. Góra Atońska przez Słowian zwana, od trzech stron przegładając się w wodach Archipelagu greckiego, od północo-zachodu dotykała lądu Macedonii. Przewód jej na długość do 80 wiorst rosyjskich rachują, na szerokość do 20. Znana była ludom północy już od czasów Olgi, a przynajmniej Jarosława. A co do mnóstwa w niej cel pustynnych i jaskiń, w tych rachowano niekiedy do 50,000 zakonników. Cóż tam porabiał Korecki?

sta wypłynąwszy do Sycylii, w roli kupca, omal w ręce tureckiego rozbójnika morskiego nie wpadł, który na tém morzu się ukazawszy, takim przeraził strachem dowódcę okrętu, że już zamysłać począł o podaniu: ale opieką Maryi, Korecki ocalony został. Gdy bowiem dowódzca ów zaskoczony nagle przez Turka, upadł na duchu, Korecki, to co mu przedtém utaił będąc przez niego pytany, wyznał mu w chwili jego zatrwożenia i oświadczył, że ów więzień, o którym mu wprzód dla dodania otuchy mówił, jakoby z takim loskotem szukany, odkryty i na nowo do więzienia zawleczony został, z łaski Bożej ocalał. Tym więźniem jest on sam, więc niechaj odwagi nie traci, wszystkim jej owszem doda. Korecki ducha tego mężstwa i w całej załodze obudził, działa umiejętnie skierował, broń ręczną pomiędzy wszystkich rozdał: i ci, którzy przed chwilą mieli się za straconych, pod takim przewódcą okrzyknęli jednozgodnie, że wolą umrzeć, niżeli się poddać. Więc uszykowszy towarzyszków swoich do boju, okręt naprzeciw Turkom skierować rozkazał. Ozwały się działa: loskotem ich albo raczej postrachem na siebie z niebios rzuconym, przerażony rozbójnik, wręcz się nawrócił z swym statkiem, i wkrótce na widokręgu zniknął. Od tak oczywistego niebezpieczeństwa ocalony, stanął na brzegach Sycylii, zkąd do Naapolu, później do Rzymu w d. 18 maja 1618 r. przybył: gdzie u pomnika św. apostołów z rąk moich komuniją św. przyjąwszy, i od Ojca św. Pawła V słowy życzliwości i błogosławieństwa odprawiony, po spełnieniu ślubów, jakie Bogu uczynił, pełen sił, zdrowia i czerstwości, naprzód się udał z podziękowaniem do Loretańskiej Panny Maryi, następnie do Polski wrócił. To opowiadanie mam z ust wysoko urodzonego i przezacnego księcia samego.“

Czegożby więcj zdaje się do pewności tego opowiadania potrzeba? Główny działacz był znany z osoby historykowi, i to, co opisuje nam jego powieść, winno być niewątpliwe, jako swobodnie, ze świeżych wrażeń i z żywej pamięci zebrane. Ale co krok, jak widzieliśmy w przytoczonej legiendzie, niezgodność jakaś i sprzeczność widoczna. Duchowny nasz pisarz miał jeszcze obecny przykład, co z podobnych założeń otrzymywała literatura, pod piórem takiego Piotra Skargi albo podobnej jemu znamienitości historycznej. Skarga z kazalnicy opowiadał tryumfalnie o czynach naszych bohaterów multanckich; o wielkim Zamojskim i innych. Bzowski może rozważał, iż chociaż niepospolite czyny ma do opowiedzenia, bohater jego nie co do wszystkich okoliczności, w takim rzesistém świetle publiczném winien być okazywany. Więc oblókł cieniem rozliczne przejścia w jego dziejach i sprawach. Zakrótki jest

rzeczywiście i niedokładny w miejscach, na którebyśmy najwięcej zwracali uwagi: obszerniejszy jest, niekiedy zbyt obszerny, w szczegółach jedynie do swego własnego założenia, to jest cudu spełnionego, przydatnych więcej. Nie jest to pod żadnym względem rzecz ściśle historyczna i według zwyczajnego biegu rzeczy ludzkich widziana. Pole dla imaginacji przestronne: następuje i zapiska, więcej dla powieścio-pisarza na tle zmyśleń zamierzona, niżeli dla badacza, któremu jedynie rzeczywistości potrzeba. Temu to jednak źródłu winniśmy mianowicie szczegóły o usiłowaniach przyjaźni Sieniawskiego, o sztucznym gąsiorze, o pojeniu stróżów i t. p. powtarzane już odtąd za rzecz autentyczną, bądź przez heraldyków, bądź przez szperaczy innych. Nam szło tu głównie, w przepolszczeniu zawieruszonej pod r. 1383 legendy, o pokazanie, jak mało nam przeszłość ułatwiła rzeczywistość. przechowując nawet opisy świadków obecnych: sądziliśmy bowiem, iż równoczesność wiele mówi na stronę pisarza, ale nie każdy pisarz równoczesny jest już najpewniejszym źródłem.

Pisałem w Skempem,  
d. 6 października 1855 r.

*Zygmunt Komarnicki.*

---

## KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

---

1855.

46. Baka odrodzony. Uwagi o śmierci niechybnej wszystkim pospolitej, wierszem wyrażone przez ks. Bakę, S. J. profesora poetyki. Najprzód: Sumptem Imci pana Xawerego Stefaniego, obywatela miasta Wilna, do druku na użytek duchowny podane r. 1776; powtóre: nakładem amatorów z przedmowami Rajmunda Korsaka i Leona Borowskiego na nowo przedrukowane r. 1806; po trzecie: w Warszawie przez niewiadomego amatora w r. 1828 ponowione; teraz z obojga temi przedmowami, życiorysem ks. Baki i zdaniem o ks. Bace J. I. Kraszewskiego po raz czwarty ogłosił, własną przedmowę dodał i nowo odszukanemi w rękopiśmie rytymami ks. Baki, uzupełnił Władysław Syrokomla. 12-ka. Wilno. 1855. Nakład Maurycego Orgelbranda, (druk S. Orgelbranda w Warszawie). Kart VI, str. 199. (Z ryciną). Rsr. 1 kop. 20.

47. Margier. Poemat z dziejów Litwy, przez Władysława Syrokomlę. 8-ka. Wilno. 1855. Nakładem Rubena Rafałowicza (druk Breitkopfa i Haertla w Lipsku). Napisów i przedmowy str. VIII i 136. Rsr. 2 kop. 25.

48. O przeznaczeniu dziewicy jako kochanki i narzeczonej, oraz zasady przyzwoitego ułożenia, uprzejmości i godności, które dziewica w zakresie domowym, w obcowaniu z przyjaciółkami i w towarzystwie młodzieży zachować powinna. Przez Matyldę R. 12-ka. Warszawa. 1855. Nakładem Bernstejna (druk J. Jaworskiego). Napisów kart 3, rejestru str. II i 204. Kop. 75.

49. Słownik niemiecko-polski ułożony podług najlepszych i najnowszych źródeł przez Henryka Liebkina. 16-ka. Warszawa. 1855. (Nakład autora), druk J. Jaworskiego. Str. X i 1530 podwójnie liczonych. Kop. 75.

50. Wnuczęta. Powieść współczesna, przez Zygmunta Kaczkowskiego. 16-ka. 4 tomy. Petersburg i Mohylew. 1855. Nakład B. M. Wolffa, (druk Korolewa i komp.). Tom I, str. 260. II, 321. III, 280. IV, 271. Rsr. 5.

51. Wyrabianie spirytusu z buraków jako najpewniejszy środek produkowania tanio mięsa, a zarazem znacznego powiększenia zbioru zboża. Rzec zebrała z najnowszych doświadczeń za granicą i w kraju naszym w tej fabrykacji poczynionych, przez Jana Nepomucena Kurowskiego. Z dwiema tablicami rycin. 8-ka. Warszawa. 1855. Nakład autora (druk Ungra). Kart 2 str. XIV i 215. Rejestru kart 2. Rsr. 2.



## *Doniesienia literackie.*

### WARSZAWA.

Professor prawa przy serbskiem liceum w Belgradzie, Mikołaj Krestye, ogłosił prospekt na przekład dzieła W. A. Maciejowskiego: „Historia prawodawstw słowiańskich“, na język serbski.

— Nakładem S. Orgelbranda i w tegoż typografii, kończy się tom IX Historji powszechnj C. Kantu.

— Dr. Teodor Tripplin wykończył obecnie dzieło obszerne we 2 sporych tomach p. n.: „Hygiena polska.“ Przedmiot ten, który naszemu autorowi zabrał sześć lat pracy, przez wykład popularny i zajmujący, obchodzić będzie cały ogół czytelników. Ma wyjść nakładem B. M. Wolffa w Petersburgu.

— J. I. Kraszewski przygotował dla naszego pisma powieść p. n.: „Jermoła“ obrazki wiejskie. Powieść tę wkrótce ogłosimy. W pisany liście o swych pracach do K. Wł. W. między innymi wyraża: Ja zawsze myślę o historii Zygmunta Augusta, układam Ikonothekę moję, a w wolnych chwilach powieściuję.

— Włodzimierz Plater, o którego „Ikonotece polskiej“ jużśmy donieśli, zbogaca ją coraz nowemi zdobyczami. Do takowych policzyć należy: Pamiętnik z wyprawy pskowskiej, z górą 300 arkuszy obejmujący; księga listów łacińskich z czasów ostatnich Jagiellończyków, własność niegdyś księgozbioru króla Stanisława Augusta; obszerny zbiór listów Wydźgi; korespondencye hetmana Zamojskiego z wojewodą wendeńskim Korffem i wiele innych.

— Gazety nasze już ogłosiły dalsze wychodzenie swoje na r. 1856. Gazeta Warszawska za stałych swoich współpracowników podaje: J. I. Kraszewskiego, Józefa Korzeniowskiego, Zygmunta Kaczkowskiego, Władysława Syrokomlę, Antoniego Nowosielskiego, Antoniego Pietkiewicza (Pługa) i Tadeusza Padalicę (Zenona Fisch).

Gazeta Codzienna w części belletrystycznej, tegoż Z. Kaczkowskiego, Dra T. Tripplina, Sewerynę Pruszkową, Ad. Pługa (A. Pietkiewicza) i Włodzimierza Wolskiego; w części krytycznej: Henryka Lewestama i Józefa Sikorskiego. Gazeta Rolnicza jak i dawniej będzie wychodzić pod główną redakcją J. K. Gregorowicza.

Dziennik Warszawski nie wymienił żadnego współpracownika; redaktor Julian Bartoszewicz w ogłoszeniu swoim pisze: „Ważne są dla zmiany co do samego redagowania. Dzisiaj, kiedy przebywszy pierwsze trudności nowego pisma, możemy prace nasze szczerze poświęcić literaturze: zaczniemy od Nowego Roku okres nowy dla Dziennika, i spodziewamy się tego niepłonne, okres dla pisma naszego najświetniejszy. Roz-

pisaliśmy listy do wszystkich celniejszych autorów, żeby nam chętną pomoc literacką nieśli, a co rzecz główna, pomyśleliśmy o zaprowadzeniu stałej peryodycznej korespondencji Warszawy z prowincją. Redakcja, której dobrym chęciom zasoby materialne przysły w pomoc, przyjmie na siebie wyłącznie wszelką odpowiedzialność za wartość pisma, które postara się jak najpiękniej, jak najpożyteczniej dla ogółu rozwinąć."

Kuryer Warszawski swój zwykły format i treść zachowuje.

— Jużśmy otrzymali cztery zeszyty „Biblioteki polskiej“, która w Sanoku (w Galicyi) nakładem księgarza Karola Pollaka, pod redakcją K. J. Turowskiego wychodzi. Zeszyty te obejmują przedruk: Maryi Malczeskiego, Barbary Radziwiłłówny, tragedyi Felińskiego, i Żywot Jana Tarnowskiego W. H. K. Przy Maryi redaktor umieścił zyciorys Malczeskiego, czerpiąc głównie z błędnej biografii, która była ogłoszona przy przedruku lwowskim. Żałować trzeba, że wydawca nie korzystał z nowych a autentycznych źródeł, ze skreślonego zyciorysu tego poety w Cmentarzu powązkowskim, a który był poprzednio ogłoszony w naszym piśmie: po cóż stare błędy i niedokładne, fałszywe nawet wieści powtarzać? Musimy wszakże wspomnieć, że list hr. Załuskiego podany tu w całości, daje nam kilka szczegółów nowych, a przy nich zarazem błędne podania. Dziś już zyciorys Malczeskiego może być z całą prawdą skreślony. Biblioteka polska ma obejmować 1000 zeszytów: czy dojdzie do tej liczby, zobaczymy. Myśl to dobra i użyteczna, upowszechnienia najpiękniejszych utworów literatury naszej w taniem wydaniu, i zrobienia przystępnymi; co tém więcej zasługuje na poparcie, bacząc na niesłychanie drogą cenę książek polskich.

— Młody a pełen talentu i poświęcenia dla sztuki rzeźbiarz Święcki, którego dłuta grobowiec dla Józefa Elsnera już zdobi cmentarz Powązkowski, wykończy obecnie na wystawę krakowską postać naszego lirnika. W pracowni tego rzeźbiarza oglądaliśmy wyrobione z gliny dwie postaci, na łokieć wysokości, przedstawiające ową sławą w dziejach naszych chwilę, gdy Kącki generał artyleryi, porywa lont zatłony, który rzucił w uniesieniu fanatycznem basza, na beczkę prochu, przy oddawaniu Kamieńca Podolskiego, i trzyma spokojnie w rękę, ażeby do ostatka się wytlił. Oblicze Turka, równie jak Kąckiego, wiele mówią. Widzieliśmy prócz tego w całej postaci (wysokość mało co więcej nad łokieć) dwie figury przedstawiające literata młodszej generacyi, autora „Ojca Hilarego“ i młodego malarza, którego imię nabrało rozgłosu obrazem: „Pogrzeb kmiotka“. I postaci i oblicza są wielce trafione.

— P. Dazziaro właściciel nowego składu rycin w Warszawie, zamierza wydawać pismo zeszytowe z ilustracyami, ale nie drzeworytami, tylko litografiami. Mają być tu portrety wszystkich więcéj u nas znanych, czyto w literaturze, czy w sztukach, czy w teatrach naszych, wraz ze stosownym tekstem, przytém widokami miejscowemi, nie przypominając zarazem o znakomitościach zagranicznych. Text ma być wyłącznie francuzki.

— Nakładem tegoż p. Dazziaro wyszły u Lemerciera w Paryżu kostiumy włóścian naszych, podług rysunku naszego artysty Gersona. Dwaście tablic przedstawia stroje Krakowiaków, Lublinianów, Kaliszan, Podlasiaków, Mazurów i Litwinów. Żałować trzeba, że kostiumy te nie wykonano w kraju, mając odpowiedni zakład M. Fajansa; bo nietylko Francuzi po swojemu jak zwyczajnie odstępując od oryginału, nie oddali fizynomii właściwych, ale w podpisach grube popełniono myłki. Tak zamiast Galicyanie, powinno być Kaliszanie; zamiast Krakowiaczy, Lublinianie; zamiast Lublinianie, Krakowiaczy. Wydanie piękne.

— Kiedy coraz nowe prace już się zjawiają, już są zapowiedziane: p. M. Fajans, wydawszy VIII poszyt „Wizerunków polskich“, pomimo ogłoszenia, że co miesiąc dalsze zeszyty wydawać będzie, ani jednego nie wydał. Przypominamy dane przyrzeczenie publiczności, które tém skwapliwiej powinno być dotrzymane, gdy wielu prenumeratorów złożyło już dawno przedpłatę na zbiór cały, mający się składać z 15 zeszytów.



— Zeszyt 3-ci dzieła: „Kościoły warszawskie rzymsko-katolickie” nakładem i z drzeworytami Michała Starkmana, a textem Juliana Bartoszewicza, wyszedł z druku i zawiera: Kościół św. Anny księży Bernardynów, i Wniebowzięcia N. Panny Maryi. księży Karmelitów bosych. Drzeworyty o wiele są staranniejsze od poprzednich i rysunek kościołów jest lepszy.

— Julian Bartoszewicz przełożył wierszem miarowym dramat Oehlschlegera „Hagbart i Sygna”. Pracę tę, niepoślednich zalet, ogłosimy w piśmie naszym.

— Władysław Syrokomla ukończył część 2-gą „Chatki w lesie” działalności dramatycznego, jak sam nazwał ten utwór. Wkrótce ma być on ogłoszony w Wilnie.

— Wiadomo, że autor „Rysu historii i statystyki Warszawy”, któryśmy ogłosili dawniej w piśmie naszym, pracował ciągle i zbierał materiały, ażeby odpowiednio przedmiotowi wykończyć i udokładnić historią Warszawy. Jakoż w ciągu lat kilkunastu ogromne zasoby zgromadził, i to rzeczy nieznanych, bo ukrytych w rękopismach i w rozmaitych archiwach. Przed nim jeszcze znany i szanowany powszechnie kapłan zgromadzenia księży Pijarów, wymowny kaznodzieja i mąż znany chlubnie w literaturze naszej, na wiele lat wprzód zebrał i ułożył dzieło „Pamiętki historyczne Warszawy”. Wyjątki z tej szacownej pracy mieliśmy po wielokroć ogłaszane drukiem. Obecnie dotknięty ciężką niemocą, rękopism swój powierzył i oddał autorowi „Rysu historii Warszawy”, ażeby go wcielił do swojej pracy. Rzadki to, szlachetny a piękny przykład w dziejach literatury naszej. Spodziewamy się więc, że gdy tym nabytkiem powiększone zostały zbiory pierwszego badacza, wkrótce będziemy się cieszyć mogli dokładną historią starego Mazowsza grodu. Praca ta, o ile nam wiadomo, będzie się składać z 3 lub 4 dużych tomów, w których autor rozwinie obszernie cały skarbiec zebranych zasobów, gdzie wcielonym zostanie i rękopism: „Pamiętek historycznych Warszawy”.

— W Wrocławiu, nakładem księgarni K. Flemminga w Głogowie, pod redakcją Pauliny Kolbe, zaczął wychodzić „Nowy żurnal deseniowy robót i mód damskich”, z wzorami deseni i modami stroju. Text tylko objaśnia ryciny. Prenumerata na kwartał kosztuje 45 kop.

*Praga Czeska.* (Z listu). Wychodzące pismo literackie „Obzor” pod redakcją Jarosława Pospieszyla, w pierwszym zeszycie zawiera życiorys zmarłego w samej sile wieku Jana Prawosława Koubka profesora literatury słowiańskiej w uniwersytecie pragskim. Koubek przebywał długi czas w Galicyi, poznał tam nie tylko wszystkich tamiecznych literatów, ale i bawiącego wówczas wydawcę „Przysłów narodowych”. Bywał u niego często, a zostając w stosunkach przyjaźni, miał sposobność poznania głębiej literatury polskiej, przysłuchując się w jego domu rozprawom w tym przedmiocie, jakie wiedli z sobą literaci zbierający się tam często. Koubek gruntownie znał język polski i niektóre ustępy najpierwszego naszego wieszca szczęśliwie na język czeski przekładał.—Towarzystwo uczone: Matica czeska od r. z. wydaje archeologiczno-topograficzny dziennik: „Pamatky archeologicke”, pod redakcją prof. Zap.—Smitt Antoni, w stalorytach wydał: „Stárożytne budowle w Czechach” rytowane przez F. Lorenza, zdejmovane z natury przez wydawcę.—Palacky w r. z. wydał III-go tomu część trzecią: „Historii Czech”. Część ta obejmuje: Czechy i Bazylejskie konsylium, Zygmunt i Albrecht od r. 1431—1439. (Str. 337, 8-ka).—W drukarni Pospisila wyszły „Novelly” Józefa Korzeniowskiego, z polskiego przełożone przez F. L. Vorlicck’a. 12-ka, str. 76. 1854.—Krejci Jan wydał: „Przewodnik historii naturalnej” w okolicy Pragi. Część pierwsza obejmuje ornitologią i geologią okolic Pragi z jedną kartą. W 16 str. 125. 1854.—Dr. Gustaw Reuss wydał w tymże roku „Florę słowacką” w słoweńskim narzeczu. W 8ce str. 496.—Stulc Wacław ogłosił w czeskim języku pieśni na cześć ŚŚ. Cyrylla i Metodego wraz z ich życiorysami.—Wspomnę tu choć jeszcze z 1853 r. pracę Sztura Ludwika: „o narodowych

pieśniach i powieściach ludowych słowiańskich szczepów. Nakładem Matycy Czeskiej w 8-ce str. 146.—Od r. 1853 zawiązało się w Pradze Czeskiej towarzystwo numizmatyczne i wydaje własny czasopis, poświęcony tej umiejętności p. n. Beschreibung der bishér bekannten böhmischen Privatmünzen und Medalien. Herausgegeben von dem Vereine fuer Numismatik zu Prag. W 8-ce, wychodzi zeszytami.—K. Schwenk wydał „Die Mitologie der Slaven für Gebildete und die studirende Jugend. w 8-ce we Frankfurcie nad Menem.—Volksmut doktor prawa wydał w Halli: Gervinus und die Zukunft der Slaven, w 8-ce.—W miesiącu kwietniu (1855 r.) grano tu tragedya w języku czeskim Dymitr Jowanowicz (Dymitr samozwaniec) dramat napisany przez Franciszka Milowca.—Mówiąc co tu w Pradze wydano, lub co tu mamy z zagranicy nie mogę pominąć o usiłowaniach i pracach w innych plemionach słowiańskich. W piśmie czeskim *Nowen* wyczytuję o łużyckich Serbach żyjących na Sasko-Pruskiem pograniczu czyli Wendach, jak gorliwie starają się oni o swój rozwój narodowy. Mieszkają w 739 gminach, liczą 164,000 dusz, w 95 kościołach 114 duchownych głosi im słowo Boże w języku słowiańskim, a w 190 szkołach 210 nauczycieli rozszerza światło w tymże języku. W roku 1847 założyli „Maticę łużycką-serbską“ która dotąd 12,900 odcisków różnych dzieł wydała i rozesała, a oprócz tego 22,500 odcisków swego czasopisma, z których 10,106 exemplarzy na członków Matycy przypada. Najlepszemi u Łużyczan pisarzami są: Jakób, Kuczaneek, Buk, Mucznik, Fuhl, Somer, Smolar i wielu innych. Odkąd Matica łużycko-serbska istnieje i działa, wszyscy krajowcy nietylko miłośnicy literatury, ale i urzędnicy przystąpili do niej i wspierają uczestnictwem swoim dążności jej, mające na celu oświatę narodową. Na dworze królewskim ma swego opiekuna w dostojnej osobie królewicza Alberta, który przyjął opiekę nad nią i uczył się języka łużyckiego. W innej stronie słowiańszczyzny: towarzystwo Mohora przygotowywa przekład Biblii: dzieło to zasługuje tém więcej na uwagę, gdy słowienicy zamieszkujący południową Styryą, Karyntya, Krainę, i całą Illiryą aż do Adryatyckiego morza, od czasu wydania ewangelickiej biblii słow. w XVI stuleciu, żadnego innego przekładu Pisma Św. w języku swoim nie posiadają.

—Zeszyt VI „Cmentarza Powązkowskiego kończy się w druku, i obejmuje siedem arkuszy druku. Życiorysy w nim są następane: Ziemięcki Franciszek mecenas; Wejnert Antoni muzyk; Bazyl Jankowski. legionista; Teofil Janikowski kupiec; Ludwik Osinski literat; Zuzanna Wilczyńska ochmistrzyni pensyi; Jakób Tatarzewicz rzeźbiarz; Jan Kuźma konfederat barski. Z tym zeszytem kończy się tom pierwszy: w zamknięciu tego tomu, wydawca wskazuje źródła zkaąd czerpał swoje wiadomości. Na końcu dodane są przypisy i dodatki do tomu Igo; w nich znajdujemy nieznanne szczegóły do życiorysów Trembeckiego, Malczeskiego, własnoręczne listy tegoż poety rzucające wielkie światło na jego biografią, dodatki do ogłoszonych w tomie I życiorysów: autobiografia własnoręczna W. Skorochoła Majewskiego; życiorys Antoniego Białkowskiego pułkownika b. wojsk polskich i wielu innych. Zeszyt ten skoro ryciny należne wykończone zostaną, wydany będzie, a zaraz rozpocznie się druk tomu drugiego, złożonego z sześciu zeszytów, który zamknie całe dzieło.

† D. 16 sierpnia 1855 r. zakończył życie na Podolu we wsi Kuryłówce Józef Jezowski b. professor języka i literatury greckiej uniwersytetu moskiewskiego, biegły filolog, tłumacz Od Horacyusza z komentarzami do nich, i innych prac. Pochowany na parafialnym cmentarzu w mieście Chmielniku.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.



**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**

**w Obserwatoryum Astronomiczném**

**WARSZAWSKIÉM.**

**Listopad, 1855.**

Listopad 1855.

Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatorium

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziomem morza, czyli w łuku 18°41'25,5" N.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stusstopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. Sredn. dzienna
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god.rano	god.rano	godz. w.	godz. w.	god.rano	god.rano	godz. w.	godz. w.	
1	☾	738.91	739.96	741.41	744.76	+ 9°.3	+ 12°.4	+ 11°.9	+ 6°.9	86.5
2		745.91	746.74	746.57	748.55	+ 6.7	+ 10.2	+ 13.4	+ 8.7	88.2
3		749.07	749.23	747.41	746.64	+ 6.7	+ 8.0	+ 9.6	+ 9.1	97.8
4		748.67	750.65	751.61	752.37	+ 7.4	+ 7.0	+ 6.2	+ 5.4	95.0
5		753.82	755.40	757.37	759.47	+ 6.2	+ 6.9	+ 6.5	+ 5.2	92.0
6		760.78	761.32	759.97	758.12	+ 2.5	+ 4.8	+ 6.4	+ 4.3	88.2
7		756.01	756.55	755.56	754.66	+ 8.1	+ 10.6	+ 10.2	+ 6.9	89.3
8		755.21	756.31	756.06	758.46	+ 3.1	+ 5.4	+ 8.5	+ 6.1	92.2
9	☽	758.78	759.58	759.57	759.43	+ 2.9	+ 4.8	+ 4.5	+ 4.9	85.5
10		758.87	759.55	760.37	762.21	+ 5.6	+ 6.0	+ 6.2	+ 3.8	79.5
11		764.89	765.94	766.14	767.40	+ 0.7	+ 1.7	+ 3.1	— 0.2	79.8
12		766.91	767.25	765.46	765.61	— 4.6	— 2.3	+ 1.2	— 1.7	86.2
13		763.35	762.91	761.12	760.56	— 4.8	— 1.7	— 2.2	— 1.9	86.5
14		759.18	759.04	758.09	757.50	— 1.6	+ 0.3	+ 0.6	+ 1.6	84.5
15		757.14	758.40	759.64	760.70	+ 1.7	+ 3.6	+ 4.4	+ 1.0	78.2
16		762.35	763.02	763.00	763.72	— 3.5	— 2.5	— 2.5	— 2.5	86.3
17	☾	763.71	764.09	763.32	763.73	— 2.7	— 2.3	— 1.9	— 3.9	89.5
18		763.59	764.18	763.49	763.83	— 4.9	— 4.6	— 4.2	— 5.2	96.0
19		763.15	763.60	762.59	762.46	— 5.5	— 5.7	— 5.4	— 5.9	99.0
20		761.29	761.54	760.44	759.90	— 6.5	— 6.1	— 5.9	— 5.9	99.0
21		758.48	757.84	755.88	754.63	— 6.2	— 5.5	— 5.0	— 5.9	99.0
22		752.69	752.97	753.28	753.60	— 9.3	— 7.7	— 5.6	— 5.6	99.0
23	☽	754.08	754.46	752.88	751.85	— 6.2	— 4.4	— 2.7	— 4.2	99.0
24		749.05	748.83	746.99	746.97	— 3.7	— 2.9	— 1.6	— 2.1	99.0
25		747.83	747.85	751.18	754.78	— 2.7	— 2.3	— 3.0	— 9.1	99.0
26		757.15	757.51	754.12	749.92	— 12.0	— 9.7	— 5.9	— 4.0	99.0
27		738.28	737.37	734.52	736.33	— 3.8	— 2.4	+ 0.4	+ 0.4	96.7
28		740.02	742.40	746.05	747.97	+ 0.6	+ 0.7	— 1.0	— 1.7	94.2
29		746.47	745.74	742.34	739.44	— 0.9	+ 0.6	— 0.1	+ 0.2	94.7
30		737.56	737.21	736.39	735.59	+ 1.2	+ 1.4	+ 1.1	— 0.1	99.5
Śre.		754.437	754.915	754.413	754.691	— 0°.54	+ 0°.81	+ 1°.57	+ 0°.15	89.8

watoryum Astronomiczném Warszawskiem.

ziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie wschód względem południka paryzkiego.

S T A N N I E B A				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé- szczu	śnie- gu
pochmurny	pochmurny	napół pog.	pogodny	Pd.	PdZ.	Pd.	—		
pochmurny	pochmurny	lek. pochm.	pogodny	Pd.	Pd w.	PdW.	PdW.		
poch. l. mg.	mgła	dészcz	pochmurny	PdZ.	—	PnW.	Pn.	7.6	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	dész. b. dr.	Z.	Z.	PdZ.	Pn.	4.4	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdZ.	PdZ.	Z.	4.8	
pogodny	lek. poch.	pr. pogod.	pogodny	PdW.	PnW.	PnW.	PnW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	W.	PdW.	W.	PdW.		
r. pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	Pd w.		
pogodny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pogodny	pogodny	pogodny	pochmurny	W.	PdW.	W.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	W.	W.	Pd w.		
lek. pochm.	pogodny	lek. pochm.	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	Pd.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	PnW.	W.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	PdW.		
pogodny	pogodny	pochmurny	pogodny	Pd.	Pn.	PnW.	Pd.		
poch. mgła	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdW.	PdW.	Pn w.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	Pn.	PnZ.	PnW.	Pn w.		
pogodny	pogodny	pogodny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.		
pochmurny	Śnieg	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Z.	Z.		
pochmurny	napół pog.	pr. pogodny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Z.		6.2
lek. pochm.	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PdZ.	Z.		
pochmurny	poch. d. b. d.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	1.6	
								18.4	6.2

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	754.614	27	10.517
Najwyżej barometr dochodził d. 11 o g. 10 w.	767.40	28	4.185
Najniżej — — — d. 27 o g. 4 w.	734.52	27	1.610
Średnia zmiana dzienna barometru	4.067		1.802
Największa zmiana dzienna barometru d. 26—27 o g. 10 rano	20.14		8.928
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	4.526		2.007
Średnia temperatura listopada wynosi: i ta jest niższa o od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	+ 0 <sup>o</sup> .50 C. 0.96 „	=	0 <sup>o</sup> .40 R. 0.77 „
Największe ciepło było d. 2 o g. 4 w.	+ 1.46 „	+	1.17 „
Największe zimno — d. 16 o g. 6 r.	+ 13.4 „	+	10.72 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	— 12.0 „	—	9.60 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 25—26 o g. 6 rano	2.378 „ 9.3 „		1.902 „ 7.44 „
Termometrograf wskazał: Maximum: +11 <sup>o</sup> .7 R. d. 2 po połud. Minimum: — 9 <sup>o</sup> .7 „ d. 26 rano.			

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 89.8, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 4.99 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0.02 mniejsza od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 18.4 mil. czyli 8.15 lin. par.; z śniegu 6.2 mil. czyli 2.75 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 24.6 mil. czyli 10.90 lin. par.; ilość ta wody jest o 10.02 lin. par. mniejsza od tej, jaka średnio u nas w listopadzie spada.

Dni pogodnych było 6, napół pogodnych 1, pochmurnych 23.

— deszczu 5 (d. 3, 4, 5, 24, 30).

— śniegu 4 (d. 20, 23, 25, 27).

— mgły 3 (d. 3, 23).

Wichrów było 1 (PdZ).

Wiatrów mocnych 7 (3 PdW., 2 PdZ., 1 W., 1 Z.).

Wiatr panujący: południowo-wschodni.

Listopad zwykle bywa niepokodny wilgotny i słotny; w tym roku przeciwnie, osobliwie w pierwszej połowie był pogodny i suchy, lecz o pół stopnia przeszło zimniejszy niż zwykle. Pierwsze czternaście dni były łagodne, przyjemne i suche; w drugiej połowie miesiąc ten był niepokodny i mroźny. Od d. 5 do 20 ani razu deszcz lub śnieg nie padał; najcieplejsze dni były: 1, 2, 3, 4, 5, 7; najzimniejsze d. 18, 19, 20, 21, 22, 23, 25, 26; dni: 2, 3, 10, 12 były osobliwie łagodne i przyjemne. Barometr utrzymywał się bardzo wysoko; zmiany barometru były znaczne. Wiatr południowo-wschodni panujący, był przyczyną łagodnego stanu powietrza. W stanie normalnym, stosunek dni pogodnych do na pół pogodnych i pochmurnych, jest jak 2.8:6.3:20,9: w r. b. stosunek tychże dni jest: 6:1:23, co pokazuje, że dni zupełnie pogodnych było więcej niż zwykle. Wody z deszczu i śniegu spadło wysoko na 10.9 lin. par., to jest o połowę mniej niż w stanie normalnym. Pierwszy mróz tej jesieni był dnia 11 wieczorem; pierwszy śnieg przuszył d. 20.

# SŁOWO

## O DZISIEJSZYCH ŁUŻYCACH I ŁUŻYCANACH.

PRZEZ

*Oskara Flatt.*

---

Prócz Arabów, których władztwo rozciągało się niegdyś od Malaki do Lizbony, nie masz na całej kuli ziemskiej ludu, którego język, potęga i kolonie w tak zadziwiającym rozlały się obszary, jak Słowianie. Od Raguzu nad Adryatykiem, ku północy aż po wybrzeża Lodowatego morza, na prawo aż do Kamczatki i Japonii, na lewo do Bałtyku, wszędzie spotykamy słowiańskie ludy, bądź władzące, bądź zhołdowane.

*Schloezer.*

Jednym z najciekawszych zjawisk dla badacza słowiańszczyzny jest rozwój i odradzanie się w oczach naszych piśmiennictwa serbsko-łużyckiego, a nagłość i bujność tego rozwoju, obok powszechnego zajęcia, tém szerszą budzą sympatyą dla plemienia, które wśród najniekorzystniejszych dla siebie warunków, dobiega się imienia i samodzielności na polu literatury słowiańskiej. Ochoce to krzatanie się koło umysłowości swojej, godne wszelkiego społecznego poparcia i zachęty; znajdzie już łatwiej godne ocenienie dziś, gdy rozprysnięte różno-plemiennych uczonych badania, skupiać się zaczynają w jedno ognisko, ogólnej literatury słowiańskiej.

Zaszczytne miejsce zajmie piśmiennictwo serbsko-łużyckie w spodziewanej kiedyś historii rozwoju narzeczy słowiańskich, ku czemu, oprócz uczonych u nas źródłowych prac Lelewela, W. A. Maciejowskiego, i młodsze pokolenie znosić zaczyna przygotowawcze cegiełki.

Nie od dziś to wprowadzie datują pierwsze serbsko-łużyckiego piśmiennictwa pomniki: sięgają one już XVI wieku, ale

przez dwa pierwsze stulecia charakter religijny był wyłączną tego piśmiennictwa cechą, a zabytkami jego są: przekłady katechizmu Lutera, agendy kościelnej, nowego testamentu i psalterza. Piśmiennictwo świeckie w XVIII zaledwie zaczęło się wieku: a choć mamy z owych czasów grammatyczne próby Ticinusa i Piotra Schirach, przełożoną z niemieckiego książkę lekarską, a nawet, jako ważny dowód bogactwa języka, przekład kilku pieśni Messyady przez Jerzego Moehn, który i samoistnym także był rymotwórcą: to przecież wszystkie te usiłowania nie wyrobiły dla mowy Łużycan samodzielnego jeszcze stanowiska w ogólnym rozwoju piśmienności narzeczy słowiańskich.

Po usiłowaniach tych nastąpiła długa przerwa w literaturze serbsko-łużyckiej. Wolny poprzedni postęp wstrzymał się, i Łużycanie znajdowali się na niebezpiecznej drodze zatarcia narodowości swojej pod przeważnym wpływem niemczyzny. W ostatnich dopiero szesnastu latach bieżącego wieku, nowa iskra życia ożywiła uspięny organizm literatury serbskiej, i jakby nabrawszy sił po długim spoczynku, rączo wzięła się do dzieła uprawy zaległego pola, a siew umiejętną ręką, w szczęśliwą chwilę, w plenną rzucony glebę, wypuścił dziś już kłos, coraz bardziej męźniejący samowiedzą wewnętrznego swego bogactwa. Trzem mężom najwyższe należą się zasługi w tej sprawie odrodzenia; to Andrzej *Łubieński*, kaznodzieja zboru budyzynskiego, Jan Ernest *Smoler*, kandydat teologii ewangelickiej i członek górno-łużyckiego towarzystwa pastorów w Lipsku (1) i *Jordan*, lektor języka słowiańskiego w Lipsku, niegdyś wydawca wysoko bardzo cenionego pisma peryodycznego: *Slawische Jahrbuecher*, które dalej Smoler kontynuuje i redaktor wychodzącego w r. 1842 czasopisma p. t. *Jutnicka*. Tenże Jordan założył księgarnię w Budyzynie i redaguje obecnie pismo *Nowiny Serbskie*, które ma przeszło 1,000 prenumeratorów, co jest rzadkiem zjawiskiem wśród tak małej ludności. Łubieński w przedruku dawnego kancyonału podał nowe prawidła pisa-

(1) Łużycko-serbskie towarzystwo pastorów w Lipsku zawiązało się przed 25 laty i wydało z grona swego wielu mężów, wysoce zasłużonych dla piśmiennictwa serbskiego, jak np. Frenzel, Möhn, Hänich, a zwłaszcza też Seiler. Towarzystwo to składa się z następujących szczegółowych wydziałów: filologicznego, psychologicznego, exegetycznego, homiletycznego i czysto serbskiego.



wni, ale odstąpił od nich znowu Smoler, ubiwszy sobie własny tor w pieśniach ludu, wydanych od 1841 do 1843 r. łącznie z Leopoldem Hauptem, sekretarzem i bibliotekarzem górno-łużyckiego towarzystwa umiejętności w Gerlicach, (*Pjesnicki hornych a delnych Lužiskich Serbów*, w Grimma, u Gebhardta, 2 tomy in 4to). Jest to prawdziwy pomnik literatury ludowej u Łużycan, dzieło usilnej pracy, szczerego zamiłowania przedmiotu, kosztownego nakładu: słowem, dzieło, którego pozazdrościć mogą Serbom wszystkie pokolenia słowiańskie (1). Dla możliwego upowszechnienia dzieła, text jego jest dwoisty: w języku niemieckim i łużyckim. Przy każdej pieśni oznaczona jest melodia ludowego śpiewu. Pierwszy tom obejmuje pieśni górnych Łużycan; drugi zaś dolnych. Do zbioru pieśni dołączony został i skrzętnie na miejscu ułożony zbiór klehd, legend i przysłów łużyckich, o których niżej kilka słów jeszcze powiemy. Dzieło to, na którym głównie uwagi nasze w artykule niniejszym oparliśmy, stało się szeroką podwaliną dla przyszłego gmachu piśmiennictwa łużyckiego. Text jego wykazał nowe zasoby giętkości i bogactwa języka, i praktycznie wykształcił jego formy. Jaki zaś wpływ wyrzec musiało to dzieło Smolera, i w ogóle wszystkie prace jego, na język łużycki, jak naukowo urobić i uzdolnić go musiały, dowód tego najlepszy, że już w pięć lat po ukazaniu się pieśni ludu, to jest w r. 1848 zaczął J. E. Smoler wydawać pismo zbiorowe w Budyszynie (Bautzen) *Casopis towarstwa Maćicy serbskjeje*. To już nie początkowe, nieśmiałe kroki na widowni literatury, to ważny zwrot od piśmiennictwa treści duchownej, do piśmiennictwa świeckiego; zwrot przygotowany przez wydawnictwo pieśni ludu. W Czasopiśmie tem ukazują się nagle takie piśmiennicze proby, które w każdym narodzie bywają dopiero owocem długiego przetrwania myśli. Jest tu i historia narodu, jest historia jego cywilizacji, jest teoria języka, teoria poezji i t. d. Czasopis Smolera, podnosi już do pewnej powagi piśmiennictwo łużyckie,

(1) Niezaprzeczone wprawdzie, powszechnie uznane są zasługi, położone około naszej pieśni ludowej przez szacowne prace Waclawa z Oleska, Żegoty Pauli, K. W. Wójcickiego i innych; podobnym jednak jak Łużycanie dziełem wtedy dopiero może pochlubić się będziemy mogli, gdy pożądanego wydawnictwo Pieśni ludowych, przez p. Oskara Kolberga w rzeczywistość przejdzie.

samym zaś Serbom nadaje prawo do żywego zajęcia ogółu. Boć i oni nie obojętni są na sprawę ogólną słowiańszczyzny: obok krzątania się około uprawy własnego języka, uczeni Łużycy wydawać zaczęli w r. 1849 w Budyszynie pismo zbiorowe *Stadło*, rzeczom polskim i słowiańskim poświęcone; a jeśli wydawnictwo jego musiało być w późniejszym czasie wstrzymane, to pewnie nie dla braku dobrych chęci wydawców. Wprzód jeszcze Polska interesować się zaczęła znaczeniem Łużycan i ich piśmiennictwa, i w tym celu w r. 1845 wyjechał z Warszawy do Budyszyna professor Kucharski, poświęcając kilka-miesięczną tam bytność swoją wyłącznie badaniom nad Łużyckim narzeczem.

Dziś już nie sam tylko uczony badacz dochodzi dziejów Łużycan, śledzi rozwój ich mowy i znaczenie w systemacie ludów słowiańskich: kto są Łużycanie, jaka ich przeszłość, jaka tarażniejszość? to pytanie, coraz częściej, coraz głośniej rozlegające się w tych licznych kołach, dla których nie obojętną jest sprawa całej słowiańszczyzny i które z poczciwą sympatją spoglądają na duchowy rozwój i postęp pobratymczych słowiańskich plemion, tysiącem nitek powiązanych z przeszłością, a przez język i zwyczaje i z terażniejszością naszą.

Nazwa *Łużycan* nadana jest ludowi temu przez obcych, oni zaś sami nazywają się *Serbami*, i niewątpliwe mają pokrewieństwo z dzisiejszemi naddunajskimi Serbami. Prawdopodobnym jest, że w czasach przedhistorycznych, Serbowie z nad Dunaju przenieśli się do Germanii, stale się tam osiedlili, zwani przez obcych, nawet przez Rzymian, Swewami. Nazwa Łużycan już im jest później nadana i oznacza lud wśród łąk (łąki, ługi, Łużycy) mieszkający. Podobnie wywodzi się nazwa *Paługi* (zamiast poługi), nadawana krajom Noteciańskim.

Zająwszy ziemię pomiędzy Nysą (Neisse), Sprewą (Spree) i Elsterą, Łużycanie stanowili jakby przednią straż Słowiańszczyzny, najdalej w łono germańskie zapuszczoną, jakby pogranicze między słowiańskim i niemieckim żywiołem. I pozostali też wierni tej dwoistości wpływu, która wydatnie odbija się w dziejach tego ludu. Równocześnie z pierwszemi promieniami chrześcijaństwa padającymi na Polskę, objawiło się pierwsze rozszczepienie między Serbami nadsprewiańskimi. Część północna, około Kociobuża (Kottbus), dzięki bliższemu sąsiedztwu, zwracała się z sympatją do Polski; południowa zaś część, około Budyszyna (Bautzen) ulegała więcej wpływowi czeskiemu.

Wyrocza to była ta chwila pierwszego rozdwojenia, bo choć z czasem ustąpiła działalność atrakcyjna Polski i Czech na Łuczycy, rozdział ten jednak trwa i podziśdzień, a stanowią różnicę już nie linie graniczne władających państw, ale najżywotniejsze warunki samego ludu: język, religia i zwyczaje prawie.

Krótkie było panowanie Polski nad północną częścią Łuczyci, czyli nad dzielnicą dolnych dzisiejszych Łużycan, a krótsze jeszcze nad górnymi Łużycami, które sięgały aż po Elstere; zaczęło się ono za Mieczysława Igo i trwało pod Bolesławem Chrobrym, z mocy traktatu Budyszyńskiego, zawartego w r. 1015. Dłuższe wprawdzie były rządy Czechów nad południową częścią, czyli, jak dziś zowią, dzielnicą górnych Serbów, ale z wolna Niemcy zajęli tę ziemię pod swoje władztwo, i mimo zmiennych tylolicznych kolei, dodziśdnia je dzierżą.

Zdawałoby się, że różnice, dzielące szczupłą przestrzeń Łużyckiej ziemi, skutkiem atrakcyi, wywieranej przez Polskę i Czechy, powinny były zblednąć, a w końcu zniknąć, przy zjednoczeniu się pod władztwem niemieckim; tymczasem inaczej zupełnie się stało.

Lud łużycki w krew i kość przerosły Słowiańszczyzną, zasklepiony w sobie, bronił się długo i zwycięzko wpływowi niemieckiemu; a choć górna warstwa Łużycan, to jest szlachta, pod oddziaływaniem Germanizmu wolnieć i topnieć zaczynała w jędrnej swojej samodzielności: to przecież warstwy ludowe przedstawiały jedną okrzeplą masę, po której tylko z góry pływały wynarodowione szumowiny. Przystępniejsza dla reform szlachta, przylgnęła też niebawem w pierwszej ćwierci XVI wieku do nowój nauki Lutera; ale tu już przejrzała jasno konieczność zjednania sobie ludu. Umiał lud łużycki korzystać z tego okolicznościowego poparcia, i do owójto epoki odnoszą się pierwsze piśmiennicze pomniki łużyckiego języka. Opieka ta ze strony szlachty, będąca głównie wpływem własnego jej interesu, obmyślona jako środek i droga do zaszczerpienia w Łużycanach zasad protestantyzmu i idei niemieckich, jakkolwiek uchylona następnie przez szlachtę i wyrodzona w jawny ucisk i prześladowanie: mimo to wszystko, chwilowa nawet ta opieka stała się najważniejszym momentem w duchowém życiu łużyckiego plemienia, a raz rzucone ziarno, tak szczęśliwie się

przyjąwszy, wyplenione już być zupełnie nie mogło, bo mimo tamowanego rozkwitu, ziarno ziarnem pozostało.

Pokój Westfalski stanowi jakby epokę zmienionej polityki szlachty. Zająwszy w dzierżenie obszerne dobra duchowne, szlachta wywierany dotąd wpływ swój zwróciła do jednego głównie punktu: do apostołowania protestantyzmu; a opowiadanie nowej nauki w niemieckim tylko języku, służebniczyło drugiemu zarazem celowi, zagładzie łużyckiego języka. Dwoiste te jednak cele nie dały się osiągnąć w całej rozciągłości.

Wprawdzie część Łużycan przyległa Niemcom przylgnęła do protestantyzmu i trudniej im było bronić czystości mowy i tradycyjnych zwyczajów swoich pod przeważnym żywiołem niemieckim; ale za to druga część Łużycan, bliższa pobratymczych słowiańskich granic, pozostała wierną kościołowi katolickiemu i wszystkim samoistnym własnościom narodowym. Ci też Łużycanie katolicy w ciągu kilku ubiegłych wieków byli przechowawcami czystego ziarna Łużyckiej mowy i piśmiennictwa. Szlachta zaś, natrafiwszy u górnych Łużycan na tak żwawy i wytrwały opór, zrozumiała też własny interes i zaniechała dzieła prześladownictwa. Nie idzie zatem, aby rozwojowi piśmiennictwa czysto łużyckiego miała wrócić pierwotną, przez krótki czas tak żarliwie udzielaną opiekę; ale stała się powolną i pobłażliwą, a to wystarczyło na przechowanie do pomyślniejszych czasów narzecza, które miało już samowiedzę swego bogactwa. Jedynym niebezpieczeństwem dla czystości języka pozostała dążność u Łużycan protestanckich do zbliżenia wedle możliwości form i pisma łużyckiego, do wzorów niemieckich.

Dziś cała dzielnica łużyckich Serbów, przez Niemców zwanych *Wendami*, zajmuje przestrzeń około 70 mil kwadratowych, między 31°32', a 32°30' długości wschodniej, i 51°59' a 51°6' szerokości północnej, i liczy 170,000 mieszkańców. Dzielnica ta rozsiadła się na pograniczu Prus i Saksonii. W Prusach zajmuje północną część rejencji lignickiej, to jest okręg Gierlicki; w Saksonii zaś okręg Łuzacyi z miastem Budyszymem.

Bez względu na granice różnorządowe, dzieli się Łuzacya na dwie części, odmienne licznemi warunkami towarzyskiego życia, religią i narzeczem.

*Łużyce górne* obejmują całą Łuzacyą saską, to jest okręg Budyszyński i część Miśnii, oraz południowy pas Łuzacyi pru-

skiej, mianowicie części obwodów Hoyerswerdskiego (Wojerecy), Rotenburgskiego (Rotenbórk) i Gierlickiego (Zhórelc). Na rozległości 38 mil kwadratowych, obejmuje 518 miasteczek i wsi. W części saskiej, zostającej w dzierzeniu niegdy elektorów, dziś królów saskich od r. 1635, liczyć można słowiańskiej ludności 53,000. W téj liczbie 45,000 ewangelików i 8,000 katolików. W części pruskiej zaś 39,500 ludności słowiańskiej; w téj liczbie 36,000 ewangelików, a 3,500 katolików. Ogólna więc ludność w górnych Łużycach wynosi 92,500, rozstosunkowane na 81,000 ewangelików, i 11,500 katolików. Znaczniejsze tu miasta są: Budyszyn (Bautzen), Kamieniec (Kameńc), Kulow, Lubow (Lubij, Libij, Löbau), (Mużakow) Muskau, Hoyerswerda (Wojerecy), Weissenberg (Wóspork).

*Łużyce dolne* obejmują 32 mile kwadratowe i rozciągają się w samych tylko Prusach, obejmują zaś okręgi: Kociobużski (Kottbus-Chośebuz) i Sprembergski (Gródk) oraz części obwodów: Kalawskiego (Kalau) i Sorawskiego (Sorau-Żarow). Ludność słowiańska wynosi do 72,000; wszyscy są wyznania ewangelickiego. Znaczniejsze tu miasta są: Drebkau (Drjowk), Spremberg (Gródk, Hródk), Kociobuż (Kottbus-Chośebuz), Zły Komorów (Senftenberg), Peitz (Picń), Vetschau (Wietośow).

Szeroko rozwinięty jest w obu Łuzacyach system hydrograficzny; wzdłuż i wszcz przeryniają je rzeki i strumienie; i tak: Nysa (Neisse), do której wpadają; Redlica pod Kreba, Luknica pod Mużakowem (Muskau) i Radosznica, Sprewa (Sprewja, Sprowja, Spree), wpadającemi do niej rzeczkami: Biały Szepc, Czarny Szepc (Schöps), Wolsinka (Oelse); Biała i Czarna Elstera (Bjały i Córny Halstrow), nakoniec Małksa i Trzysocha, oraz wiele pomniejszych.

Powierzchnia kraju w ogóle płaska, tylko południowa część Łuzacyi saskiej jest więcej górzystą. Godniejsze uwagi (choć niezbyt wysokie) są góry poniżej Budyszyna: Rubeżny bród, Córny boh i przeciwległy, już na terytorjum nieśnieckim Biely-bóh, Hromadnik, Praśica, Lubin, Pichow, Dubrawa i o półtoréj mili wyżej Budyszyna, Kapłonica. Wreszcie koło Welkowa (Klein-Welka) wznosi się wzgórze Wiwalca, z którego rozkoszny na daleką okolicę roztacza się widok.

Z lasów godny jest uwagi w Łuzacyi saskiej tak zwany Tuchor, las nurków.

Język Serbów łużyckich, jak powiedzieliśmy wyżej, dzieli się na dwie główne odnogi, dwa główne narzecza: górno i dolno łużycki. Choć dziś już przestrzeń przez Łużycan zajmowana bardzo jest szczupła, choć wpływ niemieczyzny potężnie bardzo oddziaływa na czystość słowiańskiego narzecza, zwłaszcza téż w pobliżu pruskiej i saskiej granicy, oraz w sąsiedztwie miast: dotąd jednak dwa główne łużyckie narzecza nie stopiły się w całość; co większa, tak wybitne oddzielności swojej zachowały cechy, że dziś nawet górny Łużycanin z trudnością dolnego Łużycanina zrozumieć.

Mowa górno-łużycka najwięcej ma podobieństwa z czeską; dolno-łużycka zaś z polską: to więc tłumaczy nam istotny charakter różnicy, zachodzącej między dwoma narzeczami. Pod względem zaś wokalizacji, obadwa przedstawiają wyraźne pokrewieństwo z rosyjskim językiem. Wszystkie staro-słowiańskie formy językowe, jakie znajdujemy np. w Królodworskim rękopiśmie, zachowały się u Łużycan czystsiej i zupełniej niż w innych słowiańskich narzeczach; skażenie zaś germanizmem widne więcej w mowie dolnych Łużycan. Najczystsiej przechowała się mowa w pieśniach ludu.

Każde z głównych narzeczy łużyckich dzieli się jeszcze na różne dyalekty, dodziśdnia utrzymujące się, choć w tak bardzo szczupłych już granicach. I tak:

Mowa górno-łużycka rozkłada się na 5 dyalektów: dyalektem piśmiennym jest *Budyszyński*, środkowy, najwięcej powinowactwa mający ze wszystkimi innymi. Najdźwięczniejszy jest dyalekt południowo-wschodni, *lubijski* (Löbauer dialekt) do którego zbliża się dyalekt *holański* (Haide-dialekt), a poniekąd i zachodni, czyli *kamieński*, zwany także *podjańskim* (katolickim). Drogę przejścia od górno do dolno-łużyckiego narzecza stanowi dyalekt *pograniczny* (namjezny), odbijający w sobie wspólny wpływ obudwu głównych narzeczy.

W mowie dolno-łużyckiej, najważniejszym piśmiennym dyalektem jest *Kociobużski* (Kottbus-Chośebuz). Godniejsze zaś uwagi odcienia dyalektowe znajdujemy w Grodku, Borkowie (Burk), Jasieniu (Jessen) Niabożkojcach (Naundorf). Najpierwszą grammatykę tego narzecza wydał w r. 1761 pastor Hauptmann, który zebrał także materiały do słownika narzecza dolno-łużyckiego. Z materiałów tych korzystał następnie pastor Zwahr w Stradowie, przy układzie podręcznego słownika

dolno-łużycko-wendyjsko-niemieckiego. Słownik ten wyszedł w Sprembergu 1847 r.

Pieśni ludu łużyckiego wiele przedstawiają podobieństwa z pieśniami naszego ludu: znajdują się nawet w zbiorze takie pieśni łużyckie, które jasną tożsamością treści przypominają wyraźnie wspólność słowiańskiego pierwiastku. Te pieśni są to jakby owe nitki, wśród burz wiekowych pozostałe, wiążące myśli i uczucia Słowian z nad Łaby i Elstery, z pobratymcami nad Wisłą i Wartą. Uczony zaś autor *Piśmiennictwa*, najwymowniej określił ważność łużyckich pieśni ludowych, twierdząc (1), że zpośród znanych pieśni ludowych, te właśnie są najdawniejsze i za polsko-rodzime uważa, które są wspólne Polakom i nadłabańskim Słowianom.

Melodye najstarszych pieśni łużyckich w rodzaju kościelnym, mają charakter czysto słowiański i wydatnie różnią się od późniejszych pieśni, zdradzających już niemieckie pochodzenie. Melodya starodawnych pieśni łużyckich żywo przypomina pieśni ludu Wielkorossyjskiego. Wyjąwszy pieśni do tańca, wszystkie inne śpiewają Serbowie Łużycy wolno, drżącym głosem. Każdy takt zwykł zaczynać i kończyć się trylem. Te przejścia w tonach pieśni z *decrecendo* do *morendo*, i potem nagle znowu do *forte*, wiele mają podobieństwa ze śpiewami Ukraińców. Podobieństwo to i w tém jeszcze istnieje, że Serbowie rozmiłowani są przy śpiewach pieśni swoich w dźwiękach *Ha* i *Hale*, od których nie tylko zaczynają każdą pieśń swoją, ale wciskają jedno z tych słów, bez względu na sens do tekstu pieśni, nawet wśród wyrazów, jeśli im zgłoski lub miary jakiej zabraknie. Toż samo znajdujemy u Małorossyan, wplatających gesto w ludowe pieśni swoje: *hoj* lub *ha*; u Wielkorossyan zaś znowu wiele bardzo pieśni zaczyna się od *ach!* lub *oj!*

Dodatki te znajdujemy u Serbów katolików nawet w pieśniach kościelnych, gdzie dziwne wprawdzie czynią wrażenie, ale religijnej powagi nie rozstrajają. Odmienne są zupełnie śpiewy u Serbów ewangelików: przebija tam już wpływ germański i wtrącone dźwięki nie mogą znaleźć miejsca przy towarzyszeniu organów.

Co do pieśni serbsko-łużyckich, tę jeszcze uczyniłby należało uwagę, że górno-łużyckie wydatnie różnią się od dolno-

(1) *Polska*, IV, 229; *Piśmiennictwo* I, 122.

łużyckich wznioslejszą poezją i wyższym polotem. W ich pieśniach tu i owdzie domacać się jeszcze można oddźwięków przebrzmiałego bohaterstwa. Tę wyższość poetyczną uplastyczniła niejako natura w tych gęsto usianych wzgórzach, jakimi górne Łużyce ku dolnym spływają.

Smoler w wydanych przez siebie pieśniach ludu łużyckiego, podzielił je na 7 oddziałów:

1) *Psezpólna*, pieśni w polu (*carmina peragraria*) osnowy romantyczno-elegijnej, ulubione dla pasterzy i pasterek.

2) *Rónčka* (zdrobniałe od *ronó*, zdanie, peryod) są to śpiewy, jakie przodownik tańca, po jego skończeniu, wykonywa w takt muzyki, z chórem obecnych, jakby na podziękę swojej tanecznicy.

3) *Reje*, śpiewy przy muzyce do tańca.

4) *Wużeńenja* korowody, do których wplata się za każdym powtórzeniem imię jednego z uczestników chóru.

5) *Kwasne spiewy*, śpiewy weselne.

6) *Stonanje*, śpiewy błagalne, jakich zwykły używać deputacye przątek, dla zyskania podarunków, jeśli w chacie chleb świeżo pieczono lub karmnika zabito. Tych jest najmniejsza liczba.

7) *Podkhyrluśje*, legendy śpiewane, czyli raczej klechdy, dla odróżnienia od legend opowieściowych, prozą pisanych, które Serbowie nazywają *bamżički*. Podkhyrluśie (skrótcone od *Kyrye Elejson*), są to owe pierwotne podania i legendy, które kolejną czasu na poetyczny ład nastrojone, w klechdy się zamieniły. Takich klechd wylicza Smoler u górnych Łużycan 15, u dolnych Łużycan tylko 6, a z tych 3 wspólne z górnymi Serbami.

Legendy powieściowe zawarł Smoler w zbiorze swoim następujące:

a) Trzy kozy i wilk (*Tsi kozy a welk*).

b) Żwawa zaba (*Spieśna zaba*).

c) Jednemu szkoda, drugiemu śmiech (*Niećeje horu, ujeceji smjch*).

d) Szczęśliwy dzień wilka (*Welkowy zbożominy dzień*).

e) Bity niesie niebitego (*Bity nebiteho nese*).

f) Nieszczęśliwe rybołówstwo wilka (*Welkowe ne zbożomne rybołoženje*).

g) Wojna wilka z lisem (*Welkowa a liścyna wójna*).



h) Zaspána kobieta i jój mocny syn (*Zasparna zona a jejny sylny syn*).

i) Janek i Hanka (*Janek a Hanka*).

k) Im większy łotr, tém więcej szczęścia (*Wetsi šelma, wetsé zbožje*).

l) Krótki len (*Krótki len*).

m) Nabożni śpiewacy (*Nutyрни spjewarjo*).

n) O biednym człeku, co miał wiele dzieci (*Wot khudeho muža kiž ma wele džjeći*).

o) Lipskulianowe łoże (*Lipskulijanowe łožo*).

p) Kumostwo N. Maryi Panny (*Swjateje Marje Kmótsi-stwo*).

r) Prawda zawsze prawdą (*Prawo pšeco prawo wostańe*).

s) Dyter Bernard (*Dyterbérnat*).

Wszystkie te prawie legendy wiele mają podobieństwa do legend naszych krajowych; niektóre tylko późniejsze są już niemieckiego pochodzenia, a na innych, choć słowiańskiego rodowodu, znać niekiedy wybitnie wpływ Niemczyzny. Najżywiej przypominają się pamięci naszej legendy: Janek i Hanka, i Lipskulianowe łoże, będące wierném odbiciem legendy naszej o Madejowém łożu. Madej jest imponującą postacią w podaniach gminnych: z pewnemi dodatkami lub odmianami, legenda o nim znana była: Polakom i Ukraińcom, i Pomorzanom, Łużycanom, na Czerwonój Rusi, na Żmudzi i Litwie. Łużycka legenda najwięcej zbliżona jest do polskiej: a autor *Piśmiennictwa* dostrzegając w tém podaniu tło chrześcijańskie, uważa zarazem, że geograficzném następstwem, kolebką jego być musiały podnóża Tatrów, zkąd dopiero poszła śladem Wisły, a od jój brzegów przeniosła się w prawo nad Dniepr, w lewo nad Łabę (1) i ku północy nad Wilią.

Pieśni ludu, klechdy i legendy stanowią rdzeń rozwoju umysłowości serbskiej, w głębokiej zanurzonej przeszłości. Przeszedłszy najrozmaitszych doświadczeń szkołę, Łużycanie nie uronili z tego, co im prace i badania ich rodaków w zeszłych wiekach przekazały, i na tych pierwotnych oparci probach, jeli się teraz rączo krzątać około piśmienniczėj sprawy, i bez przejść pośrednich, odrazu stanęli na zaszczytném miejscu. Bo téż

(1) *Piśmiennictwo polskie i t. d.* Wacł. Alex. Maciejowskiego T. I, str. 214.

dziwnym jakimś, natchnionym jakby wiedzeni instynktem, zreżcznie bardzo Łużycanie wzięli się do rzeczy. Prace swoje, nie już około dźwignienia, ale około stworzenia własnego piśmiennictwa, nie ograniczyli Łużycanie na samych badaniach naukowych i dziełach poważnej treści: odgadli oni uczuciem potrzebę poezyi i ku niej się zwrócili. A właśnie to owe ucieleśnienie poetycznych myśli i uczuć, to najwymowniejsze zawsze świadectwo: czy naród biegle i jędrnie włada językiem swoim, czy wyrobił a przynajmniej wyrabia w nim wszystkie dane od natury cechy piękna, siły, giętkości, harmonii i bogactwa, czy czuje piękność swego języka: słowem, czy ma samopoznanie własnego życia.

We wspomnionym przez nas wyżej Czasopiśmie Smolera (*Casopis towarstwa Maćicy serbskieje*) często spotykamy się z poezją: a już to nie piosnki ludowe: i duch Łużycan i język ich zmęźniał, to już utwory idealizujące myśli narodu.

Wyjąwszy tłumaczeń, wszystkie te zresztą poezye są treści lirycznej i dydaktycznej, a charakter ich elegijny. I to właśnie charakterystyczną ich barwę stanowi. Dumka jest rodzinnym płodem słowiańskiej poezyi. W niej więc Serbowie odbili pierwsze swoje dążenia poetyczne i nie zawiódł ich instynkt, że elegia będzie najszcześniejszą formą dla pierwszych poetycznych prób łużyckiego ludu.

Od roku 1848 do końca 1852 wychodził Czasopism pod redakcją J. E. Smolera, zeszyt zaś z roku 185<sup>3</sup>/<sub>4</sub> wyszedł już pod redakcją Jakóba Buk. W ogóle po koniec roku 1854 ukazało się 10 zeszytów Czasopisma, mianowicie: z 1 roku t. j. 1848; zeszytów 4; z 2 i 3 roku t. j. 1849—1850 zeszytów 3; z 4 i 5 roku, t. j. 1851—1852 zeszytów 2; z 6 i 7 roku, t. j. 1853—1854 zeszyt 1.

Zbiór ten zawiera szacowne prace uczonych serbskich w wielostronnych kierunkach poważnej i lżejszej literatury; i tak: na niwie *poetycznej* spotykamy się z imionami J. E. Wjelana, skrzętnego zbieracza południowo-serbskich pieśni; H. Sejlera, autora 50 bajek i zbieracza pieśni górno-łużyckich; Cyża, autora krytycznego rozbioru pieśni południowo-serbskich, zwłaszcza też poematu Omar i Mjerima; wreszcie prace Dr. Pful o teoryi poezyi. W dziedzinie *historyi* uwagi godne są artykuły: J. A. Jencza o dawnych królach serbskich i o pomnikach pi-

śmiennictwa i narodowości serbskiej, oraz rozprawa J. E. Smolera o mitologii łużyckiej.

W oddziale *badan językowych* stoją na czele uwagi gramatyczne J. E. Smolera, Dr. Pfula i Jakóba Buka, oraz ułożony przez ostatniego z nich zbiór przysłówiów serbskich. Do *nauk przyrodzonych* odnoszą się próby botaniki serbskiej z własną terminologią, przez M. Rostoka.

Nie zapomniano w Czasopiśmie i o przekładach klasyków starożytnego Rzymu; znajdujemy tam bowiem List z Pontu, pisany przez Publiusza Owidiusza Nałona, przełożony na język łużycki przez Dr. Pfuli wreszcie bajki Fedra, tłumaczone przez Chr. Fr. Stempla.

Nie zadziwia nas w Czasopiśmie bogactwo treści, zasadność nauki, i dojrzałość głębokiego poglądu. Imiona uczonych Serbów są nam dostateczną rękojmią nauki i światła: ale to, zdaniem naszym, podziwienia godne, że wzięwszy od ludu język, za ledwie w kolebkowym rozwoju bogactwa, umieli z niego wysnuć wszystkie formy i obroty do wypowiedzenia przetrawionej wpród myśli i wiedzy, zebranej nie w łużyckich szkołach. Uczeni serbscy stworzyli język naukowy, a obok niego z całym wdziękiem dziewiczym pojawił się język poezyi. Język dawniej znany tylko w piśmiennictwie z pieśni ludu i dzieł duchownej treści, z zadziwiającą łatwością dał się nagiąć do tłumaczenia każdej nauki i umiejętności. Ten postępek Serbów, to stworzenie prawie przez nich własnej literatury w najobszerniejszym znaczeniu, tém godniejsze jest uwagi, że Łużycanie dotąd całe umysłowe wykształcenie swoje, poczynwszy od szkół elementarnych aż do uniwersytetu, rozwijali w niemieckim języku.

Całej sympatyi i bliższego poznania godzien naród, tak szczerze pracujący nad duchowym swoim rozwojem i stanowiący dziś jakby drobną wyspę słowiańską wśród szeroko rozlanego morza żywiołów germańskich. Do powyższych więc uwag geograficzno-statystycznych i językowych o dzisiejszym stanie Łuzacyi, dołączymy jeszcze szerszy nieco pogląd na wewnętrzne ich życie: na Serba łużyckiego przy domowém jego ognisku. Oprzemy się tu na dzieło Smolera i Haupta, a to tém chętniej, że słowiański typ ludności łużyckiej już teraz nie blednie i nie zamyka się w coraz ciaśniejszym zakresie, ale owszem, coraz pełniejszej dobija się samodzielności.

Nagła, niespodziewana, a wielce pomyślna dla narodowości serbskiej zaszła w kilku ubiegłych latach odmiana. Ponieważ w zawichrzeniach zakłócających Saksonią w czasach ostatnich, nie brali udziału Serbowie; rząd więc bardzo łaskawém dziś na nich pogląda okiem. Terazniejszy król Jan, będąc jeszcze następcą tronu, przyjął protektorat nad towarzystwem uczoném Budyszyńskiem, a królem zostawszy i sam dokładnie obznajmiony z łużyckim językiem, kazał synowi swemu, następcy tronu, majorowi w kawalerji saskiej (1) stać załogą w Budyszynie i pobierać lekcye u Smolera. Rozkazał nadto, aby sądownictwo odbywało się w języku narodowym, władze administracyjne wydawały rozporządzenia swoje w języku niemieckim i serbskim i aby po szkołach, a nawet w gimnazyach, zaprowadzono wykład języka serbskiego.

Niekiedy téż wyprawia dla Serbów obiady urzędowe, na które wieśniacy łużyccy posyłają swoich deputatów, a król upomina każdym razem, aby przybywali koniecznie w ubiorach narodowych, bynajmniej zaś nie we frakach. Wieśniacy ci, bardzo gospodarni i bogaci, rządnością swoją przewyższają i zadziwiają Niemców.

W obrazie dawnych Serbów, kreślonym w kronikach, widzimy lud silnej budowy ciała, jasnego włosa, ogorzalej cery; i dziś znajdziemy go jeszcze takim, jeśli go nie będziemy szukać w okolicach, gdzie wszczepiający się jad opilstwa nurtuje zdrowe siły, lub téż gdzie zbyt jałowe grunta, brakiem pierwszych potrzeb wysuszają żywotne źródła. Wogóle plemię Serbów słyneło i słynie pełnią zdrowia i żywotnych sił, a od połowy zeszłego wieku kobiety łużyckie nader są poszukiwane w całej Saksonii za mamki. Nawet wielu potomków rodziny królewskiej wykarmiła słowiańska pierś serbskiej niewiasty: tę wziętość zaś zawdzięczają pewnej damie szwedzkiej, pani Stenn, która około 1750 r. utraciwszy męża i pozostawszy chorobą złożona w Dreźnie, oddała niemowlę swoje łużyckiej karmicielce, a ta obdarzyła je czerstwém zdrowiem i siłą.

Wierny słowiańskim tradycjom, charakter Łużycan określiła się na wydatném religijném tle. Religijność ta nie jest u nich formą, ani téż wyrobieniem: to wiernie po naddziadach

(1) Książę Albert Fryderyk August ur. 23 kwietnia 1828 r. zaślubiony z księżniczką Waza.

przechowana puścizna, w krew ludową przeszła, a żywym jój pomnikiem są dodziśdnia przysłowia, jakie lud w każdej chwili ma na ustach: Boże dopomóż! Bóg z nami! Idźcie z Bogiem! Boże daj! Szczęść Boże! A wszystko co piękne, zwą instynktem ludowym: z Boha (od Boga). Zamiast zwykłych wyrażen: słońce wschodzi, księżyc zaszedł, deszcz pada; Łużycanin mówi: słońce Boże wschodzi, słońce zaszło do Boga, Boży księżyc świeci, Boży deszcz pada i t. p.; żebrak nawet błaga bliźnich o kawałek Bożego chleba, a gdy paraliż kogo dotknie, Serb mówi: Boża go ręka dotknęła. I pomyślność i przeciwność do tegoż początku odnoszą. Świątynie Pańskie pełne są zawsze pobożnego ludu, a rzadko bardzo się zdarza, aby Serb znieważył ciężką pracą dzień odpoczynku, który podobnie jak my Niedziela nazywa. Pobożne nauki w rodzinném kole, rozbiory kazań, czytanie wspólne ewangelii, jeszcze nie pierzchnęły z pod serbskiej chaty, a gdy w południe lub w wieczór rozlegnie się dzwon modlitwy, każdy Serb oderwie się od pracy, odstłoni głowę, i ręce do pobożnych w ciszy serca złoży modłów.

Z wiary i religii idzie odwaga i męstwo, więc one téż wspólne Serbowi z całą słowiańską rodziną. W niejednej ciężkiej potrzebie dowiódł Serb odwagi ducha i siły ramienia: jest w nim i hart i wytrwałość i zręczność, a znany pułk dragonów księcia Jana, z samych złożony Serbów, rozgłośnie w kampanii francuzkiej 1812—1815, zjednał sobie imię, i znany był powszechnie pod nazwą: *les bouchers Saxons*.

W ogóle jednak wojna nie jest jego żywiołem, a siły swoje woli raczej w pokojem tchnacém usposobieniu zwracać do pola i roli, albo téż własnej obrony, niż do zaczepek i waśni. Nawet teraz już rzadko tu znaleźć awanturników, haraburdów, i napastników. Serb lubi pokój i zgodę pod rodzinną strzechą, i w tradycyjném ma poszanowaniu powagę prawa.

Herder usposobienie ogólne Słowian określił niegdys w tych słowach, dających się wybornie zastosować i do lużyckich Serbów (1). „Mimo głośnych czynów swoich, nigdy Słowianie nie byli, na wzór Niemców, wojowniczym i awanturnicznym ludem; posuwali się oni raczej za niemi, a zasiedlając opuszczone od innych ludów przestrzenie, starali się uprawiać i upożyteczniać je, jako koloniści, pasterze i rolnicy. Po wszystkich więc zni-

(1) *Pomysły do filozofii dziejów rodzaju ludzkiego* tom IV.

szczeniach, jakich doświadczały kraje skutkiem wędrówki narodów, cicha i wytrwała praca Słowian pożytek im szczerzy niosła.“

I jest też praca żywiołem łużyckiego Serba, a rolnictwo i przemysł rolniczy główném i ulubioném całego ludu zajęciem. Niewdzięczne wydmy i jałowe sapy zamieniają się pod ich pracowitą ręką w uprawne pola. Wytrwałość i zamiłowanie pracy cuda tu tworzą: nie widać gnuśności ani zobojętnienia: kto nie ma roli, idzie do rzemiosła lub wyrobku. Mało tu więc żebractwa, a mniej jeszcze kradzieży. Drzewo w lesie lub owoce w sadzie, to jedyne prawie cele kradzieży, wynikające z zakorzenionego i tu przesądu, jakoby Bóg kazał tym drzewom i owocom rósć zarówno dla wszystkich ludzi i przywłaszczając je sobie żadnym nie było grzechem, zwłaszcza gdy pierwotnie ziemia i wszystko co na niej rośnie, składało powszechną własność całej gminy; każdy co się w tej gminie rodził, miał prawo do wspólnego użytku. Nieznane jest prawie Łużycanom ostrożne zamykanie domów i izb, ogrodów i dziedzińców: kto żyje wylega w pole, zwłaszcza w czasie żniwa, a cały dobytek zostaje bez stróża, tylko pod okiem ogólnego sumienia. I tu wprawdzie znajdzie się dziś już niejeden oszust, podstępnie na cudze mienie dybiący, ale wśród massy bardzo to jeszcze rzadkie wyjątki. Dane słowo, obietnica, w wielkiej są tu jeszcze cenie i nieraz Łużycanin ważne nawet czynności załatwia, podając rękę ziomkowi w obec sąsiada i na stwierdzenie pewności mówiąc tylko: „Bóg widzi“ lub „Bóg słyszy.“ Trwałe związki przyjaźni i to pełne uczucia przywiązanie i wierność czeladki do swojego pana, są to dziwnie ujmujące zalety charakteru Łużycan.

Jak wierność tak i gościnność jest dziedzicznym Serbów przymiotem. „Gość w dom, Bóg w dom“ i u nich jest zasadą; grzech przeciw prawu gościnności, niesławę ściąga na grzesznika. Z serdeczną radością przyjmują gościa i w towarzyskim zapędzie swoim nagadać się dość nie mogą. I jest też cała budowa i harmonia ich języka dziwnie uzdolniona do lekkiej pogadanki. Swoboda i wesołość panują w chacie Serba i wylewają się na zewnątrz, czy to w polu, czy przy rodzinnej jakiej uroczystości, czy na kiermaszu, czy u przątek, czy na taneczniczój sali. Ich pieśni są odbiciem tej wesołości, tego zapomnienia o dręczącej myśli, tej gonitwy za osłodą trosk życia. I któż w tym zarysie charakteru nadłabańskiego Serba nie dopatrzy cech

wielkiej wspólnej słowiańskiej rodziny? kto nie dopatrzy, a raczej nie uczuje wspólnych znamion, pomiędzy chatą i ludem z nad Nissy i Elstery, a typami chaty i ludu Gregorowicza? bo jedni są wszędzie duchem i sercem Słowianie, wszędzie odznacza ich jedność plemiennych zalet: „duch religijny, zamiłowanie pracy, spokojna, dobroduszna swoboda myśli, miłość do rodzinnej mowy i duch pojednawczy“ (1).

Są i dziś jeszcze widoczne, dotykalne cechy, wyróżniające Łużycan wśród oblewającej ich dokoła powodzi Germanizmu. Różni ich nawet utrzymujący się dotąd w wielu miejscach odrębny strój, od niemieckiego zupełnie różny. Czarny kapelusz (*kłobuk*) pokrywa zwykle głowę Łużycanina, z tą tylko odmianą, że u Serba z okolic Mużakowa (Muskau) skrzydła bywają dość szerokie; u katolika zaś w okolicy Budyszyna wąskie. W ostatnich dopiero czasach pojawiać się zaczęły czapki. Na szyi zawiązana zwykle ciemna kolorowa chustka, dalej długa kamizelka (*lac*) niekiedy czerwona sukienka, jedwabna, a z złotym naszyciem. Gruba koszula (*kosla*) z długimi rękawami, skórzane, sukienne lub płócienne spodnie (*kholawy*), długie lub dokolan, na szelkach (*slje* albo *heńki*), a w butach (*skórnje* lub *črije*) zwykle onuczami lub słomą obwinięte nogi. Przy codziennej pracy noszą bekieszę (*pikesa*) płócienną lub sukienką, i tak zwaną kapę czyli *kabat*, długi surdut płócienny. Na zimę kożuch owczy lub szubę (*pelc*).

Dziewczeta noszą na głowie pokrycia z białego w pasy płócienna, obszytego w ząbki (*kapa*, *mjeca* lub *hawba*). Mężatki noszą siatkowe czapki (*čjepc*), obszyte zwykle czarną jedwabną wstążką, której końce spadają na plecy. W niektórych okolicach widywać można haftowane różnofarbne czepki, lub też naszyte perełkami i szychem. W czasie upałów lub mrozów zarzucają nadto na głowę chustki, których związanie, ze spływającymi w tył końcami przypomina malowniczy strój krakowskich naszych dziewczeczek. Niegdyś serbskie dziewczęta występowały z gołą głową, z potrójnie splecionym warkoczem; dziś chyba druchna tylko w katolickich Łużycach pókaże się na chwilę z gołą głową, w czasie sprawowania ważnych swo-

(1) *Szafarzyk*, Dzieje języka i literatury słowiańskiej wszelkich narzeczy.

ich obowiązków; zresztą podrastająca zaledwie dziewczynka już tu czepkiem pokrywa główkę.

Wyjątkową strojnością i wystawą odznaczają się tu festyny, uroczystości i obchody rodzinne, jako to: wesela, chrzciny i pogrzeby. Dla przykładu opiszemy tu tylko strój panny młodej na Łużycach, pomijając już same szczegóły weselnych, chrzestnych i pogrzebowych obchodów; bo teby nas za obręb zamierzenia naszego uniosły. Główną, odznaczającą część stroju panny młodej stanowi *borta*. Jest to kołpaczek czarny, aksamitny 9 do 10 cali wysoki, w kształcie ściętego ostrokręgu. Ścięty brzeg zwierzchni obwiedziony jest zwykle złoczoną obręczą, do której przytwierdzono 12 srebrnych wyłaczanych gwiazd. Wierzch borty przystrajany bywa dziewiczym wiankiem rucianym, do którego wplatają sztuczne kwiaty. Sute pod bortą upięcie ze wstążek, kokard i warkocza zwie się *hładzenje*; do niego przyczepiają złocistą opaskę włosów gwiazdkami świecąca, czyli tak zwany *sljebornik*, opaski te bywały bowiem niegdyś srebrne, ztąd pochodzenie nazwy. Zielona wstążka okala czoło panny młodej, wysuwając się z pod borty, a nadmieniamy zarazem na chlubę obyczajów łużyckich, że tylko uczciwym dziewczętom (*česna holca*) nosić tu bortę przystało. Szyja panny młodej obwieszona jest mnóstwem perełek, a niekiedy i sznurkami nanizanych srebrnych lub złotych blaszek. Niebieski jedwabny kaftanik, biała haftowana chustka (*tykane rubisko*) i niby podwójna biała kryza, obszyta zieloną jedwabną wstążką, opasująca piersi, ramiona i plecy, a zwana zwykle *flizurem* lub *frizurem*, zielona przepaska; wreszcie dwa fartuszki: otóż i skończony strój panny młodej, do którego pod żadnym pozorem czerwony kolor wchodzić nie może; wszystkie wstążki powinny być zielone, albo też przynajmniej białe i zielone.

W okolicach Mużakowa panny młode obwijają zielonemi wstęgami cały wierzch włosów, na głowie mieszczą ruciany wianek, od którego zielone i białe końce do pasa spadają. Kaftanik czarny z czerwonymi wyłogami i ciemnym sznurowaniem. W jednej ręce trzymają gałązkę rozmarynu, w drugiej długą białą chustkę, zwaną *podbok* czyli *powjesenje*.

Druchny ubierają się podobnie jak panny młode, tylko że noszą czerwone wstęgi, bez wianka rucianego i *sljebornika*.

Skromne, drewniane zwykle i szczytami do frontu zwrócone są domy łużyckich Serbów; nie mają oni zamiłowania do



murów, tam nawet, gdzie z łatwością dostatek materiału do kamiennych budowli znaleźćby mogli. Niskimi drzwiami (*durje*), obwarowanemi, jak za błogich bezpieczeństwa czasów, prostym zamkiem (*zauk*) i drewnianą wewnątrz zasuwą (*zasuwak*), przejdziesz wysoki próg (*próh*), i szczupłą sienią (*khjeża*) dostaniesz się do izby (*stwa*), jedyne go zwykle pomieszczenia dla rodziny: w dodatku tylko bywają, jak zwykle po wsiach, komórki. Jako właściwość miejscowa łuzycyckiej izby wpada naprzód w oczy wielki kaslowy piec (*khachlje*), kwadratowy lub podłużny, ze dworu opalany i wmurowany weń kociołek miedziany lub żelazny (*khachleńk*). Na piecu suszarnia, a przestrzeń między nim a ścianą, stanowi ów tylekroć w bajkach i legendach sławiony zapiecek. Obok pieca bywa zwykle i komin. Wewnętrzne zaś zresztą urządzenie i pozór łuzycyckiej chaty opisywać nie będziemy, bo zna je każdy, kto zajrzał do wnętrza chaty zamożniejszego naszego włościanina.

W tej chacie z dawien dawna Serb bywał gospodarzem (*hospodar*) i panem (*kńez*), niewiasta, dzieci i czeladź posłuszne były jego zarządzeniom, i każda chatka łuzycycka była przykładem dobrze uorganizowanego rządu patryarchalnego. Tak bywało niegdyś, tak jest i dzisiaj, tam, gdzie tradycya niezagłuszona jeszcze napływem świeżych wyobrażeń. Ale wyjątków coraz więcej. Niewstrzeźliwość i rozpusta i tu już coraz głębiej zacierają, a duch postępowych pojęć coraz głębiej wszczepiający się przez zetknięcie z Saksonią i Prussami, zwłaszcza przez żywotną arterję służby wojskowej, coraz bardziej zaciera wyłączny Łuzycan charakter, jakim wyróżniali się nad poziomem jednoplemienności germańskiej.

Rolnictwo jest głównem i ulubionem zatrudnieniem Łuzycan, a dziś, gdy stosunki włościan i panów uregulowane już zostały, zyskał Serb więcej swobody i ujrzał się w posiadaniu tych praw, jakich poprzednio z utęsknieniem zazdrościł włościanom dóbr rządowych i duchownych; z rzemioł najwięcej tu jest uprawiana ciesielka i mularka, a tkactwem zajmują się po większej części kobiety. Nieznane są Łuzycaninowi przywileje rodu i krwi; ulegać jednak musi szlachcicowi niemieckiemu (*zemjan*), a z własnego popędu poważy duchownych (*duchowny*, *póp*, *popoc*, *kńez*) wspólnego z sobą pochodzenia; bakałarza (*wucer*), który dzieci jego naucza; dzierżawcę (*pajuk pachman*), a wreszcie sołtysa (*solta*), który zwykle bywa zara-

zem i karczmarzem (*korcmér*), i zajmuje najwyższy szczebel dobrego bytu, do jakiego włościanin łżycki w marzeniach tylko swoich wzniesć się kiedy pragnie.

Piérwszém ogniweń administracyi są gromady włościańskie, odbywające narady pod przewodnictwem sołtysa, latem zwykle pod cieniem lipy, a zimą w karczmie. Nie masz prawie takiej narady, na którejby głośnie nie objawiły się opozycye. Serb dumny jest z prawa swojego głosu, i dane veto, choćby przekonany o jego niesłuszności, nie wprzód odwoła, aż przez dobę jaką przynajmniej oporem się swoim nacieszy. „Mimo sprzecznego ducha, ruchliwości i żwawości swojej, ma jednak Serb wrodzone zamiłowanie do przestrzegania zewnętrznych form, jak niemniej poważanie dla prawa i porządku. Każda wieś jest tu niby oddzielném państwem, gdzie wszystkie kółka chwytają się wzajemnie trybami; niby ulem, gdzie w zamętym nieładzie pełno brzęku, szumu i krzątania, a jednak wszystko zwykłą, uswięconą toczy się rutyną: jeśli zaś przypadkiem rój ktoś ukłuje, to już chyba jakiego intruza rzeczypospolitéj“ (1).

Karczma jest i tu jakby radną izbą, jakby giełdą i resursą Łżycan; bez karczmy nie obejdzie się żadna sprawa, żadne kupno, ani festyn żaden. Piwo ulubionym z dawien było napojem, posilnym i zdrowym: dziś i tu już wódka zgubnie upowszechnić się zaczyna. Nie tyle jednak trunek, ile raczej taniec jest namiętnością Łżycan; i to znów taniec charakterystyczny, niepodchodzący pod żadną ze znanych reguł, tak zwany taniec serbski (*serska reja*): zawodzony zwykle na tempo poloneza, a zbliżony może najwięcej do menueta. Dziś jednak przejęli Łżycanie już od Niemców walc, galopadę i schottisch; podobnież jak i samą muzykę na skrzypkach, klarynecie, trąbce i t. d., wyjąwszy mało tu znanego fletu. Właściwych łżyckich narzędzi muzycznych wypadłoby chyba szukać jedynie tylko w okolicy Mużakowa. Spotkać tam można po dziś dzień jeszcze gęśl serbską (*husla*), tarakawę, rodzaj oboi; kobzę i cymbały.

Dość długi jest poczet zabaw i uroczystości ludowych u łżyckich Serbów: *okreżne* czyli *dożynki*, *kiermasz* (kermusa), po ukończonych żniwach, zwykle trzy lub cztery dni wśród karczmennej hulanki spędzany. Boże Narodzenie z wielką

(1) *Próznicki Serskego ludu* i t. d. *J. E. Smolerja*, T. II, str. 217 (Grimma 1843 r.).

obchodzone tam jest uroczystością. Na podobieństwo wyobrażenia o gwiazdce naszej, dziecię boże (*boże dźeczjo*) w białej szacie roznosi po domach kolendy, obdarzając dobre i grzeczne dzieci, a karząc różgą niegrzeczne. Upowszechniające się od pewnego czasu i u nas drzewka kolendowe oddawna przystrajane bywają u Łużycan w wieczór świętej wigilii. Po uczczeniu Nowego Roku i Trzech Króli wypiekiem ciasta w postaciach krów, owiec, gęsi, utrzymał się jeszcze w niektórych okolicach jak np. w Welze, okręgu Spremberskim obchód wypędzania czyli wynoszenia śmierci, przypadający zwykle na niedzielę Laetare.

W Wielki Czwartek (*zeleny stwórtk*) wszędzie tu jadają bułki z miodem, jako prezerwatywę przeciwko pchłom na rok cały.

Przez post w niedzielę i święta młodzież wiejska pod otwartym niebem śpiewa chórem nabożne pieśni. Najważniejszą jednak uroczystością dla towarzystw śpiewających, których tu istnieje wielka liczba, jest Wielkanoc. Od północy już, pierwszej chwili Zmartwychwstania, zaczynają się rozlegać chóry nabożnych pieśni, i nie ustają prawie dzień cały: czy to w drodze do kościoła, czy w kościele samym, czy też w powrocie do domu.

Strzelanie do tarczy, dyngus i różnofarbne jajka (*pisane jejka*) należą stale do programu Wielkanocnego u Łużyckich Serbów.

Noc 30 kwietnia, poprzedzająca według niemieckiego kalendarza dzień św. Walpurgi (1), patronki przeciw czarom i czarownicom, także głośno z licznymi obrzędami obchodzona jest w Łuzacyi. Drzwi do stajen i obór znaczą wtedy krzyżami, chłopcy z płonącymi miotłami (niby godła spalonych czaro-

(1) Święta Walpurga córka Ryszarda króla angielskiego, siostra św. Wilibalda, siostrzenica św. Bonifacego, w VIII wieku ery naszej była ksienią w klasztorze Hejdenhejmskim w Frankonii. Zwłoki jej spoczywają w grocie klasztoru Benedyktynów w Eichstädt. Jako główna pogromicielka czarów, kanonizowana została w IX wieku. 1 maja, t. j. dzień apostołów Filipa i Jakóba na jej obchód przeznaczony został. Odtąd noc wili na 30 kwietnia uważana była w Niemczech za czas schadzki czarownic i czarowników na sławnym Brokenie, jak u nas schadzki w noc św. Jana na Łysej górze.

wnic) obiegają po wsi, Wreszcie ustawiają drzewo majowe, które stoi zwykle do Wniebowstąpienia. W sam dzień św. Walpurgi chłopcy wiejscy skaczą przez szubieniczki z gałęzi wierzbowych, zwiastując zręczniejszemu szereg pomyślności. Obchód ten, odpowiadający niby świętojańskim naszym sobótkom, jest przecież nie rodzimy łuzyczny, ale napływowy; przejęty od Niemców z wyobrażeniem o Walpurdze. I to też może jedyny nie swojski żywioł w ludowych uroczystościach Nadłabańskich Serbów.

W Zielone świętki stroją domy i kościoły, jak u nas, zielonemi gałęzmi i tatarakiem; a rodzice wiążą w tym dniu różeczki, które w ciągu roku wielce pożyteczną pełnię mają służbę.

Dla uzupełnienia pasma uroczystości ludowych, wspomnieć wreszcie należy dzień św. Jana Chrzciciela; dni apostołów, zwłaszcza też św. Piotra w okowach, i Boże Ciało (*brosma*), obchodzone świętecznie nawet przez protestantów w okolicach Spremberga i Kociobuza.

W zakończeniu krótkiego zarysu naszego, nie godzi się pominąć stowarzyszeń, a raczej kółek prządniczych, które u Łuzycan ważną odgrywają rolę. Przędzenie lnu jest jednym z głównych zatrudnień wiejskiego ludu: od wczesnej młodości siadają dzieci przy kądzieli, a starcy i zgrzybiałe babki przez rok cały od rana do wieczora, od warczącego nie powstają kółka. Jest jednak pewna w roku epoka, szczególnie przedalnym poświęcona zatrudnieniom: to czas od d. 11 października t. j. od św. Burckhardta aż do Popielca. To epoka wieczornic. Prządki wiejskie zbierają się w kółka najwięcej po 12 osób, i po uroczystym otwarciu wieczornic odpowiednim festynem, na którym pieczona geś zwykle rej wodzi, zasiadają do kołowroteków. Zwyczajna wieczornica trwa od godziny 7 do 10 wieczorem, prządki pracują niezmordowanie i bez przerwy; tylko w Sobotę dozwolony jest o 9 wypoczynek kwandransowy. Choć jednak ręce zatrudnione i kółka warczą, nie próżnują przecież i usta. Po wyczerpaniu kwestyj dziennych, całe koło prądek zawodzi śpiew za głosem przodownicy (*zanoserka, kantorka*), która musi mieć w pamięci obfity zasób piosnek i melodyj. W poście śpiewane są nabożne pieśni. Resztę czasu wypełniają opowiadanie klechd, bajek, anegdot lub też rozwiązywanie zagadek. Trzy razy zwykle w ciągu kilkomiesięcznej epoki prządniczej wyprawiane bywają wieczorne zabawy, z zachowaniem orygi-

nalnych obchodów. W Popielec wreszcie (*sazna sreda*), wśród wesółych wyskoków humoru przebijają kądziel (*psazu zakalać*); i od tego dnia, przez całą wiosnę znów i lato tylko dzieci i starcy wyłącznie zajmują się przedzeniem (1).

(1) Ten obraz żwawego krzątania się Łużycan około lnia-nych wyrobów, przykre budzi wspomnienie owego zaniedbania i upadku, w jakie samowolnie tę gałąź przemysłu w kraju naszym wtrąciliśmy.

Przed wieki już ona u nas kwitnęła, przed wieki prababki nasze słynęły ze znawstwa i zabięgliwości około przędzy i kądzie-li. I nie dziw, boż to nasz, rodzimy, swojski przemysł; przed inne-mi od Boga do hodowania nam dany. Ale nam wygodniej kupo-wać pruskie i holenderskie płótna, choć przepłacić wyrób i len własny, niż pomyśleć o płóciennictwie krajowém (\*). Dziś epoka przemysłowych przedsięwzięstw, duch stowarzyszeń coraz szerzej rozplata swą siatkę, i w kilku ostatnich latach przez akcyę dźwi-gnęło się kilka znakomitszych w kraju przedsięwzięstw. Wszak już jedwabnictwo znalazło orędowników i mecenasów: dowie-dziono, że możemy i będziemy mieć własny jedwab; czyżbyśmy więc nie mogli i nie powinni o własném też pomyśleć płótnie? Wszak to tak łatwe zadanie, a jednak warte zachodu, byśmy kie-dyś odpowiedzieć umieli, gdy nas zapytają: cośmy zrobili z wię-tém po ojcach dziedzictwem; a przemysł płócienniczy wielkiemi tam zapisany jest głoskami w tym inwentarzu pośmiertnym. Nie-długo może my i zapomnimy dlaczego Oktober u nas Październi-kiem zwie się, z kąd idą nazwy: Krośniewic, Moczydłowa, Bli-chowa, Linowa, Tkaczewa i t. d; dlaczego rozgłosnie znane płó-tna żaglowe podziśdzień Polacos nazywają: pewnie nie dla szczy-płych zapasów naszych zgrzebnych płócien, ani dla mniejszej je-szcze ilości staranniejszego nieco wyrobu, jaką nam Augustowska gubernia dostarcza. Nie, inném życiem warzeć musiały koło-wrotki po naszych wioskach, gdy je temi nazwy chrzciono. Po-wszędzie i u nas wtedy były takie, jak łuzyckich prządek wie-czornice.

(\*) Mamy np. w tym względzie szacowne bardzo dzieło, oryginalnie przez uczonego profesora Bernhardtta napisane: (Płóciennictwo i t. d. p. Augu-sta F. Bernhardtta. Warszawa. 1842); a iluż między nami znajdzie się takich, co je przeczytali, a przeczytawszy, korzystać zeń pomyśleli?

# PAMIĘTNIKI

*Sabiny z G. G.*

---

(Ciąg dalszy).

Jedną z pamiętnych mi postaci salonu mojej babki był ksiądz referendarz Sołtyk. Połączony z nią związkami powinowactwa, często dom jej nawiedzał. Wysoki, chudy, ubrany nieodmienne w długi prawie do kolan czarny frak, i złoty łańcuch z emaliowanym białym krzyżem, jako znakiem kościelnej jego godności; miał pełne kieszenie zegarków grających, tabakierok grających, dewizek różnego kalibru, a palce jego przykryte były pierścieniami, antykami i nie antykami. Mieszkanie jego literackie było przepełnione różnemi osobliwościami, drogiemi kamieniami, klejnotami, więcéj bogactwem i sztuką, niż dawnością zalecającemi się. Wszedłszy do niego razu jednego z moją matką, zdumiałam na widok tylu i tak obficie porozrzucanych cacek i świecideł; a ksiądz referendarz, który lubił dzieci, a bardziéj jeszcze rad widział wrazenie, choćby na młodych umysłach spowodowane widokiem bogatego zbioru, powiedział do mnie z uśmiechem zadowolenia: „Coś bardzo oczki na wszystkie strony strzelają?” Ale jakże strzelać nie miały, kiedy tyle świecących przedmiotów walczyło z sobą o pierwszeństwo do mojej dziecinnéj admiracyi. Tu misternie wyrobiony kanarek, który śpiewał; tam złote, z prawdziwego złota wyrabiane, pływające rybki; to znów ogromnéj wielkości naczynia złote i srebrne; brzozy, mozaiki i tym podobne przedmioty. Mówią, że najtrafniejsza krytyka jest w ustach ludu i dzieci: otóż ksiądz referendarz znalazł krytykę swojego zbioru w ustach siedmioletniego

W... W..., który zapytany przez niego: jak mu się te wszystkie bogactwa wydają? odpowiedział niewiele myśląc: „O! bardzo mi się wszystko podoba: tak napchane i różne, jak w sklepie zabawek.“

Pamiętni mi także byli, jako prawie codzienni u mojej babki goście, margrabstwo Wielopolscy; sama, Bielińska z domu, siostra słynnej z rozumu ministrowej Łubińskiej, była wzorem kobiet, żon i matek. Miała córkę Krystynę, pełną także cnót i talentów, która poszła za pana Bontani (1). Sam margrabia, potomek starodawniej w Polsce rodziny, i posiadacz znacznego majątku (majoratu), skutkiem okoliczności nieprzyjaznych zaciągawszy długi, prosił króla saskiego, wówczas księcia warszawskiego, aby wbrew istniejącemu prawu o fideikommisie dóbr margrabstwa, wolno mu było spłacić wierzycieli przez sprzedaż dwóch-trzecich części dóbr margrabstwa, a majorat nowy erygować na trzeciej. Margrabia nie miał potomka płci męskiej, ani nawet blizkich bardzo krewnych. Król Niemiec, nieznający rzeczy, z łatwością pozwolił. Ale w lat kilka wraca z zagranicy potomek, na którego głowę spaść miał nowo erygowany z trzeciej części dóbr margrabskich majorat. Wychowany nadzwyczaj starannie, wyćwiczony w naukach, objawiający wielką do interesów zdolność, słuchał kursów filozoficznych i prawnych na uniwersytecie w Getyndze. Ledwie powrócił do kraju, jął się do rozpoznania interesów majoratu i praw swoich do niego; i wytoczył stryjowi, staremu margrabiemu proces, o niewłaściwą sprzedaż dóbr margrabskich: dowodził, że król saski nie miał prawa rozwiązywać erekcyi, od wieków na swój nietykalności istniejącej. Trybunały wszystkich instancyi, głównie zajęte były obustronnemi skargami: z jednej strony staje stary margrabia, otoczony właścicielami nowo nabytych dóbr margrabskich, którzy je w dobrej wierze, opierając się na dekrete królewskim kupili, których znaczna liczba całe swe mienie w te majątki włożyła i zagrożoną jest utratą wszystkiego; z drugiej staje młody margrabia, mający prawo i tradycyę za sobą, i obstający za niemi z energią lat młodzieńczych, i pewno-

(1) Jest w Album mojej matki piękna akwarella, wyobrażająca gałązkę z jabłkami rajskimi przeslicznej roboty, ręką Krystyny Wielopolskiej, dzisiejszej pani Bontani wykonana, a obok ośmiowiersz *O przyjaźni*, w języku włoskim. (*Przyp. aut.*).

ścią że wygra. Proces ten o ile wiem, gdyż opuściwszy w roku 1826 nazawsze krakowskie, przerwałam stosunki z osobami dobrze mogącemi mię zainformować, został rozstrzygnięty o ile tylko słusność z prawem zgodzić się mogła. Wierzycciele i posiadacze dóbr margrabskich wynagrodzeni, a margrabia wrócił do posiadania głównej stolicy majoratu, miasta Pińczowa (1). W bardzo młodym wieku, często przejeżdżałam z moją matką przez Pińczów; pamiętne mi jest jeszcze miasteczko dość duże, ale źle zabudowane, rodzinami żydów zapchane, rozłożone na ogromnych i piaszczystych bagnach, mające stromą górę, na której widać jeszcze zwaliska starego zamku; tu owdzie porozrzucone ciosy, marmury, mozaiki, które kiedyś służyły za ozdobę temu przybytkowi, a dziś leżą bez użytku, jakby na świadectwo znikomości rzeczy ludzkich. Tradycya niesie, że zamek ten był rozwalony przez matkę przedostatniego margrabiego, która w napadzie umysłowej choroby, kazała go zburzyć aż do podwalin, niby dla szukania ukrytych w nich skarbów; a w jego miejsce u stóp góry, nowy, niezbyt duży, o jednem piętrem pałac, który do dziś dnia istnieje, postawić kazała. Odwiedzałam w nim starych margrabstwa, którzy tu czasowo zamieszkali. Później odwiedzałam ich już nie w pałacu, ale w niskim pod strzechą domku, gdzie wraz z nimi zawitała ich szczerą i staropolską gościnność, ich dobroć i uprzejmość; zawitały także dzieła sztuki, obrazy, rzeźby, zabytki starożytności, które z pałacu pińczowskiego, niestałość losów i rzeczy ludzkich, aż pod ten skromny dach wraz z niemi zagnała. Przykry to zaiste był widok dwojga tych szanownych starców, chylących głowy swoje, przywykłe do wspaniałych pałacowych sklepień, pod niskie drzwi folwarcznego budynku; przykrzejszy stokroć jeszcze widok tych zabytków dawniej wytworności i zbytku, spojonych z niedostatkiem chwil obecnych!... Gdy margrabstwa już nie było w Pińczowie, zatrzymywaliśmy się zwykle u Chroberskiego, żyda utrzymującego zajazd. Był to typ owych poczciwych żydów, których czasami napotkać można: potulny, przychylny, rzetelny, i bez krzywdy ludzkiej proceder swój prowadzący. Ubrany w watowany kaftan perkalikowy, w kwiaty czerwone duże, na tle czarném, w ogromnej futra-

(1) Czy też kupił na własność, tego, dobrze nie wiem.

(Przyp. aut.).



nój nakształt bermycy czapce, pan Chroberski (tak go zwykle wszyscy obywatele i okoliczni sąsiedzi zwali), wychodził aż za bramę swojego zajazdu na nasze przyjęcie; i tak nas witał, jakby swoich najlepszych przyjaciół. Poczém zaprowadzał nas do izby niby gościnnój, z której na łeb na szyję żydowskie bety jego synowój i jój dzieci, i kolebki wyrzucali. Przed trzydziestą laty nie było jeszcze po wsiach i małych miasteczkach, owych wspaniałych zajazdów, pałaców z kolumnami i pięknymi w guście włoskim wystawami, w których, mówiąc nawiasem, i dziś często bardzo, ani jednéj szyby w oknach nie ma: mury poobtlukane, brak tu i owdzie dachówek i gontów, a pokoje tak zwane gościnne, o jednym kulawym stołku, sofie obdartój i drgającym stole, z którego za przybyciem podróżnych wymiatają co tchu pajęczyny, palą w dymnym piecu, i skostniałego od zimna gościa, pod wiejącém sadzają oknem. Wprawdzie łatwiej to jest na wzór zagranicy stawiać pałacowe zajazdy, jak ludowi naszemu odrazu wmówić niemiecką systematyczność, czystość i porządek. Ale wróćmy się na chwilę do zajazdu pana Chroberskiego. Że zwykle przejazdy nasze zdarzały się w lecie, trudno nam było wiedzieć, czy jego piece i kominy dymiły; ale choćby i tak było, jego serdeczna i szczerą gościnność, na wszelkie niedogodności i brak, pobłażającemi być kazały. Kiedyśmy się już rozgościli, i pan Chroberski starannie dopilnował, aby dano wygodę koniom i ludziom; przychodził zwykle do mojej matki na pogadankę, którą niezmiernie lubił, niby pod pozorem dowiedzenia się czy jój czego nie brakuje. W czasie téj wizyty, wszystkie nowinki okoliczne na stół wychodziły. Naprzód cena zboża, wełny, okowity; narzekanie na brak handlu, taniość ziarna, ciężkie czasy: bo za czasów pana Chroberskiego, Polska nie przestała być jeszcze tą ziemią, która kiedyś całej Europie chleba dostarczała, i jeżeli na co narzekano, to na taniość: nigdy, jak teraz, na głód, brak i drogość ziarna. Prawda, że dawniej nie było słyhać jak dziś o chorobie kartosli, która równie jak wiele chorób ludzi, znaną nie była. Jak tedy pan Chroberski narzekał na ciężkie czasy, tak téż jak ja dziś, chwalił dawne i już niepowrotne: wszystkich nieboszczyków wspominał, aby wychwalać ich zamożność i hojność. Znał wszystkie stosunki, wiedział o stanie majątkowym obywateli nietylko okolicznych, ale całego województwa: o długach, processach, komprommi-

sach, układach, imieninach, zjazdach. O każdym mówił jak o swoim najlepszym znajomym. Dla mojej matki był z wielkim szacunkiem, a mnie głaskał po brodzie, nazywając zdrobniale po imieniu; tak samo i mojego brata, którego *Floruniem* nazywał, gdy już mężczyzną pod wążem z żoną i dwoma najstarszemi synami przez Pińczów przejeżdżał i u niego na nocleg zatrzymał się. Z rana wyprawiając gości, nigdy nie omieszkął staruszek, gdy już moja matka siedziała w karecie, napominając powoźczych, aby wyjeżdżając pod ogromną stromą górę, omijali bagna i kamienie; nastęczał im nowe, nieznane jeszcze boczne drogi, i tym podobne dobroczynne dawał przestrogi: bo moja matka, jak wiele kobiet dawniej, a czasem i dziś jeszcze, niezmiernie się drogi bała. Ale znów zrobiłam wycieczkę z salonu mojej babki aż do Pińczowa i żyda Chrobberskiego: niech mi ją czytelnik przebaczy, albo niech porzuci te wspomnienia, bo ich tu więcej takich będzie. Mimo całej chęci trzymania się porządku dat w mojem opowiadaniu, niepodobna jest uniknąć tych wycieczek: już dlatego samego, aby nie urywać interesu i ciągu w opowiadaniu wypadków.

W liczbie bliższych przyjaciół mojej babki były dwie panie G... które tu zwać będę po tytule jaki im dawano. Obie rodzone siostry, poszły za dwóch rodzonych braci, panów: szambelana i prezesa Gostkowskich. Byli oni stryjecznie rodzonemi braćmi mojego ojca (1), nadto pan szambelan był jego od serca przyjacielem, opiekunem jego młodości i ojcem chrzestnym mojego brata. Nosił się po polsku, u szyi błyszcząca prześlizczna, cudnej wody brylantowa spinka; nosił perukę krojem starych Polaków, tojest żydowskich mycek, tylko nie tyle na czoło zachodzącą. Kiedy pisał do mego ojca, nigdy inaczéj, tylko: „Jaśnie Wielmożny Bratuniu Dobrodzieju!” na wierzchu listu tytułował go; a kończąc list, nie zaniedbał dodać téj formy: „JWW. Pana Dobrodzieja życzliwy brat i sługa.“ Gdy przejeżdżał w czasie feryj sądowych do Opatkowic (majątku mojego ojca), miał zwyczaj mojemu bratu, jako swemu chrzestnemu synowi, dawać dukata holenderskiego, których, jak kronika opie-

(1) Szambelan i prezes Gostkowscy mieli jeszcze trzeciego brata starostę cichowskiego, który mieszkał w Galicyi. Ich ojciec miał sobie nadany tytuł barona państwa rzymskiego, którego jednak brat jego a mój dziadek, generał Gostkowski, nosić nie chciał.

(Przyp. aut.).

wała, miał podostatkiem; i nie zapomniał nigdy dodać te słowa „Na bułkę papieru“. Mój brat, który nigdy nie miał tyle pieniędzy razem, był niezmiernie ucieszony, a ja trochę zazdrościłam, mówiąc do siebie: „O! jaka to szkoda, że to nie mój chrześtny ojciec!“ Oboje państwo szambelaństwo mieli dom otwarty; utrzymywali się bardzo przyzwoicie, a przytém byli niezmiernie gościnni. Jak drudzy ludzie obierają sobie w życiu jakiś cel lub zamiłowanie: jeden skupuje obrazy i posągi; inny kładzie niezmiernie kapitały w ogrody, oranżerye, budynki; inny w zabytki starożytności: tak szambelaństwo tracili znaczne dochody na przyjmowanie gości. Ona szczególnie, która o lat kilkanaście męża przeżyła, posunęła umiejętność życia aż do sztuki, a czasem aż do pedanteryi. Równie uprzejma dla wszystkich, każdemu umiała wynaleźć w swoim domu odpowiednie dla niego przyjęcie, towarzystwo, rozmowę i zajęcie. Miała tę rzadką bardzo dogodność, że posiadała majątek; a dochody i wydatki tak uregulowane, że jej zawsze na wszystko wystarczało, i przez lat czterdzieści niezmiennie, lato przepędzała na wsi, zimę w Krakowie, gdzie miała sobie po mężu dom w dożywocie pozostawiony. Zajmowała go cały, a resztę mieszkań przeznaczala dla przyjaciół i przyjezdnych. Na wsi, co niedziela, były u niej zjazdy z całego sąsiedztwa; w mieście przyjmowała codzień wieczorem, a dwa razy na tydzień bywały u niej obiady proszone. Na obiady uczęszczało całe krakowskie towarzystwo, zaczawszy od najwyższych do średnich warstw; ale tak gości swoich spraszała, i tak ich sztucznie dobięrała: że nie było między nimi żadnej mieszaniny, i wszyscy z sobą urodzeniem, majątkiem, usposobieniem, a nawet wyobrażeniami i wiekiem harmonizowali.

Jest sztuka, którą nasi przodkowie daleko w wyższym stopniu posiadali jak my: to jest ten takt połączenia względów światowej przyzwoitości i harmonii, z koniecznemi stosunkami pokrewieństwa i dawniej przyjaźni, których zrywać nigdy nie wazyli się. Dziś, jeżeli kto się z bogaci, lub na wyższy awansuje urząd, już się nie pnie do salonów wyższego społeczeństwa: zapomina o dawnych znajomościach, któreby rad już nigdy nie widział, bo mu przypominają chwilę jego mauluczkości i niedostatku. Przodkowie nasi nie zrywali z uboższymi: znaleźli oni czas i sposobność i do nowych znajomości, i do szanowania starych. Listy osób zaproszonych na obiady do pani szambelanowej, były przez nią samą starannie układane

i przeglądane. Potomek historycznego nazwiska, i prosty szlachcic na zagrodzie; uczony i artysta, podupadły magnat i spanoszony bankier; obywatel i skromny urzędnik, podstarzała matrona i wymuskana lwica; elegant i długo-frakowy doktor: wszystko to znalazło miejsce u stołu, zawsze i równie obficie i wykwintnie zastawionego. Każdy doznał równie gościnnego i serdecznego przyjęcia, wyszedł z tego domu nawpół uszczęśliwiony i w własnym przekonaniu wywyższony. Cała sztuka tych obiadów zależała na harmonii zaproszonych, i na tém, aby jedni z drugich byli kontenci. Proszeni więc byli albo koteryami, albo tak, aby wszyscy goście o ile można było zbliżeni byli pozycją w świecie, majątkiem, rozumem i talentami; aby nikt w własnym ani cudzym wyobrażeniu nie czuł się upokorzonym. Żaden malarz z dokonanego arcydzieła, żaden autor gdy mu się uda wydać książkę, która narobiła w świecie hałasu; żadna matka patrząca na urodziwą córkę, nie mogą być więcej uradowani, jak pani szambelanowa patrząc się na swoich gości i błogie skutki swjej salonowej dyplomacyi. Gdym przepędzała już po zameściu mojem zimę w Krakowie, i zdarzało mi się być na którym z tych obiadów, nieraz pani szambelanowa zaszczycająca mię swą łaską i zaufaniem, siadała przy mnie, i tłumaczyła mi z całą powagą dyplomacyi: dlaczego zaprosiła tego dnia tę, a nie inną osobę; dlaczego syn jej starszy, który robił honory domu, podał z jej rozkazu rękę pani P... a nie pani W...; dlaczego umieściła obok siebie przy stole starego pułkownika z czasów księstwa warszawskiego, i podupadłego księcia, dawnego z owych czasów prefekta; dlaczego panu Z. młodemu człowiekowi, pełnemu życia i elegancyi, kazała usiąść obok stariej pani P... matki dwóch młodych i bogatych panien. To wszystko rozpowiadała mi z takim uśmiechem zadowolenia z siebie, takim przekonaniem o swojej umiętności życia i przyjmowania: że wlała we mnie toż samo przekonanie, i winnowałam jej téj umiętności.

Oprócz zamięłowania gości, wieczorów i proszonych obiadów, pani szambelanowa miała jeszcze inne zamięłowanie: lubiła kojarzyć małżeństwa. Przez lat niemal czterdzieści nie było łączącej się pary, którejby była pośrednio lub bezpośrednio, wpływem swoim, stosunkami i znajomościami nie połączyła. Jeżeli się znalazł w mieście lub okolicy kawaler z pewną sytuacją i wieku stosownym na męża: już on miał wybraną sobie żonę w my-

śli pani szambelanowej. Przywoływała go do siebie, do zielonego zaraz obok salonu gabinetu, gdzie z całą względnością, umiarkowaniem i taktem dała mu do zrozumienia: że dla niego czas się już żenić, że dobra jego są zadłużone, i że właśnie ma dla niego żonę, która mu wniesie posag wystarczający na zaspokojenie wierzycieli, spłacenie młodszego rodzeństwa lub dożywocia matki: i niebawem zaprasza młodzieńca na obiad, na którym ma się znajdować panna z rodzicami. Pani szambelanowa nie miała wad zwyczajnych swatom płci obojój: nie była ani ruchliwą, ani gadatliwą, ani zbyt ciekawą i mieszającą się w cudze sprawy. Ta przyjemność w kojarzeniu małżeństw, pochodziła z serca chcącego wszystkim usłużyć i dogodzić; a może też (ale niech to będzie tylko wiadome czytelnikowi i mnie), trochę z próżności doprowadzenia do skutku każdej czynności, do której trzeba zwykle taktu, sprytu, trafności, oraz znajomości świata i ludzi. Życie pani szambelanowej tyle było zespolonem z życiem towarzystwa krakowskiego i sąsiadów z *Kuchar* (1), że się zdawało: że jój strata, widoczną im zrządził szkodę. Nie wiem z jakiego powodu, ale ta, która osobę swoją, czas, znaczne dochody drugim poświęcała, w niewielu bardzo sercach pozostawiła po sobie długą i rzewną pamięć. Nic łatwiej nie zapomina się, jak uciechy i przyjemności życia, kiedy silne uczucie ważnej w nich nie odgrywa roli; ale co nie powinno się było zapomnieć, to hojność pani szambelanowej dla ubogich, którym niezawodnie jedną szóstą część dochodów swoich w ofierze niosła; to jój dobroć i poświęcenie dla krewnych, przyjaciół i przyjezdnych do Krakowa. Żadna z jój młodych krewnych nie szła za mąż, żeby ją droгим upominkiem, a co miłszém jest, współczuciem i pamięcią nie obdarzyła. Ktoś z obcych przyjeżdżał do miasta, brakło mu stosunków, a chciał się bawić: pani szambelanowa dawała obiad lub wieczór, w celu prezentowania przybyłego towarzystwu; na drugi zaś lub trzeci dzień, obwoziła go po poważniejszych domach. W końcu życia nie bywała w teatrze, ale szło jój głównie o to, aby aktorowie mieli dochód, a przyjaciele i cudzoziemcy lożę; abonowała więc lożę w teatrze. Mało wyjeżdżała, ale jój kareta była na zawołanie wszystkich bez wyjątku znajomych, którzy własnej nie mieli. Jeżeli ktoś z młodszych przyjaciół lub kre-

(1) Jój majątek, gdzie lato przepędzała. (Przyp. aut.).

wnych dawał wieczór, a mało był doświadczony w formach przyjęcia: szambelanowa przyjeżdżała na kilka godzin naprzód, i tyle się utrudziła uorganizowaniem balu, jak gdyby to o nią samą chodziło. Jak my wszyscy, miała swoje słabostki: lubiła naprzykład stroje i wykwiint w przyjmowaniu; ubierała się zbyt kowo; u siebie i na wsi bywała co dzień ubrana w róż, pióra i atłasy; miała po kilkanaście kaszmirowych szalów, a coraz inne skupowała. Sprowadzała z Czech pakami bażanty, miała w Kucharach sztuczną kuropatwiarnię, i zawsze podstawkiem zwierzyny. Ten zbytek, który dziś zdaje się niczem, bo któż nie je trulli i bażantów, i nie wymaga ich przy staranniejszym obiedzie, przed laty 25-ciu, a tém bardziej 30-stu, był osobliwością. Zresztą łatwo się zdobyć na jeden kosztowny obiad w czasie zimy; ale u pani szabelanowój, bądź w mieście, bądź na wsi, bywało ich kilkadziesiąt na rok, oprócz codziennego bardzo przyzwoitego życia. Wszakże na wszystko jój wystarczyło: była rządna, oszczędna, niezmiernie w domu czynna; miała wszystkich ludzi dawnych, wiernych i bardzo do pani przychylnych. Szambelanowa wydała starszą swoją wnuczkę i wychowankę, Stefanią Walewską, za Józefa Gurowskiego, brata owego Ignacego, który wychowując się w Paryżu, miał sposobność poznać i ożenić z infantką hiszpańską, siostrą dzisiejszego króla hiszpańskiego. Zdarzyło mi się widzieć listy infantki pisane do rodziny męża, a mianowicie do Stefanii Gurowskiej: są proste, uczuciowe, serdeczne, jak gdyby je pisała każda inna krewna za granicą przebywająca. Ta sama prostota daje się spostrzedz w układzie infantki i w całym jój domu w Brukseli, gdy kto z krewnych lub rodaków jój męża, odwiedzi młodą parę, a rada ich bardzo przyjmuje.

Szabelanowa Gostkowska (1) miała, jak to wyżej powiedziałam, starszą siostrę, panią prezesową, którą powszechnie w rodzinie, a nawet w towarzystwie, *panią Wincentą* zwano. Obie te panie były charakterem, gustami i nawyknięciami, dwa polarne przeciwieństwa. O ile młodsza lubiła ludzi i była im duszą i sercem oddaną; o tyle starsza stroniła od nich, i z mał-

(1) Biédaczka tragicznie pocziwy żywot swój skończyła. Siedzący, upuściła kluczyk na ziemię; szukając go ze świecą, zapaliła sobie czépek: mocno się w głowę poparzyła i w dni kilka z przestachu umarła. (Przyp. aut.).

go kółka, doktora, domowych i kilku od wiecznych znajomych, nie wychodziła. Zwykle bywała ponura i milcząca, uchodziła za *savantkę*, jak mówiono w owych czasach: co w téj epoce zaniedbania umysłowego wychowania kobiet, było osobliwością. Opiniami swojemi była *Wolterzystką*, czemu przypisać należy jój charakter nieco zimny i samolubny; bo kobiéta która o Bogu wątpi, niezawodnie nikogo prawdziwie nie kocha. Jój wyłączném zamiłowaniem były książki, które w kilku językach starannie i z wielkim kosztem zbierała. Zbiór swój z kilkunastu tysięcy tomów, Akademii krakowskiej, testamentem zapisała. Ci, którzy ją bliżej znali, utrzymywali, że była rzeczywiście wysoko ukształconą, że miała wiele nauki i światła: nie przeczę temu, ale jój obejście, mowa i cała powierzchowność nie odpowiadały bynajmniej temu zamiłowaniu. Kiedy się ją widziało w wielkim, jasnym pokoju przepelnionym szafami z księgami, mappami, globusami, rękopismami, które zwykła pokazywać wybranym swoim: wyjść nie można było z podziwienia, jakim cudem to wszystko tam znaleźć się mogło. Z natury podejrzliwa, zwykle ani pożyczać, ani pokazywać swych literackich skarbów nie lubiła. Panna Cecylia D... znana z dowcipu jak jój bracia i siostry, zwróciła raz uwagę naszej literatki na szkodę wyrządzaną ogółowi przez jój trudność w udzielaniu książek, i nakłaniała, aby reformę swoją zaczęła od pożyczenia jój samój pewnej upragnionój książki.

— Kiedy chorążanka chcesz czytać książki, to je sobie kupuj!— było jedyną odpowiedzią nieużytej kobiety.

Życia swojego smutnie dokonała: cała prawie sparaliżowana, umarła w krześle, z którego nie wstawała przez lat sześć, i w którym ją wożono, karmiono, bo żadnej władzy w rękach i nogach nie miała. W ostatnich dwóch latach nawróciła się zupełnie; mszy słuchała w swoim pokoju, i życia po chrześcijańsku dokonała.

Do liczby osób więcej mi pamiętnych w ówczasowém (1818 r.) poważném krakowskiém towarzystwie, należeli naprzód: ksiądz Sierakowski, kustosz katedralny (brat wojewody, którego później w Warszawie poznałam). Ksiądz Sierakowski miał wielkie zamiłowanie w budownictwie, a kieszenie nosił przepelnione planami na rozmaite budowy. Przez lat wiele nikt nie postawił kościoła, domu, stodoły, obory nawet, żeby się nie radził księdza kustosza, i nie brał od niego planu. Ksiądz Łań-

cucki, prałat-infułat kościoła Panny Maryi, czytany i świątły, ale poeta dość mierny, napisał wiersz do *Kluski*, która go trochę przypomina: bo był jak kluska gruby, krępy, biały, jak nalany. Jego postać jest mi pamiętną, a to z wielu względów. Bywał na wszystkich mniejszych i większych zgromadzeniach; on zwykle śluby dawał, umarłych, w infule z pastorałem exportował, w oktawę Bożego Ciała na Maryackich processjach (processjach z kościoła Panny Maryi) celebrował, a w Wielki Czwartek dwunastom klerykom nogi umywał. Pan Stanisław Wodzicki, ówczasowy prezes senatu rzeczypospolitej krakowskiej, znany botanik, zbieracz roślin, autor znamienitego dzieła O ogrodnictwie, i założyciel słynnego w okolicy ogrodu botanicznego w własnych dobrach *Niedźwiedziu*. Chudy, miernego wzrostu, postać jego odznaczała się umbrellką na oczy, którą zawsze nosił. Żona jego z domu Jabłonowska, była jedna z tych rzadkich kobiet, co to zamiłowanie świata i ludzi umieją godzić z obowiązkami domowemi skrupulatnie wykonywanemi. Była najlepszą żoną, matką; sama doskonale administrowała znacznym bardzo majątkiem. Miała pięć córek i dwóch synów. Najmłodsza z córek Emilia, moja rówiennica, poszła za szwagra swojego, wdowca po jej siostrze Anieli, Zygmunta Działyńskiego. Pamiętny jest wiersz Woronicza z okazji ślubu Anieli Działyńskiej. Franciszek, starszy syn zimował w Warszawie w roku 182<sup>8/9</sup>. Coto są pierwsze wrażenia dziecięcego wieku: chowaliśmy się prawie razem w Krakowie, widując się ledwie nie co dzień to na spacerach, to na balikach dziecinnych, to wzajem odwiedzając się z bonami i nauczycielami. W owym roku 182<sup>8/9</sup> mieszkalam z moim ojcem w Warszawie. Jednego wieczoru byłam na małym zebraniu u księżnej Tekli Czetwertyńskiej, gdzie w gronie młodzieży zobaczyłam Franciszka Wodzickiego; poznałam go odrazu, choć lat jedenaście upłynęło od ostatniego naszego widzenia: a lat jedenaście w młodości, stanowią wiek cały. Od lat ośmiu do dwudziestu, ulega się zupełnemu przeobrażeniu. On mnie poznał, przywitaliśmy się jak starzy znajomi. Nie mogę tego powiedzieć o siostrze jego Emilii Działyńskiej, którą będąc chwilowo w Krakowie w roku 1833, spotkałam na balu u Laurensa rezydenta austryackiego. Siadła obok mnie, długo mi się przypatrywała nie mówiąc ani słowa. Wprawdzie miała do tego powód: była już mężatką, a ja tylko panną. Nie mogę przypuścić innego, gdyż



musiała przecież wiedzieć, kto jestem, skoro przyjechałam na ten wieczór z Mikołajową Gostkowską, w towarzystwie jej rodziców, prezesostwa Wodzickich, i w ich ogromnej jak arka Noego karecie. Ten wieczór jest mi z wielu względów pamiętnym: znajdzie on może miejsce w tych pamiętnikach, ale później, gdyż nie chcę uprzedzać daty, o co mnie już i tak nieraz czytelnik zapewne oskarża.

W roku 18<sup>17</sup>/<sub>18</sub>, na tę zimę, rodzice moi najęli całe pierwsze piętro i dół domu, dawniej Komorowskich, przy ulicy Różanej. Na górze było kilkanaście pokoi i salon o sześciu oknach, jeden z najobszerniejszych w Krakowie, w którym osób dwieście wygodnie mieścić się i tańcować mogło. W tym roku bywało bardzo wiele balów i wieczorów dziecinnych prywatnych, i trzy kinderbale, które rok rocznie dawali nauczyciele tańców, państwo Kuder, Francuzi z Alzacyi, dość złym akcentem mówiący po francuzku; sami w nieskończonych entreszatakach i lansadach wyginający nasze nogi bez miłosierdzia, i narzucający gwałtem bilety. Bale te bywały w sali Knotza na ich korzyść, i składały się z ich uczniów i tychże rodzin. Broń Boże, żeby kto się nie stawiał; byłby to grzech nie do darowania w oczach państwa Kuder. Były zwykle dwa koła tańca, w których państwo Kuder przewodniczyli, bijąc w takt i krzycząc do rozdarcia gardła *chassé croisé, balancé* i t. p.: termina używane w tańcu. Wśród przerw tańca, faworytalni uczniowie lub uczennice państwa Kuder, zwykli się byli popisywać jakim tańcem *solo*; co wówczas było bardzo w modzie, z wielką dumą nauczycieli, a radością matek. Były to zwykle: szal, gawot i inne, których uczono dla układania nóg i figury. Na pierwszym z tych balów, na którym byłam, pocieszny mi się wydarzył wypadek. W bocznym pokoju był przyrządzony bufet, zdobny w kwiaty i napełniony łakociami, które tak mile dziecinne podniebienie łechcą. Ujrzawszy zdaleka, przechodząc, te stosy pomarańcz, cukrów, ciasteczek różnego kalibru, tak powabnie do siebie wabiących; nie mogąc przewyciężyć pokusy, zdołałam się wyrwać mojej matce i guwernantce, prowadzących mnie za rękę, i przesunąć się niepostrzeżona przez tłum osób zapelniających salę. Przybiegłszy do bufetu, zaczęłam w najlepsze wybierać, co mnie najwięcej pociągało: kiedy pani buffetowa w pióra i kwiaty strojna, widząc mnie zabierającą się do odejścia ze zdobyczą, bardzo grzecznie upomniała się o zapłatę. Przy-

zwyczajona do prywatnych wieczorów, a nieznając jeszcze zgoła balów i zgromadzeń publicznych, nie mogło mi się w głowie pomieścić, żeby się płaciło za chłodniki. Łatwo sobie można wystawić moje zadumienie i pomieszanie, gdym się raptem ujrzała przyaresztowaną za dług. Oniemiałam, zaczerwieniłam się, łzy już były za pasem; kiedy przecie weszła moja guwernantka do bufetu, i z tego kłopotu mię wybawiła. Ten wypadek przypomina mi inny, niemniej nauczający dzieci, aby nie robiły bez namysłu i zastanowienia. Na jednym dziecinnym wieczorku u krewnej mojej matki, pani Popielowej, rozbawiona i roztańcowana, przyszło mi do głowy, zabawę, która mię bardzo zajęła, powtórzyć nazajutrz; i niewiele myśląc, wszystkich młodych moich znajomych i znajome, nie uprzedziwszy mojej matki, pospraszalam na wieczór dnia następnego. Wstawszy rano szczęśliwie o owych zaprosinach zapomniałam, i proszę sobie wystawić moje zmartwienie i zadumienie mojej matki, która się właśnie gdzieś na wieczór ubierała, kiedy o godzinie siódmej zajężdża kareta po karecie, i sypią się do nieoświetlonego salonu dzieci postrojone z guwernantkami, guwernerami, bonami i matkami. Biędna moja matka nie wiedząc o niczem, gubiła się w domysłach, co spowodować mogło nadzwyczajny zjazd gości; goście byli pomieszani, nie widząc żadnego na ich przyjęcie przygotowania: i nie wiem, jakby wszyscy byli wyszli z tego przykrego położenia, gdyby moja matka, domyśliwszy się w końcu wszystkiego, nie była poprostu opowiedziała przybyłym swoją niewiadość, a moje nedorzecznosc. Rzecz się przecie szczęśliwiej skończyła, jak na to zasłużyłam. Moja matka na wieczór nie pojechała, porzysyłano wszystkich, kto żył w domu, do cukierników i sklepów korzennych; kucharz nasz jak mógł, gniewając się i klnąc na czem świat stoi, z pomocą kucharza mojej babki sporządził kolacyą: bawiono się do drugiej po północy, co jest nadzwyczajnością na dziecinnych balach. Ta wina mi jednak na sucho nie przeszła: moja matka dawszy mi napomnienie, skazała mię na siedzenie w domu przez resztę karnawału, co było dla mnie umartwieniem nie do opisania; żadne prośby, łzy i płacze, tego postanowienia matki zmienić nie mogły.

Moi rodzice mający wiele krewnych w krakowskiem towarzystwie, musieli przyjmować u siebie liczne zgromadzenia, a w ciągu zimy dawali wieczór tańczący jak mówiono, na cały Kraków: co było koniecznym obowiązkiem każdego, kto miał

dom otwarty, albowiem nie można było posłać zapraszającego biletu do jednych, z wyłączeniem drugich. W owym czasie, tojest w latach 1817 i 1818, krakowskie towarzystwo nie było rozdzielone na familijne kółka i koterye, jak to później, będąc tam w latach 1845 i 1846 uważałam. Stanowiło ono w téj oddalonej epoce, którą dziś opisuję, łańcuch rodzin połączonych z sobą związkami krwi lub powinowactwa; i to w tym stopniu, że niewiele było domów, któreby jakimkolwiek stosunkiem nie były ze wszystkimi innymi spokrewnione. Starodawne uszanowanie ojców naszych dla związków rodzinnych, choćby najdalszych, a obok niego serdeczna gościnność, najdłużej utrzymywały się w poważnym Jagiełłów grodzie. Jego towarzystwo składało się z kilkudziesięciu rodzin przyjeżdżających do miasta na zimę, aby się rozerwać po trudach zmudnego i kłopotliwego gospodarstwa, przy wistowym stoliku, lub patrząc na wirujące pary walca, lub rześkiego mazurka. O ile mi wiadomo, towarzystwo to do roku 1822 złożone było z jednolitych żywołów. Była to dawna zamożna szlachta, w której zawadziło się gdzieniegdzie nazwisko, mające prawo do dziewięciu gałek, tak szczerze przez rząd austriacki rozdawanych; co mu wszakże nie przeszkadzało żyć z drugimi w stosunkach towarzyskiej równości. Ta szlachta w braku historycznej i zamożniejszej, stanowiła miejscową arystokracją, i oddzielała się w zupełności od koteryi tak zwanój miejskiej, czyli kupców. Te dwa towarzystwa były sobie obce, nie spotykając się nigdzie; a jeżeli rzadkiem zdarzeniem jakieś *kassyno*, które się nigdy w Krakowie nie udawało, lub jaki bal publiczny na ubogich, połączył je; to dlatego, aby tém wyraźniej wystąpiła wzajemna obu stron przeciw sobie niechęć i zazdrość. Zdarzały się wypadki, że tańcząca młodzież, tak daleko te manifestacye posuwała: że przychodziło do żywych sporów i kłótni. I tak: jednego wieczora młodzież szlachecka, tańcząc po jednej stronie obszernej sali Knotza, wyciągnęła niby z niechcenia i przypadkowo, linią demarkacyjną stołkami, zmusiwszy niewiadome jój celu damy usiąść na nich, a tém samém każdemu nienależącemu do jój grona profanowi, zagroziła przystęp do swego koła.

Takie wypadki zawsze gorszące, wiele krzywdy ubogim robiły: gdyż miasto nie chcąc się narażać na podobne sceny, na następnym balu nie ukazało się, i sala była prawie pusta.

Do roku zatém 1822 nic nie zmieniło szlacheckiej równości, istniejącej między członkami krakowskiego towarzystwa, kiedy jakoś około tego czasu, przybyły do Krakowa dwa domy, Ar. i Al... P..., które z czasem przywabiły i inne z sobą spokrewnione Lu... S... i t. d. Artur Potocki, syn Jana i Julii z Lubomirskich, dawny adjutant i nieodstępny towarzysz księcia Józefa Poniatowskiego, jeden z najpiękniejszych, najwaleczniejszych i najdowcipniejszych ludzi swojego czasu, posiadający olbrzymi majątek jużto z siebie, już téż przez ożenienie z Zofią Branicką; znudzwszy się i światem i podróżami, upodobawszy sobie wolne od wszelkiej etykiety i spokojne życie staropolskiego grodu: zapragnął w nim zamieszkać. Wszystko tu mu się podobało: odwieczne pomniki przypominały mu przeszłość tyle drogą, pięknej Potockiego duszy; przepyszne okolice wabiły oko; górzyste położenie, powietrze zdrowém czyniły: a on już czuł w sobie zaród choroby, której w lat kilka uległ. Przedewszystkiém przynęciły znudzonego hałasem i zgiełkiem wielkich miast puste ulice Krakowa, jego samotne mury, brak dworu, książąt, panujących, ministrów i ambassadorów. Osiadłszy więc w Krakowie, kupił pałac zwany *pod baranami*, znacznie powiększył go, przyozdobił, i na swoje stałą rezydencyą przeznaczył. Żona jego Zofia Branicka, niezmierne bogactwa w dom jego wniosła. Córka owéj słynnej z olbrzymiego majątku pani Branickiej, była jedną z pierwszych w kraju naszym partyi. Cesarz Alexander, który wielce poważał panią Branicką, protegował małżeństwo Artura Potockiego, ówczasowego swojego adjutanta, z panną Zofią. O pani Branickiej, różne krążyły anegdoty. Jój kassą był obszerny pokój, którego wysokie a wąskie w stylu gotyckim okna, były kratą obwiedzione: dokoła stały beczki różnej wielkości przepełnione workami złota i srebra; po kątach leżały duże tychże metali sztaby, po kilkadziesiąt grzywien ważące. U drzwi wchodowych stała warta nadwornych kozaków, których pani Branicka trzymała kilka tysięcy na swoim koscie. Posiadała dobra w ziemi, których rozległość niezawodnie przechodziła niejedno niemieckie księstwo pierwszego i drugiego rzędu, a była skąpa aż do śmieszności. Powiadano mi, że były na jój dworze dwie panny respektowe, których całém zajęciem było skrzętnie zbierać kawalki pozostałych świec woskowych; i odsełać je do fabryki, aby się broń Boże

najmniejsza ich cząsteczka nie zmarnowała. Pan Artur Potocki był tym z jój zięciów, którego pani hetmanowa najbardziej lubiła. Gdy ją raz jednego odwiedzał w jój dobrach na Białorusi, kazała potajemnie przed nim powyjmować z jego podróżnych kufrów suknie i bieliznę, a na ich miejsce włożyć worki z pieniędzmi. Niespodzianka prawdziwie Krezusowska! Nie wiem, czy przypadła do smaku panu Arturowi Potockiemu, ceniącemu podobno więcej swoje wygodki niż pieniądze, których i swoich miał podostatkiem. Powiedzieliśmy wyżej, że został on adjutantem Cesarza Alexandra, który po ogłoszeniu królestwa Polskiego rad był otaczać się dawnym sztabem księcia Józefa Poniatowskiego; i że ten monarcha się przyczynił do jego ożenienia z panną Zofią Branicką. Można powiedzieć o tém małżeństwie, że się połączyły dobroć z dobroczynnością. Lud krakowski nie przestaje opowiadać mnogich przykładów dobroczynności téj szlachetnej pary. Gdzie tylko głód, nędza, niedostatek, straszne swe rozpostrzały rządy, już można ją było widzieć niosącą pomoc i pociechę; słowem, ogromny majątek, nie mógł się w lepsze i uczynniejsze dostać ręce. W uczynkach chrześcijańskiej miłości Potockiego, przebijały wesołość, oryginalność i dowcip trochę excentryczny, byłego adjutanta księcia Józefa. Doniesiono mu jednego wieczora o biédnym stanie przekupki, która utraciwszy dość młodo męża, pozostała sama z sześciorgiem dzieci i sparaliżowanym ojcem; liczną tę rodzinę, pracą rąk swoich wyżywić nie mogła, i potrzebą przynaglona, wyprzedala się do ostatniej poduszki. Rozczulony Potocki tém opowiadaniem wśród peregrynacyi, które co wieczór niepoznany odbywał po Krakowie; zwrócił się ku jednej z bram ulicy św. Jana, gdzie nasza przekupka z bułkami siadywała. Przybywszy na miejsce, widzi rzeczywiście kobietę młodą jeszcze, której twarz blada i znędzniała, straszniej jeszcze przy słabém świetle wiszącej nad straganem latarki wyglądała. Jój ubiór ubogi ale czysty, zwiastował ucziwe i skrzętne ubóstwo; nie miała wyzywających ruchów, i swarliwego oblicza przekupek krakowskich: owszem, dobroć, szlachetność i pokora, malowały się na jój twarzy. Nieznajomy zbliża się do niéj, i nie mówiąc powodu przybycia, zapytuje, czyby nie mogła mu maleńkiej zrobić przysługi.

— Oto, rzecze nieznajomy — mam interes do tych państwa, co tu mieszkają na piérwszém piętrze; a że niewiadomy,

boję się po nocy zbłądzić: bądź pani tak dobrą zapytać się, czy są w domu.

— Dobrzebyto było — odrzeczę przekupka — ale któż mi będzie straganu pilnował?

— Oczywiście ja; ale zawierzysze mi pani?

Kobięta pociągnawszy oczami po nieznanym, którego powierzchowność jakoś zdawała się jęj zadawalniającą, odpowiedziała:

— A dlaczegoż nie? zostań pan przy straganie; tylko pilnuj, żeby te ladaco chłopcy bułek mi nie porozrzucali: to takie nicponie!

— Nie bój się pani, już ja tu będę pilnował.

Kobięta zaspokojona szybko pobiegła na górę, gdy tym czasem jęj dobroczyńca cichaczem rzucił rulonik do koszyka, w którym były druty, kłębek grubych nici i napół zrobiona pończocha. Niebawem tęż niespokojnao swój towar przekupka, zatrzasnąwszy drzwi od przedpokoju pięrszego piętra, krętemi wróciła schodami, z oznajmieniem, że państwa nie ma w domu. Nieznajomy wiedząc o tēm dobrze, zwłaszcza, że właśnie ci państwo w najlepsze w jęgo własnych salonach wywijali mazurka; podziękówawszy grzecznie, szybkim oddalił się krokiem. Wszakże przekupka, której ten ubożuchny stragan całęm był mieniem, jęła się do rachowania bułek, ażali która w czasie jęj nieobecności nie znikła; kiedy przypadkiem ujęła za koszyk, i poczuła w nim jakiś niezwyčajny ciężar. Otwiera go machinalnie: i jakież było jęj zdumienie, gdy widzi dość znacznej objętości rulonik.... Nie zastanowiwszy się zkąd ten skarb pochodzi, pięrszą jęj myślą było, że jest pewna jutrzejszego obiadu dla starego ojca i młodziutkich dzieci. Pada na kolana i serdeczną modlitwą Bogu dziękuje. Ochłonawszy wszakże z pięrszego wrażenia, przypomina sobie nieznanomego; domyśla się, że on jest niezawodnie jęj dobroczyńcą, i w uniesieniu swoim, zawołała akcentem ludu krakowskiego: „To on! *haniol, haniol!*” i od tęj chwili nie można jęj było wyperswadować, że nieznanomy, który się jęj nigdy nie dał poznać, nie był jedną z tych nadziemskich istot, o których biedni i nieszczęśliwi tak nieustannie marzą. Artur Potocki łączył do wzorowęj i nader rzadkięj u bogatych dobroczynności, francuzką żywość w odpowiedzi, i angielską oryginalność. Był czasami nader

wesoły i dowcipny: cytują mnóstwo jego żartów, przycinków, dwuznaczników, które jeżeli niezawsze odznaczają się dobrym gustem, nigdy im nie braknie oryginalności, soli i dowcipu. Miał swoje dnie *spleenu*, w których unikał widoku świata, był smutny, ponury, milczący. Jeżeli go to napadało w towarzystwie, zwyczajnie wcześniej wracał do siebie, albo siadał w oknie za firanką, gdzie ukryty i samotny, całe przepędzał godziny. Najczęściej się zdarzało, że w chwili, gdy się wesoło u jego żony bawiono, on wyniósł się cichaczem z pokoju, zarzucił płaszcz i kaptur na głowę, i przebiegał ulice miasta, szukając oryginałów na karm rozumu, ubogich i wstydzących się żebrac, jako karm serca. Nie można się dziwić żadnej jego excentryczności: było człowiek szczęściem i dostatkiem zepsuty, zbytkiem i życiem przesycony, światem znudzony. Wszystko, co w sferach średnich sprawia rozkosz i pociechę życia: nadzieja, powodzenie, dobre uważanie między ludźmi, miał sobie już zapewnione; na nie zarabiać, o nie starać się nie potrzebował. Był znudzony ludźmi i światem, bo churmem się do niego cisnęli, nikczemnie, podle mu schlebiali: widział głupotę, próżność, interesowność, lub czczą tylko chęć przyjaźnienia się dla oka z wielkim panem; widział te różne ludzkie słabości ukryte pod niezręcznie noszoną maską, lub nawet bez niej, i w całej swój nagości i szpetności. Jakże się dziwić, że ludzka głupota, na którą był nieustannie wystawiony, nudziła go, i że ile mógł unikał jej w większych zgromadzeniach. Jedną z jego przyjemności było bawić Krakowian, którym w czasie zimy dawał kilka balów, zalecających się więcej gościnnością, przepychem, wystawnością, niż doborem towarzystwa. Zwykle na te bale nie tylko szlachta, ale i kupcy zapraszani bywali: był to podobno pierwszy dom prywatny w Krakowie, który oko w oko dwie te od tyłu lat przeciwne kasty, pod jednym dachem zgromadzał. Imię historyczne gospodarza, jego ogromne dostatki, a nade wszystko rozum i znajomość świata i ludzi, czyniły go wyższym nad te drobiazgowę próżność, komeraże i miasteczkowe pretensye, które przebijały poza blanszem i różem balowych toalet; bawiły go niezmiernie, urozmaicały nudną monotoność dużych zgromadzeń; serce zaś znalazło karm w ugoszczeniu i ubawieniu Krakowian, których serdecznie kochał. Jednej zimy, zrobił towarzystwu krakowskiemu niespodziankę, która długo była

celem ogólnego zajęcia i rozmów. W sali Knotza dał bal maskowy, na który proszony był kto żył i kto chciał. Zalecał się ten bal bardzo bogatymi ubiorami i pięknymi kadrylami; między innymi zwrócił uwagę kadryl Polek w dawnych malowniczych ubiorach narodowych, do którego wchodziły cztery uroczych wdzięków i świeżości dziewice, mające na sobie sobole kołpaki, bogato klejnotami naszywane, jubki atłasowe amarantowe, miśsternie haftowane i całe bogactwo prababek naszych. Z szczegółami tego balu odsyłam czytelnika do ówczasowych dzienników, opisujących go obszernie i nader drobiazgowo. Przypomina mi się tu anegdota, która w owym czasie bardzo po salonach kursowała, i jak to zwykle, była textem niejednych rozmów owego *nazajutrz balu*; który bądź co bądź, odgrywa bardzo znaczącą rolę w rzędzie karnawałowych przyjemności i rozrywek. Gospodarz balu ubrany w skromne domino, chodził niepostrzeżony po ogromnej sali balowej, zaczepiając tu i owdzie snujące się maski, które jak mogły broniły się od dowcipnych jego przycinków. Było wówczas w krakowskiem towarzystwie dwóch braci Molów, o których kronika mówi, że słynęli wielkiem w salonach krakowskich powodzeniem, które po dzisiejszemu *furore* nazwaćby można. Niektóre panie, jakto panie robią, gdy przedmiot jaki żywy lub martwy wejdzie w modę, wabiły tych panów do swojego grona, a nawet jedną z nich obwiniano, zapewne bardzo niesłusznie, o uczucia dość przyjazne dla któregoś z tych szczęśliwych braci. Owego zatem wieczoru Artur Potocki zbliżył się do nieświadomego miejskich ploteczek męża pani..... i te słowa rzucił mu w ucho:

— Maseczko! ty się bawisz, a nie wiesz może, że *mól* wkrada się do twojej szopy — czyniąc tu alluzją do nazwiska młodego człowieka.

Z zwyczajną sobie oryginalnością, połączoną z staropolską hojnością, Artur Potocki, który póki mieszkał w Krakowie, nieustannie bawił Krakowian; umyślił im dać bal w ciągu pewnej zimy, w której go tam nie było. Listem datowanym z Wiednia, gdzie zimować był zmuszony dla kuracyi, uprosił brata Al... będącego w Krakowie z żoną, aby w jego imieniu dał bal w apartamentach na pierwszym piętrze w pałacu dawniej zwanym *pod baranami*. Na biletach zapraszających wylitografowano: „Alfredowie Potoccy, w imieniu Arturów Po-



tockich, mają zaszczyt i t. d". Poczciwi Krakowianie równie przepadający za życiem towarzyskiem i zabawami, jak ceniący drogie swojego miasta pamiątki, chętnie zgromadzili się na te zaprosiny, gdzie ich z całą przyjmowano serdecznością.

Były adjutant księcia Józefa, napisał powieść w języku francuzkim „*Maryna Mnischówna*” epizod znany w dziejach, niejednokrotnie obrabiany; ale jeżeli wolno powiedzieć, niezawsze szczęśliwie pomysłany. W powieści pana Artura Potockiego nie ma téj świeżości imaginacyi, żywości spostrzeżeń, iskrzącego dowcipu i oryginalności, któremi się autor w salonie odznaczał; co jest nowym dowodem, że talent pisarski a dowcip towarzyski, niezawsze idą z sobą w parze. O żonie jego pani Zofii Potockiej, jako żyjącej, nie mam prawa pisać; wszakże jój stanowisko w Krakowie, wpływ jaki tam wywiera na towarzystwo, literaturę i sztuki, należą do rzędu faktów, które duch pamiętników sam z siebie uważający, przenikliwy i nieco gadatliwy, pominąć nie może. Przepraszam najmocniej szanowną i ze wszech miar czcigodną matkę Adama Potockiego, jeżeli czasami w tém tu miejscu jak i w inném moich pamiętników, uchylę zasłonę jój prywatnego życia, aby zbudować się wraz z czytelnikiem, widokiem jój cnót domowych, wzorami jój dobroci, gościnności, dobroczynności i towarzyskości. Któż jakiś czas przebywając w Krakowie nie zasłyszał o niej przynajmniej; komu nie obły się o uszy pochwały idące wprost z serca bogatych, ubogich, ubogich szczególnie, których równie jak jój mąż jest widoczną na ziemi Opatrznością.

W szeregu osób, które widywałam w pierwszej mojej młodości, nie wspominałam jeszcze o dwóch braciach mojej babki: Stanisławie rejencie koronnym, i Marcinie wojewodzie Badenich (1). Stanisław Badeni najstarszy z rodzeństwa, poznany i polubiony od króla Stanisława Augusta, zyskał poufne miejsce przybocznego sekretarza, któryto urząd piastował do ostatniego wyjazdu tego króla z Warszawy do Grodna. Następujące wiersze, które tu z oryginału dosłownie przepisuję, bo ich nigdzie drukowanych nie widziałam, dadzą wyobrażenie o stosunkach łatwych i przyjaznych, niezawistnych dworzan Sta-

(1) Stanisław Badeni, ojciec Ignacego tłumacza dzieła pana Nicolas: O chrystyanizmie, oraz innych płodów literackich autora.

(Przyp. aut.).

niśława Augusta między sobą; malują one także trafnie i treściwie charakter dobry, łagodny, nikomu nieszkodzący, młodego sekretarza królewskiego. W téj fraszce, drobnej zresztą wartości, przebija się już owe rozczarowanie i przedrzeźnianie przesady dawnéj szkoły francuzkiéj, tak w poezyi i sztuce w ogólności, jak we wszystkich odcieniach obyczajów i etykiety dworskiéj; przesady przypominającéj wymuskaną maniérę czasów Ludwika XIV i hotel Rambouillet, a tak wyśmiewanéj przez dworzan jego następcy, a później przez małpujący wszystkie wersalskie przemiany, francuzko-polski dwór Poniatowskiego. Wysoce satyryczny, dowcipny i ironiczny humor Naruszewicza, równie jak jego niezmyślona przychylność i szacunek dla młodego w faworach królewskich kolegi, okazuje się w tym wierszyku improwizowanym na pokojach królewskich w dzień imienin Stanisława Badeniego, a potem na usilną jego prośbę, ręką biskupa na prostym listowym papierze spisany:

„Jeszcze mi sztycharz nie wyrył na miedzi,  
 Miły mój Stasiu, modnego biletu,  
 Gdzie uwinione imię w kwiatku siedzi,  
 Togi, płaszczyka, fraczka i kornetu.  
 Bez powierzchownych ozdób, prosto, szczerze,  
 Jak myślę, tak ci piszę na papierze.  
 Pędzisz wiek pięknie na usługach dworu,  
 Słodki, nikomu nie przykry na świecie;  
 Bliskość ci tronu nie zmienia humoru,  
 Choć po sto razy bywasz w gabinecie;  
 Każdy cię kocha, ufa, wielbi, ceni:  
 Złość nawet szeptem: „wart tego Badenil!”

Zasługiwał najzupełniej Stanisław na tę pochwałę, bo jakkolwiek jego stosunki z królem były codzienne, każdochwilowe; jakkolwiek wszystkie łaski i nominacje przez jego ręce przechodziły: wiele drugim usłużył, nikomu wszakże nie zaszkodził. U dworu, gdzie gra namiętności jest pod każdym względem jak najbardziej podniecona, taki przykład rzadko się trafia: to też poznali się na téj cnocie otaczający króla, i nietylko nie zazdrościli mu względów pańskich, ale sami bardzo kochali i cenili Badeniego, i w każdym trudnym zdarzeniu, gdzie trzeba było pobłażania, wyrozumiałości lub łaski królewskiéj, u niego szukali ratunku i pomocy, i nigdy się nie zawiedli. Król wielce lu-

bił i kochał Badeniego: podobała mu się jego wesołość i prostota, cenił w nim bezinteresowność posuniętą aż do przesady, bo nie było przykładu, aby go o coś dla siebie prosił: co panującym, nieustannie wprost lub bezpośrednio nękanym obcemi wymaganiami i pretensyami, bardzo się podoba. Badeni mieszkał w zamku na drugiem pięttrze w pawilonie bocznym; główne wschody były te same, któremi się wchodzi dziś na pokoje do JO. księcia feldmarszałka; ale były jeszcze inne ukryte, służące za przejście komunikacyjne między pokojem sypialnym sekretarza przybocznego, a gabinetem króla, tak, że Badeni mógł się co chwila znajdować przy osobie Jego Królewskiej Mości; i jak się wyraził Naruszewicz, po sto razy dziennie znajdował się w gabinecie; ale też często od króla w swoim własnym mieszkaniu odwiedzany bywał. Nieraz się zdarzało, że ten monarcha, którego korona więcej niż inne kolcami najeżoną była, biegł na górę powierzyć mu chwilową troskę, a może i wypłakać się przed wiernym i nieodstępnym przyjacielem. Czasami, gdy Badeni czytał jakieś przedstawienie lub mniej zajmujący raport, król zasypiał na jego rękę, i tym sposobem przez parę godzin wskazał go na zupełną nieruchomość, gdyż biedny sekretarz nie śmiał zrobić najmniejszego poruszenia, bojąc się go przebudzić. W czasie tych częstych królewskich odwiedzin, drzwi pokoju szczelnie były zamknięte: nie wolno było nikomu choćby w najgwałtowniejszej potrzebie wchodzić nawet do przyległego pokoju.

Jednego wszakże poranku, gdy król dłużej niż zwykle u Badeniego się zatrzymał, synek jego ośmioletni, czy nie wiedział że król był w pokoju, czy też bliżej mu chciał się przypatrzeć; przystawił sobie stołka, drzwi z hukiem otworzył, i nie bacząc na nieukontentowaną twarz ojca, leci wprost do króla, bierze go za rękę, i nuż przypatrywać się małemu, wielkości dwuzłotówki zegarkowi, który monarcha miał na lewym rękawie swojego munduru (1). Ojciec zmieszany rubasnością syna, chciał go z pokoju wyprowadzić; ale Stanisław August,

(1) Mundur ten był zwykły uniform korpusu kadetów, granatowy z amarantowym, ze złotemi szlifami. Nie wiem, dlaczemu prawie na wszystkich portretach wyobrażają króla w stroju dworskim francuzkim (habit de cour), kiedy on go prawie codziennie używał.

(Przyp. aut.).

który z natury nie lubił etykiety, i unikał jój ile mógł, znudzony jednostajnością wystudyowanych dworskich fizyonomii, rad był przypatrywać się niewinnemu i naiwnemu zaciekawieniu dziecka: przytrzymał je przy sobie mówiąc z właściwym sobie łagodnym uśmiechem: — „Dajżeż pokój panie Stanisławie, czyż i z niego chcesz już zrobić zawczasu dworaka?“. Od téj chwili małec miał *ses entrés* do pokoju w obecności króla, który go za każdą razą zabawkami i cukierkami obdarzał.

Wśród tych wynurzeń króla z wiernym sobie przyjacielem, zaszły przykre, nader przykre dla tego światłego, dobrego, ale zbyt słabego i nie energicznego monarchy, okoliczności. Zostawał on osamotniony w swym pustym zamku, którego Badeni nie opuścił, tylko wraz z królem udając się za nim do Grodna. Nareszcie Badeni nie chcąc mu być ciężarem przy uszczuplonych dochodach, ze łzami prosił o uwolnienie od obowiązków, i niebawem się téż udał do majątku swojego Roźnowa w Galicyi Austryackiej, gdzie w zaciszu i oddaleniu od publicznych spraw, prawego i pocziwego żywota w późnej starości dokonał. Jednym z charakterystycznych dworskiej Badeniego kariery zarysów, była ta okoliczność, że człowiek ten kochany od króla, który tyle u niego łask wypraszał, opuszczając dwór i znakomity urząd, nie uniósł z sobą ani krzesła w senacie, ani orderu Orła Białego, ani żadnego z tych za jego czasów tak szczerze rozdawanych starostw. Przystawał na godności reagenta koronnego, bo go ta do ukochanego przez siebie króla zbliżała, i skromnym świętego Stanisława orderem, którego prawie nigdy nie nosił.

Roźnów był tylko o mil kilka od Proszówek odległy: łatwo się domyśleć, że odwiedziny obojga rodzeństwa były częste, mniej wszakże częste ze strony starościny Olszańskiej dla słabego zdrowia, które jój rzadko kiedy z domu wyjeżdżać pozwalało. Starościna kochała Stanisława i szanowała go jako starszego brata; to téż jak się tylko pokazał bądź w Krakowie, bądź w Proszówkach, jój radość była wielka, a dzień przyjazdu prawdziwą uroczystością. Skoro się tylko zjawiała w bramie żółta kolaska czterma gniademi końmi zaprzężona, twarz mojej babki zwykle poważna rozjaśniała się, uśmiech igrał na jój twarzy: cała jój rodzina wychodziła na jego spotkanie, a on ją witał zwykle temi słowy:

— Jak się macie, wy nie dobrego!? Wesołość nie opuszczała go do śmierci; mimo wieku już podeszłego, był żywy, ruchliwy: wszędzie w pokojach, w ogrodzie pełno go było. Miał szczególniejsze upodobanie bawić się z dziećmi, gonić ich, sprzeciwiać im się: nieraz mnie należycie po sukni wytrzepał, palcem nakiwał, a jam się śmiała do rozpuku; tak, że mnie czasami za zbyt głośną wesołość z pokoju wypraszano, i klęczyć kazano (oczywiście w sekrecie przed panem rejentem). Dzisiejsza generacya arcy-mądra i poważna, nie zrozumie może tój żywości i humoru w ośmdziesięcioletnim starcu: bo tóż ludzie ówczesni nie tyle może byli poważni i myślący co my, ale niezawodnie lepsi i szczęśliwsi. Prawda, że każdemu było lżej na tym bożym świecie, łatwiej mu jakoś było po nim pielgrzymować, bo czuł gdzieś tam wysoko nad sobą ojca dobrego i troskliwego, kochał go i ufał mu; a sam ani poczuwał się bóstwem, ani się jego cząstką mienił. Jeżeli mu się coś niekoniecznie dobrego przytrafiło, pomodlił i się wyplakał; a pokrzepiwszy się u prawdziwego źródła życia, dalejże pchać znów taczkę, która mu się potem lżejszą być zdała. Pan rejent (tak go zwykle nazywano) był wzrostu miernego, nosił się jak mówiono dawniej, po francuzku, tojest ubierał się w długi surdut lub frak granatowy z kołnierzem stojącym wywijanym, z szerokim stanem i długimi połami, wbrew zwyczajowi dworzan Stanisławowskich, nie nosił ani peruki ani harcapa: włos długi srebrzysty spadał mu na twarz pełną wyrazu, dobroci, żywości i wesołości, Przyjeżdżał zwykle do Proszówek z córką swoją najmłodszą Józefą (dzisiejszą Michałową Walewską), którą nazywał swoją Benjaminką. Wówczas ośmnastoletnia dziewczica, cienka, wysmukła, rysów nieregularnych, ale nadzwyczaj wdzięcznych, cery bladój i zajmującej, w kapeluszu ryżowym lekką przezroczystą gazą okrytym, siedząc w powozie obok poważnego starca, wielki dla mnie miała urok, i niezatarty w dziecięcej mojej wyobraźni ślad zostawiła. Za niemi w drugim powozie zwykła przyjeżdżać pani rejentowa z panną służącą od lat wielu zaufaną. Katarzyna z Stadnickich, córka Antoniego burgrabiego krakowskiego, najlepsza żona i matka, będąc na zepsutym dworze Stanisława Augusta, żyła zewnątrz dworskich intryg, oddana obowiązkom i mężowi, z którym w wzorowej cnotcie i zgodzie lat czterdzieści przeszło przeżyła, Żyła równie długo jak mąż, od którego o lat kilkanaście była młodszą, i wszystkich

z swojej generacji przeżyła. Zimując w Krakowie roku 1845, zastałam ją jeszcze w jej mieszkaniu na Floryańskiej ulicy, po to, abym ją wkrótce pochowała, bo w ciągu tej zimy świat ten opuściła. Nie wiem jak dla kogo, ale dla mnie, starzy ludzie, starzy krewni, mieli zawsze niepojęty urok. Jest jakiś wieniec świętości który ich otacza; zdaje się będąc już jedną nogą w grobie, mniej są ludźmi jak obywatelami innego, długo przez nich oczekiwanego świata, a zatém lepsi, czulsi, więcej familijni i uczuciowi. Żeby byli wszakże kochanemi i szanowanemi, potrzeba, aby ich dawne życie usprawiedliwiało wrażenie, które w późnej starości sprawiają; aby nie odpychali egoizmem, przywidzeniami, przesądami i zrzędnością, co się także czasem im zdarza. Pani rejentowa z pewnością nie liczyła się do rzędu tych ostatnich. Obok form poważnych i uszanowanie wzbudzających, była uprzejma dla wszystkich, familijna dla swoich, towarzyska, jakto umieją być ludzie jej czasu i położenia w świecie. Przez szczególny zbieg okoliczności, nie widziałam pani rejentowej przez lat dwadzieścia kilka, to jest od dwunastego roku życia mojego. Po różnych przejażdżkach, podróżach, burzach życia, zmianie stanu, ujrzałam się przed nią nagle, z owęj trzpiotowatej, gadatliwej dziewczynki, której nadaremnie spokojność i milczenie nakazywano, dojrzałą kobietą, matką sześciorga dzieci. Przyjęła mnie staruszka jak gdyby mnie była wczoraj dopiero widziała, mimo że wiekiem i niemocą przyciśniona nie wychodziła już i wcale, i zaraz nazajutrz odwiedziła dom mój i dzieci mi pobłogosławiła. W tej mojej ostatniej bytności w Krakowie (rok 1845) wszystko się tam odmieniło, zacząwszy od powierzchownej postaci miasta, do osób i rzeczy, które w niém przebywały. Ona jedna zdawała mi się tą samą, którą widywałam w Proszówkach, a później w domu Rzuchowskiego na Floryańskiej ulicy; bo ludzie gdy przyjdą do pewnego wieku, a w nim zdrowie i czerstwość zachować zdołają, przez długi lat szereg nie odmieniają się. Ten tu właśnie był wypadek. Pani rejentowa była dla mnie zawsze miłym i upragnionym anachronizmem owych szczęśliwych dzieciństwa mego czasów; i gdym ją widziała, zdało mi się widzieć tuż obok niej szanowne grono osób, których już niestety, w Krakowie nie zastałam..... Ostatnie jej wyjście z domu było jak corocznie w dzień św. Katarzyny, kiedy otoczona gromadką dzieci i wnuków w liczbie 56 osób z prostej linii, wsparta na rękę dwóch synów, już szronem wieku

i trudów życia pokrytych, szła przytępym nieco krokiem z mieszkania swojego do najbliższego kościoła Panny Maryi. We dwa miesiące po téj uroczystości, na którą corocznie zbiegało się liczne jéj potomstwo z wszystkich stron kraju; w tymże samym kierunku, po téjże samej ulicy włókł się smutno i ponuro karawan unoszący jéj zwłoki. Gdym wraz z drugimi postępowała za jéj trumną, zdało mi się, że o kilkanaście lat starsza! Była ona ostatnią z owéj ukochanéj generacyi babek naszych; zapamiętała czasy Stanisława Augusta, wielkiego sejmu. O Boże, czegoż ona nie pamiętała!...

Mówiąc o rejentostwie Badenich, muszę tu dodać, że oni byli jedni z pierwszych, którzy zaprowadzili w wioskach swoich znaczne ulepszenia w smutnym stanie chłopków naszych. Los téj klasy najliczniejszej i najużyteczniejszej, a tak srodze w kraju uciśnionej, zajmował Stanisława Badeniego jeszcze wówczas, gdy się znajdował na czele kancelaryi królewskiej, i wówczas téż jeszcze powstał projekt owéj kommissyi włościańskiej, później starannie przez brata jego Marcina dokonanej, która jeżeli nie przyniosła w zupełności pożądanego skutku, to pewnie nie z winy jéj fundatorów. Osiadłszy stale na mieszkanie w Rożnowie, całą obojga zacnych rejentostwa usilnością było ile można osłodzić dolę chłopków. Kto nie mieszkał na wsi nie ma wyobrażenia co to jest tak zwany *przednówek* u chłopca. *Przednówek* jest to obchodzić się przynajmniej przez miesiący trzy bez chleba, bez kartofli, bez żadnego zbożowego pokarmu; jest to żyć jakąś szczególną mieszaniną otrąb, zielenin polnych drobno posiekanych, z których się wyrabiają kluski, na które najędzniejszy mieszkaniec miasta aniby spojrział. O! bolesny to widok patrzeć, jak właśnie ci co prują wnętrzości ziemi, aby z niéj wydobyć pokarm dla drugich i siebie, najczęściej są go pozbawieni; a przecież tak jest dziś jeszcze przy tylu rozmaitego rodzaju zakładach i stowarzyszeniach filantropijnych: a cóż dopiéro dzieć się mogło przed laty trzydziestą, gdzie daleko mniej o doli klas ubogich i robotnych, a szczególnie włościan myśłano? Otóż Badenowie założyli w Rożnowie i Branicach pod Krakowem, swoich majątnościach, wiejskie śpichlerze, wysypawszy w nie pierwsze zasoby dla włościan dotkniętych niedostatkiem, a prędkiej i pewnej potrzebujących pomocy. Ofiarowali złotych polskich cztery ty-

siące na wieczny dar na kasę zapomogi, z którejby kmiotki potrzebnych sobie funduszów na podatki, z łatwością dostać mogli za opłatą małego procentu, ku pomnożeniu tegoż samego banku obracanego. Otóż podobne instytucje wcale jeszcze dzisiaj nie upowszechnione, a z których przecie my się tak chlubiemy, mieniając je być dziełem postępowej cywilizacji wieku, wówczas już istniały, i kto wie nawet, czy nie w warunkach praktyczniejszych i lepszy owoc wydających. Wypadnie mi tu jeszcze coś powiedzieć o młodszym bracie Stanisława Badeniego i starościny Olszańskiej. Marcin Badeni znacznie młodszy od brata, przetrwał na usługach kraju wszystkie burze, które nim od epoki wyjazdu króla do Grodna, tak nieszczęśliwie miały, przeszedł okres księstwa Warszawskiego, a rok 1824 śmierci jego, widział go jeszcze zajmującego jeden z naczelnych urzędów w administracji Królestwa. Była to jedna z tych postaci wyraziście odznaczających się na tle swojego czasu, a której żaden kronikarz pominąć nie może. Posłuchajmy co mówi o Marcynie Badenim, Kajetan Koźmian, w mowie na jego pogrzebie u księży Kapucynów mianej. Przebiega mówca bieg kariery zmarłego, określa znaczniejsze w jego życiu publicznym momenta, stosunki jego z królem i rodziną Poniatowskich, a mianowicie z księciem Józefem, z którym najściślej go przyjaźń łączyła; i tak dalej prawi: „ząd związki przychylne, ząd poważanie, szacunek, ząd ufność wzajemna, ząd spuszczenie się na niego w sprawach prywatnych i publicznych, ząd niepodejrzana między młodym księciem a doświadczonym przyjacielem zażyłość; ząd nad oswobodzeniem ludu wiejskiego namowy i naraady; ząd wzajemna nauka; ząd początek znaczenia, ząd początek fortuny szlachetnej, pracą nabytej, trudami zasłużonej, rządnością własną powiększonej, gospodarnie uporządkowanej, rozporządzonej ojcowskiem sercem: fortuny tém dla jego rodu droższej, że mu zasługi ojca przypomina; fortuny, której ani krzywda kraju, ani grosz cudzy, jakimbądź sposobem przywłaszczony, nie szpeci.“ Kto znał gruntownie Marcina Badeniego, łatwo przyzna, że w całym tym ustępie nie ma słowa jednego przesady. Wierny przyjaciel domu Poniatowskich, których publiczne i prywatne interesa miał sobie powierzone, wywiązał się z długoletniej z niemi zażyłości i obowiązków przyjaźni, nieraz z trudnego bardzo położenia, tak, że ani złość, ani zawiść, ani potwarz sama swém jadowitým żądłem doścignąć go nie zdoła-



ły. Kochał ich sercem, długoletniem nawykniem; niezawsze podzielał zdania, a swoje z otwartością, prawością i nieposzlakowaną cnotą wypowiedzieć nie wahał się.

Król saski wysoce Marcina Badeniego poważał, a wiekopomnej pamięci Cesarz Alexander, orderem Orła Białego ozdobił, i senatorem wojewodą, a później ministrem sprawiedliwości mianował, któryto urząd zachował aż do śmierci. Był powierchowności odznaczający: wysoki, barczysty, rysów twarzy wydatnych, spojrzenie dowcipne i bystre, nosił się po polsku, i do śmierci tego stroju nie zrzucił.

Jak ubiór, tak rozum miał *szczeropolski*, czysty, prosty, obcemi teoryami nie obalamucony; słowem, Badeni było typ człowieka pełnego dowcipu, taktu, wysoko praktycznego, z wielką znajomością ludzi, rzeczy, potrzeb swojego czasu i kraju, sądu nieporównanej loiki i trafności. Miał on dar jednym wyrazem odmalować człowieka lub jakiś fakt. Jego odpowiedzi, porównania, definicye, pamiętne są dodziśdnia, a niektóre z nich przeszły w przysłowie. Badeni miał w sobie jedną osobliwość, którą oceni każdy, kto zna sferę towarzystwa kraju naszego, do której on z położenia swojego należał: — nie mówił po francuzku, a ta nieumiejętność czy też wstręt do obcego języka, nie szkodziły mu w biegu jego urzędowej i światowej karyery. Takto rozum bez cudzej pomocy, bez dodatków i błyskotek, sam sobie starczy. W częstych posłuchaniach które miewał u Cesarza Alexandra, wyrażał się po łacinie, bo tym językiem biegle mówił. Wiele anegdot podziśdzień krąży o dowcipie Marcina Badeniego; ja tu kilka przytoczę, jako malujące jużto człowieka, już też czasy w których żył.

Miał Badeni znajomość z niejakim O... człowiekiem wielkich zdolności, rzadkiego rozsądku, a przytém rzetelnej sumiennosci; ale form w obejściu rubasznych, a czasami i przykrych. Dnia jednego namiestnik Zajączek w początkach jakoś swojego kierownictwa krajową administracją, znudzony i strudzony natarczywością mnóstwa osób codziennie oblegających jego biuro, z żądaniemi czasem niemożliwemi do wykonania: prosił Badeniego, aby mu wybrał urzędnika zdolnego, któryby w jego imieniu żądania odbierał, oceniał je, i z właściwemi uwagami do zatwierdzenia podawał. Wojewoda wymienił mu pana O... który też niebawem rozpoczął swoje zatrudnienie przy boku namiestnika. Charaktery ich długo zgodzić się nie mo-

gły: ksiązę Zajączek przywykły widzieć w otaczających go obejście pełne względności, uszanowania i dobrego tonu, nie mógł znieść w nowym urzędniku powierzchowności pospolitej i przysurowej. W dni kilka zjawia się Marcin Badeni w namiestnikowskim pałacu.

— Ach jakżeś mnie téż ubrał, panie wojewodo — rzecze Zajączek — w człowieka, z którego nie mogę nic zrobić, ni w prawo, ni w lewo.

— Mój kochany ksiązę — odpowie Badeni, który odrazu pojął czego im obu trzeba było — jam ci dał brytana, aby cię oganiał na dziedzińcu od natrętów; a podobało ci się z niego zrobić pokojowego mudzyka. Brytan został brytanem i powalał ci meble: jam temu nie winien.

Ksiązę Zajączek, z natury wesoly i lubiący wszelkie dowcipne odpowiedzi, uśmieł się, zatrzymał urzędnika, którego zresztą zdolności oceniał, a nawet w późniejszych latach na znakomity urząd posunął (1); a Badeniego już o niego nie nastawał.

Badeni często mawiał, że istnieją trzy rodzaje ludzi, których się najbardziej obawiał; a nawet w testamencie synowi nakaze, aby o ile możności najmniej się z nimi wdawał, a temi są: adwokaci, budowniczkowie i doktorzy.

Żałuję, że nie mogę tu powtórzyć mnóstwa jego odpowiedzi i porównań nader trafnych. Wiele z nich są tylko interesu ściśle rodzinnego, inne zaś ściągające się do ludzi publicznych, mężów stanu w swoim czasie niepoślednią grających rolę, są powszechnie znane. Umarł w listopadzie 1824 roku, ciało jego pochowane w ziemi rodzinnej krakowskiej, którą on tak kochał, choć mało w niej przebywał, i gdzie miał dobra, Biejsce i Kołaczkowice. W Janinie, wiosce do tych ostatnich należącej, wystawił kościół i tam-téż pragnął być pochowany, wśród swoich włościan, których jak własne kochał dzieci. Po śmierci starosty olszańskiego, która w roku 1801 nastąpiła,

(1) Tenże sam O... nie wiem już z jakiego powodu, wyzwany był na pojedynek. Był olbrzymiej postawy, wysoki nad miarę, a przytém niezwyčajnej tuszy; przeciwnik zaś jego cienki i wysmukły jak świeca. Gdy sekundanci przyszli: „powiedźcie mu, rzecze O... że mu się chce niezłej szansy. Ja strzelałbym do kija, i oczywiście nie trafił; on do beczki, i ubiłby mię jak psa.”

(Przyp. autor.).

Marcin Badeni był wyznaczony opiekunem mojej matki, jako najmłodszej z rodzeństwa, i z prawdziwie staropolską sumiennością wywiązał się z tego obowiązku; to też matka moja kochała go i szanowała jak ojca. Ja go tylko raz w życiu widziałam i to na kilka miesięcy przed jego śmiercią. Rzadko bywał w Krakowskim, a my wcale nie bywaliśmy w Warszawie, której nie znaliśmy. Jak to zazwyczaj u nas bywa, odwiedzaliśmy z kwapliwością obce stolice, o poznanie swojej niewiele się troszcząc. Widzenie go moje miało miejsce w Kielcach, w lecie r. 1824, w czasie kilkodniowego jego tam pobytu. Zamieszkał częścią w zamku u mojego wuja Wielogłowskiego; częścią w gmachu *Leonarda*, u mojego ojca, i z tego powodu przypominam sobie dość charakterystyczną anegdotę. Był dany dla niego obiad, na który sprowadzono z Warszawy wszystko co było potrzeba, nawet bułki siedleckie. Właśnie było to w czasie rządów namiestnika Zajęzka, kiedy kraj korzystając z dość długiego pokoju, począł się urządzać, miasteczka podnosić, fabryki, drogi publiczne zakładać lub naprawiać: w ogóle był to czas popędu przez rząd danego do administracyjnych i statystycznych ulepszeń, posuwających się stopniowo i stawiających kraj w stanie porządku, w którym dziś go widzimy. Otóż namiestnik Zajęzek, który w własnych dobrach Opatówku pozakładał wielkie fabryki i miasteczko znacznie podniósł, dobrodziejstwo to zapragnął rozciągnąć do całego Królestwa. Posprowadzał z zagranicy ludzi fachowych, mianowicie górników, którym powierzył główny nad naszemi kopalniami nadzór; ustanowił w Kielcach dyrekcją i szkołę górniczą, gdzie się młodzież nasza w tym tak użytecznym kształciła zawodzie. Wznosiły się miasta, miasteczka, nowe zakłady; stare powiększały i porządkowały. Kommissye wojewódzkie, będące wówczas tém, czém dziś są rządy gubernialne, idąc w myśl naczelnika rządu, skwapliwie się krzątały koło tych zbawiennych planów, których jak najspieszniejsze rozwinięcie im powierzone było. Nie dziw przeto, że każdy przejazd wyższego urzędnika przez prowincjonalne miasteczko, był niejako czasem popisu dla miejscowej władzy. W czasie pobytu Marcina Badeniego w Kielcach, obwożono go po okolicznych górniczych fabrykach, okazywano z chlubą nowo wznoszące się budowle, szczycono się nawet kilku sklepami miejscowemi świeżo założonemi. Minister to wszystko pochwalał, wszakże gdy usiedli do stołu:

— Moi panowie—rzecze—jak widzę macie tu wszystko co my mamy w Warszawie: doskonałe wino, piwo nie ustępuje warszawskiemu, jednej wam rzeczy brak: nie macie siedleckich bułek, boć te co tu mamy przy stole, niepiérwszej są już młodości, co wyraźnie dalekie ich pochodzenie zdradza.

Słowa te niebardzo poszły w smak Stokowskiemu kommissarzowi policyi; a chcąc utrzymać honor swojego miasta, kazał cichaczem włożyć w piec piekarski bułki warszawskie, aby je odświeżyć, co mu się tak szczęśliwie udało, że nazajutrz rano podane do kawy Badeniemu jako miejscowy wyrób, zupełne jego zyskały zadowolenie i wiarę, że się w wczorajszym swym sądzie omylił. Kommissarz odebrał pochwałę i zapewne pochlebną u namiestnika Zajączka rekomendacją; a bułki siedleckie, dopiero w rok potém, naprawdę w Kielcach wypiekać się zaczęły.

Żona Marcina Badeniego była z domu Wawrzecka, siostra generała tegoż nazwiska. Pani wojewodzina słynęła w swoim czasie z wielkiego rozumu, ale niemniejszej oryginalności: wyrobiła sobie w świecie przywilój bycia jak nikt, mówienia i robienia jak nikt, ubierania się jak nikt; a że miała, jak powiadano, rozum niepospolity, bardzo wiele żywości i dowcipu, nieposzlakowaną reputacją, niezależne w świecie stanowisko, a obok tego posiadała talenta i wiele nauki, co w jej czasie było w kobiecie rzadkością: nieśmiano jój się dziwić ani krytykować. Jój oryginalność zależała na tém, że mało ważyła przyjęte w świecie zwyczaje, które nazywała przesądami; że tu i owdzie dawała małe nauczki, których rzeczywiście potrzebowano, ale które niekażdemu i niezawsze przypadły do smaku. Sama była chodzącą nauką życia przez kontrasty. I tak: jeżeli ktoś w Krakowie, gdzie zwykle mieszkała, miał pretensją do dystynkcyi i hołdów; przyjechała do niego na wieczór w raném ubraniu; jeżeli zauważała, że czyjeś dziecko było zanadto psute i do zbytków przyzwyczajane, przywoziła mu na imieniny do jego kolekcyi najwytworniejszych cacek, gliniane naczynie, wartości jeden grosz polski; pedantowi najgrzeczniej dowiodła, że mu jednej kleпки brak; a łakotnisia i gastronomi prosiła do siebie, jak się wyrażała, *na krupnik*, co nie przeszkadzało, że miała dobrego kucharza, i nieraz doskonały obiad zjeść u niój można było. Młodzieńcowi pełnemu elegancyi i dobrego tonu, ale w którym bystre i wprawne jój oko dojrzało pewną

przesadzoną dozę miłości własnej i drobiazgowej próżności, kazała nieść za sobą parę sztuk drobiu, który chodząc z nim po rynku, przypadkiem kupiła. Zostawiła pod Krakowem piękną *wille* nazwaną przez nią *Pocieszka*, a której pałacyk pełen gustu i wygody w wewnętrzném urządzeniu, jój planem był stawiany. *Wille* tę testamentem zapisała wnuczce swój Maryi Borowskiej, która świat ten zawczasie opuściła.

Czas już zaznajomić czytelnika z moimi najbliższymi krewnymi. Mój ojciec, Michał Gostkowski, prezes trybunału i kilkakrotnie poseł na sejm Królestwa Polskiego, rodził się roku 1773. W roku 1791 skończył szkoły, tak jak później na sześć class dzielące się a następnie uczęszczał na kwitnący wówczas uniwersytet krakowski. Słuchał pod słynnemi professorami, Sniadeckim, Sołtykowiczem, Przybylskim i innemi, matematyki, teorii prawa, dziejów i literatury; a jednocześnie aplikował w sądownictwie. Od wyjścia z uniwersytetu począł mieć czynny udział w sejmikach, schadzках, obywatelskich zjazdach, i do spraw krajowych mieszać się. W roku 1794 w marcu, w czasie powstania Kościuszki, wszedł w służbę jako prosty żołnierz, a następnie jako oficer ordynansowy przy boku naczelnika siły zbrojnej. W 1795 roku, wybrał się już do legionów włoskich, kiedy przypadkowo poznał moją matkę, i pozostał w kraju. Mając tuż pod ręką notatki mojego ojca, pozwoli czytelnik, że z nich wypiszę kilka ustępów, które mu dadzą wyobrażenie o moralnym stanie i obyczajach kraju naszego w czasach, które on pamięcią mógł objąć.

— Naród nasz—opowiada mój ojciec—już przez wykształcenie jakie mu dały nauki za ostatniego króla Stanisława Augusta zaprowadzone; już przez napływ cudzoziemców, którzy po rozbiórce kraju nim rządili, tak nagle charakter i obyczaje zmienił, tyle się w nich od przodków swoich oddalił, że gdyby Polak kraj swój w czasach konfederacyi barskiej opuścił, a wrócił do niego po dwudziestu pięciu latach, ledwieby go poznał: dziś zaś (r. 1832) nie wierzyłby, że jest wśród dzieci i wnuków swoich.

— Jeszcze między r. 1780 i 1790 nietrudno było znaleźć obywatela ze wszystkiemi starodawnemi przodków naszych obyczajami. Ubrany w żupan srebrną klamrą zapięty, na który za przybyciem gościa brał czamarę lub kontusz: głowę miał ogoloną z małym tylko promykiem włosów we środku. Dom

jego z gankiem ozdobiony czterma narożnikami, musiał mieć wewnątrz wielką salę, w której jadano, bawiono się i tańczowano. W jednym z jej bocznych kątów stał stół kobiercem nakryty, a przy ścianach gdańskie krzesła złoconą skórą wybite, lub ławy suknem pokryte, które do obiadu i wieszery przysuwano, wszystko zaś tak na moc robione, aby do użytku dalszych pokoleń służyć jeszcze mogło. Ściany pospolicie były gołe, lub okryte tylko obiciem domowej tyfeniowej starożytniej roboty, a na nich u niektórych tylko, rozmaita broń, pomiędzy którą była tarcza, pancerze, hełmy, drogiemi nasadzone kamieniami, koszule drucziane, rzędy i strzelba turecka pod Wiedniem przez przodków zdobyta.

— W domach obywatelskich z wyjątkiem zamożniejszych, którzy jeżdżąc za granicę, zamilowanie do sztuk i gust wykształceńszych narodów ztamtąd przywozili, w domach obywatelskich niewiele jeszcze znano pod ten czas mebli mahoniowych, angielskich powozów na resorach; ale za to lamusy, piwnice i apteczka, napelnione były zapasami żywności, wina, miodu i wybornych likierów rozmaitego gatunku; dzielne konie z własnego stada, kosztowne, srebrem kute, choć najczęściej w domu robione szory, w gumnach styrty zboża czekające lepszój sprzedaży, zapasy materyałów do budowli, dobra bez grosza długu, srebra stołowe starożytniej roboty, w szkatulce znaczny zapas pieniędzy, u każdego znaleźć można było obywatela.

— Jeszcze w tym czasie (1780—1790 r.) nikt nie poważył się wyjść na ulicę, a tém bardziej, bądź na wsi, bądź w mieście, odwiedzić znajomego bez szabli. Obywatele odwiedzali się najczęściej konno, i dlatego ledwie niekażdy miał srebrne pozlacane kulbaki, strzemiona, rzędy i popiersia, często drogiemi nasadzone kamieniami. Moźniejsi otaczali się młodzieżą szlachecką, ułanami, kozakami i hajdukami, których niektórzy znaczną trzymali liczbę.

— Na lato rozbijano na podwórzu namioty, często rozmaitym haftem nabijane, w których pospolicie młodzież i goście sypiali; a we dnie pod niemi bawiono się i rozmawiano.

— Dom obywatela, dla każdego znajomego lub nie, był zawsze otwarty, i dlatego tak po wsiach jak po miastach, nie znano gospód i publicznych zajazdów. Gdy gość przejeżdżał, po uprzejmych przywitaniach i odpasaniu kārabelli, rozmowa zaczynała się pospolicie od rzeczy publicznych. Opowiadano

sobie zdarzenia wojenne niedawno ukończonój konfederacyi barskiej, oceniano zasługi i błędy wodzów, głośno narzekano na niektóre działania króla, oskarżano go o słabość, trwożliwość, opieszalność i niedołęztwo. Ale jeżeli przy tych rozprawach często głośnych i energicznych, młodzi życzyli poprawy rządu, powiększenia regularnego wojska i uchwalenia na niego podatków, starzy ofuknęli ich, lękali się każdój nowości i zmiany, radzili jedynie powściągnąć marnowanie publicznego skarbu, dokładniejsze zlustrowanie starostw, podwyższenie z nich podatku tak zwanego kwarcianego, uproporcjonowanie stęplowego papieru i upomnienie się o summy neapolitańskie. Narzekali także na zepsucie obyczajów, miękkość młodzieży, osłabienie ducha religijnego. Kochali bowiem starzy kraj namiętnie, ale nie mniej się bali domowój rządu przewagi, i dlatego do powiększenia wojska, podatków, ani do żadnych nowych zasad publicznego porządku nakłonić się nie dali.

— Każdy obywatel samowładny w swoich posiadłościach pan, władzę swoją miarkował jedynie powagą wrodzonój sprawiedliwości i prawidłami religii. Od żony i dzieci, aż do sług i poddanych, wszystko samowładnój jego było uległe władzy. Syn nie śmiał usiąść przy ojcu, a w kościele stać musiał przy jego ławie lecz ojciec i pan zarządzał wszystkiemi jak patriarchy i dobry ojciec rodziny, słudzy starzeli się u niego, pewni spokojnego przytułku i wygody w starości, włościanie doznawali pomocy i wsparcia w potrzebach.

-- Atoli obok takich obywateli, zdarzali się i tacy, co tój władzy nieograniczonój nadużywali przez okrutne i tyrańskie obchodzenie się, przez zajazdy, bitwy, gwałty i nieskończone procesa z sąsiadami, którzy rozpędziwszy przez tyranią swoich włościan, pozostałych zamykali na noc, a w dzień pilnowanych do roboty używali. Wszakże takich wytykanó i ze zgrozą unikano. Nie było żadnój w kraju władzy, przed którą włościanin mógłby skarżyć dziedzica o krzywdy sobie wyrządzone; wyjąwszy szlachtę, żydów i cudzoziemców, wszystko co było w dobrach, ulegało samowładnój i arbitralnój dziedzica jurysdykcji. Nie było w kraju żadnój administracyjnój władzy, któraby porządku i publicznego bezpieczeństwa pilnowała. Władza starostw grodowych i wojewodów ustała oddawna i zamieniła się w tytuł jedynie honorowy. Sądy grodzkie były wprawdzie pod

jéj dozorem, sędziowie od ich zależeli wyboru, pozwy i wyroki w ich imieniu wydawali; ale te sądy zawsze złożone z obywateli osiadłych i bezpłatne, zjeżdżały się tylko trzy razy do roku na kadencye, a po osądzeniu spraw do rejestru zapisanych zaraz się do domów swoich rozjeżdżały. Skazanych na kary, instygator lub magistrat expedyował, a obywatel na więzę skazany przez samo uszanowanie dla prawa, zjechał sam na miejsce kary, wszedł na więzę, i czas wyrokiemznaczony odsiedział.

— Dla żydów były sądy *wojewódzkie*, dla mieszkańców dóbr rządowych *wielkorządowe i referendarzkie*, wszystkie z obywateli szlachty złożone. W stolicy kraju, lub gdzie się król znajdował były sądy marszałkowskie, ustanowione dla bezpieczeństwa osoby królewskiej; te sądy mogły skazać i na gardło, ale ich jurysdykcyja jedynie rozciągała się o jedną milę na około stolicy. Na prowincyi magistraty w miastach królewskich, starostowie w dobrach im przez króla nadanych, a na wsi dziedzic, jego dzierżawca, komisarz, lub nawet ekonom, byli jedyną władzą sądową i policyjną, której wolno było karać grzywnami, chłostą, za słownym nawet wyrokiem bez apelacyi, byle tylko nie na śmierć: ależ niestety, ileż te kary, więzy i udęczenia, ofiar pozbyć mogły życia!

— Jeszcze około roku 1780 pełno w Polsce było szlachty jeżdżącój po kraju, której nikt spytać się nie śmiał o cel podróży, a tém bardziej o paszport; wszędzie ich z gościnnością przyjmowano, w potrzebie pieniądzu lub zbożem zasilano. Były to niedobitki konfederatów barskich, którzy szukali przygód, służyli czasem do zajazdów, jakie obywatele sobie nawzajem wyrządzali. W lat kilka po ukończonej konfederacyi barskiej, książę Marcin Lubomirski straciwszy swój majątek na zbytki, z zebraną bandą w różnych okolicach kraju na wielkich traktach zatrzymywał przejeżdżających, zabiéraił pieniądze, srebra, klejnoty jakie przy sobie mieli. Pełno było chłopów i mieszczan trudniących się rozbojem; przychodzili oni czasem do wsi i miasteczek: ale że pili, częstowali i za wszystko płacili, a w miejscu nikomu krzywdy nie czynili, nikomu téż nie chciało się ich do sądu odsyłać.

— Obywatel miał sobie za największy zaszczyt, kiedy publiczne zaufanie powołało go na urząd, pełnił go bezpłatnie, i jeszcze dla utrzymania powagi urzędu, chojnie częstował. Wierni potomkowie starożytnych Scytów i Sarmatów, Polacy



lubili nieustanne podróże: jeździli już w interesach urzędów swoich, lub też częstych i licznych procesów i spraw, które mie wali po trybunatach, już nakoniec na sejmiki, sejmy, konfederacye; a jeżeli od tych zbyło im czasu, to na imieniny, wesela i święta, odbywane zwykle przy licznych zjazdach. Tańce, polowania, gry w kości, maryasza, družbarta, były ich ulubioną zabawą; a lasy obszerne, dawały im do łowów pole. O ochę dóstwo w domu i około siebie, wiele nie dbali, i śmieli się kiedy kto lepiej wychowany, mył sobie nogi i szczoteczki do zębów używał.

— Zajazdy, gwałtowne wycinania lasów, i wypasanie łąk przy granicy będących i tém podobne napady z bronią i kupą, często się jeszcze między rokiem 1780 a 1792 zdarzały; przy czém, bez bitwy i krwi rozlewu nie obeszło się, a wszelako gościnn ość tak była w ówczesowych zwyczajach zakorzeniona, że kie dy sąsiad po uczynionym gwałcie, przyjechał do domu pokrzy wdzonego, przyjęto go grzecznie, i nawzajem odwiedzono. W każdej niemal successyi, zanim przyszło do formalnego dzia łu, każdy successor ubiegał się przed innemi do zajechania dóbr, a jeżeli je zastał zajęte, siłą wypierał.

— Chociaż poczty były ustanowione przynajmniej między miastami znaczniejszemi, i niedrogo kosztowały, rzadko jednak pisywano przez pocztę: była od wieków włożona na niektórych włościan powinność chodzenia z listami: wyprawiano ich o mil kilkanaście a czasami kilkadziesiąt, i tylko z łaski kilka groszy dawano. Posłaniec konny nie dostając lub nie mając własnego obroku, musiał konia popaść na cudzej łące. Kozak wysłany z Ukrainy do Wielkopolski, na koniu z listem, dostawał dwa złote na drogę. W rzeczy samej pieniądze pod ten czas były rzadkie; w stosunku żywności drogie. Bułka za szeląg ( $\frac{1}{3}$  część grosza) dosyć była wielka; w Krakowie sprzedawano duże świec e, i bochenki żytnego chleba po szelągu sztuka.

— Chociaż przesady już podtenczas ustawać zaczęły, by li jeszcze koło roku 1780 ludzie, którzy po wsiach prawili gminowi o duchach, exorcyzmach, opętanych i t. p. a w każdej wsi musiała być jedna lub więcej czarownica. Gromili z am bon księża podobne gminne wyobrażenia, a nawet niektórzy grozili odmówieniem rozgrzeszenia przy spowiedzi. W owym czasie duchowni używali wielkiej powagi jeszcze; jednał im ją nietylko ich stan, ale urodzenie, ogromne dochody, jak równie

nauki i podróże do Rzymu, które prawie każdy z lepszego domu duchowny, odbyć był obowiązany, niemniej także ich moralne prowadzenie, pobożność i cnoty chrześcijańskie, które wówczas z małemi wyjątkami w łonie naszego duchowieństwa kwitnęły. Biskupi i prałaci podnosili wprawdzie swoje rodziny, ale razem odbywali bezpłatnie publiczne posługi, wspierali ubogich i uposażali szpitale. Co tylko było i jest jeszcze w Krakowie instytutów dobroczynnych, szpitalnych, stypendyalnych i naukowych, te po większej części byt swój otrzymały z ręki duchownych. Względem włościan byli oni również sprawiedliwymi jak dobroczynnymi; ich dobra odznaczały się w całej Polsce zamożnością i dobrym bytem włościan, którzy zagród swych używali jak właściciele i nigdy z nich ruszanemi nie byli.

— Z reformą wychowania publicznego, szlachta średniej klasy zaczęła przybierać charakter poważniejszy i więcej z europejską cywilizacją zgodny. Przed laty kilkudziesiąt pamiętnymi epoki, zwyczajem jeszcze było w Polsce, że młodzi obywatele, nawet tacy których rodzice mieli po kilka wiosek dziedzicznych, zaciągali się do dworu wyższej szlachty za dworzan pokojowców, jak mówiono wówczas *dla nabywania poloru i znajomości świata*. Służbę tę odbywali z całą uległością i upodleniem; jadali u stołu marszałka, który całym zarządzał dworem, i mógł ich dowolnie plagami na kobiercu ukarać. Assystowali panu stojąc w kościele przy jego ławce, podając pani rękę przy wsiadaniu do karety, w podróży choćby jak najdalszej, tuż przy drzwiczkach powozu konno jechali; posyłani bywali z ważniejszymi listami i expedycami, towarzyszyli panu na elekcją, sejmiki i publiczne zjazdy: zawsze gotowi wypełnić każdy jego rozkaz i rąbać się za jego honor, interes, a nawet fantazyą.

— Już około roku 1780 ten zwyczaj ustawał; zaciągali się w taką służbę tylko ludzie ubodzy, z potrzeby; a obywatel posiadający choć mierny dziedziczny majątek, wstydziłby się być dać do niej swojego syna, i ten nie byłby się już poddał karności i obowiązkowi tyle stan jego poniżającym. Szlachta zaczęła już wtenczas postrzegać, że owa szlachecka równość o której tyle prawiono, była dotąd tylko pozorną i w słowach: w istocie szlachta nie była jak tylko podłym narzędziem przewagi panów, którzy ją przez nią samą uciskali. Potrzebni królowi, wymuszali na nim wielkie godności i bogate starostwa dla siebie, dla swoich zaś niby klientów, wyrabiali nic nieznaczące tytuły stol-

ników, mieczników, cześników i t. p. a niekiedy téż jakie małe folwarki, *wójtostwami* zwane, lub na sejmikach urzędy rejentów, komorników, pisarzy, sędziów, deputowanych i posłów. Ale między rokiem 1780 a 1792, drobna nawet jak ją nazywano szlachta, chciała już używać równości i powagi, już nie w samych tylko czczych słowach będącej. Kiedy raz dumny regimentarz i wojewoda kijowski, jednemu towarzyszowi (1) kazał sobie podać ognia do fajki; ten otworzył okno i wystrzelił z pistoletu, mówiąc: że posłuszny rozkazom swojego wodza dał ognia w sposób, jaki jego randze przystoi.

— Wychowanie młodzieży w Polsce było przez dwa wieki bardzo zaniedbane: rząd wcale się niém nie opiekował, akademia krakowska i wileńska, nie mając dostatecznych funduszków i żadnego nad sobą dozoru, upadały coraz bardziej i utrzymać się nie mogły obok przebiegłego zakonu Jezuitów, który kierując umysłami, szczególnie téż Zygmunta III-go, i wielu wielkich panów, gromadziło coraz większe skarby, jednało sobie u powszechności zaufanie i znaczenie, i całą edukacją młodzieży do siebie zagarnęło.

— Zaprzeczyć nie można, aby zakon ten nie posiadał nauk i światła w wysokim bardzo stopniu; ale uczącój się młodzieży tak ich skąpo udzielał, że młodzieniec po latach dziesięciu z ich szkół wychodzący, prócz łacińskiego języka, rachunków, nieco dziejów starożytnych, mnóstwa tak zwanych *karminów* czyli łacińskich poezyi, których się uczył napamięć, nic więcej nie umiał. Z upadkiem dopięro tego zakonu, zaczęły się u nas podnosić nauki; z dóbr po nich zabranych uposażono krajowe uniwersytety i założono szkoły prowincjonalne, a ustanowienie kommissyi edukacyjnej, wzięcie pod dozór rządu publicznego wychowania; zawdzięczamy dopięro, jak wiadomo, panowaniu Stanisława Augusta.

— Polacy wychowani pod okiem Stanisława Leszczyńskiego w Lunevillu, a późniój nieco młodzież wychodząca ze

(1) Kawalerya polska zwana narodową, składała się z towarzysów i szeregowych. Towarzysze formowali piérwszy szereg, szeregowi drugi. Towarzyszem nie mógł być tylko szlachcic, który musiał się wyekwipować swoim kosztem, przystawić najniżej jednego szeregowego, niektórzy przystawiali po kilku i kilkunaście, a to jednało im zasługę i prawo do prędszego awansu na oficera.

szkół krajowych i świeżo założonego korpusu kadetów, lepiej oświeceni, poczęli już inaczéj i z innego stanowiska uważać dobroć ojczyzny: poznawali oni wady organiczne wiekami zakorzenione, instytucye i nałogi najszkodliwsze; widzieli całą zgubę nierządu i anarchii. Gęsto już wówczas wychodzące pisma i broszury, ostrzegały naród o tych wadach konstytucyi i prędko przepowiadały upadek, jeżeli skuteczna nie nastąpi reforma, lecz taka była moc zadawnionych przesądów, taka obawa w szlachcie utracenia swobód, przywilejów i samowładności, że reformatorowie wiele mieli trudności do zwalczenia, nim ją do zmiany nakłonić zdołali. . . . .

— Do wszystkich klęsk, które spodobało się Opatrzności w owym czasie dotknąć kraj nasz, przybyła jeszcze upadłość bankierów. Był pomiędzy niemi znany Prot Potocki, który mając na widoku olbrzymie plany handlu na morzu Czarném, pozaciągał od obywateli wielkie summy. Prot Potocki, Tepper i inni, przez rzetelne wypłacanie się na każde zawołanie, w przeciągu lat kilkanastu taki sobie byli zjednali kredyt, że kto tylko sobie wielką lub małą summę zebrał i od bieżących wydatków oszczędził, jechał na kontrakty do Dubna i Krakowa, aby im na procenta oddawał; zkąd poszło, że gotowizna prawie całego kraju w ich zostawała rękach. Różne naznaczano przyczyny temu upadkowi... Płacili nieco za wysokie procenta, niektórzy żyli bardzo zbyt kownie, trzymali wielką liczbę buchalterów, którym wielkie ponaszczali pensye, rzucali się na wielkie i niepewne projekta handlowe. Wielki był płacz i narzekanie w kraju z tego powodu: wielu obywateli straciło większą część mienia, inni zaś, którzy całe majątki powierzyli, stracili wszystko. . . . .

— Po ukończonej kampanii 1794 roku, wielu z ziomków naszych rozsypało się po różnych stronach świata, a wielka liczba udała się do Włoch, gdzie, jak wiadomo formowały się legiony, które Francya utrzymywała na swym żołdzie, a które zbiegowiskiem żołnierzy austryackich rodem z Galicyi nieustannie się powiększały. Inni zaś wracali do domów, gdzie oddawali się staraniom koło gospodarstwa i własnych interesów. Jak to zawsze bywa, Opatrzność obok wielkiej klęski, którą na kraj zesłała, pozwoliła aby się z niej jaka taka dla niego korzyść wywiązała. Czas tylo-letnich cierpień nie był ze wszystkim stracony. Zaprowadzone przez Niemców prawa i urządzenia,

lepiej i praktyczniej Polaków obeznały z prawami dobrego rządu i ekonomii politycznej, natężyły ich delikatniejszymi względem włościan uczuciami, nauczyli się lepiej pojmovać wady przodków, gotujących oddawna ich zgubę, a wolni od zjazdów publicznych, dla których nieustannie odbywać musieli podróże, więcej przywiązywać się zaczęli do rolnictwa, które ich bogaciło; bo dla ciągłych nad Renem wojen, zboże poszło do niesłychanej ceny: płacono od dwóch do trzech dukatów korzec pszenicy, a w tej proporcji zboże i inne produkta (1). Z dostatkiem przychodził przemysł, gust i zbytek, zaczęto stawiać porządniejsze folwarki, owczarnie, stajnie, gorzelnie, zaprowadzono szlachetniejsze gatunki owiec i bydła, rudowano lasy, osuszano rowami łąki i pastwiska, w miejscu szpalerów z strzyżonej grabiny i regularnych kwater w ogrodach, zapełniano je klombami, kanałami i łączkami. Domy gotyckiej architektury, przekształcono na styl gładki z opartą na kolumnach facyatą i wewnątrz zrobiono podział pokoi wygodniejszy. Apartamenta napełniono mahoniowymi sprzętami sprowadzonymi z Berlina i Wiednia, albo robionymi w kraju przez rzemieślników, których tysiące z zagranicy przywędrowało. Strój polski coraz stawał się rzadszym, i tylko go na obywatelach podeszłych i mieszkańcach miast widzieć można było. W miejscu karet i kolas na pasach w domu robionych, nastaly powozy z Wiednia lub z Anglii sprowadzane, które po wąwozach, bagnach i trzęsawiskach kraju naszego, psuły się i łamały. W każdym domu obywatelskim musiała być guwernantka francuzka lub angielfka, guwerner Niemiec lub Francuz. Słowem, naród nasz w przeciągu lat dziesięciu inną wcale przybrał postać. Tytuły nawet starodawne polskie znikły, a nastaly zagraniczne książąt, hrabiów i baronów, albowiem rząd austryacki, schlebiając szlachcie, obsypywał niemi dawnych senatorów i dygnitarzy; urzędnicy pruscy i austryaccy, mieli rozkaz głaskania jej ambicyi i najgrzeczniejszego się z nią obchodzenia. Ze wszystkich dawnych staropolskich obyczajów, pozostała tylko gościnność, która w niczem nienaruszona, długo w zwyczajach naszych zostawała.

(1) Coby piszący te notatki powiedział, że bez wojny bliższej i tak nadzwyczajnego nieurodzaju, dziś płacimy w owym dawnym europejskim śpichlerzu, pszenicę po złotych polskich 60, a żyto po złp. 40 korzec?  
(Przyp. aut.).

— Mruczeli na te wszystkie reformy starzy, narzekali na ustającą prostotę obyczajów, otwartość i wesołość; ubolewali nad tém, co nazywali w młodzieży wykwinnością i zniewieścianością. Być może, że pod niektórymi względami, starzy mieli słuszość; to pewna wszakże, że Polacy nowego pokolenia przybrali charakter łagodniejszy, obejście więcéj zbliżone do zwyczajów środka Europy. Pijaństwo ustawało, a kobiety lepiej same wychowane i w obowiązkach płci swojej oświecone, więcéj się zajmować poczęły wychowaniem dzieci, które dawniej w oddzielnéj officynie lub na folwarku chowane, mało widywały.

— Obok korzyści, jakie obywatele w pomyślnych dla rolnictwa czasach ciągnęli; przykre im były podatki, których dawniej nie znali. Austria ciśniona nieustannemi z Francją wojnami, podwoiła podatek dziesiątego grosza, a oprócz tego tytułem pożyczki wojennéj, drugie tyle na właścicieli nałożyła. Rząd pruski oprócz powiększenia podatków, zaprowadził akcyzy po miastach i browarach, przez które niesłychane dotąd opłaty wyciskał. Poodbiérał posiadaczom starostwa czyli dobra narodowe za przywilejem królewskim posiadane, lub na lat pięćdziesiąt dane, a wyznaczył im kompetencye wyrównywające połowie dochodów, jaką do skarbu wedle lustracyi opłacać byli obowiązani. Toż samo nieco późniéj uczynił rząd austryacki. Obywatele nie znając ich praw, manipulacyi, języka, drogo im się opłacać musieli, aby zyskali radę i pomoc w interesie. Mnóstwo wychodziło rozporządzeń, mandatów, a wszystko w niemieckim języku; każde niedopełnienie pociągało za sobą exekucyą lub karę pieniężną, albo tłumaczenia, do których trzeba było znów porozumiewać się z samemi władzami, które sowitego wymagały wynagrodzenia; a nadto miały satysfakcyą wyśmiewać i pogardzać narodowe polskie zwyczaje.

(Dalszy ciąg nastąpi).

# PRZEGLĄD LITERATURY ZAGRANICZNEJ.

WSPÓŁCZESNA LITERATURA ANGIELSKA.

## I.

(Longfellow, Arnold, Smith).

Któż dziś odważy się zaprzeczyć, że w sprawie wszech postępu ludzkości, każde plemię ma zaszczyt być samém sobą; że pod bezwzględnością prawdy i powszechnego piękna, każdy naród musi zachować familijne rysy we wszelkich objawach życia, nie wyłączając sztuki, a nawet i filozofii. To święte piętno, nie wyrobione, lecz wrodzone, ta idealna fizyonomia narodowości jest istotnym prawem bożem, z pod którego również niepodobna wyłamać się, jak z pod praw wyłącznych pewnym miejscom, klimatom i organizacyi fizycznej. To, co geniusz zuchwały nazywa samodzielnością, jakoby wbrew owym odwiecznym prawom ducha miejscowego, jest właśnie samodzielnością, w imię tego ducha miejscowego; jest poczuciem i uznaniem jednego z tych wielkich przeznaczeń, które Bóg rozdał między rodziny człowieczeństwa. Dla pospolitego oka widoczną jest tylko różnica cery i rysów w plemieniu kaukazkiem, malajskim i t. p.; lecz pochwycenie typu plemienia, abstrakcyja rysów i budowy organizmu, jest już zadaniem badacza. Nierównie trudniejszym jest, iż się tak wyrażę, odróżnienie cery rasowej i rysów w utworach umysłu, fantazyi, czucia, filozofii, sztuki, religii. Ale te indywidualne cechy istnieją niewątpliwie, choć mniej doty-

kalnie. „Cała Grecya jest pełną Homera” mówi Ampère. Poznajemy Indyą w jej poematach olbrzymich, w jej hymnach panteistycznych; Oceanią w jej krwawych legendach; Arabią w płomieniach jej pieśni przyémionych tęsknotą; Persyą w uroczystym spokoju jej epos; Grecyą w jej naiwném spoufaleniu z Olimpem. Takie zdanie o narodach wyrzeka się śmiało, stanowczo: bo same te narody już siebie wyraziły.

Lecz niełatwo coś wyrzec o plemionach, które istnieją w całej jeszcze świeżości życia, pracy i postępu, które jeszcze siebie wyrażają. Zwłaszcza jeżeli wśród natłoku zaledwie utwory wyminąć się mogą.

Wielostronność samego postępu, zdumiewająca przewaga pewnych ogólnych dążeń, a ztąd mimowolne naśladownictwo, starty były na długo znamię rodowe z literatury angielskiej. Między Szekspirem a Byronem ciągną się właśnie owe długie lata bezbarwności, w których piśmiennictwo angielskie różni się niemal tylko językiem od francuzkiego i klassycznego. Materialna doskonałość życia, apoteoza bytu publicznego, wielka karta, bil przywilejów: były to sprężyny silne, lecz wyłączością swoją przeważnie ujęły miejsca reszcie żywiołów. Byron uczuł pod sobą tę wielką próżnię, przeto jego utwory pokazują bolesne zerwanie z podaniem, z narodem, ze sobą samém, z natrętném widmem swojego wieku, z wynarodowieniem. Odzywa się on do współczesnych pisarzy słowami Juwenalisa: „Cóż to? czyliż zawsze będę słuchaczem tylko, a nigdy nie odpowiem. Wolno pisać niedorzeczności temu i temu poecie, a ja mam nie pisać?” „Szekspir, jak powiada Ulrici, był uroczystym wieszczem protestantyzmu;” Byron... ponurym wieszczem zaprzeczenia. W Koryncie swoim wystawia odstępcę, bez wstępu; w Faliero poświęca łzę dla sprawcy niepokoju publicznego: w bandytach, niemal przyciska zbrodniarza do swego serca, nakoniec w Child-Haroldzie pod przezroczywą maską ukazuje się sam, z rozpaczą, znudzeniem, nienawiścią, wzgardą dla człowieka. Po tém wszystkiém jednak śmiemy powiedzieć: Byron był cnotliwym, lecz dodajmy: był nieszczęśliwym. Nie miał on szczęścia ukochać dobra w postaci dodatniej, los przeznaczył mu gorzki, lecz wielki udział: spotwarzenie złego własném



cierpieniem wewnętrzném. Na tém ujemném stanowisku zakończył Byron swoje życie i zawód.

Ogólny bieg współczesnej literatury znany czytelnikom przedstawia ów zamęt, w którym trudno się nie zbłąkać. Utwory jednego miesiąca, zdaje się, do-  
starczyłyby zajęcia na całe życie. Bezmiar i różnorodność, potwornie długi łańcuch, którego pierwsze ogniw tworzą najidealniejsze pienia Alexandra Smith, a ostatnie „teorya perfum i wszelkich pachnidel!” Środek zajmują dzieła historyczne, polityka, (1) opisy podróży już to wokoło świata, już wycieczki do oddzielnych części ziemi i krajów; ekonomia i statystyka, nakoniec powieści. Najstabiiej reprezentowaną jest filozofia, a przedewszystkiém spekulacyjna. Zamocno rozwinięty instynkt empiryczności, świetnie niegdyś rozpoczęty przez Bakona, a stanowiący tu jedną z cech wydatnych, nie dozwolił im jeszcze „ze swoich bark usunąć głowy Arystotelesa” Niedawno pokazano tam probkę „pojęcia o nieskończoności” jakoby po raz pierwszy. Za to filozofia religii liczy wielu sławnych pracowników. Nauki techniczne z natury rzeczy, szczycą się wielu znakomitemi utworami, których tu oceniać nie będziemy.

Mimo różnorodności i liczby utworów w literaturze pięknej, dostrzedz jednak można, przedewszystkiém zaś w poezyi, jeżeli nie dążność określoną, przynajmniej zwrot ku pewnej stronie. Rzekłbym, iż to jest zwrot w kierunku przedmiotowym: kierunkto nam znany, bo i wokoło nas od pewnego czasu dający się wskazać. Nie nazwiemy go wypadkiem naśladownictwa, gdyż przychodzą nam na pamięć wielkie imiona współczesne; ale wypadkiem jakiegoś wyższego, ogólniejszego ciężenia umysłów do ducha czasu. Jeżeli dotąd duch był bohaterem poezyi, z kolei wypadki winne być podniesione do godności ducha, tak

(1) *Historja kobiety ze względu na religia, cywilizacya i byt domowy od czasów najdawniejszych*, przez S. W. Fullom. 1855.  
*Historja Filipa II króla hiszpańskiego*, p. Prescott. 1855.  
*Życie Mahometa podług źródeł oryginalnych*, p. Sprengera. 1855.  
*Podróż wokoło świata, odbyta przez artystę Roberta Elwes*. 1854.  
*Mitologia i historia ludów Polinezyi*, p. Greja. 1855.

jednak, iż on wyzierać będzie zpoza zdarzeń. Na czele nowój szkoły stoją uczniowie Shelleya: Arnold, Smith i Yendys.

Z pomiędzy tworów lirycznych Alexandra Smith przytaczamy mały wyjątek. Zdaje się on dobitnie charakteryzować ducha poety, który chce się wyrwać z więzów materji.

„Patrzcie! oto niby morski przyptyw i odpływ życia ludzkiego na ulicy. Ach! jakże rośnie fala i jak się rozwija. Boże! ileż tu twarzy bezmyślnych! Boże, ile ciał bez duszy! Wśród tego prądu, wysokimi i czarnymi murami spartego, stoję blady wdychając do lasów, do słodkiego deszczu co szczebiocze, i świeżo skropionych liści. Niechże się widzę z błyskawicą, igrającą niby jaskółka wśród ciężkich chmur brzemiennych piorunem. Niechże się wyrwę z wrzawy, niech ze szczytu gór zacinanych wiatrem, popatrzę na nieba pełne ptasząt i pola obszerne, wytkane kwiatem, strumieniami, niby nitką srebrną. Chcę skąpać czoło w słońcu zachodniem i czekać na wszechwładny cień nocy, co już kroczy zwolna. Dajcie mi poczuć owe niezmierne i powszechne życie we wszystkiem: w myśli, żyłach i w naturze wkoło mnie! Tak! zobaczę jak to życie nieskończone rozwija się w kwiatach pod stopami i w gwiazdach nademną! Niestety! cóż robimy tu dla duszy nieśmiertelnej? Dusza opuszczona, zamknięta, nieznana, jak ów król w chacie biednego Saksona; w ciemnicy ciała uwięziona, pochłonięta w grube żywioły zapalające ziemski płomień: bogini niepoznana, skazana na poddaństwo poziomym żądom natury. I dziwże to, bracia, że z jej ust już nie płynie objawienie? Ucisnęliśmy ją, uciskamy, dusza też zachowuje majestatyczne milczenie. Stwórcu! wszak dusze nasze, to służebnice; wszak dusze nasze to tajemnice! Ukryjmyż się bracia od życia, ukryjmy się do grobu. Czemuż tak plamić świętą naszą niemowlęcość, wszystko zaprzedać za wino i mięso, i upadać tak nisko! aż do podobieństwa owym dziś starym śmieciom ulic, a niegdyś siedzibom królów i wielkich mężów, pełnym złota i jedwabiu, gdzie dźwięk trąb się rozlegał, a dziś.... dziś w brudnym zakątku wśród łat i chorób przesuwa ją się ohydne widma na nędzę i zbrodnie wskazane.”

Drugim z współczesnej konstelacji jest wspomniany już Matthew Arnold, marzący, tajemniczy Arnold, wielbiciel Antygony, Sofoklesa i starożytności. Ta półklasycyzność zjednała mu łaskawy głos nawet w konserwatystowskiej Gazecie piśmienniczej. Atoli klasycyzm Arnolda nie jest owém ślepém juravi in verba magistri, to jest zabobonną wiarą w nieomylność gustu grecko-rzymskiego. Arnold uwielbia Homera jako świętą starość, której główny urok tworzy osłaniająca ją mgła trzydziestu wieków. Nie tytułuje on Tamizy Cefizem, ale słowik na tle nocy rozsnuwający rzewne dźwięki, napomyka jego duszy o odwiecznych i zawsze jednakich cierpieniach człowieka. Wszystkie prawie jego powieści biorą przedmiot z dziejów starożytnych. Do najpiękniejszych policzyć można, powieści: Micerynus i Rustum. Cześć dla Szekspira posuwa Arnold do ubóstwienia. Zmierzając do znanego w Hamlecie monologu: „być lub nie być, oto zapytanie”

Arnold tak mówi:

Nas dręczy zapytanie, a ty jesteś wolna.  
 My badamy i badamy. Ty się śmiejesz i milczysz  
 Szlachetna wiedzo! bo najwyższa góra co w gwiazdach gubi

majestat korony, co w morzu silną stoi stopą, a ma swój przybytek w niebach nad niebami: o! ta dla szalonych badań śmiertelnika zostawia ledwie tylko mglisty brzeg swego podnóża. A ty! coś gwiazdy, coś znał promienie słońca, sam sobie będąc źródłem, wiedzą, zaszczytem, ochroną, mój pielgrzymie! nie przeszedłeś po tej ziemi nieodgadnionej? Tém lepiej, tém lepiej. Bo wszystkie męki, jakie duch nieśmiertelny wycierpieć musi: i słabość co nęka, i ból co pochyła, tam tylko znajdują echo na szczycie zwycięstwa.”

Tuż obok Arnolda, jeżeli nie wyżej, spostrzegamy dzikie, fantastyczne oblicze, na którym wyciśnięte godło zwątpienia, jakby podjęte na śmiertelném łożu Byrona. To autor dwóch dzieł; Balder i Roman. Anglicy mówią, że to głos trąby sądu, ogłaszający światu zatopionemu w materji straszliwą myśl: „cóż ci ztąd przyjdzie, że posiędziesz świat cały, jeżeli duszę zagubisz!” O tym poecie powiemy obszerniej w przyszłości; nadmienię tylko, że zapał wywołany przez te utwory wy-

równań wrażeń, jakie w nowój Anglii wzbudziła sławna H. Beecher Stowe.

Ci trzej poeci z amerykańskim wieszczem Longfellow stanowią głośną reakcją przeciw tak zwanemu be-fend beeryzmowi (1). Longfellow należy do przeciwników szkoły ujemnej w nowym świecie, która na czele Emersona liczy wielu stronników. Nietyle samorodność, która w przekładzie mogła wiele utracić, jak raczej dziwne pokrewieństwo z nowoczesnym typem naszej poezji, spowodowało nas do zajęcia się nim bliżej, w nadziei, że czytelnikowi przyjdzie na myśl imię, którego nie wymówiliśmy. Powieść, a przedewszystkiēm powieść romantyczna jest jego polem. Nazywając pióro Longfellow'a romantycznē, nie nadużyliśmy wyrazu. Pokazuje on zerwanie z tą powagą, jaką dotąd szczyty się za oceanem prawidła gustu europejskiego; powrót do siebie, do swoich gór, do swojej Missisipi, po której Ren mógłby śmiało przepłynąć jak prąd mało widoczny.

Nie mając szczęścia, raczej nie mając przeznaczenia być synem starego ładu, to jest téj tradycyjnej Europy, gdzie na tle mytów już narosło kilkanaście pokładów historycznych; Longfellow poczuł potrzebę i możliwość wyszukania przeszłości w swojej dziwnej ojczyźnie bez wczoraj. Wynałazł ją rzeczywiście pod warstwą anglo-saksońskiej rasy, w owē niedogastēm plemienu Indyan, z którego ubywaniem i śmiercią zmierza do grobu reszta przedwiecznej cywilizacji Azteków. Podnosząc ów święty typ z jego łoża śmierci, gotując mu żywot wieczny na karcie poezji, w chwili gdy on kończy byt ziemski, jakże głęboką daje naukę Longfellow; jak nakazujący dowód, że wszędzie jest przeszłość, że każda góra jest dawniejszą od piramid, każda rzeka dawniejszą od Iliady; że pod wszelką szerokością spotkać się można z poetycznymi grobami ubiegłych wieków, gdzie władza natrętnej prawdy historycznej ustaje, a poczyna się natchnienie! Longfellow, jak powiedzieliśmy, jest głównie poetą powieścio-

(1) Aby nie zostać dłużnemi, tłumaczmy z przymusem tytuł téj dziwnej, prawie cynicznej szkoły materialistów praktycznych. Znaczy on: szkołę piwa i pieczeni!

wym. Zdarzenia, które opowiada opierają się na podaniach czerwonego plemienia. Poemat, który mamy w tej chwili pod ręką, ma nazwę: Hiawata, od swego bohatera. Hiawata sławny w legendach Indyan amerykańskich, uosabia nam jeden z tych wielkich charakterów, jakieśmy poznali w Siawuszu perskim, Witoldzie litewskim, a które leżą w tajemniczym okresie przesilenia pomiędzy nocą mytu, a porankiem pierwszych dziejów. Hiawata, którego kolebkę osłania cudowność, jest mistrzem dla Indyan: wprowadza do nich byt familijny, rolnictwo, pismo, godzi i jednoczy walczące z sobą szczepy, przepowiada przyszłość, napływ obcego plemienia z za oceanu, walkę niezgody i smutny ich koniec.

Spiew Hiawata napisany jest wierszem miarowym, rzadko rymowanym. Niewątpliwe jest, iż poeta mając powieść na tle ludowym, przedstawił nam swoje kształty z poetyczną prawdą, to jest, że w jego bohaterach, siedzących wśród lasu na progu chaty (wigwamu), robiących strzały, puszczających kłęby dymu z ust wśród dumań o dawnych czasach, poznajemy dogorywającą patryarchalność Azteków, w koniecznej dla sztuki perspektywie.

W następującym wyjątku Hiawata puszcza się w obcą ziemię, do kraju Dakotach, z którym niedawno jego ziomkowie krwawy bój toczyli. Stary jego opiekun Nokomis, odwodzi go od wędrówki; lecz napróżno, bo serce Hiawaty tęskni do obcej ziemi.

### PIEŚŃ O HIAWACIE (*wyjątek*) (1).

„Czém łukowi własna strona,  
 Tém mężowi własna żona:  
 Niby wiąże, a związana,  
 Niby rządzi a poddana:  
 Jedno marne bez drugiego.  
 Tak młodzieniec, Hiawata  
 Mówi, marzy z samym z sobą;  
 Mnogie myśli głowę trudzą,  
 Mnogie czucia w sercu budzą  
 Łez, pokoju, wiary, strachu,

(1) The Song of Hiawatha, wydane u Bogue 1855.

A i dumy co ulata  
 Do nieznanéj Minnehaa,  
 Gdzieś daleko w Dakotahu.  
 Lecz Nokomis mu powiada:  
 Hiawato! moja rada,  
 Pojmij żonę z twego rodu,  
 Nie ze wschodu, nie z zachodu,  
 Nam nieznaną, niesłychaną.  
 Swojska żona choć pokorna  
 Ma blask ognia, ma blask słońca;  
 Ale obca, najpiękniejsza,  
 Tylko gwiazdy lub miesiąca.  
 Nokomisa taka rada.

Hiawata odpowiada:  
 Piękny, piękny ognia płomień,  
 Piękny, piękny słońca promień,  
 Lecz piękniejsze światło gwiazdy,  
 Lecz piękniejszy blask miesiąca.

---

Na przysionku od wigwamu (1).  
 Siedział starzec strzałó-dzieja,  
 W kraju plemion Dakotahu,  
 Robił ostrze strzał z jaspisu,  
 Robił ostrza z chalcedonu.  
 Tuż przy ojcu, śliczna, śliczna  
 Siedzi córka Mimehaa,  
 Siedzi córka Zródło-śmiechu,  
 Z prętów głogu las uplata:  
 Myśli ojca w przeszłość idą,  
 Myśli córki w przyszłość lecą.  
 Ojciec дума o dniach owych  
 Niepowrotnych, gdy te strzały,  
 Łanię, żubra biły w kniei,  
 Na rozłogach Muskodei;  
 Dzikie gęsi zabijały,  
 Gdy leciały na południe  
 Skrzydły swemi głośnie Wawa.  
 Gdy mężowie przyjeżdżali  
 I te strzały kupowali:  
 Walczyć bez nich nie umieli.  
 Już ich nie ma! jak bywali  
 Na téj ziemi męże śmieli;  
 Dziś kobietom równi męże,  
 Język mają za orężę.

Córka дума o myśliwym  
 Z obcój ziemi i plemienia:

(1) Chaty.

Młodym, smętnym i rośliwym.  
 Co tu kiedyś rankiem wiosny  
 Przybył kupić ojca strzały.  
 Długo, w chacie siedział z niemi,  
 Potém tęskny, tęskny jechał  
 Wciąż oglądał się na chatę,  
 Odjeżdżając do swój ziemi.  
 Nieraz ojciec chwalił jego  
 Mężkie serce, mądrą głowę.  
 Czy téż kiedy przyjdzie jeszcze  
 Po te strzały; czy téż kiedy  
 Zwiedzi chatkę Minnehay?

I na matę położyła  
 Dłoń bezczynną, znów marzyła.  
 Wśród dumań słuchają, słyszą,  
 Szelest liści grał pod ciszą,  
 Aż tu z ogniem na spojrzeniu,  
 Z siercią zwierza na ramieniu,  
 Z głębi lasu niespodziany  
 Hiawata ich nawiedza.  
 Wnet strzałodziej pochylony  
 Wpół skończony łuk odkłada  
 I pod strzechę gościa prosi.  
 A gdy prosi, tak przemawia,  
 Rad oczami, rad ustami:  
 „Witaj, witaj Hiawato!”

U stóp pięknej Minnehay  
 Gość, podróżny ciężar składa,  
 Zrzuca z ramion płaszcz jeleni;  
 A już dawno, gdy szedł z sieni,  
 Minnehaa siedząc zdala  
 Nad nedorobioną matą,  
 Spoglądała, pozdrawiała,  
 I oczami i ustami:  
 „Witaj, witaj Hiawato!”  
 Duży wigwam Indyanina  
 Z skór jelenich, w głębi biały  
 Malowany, a przy ścianach  
 Dakotahów bogi stały;  
 Drzwi wysokie miała chata,  
 Lecz gdy wchodził Hiawata  
 Ledwie zmieścił szczytną głowę,  
 I na głowie orle piora.  
 Tedy wstając Źródło-śmiechu,  
 Najpiękniejsza Minnehaa  
 Wpół zrobioną matę składa;  
 Stół zastawia bożym darem,

W czarach z gliny pokarm dała,  
 Wody z źródła zaczerpała,  
 Kubeł z kory był puharem.  
 A i gościa słówka śledzi  
 I ojcowskie odpowiedzi;  
 Lecz ust swoich nie otwiera,  
 Razu słowa nie wyrzekła.  
 Niby śpiąca, nadśluchuje,  
 Jak rozprawia Hiawata  
 O staruszku Nohomisie,  
 Co go żywił w ranne lata,  
 Jak o swoich towarzyszach  
 Dzielnych grajkach Chibiados,  
 O Kwazyndzie arcy-mężnym,  
 O bujności i pełności  
 Ziemi szczęścia i pokoju,  
 Cnego kraju Ozybweis.  
 Gdzie po wielu latach boju,  
 Szczęku broni, krwi strumieniu:  
 Wreszcie pokój padł w plemienu  
 Ozybweis i Dakotach.  
 I tak jeszcze mówił dalej,  
 Ale skromniej nieprzytomniej:  
 „By już mogły być ostatnie,  
 Boje plemion, wiecznie cisza,  
 Nasze serca wiecznie bratnie,  
 Nasze ręce zawsze spojne;  
 Niech twa córka będzie moja,  
 Źródło-śmiechu Minnehaha  
 Najpiękniejsza w Dakotahu”.

Dobrą chwilę był w milczeniu,  
 Nim odrzeknął Strzałodzieja;  
 Dym wypuszczał z ust a milczał,  
 Dumnie patrzył na Hiawatę,  
 Słodko patrzył na swe dziecko.  
 Wreszcie rzekł statecznym głosem:  
 „Jój spytajmy, co téż powie  
 Minnehaa i jej serce?”

A ta miła gdy tam stała,  
 Jeszcze miłszą się zdawała,  
 Ni się skłania, ni się wzbrania.  
 Wreszcie zmierza ku gościowi,  
 Siadła przy nim i mówiła,  
 Lecz się twarz jój rumieniła:  
 „Mój małżonku pojedę z tobą.”



Tak to kochał Hiawata,  
Tak starego wyrobnika  
Pojął córkę Minnehę,  
Z cudzej ziemi Dakotahu.

---

## WIOSNA I ZIMA.

W swoim wigwamie podle brzegu,  
Podle brzegu zamarzlęj rzeki  
Siedział starzec tęskny, samotny;  
Włos miał biały jak szmaty śniegu.  
Ciemném światłem szczapy gorzały,  
Tulił się starzec i drżał cały.  
W swój waubeuwion obwinięty,  
W płaszcz poszarpany z białej skóry,  
Nic nie słuchając tylko burzy,  
Jak gdzieś z rykiem w lasy ciągnęła;  
Nic nie widząc tylko prąd śniegu,  
Jak wirował, syczał, zawiewał.  
Już popiół barwę z węgla ścierał,  
Już ogień jego zwolna zamierał,  
Kiedy z podwórza cichym krokiem  
W drzwi otwarte wstąpił młodzieniec.  
W twarzy młodzieńca krew kwitnęła,  
Oko słodkie, jak gwiazda wiosną.  
A z pod przepaski w okrąg czoła  
Pióra i z liściem wonne zioła.  
Usta wdzięcznym śmiechem się śmiały,  
Blask słoneczny niosły w dom cały.  
W rękę zwinięte w wiązki kwiaty,  
Woń wiosenną niosły do chaty.  
Ach! mój synu, starzec zawoła,  
Wzrok mój szczęśliwy że cię widzi,  
Tu obok mnie na macie siadaj,  
Gdzie konający płomień świeci;  
Tu niech nam wspólnie na powieści  
O twych przygodach noc uleci,  
O przejrzanych ziemiach odległych,  
A! i mojej wielkiej sile,  
Czynach wielmożnych i cudownych.  
Rzekł i wyciąga dymkę z pochwy,  
Dymkę pokoju, dziworochną,  
Z wierzchu czerwony krył ją kamień,

A trzcina w piórach ją trzymała.  
 Dymkę nakłada korą wierzby  
 Na nią żarzący węgiel kładzie,  
 Daje gościowi; przychodniowi,  
 I tak zaczyna pogadankę:  
 „Gdy ja z mych piersi zionę wkoło  
 Oddech puszczony w świat daleki:  
 W kamień obraca żywe płyny  
 I w lód bezwładny ścina rzeki”.  
 Syn mu z uśmiechem odpowiada:  
 „A moja pierś gdy zionie wkoło,  
 Gdy puszcze oddech w świat daleki,  
 Ze wszech łąk kwiaty wytryskają,  
 Ze śpiewem rzeki się ruszają”.  
 „Gdy ja potrząsnę gęstym włosem,  
 Rzekł zimny starzec, marszcząc brwiami  
 Wnet szron i śniegi pędzą zgrają,  
 Z każdej gałązki liście lecą,  
 Tułają się, więdną, umierają:  
 Bom ja odetchnął, ot i znikły!  
 Tam z wód jeziora, z trzęsawicy,  
 Zrywa się czapla, dzikie gęsi,  
 Ciągną w odległe okolice:  
 Bom ja rzekł sobie: ot i znikły!  
 A niechże pójdę w czarne bory  
 Chować się będzie, gdy mię zoczy  
 Wszelki zwierz w jamy, w zimne nory,  
 Ziemia się w krzemień przeistoczy”.  
 „A moje włosy gdy powioną  
 Śmiejąc się, młody odpowiada,  
 Wnet bryły w ciepłych strugach toną.  
 Trawa podnosi świeżą głowę,  
 Na staw, jeziora, trzęsawiska  
 Wracają czaple, dzikie gęsi;  
 Powraca nurek, lotna łyska,  
 Jaskółka w pędzie równa strzale.  
 Niechże od wody zwrócę stopę,  
 Wnet łąki kwiatem się kołyszą,  
 Od gęstych liści las mroczeje,  
 Muzyka zwierząt gra pod ciszą.”

Gdy tak mówili, noc ubiegła;  
 Z dalekich królestw od Wabunu  
 Swojej stolicy, srebrem, lśniące,  
 Jak rycerz zbrojny idzie światło,  
 I woła: patrzcie! to ja, słońce,  
 Patrzcie, jam z Gizys, wielkie słońce!

Tu język starca już zaniemiał,  
 Powietrze rosło ciepłym, siłą,  
 Ponad wigwamem wolno, miło,  
 Gil czerwony z szczygłem śpiewały.  
 Strumień rozpoczął gwar wiosenny,  
 Tam od zbudzonej świeżo trawy  
 Wonność pryskała w głąb wigwamu.

Lecz młody Segwam z blaskiem zorzy  
 Wzrok zatapiając w twarz pielgrzyma,  
 Dojrzał twarz jakąś lodowatą.  
 Ów starzec był Peboan--Zima.

---

Z dzieł historycznych wspomnimy: *Życie Mahometa ze źródeł pierwotnych, napisane przez A. Sprenger, 1855.*

Azya i Europa, natchnienie i racjonalizm, myt i historia, owóz dwie wieczne antytezy ludzkości, uosobione w ludach. Wszelka myśl zawiązuje się w Azyi, w téj, iż tak powiem ojczyźnie nieustających wieków średnich. Ale zawiązuje się tylko, czyli jest tylko przeczuciem, wiarą: tu dopiero wzrasta do godności pojęcia. Nad kolóbką każdej wielkiej myśli świeci cud, dlatego, że to jeszcze nie pojęcie, nie zasada oparta na dowodach, lecz pierwsze zamarczenie, dla którego poezya jest konieczną formą i jedynie przystępną. Romulus, Jao, Zoroaster ukazują się w dziejach tajemniczo; poza mgłą romantyczną giną ich rysy ludzkie, ich budowa i wielkość naturalna.

Wielu z nich doszło do najpóźniejszej potomności nie straciwszy nic z swojej nadprzyrodzonej natury. Ale założyciel Islamu ukazał się zapóźno, jak na osobę mytową, bo już w owém blizkiem dniu zaraniu, które zdziéra fantastyczną draperyą z obrazu ludzi i zdarzeń. Niniejsze dzieło przedstawi czytelnikowi w żywych barwach charakter, prawdziwą rolę i historyczne stanowisko prawodawcy, warunki postępów jego nauki, i wytłumaczy zagadkę szybkiego jój wzrostu na zewnątrz i szybszego jeszcze upadku wewnętrznego.

---

*Mitologia ludów Polinezyi i dzieje plemion Nowej Zelandyi, z podań ludowych zebrane przez Greya byłego gubernatora Nowej Zelandyi. 1855 r.*

Dzieło nader ważne i zajmujące; przeto nieobojętném będzie ukazanie się téj książki dla czytelników, którzy zechcą śledzić historią człowieka wewnętrzną. Znajdą tu oni trudny do poznania swój własny obraz w niemowłęcém szczebiotaniu i dziwacznej dzikości téj trzeciej rodziny, która mimowolnie przypomina trzeciego syna Noego. Znajdą tu swój obraz jak dumnie rozwinięty, świetnobarwny motyl winien poznać siebie w brudnej poczwarcie, którą zostawił, ulatując, z której się wysnuł, wyrobił. Wpatrzmyż się w te potworne kształty z głową upstrzoną piórami, jakby z szyi ptaka na kark ludzki włożoną, w te oczy z pod ciemnej cery żarzące blaskiem srogości, w tę religią krwi (1) i mięsa drewnianym bogom poświęconą, w tę śmieszoną apoteozę jadła i napoju, w ich czary i zaklęcia duchów, w ich twarz misternie pokarbowaną, lub naciętą dla ozdoby; w ich zwyczaje, obyczaje, w cudowną potęgę ich zmysłów, ich podróże do nieba piechotą, ich raj zastawiony dzbankami: zgoła w ten cały brudny byt bez uznania; wpatrzmy się i nie powstydzmy się swojej poczwarki. Tu dla badawczego oka znajdzie się punkt do zmierzenia długości cywilizacyi, jaką świat wysnuł, a ile wysnuć jeszcze może.

Grey czerpał podania z ust kapłanów i naczelników plemion, zyskawszy poprzednio ich życzliwość i zaufanie. Zauważał w ich prośbach do niego podawanych, w ich zażaleniach niejedną legendę dodaną, niejeden mýt, lub wiersz, podanie poetyczne albo religijne, które nieraz utrudzało zrozumienie głównego

(1) Jeżeli przypuścimy, mówi Grey 2000 lat istnienia ofiar ludzkich na wyspach Polinezyi „i że podług zasad służących za podstawę ich religii, około 2000 głów poświęcono bogom: wnioskować można, że przynajmniej cztery miliony ludzi oddano na ofiarę drapieżnym bogom, nie licząc przerażającej liczby dzieci zabijanych pod wpływem systemu *dzieciobójstwa*, pewnemi podaniami uświęconego!”

przedmiotu. Grey przekonał się z czasem, że to były alluzye, albo allegorye, w które proszący osłaniał swe skargi przez skromność lub obawę. W niniejszym zbiorze napotykamy powieści mitologiczne, historią przesiedlenia się plemion oceanickich od zachodu na wschód; powieści historyczne, w szczególném znaczeniu wyrazu i legendy. Kosmogonia ich, jak wszystkich ludów współfamilijnych im jest kosmogonią materyi. Z właściwą zmysłowym narodom obojętnością przyjmują oni dokonany fakt istnienia świata, i nie zadając sobie pracy uduchownienia materyi, zostawiają nocy proces utworzenia żyjących rodzajów. „Synowie nieba i ziemi (Rawgi Papa) znudzeni ciemnością, zgadzają się jednomyślnie na rozdzielenie swych rodziców. Jeden tylko z nich, władca wichrów, sprzeciwia się przymuszonemu rozwodowi dwojga pierwszych rodziców, i ztąd długie wojny przeciwko braciom, reprezentującym wody, lasy, góry i t. p. Niebo Polinezyan przedstawia nam pierwszy zaród pojęć o nieśmiertelności. Pierwszy przodek, czyli pra-ojciec rodziny nieraz zstępuje na ziemię; i w chwili niebezpieczeństwa podaje ratunek żyjącym na ziemi potomkom swoim.

Tak ocala on małe dziecię Maui, rzucone w bałwany morskie, i odchowane, cudownie powraca matce. Między rozumem bożym a niedołężnością ludzką pośredniczy magia: ta, jak powiedzieliśmy gdzieindziej, metafizyka pierwotnego człowieka. Zaklęcia są zostawioną w rękach ludzi nitką od téj cudownej potęgi. Wiara w dziwy (czary) pokazuje tu, jak i we wszystkich narodach, albo wrodzony ludom pierwotnym popęd do uosobienia sił natury, albo stanowi, co niemniej prawdopodobne uzmysłowienie pewnych, zatraconych w historii epok, lub odznaczających się indywidualności, albo nakoniec, jak w wiekach średnich, rozważne ukrywanie pewnych pojęć w symbole. Tym sposobem dwa ostateczne ogniwa rozwinięcia się myśli: zabobon i spekulacya, natrafiają na jedną i téż samą formę: na symbol.

Na wzór rodzaju powiastkowego, przytaczamy najkrótszą legendę, z historyi wojen między plemionami Nowej Zelandyi.

---

*Miłość Takarangi i Raumahory (1).*

Na kilkanaście pokoleń przed nami żył naczelnik plemienia Taranaki, imieniem Rangirunga. Miał on Pa, czyli twierdzę zwaną Wakarewa. Była to ogromna Pa, słynna mocą swoich wałów. Miał on także córkę niesłychanie piękną, której imię było Raumahora. Piękność tak ją wstawiła, że jej imię głośne na okolicznych wyspach, doszło do uszu naczelnika plemion Ngati-awa, również mocną posiadającego twierdzę na wzgórzu, gdzie dziś wznosi się dom gubernatora. Ten naczelnik był ojcem młodego Takarangi, bohatera w swoim plemieniu. On także zastyszał o wdziękach księżniczki i uczuł gwałtowną ku niej miłość w swoim sercu.

Otóż w owych dawno minionych wiekach, wszczęła się wojna między dwoma plemionami, których naczelnikami byli ojciec Takarangi i ojciec Raumahory. Zwycięzkie wojsko Ngati-awa szło wprost na przeciwnika, w celu uderzenia na twierdzę ojca pięknej Raumahory. Oblężono warownię i w tym stanie trzymano ją kilka dni i nocy. Lecz bezskutecznie. Jednak po kilku natarciach i bitwach z załogą, mieszkańcy zostali osłabieni brakiem żywności i wody, a niektórzy z nich już prawie konali z pragnienia.

Wreszcie złożony laty dowódzca, ojciec Takarangi, zmorzony pragnieniem ukazał się na szczycie wałów swojej twierdzy, i zawołał do stojących przed nią żołnierzy nieprzyjacielskich: „Błagam was, dajcie mi kroplę wody.” Niektórzy tedy z szeregów nieprzyjacielskich, ulitowawszy się nad starcem, rzekli „Zgoda” i pobiegli z wiadrem podać mu wody. Lecz większość, mając twarde serce, obraziła się na nich, stłuczono im dzban, tak, że ani kropelki dla biednego starca nie zostało.

Ten czyn niemiłosierny powtarzał się kilka razy, a w wraz z nim żywa sprzeczka pomiędzy nieprzyjaciołmi.

(1) Dosłownie z ust mieszkańców.

Stary naczelnik stał ciągle na wałach twierdzy, usypanych z ziemi, i widział dowódcę nieprzyjacielskiej siły z oznakami godności na głowie. Był to biały grzebień, wyrobiony z kości wieloryba i długie pióro czapli, jako godła jego naczelnictwa. Naraz wszyscy usłyszeli głos starca, zwrócony ku niemu ze szczytu wałów: Kto ty jesteś? A młodzieniec odrzekł mu: „Ten, który stoi przed tobą jest Takarangi.” Stary naczelnik, władca Pa zawołał ze szczytu:

„Młody rycerzu! czyli jesteś mocen uciszyć rozniewane fale, pieniające się nad skrytymi skałami?” Co znaczyło: „czyli zdołasz, jakkolwiek jesteś naczelnikiem, uśmierzyć wściekłość tych dzikich ludzi?” Na to młodzieniec odrzekł dumnie: „Gniewne fale będą uśmierzone. To wojsko moje jest takim, że go żaden pies nie śmie ukąsić”, a przez to rozumiał, że żadna ręka niewolnicza nie odważy się tknąć jego żołnierza, uświęconego czynami i sławą, ani sprzeciwić się jego woli. Ale w głębi serca tak raczej myślał Takarangi: „Ten umierający z pragnienia starzec jest ojcem Raumahory, ukochanej dziewczicy. Ach! jakżebym się smucił, gdyby tak młoda i niewinna umierała wśród mąk pragnienia!” Poczem pobiegł przynieść wody dla starca i jego miłej córki; napełnił dzbanek, zanurzając go w głębi zimnego źródła, zwanego źródło Oryngi. Ani słowa nie rzekła, ani żadnego poruszenia nie zrobiła dzika tłu-szcza, lecz stała pod bronią patrząc i milcząc z podziwienia. Uciszyło się morze, przed chwilą tak wzburzone, czią i bojaźnią przejęte na widok zakochanego bohatera. Takarangi sam dźwigał wodę i ulżył mąk starremu księciu. Wówczas wszystkich doszedł głos Takarangi, wołającego do starca w te słowa: „Czyliż nie powiedziałem ci, że żaden pies nie ośmieli się ukąsić téj ręki! Weź wodę dla siebie, i dla młodej córki twojej”. Wzięli więc i napili się oboje, a Takarangi z zapałem spoglądał na młodą dziewczycę, a ona z zapałem patrzyła na bohatera. Długo oboje patrzyli na siebie, a gdy i wojsko Takarangi patrzyło, on wspiął się na szczyt wałów i usiadł obok Raumahory. Żołnierze zaś mówili między sobą: „O! towarzysze! nasz władca miłuje wojnę, lecz możnaby teraz pomyśleć, że miłuje Raumahorę prawie tak samo”.

W końcu nagła myśl powstała w sercu starego księżęcia i rzekł do swojej córki; „O! moje dziecię, czy nie byłoby ci miłym mieć tego młodzieńca za męża.” Dziewica odpowiedziała: „Kocham go.” Zgodził się staruszek na oddanie mu jęj za żonę, i bohater pojął Raumahorę. Wojna wzięła koniec, rozpierchło się wojsko Takarangi, każdy wrócił do swego domu, i już więcej nie napadano na twierdzę, ponieważ pokój był nazawsze zawarty. Potomkowie Raumahory i Takarangi mieszkają dotąd w Wellingtonie.”

Inne legendy przedstawiają mieszaninę treści religijnej, pół-historycznej, obrazy dzikości, okrucieństwa, zabobonów i poezji. Najciekawszym ze wszystkich jest dołączony w końcu wzorek muzyki! Piękne ryciny stanowią nauczające i miłe dopełnienie dzieła.

---

Powieść właściwa liczy w Anglii wielu znakomych pisarzy. Przy wygórowanej nieco barwie miejscowej, jaka szczególnie odznacza utwory humorystyczne, i wraz z przystępnością ogranicza ich wpływ na literaturę powszechną; powieść angielska zaszczytnie jest reprezentowaną przez p. Beecher Stowe, Bulwera, Dickensa (1), Cavanagh i Fulloma (2).

*Felix Jezierski.*

---

### III.

#### *O powieściach ludowych w Niemczech.*

Przy dzisiejszym rozwoju i kierunku powieści ludowej w Polsce, wiadomość o téj samej gałęzi piśmien-

(1) Piérwszyhumorysta w naszym wieku, najwięcej znany ze swoich *American Notes*, o których mowiliśmy przed kilką laty; dzisiejszym jego utworem jest: *Little Dorrit*. Starał się on przeniknąć i dolne warstwy społeczeństwa angielskiego. Pióro jego łączy wdzięk opowiadania, z żywością pędzla i dążeniem postępowém.

(2) Autor wspomnianego wyżej dzieła „*Historya kobiety*” napisał niedawno głośną w świecie powieść „*Córka nocy*.”



nictwa sąsiednich Niemiec, może mieć swoje korzyści. Poznawanie bowiem tak w całości jak i w pojedynczych częściach naszego na polu umysłowém, do téj lub owéj cudzoziemczyzny—stosunku, i śledzenie porównawcze za osobnemi dziełami literatury, wskazuje nam: czy z prac podejmowanych u obcych, może przez umiejętne zastosowanie spłynąć dla nas jaki pożytek lub nie.

Pisarze niemieccy rzucili się do powieści ludowych, zupełnie dla innych przyczyn, jak nasi. Początkowe ich w tym rodzaju utwory miały bowiem na celu przeciwstawienie nowego żywiołu powieści salonowej, która na wzór francuzkiej naśladowana, licznych w Niemczech znalazła zwolenników i wielu téż chlubi się pracownikami. Dziwna to jednak, że tak powieść salonowa jak i ludowa, utrzymują się tam w pewnej wyłączności, i że zwolenników téj ostatniej nie wpośród ludu, ale raczej w salonach szukać należy. Tak zwane romanse ludowe i powiastki wiejskie, o tyle nie są czysto ludowemi, o ile także nie były niemi sławne w swoim czasie, przez romantyków odgrzywane dzieła ludowe. Bo i czegoż się miał lud z tych powieści nauczyć? Wié on sam bardzo dobrze bez książki, o strachach lub upiorach, w które wierzył i wierzy. Moralność wielu powiastek wiejskich Auerbacha dość jest okolicznościową i trafunkową; z pism zaś Gotthelfa, chociaż nieraz wprawdzie można otrzymać w wypadku pewną praktyczną zasadę życia, znać w nich jednak także i dosyć naciągania, zdradzającego pasterskie powołanie tego autora. Brak zupełnie tym powieściom praktycznego pożytku; i z tego téż powodu dają się one sądzić ze stanowiska piękna, to jest estetycznego, i uważać pod pewnym względem za nowoczesne idylle. Lecz idylla nabiera kunsztowności dopiero przez kontrast, jaki tworzy z odległemi poglądami historycznemi; w czém za dowód służy Goethe w Hermanie i Dorotei (1).

(1) Sam Göthe tak pisze o téj epicznej idylli: „Ich habe das Reinmenschliche der Existenz einer kleinen deutschen Stadt in dem epischen Tiegel von seinen Schlacken abzuscheiden gesucht, und zugleich die grossen Bewegungen und Veränderungen des Welttheaters, aus einem kleinen Spiegel zurückzuwerfen getrachtet.”

Życie zaś wzięte i uważane w pewnym ograniczeniu, bez swobodnego w okół rzutu oka, wystarcza ledwo dla ładu jakiej zaściankowej poezyi. Trudno także pojąć, dlaczego powieściarze ludowi niemieccy szukają najczęściej w ludziach średniego wykształcenia bohaterów do swoich powieści; gdyż ci ich bohaterowie, krom swego niskiego stanu, co do reszty, w całym życiu, tak jak je powieścio-pisarze przedstawiają, w niczem się tak dalece wybitnie od zwykłych ucywilizowanych ludzi nie różnią. Dzieci natury są w dzisiejszych czasach rzadkiem, w każdym społeczeństwie stanie zjawiskiem; mimo to znaleźć je można tak dobrze w wyższej jak i w niższej sferze: z tą tylko różnicą, iż w tej ostatniej podnoszą się one zwykle daleko wydatniej po nad ogół. Znajacemu bliżej Niemców, łatwo się przekonać, że powieści ludowe były tam przed kilką latami w modzie; podobnie jak kiedyś idylle Gessnera i kolorowane widoki Arkadyi, stanowiły także łąkowy kęs dla gustu niemieckiej publiczności. Chociaż idylle Gessnera były poprawdzie tylko wymarzonemi frazesami, miały jednak przynajmniej piękny pozór i nosiły na sobie cechę jakiejś czystości. Nowe powiastki wiejskie prawdziwsze od nich, ale w tém też i cała ich zaleta, do Auerbacha nawet z trudnością dająca się zastosować. Powieści ludowe niemieckie wyglądają zupełnie jak holenderska szkoła van Ostadów i Teniersów; z tą tylko różnicą, że to, co w malarstwie stanowi rodzaj, to jest manierę, nie może jeszcze za takowy uchodzić w poezyi. Za opisy licznych obór i stajni, z nieodłącznemi od nich stertami mierzwy, pewna arkadyjska czystość i prostota obyczajów powinny wynagrodzić zawód, którego niewątpliwie musi doznawać wyobraźnia czytelnika: a to tém bardziej, że myśl dająca się wycisnąć z tej całej sfery, arcy biedna. Przeciwnie się jednak dzieje. Spotykamy tu tyle niezgrabnych i przebiegłych intryg, tyle sobkostwa szeroko wszędy rozpierającego się łokciami, tyle zepsucia, co i w wyższych stanach; a zepsucie to tém więcej nagością razi, im mniej walczy duchową bronią.

Z powieścio-pisarzy ludowych, w Niemczech najbardziej na swoim miejscu jest Jeremiasz Gotthelf. (ksiądz Albert Bitzius z Lützelflüh, w kantonie berneńskim). Styl jego odziany, że tak powiemy, w wodo-

trwałe juchtowe buty i drewniane sandały, a wyobraźnia stoi na równi z chłopskim sposobem widzenia rzeczy. Pisze on korzystając z wiejskiej parafialnej praktyki. Jego książkowi chłopy nie mędrsi od rzeczywistych, umieją należycie szanować duchowe napomnienia, któremi pan pastor szczerze na wszystkie szafuje strony. Niektórzy krytycy niemieccy uwielbiali te obrazy ludowe, podziwiając w nich prawdę, moc i siłę przedstawienia. Tę krytykę przepętniały liczne ekscentryczności literackie: poglądy jej były niepraktyczne, romansowe, a cały zastęp wielbicieli ludowych powieści, na oślep uciekał się do téj jakoby zimnowodnej kuracyi, uginając pokornie karku przed kroplistemi tuszami Gotthelfa i pod szumiącym strumieniowym tuszem Auerbacha. Innym znów podobał się duch pobożności wiejącej z pism Gotthelfa, jako lekarstwo przeciw terażniejszemu niemieckiemu religijnemu niedowiarstwu. Jednym słowem, krytyka i publiczność podobnemi pochwałami dali dowód, że idą raczej za popędem upodobań czasu, niż za głosem prawdy.

Dzieła Gotthelfa, jak np. „Uli der Pachter”, (Bern, 1849) „Uli der Knecht”, (Zür; 1841) „Ein Silvester Traum”, (1842) „Bilder und Sagen aus der Schweiz” (1852), są w istocie dobrym praktycznej rzeczywistości utworem; nigdzie nie występują z poza sfery sobie właściwej i dlatego mają pewną wewnętrzną plastyczność i naturalne rozwinięcie. Szczególnie pierwsze z wymienionych dzieł, żywot parobka Uli, z pomiędzy innych najgłówniejsze, jest doskonałym zwierciadłem chłopa, w którym się lud z korzyścią przeglądać może; nadto jako wierny zarys obyczajów ludu w kantonie berneńskim, i dla innych téż stanów wiele ciekawych zawiera szczegółów. Jednak i to zwierciadło czasem fałszywie pokazuje. Gotthelf korzysta z najmniejszej sposobności, aby tylko rozwinąć groźną polemikę przeciw duchowi czasu, obyczajom, różnorodności wiar i filozoficznych stronnictw. Mniemamy, że podobnemi filippikami, autor daje najlepsze testimonium paupertatis swego ducha. Szczupłe rozwinięcie tego, że się z niemiecka wyrazim pozytywnego umysłu, dosadniej daje się jeszcze postrzegać w nowszych jego utworach. („Die Käserej

in der Vehfreude" Berlin 1850 i „Erzählungen und Bilder aus dem Volksleben der Schweiz" (1852).

Niejedyn może podobać sobie w poetycznym obrazku, malującym handlującego mlekiem i serem pachciarza; lecz wątpić należy, aby coś podobnego można było podawać za mistrzowską pracę. Gotthelfa wprowadzają do niemieckich salonów z pewną oględnością: widno z obawy, żeby jego ordynarne buciska nie podeptały kobiercami wybitych podłóg, i aby wraz z niemi nie zaleciały tam zbyt narkotyczne wyziewy stajenne, któreby aż wodą de mille fleurs łagodzić i zobojeźniać było trzeba. Natomiast Berthold Auerbach jest prawdziwie fashionablwym dandym wsi i galanteryjnym powieścio pisarzem ludowym. Potrafi on zaduszną atmosferę idylli tysiącem modnych perfum odświeżyć i wyśpiewywać z całym wdziękiem przed pięknym światem, owę tak powszechnie znaną piosenkę ludową Göthego: „Liebes Mädchen lass uns waten, waten noch durch diesen Quark". Gotthelf jest tylko kalendarzowym powieściarzem wiejskim; w Auerbachu zaś spotykamy zręcznego i niezaprzeczoną zdolność posiadającego pisarza, który się już zresztą poprzedniemi swemi odznaczył pismami: „Spinoza" (t. 2, Stuttgart, 1837) i „Dichter und Kaufmann" (2 t. Stutt. 1840)}. Jak Gotthelf z pomiędzy ludu, tak Auerbach znów pisze do ludu, chociaż duchowy rozwój tego autora uczynił go właśnie nieprzystępnym, a ztąd téż i obcym dla tego ludu. Łacniej pisać pastorowi Bitius dla ludu i o ludzie hukając i piorunując jakby z kazalnicy, aniżeli Auerbachowi przesiąktemu systematem Spinozy; przeplata on bowiem mimowolnie dość często swoje uwagi i rozumowania myślami, będącemi właśnie dalszém wspomnionego systematu rozwinięciem. Z téjto przyczyny, obok łatwości, prawdy i prostoty, znachodzimy nieraz w stylu Auerbacha liczne i kunsztowne przydatki, jakieś manierowanie, naiwną sładycz: słowem postrzeżenia i poglądy, które autor widocznie z całkiem innego zaczerpnął świata.

Sądząc ogół, postrzeżem wprowadzić, jak z pism Auerbacha wieje myśl zdrowej dzielności, jak jego charakterystyki mają świeże, w całym rozwoju naturalne życie; jak jego powieści są jednolitę prostoty, wolnej od

wszelkiego niestosownego dowcipkowania. W szczególności zaś musimy przyznać, że wiązanka z kwiatów duchowego świata, którą Auerbach swym kmieciom zakłada w pętlicę, najoczywiściej rwana w cieplarniach wykształcenia; gdyż często gęsto wykształcenie to przeziera z poza wiejskiego żywota, który nam autor maluje. Jego czarnoleskie powiastki (*Schwartzwälder Dorfgeschichten* (1843—48—53) są to skromne szkice typów i charakterów, nie odznaczające się atoli szczególnym wynalezieniem i zaciekawieniem powieściowem. Płynnie tam świeża krynica życia i uczuć, ale znać także niejedną cedzoną uwagę. Autor nie wdaje się w poglądy polityczne; raz tylko pozwolił sobie rozprawić o bezpożytecznie rozgałęzionej w Niemczech biurokracyi. To złe jest prawie tak powszechnem w Europie, iż całkiem usprawiedliwiamy Auerbacha za powstawanie na wielourzędnictwo. Ilekroć wypadnie w zarysie porównawczym wykazywać odrębność cech cywilizacyi a prostego naturalnego żywota; powieści Auerbacha nabierają pewien połot wzniosły: autor z całą swobodą rozwija swoje duchowe zasoby i z nieporównanym talentem dramatyzuje akcją. Najlepszym tego dowodem są powieści: „Ivo der Harle, Frau Professorin i Lauterbacher. Każda nowa serya powiastek wiejskich Auerbacha odznacza się kunsztownie obrobioną formą i jest nierównie wyższej literackiej wartości, od jego poprzednich dorywczych szkiców. Jedną z ostatnich powieści tego autora p. t. „*Neues Leben* (1852, t. 3) mimo pięknych myśli i plastyczności, przekonywa, że Auerbach nie ma daru do kompozycyi rozleglejszego wymiaru.

Daliej z tej samej gałęzi powieścio-pisarzy, wymienić należy Józefa Ranka. Stoi on prawie na równi z Auerbachem pod względem daru postrzegania i zdrowego a głębszego sądu; w ogóle jednak jest rozwlekły, urywkowy, a nadto lubi powieściom ludowym nadawać zawsze pewne polityczne dążenia. Jak Auerbach za główne tło do powieści obrał Czarny las; tak ten odzworowuje znów życie chłopów czeskich, które przez pewną właściwą sobie tęskliwość, niewypowiedzianym odznacza się wdziękiem. U Auerbacha miejscowość jest czasem w powieści rzeczą przypadkową; u Ranka

przeciwnie: on stara się zawsze malować obrazki miejscowe i ujmować w obszerne ramy charaktery danej okolicy. Jego powiastki wiejskie nie są pojedynczymi typami charakterów, lecz mają za cel wykazać w całości zwyczaje i obyczaje czeskiego ludu. Dlatego też w pismach jego, pierwiastek powieściowy jest tylko obłoną przychodzącą w pomoc praktycznemu, albo raczej naukowemu celowi. Pisma Ranka są następujące: „Aus dem Böhmerwalde” (Lipsk, 1843) i „Neue Geschichten aus dem B. W.” (Wiedeń, 1847) połączone w dzieło: „Aus dem Böhmer Walde” (t. 3. Lipsk 1851) (1) „Die Brüder aus dem Volke” (Lipsk 1844); wreszcie: „Waldmeister” (t. 3, 1846 *ibid*). To ostatnie dzieło pokazuje najwyraźniej zakres talentu autora; Rank skoro się tylko pokusi tworzyć co nazbyt wielkiego, wnet wpada w zamęt, w fantastyczność, w czezość, a raz z przed oczu utraciwszy czeską ziemię, inną sobie trwałąj podstawy wyszukać nie umie.

Bardziej obrazowemi, choć mniej ludowo typowemi, są „Wioski czeskie” Uffa Horn (Lipsk 1847 t. 2). Lecz czarnoleskie i czeskie powieści wiejskie, nie same jedne tylko w niemieckiej występują literaturze. W pojedynczych ustępach malowali także życie ludu pisarze: Immermann („Münchhausen” Düsseldorf, 1844 „Hoffschulzen” „Oberhoff”) który się z zadania wyśmienicie wywiązał. Levin Schücking także w urywkach tylko podaje wiejskie zarysy z Westfalii. Ernst Willkomm opisywał okolice wyższej Luzacyi, nacechowane zawsze jakąś osobliwszą dążnością. („Trompetermarie, Das Pascher-Leben”). Zbierał on również wiadomości o zwyczajach pewnych okolic i wydał w dziełku: „Grenzern, Narven und Lootsen”. A. Wejlszkiecował pobieżnie życie ludu w Luzacyi; Lentner południowo bawarskiego (Geschichten aus den Bergen,

(1) Rozmaite ostatniemi czasy miewaliśmy po pismach warszawskich sprawozdania o ruchu literackim w pobratymczych Czechach; a o ich powieściach ludowych podobno dotąd tyle, co nic nie wiemy. O najlepszym przeto dziele Ranka, udzielimy później czytelnikom naszym osobną wiadomość, i wyjątkami celniejzemi z tego autora, postaramy się dać dokładniej poznać stanowisko, jakie lud czeski zajmuje w powieściarstwie niemieckim.

Magdeburg, 1851). Powieść tego ostatniego p. n. „Ritter und Bauer” (Magdeb: 1844) odznacza się wielu szczęśliwemi poglądami; lecz jest nieco za rozwlekła, a przez użycie w wielu miejscach staroniemieckiego stylu, niebardzo przystępna. Do tego samego działu powieści dadzą się także zaliczyć: Spindlera, „Der Vogelhändler von Imst” (Stuttgart, 1846, t. 4), następnie Ernsta: „Die Norddeutschen Bauergeschichten” (Lipsk 1850—51 t. 6); Schirgesa: „Der Bälgentreter von Ejlersröde” (Hamb: 1845); Pröhlego gadki i szkice „Aus dem Harze” (Lipsk, 1851) i „Waldrossel” (Dess: 1851) które już bardziej wkraczają w zakres poezyi wędrowniej, są jednak sownie wypełnione właściwą życiu wiejskiemu czerstwością. Waldau’a wiejskie powiastki „Nach der Natur,” należą do rzędu najprawdziwszych zarysów wiejskich w Niemczech, wolnych od wszelkiej wymuszoności i niepotrzebnych przydatków.

Powieść ludowa, która powstała w Niemczech z reakcyi wywołanej przeciw błędnej powieści salonowej, z dążenia ku obrazowaniu pełnej i świeżej przyrody, w miejsce sztucznego życia, nie przedstawiającego całości organicznej; wyszedłszy nareszcie z zakresu rzetelnej potrzeby, stała się celem mody, a pochwycona przez pisarków, licznie fabrykowaną była na jednostajny ład. Małą jest wartość artystyczna tych literackich plodów, jeśli je weźmiem w przecięciu wszystkie razem; są one o tyle tylko ciekawe, o ile wierne przedstawiają obraz obyczajów i wewnętrznego życia niemieckiego ludu. Co do kierunku tego rodzaju powieści, dodać jeszcze musimy i to: że żądza Niemców do ciągłych po obczyźnie wędrowek, zwróciła się nareszcie do pielgrzymek po własnym kraju; a ten powrót do swojskości i do życia niemieckiego, stał się nawet nieodzownie potrzebnym, jako środek uzdrawiający od cudzoziemczyzny. Jeżeli zaś kierunek ten nie potrafił zupełnie wpłynąć na wyrugowanie z powieści przesady i wszystkiego tego, co nie może być pięknem; to w samém już dążeniu swoim jak najlepsze i najpiękniejsze objawił zamiary.

Są pewne cechy wspólne tak niemieckim, jako téż i naszym powieściom ludowym, mianowicie: że te i tamte

rozpadają się na dwa główne działy, to jest: 1) na powieści dla ludu, o ludzie lub narodzie; 2) na powieści o ludzie, nie dla ludu.

Pierwszych posiadamy stosunkowo więcej niż drugich, a nawet posiadamy je dawniej: gdyż początkowe w tym rodzaju próby, przed kilkunastą nawet laty, w naszym pojawiły się już piśmiennictwie. Autorzy tej gałęzi powieściowej obrali sobie za przedmiot rozpedzać mrok rozlegający się pomiędzy ludem; by zaś tego celu łatwiej osiągnąć, zniżali się oni do swoich czytelników i zstępowali pośród nich, tłumacząc rzecz swoją jasno i zrozumiale. „Pod skromną powiastek obstoną, (powiada nasz K. L.) wykładali im nieraz najzawilsze i najgłębsze prawdy. Lecz najlepsze zamiary pracujących na tej niwie, rozbiły się częstokroć o samą nieumiejętność ludu. Powiastki takie, przeznaczone dla czytelników, którzy po większej części czytać nie umieli, albo się dopiero głosek uczyć poczynali, potrzebowały obcego starania, aby przez umiętnych w czytaniu, rozlewały się korzyści jego na nieumiętnych. Opieszałość i niedbalstwo tych, których się to najbardziej tyczy, jest wielką winą”.

Ku końcowi zeszłego roku, kilkakrotnie dwie autorki nasze p. J. i p. L. w „Gazecie Codziennéj” wygłaszały nad tym działem powieści swoje praktyczne uwagi i postrzeżenia; artykuły te były namaszczone miłością bliźniego, dążeniem do prawdy i chrześcijańskim przejęciem się obowiązkami ciężącemi ludzi wykształconych w uczeniu nieumiętnych, jak to nakazuje zakon Boży; nadto wyliczano tam z dat i tytułów, rozmaitemi czasy w tym rodzaju po polsku drukowane prace. To nas uwalnia od bliższego zastanawiania się obecnie nad tém rozczłonieniem powieści. Chociaż zaś w samej Warszawie przybyło niedawno kilka w tej mierze nowości, to takowe osobno roztrząśnione zostaną, przy zachowaniu względu na całość gałęzi. Korzystając atoli ze sposobności, winniśmy objawić w tém miejscu całą radość naszą, będącą odbiciem się wierném radości powszechnéj, z pojawienia się od początku bieżącego roku nowego pisma ludowego, p. n.: „Czytelnia niedzielna”. Pismo to powinno połączyć i niewątpliwie połączy rozstrzelone dotąd u nas usiłowania w kształ-



ceniu ludu. Nowy to dla nas temat do postrzeżeń, które nieraz obiecujemy sobie czynić w Bibliotece.

Drugi rodzaj powieści o której mowa, to jest powieści o ludzie, dla nie ludu, dwóch głównie u nas zajmuje pisarzy: Gregorowicza i Kraszewskiego. W pojedynczych zaś ustępach, bądź w drobnych osobną całość składających szkicach, zasłużyli się u nas jeszcze na tej niwie: Berwiński, Chodźko, Dzierzkowski, Fisz, Kunicki, Marcinkiewicz, Nowosielski i Wojcicki (1). Nad kierunkiem i rodzajem prac tych powieściopisarzy, zastanawiać się tu nie będziemy: wymagają one szczegółowego a do tego obszernego rozbioru, który jeśli Bóg da spełnić zamiary, również w Bibliotece kiedy zamieścimy, wyłuszczając zarazem źródłowo przyczyny, jakie mogły spowodować powstanie, a następnie szybkie rozwinięcie się w polskiemi piśmiennictwie powieści ludowej, wreszcie zastanawiając się nad przyjęciem, jakiego ona doznała i doznaje u czytającej powszechności. W chwili jednak gdy nam przychodzi zakończyć niniejsze o niemieckiej powieści ludowej słówko, musimy wyznać chlubną dla nas prawdę: że w tym rodzaju rozwijaliśmy się i rozwijamy sami, bez żadnych obcych wzorów, tak wspaniale i obiecująco, iż nam to jedno chyba do życzenia pozostaje: abyśmy w połowie drogi nie ustając, i później, coraz to obfitsze z dotychczasowych prac i usiłowań zbierać mogli owoce.

I. Z.

(1) Nazwiska wymieniamy zawsze porządkiem liter.



# GENTILE BELLINI.

OBRAZ DRAMATYCZNY.

PRZEZ

J. Korzeniowskiego.

(Sala wielka w pałacu Mahometa II-go w Konstantynopolu. Ułamki posągów i biusta stoją po kątach, a rysunki głów, rąk i torsów porozwieszane na ścianach. Kilka sztalug próżnych i inne przybory malarskie w różnych miejscach. Z lewej strony wielkie okno, przy, którym na sztaludze duży obraz wyobrażający ścięcie św. Jana Chrzciciela; z przeciwnej strony na drugiej sztaludze portret naturalnej wielkości Mahometa II-go. W głębi wielkie drzwi zasłonięte franką. Bellini, w weneckim kostiumie, składa pędzle i paletę i staje przed swoim obrazem przypatrując się. Niewolnik grecki; Marko, który dotąd siedział w głębi i rozcierał farby, kładzie kuranta na kamieniu, staje za Bellinim, i także przypatruje się).

**Bellini.** (prostując się).

Ha! niech już będzie koniec. Zbytek pracy  
Zaciera śmielsze rysy, a zanadto  
Wiele ogłady niszczy ślad natchnienia.

(obraca się do niewolnika).

Cóż Marko?

**Marko.**

A cóż! dziw mię tylko bierze,  
Jako tak można wszystko, co chcieć, udać.

**Bellini** (z uśmiechem).

Więc dobrze?

**Marko.**

Pięknie, aż popatrzeć miło!  
Twarze tych ludzi patrzą bez litości  
Na krew, co płynie z szyi tego więźnia;  
I jak zwierzynę kładą na tej tacy

Głowę, na której złych nie widać myśli.  
Co to za człowiek, mistrzu: chciałbym wiedzieć  
Za co go ścięli.

**Bellini.**

Czyś ty chrześcjanin?

**Marko.**

Nie wiem sam, jak ci odpowiedzieć na to.  
Jestem Grek rodem. We wsi, gdzie był dom nasz,  
Stał nieopodal kościół chrześcijański,  
Którego dzwony ze snu mię budziły.  
Tam ja chodziłem zwykle co niedzieli  
Z matką, gdym jeszcze małym był chłopięciem.  
Raz jakoś dzwony głośniej się ozwały;  
I wtedy matka wzięła mię za rękę  
I biegła naprzód, a ja biegłem za nią.  
Kościół na rozcież stał otworem. Zewsząd  
Szli już tam ludzie trwogą przerażeni;  
A wśrodku widać było wiele świateł,  
A w głębi wielkie drzwi, na których były,  
Jak dziś pamiętam, piękne malowania  
I złota dużo; a za niemi starzec  
Przy białym stole stał w srebrzystej sukni,  
I z wielkiej księgi czytał. Wtedy mistrzu!  
W kościele takim byłem raz ostatni.

**Bellini.**

A potem?

**Marko** (*ponuro*).

Potém?... potem miecz turecki  
Przeszył pierś matki, która mię uczyła.  
Ojciec już dawniej legł pod ich orężem;  
Ogień ich spalił dom nasz, wieś, i kościół  
Jak świeca zażęł się od ich płomienia.  
Złote drzwi znikły, księgi poszły z dymem,  
I owe dzwony, których głos dziś jeszcze  
Pamiętam dobrze, spadły i umilkły.  
Zrosłem w niewoli, i nikt mię nie spytał  
Jak chwale Boga. Toż się nie dziw mistrzu,  
Że nie wiem, co twój obraz wyobraża.

**Bellini**

(*spojrzawszy na niego ze współczuciem, mówi ukazując na obrazie*).

Ten ścięty człowiek, to syn Zacharyasza.  
Janem go nazwał Anioł Gabryel wtedy,  
Kiedy przed starcem stanął i objawił,  
Że z woli bożej syn mu się narodzi,

Jan żył na puszczy i pokutę głosił.  
 A gdy lud przyszedł słuchać jego nauk,  
 Chrzcil go w Jordanie. Wtedy Chrystus także  
 Przyszedł na puszcze i chciał być ochrzczonym.  
 Jan czuł się niższym, ale był posłusznym.  
 I gdy Zbawiciel świata wszedł do rzeki,  
 Oblał jój zdrojem i boskiego syna.  
 Ztąd go Chrzcicielem zowią.

**Marko.** *(który słuchał z uwagą).*

Za cóż tedy  
 Ci ludzie śmieli dotknąć takiej głowy?

**Bellini.**

Wtedy panował w Palestynie Herod,  
 Człowiek rozpustny, który z żoną brata  
 Żył kazirodnie. Jan go upominał,  
 Że gwałci zakon; a król rozgniewany  
 Świętego męża wtrącił do więzienia.  
 Kochanka króla, Herodyada, miała  
 Córke, piękniejszą jeszcze niżli matka.  
 I raz na uczcie córka ta tańczyła;  
 I tak swym tańcem rozbudziła niecne  
 Chuci Heroda, że jój przyrzekł wszystko,  
 Czegoby chciała, nawet pół królestwa.  
 Córka spytała matki czego żądać;  
 A Herodyada pomna swojej krzywdy,  
 Chciała mieć głowę Jana. I król Herod  
 Przyrzekł ją córce, posłał do więzienia  
 Swoich oprawców; i ci ścięli głowę,  
 Na której widzisz prawdę i niewinność.

**Marko.**

Teraz rozumiem, mistrzu! Teraz jakoś  
 Na twym obrazie jaśniej mi i widniej.  
 Ciemnemu człeku słowo dopowiada,  
 Czego nie pojmie okiem. Teraz jakbym  
 Słyszał, co z sobą ludzie ci gadają.  
 Ten pewnie starszy, i do innych mówi:  
 „Nieścież tę głowę, a nagroda dobra  
 Będzie dla wszystkich”. Biedny Jan! nie wiedział,  
 Co u nas dobrze wie niewolnik każdy,  
 Że lepiej przyciąć język, niż wygadać  
 Co widzą oczy. Powiedz, mistrzu, u was  
 Obrazów takich musi być niemało?

**Bellini.**

Jest mistrzów dosyć, i w kościołach naszych  
 Wszędzie na ścianach tajemnice wiary,

I świętych mężów dzieje wypisane  
W żywych obrazach.

**Marko** (*wzdychając*).

Jakbym to ja pragnął  
Widzieć Wenecyą. Mówią, że to miasto  
Jakby kamienna flota na kotwicy  
Stoi wód morza, i na fałach ulic  
Lud się na łodziach roi, jakby mrowie.  
Weź mię ztąd, mistrzu, z sobą, gdy opuścisz  
Konstantynopol i Sultana służbę.  
Ja z tobą chodzić będę do kościołów,  
I przypatrywać się obrazom świętym.  
A jeśli jeszcze powiesz mi, co znaczą:  
To się rozwidni pewnie i w méj głowie.  
Sultan na ciebie łaskaw. Jak mu rzekniesz:  
„Daruj mi Marka,” pewnie ci daruje.

**Bellini** (*z uśmiechem*).

Obaczę, kto wie, może mi się uda.  
Mahomet drugi wielkim jest monarchą.

**Marko** (*uradowany*).

Dzięki ci mistrzu! Jak mi teraz lekko!  
I jak mi dobrze będzie z takim panem!  
Będę cię słuchał, i co tylko powiesz  
Spamiętam wiernie i zapiszę w sercu.  
A jak wszystkiego dobrze się nauczę,  
Iż rzeknę sobie: Tyś już chrześcjanin:  
Wtedy upadnę do nóg twych, i powiem:  
Patrzaj! tam z niebios Matka ci dziękuje.  
*(nachyla się i całuje jego suknię).*

**Bellini**

*(kładzie rękę na jego głowie).*

Daj Boże! niech ci anioł twój pomaga!  
Lecz słuchaj Marko! tam ktoś do drzwi stuka.  
*(Marko idzie ku drzwiom, podnosi zastonę, otwiera drzwi, i przymknąwszy je, powraca).*

Któż tam jest?

**Marko.**

Jakiś młody Wenecyanin  
Pragnie cię widzieć, mistrzu.

**Bellini** (*prędko*).

Niechże przyjdzie.

*(postępuje ku drzwiom, których zastonę Marko podnosi, i wchodzi Girolamo Mocetto. Bellini uradowany mówi).*

Cóż to ja widzę! Girolamo!

**Mocetto** (*wyciąga ku niemu ręce*).

Mistrzu!

**Bellini** (*ściska go*).

Najmilszy uczeń mego brata Jana  
Tu! przy mnie! Ledwie oczom moim wierzę.  
Kiedyś przybył? co cię sprowadziło?  
Mów, mów Mocetto! Złego nic, nieprawdaż?  
Ojciec nasz żyje!

**Mocetto.**

Żyje, mistrzu, żyje.

**Bellini.**

A Jan zdrów także!

**Mocetto.**

Mistrz Jan zdrów zupełnie,  
I biegłą ręką wydobywa z płótna  
Postaci żywe i oddychające,  
Których widokiem cieszy się Wenecya.

**Bellini** (*ocierając łzę*).

O! jakbym pragnął widzieć go, i ręce  
Ojca uściskać!

**Mocetto.**

Po toż mię przysłali,  
Abym cię, mistrzu, skłonił do powrotu.  
Ojca pochylił znacznie wiek sędziwy,  
A mistrz Jan tęskni już za twém obliczem,  
I twojej rady w pracach swych wygląda.

**Bellini** (*ze skromnością*).

On mojej rady? W porównaniu z Janem  
Czemże ja jestem?—rzemieślnikiem tylko,  
Który z mozołem lepi. Życie, prawda,  
Błyśnie mi czasem, jak błękitna wstęga  
Na niebie, które chmury zasunęły.  
Pracą wynajdę czasem wyraz, w którym  
Ludzie czytają to, com ja pomyślał.  
Lecz wieleż razy sam nie kontent z siebie,  
Nie mogąc duszy w moje wlać postaci,  
Stałem przed świętym Zacharyaszem Jana,  
Lub przed Madoną, którą otaczają  
Sebastyan, Hiob i Augustyn święty,  
Aby z nich w pierś mą zlało się natchnienie,  
I myśl nad ziemię trochę się podniosła.  
Wieleżto razy czciłem jego sztukę

W cudnym dzieciątku, co śpi na kolanach  
Najświętszej Matki, a z dwóch stron anieli  
Strzegą snu dziecka, co ma świat wybawić!  
Jan to mistrz wielki; jego pędzel umie  
Na czole każdym utkwic myśl, a w oczy  
Przywołać promień, którym dusza żyje.  
Ja muszę widzieć, abym coś odtworzył,  
A on naturę całą ma w swój piersi.

**Mocetto.**

Nie mów tak mistrzu! Nikt zapewne nie czi  
Więcej odemnie brata twego Jana;  
Ale on widzi lepiej tve zalety,  
Niż ty sam w sobie. I Wenecya cała  
Ceni was obu równo; a twój wielki  
Obraz, na którym znalezienie drzewa  
Krzyża świętego z taką dziwną sztuką,  
Z takim bogactwem myśli przedstawiłeś,  
Swoim i obcym z dumą pokazuje.

**Bellini**

*(siadając z uśmiechem).*

Dajmy więc temu pokój. Siadź Mocetto  
I mów mi więcej o Wenecyi. Jużto  
Dziesięć miesięcy długich upłynęło,  
Jak na wezwanie tureckiego władcy  
Rzeczpospolita tu mnie naznaczyła;  
I myśl stęskniona rwie się do ojezyny.  
Mahomet wprawdzie łaskaw na mnie; chwali  
Swojego mistrza i dogadzać każe;  
A jednak w cichych dumach, kiedy wieczór  
Zmrokiem obwiedzie pałac ten cesarski,  
I w swe objęcia ujmie go milczenie,  
Słyszę plusk wiosel i śpiew barkaroli,  
Widzę krążące tłumy, i na placu  
Świętego Marka, wśród wesołych masek,  
Żyję tém życiem sztuki i miłości,  
Które równego w całym świecie niéma.  
Smutno mi potem ocknąć się i spojrzeć  
Na półksiężyce, co tu z czoła świątyń  
Zepchnęły krzyże.

**Mocetto.**

To też mistrzu, trzeba  
Wrócić co prędzej. Sława i znaczenie  
W ojezynie tylko miłe. Bołą laury,  
Gdy je na czoło mistrza lub rycerza  
Nie ręka ziomeków kładzie. Między nami  
Lepiej ci będzie, i ten piękny wieniec,

Który was obu z bratem Janem czeka,  
Wdzięczna Wenecya splata już oddawna.

**Bellini** (*ścisnąwszy jego rękę*).

Miłoś się nazwać synem takiej matki,  
Do której serca z trzech potężnych źródeł  
Spływa to życie, którym dziś oddycha.  
Mądrość jej władców, daje jej przewagę,  
Handel bogactwo; a te obie siły  
Z łona jej jeszcze wywołały sztukę,  
Co jest koroną bogactw i potęgi.  
Da Bóg, że źródła te pierwszeństwa długo  
Bie dla nas będą. Głos nasz w radzie królów  
Nie straci mocy; flaga nasza z krańców  
Ziemi pozwozi złoto na laguny;  
A zastęp mistrzów te tryumfy nasze  
Utkwi na płótnie, i ku podziwieniu  
Potomków poda.—Powiedz mi, Mocetto!  
Którzyż tam teraz przed innymi słyną?

**Mocetto.**

Mistrz Jan jest zawsze pierwszym. Dotąd jeszcze  
Zdobi dziełami swą cudowną sztukę  
Salę najwyższej rady. Na przeciwną  
Ścianie, gdzie twoje dzieła z podziwieniem  
Wielbi Wenecya, kończy właśnie obraz,  
Na którym papież Alexander, Cesarz  
I Doża ścisłym łączą się przymierzem.  
Tych trzech potężnych władców w bramach Rzymu  
Spotyka świetny orszak kardynałów,  
I lud tłumami ciśnie się wokoło.  
Osiem sztandarów różnokolorowych  
I osiem srebrnych trąb oddaje papież  
Doży, a dalej widać Rzym, i z jego  
Okien radości znaki powiewają.  
Wielkie to dzieło, mistrzu! wszystko żyje,  
I tylko głosu braknie tym postaciom.

**Bellini.**

Janowi słusznie chwała ta należy.  
On nas nauczył twarze brać z natury.  
I tak jak w życiu czucie, myśl i czynność  
Daje każdemu inny ruch i miejsce,  
Tak na obrazie życie to malować.  
A cóż Squarcione robi? To mistrz biegły,  
Wielki rysownik.



**Mocetto.**

Przestał już malować.

W podróżach swoich przerysował wszystko,  
 Cokolwiek warte było jego ręki;  
 Z Grecyi pozwoził torsy i posągi,  
 I na tych wzorach uczy swoich uczniów.  
 Dziś stu trzydziestu siedmiu ma w swój szkole.

**Bellini.**

Dobra to będzie szkoła. Fundamentem  
 Sztuki rysunek. Farba nie pomoże,  
 Gdy ręka nie śmie i nie może skreślić  
 Od razu tego, co pojęła głowa.  
 A Ludwik Vivarini?—To rodzina  
 Zdolnych malarzy. Ludwik na ich czele  
 Najpierwszy przejął sposób nasz olejny.

**Mocetto.**

I płótno także, któreś ty wprowadził  
 Na miejscu drzewa. Vivarini razem  
 Z Janem maluje salę wielkiej rady.

**Bellini.** (*z uśmiechem*).

A cóż Carpacio?

**Mocetto.**

Zawsze jednakowy.

Zazdrośném okiem patrzy na każdego,  
 Kto wyżej staje. Gani to, co wszyscy  
 Chwalą, i wszelki poklask i cześć każda,  
 Jaką szczególniej brat twój Jan odbiera,  
 Bolesnie w sercu jego się rozlega.

**Bellini.**

Biedny! tą złością zabił swe zdolności.

**Mocetto.**

Zrobił on teraz obraz Simeona  
 W świątyni Pańskiej przy obrzędzie świętym.  
 Lecz areykapłan ma dwóch pomocników,  
 Którzy mu służą w kardynalskich sukniach.

**Bellini** (*ruszając ramionami*).

Zawsze coś nie tak, jakby należało.  
 Chociaż w postaciach pewnie pełno życia,  
 I ruchy wierne.

**Mocetto.**

Prawda, ale ciała  
Jak gdyby z wosku: kropli krwi w nich nie ma.

**Bellini.**

A Antonello?—czy się zawsze gniewa  
Na brata Jana, że podejściem poznał  
Sekret, jak olej miesza się z farbami.

**Mocetto.**

Mistrz Jan uwiecznił pędzłem to zdarzenie,  
Które rozniosło między malarzami  
Van-Eycka piękny wynalazek. Zrobił  
Obraz, na którym siedzi Antonello  
I miesza farby; a mistrz Jan przebrany  
W bogate suknie, jak patrycyusz młody,  
Przychodzi prosić go o portret. Obraz  
Cudny. Obiedwie twarze jakby żywe;  
A w oczach Jana taka jest ciekawość,  
Tak bystro patrzą na robotę mistrza,  
Że łatwo zgadnąć w jakim celu przyszedł.  
To malowidło Jan mu podarował,  
I tak podali sobie ręce.

**Bellini** (*z ukotentowaniem*).

To mi  
Zgoda szlachetna, godna takich ludzi.  
Więc wynalazek już się upowszechnił?

**Mocetto.**

Wszyscy dziś prawie sposób ten przejęli.  
Ale szczególnież dwóch jest młodych mistrzów,  
Co na paletrze swój znajdują takie  
Tony i barwy, jakich nikt nie znalazł.  
A osobliwie jeden...

**Bellini.**

Wiém, Mocetto!  
I ja ci powiem który. To Tyciano,  
To ów młodzieniec z orlim wzrokiem, co się  
Z całą naturą dziwnie porozumiał.  
To będzie mistrz nad mistrze. I jeżeli  
Szkola wenecka ma mieć wiek swój złoty,  
Będzie go miała przy nim i przez niego.  
*(po chwili i powstawszy).*  
Przy jego chwale zgaśnie nasza chwala,  
I wszystko, cośmy dotąd wykonali,  
Nazwą początkiem i kolebką sztuki,  
A jego prace będą jój koroną.

**Mocetto** (*powstawszy*).

O! mistrzu! znamy skromność twą oddawna.  
 Każdy w twój myśli lepszym jest od ciebie.  
 A jednak dzieła twoje w sali rady  
 Mówią inaczej; a i tu postrzegam  
 Piękne świadectwo dziwnój twojój sztuki.  
*(staje przed obrazem, który Bellini podsuwa do światła).*

**Bellini.**

Tylko com skończył. Jeszcze tu i owdzie  
 Dotknę, jak wyschnie, i odwykną oczy  
 Od tych form, w których błędów już nie widzą.

**Mocetto** (*kiwając głową*.)

Ile tu myśli w mądrym tym układzie!  
 Świętością błyska czoło to grożące,  
 A usta, które śmierć zamknęła, jeszcze  
 Zdają się mówić prawdę. Jakie światło  
 Pada na plecy sztucznie obnażone!  
 Nie mistrzu, choćbyś spojrział za lat dziesięć,  
 Nie znajdziesz błędów, których dziś nie widzisz.  
*(przechodzi do drugiej sztalugi, Bellini z uśmiechem za nim).*

A to zapewne portret. Tak, niedawno  
 Widziałem piękny medal, który u nas  
 Z rysunku twego, mistrzu, wyciśnięto.  
 Na jednej stronie lice Mahometa,  
 A z drugiej trzy korony, które zdobył.  
 To twarz ta sama, żywa i mówiąca.  
 Pewnie podobny.

**Bellini.**

Tak tu mówią. Chociaż  
 Turcy niechętnie patrzą, bo ich zakon  
 Przeciwny sztuce; ale co monarcha  
 Chwali, to chwala. A Mahomet kontent  
 I łaską swoją ciągle mię obdarza.

**Mocetto.**

Dziwnyż to człowiek! Całe chrześcijaństwo  
 Że drzeniem mówi o nim. W dniach niewieleu  
 Konstantynopol padł pod jego mieczem;  
 Trebizond bramy swoje mu otworzył;  
 Szybko jak pożar, schłonał resztę państwa  
 Wschodnich cesarzów i na wielkich gruzach  
 Groźną potęgę swoją ufundował.  
 Strach nie ustaje u nas, i Mahomet  
 Jak potwór jaki myśli się przedstawia.  
 Tymczasem twarz ta dumna, ale piękna;

W oczach tli ogień, ale okrucieństwa  
Nie ma w nich wcale; a na ustach uśmiech,  
Jak gdyby dobroć serca go natchnęła.

**Bellini.**

Bo téż on straszny tylko z mieczem w ręku.  
Póki zdobywał, był okrutnym. Skoro  
Zasiadł spokojnie na zdobytym tronie,  
Surowym tylko stał się dla swych rządców.  
A choć doraźną czyni sprawiedliwość,  
I tu i owdzie spadnie jaka głowa,  
Umié i goić rany, które zadał.  
Łaski się leją z jego szczodrej ręki;  
Konstantynopol podniósł i ozdobił;  
Pokochał sztukę; i choć Alkoranu  
Przesąd zabrania czcić, co jest najwyższém  
W ludzkiej naturze, on sam oświecony,  
Szczątki greckiego gieniuszu zbiera,  
I niemi zdobi swe mieszkanie. Czasem  
Każe mnie wołać, chwali się zdobyczą,  
Jaką mu zwożą, i o zdanie pyta.  
Czasem rozmawia o przedmiotach, które  
Mistrzowie nasi z dziejów świętych biorą.  
Rad wszystko wiedzieć, nawet księgi stare,  
Macedońskiego bohatera dzieje,  
I rzymskie sprawy czytać sobie każe.  
Pod jego okiem ziomek nasz z Vincenzy,  
Angiolello pisze jego życie  
I sąd i mądrość jego słów podziwia.

*(słychać głosy za sceną).*

Lecz co to? Marko! obacz.

**Marko**

*(podnosi zastonę, odchyła drzwi i cofając się z przestraszeniem mówi).*

**Mistrzu! Sultan!**

**Bellini** *(zmieszany).*

Łaska to niespodziana, aż przeraża.  
Stój tu Mocetto skromnie i w milczeniu.

*(Zastona się podnosi, drzwi otwierają się na rozcież, wchodzi świetny orszak i szykuje się z lewej strony, potem wchodzi czterech murzynów, a jeden z nich z dobytym mieczem, którzy stają z prawej; nakoniec pakują się Mahomet).*

**Mahomet**

*(zbliża się szybko, z uśmiechem patrzy na Belliniego, bystrym okiem mierzy Mocetta i staje przed swym portretem. Po chwili mówi).*

Już więc skończony?

**Bellini** (z pokorą).

Najjaśniejszy panie!

Na ile stało sztukę, jaką władam,  
Wypracowany i skończony.

**Mahomet.**

Dobrze

Mistrzu! i wiernie. Widzę tu sam siebie.  
Jeżeli kiedy potomkowie moi  
Zechcą obaczyć, jakim był ich przodek,  
Którego ręka dała im potęgę,  
Znajdą mię żywym na twém piękném płótnie.  
Dlatego lubię sztukę, że nie ginie.  
Odgłos zwycięstwa mija; na swe łono  
Prorok przyzywa tego, co orężem  
Rozniósł po świecie jego wielkie imie;  
A malowidło trwa, a marmur żyje,  
I zmarłe czyny opowiada wiekom.  
Przesąd nam wprawdzie wzbrania wizerunków;  
Lecz wierni wiedzą, że to, com ja uznał  
Za dobre, dobrem jest i prawem będzie.  
Kontent więc jestem mistrzu z twój biegłości,  
I z twego dzieła. A na znak méj łaski,  
Przyjm na pamiątkę, co mi w podarunku  
Rzeczpospolita wasza nadesłała.

(Zdejmuje z siebie medal na złotym łańcuchu i wkłada go na szyję Belliniego).

**Bellini.**

O! Najjaśniejszy panie! daruj jeśli  
Słów mam zamało za dobroci tyle.

**Mahomet**

(przystępuje do drugiego obrazu; przypatruje się z uwagą i po  
niejakim czasie mówi).

A to jest ścięcie tego pustelnika,  
Którego pismo wasze zwie Chrzycielem.  
Kto zna te dzieje, obraz twój pochwali.  
Oko swobodnie wchodzi w głąb więzienia,  
I każdą postać i jej ruch pojmuje.  
Twarze tych ludzi mówią, tak są żywe.  
W postawie każdej, w nachyleniu, w rękach  
Uderza prawda i natura. Światła  
Jest tyle tylko, że rozwidnia wszystko,  
A na tym głównym punkcie tak zebrane,  
Że ściąga oko na to, na co chciałeś.

(kładzie z uśmiechem rękę na ramieniu Belliniego).

Dziwna twa sztuka mistrzu! A jednakże  
W tak piękném dziele jeden jest błąd wielki.

**Bellini.**

Racz go ukazać, Najjaśniejszy panie!

**Mahomet.**

Szyja zadługa. Nie ma w niej natury:  
To kłoc, nie ciało. Takby wyglądała  
Gałąź topora ostrzem odrąbana,  
Ale nie szyja, gdy z niej spadła głowa.

*(ogląda się i daje znak Markowi, aby się zbliżył).*

Zbliż się i nachyl

*(Marko drżąc przystępuje, przykłęka ze złożonemi na piersiach rękami i nachyla się ku niemu, on odgarnia jego włosy i ukazując Belliniemu mówi).*

Przypatrz się mistrzu!

Tu żyły idą w górę za uszami;  
Skórę rozciąga kość, dlatego szyja  
Grubsza przy głowie, niżli przy ramionach.  
Wcale jest nie tak, kiedy głowy nie ma.

*(Daje znak murzynom; ci przystępują).*

Odetnij.

*(dwa murzyni trzymają Marka, ten, co miał miecz dobyty, odcina mu głowę, którą czwarty bierze i odkłada na bok; Mahomet mówi dalej spokojnie).*

Teraz przypatrz się naturze:

Jak się ten okrąg zmniejszył; jak się zbiegły  
Do kupy mięsa bolem pokurzone.  
Z innych miejsc także trysła krew, i cała  
Szyja daleko krótszą się zrobiła.

*(z uśmiechem).*

Bywaj zdrów mistrzu!... popraw jak tu widzisz,  
A dzieło twoje będzie doskonałym.

*(wychodzi, orszak za nim, murzyni składają Marka na ziemi i spieszą także).*

**Mocetto**

*(po jakimś czasie patrząc z przerażeniem).*

Mistrzu! na Boga! powiedz, co to było?  
Aleś ty zdrętwiał; w twarzy twojej nie ma  
Kropki krwi, coby życie objawiała.  
Bo też to straszny widok. Serce stygnie,  
I mimowolnie oko się odwraca.  
O barbarzyniec! z jakim on pokojem  
Kazał zdjąć z karku tę niewinną głowę!  
Mówił tak pięknie, a nie wiedział o tém,  
Że to nie bydle, że to człowiek z duszą,  
W obliczu Boga równą jego własnej.  
O mistrzu! w jakież się dostałeś ręce!

**Bellini**

*(przychodząc do siebie, zbliża się do leżącego Marka i zata-  
lamując ręce, mówi).*

Biędny mój Marko! Niedaremnie chciałeś  
Uciec ztąd ze mną. Anioł twój ci szeptał,  
Że droga twoja krótka na tój ziemi.  
Niedawnom trzymał rękę na twój głowie  
I błogosławił twój pobożnej chęci;  
Echo dziecinnych wspomnień cię wołało  
Na łono wiary i do stóp ołtarza.  
A teraz głowa twoja oddzielona,  
Leży bez myśli, jak naczynie z gliny,  
A w twojém sercu cicho, jak w mogile!  
I to się stało przy mnie i przezemnie?  
Wybacz! ja płaczę, i te łzy niech będą  
Chrztem dla twój duszy, co cię złączy z matką.

*(pogląda na swój obraz i odwraca się).*

Precz z tym obrazem Patrzę nań ze zgrozą!  
Chciałbym zapomnieć, że to moje dzieło,  
Ale daremnie z oczu je usunę,  
Po wielu latach chwila ta straszliwa  
Stanie w pamięci, i ta szyja, z której  
Żywa krew tryśnie, ze snu mię obudzi.

*(bierze za rękę Mocetta).*

Mocetto! pójdźmy. Do Włoch, do ojczyzny,  
Chęć, jak rozpięty żagiel, mię unosi.  
Skoro przybędę, wprzód niż do ojca,  
Wprzód nim do brata, pójdę do kościoła,  
I padnę na twarz płacząc i dziękując,  
Żem chrześcjanin. Z krzyża tylko bije  
Na twarze bliźnich światło, co w nich każe  
Uznawać braci. Mądrość i nauka,  
Odwaga w boju, rozum w radzie, biegłość  
W kierunku władzy, sprawiedliwość nawet,  
Bez tego światła dziką są ciemnością.  
Na czyjój piersi nie legł krzyż zbawienia,  
I z niego miłość w serce nie spłynęła,  
Może być wielkim—lecz człowiekiem nie jest.

*(odchodzi).*



# KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

## WYSTAWA POWSZECHNA.

### IX.

Wystawa przemysłowa: Wiadomości ogólne.— Lampy i świece. — Konserwy. — Wystawa sztuk pięknych: Cornelius. — Wilhelm i Fryderyk Kaulbach. — Hübner. — Knauss. — Malarze belgijscy. — Malarze hiszpańscy.— Wiadomości literackie.

Pierwszego grudnia zakończyła się wystawa powszechna. Dziś już tylko resztki przedmiotów, które błyszczały na uniwersalnym popisie wyjeżdżają wszystkimi bramami pałacu na wszystkie strony świata. Jest pora zastanowić się i obrachować: czy ten bazar pracy ludzkiej, dając sposobność do porównania sił, środków, rozwoju umysłowego i przemysłowego krajów, które w nim udział wzięły, może mieć na postęp produkcji wpływ tak wielki, jak go sobie obiecywano. Czas to pokaże, a ekonomiści i statystycy sformułują. Tymczasem już jest widocznym, że wystawa produktów rolniczych, przemysłowych i handlowych większej połowy świata, nie jest interesem samą tylko ciekawości, lub celem otrzymania nagrody. Dla tych, co by tak sądzili, nie pozostało z wystawy innego śladu prócz czterech murów, wspaniałego pałacu, który ją obejmował. Innym, co głębiej rzeczy biorą, wystawa posłużyła do wyświecenia: gdzie i jakich, naturalnych lub przerobionych należy szukać produktów; a skazówka ta jest wielkiej wagi dla ruchu handlowego i wymiany między-narodowej; innym nakoniec posłużyła ona do rozpowszechnienia nowych sposobów produkcji, które bez pokazania się na



tym świeczniku byłyby pożytkowały tylko okolice, w których się zrodziły. W szczególności zaś kraj, który to wielkie przedsięwzięcie doprowadził do skutku, miał zadowolenie widzieć, że nie upadły gałęzie przemysłu w których dotąd celował, że podniosły się nowe, i że te nawet, których wprowadzeniu lub postępowi stał na zawadzie brak produktów surowych, przy łatwiejszej wymianie z pożytkiem uprawiać się dadzą.

Tych z czytelników naszych, którychby encyklopedia wystawy bliżej obchodziła, odsyłamy do dzieła pana Tresca, pod tytułem: *Wizyta na wystawę powszechną w Paryżu r. 1855*, drukowana w piśmie zbiorowém pod napisem: *Biblioteka kolei żelaznych*. Dzieło to napisane przez ludzi specjalnych pod dyrekcją pana Treski, ocenia należycie przemysł francuzki, a porównyując go z bliźnim przemysłem innych narodów, dopełnia sprawozdanie, i mimo szczupłego zarysu czyni je godnym wystawy powszechnój.

My, nie mogąc traktować wielu ważnych przedmiotów, których w zwykłym sprawozdaniu wyczerpać niepodobna, musimy poprzestać na dorzuceniu do poprzednich kartek jeszcze kilku ogólnych wiadomości.

Francya nie ma wełny długo-włosej: wełny takiej dostarcza jój Algierya.

Guano sprowadzane z Peru, zastępuje korzystnie nawozem rybnym, i fosforkiem wapna, którego wielkie pokłady znajdują się w północnej Francyi.

Między maszynami rolniczemi, Anglia zajmuje najpiérwsze miejsce, które zawdzięcza swój racjonalnej kulturze.

Maszyny do przedzenia bawełny także Anglii zapewniają pierwszeństwo. Warsztaty używane do przedzenia lnu, Francya sama sobie dostarcza, a próby przedzenia jedwabiu, najprzód w tym kraju podjęte, dziś już wiele obiecują. Materye gładkie dotąd lepiej robią Anglicy; za to w materyach deseniowych pierwszeństwo niezaprzeczone jest przy Francuzach.

Kraje w których opał jest drogi, starają się zużytkować proch węglany, który marnieje i zawadza w kopalniach, robiąc z niego masę równie dobrą do opału, jak sam węgiel. We Francyi używają z wielką oszczędnością torfu prasowanego, suszonego lub zwęglonego.

Austria sama wyrabia na wielką skalę zapałki chemiczne bez siarki.

Niemcy i Anglia trzymają podziśdzień berło chemii umiejętności; Francya stoi na czele chemii przemysłowej: najlepsze farby ona produkuje.

Anglicy, Francuzi i Niemcy równie dobrze używają surowcu; w siodlarstwie Francya dobiega już Anglii; obuwie z cielęcej skóry wyrabia najlepsze; rękawiczek z jagnięcej skóry wysła na zewnątrz za 33 do 35 milionów rocznie.

Anglicy wyrabiają najlepszy papier, a jednak materiał sprowadzają z zagranicy. Prawda, że konsumpcya papieru w Anglii jest największa: przypada bowiem przeszło cztery funty rocznie na każdego mieszkańca, gdy tymczasem we Francyi dwa funty wystarczają.

W konstrukcyach cywilnych to jest charakterystyczném, że Anglicy przygotowują kwestye, Francuzi je zgłębiają, mając sobie podane już gotowe rezultaty doświadczenia. Francuzkie budowy są więcéj monumentalne, trwalsze, ale mniej na czasie; dlatego mniej jest budynków użytecznych, a więcéj pomników. Wszakże we Francyi wprowadzono do budowy żelazo w formie T: pomysł był tak szczęśliwy, że w przeciągu kilku lat ostatnich żaden budynek nie stanął, któryby z wielką oszczędnością nie używał żelaza zamiast ciesiolki, a w części zamiast mularskiej roboty. Świeższa forma I (podwójne T) rozpowszechnia jeszcze bardziej żelazo: najszczelniejsze spojenie między tałłami posadzki, wiązania dachowe, podłogi, mosty, tunele, przy téj formie blachy z niesłychaną łatwością i pośpiechem się budują. Blacha w formie jest dziś pierwszym elementem konstrukcyj cywilnych i rządowych, wprowadzono ją nawet do budowy gotyckiej.

Widoczném jest na wystawie, że umysły wyteżają się na wynalezienie ekonomicznych sposobów budowania. Pan Coignet robi beton z szabru, tłustej gliny i wapna, za pomocą skrzyń układa go w bloki, i buduje zeń mury i sklepienia o dwa razy tańsze od zwyczajnych, a równie trwałe. Inny beton tegoż fabrykanta złożony z krzemionki, piasku, wypalanej gliny, popiołu, węgla i wapna hydraulicznego, używany jest do ozdób architektonicznych, w kształcie łuków zastępuje ciesiolkę, na której gonty lub dachówka spoczywają. Ten beton kosztuje ośm razy mniej od ciosu.

Pan Borie wystawił *cegły wydrążone*, trwalsze od zwyczajnych, bo jako puste, mogą być lepiej wypalane i są daleko

lżejsze, a oprócz tego tańsze. W domach, które się od roku budują, belkowanie podłóg jest żelazne, a przestrzeń między belkami wypełnia się cegłami wydrążonemi: ztąd bezpieczeństwo od ognia zupełne. Lekkie ściany między-pokojowe są robione z tych cegieł. Podobnym sposobem wyrabiają tu od lat wielu rury do kominów, wentyllacyi, do ścieków nieczystości kuchennych i innych. Cegły wydrążone i kamienie sztuczne robią także z gipsu.

Wielu garncarzy wystawiło próbki cymentów angielskich, które najdoskonalej naśladowują różne rodzaje marmuru i tanie a ozdobnie mogą służyć do tynkowania domów.

Różnokolorowe asfalty pozwalają mozajkować place publiczne lub podwórza i sienie, bez wielkiego kosztu.

Przez nastrzykiwanie drzewa siarczanem miedzi, przez pociąganie kamienia sokami żywicznymi i nasycanie jego por krzemionką potażu, można drzewo ustrzedz od butwienia, a kamień od zmiennych wpływów atmosfery.

Wyroby stolarskie i tokarskie tanieją bardzo szybko od czasu, jak piła poruszana parą, wrzyna się z niesłychaną łatwością w żywiec najtwardszego dębu, a piła cienka jak niteczka, wykrawa najdelikatniejsze esy i floresy tak szybko, że myśl robotnika, który je komponuje, ledwie jęj nastarczyć może.

Do pokrywania dachów używają blachy żelaznej fałdowanej jak dawne dachówki. Na pokrycia tymczasowe wozowni, składów i t. d. używają płótna pociągniętego żywicą na zimno.

Prusy, Austria, Francya wyścigają się w zastosowaniu cyny, cynku, ołowiu i miedzi do ozdoby budowli wewnątrz i zewnątrz, do robienia lamperyi, ram, lamowań, statuetek: słowem do wszystkiego, co dawniej kute z kruszcu lub kamienia było tylko dziełem sztuki, a dziś jest przedmiotem najczynniejszego handlu.

Wszystkie te wynalazki lub zastosowania prowadzą do nowego stylu architektury. Grecy i Rzymianie budowali z kamienia i drzewa; naśladowanie proporcji od nich pożyczanych ustać musi koniecznie, skoro zamiast drzewa wchodzi do budowli żelazo, które będąc kilkanaście razy wytrzymalszém, pozwala w tym stosunku zredukować rozmiary. Mieszkania zyskają na przestrzeni i lepszém oświetleniu, a lubownicy odmiany ujrzą coś nowego.

Hutnicze wyroby, jak łamane osie, koła i t. p. do kolei żelaznych, stalowe blachy, wyroby ze stali lanéj, jedynie jeszcze dlatego najlepiej są robione w Anglii, że kraj ten posiada olbrzymie walcownie i ogromne w téj gałęzi przemysłu doświadczenie.

— Wszystkie sposoby oświetlania były na wystawie obficie przedstawiane.

- 1) Oświetlanie *lampami*, za pomocą cieczy tłustych;
- 2) — *stearyną*, czyli za pomocą stałych tłustości;
- 3) — za pomocą *gazu*;
- 4) — za pomocą *wodo-węglanu ciekłego*, czyli tłustości mineralnych i roślinnych;
- 5) — *elektryczne*.

Pierwszy sposób oświetlania postąpił mianowicie od czasu, kiedy Argand wymyślił kominiek szklany i knoty koliste. Rezerwoar oliwy wyżej położony od płomienia miał atoli tę niedogodność, że rzucał cień, przez co nie dawał jednostajnego światła; cień odpowiedni był wielkości rezerwoaru.

Potrzeba było utrzymać powierzchnię oliwy na wysokości stałej, a zarazem wypadło umieścić rezerwoar u spodu lampy i podnieść oliwę aż do knota. Zegarmistrz Carcel rozwiązał zadanie: za pomocą przyrządu zegarowego, który pcha pompę tłoczącą, tłok pompy wypycha oliwę aż do knota.

Później zamiast jednej poczęto używać dwóch pomp, przez co przyływ oliwy do knota jest regularniejszy. Lampy tego rodzaju mają mechanizm delikatny i drogo kosztują. Po wielorakich probach zastąpiono je lampami z *moderatore*m, w których nie ma aparatu zegarowego: sprężyna zniża tłok: ten przez ciśnienie podnosi oliwę w rurce, której jeden koniec nurza się w rezerwoarze: tłok jest ze skóry, sprężyna ma formę wężykową i jest przytwierdzoną do tłoka. Sprężyna nakręcona za pomocą klucza, rozpręża się i popycha tłok, który przez parcie zmusza oliwę do podnoszenia się w rurce.

Ponieważ sprężyna im bardziej jest rozprężoną, tém mniej ciśnie na oliwę, która właśnie wtedy coraz to mocniejszego parcia potrzebuje, ho coraz wyżej wznosić się musi: dlatego wewnątrz kanału, którym olej się wznosi, umieszczony jest pręcik metalowy, przytwierdzony jednym końcem do tłoka, a który dlatego razem z tłokiem się porusza. Kiedy sprężyna jest świeżo nakręcona, pręcik wypełnia rurkę prawie w całej wy-

sokości; w miarę jak tłok się zniża, zniża się i pręcik i rurkę coraz mocniej zatyka, przez co wznoszenie się oliwy w większej ilości jest coraz łatwiejsze. Pręcik nazywają *moderatore*m. Ten rodzaj lampy zastąpił dziś wszystkie inne. Regularność chodu, łatwość roboty, oraz niska cena, zalecają ją szczególnie.

Dzięki postępowi chemii, świece woskowe już tylko do służby kościelnej są używane. Niewiele czasu upłynie, a świece stearynowe sprzedawać się będą po tój cenie, jak dzisiaj łójki. Potrzeba nam przypomnieć różnicę tych dwóch gatunków świec, aby ocenić należyte ile prób i odkryć porobili chemicy zanim doszli do tego rezultatu.

Stearyna różni się od łoju swoją konsystencją: jest mniej topliwą od niego, zkąd wypada, że nie rozlewa się tak jak łój, że nie plami tak jak inne tłustości. Wszakże stearyna jest tąż samą tłustością, z wyjątkiem, że zmieniono jój konsystencją fizyczną: części *ciekłe* tłustości oddzielono od części *stałych*, których stopień topienia jest daleko wyższy.

Knot świecy stearynowej nie potrzebuje być ucinany, jest on spleciony z trzech bawełnianych sznureczków z których każdy kręcony w odwrotnym kierunku. W miarę jak świeca się pali, skręcenie ustaje; skutkiem większego prężenia jednej nici knot pochyła się tak, że jego koniec wchodzi w część zewnętrzną (białą) płomienia; tam przez zetknięcie się z powietrzem, węgiel formowany przez knot pali się i zamienia w popiół, a ta okoliczność uwalnia od przycinania go, czyli objaśniania świecy. Sposób ten nie da się zastosować do świecy łojowej, bo pochylanie knota stopiłoby ją prędko.

Ale najważniejszą rzeczą jest przemiana łoju na ciało suche i nietopne. Kilka uwag z praktycznej chemii wyjaśnią, w jaki sposób otrzymuje się ten fabrykat.

Bez wyjątku wszystkie ciała tłuste, pochodzenia roślinnego czy zwierzęcego, składają się z materii płynnej i stałej. Według tego, która z tych części przemaga, mieszanina jest miękka jak łój, pół-ciekła jak masło, lub ciekła jak oliwa. Bracconot, znakomity chemik, pierwszy powziął tę myśl i udowodnił ją bardzo prostém doświadczeniem. Za pomocą mocnej prasy ścisłał łój barani między dwiema tekturami, i otrzymał dwa produkty: jeden stale płynny przy zwykłej temperaturze, drugi zawsze stały. Powtarzając tę operację na oliwie zamrożonej poprzednio, dochodzi się do tegoż samego rezultatu. Część

płynna, która wchodzi w skład prawie wszystkich tłuszczów, dostała nazwę *oleiny*, część stała *stearyny*. Inny jeszcze produkt stały, który tę samą gra rolę co stearyna, i obok niej napotyka się w wielu tłuszczach, nazwano *margaryną*.

Ażeby to spostrzeżenie zastosować w przemyśle, i świecę łojową pozbawić niedogodnego płynu, Braconnot nie podał praktycznego sposobu. Inny dopiero chemik, pan Chevreul dał sposoby łatwego i niekosztownego oddzielania stearyny od oleiny, za pomocą alkali, jak potaż i soda. Pan Chevreul dowiódł, że stearynę, oleinę, margarynę i im podobne produkta, można uważać jako rodzaj soli organicznej, zawierającej *zasadę* zawsze jedną, którą jest *gliceryna* w związku z jakim kwasem tłuszczym: na przykład z kwasem stearynowym dla stearyny, lub kwasem olejowym dla oleiny. Stearyna jest więc stearynkiem gliceryny, oleina, olejkiem gliceryny. Łatwo się przekonać warząc np. stearynę ze sodą kaustyczną, że nastąpi rozkład stearyny: gliceryna oswobodzona roztopi się w wodzie, a kwas stearynowy kombinując się z sodą, uformuje stearynek-sody, który się oddzieli od płynu.

Operacja zasadzająca się na rozkładaniu tłuszczów za pomocą alkali była już dobrze znaną w przemyśle przy fabrykacji mydła: wszakże dopiero poszukiwania pana Chevreul odsłoniły skład chemiczny mydła, które chociaż od wieków było używane, nieznano jego natury ani sposobu formacji. W tym razie praktyka wyprzedziła o wiele teorię.

Skoro pokazało się, że można oddzielać kwas stearynowy, to jest pierwiastek stały łoju, wydawało się już łatwą rzeczą zastosować go w przemyśle. Ługując łoź za pomocą alkali, jak potaż, soda albo wapno, i mydło ztąd pochodzące rozkładając jakim kwasem mineralnym, można wyswobodzić kwas stearynowy i olejowy, to jest oddzielić część stałą łoju od części ciekłej. Z części stałej robią się świece stearynowe. Taki jest początek nowego przemysłu.

Na nieszczęście, to, co jest najoczywistniej dowiedzione *à priori*, jest jeszcze bardzo dalekiem od praktycznego zastosowania. Największe przymioty uczonego nie są rękojmią powodzenia w dziedzinie przemysłu. Dowodem, że sam Gay-Lussac fabrykując stearynę z panem Chevreul, zwątpił w końcu o jej praktycznym użyciu: używał bowiem alkoholu do oczyszczenia stearyny.

Później Cambačeres podjął przedsięwzięcie i wiele nań wyłożył; porzucił je wszakże otrzymawszy świece żółte, tłuste w dotknięciu, słowem gorsze od łojowych. Ale jego proba nie była bezowocną: wprowadził najprzód knoty wydrążone, a później wymyślił knoty plecione z bawełny, takie, jakie dziś używają.

Dopiero w kilka lat później 1831 roku, znowu pan Milly zaczął zajmować się produkcją kwasów tłustych, i udało mu się. Fabrykę założył przy rogatce paryzkiej *de l'Etoile*, ztąd pierwiastkowa nazwa świec stearynowych we Francyi.

Pan Milly zamiast sody użył wapna do swojej fabrykacyi, a ta jedna okoliczność dozwoliła mu zmniejszyć piętnaście razy cenę stearyny. Łój traktowany wapnem daje mydło wapienne, które rozłożone przez kwas siarczany, odosabia stearynę od oleiny, następnie mechaniczny rozdział tych dwóch materyi skutecznia się za pomocą prasy, najprzód na zimno, potem na gorąco.

Ażeby wapno, którego drobna część zostawała w stearynie, gromadząc się podczas palenia świecy na knocie nie zatykało jego porów i nie niweczyło włoskowatości knota; pan Milly maczał knot w roztworze kwasu borowego. Podczas palenia się świecy, kwas borowy, którego powinowactwo chemiczne jest wielkie przy wysokiej temperaturze, łączy się z wapnem i popiołem knota, tworzy borek, który jest topliwy, (samo wapno nie topi się), wznosi się porami knota aż na jego wierzch, tworzy punkcik świetny, który opada dopiero przy skończeniu świecy. Każdy zauważał ten jaskrawy globek na knocie palącej się świecy stearynowej.

Widzimy więc, że świeca stearynowa jest wynikiem całego szeregu prac teoretycznych i praktycznych.

Wyrabianie świec między innemi trudnościami napotkało i tę, że stearyna przy laniu krystalizowała się w igielki, przez co materia nie była dość zbitą. Kwas arsenikowy w małej ilości zapobiegał krystalizacyi, ale go rząd dla bezpieczeństwa używać zakazał. Ztąd nowa przerwa w produkcyi. Odkryto później, że dodanie wosku do roztopionej stearyny także zapobiega krystalizacyi. Ten środek był jeszcze zadrogi. Doświadczono nareszcie, że dostatecznym jest studzić stearynę dopóty, aż się zacznie ścinać, potem wstrząsając nią mocno, wlewać do roz-

grzanych form: przez wstrząśnienia, pedantyczny porządek kryształizacji niweczy się zupełnie.

Ażeby stearynę tanio sprzedawać, potrzeba jeszcze było znaleźć łatwy upust handlowy dla pozostałego oleju. Użyto go więc do roboty mydła.

Wszystkie powyżej wymienione odkrycia i ulepszenia sprawiły, że na wystawie paryzkiej 1839 roku, dziewięć już fabryk popisywało się ze swemi wyrobami; na wystawę powszechną ze samej Francji, trzydzieści fabryk nadesłało swoje produkty. Niemcy, a szczególnie Bawarya, poukładały ze stearyny łuki tryumfalne, piramidy i kilkopiętrowe stogi.

O trzech innych rodzajach oświetlania nie będziemy mówić, bo w nazbyt ścisłym związku pozostając z chemią i fizyką, wymagają specjalnego sprawozdawcy i specjalnych czytelników.

— Cała jedna klasa na wystawie obejmuje przyprawę i konserwacją pokarmów. Francja sama może rywalizować z Włochami co do piękności i dobroci ciast różnych, nie wyłączając zwyczajnego chleba i suchara. Tutaj najprzód zaczęto suszyć warzywa, aby je przechowywać. Dom handlowy Chollet et comp. posiada 7 ogromnych fabryk w różnych częściach Francji, z których jedne zasuszają kartofle, inne buraki, marchew, kapustę, groch i t. d. Admirał francuzki w urzędowym raporcie powiada, że od czasu jak te pokarmy wprowadzono na flotę, szkorbut prawie zupełnie ustał. Oprócz konserwacji jarzyn, inna ich zaleta jest jeszcze ta, że ściśnione pod prasą hydrauliczną, bardzo mało zajmują miejsca: w furgonie można zmieścić jedną racją dla 200,000 ludzi. Tenże dom handlowy przygotowuje także konserwy warzywne, gotując je poprzednio, potem je suszy; przed użyciem potrzebują tylko odgrzania.

Mięso przeznaczone na konserwy zamyka się szczelnie w pudełku z białej blachy, a pudełko to kładzie się do kotła wrzącej wody; po jakimś czasie wyjęte, przechowuje mięso zdrowe i świeże przez kilka miesięcy. Ale ten pokarm sprzykrzy się łatwo: dlatego myślą o innych sposobach konserwowania mięsa, ale te nie są jeszcze wyprobowane. Wszakże zadanie jest ważne, bo niezawsze i nie wszędzie można sobie sprokurować pokarmu mięsnego. Tymczasem już historia nas uczy, że bajeckie atlety starożytności, siłę swoją zawdzięczali ćwiczeniu i pokarmowi. Kogoby historia nie przekonała, tego przekona następujący wypadek:



W roku 1841 do roboty kolei żelaznej z Paryża do Rouen sprowadzono robotników z Anglii; ci razem pracując z Francuzami, robili od nich dwa razy więcej. Inżynierowie francuzcy zaczęli się zastanawiać nad tym fenomenem: dali robotnikom swym takie same narzędzia jakie mieli Anglicy, ale i to nie przyspieszyło roboty. Sprobowałszy napróżno rozmaitych sposobów, w końcu wpadli na myśl żywienia ich tak samo, i poczeli łożyć na rooast-beef. Po kilku tygodniach pokazało się, że robotnicy francuzcy prześcignęli swoich angielskich rywali. Doświadczenie powtórzono potem na więźniach w Riom i innych, a zawsze najwidoczniejszym skutkiem uwieńczone było. Negr w Luzyannie jada cztery razy na dzień, z których dwa razy z mięsem: ztąd jego czarny kolega z Antyllów mniej dobrze żywiony, nie może wytrzymać z nim konkurencyi w ciężkiej pracy około bawełny.

## WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH.

### VIII.

Cornelius, Wilhelm i Fryderyk Kaulbach, Hübner, Knauss. Malarze belgijscy.  
Malarze hiszpańscy.

Szkoła niemiecka bardzo niekompletnie była reprezentowana na wystawie. Overbeck, jeden z najznakomitszych jój mistrzów nie nadesłał; również szkoła Duesseldorfska. Kartony Corneliusa i Kaulbacha same jedne mogły godnie stawić czoło arcydziełom francuzkim. Monumentalny sposób malowania *al fresco* od kilku lat niezmiernie się rozwinął w Niemczech, a mianowicie w Prusach.

Piotr Cornelius, podobnie jak ulubiony mistrz jego Michał Anioł, gardzi malowaniem olejném, jako robotą wymyśloną dla zabawy kobiet lub próżniaków; cały zapas nauki, siły i natchnienia włożył we freski, których styl surowy i nieograniczone rozmiary uznał za jedynie godne pole dla swego pędzla. Nader rzadko się zdarza, żeby artysta doszedł za życia do takiej sławy, jak Cornelius; cały świat zna dzieła jego: Niemcy stawiają mu przed śmiercią pomniki, jak Anglicy Wellingtonowi; najświetniejsi pisarze w ojczyźnie wybijają mu pokłony w swych dziełach;

ogromna szkoła naśladowuje go i wielbi jak Boga; król pruski ceni go i osłania swą monarszą opieką, jak Karol V-ty Tyciana, lub Leon X-ty Rafaela.

Cornelius daleko wcześniej niż malarze francuzcy zerwał z tradycją klasyków XVIII-go wieku; bardzo młodo uczuł pragnienie czystych wzorów sztuki, i w tym celu jeszcze w 1825 roku udał się do Rzymu, gdzie w towarzystwie artystów niemieckich: Overbecka, Schnorra, Vogla, Hessa i innych, spędzał dni całe na studyowaniu wielkich mistrzów, a wieczory na długich rozprawach o estetyce. Ludwik książę bawarski słuchał ich rozpraw i podziwiał dzieła; później zaś z monarszą hojnością dostarczył adeptom nowój szkoły środków urzeczywistnienia wzniosłych teoryj. Pobudował im bazyliki, katedry, mnogie pałace i galerye: nieomal miasto całe wystawił, i dał im do malowania, dając zarazem godny genialnych artystów sposób rozwijania talentu bez marnowania go na nędzną pracę, mającą dostarczyć chleba powszedniego. Piękne musiało być życie tych ludzi, zwłaszcza wtedy, kiedy jeszcze każdy wierzył w swe posłannictwo, a wspólność celu nie dozwalała się odosabniać, nawet najwięcej zakochanym w sobie.

Zaden zapewne z nowoczesnych artystów, wznioślejszego ani surowszego nie nakreślił sobie ideału jak Cornelius; tak dalece, że go o przesadę w tym względzie obwinić można. Malarstwo, jakkolwiek szerokie otwiera pole myśli, nie może być wszakże abstrakcją: w umyśle rodzi się dzieło, ale ręka je wykonywa. Jeżeli ręka jest niezręczna, myśl tak wiele traci na wartości, że lépiiej było ją wypisać zamiast odmalować.

Cornelius rysuje tylko szkice, które uczniowie jego przenoszą na mury; biorąc do ręki pędzel lub paletę, obawiałby się ubliżyć sobie. Otóż co nazywamy przesadą idealizmu! Michał Anioł najgłębszy myśliciel z grona malarzy, nie spuszczał się na nikogo, ani wyręczał w wykonaniu tych drobiazgów błahych na pozór, a ważnych rzeczywiście; nietylko sam malował, ale sam sobie robił pędzle, i sam farby rozcierał: bo w dziele sztuki oceniał znaczenie indywidualności. W *Sądzie ostatecznym*, albo na suficie kaplicy Syxtyńskiej, duch mistrza ożywia nietylko ludzkie postaci, ale każdy najdrobniejszy szczegół. Wcielił on się niejako w dzieło swoje, krew jego krąży w żyłach obrazu. Po rozpaczonym wyrazie niektórych twarzy, poznasz, że musiał być nieszczęśliwy dnia tego; po dumnej a swobodnej postawie

innych, zgadujesz, że odwaga do duszy mistrza powróciła. Patrząc na jego obraz widzi się samego Michała Anioła.

Najznakomitsze dzieło Corneliusa jest *Historia bogów i bohaterów*, fresk zdobiący ściany Glyptoteki w Monachium. Nadzwyczaj mądra kompozycja, głębokie poczucie filozofii historii i sztuki, bogactwo symbolów, w podziwienie wtrącają widza; ale ten obraz działa tylko na umysł—entuzjazmu nie budzi wcale. Rzecz dziwna, dopiero straciwszy z oczu to wielkie dzieło, i rozbierając je w pamięci, a mianowicie opisując takowe, uderza nas, jak pod piórem ów obraz pięknieje, jak w opowiadaniu zajmujący jest, jak w końcu w słowach na olbrzyma urasta: i mimowolnie nasuwa się pytanie, czy nie właściwiejby było, żeby Cornelius zamiast ołówka, pióro wziął do ręki? Każdy program jego obrazu jest poematem, historią, lub filozoficznym traktatem, któremu nic zarzucić nie można; rysunek jest dlań pismem hieroglificzném: raz wypisawszy myśl, o resztę nie pyta. Koloryt, jako zabawkę dzieciom, zostawia uczniom: ztąd pochodzi, że w dziełach jego znać tylko intencją malarza, jego myśl, nie jego sztukę; nie charakter, ale naukę. Efekt zaś ogólny nieskończenie jest niższy od idei.

Francuzi, którzy tak wielką wagę przywiązują do wykonania, którzy śledzą bacznie i gatunek farby, i dobór kolorów, i układ draperyi: z pewnym wstrętem przypatrywali się tym ogromnym szkicom, na których sztuka zdaje się unikać najmniejszej dla oka przyjemności, jakoby koncessyi dla gminu.

Kartony przysłane na wystawę są przeznaczone na freski, mające zdobić portyki cmentarza *Campo Santo*, budującego się obok katedry berlińskiej.

Treść ich wziął artysta z biblijnego poematu pełnego czarnych cieni i błyskawic, piekielnej grozy i tęczowych myśli sięgających aż do stóp Przedwiecznego: z *Apokalipsy* świętego Jana. Wybór przedmiotu nie wydaje nam się szczęśliwy. Pierwszą zaletą fresku, najsürowszego, a zarazem najprostszego sposobu malowania, jest jasność i zgodność z duchem swego czasu. Fresk przez to samo, że stanowi niejaką część architektury, że jest wystawiony prawie zawsze na widok publiczny, winien być zrozumiały dla każdego. Rafael ściśle trzymał się tej zasady: w sławnej *Dyskussyi świętego Sakramentu* dotknął i poruszył wszystkie naówczas żywotne kwestye; malując *Szkolę Ateńską* uwiecznił zapal, z jakim epoka odrodzenia ukochała bohaterów

i arcydzieła starożytności. Słowem, był zawsze w zgodzie z myślą swego wieku; i właśnie ta zgodność tworzenia, i ten dostrój pojęć jego z dążnością ogólną stanowią wieczną piękność i wieczną młodość Rafaela.

Wyjątki z Apokalipsy uplastycznione na murze przez pruskiego mistrza nie tylko nie odpowiadają powyższym warunkom, ale im są wprost przeciwne. Śmiało rzec można, że nie ma dwóch idei sprzeczniejszych jak duch XIX wieku z duchem Apokalipsy: chcieć tłumaczyć dzisiejszym ludziom tajemnice wizji Chrystusowego ucznia jest toż samo, co prawić ślepemu o kolorach. Nie wychodząc z zakresu sztuki monumentalnej, ani pojęć religijnych, można było wyszukać w Piśmie świętym daleko przystępniejszego przedmiotu, niż mistyczny poemat św. Jana, w którym każda religia przepowiednią swoich dziejów upatruje: Anglikanie krwawe wstrząśnienia swego kraju; protestanci niemieccy średniowieczne dzieje Niemiec; Hugonoci panowanie Karola IX i regencyą Katarzyny Medycejskiej; a każda z nich może mieć słuszość. Po tej ogólnej uwadze wróćmy do kartonów Corneliusa.

Pierwsza kompozycja przedstawia siedmiu aniołów wylewających siedm puharów gniewu bożego na lądy, morza i powietrze. Szkoła Michała Anioła mocno przebija w tym obrazie.

Zniszczenie rodu ludzkiego przez czterech jeźdźców: *Zarazę, Głód, Wojnę i Śmierć*, jest treścią drugiego obrazu, najpiękniejszego z wystawionych kartonów Corneliusa. Dość powiedzieć, że straszną tę scenę oddał z apokaliptyczną zgrozą. Stary pierwiastek germański pochłonał tu wszelkie naśladowanie włoskie: w obrazie tym Cornelius jest prawdziwie oryginalny i potężny.

Pierwszy jeździec pędzi na białym koniu, w ubiorze podobnym do tego, w jaki tradycja odziewa dzieć wschodnią: rysy jego spłaszczone łamie uśmiech fatalny; napina zatrutą strzałę i pochyla się naprzód, jakby wietrzył ofiary, które wydał mu gniew Boży—to zaraza.

Drugi goniec na czarnym jedzie koniu: stary, łysy i okropnie wychudły, kościaną nogą nagli konia do biegu, a w rękę trzyma wagi: co znaczy, że chleb sprzedawany będzie na wagę złota. Ten zamorzony starzec—to głód.

Trzeci na płowym koniu, oburącz ogromny miecz ujawszy, rąbie nim na wszystkie strony. Z pod płaszcza, który wiatr unosi

z ramion rycerza, widać atletyczne jego kształty: najeżone włosy, usta zacięte, brwi zmarszczone, dają twarzy jego wyraz nienawiści, której nie przebląga ani niemy ból mężki, ani płacz niewieści—to wojna.

Czwarty jeździec na siwym koniu bladą świeci twarzą, na której biega sarkastyczny uśmiech trupiiej głowy: w ręku trzyma kosę, na ramionach szkieletu wisi kawał całunu—to śmierć.

Ci czterej gońcy wpadają jak huragan na tłum ludzi, roztrącając go, łamiąc i gnąc w rozmaite pozy, wyrażające postrach, błaganie i rozpacz. Powietrze przcinają szybkim lotem niedoperze i fatalniejsze od Dantowskich szatanów larwy, któremi św. Jan apokaliptyczne zmroki zaludnił. W tym przedmiocie fantazyja niemiecka jest mistrzynią: nikt jój nie zrówna w katarfalkowej kombinacyi brzydoty, strachu, przesądu i żaloby.

Obok téj strasznej sceny, w trzech cichych grupach, które dziwnie od niój odbijają, uosobił artysta trzy uczynki chrześcijańskiego miłosierdzia: odwiedzenie więźniów, pocieszenie strapionego, wskazanie drogi błędzemu.

Drugi obraz odpowiedni *Czterem posłannikom gniewu Bożego*, wyobraża dwóch archaniołów: jeden strąca w przepaść szatana, drugi pokazuje apostołowi *Nową Jerozolimę*; która w postaci niewiasty z wieżami na głowie, jak Cybela, spływa z góry w powłoczystej szacie, niesiona przez dwunastu aniołów na wybrzeża, gdzie zgromadzone tłumy ludu czekają jój z utęsknieniem.

Następny karton przedstawiający uczynki pobożne: nakarmić głodnych i napoić spragnionych, wydał nam się nadto podobny do starożytniej uczyty. Poboczny jest daleko lepszy: piękna niewiasta na pustelni otoczona dziećmi, uosabia słowa apostoła: „Szczęśliwi, którzy są głodni i spragnieni sprawiedliwości.“

W każdym z tych sześciu kartonów jest nadzwyczaj wiele imaginacyi i podniosłości myśli; ale są to raczej tezy filozoficzne, nie obrazy: wszystko co dotyczy rzeczywistości, systematycznie z nich usunięto, a umysł artysty widocznie silił się na pokazanie myśli czystej, wolnej od wszelkiego pierwiastku ziemskiego. Wyłącznie w krainie abstrakcyi żyjący Cornelius, jest nieodrodnym synem marzycielki Germanii.

Dyrektor Akademii munichskiej, Wilhelm Kaulbach dał na wystawę ułamek ogromnej kompozycji, przedstawiającej *historię ludzkości*, która zdobi przedsionek i schody nowego Muzeum berlińskiego. Składa się ona z sześciu obrazów: *wieża Babel, Homer i Grecy, zniszczenie Jerozolimy, bitwa Hunnów, odzyskanie grobu świętego, i czasy nowożytne*. Wystawiony karton przedstawia tylko wieżę Babilońską.

Widzimy potworną wieżycę z potrzaskanym szczytem, który rozpada się dotknięty palcem Jehowy. Przestraszeni robotnicy, nie rozumiejąc już mowy swojej, pierzchają mimo zakazu dozorczy, który ich siłą chce zmusić do pracy.

Pośród grona przelekkłych dworzan i kobiet, otoczony długim rzędem swych bezsilnych bożyszczy, Ninus patrzy na tę scenę z pałacowego dachu: zżyma się, marszczy brwi, zgrzyta zębami, klnąc potęgę nieznanego Boga i niepojętą moc jego, która jednim cięciem obaliła ogromne dzieło tyłu wysilen, zdmuchnęła owę niebotyczną budowę, mającą urągać się przyszłym potopom, a stała się kupą gruzów, które wkrótce piasek pustyni zasypie.

Poznawszy niemoc władcy, ludzka rodzina rozłamuje się na trzy karawany, uosabiające pokolenia Chama, Sema i Jafeta; i długim szlakiem ciągnie ku *przyszłości*.

Pokolenie Chama, które się naśmiewało z ojca swego, w rysach nosi szkaradę swój zbrodni: rodzicielskie przekleństwo przyłgnęło do jego czoła i zaczerniło twarz na wieki. Szczep przeklęty, jakby pchany wstydem swego czynu, posuwa się zwolna, i idzie ukryć swą brzydotę i nierozum w tajemniczych zakątkach Afryki.

Potomki Sema wiozą na wozie ciągnionym wołami swego patriarchy, otaczając go oznakami troskliwości i uszanowania: mężowie niosą pasterskie kije, niewiasty wrzeciona: dwa godła pierwotnego przemysłu. Matki uśmiechają się do dzieci, które na szerokim grzbiecie wołów siedząc wygodnie, jedzą winogrona. Za ludźmi idą liczne trzody owiec i bydła.

Pokolenie Jafeta wiezie nadobny młodzian na koniu. Artysta najpiękniejsze typy rasy ludzkiej zgromadził w tym szczepie, który po wielu wiekach miał całą Europę zaludnić. W rogu obrazu, z planem w ręku stoi budowniczy babilońskiej wieży, usiłując daremnie wymownym gestem zatrzymać rozchodzących się robotników.

Takie są główne zarysy téj olbrzymiej sceny, której pomysł i wykonanie przynosi zaszczyt Kaulbachowi, dowodząc w nim zarazem potężnej wyobraźni, głębokiego poczucia sztuki i biegłości wykonania: trzech przymiotów, które razem połączone stanowią dopiero prawdziwego artystę. Cornelius w wyższym stopniu od Kaulbacha posiada dwie pierwsze zalety, ale że zbywa mu zupełnie na ostatniej, dlatego dzieła jego, chociaż bardzo wzniosłe, nie tyle przemawiają do duszy.

Drugi karton Kaulbacha mniejszych rozmiarów, pod tytułem *Tradycja*, nader szczęśliwie pomyślany, przypomina autora niezrównanych ilustracyj *Reineke Fuchsa*. Na ruinach zamczyska siedzi stara niewiasta, uosobienie *podania*, i słucha, co jój szepczą do ucha dwa kruki Odyna: z których jeden ma wiedzę dobrego, drugi wiedzę złego. Wiedźma zapadły wzrok topi w przestrzeni, jakby nim chciała z pośrodku ziemi coś wydość: roztargniona jój ręka bawi się z okruciami przeszłości. Przy niej leżą pordzewiałe zbroje, starożytne korony, i czaszki legiendowych bohaterów napół wygrzebane z ziemi. Za *tradycją* idzie *historja*, której ta pierwsze dyktowała rozdziały: postać jój wyniosłą i rozumną nakreślił artysta na wzór muzy starożytnej. W ślad za nią postępują dwaj starcy, pełni dostojenstwą i powagi: Mojżesz i Solon; pierwszy uosabia prawo boskie, drugi prawo ludzkie. Powyższy karton rozumny i piękny, jest także malowany alafresko na ścianach berlińskiego Muzeum.

Z pomiędzy malarzy rodzajowych, o ile mogliśmy sądzić z nadesłanych probek, najwyżej stoją: Fryderyk Kaulbach, Huebner i Knauss. Fryderyk Kaulbach bardzo znakomity malarz, chociaż nieco zaćmiony sławą brata, wystawił portret *Wilhelma Kaulbacha*. Prócz uderzającego podobieństwa, wizerunek Kaulbacha posiada rzadkie przymioty wykonania w takim stopniu, że jest jednym z najlepszych portretów na wystawie. Sławny artysta oddany jest *en face*: stoi przed rozpoczętym obrazem. W jednej ręce trzyma ołówki, w drugiej zapalone cygare: dodatek nieco dwuznacznego gustu, który atoli znika w obec tylu przewaźnych zalet portretu. Cała postawa, a mianowicie ruch głowy, dobrze jest obmyślona; twarz zupełnie jak żywa, oddana z uderzającą doskonałością.

Tegoż samego pędzla był jeszcze portret kobiety wśród ogrodu. Z twarzy i stroju znać, że to jakaś wielka dama: wy-

smukła i powiewna jak trzcina, blada, czarno-oka, z wyrazem godności na czole, a nudy czy tęsknoty w oczach, które patrzą jak przez gazowy obłok. Ciągnie za sobą czarne aksamity, i otulając starannie przepyszny szalem urocze ramiona, zagłębia się w zielone ulice parku, jakby mówiła: nie godniście podziwiać moich wdzięków.

*Pożegnanie rodzinnej wioski* bardzo rzewnie oddał pan Hübner. Biędna emigrująca do Ameryki niemiecka rodzina, zanim się puści w niepowrotną podróż przez zdradne fale oceanu, które ku nieznanej przyszłości ponieść ją mają, przychodzi na cmentarz pożegnać na zawsze groby, w których spoczywają szczęśliwsi od nich krewni i przyjaciele. Niestety! już nikt tych drogich grobów nie ubierze w kwiaty, nikt nie podniesie czarnego krzyża, co próchnieje prędko; gesta trawa wnet wyrówna wzgórek grobowy, a ojcowie, którzy pod nim leżą, już nie poczują sączących się przez ziemię gorących łez swych dzieci. Sędziwa niewiasta, zapewne matka odjeżdżającej rodziny, modli się klęcząc na mogile; przy niej dwie dorodne dziewczęta trzymając się za ręce płaczą rzewnie, a młodzieniec z workiem na plecach stoi przy krzyżu, i zakrywszy dłonią mężkie rysy, duma, pogrążony w kole smutnych myśli. Obok na murze leży roztrwarta biblia, księga pociechy, którą tułacze czytać będą gdzieś w nieznanym kraju pod niską strzechą dymnej lepianki, zbudowanej własnymi rękoma pośród świeżo wyciętego lasu; a przypominając sobie rodzinną wioskę i ojcowską chatę, tęsknić będą za nią i płakać: bo wszystko co się tam przeżyło, sama nawet w niej doznana nędza, w słodkie przemieni się wspomnienie.

Badeńczyk Knauss weselszy wystawił obraz. Wśród dębowego lasu obozują cyganie. Biała, jasno-koścista szkapa, skazana na bezustanne ciągnięcie po świecie wędrujących kuglarzy, zmordowana całodziennym biegiem i wyprężona narreszcie, skubie trawę melancholicznie głowę zwiesiwszy. Młoda cyganka, w której oczach błyszczą wszystkie pokusy erebu, szczerbatym grzebieniem usiłuje rozczesać krucze włosy, co jej aż do stóp spadają; obok śpiącego młodzieńca nagie dzieciaki tarzają się po ziemi. Ani twarze, ani zajęcia kocującej rodziny nie zdradzają żadnych niegodziwych zamiarów: mimo to, chłopci, którzy zawsze z niedowierzaniem i trwogą patrzą na cyganów, posądzając ich o złodziejstwo i czary, sprowadzili miejscowe władze dla przejrzenia paszportów; a sami stoją opodal uzbrojeni w kije, które



za najmniejszą nieformalność gotowi są połamać na grzbiecie podróżnych.

Wójt tymczasem włożywszy okulary na nos, przegląda pomięte paszporta, podawane sobie przez starą czarownicę, która wymownie objaśnia niektóre wątpliwe wizy. Opodał oparty o drzewo w postawie świadczącej o nadzwyczajnym wyłamaniu kości, stoi ogromny drab, filar całej trupy, w wypłowiałej sukmanie i czapce wypranej deszczem całego świata: u pasa jego wisi zajac i kura, które z niechcenia zasłania przed okiem widzów, chcąc uniknąć natrętnych zapytań o pochodzeniu owych prowiantów, zapewne nie na targu nabytych.

Obok téj sceny odgrywanéj przez ludzi, drugą odgrywają zwierzęta: pies wójtowski naśladując pana, przybliży się do małpy siedzącej w ponsowym kubraczku, i z miną badawczą warczy, jakby jęj zapytywał o paszport. Małpa nie usposobiona do poddania się władzy zwierzchności, wytrzeszcza oczy i zgrzyta zębami z wielkiem zgorzeniem cywilizowanego zwierza.

Obraz ten wzięty żywcem z natury, i wykonany umiejętnie, zdradza wielkie rozmiłowanie artysty w cyganach; na pewne ręczyć można, że się rozplakał, jeżeli mu modele do więzienia zabrali.

Peizażyści niemieccy biegli w kopiowaniu natury, grzeszą zbyt niemię ubieganiem się za tak zwaną malowniczością okolic, co nadaje ich dziełom przesadną a niemiłą jednostajność. Mianowicie téż pruscy malarze wyszukują swych wzorów tylko w Szwajcaryi, Norwegii i najgórzystszych włoskich okolicach; mniemając, że widok natury przeniesiony na płótno, im więcej olbrzymich jest rozmiarów, tém mocniejsze winien czynić wrażenie. Wszakże rzecz dzieje się odwrotnie: widok gór niebotycznych, czarne przepaści sięgające gdzieś aż do głębi ziemi, ogromne głązy wyrzucone ogniem wulkanów, lub obnażone nurtami potopu, dziwnie karłowacieją na obrazie; ogromem swoim przygniatając pierwsze plany, nadają drzewom, ludziom i zwierzętom rozmiary dzieciennéj zabawki. Alpy mogą niezawodnie dostarczyć artyście wzniosłych widoków, ale najprostsze prawidło sztuki sprzeciwia się malowaniu ogólnego na nie poglądu, czyli robieniu ich portretów od stóp do głowy. Jedna jodła Bellela, jedna łąka Roussa, dlatego że oddanie jęj wdzięku nie przechodzi możności człowieka, ani nie rozsadza ciasnych roz-

miarów ramy, więcej przemawia do duszy, niż ten świat zamknięty w łupinie orzecha. Kto chce wyrazić zawiele, zwykle nic nie wyrazi.

Malarze belgijscy dzielą się na dwie kategorie: jedni mieszkają w Bruxelli, Antwerpii lub w Gandawie, i naśladują Steena, Van-der-Velda, Ommeganka, Ostada, Teniersa i t. d.; drudzy osiedleni w Paryżu idą za nowoczesną szkołą francuską. Jedni i drudzy w tém są do siebie podobni, że mało studyują naturę: co tłumaczy brak oryginalności i brak życia, uderzający w obrazach belgijskich. Leys naprzykład wziął scenę z Fausta Goethego „przechadzka za miastem” i oddał bez duszy ten charakterystyczny ustęp, w który poeta wlał tyle koloru miejscowego i znajomości ludzi, chociaż malował nie pędzlem, ale prostymi słowy, które każdy rad sobie przypomni:

„Przez ciemne sklepienie miejskiej bramy cisną się różnobarwne tłumy; każdy chce dziś oglądać słońce. Obchodząc Zmartwychwstanie Pańskie, sami z martwych powstają, bo porzuciwszy nudną pracę powszednią, wymknąwszy się ze swych mieszkań niejasnych, z pod dachów i sufitów, które ich przygniatają, z wązkich i nieczystych ulic, z zamierzchłych kościołów, wszyscy są powróceni światłu”.

Monolog filozofa przerywa spacerujący mieszczanin, zwracając mowę do towarzysza: „Niema dla mnie przyjemniejszej rzeczy, jak w niedzielę lub święto rozmawiać o wojnach i rzeziach, kiedy tam gdzieś daleko w Turcyi, ludzie się zabijają. Wypiwszy kieliszek jeden i drugi, nagadawszy się do syta, wieczorem wraca człowiek do siebie błogosławiąc pokój, którego używamy.—Ja téż tak sądzę, jak wy kumie,—odpowiada drugi,—niech sobie tam łby rozbijają, i niech wszystko biorą kaci, abym ja był spokojny.“

Nie jestże to obrazek gotowy, który tak łatwo było oprawić w złote ramy? Ten tłum, który krąży, gestykuluje, raduje się słońcu; te rozsiane tu i owdzie mieszczańskie typy, które malują się same w rozmowach; te kwietne łąki rozesłane pod ich nogami, a w głębi starożytne miasto niemieckie z piętrzącymi się dachami, opasane murem, z wieżą gotycką we środku i tysiącem okien o drobnych szybkach, pałających jak brylanty przy zachodzącém słońcu. Jednak Leys, że nigdy nie studyował natury, nie zrozumiał wcale tego ustępu: płótno swoje zapełnił figurami wyjętymi żywcem z obrazów Dürera, których twarze złowrogie,

ciemne draperye i processjonalny pochód, raczej rzeź św. Bartłomieja, nie wiosenną przechadzkę przypominają.

Ten brak poczucia naturalnych piękności, a zastępowanie ich manieryzmem, jeszcze mocniej uderza w obrazach przedstawiających zwierzęta. *Owce i jagnięta* pana Vorboekheven malowane są w sposób tak sielankowy, że raczej w buduarze, nie w owczarni mieszkaćby powinny. Nie można przypuścić, żeby te pieszczone główki miały na pastwisku szukać pożywienia, żeby ta śnieżna i systematycznie fryzowana wełna kiedykolwiek otarła się o krzaki lub ciernie. Artysta tak daleko porządek posunął, że jego *śmięcisko* mogłoby być ozdobą serwantki lub gotowalni jakiej pięknej damy. Nie można opisać tych dwóch obrazów, bo nic podobnego nie istnieje w naturze, nie ma więc punktu porównania; ale jeżeli cierpliwe wypracowanie najmniejszego szczegółu jest ostatniem słowem sztuki: natenczas *owce i śmięcisko* pana Vorboekheven są arcydziełem.

Józef Stevens znakomity malarz zwierząt, jest wyjątkiem w przyjętej przez belgijskich artystów zasadzie. Stevens zrozumiał, że prostota stanowi ozdobę każdego obrazu, w przedstawieniu zaś zwierząt jest najpiérwszym warunkiem. Wystawione obrazy jego, których kompozycyą zajmowała się widocznie sama natura, mogą rywalizować z dziełami artystów angielskich, których nikt w malowaniu zwierząt nie prześcignął.

Najpiérwój wpada w oczy wyborny obrazek Stevensa *Wspomnienie ulic Bruxelli*, który na téj i dawniejszych wystawach paryzkich zjednał artyście liczne pochwały i medale. Pięciu psów zaprzężono do małego wózka na dwóch kołach; pomęczone psiska korzystając z wypoczynku, ugrupowały się rozmaicie: najsilniejszy dyszłowy stoi ze spuszczoną głową, dwa poboczne usiadły i dyszą wywiesiwszy języki, lejcowe pokładły się na brzuchach i wsparły głowy na łapach, śpią smacznie. Biedne brytany: znać że przybiegły zdaleka, i że im woźnica nieczęsto wypoczywać dozwala; smutne, wychudłe, z rozczochraną siercią robią bokami, zawistnie patrząc na legawca, który wolny i z kością w zębach, do budy na obiad pospiesza.

Obrazów historycznych bardzo mało dostarczyli belgijscy malarze: *Krzysztof Kolumb* Hammaña do najlepszych się liczy. Artysta przedstawił Kolumba na pokładzie okrętu Santa-Marya, kiedy po długiej żegludze 11 października 1492 roku o wscho-

dzie słońca, spostrzega odłamek amerykańskiego lądu, wyspę Guanahani.

Przecucia nie zawiodły wielkiego męża: widzi nareszcie ową dziewiczą ziemię, równoważącą ciężar starego świata, która jak kwiat wodny wytryska pomiędzy niebieskim a morskim błękitem. Bunt ustał, ustała niewiara, załoga padła na kolana wielbiąc genialnego sternika, który do nowego dopłynął świata.

Obraz Thomasa: *Judasz błędzący w noc skazania na śmierć Chrystusa*, zupełnie nową zaleca się myślą. Potwór który wydał katom boskiego mistrza, zaprzędając zdradzie pocałunek przyjaciela, dręczony wyrzutami, krąży jak zwierz dziki po zamiejskich manowcach... Przy niepewnym blasku księżyca spostrzega leżący na ziemi krzyż, zgotowany na jutrzejszą mękę. Świder tkwi jeszcze w spojeniu, a robotnicy zmęczeni pracą, posnęli czekając świtu. Na ten widok twarz zbrodniarza mieni się strasznie, łamana piekielną katuszą, co mu szarpie wnętrzości. Jest wiele poezyi w tém zestawieniu zdrajcy z narzędziem męczarni.

Stara szkoła hiszpańska mniej rozpowszechniona po zagranicznych galeryach niż włoska i flamandzka, sama jedna jest rzeczywiście katolicka i oryginalna, bo sama jedna nie wzięła nic od starożytnych mistrzów. Velasquez, Murillo, Zurbaran na jej czele stojący, natchnienie czerpali w gorącej wierze i najpopularniejszych ówczesnych pojęciach swego kraju. Velasquez chociaż był dwa razy w Rzymie, pozostał wiernym malarzem czasów rycerskich. Murillo nigdy nie wyjeżdżał z Hiszpanii: geniusz jego nie znający obcych wzorów nosi wybitną cechę miejscową. Stary, zakapturzony Zurbaran, jak szkielet wychudły i ponury, nie mógł żyć gdzieindziej tylko w kraju inkwizycyi świętej, a chociaż Caravaglia za mistrza swego uważał, pozostał Hiszpanem aż do szpiku kości. Goya, ostatni z téj potężnej rasy artystów, w wysokim stopniu posiada jej siłę, śmiałość, energią i dziwactwo.

Od Goya naśladownictwo francuzkie bierze górę w Hiszpanii; dzisiaj zaś, gdyby nie napisy, nie możnaby rozróżnić obrazów hiszpańskich od francuzkich.

W wystawionych obrazach pana Madraza, jednego z najznakomitszych dzisiejszych malarzy hiszpańskich, nie ma śladu potęgi ani kolorytu Velasqueza, chociaż wzory jego miał przed oczyma: za to w elegancyi i lekkości pżeścignął Paryżanów.

Kobiety maluje znakomicie. Portret księżny Medina-Coeli nadzwyczaj wydał nam się powabny: ubrana w różową baskinę, obszywaną czarnymi frendzlami, śniada, czarno-oka, z uśmiechem na ustach purpurowych jak kwiat granatu: księżna ma zachwycający wyraz wdzięku i dumy swego rodu. Oprócz tego Madrazo wystawił portret królowej Izabelli, księżny d'Albe, księżny Sevilli i księżny Velches. Przy tych wielkich damach, jako próbkę kolorytu miejscowego, dał portret mamki księżny Asturyi, prawdziwy typ Hiszpanki w narodowym ubiorze, to jest: w zielonym aksamitnym gorsecie, wyszywanym szklaną sieczką i krótkiej różowej spodnicy z koronkowemi falbanami.

Było jeszcze kilka ładnych obrazów hiszpańskich, jakoto: *Ustęp ze zdobycia Grenady w 1491 r.* (Galofra); *Torrero i amatorowie przed rozpoczęciem walki byków* (Manuela), *i pasterze Wirgiliusza Murilla*, (młody malarz tego imienia). Krytykę reszty malarzów hiszpańskich przez wzgląd na wielkiego Murilla i Velasqueza odkładamy do przyszłej wystawy powszechniej.

Thiers wydał dwunasty tom *Historyi konsulatu i cesarstwa*.

— Wyszedł drugi tom *Notice Scientifique* Franciszka Arago: mówi o maszynach parowych, kolejach żelaznych, telegrafach, i tém podobnych rzeczach. Trzeci tom *Astronomii ludowej* jest już w druku.

— Wyszła także bardzo ozdobna książka: *Raj utracony* Milтона, w przekładzie Chateaubrianda. Jeden angielski i trzej francuzcy artyści podzielili pomiędzy siebie ilustracją tego religijnego poematu, którego treść ogromna rozłamana na dwanaście pieśni, obejmuje ziemię, niebo i piekło, doczesne i przyszłe życie. Anglik Flatters illustrował piekło; rysunki jego są bardzo znakomite, mianowicie téż: *Upadek anioła; Szatan przychodzący po radę do Belzebuba; Potępienicy pływający w Styxie; Narady ciemnych duchów z grzechem i śmiercią* i t. d. P.P. Richomme, Benouville i Melin, przedstawili wdzięczne obrazy raju ziemskiego, jakoto: *Przebudzenie Ewy, pośród czarownych ogrodów; pokusa i upadek Adama; przebaczenie niewieście która go zgubiła; wygnanie z raju* i t. d. Wszystkie te obrazy, a jest ich 25, są sztychowane na stali z precyzją

i wykończeniem godnym angielskiego rylca. Format książki *in-folio*. Zbytecznie mówić, że przekład Chateaubrianda najlepszy jest ze wszystkich tłumaczeń tego poematu; słowem, że to wydanie jest najpiękniejszą literacką i typograficzną kopią *raju utraconego* ze wszystkich, jakie dotąd w różnych pojawiły się językach.

— Niemniej piękna w swoim rodzaju, a niezawodnie rzadsza, jest świeżo wydana przez pana Didot mikroskopiczna edycja *Horacego*. Jestto prawdziwe cacko odpowiadające całkowicie swojej nazwie: *edition Diamant*. Wiadomość ta ucieszy zapewne niejednego z łacinników, pomiędzy którymi miłość *Horacego* jest powszechna, bo kto raz przytknął usta do tego pucharu poezji, którego każda kropla ma swoją wartość i upoił się jej wonią, już podobno nigdy nie wytrzeźwiał. Gdyby kto w męzkim towarzystwie zapytał każdego z kolei, jaką książkę zabrałby z sobą na pustynię, większość głosowałaby pewnie za biblią, ale po biblii, *Horacy* miałby niezawodnie najwięcej głosów.

Ze wszystkich poetów *Horacy* najprzyjaźniej przemawia do człowieka: z kąd pochodzi, że tak ściśle z nim pobratać się można. Wiersz jego trafny, rozumny, a ze wszech stron przystępny, możnaby przyrównać do owych pięknych klimatów, których niebo błękitne przelotna tylko burza mąci, gdzie chłód wieczorny rzeźwi po dziennym skwarze, a żyć tak łatwo jak z zielonego pagórka sunąć na dół po murawie, zamknąwszy oczy. Są wyżsi poeci od *Horacego*, ale miłszych nie ma. Nie ma on może skrzydeł, ale ma rękę co prowadzi i wspiera czytelnika, wskazuje mu najcienistsze drzewo, pod którym spocząć miło po znoju, a gdzieś daleko, daleko, grobowiec... kres wędrówki wielkich i małych, którego widok nie przeraża, bo życie nakreślone przez *Horacego* jest tak harmonijne, że grób nie zasępia, ale raczej zdobi krańce jego horyzontów. Sama nawet śmierć pięknieje przeglądając się w wyobraźni rzymskiego piewcy; nie jestto już ów fatalny szkielet, co podcina kosą życie człowieka, ale geniusz potężny i poważny, który łamie klepsydrę i zdmuchuje pochodnie.

Poezje *Horacego* są klejnotem, który nie można za pięknie oprawić. Dotąd ze wszystkich edycji najpiękniejsze było wydanie Elzevira z 1676 roku. Didot toż samo wydanie przedrukował ozdobnie, gromadząc w tym małym tomiku całą dzi-

siejszą umiejętność sztuki drukarskiej, wezwawszy na pomoc nawet fotografii. Format książki małej, druk wyraźny choć drobny, papier twardy i gładki jak kość słoniowa. Za tekstem idzie krok w krok komentarz odpowiadający na wszystkie pytania. Fotografowane drobne obrazki starożytne, rozpoczynają każdy rozdział; prócz tego są sztychowane widoki miejsc, gdzie wedle tradycyi przebywał poeta. Krótko mówiąc, nowe wydanie *Horacego* jest arcydziełem, którego przechwalić nie można.

— Przed rokiem autor Jocelyna zaczął wydawać w Paryżu pismo tygodniowe, nieznanéj przedtém taniosci, pod tytułem: *Journal pour Tous*. Przedpłata roczna kosztowała 8 fr. pojedynczy numer 2 sous. Teraz pojawiło się drugie tego rodzaju pismo o połowę tańsze. Nowy tygodnik pod napisem: *Les cinq Centimes illustrés* zawiera w każdym numerze pięć drzeworytów i 24 szpalty druku na pięknym papierze; kosztuje cztery franki rocznie, pojedynczy zaś numer jeden sous, to jest każdy drzeworyt po centimie, a druk w dodatku. Nie było dotąd we Francyi równie taniej publikacyi, tém więcéj, że obrazki są wcale niezłe, a tekst nieraz zajmujący.

— George Sand wydaje w feiletonie dziennika *la Presse* nowy romans pod napisem: *Evenor et Leucippe*; wyszło dopióro kilka rozdziałów.



# DON KARLOS.

POEMAT DRAMATYCZNY SZYLLERA.

TLUMACZENIE

*Waleryana Tomaszewicza.*

---

(Wyjątki).

## OD TLUMACZA.

Nie ma, zdaje się żadnego utworu w literaturze europejskiej, któryby oceniony wszechstronnie, nie okazał jakichś niedostatków, i pod każdym względem uznanym był za doskonały. Być może, nie ma jeszcze normalnych zasad estetyki; być może, każde piękno, jak krajobraz, coraz innem się wydaje dla każdego z widzów, choć obdarzonych artystycznym poglądem, lecz coraz z innego punktu patrzących. Któż teraz zaprzeczy zaszczytnego stanowiska w literaturze europejskiej Szekspirowi, który je zajął od tak dawna: a przecież i najbardziej oślepieni jego genialnością, czyż nie krzyczą na liczne wady jego utworów? Któż się prawdziwie nie zachwyci czytając Szyllera, a przecież któż mu oddał należną sprawiedliwość w dramatycznym zawodzie? Słusznie powiedział nasz poeta:

Co czuję, inni uczuć chcieliby daremnie!...

Cheąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie.

Przedstawiając niniejsze tłumaczenie, nie mogłem zataić myśli, jakie we mnie zrodziło dotychczasowe cenie utworów Szyllera. Wszyscy prawie zachwyceni Szekspirem, na polu



dramatycznej literatury widzą go jedynego, i unosząc się nad tém olbrzymiem zjawiskiem, w pracach późniejszych dramaturgów postrzegają tylko naśladownictwo i nie więcej. W ich rozumieniu i na innej drodze kolosalność Walter-Skotta nieprzebytą stanowi tamę. Zgadzam się, że Szyller był większym historykiem niż medykiem, większym dramaturgiem, niż historykiem, większym lirycznym niż dramaturgiem; lecz pomimo całej liryczności, rozlanej w jego tragediach, nietylko nie ustępuje autorowi Hamleta, lecz na równi z nim cenionym być winien. Naśladownictwa w niemieckim poecie nie widać wcale: każdy przyzna, że jedna jakaś prawda, np. prawda typicznego charakteru potężne wywiera wrażenie; nie dziw więc, że stając się przedmiotem sztuki dla wielu, swem echem przez kilka genialnych ust się odzywa. W utworach naszego Adama niekiedy się Bajronizm niby przejawia, a któż go o naśladownictwo posądzi? Któżby w Szekspirze śmiał mdłe ślady Sofoklesa upatrywać? A jednak, z jakimże uwłaczaniem talentowi Szyllera, jego tragedye porównywają z tworam i angielskiego poety, jak te wyżej cenią? Mnie się zdaje, że o ile Szekspir jest wielkim znawcą ludzkiego serca, o ile jest głębokim w zazieraniu w tajniki duszy ludzkiej, trafnym w jednoczeniu z sobą najsprzeczniejszych kontrastów potocznego życia, by rzucić jakąś myśl wielką, co się już *Szekspiryzmem* zowie; o tyle Szyller jest wielkim zgadywaczem myśli niektórych wybrańszych istot, podsluchiawaczem utajonych uczuć, zuchwałym sędzią społecznych błędów, tęskniącym wiecznie ku lepszej przyszłości na ziemi, wykazującym jakimi mogą i powinni być ludzie, lecz nie chcą, i to w jak uroczej, w jak idealnej formie! O! jak on umie wznieść do ideału poszczególne cnoty, jak umie odlać w słowach całą potęgę passyj, malować rażącemi nikczemne postęпки, osłonięte kłamaną prawością! A zarzucana mu niekiedy przesada i zaniedbanie przyzwoitości w wysłowieniu się, jest tylko dźwiękiem zbyt wysoko nastrojonej duszy, bo tym rażącym niby dźwiękiem silniejsze czucie chciało się ozwać. O! trzeba się przejąć całym wstrętem do błędów dzisiejszego socjalnego życia, by mu oddać pełną sprawiedliwość, by go uniewinnić w *die Rauber*, w *die Verschwörung des Fiesko*, w *Cabale und Liebe*.

Powszechném zdaniem przyznają pierwszeństwo z tragedji Szyllera *Dziewicy Orleańskiej*; nasz ucichły dziś krytyk

i estetyk M. Grabowski najwyżej ceni *Wilhelma Tella*, gdzie autor wzgardził wszelkiemi wzorami, gdzie bohaterem, myślą, życiem całej tragedyi jest Szwajcarya, gdzie »jak w historii Millera wionie powietrze gór Alpejskich«. Pojedyncze zdania przenoszą nad inne twory to *Maryą Stuart*, to trylogium *Wallenszteina*; mnie się jednak zdaje, że wieńcem scenicznych prac Szyllera jest *Don Karlos*. Nie mówię, aby temu dramatowi nic już zarzucić nie było można; owszem, zbyteczna niekiedy rozwlekłość, wodnistość scen niektórych, wikłanie się intryg niezbyt dobrze obmyślane, na pozór nie nadają mu prawa do pierwszeństwa; lecz mistrzowskie oddanie charakterów, te kilka cudnie pięknie narysowanych scenicznych sytuacji, te wzniosłe obrazy Karlosa i Elżbiety, ten nareszcie ideał, jaki tylko w duszy Szyllera mógł się zrodzić, uosobiony w Markizie Pozie: aż nadto wynagradzając wady, winny w sprawiedliwej krytyce wyższe miejsce téj tragedyi naznaczyć (1). Niepotrzeba tu żadnych komentarzów i objaśnień, bo co się prawdziwie z duszy leje, to dusze innych łatwo pojmują. Szekspira tragedye budzą zdrémione myśli; Szyllera sercem miotają. Tamte zawładną umysłem; te w duszy czytelnika lub widza na długo wryją swe sceny.

(1) Ś. p. Kazimierz Bujnicki zasłużony zkadinał nasz pisarz prozą, lecz niefortunny tłumacz, w artykule swym: *O moralności dramatu Szyllera Don-Karlos*, umieszczonym w piśmie p. Ziemięckiej *Pielgrzym* za r. 1841, dziwne nader zdanie wypowiedział o tym utworze. Przypisując mu znaczenie wysokiej chrześcijańskiej moralności, mniemał, że Markiz Poza bynajmniej nie był ideałem Szyllera, lecz wyobrażał sobą całą nedorzecznoscę egzaltowanych marzeń o postępie ludzkości, które dla zbudowania wszystkich skarciły się na nim przykładnie „chrześcijańskim rygoryzmem” króla Filipa i W. inkwizytora. A przecież sam Markiz Poza powiada do króla:

. . . . . wszystkie me życzenia  
 Nie są strasznemi. . . . .  
 Jeszcze nie dojrzał w moich ideałach  
 Złoty wiek ludów. Jam współobywatel  
 Tych, co żyć mają jeszcze kiedyś—później:  
 Czyliż ten obraz może ciebie trwożyć i t. d.

Przytém rojenia niby szalone Pozy urzeczywistniają się już, chociaż powoli; mówił on bowiem:

. . . . . Łagodniejsze  
 Nastąpią wieki po Filipa czasach,

Co do tłumaczenia teraz. Przekonano się przecież, że obowiązkiem jest tłumacza z całą dosłownością myśli, z całym oddaniem wszystkich zalet i nawet wad oryginału, przedstawić go w rodzinnym języku takim, jakim go autor w swoim przedstawił. Tłumaczenie powinno być tak wierne, jak daguerotypem odbity wizerunek. Pora podrzyżeń, naśladowań, przekrecań podług swego widzimisię, co zwano tłumaczeniami, już przeszła. Lecz, im bliżej trzymamy się oryginału, tém więcej trudności w przekładaniu. Dosłowność myśli nie dozwala jakąś piękność, nie dającą się bez straty przelać na inny język, zastąpić nową pięknością, a język często się opiera dosłowności myśli. Wielką jest zasługa tłumacza, gdy swemi twórczemi myślami zastępuje i bogaci oryginał, gdy jego tłumaczenie jest jakby tą samą temą, a tylko z innéj nuty, z innego tonu przewaryowaną. Takimi są wszystkie przekłady p. Odyńca, *Dziewica Orleańska* na ruski p. Żukowskiego, *Undina* p. tegoż. Lecz nieoceniony jest trud tłumacza, gdy przesiąknięty się oryginałem, tak go wypowieć w swym języku, jakby sam autor nie mógł wypowiedzieć inaczej; gdy przekład, przy zachowaniu całego życia, całej siły pierwotworu, tak mu jest razem wiernym i równym, jak trafnem jest i podobném popiersie gipsowe, gdy formę na nie ulepiono dotykalnie na rysach osoby, by każdą naturalną wypukłość i wklęsłość zachować. Takimi są prace D. Minasowicza, mianowicie przekład *Precyozy*, *Kain* z Bajrona, p. J. Paszkowskiego, i nareszcie Szekspir p. Hołowińskiego, gdyby w tym ostatnim niestosowność oddawania miarami pol-

Lepszą przywiodą mądrość. Władze królów  
Z szczęściem narodów zgodniej się zespolą,  
Rządy przestaną lać krew swoich dzieci i t. d.

Że Szyller namiętnie sympatyzował ze swą kreacją, Markizem Pozą, można na to znaleźć liczne dowody w jego listach estetycznych, w literackiej korespondencji z Getem i t. d. Przed tym zimnym, analitycznym gieniuszem, zeznał jednego razu, że *Zbójcy* były grzechem jego młodości; bo téż przy najszlachetniejszej dążności tego dramatu, trafiają się tam frazy i opowiadania zbyt już nieogłędne. Za niniejszy zaś utwór żarliwie obstawiał, lubił rozpisywać się o nim szeroko, nie wyrzekął się wypowiedzianych w nim uczuć i myśli, bołał kiedy go okrawano dla sceny, a osobistości: Pozy, Elżbiety, Karlosa, jako pokrewne pięknej duszy poety, były mu nader drogiemi.

skiem i angielskiego wiersza, nie stanowiła wielkiej różnicy od oryginału, co do poetycznej wartości.

Staralem się więc o dosłowność myśli, i jeśli się zdarzą małe odstępstwa, czytelnik porównawszy je z oryginałem, łatwo ich znajdzie przyczynę (1).

Użyty przezemnie rodzaj wiersza, każe mi o tém kilka słów powiedzieć.

Język polski, dziwnym wpływem różnej obczyzny, wykluwając się ze słowiańskiego, zatracił zarazem swą słowiańską śpiewność i stał się *syllabicznym z tonicznego*, a może i *metrycznego* języka. Konieczność przedłużania w wyrazach przedostatniej zgłoski, niezdołnym go czyni do oddania wszystkich form miarowości wierszy starożytnych. W rymach zatem szukał powierzchownej szaty dla swój poezyi, rymowanemi tylko wierszami, jak francuzki, mógł przekładać świetne hexametry Homera. Lecz o ile, z nowożytnych języków, niemiecki i ruski wyższemi są od innych, że przy bogactwie rymów, posiadają sposobną giętkość do wszelkich znanych miar wierszowych; o tyle polski wyższym jest np. od francuzkiego, że może niekiedy układem wyrazów niektóre z nich sztucznie naśladować. Najstosowniejszą miarą polskich wierszy są 4ro stopowe trocheje, tak szczęśliwie używane w dumkach Bohdana Zaleskiego, w poezjach Olizarowskiego, w Precyozie Minasowicza, u Winc. Pola, gdy jeszcze upiękzone krzyżującemi się rymami. Przykład, o ile znam, jedyny dość trafnego użycia trochejów w długich wierszach z rymami, mamy na wyjątku z *Undiny*, tłumaczenia Romana, umieszczonym w *Rimembranza*. Bez rymów nawet niezłe w naszym języku 4ro stopowe trocheje się wydają, jak to można widzieć na kilku scenach z *Cyda Rodryga* w *Dzienniku domowym Poznańskim* z r. 1842. Mimowolne mieszanie się daktyłów i amfibrachiów z chorejami, lub spondejami, często się daje postrzegać w naszych lirycznych poezjach, np. *Śpiewające Jezioro*, *Rapsod*, Bohd. Zaleskiego.

(1) Dziewicza wstydlivość, że tak powiem, naszej literatury, nie pozwala czasem dosłownie tłumaczyć niektórych dosadniejszych miejsc Szyllera, np. owego wyrażenia się księcia Alby (w scenie 5, aktu II), po którym Karlos się odzywa:

O, na mój honor! słusznie: w krótkich słowach  
Wszystko zawarto, co zasługi duma  
Może postawić przeciw dumie szczęścia i t. d.

W wielu miejscach ballad naszych przejawiają się te miary mimochętnie. Chcieć zaś jakąś starożytną formą, jakąś miarą np. alcejską, saficką coś napisać po polsku, byłoby to niedorzecznym studjowaniem nad układem wyrazów, szukaniem mozolnym niewłaściwej językowi harmonii. Próby pentametrów mamy w *Witoloraudzie* p. Kraszewskiego. Lecz niedostatek u nas czystych spondejów, chyba tworząc je z dwóch jednozgłoskowych wyrazów, co nigdy nie jest dobrem, a ztąd ten niedostatek różnaitości daktylów z chorejami i spondejami, która ze ścisłym zachowaniem cezury stanowi całą piękność hexametrów: robi sztuczne naśladowanie tej budowy wiersza u nas o wiele niższem od hexametrów Homera, Klopsztoka i Gniedicza (1).

(1) Bogatszym i rozmaitszym okazał się ten rodzaj wiersza (hexametr) w probach innych, np.

(*Początek Odyssei Homera*).

Wymień mi męża, o muzo, chytrego, który zburzywszy  
 Świętą Troję, po tylekroć bładzić po świecie znaglony,  
 Widział i ludzkie mieszkania i obyczaje rozliczne;  
 Wiele od morskich bałwanów poniósł bolesnych utrapień,  
 Pragnąc i siebie ocalić, i ziomeków wrócić do domu.  
 Ale daremne zabiegi: ziomeków swych nie mógł ocalić,  
 Zgubę i śmierć przez własną ściągęli zbrodnię na siebie.  
 Przygotowali niebaczni ucztę z trzód Hiperyona,  
 Który ziemię oświeca: ztąd Bóg ich powrotu pozbawił.

Alb. Litt.

(*Z Messyady Klopsztoka pieśni 7*).

. . . . . Ludu tłoczące się mnóstwo  
 Mimowoli ją w stronę uniosło i syna zakryło.  
 Z tłumu się przecież wyrwała—staje—spogląda dokoła,  
 Szuka oczyma, daremnie: z uczniów już nie ma żadnego.  
 Płaszczem więc lica zakrywwszy, łzami gorzkimi plakała.  
 Ledwo po chwili wzrok swój podnosząc, zdziwiona się widzi  
 Wspartą o filar jakiegoś świetnego Rzymian pałacu.  
 Może tu ludzie mieszkają, pomyśli, może w tym gmachu,  
 Gnieździe rozkoszy i zbytku, matka się jaka znajduje,  
 Co macierzyńską miłość mogłaby poczuć w swém łonie.  
 O! jeśli prawdę o tobie tyle mi matek mówiło,  
 Porcyo! żeś będąc Rzymianką, serce litośne posiadasz:  
 O aniołowie! coście nad małym moim dziećciem  
 Wzniosłe śpiewali hymny, zrządźcie, by prawdą to było! ..  
 I ucieszona tą myślą, przez marmurowe galerye  
 W sale przepyszne Marya chwiejącym krokiem pospiesza.

Alex. Eisenblätter.

Jambami niepodobna pisać po polsku. Tylko język niemiecki, gdzie tyle jednozgłoskowych przedimków, przyrostków, przyimków, spójników, które zawsze poprzedzają długie zgłoski, najwięcej się skłania do jambów. Dziwnie piękne są 4ro-stopowe jamby w niemieckiej poezji, tak często używane kiedyś przez Klejsta, że się *Jambische oder Kleists-Verse* nazwały. Język także ruski, w którym przy mnogości jednozgłoskowych wyrazów, w wielozgłoskowych iloczias pada niekiedy na ostatnią zgłoskę, może szczęśliwie władać jambami, jak to poezye Puszkina i innych pokazują.

Lecz jakkolwiek nasza mowa pod względem metryczności tak ubogą się wydaje, nie żalmy się na nią: aż nadto ona jest bogatą do odlania wszystkich uczuć, wszystkich pomysłów, do obleczenia w słowo najszczytniejszych natchnień poety. Znane formy nie są koniecznym warunkiem, cechą poezji. Często nawet rymy, te jakby brzęczące dzwonki, ostrzegające co chwila, że to są wiersze, nie mogą dostatecznie przekonać o bytności poezji w tych wierszach. Opowiadania Michała Czajkowskiego są prawdziwą poezyą, niż tyle natytułowanych tém godłem rymowych i nierymowych wierszydeł. Starożytni daleko skromniejszymi byli od nas: oni swe wierszowane prace zwali tylko prostém imieniem *carmina*. Niechby przynajmniej i dziś zamiast *poezyi*, *poematów*, zwano swe twory jak inaczéj, ale za to niechby w nich było więcej wartości wewnętrznej, więcej pomysłów, natchnienia i więcej poezji pod jakimkolwiek kształtem.

Tłumaczenie, nie będąc wcale literalnym przekładem (mot à mot) nie powinno być również i naśladowaniem. Ono musi być wierném co do myśli, wierném co do formy, bo forma jest jakby pewnym tonem w muzyce, jakby światłocieniem w malowidle. Lecz gdy dla dwóch różnych języków jedna i taż sama forma nie jest wspólną: to obowiązkiem tłumacza, formę jednego oddać formą najwłaściwszą drugiemu językowi, najparalelniejszą zarazem tamtéj. Dla dyalogu najstosowniejszą jest proza; w scenicznych więc utworach, gdzie się powinno mówić zupełnie mową potoczną żyjących ludzi, lub tych, co żyli kiedyś, wierszowanie nie w miejscu. Lecz jeśli pozwolone w dramatycznych tworach monologi, liryczne tyrady i inne odstępstwa od zwykłego wysłowiania się: to nie można winić pisarza, jeśli całe swe sceniczne dzieło w szatę poetyczną oblecze. To i tłuma-

czenie tegoż dzieła nie w inną zjawić się musi. 13to-zgłoskowe rymowe wiersze niezbyt dobrze u nas w dyalogu się wydają. Deklamacya ich staje się mimowolnie patetyczną, wymuszoną. Tylko francuzkie *aleksandryny* wykwintnych tragedyi Woltera, Kornela, Rasya, najstosowniej tym rodzajem podłużnych wierszy się przekładają. Tylko w komedjach rymowanych, jak Zablockiego, Fredra, Stanisł. Bogusławskiego, gdzie śmieszność i przesada w formie się nawet wyraża, mogą one uchodzić. Już lepiej jest w dramie i tragedyi użyć 11-zgłoskowych z rymami, nie wciąż po sobie następującemi, lub przynajmniej niezbyt często dźwięczącemi, jak użyto w tłumaczeniach *Wallensztejna* p. Kamińskiego, *Dziewicy Orleańskiej* p. Odyńca, *die Braut von Messina* p. Bielowskiego. Wszakże nie jest to bynajmniej odpowiednie oddanie potocznych 5-miarowych jambów Szyllera, tak giętkich, tak właściwych dla dyalogu, któremi pisana większa część nowszych dramatów niemieckich, któremi w ruskim tak dobrze się piszą niektóre fantazyje dramatyczne Nestora Kukolnika.

Niepodobnem jest w przekładzie zachowanie całego piętna oryginału. Nie ubliżając wcale znakomitemu mężowi, z tylu prac znanemu w naszej literaturze, zasługującemu na wdzięczność za spolszczenie Szekspira, sądzę, że użyte przez niego rozmaitego rodzaju wiersze, nie są odpowiednie w powadze oryginałowi. np. w *Hamlecie*, w *Romeo i Julia*, jakkolwiek wiersz płynny, gładki, lecz niezbyt skoczny dla tragedyi. W *śnie w wigilią św. Jana*, oprócz śpiewów, wiersz nieco mniej skoczny i stosowny do przedmiotu. W *Makbecie* dobrym jest dla śpiewów czarownic 8 zgłoskowy z chorejów, lecz dziwnym a nawet śmiesznym tam się wydaje 11-zgłoskowy z chorejów z długą na końcu. Podobnież i w królu *Lirze* (1).

(1) Dla udowodnienia naszego sądu przywodzimy wyjątki:

**Hamlet.**

Pani, w tobie?

**Królowa.**

Raczej w tobie, że się wpatrujesz  
Z taką pilnością w próżne to miejsce,  
I że do czezego mówisz powietrza.  
Dusza z twych oczu dziko wygląda,  
Jako na trwożę, śpiący żołnierze.

Jeżeli więc i „światny tłumacz Szekspira“ p. Hołowiński nie trafił na taki powierzchowny krój swego przekładu, coby będąc najodpowiedniejszy oryginałowi, był razem najstosowniejszym do przedmiotu i do języka na jaki się przekłada: nie bądźmy zbyt srodzy w sądzeniu innych tłumaczeń.

Tak i leżący włos twój, jak żywy,  
Budzi się, wstaje. Synu kochany,  
Rzuć na pożary twój wybrazni  
Lód i ciepliwość: kogóż to widzisz?  
*Hamlet*, akt III, se. 4.

**Julia.**

Dobrze, z twój rady dziwnie się cieszę.  
Idźże do matki, odemnie powiedz,  
Że do Wawrzyńca celi pospieszę,  
Aby odprawić u niego spowiedź,  
Że się z obrazy ojca rozgrzeszę.  
*Rom. i Julia* akt III, se. 5.

Jeżeli można anatomizować pracę p. Hołowińskiego i do-  
chodzić miar, jakich tu zapewne mimowoli się trzymał, sądzę, że  
wzorem skandowania było: — ° ° | — ° || — ° ° | — °

**Malcolm.**

Znam ja pagórek, gdzie kwitnie tymianek,  
Rośnie z drzemiącym fiołkiem sen-kwiecie,  
Kędy powoju, jak pawilon, wianek  
Z różą, z jaśminem, sklep zielony plecie.  
*Sen w wigilią św. Jana* akt II se. 2.

A oweż sławne monologi lady Makbet i króla Lira do bu-  
rzy i wiatrów, jak wyglądają po polsku w obec Szekspirowskiej  
poëzyi:

. . . . Nawet ochryzpl kruk  
Krażąc straszny wchód, królu, w nasze progi  
Chodźcie duchy wlać w moją myśl mord srogi,  
Rozeplćijcie mię, precz pleć białogłowy,  
Napełnijcie mię od stóp aż do głowy  
Straszném okrucieństwem! Zgęście moją krew  
I zgryzoty wszelkie odpędzajcie precz,  
Bo natury z żalem czule nawiedziny  
Krwawy cel zachwieją, albo cofną wstecz!  
Chodźcie w pierś kobiety, zróbćcie z mleka żółć,  
Chodźcie duchy złe, posługacze mordu,  
Kędykolwiek wy, w niewidzialnej mocy  
Chcecie robić złe! i t. d.

*Makbet* akt I se. 5.



Podług mego zdania, najwłaściwszym wierszem w scenicznych poetycznych tworach, najzgodniejszym z naszą mową, najpodobniejszym jambom niemieckim jest wiersz użyty przez p. Korzeniowskiego w *Mnichu*, *Anieli*, *Bianko Orsino* i innych. Zdaje się, że ten pisarz odgadł nareszcie wyszukiwany daremnie dotąd przez drugich wzór miarowych polskich wierszy, i ściśle pilnując się tego wzoru, nie przestąpił go nigdzie w swych wierszowanych dramatach.

Wichrze wściekle dmij! aż ci pękną pyski;  
 Lejcie wodospady i wy nawalnice, i t. d.  
 Wy siarczane ognie, szybkie jak myśl błyski,  
 Dębołomcy gromu gońce i zwiastuny,  
 Włos mój biały smalcie! A straszne pioruny  
 W środek sam krągłego świata niech ugodzą,  
 Niech kształt przyrodzenia zniszczą i zarody,  
 Które w skład człowieka niewdzięcznego wchodzą.  
 Wyj, co siła! Płyńcie ognia z deszczem zdroje!  
 Deszcz, wiatr, ogień i grom nie są córki moje!  
 Was żywiły nie śmiem skarżyć o niewdzięczność:  
 Kraju wam nie dałem, dziećmi was nie zwałem,  
 Ni powinnoś macie słuchać mojej woli;  
 Więc wyrzycie na mnie straszną rozkosz swoją:  
 Oto wasz niewolnik opuszczony stoję,  
 Starzec pogardzony, chory i w niedoli. i t. d.

*Król Lira*, akt III sc. 2.

Widzimy z tych przykładów, że pozorne zachowanie zupełnej niby formy oryginału, niekiedy w tłumaczeniu dziwny jakiś koloryt nadaje myślom antora. Bo czyż na nas takie robi wrażenie ten monolog Lira, jak na Anglików owe:

Blow wind... rage, blow!  
 You cataracts, and hurricanoes, spout  
 Till you have drench'd our steeples, drown'd the cocks!  
 You sulphurous and thought-executing fires,  
 Vaunt-couriers to oak-cleaving thunderbolts,  
 Singe my white head! And thou, all-shaking thunder,  
 Strike flat the thick rotundity o'the world!  
 Crack nature's moulds, all germens spill at once,  
 That make ingrateful man!  
 I tax not you, you elements, with unkindness,  
 I never gave you knigdom, call'd you children,  
 . . . . . Then let fall  
 Your horrible pleasure; here I stand, your slave,  
 A poor, infirm, weak and despis'd old man.

Skandowanie jest takie:

— ◦ — ◦ | — ◦ || — ◦ || — ◦ | — ◦. Weźmy przykłady:

Przeszła już młodość, z nią swoboda moja.

Przymus jest królem dojrzałego wieku.

Powinność zimna z kajdanami w rękę

Wita wędrowca, co z krainy marzeń

Na ziemię schodzi. Znam jej potężną.

*Aniela*, akt I sc. I.

Przed drzwiami tylu świątyn jużem błagał

Nieba o łaskę, świat o przebaczenie.

Okryty twardym włosem, leżąc w prochu,

Przynajmniej płakać mogłem i płakałem.

Dziś zamiast ulgi, łzy mi odebrano!

Dawniej widziałem litość. Nieraz nędzarz,

Który wyciągał rękę pod kościołem,

Nie pomny własnej doli, ze łzą w oku

Na mój stan patrzył. Dziś postrzegam tylko, i t. d.

*Mnich*, akt II sc. 3.

Przy całej powadze, miara ta zachowuje łatwość przerywanego dyalogu i sposobność wyrażenia krótkich, nie peryodowanych myśli. Nigdy mi się nie zdarzyło czytać po polsku piękniejszych nierymowanych wierszy. Tłumaczenia z Ossyana przez Książną, we względzie miarowej budowy, mają swoją wartość, lecz częste tam użycie daktyłów rodzi skoczność i nieużyteczność tej miary do dramatycznego dyalogu. Wszystkie próby innych, np. wiersz nierymowy I. Krzeczковского w przekładzie z Silvio Pellico *Franceska di Rimini*, P. Maryana w *Torquato Tasso*, Johna of Dycalp'a we fragmencie z *Krzyštofa Arciszewskiego*, i t. p. nie mogą iść w porównanie z wierszem P. Korzeniowskiego. Nasz genialny dramaturg i powieściopisarz pojął muzykalność polskiej mowy i świetnie pokazał w swych twórcach całą piękność nierymowych polskich wierszy, jedyny, śmiem powiedzieć, wzór ich miarowości w dramatach i tragediach. Jednym słowem, raz jeszcze powtarzam, jeśli chcemy w scenicznych utworach rzucić zbyt brzęczące rymy, lub oddać jamby niemieckie, wreszcie jakiegobądź języka wiersz poważny, nierymowy, to iść należy nie inną drogą, jak wskazaną nam przez autora *Mnicha i Anieli*. Dziwna, że ta miara nie była dotąd ani odgadnioną przed p. Korzeniowskim, ani naśladowaną po nim; a przecież najwłaściwsza w naszym polskim dramacie, bo aż w Janie Kochanowskim przejawiającą się po-

strzegamy (1). Dziwna, że obliczenie 11 zgłosek, przestanek po 6 lub 5 (jak to widać np. na wyjątkach z przekładu Don Karłosa przez Kaz. Bujnickiego, który dodał, że miarą oryginału tłumaczy, choć po polsku tego dokazać, to jest jambami coś napisać nie można), dotąd są jedynymi zasadami nierymowanych polskich wierszy. Możnaż je żądać zwać miarowemi? Cóż mówić o samej poezji, jeśli w tém tylko pojmują jęj zewnętrzzną formę przejawiania się?

W przekładzie Don Karłosa starałem się naśladować wiersz P. Korzeniowskiego. I gdzie musiałem odstąpić, tam snać dosłowność myśli mię kępowała. Zboczenia moje zmieniają wzór obrany na taką miarę  $\bar{\circ} \circ \bar{\circ} | - \circ \circ | - \circ \circ | - \circ$ , na przykład:

Widziałem kiedyś, jak w Toledy murach  
*Poddańcze hołdy Don Karlos odbierał,*  
*Jak się gromadnie cisnęli książęta,*  
 By jego groźną ucałować rękę i t. p.

Następne imiona własne z tego dramatu tak się powinny wymawiać:

$\bar{\circ} \circ \bar{\circ} \quad \bar{\circ} \circ \bar{\circ} \quad \circ \bar{\circ} \bar{\circ}$   
 Eboli, Mondekar, Aranchuec.

Niektóre sceny z Don Karłosa były tłumaczone oddzielnie. Dwie początkowe przez A. M. pomieszczone w *Zniczu*, nowo-

(1) (*Z Odprawy posłów*).

**Alexander.**

Wymówki nie masz, gdy przyjaciel prosi.

**Antenor.**

Przyzwałam, kiedy o rzecz słuszną prosi.

**Alexander.**

Obcemu więcej życzyć niż swojemu,  
 Coś niedaleko zda się od zazdrości.

**Antenor.**

Przyjacielowi więcej niżli prawdzie  
 Chcieć służyć, zda się przeciw przystojności.

**Alexander.**

Ręka umywa rękę, noga nogę  
 Wspiera. Przyjaciel post przyjacielowi.

**Antenor.**

Wielbić przyjaciół zwie się przystojnością.  
 Rozkazać służyć, nie jest przyjacielska i t. d.

*Jan Kochan.*

roczniku na rok 1835 i 1836. Też same jako wyjątek z niemiejszego przekładu, drukowały się w piśmie zbiorowém *Lud i czas*. Kilka przez Jul. Paszkowskiego w *Bibliotece Warszawskiej*, kilka przez Kazimierza Bujnickiego w wydawaném przez niego piśmie *Rubonie*. Cały zaś dramat przetłumaczył, lecz nie publikował jeden ze zmarłych hr. Borkowskich. Znakomity nasz filozof Br. Trentowski także podobno spolszczał Don Karlosa, jak to widać z przemowy do jego przekładu *Oblubienicy Messyńskiej*. Nie było to zapewne tłumaczenie, jak raczej przekształcenie na polski, według własnego jego widzenia rzeczy, Szyllerowskiej tragedyi. Bo tak się stało z *die Braut von Messina*. Jednocześnie z naszą pracą p. Augustyn Bielowski we Lwowie, w rzędzie wielu innych dramatów Szyllera, ogłosił i przekład Don Karlosa. Nie śmiemy naszej pracy porównywać z dziełami tyle zasłużonego u nas i tak wielostronnego męża. *Pieśń o pulku Igora* (ze staro-słowiańskiego), wykazała dowodnie ogromny talent p. Bielowskiego i jako tłumacza. On, Minasowicz, Lucyan Siemieński i A. Odyniec nie umiają przekładać inaczéj, jak doskonale. Postrzegamy jednak w Don-Karlosie p. Bielowskiego, że chęć przełożenia rymami téj tragedyi, o ile ozdobiła ją cudnym liryzmem, o tyle osłabiła jedrność dobitniejszych myśli Szyllera.

Zostawując sąd o méj pracy światłym czytelnikom, powtórzę na końcu z p. Hołowińskim zdanie A. W. Szlegla, że: „tłumaczenie jest wprawdzie dobrowolna, ale niemniej ciężka niewola, w krwawym pocie gorzki kawałek chleba, niewdzięczne rzemiosło.“

Wilno.

## SCENA II.

KARLOS, MARKIZ POZA.

**Karlos.**

Co widzę? któż to idzie? Wielki Boże!  
Mój Roderyk!

**Poza.**

Mój Karlos!

**Karlos.**

Byćże może?  
Tys to w istocie? O! ja się nie mylę!

Cisnę cię do mej duszy, czuję twoje  
 Potężnie, silnie, ku mnie tak bijącą.  
 O! znowu wszystko dobrze! W tym uścisku  
 Chore me serce nagle się uzdrawia:  
 Jużem w objęciach mego Roderyka!

**Poza.**

Twe chore serce? znowu wszystko dobrze?  
 Cóż się znów dobrem ma w tej chwili stawać?  
 To mię zdumiewa.

**Karlos.**

I cóż cię z Bruxelli  
 Sprowadza znowu do nas niespodzianie?  
 Komuż mam dzięki składać za te chwile?  
 Komuż? O przebac boska Opatrzności  
 Za to bluźnierstwo, radością pijanemu!  
 Najdobrotliwsza! komuż, jak nie tobie?  
 Widziałaś, że był Karlos bez anioła:  
 Tyś go zesłała i ja pytam jeszcze!

**Poza.**

Przebac, mój książę, że na tak gwałtowne  
 Twe zachwycenie trwogą odpowiadam.  
 O! wcale nie tak Don-Filipa syna  
 Oczekiwałem. Jakiś niewyzwyczajny  
 Rumieniec blade tve policzki krasi,  
 A twoje usta drżą tak gorączkowie.  
 I cóż mam wnosić, książę? Nie jeste to  
 Ów z sercem lwim młodzieniec, do którego  
 Nie ujarzmiony naród mię posyła?  
 Bo nie jak Rodryk swego przyjaciela,  
 Nie jak Karlosa dziecka współtowarzysz,  
 Lecz jak ludzkości obrażonej poseł  
 Uściskam. Ciebieto prowincye Flandryi  
 Łzami niedoli na twój szyi płaczą  
 I uroczyście proszą o zbawienie.  
 Zaginie drogi kraj wasz, jeśli Alba,  
 Ów z fanatyzmu wylęgniony siepacz,  
 Zjawi się znowu śród Bruxelli murów,  
 Niosąc hiszpańskie prawa i okowy.  
 Na godnym wnuku Wielkiego Karola  
 Ostatnia leży kraju tych nadzieja.  
 Ona upadnie, jeśli dla ludzkości  
 Już jego wzniosłe serce bić przestało.

**Karlos.**

Ona upadnie!

**Poza.**

Od wasze to słyście?

**Karlos.**

Mówisz o czasach, które już minęły.  
I mnie się kiedyś Karlos jakiś marzył,  
Któremu ognie przebiegały lica,  
Na samą tylko wzmiankę o wolności;  
Lecz on już dawno, dawno pogrzebiony!  
Którego widzisz, nie jestto ów Karlos,  
Co się w Alkali czule z tobą żegnał,  
Co się tak chlubił w słodkiem upojeniu  
Że kiedyś twórcą złotych czasów stanie  
W swojej ojczyźnie. O! dziecinne były  
Owe pomysły.

**Poza.**

Co, marzenia tylko?

Miałoby, książę, to marzeniem zostać?

**Karlos.**

Dozwól mi płakać, dozwól na twém sercu  
Wrzęciami łzami płakać, o jedyny  
Mój przyjacielu! Nie mam już nikogo,  
Nikogo na téj wielkiej, ludnej ziemi.  
I jak daleko berło ojca sięga  
I jak daleko flagi nasze lecą:  
Nie znajdę miejsca, ni jednego miejsca,  
Gdziebym łzom wolniej płynąć śmiały dozwolić,  
Jak na twém łonie. O mój Roderyku!  
Na wszystko czego poza grobem, w niebie  
Kiedyś spódziewać razem się możemy,  
Ach nie odpychaj mnie, zaklinam!  
(*Markiz schyla się nad nim w niemém rozczuleniu*) Wyznaj,  
Żeś mię sierotę blisko tronu znalazł  
I ze współczuciem podjął. Nie wiem wcale  
Nazwiska ojca; wiem, żeś syn królewski.  
O! jeśli prawda, co mi serce mówi,  
Jeśli ty jeden wśród miliona ludzi  
Jesteś wybranym poznać mię, zrozumieć,  
I jeśli chciało twórcze przyrodzenie  
Rodryka kiedyś w Karlosie powtórzyć,  
I do harmonii dźwięcznej nasze dusze  
W poranku życia zgodnie nastroiło;  
Jeśli łza jedna, co mi ulgę niesie,  
Droższą jest tobie, niżli króla łaska....

**Poza.**

O droższą jak świat cały!

**Karlos.**

Tak głęboko

Upadłem teraz, stałem się tak biednym,  
 Że ci o naszych młodocianych latach  
 Przypomnieć muszę, że cię prosić muszę,  
 Już zapomniane długi na myśl przywieść,  
 Co jeszcze w sukniach majtka zaciągnąłeś,  
 Gdyśmy, natury dzikięj dwaj młodzieńce,  
 Razem wzrastali w lata tak bratersko.  
 O! nic mię wtedy mocniej nie bolało,  
 Jak to, że duch twój nazbyt mię zacięniał.  
 Powziąłem wreszcie śmiałe przedsięwzięcie  
 Pokochać cię bez granic: bo wytrwania  
 Już mi zabrakło, stać się tobie równym.  
 Zacząłem wówczas tysiącami pieczęt,  
 Wierną, braterską dręczyć cię miłością,  
 Za którą dumne serce twoje płaciło  
 Zimném sprzyjaniem. Często stał przy tobie,  
 A w oczach tego nie postrzegłeś nigdy!  
 Gorące, ciężkie krople łez wisały,  
 Kiedyś przyciskał z uczuciem do swych piersi  
 Wesole dzieci, wkoło nas skaczące.  
 Czemuż ich tylko—wykrzykałem z żalem—  
 Nie jestem równie miły twemu sercu?  
 Wtedy poważnie klękając przedemną:  
 Synowi króla—rzekłeś—to należy.

**Poza.**

O! dosyć, książę, tych dziecinnych przygód,  
 Co jeszcze dzisiaj wstydem mię rumienia.

**Karlos.**

Na tom u ciebie nigdy nie zasłużył.  
 Pogardzić, zranić mogłeś moje serce,  
 Lecz nie oddalić. Trzykroć odtrącałeś  
 Od siebie księcia, trzykroć wracał znowu  
 Jako proszący, błagać cię o miłość,  
 I miłość swoją gwałtem ci narzucić.  
 Traf przecie działał, czego Karlos nie mógł.  
 Raz się zdarzyło, w czasie naszych zabaw,  
 Że ktoś z grających w samą twarz, wolantem  
 Królowej czeskiej, ciotce méj uderzył.  
 Ona mniemając, że to czyn rozmyslny,  
 Ze łzami w oczach żali się królowi  
 I cała młodzież nasza pałacowa  
 Stanać musiała, by winnego odkryć.  
 Król poprzysięga, że czyn tak zuchwały,

Chociażby nawet na dziecięciu własném  
 Jak najsurowiej skarże. Wtém postrzegam  
 Ciebie ze drzeniem stojącego w dali.  
 Wychodzę naprzód, i królowi do nóg  
 Padając, wołam: ja to uczynilem!  
 Na twoim synie okaż twoję zemstę!

**Poza.**

Ach! pocóż mi to przypominasz, książę!

**Karlos.**

Spełniono ją w obliczu zgromadzonój  
 Z całego dworu służby, co litośnie  
 Dokoła stała. Jak na niewolniku,  
 Na twym Karlosie srodze ją spełniono.  
 Z bólu mi zęby tłukły się, zgrzytały,  
 Lecz nie płakałem. Moja krew króleska  
 Haniebnie ciekła z pod okrutnych razów:  
 Patrzałem na cię, ale nie płakałem.  
 Idziesz, ze łkaniem rzucasz mi się do nóg,  
 Mówiąc nieśmiało: tak jest, moja duma  
 Już pokonana. Ja odwdzięczę tobie  
 Gdy królem będziesz.

**Poza.**

*(wyciągając ku niemu rękę):*

Tak, odwdzięczę, książę!

Śluby dziecięcia, jako mąż ponawiam.  
 Odwdzięczę tobie, i godzina moja  
 Wybije może kiedyś.

**Karlos.**

Teraz, teraz,  
 Ach nie odwlekaj, teraz właśnie bije  
 Czas wzajemnego nadszedł uiszczenia:  
 Ja potrzebuję twój miłości. Straszna  
 Wrzy tajemnica w piersiach: ona musi  
 Wylać się w słowach. W białych twoich rysach  
 Wyrok mój śmierci chcę przeczytać. Słuchaj,  
 Dziw się, zdumiewaj, lecz nie odpowiadaj:—  
 Ja kocham moję matkę.

**Poza.**

O mój Boże!

**Karlos.**

O litość cię nie proszę! Powiedz raczej,  
 Że na tym całym wielkim kręgu świata  
 Żadna niedola mojej nie zrównywa.  
 Co masz powiedzić, już zgaduję wcześniej.



Syn kocha matkę. Skłonność tę występna  
 Prawa natury, obyczaje świata  
 I władza Rzymu srodze potępiają.  
 Straszliwie godzi to roszczenie serca  
 Na mego ojca prawa; ja to czuję,  
 A jednak kocham: droga ta prowadzi  
 W dzikie szaleństwo, lub na rusztowanie.  
 Kocham występnie, bez nadziei, celu  
 Z obawą śmierci, pod utratą życia:  
 Znam to i kocham....

**Poza.**

Więź królowa

O tych uczuciach?

**Karlos.**

Mógłżem ja kiedy  
 Z tém się jęj odkryć? Jest Filipa żoną,  
 Królową kraju, a ten kraj—Hiszpanią.  
 Przez zawiść króla tak strzeżony wszędzie  
 I otoczony ścisłą etykietą,  
 Mógłżem bez świadków do niej się przybliżyć?  
 Już ośm męczeńskich kończy się miesięcy,  
 Jak mię od wyższych nauk odwołano,  
 Jak osądzono codzien ją oglądać,  
 I oglądając, jak mogiła milczćć.  
 Ośm już miesięcy, jak ten zgubny płomień  
 Piers moję pali, jak po tysiąc razy  
 Straszne wyznanie drżało na mych ustach  
 I znów lękliwie w serce się cofało.  
 O Roderyku! tylko jedną chwilę  
 Tajemnej z nią rozmowy!....

**Poza.**

A twój ojciec?

**Karlos.**

Nieszczęsny! po cóż mi go przypominasz?  
 Mów mi o wszystkich okropnościach piekła,  
 Lecz mi o ojcu nie wspominaj.

**Poza.**

Jakto?

Ty nienawidzisz ojca?

**Karlos.**

O nie, nigdy!  
 Jednakże jakaś zgroza, jakiś przestach,  
 Niby zbrodniarza przed występnyim czynem  
 Mnie ogarniają na to straszne imie.

I cóżem winien, jeśli wychowanie  
 Zbyt niewolnicze już w mém młodém sercu  
 Wcześniej rozdarło pierwsze źdźbła miłości?  
 Sześć już lat miałem, kiedym po raz pierwszy  
 Zobaczył ojca, okrutnego króla,  
 Jakim go ciągle mnie wyobrażano.  
 Było to właśnie, kiedy w jednej chwili  
 Cztery wyroki śmierci podpisywał.  
 Odtąd go tylko widywałem wtedy,  
 Gdy mi ogłaszał karę za me błędy.  
 O Boże! czuję, jakim biedny! Dosyć,  
 Dosyć tych opowiadań.

**Poza.**

O, nie! książę,  
 Teraz się możesz odkryć. Przez wyrazy  
 Zmniejsza się ciężar, co uciska łono.

**Karlos.**

O! ja się często pasowałem z sobą,  
 I o północy, gdy me straże spały,  
 Często z łzami gorącymi w oczach  
 Padał przed obraz Nieskalanój Matki,  
 Błagając świętą o dziecięce serce;  
 Ale daremno. O mój Roderyku!  
 Rozwiąż mi losu dziwną tę zagadkę:  
 Dlaczego z ojców tylekroć tysięcy  
 Ten moim stał się ojcem, i dlaczego  
 Z tylu tysięcy lepszych niż ja synów,  
 Ten syn koniecznie jemu się nadarzył?  
 Nigdy natura w całym kręgu stworzeń  
 Nie mogła znaleźć dwóch sprzeczności większych,  
 Jak potrafiła dwa ostatnie krańce  
 W zwykłym rodzeństwie ludzi, mnie i jego,  
 W jedno tak święte skuć ogniwo razem!  
 Dziwne zrządzenie! Pocóż to się stało?  
 POCO dwaj ludzie tak od siebie różni,  
 W jedném życzeniu zgubnie się spotkali?  
 Tak dwa niebieskie nieprzyjazne ciała,  
 Co po orbitach przeciwległych lecąc  
 Przez całą wieczność raz się tylko zetkną:  
 Będą od siebie już uciekać zawsze,  
 Raz się straszliwie roztrąciwszy z sobą.

**Poza.**

Okropne mam przeczucia.

**Karlos.**

I ja również.

Jak furye piekła ciągle mnie ścigają  
 Potworne mary; duch mój opiekuńczy  
 Krwawych pomysłów zwalczyć nie jest w stanie.  
 Po labiryncie rozumowań pełza  
 Błędny rozsądek, aż się ujrzy nagle  
 Nad stromym brzegiem przepaścistej głębi.  
 O mój Rodryku! jeśli mogłem kiedy  
 W nim zapominać ojca; — przyjacielu,  
 Widzę, już martwy wzrok twój mię pojmuje.

**Poza** (*po niejakiem milczeniu*).

Czyliż mogę  
 Mego Karlosa jedną prośbą trudzić?  
 Przrzecz mi, proszę, że co zechcesz czynić,  
 Nic bez porady twego przyjaciela  
 Nie przedsięweźmiesz. Możeż mnie to przrzec?

**Karlos.**

O! wszystko, wszystko, czego twoja miłość  
 Po mnie wymaga. Rządź mną Roderyku!

**Poza.**

Mówią, że król chce dzisiaj w mieście stanąć.  
 Czas nazbyt krótki. Jeśli potajemnie  
 Mówić z królową żadasz, tylko stać się  
 W Aranchuec to może. Cichość miejsca,  
 I okolicy proste obyczaje  
 Sprzyjają temu.

**Karlos.**

I ja tak mniemałem,

Ale napróžno!

**Poza.**

Nie napróžno, książę.  
 Idę natychmiast stawić się królowej.  
 Jeśli w Hiszpanii jeszcze jest ta sama,  
 Jaką widziałem na Henryka dworze:  
 Znajdę otwartość. Niech nadzieję twoję  
 Zdołam wyczytać w jej nadobnym oku;  
 Już do rozmowy z tobą usposobię,  
 Niech tylko można damy jej oddalić.

**Karlos.**

Większa ich część mnie sprzyja; mianowicie  
 Markizę Mondekar umiałem zjednać,  
 Darząc jej syna, który paziem u mnie.

**Poza.**

Tém lepiej. Bądź więc niedaleko, książę,  
 Abyś za danym znakiem mógł się zjawić.

**Karios.**

O! dobrze, dobrze! Spiesz się, przyjacielu!

**Poza.**

I jednej chwili nie utracę darmo.

Tam się mój książę, zobaczymy znowu.

*(Rozchodzą się w przeciwne strony).*

*Dwór królowy w Aranchuec. Prosta wiejska okolica przetrzygnięta aleją, w końcu której widać dwór wiejski królowy.*

### SCENA III.

KRÓLOWA, KSIĘŻNA OLIWAREZ, KSIĘŻNA EBOLI  
I MARKIZA MONDEKAR.

*(Zbliżają się aleją).*

**Królowa** *(do markizy).*

Markizo, chcę cię bliżej mieć przy sobie.  
Nazbyt wesołe oczy mojej księżny  
Męczą mię cały ranek. Czy postrzegasz,  
Jak ledwo może ukryć swoją radość,  
Że się już ze wsią żegna.

**Eboli.**

Nie chcę przeczyć,  
Łaskawa pani, że z radością wielką  
Ujrzę znów luby Madryt.

**Mondekar.**

Czyż nie również  
Wasza Królewska Mość do miasta wraca?  
I czyż Aranchuec niechętnie rzuca?

**Królowa.**

O! niezbyt chętnie lubą okolicę.  
Jestem tu jak w mym świecie. To ustronie  
Wybrałam dawno za najmiłsze sobie.  
Tu mię pozdrowia sielskie przyrodzenie,  
Lat mych dziecięcych droga przyjaciółka;  
Tu znowu igram, jak igrałam kiedyś,  
I mojej Francji wionie tu powietrze.  
Nie bierzcie mi to za złe. Do ojczyzny  
Pomimowoli tęsknią wszystkich serca.

**Eboli.**

Lecz jak samotnie, jakże martwo tutaj!

Zda się Trapistów klasztor.

**Królowa.**

O! przeciwnie:  
Madryt mi tylko martwym się wydaje.  
Cóż o tém sądzi moja Oliwarez?

**Oliwarez.**

Mojém jest zdaniem, Najjaśniejsza Pani,  
Ze jak oddawna są w Hiszpanii króle,  
Przyjęto zwyczaj, jeden miesiąc tutaj,  
Niektóre w Prado, a zaś zimę całą  
W stolicy pędzić.

**Królowa.**

Tak jest—wiesz to dobrze.  
Z tobą nazawszem zaniechała sporów.

**Mondekar.**

I jakże miło z bliźnim być w Madrycie!  
Wkrótce urządzą piękne plaza-major  
Na walkę byków, i już Auto-da-Fe  
Nam przyrzeczono.

**Królowa.**

Już nam przyrzeczono!  
Czyż mi łagodna Mondekar to mówi?

**Mondekar.**

Dlaczegoż, pani? Tam kacerzy wiele,  
Których publicznie palą.

**Królowa.**

Mnie się zdaje,  
Że moja Eboli inaczéj mniema?

**Eboli.**

Proszę nie sądzić, Najjaśniejsza Pani,  
Żem od markizy gorszą chrześcianką.

**Królowa.**

Przebacz mi księżno, wiecznie zapominam  
Gdzie się znajduję. Mówmy o czém inném.  
O wsi rozmowa zdaje się toczyła?  
Dla mnie ten miesiąc dziwnie szybko przebiegł.  
Obiecywałam wiele przyjemności  
Z tego pobytu, wiele sobie pociech,  
I nie znalazłam, com obiecywała.  
Czyliżto z każdą tak nadzieją bywa?  
Nie mogę znaleźć jednego życzenia,  
Coby mnie potem srodze nie zawiodło.

**Oliwarez.**

A, co do życzeń, chciéj powiedzieć, księżno,  
Czy hrabia Gomez jeszcze ma nadzieję?  
Może już wkrótce jego narzeczoną  
Witać będziemy?

**Królowa.**

Właśnie w samą porę  
Wspomniałaś o tém.

*(do księżny Eboli).*

Bardzo mię proszono  
Przemówić za nim kilka słów do ciebie.  
Lecz to zbytecznie. Mąż, którego mają  
Moją najmilszą Eboli nagrodzić,  
Jest widać nader godnym téj zasługi.

**Oliwarez.**

Tak, Najjaśniejsza Pani, jest to zacny  
I znakomity mąż, którego król nasz  
Swemi laskami tak zaszczyca hojnie.

**Królowa.**

To go szczęśliwym kiedyś zrobi; jednak  
Chciałabym wiedzieć, czy on kochać umie,  
I czy na miłość zdolnym jest zasłużyć?  
Na to mnie Eboli odpowie.

**Eboli.**

*(zmieszana stoi w milczeniu z oczyma w dół spuszczone, nakoniec  
pada do nóg królowej):*

Pani!

Ulituj się nademną! Ach, nie dozwól,  
Na miłość Boga błagam cię, królowo!  
Nie dozwól mię poświęcić.

**Królowa.**

Co? poświęcić?

Nie potrzebuję więcéj: powstań, księżno.  
O! to okropny los być poświęconą!  
Wierzę ci bardzo, powstań!—Jakże dawno  
Hrabiemu Gomez ręki swéj odmawiasz?

**Eboli** *(wstając).*

Od kilku już miesięcy. Ksiązę Karlos  
Jeszcze był w wyższej szkole.

**Królowa.**

*(dziwi się i sledzącym wzrokiem pogląda na nią):*

Czyś zbadala

W sobie przyczynę tego odmawiania?

**Eboli** (*z niejakim pośpiechem*).

To się nie stanie, najłaskawsza pani,  
Z tysiąca przyczyn nigdy się nie stanie.

**Królowa** (*poważnie*).

Nad jedną już zawiele. Dostyc dla mnie  
Ze go nie kochasz. Lecz przestańmy o tém.  
(*do innych dam*).

Jeszcze Infantki dzisiaj nie widziała.  
Markizo, przynieś mi ją.

**Oliwarez** (*patrzy na zegar*).

Lecz to nie jest  
Zwykła godzina, Najjaśniejsza Pani.

**Królowa.**

Nie jest godzina, w której śmiem być matką?  
O! to boleśnie! Nie zapomnij, proszę,  
Mnie oznajmywać zwykłą tę godzinę.  
(*Wchodzi paź i cicho coś mówi mistrzyni dworu, która obraca się  
potém do królowej*):

**Oliwarez.**

Łaskawa pani, markiz Poza.

**Królowa.**

Poza!

**Oliwarez.**

Wracając z Francyi i z Niderlandów,  
Prosi o łaskę, by mu pozwolono  
Waszej królewskiej Mości osobiście  
Przedstawić listy od regentki matki.

**Królowa.**

Może nie wolno?

**Oliwarez** (*ze znaczeniem*).

W danej mi instrukcyi,  
O tak szczególnym trafie przepomniano:  
Czy może listy od obcego dworu,  
Kastylski grand przybyły do Hiszpanii  
Wręczać królowej w jej ogrodzie wiejskim?

**Królowa.**

A więc przymuję tę odpowiedzialność  
Na siebie.

**Oliwarez.**

Raczy mi, łaskawa pani  
Dozwolić odejść na tę porę.

**Królowa.**

Można,

Jak się podoba.

*(Mistrzynie dworu oddala się, a królowa daje znak paziowi, który natychmiast wychodzi).*

### SCENA IV.

KRÓLOWA, KSIĘŻNA EBOLI, MARKIZA MONDEKAR,  
I MARKIZ POZA.

**Królowa.**

Mile was witamy  
W hiszpańskiej ziemi, komandorze.

**Poza.**

Którą  
Nigdy z chlubniejszą dumą nie mógł nazwać  
Swoją ojczyzną, jak w tej chwili.

**Królowa** *(do obu dam).*

Markiz,

Który z mym ojcem na turniejach w Reimsie  
Kopije tak świetnie kruszył, i potrzykroć  
Zwycięstwo memu kolorowi zjednał,  
Był pierwszym z swego kraju, co dał uczuć,  
Że i hiszpańską chlubnie być królową.

*(obracając się do markiza).*

Gdyśmy się w Luvrze raz ostatni z sobą  
Widzieli, komandorze, czyś pomyślił,  
Że kiedyś będziesz gościem mym w Kastylji?

**Poza.**

Nigdy, królowo, bom nie myślał wtedy,  
Że Francya dla nas jeszcze miała stracić  
I to jedyne, czegośmy najbardziej  
Jój pozazdrościć mogli.

**Królowa.**

Dumny Hiszpan!

I to powiadasz córce z domu Valois?

**Poza.**

Łaskawa pani, teraz śmiem to wyrzec,  
Gdyż teraz jesteś naszą.



**Królowa.**

Mnie mówiono,  
 Żeście przez Francją podróż swoją wiedli.  
 Cóż przynosicie od dostojnej matki,  
 I od mych wielce ukochanych braci?

*Poza (oddając listy).*

Królowa matka była dość cierpiącą.  
 Wszelkim pociechom tego świata obca,  
 By tylko mogła córkę swą królewską  
 Widzieć szczęśliwą na hiszpańskim tronie.

**Królowa.**

Możeli ona ma być nią w téj chwili,  
 Przypominając sobie drogich krewnych  
 I lube czasy? Wyście w wielu dworach  
 I krajach byli, i zwyczajów różnych  
 Pomiedzy ludźmi wiele mogli widzieć;  
 A powiadają, żeście, komandorze,  
 Postanowili żyć w ojczyźnie swojej  
 Dla siebie tylko? O! daleko większy  
 Władca, niż Filip król na swoim tronie.  
 Swobodny i filozof, wątpię bardzo,  
 Abyś w Madrycie mógł podobać: nazbyt  
 W Madrycie tęskno.

**Poza.**

O! to więcéj znaczy,  
 Niżeli radość wszystkich innych krajów  
 Reszty Europy.

**Królowa.**

Czy być może? Dla mnie  
 Teraz już wszystkie wydarzenia w świecie  
 Aż do wspomnienia stały się obcemi.

*(do księżny Eboli).*

Postrzegam, księżno, w dali tam kwitnący  
 Kwiat hijacyntu: przynieś mi go, proszę.

*(Księżna udaje się na to miejsce. Królowa nieco ciszej do markiza):*

Wasze przybycie jeśli się nie mylę,  
 Musiało pewnie kogoś na tym dworze  
 Weselszym zrobić.

**Poza.**

O! znalazłem tutaj  
 Bardzo smutnego, a którego tylko  
 Jedno w tym świecie zdolne jest poruszyć.

*(Księżna powraca nazad z kwiatem)*

**Eboli.**

Gdyś, komandorze, tyle kraju widział,  
Zapewne wiele nam ciekawych rzeczy  
Masz opowiedzieć.

**Poza.**

Tak jest, moja pani:  
Wszak obowiązkiem wiecznym jest rycerza  
Szukać niezwykłych przygód, a najświętszym  
Bronić płeć piękną.

**Mondekar.**

Może od olbrzymów?  
Ale olbrzymów nie ma już na ziemi.

**Poza.**

Przemoc dla słabych zawsze jest olbrzymem.

**Królowa.**

Słusznie, markizie. Są olbrzymi jeszcze,  
Ale rycerzy nie ma.

**Poza.**

Niezbyt dawno,  
Kiedym z Neapolu do kraju wracał,  
Poruszającej sceny byłem świadkiem,  
W której me serce wielki udział miało,  
Przyjaźni świętym węzłem połączone.  
Jeślibym nudzić Najjaśniejszej Pani  
Opowiadaniem mojem się nie lękał ....

**Królowa.**

Do mnież należy wybór? i przerywać  
Ciekawość księżny nie pozwala wcale.  
Tylko do rzeczy: o! ja lubię słuchać.

**Poza.**

Dwa wielkie, świetne domy w Mirandola,  
Strudzone długą, krwawą nieprzyjaźnią,  
Którą od Gwelfów i od Gibellinów  
Ku sobie z przodków wciąż odziedziczały,  
Postanowiły związkim pokrewieństwa  
Na wieczną wreszcie zgodę się połączyć.  
Fernando siostrzan dumnego Pietro,  
Z boską Matyldą, dziedziczką Kolonnów  
Byli wybrani, piękne to przymierze  
Na sobie ziścić. Nigdy przyrodzenie  
Dwóch serc piękniejszych jedno dla drugiego  
Nie utworzyło wzajem: takiej pary  
Nigdy świat dotąd trafniej nie skojarzył.

Jeszcze Fernando lubą narzeczoną  
 Ubóstwiał tylko w słabym wizerunku,  
 Drząc czekał chwili, kiedy sprawdzi wdzięki,  
 Które ognista jego niecierpliwość  
 Nie śmiała zbyt wierzyc obrazowi.  
 O! jak on pragnął skrócić czas swych nauk,  
 Co go więziły w Padwie, i ów błogi  
 Przyspieszyć moment, gdy mu wolno będzie  
 Swojej miłości pierwszy hołd wyjakać  
 U nóg Matyldy.

*(Królowa słucha uważnie. Markiz po niejakiem milczeniu opowiada dalej, o ile obecność królowy pozwala, bardziej do księżny Eboli zwracając mowę):*

Wtém przez śmierć małżonki,  
 Pietro stał się wdowcem. Chciwie starzec,  
 Z młodzieńczym ogniem podchwytuje wieści,  
 Które Matyldy sławę rozgłaszały.  
 Przybył, zobaczył—i pokochał silnie.  
 Nowe uczucie, cichy głos natury  
 Wkrótce zagłusza: i wuj siostrzanowi  
 Zdradnie wydiera młodą narzeczoną,  
 Wydzierstwo swoje święcąc przed ołtarzem.

**Królowa.**

I cóż Fernando?

**Poza.**

Na miłości skrzydłach,  
 Nie wiedząc wcale o straszliwej zmianie,  
 Do Mirandola rozmarzony spieszy  
 I przy gwiazd świetle drogę swą przebiega.  
 Bachancki odgłos muzyki i tańców  
 Straszliwie grzmi mu z okien oświetlonych;  
 Trwożnie po wschodach stąpa, i nieznany  
 Widzi się w hucznej biesiadników sali,  
 Gdzie pośród gości uczujących gwarnie,  
 Siedział Pietro, przy nim boski anioł:  
 Anioł, którego zna Fernando, który  
 Nigdy świetniejszym w snach mu się nie roił.  
 Jedno spojrzenie wykazało snadnie,  
 Co on posiadał i co już na wieki,  
 Na wieki miał utracić.

**Eboli.**

Nieszczęśliwy!

**Królowa.**

Czy już historyi waszój koniec? Ona  
 Musi mieć koniec.

**Poza.**

Jeszcze nie ma.

**Królowa.**Przecież powiecie nam, czy ów Fernando  
Był przyjacielem waszym.**Poza.**

O! najdroższym!

**Eboli.**

Kończ nam historią, komandorze.

**Poza.**Ona jest nader smutną, a wspomnienia  
Wznawiają moją boleść. Raczycie pani  
Od jej kończenia mię uwolnić.*(powszechne milczenie)***Królowa***(obracając się do księżny Eboli).***Kiedyż**

Wolno mi będzie córkę ma uściskać?

Przynies ją, księżno.

*(Księżna oddala się. Markiz daje znak paziowi, który pokazuje się w głębi i natychmiast znika. Królowa otwiera listy dane jej przez markiza i czytając okazuje się bardzo zdumioną. Markiz cicho z zajęciem się rozmawia z markiza Mondekar. Królowa po przeczytaniu listów obraca się z bawczym spojrzeniem do niego).*

Nic nam o Matyldzie

Nie powiedziałaś? Może ona nie wie,  
Ile Fernando cierpi?**Poza.**

Nikt Matyldy

Jeszcze nie zbadał serca. Wielkie dusze  
Boleją cicho.**Królowa.**

Cóż się tak oglądasz?

Kogóżto wzrok wasz szuka?

**Poza.**

Myślę o tém,

Jakby szczęśliwym był na mojem miejscu  
Ktoś, kogo nie śmiem nazwać.

**Królowa.**

Czyjaż wina,  
 Że go tu nie ma?

**Poza** (*nagle podchwytując*).

Mamże się osmielić  
 Pojąć to, jakbym żądał? Czyliż jemu  
 Byłoby przebaczone, gdyby się tu zjawił?

**Królowa** (*przestraszona*).

Tutaj, markizie, teraz? Co to znaczy?

**Poza.**

Byłoby przebaczone?

**Królowa** (*z rosnącym pomieszaniem*).

Ach markizie!  
 Przestraszasz: przecież go tu nie ma,

**Poza.**

Jest już.

**SCENA V.**

KROLOWA, KARLOS.

(*Markiz Poza i markiza Mondekar w głąb się oddalają*).

**Karlos**

(*rzucając się do nóg królowej*).

Nadszedł nareszcie pożądaný moment  
 I Karlos drogą rękę tę dotyka!

**Królowa.**

Co za postępek! Godném ukarania  
 Zuchwale to podejście!—Powstań, proszę!  
 Was mogą odkryć: dwór mój jest w bliskości.

**Karlos.**

O! nie powstanę: tu chcę wiecznie klęczeć,  
 Wiecznie tu leżeć jak przyczarowany,  
 Jakby wrosnięty tutaj.

**Królowa.**

O! szalony!  
 Czyż moja dobroć tak cię ozuchwała?  
 Nie wiesz, że to królowa, że to matka,  
 Do której takie śmieysz wyrazy zwracać?

Dowiedz się, że ja o tém wydarzeniu  
Królowi sama...

**Karlos.**

Niech i umrzeć przyjdzie,  
Niech mię oderwą ztąd na rusztowanie:  
Przeżyta w raju jedna tylko chwila,  
Nie jest zbyt drogo oplacona śmiercią.

**Królowa.**

A cóż z królową wtedy?

**Karlos (wstając).**

Boże!—idę!

Opuszczam cię: nie powinienem zostać,  
Gdy tak odemnie żadasz? Matko, matko!  
O jak straszliwie ze mną igrasz! Jedno  
Skinienie oka, jeden z ust twych wyraz  
Mnie nakazuje odejść—lub pozostać?  
Powiedz, co jeszcze zrobić mi należy?  
Cóż się pod słońcem znaleźć jeszcze może,  
Czego poświęcić nie chciałbym dla ciebie?  
Racz tylko wyrzec!

**Królowa.**

Ach uciekaj!

**Karlos.**

Boże!

**Królowa.**

To jest jedynem, o co śmiem ze łzami  
Zaklinać cię, Karlosie: ach uciekaj,  
Nim moje damy, nim te dozorcynie  
Mego więzienia razem nas postrzegą,  
I straszną wieść do króla nie zanosą.

**Karlos.**

Czekam mojego losu—niech on będzie  
Życiem lub śmiercią. Na toż me nadzieje  
Stopilem wszystkie w tę jedyną chwilę,  
Którą nakoniec darzysz mię bez świadków,  
By mię u celu płonny strach przerażał?  
O nie, królowo! Świat na swojej osi  
Razy się stokroć, tysiąckroć obróci,  
Nim znów wypadek chwilę tę powtórzy.

**Królowa.**

Oby przez całą wieczność nigdy więcej!

**Karlos.**

Królowo! jakem długo z sobą walczył,  
Jak jeszcze nikt nie walczył ze śmiertelnych,  
Bóg moim świadkiem, lecz daremno. Słabnie  
Me bohaterskie męstwo: ja upadam.

**Królowa.**

Przestań już o tém, dla méj spokojności.

**Karlos.**

Ty byłaś moją przed obliczem świata,  
Mnie przyrzeczoną od dwóch wielkich tronów;  
Moją przyznały niebo i natura,  
A Filip, Filip wydarł....

**Królowa.**

Który ci w puściznie  
Największe w świecie państwo ma zostawić.

**Karlos.**

Ciebie za matkę!

**Królowa.**

Ty w szaleństwo wpadasz.

**Karlos.**

Czy wie, jak jest bogatym? Czy posiada  
Czujące serce, by ocenił twoje?  
Nie chcę się żalić, nie, ja chcę zapomnieć,  
Jakie mnie szczęście niewypowiedziane  
Czekalo w tobie, jeśli on szczęśliwym.  
Lecz on nim nie jest, o męczarnie piekła!  
Nie jest szczęśliwym i nie będzie nigdy.  
Tyś mi wydarła tylko moje niebo,  
By je zniweczyć w uściskach Filipa.

**Królowa.**

Straszliwa myśl!

**Karlos.**

O, wiem ja, kto skojarzył  
Zgubny ten związek; wiem, jak Filip kochał,  
I czy z miłości żądał twojej ręki.  
Kimże jesteście przecież w téj krainie?  
Może regentką? nigdy! Czyżby mogli  
Tacy jak Alba nękać? Czyżby Flandrye  
Mogły za wiarę tak się krwią oblewać,  
Tam gdzie ty rządysz? Snać małżonką króla?  
O niepodobna! nie chcę temu wierzyć:  
Małżonka włada sercem swego męża,

A jego serce tobież się należy?  
Każda pieśczoćta, co w gorączki szale  
Jemu się wyrwie, czyż nie wymodlona  
Nazbyt u władzy i u siwych włosów?

**Królowa.**

Któż ci powiedział, że mój los z Filipem  
Godny litości?

**Karlos.**

To ogniste serce,  
Co mocno czuje, jak on byłby ze mną  
Godnym zazdrości.

**Królowa.**

O człowieku próżny!  
A jeśli moje serce ci zaprzecza?  
Jeśli Filipa ta poważna względność,  
To jego nieme, ciche przywiązanie  
Daleko silniej przemawiają do mnie,  
Niżeli jego zbyt dumnego syna?  
Zuchwała mowa! Jestli cześć dla starca?

**Karlos.**

A, to rzecz inna, jeśli tak, przebaczcie!  
Ja nie wiedziałem, nie wiedziałem wcale,  
Że kochasz króla.

**Królowa.**

Tak, poważać męża,  
Jest móm życzeniem i pociechą całą.

**Karlos.**

Toś nie kochała?

**Królowa.**

Dziwne zapytanie!

**Karlos.**

Nigdyżto nie kochałaś?

**Królowa.**

Już nie kocham.

**Karlos.**

Czy to wam serce, czy przysięga wzbrania?

**Królowa.**

Zostaw mię, książę, i nie przychodź więcej  
Mnie podobnemi męczyć pytaniami!



**Karlos.**

Czy to wam serce, czy przysięga wzbrania?

**Królowa.**

Moja powinność. O nieszczęsny! Po co  
Zda się ten smutny rozbiór przeznaczenia,  
Któremu zostać posłusznemi musim?

**Karlos.**

Co? posłusznemi? musim?

**Królowa.**

Cóż oznacza

Ten uroczysty ton wasz!

**Karlos.**

On oznacza,  
Że Karlos nie zwykł wtedy być posłusznym,  
Kiedy chcieć może; że nie myśli Karlos  
Najnieszczęśliwszym zostać w owém państwie,  
Gdzie mu kosztuje tylko prawa zwalić,  
By najszcześniejszym stać się.

**Królowa.**

Czy pojmuję?

Chcesz się spodziewać, jeszcze masz nadzieję,  
Gdzie wszystko, wszystko zda się już straconem!

**Karlos.**

Tylko umarłych mają za straconych.

**Królowa.**

Mnie, twojej matki jeszcze się spodziewasz?  
*(dlugo patrzy nań przenikliwie; potem z godnością i powagą).*

O! czemuż pewno!—Nowy król jest w stanie  
I więcej działać. Wszystkie rozrządzenia  
Zeszłego władcy w ogień może rzucić,  
Zwalić obraży jego; może nawet.....  
Bo cóż przeszkodzi zwłoki swoich przodków,  
Spoczywające w Eskuryalu dawno,  
Znowu na światło wywlec i rozproszyc,  
Na cztery wiatry ich zhańbiony popiół;  
Może nareszcie, by zakończyć godnie..

**Karlos.**

Na miłość Boga, przestań, nie domawiaj!

**Królowa.**

Może nareszcie z matką się ożenić.

**Karlos.**

Przeklęty syn!

*(przejęty zgrozą stoi przez chwilę w milczeniu).*

Zapóźno, już się stało.

Tak, teraz czuję, teraz widzę jasno,  
Co dla mnie wiecznie ciemnem miało zostać.  
Straciłem ciebie, los już jest rzucony.  
Straciłem wiecznie, ach! umarłaś dla mnie,  
Umarłaś już nazawsze! W tém uczuciu  
Straszliwe leży piekło; również piekło  
Leży w nadziei osiąść ciebie kiedy.  
Biada mi! objąć to, już nie mam siły:  
Serce mi pęka, głowa cięży strasznie.

**Królowa.**

Godnyś litości, drogi mój Karlosie!  
Czuję ten cały ogrom twojej męki,  
Co szarpie teraz łono. Nieskończoną  
Jak twoja miłość, jest i boleść; również  
Jest nieskończoną chwałą ją pokonać.  
Wspomnij to sobie młody bohaterze!  
Nagroda godną jest téj wzniosłej walki,  
Godną młodzieńca, po którego sercu  
Zaszczytna cnota tylu przodków krąży.  
Nabierzcie tylko ducha, zacny książę!  
Niech tam poczyna walczyć wnuk wielkiego,  
Gdzie trwożnie kończą innych ludzi dzieci.

**Karlos.**

Ach! już zapóźno!

**Królowa.**

Meżem się okazać,

Karlosie! jakże wielką będzie cnota,  
Jeśli tve serce w walce téj ustąpi!  
Wysoko, książę, o daleko wyżej,  
Niżli miliony innych twoich braci  
Opatrzność ciebie postawiła. Cheiwie  
Ujmując innym, swego ulubieńca  
Wielkimi dary osypała szczodrze.  
Czemże zasłużył, wszyscy się pytają,  
Jeden z pomiędzy tylu nas śmiertelnych  
Na taką hojność matki, przyrodzenia?  
Okaz na sobie sprawiedliwość nieba!  
Zasłuż na godność przodkowania światu,  
I poświęć, czego żaden nie poświęcił!

**Karlos.**

Ciebie wywalczyć, mam olbrzymią siłę;  
Utracić, braknie mi już sił człowieka.

**Królowa.**

Wyznaj Karlosie, że zuchwałość, duma,  
I jakaś gorycz niezbadana życia,  
Pędzą tak wściekle żądze twe ku matce.  
Miłość i serce, co mnie tak skwapliwie  
Niesiesz w ofierze, państwu się należą,  
Którém masz rządzić kiedyś. Nie roztrwaniaj  
Powierzonego tobie sierot dobra.  
Miłość jest wielkim darem. Ona dotąd  
Obłądnie wiodła cię ku matce. Zwróć ją,  
Zwróć ją ku szczęściu przyszłych twoich krajów;  
Zamiast sumienia nieustannych ciosów,  
Uczuj pociechę być narodów bóstwem!  
Elżbieta była pierwszą twą miłością,  
Niechże więc drugą stanie się Hiszpania!  
O jakże chętnie, dobry mój Karlosie,  
Chcę najlepszego z kochanków poświęcić!

**Karlos**

*(pokonany uczuciem, rzuca się jej do nóg).*

Niebianko, jakżeś wielką! Tak jest, wszystko,  
Wszystko wykonam, czego tylko żadasz!

*(powstaje)*

Tu, przed potęgą Wszechmocnego Stwórcy,  
Przysięgam tobie, wiecznie poprzysięgam,  
Ale dla boga, tylko wiecznie milczeć,  
Bo cię zapomnieć wiecznie—nie przysięgnę!

**Królowa,**

Mogęż wymagać tego po Karlosie,  
Czegobym sama nigdy nie zdołała?

**Poza** *(pospiesza z alei).*

Król!

**Królowa.**

Boże!

**Poza.**

Prędzój, prędzój odchodź, książę!

**Królowa.**

Gdy cię postrzeże, straszne podejrzenia.

**Karlos.**

Zostaję.

**Królowa.**

Któż więc stanie się ofiarą?

**Karlos** (*ciągnąc markiza za rękę*).

Idźmy, Rodryku, idźmy!

(*odchodzi i znowu się wraca*).

I cóż z sobą

Śmiem ponieść?

**Królowa.**

Przyjaźń twojej matki.

**Karlos.**

Przyjaźń?

Matki!

**Królowa.**

I lzy te z biednych Niderlandów.

(*daje mu niektóre listy. Karlos i markiz odchodzą. Królowa niespokojnym wzrokiem szuka dokoła swoich dam, które się nigdzie nie okazują. Gdy w głąb sceny chce się udać, wchodzi król*).



## KRONIKA LITERACKA.

---

*Wieczorne rozrywki przy kominku, (z 3 stalorytami i 23 drzeworytami. Poznań. Nakładem i czcienkami Ludwika Merzbacha. 1855),*

**K**siążeczka pod powyższym tytułem, ze 182 składająca się stronic, ozdobiona cudzoziemskiego autoramentu sztychami i drzeworytami, jest luźném dziełkiem treści zbiorowej, zakrawajacém na wydanie peryodyczne, na podobieństwo dawnych warszawskich Noworoczników. Jest tu i powieść i poezyi trochę, i opisy dorabiane do rycin, są wiadomości naukowe: słowem wszystkiego potrosze, dla zjednania snadź wszelkiego rodzaju czytelnika. Pomijając treść naukowo-popularnej rozprawki „O rachubie czasu“, skreślonej z wielką znajomością rzeczy, i takiegoż traktatu, „O wynalazku balonów“, zwrócić w tych rozrywkach winniśmy uwagę ogółu na powiastkę R. W. Berwińskiego, opowiadaną przy stole wirującym, p. t. „Dwa Kruki“. Dziwna to zaprawdę powiastka pod wielką względami. Jest w niej i mistyczność, i cudowność, i oryginalność, i tajemniczość; jest pewien stopień zaciekawienia czytelnika, zasadzający się naprzemiany: to na tragicznych, to znów na komicznych sytuacjach; jest moralność i niemoralność: są więc to wszystko cechy, których razem już nie napotykamy prawie w tegoczesnych powieściach.

Oto mniej więcej tło wspomnionego opowiadania: Hortensya córka jednego naszego magnata z ostatnich czasów, o duchu niespokojnym i górnej fantazyi, przymiotach dziedzicznych w jej rodzinie, zostaje narzeczoną niejakiego Stanisława, młodzieńca również znakomitej familii, mającego uiszczyć jej młodociane o bohaterstwie i obywatelskiem poświęceniu się marzenia. Stało się jednak przeciwnie. Przedsięwzięcie w którym Stanisław czynny brał udział, skończyło się zupełną po-

rażką i klęską dla przedsiębiorców. Wiadomość o tém przywiodła Hortensyą do rozpacz. Kochając prawdziwie Stanisława, wolałaby raczej dowiedzieć się iż poległ, aniżeli, że z krytycznej katastrofy całe unosi życie. Dlatego, kiedy narzeczony ów, w dalekie udając się strony, przybył do domu jój rodzica z pożegnaniem, nie chciała widzieć się z nim, tylko krótkimi lecz gorzkimi odpisała doń słowy. Mimowolna jednak obojętność niedługo trwała: zaledwo bowiem po jego oddaleniu kilka dni minęło, uczuła w sercu głęboki żal i tęsknotę. Wiadomości późnziej o narzeczonym otrzymane, wypadające na jego stronę najkorzystnziej, dały jój poznać wielkość krzywdy, jaką mu swém Nielitosném sprawiła pożegnaniem, i przywiodły tę zapalenie kochającą istotę do smutnego stanu obłąkania. Chorobę Hortensyi przechodzącą niekiedy aż do szaleństwa, lekarze uznali za nieuleczoną. Wtém na dworze jój ojca zjawia się Francuz, przybłęda, zwolennik metody Mesmera; opatrzony listami rekomendacyjnemi, doznaje gościnnego przyjęcia: obserwując chorobliwe usposobienie Hortensyi, objawia zdanie, że takowe da się zupełnie usmierzyć za pomocą magnetyzmu. Zrozpaczony oddawna nad zdrowiem córki, ojciec, w nadziei znalezienia w podawanym przez Francuza środka ulgi w jój cierpieniach, zezwała na kuracyą magnetyczną. Kuracya ta, po jakimś czasie taki osiągnęła skutek, że Hortensya pewnego dnia pokazała się ojcu w żałobnych szatach i rzekła: „Ojczy drogi, Stanisław mąż mój, nie żyje; na polu sławy poległ śmiercią walecznych: przed tobą klęczy nieutulona w żalu po nim wdowa“. Stary ojciec wziął te słowa za dowód obłąkania. Okazało się jednak, że Hortensya mówiła je na seryo: opowiadała bowiem późnziej, z całą powagą i pogodą oblicza, jako raz usłyszała szum jakiś wokoło siebie; potem krzyk, wołanie i szczęk broni, tętent koni i kilka po sobie idących wystrzałów. Że zerwała się przerażona i chciała uciekać, aż oto u nóg swych widzi klęczącego Stanisława. Wtedy upadła w jego objęcia. „Bogu niech będzie chwała, zawołał on, tuląc Hortensyą do serca, tyś moja, tyś moja!“ Potem Hortensya nie wiedziała co się z nią stało; późnziej dopiero przypomniała sobie, że w obozowej kaplicy ksiądz Serafin dawał jój ślub ze Stanisławem; pokazywała obrączkę, którą jój przy błogosławieństwie na palec włożył; opisywała rozpacz swą, kiedy Stanisław wkrótce potem obskoczony przez nieprzyjaciół, kilku strzałami przeszyty, bez duszy padł na ziemię. To całe opowiadanie Hortensyi, połączone z pokazaniem tajemnego pierścionka ślubnego, wprawiło całą jój rodzinę w nieopisaną trwogę i zdumienie. Zdumienie to powiększyło się po upływie pewnego czasu, tém bardziej, skoro ją postrzeżono cieszącą się ze stanu macierzyństwa, które ona przypisywała owemu krótko trwałemu związkowi ze Stanisła-

wem. Na razie nie pora była szukać powodów złego. Brat Hortensyi obrażony postępkami siostry, w którym winę tylko jęj, miastojakichś urojonych wpływów ze świata nadprzyrodzonego upatrywał; zagnął ojca, aby ją co rychlęj wyprawił do Niemiec, na wieczne tamże w jakiejś mięscinie przebywanie: sam zaś zawczasu cieszył się myślą posiadania znacznej części przypadającego jęj w dziale majątku. Hortensya widząc się pomawianą o zbrodnię przeciw czci i wierze niewieścij, której nie popełniła, i w najbliższych członkach rodziny nie znajdując ulgi i pociechy w cierpieniach; dręczona nieludzkimi wyrzutami brata, który jęj hańbę familii i skalenie gniazda wyrzucał: piękną twarz swoję chcąc na wieki zmienić do niepoznania, w chwili ciężkiej rozpacz, polała ją witryolejem i zmieniła się tym sposobem w czarne, przerażające monstrum. W żalobnych szatach i z zapuszczonym welonem opuściła rodzinny kraj. Bankier znajomy ulokował ją w jakiejś niemieckiej mięscinie, ułatwił jęj zmianę nazwiska; a dla zaspokojenia dumy rodziny, podrobiony akt zejścia, ojcu Hortensyi przesłał. Rozgłoszono, że ta oddawna wążła i chora istota, w przejeździe do jakichś tam wód, umarła. Ojciec nieszczęśliwej bohaterki opowiadania, zaciągnął był od wzmiankowanego bankiera dług, najjednorazowe wyposażenie córki. Gotówki jednak nie odebrał, tylko zobowiązał bankiera, aby coroczny procent od kapitału przypadający, córce na utrzymanie wypłacał. Tak było czas niejaki. Stary magnat umarł: syn jego nie myślał o płaceniu siostrze prowizyi w ratach umówionych. Bankier z początku zastępował go: późnięj widząc bezskuteczności dalsze swe w tęg mierze kroki, zaniechał z nim korespondencyi, a pani Hortensyi, potrzebującej oprócz wyżywienia siebie, funduszu na wychowanie córki, którą miała przy sobie: poradził zajęcie się jakim uczciwym, chleb dającym procederem. Biędna kobięta znalazła się w ostateczności. Pozbawiona wszelkich materyalnych środków, zeszepecona na twarzy tak, że każdy odrazę na jęj widok doznawał, za namową bankiera, rzuciła się do okropnego zatrudnienia: —została trupiarką.

Przez długi czas trudniąc się tęg rzemiosłem, zawsze tajemnicza i zawoalowana, mając przy boku jedynie wierną jeszcze z lat dziecinnych pokojówkę: przy rzetelności zebrała ona znaczny majątek. Wiedząc atoli, że brat jęj żyje, że ma syna, i że całkiem o nięj zapomniał: zapragnęła naprzód zemścić się na nim, a potęm mu winę przebaczyć. Przez pośrednictwo więc owego bankiera, zażądała naraz wypłacenia sobie kapitału i narosłych od lat wielu procentów składanych; które gdyby rzeczywiście miały być w zupełności w gotowizni wypłacone, zrujnowałyby pana brata ze szcęgtem. Hortensya przybrała nazwisko pani Rabe: na rzecz to tęg mniemanęj osoby posiadał

przelew jęj praw, ów bankier. Cała więc sprawa przybrała pozor enigmatyczny, a to tém bardziej, że brat Hortensyi wysłał za temi interesami własnego syna za granicę, nie mu nigdy nie mówiąc, że miał kiedy siostrę, że takowa żyje, i że przezeń pokrzywdzoną została. Hilary (było to imię siostrzeńca Hortensyi), przybywa za granicę, i negocjuje z bankierem o zwłokę wypłaty długu, niewiadomego mu pochodzenia. Starania jego okazują się bezskutecznymi. Chodząc po mieście nieznaném, rzadko uczęszczaném od Polaków, w braku znajomości, trawiony jakąś gorączką i niepokojem, rozrywa się w kłopotach, bliższém badaniem miejscowości. Głównie zastanawia go dom jakiś, na pozor opuszczony, położony na jednej z odległych ulic, wiecznie zawarty, z pozamykanymi okiennicami. W tym domu mieszkały trupiarki, zwane od wszystkich „czarnymi krukami“. Co do osób ich, Hilary żadnych u nikogo nie mógł zasięgnąć wiadomości. Nie udzielił mu ich nawet zapytywany o to bankier, choć dobrze wiedział całą prawdę.

Traf jednak zrzucił, że Hilary poznał się z swoją ciotką, przy ciele zmarłego przyjaciela; który również pragnąc spojrzeć oko w oko niewidzialnym dla żywych trupiarkom, obstalował je na oznaczony termin do siebie; miał udać letarg, i przypatrzyć im się dokładnie niby po ocknieniu. Tymczasem nieszczęście mieć chciało, iż dniem wprzód udał się na polowanie: spadł z konia, zabił się; i kiedy go nieżywego do mieszkania zaniecono, trupiarki bez obstalunku obecnych, zamówione przez nieboszczyka, nieprzewidującego naturalnie nagłej swęj śmierci, same przybyły. Otóż z tym znajomym, Hilary umówił się, że go w ów dzień upozorowanej śmierci odwiedzi. Postrzegłszy na prawdę umarłego, krzyknął z przerażenia, i padł bez zmysłów prawie. Trupiarki poznały w nim podobieństwo familijne rysów twarzy; zoczyły w jego kieszeni list z adresem do ojca: po tym liście poznały kim był. Hilary wpadł w stan jakiś odrętwienia, podobny do letargu; przeniesiono go do jego mieszkania. Doktorzy zaopiniowali, że umarł. On zaś popadł w kilkodniowy sen magnetyczny. Trupiarki zamówiono. Pielęgnowały go one jako blizkiego sobie, miasto na śmiertelną wędrówkę go ubierać. Hortensya przywołała do łoża Hilarego swą córkę, także czarno przybraną i zakwefioną. Obecność téj młodej i pięknej istoty, przywiodła Hilarego do życia. W swym śnie bowiem widział on wszystko, tylko nie miał siły powstać, wydać głosu i otworzyć oczy. Chorego, skoro się przebudził, a tém samém dał poznać, że żyje, sprowadzono do trupiarek; napisano do ojca, i zwaśniona długo rodzina pogodziła się. O dalszym losie Hilarego i Krysi, córki Hortensyi, nie wiemy. O Francuzie zaś to musimy nadmienić, że skoro długi czas widać go nie było na dworze ojca Hortensyi, rzucono na niego podejrzenia, które w istocie były najprawdziwszemi. Nieszczęśliwa rodzina poczęła śledzić niktze-



mnika. Przydybała go aż na przeciwległym krańcu Polski, ciągle praktykującego swe magnetyczne doświadczenia. Brat pomógł siostrę i zabił go w pojedynku. Konając Francuz ów, wyznał, że niekzemnie nadużył chorobliwego stanu Hortensyi, że przez ciągle opowiadania o Stanisławie, którego niby znał, i z którym niby nieraz razem walczył w jednych szeregach, pozyskał jęj zaufanie; że magnetyzował ją, że ona do snu magnetycznego z natury była skłonna; że kazał jęj widziéć w tym śnie to wszystko, co później ojcu i bratu mówiła z wszelką pewnością i przekonaniem, że mówi prawdę; że wreszcie wywoławszy raz widzenie Stanisława, niewinną zhańbił. W treści téj opuszczamy tysiące wydarzeń drobnych, niesłychanie wpływających na podniecenie ciekawości czytelnika, i podajemy wypadki w porządku niejako takim, w jakim po sobie następowały; nie zaś jak je ów pan Hilary sam, pewnemu znajomemu swemu, w tém samym niemieckim miasteczku opowiadał. Magnetyzm gra przeważną rolę w całym opowiadaniu. Czytelniczki zwłaszcza do ostatniej kartki, wielkiemu mogą ulegać złudzeniu. Na końcu dopiero pokazuje się, że imaginacya tylko nasza, skłonna do marzeń i urojeń, śni sobie częstokroć rzeczy nie bywale, a najprostsze do stopnia cudowności podnosi. Cała ta historia, (pozwalamy sobie użyć tu tego wyrazu) nader jest zręcznie przez p. Berwińskiego napisana. Zdanie wyrzeczone o nięj wyżej, to jest: że do współczesnych powieści niepodobna, podziela się czytelnicy. Gdyby żył Szlegel, wskazałby ją jako jeden dowód więcéj na poparcie swych trafnych uwag nad charakterem chybionego romansu.

„Przedstawienie, pisze krytyk ten, póki tylko jest przedstawieniem, usiłuje ciągle wyzwać się z krępującej je rzeczywistości, i torować sobie zawsze drogę w dziedzinie, w której się fantazyja swobodnięj poruszać może; a wypadki podróży, pojedynki, uwiedzenia, bandy rozbójników lub przygody i stosunki jakiego towarzystwa wędrownych aktorów, wystarczającym nieraz ku temu bywają środkiem.

„Pojęcie romantyzmu w tych romansach schodzi się zwykle z zasadami antipolicyjnymi. To mi przypomina następujące zdanie pewnego znakomitego myśliciela: że przy należycie uorganizowanej policyi (skoro państwa handlowe równo na granicach są strzeżone, a nawet paszporta podróżnych, szczegółowemi ich życiorysami i wizerunkami opatrzone będą), romans stałby się prostém niepodobieństwem; bo w życiu, nieby już wówczas nie zaszło takiego, coby mogło dać powód i stanowić jakikolwiek materyał do romansu.“ Zdanie to, dodaje Szlegel, śmieszne samo z siebie, nabiera pewnej zasady, skoro je odniesiemy do chybionego rodzaju romansów“ (1).

(1) Geschichte der Alten u. Neu. Litt. str. 315.

Bulwer, Stowe, Bremerowa u obcych, Kraszewski i Korzeniowski u nas, potrafią zajmować, nie szukając nadzwyczajności. Wiedział o tém pewno dobrze sam p. Berwiński, skoró na czele swój powiastki napisał: że „Dwa kruki“ są opowiadaniem przy kręcących się stolikach.

I. Z.

*Karola X Gustawa, króla szwedzkiego trofea i sprzęty stołu, zdobyte przez Stefana Czarnieckiego w 1656 roku; opisane i ogłoszone przez hr. Eustachego Tyszkiewicza, członka korespondenta krakowskiej akademii, nauk wyzwolonych, historii i starożytności w Sztokholmie i t. d. Wilno. Nakładem księgarni pod firmą Rubena Rafałowicza. 1856. Tekst polski i francuzki. (W 4-ce podłużnej. Str. 17).*

Z czasówto pełnych chwały i zapasów bojowych, z przed 200 okrągło laty dochowały się te trofea pamiętnego zwycięstwa nad Karolem Gustawem. Sławny tych czasów nasz bohater Stefan Czarniecki, dwa razy zdobył bogate łupy na Karolu X. Uderzywszy nad Sanem pod Jarosławiem na Szwedów, rozproszył ich: „Wozy i ciężary (jak sam wyraża), właśnie wówczas na most zdążyły, w oczach samego króla w ręce naszych wpadły; w téj zdobyczy znalazło się i srebro stołowe królewskie“ (1). Następnie wysłał znanego dobrze z odwagi i poświęcenia rotmistrza Szandarowskiego, który tak nagle zaskoczył samego króla siadającego do stołu, w domu plebana wsi Rudnik w województwie sandomierskiem, że porzecz, szarfę królewską i srebro stołowe, odbieżane w popłochu, jako zdobycz wojenną zabrał, i odwiózł swojemu wodzowi. Te pamiątki przechowywane dawniej w Białymstoku u Jana Klemensa Branickiego, prawnuka Czarnieckiego, które prawem spadku przeszły później na własność hr. Felixa Potockiego, a obecnie w całości zachowane na Litwie w gubernii grodzieńskiej; w powiecie wołkowyskim, w majątności Roś zwanój, u pani hr. Zofii z Paców Niesiołowskiej; Eustachy Tyszkiewicz opisał, i wedle rysunku z natury hr. Stanisława Sołtana, w chromolitograficznych rysunkach w zakładzie M. Fajansa wydał.

Krajewski autor żywota Stefana Czarnieckiego znał te zażytki i oglądał, bo je opisał, lubo nie tak szczegółowo jak je teraz mamy. Cztery dołączone do opisu chromolitografie przedstawiają:

(1) List z daty 18 marca 1656 do księdza Fryderyka Alupeka kanonika przemyskiego.

1) Proporzec Karola Gustawa z białego jedwabnego adamaszku, złotem wypukło szyty. Przedstawia we środku ptaka (gołębia) w promieniach. Głoski C. G. R. S. oznaczają: „Carolus Gustavus Rex Sueciae“. Wielkość wynosi  $\frac{3}{4}$  łokcia litewskiego w kwadrat. U dolnego prawego rogu, łata z takiegoż adamaszku. Przy głosce R plama od krwi zachowała się przez ciąg lat dwustu. Cały prawy brzeg od drzewca oderwany.

2) Szarfa królewska szyta na płask srebrem, na morelowej jedwabnej kitajce: haft bogaty, z trofeami rycerskimi, i literą S gęsto posianą. Długości ma łokci 4 cali 16, szerokości cali 17. Szarfa ta zupełnie dobrze zachowana dotąd.

3) Dwa talerze srebrne z cyframi króla Karola Gustawa (pod koroną litery C. G. R.). Michał Krajewski w życiorysie Stefana Czarnieckiego wspomina: że najmiliej temu bohaterowi było jadać na nich (1).

4) Odgrzewacz stołowy, naczynie srebrne do gotowania lub odgrzewania potraw, z wkładanym żelaznym kociołkiem. Odkręca się od podstawy; dno ma wycięte na wylot. Pas górny w arabeskach na wskrós rzniętych, Cyfry, herb i wieniec rylcem, lwie głowy z ozdobami przy nich (służące za uszy naczynia) wypukło zrobione.

Wydawca tych pomników przy końcu opisów zdobyczy, umieścił z dzieła *Theatrum Europaeum* (wychodziło w Frankfurcie nad Menem od r. 1635—1738 w 21 tomach: z tomu VII str. 934 i 937) dwa listy Stefana Czarnieckiego i jeden Jerzego Lubomirskiego, opisujące pod wrażeniem chwili zwycięstwa świeżego szczegóły ciekawe.

My dla uzupełnienia ogłoszonych w pracy E. hr. Tyszkiewicza zdarzeń, dodamy z rękopismu Jana Wardińskiego, obszerniejsze sprawozdanie dotyczące właśnie tych trofeów.

Wardiński nie wiedział nazwiska rotmistrza (Szandarowskiego) który napadł w Rudnikach Karola Gustawa; ale go nazywa wielce sprawnym rotmistrem i prawą ręką Stefana Czarnieckiego. Opisuje, że gdy nasi wpadli, rotmistrz z towarzyszami parł prosto na plebanią, w której wedle otrzymanego języka, sam Karol Gustaw do stołu siadał. Zerwali się od nakrytego stołu przestraszeni Szwedzi, król szwedzki rzucił się we drzwi, i tam go za szarfę ułapił jeden towarzysz; szarfa została mu tylko w rękę, król uszedł. Na ganku schwytał go drugi za rękę, ale rękawicę jeno przytrzymał. Karol Gustaw dosiadł konia i to nie swego; zmykał też potężnie: a byłby mimo to nie uszedł niewoli, gdyby się ci, co szli za rotmistrem, nie zabawili, goniąc w pojedynku uciekających Szwed-

(1) Rysunek tych talerzy nie w całości, ale w części podany.

dów. Relacya ta Wardińskiego zgadza się zupełnie ze słowami listu Jerzego Lubomirskiego z Baranowa, d. 7 kwietnia 1656 pisanego do królowej (umieszczony jest na końcu niniejszego dziełka) „Nawet w Rudnikach sam król szwedzki byłby naszym wpadł w ręce, gdyby straż tylko cokolwiek się nie spóźniła”.

K. Wł. W.

### *Przegląd muzyczny.*

I. Teatr. II. Koncert na dochód ubogich: Marsz żałobny Chopina, instrumentowany przez Quattriniego. III. Nowakowski.—Ig. Komorowski.—Kańia.—Krzyżanowski.—Sobański.—Kajetan Kraszewski.

#### I.

Warszawa nie bez słuszności posiada opinią miasta lubiącego muzykę. Stała opera włoska i polska licznie przez publiczność nawiedzana bywa, wieczorów muzycznych jest bez liku. Pominę zwolenników fortepianu, a zwrócę uwagę czytelnika na amatorów śpiewu, których liczba jest znaczna w naszym mieście. Ichto zamiłowaniem w niedziele i inne święta uroczyste, przybytki chwale Boga poświęcone, jakoto: Panny Maryi, Sakramentek, Bernardynów i Pijarów, rozlegają się pobożnemi pieśniami: szczególnież znaczna liczba osób zbierająca się na chórze Pijarskim pod przewodnictwem Prochaski, wykonywa z niepospolitą dokładnością kompozycyę obcych i swojskich kompozytorów, jakoto: Elsnera, Kurpińskiego, Dobrzyńskiego, Moniuszki, Komorowskiego, Brzowskiego, Mincheimera, Karasowskiego i innych. Chór ten jest niejako zawiązkiem i podstawą rozwijającą się coraz więcej muzyki wokalnosalonowej. Często się zdarza na jednym nawet wieczorze słyszeć z wielką dokładnością po kilkanaście numerów, to jest romansów, duettów, tercettów, kwartettów i większego nawet rozmiaru finałów z najpiękniejszych oper, wykonanych z dokładnością przynoszącą zaszczyt utalentowanym amatorom i amatorkom; jestto kontyngens już gotowy czy do koncertów na cele dobroczynne dawanych, czy do muzyki licznego zbioru indywiduów wymagającej, jakieśmy to mieli przykład roku zeszłego przy wykonaniu Oratoryum Elsnera, pod kierunkiem Dobrzyńskiego. Jak widzimy, nie brak ani zamiłowania do muzyki, ani muzyki samęj. Nawet od pewnego czasu pojawia się bardzo wiele utworów muzycznych, nakładem Friedleina, Sennewalda i Bernsteina wy-

dawanych; a nietylko że nie mamy ani jednego pisma wyłącznie poświęconego muzyce, lecz zaledwie w jednej Gazecie Codziennój, i to co dwa tygodnie, wychodzą artykuły muzyczne. Wszystkie większe miasta zagraniczne i wiele pomniejszych, posiadają po kilka nawet organów czysto muzycznych, a w dziennikach chociaż politycznej treści, jest miejsce dla odcinków muzycznych. U nas wprawdzie Kuryer Warszawski, i od niedawnego czasu gwiazdka Gazety Warszawskiej, ogłaszają o wyjściu dzieł muzycznych, lecz są to raczej proste uwiadomienia wydawców, a nie rozbiory oceniające sumiennie ich wartość. Jedynie tylko artykuły w wyż wspomnianej Gazecie Codziennój, Sikorskiego, niepospolitém piórem, dobrze lubo niekiedy zbyt surowo pisane, zasługują na uwagę. Lecz niepodobna w drobnym odcinku być szczegółowym sprawozdawcą z ogólnego ruchu muzycznego naszego miasta i prowincyi; przy największym nawet talencie i dobrych chęciach, drobne ramy Gazety są główną do tego przeszkodą. Jakim więc sposobem formować i kształcić się może sąd publiczności o sztuce lub widowiskach, jeżeli nie przez dzienniki? Wszelkie rozrzucone sądy i rozumowania prywatne czyli osobiste, muszą się ulotnić jak para, gdy nikt nie pospieszy do ich zebrania, i że tak powiem skryształizowania w jedną całość sądu publicznego! Na ruchomej fali wód przestrzeni, z każdym uderzeniem wiosła dobry sternik zbliża się stopniowo do celu swój podróży: tak i w piśmiennictwie, jeżeli zanotujemy rozważnie pierwsze zdanie wyrobione z doznanych wrażeń w sztuce, służyć ono nam już będzie za punkt wyjścia do następnych, a tak stopniowo, ogół biorący codziennie pisma peryodyczne do ręki, wykształcić się może w sędzie o sztukach i widowiskach. Pojawiają się wprawdzie niekiedy artykuły niby muzyczne, zdające sprawę z koncertów lub oceniające prace kompozytorów w Gazecie Warszawskiej i w Dzienniku; lecz autorowie ich, mając cokolwiek estetycznego pojęcia o muzyce, najmniej o niej mówią: kołują dosyć zreźnie nie mając ani odwagi, ani zdolności do uchylenia zasłony tajemniczego jój przybytku przed okiem czytelnika, a częściej jeszcze, powodowani przyjacielskimi względami dla osób lub rzeczy o której piszą, tylko w błąd wprowadzają ogół łatwowierny.

Od wystąpienia pani Gruszczyńskiej w końcu r. 1855 w Napoju Miłosnym, i od wystawienia Lalki norymberskiej, nic nowego się nie ukazało. Z oper na wspomnienie zasługują: Marya di Rohan (Donizettego), il Trovatore i Rigoletto (Verdiego) przez włoskich; Łucya, Ernani, Lukrezia, Napój Miłosny wspólnie z polskimi, a Brawo, Marta i Marco Spada wyłącznie przez polskich artystów wykonane.

Z trzech koncertów zapowiedzianych przez pisma publiczne na korzyść ubogich, jeden tylko przyszedł do skutku ułożony staraniem panny Zofii Malhomme. Szlachetne to przedsięwzięcie wymagające wiele trudów i poświęcenia ze strony utalentowanej amatorki, najpomyślniej się udało. Licznem zebraniem publiczność dowiodła, że ceni piękny talent urządzielki tego koncertu, (albowiem panna Malhomme największy udział w programie onego przyjęła), i że chętnie spieszy z pomocą dla cierpiącej ludzkości, jak tylko jakakolwiek sposobność się ku temu nadarzy.

Koncert albo raczej poranek ten, danym był dnia 30 października 1855 roku w sali Towarzystwa Dobroczynności.

Panna M. najwięcej zdaje się mieć upodobania w kompozycjach Chopina, i z niemi téż najczęściej popisuje się publicznie. Piękny to talent! Główne zalety gry panny M. są: nadzwyczajna czystość, jasność i wyrazistość; dlatego utwory Chopina łatwiej są pojęte gdy je wykonywa panna M., lubo w niektórych miejscach czuć się daje brak *legato*; będącego niejako główną cechą kompozycji tego mistrza. Lecz takiej dokładności w najtrudniejszych nawet ustępach, jaką widzimy w grze téj amatorki, zaprawdę trudno nie podziwiać.

Rondo Dobrzyńskiego i krakowiak Chopina z towarzyszeniem orkiestry, jako téż kilka pomniejszych dzieł ostatniego, były największą ozdobą tego Poranku muzycznego.

Śpiew z chórem do Maryi Malczeskiego, z muzyką Ig. Komorowskiego:

Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie:

Robak się łęgnie i w bujnym kwiecie, i t. d.

pięknie przez pannę Cichorską odśpiewany, jak wszystkie utwory tego kompozytora, zaleca się głębokiem przejęciem tekstu. Melodya poważna, rzewna, chór niepospolicie i umiejętnie prowadzony, przyjemne i głębokie na słuchaczach zrobił wrażenie. Miło jest widzieć, jak znaczne postępy w sztuce czyni talent p. Komorowskiego; mamy nadzieję, że pójdzie jeszcze dalej, gdyż praca nie może jak tylko rozwijać i wznosić do wyższej doskonałości to, co już natura tak hojnie uposażyła.

Główna melodya trzy razy się powtarza, co czyni tę kompozycją cokolwiek monotonna; więc można temu łatwo zaradzić, powtarzając ją dwa razy tylko, a zyska nierównie więcej na zaokrągleniu i zwięzłości.

Ładne duettino *Versate mi del vino* (Schira) dobrze przez panów Roźnieckiego i Fryze odśpiewane, wzbudziło wiele zadowolenia pomiędzy słuchaczami i na żądanie powtórzonem zostało.

Mało jest amatorów, którzyby tak śpiewać umieli i chętnie zasilali wszystkie koncerty amatorskie, jak pp. Roźniecki i Fryze.

Od dawnego już czasu na nich zwykle w podobnym razie liczyć tylko można; a że posiadają niepospolitą wprawą i przyjemne głosy, więc téż żaden koncert bez nich obejść się nie może. Szczególniej p. Fryze od lat kilkunastu jest podporą wszystkich zebrań muzykalnych w naszym mieście.

Dnia 12 listopada 1855 r. rodzina i przyjaciele obchodzili żałobne nabożeństwo w kościele Kapucynów za duszę s. p. Ludwiki z Chopinów Jędrzejewiczowej. Zgon téj zacnej niewiasty dotknął boleśnie familią i zasmucił liczne grono przyjaciół. Wielki artysta a brat jój rodzony Fryderyk Chopin, na jój rękę ostatnie swe tchnienie wydał, a dusza jego ulatując z objęć ukochanej siostry w sfery Boskiej przestrzeni, buja zapewne w obłokach niebieskiej harmonii, której częśćkę niemalą w chwilach natchnienia krótkiego swego życia na tym świecie, podłuchawszy u aniołów, zlał w uroczych tonach wdzięcznej muzyki. Artysty tutejszej opery pod przewodnictwem dyrektora Quattriniego, uczcili to żałobne nabożeństwo pięknie wykonaną mszą kompozycyi Tomaszka, i wykonaniem znanego marsza żałobnego nieśmiertelnego mistrza Fryderyka, a ułożonego na wielką orkiestrę i głosy przez Quattriniego. Komuż nie jest znane to pełne wzniosłego natchnienia dzieło, napisane na fortepian przez Chopina? Na kim te tony głębokiego smutku nie zrobiły, silnego i niczém nie zatartego wrażenia? Lecz jeżeli potężnie działa na duszę słuchacza wprawną i artystyczną ręką grany na samym fortepianie: stokroć potężniej wydać się musi wykonany przez wielką orkiestrę i liczne głosy śpiewaków.

Reber w Paryżu piérwszy ułożył ten marsz na orkiestrę i w kościele św. Magdaleny dnia 30 październ. 1849 r., na żałobnym nabożeństwie za Chopina, wśród requiem Mozarta wykonanym został. U nas, Quattriniemu należy się zasługa za instrumentowanie, tém większa, że ta praca najzupełniej mu się udała. Niełatwą jest rzeczą dzieło na tak popularnym instrumencie jak fortepian, i przez takiego mistrza jak Chopin napisane, instrumentować tak, ażeby wszyscy co je znają w oryginalnym układzie, zadowoleni z tego byli; a przecież na pochwałę pana Quattriniego trzeba przyznać, że tak jest w istocie. Wieloletnie oswojenie się z instrumentami składającymi dzisiejszą orkiestrę, szczegółowe zbadanie ich własności i charakteru, tudzież umiejętne zastosowanie różnostronnego ich kolorytu do tonu dominującego dzieła: ułatwiło bezwątpienia trudne zadanie, którego się podjął pan Quattrini.

Fagoty, altówki i bassy, łącznie z metalowemi instrumentami w tonie *B minor*, rozpoczynają piérwsze dwa takty tego marsza; w trzecim skrzypce intonują temat, a w jedénastym takcie cała orkiestra wraz z chórem wchodzi i rozwija stopniowo w silniejszych miejscach fortissimo, łącznie z solowemi głosa-

mi, w których jednakże sopran chórowy przemaga, aż do delikatnego pianissimo; co służy za wejście do tonu *B major*. Cały ten ustęp szczęśliwie instrumentowany, szczególnie władanie trombonami i chórem, naprzykład w taktach 11 i 22, podnosi tę szczytną kompozycją do majestatu, którego jej brakować musi, gdy jest tylko na jednym fortepianie wykonaną. Wzniosłą i rzewną melodyą *B major*, którą twórca tego wielkiego dzieła jako balsam pociechy na stroskane pochodem żalobnym serca w pośrodku umieścił, rozpoczyna sopran solo z wielonczellami, mając za towarzyszków tylko smyczkowe instrumenta: w dziewiątym takcie flet i klarnet razem z altem solo wychodzące, zdają się mieć przeznaczenie łagodzić swym tonem wyrazistość naturalną *contr-altu*. Następnie dwa te głosy łączą się razem, będąc wspieranemi zlekka pierwszymi skrzypcami, wiolonczellami, waltorniami, obojami; i znów też same co z początku instrumenta, lecz już wraz z chórem, powtórnie marsz rozpoczynają. Ostatnie tylko cztery takty, jako przez autora w oryginalnie nie użyte, że nawet wyprowadzają zakończenie z właściwej toniki *B minor* na *des major*, nie zdają mi się być koniecznemi i przeciwko nim ośmielę się protestować. Lecz całemu układowi instrumentalnemu oddaję najzupełniejszą sprawiedliwość; bo nieuszkodziwszy w niczem pierwotnemu rysunkowi, przez dobre i szczęśliwe użycie koloru instrumentalnego, pan Quattrini umiał mu nadać wiele świetnej barwy, ożywczego ciepła i tony dominujące melodi i harmonii podniósł do potęgi olbrzymich rozmiarów. W pierwszych zaraz akkordach rozpoczynających marsza, Chopin chciał wyrazić odgłos dzwonów pogrzebowych; w orkiestrze to się nie da tak łatwo naśladować na powszechnie przyjętych i do jej składu zastosowanych instrumentach: ani smyczkowe, ani dęte, wymaganego w podobnym razie dźwięku nie posiadają. P. Quattrini nadzwyczaj szczęśliwie użył tamtamu, to jest dzwonu chińskiego. Znanym jest zapewne czytelnikom ponuro brzmiący odgłos tego instrumentu: otóż w początkach każdego taktu pierwszej i ostatniej części, dźwięk tamtamu rozlewa swe brzmienia na wszystkie po sobie idące instrumenta, i nadaje im ton posępny, tak właściwy, i tak konieczny w wykonaniu tego grobowego dzieła.

Szczęśliwie dokonana proba ułożenia na orkiestrę tego pierwszego dzieła znakomitego naszego kompozytora, zachęcić powinna wszystkich do naśladowania Rebera i Quattriniego; tyle bowiem utworów stosownych do orkiestrowania zostaje, pomijam inne a przytoczę Polonezy... Tylko pracowników niech nie brakuje, a ta bogata kopalnia zaledwie dotknięta, może dostarczyć niesłychanych bogactw dla sztuki, i obdarzyć miłujących ją tysiącami rozkoszy: bo geniusz Chopina był tak uczuciowym, głębokim i pełnym wzruszeń, że go z żadnym porównać



nie można. Na jednym instrumencie, w kilku liniach, które dziecko wygrać może, potrafił się wznieść do niesłychanej potęgi poetycznej, do siły i energii dramatycznej bezprzykładnej. Umiął on się obejść bez wielkich i licznych zasobów materialnych do wykazania całej świetności swego geniuszu; nie potrzebował potężnych mass instrumentów dla przerażenia duszy ludzkiej, ani organów kościelnych, ani też głosu ludzkiego, by napęlić duszę wiarą lub entuzjazmem. Od ogółu nie był i nie jest jeszcze poznanym. Potrzeba wielkich postępów w sztuce, w smaku i intelligencyi, ażeby jego dzieła stać się mogły popularnemi. Przyjdzie jednakże czas, gdy będą układać na orkiestry jego utwory muzyczne, nie zmieniając w niczem partycyi fortepianowej, a dopiéro wtenczas wszyscy poznają, że ten geniusz tak w pomysłach szeroki, skończony, również uczony jak najwięksi mistrze w muzyce, zachował swą indywidualność więcej jeszcze wytworną jak Sebestyan Bach, potężniejszą jak Beethoven, dramatyczniejszą jak Weber. On sam jest tém wszystkiém, co ci trzej byli, i jest jeszcze samym sobą. to jest, więcej rozwiniętym w guście, surowszym i poważniejszym w wielkości, więcej rozdzierającym w boleści. Sam Mozart tylko od niego jest wyższym, bo Mozart w dodatku posiadał błogi spokój, pochodzący z organizmu fizycznie zdrowego, a tém samém używał całej wszechwładzy swego życia (1).

## II.

Panowie Friedlein i Sennewald obdarzyli nas w tych czasach kilkumilcami wydaniem krajowych kompozytorów: niektóre z nich za granicą wydane, odznaczają się staranném odbiciem. Ubolewać potrzeba, że nie mamy zdolnych litografów ani dobrego papieru: dlatego i zachód i koszt większy być musi, a to jak wiadomo, nie ułatwia wcale pomyslności przedsiębiorczej nakładców naszych. Już o koniecznej potrzebie wprowadzenia dobrego litografa nut muzycznych, Gazeta Warszawska wspomniała; do jój i my swoje życzenia przyłączamy, czując gwałtowną potrzebę tego środka. Zakład litograficzny Fajansa tak wzorowy i zamożny pod wielą względami, jest silnie za to odpowiedzialnym: do niego się też najsamprzód odwołujemy, a może głos nasz nie będzie głosem wołającego na puszczy.

Nowakowski wydał nakładem Friedleina mazurka do śpiewu pod tytułem: Nie patrz w inną stronę (słowa Chęcińskiego). Wykonany był po raz pierwszy przez panią Gruszczyńską w Napoju Miłosnym. Nie jest on tak przystępnym jak wiele

(1) Georges Sand w pamiętnikach swoich.

poprzednich śpiewów tego kompozytora, skomponowany dla śpiewaczki posiadającej głos obszerny, znacznie wyrobiony; i chociaż o dwa tony niżej przerobionym został, jednakże trudności wokalizacyjne są w nim jeszcze tak znaczne, że niełatwo popularnym stać się może. Kto go słyszał z towarzyszeniem orkiestry, przyzna, iż wiele traci śpiewany z fortepianem: tak dobrze i starannie, szczególnie w trzeciej części jest instrumentowanym. Melodya świeża i piękna, lubo niedosyć oryginalna, mile wpada do ucha, a trudności jakie się w nim znajdują, powinny tylko zachęcić nasze sopranistki do ich pokonania.

Chociaż to życie idzie po grudzie: polonez Ignacego Komorowskiego do słów W. Pola (u Friedleina), przystępny i łatwy dla każdego, jak wszystkie prawie utwory tego kompozytora, wymaga tylko półtorej oktawy, to jest tyle właśnie, ile wszyscy ludzie śpiewający lub nie, naturalnego głosu posiadają. A ponieważ charakter tego poloneza jest czysto narodowy, że melodya miła, wiele prostoty posiadająca, że i akkompaniament jest dosyć przystępny, co nie w każdej pieśni K. ma miejsce: więc powodzenie jego łatwo się da przewidzieć i usprawiedliwić. Liczni wielbicielowie tego młodego kompozytora, co z taką sympatyą każdy jego utwór witają, zapewne i ten serdecznie przyjmą, i wdzięczni będą p. Friedleinowi za to nowe ogniwo w łańcuchu melodij rodzinnych, jakim imię Komorowskiego już oddawna jest otoczone.

**L a G r a z i o s a:** polka salonowa utworu Emanuela Kani, zgrabna i miła, każe nam się spodziewać przyjemnego i bardzo pożądanego kompozytora muzyki salonowej na fortepianie. Jest to już 7 dzieło; nie znamy poprzednich kompozycyj pana K., lecz można się spodziewać, że jako biegły pianista, znający dokładnie swój instrument, musi je starannie, sumiennie i dobrze opracowywać.

Mają wkrótce wyjść Etudy p. Kani u Sennewalda; o tych, jako i o Lubowskiego u tegoż wydanych, później damy sprawozdanie.

Krzyżanowski znany z wielu wyższej wartości utworów muzycznych na fortepianie, wydał u Friedleina śpiew do słów B. Zaleskiego pod tytułem: **S p o m n i e n i e**. Motyw mazurka ładny, lecz autor nie miał tego na uwadze, że potrzeba śpiewającemu dać choć chwilę odpoczynku; trudno, ażeby 54 takty mogły być bez wytchnienia odśpiewane. Jest to błąd, którego pan K. w późniejszych tego rodzaju utworach pewno z łatwością uniknie.

**J a n e k:** śpiew i muzyka ułożona przez Konstantego Sobańskiego (u Friedleina). Metoda tej pieśni jest trywialną i bez oryginalności, akkompaniament nieśmiały i błady. W takcie siódmym niepotrzebna pauza, gdyż sylaba wiersza w owym

takcie przenosi się na ósmy; pomiędzy 15 i 16, 31 i 32, 39 i 40, też same błędy.

Kajetan Kraszewski wydał u Sennewalda *L'Absence, Valse caractéristique*, dzieło 104. Po liczbie dzieł wydanych widzimy, że p. Kraszewski jest bardzo płodnym, więc oczywiście nie brak mu zdolności do komponowania. Pięknie i chwalebnie jest, gdy amator ma tyle zamiłowania do muzyki, i wolne chwile swego czasu poświęca kompozycji. Lecz ażeby jemu i ogółowi przyjemności i pożytek z tego wypłynął, potrzeba cokolwiek więcej umieć. We wszystkich utworach pana Kraszewskiego przebija nieznajomość harmonii. Każda nauka ma swoje zasady i reguły, a przy najkorzystniejszym nawet od natury usposobieniu, tylko u źródła wiedzy zaczerpnąć je można. Środkiem do tego są: praca i wytrwałość, prowadzone pod dobrym przewodnikiem, a zdolności lub natchnienie takimi posiłkowane, mogą dopiero przynieść błogie owoce. Niechby p. Kraszewski przez rok chociaż przestał pisać, a przynajmniej drukować, i wziął się do poznania zasad kompozycji lub tylko harmonii: jestem pewny, że przy wrodzonych zdolnościach, jakie posiada, sobie i innym prawdziwą przyjemność i pożytekby sprawił.

M. K.



## ROZMAITOŚCI.

---

### *Józef Lompa i jego stanowisko na Szlązku.*

Podczas kiedy większe narodowości słowiańskie, pod wpływem sprzyjających okoliczności uprawiają swoją literaturę, podnoszą język i dążą do oświaty: ludność polska na Szlązku, już położeniem swoim geograficznem, już to politycznym stanowiskiem odcięta od innych narodów słowiańskich, pozostała w tyle pod względem oświaty i literatury! Język nawet, zaniechany przez wyższą warstwę społeczeństwa, chylić się począł ku upadkowi, gdy w ostatnich czasach znalazło się kilku pełnych zasług a mało znanych wskrzesicieli onegoż. Do tych bezprzeczenie należy Józef Lompa, o którym pisma publiczne kilkakrotnie chlubnie wspominały.

Jeżeli uważymy szczupły zakres działania, wielką liczbę przeciwności i brak zupełny wszelkich widoków osobistych, jakie towarzyszyły Lompie od początku jego usiłowań: ocenimy tém więcej jego zaparcie się siebie, jego bezinteresowność i wyższe dążności; a chociaż nie odznaczył się świetnym talentem ani kwiecistym stylem, jednakże jego zawód literacki niezatarty ślad pozostawi wśród téj zaniedbanéj ludności. W początkach prace jego wiodły się z większą dla niego pomyślnością: wielu obywateli W.K. Poznańskiego wspierało wydawnictwo jego dziełek, Obok tego posada nauczyciela wiejskiego w Lubszy, powiecie lublinieckim, przynosiła mu dochody wystarczające na utrzymanie się wraz z rodziną; jednakże pośród zawikłań rozmaitego rodzaju, jakim rok 1848 dał początek, i los biednego Lompy uległ zmianom, od jakich jego ciche zasługi uchronić go były powinny. Dzisiaj oddalony od swéj posady ulubionéj, skazany na nędzę, nie przestaje pracować dla ludu górno-szlązkiego.

Krótki rys życia autora naszego i kolei jakie przechodził, nie będzie, zdaje się, bez interesu.

Józef Lompa urodził się 1797 r. w powiatowém mieście Oleśnie (Rosenberg). Ojciec jego mieszczanin, szczupły majątek posiadający, prowadził handel kramarszczyzny i ogrodowizn. Nauki elementarne zaczął Lompa w mieście rodzinném. Licząc lat 12, był śpiewakiem na chórze i grał już na skrzypcach i na organach. W 14 roku życia oddał go ojciec jego do konwentu OO. Reformatów w Wieluniu, gdzie pełnił służbę organisty, przyczém miał chodzić do tamtejszych szkół pijarskich; ale przestraszony namowami Reformatów do życia zakonnego, do którego nie czuł w sobie powołania: wydalil się cichaczem z ich murów. Ojciec oddał go wtedy, wbrew jego chęci do kancelaryi sądu patrymonialnego w Oleśnie jako aplikanta, zkąd po dwóch latach dostał się na posadę protokulanta i tłumacza sądu miejskiego w Więckowicach, w pobliżu Gorzowa. Później wszedł w obowiązki prywatnego sekretarza u p. Jordana prezesa kommissyi glniej spraw ziemskich i włościańskich w Szywałdzie. Zebrawszy niejakie fundusze poświęcił się stanowi nauczycielskiemu. Wstąpił w lipcu 1815 do seminarjum w Wrocławiu, zkąd po dwóch latach osiągnąwszy najlepsze świadectwa, był wysłany na pomocnika nauczyciela we wsi Cieszynie powiecie sycowskim. W 1817 r. otrzymał posadę nauczyciela, organisty, pisarza gminnego i urzędnika akcyzy we wsi Łomnicy pow. oleskim, zkąd przeniósł się do Lublińca, a w końcu do Lubszy. Kiedy książę Württembergi (1) żądał, aby mu kanonik Krüger, jako dyrektor seminarjum nauczycielskiego w Wrocławiu, polecił nauczyciela wiejskiego: przedstawił ten ostatni Lompę, który jednakże wołał zostać w Lublińcu, gdzie miał pole działania w ulubionym zawodzie.

Już w roku 1829 był Lompa znanym w Warszawie: książę Falkowski dyrektor zakładu głucho-niemych starał się o wysłanie go na koszt rządu królestwa polskiego do Wrocławia, w celu wydoskonalenia się na nauczyciela ciemnych, dla których w Częstochowie szkołę otworzyć zamysłał. Wypadki roku 1831 przecięły te zamiary. W tymże roku jako tłumacz przysięgły polskiego, czeskiego i niemieckiego języka, Lompa czynił co mógł dla Szlązka, przy regulacyi granic polsko-szlązkich. Wezwanie na katedrę nauczyciela przy seminarjum wrocławskiém, odrzucił w roku 1848, przekładając powtórnie ciszę wiejską i swoje prace dla ludu.

W Lubszy, gdzie Lompa najdłużej i ostatecznie przebywał, było 250 dzieci szkolnych, a szkoła zaledwie 100 pomieścić ich mogła. Za jego staraniem wystawiono nową szkołę, której ogród swojemi prawie rękami rozprzestrzeniony, zasadził Lompa drzewami owocowemi i przeszło 500 gatunkami roślin, z których każda miała tabliczkę z nazwiskiem botaniczném po łacinie, po niemiecku i po polsku. W kościele brakowało organów, w pół roku za staraniem Lompy stanęły organy. Kościół ciasny i ciemny przyozdobił i rozprzestrzenił piękną kaplicą, na którą składki

(1) Gwiazdka cieszyńska, nr. 11, rok 1855.

zbierał po fenigu, i swoich dołożył funduszków. Rozprzestrzenił ementarz i opasał go murem. Swoim kosztem wykopać kazał studnię: słowem, nie zważając na prześladowania i zazdrości, nie szczędził trudów dla dobra i pożytku ludu. Będąc przez jakiś czas współpracownikiem wychodzącego w Bytomiu Tygodnika polskiego, ściągnął na siebie gniew niechętnych sobie ludzi, i takiego człowieka, który w Lubszy tyle zasług położył, uznano za dającego zły przykład i jako oddanego wszelkim złym nałogom, odsunięto.

Dzieląc swój czas międzyszkółką i hodowaniem pszczół, napisał Lompa wiele pożytecznych książek i broszur w przedmiotach dokładnie przez niego zbadanych. Utrzymywał ciągle korespondencye w języku niemieckim z Büschingiem, Rendschmidtem, i Gizewiusem. Zasiłał licznemi artykułami czasopisma, jak: Schles. provinzialblätter, Oberschles. Bürgerfreund, Oberschles. Wanderer, Bergfreund, Kreuzburger Telegraf i inne. W Tygodniku polskim (Pszczyna), w Przyjacielu ludu (Leszno), w Dzienniku polskim (Bytom), w Szkole polskiej, w Ziemianinie, były drukowane jego rozprawy, klechdy i wiersze. Prócz tego Lompa wydał w osobnych książkach i broszurach:

1. Krótki rys historii Szlązka dla szkół elem: 1822.
2. Zbiór wierszy 1. 2. 3. zeszyt, 1843—44.
3. Zbiór pieśni nabożnych.
4. Książka do czytania dla średniej klasy szkół elemen: podług Rendschmidta, 1843.
5. Pielgrzym w Lubopolu.
6. Krótki rys historii naturalnej.
7. Historia o Gryzeldzie i margrabi Walterze.
8. Historia o szlachetnej Meluzynie.
9. Mały górnik.
10. Chłopiec niewidomy.
11. Krótki rys geografii Szlązka.
12. Kruszcze srebrne, w Bytomiu.
13. Wzory kaligraficzne.
14. Wzory rysunkowe.
15. Pieśni podczas oktawy Bożego Ciała.
16. Pieśni kościelne na dni świątalne.
17. Nowy pszczolarz ks. Dzierżona.
18. Nabożeństwo w postnym czasie.
19. Rachownik pamięciowy.
20. Złota rodzinna książka.
21. Nauka hodowania drzew owocowych.
22. Wskazówka do zakładania żywych plotów.
23. Wskazówka do zakładania korzystnego warzywnych ogrodów.
24. Kalendarz katolicki, 1850.

W ciągu swego zawodu nauczycielskiego tłumaczył Lompa wiele przywilejów czeskich na język niemiecki, dla król. pruskiej kom. delegowanej do regulacji granic z królestwem polskim, także dla państwa Zurowa w powiecie wielko-strzeleckim, dla miasteczka Woźnik, dla kancelaryi sądowych i dla wiejskich gospodarzy. Był często wzywany przez landraturę i władze sądowe za pisarza i tłumacza polskich protokołów. Jako członek grona literackiego w Gostyniu W. Ks. Pozn. otrzymywał z tamąd zasiłki pieniężne, ale przesławszy temuż towarzystwu do przeglądu pisma swoje: *Officium def.*, *Geografia monarchii pruskiej*, *Sto powieści dla młodzieży*, *Klechdy*, *Przysłowia* i *Pieśni ludu szląz.* z melodyjami i kostiumami, *krakowiaki*, *zabobony*, *obyczaje* i t. d., nie otrzymał tychże więcej. Ztąd rozgłosiło się jego imię w dziennikach.

Na tle literatury szlązkiej tak ciemnym dotąd, okazuje nam się Lompa jako bardzo ważne zjawisko. W czasach, kiedy obok upadającej narodowości, obyczajność się psuła, wiara słabnęła: powstaje wśród prostego ludu człowiek pełen tejże prostoty, a ożywiony jakby wyższym natchnieniem, wspierany jakby nadludzką siłą, poświęca się dla swoich współbraci, dźwiga ich moralnie potęgą swoich wielkich chęci. Zapomina o sobie w tych pracach dla ogółu, i starość zastaje go w nędzy.

Nakoniec w sierpniu 1855 ogłosił Lompa prenumeratę na dziełko pod napisem: Życiorysy biskupów szlązkich, z którego dochód przeznaczyl na odbudowanie spalonego kościoła w Smogorzewie na dolnym Szlązku. Dziwny zbieg okoliczności czyli zrządzenie Boże! Pierwszy niemal ubogi przybytek boski na Szlązku 900 lat przetrwawszy, zgorzał, i dziś w wieku, gdzie wiara rozszerzona i chrześcianiizm panuje od końca do końca Europy, dziś ubogi pierwszą stawia cegielkę do odbudowania stariej świątyni Pańskiej: bo jak sam pisze o sobie: „niepoznany i niby obcy między swojemi, choć nie posiadający złota ani srebra, a sam pomocy potrzebujący, chce ofiarować na co się w miarę sił swoich zdobyć może.”

W roku 1852 e. k. towarzystwo rolnicze krakowskie zważywszy zasługi, jakie Lompa oddał rolnictwu przez napisanie tylu ważnych dziełek w tym przedmiocie: mianowało go swoim członkiem korespondującym.

Obecnie mieszka Lompa w Lubszy pod Woźnikami w dol. Szlązku; za cały dochód pozostała mu posada przysięgłego tłu-macza. Żona jego trudni się handlem, ale mimo pracowitego żywota obojga, liczna ich rodzina często cierpi niedostatek.

J. J.

*O gąsienicach, które w miesiącu styczniu b. r. wyszły na śnieg przed gmachem Instytutu Szlacheckiego w Warszawie.*

W niedzielę, d. 20 stycznia r. b. uwiadomiony zostałem, że plac rekreacyjny przed gmachem Instytutu Szlacheckiego w Warszawie, okrył się gąsienicami żywemi, z których jedne chodziły po śniegu, drugie w połowie do lodu były przymarzłe. Przyłączony do uwiadomienia okaz żywy, z największych wybrany, nie zostawiał mi żadnej wątpliwości, iż to są gąsienice chrząszczowatego owadu nazwanego omomiłkiem szarym (*Cantharis fusca* Lin.), to jest te same, o których już oddawna z różnych Europy okolic donoszono, że w znacznych ilościach wśród zimy ze śniegiem spadły, burzą uniesione; i których spadnienie takie w Prosopowie, wsi Litewskiej, przed kilką laty wydarzo-

ne, ciekawie i obszernie opisał naturalista nasz s. p. Konstanty hr. Tyzenhauz, w Bibliotece Warszawskiej z r. 1849, w zeszytcie za kwiecień, tom II od str. 189.

Udałem się natychmiast na plac rekreacyjny przed gmachem Instytutu Szlacheckiego, gdzie kilka światłych osób należących do składu tego Instytutu, upewniły mnie, że były naoczniemi świadkami, jak znaczną przestrzeń na tym placu i w przyległym mu ogrodzie, okrywała tego dnia z rana mnogość pomienionych gąsienic żywych i chodzących; ukazały mi oraz na śniegu, a nawet dopomogły zebrać znaczną ilość takich, które jeszcze dotąd (po południu) błędziły, zwłaszcza po ścieżkach na placu i ulicach w ogrodzie.

Ucieszyłem się, że mam, chociaż nie całkowicie przedstawione, przed własnymi oczyma zjawisko, o którym w różnych czasach tak głośno opowiadały różne europejskie dzienniki: ale upewniłem się oraz, że nie było żadnej przyczyny do przypuszczenia, iż te gąsienice burza tam zaniósła. W poblizkim gaju w zwykłych kryjówkach swoich, gdzie je każdego lata znajdować można, rozbudzone z zimowego letargu ciepłem atmosfery do + 2° R. dochodzącém, a razem wodą topniejącego śniegu z nich wyparte, wystąpiły na plac otworzysty, dokąd je światło dnia kierowało; a potem chroniąc się przed oziębieniem, wróciły do takichże lecz mniej zalewowi uległych kryjówek, jakoto: pod kupy liści w poblizku pozgarnianych, pod różne na ziemi leżące przedmioty, i pomiędzy trawę. Jakoż, znalazłem jedne już w takich miejscach spoczywające, drugie jeszcze do nich ciągnące po śniegu, i trzecie naostatek, które pozostały na drodze, to dla osłabienia iść dalej niezdolne, to stopami osób tamtędy przechodzących nadgnięcione, to nawet zupełnie martwe.

Wróciwszy do siebie wziąłem się zaraz do porównania dat, w których przedtém spostrzegano takie same gąsienice wśród zimy, i znalazłem w swojej własnej wzmiance o nich, położonej na 188 stronnicy Biblioteki Warszawskiej (*l. c.*), to jest przed artykułem hrabi Tyzenhauza, że w r. 1749 w Leufsta w Szwecyi spadły w styczniu; w r. 1806 w Anspach, spadły 14 stycznia; w r. 1847 przy wsi Noethen nad Renem, spadły 30 stycznia; nakoniec w r. 1849 w Prosopowie, spadły d. 24 stycznia. Z tych czterech zdarzeń, które w tak odległych od siebie miejscach i latach uważano i zapisano, wszystkie przypadły w styczniu a nawet w dniach siebie nie dalekich, bo zawsze między 14 a 30 stycznia, to jest równie jak i te gąsienice, które się dziś na placu rekreacyjnym przed Instytutem Szlacheckim zjawily. Gdybysmy w tém widzieli, że meteor nazwany w fizyce trąbą powietrzną (bo tylko ten porwałby mógł wśród burzy i ponieść znaczną masę żywych gąsienic), który u nas wydarza się ale nie w styczniu, przez jakiś szczególny wyjątek cztery lub pięć ra-



zy powtórzył się w drugiej połowie stycznia: natenczas nie mogłoby nas zarazem i to nie uderzyć, że meteor ten ile razy przypadł w drugiej połowie stycznia, zawsze zastał masy gąsienic omomilka szarego na powierzchni ziemi, jakby sobie nagotowane do porwania i uniesienia. Słowem, byłby tu razem dowód, że w drugiej połowie stycznia u nas, i wydarzają się trąby powietrzne, i wychodzą na wierzch śniegu gąsienice omomilka szarego, porywane przez tamte. Gąsienice widzieliśmy na placu rekreacyjnym przy Instytucie Szlacheckim rzeczywiście chodzące po śniegu w dniu 20 stycznia, ale co do trąby powietrznej, któraby je tam zanieść mogła, do téj nie było w naszych okolicach żadnego usposobienia w atmosferze, ani w tym dniu, ani w najbliższych poprzedzających. Nastąpiła tylko w tym czasie odwilż, i w dniu 20 b. m. było ciepło  $+ 2^{\circ}$  R. przeszło (1), co trafia i w okoliczność wzmiankowaną przez hr. Tyzenhauza, podług którego odwilż (odliga) w Prosopowie spowodowaną została temperaturą  $3-4^{\circ}$  ciepła w okolicy.

Ktokolwiek zatem wszystkie te okoliczności i związek pomiędzy nimi z należytą rozważą oceni, ten przyzna, że daleko prawdopodobniejszą i zgodniejszą z ustawami natury jest rzeczą, iż gąsienice omomilka szarego (których w każdej okolicy tyle przynajmniej być musi w zimie, ile bywa tamże omomilków na wiosnę, zatem bardzo wiele), ogrzane ciepłem wśród zimy, występują na wierzch ziemi, to jest są gdzie były; niżeli, że je tam zanoszą burza, która sprawia w samym środku zimy jakiś przypuszczony meteor: *deszcz owadzi*, *Insectenregen*, *pluie d'insectes*, a któremu coś podobnego wydarza się tylko w porze wegetacji. Podług nowéj teoryi Peltiego, trąby morskie i powietrzne są skutkiem łączenia się dwóch elektryczności: w chmurach dodatniej, w ziemi odjemniej, i dlatego w gorących tylko dniach bywają. Przykład zaś stałego i z ustaw natury wynikającego wychodzenia na śnieg zimujących pod nim owadów, podaje nam prawie corocznie pchlica śniegowa (*Podura nivalis* Lin.), zwykle tak liczna, iż gdy wystąpi, znacznej rozległości przestrzenie śniegu zdają się być jakby gęsto prochem strzelniczym zasypane.

Już w przytoczonej wyżej wzmiance mojej (Bibl. Warsz. t. c.) powiedziałem, że „ktokolwiek uważał tę czarną gąsienicę zblizka, postrzegł, że natura ze szczególną troskliwością uzbroiła ją na dwa przypadki: wilgoć i zimno“. Uzbrojenie to stanowi

(1) Poprzedzającego dnia, to jest w sobotę 19 stycznia, o godz. 10 wieczór, było  $\frac{1}{2}$  stopnia R. ciepła. W nocy z dnia tego na 20sty, było  $-1\frac{3}{10}^{\circ}$  R. Dnia 20, to jest w niedzielę,  $-0\frac{7}{10}^{\circ}$  R., a w południe dnia tegoż  $+2\frac{8}{10}^{\circ}$  R. *Wyciąg z obserwacji czynionych w Obserwatorium astronomiczném warszawskiem, zatem miejscu sąsiedniém Instytutu Szlacheckiego.*

aksamit, który ją odziewa: w drobnej i gęstej barwie jego jest razem i jej futro, i opatrzenie które zwykle tam natura daje, gdzie wody dopuścić nie chce. Zatrzymajmy się na tém, a tymczasem wyrozumiejmy, do jakich też natura przeznaczeń, aksamitem przyodzianą gąsienicę omomilka powołała.

Z nadchodzeniem cieplej roku pory, nie naraz powstają wszystkie familie i gatunki owadów, tych krótkiego żywota zwierząt: lecz każdy ma swój termin, na który corocznie stawa, i wtedy najliczniej się zjawia. W takichto terminach widzimy wszędzie chrabąszcza w maju, po nim gryczana (*Melolontha horticola* Fab.) od początku czerwca, po tym czerwczyka (*Mel. solstitialis* Fab.). Widzimy majówki, kantarydy, świetliki czyli świętojańskie robaczki, czerwiec, jętki i t. p. w ich tylko porach, które gdy przejdą, gatunków tych nie ma. Wziąłem przykłady z tych gatunków, które są powszechne, to jest w całej naturze rozsiane, tak że je spotyka i zna każdy; ale entomolog widzi to samo z krociami innych, jemu tylko znanych (1). Pory te nie są długie, często i trzech tygodni nie przechodzą; z czego nawet wynika, że niektórych familij owady. nigdy się z sobą żyjące spotkaćby nie mogły, jak np. majówka, która bywa w kwietniu i maju, nie spotka się ze ścięglcami (*Leptura*), które występują dopiero w lipcu i sierpniu. Utrzymanie tej kolei, która ma za cel różnorodność, wymaga, żeby wcześniejsze ustępowały dla późniejszych. Kolej ta jest jeszcze taką, że na początku, to jest z wiosny, najmniej występuje familij, potem coraz więcej; tak, że gdy znowu przybliży się zima, wtedy najwięcej znajdzie się owadów skazanych na zginienie, bo i wszystkie familie końcote, jakich jest najwięcej, i ostatki niemałe wcześniejszych. Przed każdą zatem familią musi ginąć poprzedzająca, a do pomżenia temu służą gatunki drapieżne, między którymi są także i czasowe, jak np. omomilki, które przez czerwiec tyle innych owadów pożerają. Wszakże takich pożerców potrzeba najwięcej w jesieni, kiedy wszystko musi ustąpić, a nic nastąpić przed zimą. Owóż w jakim celu powstają wtedy te miryady pajaków, których pajęczyny przynosimy z sobą na odzieży z ulicy miasta, z ogrodu, z pola i t. d.: słowem z każdego miejsca na które wyjdziemy, a co jest dowodem, że na każdym są wtedy pajaki, na każdym mają swe pożywienie, to jest owady.

Lecz powie każdy: trzeba żeby i te nakoniec ustępowały. W rzeczy samej, w miarę jak się coraz zimniej robi, w późnej jesieni, one się chronią wszędzie tam, gdzie tylko roślin szczą-

(1) Poczytuję za rzecz prawie zbyteczną uprzedzić, że tu mowa tylko o tych czasowych czyli przechodnich familiach, które ukazują się w swoich porach i znikają, a nie mówi się nic o mnóstwie ciągłych, których osobniki w stanie dojrzałym żyją przez rok cały, a nawet przez lat kilka, jak np. owady szczypawkowate (*Carabiques*).

tki liczniej się zgromadzą: w kupy śmieci i barłogów, pomiędzy liście już wtenczas z drzew spadające; tam szukają przytułku, zwłaszcza na noc, tam są na końcu jesieni po większej części wygłodzone, chore, skaleczone, niezdatne już do służby na rok następny, choćby i zdołały przezimować. Takie więc wszystkie można poświęcić komu potrzebniejszemu życia.

Miejsca, w których je zaskakuje zima, są właśnie temi samymi, w których przebywają czarne gąsienice omomilka. Przeznaczone do zimowania w swoim gąsieniczym stanie, do samego końca nieśniegowej pory, potrzebują te ostatnie żywności odpowiedniej żarłocztwu swojemu. Sprzątają więc naostatek wszystko co dotąd żyło, i na końcu życia zniedołężniało: ostatnie owady, ostatnie pająki. Oneby stokroć uszły przed nimi samą szybkością nóg swoich, którą je o wiele przewyższają, gdybyto nie były starzy aktorowie i spracowani na wielkiej scenie świata; inwalidzi pokaleczeni w całoletniej kolei walk i bitew. Gąsienice omomilka nie potrzebują zatem kryć się głęboko w ziemię, jak to czynią te, które się żywią roślin korzeniami. Dla nich, mających tęgą i nieprzemakalną odzież, dosyć schronienia na ziemi pod liśćmi lub pod czemkolwiek co porzucone: tam się im zgromadziła zdobycz na wszelki przypadek jej potrzeby wystarczająca. Ufne w swój nieprzemakalny aksamit nie lękają się tam przebyć całej dżdżystości jesienniej: woda, która je wtedy oblewa, zaraz i wsiąka w pragnącą jej ziemię. Nie lękają się i mrozów zimy, jak wszelkie zwierzę, które na tę roku porę drętwieje. A że nie idą głęboko w ziemię, ztąd i niebawem wychodzą na wierzch, skoro je ciepło wśród zimy ogarnie.

Lecz tak usposobionym istotom, twarda a zwłaszcza nadzwyczajna zima, może w pewnym zbiegu okoliczności dotkliwie dokuczyć. Jeśli się mrozy do tego stopnia wzmożą, że wszystka ziemia naokoło nich stale zlodowacieje, a potem śnieg je przywali, są one wprawdzie w całym bezpieczeństwie przed zimnem, i żyłyby w swoim miejscu, gdyby ten stan rzeczy trwał ciągle. Bywa jednak, że po takich mrozach następuje ogrzanie się atmosfery i do kilku (+ 2 do 4° R.) stopni ciepła, a wtedy śnieg na wierzchu leżący topnieje; woda zaś w którą się zamieni, nie mogąc wsiąkać w ziemię, która jest wtedy lodem, zatrzymuje się na wierzchu, tworzy chwilowe kałuże, i siedliska gąsienic zalewa. One zaś potrzebujące wprawdzie wilgoci, ale nie zdolne żyć w wodzie, muszą uciekać przed nią dokądkolwiek gdzie jej nie ma, obudzone z letargu témże samem ciepłem, które wodę sprawiło. Owoż z jakiej przyczyny wędrują niekiedy wśród zimy, nawet po śniegu.

Kto teraz przeczyta szczegółowy opis Tyzenhauza (Bibl. Warsz. l. c.) widzianych w Prosopowie, albo Brahma (Der Naturforscher. t. 29, str. 176) widzianych w r. 1799 w lasach Bingen

w Darmsztadzkiem, przekona się, że obydwie te zdarzenia wywołała odwilż, a nawet deszcze wśród tęgiej zimy, jak to właśnie i u nas tego roku było. Że zaś taki stan niekoniecznie przydarzyć się może w styczniu, wędrówki tych gąsienic widywane były i w lutym, jakoto: w r. 1811 w Saxonii, i dawniej w 1799 w Darmsztadzkiem, gdzie, jak stwierdza autentycznymi poświadczoniami Brahm (*l. c.*), zbierano je w różnych miejscowościach na śniegu, w dniach 11 i 12 lutego (1). Gąsienica oromiłka jest tak usposobiona do wytrzymywania zimna, że byleby otoczyła ją temperatura cokolwiek wyższa nad zero, zdolna już ruchy odbywać na śniegu, i słusznie téż od Niemców robakiem śniegowym (*Schneewurm*) jest nazwana.

W Warszawie,  
d. 25 stycznia 1856 r.

Antoni Waga.

(1) We wzmiance mojej (*Bibl. Warsz. l. s. c.*), przywołując ten przykład, położyłem przez omyłkę nie tę datę lecz inną, podaną przez Brahma jako czas, od którego po rozpuszczeniu rzek, w okolicach Moguncyi zaczęły się na nowo mrozy, lecz przeplatane mgłami, deszczami, śniegiem, wśród których znajdowano te gąsienice koło połowy lutego. Zob. *Der Naturforscher*, vol. 29. pag. 177, 178.



## Doniesienia literackie.

### WARSZAWA.

Znany w piśmiennictwie naszym Felix Jeziński, wkrótce ogłosi drukiem swoją pracę p. n. „Nauka, sztuka, i społeczność”. Zajmuje się obecnie wykończeniem dzieła: „Przystępny wykład rozumowanej grammatyki”.

— Apolinary Zagórski skończył przekład 1-go tomu Astronomii popularnej Franciszka Arago.

— Kuryer Warszawski donosi, że p. Grzegorz Jachótkowski b. naczelnik kancelaryi Magistratu m. Warszawy, emeryt, spisuje oddawna przypomnienia z czasów obecnych, szczególnie obchodzące przeszłość Warszawy. Prostujemy tę wiadomość. Zaczny ten obywatel chętnie udziela swych drogocennych wiadomości tak co do dziejów naszego miasta, jako téż i z pola sztuki. Niemaló notat dostarczył F. M. Sobieszczańskiemu, zajętemu obszerném dziełem opisu historycznego Warszawy: toż mówi o dziele E. Rastawieckiego, i o Cmentarzu Powązkowskim: ale są to notaty nieznośne, i dotąd jeszcze nie zabrał się p. Jachótkowski (chociaż nagłony) do ułożenia w pewnym ładzie pamiątnika, któryby równie był szacowany jak rękopism Magiera, ale w lepszym ułożony porządku.

— Nakładem księgarni Ig. Klukowskiego i Walentego Rafalskiego wyszedł pierwszy zeszyt: „Bibliografii krajowej”. Treść tego pisma wyjaśnia projekt. „Dokładnego katalogu książek polskich, któryby obejmował dzieła wydane tak w Warszawie, jak Petersburgu, Wilnie, Kijowie, Krakowie, Lwowie, Poznaniu i w wielu innych miastach zagranicznych, nie posiadamy dotąd. Brak ten czuć się nietylko daje w handlu księgarskim, ale i dla czytającej powszechności. Statystyka taka literacka, przy obudzonym ruchu piśmiennictwa naszego niezaprzeczoną ma wartość, i wielkiego jest użytku: pojedyncze katalogi od czasu do czasu wydawane przez księgarzy, nie odpowiadają w zupełności tej potrzebie: bo tylko szczegółowe nakłady obejmują. Przekonani o konieczności zespolenia w jedną całość wiadomości rozrzuconych o wychodzących z druku książkach pol-

skich, zamierzylismy ogłaszać takowe zeszytami p. n.: „Bibliografia krajowa. Każdy zeszyt obejmie arkusz lub więcej ścisłego druku, ułożony porządkiem alfabetycznym. Przy końcu seryi złożonej z XII zeszytów, dodany zostanie spis szczegółowy, podług różnych gałęzi literatury, tak, aby czytelnik na pierwszy rzut oka mógł widzieć w każdym rodzaju nauki wydane dzieła. Bibliografia krajowa nie tylko obejmie dokładnie to, co zawierały dotąd katalogi, ale nadto w oddzielnych rozprawach wiadomości o drukarniach, księgarniach, o handlu księgarskim i t. p. W miejscach właściwych dodane zostaną ogłoszenia o wydanych rycinach, nutach, i przypisy, w których podamy już całkowicie, już w treści ogłoszenia, i prospektu na ważniejsze dzieła”. Stosownie do tego prospektu, wydanym został pierwszy zeszyt w wielkiej ósemce str. 16 ścisłego druku (we dwie szpalty) obejmujący. Zawiera spis dzieł porządkiem alfabetycznym z roku 1855 i 1856; dalej idą nuty, ryciny, doniesienia literackie. Oddzielny ustęp stanowią drukarnie warszawskie, gdzie czytamy szczegółowy opis znakomitego niedawno zakładu Stanisława Strąbskiego. W rozprawie tej bezstronnie wykazano przeważne zasługi Strąbskiego, tak w podniesieniu i udoskonaleniu sztuki drukarskiej u nas w kraju, jak i w reformie naszych kalendarzy. Kończą ten zeszyt ogłoszenia księgarskie. Niska cena prenumeraty, bo tylko rsr. 1 kop. 50 w Warszawie, a z przesyłką pocztową rsr. 2 wynosząca, i ważność przedmiotu, obchodzącego żywo zwolenników literatury ojczyźstęj, dają nadzieję, że przedsięwzięcie to znajdzie współzucie i poparcie.

— P. Leon Glücksberg wydał własnym nakładem komedye L. Niemojowskiego. Nie możemy zataić naszego podziwienia, dlaczego utwory te w tak niedbałej ogłoszono edycyi. Papier brudny, korekta niedbała, choć cena wysoka, bo rsr. 1 kop. 50 wynosi.

— P. August Heylman wydał w poprawnym przedruku rozprawę, która już przed kilką laty w Bibliotece Warszawskiej była umieszczoną p. n. „Pogląd na prawnictwo krajowe co do spraw granicznych, między dobrami ziemskimi.” Wiadomo, że autor ten, różne przedmioty lub kwestye prawne z bieżącej praktyki sądownictwa krajowego zaczerpnięte naukowo traktował, ku bezpośredniemu użytkowi praktycznemu. I pogląd na prawnictwo graniczne jest owocem połączonej z długoletniem doświadczeniem teoryi. Autor rozróżnia trzy rodzaje spraw granicznych, a mianowicie: a) Sprawy o rozgraniczenie. b) Sprawy posesoryjne, o naruszenie granic w ciągu roku. c) Sprawy graniczno-windykacyjne. Następnie po nader biegłym do rzymskiej akeji *finium regiendorum*, i nader zręcznym powrocie do przepisów kodexu cywilnego obowiązującego, zapatrując się w szczególności na sprawy graniczno-windykacyjne, a w ich rozbiórce opierając się na historycznych wypadkach krajowych z zapadłych wieków, i na zasadach kodexu cywilnego, oraz ustawy hypotecznęj z r. 1818, zaprzecza możności początkowania spraw graniczno-windykacyjnych z zadawnionych dokumentów, i powstaje przeciwko nawykłej i przesądnej rutynie, tak w popieraniu, jak rozpoznawaniu spraw tego rodzaju. W miejsce zapadłych i spleśniałych dokumentów, oraz odpartej rutyny, kładzie za główną podstawę prawo posiadania, *jus possessionis*; jego prawność wedle granic naturalnych i używalnych utwierdza; a wnioskując w pierwotny wątek, i w wyradzające się z niego pobudki moralne *przedawnienia*, obok tego prostując komentatorów francuzkich, uzasadnia możność stosowania do spraw graniczno-windykacyjnych nie tylko trzydziesto-letniego przedawnienia, lecz i przedawnienia dziesięcio lub dwudziestoletniego. Tym sposobem autor, jak sam nadmieniał, podaje dziedzicom dóbr ziemskich, między swęj granicznęj troskliwie przestrzegającym, i rolnictwo lub przemysł nad pieniąctwo przenoszącym, skuteczny środek obrony przeciwko nielegalnym powództwom, i zabiorom gruntu. Pogląd ten, w osnowie swojej bardzo treściwy, w założeniu swoim chwalebny, wielką zaiste reformę w rutynie dotychczasowego prawnictwa graniczno-zaborczego czyli windykacyjnego zrzadzając, nową zapewne epokę w zakresie tegoż prawnictwa stanowić będzie.

— Władysław Syrokomla, po wydaniu 3 i 4 tomu Gawęd swoich i rymów ulotnych, wykończył powieść nową, p. n. „Stare wrota”, gdzie wyprowadza na scenę postać ks. Piotra Skargi.

— Jużśmy donosili obszerniej o autentycznym obrazie Stefana Czarnieckiego, który się znalazł w rodzie dalszym i po kądzieli tego bohatera. Obraz

ten starannie i doskonale odnowiony przez znanego artystę Bonawenturę Dąbrowskiego, obecnie został skopiowany pastellami przez Tytusa Maleszewskiego, w zmniejszonym nieco formacie. Kopia ta zalecająca się trafnością i pięknem oddaniem charakteru starego wojownika, będzie na wystawie u p. Hirszel.

— Zygmunt Helcel pospiesza z wydaniem statutów, które zbiorem i opracowaniem należeć będą do pomnikowych dzieł w literaturze naszej. Dzieło całe ma być wykończony w druku na św. Jan bieżącego roku.

*Wiedeń.* (z listu) „Na posiedzeniu cesarskiej Akademii umiejętności w Wiedniu, w r. z. Dr. Gindeli czytał rozprawę: „O życiu i pracach Jana Amosa Komeńskiego (Komeniusza) za granicą.” Materyały do tej pracy dostarczyły mu rękopisma i listy Komieniusza, zakupione niedawno dla Muzeum Czeskiego za 400 talarów w Polsce; wiadomo bowiem, że Komeński większą część żywota swego przebył w Wielkopolsce. Rozprawa ta zawiera między innymi szczegóły dotyczące się stosunków tego pedagoga czeskiego w Polsce, osobliwie zaś historii innowierców w naszym kraju.”

„W tłoczni uniwersyteckiej wydaje zeszytami Stanisław Zaraniski nauczyciel języka i literatury polskiej w C. K. Akademii Maryi Teresy: „Dzieje powszechne zewnętrzne i wewnętrzne ułożone na wzór roczników, kronik, i właściwej historii, z dziejobrazem powszechnym, przedstawiającym teatr wypadków pod względem czasu i miejsca.” Autor zastosował znaną metodę mnemoniczną Jaźwińskiego do historii. Tu zaś metoda wykładu jest jeszcze ułatwiona, bo opatrzona dziejobrazem nakreślonym na chronologicznym czworokącie, który zapełniony portretami historycznych osób, oraz znakami symbolicznymi, przedstawia uczącym się żywe przed oczyma toczące się dzieje.”

— Znany w literaturę naszą i dobrze zasłużony Józef Lompa, wykończył w rękopiśmie nową pracę: „Żywoty biskupów szlązkich.” Zamierza wydawać zeszytami, a dochód z tego przeznaczył, szlachetny choć ubogi autor, na odbudowanie modrzewiowego kościołka w Smogorzewie, spalonego w r. 1854, a który przez IX wieków wytrzymał wszystkie burze czasu.

— E. Rastawiecki wykończył już trzeci i ostatni tom swego Słownika malarzów polskich. Oprócz tego przygotował obszerny i najdokładniejszy spis wszystkich prac Falka.

— Pisma nasze ogłosiły nadzwyczaj ważną wiadomość o odkryciu w archiwum Królewca rękopismu w języku polskim, obejmującego dzieje księstwa mazowieckiego przez Jarosława kanonika płockiego, pisanego słowiańskimi literami. Przejść on miał z archiwum metryki koronnej w Warszawie do Prus. August Bielowski w artykule, któryśmy dawniej ogłosili w piśmie naszym p. n. „Pierwsze pomniki języka polskiego” wspominał już o tej kronice. Dziś potrzeba tylko sprawdzenia tej wieści: byłby to skarb nieoceniony dla naszych dziejów. Ogłoszenie o tém odkryciu podał akademik Kunik w *Bulletin de la classe de sciences historiques, philologiques et politiques* (tom VIII nr. 13 i 14 str. 224) wydawanym w Petersburgu. Skoro dokładniejsze objaśnienia otrzymamy, zdamy obszerniejsze sprawozdanie o tém nadzwyczajnym odkryciu.

— Kaplica Najświętszej Panny Maryi w Częstochowie, jedna z najpiękniejszych pamiątek kraju naszego, znaną dotychczas była wyłącznie tym, którzy mieli szczęście zwiedzić święte miejsce. Obecnie dokładny wizerunek tej kaplicy i ołtarza z obrazem cudownym, wykonał sposobem chromolitograficznym Maksymilian Fajans, z rysunku na miejscu zdjętego. Wizerunek takowy w dużym formacie, dedykowany J. W. Maryi z hr. Tyzenhauzów hr. Przeddzieckiej, nabyć można w Warszawie w zakładzie artystyczno-litograficznym M. Fajansa przy ulicy Długiej pod nr. 550, po rubli 2 za egzemplarz, a na prowincyi i w Cesarstwie za zgłoszeniem się listownie do zakładu, z przesyłką i opakowaniem po rsr. 2 kop. 50.

† Dnia 5 czerwca 1855 r., umarł w Krakowie Zygmunt Anczyc, zasłużony artysta dramatyczny, znany i na scenie warszawskiej, a zarazem tłumacz wielu dzieł dramatycznych.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.



**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**

**w Obserwatoryum Astronomiczném**

**WARSZAWSKIÉM.**

**Grudzień, 1855.**

Grudzień 1855.

Dostrzeżenia Meteorologiczne w Ob

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad ziemią  
 1g. 14m. 45s.,7 czyli w łuku 18°41'25",7

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				Wielkość cz. sredn. dzienne
		6	10	4	-10	6	10	4	10	
		god.rano	god.rano	godz. w.	godz. w.	god.rano	god.rano	godz. w.	godz. w.	
1	☾	735.47	737.40	738.91	742.29	- 1°.1	- 2°.6	- 2°.6	- 4°.7	
2		745.32	746.66	748.44	750.66	- 11.8	- 13.4	- 17.2	- 18.7	
3		751.97	753.32	754.18	755.12	- 22.8	- 20.0	- 20.1	- 21.4	
4		754.76	754.47	751.66	748.11	- 25.5	- 22.6	- 20.5	- 19.7	
5		742.56	741.53	737.31	735.09	- 11.1	- 8.3	- 9.3	- 10.1	
6		733.79	733.67	735.32	737.39	- 7.1	- 3.6	- 2.3	- 6.9	
7		737.85	738.02	738.13	739.42	- 5.0	- 3.5	- 3.6	- 4.0	
8		739.61	740.20	741.06	741.74	- 4.0	- 3.3	- 4.7	- 5.4	
9	☉	744.80	746.39	749.01	753.00	- 12.7	- 11.2	- 13.5	- 18.5	
10		755.49	756.62	757.13	757.79	- 18.2	- 19.8	- 18.7	- 20.3	
11		755.95	755.34	752.32	749.46	- 21.7	- 20.8	- 20.0	- 22.2	
12		745.74	744.64	742.09	741.00	- 20.9	- 15.8	- 15.3	- 9.6	
13		740.69	741.32	740.62	740.92	- 6.7	- 6.3	- 5.9	- 5.5	
14		743.68	744.48	743.94	744.04	- 5.8	- 9.3	- 7.6	- 11.1	
15		744.02	746.12	748.58	750.14	- 11.2	- 11.5	- 12.0	- 11.1	
16	☽	738.59	737.42	739.17	741.85	- 2.6	+ 1.5	+ 1.7	+ 1.1	
17		741.52	742.48	741.82	743.11	+ 0.6	+ 0.6	+ 0.3	- 3.5	
18		749.45	755.54	762.56	768.22	- 14.5	- 18.1	- 21.1	- 23.2	
19		771.01	771.60	773.20	773.75	- 21.1	- 17.6	- 17.0	- 21.0	
20		772.95	772.81	769.70	766.96	- 24.9	- 22.3	- 17.4	- 20.5	
21		760.85	757.95	754.00	753.02	- 19.7	- 15.7	- 12.0	- 9.3	
22		754.96	756.03	756.09	756.21	- 7.1	- 5.7	- 4.2	- 4.6	
23	☺	757.49	758.76	759.10	757.93	- 7.5	- 8.2	- 7.5	- 5.4	
24		754.21	753.61	752.14	753.18	- 3.7	- 2.3	- 0.2	+ 2.2	
25		754.06	754.81	753.10	751.96	- 2.9	- 2.7	- 1.4	- 2.1	
26		751.44	752.22	752.12	752.82	- 1.4	- 2.9	- 0.3	- 2.1	
27		754.88	756.11	756.76	757.35	- 5.6	- 1.9	- 1.5	- 4.8	
28		758.20	758.76	758.81	758.98	- 6.2	- 6.1	- 5.9	- 3.7	
29		759.45	760.11	760.42	761.02	- 3.5	- 3.0	- 3.1	- 5.4	
30		761.59	762.20	761.83	761.41	- 4.8	- 3.1	- 2.0	- 2.7	
31	☾	760.31	760.62	760.51	761.67	- 4.5	- 3.5	- 2.5	- 2.6	
Śre.		750.733	751.336	751.324	751.794	-10°.16	- 9°.13	- 8°.63	- 9°.57	





	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	751.297	27	9.046
Najwyżej barometr dochodził d. 19 o g. 10 w.	773.75	28	7.000
Najniżej — — — d. 5 o g. 10 r.	733.67	27	1.233
Średnia zmiana dzienna barometru	5.456		2.418
Największa zmiana dzienna barometru d. 17—18 o g. 10 w.	25.11		11.131
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	0.268		0.120
Średnia temperatura grudnia wynosi:	751.565	27	9.166
i ta jest niższa o	— 9 <sup>o</sup> .37 C.	—	7 <sup>o</sup> .50 R.
od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	7.10 „		5.68 „
Największe ciepło było d. 24 o g. 10 w.	— 2.27 „	—	1.82 „
Największe zimno — d. 4 o g. 6 r.	+ 2.2 „	+	1.76 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	— 25.5 „	—	20.40 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 17—18 o g. 4 w.	5.047 „		4.038 „
Termometrograf wskazał:	20.8 „		16.64 „

Maximum: + 2<sup>o</sup>.0 R. d. 24 wiecz.

Minimum: —20<sup>o</sup>.4 „ d. 4 rano.

Ilość wody spadłej z śniegu wynosi co do wysokości: 35.2 mil. czyli 15.60 lin. par.; ilość ta wody jest o 0.84 lin. par. większa od tej, jaka średnio u nas w grudniu spada.

Dni pogodnych było 6, napół pogodnych 6, pochmurnych 19.

— deszczu 1 (d. 24.).

— śniegu 13 (d. 1, 6, 7, 8, 9, 12, 13, 14, 16, 17, 19, 21, 22).

— mgły 6 (d. 23, 24, 27, 29, 30, 31).

Wichrów było 2 (2 Z).

Wiatrów mocnych 9 (5 Z., 2 Pn., 1 PnZ., 1 PnW).

Wiatr panujący: południowo-wschodni.

Grudzień r. b. był pogodny, bardzo mroźny, w śnieg dosyć obfity, blisko o 6 stop. R. zimniejszy niż zwykle; wyjąwszy dwa dni 16 i 17 w których termometr wzniósł się nieco nad zero, wszystkie inne dni były mroźne, osobiwie pierwsze 21 dni odznaczały się silnymi mrozami; ostatnie dziesięć dni były mniej mroźne. Lubo grudzień r. b. był bardzo mroźny, wszelako były lata w których miesiąc ten miał temperaturę średnią nierównie niższą. I tak: w r. 1788 był o 4.28 stop. R.; w r. 1812 o 1 stopień; w r. 1829 o 2.24 stop. R. zimniejszy niż r. b. Najcieplejsze dni były d. 16 i 17; najzimniejsze d. 2, 3, 4, 9, 10, 11, 12, 15, 18, 19, 20, 21. Po wielkich mrozach, w dniach 16 i 17 nastąpiła nagle zmiana temperatury i odwilż. D. 17 o godz. 4 wieczór, termometr pokazywał 0.24 stop. R. ciepła; d. 18 o godz. 6 rano, 11.6 stop. zimna, w nocy mróz dochodził do 19.6 stop. R., tak iż zmiana dzienna temperatury dochodziła 19.8 stop. R. Barometr niektórych dni, mianowicie d. 19, 20, 29, 30, 31 utrzymywał się bardzo wysoko; d. 19 z rana, wzniósł się na 28 cali 7.0 lin. par. tylko o 0.71 lin. par. mniej od najwyższego stanu (28 cali 7.71 lin. par.) jaki przypadł w r. 1829 d. 6 grudnia. Pod względem stanu nieba, miesiąc ten pogodniejszy był niż zwykle. W stanie bowiem normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 3,3:5,0:227; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 6:6:10 co pokazuje że liczba dni pogodnych i napół pogodnych jest większa niż zwykle. Elektryczność atmosferyczna przy niebie pogodnym i spokojnym powietrzu w dniach 10, 11, 12, a osobiwie d. 15 była silna.

D. 3 Wisła pod Warszawą stanęła.

D. 3 pokazywały się plamy na słońcu.

D. 18 od godz. 9 rano do godz. 1 z południa, dały się widzieć świetne słońca boczne i obręcz biała słońce otaczająca.



## O DŁUGOWIECZNOŚCI LUDZKIEJ.

(Wyjątek z niedrukowanej jeszcze *Hygieny polskiej*.)

PRZEZ

Dr<sup>a</sup> T. Tripplina.

---

Ile lat natura wyznaczyła człowiekowi, jak długo mógłby żyć, gdyby wątku życia jego nie przerwały choroby lub przypadek, albo osłabienie z jego własnej winy pochodzące?—oto pytania, które rozbierać będziemy w tym ustępie dzieła naszego.

Buffon twierdzi, że człowiek przypadkowym chorobom nieuległy, żyje wszędzie lat 90 do 100. „Jeżeli się zastanowimy, mówi on, że Europejczyk, Murzyn, Chińczyk, Amerykanin, że człowiek oświecony, dziki, bogaty, ubogi, że mieszczanin, wieśniak, tak różni pomiędzy sobą co do reszty, pod tym względem do siebie są podobni, i że każdy z nich ma tylko tę samą miarę czasu do przebieżenia od urodzenia aż do śmierci; jeżeli zważymy, że różnica rasy, klimatu, pokarmów i wygód nie wywiera żadnego wpływu na długość życia: więc wyznać musimy, że trwałość życia nie zależy ani od zwyczajów, ani od obyczajów, ani od jakości pokarmu, i że nic zmienić nie zdoła praw mechaniki, które ustanowiły liczbę lat naszych”. Buffon ma wielką słuszość, bo istotnie trwałość życia nie zawiśla ani od klimatu, ani od żywności, ani od rasy; nie zależy ona od niczego zewnętrznego, tylko od wewnętrznego ustroju i od rodzimiej dzielności naszych organów.

Wszystko w ekonomii zwierzęcej podlega prawom stałym.

Każdy rodzaj zwierząt ma osobną postać, osobny wzrost i ustrój. Kot i tygrys są dwa rodzaje spowinowane, bardzo do siebie podobne całkowitą swą organizacją, a jednakże kot pozostaje zawsze we wzroście kota, a tygrys zachowuje wielkość tygrysa.

Każdy rodzaj ma swój osobny i stały czas noszenia. Królik nosi dni 30, morska świnka dni 60, kot dni 56, suka dni 64, lwica 108.

Każdy rodzaj ma swój osobny czas wzrostu.

Jeżeli więc wielkość, noszenie i wzrost podlegają pewnej stałej mierze: czemużby i długość życia nie miała jej podlegać?

Słusznie powiedział Buffon, że długość życia ludzkiego przeciąga się do 90, a nawet do 100 lat. Codziennie widzieć możemy starców tego wieku. Wprawdzie wyznaczyć musimy, że liczba ludzi tak długo żyjących szczupłą jest w porównaniu z liczbą osób wcześniej umierających; ale to jest pewnem, że tego wieku dostąpić można. I częściejby się to wydarzało, jeśliby okoliczności przypadkowe temu się nie opierały.

Największa liczba ludzi umiera w skutek choroby, a mała liczba schodzi z tego świata prawidłowo w skutek starości. Człowiek ukształcił sobie rodzaj życia sztuczny, w którym umysłowość częściej jest chorą niżeli fizyczność, i w którym sama fizyczność częściej zapada na chorobę niżeli zapadała, gdy nasze życie było weselszém, spokojniejszém, i regularniej pracowitszém. Człowiek umiera w każdym wieku, zwierzę zaś przebiega regularniej i pewniej przestrzeń istności swojej. Namiętności i z nich wynikające nieszczęścia, wywierają wpływ niesłychany na zdrowie i rozstrajają siły ożywiające nas. Przypatrzwszy się bliżej ludziom uznać musimy, że prawie wszyscy wiedzą życie trwożliwe i pełne obawy, że prawie wszyscy padają ofiarami zmartwienia.

Haller znów utrzymuje, że człowiek jest jedném ze zwierząt najdłużej żyjących, i że wcale niesłusznie uważamy się na krótkość naszego życia. Według jego zdania,

człowiek może dożyć do dwóch wieków. *Non citra alterum seculum ultimus terminus vitae humanae subsistit.*

*Elementa physiologiae Tom VIII, Lib. 30, pag. 95.*

Wielki ten fizyolog zgromadził znaczną liczbę przykładów długowieczności; dwa przykłady najdłużej przeciągniętego życia dochodzą do 152 i 169 lat.

Tomasz Parre dawny żołnierz, urodzony w hrabstwie Shrop w Anglii, na pograniczu Wallii, wstąpił się w całym kraju z swego podeszłego wieku do tego stopnia, że go król Karol I chciał poznać. Sprowadzono go do dworu i przyjmowano bardzo hojnie. Biedny starzec ujęty grzecznością dworu jadł zanadto, dostał niestrawności i umarł 14 listopada 1635 roku. Harwey lekarz króla, sławny anatom, który odkrył cyrkulacją krwi, otwierał jego ciało i znalazł wszystkie trzewia w najzdrowszym stanie; chrząstki żeber nie były jeszcze skostniałe. Mógł być żyć jeszcze lat kilkanaście. Tomasz Parre pochowano w Westminsterze pomiędzy wielkimi ludźmi za to, że umiał przechować tak długo swe życie, wstrzemięźliwością, łagodnością charakteru i pracą.

Drugim z długowieczności sławnym i przez Hallera uznanym człowiekiem był także Anglik *Henryk Jerkins* z hrabstwa York, który umarł dnia 8 grudnia 1670 roku, mając lat 169. Jerkins bardzo biedny rybak, mając lat przeszło 100, przebywał rzeki wpływ. Raz go powołano za świadka o czyn, który miał miejsce przed 140 laty. Jerkins przybył ze swemi dwoma synami, z których jeden miał lat 102, a drugi lat 100, i świadectwem swém poparł tak dobrze sprawę skrzywdzonych na majątku potomków bardzo dawnego przyjaciela, że ci prawie niespodzianie sprawę wygrali, i w 10 lat potem, gdy sędziwy Jerkins umarł, wystawili mu w Bolton pod Richemont w Yorkshire dodziśdnia istniejący pomnik.

*Luiza Truxo*, Murzynka z Tukamanu, umarła, jak *London Chronicle* zaręcza, w roku 175 życia.

*Piotr Czartan* Węgier z pod Temeswaru, jak głosi naukowe czasopismo *Philosophical Transaction*, umarł w 185 roku życia. Jeszcze na kilka dni przed śmiercią chodził i zebrał.

*Saint Mungo Keutینگern*, założyciel biskupstwa w Glasgowie, żył także lat 185, jak świadczy następujący napis na jego grobowcu w katedrze glasgowskiej:

*Cum octogenos centum quoque quinque vir annos  
Complerat, sanctus est Glasgow munere functus.*

Biskup Keutینگern, jak się dowiadujemy z Spittswooda historyi kościoła szkockiego, wiódł życie skromne, czynne, dobroczynne i wesołe, i zwykł był powtarzać następującą sentencją szkoły lekarskiej Salerneńskiej:

*Si tibi deficient medici, medici tibi fiant  
Haec tria: mens hilaris, requies, moderata diaeta.  
Skoro zdrowym być pragniesz, a lekarz daleki,  
Ruch, wesołość, dyeta, zastąpią ci leki.*

Niewiele téż odpoczywał w swém długim życiu zasłużony biskup, tylko owszem odznaczał się żywością umysłu i bezprześcanną czynnością.

Hanow professor i lekarz w Gdańsku zaręcza, że widział w temeswarskim bannacie w Węgrzech starca mającego lat 190, i jeszcze wodzącego rej pomiędzy żebrakami.

Tenże sam uczony poznał *Jana Rowina* w Spartowie, także w temeswarskim bannacie, który w małżeństwie z żoną swoją *Sarą Desson* przeżył lat 147. Jan Rowin umarł później mając lat 172 w kilka dni po śmierci żony swojej, mającej lat 165. Ich najmłodsze dziecko miało wówczas lat 90. Hanow unosi się nad cnotami domowemi, humorem i szczerą religijnością madziarskiego *Philemona* i siedmiogrodzkiej *Baucis*, którzy w skostniałym już i pleśnią zarosłym ciele przechowali serce zdrowe i czułe, umysł pogodny i rzeźwy.

Cesarz austryacki Franciszek I zawiesić kazał w sypialni swojej portrety *Jana Rowina* i *Sary Desson*, i te portrety istnieją dodziśdnia w zamku wiedeńskim.

Doktor *Karol Wilhelm Ideler* professor kliniki psychiatrycznej w Halli zaręcza, że niedaleko Połocka i granicy inflanckiej żył jeszcze w roku 1804 inwalid rossyjski, który służył w wojnie 30-letniej pod *Gustawem Adolfem*. W bitwie pod Połtawą w roku 1709, mając wtenczas lat 86, postradał ramię, ale się wyleczył i wkrótce potem ożenił się po raz trzeci i płodził dzieci. W roku 1804, kiedy stary inwalid miał lat 184, rodzina jego składała się z 138 po-

tomków, pomiędzy któremi znajdowało się dwóch przeszło stoletnich wnuków. Wszyscy mieszkali w jednej wsi i trzymali się starego patryarchy, zawsze jeszcze wesołego i najzupełniej zdrowego.

Zdaje się, że długowieczność w blizkiem znajduje się powinowactwie z siłą płodności, i często jeden człowiek jest dowodem jednego i drugiego. Fedor Wasilew chłop moskiewski, w roku 1782 dostąpiwszy siedmdziesięcio-pięcioletniego wieku, miał z dwiema żonami 87 dzieci. Pierwsza żona rodziła 27 razy i 4 razy miała po 4 dzieci razem, siedm razy miała po troje naraz, a 16 razy bliźniaki. Druga żona urodziła Fedorowi Wasilewowi w ośmiu połogach 18 dzieci.

Na sam ostatek chowam najwięcej zdumiewający i najwiarogodniejszy przykład długowieczności.

Tomasz Carn, urodzony w Londynie dnia 28 stycznia 1588 roku żył lat 207, pod panowaniem 12 monarchów Anglii, i umarł 9 marca 1795 roku, także w Londynie. Nie śmielibyśmy tego przykładu niesłychanej, zdaje się wszelkie granice prawdopodobieństwa przechodzącej długowieczności tutaj umieszczać, gdybyśmy w archiwach kościoła św. Leonarda w Londynie nie mogli sprawdzić wiarygodności aktu urodzenia i zejścia tegoż *Tomasza Carn*, pochowanego na cmentarzu kościoła i zaszczyconego kamieniem grobowym przez samego króla Anglii. (Obacz *Vossische Zeitung* 1841, nr. 195 i *Allgemeine Diaetetik von Dr. C. W. Ideler. Halle, 1848* pag. 424).

Niedosyć na tém. Sławny podróżnik Jakób Rilley (autor przygód i podróży na brzegach zachodnich i w wnętrzu Afryki) widział pomiędzy Maurami najgorętszego wybrzeża Afryki zachodniej starców, którzy w 200 i w 210 roku życia cieszyli się zdrowiem, czerstwością i doskonałemi siłami. Pomiedzy starcami zdarzali się, zaręcza James Rilley, 300-letnie żywe mumie, ogołoczone z włosów i z zębów i tak zeschłe, że skóra przylegała do kości zupełnie jak pargamin. Owe żywe mumie były przedmiotem najczulszych względów ze strony potomków swoich i w ogóle wszystkich ludzi. W czasie głodu nieraz się wydarzającego w onych krajach, najprzód zawsze pamiętano o starcach, potem dopiero o dzieciach. Prawda, że cokolwiek mleka wiel-



blądziego wystarcza na utrzymanie tych zeszlých staruszków przy życiu.

Sinclair (także Anglik) zaręcza, że w Indyach Wschodnich jeden Bramin żył lat 700 i dostawał co sto lat nowe zęby.

Humboldt wspomina Peruwianczyka, który żył 143 lat, A. Lichtenstein widział na przylądku Kap niewolnika, mającego 120 lat, pochodzącego z wyspy Jawy, a innego niewolnika który miał 107 lat, pochodzącego z wysp Malajskich; nareszcie trzeciego który żył 100, i pochodził także z wysp Malajskich.

Szczególniej obfite w ludzi dochodzących do patryarchalnego wieku są kraje północy, a oprócz tych piérwéj wymienionych z Anglii, możnaby jeszcze bardzo wiele znaleźć w Norwegii, Szwecyi, Rossyi i w bannacie ungryjskim. W roku 1733 król Krystyan z królową Zofią Magdaleną, zwiedzając Norwega, zatrzymali się w Fridrichshal u podpułkownika Kolnbiörsen. Ten dla uczczenia swych wysokich gości wyprawił tak zwane dyamentowe wesele czterech małżeństw wieśniaczych, zebranych z kraju górnego. Pomiędzy temi 8 ludźmi nie było żadnego mniej jak 100 lat mającego. Nazywali się: „*Sologsten*” który potem jeszcze żył 8 lat, a żona jego *Helia* żyła jeszcze 10 lat; *Oer* żył jeszcze 6 lat, a żona jego *Inger* żyła 10 lat; *Besseber* ze swoją żoną i *Torlaksen* z żoną *Joran* żyli jeszcze po 10 lat.”

J. Remus opowiada, że widział biskupa w Stawanger, który umarł w roku 1440; żył lat 210. Adryan Rotker był 70 lat radcą w Drontheim; umarł na początku XVII wieku, i żył 120 lat. J. Remus wspomina także jednego księdza w Holthalen w okręgu Drontheim, który żył w ciągu XVI wieku, a umarł mając 150 lat; przed śmiercią 30 lat był niewidomym. W 1722 r. wieśniaczka w bliskości Stawanger, Elżbieta Walewand żyła 137 lat, zostawiwszy męża mającego 110 lat. W roku 1838 żył jeszcze w Hildgansen na Szlązku starzec, mający 142 lat, który żył w trzech stuleciach; nazywał się Jan Hertz. Od 27 lat już nie wychodzi z pokoju, ale przechodzi się codziennie dwa do trzech razy po pokoju. Jeżeli pogoda jest na dworze, wtenczas przy otwartém oknie wypala swoje trzy fajki tytoniu. Od 6 lat

nic już nie mówi, i wydaje tylko niewyraźne głosy, które tylko jego domownicy mogą zrozumieć. Jego synowie już oddawna poumierali, a on jeszcze żył w roku 1842, pielęgnowany przez swych wnuków i prawnuków.

Pomiędzy chmarą Szkotów, Anglików, Szwedów, Duńczyków, Rossyan, Węgrów, Indyan i Murzynów, wsławionych z długowieczności, i przez wielu autorów, którzy o życiu ich pisali wspomnianych, ledwo dwa nazwiska polskie nadmienione zostały.

*Hufeland* wspomina o obywatelu *Tabaczyńskim*, który w roku 1826 umarł w Radziejowie, mając lat 115. Człowiek ten, jak zaręcza *Hufeland*, nigdy nie chorował; żył w domu swojego syna tamtejszego aptekarza i przez cały dzień trudnił się robotą z ruchem ciała połączoną. Dzienniki czytywał bez okularów. Na dwa lata przed śmiercią popadł w ciężką gorączkę, nie chciał słyszeć ani o lekarzach, ani o lekarstwach i ozdrowiał dzięki źródlanej wodzie i obmywaniom octowym. Ale prawie zupełnie zaniewidział i ogłuchł, i w dwa lata potem zasnął sobie spokojnie snem wiecznym w krześle.

*Virey* w swém dziele *De la puissance vitale*, wyszłem w roku 1823, mówi o cnotliwej pannie *Rozynie Iwiwarowskiéj*, Polce w Paryżu mieszkającej, która przeżyła lat 113. Bawiąc w Paryżu zasięgaliśmy bliższych wiadomości o téj sędziwej Westalce polskiej, ale niczego dowiedzieć się nie mogliśmy, pomimo najusilniejszych starań.

*Nawrocki* obywatel Warszawy miał lat 117, kiedy przyszedł powitać cesarza Napoleona bawiącego w styczniu roku 1807 w naszej stolicy. Historyograf cesarza Napoleona *Laurent de l'Ardèche* w dziele swoim przez *Horacyusza Vernet* illustrowaném, wspomina o tym ziomku naszym i przytacza nadzwyczaj pięknie redagowaną prośbę o wsparcie, którą zgrzybiały, z głodu umierający szlachcic podał cesarzowi Francuzów.

Podczas pobytu mojego na uniwersytecie królewieckim w r. 1832, Polacy tamże pobierający nauki, poznali starca nazwiskiem *Kondratowicz*, który zrodzony w gubernii mińskiej w r. 1722, dziwnym zbiegiem okoliczności dostał się do wojska pruskiego, i odbył pod Fryderykiem II zwanym Wielkim, wszystkie kampanie, mianowicie wojnę siedmioletnią od r. 1756, do r. 1763. Kilkakrotnie ranny, zawsze

odzyskał zdrowie i awansowawszy na podoficera, pozostał w wojsku całe lat 62, bił się jeszcze w r. 1806 pod Jeną, i wreszcie jako inwalida do wojska niezdatny, uzyskał dymisję z prawem zebrania, a potem, gdy Prusy wyszły zwycięsko z wojen i finansowych trudności, będąc dziewięćdziesięcio-letnim starcem, uzyskał od rządu pruskiego 200 talarów rocznej emerytury w raz z ozdobą krzyża żelaznego.

Już w r. 1740 *Adam Kondratowicz* zawarł związki małżeńskie z jakąś młynarką w Królewcu, i z nią miał kilku synów, z których najstarszy nasłużywszy się także w wojsku pruskim, dzierżawił potem wiatrak pod Królewcem, i ożeniwszy się miał kilkoro dzieci, a nareszcie umarł w roku 1829 dziewięćdziesięcioletnim starcem, zostawiając własny wiatrak jedynemu, liczną rodziną obarczonemu synowi. Nasz stary 106 lat liczący Kondratowicz pozostawał u wnuka swego, chował się razem z jego dziećmi i w chwili gdym go poznał, używał jeszcze pełni władz umysłowych. Nadzwyczaj lubił mówić po polsku, przestać z Polakami i rozpowiadać o dawnych wojnach. Codziennie odbywał, niewiele się pytając o pogodę, długie przechadzki, lubił się napić wódki, ale się nigdy nie upijał; jadł z dobrym apetytem, ale nigdy wiele naraz, żeby najlepszą potrawę. O zmarłym swym synu przemawiał z rzewnością, pocieszając się nadzieją zobaczenia go wkrótce na tamym świecie. Wnuka swojego zniemczalego i surowego człowieka niebardzo lubił, a z prawnukami, których miał około tuzina różnego wieku żył na stopie równości, podzielał ich zabawy. Później, coś we dwa lata stary Kondratowicz zapadł na uderzenie krwi do głowy i już nigdy nie przyszedł do siebie, stracił wszelką pamięć, zaprzestał swych spacerów i zdzieciniał. Jego jedynym zatrudnieniem było bawić się w piasku ze swymi najmłodszymi prawnukami, których uważał za braci i siostry, wnuka zaś swego uważał za ojca, w rękę go całował; bał go się jak żak, zwłaszcza gdy coś zbroił, to jest gdy owoc jaki w ogrodzie skradł, lub gdy się pobił z prawnukami.

Słowem, starzec ten 112-stoletni, zeschły, zgrzybiały, ale jeszcze ruchawy, stał się co do rozumu dzieckiem; dzieckiem wesołym, ale bez pamięci, i niedoświadczony żaden ból usnął snem wiecznym, w setnym trzynastym roku życia, bawiąc się w piasku.

*Gołębiowski* urodził się w Lesznie, w Księstwie Poznańskim w r. 1740. Szczególnym zbiegiem okoliczności zarzuconym został do Francyi, to jest: dostał się w bardzo wczesnym wieku jako kuchcik na dwór Stanisława Leszczyńskiego byłego króla polskiego, księcia Lotaryngii; potem po wczesnej śmierci tego monarchy w Lunevillu w roku 1776, Gołębiowski, którego Francuzi przezwali *Colombeski* wstąpił do wojska francuzkiego i pozostał w niem aż do swój śmierci, to jest lat 85. Dosłużył się rangi podoficera w straży pałacu luxemburskiego i ozdobionym został w ostatnich latach życia, za dobre sprawowanie się, krzyżem legii honorowej. Po polsku niezupełnie zapomniał, po francuzku nauczył się mówić biegle; żył skromnie, ale udzielać się nie lubił jak nasz Kondratowicz w Królewcu, i niewiele co miał do opowiedzenia o swoich kampaniach. Był w całym znaczeniu tego słowa żołnierz służbista, cokolwiek tępy na rozumie, ale nieugiętej uczciwości i prawdziwie szlachetnej godności w postawie.

Starosta *Zakrzewski* umarł pod Bochnią w Galicyi w r. 1827, mając lat 105, na raka w oku. Przez lat 60 należał ten dzielny i zacny, ale cokolwiek awanturniczy szlachcic do wszystkich spraw wojennych dawniej Rzeczypospolitej polskiej: rannym był razy kilka, w niewolę pojmany razem z Puławskim i Beniowskim. Przez tysiączne przechodził dziwne koleje, które kiedyś w osobnej książce spisać zamysłamy, i nareszcie umarł w okropnych męczarniach, świeżą przechowawszy pamięć i duszę.

*Bogorya Skotnicki* arcybiskup gnieźnieński za Jana Kazimierza, żył lat 103. Ono ustanowił prawa o dziesięcinie dodziśdnia szanowane, i odznaczał się nadzwyczajną jeźdrnością umysłu.

*Chajęcki* obywatel ziemski, ostatecznie żyjący w Warszawie w Łazienkach królewskich przy dzieciach swoich, dostąpił lat 111 życia. Umarł w r. 1848 mając wszystkie zęby, chodząc bez kija, czytając bez okularów. Lubił mówić wierszami i dobrym był improwizatorem.

*Falkiewiczowa* miała lat 111, kiedy umarła w Gródku pod Lwowem w r. 1838.

Pani *Krasnodębska* w Serocku przeżyła lat 102.

*Aloizy Sarnacki* rotmistrz za Kościuszki, mający dziś przeszło lat 100, żyje jeszcze w Warszawie na Lesznie.

*Czajkowska* żyła lat 103; umarła we wsi Kozłowie w Krakowskiem w r. 1843.

*Jabłońska* lat 107 mająca, dodziśdnia żyjąca w Jordanowicach w dobrach JW. Mokronowskiego Ewarysta, chodzi co dzień do kościoła i żali się, że jest sierotą bez ojca i bez matki.

*Czarnobój* gajowy żyjący pod Brodami, żyje do dziś dnia, ma lat 105, jest rzeźwym i mocnym.

*Paschalski* urodził się w okolicach Zamościa w r. 1745 (ojciec żyjącego jeszcze członka senatu). W 20-m roku życia ożenił się z 14-to letnią panienką, żył z nią lat 62, miał 7 dzieci. Lubił namiętnie polowanie i uczęszczał na takowe regularnie co tydzień w sobotę; był rolnikiem do śmierci. Wstawał zawsze o godzinie 3 1/2 latem, a zimą godziną później, i zaraz wypijał mały kieliszek wódki i zakąsał piórkjem czosnku z bułką. Do 9-tój objeżdżał gospodarstwo konno, a potem jadł śniadanie, zwykle złożone z 3 do 6 jaj na twardo z pieprzem i solą. Obiad jego był bardzo skromny; na wieczerzę często także jadał jaja. Charakteru był wesołego; skory do gniewu, ale ten prędko przemijał. Lubił tańczyć i tańczył z wnukiem, mając lat 90 przeszło. Polował jeszcze i jeździł konno na 6 lat przed śmiercią. Rzadko chorował; raz tylko mocno zapadł na gorączkę nerwową, lecz się wyleczył najzupełniej. Wzrok miał dobry, pisał prawie do śmierci bez okularów ręką pewną i wcale nie osiwiiał. Umarł d. 5 września 1852 roku, mając lat 107.

*Jan Krzetowski*, 100 lat mając, wojsko do boju prowadził, i zwany był stryjem od całej chorągwi.

*Jakób Zagunt*, na Wołyniu harcował w tymże wieku na najdzikszym koniu.

*Stanisław Dobrzelewski*, podstoli sieradzki, w 120 roku życia pieszo do kościoła chodził.

*Mieleczko*, szlachcic piński, miał lat 95, matka jego 130, babka 140.

*Swinecka*, we wsi Miechowój w Braclawskiem, żyła 120 lat.

*Wołowska*, 128 lat mając, codzien o świcie na mszę o pół mili do Krakowa chodziła.

Pewien rolnik pod Krosną 115-letni, żadnej choroby nie znając, pracował za czterech parobków.

Krawiec *Pruchalski* w 102 roku życia szył jeszcze w najlepsze.

Kucharka urodz. 1742 roku w Kozielcu, mając lat 106 tak dobrze gotowała, że jéj potrawy dawano i na senatorskie stoły.

Organista w Sierakowicach 107 lat mający, tak doskonale grał na organach, że aby go usłyszcć, zbierano się z Gdańska i Warmii.

*Pobowicki* woźny w Chełmnie, więcej niż 100 lat żyjący, gdy zawołał:—mości panowie! uciszcie się!—słyszcć go było na drugiéj ulicy.

Młynarz w Bynkowicach 112-letni, jedną ręką w biegu wstrzymywał koło młyńskie.

*Hanerowicz* szewc umarł w 115 roku, gdy prawnuczka jego urodziła syna.

Rodzina *Chożyckich* w Lichnowicach odznaczała się długowiecznością. Przez kilka wieków każdy z niéj żył więcej jak 100 lat. Ubiegano się o związki ślubne z tą rodziną, ażeby obdarzyć potomstwo prawem do długiego życia.

*Stanisław Gil* wieśniak z okolic Święto-Krzyżkiéj góry (znany K. W. Wójcickiemu) urodził się w 1696 roku, umarł w 1822, mając lat 126. Na dwie godziny przed śmiercią jeszcze luśnie zakładał do wozu, i siekierą kół dębowy ociosywał, gdy nagle zbladł i upadł. „Zawołajcie księdza” rzekł wtedy „Bóg już mnie wzywa”. Po spowiedzi i ostatniém namaszczeniu, pobłogosławiwszy wnuki i prawnuki, usnął spokojnie snem wiecznym.

*Wójcicka*, rodzona babka naszego Kazimierza Władysława, miała lat 103 i miesięcy 6, gdy umarła. „Patrząc na nią” mówi jéj wnuk „ta myśl widocznie stawała, że Bóg w głębokiéj starości zdziecinnia umysł, aby śmierć lekką była. Po skończonych latach 100 zaczęła dziecinnic; do gości nie wyszła, dopóki jéj drobne dzieci w kwiatki po swojemu nie ubrały: wtedy z uśmiechem radości witała przybyłych. Łakoma na mięso, często słabowała nie-

mogąc zzuć go dobrze i strawić. Tak pamięć straciła, że z ulicy Podwale sama do kościoła Kapucynów trafić nie mogła.

Uparłszy się koniecznie wrócić do miasta Słupi pod Święto-Krzyżką górę, gdzie trzech mężów pochowała, w drodze niewstrzeżliwością w jadle zgon sobie przyspieszyła. Oczy i nogi zdrowe aż do zgonu zachowała, jak rzeźwość i czerstwość w każdym ruchu.

*Maryanna Garstka* umarła w r. 1821; żyła lat 115.

*Wojciech Sperski* zmarł w r. 1822, przeżywszy lat 105.

*Antoni Gozdowski*, obywatel Warszawy, umarł w roku 1823, mając lat 115. Rzecz godna uwagi, że słońca znieść nie mógł.

*Mateusz Kieleński*, 120-letni pasterz bydła w gminie Jeżów w obwodzie rawskim, umarł tegoż samego roku.

*Fryderyk Jabkowski* służył naprzód w wojsku saskim, a w siedmioletniej wojnie w pruskim. Miał trzy żony: ostatnią 80 lat mającą zostawił wdową. Żył skromnie, nigdy nie chorował, znał skuteczność ziół i zbierał je. Umarł w gminie Długie w obwodzie rawskim roku 1823, mając lat 140. (Z notatek Wójcickiego).

*Michał Korzeniowski*, obywatel z Wołynia, urodził się w r. 1755; w 22 życia wstąpił do wojska koronnego, lubił bardzo wino, a na starość wódkę.

W młodości żył nader wesoło, a w starości niewiele się ustatkował: żenił się trzykrotnie, ale dzieci nie miał. Przez całe życie brał osobisty udział w wypadkach stanowczych kraju w wieku zeszłym, i prowadził do śmierci nader czynny żywot, sprawując rozliczne i znakomite urzędy w gubernii wołyńskiej. Umarł rzeczywistym radcą stanu i kawalerem wielu orderów, dnia 23 kwietnia 1855 r.

Bracia *Kurkowie* wieśniacy żyjący dodziśdnia we wsi Lipie w gubernii radomskiej pod Iłżą. Jeden ma lat 111, drugi o 9 lat młodszy. Starszy żebrze, młodszy pracuje jeszcze za parobka, ale oba namiętnie piją wódkę i palą tytoń. Zawsze byli bardzo ubogimi, służyli za dawnych czasów w wojsku, i nigdy nie mieli dzieci, lubo każdy z nich po kilka razy był żonaty.

*Majewski Symforyn* szewc ze Starego-Miasta Warszawy umarł w r. 1828, mając lat 125. Pochowany na Po-

wązkach na starym cmentarzu, gdzie kamień grobowy świadczy o wiarogodności téj długowieczności.

*Katarzyna Deszner* umarła w r. 1843, mając lat 106. Była ona mamką a następnie piastunką, kucharką i gospodynią ś. p. Kluszewskiego, starosty brzegowskiego, czcigodnego męża, któremu miasto Kraków zawdzięcza swój pierwszy teatr, i kilka wielkich budynków jak Krysztofory.

*Librowski* szlachcic, właściciel Wielopola tuż pod Krakowem nad starą Wisłą, żył lat 126, umarł około r. 1830 (1).

W Krakowie umarł w 1724 roku 127-letni starzec, który spłodził z czterema żonami 125 dzieci, i pozostawił córkę 87-letnią, matkę 12 dzieci (obacz *Allgemeine Diaetetik von Dr. Ideler. Halle 1848, pag. 434*).

Dzwonnik przy parafii Gaworowo w powiecie ostrołęckim ma lat 113 i zupełnie dobrém cieszy się zdrowiem.

*Wintoniak* podoficer inwalidów polskich w Wolborzu ma lat 112, dobrem jeszcze cieszy się zdrowiem i chodzi na wartę.

*Piotr Sosnowski* znakomity malarz umarł d. 20 września 1853 w Moskwie, licząc lat 122, 1 miesiąc i dni 25. Jego ojciec był ubogim szlachcicem w ziemi smoleńskiej i szwagrem pana Wiśniowieckiego.

Młody *Piotr Sosnowski* zostawszy w bardzo wczesnym wieku sierotą, uczuł w sobie zapal do sztuki malarskiej, i wpisał się w poczet uczniów akademii sztuk pięknych w Petersburgu. Jego prace i szkice napiętnowane wyższego talentu urokiem, zwróciły na siebie uwagę wszystkich znawców. Sosnowski został znakomitym malarzem i professorem w akademii sztuk pięknych; ale w roku 1788 mając lat 57 życia, idąc za namową swego wuja pana Wiśniowieckiego, wstąpił do wojska do sztabu księcia Potemkina, i odbył drugą wyprawę turecką: był nawet przy zdobyciu Oczakowa. W roku 1796 wystąpił z wojska, dośłużywszy się rangi kapitańskiej w gwardyi konnej przybocznej; a w roku 1812 walczył jako pułkownik milicyi, mając lat 80, pod Borodino. Potém wrócił znów do pędzla, i pozostał aż do śmierci wiernym sztuce, której był szcze-

(1) Żona tegoż samego Librowskiego, bardzo mało różniąca się od niego wiekiem, umarła wkrótce po śmierci męża.



rym czcicielem. Jeszcze w roku 120 życia trudnił się malarstwem, a pędzel jego nie stracił nic z żywości swojej. Jego krajobrazy malowane w tym wieku zdawały się być dziełem ognistej duszy młodzieńca.

Organizm jego był nadzwyczaj silnym: nigdy nie chorował i przechował aż do końca życia niezmacone zmysły. Słyszał dobrze i czytał bez okularów, apetyt miał dobry, jadł proste potrawy, ale nie pił nigdy wina, wódki, herbaty, kawy, czekolady, tylko piwo i kwas. Nie palił także tytoniu i ciągle był w ruchu. W dzień śmierci przechodził się, a czując osłabienie wszedł w łóżko dla wypoczęcia, i zasnął snem wiecznym bez cierpień i nie chorując. „*Medizinische Zeitung Russlands* z r. 1853 numer 49” dodaje: że Piotr Sosnowski chociaż tak podeszły, nie był wcale zwolennikiem przestarzałych opinii, i że przeciwnie szedł zawsze z postępem czasu, i ciągle zdumiewał świeżością młodocianą swego pogodnego, i w piękną przyszłość wierzącego umysłu.

Przeczytajmy, co nasz uczony i sumienny historyk Szajnocha mówi o długowieczności Polaków za czasów Jagielly:

„Niewielki folwark ziemi małopolskiej wydawał po 7,000 kóp żyta. Zamożni jój mieszkańcy, zwłaszcza trzeźwi, dochodzili lat stu i więcej, nie wiedząc co to choroba. W powszechności plemie ówczesne było mimo tylu klęsk klimatycznych dziwnie czerstwe i zdrowe: 70-letni ojcowie piastowali nowonarodzonych synaczków na swoim ręku. Siostra Kazimierza Wielkiego, Elżbieta „tańce stroiła, wesola była, chociaż babie było już przez 80 lat” mówi Bielski.

W tym samym czasie ślepy arcybiskup Jarosław kończył setny rok życia. Trzeci ich spółczesnik Stanisław Szreński wojewoda mazowiecki, zwany Grad, przyszedłszy na świat w roku zabicia króla Przemysława, to jest przed laty 80, miał jeszcze żyć lat 60. Naliczył ich razem 140, jak to napis na grobie jego w Szreńsku opowiada. (Paprocki, herby ryc. 309; Bielski kronik. pols. Gałęz. IV 172) Przesłuchywany w ważnych processach świadkom, mającym dać wiadomość o dawno minionych czasach, przy-

znawano sądownie po 150 lat życia (Narusz. Hist. wydanie lipskie, IX, 102).

Niejaka *Taranowska* dożywszy lat 156, umarła z przestachu w czasie oblężenia Torunia przez Szwedów (z notatek K. W. Wójcickiego).

Przytoczywszy najznakomitsze przykłady podeszłego wieku, zobaczymy teraz w jakim klimacie, w jakich okolicznościach, w jakim stanie, z jakimi usposobieniami ciała i duszy człowiek najwyżej osiągnął starości.

Powszechném jest mniemaniem ludzi historii świata niezających, że życie pierwszych mieszkańców ziemi było nieskończenie dłuższe, czerstwiejsze i doskonalsze, wzrost olbrzymi, a siła nadzwyczajna. Poeci i powieściopisarze żywili owe wyobrażenia, któremi się wielu ludzi podziśdzien zajmuje, jako obfitém źródłem nadzwyczaj przyjemnych marzeń. Ale kości owych olbrzymów nie doszły do nas, a to, co brano za kości ludzkie, okazało się kośćmi słoniów, nosorożców i owęj ogromnej przedpotopowej jaszczurki.

Co do długości życia, musimy to wyznać, że surowa i gruntowna krytyka nie pozwala wierzyć, że pierwszy człowiek żył lat 1000, a Matuzalem lat 900.

Od czasów Abrahama poczyna się epoka dziejów pewniejszych, i w nichto czerpać winniśmy pewniki nadające nam wiarę w długowieczność życia naszego, w nichto szukać możemy przykładów, któreśmy naśladować powinni, gdybyśmy żyjąc skromnie i patryarchalnie, chcieli dopiąć jak najdłuższego wieku.

*Abraham* człowiek dzielny, odważny, skromny i szczęśliwy żył tylko lat 175; o lat dziesięć mniej od zmarłego przed 300 laty biskupa Keutigern.

Syn *Abrahama Izaak*, człowiek nadzwyczaj spokojny i wstydlivy, żył lat 180, czyli o dziesięć lat krócej od Węgra z bannatu, o którym nam zaręcza professor Hannow z Gdańska, że żył lat 190.

Przebiegły *Jakób* żył tylko lat 147; wojowniczy *Ismael* tylko lat 137, a dobra *Sara* jedyna niewiasta o której długowieczności historia raczej wspominać, żyła lat 127. *Józef* biegły polityk a bardzo nieszczęśliwy w swęj młodości, żył

tylko lat 110, a Mojżesz człowiek z nadzwyczajnym geniuszem twórczym, z niesłychaną energią, naczelnik burzliwego i niestałego ludu żydowskiego, żył lat 120.

Wielki kapłan Eliasz, człowiek otyły, flegmatyczny i spokojny, żył tylko lat 90.

Pomiędzy starożytnymi Grekami nie było wielu znakomitych długo żyjących ludzi. Mądry Solon, wesoły Anakreon, genialny Sofokles, poetyczny Pindar, żyli po lat 80; ale za to Gorgias z Leontium, wielki mówca, podróżnik i nauczyciel, umarł przeżywszy lat 108; mniej od naszego Gołębiowskiego podoficera francuzkiego. Zeno, założyciel szkoły stoików, gardzących życiem, i wzdychających do śmierci, żył lat 100; mniej od naszego Paschalskiego, pragnącego jak najdłuższego życia i umiejącego go używać.

W starożytnym Rzymie stosunkowo dłużej żyły znakomite kobiety od znakomitych mężów. Valeryus Cervinus, przyjaciel ludu, zawsze dzielny i szczęśliwy, dosięgnął do lat 100; ale Terencya żona Cycerona pomimo zgryzot i podagry żyła lat 103, a Luceja aktorka bardzo młodo wstąpiwszy do teatru, pozostała w nim przez cały wiek, i okazała się jeszcze na scenie w 112 roku życia.

Wiarogodne tablice śmiertelności sławnego Ulpiana zgadzają się dziwnie z naszymi, mianowicie co do wielkich miast. Według nich, w dawnym Rzymie i w dzisiejszym Londynie stosunek długości życia był prawie jednakowy za czasów Hufelanda, i pozostał takim dodziśnia (Statistics of Worsley, 1854). W zepsuciu wyrównały sobie obie stolice, i to jest pewną rzeczą.

Z tego cośmy o długowieczności rodu ludzkiego widzieli, czytali i słyszeli, wypływa: 1) że za czasów Mojżesza, Greków i Rzymian trwałość życia była też sama, co dzisiaj; 2) że mniejsza daleko w czasach naszych, mianowicie w kraju naszym znajduje się liczba ludzi podeszłych jak wówczas.

Jakaż téj przykrój różnicy przyczyna?

Utrzymują niektórzy uczeni, że ciepło wewnętrzne ziemi przebiega naprzemian wszystkie jéj części, a zgromadzając się w większej sile na jednych, zmniejsza się tém samym na drugich. Więc od nas miało się oddalić ciepło!.....

I nasi starzy wieśniacy utrzymują, że Polska stygnie od niejakiego czasu, i zgadza się to niejako z prawdą historyczną, bo przed dwoma wiekami w Polsce zbierano i tłoczono wina: świadczą o tém prawa obowiązujące szynkujących winem krajowém, morawskiém i węgierskiém w osobnych kategoriach przez prawodawców pomieszczone. W ratuszu toruńskim dodziśdnia pozostają dowody piśmienne, że się cesarz niemiecki Rudolf upił w tém mieście winem, wytłoczonym i zebraném w obrębie miasta.

Ale znowu Pliniusz, sumienny naturalista powiada o zimach, podczas których wino w piwnicach Rzymu i wody Tybru aż do dna zamarznętemi były.

Dziś funt winogron kosztuje w Warszawie 4 złp. tyle ile funt lodu w Rzymie, a śmiertelność Warszawy ma się do śmiertelności dzisiejszego miasta Rzymu jak 100 do 97, i to podług obrachowań z ostatnich lat pięciu, podczas których panowała dwa razy cholera w Rzymie i u nas w Warszawie.

Weźmy teraz pod uwagę wiek życia z punktu widzenia rozmaitych stanów człowieka, a zawsze z szczególnym poglądem na terażniejsze czasy i na nasze położenie.

Zacznijmy od ludzi, którzy piastowali najwyższe godności ziemskie, którym położenie ułatwiało wszelkie korzyści i rozkosze życia: zacznijmy od monarchów. Czyli to wzniosłe położenie monarchy udzieliło im także przywilój długiego życia?—ani starożytna, ani nowsza historia za tém nie przemawia.

Dawid król żydów i prorok, urodzony w r. 1085 przed Chrystusem, żył lat 84, a panował samodzielnie lat 44. Wielki król, jeszcze większy poeta, ale namiętny, lubieżny, niekiedy nawet okrutny, przedłużał sobie życie wszelkimi możliwymi sposobami. Wszystko mu sprzyjało, i otoczony niesłychanym zbytkiem wiódł życie przyjemne; jednakże nie żył ani panował tak długo, jak nasz dzielny Władysław Jagiełło (król *Władysław Jagiełło* żył lat 86 (1348 † 1434), panował w Polsce lat 48, umarł w skutek zaziębnienia się w nocy przysłuchując się śpiewowi słowików). Pa-

nował tylko tak długo jak nasz mądry król Zygmunt Stary, i żył o rok krócej od naszego nieszczęśliwego króla Stanisława Leszczyńskiego, któremu nieubłagana Parka na cudzej ziemi skróciła okropnym zgonem dni pełne cnoty, dobroczynności i światła.

W dawnych czasach kilku tylko znamy monarchów, którzy tak długiego wieku dostąpili. Tylko jeden Aureng-Zeyb cesarz mongolski osiągnął prawie stoletniego wieku. Urodzony w r. 1607, umarł właśnie w sto lat potem podbiwszy Tybet, Dekan, Golkondę i Wisapur, zbiwszy Maratów w wielu walkach. Był to monarcha świetnych zdolności, lecz okrutny: kazał pozbawić życia kilku zbuntowanych braci i synów swoich. Pragnął żyć długo, zasięgał rady najslawniejszych lekarzy europejskich i wynagradzał ich wspaniale. Do późnej starości nie używał nigdy mięsnych potraw i żywił się tylko roślinami i mlékem. Dopiero w starości zaczął jeść mięso, a w wieku zgrzybiałym kąpał się w mléku i w krwi młodych zwierząt.

Król pruski Fryderyk IIgi Wielkim zwany, był takim pod wieloma względami, a nawet pod względem fizycznym. Delikatnego zdrowia, nie silnej budowy, umiał zahartować się w wojnach, które przez lat 20 z przemagającym prowadził nieprzyjacielem, i dożył wieku lat 76.

Z trzystu papieżów, którzy od czasów Piotra Ś-go zasiadali na apostolskiej stolicy, pięciu tylko dożyło albo przeżyło lat 80, mimo tego, że tę wysoką godność w starości uzyskują.

Daleko częściej troski przywiązane do posiadania władzy, skracały ludziom, zresztą silnym i zdrowym życie, jak posiadanie rozumu.

Głęboko myślący filozofowie odznaczali się podeszłym wiekiem, zwłaszcza kiedy ich umysł zajmowały rozkosze wynikłe z badania natury. Górują pod tym względem Stoicy i Pitagorejczycy, uważający jako zasadę mądrości, ujarzmienie namiętności i chuci zmysłowych. Świetny Apoloniusz z Tyany, śmiały podróżnik który dotarł aż do Indyi Wschodnich, przyjaciel cesarza Wespazyana i taumaturga, to jest czarownik chociaż burzliwe prowadził życie, jednakże nigdy nie odstąpił surowych zasad Pythagora i żył przeszło lat 100. Xenophilan z Kolofonii, także Pytagorejczyk,

lekarz i założyciel sekty panteistów, żył lat 106; Zeno, *Demonax* i *Isokrates* żyli po lat 100; Demokryt głęboki badacz przyrody, przytém pełen wesołości człowiek żył lat 109; brudny ale wstrzemięźliwy *Dyogenes*, bijąc się z biedą i z zimnem, dosięgnął lat 90, a Plato jeden z najszczytniejszych geniuszów, jakich Bóg na chlubę ziemi stworzył, najgorliwszy w nauczaniu professor, żył przy bardzo słabój organizacyi jeszcze lat 81.

Nawet nowotniejsi filozofowie długiem cieszyli się życiem: Kepler, Bacon, Newton i Euler dożyli lat 90. Kant umarł w 81 roku życia. Göthe żył lat 92, a świetny Humboldt ma lat 89.

Pod względem długowieczności francuzcy filozofowie prawie się odznaczają nad wszystkich innych. Mądry, genialny, dowcipny i miły Fontenel żył lat 100, (1657 † 1757).

Formcy, który napisał historiją prawa polskiego, żył lat 90, a Wolter pomimo złośliwości i słabości swojej żył jednak lat 84.

Pomiędzy uczonemi, umysłowemi i utalentowanemi Polakami, odznaczyli się długowiecznością najwięcej:

Książd *Zygmunt Alexander Natęcz Włyński*, proboszcz parafii S-go Floryana na Kleparzu, professor uniwersytetu Jagiellońskiego, znakomity tłumacz dzieł Orzechowskiego, który umarł r. 1831 w Krakowie, mając lat 99 i miesięcy 10. Życie jego nacechowane było rzadką dobrocią i niezmordowaną pracą: do samėj śmierci zachował umysł przytomny, pogodny, a nawet wesoły.

*Stanisław Trembecki*, autor *Zofiówki*, jednego z najpiękniejszych poematów, jakiemi się szczyci literatura polska, pędził życie burzliwe; trzydzieści miał pojedynków o kobiety, namiętnie lubił grać w karty, a jednakże o mało co nie dożył setnych lat. Zachorowawszy mocno w pięćdziesiątym roku życia, i opuszczony przez lekarzy, sam się najściślejszą uratował dyetą, i od tego czasu nie używał na pokarm nic takiego, coby, jak mówił, żyło: pił tylko wodę, mleko i bardzo wiele kawy. Zwyczajną jego strawą były żółtka jaj, owoce i warzywa; nie dotknął przecież nigdy grochu ani fasoli. Przekonanym był, że zachowując tę dyetę, dojdzie do wieku wojewody Srzeńskiego, to jest

do 140 lat życia. Utrzymywał nawet, że gdyby był od dzieciństwa takich tylko używał pokarmów, z pewnością byłby dosięgnął lat trzechset, jako kresu, który natura wiekowi ludzkiemu oznaczyła. Wierzył zatem, jak kapitan Riley, w trzechwiekową długowieczność.

*Ludwik Kropiński*, dawny generał wojska polskiego, autor *Ludgardy* i niezmiernie tkliwego romansu, *Julii i Adolfa*, przeżył rok 90.

*Stefan Reczyński*, superintendent kościołów reformowanych w Litwie żył lat 99, i w ciągu swego sześćdziesięcio-kilko-letniego urzędowania był jednym z najpracowitszych uczonych i duchownych.

*Marcin Bielski*, *Franciszek Karpiński*, *Jan Śniadecki*, żyli przeszło po 80 lat; *Jan Nepomucen Kamiński*, *Józef Maksymilian Ossoliński*, *Jan Albertrandy* do lat ośmdziesięciu; ksiądz *Piotr Skarga Pawełski*, *Stanisław Staszyc*, *Szymon Syreniusz Syreński*, *Józef Jędrzej Załuski*, *Jacek Przybylski*, *Jan Paweł Woronicz*, *Szymon Szymonowicz Bendoński*, *Fabian Birkowski*, *Felix Bentkowski* przeżyli lat siedmdziesiąt i kilka.

A zatem zdaje nam się żeśmy dowiedli, iż rozum nie szkodzi ani życiu, ani zdrowiu: nie lękajmyż się tedy tak okropnie tego daru, najwięcej nas do Bóswa zbliżającego, i nie myślmy, żeby w głupocie były jakieś zatajone i głębokie zasoby zdrowia i życia.

Wprawdzie między praktycznemi lekarzami, śmiertelność jest bardzo wielka, niestety! większa niż w każdym innym zawodzie!

Najmniej lekarze stosować się mogą do prawideł higieny, które przepisują innym; przytém nie ma prawie powołania, któreby za sobą pociągało tak wielkich wysiłen ciała i duszy. Nawet nasz patryarcha Hippokrates, o którym Hufeland mówi, że żył lat 104, nie przewodniczył nam wcale pod względem długowieczności, bo jak się wykażało z nowo odkrytych przez profesora Lallemand źródeł historycznych, *boski ojciec Hippokrates* umarł w Larissie mając lat 80. Niejeden lekarz polski doświadczywszy tyśiącznych niesprawiedliwości i moralnych zgrzyzot, lekar-

skiemu powołaniu towarzyszących, żył i żyje jeszcze daleko dłużej.

Wprawdzie Dr *Broussonet* (margrabia, który tytułu swego nigdy nie używał) mój professor w Montpellier, do-  
stąpił lat 93 wieku, a całe życie swoje był czynnym jako  
podróżnik, naturalista, jako lekarz wojskowy podczas woj-  
ny i zarazy, jako professor kliniki i dziekan fakultetu lekar-  
skiego w Montpellier.

Na czele krajów pod względem długości życia stoją:  
Szkocya, Szwecya, Norwegia, Anglia, środkowa Rossya  
i bannat węgierski.

Człowiek w ogólności żyje dłużej w krajach zimnych  
jak gorących, ponieważ w gorącym klimacie roztworzenie  
odbywa się z większą siłą. Najwięcej przyczynia się do  
przedłużenia życia jednostajność atmosfery, szczególnie  
pod względem ciepła i zimna, lekkości i ciężkości powietrza,  
pod względem elektrycznym i magnetycznym. Ztądto  
kraje w których barometr, cieplomierz, elektrometr i ma-  
gnetometr, nagłym i znacznym podlegają zmianom, nie są  
przyjazne trwałości życia. Pod tym względem szczególnie  
odznacza się terytoryum niemieckie, w którym położenie  
geograficzne utrzymuje ciągłą mieszaninę klimatów i ciągłą  
zmienność temperatury, gdzie częstokroć w jednym dniu  
mróz i największy upał bywa, i gdzie po pogodnym marcu  
w maju śniegi padają. Dlatego też lymfatycznym Niemcom  
zęby gniją a nogi tyją, brzuchy puchną a kości próchnieją.

I nasz klimat staje się niestety podobnym do klimatu  
niemieckiego, w miarę jak z obszaru krainy naszej znikają  
lasy czyszczące powietrze, zasłaniające od powiewu roz-  
kielzanych wiatrów i zabezpieczające człowiekowi ubogie-  
mu tanie paliwo. O wpływie lasów na klimat różne są  
zdania. Lasy odwieczne wiele obszaru zajmujące, gęste, na  
wzgórzach położone zachowując śniegi, mogą dać powód do  
zatrzymania zimna, wilgoci i niezdrowych wyziewów; ale  
takich lasów już u nas nie ma. Lasy dziś na równinach poło-  
żone, niezbyt gęste i wielkie nietylko złego wpływu na kli-  
mat kraju nie wywierają, lecz owszem zatrzymując i stępia-  
jąc siłę wiatrów, opierają się ziębnięciu atmosfery.

Ale jak nakłonić szlachcica naszego do ochrony la-  
sów?—, Po mojej śmierci niech i potop przyjdzie! *après moi*



*le deluge*” — myśli sobie taki nieprzezorny szlachcic, czerpiący jedyny urok życia w szampanie, w kartach i w towarzysztwie z wszetecznicami.

Mieszkańcy wsi i małych miasteczek cieszą się w ogólności dłuższem życiem jak mieszkańcy wielkich miast. W wielkich miastach rzadko kiedy ludność w dobrym jest stosunku do obrębu powierzchni i do higienicznie zbudowanych domów. Zresztą, jak to już wprzód powiedzieliśmy, nie wszystkie na pozór piękne, kosztownymi wodotryskami ozdobione miasta, mają kanały, któremi odchodzą nieczystości zarazę roznoszące.

Najstraszliwszy stopień ludzkiej śmiertelności napotykamy pomiędzy niewolnikami i w domach podrzutków, w których jedna *złe żywiona* mamka, karmi troje dzieci. A takie domy podrzutków istnieją w niejednym bardzo wytwornie wyglądającym mieście!!

Ale za to znów niejednen pustelnik i zakonnik przy najsurowszym sposobie życia, przy zupełnem wyrzeczeniu się siebie, przepędzając życie na rozmyślanii, połączone z ruchem ciała i użyciem świeżego powietrza, doszedł wieku bardzo podeszłego. I tak apostoł Jan żył lat 93. Pustelnik Paweł, przy najsurowszej wstrzemięźliwości i w głębi wilgotnej jaskini, żył jednak lat 113; św. Antoni założyciel pierwszych klasztorów, sprzedawszy dobra swoje, ukrywał się w ustroniach Tebaidy i walcząc z głodem i z wszelkimi niewygodami, oddał się całkiem najsurowszemu życiu zakonnemu. Żył jednakże lat 105. W nowszych czasach przykłady takiej długowieczności rzadko się wydarzają w klasztorach: zapewne dlatego, że już w nich nie pojmują owej świętej abstrakcyi umysłu, owego religijnego wyrzeczenia się wszelkiej światowości.

---

Ale czemuż wielu Bogu lub nauce oddanych mężów, którzy z sobą zabierają do grobu dziewiczość ciała swojego, (wielki Newton i świetny Kant długo należeli do rzędu tych ludzi) dostąpiło jednakże lat stu i więcej życia, kiedy żaden ze starych kawalerów, tak gęsto rozsianych po obszarze świata, nigdy nie dożyje podeszłego wieku?

Bo wielka jest różnica pomiędzy czynnym *wyrzeczeniem się*; pomiędzy ofiarą zrobioną na chwałę Boga lub na korzyść nauki, a owém bierném wyparciem się odpowiedzialności za szczęście bliźniego swojego, które starego kawalera powstrzymały od zawarcia ślubów małżeńskich.

Bo egoizm ściska serce człowiekowi tylko dla siebie samego żyjącemu, bo pod oddechem niecnego sobkostwa, wiednieje, marszczy, zrasta się i kostnieje serce, ów szlachetny organ tak potrzebny do życia jak do uczuć!..

Serce jest źródłem pierwotném wszystkich ruchów żywotnych, główném narzędziem do udzielania samego życia wszystkim organom; ale w miarę posuwającego się wieku i zwiększającego się egoizmu, serce się zmniejsza, ściska, kostnieje a zarazem wiednieje, i to tak dalece, że na koniec 8 razy mniejszą przestrzeń względem ogólnej masy całego ciała zajmuje, niż na początku życia. Miąższość jego staje się coraz zbitszą i twardszą i w tym samym stosunku jak twardnieje powierzchnia, w podobnym stosunku osłabia się drażliwość, i nikną czucie, uczucia, miłosierdzie, przyjaźń a nawet miłość, owo ostatnie pospolicie jeszcze w każdej najstarszej poetycznej duszy drgające uczucie. Ubywają tedy coraz więcej działające siły, a siły opierające się postępom życia wzmagają się. Toż samo dzieje się w całym systemie naczyniowym i we wszystkich organach ruchu. Wszystkie naczynia stają się coraz twardszemi, ciaśniejzemi, bardziej pomarszczonemi i coraz niezdatniejszemi do czynności swojej. Arterye kostnieją, naczynia włoskowe zrastają się, i przez to najdelikatniejsze środki odnowy, drogi przystępu i przyswojenia z zewnątrz stają się mniej przenikliwemi; a zatem tamuje się dopływ odżywiający z zewnątrz. Czułość tępieje, a z nią razem samodzielne siły nasze; w tym samym stopniu wzmagają się siły rozkładające, niszczące, siły mechaniczne i chemiczne, dybiące na owładnięcie atomów naszego ciała. W skutku ubytku sił nadających ruch, cierpią szczególnie sekrecye niezbędne do wydzielania cząstek zepsutych czyli do czyszczenia ciała. Skóra zamiast przepuszczać niewidzialnym potem, ciecze organizmowi już niepotrzebne, a zatem szkodliwe, staje się coraz tęższą, nieprzenikliwszą i niezdolniejszą

do pełnienia funkcji swoich. Nerki i pęcherz zanadto się już natężywszy przez to samo że skóra działać przestała, odmawiają pomocy, odchody urynowe są utrudnione. W płucach zatrzymuje się nieczysty śluz i dusi starca, na koniec naczynia wyziewające kanału kiszki drętwieją i odchody stolcowe stają się coraz trudniejszymi. Soki egoistycznego starca są nieczyste, ostre, gęste, i obfite w cząstki ziemne. Ziemne części, mianowicie fosforany wapna, najnieprzyjaźniejsze wszelkim żywotnym ruchom, nabywają w ciele starca coraz więcej przewagi; nareszcie widzimy go jeszcze za życia zbliżającego się szybkim krokiem do ostatecznego przeznaczenia, wracającego w głąb tej ziemi, od której nigdy duchem oderwać się nie umiał.

Otóż zgubne skutki tego życia pająkowego, bezuczuciowego, bezlitościwego, które niejedni stary kawaler nieotaczający się miłością od siebie zależnych osób, wiecie. Bóg pożytku z niego nie ma, bo egoista nie doznaje owych błogich religijnych wzruszeń, wykwitłych z wiedzy poświęcenia; ludzkość pożytku ze starego kawalera nie ma, bo on nietylko się nie przyczynia do wzrostu pojęć i dążeń moralnych, ale częstokroć jeszcze godzi na moralność niejednej niezaputnej istoty.

Biada temu starcowi kawalerowi, co przynajmniej w miłości nauk i sztuk pięknych nie umiał szukać rozkoszy, i nie zabezpieczył sobie w czemsiś szlachetnym i ludzkości pożytecznym odnowy dla uczuć serce poruszających: bo tego owładną przedwcześnie zimno ziemi i skamieniałości ziemskich cząstek.

A zatem wszędzie i zawsze mózg, władza myślenia, rozum, duch, ta wyższa i boska władza, którą człowiek w sobie sumienną pracą wyrobić zdoła, wpływa najwięcej nietylko na charakter, ale nawet na temperament i na konstytucyę człowieka, i najwięcej się przyczynia do udoskonalenia i trwałości życia ludzkiego.

Dlaczego człowiek, któremu natura nie udzieliła ani sierci, ani kopyt, ani kłów, ani rogów, lecz owszem organizacyą najdelikatniejszą i najwięcej złożoną; dlaczego człowiek u którego się wszystkie soki i części składowe najprędzej niszczą, przewyższa jednak trwałością wszystkie rodzaje doskonalszych zwierząt?

Oto dlatego, że ma mózg, władzę myślenia, rozum, ducha, który nietylko wystarcza na własną obronę i na wymyślenie środków przechowania się we wszystkich najgorętszych i najzimniejszych klimatach, ale nawet zdolny jest zabezpieczyć byt, wychowanie i szczęście słabszym od siebie, upośledzonym od przyrody, starym, zgrzybiałym, chorym i nieszczęsnym istotom.

Ów mózg jest darem Boga cudownym, a ludzie nieumiejący go cenić są niewdzięcznikami.

Żaden głupi, żaden nieokrzesany, żaden próżniak, (choćby należeli do rzędu najbogatszych), żaden z ziemskimi nagabywaniami walczyć nieumiejący lub niewprawiony człowiek, długo nie żył i żyć nie ma prawa. Gdzie prawo Boga i natury odmawia pomocy, tam odwołania do żadnych innych sił nie ma już, tam rozpacz, śmierć przedwczesna jest niestety koniecznym następstwem!!!

Wykazuje się tedy z przykładów wyżej wymienionych, że człowiek byleby nie był obarczony odpowiedzialnością za szczęście i byt zanadto wielkiej liczby bliźnich swoich, byleby nie pracował zanadto, zwłaszcza umysłowo, przy mierném nawet wyżywieniu, przy ciągłej, czasami nawet wyteżonej pracy, może żyć we wszystkich strefach umiarkowanie zimnych lat 100, a niekiedy nawet daleko więcej.

Haller twierdzi i przekonywa, że człowiek zdolny jest dożyć do lat dwustu. Buffon dowodzi, wspierając się na prawach natury, analogią porównawczą stwierdzonych, że człowiek zdrowo urodzony ma prawo żyć przynajmniej lat 90 do 100; i że tak długo żyje, jeżeli choroby, przypadki, zmartwienia, głód, zimno i inne życiu zagrażające przypadkowości nie skrócą dni jego.

Tém prawem natury, według zdania najsumienniejszych i najtroskliwszych w badaniu przyrody fizyologów jest: że każde zwierze ssące żyje przynajmniej pięć razy dłużej niż potrzebuje czasu do wyrośnięcia wzdłuż, lub w górę. I tak potrzebują do wyrośnięcia w przecięciu: Wielbłąd lat 8; koń lat 5; wół lat 4; pies lat 2; kot miesięcy 18; królik miesięcy 12; świnka morska miesięcy 7.

Istotnie téż doświadczenie wykazało, że: wielbłąd żyje lat 40; koń żyje lat 25; wół żyje lat 15; lew żyje lat 20; pies żyje lat 10; kot żyje do lat 9; królik żyje lat 8; świnka morska żyje lat 6.

Ale mogą żyć i dłużej o lat kilka, stosownie do długości czasu przez który rosły.

Człowiek, który w przecięciu potrzebuje lat 20 do zupełnego wyrośnięcia w górę, żyje w przecięciu pięć razy dwadzieścia lat, to jest lat 100.

Posiadamy zatem prawo wyraźne, które nam daje z przybliżoną pewnością miarę trwałości życia. Wszystkie fenomena życia czepiają się jedne o drugie ogniwami logicznymi i niezmiennymi; trwałość życia zależy od czasu, przez który trwa rośnięcie, a czas rośnięcia w niezmiennym zostaje stosunku z długością noszenia; długość znów noszenia zależy od wielkości\* wzrostu i t. d. i Bóg wie ile nieodgadnionych tajemnic natury, zależy jeszcze od niepojętych proporcji wzrostu, czasu i innych okoliczności fizycznych i chemicznych.

Ten sam Buffon, który odgadł prawa natury mierzące trwałość życia, opowiada nam jednakże z szczegółową starannością historią konia, który żył lat 50.

„Otóż, mówi Buffon, przykład konia, który żył lat 50, to jest dwa razy tyle ile zwyczajnie trwa życie tego zwierzęcia; a zatem analogia i tu potwierdza to, cośmy znali tylko dzięki niektórym faktom podobnego rodzaju, przytrafionym wyjątkowo ludziom. Tak jest, fenomenalne zwierzęta, tak jak fenomenalni ludzie mogą przedłużyć życie swoje w dwójnasób. Te przywileje natury wprawdzie tylko bardzo rzadko się zjawiają: są to wielkie losy w loteryi życia, wystarczają one jednakże do dania najsędziwszym starcom nadziei jeszcze dłuższego życia”.

Te słowa, w ustach tak genialnego i sumiennego badacza natury, nabywają nieocenionej wartości i wlewać powinny balsam pociechy w serca ludzi pragnących przynajmniej dla potomków swoich większego szczęścia niż to, które my na tym padole nędzy, rozrywani namiętnościami, nękani trwogą, doświadczamy.

W innem miejscu mówi tenże sam wielki naturalista, którego nazwisko często z takim ulubieniem wspominamy,

że łabędź najwstydlivszy, najłagodniejszy i najwspanialszy ze wszystkich ptaków, żyje dłużej niż każdy inny ptak, niewyjmując wsławionych z długowieczności kruków, orłów i papug. Już wiemy, co nam Hufeland opowiedział o krótkim życiu kłótlivego koguta i sprośnego wróbla: jakież prześliczne wykwitają rady dla nas rozumnych istot z tego, co nam nierozumne zwierzęta przez swe życie i obyczaje przedstawiają? Natura jest skarbem niewyczerpanym mądrości, bardzo mało znanym przez tych, co się silą na wyszukanie wykwinności, oddalających nas od wiecznie młodej, świeżej, dobroczynnej przyrody.

(Dalszy ciąg nastąpi).



# PAMIĘTNIKI

*Sabiny z G. G.*

---

(Ciąg dalszy).

**T**u przerywam notatki mojego ojca, z których zrobiłam wypis w przekonaniu, że czytelnik z przyjemnością przejrzy te szczegóły, nigdzie mi się czytać niedające o stanie moralnym i politycznym kraju naszego w okresie od roku 1780 do roku 1809.

Powiedziałam już, że ojciec mój po kampanii 1794 roku, zapragnął jechać do Włoch, od czego odwiódł go działający majątkowe i wczesne dość ożenienie z Teofilą Wielogłowską starościanką olszańską. Biskup krakowski Gawroński, krewny mojego ojca, dawał im ślub w Krakowie w biskupiej kaplicy, roku 1805. Po zwykłych uroczystościach weselnych, które się w owym czasie odbywały z całą staropolską gościnnością i dokładnością, rodzice moi pojechali na mieszkanie do dziedzicznego majątku, Marzęcina, w okolicach Pińczowa i Buska położonego. Marzęciński dworzec niewielki i niewydatny, stał na wzniesieniu dość znacznego wzgórza, u stóp którego na lewo ciągnął się ogród owocowy dość znacznej objętości. Opoдал z okien domu dojrzeć można było jak za mgłą, ogołoczone z murów baszty pińczowskiego zamku. Niedaleko, bo tylko o półtóry mili leży Busk, o którego wodach uzdrawiających, z podania nawet w owym czasie słyhać nie było. Gdy w roku 1821, bawiąc dni kilka w Marzęcinie, przejeżdżałam przez Busk, jedno z najlichszych jakie mi się w Polsce widzieć dało miasteczek, zaiste

ani pomyślałam, że na tych smutnych koło niego zarosłach staną wspaniałe gmachy jednego z najpiękniejszych zakładów wód mineralnych w Europie, że na tych bagnach, na których się grzęzło, powozy będą wygodnie suwać po murowanej drodze; że te opasujące miasto wapienne wzgórza, na których chwasty tępo i leniwo rosły, tchnięte wszechwładną XIX wieku przemysłową róższką, uwieńczą się kiedyś w zielone i różnobarwne ogrody i gaje.

Wieś Bogucice była wsią parafialną, do której się jeździło z Marzęcina, gdzie kościoła nie było. Kościół w Bogucicach po-aryański, jak bardzo wiele w okolicy kościołów, był czasem, i brakiem funduszków na częściowe reparacye zniszczony, probostwo zaś tak ubogie, że ledwie wystarczało na opłacenie podatków. Proboszcz, najbiedniejsze swe utrzymanie szukać był zmuszony u najuboższego ludu, przez opłaty od chrztu, ślubów i obrzędów pogrzebowych. Proboszczem w Bogucicach był w owym czasie ksiądz Jarzemski, który mi udzielił w marzęcińskim dworcu, w czasie trzaskających styczniowych mrozów, sakrament chrztu świętego. Mój ojciec wielce w dziejach zamiłowany, zatopiony właśnie w czytaniu i studyowaniu historyi Rzymu, nazwał mnie *Sabiną*, imieniem wówczas tak niezwyčajnym, że poczciwy proboszcz, który go w marcieologii nie czytał, stanowczo odmówił mię nię nazwać: musiano wchodzić w układy, to jest, że imię *Marya* było wpisane w akcie kościelnym, *Sabina* zaś zostało jako dodatnie, ale tēm ostatnięm imięnięm mnie w rodzinie, a newet w urzędowych aktach nazywano. Trzymała mnie do chrztu starsza siostra mojęj matki Ignacowa Wielogłowska ze Zborowa, z swym mężem, który był także jęj stryjecznyęm bratem. W trzy dni po mojęm urodzeniu zdarzył się zabawny wypadek, ale mogący się bardzo tragicznie skończyć. W czasie obiadu, gdy wszyscy siedzieli u stołu w sali jadalnej na drugim końcu domu, ja w dzieciennyęm pokoiku, tuż obok pokoju sypialnego mojęj matki, leżałam w kołysce spoczywając tym snem kilkodniowego dziecka, który rzeczywiście snem nie jest, ani tęż życiem, tylko jakimś niedocieczonyęm stanem, środek trzymającym między zwierzęcem rośnięciem, a roślinną wegetacyą. Bona francuzka od wigilii dnia tego przydana do moich usług, siedziała wraz z drugimi u stołu, a mamka



widząc mnie spokojną, wyszła na chwilę, zostawiwszy na stole przy kołysce niedojedzoną potrawę z swojego obiadu. W tej chwili jam się przebudziła i zaczęłam kwilić, co usłyszawszy dwuletni brat mój, bawiący się w sąsiednim pokoju, przybiegł i przypisując mój płacz głodowi, szybko ujął za talerz i począł mnie karmić kartoflami, które z całej siły pakował w drobne dziecięce usteczka. Proszę sobie wystawić przestרח mamki, która przyskoczywszy, ujrzała mnie przykrytą i nawpół uduszoną wcale niestosownym pokarmem. Narobiła krzyku, cały dom był w poruszeniu, zaczęto mnie trzeć, trzeźwić, gdyż niemogąc oddychać, byłam już zupełnie sina. Szczęściem, skończyło się na tarciu, ulepku, oddaleniu nieroztropnej mamki, i rozesłaniu konnych posłańców na wszystkie strony po doktorów. Najnieścieśliwszym był mój brat, który widząc tę wrzawę, rwetes, rozgardyas, stał przelekle, smutny i nieporuszony w kącie, czując instynktowo, że on tego wszystkiego przyczyną. Mój ojciec ochłonawszy z przestרחu, ulitował się nad nim, wziął go na ręce, zaczął pocieszać, i tak go dobrocią swoją rozkwilił, że długo utulić się nie mógł. Biedna dziecina: w zaraniu życia swego już doznał najdotkliwszego ze wszystkich zawodów, bo jakiegoś rodzaju kary za najświętsze intencje!... Mój nieoceniony Floryan, który chciał mnie nakarmić, gdy miałam dni trzy, w późniejszych i ciężkich życia mojego kolejach był moim aniołem opiekuńczym. Tracąc go przed 4-ma laty, straciłam najczynniejszego, najlepszego przyjaciela, i jedyną przedwczesnego wdowieństwa mego podporę! Ale nie uprzedzajmy wypadków i wróćmy do ciągu opowiadania mojego.

W czasie pobytu rodziców moich w Marzęcinie, tojest roku 1805 — 1810, Europa i Polska szczególnie, ważnych doznały wstrząśnień. Francuzi przyszedłszy do kraju naszego, znaleźli go, jak wiadomo, bardzo wycieńczonym, już to przez dawniejsze zabory na rzecz rządu starostw i erpachtów, już przez redukcją bankocetli, przez którą mój ojciec, nie liczący się do najzamożniejszych, sam utracił około złp. 70,000 w gotowiźnie. Że wszakże dla chcącego, jakto mówią, nie ma nic trudnego: znalazło się jeszcze u obywateli dość materyalnego zasobu i moralnej odwagi, do przyjęcia Francuzów. Mając w tych wspomnieniach przedewszyst-

kiem prawdę na celu, wyznać muszę, że stosunki bliższe z niemi, po wsiach szczególnie, były nader trudne i uciążliwe. Mieć było żołnierza francuzkiego pod dachem, było to samo, co mieć pana w domu, tém nieznośniejszego, że nietylko ogałacał właściciela z najpiérwszych do życia potrzeb, ale najdotkliwiéj jego narodowe uczucie obrażał i drażnił. Nic dla żołnierza francuzkiego nie było świętego na kwaterze, gdzie się znajdował. Jeżeli przyszedł w nocy, kazał bez ceremonii ustępować sobie łózka, lub pościel dla oficerów bez miłosierdzia zajmował. Do stołu wraz z państwem, niebacząc na stopień, nieproszony zasiadał, rozpierał się w najwytworniejszych salonach, i błoto stajenne na bogate sofy i dywany znosił. Zdarzyło się, że niezastawszy gotowego na opał drzewa, najrzadsze pokojowe meble łamał, kładł na ogień, i niemi prawdziwie piekielne ognisko utrzymywał.

W czasie przechodów nikt nie był pewnym ani swojego obiadu, ani swojego łózka. Przez niepojęty jakiś kontrast, te niezwyčajne garnizonowe stosunki nie ujmowały bynajmniej wrodzonéj Francuzom galanteryi. Nieraz zdarzyło się, że oficer francuzki na kwaterze będący, kazał ustąpić z pokojów właścicielowi, który zmuszony był udać się spać na folwark, a nazajutrz zaprosił damy do ich własnych salonów na wieczorne zebranie, gdzie ich otoczył staraniami wyszukanéj i wytwornéj grzeczności: grał im na fortepianie i spiewał, a gdy było więcéj osób, a szczególnie młodzież żeńska miejscowa, rozpoczynał się bal w całej formie, i trwał do rana; poczem znów wszystko do dawnego wracało trybu; to jest do łez, ucisku, i wszelkiego rodzaju uciemiężenia. Napoleon, który w wojsku swoim wyexaltował uczucie punkt-honoru do najwyższego stopnia, nie umiał wpoić w niego potrzebnej w czasie pokoju i rozejmu karności, względności dla słabych i bezbronnych; zresztą różnicy jaka zachodzić powinna między nieprzyjacielem a sprzymierzeńcem. Zdaje się, że wada sobkostwa (egoizmu), która kaziła charakter tego wielkiego człowieka, zaraziła cały fanatycznie do niego przywiązany naród, przeobrażając się w zbiorowy egoizm, nie widzący nic oprócz Francyi i Francuzów, nie czujący nic, tylko własne narodowe życie i interes. Jest to bardzo piękne uczucie,

zdolne natchnąć do wielkich czynów męstwa, poświęcenia i wytrwałości, ale i to, gdy przejdzie odwieczne granice słuszności i sprawiedliwości, zamieni się w jakiś potworny monopol wsiąkając w siebie pomyślność nietylko wrogów, ale i sprzymierzeńców. Tak się zrobiło z Francuzami za czasów Napoleona. W wielu krajach uważani za zbawców, stali się istnemi prześladowcami. Z bolem serca wyznać potrzeba, że nasze tworzące się wojsko, łagodnością i pobłażaniem księcia Józefa popsute, poczęło potrosze garnizonową rubasznosc żołnierzy Zachodu naśladować. Przejęte ważnością swego przeznaczenia, a nadewszystko sławą i rozgłosem wielkiego wodza i cesarza, otoczone uwielbieniem i pieśczętami swojego kraju, psute przez kobiety, rade przyjmujące jego hołdy i gardzące wszystkiem, co nie szlifa i pałasz: nie dziw, że do męstwa i nieustraszoneści przyplątało się nieco zarozumiałości, bo natura ludzka jest słaba, i rzadko w granicach przyjętego na się charakteru wytrwać umie. Ow tak zwany okres księstwa Warszawskiego był tak dla kraju naszego, jak dla całej Europy prawdziwą epopeją, w której nie wiedzieć co więcej podziwiać: czy geniusz wielkiego owęj epoki przedstawiciela, czy tę poezją energii, czynu, poświęcenia, którą umiał massy natchnąć.

Około roku 1810 zdarzył się wypadek doskonale ów stan społeczeństwa malujący.

W Sandomierskiem, w dobrach swoich Ociesęki, mieszkał niejaki Skurzewski, dawny Kościuszkowski zastępów żołnierz. Po ukończonej kampanii 1794 roku, osiadł na wsi, oddał się wyłącznie rolnictwu, do którego tak był nawykł, że z trudnością przychodziło mu, i to tylko dla gwałtownego interesu wyjeżdzać z ulubionej sobie wioski, gdzie prawie pustelnicze prowadził życie. Skurzewski był jednym z tych ludzi, na których młodość, niedoświadczenie i zarozumiałość, najłatwiej omylić się mogą. Postać jego nieokazna, pospolita, powierzchowność pełna skromności a nawet i pokory, obejście proste i uniżone, wyłączne oddanie się swojemu zawodowi: zapowiadały zabitego hreczosieja; ale pod temi nieobiecującemi pozorami Skurzewskiego, ukrywały się przymioty cechujące biegłego i nieustraszonego rycerza. W częstych przechodach wojska zda-

rzyło się, że skromne ustronie naszego szlachcica nawiedzone zostało przez oddział tak zwanych złotych huzarów, komendy pułkownika U..., który na dość długą kwatere u niego stanął. Dworek w Ociesękach pod strzechą, drewniany, szczupły, zbudowany był nakształt wielu ówczesnych dworków, co to w środku między oknami na czterech słupach postawiony ganek, z dwiema pobocznemi ławkami, całą stanowiły ozdobę. Miał on wewnątrz sień, albo raczej wązki korytarz; na prawo od wchodu był pokój niby jadalny, ale służący do całodziennego użytku, gdyż w nim właściciel sam lub z przybyłym rzadkim gościem przebywał: tu sypiał, pisywał, i wieczorne swe dyspozycye włodarzom wydawał. W środku tego pokoju, albo raczej izby nie sufitowanej i mającej ściany drewniane, na wierzchu tylko wapnem przybielone, stał duży stół otoczony ławkami, czarną skórą obitemi: także ławki stały wzdłuż ścian. Na ścianach wisiało kilka sztuk zardzewiałej broni, trąbka myśliwska, torba i róg do prochu.

Przy drzwiach wchodowych od sieni wisiał po jednej stronie harapnik, a po drugiej klucze od stodół i spichlerza; opodal komin wysoki okrągławo-kanciasty z kapą, na którym zimą i latem nieustanny prażył się ogień; za kominem piec ceglany, tynkowany, nieproporcjonalnie w stosunku izby duży, i prawie zawsze zimny. W przeciwnych rogach pokoju po jednej stronie stały o mur oparte kilka długich cybuchów z bursztynami i przyczepionemi do nich stambułkami. Po drugiej między oknami, stół czarno bejcowany, zarzucony różnemi papierami i listami w bibulastych kopertach, kałamarz duży drewniany przymocowany do deszczułki, także piaseczniczka; obok mała owalowata herbowa pieczętka, lak, duża okrągła zakopcona pieczęć gminy, ogromne zardzewiałe nożyce do strzyżenia papieru, łojowa świeca w małym mosiężnym lichtarzyku, pół arkusza niebieskiego papieru przygotowanego na list, marmurowe chęcińskie dwie *presse papier*, pod któremi starannie ułożone były ostatnie numera Gazety Warszawskiej, wówczas na bibule wychodzącej. Nad stołem do muru przymocowane były przegródki, w których ułożono bardzo starannie i stosownie do kategorii: Dziennik departamentalny, akta prawne

gminne, okólniki, kwity wypłaconych podatków; dalej znów księgi praw, Kodexu cywilnego, Procedury sądowej i różne urzędowe druki. Obok wisiał na konopnym sznurku kalendarz krakowski, konieczny grat domowego inwentarza. Na jedném z dwóch okien stały większej lub mniejszej objętości flaszki, flaszeczki, z różnemi przyprawami lekarskiemi, domowemi, na choroby ludu i zwierząt, tudzież atrament w butelce, oraz w dużym szklanym słoju żmija konserwująca się w spirytusie, którym nacieranie ciała lub członków zbolałych, ma być nieomylném lekarstwem na wszelkie reumatyczne bole. Na drugiem oknie stała uschnięta palma z Kwietniej Niedzieli, na kapie od komina pozawieszane wieńce z ostatniej uroczystości Bożego Ciała, które dane do połknięcia bydłu, w chorobie zwanój *paskudnikiem*, mają mieć ulecządzającą własność. Na piecu zaś stał duży wieniec z pszenicy uwity w kształcie kołpaka, ofiarowany przez przodownicę (pierwszą żniwiarkę) dziedzicowi w czasie ostatnich dożyneków. W ostatnim kącie koło drzwi, stało żelazne łóżko Skurzewskiego, bez firanek, z skórzaną poduszką, włosianym materacem, przykryte prostą flanelową w czerwone muszki i kwiaty kołdrą. Nad łóżkiem wisiał zakopcony obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, zegarek kieszonkowy srebrny z trzema krwawnikami i mosiężnym kluczykiem, na tombakowym łańcuszku przyczepionemi, oraz kapciuszek niebieski jedwabny z dnem ponsonem safianowém. Na ścianie i negach rozłożone były dwie wilcze skóry. Wprost drzwi wchodowych były drugie drzwi, prowadzące do innego pokoju osufitowanego i oszabrowanego. Był to rodzaj niby bawialnego pokoju najmniej zamieszkałego: kanapa, stół okrągły mahoniowy, jedyny szacowniejszy w nim sprzęt, którego nikt nie widział, bo był zawsze szarém płótnem nakryty, pół tuzina jesionowych wyplatanych stołków, w kącie komoda czerwono politurowana, i takiż stolik do kart, stanowiły całe umeblowanie. W tym pokoju zwykle w lecie suszyły się gospodarskie zioła, porozsypywane były na spodkach od filizanek rozmaite gatunki zboża; w zimie zaś i późnej jesieni, pokój ten ogrzewany piecem, służył za schowanie zimowym jabłkom i gruszkom, starannie na podłodze poukładanym. W znanój nam już sieni za drewnianém prze-

forsztowaniem była spiżarnia, a za sienią izba czeladnia i kuchnia. Tych opisywać nie będę, bo któż z nas zapamiętających jeszcze pierwszy 25-letni XIX-go stulecia okres, nie przypomni sobie owych folwarcznych izb, pralni i kuchni, gdzie wrzask i pisk drobitu, dym, kopeć, przykre zapachy różnego rodzaju i niedocieczonego użytku graty, nieczystość i nieporządek, walczyły z sobą o pierwszeństwo. Dziedziniec obwiedziony chruścianym płotem, zakończony dwoma gołemi słupami, mającemi wcale niewłaściwie pretensją nazywania się bramą; zajęty był dwoma brudnymi i bagnistymi kałużami, w których się grzęzło, nim się do dworu zajechało. Na płocie igrał swobodnie kot zaczajony na kure wiodzącą kurczęta. Opodal indyk najeżał pióra swoje i witał wściekle przybywających chłopków z interesem do pana; a psy niemiłosiernie szczerkały na obdarte go żydka, chodzącego za skórkami, z pod których ledwie go widać było. Ogród owocowy i warzywny był tam gdzieś daleko za gumnem; budynki murowane porządne a nawet wykwintne, czyniły kontrast z lichym dworem i dziedzińcem: przy każdym zabudowaniu była buda z psem brytanem na łańcuchu. Oto mniej więcej obraz siedziby naszego starego wojaka. Do niejto przybył na kwatere ze swoim sztabem pułkownik U....., którego w salonach nazywano *Monsieur Ducat*, przez alluzją do jego kapiącego od złota munduru złotych huzarów. Wzrostu średniego ale przystojny, ulubieniec kobiet, pełen honoru i odwagi, trochę junaka i zawadyak, zawsze gotowy do szabli i kieliszka, jako bywała młodzież wojskowa za czasów księcia Józefa, a przytém wykwintny i elegancki: w odludnej i mizernej wioszczynie, nie mógł się znaleźć w swoim żywiole. Niebardzo się też spieszył do niej, i dał się wyprzedzić swoim ludziom i ekwipażom, o których coś także powiedzieć trzeba, bo najlepsze o panu swoim i czasie dadzą wyobrażenie. Naprzód prowadzono konie wierzchowe, precudnej arabskiej rassy, okryte w eleganckie z wyszukaną turecką materią koce; za nimi szedł koczyk pułkownika, w którym siedział, albo raczej leżał pies amerykański, prawdziwie zamorskiego pochodzenia; a na siedzeniu rozłożone były: poduszka skórzana, pudełko z pistoletami, mappa i perspektywa, a przytém wszyst-

kiem, stojący, oparty o tylną poduszkę powozu, portret Napoleona I, starannie w gruby papier obwinięty i obwiązany, ów konieczny sprzęt każdego wówczas oficera. Na koźle siedział kamerdyner pułkownika, Francuz, który się niemało zadziwił i skrzywił, widząc Ociesecki dworek i pokoje na przyjęcie jego pana przygotowane. Mocno nie kontent, ale poddając się nieodwołalnemu prawu konieczności, starał się stosownie do zwyczajów i gustu U.... mieszkalnemi je zrobić. Pierwszy pokój, który już opisywaliśmy, gdzie Skurzewski sypiał, przeznaczony był dla oficerów sztabu pułkownika; drugi zaś zowiący się bawialnym pokojem, kamerdyner zachował dla pana swego. Zwołano naprzód ludzi, kazano okna poroztwierać, aby wilgoci i stęchlizny zwyczajnej w pokoju niezamieszkanym pozbyć się. Starą kanapę nowym perskim dywanym nakryto, nad łóżkiem makatę i kotarę przybito, na komodzie ustawiono tualetę, zwierciadło i inne przybory do ubierania; wniesiono ogromną szkatułę mahoniową okutą w mosiądz i powleczoną oponą z łosiej skóry, w której były podróżne srebrne, niezbędne graciki: miednica z kubkiem, sztuciec, szklanka, kieliszek, parę talerzy i co potrzeba do ubierania. To wszystko porozstawiano na stole obok łóżka, ściany ozdobiono kosztowną i rzadką bronią; każdy kąt oczyszczono i okadzono. W końcu skromna izdebka szlacheckiego dworku, przybrała pozór sypialnego pokoju rycerza-sybaryty. Skurzewski, który sam wyniósł się na folwark, aby godnie przyjąć swoich gości, poprzyrządził dla nich resztki zapasów domowych: powyciągał z piwnicy resztujące butelki pozostałych po Francuzach starych win węgierskich, które nadsekwańscy goście, bardzo jak wiadomo, polubili; ku wieczorowi kazał rozpalić suty ogień na kominku, i czekał z przygotowaną doskonałą wieczerzą, kiedy usłyszano na dziedzińcu, trudno po błocie kałuży stąpające konie naszych rycerzy. Wyszedł na ich spotkanie do drzwi wchodowych skromny gospodarz. Pułkownik zawiedziony jego siwą kapotą i uniżoną miną, skłoniwszy się zlekka, nie mówiąc ani słowa, wszedł do swojego pokoju, gdzie się niebawem zamknął, kazawszy sobie poprzednio podać wieczerzę. Znalazłszy się sam, zrzucił swój służbowy mundur bogaty, ale ciężki: przywdział lek-

szy i wygodniejszy ubiór, i znużony kilkudniowym mar-  
szem, rzucił się jak długi na kanapę. Usłużny *François*  
podał mu elegancką fajkę (wtenczas cygara nie były  
w modzie), ustawił stół, na którym postawił dwie wo-  
skowe świece, dzwonek, romans francuzki pani Cottin, wo-  
dę, cukier i butelkę czerwonego wina, i wyszedł. Pułko-  
wnik począł czytać, ale romans go jakoś nie bawił; i byłby  
może zasnął naprawdę, kiedy szelest jakiś zrobił się na  
dziedzińcu: psy poczęły szczeleć, ujadać, zrywać się,  
w czém im doskonale piękny amerykański *terre-neuve* U.....  
wtorował.

— Co to jest?! — zawołał zniecierpliwiony tym hała-  
sem pułkownik. Na energiczny odgłos dzwonka, wpada  
zadyszany ordynans, stary huzar, legionista z krzyżem na  
piersiach i kresą na prawém policzku, i staje frontem.

— Zkąd ten hałas?

— Panie pułkowniku! oto idzie dziad, i psy na niego  
ujadają.

— Ale mi spać nie dają! Wołać gospodarza.

— Spi.

— To go obudź!

Wychodzi huzar, i w kilka minut przychodzi z oznaj-  
mieniem, że gospodarz wyjechał konno na nocny objazd  
łąk i pól.

— To wołać ekonoma!

— Ekonoma we dworze nie ma.

— To karbowego! Przecież tu ktoś być musi.

Na ten stanowczy rozkaz, wiarus obraca się po woj-  
skowemu prawo w tył, i biegnie wykonać rozkaz. Po dłu-  
giem szukaniu zastaje karbowego w gumnie śpiącego: budzi  
go, każe się czémprędzej ubierać, i rozspanego, zalekłego,  
niemogącego słowa zabełkotać, stawia przed pułkownikiem.  
Byłto człowiek z klasy napół wiejskiej, napół waszacio-  
wój, ubrany w granatową kapotę, ściśniętą szerokim pasem  
skórzanym; mający u szyi naprędce zawiązaną starą czer-  
woną wypłowiałą chustkę, i obracający w rękę granatową  
czworograniastą czapkę. Josiek był jednocześnie kommis-  
sarem, ekonomem, karbowym, to jest co się nazywa do  
wszystkiego zarządu w Ociesekach; gdyż pan jego ekonoma  
nie trzymał: sam sobie był rządcą, a jego trzymał do po-



mocy. Człowiek ten od małego chłopca przy dworze, trzeźwością, pracowitością i naturalnym sprytem, zyskał zaufanie pana, i od lat dziesięciu był jego oficjalistą i całego gospodarstwa zawiadowcą. Twarz jego dość przystojna, ogorzała od słońca, nosiła na sobie mieszany wyraz prostoty, pokory, głupowatości i chłopskiej filuteryi. Gdy wszedł nieśmiało do pokoju, pułkownik zawsze leżący na kanapie, odrazu go zagadł:

— Twój pan siedzi na pieniądzech?

— A juścić! tak, jak mówi wielmożny pułkownik; równie go trochę ostatnia stójka podchlastała.

— Jakto? co ty gadasz?

— A juścić, trzeba było dać kiej wołali nasi szlachta: ośm wołów spaśnych, i wszystko namłócone zboże dla wojska.

— Ja ci się o to nie pytam. Gadaj a prędko: twój pan siedzi na pieniądzech?

— A juścić tak, kiedy wielmożny pułkownik tak mówi.

— Bo tak o nim mówią w okolicy. A kiedy ma pieniądze, dlaczego cierpi żebraków we wsi, czemu ich nie opatrzy albo nie zatrudni. — To mówiąc wyciąga U... sakiewkę i rzuca niedbale karbowemu pod nogi dukata holenderskiego.

— Wynieś to—rzecze—żebrakowi, żeby mi się od dziś dnia, dopóki tu będę, nie znajdował; bo inaczej ty i twój pan za to odpowiedzialni mi będziecie. Ruszaj z Bogiem!

Uradowany Josiek z tak niespodziewanie szczęśliwego końca posłuchania, skłonił się aż do ziemi i odszedł; a uszczęśliwiony żebrak tak wspaniałym i niezwyčajnym datkiem, odszedł powolnym krokiem, składając dzięki Bogu, za ten dar Jego Opatrzności.

Nie omieszkał Josiek powtórzyć panu swemu groźne pułkownika słowa: zawrzała nieskrzepła jeszcze rycerska krew w Skurzewskim; ale nawykły do rubasznych form Napoleońskich żołnierzy, widząc w nich przyszłość i nadzieję kraju, postanowił więc znosić wszystko z cierpliwością, i uprzedzać o ile możności życzenia a nawet myśli swych gości. W tym celu nie spuszczać się na resztki owój dawniej swój piwnicy, sprowadził wprost z Warszawy najle-

psze, najdelikatniejsze zagraniczne wina; przyjął wybornego kucharza, kazał zabić tucznego wołu, kilkunastu baranów, i mięsem tych zwierząt karmił żołnierzy: słowem, pragnął, aby naszym rycerzom nic nie zostawało do życzenia, co się tyczy materyalnych wygod. W zamian swych starań i wydatków, jedyném jego wynagrodzeniem było, gdy mógł się wieczorną porą, po skończonych gospodarskich zachodach, przysłuchać gawędom i opowiadaniom przygód obozowego życia swoich gości; mianowicie gdy była mowa o jakim ciekawym wojennym czynie, o które nietrudno było w tych prawdziwie heroicznym czasach. Jak powiedziała, naszym huzarom chyba ptasiego mléka w Ociesekach niestało; ale cóż stanowi dla człowieka materyalny byt, jak mu braknie pokarmu dla duszy, i nuda, przesyta zacznie go trawić? Ci panowie przez dwutygodniową stojkę wyczerpali wszystkie zasoby rozrywek, jakie mieć mogli. Mustra, strzelanie do celu, romanse słynnych pań: Cottin i de Genlis, stosunki w okolicy, jeżdżenie do sąsiednich miasteczek Kiélc i Opatowa: wszystko to potrochu już nudzić ich zaczęło, i nie wiedzieli co robić, aby długie, do przyszłej bitwy, której z serca pragnęli, godziny zająć. Codzienny widok Skurzewskiego, jego skromność i zaciekawienie, gdy o swoich wojennych czynach gawędzili, psotną im do głowy podały myśl.

Jak się to wyżej powiedziało, ci panowie zupełnie się na tym człowieku omylili. Jako młodzi, niedoświadczeni, a do tego światowi, nawykli z pozorów sądzić. Powolność Skurzewskiego, jego dla nich starania i hojność, skwapliwość w dogadzaniu nieraz kapryśnym żądaniom i wymaganiom; wreszcie jego dobroć, potulność i cierpliwość, przypisywali poprostu jakiejś parafiańskiej głupocie i nieśmiałości, częściej bojaźni obrażenia, zbytęcej trwodze, a może i niedołężności. Umyślili zatem dla swojej zabawki wziąć obywatela na fundusz. Ułożyli między sobą plan komedyi, i niebawem wzięli się do rozdania każdemu z aktorów właściwej roli i do wykonania dzieła.

Jednego wieczoru po rozejściu się towarzystwa, gdy Skurzewski w swojej folwarcznej izdebce zajęty był wydawaniem dyspozycyji znajomemu naszemu Grzeli; wpada do niej jeden z oficerów z wyrazem smutku i pomieszania na

twarży, a usiadłszy na łóżku, które tam jedyny sprzęt prawie stanowiło, i kazawszy wyjść gumiennemu:

— W smutnym tu — rzeczy — przychodzę do pana interesie, i prawdziwie od kilku godzin smażę sobie głowę nad wynalezieniem sposobu załagodzenia téj sprawy; ale go nie znajduję.

Skurzewski mocno tym wstępem zdziwiony, nie mogąc zrozumieć ani udanego smutku oficera, ani coby miała znaczyć trudna i przykra sprawa, o której mówi; spojrział na niego dobrodusznie, jakby pytał o wyjaśnienie téj zagadki.

— Pan obraziłeś pułkownika, który żąda satysfakcyi.

— Ja? ja?... a to jakim sposobem?

— Przypomina sobie pan owe niegrzeczne wyrazy w obec naszego dowódcy wyrzeczone?

— Boże mię skarż, jeżeli pamiętam.

— Jakto? gdyśmy puszczały rakiety wczoraj w wieczór, i gdy jedna z nich przypadkowo padła na gołębnik pański, który się zapalił, a ogień natychmiast przez huzarów ugaszonym został; pan odezwał się półgłosem, krzywo na pułkownika spojrzawszy: „niedługo patrzeć, to i gumno pójdzie z dymem!“ Otóż pułkownik mocno temi słowy urażony, a bardziej jeszcze tonem jakim były wyrażone, żąda satysfakcyi.

— Jakiegoż to zadosyćuczynienia żąda pan pułkownik? — odrzekł spokojnie Skurzewski — w każdej chwili gotów jestem przeprosić go i serdecznie uściskać, jeżeli nie chcący obraziłem.

— Nie przyjmie przeproszenia: u nas wojskowych obraża krwią jedynie zmazać się może! — energicznym tonem wymówił oficer, który nie pojmował ani krwi zimnej Skurzewskiego, ani jego gotowości przeproszenia pułkownika, i jedynie słowa jego nikczemnej przypisywał trwodze.

— Ach! rozumiem — ciągnął dalej Skurzewski — jest tu mowa o pojedynku! Miły Boże! macież sumienie wyzywać człowieka, który lat kilkanaście broni w użyciu nie miał?... Biło się to tam kiedyś, i jak ludzie mówili, niejednemu dało się we znaki: at! wisi tu jeszcze broń zardzewiała, którą się jako tako machało; ale przy roli i pługu, to się człowiek i bić zapomniał. — To mówiąc drapał się szlachcic niby zakłopotany po czuprynie. Uradowany oficer z biegu rzeczy,

tłumiąc śmiech w sobie, oświadczył tonem poważnym i uroczystym, że do Skurzewskiego należy, jako wyzwanego, wybór miejsca i broni, oraz piérwszy strzał.

— Jać to wiem, że to pono trza wybrać i assystentów.

— Niezbędnie!

— Ja tu tak dalece blizkich sąsiadów nie mam, a daleko mi ich się szukać nie chce: ot tak: Aspana Dobrodzieja sobie wybieram, to najkrótszy interes.

— Bardzo dobrze! służyć mu będę. Otóż jedna zawa-  
da usunięta, a obecnie wybieraj pan broń.

— Niech będzie pistolet: kiedyś się tam jako tako strzelało, a dziś ręka niezbyt silna do machania pałaszem. Niech będą pistolety.

— Jeszcze jeden warunek—powiedział Skurzewski—  
trzeba mi będzie dwadzieścia cztery godzin do przygotowa-  
nia się na śmierć, napisania testamentu; jestem katolik  
i po chrześcijańsku umrzeć pragnę.

— Wcale się temu sprzeciwiać nie będziemy.

— Stawię się zatém jutro na szóstą wieczór, na rozkaz  
pana pułkownika, zawsze w chęci przeproszenia go, bo nie  
mam ochoty ani zamiaru czyhać na jego życie.

Po głębokim ukłonie, oficer odchodzi, odprowadzony  
aż do kwatery ze świecą przez Skurzewskiego. Nazajutrz  
przybywa szlachcic o oznaczonej godzinie, sam, bez broni,  
na plac, którym było podwórze dworu zajętego przez  
huzarów.

Nie było znać po nim najmniejszego cienia wzruszenia;  
taż sama twarz wypogodzona i dobrodusza, grzeczność  
uniżona, najzupełniejsza obojętność; też sama szara kapota,  
nieszczęśliwy cel żarcików, lekceważenia i śmiechów ze  
strony jego przeciwników. Wszyscy już byli na swoich  
miejscach. Skurzewski oddał niski staroświecki ukłon na-  
przód pułkownikowi, potém oficerom sekundującym, nastę-  
pnie niezbędnemu przy pojedynku lekarzowi pułkowemu.  
Niebawem zajęto się oznaczeniem miejsca, liczeniem kro-  
ków, zatknięciem szpad, w końcu wzięto się do nabijania  
broni. Skurzewski patrzył się obojętnie na te przygotowa-  
nia i na twarze nasrożone oficerów, pod którymi ukryć usi-  
łowali wesołość i wewnętrzne zadowolenie. Gdy wszystko  
do walki było gotowe:

— Mości pułkowniku—rzecze Skurzewski—obraziłem Aspana Dobrodzieja niechcący; jeżeli to oświadczenie jest dostatecznym dla zaspokojenia twego honoru, dajmy pokój temu wszystkiemu: po co się mamy wzajemnie mordować?

Oficerowie w przekonaniu że to jest żart, igraszka dla zabicia czasu, krzyknęli wszyscy razem:

— Pułkowniku, kiedy się bić nie chce, niechaj cię przeprosi na klęczkach.

Na te słowa Skurzewski, który także po swojemu bawił się junakieryą i zarozumiałością młodzików, i pragnął im dać małą nauczkę, stanął jak wryty: rumieniec a potem śmiertelna bladeść okryła twarz jego, wyprężył się tak, że zdawało się że mu drugie tyle wzrostu przybyło; rysy jego zwykle nprzejme, łagodne i dobroduszne, przybrały wyraz srogości i energii, oczy niezwyčajnym zajaśniały blaskiem, a podnosząc głos:

— Na klęczkach!?!—wyjęknął—na klęczkach!?! Wiedziecie panowie, że Skurzewski jedynie przed Bogiem, panem swoim i waszym kłeka.

Była to jedyna chwila gniewu, jedyny wybuch niezwyčajnego stanu zniecierpliwienia, po której nasz bohater wrócił do zwykłej sobie obojętności.

Zdziwiony sekundant podał mu pistolet, który Skurzewski uchwycił zwinną i wprawną ręką, i strzelił na wiatr.

Pułkownik upokorzony tym strzałem, zniecierpliwiony, że mu się jakoś szyki pomieszały, i przeczuwający godnego siebie przeciwnika; już nie dla igraszki strzela i chybia.

Skurzewski bawił się obojętnie guzikiem od swojej kaptoty. Gdy na niego przyszła znów kolej strzelania:

— Panowie! — rzekł — biorę was za świadków: droga mi jest krew bratnią, nie chcę pozbawiać kraju mojego tak dzielnego jak pułkownik obrońcę. Żeby jednak jego i was panowie nauczyć jak szanować należy dawnego wojaka i ziemianina, nie zabiję go, ale strzelę w lewe ucho. Co wyrzekłszy, celnie strzela, pułkownik pada wśród kłębow dymu.

— Zabiłeś go pan—wołają oficerowie.

— Mylicie się panowie—odpowiē zimno Skurzewski—ranny tylko w lewe ucho. Co bierzecie za śmierć, jest skutkiem odurzenia.

Ledwie domawiał tych słów, U... ocucony podnosi się z ziemi, obciera chustką krew płynącą z rany, a jako dobry znawca w materji prochu i honoru, poznawszy w przeciwniku i zbawcy swoim mistrza, rzuca się mu na szyję, wołając:

— Przebacz dla miłości kraju!

Przyjął w swe objęcia młodego wojaka Skurzewski, oba zapastnicy ujeli się za ręce, weszli do mieszkania pułkownika, gdzie sute śniadanie i liczne toasta zakończyły dzień, który się tak traicznie mógł skończyć.

Odtąd Skurzewski otoczony czcią i szacunkiem młodych swych przyjaciół, mógł dowolnie słuchać ulubionych gawęd o wojennych przygodach; i tak się do nich przywiązał, że z żalem widział zbliżającą się chwilę, w której waleczni jego goście mieli Ociesęki opuścić. Kto zna ową epokę cudów i jęj ducha, uwierzy łatwo, że za pozór do pojedynku mogło służyć mniej więcej nieprzyjazne spojrzenie. Pojedynek był w ówczesnych obyczajach jak dziś pieniądze, szampan, ostrygi i gęsie szermierstwo, to jest krytyki i napaści po gazetach.

Z upodobaniem słuchałam opowiadaną mi tę historją przez mojego ojca, jako naocznego jęj świadka; i wyznaję, że moja ciekawość poznania U... i chęć przypatrzenia się jego lewemu uchu, nie miały granic. Pięrszwy raz spotkałam go w r. 1831 na czwartkowym raucie u księcia N N. O mało co oczu sobie nie zerwałam, ale na nieszczęście mam i miałam zawsze krótki wzrok, a wtenczas jako zbyt młoda, okularów nie używałam. Generał raz tylko usiadł koło mnie i to od strony swojego dobrego ucha. Od tego wieczoru widywałam go czasami, nie mogąc nigdy dobrze rozeznac blizny. W czasie kwesty rzucił mi dość obojętnie do woreczka trzy papiery stużłotowe. Tu powiem nawiasem, żeśmy w owym czasie kwestowały po domach i ulicach, co wyznac potrzeba, było mocno fatygujące i uciążliwe, ale przyzwoitsze jak dziś, gdy z domów Bożych robią salony ze wszystkimi ich akcessoryami. Ale o tém potém. Gdym nagle widziała kasę moich ubogich o złp. 300 powiększoną, przypomniałam sobie owego dukata rzuconego karbowemu pod nogi dla żebraka... i nie mogłam powściągnąć półuśmiechu prawdziwój satysfakcyi.

— *Toujours* noble et généreux powiedziałam mu; i odeszliśmy czempredzėj z panią G.... i panami Z.... i N.... z którymi kwestowałam, z bojaźni, aby generał nie żądał wytłumaczenia tych słów. Poznałam córkę jego w owym czasie: ładną, prostą i wysmukłą czternastoletnią panienkę, którą ojciec kochał zapamiętale i zawsze z sobą wszędzie woził.

Co do właściciela Ociesek, ten z niemałą pracą i móżem zebrał sobie dość znaczny majątek, którego jakąś część chował u siebie w gotowiznie. Koło roku 1822 czy 1823, bo nie pamiętam dobrze epoki, mieszkając w Kielcach w gmachu Leonarda, wyszłam ku wieczorowi na spacer z moją guwernantką. Skierowałyśmy drogę naszą ku miasteczku, kiedy zdala spostrzegamy ogromne kłęby kurzu, a następnie jakieś jakby cienie ludzi zbrojnych, konnych, pieszych i jadących. Wszystko zdala wydawało się jak czarna massa; zblizka dopiero rozeznałyśmy koło trzydziestu powózek sznurem ciągnących się: każda z nich miała po bokach dwóch kozaków z dobytymi pałaszami, na każdej siedział człowiek, z ponurém wejrzeniem, ogromnym na twarzy zarostem, związany i łańcuchami do powózki przykuty. Za temi powózkami szedł mężczyzna średniego wieku z założonemi z tyłu rękami, z wyrazem oczu sprytnym, myślącym i nieco surowym, z postawą energiczną i rozkazującą. Cały ten orszak niepojęte na nas zrobił wrażenie, które się jeszcze podwoiło, gdyśmy go ujrzały wjeżdżającego w bramę gmachu Leonarda. Zdjęte niezmierną ciekawością, w której niemała była doza trwogi, zwróciłyśmy się powolnym postępując krokiem w kierunku powózek. Proszę sobie wyobrazić kwadratowy i dość duży dziedziniec gmachu, napchany powózkami i zbrojnemi ludźmi, którzy tam noc następną i dniówkę odbyć mieli, a szczególnie nieszczęśliwych ludzi dniem i nocą przykutych do swych koczujących więzień. Byli to złoczyńcy, ujęci z bandy rozbójników, która ukrywając się w głębokich sandomierskich lasach przez jakiś przeciąg czasu, wielkich szkód i nieszczęść na mil kilka naokoło, stała się przyczyną. Otóż ci złoczyńcy uznali za godną siebie zdobycz szkatułkę Skurzewskiego, o której w okolicy wiele mówiono, a jak to bywa, większą nierównie niż rzeczywistość była, opisywano. Pewnej umówionej nocy, trzy-

dziestu z bandy napadło i obległo dwór w Ociesękach; przestraszona straż nocna uciekła. Czterech najsmiel-  
szych rabusiów jeło się do odrywania okutych i szczelnie  
zamkniętych okiennic, a następnie i okien sypialnego poko-  
ju; kiedy niespodziewane wystrzały z pistoletu przez rozbite  
szyby, dwóch z nich na miejscu trupem kładzie. Reszta  
w przekonaniu że to zasadzka, i że dom napełniony woj-  
skiem, uciekła w lasy, porzuciwszy noże, siekiery i drągi,  
którymi uzbrojona była. Wewnątrz domu nie było wszak-  
że nikogo oprócz Skurzewskiego, śpiącego w osobnym i od-  
dalonym pokoju, oraz lokaja i gospodyni na drugiej stronie  
domu mieszkających, których wystrzał z pistoletu dopiero  
przebudzić zdołał. Skurzewski ostrzeżony o znajdującęj  
się w okolicy bandzie rabusiów, która bytność swoją w oko-  
licy zwiastowała już przez ustawiczne znikanie koni i bydła,  
już przez napady na ludzi idących z kościoła lub pobliskich  
jarmarków; miał się na ostrożności, nie kładąc się wieczo-  
rem w łóżko, a mając tuż koło siebie cztery doskonałe pi-  
stolety Kuchenraitera, nabite z odwiedzionymi kurkami.  
Owój pamiętnęj nocy, gdy straż dworska przestraszona ca-  
łą armią złoczyńców, uciekła; Skurzewski sam z zwykłą  
sobie krwią zimną i nieustraszonnością, obronił dom swój od  
napaści kilkudziesięciu ludzi. Sąd w Chęcinach mając zło-  
żony sobie rapport o całym tym wypadku, wytropił i ujął  
złoczyńców, których przez Kielce do Sandomierza prowa-  
dzono. Mężczyzna idący za powózkami, o którym wyżej  
wspomniałam, był sędzia inkwirent w Chęcinach, R.....,  
słynny z swojej zręczności w odgadywaniu słabęj strony  
natury ludzkęj; potrafił on wysłedzić i w ręce sprawiedli-  
wości oddać tę bandę, będącą długi czas postrachem i plagą  
sandomierskich okolic.

W roku 1810 mój ojciec powołany przez króla saskie-  
go na urząd, opuścił Marzęcin, wypuściwszy go w dzierża-  
wę i udawszy się do Krakowa na stałe zamieszkanie. Od  
tęj chwili, dwie tylko krótkie wycieczki zrobiliśmy do  
miejsca mojego urodzenia: jednę w r. 1820, z powodu sła-  
bości mojego brata, potrzebującego świeżego wiejskiego  
powietrza, i następnie w r. 1823, gdy przyjechaliśmy tu  
przepędzić piérwszy i okropny tydzień po śmierci mojęj  
matki. W obu tych razach odwiedzani byliśmy przez da-



wnych znajomych i sąsiadów mojego ojca. Między innemi przypominam sobie pełnego uprzejmości Franciszka Łubieńskiego, przyjeżdżającego z Zagości z bratem, nie pamiętam dobrze czy z Henrykiem, czy Józefem. W r. 1820 w miejscu tém, blisko z Marzęcinem sąsiadującym, mieszkał patriarchya téj rodziny były minister sprawiedliwości Księstwa Warszawskiego, w roku zaś 1823 po debraniu starostw na rzecz rządu, zacna ta rodzina przeniosła się na mieszkanie do Krakowa. Koło tegoż roku, jadący do Rzymu ksiądz Tadeusz Łubieński, pod okiem sędziwego ojca brał pierwsze na księdza święcenie.

Ostatniej swojej w Marzęcinie bytności (1823 roku), mój ojciec serdecznie był witany nie tylko od dawnych swoich sąsiadów i przyjaciół, ale od oficyalistów i chłopków. Poczciwy Grzela, który kiedyś uratował życie tonącemu w stawie bratu mojemu, i za to na całe życie od pańszczyzny uwolniony został, przyszedł ze łzami witać wielmożnego dziedzica i paniątka. Żeby zaś nie przyjść z próżnemi rękami, trzymał pod pachą siwo-białą gęś, tyłem do obdarowanych obróconą, żona zaś jego przyniosła w kobiałce jaj i grzybów, które nieśmiało państwu ofiarowali. Lud w téj okolicy jest potulny, trzeźwy i pracowity. O mil dziesięć od Krakowa zamieszkały, ubiorem i charakterem znacznie się różni od ludu krakowskich okolic. Tłuste, ale wymagające wielkiego zachodu rędziny, większe niż gdzieindziej ubóstwo z powodu podwójnych prawie na utrzymanie gospodarstwa kosztów, gdzieś indziej prawdziwa nędza: odejmują chłopkowi okolic Buska tę rzeskość, swobodę, dowcip i wesołość, znamionujące Krakowiaka.

(Dokończenie nastąpi).



Poświęcone na pamiątkę Kaz. Wł. Wójcickiemu.

---

## HAGBART I SYGNA.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH OEHLENSCHLEGERA.

TEUMACZENIE

*Juliana Bartoszewicza.*

---

### OSOBY.

BERA, królowa Zelandyi.

ALF, jój syn.

ALGER, syn.

SYGNA, córka.

HAGBART, Konung Dronthejmu.

HAMUND, rycerz, towarzysz Hagbarta.

HALLAG, skald.

RINDA, dziewczyna.

FILLA, dziewczyna.

GRYM, rycerz ze straży Bery.

ERYK, rycerz Bery.

STRÓŻ więzienia.

HEROLD, rycerze i dziewczęta.

*Rzecz w Danii na wyspie Zelandyi.*

---

### AKT I.

Ranek. Las. Na przodzie sceny po prawej stronie baszta, nieco dalej z poza drzew widać mieszkanie Sygny, z lewej strony w oddaleniu morze. Nad morzem trąbią w rogi, z lasu także odpowiadają trąbieniem i wkrótce wychodzą  
GRYM I ERYK.

**Grym.**

To Normand, widzisz,

**Eryk.**

Nie Normand!

**Grym.**

Uważaj!  
To Normand z Trendi: widzisz żagiel czarny?

**Eryk.**

Zaraz zobaczymy: patrz, na brzeg wychodzi  
Herold..... czy słyszysz?..... trąbi?.....

**Grym.**

Zatrąbmy także.  
(*odgłos rogu*).

## CIŻ I HEROLD.

**Herold.**

Cześć wam Duńczycy,

**Eryk.**

Dziękuję heroldzie!  
Lecz czego żądasz? Spokojność, czy wojnę  
Przynosisz Danii?

**Herold.**

Albożto koniecznie  
Wrogiem być trzeba, chcąc walki dla sławy?

**Eryk.**

Zaciemno mówisz, prawie jak kapłanka.

**Grym.**

Mówże wyraźniej, kiedy dbasz o honor.

**Herold.**

Czyż nie widzicie: okręt wśród zatoki!

**Eryk.**

Któż na okręcie?

**Herold.**

Hagbart, pan z Dronthejmu,  
Młody syn Gata.

**Eryk.**

I czegoż on żąda?

**Herold.**

Chce sił spróbować, do Norwegii swojej  
Chce wieniec z Danii sprowadzić dębowy.

**Grym.**

Hagbarta imię sławne na Północy.

**Herold.**

Dla sławy teraz przybył w strony wasze:  
 Ale nie w wojnie, w pojedynczej walce  
 Chce sił spróbować. Alf, wasz konung dzielny,  
 I młody Alger wstawili się mężstwem.  
 Z niemi to mierzyć pragnie się nasz Hagbart,  
 A kto z nich pierwszy w dzielności i sławie,  
 Niech Tor rozsądzi. Dlatego mój konung  
 Posłał mię teraz do królowej waszej,  
 Niechaj pozwoli złożyć ukłon sobie.  
 W orszaku jego dwudziestu rycerzy;  
 I wszyscy oni pałają gorąco  
 Zetrzeć się z liczbą podwójną Duńczyków,  
 Duńczyków dzielnych, nie dla próżnej chwały,  
 Ale w myśl prawa: że wyzywający  
 Podwójną siłę ma ściągnąć na siebie.  
 A teraz, bracia, wskażcie mi pałace  
 Królowej waszej, lub bądźcie łaskawi  
 Prowadźcie do niej.

**Eryk.**

Dobrze, poprowadzim.  
*(wychodzą).*

HAGBART *z różą na ręku* i HAMUND.

**Hagbart** *(śmieje się).*

Już na początku krew się lać zaczyna!

**Hamund.**

Ty płaszcz swój cały, cały, krwią zavalasz.

**Hagbart.**

I któż pomyślał, aby kwiatek śliczny  
 Tak mocno ranił, aby wdziękiem swoim  
 Tak chytrze ludzi przyciągał do siebie,  
 Ażeby potem skaleczyć kolcami!....  
 Jak się nazywa ten kwiatek zdradliwy?

**Hamund.**

Róża, Hagbarcie.

**Hagbart.**

Wszak nie rośnie u nas?

**Hamund.**

Rość będzie z czasem.

**Hagbart.**

Klimat nasz surowy  
Zabije piękny, delikatny kwiatek.

**Hamund.**

Tak, delikatny, a skaleczył ciebie.....

**Hagbart.**

I cześć mu za to! Lecz jakim sposobem  
Zakwitnął tutaj?

**Hamund.**

Z południowej ziemi  
Tu go przywieźli w dar księżniczce młodej,  
I widzisz, rośnie: po niejakim czasie  
Po całej Danii zapach swój rozleje.

**Hagbart.**

Śluzna więc kara! Nie wiedząc o niczym,  
Ściągnąłem rękę do własności Sygny.

**Hamund.**

Powąchaj kwiatek.

**Hagbart (wącha).**

Co za woń rozkoszna!

**Hamund.**

Śliczny, jak usta młodziana różowe,  
Słodki, jak cudnej dziewicy całunek.

**Hagbart.**

Może to zamach zniszczyć mnie czarami,  
Zniewieścić może!

**Hamund.**

Co? zniewieścić ciebie?

To się nikomu nie uda na świecie.  
Ale Hagbarcie: wiesz co, mój daleko  
Błędzimy sami, odwaga zawiłka.

**Hagbart.**

Więc cóż?

**Hamund.**

Książętom zaufałym śmiało,  
Ale ich matka ma być bardzo sroga,  
I takich gości, jak my, nienawidzi.

**Hagbart.**

Nie ma potrzeby uzbrajać się na nas,  
Wszak grozi tylko nam niebezpieczeństwo:  
Z podwójną liczbą każdy walkę stoczy.

**Hamund.**

Tak, prawdę mówisz! Zresztą, kto polegnie,  
To skryły dla nas przedwieczne wyroki.

**Hagbart.**

Bić się, Hamundzie, podług mego zdania  
To bić się dobrze, dobyć sił ostatnich.  
Nędzna to walka, gdzie zabawa tylko!  
O nie! Szczęk broni kiedy zaszeleści,  
Głośno być musi, ażby Tor potężny  
Bój ten usłyszał i stanął wśród szranków,  
Ażby się wrota otwarły Wálhalli,  
I cudne na świat zleciały Walkirye!

**Hamund.**

Tak młody jesteś, a tak pragniesz śmierci!

**Hagbart.**

Bo cóż po życiu nędznej naszej ziemi?  
Wszak to wstęp tylko do rozkoszy raju,  
To lata tylko próby i nauki:  
Im miną prędkiej, tem lepiej dla wszystkich.  
Ach! ten szczęśliwy, co z orężem w rękę  
W młodzieńczych latach legł na polu sławy:  
Gościć on będzie w pałacach Odyna,  
Kochać go będą Walkirye, i silniej,  
Namiętniej jeszcze jak siwego starca,  
Co życie sobie odbierze z rozpaczy,  
Żeby na łożu nie konać cierpienia.

**Hamund.**

Pięknój Zelandyi tyś nie widział jeszcze?  
Spojrzyj Hagbarcie! Jak ci się podoba  
Krajobraz śliczny: te pagórki wkoło,  
Ten las, zatoka, dolina rozkoszna,  
Którą pagórki opasały wieńcem?....  
Zabardzo marzysz i oddychasz wojną,  
A życie także ma rozkosze swoje,  
Których nie widzisz, jak ten ślepy żebrak,  
Co całe życie nie widział oręża.

**Hagbart.**

Za to, mój drogi, pokochałem runy,  
Wspaniałe runy, abecadła bojów,  
Co duszę moję w jakiś zachwyt cudny  
Wprawiły dawno. Za to, pokochałem  
Góry Norwegii, co pokryły czoło  
Grudami śniegów, jak ten świat odwiecznych,  
Co piersi swoje ogniem błyskawicy,

Palącym ogniem przepasały wkoło,  
 A dumne swoje obnażyły stopy  
 Bałwanom dzikim wzburzonego morza.  
 Za to, ja lubię łoskot wodospadu  
 Co z rykiem, straszny, spuszcza się ze skały,  
 I w kłębach wody posuwa się w przepaść,  
 Wspaniała, groźny, nawet w śmierci samój!  
 Za to ja lubię sosnę, co nie więdnie  
 I dąb stoletni wielki, rozłożysty,  
 Posłuszny tylko piorunom Odyna!  
 Oto co lubię,—to natura dla mnie!  
 Podnosi duszę w krainę uroku,  
 Wyżej nad gwiazdy, do mieszkania bóstwa.  
 A dla pszczoł roju, dla mrówek malutkich,  
 Dla kwiatów nawet, istotnie Hamudzie,  
 Ja ślepy jestem, i jak mam nadzieję  
 Zostanę ślepym.

**Hamund.**

Nie mogę przypuścić,  
 Żebyś ten sposób myślenia, tę wiarę  
 Zachował długo. Zawsze mi się zdaje,  
 Że młodość tylko, że niedoświadczenie  
 Takie ci myśli podały do serca.  
 Jeszcześ nie minął tylu skał zwodniczych:  
 Przy jednej chytra czatuje rusalka,  
 I pieśń zaśpiewa; pieśń to będzie śliczna,  
 A żeglarz biedny da się zwieść tęsknocie  
 I w ślad pobiegnie za rusalką cudną,  
 Choćby w nurt morza, choć w głębiny przepaść...

**Hagbart.**

Tém lepiej dla mnie! Wiedząc gdzie ta przepaść,  
 Skieruję na bok. A cóż ty, Hamundzie?

**Hamund.**

Ja? stary, brzydki. Ślady od ran moich  
 Straszą kobiety; przytém jam już zimny:  
 Nieprędko płomień ochwyci me serce.  
 Dla matki wojny, tylko miłość jeszcze  
 Zabije w łonie. A ty mój Hagbarcie,  
 Jak skald namiętny, młody, marzysz słodko...  
 Udajesz tylko zimną obojętność  
 Śpiewając piosnki; ty mi chcesz pokazać  
 Że się miłości ogniem nie rozpalisz.

**Hagbart.**

To nie udanie. Powiedz mój kochany,  
 Czyż bojów można nie kochać z zapalem?

Na Nifelhajmie niechaj mróz zamieszka!  
 To nie nienawiść, nie zemsta na walki  
 Silną dłoń moją uzbroiły mieczem:  
 Nie, siły tylko odwagi i męztwa  
 Doświadczyć chciałbym; chcę walczyć dlatego,  
 Że rozraduje mnie wianek dębowy.

**Hamund.**

Hagbarcie drogi! w płomienie za tobą  
 Pospieszę wszędzie, jeśli serce twoje  
 Takiem uczuciem odzywać się będzie.  
 Zmienisz myśl swoją: Hamund twój kochany  
 Pożegna ciebie, pożegna na wieki!

**Hagbart (obrażony).**

Szczęśliwej drogi! Idź natychmiast, proszę,  
 Istotnie, nie chcę zatrzymywać ciebie.

**Hamund.**

I już się gniewasz?

**Hagbart.**

Bądź zdrow, a pamiętaj,  
 Pokłoń się w domu.

**Hamund.**

No, przestań, Hagbarcie....

**Hagbart.**

Idź mój kochany, idź zaraz natychmiast,  
 Ja się zostanę.

**Hamund (przymilając się).**

Czemuż tak gorąco  
 Bierzesz do serca?

**Hagbart.**

Jakże, mój kochany,  
 Chcesz się mnie wyrzec!

**Hamund.**

Co za wnioski dzikie!

Zwyciężym tutaj Algery i Alfa,  
 Popłyniem potem aż do Orkeneru,  
 I tam bój stoczym z dzielnym Kijodolfem:  
 Alboż nie prawda?

**Hagbart.**

Nieprawda, mój drogi!  
 Skończywszy tutaj, ja zaraz, tej chwili  
 Buduję chatkę dla siebie. W tej chacie,



Piosneczki czule nucić z dziewczętami  
Będę ładnemi, i jedwabiem gładko  
Haftować będę jelenie i kozy...

**Hamund.**

A z Orkeneru pojedziem do Wendów,  
Ztąd do Ruryka, na Dublin. Cóż znowu,  
Czy nie znasz żartów?

**Hagbart.**

*(wziąwszy go za rękę grzecznie, ale z godnością)*

Mam nadzieję mocną  
Że nigdy tobie nie przyniosę wstydu.

**Hamund.**

Dosyć już, dosyć!.. Ja myślałem dotąd,  
Że nas przyjaźnią do bojów namiętność  
Złączyła tylko... A kiedy inaczej...  
Bo wiem to dobrze, starce posiwiali  
Mówili o tém, że w sercu, co gore  
Miłością czuła, nie ma dla przyjaciół  
I kątka nawet.

**Hagbart.**

Ja znowu słyszałem,  
Że miłość czysta, rada się w przyjaźni  
Zawsze przeglądać, jak w czystém strumieniu  
Lubi się przejrzeć kwiateczek nadbrzeżny.

**Hamund** *(podając rękę)*.

Przebacz Hagbarcie!

**Hagbart** *(całując go)*.

A więc przyjaciółmi  
Jesteśmy znowu?

**Hamund.**

Do grobu! do grobu!  
Ale czyż klótnie ustaną nazawsze?

**Hagbart.**

To bardzo wątpię; tylko ci przysięgam,  
Że gniew mój nigdy długo trwać nie będzie...  
*(spoglądając w dolinę)*

Patrzno, ktoś idzie; jak to dobrze dla nas  
Żesmy tak wcześnie zawarli traktaty;  
Inaczej dziwnieby się pokazało,  
Gdyby Duńczycy zastali nas w klótni.

**Hamund** *(śmiejąc się)*.

O, dziwów takich jest dużo na świecie!  
*(wychodzą)*.

## ALF I ERYK.

ALF.

Idź, przywitanie zanieś Hagbartowi,  
Tu go przyprowadź. Wiész dobrze, że nie chcem  
Przyjąć go w naszych komnatach; róg miodu  
I tutaj dobrze podamy gościowi.

*(Eryk wychodzi. Alf sam jeden z wolna podchodzi  
do wielkiego dębu).*

Nastał więc koniec ciężkich smutków moich!  
Duch mój swobodnie do Giryty drogięj  
Teraz z rozkoszą, z tęsknotą uleci!..  
Rok dzisiaj właśnie, jak umarła...Oto  
Trzysta sześćdziesiąt cztery wyrznięć; dzisiaj  
Stęskniony, znak już położę ostatni...

*(wyrzyna sztyletem znak na korze dębowej),*

Żeby ostatni!... Wierność kochanego  
Wtenczas Giryta poznałaby moja.  
Rok cały słońce smutek mój widziało,  
Wspomnieniem szczęścia żyłem rok ten cały.  
Giryto moja! twój przesłiczny obraz  
Ciągłe przedemną nosił się w obłokach.  
Kiedym do zamku wjeżdżał w noc zimową,  
Widziałem cień twój wspaniały na bramie.  
Byłaś jak dawniej, w jedwabiu, w sobolach.  
Kiedy mi Sygna róg z miodem przyniesie  
Widzę w niej ciebie, ściskam ją za rękę  
I łza, sam nie wiem, jak płynie po twarzy...  
A w lato skwarne, lekką postać twoją  
Widzę w tych lasach, w każdym cieniu drzewa,  
Boś tu chodziła i błyszczała kiedyś.  
Wielcy bogowie! znów ona... Giryta....  
Na łożu śmierci... Spojrzenie przygasło...  
Ręce na piersiach.. twarz zbladła... trup tylko...  
I oczy wpadły.. zwarły się źrenice...

*(milczy).*

Widzisz, jak umie Alf miłować stale.  
Namiętność jego nie ugnie się w burzy:  
Jak trzcina słaba przed powiewem wiatru  
Ciężki rok próby wytrzymał kochanek.  
Ma Freja litość; i przysyła po mnie:  
Ten rycerz młody który do nas przybył  
I szuka sławy, to posłaniec Frei.  
W boju przyjaznym, on mi znak czerwony  
Złoży na piersiach i otworzy drogę,  
Do świętych krajów niebieskiej Walhalli!

**Alger.**

*(zbliża się w nowej zbroi ze spuszczoną przyłbicą).*

**Aif.**

*(nie poznawszy go, idzie naprzeciw).*

Kto jesteś, panie? Sądząc po zbroicy  
Konung być musisz?

**Alger** *(grubym głosem).*

Zgadłeś, jestem konung.

**Aif** *(z podziwieniem).*

To głos Algera.

**Alger.**

Zkąd Alger? dlaczego?

**Aif.**

Nie, to nie myłka.

**Alger.**

A zkądże te zbroje?  
Zkąd Alger weźmie taki hełm i pancierz?

**Aif.**

Ty wiesz to lepiej.

**Alger.**

Dlaczegoż ty nie wiesz?

**Aif.**

Jakie bogactwo!

**Alger.**

A jak dzielne zbroje!  
Hełm prawie przyroś; przyłbica, patrz jaka!  
Cokolwiek wążka, miecz może zatrudno  
Wychodzi z pochew.

*(dobywa miecza).*

**Aif.**

Co za połysk miecza!

**Alger.**

Lecz kraje za to, jak wiatr wschodni w bitwie.  
Rękojeść jakoś nieszczęlnie przystaje,  
Ale się otrze. A tarcza? widziałeś?

**Aif.**

Prawdziwy księżyc!

**Alger.**

Patrzno! co za lekkość!

Przez środek miedzi idzie globus ziemski;  
Obwód ma złoty, skóra z psa morskiego.  
Do boju idąc, usta w tarcz przycisnę,  
Zanucę piosnkę, aż powietrze zadrży  
I wrzuci postrach w piersi nieprzyjaciół.  
A pancerz? widzisz, jak gdyby ulany,  
I sprzączki błyszcza; gdzie tylko potrzeba  
Wszędzie są sprzączki.

*(tańczy i uderza mieczem po tarczy).*

Piękniejszej zbroi nie ma Tor w Walhali!

*(śpiewa).*

Na morzu wśród boju,  
Gdy walczą szablice,  
My ciosy od mieczów  
Przyjmujem w przyłbice:  
I tarcze i wały  
Farbujem czerwono,

Aż bogów z radości  
Podnosi się łono,  
Aż szczęk się rozlega  
Tak miły: dziewica  
Myślałbyś tak śpiewa  
Przy świetle księżycy.

**Alf.**

Powiedz mój drogi, zkąd wziąłeś tę zbroję?

**Alger.**

Własną swą drogą każdy postępuje.  
O pięknych oczach tyś myślał rok cały,  
Choć ci je Freja zamknęła. Ja za to  
Szedłem do starca, co kuje broń dzielną  
I jego sztuki uczyłem się ciągle.  
Widzisz jak ślicznie poszła mi nauka!  
Ten pancerz, tarczę, sam zwolna ukułem  
I rok mi przeszedł piorunem: wąż niby  
Przemknął się w rękach. Dla ciebie, mój Alfie,  
Rok żółwiem płynął, wolno, ociężale.

**Alf.**

Winszuję bracie takiej pięknej broni;  
Może się przydać.

**Alger.**

Zkąd wniosek ten, Alfie?

**Alf.**

Czyż nie widziałeś okrętów w zatöce?

**Alger.**

Okrętów? masztu nawet nie widziałem.  
Patrzałem tylko na mój miecz cudowny,  
Na tarczę śliczną.

**Alf.**

Próżny z ciebie gąsior:  
Pięknością pierza chcesz zaciemnić oczy.

**Alger.**

O, nie! szponami prędj, albo dziobem  
Dam się wprzód poznać.

**Alf.**

Więc dobrze, kochany.  
Przypłynął do nas młody konung Hagbart  
I chce się zetrzeć w bohaterskiej bitwie.

**Alger.**

Jakto? sam jeden?

**Alf.**

Hagbart ma dwudziestu  
Z sobą rycerzów; czeka tam na wyspie.  
Wyzwał czterdziestu Duńczyków do boju.

**Alger.**

Ha! tak to lubię...

## CIŻ SAMI I HAGBART

(bez oręża i bez płaszcza).

**Hagbart.**

Panowie moi! darujcież mi śmiałość...

**Alger** (do brata).

To nasz przeciwnik?

**Alf.**

Zapewne.

**Alger.** (chwytając za miecz).

Zuchwały!

Zkąd ci ta śmiałość, że bez pozwolenia  
Na brzeg wysiadłeś?

**Hagbart** (spokojnie do Alfa).

Miałem pozwolenie,

Tak mi się zdaje.

**Alf.**

Poczekaj, mój bracie.

Prawdę on mówi?

**Alger** (*miarkując się*).

Przepraszam..... myślałem.....

Miecz mi drzał w rękach, chciałem go wydobyć,  
Bo tępo chodzi.

**Hagbart** (*dumnie do Algera*).

Miecz twój, widać nowy  
I w krwi nie kapał się jeszcze (*do Alfa*). Twój sługa  
Przyniósł mi od was do boju wezwanie.  
I widzisz, zaraz, jak trzeba gościowi  
Przyszedłem tutaj bez płaszcza i broni.  
Do was, pięć kroków: prawą ręką widzisz,  
Dotykam łokcia mego lewej ręki (1),  
Witam was obu zwyczajem méj ziemi:  
I czegoż więcej żądacie odemnie?

**Alf.**

Nic nie żądamy. Tylko na jednego  
We dwóch nie pójdziem: już jeżeli walczyć,  
Walczymy jak trzeba w pojedynczym boju.

**Hagbart.**

Cóż ci do tego, kiedym ja odważny?

**Alf.**

Wiele do tego.

**Hagbart.**

Radbym się dowiedział.

**Alf.**

O mój rycerzu! coby ci wypadło,  
Zawszebyś wieniec otrzymał dębowy:  
Jeżeli zginiesz, któż dziwić się będzie?  
Jedon aż na dwóch! Jeżeli zwyciężysz  
O! wielki Torze! jakaż sława wielka!  
Narazić życie? Czy myślisz Hagbarcie  
Że za dzieciństwo chcę narazić życie?  
O! nie, Hagbarcie! tyś widzę samolub!

**Hagbart.**

Na prochy ojca przysięgam ci panie,  
Że taki wyrzut pierwszy mi od ciebie!

**Alf.**

Twoje błyskotki nas tu nie oślepią.

**Hagbart.**

Dumnyś jak widzę.

(1) Dawny zwyczaj u Skandynawów.

**Aif.**

Mam prawo być dumnym  
Chociaż w méj ziemi, twych skał jest niewiele.

**Alger.**

Bracie kochany! Więc to Hagbart z Trendi?  
To on nam przecie szeroko rozpowie  
O tym psie wielkim, którego postawił  
Ejsten w Dronthejmie, i który jak powie  
Jedno słoweczko, aż trzy razy szczeka.

**Hagbart** (*z pogardą*).

Niedawnoś wyszedł, widać, z rąk piastunki,  
Kiedy ci piękne bajeczki dziecinne?

**Alger**

(*w silnym gniewie*).

Na kamień ojca grobowy przysięgam,  
Śmierć ci, zuchwały! Dalej! doładź miecza,  
Do miecza! słyszysz?....

**Hagbart.**

Natychmiast i owszem!

(*chce iść*).

**Aif** (*zatrzymuje go*).

Czekaj Hagbarcie! Bracie! nie pozwolę,  
Psujesz nam bitwę. Czekajcież obadwa.  
Porzuć te gniewy, Algerze, tyś winien,  
Tyś go obraził. Hagbart mówił prawdę,  
Wstydź się mój braacie. To słabość dziecinna  
Tak strasznym zaraz unosić się gniewem!  
Gniew nie zapali potomków Odyna.  
Lapończyk chyba, a może Finn dziki  
Dla mężstwa w boju musi podpić sobie.  
Nas. jeden zapal ma natchnąć rycerski.  
Hagbart się zetrze w pojedynczym boju  
Ze mną i z tobą. Moje prawo pierwsze:  
Jam starszy bracie. Czy zgoda?

**Hagbart.**

Tak! zgoda.

**Alger.**

A więc któż ze mną zetrze się orężem?

**Hagbart.**

Hamund, ot, idzie mój towarzysz w bitwach,  
Mojego domu niezmienny przyjaciel.

## CIZ I HAMUND.

**Alger** (z dumą).

Lecz któż on rodem?

**Hagbart.** (z uśmiechem).

Na morzu, konungu,

On tyle, co my.

**Alger.**

Jego ród królewski?

**Hagbart.**Pokaż Hamundzie drzewo twego rodu:  
Wziąłeś je z sobą?**Hamund,**

(obnaża miecz i podaje go Algerowi).

Czytaj, jeśli umiesz:

To mój rodowód.

**Alger,**

(czyta napis na rekojesci).

Ród znakomity: zrodziła go w lesie  
Góra sosnowa. Krew konungów dzielnych  
Lizał on dawno niedźwiedzim językiem.

(oddaje miecz).

Ktoż cię tak chwali i twój miecz Hamundzie?

**Hamund** (zcicha).Miecz mój się chwali. Kiedyś czterech jarłów,  
A nie wiem ilu pobił tam konungów.**Alger.**

Zemszczę się za nich, zuchwały rycerzu!

**Hamund** (kłania się).Wiele zaszczytu dla mojego miecza!  
Taki bohater chce tarcz ze mną zetrzeć,  
Chce poprobować nowiuteńkiej broni!**Alger.**

Zarazto poznać dzielnego rycerza!

**Hamund.**Lepiej poprobuj na twardym kamieniu,  
Potem ci łatwo będzie władać mieczem.

(Słychać dźwięk fletu i bębnow)



**Alf** (*do Hagbarta*).

Otóż królowa nadchodzi i Sygna.  
Niosą ci pewno róg miodem nalany,  
Zwyczajem przodków gościnnie się witać.  
Nie miej nam za złe, kochany Hagbarcie,  
Żeśmy do komnat naszych nie zawiedli  
Gościa takiego: pojmujesz to dobrze,  
Że tkliwe matki i siostry uczucia..

**Hagbart**.

Rozumiem, Alfie: bądź mi przekonany,  
Że gdyby nie szło o kłamliwe wieści,  
Miodowej czary nawetbym odmówił.

## CIŻ SAMI, RYCERZE I MUZYKANCI.

Potém BERA I SYGNA w towarzystwie kobiet.

**Bera**

(*zbliża się do Hagbarta i dumnym wzrokiem go obrzucając*).

Czyś nie ty czasem młody konung z Dronthejm,  
Co duńskich mężów wyzywasz na harce?

**Hagbart** (*z uszanowaniem*).

Jam Hagbart z Dronthejm: odgadłaś królowo.

**Bera** (*do Alfa*).

A jakąż zgoda na ten pojedynek:  
Dwóch na jednego?

**Alf**.

Jeden na jednego.

**Bera**.

Tak, to przystoi. Iluż was do boju?

**Alf**.

Hagbart dwudziestu przywiódł towarzyszy.

**Bera** (*z żartem*).

Toć tyleż czajek codzien wylatuje  
Na pastwę orłom duńskim z Kategatu!  
A w jaki sposób?

**Alf**.

Ujawszy miecz w ręce

Będziem rąbali.

**Bera**.

A ileż uderzeń?

**Alger.**

Dwanaście ciosów, jak bogów w Walhalli  
Siedzi dwunastu.

**Bera.**

To dobrze.

**Hagbart** (*spojrzawszy na Sygnę*).

W cześć jeszcze  
Bogini Frei, trzy bitwy stoczymy.

**Alger.**

A więc piętnaście?

**Aif.**

(*zwróciwszy oczy do niebios, cicho*).

Tak! na sławę Frei!

**Bera.**

Więc podaj Sygno róg złożony z miodem  
Na powitanie, i „bądź zdrów” przed bitwą.

**Sygna.** (*wziąwszy róg od służącej*)

Zdrowie chrorego rycerza Hagbarta!

**Hagbart.**

Czy szczerém sercem?

**Sygna.**

Jeżeli spokoju  
Żądasz w niebiosach, piję za twój spokój! (*pije*)

**Hagbart** (*z uczuciem*).

Jeśli tak śliczna i miła Walkiryą  
Jak ty dziewico podaje róg złoty  
Na uczenie bogów w podwojach Walhalli:  
To rozkosz umrzeć.

**Sygna** (*do braci*).

Do was nic nie powiem;  
Życzenia siostry rozumiecie pewno.

**Bera**

(*wziąwszy synów za ręce, z godnością*).

Nie razto pierwszy przychodzi wam dzieci  
Od macierzyńskiej oderwać się piersi,  
Kiedy ze śmiechem biegniecie do bojów.  
Tor was przyzywa: idźcie za tym głosem!  
Nie zapomnijcie, że ta stara wyspa  
Pełna grobowców walecznych rycerzy!  
Niechaj wiatr dziki, co wieje z tych mogił  
I jęk roznosi po dębowych lasach,

Jak pieśni Skalda, mężtwo w was podniosą!  
 Ze serce moje drży za wasze życie  
 Cóż w tém dziwnego? Matkam i niewiasta!  
 Więc patrz mi w oczy, mój Alfie.... Algerze,  
 Odsłoń przyłbicę.... Niech się wam napatrzę.  
 Cień Mikilata niech wstanie z kurhanu  
 Ojca waszego! niech was błogosławi!  
 Lecz jeśli wola wyższa was przyzywa  
 Do wrot Walhalli, niechaj wola Tora  
 Spełni się święcie! Jeden niech przynajmniej  
 Powraca do mnie, żeby państwo wielkie  
 Bez książąt swoich nie osierociało.  
 Twoje tu prawo pierworodztwa Alfie,  
 Lecz.... miłość matki równa dla was obu.  
 Algerze! synu! tyś sposepniał jakoś....  
 Alfie mój! Alfie! nie bądź tak surowy!....

*(powraca jój mężtwo; do Hagbarta).*

Miłość to musi być rycerzom mężnym  
 Kobiecą dumę aż do łez uginać?

*(ze wzrastającym mężtwem).*

Ale wiem o tém, że Odyn wysłucha  
 Modlitwy mojej; dziś jeszcze wieczorem  
 Polegniesz z ręki zelandzkich rycerzy,  
 Krwi potokami zalejesz tę ziemię,  
 Gwiazdy zmarłemu w oczy ci zaświecą!  
 A kruk żarłoczny, którego przestraszysz  
 Jękami śmierci, cheiwy się nakarmić  
 Człowieczém ścierwem, pójdzie za powietrzem,  
 I sęk za sękiem, gałąź za gałęzią,  
 Na trupa twego spuści się z radością  
 W skrzydła trzepocząc. Ale bądźcie zdrowi  
 Nasi rycerze; do widzenia Alfie,  
 I ty Algerze. Sygno, nam do domu  
 Potrzeba odejść. Czekał was, synowie  
 Zwycięzko, z tarczą, lub sławnie, na tarczy!  
*(odchodzi, wszyscy za nią, oprócz Hagbarta i' Hamunda).*

**Hamund.**

Szalona wiedźma! co to nagadała!  
 Niech wilk cię pożre z tak głupią modlitwą!  
 Ach! czarownica!

**Hagbart.**

*(patrząc w tę stronę, w którą odeszła Sygna).*

Miarkuj się Hamundzie!

Tys ją wystraszył!

**Hamund.**

Jakto! miałem słuchać  
 Tych przekleństw babskich? Byłż ci tak miłe?

**Hagbart.**

Nicem nie słyssał, ach! widziałem tylko....

**Hamund.**

Bardzo winszuję! Zachwycił się biedny!  
Byłóż czém, było!

**Hagbart.**

Prześliczna, przemiała!

**Hamund.**

To zmora, bracie, z piekielném wejrzeniem.

**Hagbart.**

To sylf leciuchny, co gwiazdy ma w oczach,  
W kędziorach złotych!

**Hamund** (*uśmiechając się*).

No, mówię o Berze.

**Hagbart** (*z westchnieniem*).

A ja.... o Sygnie.

**Hamund.**

Co ci to Hagbarcie!

W oczach lzy świecą, twarz zlna rumieńcem,  
Wzdychasz tak mocno i ledwie nie płaczesz!  
Więc tak do bitwy gotujesz się dzisiaj?

**Hagbart.**

Idź, idź! Pamiętaj, weź mój oręż z sobą... .

**Hamund.**

A ty zostaniesz?

**Hagbart.**

Idę, zaraz idę,  
Pozwól mi chwilki.... niech siły powrócą....

**Hamund.**

Słabyś, i z czego?

**Hagbart.**

Z proroctwa, mój drogi:  
Samżeś powiedział, że usta królowej  
Śmiercią groziły.

**Hamund** (*z troską*).

Hagbarcie mój drogi!

Czyż ta zwodnica, ta chytra rusalka  
Cisła urokiem i w wir cię wtrąciła?

**Hagbart.**

Nie! nie! Hamundzie! Idź proszę, ja także....

**Hamund.**

Druhu mój stary! Obacz się, co czynisz!  
Wszak taka miłość zaślepić nie może!  
Na bój śmiertelny dwóch braci wyzwalesz  
I chcesz dla siostry pałac nierozumem!  
Kochając biegniesz do rycerskiej walki....

**Hagbart.**

Szaleństwo! prawda; ale na krok jeden  
Nie zboczę z drogi, na której poczciwość....

**Hamund.**

Więc razem idźmy!

**Hagbart.**

Ach! pozwól choć chwilki!  
*(Hamund kiwając głową odchodzi).*

**Hagbart** *(po długim milczeniu).*

Tutaj.... tak, tutaj, stała tu przedemną  
Ten słodki napój, co go podawała....  
Usta jej do mnie mówiły o śmierci....  
A nigdy jeszcze tak się żyć nie chciało!  
To czary! czary! Te małe pagórki  
Kocham już więcej jak olbrzymie skały  
Moję ojczyznę! W błękicie jej oczu  
Czyż nie piękniejszy strumień jak te morza?  
Cóżem to wypił?... Powiedzcież bogowie  
Co mi za napój ręka jej podała?  
Spojrzała na mnie czule, jakby z żalem  
Raz jeden tylko — i płomień ognisty  
Powionął na mnie i zapalił duszę,  
Płomień z tych złotych, jedwabnych kędziorów!  
Czuję brak siły! wychodzę jak z grobu....  
I cóż mi sława i okrzyki bojów!  
Jedna mi Sygna ciągle stoi w oczach.  
I Tor już obrzydł. Kocham tylko Sygnę!  
Ach! cóżem zrobił? Alfie mój! Algerze!  
Chciałbym was, braci, przycisnąć do serca!  
A tu bój toczyć każe mi powinność....  
I matka wasza dziś mnie nienawidzi!  
Być może, zginę przy księżycu blasku....  
Być może oni z moich rąk polegną....  
Cóż zyskam za to? Po świetnym zwycięztwie  
Uciekać muszę, bo Sygna nie zechce  
Mordercę braci pokochać jak męża.

Stało się! wieczny rozdział między nami!  
 Losie okrutny ciężkość mnie ukarał!  
 Wszystkoś mi zabrał! Żebyć choć godzinę  
 Wcześniej ją ujrzeć, nie wrogiembym stanął  
 Na ziemi Sygny, lecz bratem, kochankiem.....  
 Dziś, krwią serdeczną chyba się zaręczym.

*(zdejmuje różę, którą miał na piersiach)*

Różo ty moja! tyś się z nią zmówiła:  
 Nieszczęśliwemu śmierć przepowiedziałaś.  
 Jak oczy Sygny zraniłaś mię ciężko  
 Za to, zem twoich dotykał się kolców.  
 Lecz rana miła, a łza tak rozkoszna!...  
*(całuje różę).*

## HAGBART I ALF

*(uzbrojony z lilią w ręku).*

**Alf.**

Widzisz, zem gotów!

**Hagbart.**

Stało się... rycerzu!

Jeżeli zginę, pokłon swojej siostrze,  
 A piękną różę na grób mi położysz.

**Alf** *(wroczyście).*

Kto padnie w boju, to miecz postanowi:  
 Jeśli ja zginę, pochowasz mnie bracie  
 W niskiej mogile. Nie lubię kurhanów  
 Co pną się w górę; a na grobie moim  
 Lilię posadzisz: dasz mi na to słowo?

**Hagbart** *(ściskając go za rękę).*

Przysięgam, bracie!

**Alf.**

A teraz zwyciężcę

Hejmdal ukaże.

**Hagbart.**

Konungu Zelandyi!

Wszak bez niechęci idziemy do boju?

**Alf.**

Tak, jak należy rycerzom Odyna.

*(odchodzą ręka pod rękę).*

**AKT III.****PÓLNOC. SYGNA I RYNDA.****Rynda.**

Patrz moja Sygno, okręt już nadpływa!

**Sygna.**

Miejmy odwagę.

**Rynda.**

Drogi mój Haraldzie!

**Sygna.**

Jeżeli bracia moi poginęli?

**Rynda.**Ach! to okropnie! Lecz dwaj bracia razem  
Cóż znaczą Sygno, kiedy tam kochanek?**Sygna** (*z uśmiechem*).

Nie będzie tęsknić, kto nie ma kochanka.

**Rynda.**

I sama Freja straty nie nagrodzi!

**Sygna.**Żal mi serdecznie mojej biednej matki.  
Patrz, jak posepna błądzi po gęstwinach,  
Z rozdartą piersią spogląda na morze  
Niby spokojna, bo chce ukryć boleść...**Rynda.**Bogowie! czemuż ten okręt tak zwłoczy!  
Nie wiem czy smutną niesie mi nowinę,  
Czy też wesołą? Ale mam przeczucie..  
Ach! tchnienie śmierci z morza tu powiało..**Sygna.**

Zkąd wiesz to, Ryndo?

**Rynda.**Czy nie widzisz? patrzże,  
Żałobna tarcza na maszcie zwieszona.**Sygna.** (*zadrżawszy*).Nieprawda! bluźnisz!.. Aleć... ich dwudziestu.  
Jużciż ktoś zginął.. Nie lękaj się Ryndo,  
Czyż ten co poległ, ma być twym kochankiem  
Lub bratem moim?

**Rynda.**

Konung zginął, konung!  
Wszak pierścieni złoty zwieszony na tarczy?

**Sygna** (*z rozpaczą*).

Wielcy bogowie!

**Rynda.**

Nie bój się królewno!  
Odyn nas broni, to może ten dumny,  
Zuchwały Hagbart zginął od oreża!..

**Sygna** (*prędko*).

Milcz! milcz okrutna!

**Rynda.**

Więc ci żal Hagbarta?

**Sygna.**

Wszak i on może w domu pozostawił  
Siostry, kochankę... może matkę starą...  
Jeżeli zginie, czyż nie będą płakać?

**Rynda.**

Ależ on winien! Przyjechał i wyzwał!

**Sygna.**

Nibyto pierwszy raz słyszałaś Ryndo,  
Że rycerz mężny, goniący za sławą  
Przyszedł do obcych? A moiżto bracia  
Raz tylko jeden za morze pływali?

**Rynda.**

Dziki to zwyczaj; nie wierzę królewno,  
By tego chcieli bogowie Walhalli.  
Obronców kraju Tor kochać powinien,  
Więcej nikogo.

**Sygna.**

Jeśli wszędzie pokój  
I nikt na świecie nie zaczyna wojny;  
To chyba rycerz ma się w grób położyć  
I spać snem wiecznym, jak podły niewolnik?

**Rynda** (*z podziwieniem*).

Sygnie! ty widzę coś bronisz Hagbarta?

**Sygna.**

Dlaczego bronić? Trzeba sprawiedliwość  
Oddać walecznym, choć to wrogi nasze:  
A jeśli zginął, nie jest nawet wrogiem...!



Śmierć kończy gniewy, a nienawiść, Ryndo,  
Nie pójdzie przecież za krańce mogiły!

**Rynda.**

Lecz jeśli braci zabił ci ten Hagbart,  
Ty go, królowno, musisz nienawidzić!

**Sygna.**

Ach! dosyć! przestań! bolesne mi rany  
Ryndo zadajesz. Samażeś mówiła,  
Że może w bitwie on poległ, nie nasi?

**Rynda.**

Rogi już trąbią! Okręt na kotwicy.  
Rycerze duńscy wychodzą już na brzeg....  
Otóż i Hallag, stary skald poczciwy,  
Alfa przyjaciel. Patrz, wyminął innych.  
Krok uroczysty; na arfie, czy widzisz  
Wianek dębowy.... Wzrok spuścił ku ziemi.  
Haralda nie ma.... Bogowie! nie widzę  
Mego Haralda! Naprzeciw rycerzom  
Idą niewiasty, cieszą się, witają  
Braci i mężów.... a Haralda nie ma!  
Poległ, czy ranny? A, jest... jest mój drogi,  
Harald mój żyje! dzięki ci bogini!  
(biegnie i ściska go).

**Sygna.**

Jaka szczęśliwa! a mnie serce bije.  
No, stary skaldzie, usiądź na kamieniu  
I zanuć pieśni ... Cudnemi kwiatkami  
Boskiej poezyi, przykryj tę okropną  
Nowinę dla nas, jak trawa zielona  
Przykrywa żądło raniącego ciernia ...  
Śpiewaj spokojność poległym rycerzom!  
Może na zawsze odbierzesz mi spokój.

## CIŻ SAMI I SKALD.

*Otoczony przez rycerzów i kobiety, siada na kamieniu pod  
dębem, przygrywa na arfie, a potem śpiewa.*

Ty, co władasz koronami  
By rycerzom sławę nieść,  
Lutni złotą! brzmij strunami  
Poległego księcia cześć!

Dusza świeciła w jasnym mu oczach,  
Stał, by granitu twarda skała;  
Tylko się złoto wilo w warkoczach,  
Kiedy mu w piersi burza huczała.

Ale wtém ujrzał cudo urody;  
I jako słońce wiosenném okiem  
Śniegi potopi; serca tak lody  
Jego spłynęły tęsknym potokiem.

Niedługa radość!... zmarła Giryta....  
Słońce nadziei jego przepadło;  
Ledwie zabłyśnie, ledwie zaświta  
A już Tor kazał, żeby poblądło.

Spieszno Alfowi za t $\acute{e}$ m widzeniem  
 O śmierz bogini błaga i prosi;  
 Słuchać bo trudno, gdy wiatr z we-  
 stchnieniem  
 Echo po cudzych grobach roznosi.

Hagbart wt $\acute{e}$ m przybył: patrz ta przył-  
 bica  
 Skrzydła ma orle, wojną dyszy;  
 Błyszczy na hełmie tarczą księżycą  
 A śmierz mu zawsze towarzyszy.

Zeszli się razem, mieczów dobyli.  
 Burza wre w piersiach, błysk mi-  
 gocze:  
 Ostrze trafiło... Alf nasz się chyli...  
 I kruk skrzydłami jakże trzepocze!..

Tu na mogile urnę postawim  
 I miecz rycerski, róg jeleni;  
 Imię konunga pieśnią wystawim,  
 Wyrznięm na grudach tych ka-  
 mieni....

Jakżeśmy często w bory chodzili  
 Żeby jelenia dostać w sidła;  
 Dzisiaj legawiec już się nie mili,  
 Bolesć mu dawną rozkosz zbrzy-  
 dziła.

Padła już rosa na grób zielony  
 I w oczach lzy nam tylko świecą;  
 Dla nich czas nastał upragniony,  
 Patrzcie! jak w niebo dwoje lecą!

*(Bera wyszedłszy z lasu i wysłuchawszy z rozpaczą pieśni skalda,  
 prędko nadchodzi).*

**Bera.**

Milcz stary głupcze! rzuć harfę na ziemię!  
*(wyrywa mu harfę i oddaje ją Erykowi).*  
 Weź! rąb w kawałki! a śpiewaka w piekło!

**Eryk.**

O! nie pomiataj skaldami, królowo:  
 Śpiewaka święte rozlega się słowo...

**Bera.**

Bez wstydu śpiewak! a może co więcej,  
 Może to zdrajca! Prawdy nie wyśpiewa!  
 Rachuje zawsze na dźwięki uludne,  
 Na słabe serca, a pot $\acute{e}$ m co zechce  
 To robi z nami! Zuchwały rozbójnik  
 Ze skał norweskich, obraża majestat  
 Duńskiego władzcy: żart jego szalony  
 Zabiera matce, narodowi, państwu,  
 Chlubę, nadzieję. W bydlęcym pomioście  
 Powinien naród sławny pokutować  
 I głowę swoją posypać popiołem!  
 Jak wilk krwi cheiwy, tak rozpacz i żalosc  
 Śmierz nam przynosi, zgubę i upadek,  
 A ten pies stary na szalonej harfie  
 Zamiast, by płakał i tęsknił po stracie,  
 Jakieś miłosne śpiewa nam przygody!  
 Przyjemnym dźwiękiem strun harfy zachwyca!  
 Niedługo może zechce błogosławić  
 Naszego zbójcę.... Powiedz, skaldzie stary,  
 Ile ci Hagbart zapłacił za pieśni?

**Skald.**

Poco mi złoto? poco mi królowo?  
 Starzec już jestem, patrz na włosy moje,  
 Przecież siwizną stoję nad mogiłą.  
 Przebacz, jeżeli obraziłam Cię pieśnią....  
 Śpiewałam z serca, bez celu, bez myśli.  
 Śpiewałam boleść.

**Bera.**

Idź na koniec świata!

**Skald.**

Więc mnie wyganiaasz?

**Bera.**

Na wieki, za śmiałość!

**Skald.**

Ach miejże litość! Pozwól mi umierać  
 W rodzinnej ziemi! Ta ziemia słyszała  
 Lat pięć dziesiątków skromne pieśni moje!  
 Jam już jak przyrósł do tych lasów wieńca,  
 Z tym morzem sinym takem się spokrewnił,  
 Że bez nich żyćbym nawet nie potrafił  
 I żyćbym nie chciał.

**Bera.**

Więc umieraj, starcze!

**Skald.**

Nic Cię nie wzruszy? Więc pójdęz po świecie?  
 Może się bogi nademną zlitują.  
 O jedno proszę: zostaw mi tę harfę,  
 To moja radość i przyjaciel w życiu,  
 To rozkosz w śmierci. Będziesz miała serce  
 Wziąć mi i harfę?

**Bera.**

Już jej struny nigdy  
 Nie będą śpiewać (*do Eryka*). Weź miecz twój Eryku,  
 Porąb w drobiazgi te niesłowne struny.

**Eryk.**

Nie!—nigdy, pani!

**Bera.**

Zuchwalcze! ty śmiałybyś....

**Eryk.**

Zabić mnie możesz, wiem o tym, lecz pani  
 Póki żyć będę nie ścierpię niedoli

Wieszczą i starca. Idź, biegnij, Hallagu  
 Do wieszczów ziemi, do starój Irlandyi:  
 Wszak nie ty pierwszy, co cię gna niewdzięczność,  
 I nie ostatni padniesz jój ofiarą.  
 Lecz imię twoje z pieśnią skaldów naszyeh!  
 Życ będzie wiecznie i przeżyje ciebie,  
 I pieśni wasze w Danii pozostaną  
 W ustach rycerzy, i skaldów i dziewię,  
 Na długie lata, w długie pokolenia.  
 Skończyłem: pozwól odejść mi królowo.

**Bera.**

Idź, idź zuchwały! niedoleżny, podły!

**Eryk.**

Chodź ze mną ojcze, arfę ci poniosę.  
*(chce iść).*

**Bera** *(z żywością).*

Zostańcie oba!... Nie poznaję siebie,  
 Rozpacz mnie zdjęła. Czeka! czeka starcze!  
 Zbłądziłam widzę. Tyś nie winien, przebacz,  
 Tyś nieostrożny. Hagbart mnie rozgniewał.  
 Cóżes ty winien? A gdzież Alf kochany?...  
 Dajcież mi spojrzeć na to drogie ciało!  
 Tam mnie prowadźcie! Gdzie on? ach, przez bogów  
 Pozwólcie matce spojrzeć raz ostatni  
 Na zwłoki syna! Powiedźcież, gdzie ranny?  
 Czy twarz przebita? gdzież ta stal mordercza?

**Eryk.**

Nie—ostra szabla zraniła bok lewy.

**Bera.**

Trafiła w serce! Okrutne żelazo!  
 Drogi mój Alfie!

*(Wychodzi, za nią wszyscy oprócz Sygny).*

**Sygna.**

A jaż nie płaczę? Zimna jak mogiła!  
 Brat poległ w boju, a gdzież lzy na oczach?  
 Alfie! kochanku! przyjacielu miły!  
 Tyś poległ: czemuż siostra cię nie płacze!  
 Oddycham wolno, jakby kamień ciężki  
 Spadł z piersi moich; czemuż to, bogowie?

Lecz po cóż płakać i tęsknić? Prześliczna  
 Dziewica jego pobięła do raju,  
 Gdzie wiosna kwitnie i wiecznie są róże;  
 I tam go czeka i tęskniła po nim,  
 Wreszcie posłańca puściła na ziemię!  
 „O! przyjdź mój piękny! drogi mój! jedyny!  
 Siadaj na rydwan i spiesz na niebiosą:  
 Lekko w powietrze puchem cię uniesie.  
 Nie bój się, drogi, bladego woźnicy  
 Chociaż on w suknie czarnej się przystroił.  
 Ach, prędzej Alfie — Giryta cię prosi!“  
 I Alf poleciał na głos ulubionój,  
 Więc czegoż płakać; albo to już nigdy  
 Nie widziéć siostrze kochanego brata?

*(po krótkim milczeniu, ze smutkiem).*

Nie widziéć siostrze? Ach! niestety! Freja  
 Samych kochanków przyjmuje u siebie:  
 Dziewice biedne, co schną bez miłości,  
 Nie dla nich niebo: pójdą do Getionu.  
 I ja tam będę! Brata mnie nie widziéć!  
 Ach! to okropnie! żal mi ścisza serce  
 I płakać muszę.

## SYGNA, HAGBART.

**Hagbart** *(prędko zbliżając się).*

O Frejo! co widzę!

To moja Sygna! dzięki ci bogini!

**Sygna.**

Ach, to zabójca!

**Hagbart.**

Nie zabójca, Sygno,  
 Zwycięzca, powiedz. Miecz bujał swobodnie  
 Nad moją głową, i nad Alfa głową.  
 Mogłem ja zginać, ale nie stracone:  
 Dziś brata twego Norna przywołała  
 A mnie, być może, jutro już zawoła.

**Sygna.**

Krwawy rycerzu, odejdz ztąd przez litość!

**Hagbart.**

O! pójdę Sygno, rzucę cię na wieki;  
 Lecz prośba jedna. Spelnienie téj prośby  
 Tak ważne dla mnie, jak wiatr dla okrętów:

Jeśli zezwolisz, będzie mi tak lubo,  
Tak słodko sercu!

**Sygna.**

I czegoż chcesz, powiedz?

**Hagbart.**

Litości tylko.

**Sygna** (z zapalem).

Mamże ci przebaczyć?

Po cóż ci, dumny, moje przebaczenie?  
Cóż te łzy tobie i żale dziewicy?  
Nibys to nigdy nie widział boleści.  
Cóż cię obchodzi, że niewiasta płacze?  
Wszak twojém bóstwem jest męztwo i sława?  
Zimnys jak twarde pancerza żelazo.  
Spokojność rodzin wieleż cię obchodzi?  
Orli twój polot czyliż łzy wstrzymają?  
Rzucisz się dziko na swoją ofiarę  
I zginie ona, albo sam polegiesz!  
To prawo wasze! Wszak niedźwiedź straszliwy  
I wilk żarłoczny na to tylko żyją,  
Aby mordować. Za siłę i męztwo  
Niedźwiedzia, wilka, nawet Tor miłuje.  
Lecz pastérz dobry broni swoje stado,  
Ale pasterka skoro ich zobaczy,  
Ucieka od nich, stado się rozbiega,  
Zmykają wszyscy, bo któż chce zobaczyć  
Splukane zęby w krwi niewinnych zwierząt?  
Tam gdzie zabójcy, dawno po radości....

**Hagbart.**

Więc myślisz Sygno, zem ja wilk żarłoczny?  
Płacze-ż wilk kiedy?

**Sygna.**

Konungu Hagbarcie!

Daruj boleści dziewicy i siostry.  
Jak bracia moi, szedłś za zwyczajem  
I za to ciebie potępiać nie mogę;  
Lecz odejdz, odejdz! błagam cię przez litość:  
Nie przypominaj mi zabójcy brata;  
Zostaw mnie samą i łzom i boleści.

**Hagbart.**

Tak, pójdę Sygno!.... pójdę w świat daleki,  
Zabójcy brata nigdy już nie ujrzysz!  
Lecz czego płaczesz? Alf twój tak szczęśliwy!

Sam pragnął śmierci!... Przysięgłem przed bojem  
 Posadzić lilią na jego mogile:  
 Prosił mnie o to, teraz kiedy wracał  
 Z bitwy po morzu, ledwie nie utonął  
 Po jego piękny schylając się kwiatek.  
 Pozwól dług spełnić, a wtenczas spokojny  
 Pojdziesz daleko, ucieknę od ciebie.

**Sygna.**

Rzuć ziemię naszą, bo straszna jest rozpacz  
 Zranionej matki. Będzie ciebie ścigać,  
 Bo nienawiścią ciebie nienawidzi.  
 Wracaj do siebie! do lodów Norwegii!  
 Pewnie masz siostry, matkę, może żonę.  
 Idź, idź! a nieszczęście nie ciskaj na innych.

**Hagbart.**

Matkę i siostry!

**Sygna.**

Jakto? nie masz matki?

**Hagbart.**

I siostry nawet!..

**Sygna.**

Siostry nawet nie masz?

**Hagbart.**

I lubię nie mam.

**Sygna** (*zarumieniwszy się*).

I żony też nie masz?...

**Hagbart.**

Nie mam, niestety! Jak sosna, sam jeden  
 Stoję na skałach dumnego Dronthejmu!  
 Wśród szczęku broni wychowany, żyłem  
 Wspomnieniem bojów i nie znałem nigdy  
 Co matki miłość, przywiązanie siostry...  
 Bywało, siedzę pod sklepieniem zamku  
 I chcę skosztować niebieskich rozkoszy...  
 Słyszałem przecież śliczne skaldów pieśni,  
 Wiem, że w Walhalli jest szczęście i radość...  
 A tak serdecznie tęskniłem za rajem..  
 Życie mi zbrzydło, więc leciałem z ogniem  
 W pożary bitew, żeby dać swobodę  
 I wolny oddech roztesknionej duszy.  
 Szukałem śmierci, tam, gdzie szczękał oręż  
 Zapominałem, że mieszkał na ziemi,

A śmierć natenczas, był to głos przyjemny  
Który mnie wołał do krainy cudów.

**Sygna** (*ze smutkiem*).

Biedny Hagbarcie!

**Hagbart** (*z ogniem*).

Szalony marzyciel!

Czegożem pragnął? nieszczęścia przed rajem.

Ach! sny to dzikie! Dziecko! niecierpiałem

Tego, co pojąć niepodobna było.

O! powiedz Frejo? zkąd pogarda życia?

Pocóż z kolebki spieszyć do mogiły,

Kiedy tu szczęście i rozkosz na ziemi?

Mam wielbić Stwórcę, a przeklinać razem

Wszchemocnej ręki cudowne utwory?

Po co tam tęsknić do Walhalli progów,

Do pięknych bogiń i do złotej czary,

Nektaru niebios, i do uczt Odyna,

Kiedy na ziemi można znaleźć miłość?..

Jak ślepa sowa unikałem słońca

I tam krążyłem, gdzie zimno i ciemno.

Lecz teraz, Sygno, ujrzałem zbawienie

I dumę własną u nóg składam twoich.

(*klęka*).

**Sygna** (*zapłoniwszy się*).

Hagbarcie! królu!..

**Hagbart** (*z czułością*).

Bogini moja! podaruj mi wieniec

Ten śliczny ubiór twych złotych kędziorów!

Poświęć go ceniom brata, mnie powrócisz

Szczęście i spokój! Czy możesz odmówić?

Oddaj mi wieniec! Niczego na świecie

Nie żądam więcej. Powieszę go sobie

Na mieczu moim, i codzien przy lutni

Patrząc na wieniec, będę nucił pieśni

O dniu dzisiejszym i zwycięztwie smutném.

A kiedy umrę—będzie to niedługo—

Boć kwiaty wędzną bez słońca i rosy!

Każę go sobie położyć w mogile.

(*Sygna niepewna co ma robić, milczy*).

Więc tego nawet! Żegnaj mi na wieki!

(*chce odejść*).

**Sygna**.

Hagbart! poczekaj: wieniec ten dla ciebie.



**Hagbart.**

Daj mi go Sygno, ale daj, przez litość.

CIŻ SAMI. BERA. ALGER I RYCERZE.

**Sygna.**

Matko!

**Bera.**

A co to? Razem tu oboje?  
Dlaczego Sygno zdejmujesz swój wieniec?  
Cóż znaczy mowa z tym dzikim zabójcą?  
Idź z oczu moich córko niegodziwa!  
Idź precz, natychmiast!

**Sygna.**

*(czule spojrzawszy na Hagbarta).*

Bądź zdrow, mój rycerzu.  
*(odchodzi).*

**Hagbart** *(chce się za nią rzucić).*

Sygno! poczekaj!

**Bera** *(zatrzymuje go).*

Tu czekać zuchwały!

Na ten raz sprawy twoje ukończone,  
A więc posłuchaj. Tu jestem królową,  
Tutaj ja rządę, karzę i potępiam  
Jak wola moja. Przyszędłeś tu nagle  
I drogie życie dla dzikięj zabawy  
Na bój wyzwaleś, jesteś więc mordercą!  
Przeklinam ciebie, nienawidzę ciebie  
Jako potworę, najgorszego węża!  
Pokoju nie dam! Kiedyś się odważył  
Mordować moich, wiedziałeś to z góry:  
W Norwegii także matka nie porzuci  
Dzieci na pastwę, jak kura bez serca  
Jajka, co zniesie. Więc słuchaj, zabójco:  
Synaś mi wydarł, nie ma już rozkoszy  
Zadnej dla matki, jak ciebie poświęcić  
Heli na żertwę; lecz słowo królowej  
Dam ci, a honor cenię nad szlachetnej  
Zemsty rozkosze. Możesz nas porzucić  
I wyjść, gdzie oczy poniosą po świecie:  
To ci dotrzymam, ale nigdy więcej.

A potem pómnij, że gdziekolwiek tylko  
 Napotkam ciebie, tutaj, czy w Norwegii,  
 Na morzu, w lasach: wszędzie śmierć dla ciebie.  
 Jeżeli cię moi wezmą do niewoli  
 Sam sobie winien, bez nadziei zginiesz:  
 Bo strzał tysiące wypuszczę na ciebie.  
 Gdziekolwiek spotkam, w lesie, czy na drodze,  
 Zginiesz bez żalu. Pamiętaj więc dobrze!  
 Być może, przyjdiesz i ty z wojskiem do nas  
 Aby zwyciężyć, będzie i to rozkosz:  
 Śmierć stokroć miłsza, jak bez zemsty życie.  
 A teraz, idź w świat! Niech cię mego Alfa  
 Biegnie za tobą krok w krok, ślad za śladem,  
 Niech cię zabiją sumienia wyrzuty!

**Hagbart.**

Pozwól mi pani...

**Bera.**

Nie! nie! ani chwili,  
 Jeżeli kochasz życie. Jeszcześ wolny,  
 Lecz gdy dziewiąty bałwan się odbije  
 Od brzegów ziemi, będzie już zapóźno!  
 Zostaniesz prochem!

**Hagbart.**

Tak mocno królowo

Pragniesz méj śmierci?

**Bera.**

Nie ma widowiska  
 Miłszego dla mnie, jak widzieć skrwawiony,  
 Zdeptany trup twój.

**Hagbart.**

Okrutna! gniew straszny  
 Wyzywasz z piersi. Ale usta moje  
 Skowało śliczne cudnych ocz spojrzenie.  
 A więc się wściekaj, wymyślaj, bo pójdę.  
 Rycerz unika chętnie złej niewiasty:  
 Piękność jedynie pociąga mężczyznę  
 Że leci do niej, jak słowik do płótna,  
 Co się zdaleka tam bieli na łące.  
 Ostatnie krople twojej nienawiści  
 Wysącz i wyléj. O! meztwo rycerza  
 Dokaże tego, czego żąda miłość!

**Bera.**

*(patrząc za nim w ślad z zdziwieniem).*

Ostatnie krople wysącz nienawiści  
 A rycerz spełni, co mu każe miłość!

Co to za mowa?.... piękność.... jaka piękność?  
Miałaby Sygna?

(z dziką radością).

Dzięki ci stokrotne  
Bogini zemsty! Ty mi błogosławiś.  
Błada bogini z błyszczącym spojrzeniem,  
Z czarną przyłbicą, w płaszczu purpurowym!  
Ach! nagłym blaskiem oczy me spojrzały!  
Zsyłasz mi wędkę, na którą złapiemy  
Najostroźniejszą a najgorszą rybę:  
Będzie mi Sygna wędką. Przecudownie!

(obracając się do syna).

Milczysz Algerze? Bładyś i spokojny!  
Czy mierzysz ziemię? Oddawnaż mój synu  
Patrzeć na gwiazdy, takeś się nauczył?

**Alger.**

Patrzę na gwiazdy, bo Alf tam, w Walhalli!  
Lecz oczy słabe, brata mnie nie dojrzeć.

**Bera.**

Więc Alfa płaczesz?

**Alger.**

Jak brat, matko moja.

**Bera.**

I szczerém sercem?

**Alger.**

Zkądże ta wątpliwość?

**Bera.**

Wątpliwość, mówisz? A po cóż lży twoje?  
Synu mój! znam cię: nie oszukasz matki:  
Czyż w piersiach twoich nie człowieka serce?  
Twój smutek płynie z istotnej przyczyny.  
Alf był ci bratem, dobrym przyjacielem,  
I kochał cię. Ale Alf był starszym.  
Nie winien temu, wiele cię obrażał.  
Tak blizki tronu, zawsze był daleki  
Od tronu blasków. Ta myśl cię dręczyła.  
Pomiędzy tobą, a koroną ziemską  
Zawsze leżało twego brata życie,  
Jak śpiący olbrzym w żelaznym pancerzu.  
Teraz śmierć jego drogę ci otworzyła:  
Tyś król Zelandyi, on ci most zbudował  
Ponad przepaścią i podał koronę.  
To państwo twoje! Mój synu, toż przecie  
Choć leżkę jedną warto mu poświęcić.

**Alger.**

Więc myślisz matko, że płaczę z radości,  
Gdy brat mi umarł?

**Bera.**

Musisz mnie przekonać

Że to z boleści.

**Alger.**

Lecz nie wiem jak? matko.

**Bera.**

Przysięgnij zemstę!

**Alger** (*podniósłszy rękę*).

Tak! przysięgam zemstę!

Na prochy ojca mojego przysięgam,  
I na broń jego dzielną, zardzewiałą!  
Na róg Odyna klę się szczerozłoty  
I na młot Tora ciężki jak żelazo!

**Bera.**

Przysięgnij wiecznie zbójcę nienawidzić!

**Alger.**

Ach! to zatrudno; lecz kiedy wymagasz,  
I to przysięgnę: o ile potrafię  
Hagbarta wiecznie będę nienawidził!

**Bera.**

Przysięgnij jeszcze, że nigdy nie zdradzisz  
Żadnej przed brata zbójcą tajemnicy;  
Że ani prośby, ani łzy niczyje,  
Choćby najdroższe, serca nie złagodzą,  
Gniewu nie zmiękczą.

**Alger.**

Klę się na Odyna!

**Bera.**

Przysięgnij synu, że jeśli dostaniem  
Kiedy go w ręce, sam nie będziesz prosił,  
Łez nie wylewał, ażeby złagodzić  
Moję nienawiść.....

**Alger.**

Przysięgam na Tora!

**Bera.**

Drogi mój synu! Tyś wart swego losu:  
Chodź, niech przed ludem moim cię pokażę,

Niech cię przedstawię przed ludem jak pana.  
Brat i syn dobry, zostaniesz konungiem!

*(odchodzą).*

*(Sygna zwolna postępuje).*

**Sygna** *(sama).*

Już go tu nie ma! Matka mu okrutna  
Groziła śmiercią..... Jeszcze słyhać zdała  
Wesołe krzyki..... To on już odpłynął.....  
Jeleń spłoszony chowa się w gęstwinię,  
Bo na trop jego napadli myśliwi.....  
Nie ma Hagbarta! Północ już niedługo,  
I księżyc zeszedł..... sowy zaśpiewały  
Pieśń tak ponurą..... Tutaj raz ostatni  
Żegnał się ze mną. Zaprawdę, już nigdy  
Mnie go nie widzieć! Ach! stokroćże lepiej  
Nie widzieć brata! Duchu Alfa mego,  
Widziałeś boleść albo łzy Hagbarta?  
Nie, tyś spokojny!..... A Hagbart tak miły!  
Czy można razem być czułym i tęsknym,  
A mieć złe serce? Oto wieniec z głowy,  
Który dawałam mu przy pożegnaniu;  
Czemuż go nie wziął? wszak to jego własność.....  
Nie dała matka..... A serce mi biło.....  
Więc drę ten wieniec, którym dziś wiązała;  
Listek za listkiem i kwiatek za kwiatkiem.  
Nadziejo śliczna! jak cię wiatr unosi!  
*(rwie listek za listkiem).*

## AKT III.

### WIECZÓR.

### HAGBART I HAMUND.

**Hagbart.**

O! szczęście moje! o! śliczna godzino!  
Znów jestem tutaj w krainie mych wspomnień,  
I depcę nogą tę jedwabną zieleni,  
Co nóżki Sygny mojej całowała!

**Hamund**

*(z pogardliwym uśmiechem).*

Szczęście ogromne!... Jednak cię zabiją  
Jeżeli złapią.

Hagbart.

Dzieli radość moje

Sama natura: patrz! na czystém niebie  
Gwiazda miłości pali się cudownie;  
Noc jak dzień jasna.

Hamund.

Zapewne, noc jasna

Żeby nas zdradzić. O! mój dębie śliczny  
Jak czule do nas zwieszasz tve gałęzi!..  
Widzę już w myśli, jak pod cieniem liści  
Obadwaj we krwi brodzimy, tułacze!

Hagbart.

Wróć się mój druhu na okręt i odpłyn  
Gdzie oczy niosą: pozwól, ja zostanę.  
Ty nie potrafisz dzielić niebezpieczeństw,  
Kiedy radości mojej nie pojmujesz!

Hamund.

A więc stanowczo myślisz zrobić głupstwo?

Hagbart.

Stanowczo bracie! Śmierć mnie chyba tylko  
Z Sygną rozłączy, takem ją pokochał..  
Biedny Hamundzie, wieszże ty co miłość?

Hamund.

Miłość, młodziku, jestto błędny ognek,  
Co podróżnego na błoto sprowadza.  
Naprzód czaruje przyjemną nadzieją  
A potem topi. I bogini Freja  
Jest to królowa czarownic i sylfów,  
Co lubi błądzić najlepiej po nocy,  
Żeby przy jasnym słonecznym promieniu  
Nie poznać było, że to cień, powłoka,  
Za którą gonim nie wiadomo po co.  
Jój suknie błyszczą kolorem zwodniczym  
Choć pięknym, tęczy. Zdaleka wspaniała,  
A przyjdiesz do niej,— para, dym obłoczny,  
Znika w powietrzu, jak tęcza na niebie.  
Namiętność budzi, rozpala uczucie.  
Po co to wszystko? Gorzkim jój owocem  
Nocy bezsenne, nadzieje szalone,  
Łzy i tęsknota; a jeżeli miłość  
Uśmiechnie ci się temi uludami  
O jakich marzysz: przesył wnet nastąpi.  
Jak codzien zaczniesz używać i kochać,

Codzień uczucie będzie więcej stygnąć.  
A więc, cóż miłość? Piękny sen! ułuda.

**Hagbart.**

Wszyscy bogowie działają tak samo:  
We snach nas ludzą, snem jest całe życie.  
A cóż jest sława, o którą ci idzie?  
Pstry wieniec także, dźwięk dziki, niekzemny,  
Za krew zapłata. A bogini sławy?  
Wszak dym, powietrze. A do tego dzika,  
Zła to bogini, sieje mord, nienawiść...  
Toć Freja lepsza: serce z sercem łączy,  
I śmierć rokoszna gdy w objęciach Frei.

**Hamund.**

Więc śmierci żadasz?

**Hagbart.**

Nie dla ciebie stary:  
Wszak nie dzielasz mojego uczucia,  
Oblicze twoje zdejmuję mnie strachem.  
Wracaj na okręt, więcej mi pomożesz  
Ztamtąd niż tutaj: wszakżeś sam powiedział,  
Że mnie pożegnasz, kiedy drogę inną  
Wybiorę sobie. Wybrałem, a czekasz!  
Drwisz i śmiejesz się. Nie lubię tych żartów!  
Nie boliż serce, że ustami trzeba  
Bronić uczucia? Toć niepodobieństwo  
Tajemnic serca opisać słowami.  
A więc mnie zostaw własnym przeznaczeniom,  
Bądź wszakże pewien, że tego, czém byłeś  
Dla mnie, przez całe nie zapomnę życie.

**Hamund.**

Gdyś sam to przyznał, powiem ci otwarcie:  
Taki postępek....

**Hagbart.**

Bądź zdrow, do widzenia;  
Odyn bądź z tobą. Jeśli mnie zobaczysz,  
To tylko z Sygną; pewno nie inaczej.

**Hamund.**

Ha! niech się stanie! Ale słówko jeszcze:  
Czy mi nie wierzysz?

**Hagbart.**

Nie! drogi Hamundzie!  
Wierzę ci całkiem. Bądź zdrow przyjacielu!

**Hamund***(zrobił kilka kroków naprzód, i nagle zatrzymuje się).*

Już po przyjaźni!

**Hagbart.**

Jakto, znów żartujesz?

**Hamund.**

Na pożegnanie rozpowiem ci bracie  
 Dziwaczny sen mój, na co ma się w chmurach  
 Rozpłynąć sen ten?

**Hagbart** *(ze spółczuciem).*

Mów, cóż ci się stało?

**Hamund** *(z uczuciem).*

Mojego ojca skromniutka zagroda  
 Stała przy wielkim i wspaniałym dworcu.  
 W dziecińczych latach często się bawiłem  
 Z synem sąsiada, który był piękniejszy,  
 Młodszy odemnie; lecz ja za to więcej  
 Miałem rozwagi. Słuchał mnie cierpliwie  
 Dopókim mówił, lecz robił, co myślał.  
 Tak nam lat wiele zeszło w poufanych  
 Stosunkach serca. Bywało, pamiętam,  
 Kiedy siedzimy w nocy, ręka w rękę,  
 Patrząc na pancierz stary, zardzewiały,  
 Co wisiał kiedyś pod sklepieniem dworca;  
 Gieniusz przyjaźni piękny nas pocieszał.  
 Pamiętasz wielkie owe święto Joli,  
 Kiedy nasz kapłan zabijał koguty,  
 Psy i rumaki na świętym ołtarzu,  
 I słońce głośną zaklinał modlitwą  
 Żeby wróciło; i żeby się ziemia  
 W lód nie zmieniła... A stary skald dzieciom  
 O dawnych czasach dziwy rozpowiadał:  
 Jak przodki nasze kiedyś, bez litości,  
 Ludzi dawali bogom na ofiarę.  
 Jeden drugiemu padliśmy w objęcia,  
 Bośmy pojęli co to rozkosz życia,  
 A kładąc ręce na lutnię czarowną  
 Wzajemnie sobie przyjaźń przysięgali,  
 Aż śpiewak czuciem naszym rozpalony,  
 Z zapalem w struny pobrząkiwał wieszczę,  
 I uroczyście lała się pieśń jego!  
 Pancierz naddziadów wtorował tym dźwiękom...  
 Czy pomnisz czas ten? Wszak gieniusz przyjaźni  
 W słodkie dni owe nie próżnym był echem!...



A zresztą, prawda, to był sen, sen tylko.  
Dziś miejsce jego inne sny zajęły.

*(ze smutkiem).*

Ale znam łożę, na którym mózg słaby  
Biednych podróżnych, żadne sny nie trwożą.  
Bądź zdrów Hagbarcie! Poruczam cię losom!

**Hagbart** *(całując go).*

Bądź zdrów, Hamundzie!

**Hamund** *(z wyrzutem).*

Niewierny Hagbarcie!

**Hagbart** *(czule).*

Dobry mój bracie!

**Hamund.**

A więcże, tak zimno  
Umiész się rozstać? Możesz mnie odrzucić  
Na całe życie od przyjaznych piersi?

**Hagbart.**

O! nie! tam wiecznie miejsce jest dla ciebie!

**Hamund.**

I mówisz szczerze?

**Hagbart.**

Serce moje żyje

Tobą i.... Sygną.

**Hamund.**

Wiész, że po przysiędze  
Los mój związany wiecznie z twoim losem?

**Hagbart.**

Wiem, mój Hamundzie!

**Hamund.**

I że pojedę zawsze

Gdzie i ty pójdiesz?

**Hagbart.**

Stań się... w imię Frei!

**Hamund**  
*(podając mu rękę).*

W imię Baldera! Nie będę już z twojej  
Śmiał się miłości, i daję ci słowo  
Że i na Sygnę gniewać się nie będę  
Choć mi zabrała przyjaciela serce.

Nawet o Frei nie będę źle mówił.  
 Przyjaźń, cześć, miłość, drogę nam ukażą  
 I pójdziem wszędzie, gdzie nas czeka szczęście,  
 A może koniec burzliwego życia.  
 Lecz droga śliczna, po której idziemy,  
 Niech to nam stanie za całą pociechę.  
*(odchodzą do lasu).*

## RYNDA I FILLA, potem SYGNA.

**Rynda.**

Dziś moja pani jakaś niespokojna,  
 Jakoś ponura i zasnąć nie może.

**Filla.**

Ach moja droga! Żal mi bardzo Sygny:  
 Wiem o tajemnej przyczynie jój bolu.

**Rynda.**

Kochała Alfa, śmierć brata ją smuci.

**Filla.**

Być może Ryndo, ale mi się zdaje,  
 Że serce Sygny wziął z sobą ten rycerz,  
 Alfa zwycięzca.

**Rynda.**

Tak myślisz?

**Filla.**

O! braci

Tak się nie płacze!

**Rynda.**

Cicho! Sygna idzie..

**Sygna**

*(w towarzystwie dziewic).*

Co za noc śliczna! widno jak w dzień biały;  
 Brak słońca tylko. A sen nie przychodzi!  
 Kiedy natura pogrążona we śnie  
 Duch spać nie może! Nieprawdaż, kochane?

**Filla.**

Nie wiem doprawdy; dla mnie bo natura  
 Jest jak umarła, a księżyc jak lampa  
 Co ledwie błyska w cieniach katakumby.

**Sygna.**

Straciłaś wiele, wiem kochana Fillo.

Gorzka to boleść! Gorzka jak śmierć brata.  
Dajże mi rękę, będę cię pocieszać.

**Rynda**

*(rozmówiwszy się tymczasem z innymi).*

Pozwól ...

**Sygnia** *(przerywając).*

Wiatr wieje? czy nie od południa?

**Rynda.**

Nie słyhać wiatru; listek nie szeleści.

**Sygnia.**

I mnie się zdaje; cała morza postać  
Lekko faluje!....

**Filla.**

W bałwanach blask miga  
Księżyc srebrny; brzegi jak kryształ  
Błyszcą się w morzu.

**Sygnia.**

A więc wrogi nasze

Niezbyt daleko?

**Filla.**

Jeszcze tu przed chwilą  
Stały okręty rozpuściwszy żagle,  
Płynęły potem swobodnie po morzu  
Jak łabędź biały.

**Sygnia.**

Długoż trzeba płynąć,  
Kiedy wiatr dobry, ku brzegom Norwegii?

**Rynda.**

Dwa dni czasami.

**Sygnia**

*(z radosnym podziwieniem).*

Dwa dni? czy podobna?

A tak daleko! Ty morze rozłączasz  
Dlatego pewnie, żeby znów połączyć,  
I gniew udajesz wtenczas, gdy bałwany  
Groźne rozpuścisz. O, moje ty morze  
Jakieżeś lekkie! Nawet rydwan Frei  
Nie ma tak sztucznych i cudownych sprężyn.  
I któreż sanie z bystrością tak lotne  
Lecą po śniegu, jak po falach morskich  
Biegną okręty!

**Hynda.**

Pozwól nam królewno,  
Tutaj na łące przy księżycu blasku  
Potańczyc troszkę dla wesołej myśli.

**Sygna.**

I owszem, tańczcie jak leciuchne sylfy.  
Wszak mówią ludzie, że kto widział taniec  
Sylfów na ziemi, temu żyć niedługo!

**Hynda.**

Chcemy rozproszyc twój smutek ponury,

**Sygna.**

Ślicznie dziękuję, lecz próżne zabiegi:  
Dla mnie już nie ma wesela w tym życiu!

**Hynda.**

Jakto w tym życiu? czy myślisz o śmierci?

**Sygna.**

A jemuż tutaj nie grozili śmiercią?

**Hynda.**

Komużto, jemu?

**Sygna.**

Hagbartowi.

**Hynda.**

Śmierć spotkać musi, kiedy tu powróci. Juścić

**Sygna.**

Tak, to los jego! No, tańczcież dziewczęta.

*(Sygna siada na kamieniu pod dębem, dziewczęta tańczą).*

**Filla.**

Nie patrzy na nas... spogląda na morze...

**Hynda**

*(ukończywszy taniec, zbliża się do Sygny).*

Ciebie to nudzi?

**Sygna.**

Nudzi? i dlaczego?

Lecz dosyć tańców, idźcie już do domu,  
Przeziębnać łatwo; dziękuję wam jeszcze.

A teraz proszę, zostawcie mnie jedną;  
Idź i ty Ryndo.

*(tanecznice odchodzą, drugie zostają się).*

Dlaczegoż czekacie?

**Filla.**

Rynda szczęśliwa i dlatego tańczy,  
A my bolejem razem z naszą Sygną;  
Wszakżeśmy wszystko w tém życiu straciły,  
Gdy z twoim bratem poszli do Odyna  
Ci, co nam miłość mieli poprzysięgać.  
Pozwól nam księżno zaśpiewać piosenkę,  
Prawda że smutną, lecz pewnie pocieszy  
Więcej cię stokroć, jak ochoczy taniec.

**Sygna.**

Może: śpiewajcie! Lubię nadzwyczajnie  
Płacz tkliwy serca, tęsknotę bolesną,  
Którą i słowik rozwodzi w gęstwinie.  
Słodka trucizna milsza dla uczucia,  
Od zimnych uwag, mądrych rozumowań.  
Tęsknota z serca krwią płynie, lecz słodkie  
Męczarnie wtenczas; a boleść śmiertelna  
Nierównie krótsza: śpiewajcie kochane!

#### PIEŚŃ DZIEWCZĄT.

Przez czarne patrzy ku nam chmury  
Pełnia księżycą;  
A cienie straszne, grzmot ponury,  
Śmierć nam zwiastują.

Lecz czarny las ten odwieczny  
Budzi nadzieję,  
Powstaną dusze ze swych grobów  
Otoczą Freję.

I obłok biały nam ukaże  
Cienie rycerzy,  
I oto zbroje świetne błyszczą,  
Hełmy zakryte.

Rycerze ciężko coś wzdychają:  
Nie dla nich radość!  
Ze smutkiem błądzą, po jednemu  
Wśród tej gęstwiny.

Czekają kiedy księżyc znowu  
Zwinnie się na wpół,  
A wtedy z niemi—ich dziewice  
W grób się położą.

Dziewice! nie wam się frasować  
I bać się cieni:  
To miłość, którą k'wam goreją  
Tu ich przywiodła.

*(Na znak Sygny, dziewczęta odchodzą).*

**Sygna (sama).**

No, patrzcież, w trawie mojego wianuszka  
Leżą tu jeszcze pobladłe listeczki;  
A on, on, leci po morzu szczęśliwy....  
Może zapomniał, a może przy rudlu  
Stoi samotny i oczy sokole  
Zwrócił na Sygny kochanej mieszkanie,

Które z oddali widzi za drzewami.  
Może chce wrócić? O Frejo! ślad jeszcze.

*(kłęka na jedno kolano, wpatruje się w ziemię, potem nagle wskakuje).*

Czy nikt nie widzi? Miesza mi się w głowie.  
Piękny księżycu, coś świecisz zajasno!  
Dlaczegoż chęci budzisz, gdyś nie w stanie  
Czynić im zadość? Chciał coś mówić Hagbart....  
Lecz matka przysła! Dzisiaj może wzdycha,  
Jutro lżej będzie, pojutrze zapomni...  
Lecz co za boleść tak go tu paliła?

*(po chwili milczenia kładzie rękę na piersiach)*

Kobiety nie tak: serce ich skromniejsze,  
Lecz silniej bije i okropniej cierpi.

*(patrzy na morze).*

Płyn więc słowiku spokojny przez morze!  
Płyn po obłokach i bujaj na skrzydłach,  
I śpiewaj teraz brzegom innej ziemi...  
Kwiatek twój nieraz zwiędnieje bez ciebie.  
Prześlicznej pieśni róża wtorowała,  
Teraz jej serce gryzie robak straszny.

## SYGNA I HAMUND.

**Hamund.**

Hołdy ci składam prześliczna królewno.

**Sygna.**

Frejo! któż tutaj?

**Hamund.**

Nie lękaj się darmo.

**Sygna.**

Rycerz normandzki?

**Hamund.**

Przyjaciel Hagbarta!

**Sygna.**

Co za cios straszny!

**Hamund.**

Złękłaś się, a czego?

**Sygna.**

Gdzie ten Norwegczyk?

**Hamund.**

Ty go nienawidzisz?

**Sygna.**

Tak, nienawidzę: śmierć straszna mu grozi  
Kiedy tu przyjdzie; proszę cię rycerzu,  
Na wszystkie bóstwa zaklinam Walhalli  
Niech on ucieka co prędzej! co prędzej!  
Jakże tu wrócił? po cóż przyszedł nocą?  
Czyż się nie lęka obietnicy zemsty?  
Powiedz mu, błagam, że las ten ponury  
Będzie mu grobem.

**Hamund** (*z udaną boleścią*).

Nieszczęśliwy Hagbart!  
Dziś mu niczego nie bać się na świecie!

**Sygna.**

Ach! powiedz prędzej! umarł? cóż się stało?

**Hamund.**

Odebrał postrzał!

**Sygna**

(*klasnąwszy w ręce*).

O! Frejo!

**Hamund.**

Gdy wsiadał  
Na pokład statku, i brał się z powrotem  
Do przodków ziemi, ktoś zdradą z zasadzki  
Strzałę mu w samo wycelował serce:  
Padł trupem Hagbart. Ostatniem życzeniem  
Prosił, by na téj pochować go ziemi.  
Przecież trupowi tego nie odmówią:  
Więc ciało jego na brzeg wynieśliśmy.

**Sygna** (*z rozpaczą*).

Co? trup?

**Hamund** (*uśmiechając się*).

No, juścić duch tam jeszcze żyje,  
Ale śmierć blizka, jeszcze tli ostatek!  
Strzała bo zazbyt utkwiała głęboko:  
Wartoby wyjąć, możeby ocalał....  
Jest choć nadzieja, tylko ręce nasze  
Jakoś niezgrabne, niezdolne do tego....

A twoje rączki miękkie, delikatne,  
 Jak puch prawdziwy! Nieszczęście mieć chciało,  
 Że bardzo słabo znamy medycynę,  
 A wy kobiety..... pewnie poradzicie.....

**Sygna.**

Przynieś go prędzej!! znam się na lekarstwach,  
 I umiem rany zagajać — Ach! prędzej!

**Hamund.**

*(Wyciąga Hagbarta za rękę z lasu).*

O! masz rannego; wylecz go dziewico,  
 Lub śmierć mu zadaj, może będzie lepiej.  
 Ja przypilnuję, żeby was nie zesli *(odchodzi).*

## SYGNA I HAGBART.

**Hagbart.**

Jakże zuchwale, jakże nieostroźnie!  
 Waryat ten Hamund! Droga Sygno moja,  
 Przebac! doprawdy jam tu nic nie winien!

**Sygna** *(z radością).*

Żyjesz Hagbarcie!

**Hagbart.**

Żyję.

**Sygna.**

Ranny jesteś.....

**Hagbart.**

Ach! bardzo!

**Sygna.**

Mów-że! powróć mi spokojność!

**Hagbart**

*(położywszy rękę na sercu).*

Nie mogę mówić.

**Sygna.**

Więc czego chcesz po mnie?

**Hagbart.**

Trzebaż ci mówić? trzebaż ci oblekać  
 Uczucie w ciało?..... Jeżeli tak Sygno,  
 Ja usta zaklnę milczeniem grobowém!



**Sygna.**

Ach! nierozsądny! mnie i sobie razem  
Gotujesz koniec....

**Hagbart.**

Odyn jest wszechmocny!  
Sygno! Ja tobie śmierć gotuję? tobie?  
Lepiej sam zginę. Przebacz nieszczęsnemu!  
Ostatnie słowa wyrzecz pożegnania!  
Bera nie dała wzajem się pożegnać,  
A więc powracam, bo cóż dla mnie życie,  
Jeśli bez ciebie? gdzie dla mnie spokojność?  
Nawet spoczynku nie znajdę w mogile,  
I każdej nocy cień mój tu zobaczysz.

**Sygna** (*z miłością*).

Bądź zdrow Hagbarcie!

**Hagbart** (*ujawszy ją za rękę*).

Bądź zdrowa, na wieki!

**Sygna** (*uśmiechając się*).

I to już wszystko?

**Hagbart.**

Wszystko, ach! bo więcej  
Nie śmiałbym żądać.

**Sygna.**

Widać zapomniałeś?

**Hagbart** (*żywo*).

Tak.... mój wianeczek....

**Sygna.**

Zerwany na cząstki.

Patrz, oto wędnie: myślałam, że nigdy  
Już się nie zejdzien.

**Hagbart.**

Choćby jeden listek!

(*podnosi listek i chowa go na piersiach*).

**Sygna.**

Listek!.... dla tego, kto mógł stracić życie?

**Hagbart.**

Pozwól mi droga, chociaż na minutę  
Spojrzyć w twe oczy; niech obraz ten śliczny

Głęboko w duszy mojej się odbije,  
 Żeby ni przestrzeń, ni czas, ni rozłąka  
 Tego obrazu nie zaćmiły niczém.  
 Niech w chwili śmierci jak sylf się unosi  
 Nad głową moją i poprzeda w wieczność.....  
 Tam, gdzie nie będziesz mogła nienawidzić....  
 Tam, gdzie cię znowu z radością zobaczę.....

**Sygna.**

Tam się zobaczym na nowo Hagbarcie.....  
*(patrzają wzajem na siebie).*

**Hagbart**

*(zakrywając oczy ręką).*

Ach! gdyby teraz oczy me oślepiły,  
 Twój obraz wiecznie w duszyby pozostał!

**Sygna**

*(cofając jego rękę).*

Otwórzże oczy, przecież jedna Sygna  
 Nie zatrze wspomnień o tój drugiej Sygnie...

**Hagbart.**

Śliczna dziewico! powiedz, czy mnie kochasz?

**Sygna.**

Dobréj ci drogi życzę, przyjacielu:  
 Teraz mnie opuść.

**Hagbart.**

Przyjaciół więc jestem?

**Sygna.**

Tak, mój przyjaciel.

**Hagbart.**

Sygno! więc przebaczasz

To, co się stało?...

**Sygna.**

Alf sam tego żądał..

**Hagbart.**

Niepodobieństwo odejść ztąd bez żalu!

**Sygna,**

A czy zapomnisz mnie na obcej ziemi?

**Hagbart.**

Ciebie zapomnieć!

**Sygna.**

Kiedyż się zobaczym?

**Hagbart.**

Ach! może nigdy!... lub zawsze gdy zechcesz.

**Sygna.**

Nie nie rozumiem.

**Hagbart.**

Wszak Bera nienawiść  
Ma tylko dla mnie, a tobież pozwoli  
Wroga miłować?...

**sygna.**

Pytać nie ma o co.

**Hagbart.**

Zła matka z Bery: masz przykład na sobie.  
Miłości twojej, czyż ta matka warta?

**Sygna.**

Niewinność kocha, lecz się nigdy nie mści.

**Hagbart.**

Wszeczmocny Torze! usta me drętwieją,  
Nie powiem tego, co mi tak na ustach...

**Sygna.**

Myśl zła ci przyszła?

**Hagbart.**

Przeciwnie, myśl dobra.  
Wszakże mnie kochasz, i nie skrzywdzisz Bery?

**Sygna.**

Cóż za myśl, powiedz?

**Hagbart.**

Chodź ze mną na okręt,  
Rozwinem żagle pełne do Dronthejmu.

**Sygna.**

Co znów Hagbarcie? Chciałżebyś w dzień jeden  
Aż dwojgiem dzieci osierocić Berę?

**Hagbart.**

Dziwaczy Bera—i gdy gniew ustanie,  
Będzie na nowo miała dwoje synów  
I śliczną córkę.

**Sygna.**

Bardzo źle mi radzisz:  
Serce méj matki może się rozerwać,  
Ale ustąpić!

**Hagbart** (*z rozpaczą*).

A więc na tym świecie  
Nie ma nadziei! Żegnaj mi na wieki!

**Sygna.**

(*przytrzymując go czule*).

O! drogi sercu!

**Hagbart.**

Więc nie pójdziesz za mną?

**Sygna.**

Do grobu wierność moję ci ślubuję,  
Lecz w takim żalu jak zostawić matkę?

**Hagbart.**

I cóż mam zrobić?

**Sygna** (*przymilając się*).

Kiedy gniew ostygnie,  
Na przyszłą wiosnę powróć do Zelandyi.

**Hagbart** (*z uczuciem*).

Dobrze; na wiosnę powrócę tu znowu!  
Lecz jeśli wtenczas Bera niezapomni,  
Czy pójdziesz za mną?

**Sygna** (*stanowczo*).

Wtenczas pójde wszędzie,  
Masz rękę moją.

**Hagbart.**

(*całując ją w rękę*)

Chodź aniele drogi!

**Sygna** (*czule*).

O! mój kochany!

**Hagbart.**

Słodki pocałunek  
I ten com dostał; lecz jest drugi słodszy:  
Czyliż bez niego rozstać się podobna?

**Sygna.**

Hagbarcie! (*rzucają się w swoje objęcia*).

**Hagbart** (*w zachwyceniu*).

Niechaj śmierć przyjdzie! Jużem w krótkim życiu,  
Doświadczył uciech najdroższej rozkoszy!  
(*hałas za sceną*).

**Sygna** (*w bojaźni*).

Co się tam dzieje? Słyszę szcęk oręża!

**Hagbart**  
(*puszcza Sygnę i obnaża miecz*).

Już idą! Sygno ocal się ucieczką.

**Sygna**.

O! nie mój drogi, zostanę przy tobie.  
Ten pocałunek złączył nas na wieki!  
Niech co chce będzie, ja twój los podzielę.

## CIŻ I HAMUND

(*raniony w lesie opierając się na mieczu*).

**Hamund**.

Uciekaj z Sygną! Uciekaj Hagbarcie!  
Dobrzem przeczuwał: byli tu w zasadzce,  
Przyszli z sierpami plenne pociąć kłosa.  
Patrz na te rany, przez nie śmierć spogląda  
I mówi głośno: „dość żyłeś Hamundzie”...  
Jakto nikiżemnie, że kłamstwo i podstęp  
Na świecie ziemskim zawsze tryumfuje!  
Nie, czas Hagbarcie: z twą piękną kochanką  
Możebyś pragnął częściej się widywać,  
Rozmawiać słodko? Ale śmierć już przyszła...  
Czy jęj nie widzisz w postaci królowej? (*pada*).  
Ach! ciemno w oczach! Zobaczym się zresztą  
Na tamtym świecie... może tam... u Frei!  
Wszak tam i Balder!... (*umiera*).

DWUNASTU RYCERZY, *po trzech w szeregu z tarczami otacza Hagbarta ze wszech stron*: SYGNA, *potém* BERA  
i ALGER *z pochodniami*.

**Hagbart**.

Ach! jakże was wielu!

**Bera**.

A tylko baczność! Strzeżcie się rycerze  
Rany mu zadać: odpowiecie życiem,  
Za jego życie, które mi tak drogie.  
(*Rycerze chwytają Hagbarta, i wiążą mu ręce*),

**Hagbart.**

Orłowi Bero, chcesz zawiązać skrzydła?  
 Na miłość Sygny, na wierność rycerską  
 Przysięgam tobie, ile te postronki,  
 Tyle twą zemstę cenię niedolęzną.

*(rwie swoje więzy, rycerze na nowo go związują).*

**Grym.**

Co robić na to? sznury na kawałki  
 Porwał i rzucił; choćbyśmy łańcuchy  
 Nawet przynieśli, Hagbart je połamię!

**Bera (z udaną czułością).**

Pójdź tutaj Sygno; widzę masz nożyczki,  
 U pasa wiszą: masz do tego węzeł,  
 Masz sznur, którego rycerz ten nie złamie,  
 Albo się nie znam na miłości sidłach.

*(odrzyna warkocz Sygnie i podaje go rycerzom)*

Ot, tém go zwiążcie: silniejszy to węzeł  
 Jak stal, żelazo.

**Hagbart.**

Dziękuję ci Bero,  
 Znalazłaś środek srogi lecz skuteczny.  
 I lżejsze dla mnie staną się męczarnie.  
 Czegoż czekacie? Oto ręce moje:  
 Wolno wam wiązać; wiążcie jak zechcecie!  
*(warkoczem związują mu ręce).*

**Sygna.**

Broń się! broń drogi! rozerwij te włosy!

**\* Hagbart.**

Niechaj się wprzód rozerwie nieć życia!  
 Jak żądłem węża, tak na śmierć zębami  
 Poranię tego, kto zechce zuchwale  
 Te drogie więzy potargać i zniszczyć!...  
 A teraz prosto wiedźcie do więzienia.  
 Bądź zdrowa! moja! przenajdroższa Sygno!  
 Płacz po Hagbarcie, a potem—zapomnij.  
 Bo po cóż wiecznie tak bolć? Wszak na mnie  
 Gniew matki twojej spoczywa; tyś Sygno  
 Temu niewinna. Jako dzikie zwierze,  
 Nie będzie Bera własnej krwi rozlewać,  
 I w niej się kąpać. O! moje wy włosy!  
*(całuje warkocz).*

Wy mnie pociechą będziecie w więzieniu,  
 Wasz śliczny jedwab poleje łez łzami  
 Gorącym codziem uczczę pocałunkiem,

O! pewno żaden niewolnik na świecie  
Tak swoich kajdan jak Hagbart nie kochał!

**Bera.**

Teraz go macie prowadzić do baszty:  
Niech noc ostatnią popatrzy na ziemię,  
Niechaj na Sygny spogląda mieszkanie.

*(z bolesnym żartem).*

Biedaczek miły! zabił matce syna,  
I jeszcze córkę chciał uwieść niewinnie!  
Więc żyj do jutra! kręć się nad przepaścią  
Srogiej rozpaczy, aż cię sama połknie!  
Alger! sam tutaj zostaniesz na straży;  
Pamiętaj straszną wyrzekłeś przysięgę!  
W twoje poruczam ręce rozkosz moją,  
Zemstę, nienawiść. Moje drogie dziecko!  
Ostatni synu! mój posłuszny synu!  
Czyż i ty również podasz ręce wrogom  
I będziesz szydził z matki twój boleści?

**Alger.**

Spuść się królowo na syna, wszak Alger  
Zna swą powinność.

**Bera**

*(do rycerzy, pokazując na Sygnę).*

A ją macie zamknąć  
W moim pałacu, to wyrodne dziecko!

*(do Sygny)*

Będzie i tobie!

**Sygna** *(z żywością).*

Śmiercią mnie ukarzesz?

**Bera**

*(zimno uśmiechając się).*

Życiem ukarzę.

**Sygna** *(do Hagbarta).*

Więc idziem Hagbarcie?

**Hagbart.**

Ach! dla miłości nie ma kajdan wściekłość!  
*(odchodzi).*

## AKT IV.

## N O C.

ALGER *sam jeden pod basztą.* Potém SYGNA.

## Alger.

Nieszczęście siostry bardzo mnie dotyka  
 I los Hagbarta. Niedługo noc zejdzie  
 A dzień nastanie: okropny dzień śmierci  
 Niewinnych ludzi. O! wstyd nam! o hańba!  
 Czyż mogą ptaki powitać śpiewaniem  
 Ten ranek straszny? O! nie, wszak odlecą  
 Daléj w te szlaki nadpowietrzne, rzuca  
 Ten las odwieczny, który zaraz splami  
 Człowiek oddechem zemsty nieszlachetnéj,  
 Zabójstwem podłém.... A ja! o! bogowie!  
 Jam matce mojęj winien tylko życie,  
 Nie cześć rycerską: przysięga mnie hańbi.  
 A ciebie siostró, jakąż czeka przyszłość?  
 Trudno ci uczuć serdecznych zapomnieć!  
 W nieszczęściach miłość wzrasta i mężnieje,  
 Piękniejsza jeszcze kiedy ją skaleczą.  
 O! siostró moja! będziesz tak tęskniła  
 Jako skowronek co zapomni swoich,  
 I nie odleci na jesień, gdzie ciepło.  
 Nadejdzie zima, mrozy w lód się ścisną,  
 Zmarznie skowronek. Taki los twój siostró!  
 A potém matka umrze, i z tęsknoty  
 Pójdzie za wami... wtenczas sam zostanę  
 Jeden na świecie; i będę konungiem,  
 Konungiem grobów.... Usiądę spokojnie  
 W komnatach moich, w majestacie pańskim,  
 Błady jak Hela w ponurej świątyni,  
 Gdzie błądzą cienie; i żaden już okręt  
 Do brzegów wyspy mojęj nie zawinie.  
 Może wieloryb czasem wzruszy ciszę,  
 A może delfin zawita, koń morski  
 Na brzeg wypłynie i spocznie na piasku,  
 I rykiem swoim straszydło ostrzeże  
 Zdaleka majtków, by się nie zbliżali  
 Do tego lasu, w którym zdrada podła  
 Wydała na śmierć biednego wędrowca!

*Sygna (zbliżając się).*

Powiedz mi bracie, po co mi wrócono  
 Tę wolność? po co mnie tu przywołali?  
 Czy w oczach moich chcą spełnić morderstwo!



**Alger.**

Ranek już świta.

**Sygna.** (*zadrżawszy*).

Ten ranek jest dla mnie  
Nocą wieczności. Bądź zdrów!

**Alger.**

Czekaj siostró!

Jutrenka jeszcze na świat nie spogląda,  
Widać śpi jeszcze i słońce nie wstało.  
Pewno się boi rzucać blaskiem cudnym  
Na ziemię fałszu, obłudy i zbrodni.  
Wiem, żeś ty siostró nie spała noc całą....

**Sygna.**

Zasnę niedługo, ale już snem wiecznym:  
Róża przed wschodem w pączek się rozwinie.

**Alger.**

O! moja Sygno! róża trwa niedługo,  
Lecz szczęście twoje prędzej ci opadnie.

**Sygna.**

Więc umrze Hagbart!

**Alger** (*ze smutkiem*).

Powinien umierać.

**Sygna.**

Dobrze! niech umrze; rozpacz mnie nie strawi:  
Śmierć tylko straszna tchórzowi.

**Alger.**

Wiem, silna  
Jest dusza w tobie, lecz przyjdzie tęsknota....

**Sygna.**

Ciężka to prawda: lecz śmierć skończy wszystko.

**Alger.**

Umrzeć ze smutku, to Sygno brak woli!

**Sygna.**

Nie wierz mój bracie wyrażeniom dzikim.  
Brak woli mówisz: przypuśćmy, brak woli,  
Lecz umrzeć z żalu, będzież to koniecznie  
I zawsze słabość? Więc u ciebie stałość  
Tęm się dowiedzie, że przemiany losu,  
Że stratę serca najdroższych nadziei,

Człowiek znieść może zimno, obojętnie,  
 Jak gdyby nie czuł? Jeśli tak Algerze,  
 To stałość lodu będzie—arcycnotą,  
 A słabość ziarna, które pada na ziem  
 I które gnije, żeby się przerodzić,  
 Potem się w nowej ukazać postaci,  
 Zabłysnąć kwiatem, który zrodzi owoc:  
 Ta słabość ziarna, ma być już występkiem?  
 O! jeśli tak jest, ja kocham brak woli  
 A gardzę taką stałością bez czucia!

**Alger.**

Biadaż mi, biada, kiedy tak gorąco  
 Kochasz Hagbarta! Przysiągłem się zemścić  
 Na nim, za brata i zgubiłem siostrę!

*(pada na klęczki i twarz swoją ukrywa w rękach Sygny).*

Niewdzięczny bracie! Takżeś to zapłacił  
 Najdroższej siostrze za jej przywiązanie,  
 Za dobre serce? Algerze! Algerze!

**Sygna** *(z uczuciem).*

Dobry mój bracie!

**Alger**

*(prędko, podniostszy się).*

Lecz, posłuchaj Sygno!

I ja coś mogę, dlatego cię prosił.  
 Strzedz go bo muszę, i Hagbart dziś skończy.  
 Nie będę śmierci jego się przeciwieć  
 Bom na to przysiągł. Ale noc tak cudna,  
 Księżyc tak słodnie ponad lasem świeci,  
 Zdaje się mówić: „idźcież raz ostatni  
 Cieszyć się szczęściem, nadzieją, miłością,  
 Przy blasku moich przejasnych promieni”.  
 Dziś go zobaczysz jeszcze.

**Sygna** *(z uniesieniem).*

Drogi bracie!

O gdybyś pojął całą wielkość szczęścia!

**Alger.**

Pojmuję siostrę! Chcę zgasić pragnienie  
 Którem sam wzbudził solą nienawiści:  
 Kropelkę wody małą ci podaję.  
 Gdy okręt ginie tłukąc się o skały,  
 Ja tobie deskę wskazuję na morzu,  
 Żebyś płynęła,—a sam! o bogowie!  
 Byłem tą burzą, co strzaskała okręt!  
 Sam sobie ręce związałem i dzisiaj

Swobodnem tylko jest życzenie moje.  
 Przysiągłem matce jego nienawidzieć  
 Całą wściekłością ile dusza znieśie,  
 Ale nie mogę. Jednak siostró moja,  
 Spełnią się niebios przedwieczne wyroki.  
 Tego nie cofnę i dlatego pragnę,  
 Chociaż cokolwiek boleść twą złagodzić.  
 Chodź za mną: zaraz zobaczysz Hagbarta.

**Sygnia**

*(po krótkim namyśle).*

Chwilkę, mój bracie!

**Alger.**

Ociągasz się Sygno.?

**Sygnia.**

Nazbieram kwiatów dla mojego raję.

**Alger.**

Ty marzysz Sygno! Idź więc zbieraj kwiaty,  
 A ja tymczasem strażę tak rozrzadzę,  
 Żebyście mogli rozmawiać się sami.

**Sygnia**

*(wziąwszy brata za rękę, uroczyście).*

Złowieszczy płomień mignął nad pałacem  
 Rodu starego, grożąc mu ruiną!  
 Cegła za cegłą upada: niedługo  
 Będą zwaliska! Żadna siła - w świecie  
 Pożaru tego zatrzymać nie zdoła.  
 Odyńie wielki! maszże już zaginać  
 Potomków twoich plemię starodawne?  
 Oto ze szczepu wielkiego gałązka,  
 Ostatni rycerz, nadzieja ostatnia!  
 Młody być może i niedoświadczony,  
 Ale szlachetny i ogromny sercem...  
 Więc daj mu Torze koronę królewską,  
 I dodaj siły, otocz meztwem ramię,  
 Żeby on ojca swojego był godzien,  
 I daj mu żonę, żeby w jej uściskach  
 Znalazł to szczęście, którego nie dało  
 Dla biednej Sygny srogie przeznaczenie!....  
*(odchodzą).*

*Na baszcie pokazują się: NADZORCA WIĘZIENIA  
i HAGBART związany.*

**Hagbart.**

Więc mi pozwalasz pod niebios sklepieniem,  
Świeżem powietrzem odetchnąć?

**Nadzorca.**

I owszém,  
Oddychaj sobie: *(do siebie)* niedługo i ciężkiem  
Nie będziesz bratku oddychał powietrzem.

**Hagbart.**

Tutaj mi bliżej do tego wszechświata,  
Do téj niezmiernéj przestrzeni, wśród której  
Duch mój zabuja, kiedy z upojeniem  
W cudno niebieskie pograży się łono.  
*(do nadzorca).*

Czy widzisz bracie, ten wieniec gwiazd śliczny?

**Nadzorca.**

Gdzie? tam? a, widzę! wszak to przedza Frei (1).

**Hagbart** *(zadumawszy się).*

O! nie jedwabiem drogę mi usłałaś,  
Wielka bogini!

**Nadzorca.**

Juścié nie jedwabiem!

**Hagbart.**

Skowane ręce czarodziejską siłą,  
Do ciebie wznoszę: Frejo! o! bogini!  
Daj mi moc duszy, bym tę śmierć wycierpiał!

**Nadzorca** *(do siebie).*

Jakże on ręce podnosi do góry!  
E! cóż? rozwiążę. Z największego przecie  
Zbrodniarza ręki zdejmują kajdany,  
Kiedy ma umrzeć; dlaczegożby jemu  
Nie dać swobody? *(wyjąwszy nóż, głośno).*

Hagbart! chodźno do mnie!

Zerwę ci więzy.

**Hagbart** *(zagniewany).*

Śmiałżebyś, zuchwały,  
Dotknąć się więzów moich? o! przysięgam,

(1) Orjon.

Pierwszym dowodem będzie mój wolności,  
 Że cię ztąd zepchnę w przepaść! O, szalony!  
 Wszakże ci lepiej strzedz powiązanego!

**Nadzorca** (*na stronie*).

Toś ty szalony! no, patrzcież! (*głośno*) myślałem...

**Hagbart.**

Preczno z tym nożem! bo jak się rozgniewam...

**Nadzorca.**

I cóż ci bratku przyjdzie z onych włosów?

**Hagbart.**

Co przyjdzie? mówisz, a wszakże to promień  
 Księżycy mego, śliczny promień Sygny!

**Nadzorca.**

Tak, to rozumiem! Ha! to co innego.  
 Więc to jest warkocz Sygny? Powiadają,  
 Słyszałem ja to, że takie dzieciństwa  
 Wysoko ceni młodzik zakochany,  
 Jak upominek drogiej mu dziewczycy:  
 Wstążeczkę, liścik, włosy na pamiątkę,  
 A choćby nitkę nosi się na piersiach  
 We dnie i w nocy! rok cały, lat kilka.  
 Ha! to się zdarza! Ale grzech to wielki  
 Zabijać ludzi za takie szaleństwo!  
 Utracić rozum, przecież to nie zbrodnia.

**Hagbart.**

Idź sobie gdzie chcesz: zostaw mi spokojność....  
 Ale poczekaj: czyto okno Sygny?

**Nadzorca.**

A zgadłeś, zgadłeś; dajże, niech rozwiążę  
 Splątane ręce kochanki warkoczem.  
 Nie bój się: jeden włoszek ci nie zginie  
 A wtenczas lepiej i warkocz obejrzysz

**Hagbart.**

Jeśli tak starcze, rzecz zupełnie inna.

**Nadzorca** (*rozwiązawszy*).

O! masz, całutki!

**Hagbart.**

O! moje wy skarby!  
 Jak długie, miękkie, jak śliczne, jedwabne!  
 Ach! wczoraj jeszcze, jak rzeka złocista,  
 Spływały one z główki mojej Sygny!

Teraz są moje: kupilem te włosy,  
Drogom je kupił bo za cenę życia:  
Lecz ich nie oddam za miliony złota,  
Za lat tysiące!

**Nadzorca** (*do siebie*).

O! biedny młodzieniec!  
Jedno dzieciństwo a jak się już cieszył!  
Ha! tém ci lepiej: nie ma czego rzucać.

**Hagbart.**

A jak ci starcze na imię?

**Nadzorca.**

Halfdan się nazywam

**Hagbart.**

Drogi Halfdanie, daj mi słowo teraz,  
Że nie haniebnym mordercy łańcuchem,  
A tym warkoczem zwiążesz ręce moje  
Kiedy mi przyjdzie wstępować pod topór.

**Nadzorca.**

No! dobrze, dobrze, ale nic zadarmo:  
Musisz dać słowo, że po śmierci swojej  
Nie będziesz straszyl jakby jakie widmo.  
Powiem ci, ale sekret, mój kochany,  
Oto mam córkę: taka bojaźliwa,  
Drży przed upiorem, a jakby umyślnie  
Nasze okienko na plac ten wychodzi,  
Na którym dzisiaj głowę ci odetną.

**Hagbart.**

Dobry mój starcze! Nie ręczę za siebie.  
Na tamtym świecie nie znajdę pokoju,  
Kiedy zawielkie rzucam tu bogactwo.  
Ale się nie bój: jeśli o północy  
Pójdzie się błąkać cień mój kiedy w lesie,  
Z uśmiechem zwolna przemknę się pocichu  
Pod oknem twojém.

**Nadzorca.**

Żal mi cię serdecznie,  
Żal nie samemu! Patrz i konung Alger  
Widać się smuci: starego Hallaga  
Przysyła do nas, żeby cię rozrzewnił  
I w noc ostatnią ukołysał pieśnią!  
Patrz, Hallag stary!

CIZ SAMI I SKALD (z *arfą*).

O! nie przeszkadzaj stary skaldzie! Radość  
Tylko mnie zmęczy. Zostaw mnie w spokoju!  
Nie mogę słuchać, choćbym chciał nie mogę.  
Zły wąż mi wysssał wszystką krew z pod serca!  
Ale nie umrę z rozpaczą i żalem,  
Nie—nie zapłonę jak te stosy krwawe,  
Nie buchnę dymem: cicho życie zgaśnie,  
Jak ten meteor w przestworzach błękitu,  
Co płynie świetnie i znika w tumanach.  
Zostaw mnie skaldzie!

**Skald**

(*siada na kamieniu pod basztą, gra i śpiewa*).

Dawniej bywało chciałem sławy,  
Chciałem wawrzynów krwawej wojny.  
Dziś gdy poznałem cud piękności,  
Miotam się, rzucam niespokojny.

I cóż mi teraz chrzęst zbroicy,  
Co mi tych strzałów dzikie granie?  
Gdy patrzę w oczy méj dziewicy,  
I światym cały oddałem za nie.

**Hagbart.**

Ach! ten oddźwięk pieśni  
I w piersiach moich echem mi zawtórzył!  
(*przeskoczywszy przez skrzydło patrzy na dół*).  
O! starcze! starcze! nie gniewaj się proszę  
Zem cię obraził, nie próżną pociechę,  
Nie radę zimną widzę mi przynosisz.

**Skald.**

Ja śpiewam tylko piękność twego smutku.

(*Śpiewa*).

Takem ją kochał, i wzajemnie  
Ona mi wszystko poświęciła:  
Teraz spokojnie do naddziadów  
Spieszę, gdzie ojców mych mogiła.

Tam ją zobaczę w całej krasie,  
Bo tam jest uczuć kraj bogaty;  
Tam wieczna radość, wieczna wiosna,  
Miłości wiecznie kwitną kwiaty.

(*milczenie*).

**Hagbart.**

Milczysz już starcze.

**Skald.**

Zaśpiewam ci drugą  
Pieśń o rozpaczynie pięknej Hildegardy.

**Hagbart.**

Wybornie! siedząc pod niebios sklepieniem  
Będę cię słuchał, a za każdym słowem,  
Które mi los mój nieszczęsny przypomni,  
Warkocz méj ślicznej Sygny pocałuję.  
A kiedy po mnie przyjdą, wszak Hallagu,  
Ty mi dasz rękę do ślubnego łoża?  
Nieprawdaż stary?

**Skald.**

Tak, Hagbarcie: rękę  
Ścisnę ci z żalu, to powinność skalda,  
Łagodźcie boleść, lzy gorzkie ocierać,  
Być nieszczęśliwych wsparciem i pociechą.

CIŻ SAMI I ALGER *zbliżając się do SKALDA.*

**Alger.**

Odejdź mój stary; muszę z nim pomówić.  
(*cicho*).  
Znasz myśli moje, Sygna już nadchodzi.

**Skald.**

Zrobiłem swoje i mogę już odejść.  
Piosnka jak deszczyk upadła na serce  
I lżej odetchnął. Zaraz słońce wstanie,  
I wonne kwiatki rozblyszczą cudami.  
(*odchodzi*).

**Nadzorca** (*wewnątrz baszty*).

Zejdź tu Hagbarcie!

**Hagbart.**

A po co?

**Nadzorca.**

Prosi kontung Alger.

(*Hagbart wychodzi z baszty z nadzorcą, który na znak Algiera  
na nowo powraca do baszty*).

**Hagbart** (*zimno i dumnie*).

No cóż? Już Berze zdaje się zadługo?  
Nawet poranku już nie myśli czekać!



I śle tu ciebie, byś mnie własną ręką  
Pozbawił życia?

**Alger.**

Gniew twój sprawiedliwy  
I ja się przyznam: zawiniłem bracie.

**Hagbart.**

Więc po cóż słowa tracić nadaremnie  
Z tym, kto słów nie wart?

**Alger.**

A więc mną pogardzasz?

**Hagbart.**

A gdybym śmiał to?

**Alger.**

Możebyś żałował.

**Hagbart.**

Zimny, rozsądny!.. a wprzódę się ciskał,  
Grzmiął, wrzał słowami jak wzburzone morze!  
Ha! zapomniałem: wszak bezbronny jeniec  
Nie może hańbą nakarmić rycerza?

**Alger.**

Hagbarcie, przestań!

**Hagbart.**

Umrę bez przyczyny,  
Ale śmierć taka nie mnie pewno zhańbi!

**Alger.**

Patrz, nic nie mówię, stoję jak wkopany,  
Niesprawiedliwość pali serce moje.  
Nie mogę płakać; jakby jakie dziecko,  
Błagać z pokorą twego przebaczenia.  
Zresztą niewiele sam tu przewiniłem,  
Nicem nie zrobił coby wstyd przyniosło,  
Sumienie moje nic mi nie wyrzuca.  
Więc żalem moim i łzami nie będę  
Ostatnich godzin, bracie mój, zatruwać.  
Tak chciały losy! ocalić nie mogę,  
Ale ci minut kilka podaruję...

**Hagbart.**

Precz z darowizną! prowadźcie mnie na śmierć.  
Nie męczcie więcej!

**Alger.**

Ależ chwilka nawet  
Ma cenę swoją: przecie człek szczęśliwy  
W jednej minucie upoił się szczęściem  
Którego drugi szukał całe życie!

**Hagbart.**

Mnie już niczego na świecie nie szukać.

**Alger.**

Ale jeśli to, czegoś próżno szukał  
W godzinę śmierci samo się nawinie?

**Hagbart.**

Bogowie!.. bracie, mów jaśniej, zaklinam!

**Alger.**

Wszakżeś się z siostrą moją nie pożegnał?...  
Tak cię schwycili i związali nagle....  
Więc jeźli Sygna....

**Hagbart.**

Alboś przyszedł z piekła  
Nękać to serce wyszukaną męką,  
Albo cię może w mroku czarnej nocy  
Sylf dobroczynny natchnął, abyś przyniósł,  
Rozrzucił promyk niebieskiego światła?

**Alger.**

Nie, mój Hagbarcie! daj mi tylko rękę  
Że ztąd nie wyjdiesz, a ja cię opuszczę  
I dam ci tutaj mówić z ulubioną.

**Hagbart.**

Nie! nie! w twych oczach perłą się lzy srebrne.....  
Ty nie żartujesz.....

**Alger.**

Daj rękę Hagbarcie!

**Hagbart.**

Na miłość Sygny, na wiarę Hagbarta,  
Przysięgam zostać i ponieść śmierć tutaj.

**Alger** (*ze spótczuciem*).

A czy darujesz młodemu, że młody?  
Czy mu darujesz, że ci wezmą życie?

**Hagbart** (*z uczuciem*).

To los tak zrządził!

**Alger.**

Ale czas tak drogi!  
Idź tam Hagbarcie; Sygna ciebie czeka.

**Hagbart** (*ściskając go*).

O! tyś brat siostry! Alfa tam zobaczę  
W kraju Odyna; razem z nim w Walhalli  
Będziem walczyli, razem z nim zaczniemy  
Wychylać rogi złocistego wina.  
I codzień pójdziem Sygnę ukochaną  
W komnatach Frei nawiedzać, dwaj bracia,  
(*odchodzi*).

**Alger.**

(*prędko miecz obnażywszy*).

Ach! w jednej chwili umarłbym za niego!  
Jak się zabije... on gotów ujsć... wtenczas...  
Nie, on powróci, a jak wróci,— matka  
W nim podwójnego napotka zbrodniarza.  
(*z rozpaczą miecz do pochew chowając*).  
A więc żyj, dręcz się, najędzniejszy z ludzi!  
Cierp, kiedy działać nie możesz swobodnie!  
(*odchodzi*).

**SYGNA** (*z bukietem róż w ręku i żółtymi kwiatami na pier-  
siach*), i **HAGBART**; *przychodzą z różnych stron i spot-  
kawszy się rzucają się jedno drugiemu w objęcia*).

**Hagbart.**

O! bogów szczęście! umierać za Sygnę!

**Sygna.**

Śmierć! śmierć tak blisko! posłuchaj mój drogi...

**Hagbart.**

Tam wieki szczęścia nieprzebrane!

**Sygna.**

Pewno!

**Hagbart.**

O! Sygno! Sygno! powiedz czy mnie kochasz?

**Sygna.**

Ach! sercem całym!

**Hagbart.**

Myśl mnie przecież trwoży,  
Że z żalu może, z litości iskierkę  
Twego społecznia poświęcasz biednemu?

**Sygna.**

Litość dla tego kto obudził zazdrość  
I podziwienie?

**Hagbart.**

O! jeśli tak! będzie  
Śmierć dla mnie fraszka: czekam cię u Frei;  
Znam twoją wierność.

**Sygna.**

Niedługo poczekaś!

**Hagbart.**

O! żyj! żyj długo, złota Sygno moja  
I mnie pamiętaj! Jeśli w lato kiedy  
Wyjdiesz się błąkać pomiędzy te drzewa,  
Kiedy czeremcha zapach swój rozleje  
A na gałązkach ptaszki zaszczebiocą,  
Promień księżyca gdy listki przebije,  
Wtenczas! o! wtenczas, wspomnij na rozkosze  
Krótkiej miłości... dzień jeden, noc jedna!  
Tu życie całe, w jednym dniu i nocy!  
Nie, nie pogardzaj miłością że krótka!  
Jakże z rozkoszą, całym długim życiem  
Chciałbym ci dowieść to, czego nie mogę  
Dowieść ci teraz:— wieczność méj miłości!  
Lecz droga Sygno, dwie dusze pokrewne  
Dlatego tutaj zbliżą się do siebie,  
Żeby żyć potem wiecznie już w komnatach  
Kochanej Frei. Co chwila tu złączy,  
Tego i wieczność rozerwać nie może!

**Sygna.**

Weźże te róże! Hagbarcie! Niestety!  
Pierwszy, ostatni dar miłości mej!  
Wszystkiem te kwiaty z krzaka pozrywała.  
Na wiosnę znowu wyrosną tam róże  
A Bera wspomni o tém nikłym szczęściu,  
Które złamała; i płacząc, różami  
Moją i twoją ozdobi mogiłę.

**Hagbart.**

Teraz rozumiem, dlaczegoś mnie, rózo,  
Raniła kolcem? pewno na przestrożę  
Żebym nie wierzył ślepej namiętności!  
Ale co widzę? jakież brzydkie kwiaty  
Nosisz na piersiach Sygno?

**Sygna.**

Cóż dziwnego?

**Hagbart.**

Jakto? nie dziwne? przecież to cykuta!

**Sygna.**

Tak, to cykuta.. Nie gardź tą rośliną...  
To bardzo wierny, dobry mój przyjaciel:  
Sok jego bywa czasem dobroczynny....

**Hagbart (przerażony).**

Frejo!

**Sygna (stanowczo).**

Niedawno prosiłeś Hagbarcie,  
Bym szła za tobą i matkę rzuciła;  
Wtenczas nie mogłam na to się odważyć.  
Miałam powinność; teraz już jej nie ma.  
Gdy srogiej matki łzy moje nie wzruszą,  
Gdy prośby moje mało znaczą u niej,  
Idę za tobą, bom tak ślubowałam,  
A ślub wypełnię.

**Hagbart.**

O! Sygno! aniele!

**Sygna (w uniesieniu).**

Kiedy mój drogi, płaszcz twój z téj czeremchy  
Wiatr będzie zrywał, wypiję truciznę,  
I własny spalę dworzec. Dwa płomienie,  
Dwie dusze nasze poniosą na skrzydłach,  
Tam do Seswarny (1).

**Hagbart.**

Ty umrzeć chcesz Sygno!  
Sygno! co robisz? żyj, żyj! wiecznie! wiecznie!

**Sygna.**

Byłoby życie dla mnie śmiercią długą.  
O nie! nie skłonię głowy jak te lilie,  
Co wędzną zwolna. Nie mogę tak wędznąć  
Bez łez i żalu, bez kropli spólcucia.  
O nie! śmierć nasza musi ich zabołć!  
O! nie! my umrzem dlatego, by ludzie  
Brali z nas przykład, co miłość prawdziwa.

(1) Mieszkanie Frei.

**Hagbart.**

Niechże tak będzie, więc się nie rozstaniem  
Nigdzie! i nigdy!

**Sygna.**

Na wieki, mój drogi!

**Hagbart**

*(sciska ją w swoich objęciach).*

O! któż nademnie szczęśliwszy na świecie!

## AKT V.

### PORANEK.

**BERA** *(w towarzystwie straży postępuje z wolna, oczy spu-  
ściwszy na ziemię, potem nagle zatrzymuje się).*

**Bera.**

A wy tu po co? Jakto, z bronią w rękę?  
Jak wróg śledzicie kroki waszjej pani?

**Grym.**

Samaś kazała.

**Bera.**

Precz ztąd, precz nikczemni!

*(straż oddala się).*

Co mi się stało? Noc już przeminęła,  
Dlaczegoż światło tak mnie razi mocno?  
Wschód się już pali jak luna pożaru....  
Coś mi na sercu. *(woła)* Grym! Grym!

**Grym.**

Co rozkażesz?

**Bera.**

Dlaczego zeszłej nocy ciało Alfa  
Do moich wniesliście pokojów?

**Grym.**

Był rozkaz.

Samaś królowo mówiła: nad ciałem  
Biednego syna chciałaś noc przeplakać,  
Zanim go w ziemię włożą.

**Bera.**

A, patrz Grymie  
Noc całą jednak nie zamknęłam oczu!  
Powiedz mi szczerze, nie spostrzegłeś czasem  
Jakiej odmiany w ciele?

**Grym.**

Owszem ręce  
Trup jakoś spuścił, oczy miał otwarte....

**Bera.**

Nieprawdaż Grymie! to się zdarza przecie,  
Że zmarły patrzy i opuści ręce?  
Juścić to ciężar ręce?

**Grym.**

Bywa to czasami.

**Bera.**

Przecież to razi: jakżem się dziś złąła!  
Myślałam wiele o zemście, Hagbarcie,  
Sen nie przychodził, a serce do syna  
Rwało się dziko; więc wstaję powoli.  
Idę do niego, klękam przy tych zwłokach,  
I wołam mocno na niego wzruszona:  
„Alfie! mój Alfie! pomścij się twój śmierci!”  
A wtém u trupa zabłysły źrenice,  
Wzrok jakiś dziki spoczął na méj twarzy,  
A ręce które złożyłam na piersiach,  
Nagle się wzniosły i opadły z ciała....  
O, drogi Grymie! taki opanował  
Przestrach mnie całą, zem nie miała siły  
Rąk jego podnieść i zamknąć tych oczu.  
Drżąc jak w gorączce, machinalnie wstałam,  
I biegłam w strachu gdzie oczy poniosą.

**Grym (ze spótczuciem).**

A! widzisz!

**Bera.**

*(przerywając mu, z dawną dumą).*

Grymie, wieczna tajemnica!

*(Grym odchodzi).*

A tam kto znowu? Sygna? Cała w bieli?

Wieniec dębowy zwiesiła na czole!

Ha! więc i ona śmie tutaj przychodzić!

*(Sygna zwolna i z godnością zbliża się do matki).*

Idzie tak dumnie, tak dziwnie, wspaniale!

Jaka spokojna! a w śnieżnym ubraniu

Jakby kapłanka. Sygno! tak zuchwale,  
Z taką pogardą spoglądasz mi w oczy!  
I cóż to znaczy? Czy przyszedł tu widzieć  
Zemstę twój matki, śmierć tego Hagbarta?

**Sygna.**

Nie! jam tu przyszła pożegnać się z tobą.

**Bera.**

Córko niegodna! prośbami ni łzami  
Jak ty głupiemi, nie złamiesz mój woli...

**Sygna.**

Nieubłagana matko! żadne prośby!  
O! nie! nie będę modlić o to pewno  
Co mnie niegodne, czego nie dostanę!  
Teraz już wszystkim lzy me wypłakała  
Skrycie przed tobą, w cichej samotności,  
Jam pełną czarą spełniła ofiarę  
Na ołtarz Frei. Freja usłyszała  
Modlitwę moją i zesłała siłę,  
Dała potęgę mój dziewiczej piersi:  
Teraz cierpliwie mogę znosić boleść.

**Bera.**

I czegoż żadasz?

**Sygna.**

Chcę pokazać matce  
Że nie ma hańby w tém, co serce czuło!  
Czy ty znasz miłość? O tém nie wiedziałam.  
O! więc przynajmniej nie odmów szacunku  
Dla mój boleści i wystuchaj córki!  
Czego się gniewasz? Dla uczuć miłości  
To serce było zamknięte tak samo  
Jak łono kwiatka, który nie czuł jeszcze  
Słońca promieni. Ale on.. on.. przyszedł...  
I wiem co miłość. I dlaczegoż, powiedz,  
Mam uczuć serca mego się rumienić?  
Za to, że prędko zrozumiało rozkosz?  
A potem Hagbart godzien uczuć moich:  
Rycerz waleczny i piękny, a nawet  
Ta duma jego, ten upór co wzbudził  
Gniew twój, to wszystko cudem mi się zdało:  
Godzien szacunku, godzien ubóstwienia.  
O jakąż zbrodnię obwiniony Hagbart?...  
W boju rycerskim zabił on rycerza,  
Co wzgardził życiem. Tyś mu zagroziła,  
Ale nie zważał na twoje pogróżki...



A więc ty myślisz, że mniej go mam kochać  
 Za to, że Hagbart życie swoje ceni  
 Mniej od mojego? O nie! toż dlatego  
 On dla mnie dwakroć, jeszcze więcej drogi.  
 I jeśli spełnisz swoją myśl okropną  
 Zobaczysz matko, że kto mógł pogardzić  
 Niebezpieczeństwem, ten z obojętnością  
 Zniesie i skutki. Łzami nie wyproszę  
 Drogiemu życia, boć to mąż honoru,  
 Nie nikczemności! Wyproszony śmierci  
 Nie byłby godzien zebranego życia.  
 Serca twojego nie myślę też miękczyć.  
 Rzadkoś ty dla mnie miała czucie matki!  
 Od śmierci ojca sama ja sierota,  
 Sama dla siebie. Alf kochał Girytę,  
 Alger bój kochał, a ty dumna Bero  
 Kochasz twą wielkość: nic więcej, jak wielkość.  
 Od wszelkich uciech dawnom już odwykła  
 I przeszłość smutną dawnom zgadywała...  
 Stało się! życie upłynęło moje!  
 Lecz Hagbart, matko, był mym oblubieńcem...  
 Dlatego szaty przybrała godowe,  
 Dlatego wieniec na głowę włożyła....  
 O! matko daruj! pojmij serce córki!  
 Nie! ja nie z gniewem z tobą się rozstaję  
 Ale ze łzami dziecięcia na oczach....  
 Do bogów tylko ostatnia modlitwa...  
 Gdy w krwi Hagbarta zagasisz pragnienie  
 Szalonej zemsty, o! bodaj bogowie  
 Od przyszłych zgryzot wybawili ciebie!  
 Bądź zdrowa matko! *(całuje ją w rękę)*. Żegnaj mi na wieki.  
*(odchodzi)*.

#### Bera.

Podstęp?.. być może, wszak i zdrada płacze!  
 Lecz Sygna zmyślać bólu nie umiała.  
 Namietność silna! nigdy nie sądziła  
 Żeby tak wielka! Zresztą nic dziwnego;  
 Czego też w żalu młoda wyobraźnia  
 Do wysokości swego ideału  
 Myśla nie wzniesie? A zawsze im wieczność,  
 Zawsze o wiekach marzą. Nic, to przejdzie!..  
 Otoż i Alger. Jak okropnie błąd!  
 Sygna i Alger to jakby dwa trupy  
 Bez życia, ruchu, Alf do nich jest trzeci.  
 Co to jest? jakto? na jedyną matkę  
 Wyście się razem uzbroiły dzieci?

## BERA I ALGER.

**Alger.***(miotany silnym uczuciem, które sili się pokonać).*

Hold matce mojej!

**Bera.**

Dziękuję ci synu.

Zdrow jesteś? prawda! a pamiętasz wczoraj  
Przysięgę twoją: czy wszystko spełnione  
Com rozkazała?**Alger.**

Hagbart już wystąpił

Na drogę śmierci: bębny uderzyły  
I flet zajęczał; prowadzą go tłumy  
Przy dźwiękach śmierci ciekawego ludu  
I strzelcy twoi.... za chwilę tu będą.**Bera.**

Dobrze.

**Alger.**

Tak myślisz...

**Bera.**

Ty myślisz inaczej?

**Alger.**Ja nie mam zdania królowo i matko!  
Pokorne woli wszechwładnej narzędzie  
Przyszedłem pytać o nowe rozkazy.  
Czy śmierci dosyć będzie dla twój zemsty?  
Każesz go rzucić na pogardę wszystkim  
Na przykład innym? czy też będzie pogrzeb?**Bera.**Dość, dość już śmierci. Jak umrze, pozwalam  
Pochować ciało!**Alger.**

Gdzie?

**Bera.**

Pod tym tu dębem.

**Alger***(obracając się w tę stronę gdzie dąb. Cicho).*

Będzie tu miejsce dla trojga? O! będzie!

**Bera.**

Miejsce dla trojga? Co mówisz mój synu?

**Alger.**

Ja nie nie mówię, nie mówić nie mogę,  
Jużem powiedział, że jestem narzędziem,  
Więc po cóż słowa? Mówmy o czem inném!

**Bera.**

Synu mój! co ci? za ledwie dech w tobie!

**Alger.**

Czego się dziwić? przysięga związała  
Serce i usta.. Pojdę lepiej spełnić  
Dane rozkazy. (*Idzie i wraca się*).  
No! kochana matko  
Pozwól mi chociaż bajkę rozpowiedzieć,  
Którą złożyłem.

**Bera.**

I owszem, rozpowiedz.

**Alger** (*z powagą*).

W gnieździe wysokiém na wierzchołkach góry  
Karmiąc pisklęta siedziała orlica.  
Troskliwa matka o młodziutkie dzieci  
Zawsze się bała, żeby na swobodzie  
Zawiele sobie nie szkodziły biedne:  
Tak je kochała, tak pielęgnowała!  
A młode orlę, pełne przywiązania  
Do matki dobrej, słabe, nierozumne,  
Przystało na to, by małeńkie skrzydła  
Podcięła matka. Szczęśliwa orlica  
Odtąd troskliwie dzień za dniem, jak trzeba  
Znosiła pokarm wygłodniałym dzieciom.  
Tak kilka niedziel upłynęło; ślicznie  
Szło wszystko w kolój. Ale raz orlica  
Poszukać łupów w pole odleciała.  
I dzika kuna wsunęła się w gniazdo  
I biedną siostrę orlęcia porwała,  
A młode orlę krzychało boleśnie...  
Bo w jaki sposób nieść pomoc siostrzyczce?  
Krwi chciwy rabuś w oczach małeńkiego  
Zdusił biedaczkę! (*z zapalem*).

Ach! to młode orlę

Podlecieć chciało i skarać zbrodniarza,  
Rozpacz je gnała. Coż z tego? Gdy skrzydła  
Ciężaru ciała wytrzymać nie mogły,  
I ptasze spadło w przepaść. Powróciła

Stara orlica, ale gniazdo puste.  
 Patrzy, ślad krwawy—i puszek orłęcy  
 Leży tam na dnie pod drzewem... O! wtenczas  
 Dziki jęk matki odbił się o skały!  
 Stara orlica wołała swe dzieci...  
 Lecz późno było... *(milczy, potem spokojnie).*  
 Skończyłem mą powieść.  
*(chce iść).*

**Bera** *(zatrzymuje go).*

Poczekaj synu!

*(wewnętrzna ciężka walka).*

Daruję go życiem!

**Alger**

*(z zapalem, pochwyciwszy matkę za rękę).*

O! matko moja!

**Bera.**

Milcz i słuchaj synu.

I jam namiętna i ja mogę czegoś  
 Żądać stanowczo, z nieprzełomną wolą,  
 Tak, że ni prośby, ni straszne zjawiska  
 Postanowienia mojego nie zmieniają;  
 Hagbart nie umrze. Dobrze. To byłoby  
 Może zawiele. Sprawiedliwość nawet  
 Może być czasem okrutna i dzika.  
 Wszak piękność cała potęgi i władzy  
 Wtém pewno leży, że król gładzi winę  
 Tam, gdzie potępia sprawiedliwość ludzka.  
 Nie mam współczucia dla tego Hagbarta,  
 Lecz względem niego muszę być wspaniałą.  
 Konung nie umrze. Aleć tak bez kary  
 Trudno go puścić, bo dumny zuchwalec  
 Potémby jeszcze natrzasał się z Bery.  
 Wszak jego próżność zabiła mi Alfa  
 A mnie na piekiel skazała katusze;  
 Więc niech sam zbójca sprobuje męczarni!  
 Na miejsce strasznej prowadźcie go kaźni  
 A tam, kiedy śmierć nad nim już zawisnie,  
 Nagle jak szczęście na polu bojowém  
 Stanę, i życie daruję zabójcy.  
 Lecz niechaj wprzód w rozpacz jak mucha  
 Porwie się, zadrży i zabrzmi żałością.  
 Dam mu to życie, żeby poznał wtenczas  
 Jak jest malenki dla wielkości mojej;  
 Dam mu to życie, nikiemnej istocie,  
 Którą mojemi zdeptałam nogami.

**Alger.**

A z Sygną jakże?

**Bera.**

O! Sygny mu nie dam!

Za stałość którą pokazała, karą  
Ciężką ją dotknę—wiecznym rozłączeniem  
Z przedmiotem uczuć: dla niej będzie dosyć,  
Boć ona nigdy nie znała wielkości.  
Ach! serca takie, które majestatu  
Pojąć nie mogą, bićby nie powinny.  
Sygna zupełnie jak pasterka czuła  
Żyje dlatego, by płakać i marzyć,  
By wieńce splatać i myśleć o drogim  
Kochanku serca. Nieraz myśl przychodzi,  
Czy ona świętą pojmuje powinność?  
Czy wie co winna przodkom i rodzinie?  
Czyli od Fryggi swoją krew wywodzi?...  
Milcz! widzę chciałbyś znowu mnie rozgniewać.

**Alger.**

Lecz konung Hagbart.....

**Bera.**

Precz z tym Norwegczykiem!

To moja hańba! dumny i nieznośny!  
I cóż, toż wielkiem ma być Danii szczęściem  
Jeżeli Sygna będzie jego żoną?  
Gdzież państwo jego? Dzikich skał gromada.  
I na Bałtyku biedny jeden okręt!....  
Książę Jutlandyi Hardenwill, już dawno  
Prosi o Sygnę. Ma królewskie słowo.  
Takie małżeństwo musi być przyjemne  
Walhalli bogom! Związek to godowy,  
Starych pokoleń, Limfiordy z Orsundem!  
Półwysep judzki przymknie do Zelandyi  
I złożą silne państwo. Tak, Hardenwill,  
On albo żaden!

**Alger.**

Ale matko....

**Bera.**

Synu!

Milcz, ani słówka; a nie, to ci powiem  
Ową powiastkę, w której karłem został  
Ten straszny olbrzym za to, że nikczemnie  
I czuł, i myślał. Jeżeli wam idzie  
O te czułości, o drobnostki serca,

Mówcie co chcecie; lecz kiedy rozmowa  
Dotknie się dumy, wielkości, honoru,  
Głos mój stanowczy! Alger! masz iść za mną!  
(*odchodzą*).

## SYGNA I FILLA.

(*dziewice niosą płótno w koszykach*).

**Sygna.**

Ach! co za ranek! słońce jak cudowne!  
Wesoło w krzakach śpiewają ptaszęta,  
Wszystkich boleści zapomniawszy w nocy.  
(*w oddaleniu słysząc marsz pogrzebowy*).

**Filla.**

Słyszę już dźwięki! Torze! oni idą.

**Sygna** (*wzdrygnąwszy się*).

Co Fillo? idą! ach! słysząc!-już idą!  
Co za oprawcy! spieszą się, dlaczego?

**Filla.**

Biedna księżniczka!

**Sygna.**

To ty biedna, Fillo:  
Ja teraz tracę, tyś dawno straciła.

**Filla.**

Cóż ja? poddanka!

**Sygna.**

Poddanka, powiadasz!  
Jako więc nie wiesz, że dla naszój Frei  
Dusza co kocha, choć jedna, a droższa  
Jak te tysiące koron, co bez czucia.

**Filla.**

Lecz mój kochanek poległ w sławnym boju...  
A twój kochanek...

**Sygna.**

Poległ w sławnym boju...  
Gdzież bój sławniejszy od najstraszniejszego?  
Cios mieczem dany byłby dla Hagbarta  
Rozkosznym ciosem, a w spokojnej śmierci

Nie ma tych uczuć namiętnych, okropnych:  
 Tam małe sylfy wśród hałasu bitwy  
 Strzałą śmiertelną rażą niewidomie....  
 A tutaj siedzieć i czekać spokojnie  
 Aż cios uderzy i złożywszy ręce,  
 Które ci zwiążą, patrzeć na cięciwę,  
 Z której grot dziki złowieszco zawarczy  
 I trafi w serce, w oko, lub gdziekolwiek.....  
 To, co okropne! Ale ci przysięgam,  
 Że Hagbart nie da sobie zamknąć oczu.

**Filla.**

Szlachetny rycerz!

**Sygn.**

Tak, szlachetny rycerz!

To mnie pociesza. Iluż to szlachetnych,  
 Wielkich rycerzów, utraciło życie,  
 A powiedz za co? Sława to i szczęście  
 Umrzeć niewinnym. Siłę charakteru  
 Kiedy masz poznać, jeśli nie w nieszczęściu?  
 A krew niewinna kiedy się przeleje  
 Samą nienawiść niszczy i rozbraja.  
 I w sagach potem długo brzmią powieści  
 O bohaterach, co kończą niewinnie.  
 Jestto przestroga dla biednych śmiertelnych.  
 Potomstwo nie śmie długo znów powtarzać  
 Przykładów kaźni, wywoływać zgrozy.

(*Muzyka zbliża się.*)

**Filla.**

Jak razi uszy!..... Już Hagbart gdzieś blisko.....

**Sygn.**

Uszy ci razi?..... Nie, to dźwięk przyjemny,  
 Który mi męztwo daje i wytrwałość (*ze łzami*).  
 Zmilkłyście ptaszki? I wam chce się słuchać?  
 Nieprawdaż, pięknie? Wy tak nie umiecie,  
 To za wspaniałe dla was. O! nie Fillo!  
 Ten dźwięk żałobny, jak dla mnie, to rozkosz.  
 To przepowiednia..... Niedługo! niedługo!  
 Dziki ryk bólów przesyje powietrze,  
 Zleje się razem w harmonią niebieską!

**Filla.**

Patrz jak wspaniałe, jak szlachetnie Hagbart  
 Idzie wśród tłumów!..... Całuje twój warkocz!.....  
 Jaki to dzielny i wspaniały rycerz!.....  
 Zbrojni oprawcy ściskają go w kole.....

Ach patrz jak płaczą poczciwe kobiety,  
Jak go palcami pokazują dzieciom.....

**Sygna** (*z żywością*).

Gdzie? (*prędko ogląda się i pokazuje na niebo*).

Nie, moja Fillo, tam dopiero w niebie

Ujrzę Hagbarta (*ze spokojnością*).

A wy idźcie teraz

Bielić swe płótno. Żegnam was kochane.

Dreszcz mnie przechodzi, powietrze wilgotne.

Podaj mi Ryndo ową miodu czarę

Com ją ci nalać kazała.

(*Rynda daje Sygnie róg turzy*).

**Sygna** (*do siebie*).

Hagbarcie!

Piję twe zdrowie: witaj mi i żegnaj!.....

Powtarzam znowu: pokój ci, śmierć sławna,

Któręj szukałeś drogi mój rycerzu! (*pije*)

Ja jej nie szukam, bo mam śmierć już w piersiach.

(*Rzuca róg i do dziewczyc*).

Chodźmy więc prędzej: wy naprzód, kochane.

Ja zamknę izbę i przyjdę za wami.

**Filla** (*ze strachem*).

Sygno! Ach! Pani!

**Sygna**

(*taskawie, ale stanowczo*).

Idź Fillo (*dziewice odchodzą*).

**Sygna.**

Jeszcze raz jeden niech go ujrzę w życiu.

(*Staje na palcach i trzyma rękę nad oczami*).

Mój drogi rycerz! mój drogi! Spokojny,

Ni śladu trwogi w tej pięknej postaci!

Krasny rumieniec jak ślicznie twarz oblał.

I na brwiach ciemnych tylko się odbija

Głęboka duma! Mogłaż być szczęśliwsza

Odemnie kiedy na świecie dziewica?

Gdzież rycerz drugi, wielki jak ten Hagbart?

Jakaż kochanka mnie nie pozazdrości

Że skończę życie razem z mym Hagbartem!

(*odchodzi*).



HAGBART *w łańcuchach*, GRYM, ERYK, *muzykanci, rycerze, kobiety i dzieci.*

**Grym**

*(do ludu który cisnie się do Hagbarta).*

Po co się pchacie? Rozstąpić! rozstąpić!

*(Rycerze stają w półkole. Rozwiązują ręce Hagbartowi, który całuje warkocz i chowa go na piersiach).*

**Hagbart.**

Dziękuję bracie, żeś mi zdjął te więzy  
Choć na chwil kilka, że mogłem z modlitwą  
Wyciągnąć ręce ku przestworom niebios.

**Grym.**

Na to Hagbarcie nie było zakazu.

**Hagbart** *(na stronie).*

Śmierć nic nie znaczy, aby tylko Sygna  
Słowa swojego dotrzymała stale.  
Jéj żal, stanowczość, obietnica była  
Może wypadkiem chwilowej boleści...  
Ta myśl jedynie, co mnie jeszcze nęka.

**Grym.**

Módl się Hagbarcie!

**Hagbart** *(z uczuciem).*

Prawdaż przyjaciele,  
Że trzeba spełnić ostatnie życzenia,  
Kiedy niewinne, skazanego na śmierć?  
Miałbym ochotę czarę miodu wypić,  
Żebym przytomność zachował do zgonu...

**Eryk.**

O! bez wątpienia tego nie odmówim!  
Lecz tylko prędzéj. Nie służy nam prawo  
Jedną godzinką przedłużyć ci życie.  
*(podają róg turzy Hagbartowi).*

**Hagbart** *(biorąc go w ręce).*

Chwileczkę jedną. Wy to rozumiecie,  
Że rycerzowi jakim ja już byłém,  
Nieraz to pierwszy z śmiercią się spotykać:  
Niebezpieczeństwo widziałém już zblizka.  
To moj przyjaciel, to zabawa moja

Od lat tak dawnych! Ależ moi drodzy  
 Śmierci od śmierci jak wielka różnica! (*pije*).  
 Mówię otwarcie, śmierć jaka mnie czeka  
 To coś okropne: ta cichość, ta zwłoka,  
 Te widzów tłumy, dreszczem mnie przejmują!  
 Człowiek się łatwo może przyzwyczaić  
 Do wielu rzeczy, lecz kiedy spotyka  
 Nową przeszkodę, jakiś wstręt poczuwa;  
 Jak koń co wilka zwietrzy, rwie kopytem,  
 Tak moje serce drży przed bramą śmierci  
 Nie dla miłości życia, lecz te formy,  
 Ten śmierci rodzaj, trwogą mnie przenika.

(*zdejmuje płaszcz*).

Chwil jeszcze kilka. Muszę zebrać siły.  
 Inaczej może nie siadłbym spokojnie  
 Na grzbiet rumaka co go Odyn przyśle  
 Aby mnie zawiózł w podwoje Walhalli.  
 Proszę was, weźcie książeczą purpurę  
 I na gałązkach czeremchy rozwieście...  
 A potem jeszcze rozweselcie uszy  
 Dźwięczną muzyką, z którąście mnie wiedli...  
 A ja tym czasem ukłęknię, —ostatnią  
 Przedwiecznych bogów przebłagam modlitwą.

**Grym**

(*odbierając od niego płaszcz*).

I owszem! dobrze!

(*Muzyka. Płaszcz Hagbarta wieszają na drzewie*).

**Hagbart** (*klęcząc*).

Przedwieczny Torze! wysłuchaj méj prośby.  
 O! dodaj siły niewinnemu sercu,  
 By się nie zlekła wściekłości płomienia!  
 Niech tak z rozkoszą, z drzeniem pocałuje  
 Swą czarę miodu jak usta Hagbarta!

(*wstaje, patrzy z niespokojnością w głąb na mieszka-  
 nie Sygny, które nagle zagorzało płomieniem*).

**Grym.**

Pożar! Widzicie! Dom Sygny się pali!

**Hagbart** (*w uniesieniu*).

O ty pochodnio prawdziwej miłości!  
 Najświętszy ogniu przeczystej ofiary!  
 O! droga moja! przebacz mi zwątpienie!  
 Nie śmierć okropna, ale ta niepewność!  
 A więc mnie wołasz ukochana Sygno!  
 Zaraz! o zaraz! pobiegnę ci w ślady  
 Za płomienistym twój sławy rydwanem (*obnaża miecz*)!

Ty jeszcze ze mną mój drogi? Ach! dzięki,  
 Dzięki ci mieczu! (*do rycerzy*) Zostawcie na później  
 Pociski wasze: czyż tego nie widać  
 Po licach bladych, po spojrzeniach waszych,  
 Że godność kata, nie dla was, waleczni!  
 Spełniacie rozkaz: widać, że musicie.  
 Pragnę ułatwić trudną wam powinność,  
 Bo nie chcę ginąć jak prawdziwy zbrodniarz.  
 Jam nie wyciągał ręki po tę miłość  
 Najdroższej Sygny: ona mi oddała  
 Ten skarb swych uczuć, więc mordercom dzikim  
 Nie będzie prawo przelać krew niewinną!!

(*przebija się*).

Los się wypełnił! Pałajcież pochodnie!

**Eryk.**

Ach! sam się przebił!

**Grym.**

Okropność! bogowie!

CIŻ I BERA (*wchodząc prędko*).

**Bera.**

Stójcie! poczekać!

**Eryk**

(*wskazując ręką na pożar*).?

Tam bieżmy na pomoc!

**Bera.**

Hagbart żyć będzie.

**Grym.**

Późno, już nie żyje.

**Bera** (*w szaleństwie*).

Razem skończyli? Jakto! on i ona?

**Eryk.**

Sygna! Jak blada! opalone włosy!

CIŻ I ALGER (*prowadząc Sygnę pod rękę*).

**Alger.**

Patrz, ocalona!

**Bera.**

Córko moja! Bogom  
Serdeczne dzięki! chwała im że żyjesz!

**Sygna** (*ledwie ją słysząc*).

Widzę płaszcz jego.... a gdzież on? gdzie Hagbart?  
(*zobaczywszy ciało, z czułym westchnieniem*).  
Pływa w krwi własnej!

**Grym.**

Sam powiesić kazał  
Płaszcz swój na drzewie, a ujrawszy płomień,  
Z radosnym krzykiem przebił siebie mieczem.

**sygna.**

Chciałeś doświadczyć, czy Sygna ci wierna!  
Czy mogłeś wątpić, okrutny Hagbarcie!  
Ha! w strachu śmierci każda myśl przychodzi;  
Więc ci przebaczam!

**Bera.**

Córko moja! Hagbart  
Jest samobójcą. Niosłam mu zbawienie,  
Życie mu niosłam; lecz było zapóźno....

**Sygna** (*przerazona*).

Więc matko chciałaś wyrok swój złagodzić?

**Bera.**

Potom tu przyszła.

**Sygna** (*w rozpacz*).

O! Hagbarcie drogi! (*zwracając się do matki*)  
Chciałaś mnie matko złączyć z nim na wieki?

**Bera** (*żwawo i ponuro*).

Nie! nigdy córko! to byłaby podłość.

**Sygna.**

Rozłączyć chciałaś?

**Bera.**

Tak, jak śmierć—rozłączyć.

**Sygna**

(*z lekkim westchnieniem*).

Dzięki ci matko, żeś taka surowa;  
Z rozpaczą teraz przyszloby umierać!

**Bera.**

O dziecię moje! Co mówisz? strach bierze.

**Sygna.**

Bogini śmierci i na moich ustach  
Złożyła straszny, straszny pocałunek!  
Mój bracie drogi! ocaliłeś Sygnę  
Z dymu, z płomieni; ale nie ocalisz  
Przed drugim ogniem—trucizna mnie spali!

**Bera.**

Sygno! najdroższa!

**Sygna.**

Koniec mękom moim.

Dzięki ci bracie za to ocalenie,  
Bo mogę teraz uściskać Hagbarta,  
Choć w konwulsyjnych, śmiertelnych cierpieniach.  
Nieprawdaż matko? teraz mi pozwolisz  
Na posiniałych już Hagbarta ustach  
Oddać ostatni dech mojego życia?  
O! śmierci słodka! (*pada obok trupa*) Ciężka tu rozłąka!  
Polecim razem do pałaców Frei!...

(*obejmuje Hagbarta i położywszy głowę na jego pier-  
siach, umiera.*)

(*wszyscy milczą.*)

**Bera.**

Nie żyje? weźcież, złóście trup kochany  
Obok Hagbarta.

**Alger** (*w silnym poruszeniu.*)

Matko! masz ty czucie?

**Bera** (*z godnością.*)

Mam dziś, jak zawsze: bo któż dla szlachetnej  
Skłonności serca odmówi szacunku?

(*zbliżywszy się do trupów, z zapalem.*)

Gdybym wiedziała, że ta miłość dzieci  
Wielka i święta! nigdy, na Odyna,  
Nigdy, przysięgam! nie miałabym serca,  
Stawiać im opór. (*po chwili milczenia*)

Mysłałam w rozpacz,

Że to szal tylko, dziki i ognisty,  
Żądza rozkoszy uczuciowych, słodkich,  
Że to złudzenie, namiętność chwilowa,  
Która tak prędko więdnije i ginie,  
Jak zapach w cieniu skrytego fiołka;

Gaśnie jak promień księżycy bladawy  
Ze wschodem słońca....

Jakżeto bogowie!

Więc mój fiołek świetną stał się różą?  
Jakto? więc światło, więc promień księżycy  
Nagle się w cudne przeobraził słońce?  
Usypcie kurhan w lesie nad ruczajem  
Pod cieniem olszyn, na których słowiki  
Uwiły gniazdo; na wierzchu kamieniem  
Grób wybrukujcie; różami młodemi  
Cały ten kurhan pięknie przyozdobić!  
I jedna urna niech zawrze popioły  
Młodych kochanków. Hagbarta przyłbiceę  
I Sygny włosy złóście w tym kurhanie,  
I miecz przy włosach. Niech przez lat tysiące  
Płynie wieść o nas, by potomki późne  
Znalazły tutaj prawdę słów legendy,  
Którą pieśń skalda przeniesie do wieków!

*(Bera zaczyna słabnąć).*

**Alger** *(wstrzymując matkę).*

O! matko!

**Bera.**

Jeszcze rękę mi podajesz?

*(całując go z zapalem).*

Synu mój drogi! Ostatni promieniu,  
Na mój jesieni pożółkniałych liściach!

*(cicho).*

Jak myślisz: Sygna, czy pamięta wszystko?

**Alger.**

O nie! nie matko: Sygna się upaja  
Rozkoszą raj; teraz dla niej szczęście  
Więczne bez końca! ona już wygrała,  
A my stracili.

**Bera.**

Wygrała! tak synu!

Wszak zbytek szczęścia i słodycz zabija:  
Wszakże tam nie ma ognia téj rozkoszy,  
Których tak wiele w jednej chwili szczęścia!  
Po błotnej ziemi zwolna strumień płynie  
Spokojny, świetny, zawsze jednakowy;  
Ale wodospad mknie się, po przepaściach  
Łamie się, leci ze skały na skałę;  
Wstęgę rozwija swoje w modre wały,

Dzikim hałasem w piany się rozbryzga.  
Tak chwilka szczęścia téj pary kochanej  
Długo żyć będzie w podaniach, wspomnieniach.  
A któż spamięta owe dni szczęśliwe,  
Co przepłynęły i znikły bez chmury?  
Jak gwiazdki owe na niebios sklepieniu,  
Wieść o nieszczęściach Sygny i Hagbarta  
Będzie błyszczała w pośród ciemnej nocy  
Odległych dziejów: i przeżyje wieki,  
Dopóki młodzi będą znali miłość,  
Dopóki skaldy będą żyć na świecie!....



# RYCINY

JEREMIASZA FALCKA, GDAŃSZCZANINA, POLAKA.

PRZEZ

*Edwarda bar. Rastawieckiego.*

---

Falck Jeremiasz należy bezsprzecznie do najznakomitszych sztycharzy swojego czasu; prace jego przecie w żadnym zbiorze, w przybliżonej nawet zupełności zgromadzone dotąd nie były. Najzasobniejszy zbiór rycin polskich, przez wielkiego znawcę a zapalonego miłośnika kształcony, zbiór Gwalberta Pawlikowskiego, gdzie Chodowiecki 3,000 numerów liczy, zaledwie Falcka rycin 70 posiada. Pisarze dzieł o sztukach, żywotów artystów, przywołując Falcka, wymieniają niektóre jego prace; lecz żaden całkowitego nie podał onych wykazu. Zgoła wiemy, że Falck sztychował bardzo pięknie, że sztychował wiele, że przeto w sztuce polskiej odznaczone stanowisko zajmuje; atoli ani ogółu prac jego razem zgromadzonych nie widzimy nigdzie, ani też nawet dokładnego ich spisu dotąd nie posiadaliśmy. Uczuł ten brak światły a gruntowny dziejów sztuki kraju naszego badacz i znawca J. I. Kraszewski, zajął się też troskliwie zebraniem rozproszonych poszczególnych wskazówek, spisu calszego rycin Falcka. Ogłaszając piękny jego życiorys, zasiłkiem z nowszych o nim podań kilku niemieckich uczonych ubogacony, dołączył samychże prac artysty wykaz zasobny.



G. Pawlikowski, który u nas pierwszy pisał o Falcku z pewną już znajomością, mówi, że mu się zdarzyło widzieć rycin jego sztuk 73, a dziwi się że Fuessli opowiada, iż opat de Marolles w sławnym rycin zbiorze posiadał Falcka robót 93. W zbiorze M. Wodzińskiego było sztychów jego sztuk około 90. Nagler przytoczył co celniejszych tylko numerów 43; W. Sejdel posunął szereg do liczby 88; A. Hagen przywodzi rycin 107, a raczej 130; Kraszewski postąpił do ilości sztuk przeszło 150. Wszakże i ten tak już silny Kraszewskiego wykaz, dalekim jest bardzo od zupełności, bo w dwójnasób przeszło powiększyć się daje.

Byłoby do życzenia, żeby który z krajowych zbiorów wzbogacił się szeregiem o ile można zupełnym dzieł znamienitego artysty; w dążności téj ja sam posuwam się z żywą usilnością. Nie jest to dziś przecie tak łatwe zadanie, a zanim uwieńczy je skutek, dobrze choć wiedzieć bliżej, jakie to są wszelkie owe biegłego sztycharza twory. Staralem się więc spisać one tak z rozpięchłych poprzednich pisarzy napomknien, czy calszych wykazów, jak zwłaszcza z własnego widzenia, do czego przegląd znamienitszych zbiorów w kraju i za granicą, w Dreźnie i Paryżu zwłaszcza, niemało posłużył. Co się tedy zebrać nadarzyło, podaję w poniższym spisie, w nadziei, że przy pomocy drugich, i ten za czasem uzupełniony jeszcze zostanie.

Twory sztycharskie Falcka rozłożyć się dają na cztery główne działy, wedle przedmiotów, tudzież miejscowości w których wykonywane były: to jest na ryciny paryzkie, polsko-gdańskie, szwedzkie i duńskie, wreszcie holenderskie i hamburskie. Tak więc je rozdzieliśmy, w mniemaniu, że to ułatwi znacznie bliższe onych rozpoznanie.

Nie powtarzamy tu całkowitego życiorysu artysty, jako poczęści zkądinąd już dobrze znanego; atoli dla lepszego objaśnienia przedmiotu, zdaje nam się potrzebném przywiedzenie główniejszych dat życia jego.

Urodzony w Gdańsku r. 1619.

W Paryżu r. 1641—1646.

W Holandyi czasowo.

W Gdańsku r. 1647—1653, zkąd w Sztokholmie na-  
przemian.

R. 1654 jeszcze w Sztokholmie; ztąd w Kopenhadze.

R. 1655—1658 w Holandyi, w Amszterdamie. Sztychy do publikacyi galeryi Gerarda Reynst odtąd już przedsiębrane.

W latach 1655 i 1656 chwilowo w Hamburgu.

Od r. 1658 stale w Hamburgu do r. 1663, gdzie zapewne umarł.

Z rokiem 1663 niknie o nim wiadomość.

## II.

Sztychy paryzkie z lat 1641—1646, dla różnych tamiecznych wydawców: Le Blond, Justyna d'Egmont, Hermana Weyen, i. i.

*Cztery państwa starożytnego świata.* Paris, *Le Blond* excudit. *C. Vignon* invent. *J. Falck* sculp.

1. *Les Assyriens.* I Monarchie. Czterowiersz: Tu vois Sennacherib.....

2. *Les Medes.* II Monarchie. Czterowiersz: Darius fut.

3. (nieznana mi).

4. *Les Romains.* III Monarchie. Czterowiersz: Auguste, le plus grand.....

*Parys i trzy boginie; zbiór Le Blonda.*

5. *Paris* (młodzian długo-włosy w kapeluszu z kwiatami). *Falck* f. 8<sup>mio</sup> wiersz: J'ay jugé selon.....

6. *Venus* (z Kupidyndem, a jabłkie m w ręku). *Falck* fe. 8<sup>mio</sup> wiersz: Je triomphe.....

7. *Pallas* (w hełmie i pancerzu). *Falck* fe. 8<sup>mio</sup> wiersz: Depuis que je naquis.....

Czwarta rycina Junona, nie jest Falcka.

*Cztery wiatry, Les quatres vents.* Bez wyrażenia wydawcy, lecz pewnie Le Blonda. Wystawione są w postaciach 4 króli, przy nich zwierzęta, anioły i dmące główki w chmurach.

8. 1644 *J. Falck.* Fecit.

9—11. 1645 *J. Falck* Fecit. (w zbiorze drezdeńskim).

*Cztery żywioły.* Kobiecte postacie w strojach XVII wieku. Pod każdą czterowiersz francuzki i angielski. *Le Blond* excud. avec priu.

12. *L'Air* (niewiasta z ptakami). *J. Falck* fe. „Le Giboyeur depeuple”....

13. *La Terre* (niewiasta z koszem owoców) *J. Falck* f. „Je m'entretiens”....

14. *Le feu* (niewiasta obraca kapłona na rożnie) *J. Falck* f. „Cet exercice”....

15. *L'Eau* (niewiasta z rybami). „L'eau seule”....  
*Cztery wieki. Zbiór Le Blonda.*

16. *L'Age d'Or.* (niewiasta z różczką w rękę, przy ulu). *J. Falck* f. Ośmiowiersz: *Le Siècle de nos premiers pères*....

Téj ryciny posiadam inne odbicie, z podpisem *Le siècle d'Or. Aetas aurea.* Dwa 4<sup>o</sup> wiersze franc. i łac. „Durant le siècle d'or. De l'impression de *Mariette*, rue S. Jacques à l'Esperance, avec Privilege du Roy.

Trzy inne wieki nie są mi znane, prawdopodobnie także Falcka; lecz je za takie na pewne tu zamieścić nie wypadało.

*Cztery pory roku. A Paris cher le Blond Peintre* ord. du Roy. Dwie są Falcka.

17. *L'Esté* (kobieta z owocami w fartuchu, w ręce sierp, drugą chwyta gałąź z wiśniami). *Falck* fe. 16<sup>o</sup> wiersz: *Cueillez des fruits*....

18. *L'Automne* (kobieta odcina winogrona). *Falck* fe. 16<sup>o</sup> wiersz: *Malgré ceux*....

*Cztery pory roku. Inny zbiór Le Blonda. Le Brun.* *J. Falck* fecit na dwóch.

19. *L'Automne* (w postaci niewiasty). 8<sup>o</sup> wiersz: *Je me vante*....

20. *L'Hyver* (w postaci niewiasty). 8<sup>o</sup> wiersz: *Je purge les humeurs*....

*Miesiące, zbiór Le Blonda. Le Blond* excu.

21. *L'odorat. Mars* 3. (kobieta z kwiatem w rękę, a pieskiem na kolanach). *J. Falck* fe. 12<sup>o</sup> wiersz: *Toutes choses*....

22. *L'Atouchement. Mai* 5. (kobieta z dwoma gołębkami) *J. Falck* fe. 18<sup>o</sup> wiersz: *Mortels je decouvre*...

23. *L'Avarice Juillet* 7. (kobieta z workiem w rękę, przy niej wilk). *J. Falck* fecit. 12<sup>o</sup> wiersz: *Cette Beauté*.....

24. *Gourmandise. Octobre* 10. (tłusta kobieta z kieliszkiem w rękę, owoce na kolanach, przy niej wieprz). *J. F.* 12<sup>o</sup> wiersz: *Ce pempre est....*

Inne miesiące nie są nam znane, przeto nie zapewniamy czyli są Falcka, a może innego sztycharza.

*Cztery pory dnia. Le Blond excu. avec priv. J. Falck f.*

25. *L'Aurore ou le Matin.*

26. *Venus le Midy.*

27—28. *Diane le soir.* Są dwie odmiany czyli warianty:

a). *Dyanna* z perłami na głowie; w lewej ręce dzida, prawą głaszcze psa gończego.

b). *Dyanna* w kapeluszu płaskim z piórami; w lewej ręce sokół, w prawej łuk; przy niej dwa psy gończe. *J. Falck fecit.* Na obu te same wiersze: *Le soir jamais.....*

29. *Proserpine la nuit.*

Pod każdą z rycin téj seryi 12<sup>o</sup> wiersz: francuzki.

*Cztery pory dnia. Zbiór Le Blonda* francuzko-angielski. Pod każdą ryciną czterowiersz w obu językach.

30. *Le Matin. The Morning* (niewiasta z kieszem kwiatów). *J. Falck fe.* „*Quand au matin....*”

31. *Le Midi. The Noon* (niewiasta rozkrawa kapłona). *J. Falck fe.* „*L'heure de Midy...*”

32. *Le soir. The Efnin* (niewiasta z dzidą i rogiem myśliwskim, na głowie czapka z piórami; chart). *J. Falck fé.* „*Le soir jamais...*”

33. *Le Nuit. The Night* (niewiasta ze świecą w rękę odsłania kotarę u łóżka). *J. Falck fe.* „*Quand de rayons d'argent...*”

34. *Sta Genowefa* (w głębi widok Paryża). *C. le Brun inv. J. Falck fecit. Le Blond excu.* Czterowiersz łaciński, inny francuzki. Przypisanie: *A très noble et vertueuse Dame Genévieffe Fayet Presidente de Gousseaux.*

35. *S. Nicolae.* Dwuwiersz: *Elegit eum... J. Falck fecit. Le Blond exc. cum Privilegio Regis.*

36. *Narodzenie Chrystusa.* *Le Blond excud. cum Privilegio Regis;* 8 wiersz: *Felices animae...* Rycina przypisywana Falckowi.

37 — 38. *Dwie karykatury aktorów paryzkich.* *Le Blond excudit avec priu. du Roy. J. Falck f.* Obie te ry-

cinki liczą się do najrzadszych i najdroższych Falcka. Na każdą 8 wiersz francuzki.

a). *Gandolin*

b). *Guillot Gorju.*

39. *Ludwik XIII* konno, za nim giermki z trąbami i dzidami, pod koniem zwierzyna. *J. Falck* fecit. A Paris chez *le Blond*. 4 wiersz: *Tel fut autres-fois..*

40. *Annae Mariae Aurelianae.. Justus d'Egmont* Pictor Regius inventor dicat et consecrat. F. sculpsit. A Paris chez *Justin d'Egmont* rue de Rich... 1642.

41. *Lodovico XIII* Franciae et Navarrae Regi.. *Justus d'Egmont* Pict. Reg. inventor dicat et consecrat 1643. *Falck* fecit. A Paris chez *Justin d'Egmont* rue de Richelieu, a Louis, le Juste.

42. *Annae Franciae et Navarre Reginae.. Justus d'Egmont* Pictor Regius inv. dicat et consecrat Anno 1645. *Falck* sc. A Paris chez *Justin d'Egmont*.

43. *Lodovico XIV* Franciae et Navarrae Regi Christianissimo. *Justus d'Egmont* pictor Regius inventor dicat et consecrat anno 1646. *J. Falck* sculps.—A Paris chez *Juste d'Egmont* Rue de Richelieu a Louys le Juste.

44. *Kardynał Richelieu* konno, krajobraz. *H. David* pinx. (A. Hagen, *Kunstblatt* 1848, nr. 16 str. 63).

45. *Matka Boska w koronie, z Dzieciątkiem Jezus stojącym.* *Augustissimae Coeli Terrarumque Imperatrici Virgini Mariae D. Justis Egmont* invent. *Jeremias Valck* fecit. *Herman Weyen* à Paris.

46—47. *Dwa obrazki św. Piotra i Pawła.* *J. Falck* sculps. *Moll* pinx. Apud *Hermanum Weyen*.

a). *S. Petrus*. 6 wiersz: *Ter Gallo..*

b). *S. Paulus*, 6 wiersz: *Quisquis habes...*

48. *Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus, św. Jan i baranek.* *J. Falck* sculp. *J. Stella* pinx. Paris de l'imprimerie d'*Hermann Weyen*. Przypisanie: *Illustrissimo viro D. D. Francisco Sublet de Noyers Baroni de Dangu, Regi ab intimis consiliis et secretis, hanc Deiparae Virginis cum Christo et D. Joanne Baptista imaginem a J. Stella pictam, futurae suae observantiae aere perennioris monumentum O. D. C. devotionis ac servitutis nomine addictissimus cliens J. Falck.*

49. *Chrystus koronowany cierniami*, podług *Van Dycka*. *J. Falck fec. Herman Weyen excud.* Napis z Pisma św.: *Plectentem coronam de spinis.....*

50—73. *Le livre de portraiture de Jo. Franciscus Barberius* 1641. A Paris, de l'imprimerie d'*Herman Weyen*, rue Saint Jacques, à lenseigne St. Benoist, pres la Poste. 4<sup>o</sup> Karta tytułowa i dalsze 11 tablic szkoły rysunkowej, części ciała ludzkiego.

*Le livre de portraiture de Jo. Franciscus Barberius*. Seconde partie. A Paris, de l'imprimerie d'*Herman Weyen*, rue St Jacques, à lenseigne St Benoist pres la Poste. Avec privilege du roy. 4.—Karta tytułowa i dalsze 11 tablic (liczbowane od 13 do 23) szkoły rysunkowej, głowy.

Jest to szkoła rysunków w dwóch częściach *Jana Franciszka Barbieri, il Guercino da Cento*, wydana w Paryżu przez *Hermana Weyen*, część pierwsza r. 1641, druga bez daty, do którego to dzieła ryciny wykonać miał *Falck*, lubo podpisu na nich nie widać. Wiadomo, że na początkowych jego robotach w Paryżu, nakładcy podpisu czy znaku jego nie kładli. Zbiór ten całkowity jest u mnie.

74. *Guilielmus Blaeu Astrologus et Typographus Amstelodamensis*. *J. Falck sculp.* 1645 (zatém w Paryżu). Owal, dokoła napis: *Indeffessus agendo*. Spodem 14<sup>o</sup> wiersz: *Hipparchos antiqua.....*

75. *Il gran Mogor*.—*J. Falck*. sc.—*C. V. invenit*.—*F. L. D. Ciastres excudit cum privil.* (François Langlois D. Ciastres).

76. Taż sama rycina, nieco zmniejszona, na czerwono odbita. *J. Falck sc.*

Odpowiedniej wielkości, podobnego ryłca i farby, pięć rycin znajduje się w zbiorze A. C. w Paryżu. Nie wiemy przecie, czyli je z pewnością do prac *Falcka* zaliczyć można.

77. *Krzew z rozłożystemi gałęziami, pod nim koza skubie liście, dwoje dzieci wstrzymują baranka*.—*J. Falck fec.*—*Paulus Schmit in.*—*Se vendent à Paris chez Jean Sommre.*

*Pięć zmysłów*. Paris l'impression de *Huart*. Z tych dwa *Falcka*.

78—79. a.) *La veue. J. Falck* f. W postaci niewiasty. Spodem wiersz francuzki.

b.) *L'Ouye. J. Falck* f. W postaci niewiasty. Spodem wiersz francuzki.

*F. Brulliot Dict. des monogr. II, 94* powiada, że ryciny pięciu zmysłów „*pièces in folio avec l'adresse de le Blon*” oznaczone *F. fec*, są *Falcka*. Za nim powtórzył *J. I. Kraszewski*. W katalogu rycin *Wincklera* przez *Michała Hubera* i *I. G. Stimmela III, 332* powiedziano, że ze zbioru tego pięciu zmysłów, cztery są *Falcka*. Zachodzi tu wszakże podobno pomieszanie, ze zbiorem miesięcy *Le Blonda*, gdzie widzieliśmy takż zmysły.

80. *Złożenie Chrystusa do grobu* (ze szkoły flaman-dzkiej). *J. Falck sculp.*—*Par le Blond le jeune excud. av. privileg. 16<sup>o</sup>* wiersz: *Quid Christi mors....*

Tę rycinę *Falcka* zamieszczamy między paryzkimi, jako tu odbitą. Lecz musiała być blacha później do *Paryża le Blondowi synowi* przesłana. Tenże przyszedł na świat r. 1635, a *Falck* bawił w *Paryżu* po rok 1646; przeto widocznie rycina rzeczona jest daty znacznie późniejszej.

81. *La Vierge aux poissons. Oude Palma pinx.*—*Jerome Valck* (jest w *Paryżu* w bibl. cesarskiej).

82. *Obrzezanie Chrystusa.*—*Andr. Sciavoni.*—*Jerome Valck sculp.* (jest w *Paryżu* w bibl. cesarskiej).

83. *Charles de Lorraine Duc de Guise, prince de Joinville, comte d'Eu, pair de France, Gouverneur et Lieutenant General pour le Roy en Provence. âgé de 73 ans. Oval.* Ta rycina bez podpisu przypisywana jest *Falckowi*.

„*Charles de Lorraine, duc de Guise, de Joyense, pair de France, prince de Joinville, comte d'Eu, etc. chevalier des ordres du roi, gouverneur de Provence, né le 20 août 1571, mourut le 30 Septembre 1640.*” *Moréri, gr. Dict. wyd. 1749. VI, 403.* Data śmierci musi być tu zmylona, gdy portret wykazuje wiek starszy, rok 73 życia, zatém robiony roku 1644.

Do powyższego wykazu prac naszego artysty w *Paryżu* dodamy, iż jest wielkie prawdopodobieństwo, że początkowe ryciny *Falcka* w *Paryżu, Fr. Chauveau, le Blond* i *Herman Weyen* bez jego podpisu ogłaszali; jak naprzykład przytoczona tu szkoła *Guercina*. Wydawnictwo *le Blonda*

bogin, pór roku, miesięcy, dni i t. p. jest zbiorem kostiumów czyli strojów żeńskich francuzkich z wieku XVII-go, a wówczas nawet jako rodzaj dziennika mód służyło.

### III.

Sztychy polskie z lat 1647—1653 w Gdańsku, i późniejsze od r. 1658 do 1663 w Hamburgu wykonane.

Zbiór portretów Jerzego Forstera; wszystkie owalne, tak jak w ogóle wszystkie Falcka wizerunki.

1. *Fridericus Guilielmus* Dei gratia Marchio Brandenburgensis Sacri Romani Imperii Archi Camerarius et Elector in Prussia Juliae, Cliviae.... Dominus in Ravenstein. Anno 1647. — *J. Falck Polonus* sculp. *Georgius Forsterus* excudit.

2. *Serenissimus ac Potentissimus Vladislaus IV* Dei Gratia Rex Poloniae, Magnus Dux Littuaniae, Russiae, Prussiae, Masoviae, Samogitiae, Livoniae, Smolensciae, Czernichoviae, nec non Sueco. Gottor. Vandalorumq. Haereditarius Rex.—*J. Falck Polonus* sculp. *Georgius Forsterus* excudit.

3. *Tenże* drugi raz, odmienny (Pawlikowski w Czasop. Lwow. 1829. II, 105).

4. *Serenissimus et Reverendissimus Princeps ac Dominus Dn. Carolus Ferdinandus* Dei Gratia Poloniae et Sueciae Princeps, Episcopus Plocensis et Uratislauiensis etc. etc. *Falck Polonus* sculp. *Georgius Forsterus* excudit.

5. *Illustrissimus Dominus Dns. Achatius de Przyłek Przyłęcki* Castellanus Oswiecimensis in Piotrkowice et Zembrzice Dns et Haeres. *D. Schultz* pin. *Georgius Foersterus* excud. *J. Falck* sculp. *Stockholmiae*. 1652.

6. *Illustrissimus Dominus Dns Lucas Comes de Bnin Opaliński* Marescalcus Rubiessouiensis etc. etc. Praefectus. *D. Schultz* pin. *J. Falck* sculp. *G. Foersterus* excud. 1653.

7. *Illustrissimus et excellentissimus Dns Dns Georgius* Comes in Wisnicz et Jarosław *Lubomirski* Sac. Rom. Imp. Princeps Supremus Regni Poloniae Marescalcus, Generalis Cracoviensis, Premisliensis, Scepusiensis, Chmielnicen-



sis, Nizinensis etc. etc. Capitaneus. *D. Schultz* pinx. *J. Falck* sculp. *G. Foersterus* excud. 1653.

8. Illustrissimus et celsissimus Princeps Dominus *Boguslaus Radziwił* Dei Gratia Dux Bierzarum, Dubincorum Sluciae et Copiliae, Sac. Rom. Imp. Princeps, Comes Stabuli Magni Ducatus Litvaniae, exteranei in Regno Poloniae exercitus atq. custodiae Regy corporis generalis Branscensis Barenensis Posternentensis etc. etc. Gubernator. *D. Schultz* pin. *J. Falck* sculp. *G. Foersterus* excud. 1654.

9. Illustrissimus ac reverendissimus Dominus Dns. *Petrus Gembicki*, Episcopus Cracoviensis, Dux Severiensis etc. etc. *J. Falck* Polonus sculp. *Georgius Foersterus* excudit.

10. Illustrissimus et excellentissimus Dominus Dn. *Adamus* in Czasniki a *Casanow* Curiae Regni Poloniae Mareschalcus, Bor. Sol. Cosn. Nef. Warecen. Gubernator, Pragae ad Vistulam Dn. et Haeres. *Falck. G. Foerster.*

Podług Heinekena Dict. des artistes IV, 499, obraz malował *Danckerts*; lecz Heineken mylnie pisze nazwisko *Adamus* in Czapsky Marchal de la Couronne, gdyż to jest in Czasniki. *Kraszewski* zrobił z tego dwie ryciny: jedną *Kazanowskiego*, a drugą jakoby *Adama Czapskiego*. Jestto proste przeoczenie, gdyż takiéj ryciny *Falcka* nie ma, ani téż *Adama Czapskiego* marszałka nadwor. wcale nigdy nie było.

11. Illustrissimus ac reverendissimus Dominus Dn. *Andreas de Leszno Leszczyński*, Episcopus Camenecensis, Nominatus Culmensis et Pomeraniae, Praepositus Plocensis, Regni Poloniae Vice-Cancellarius. *J. Falck* Polonus sculp. *Georgius Foersterus* excudit.

12. Illustrissimus et excellentissimus Dns. Dns. *Boguslaus Comes in Leszno Leszczyński* Pro Cancellarius Regni, Generalis Majoris Poloniae, Samboriensis, Medziricensis, Bygdosciensis, Ostrzensis, Czlachoviensis, Borzechoviensis, Osiecensis etc. etc. Capitaneus. *D. Schultz* pin. *J. Falck* sculp.

13. Illustrissimus et excellentissimus Dominus, Dn. *Venceslaus a Leszno Leszczyński* Cancellarius Regni, Majoris Poloniae Generalis, Varecensis Camionecensis etc. etc. Capitaneus. *J. Falck* Polonus sculp. *Georgius Foersterus* excudit.

14. Illustrissimus ac reverendissimus Dominus, Dominus *Matthias Lubieński*, Archiepiscopus Gnesnensis, Legatus natus, Regni Poloniae Primas, Primusq. Princeps. *Danckerts* pinxit. *J. Falck Polonus* sculp. *Georgius Foersterus* excudit.

15. Illustrissimus et excellentissimus Princeps Dominus Dn. *Georgius Dux in Ossolin*, S. R. J. Princeps, Comes a *Thęczyn Ossoliński*, Lubomlen, Adzelen, Rycen, etc. etc. Praefectus Supremus Regni Poloniae Cancellarius. *J. Falck Polonus* sculp. *Georgius Foersterus* excudit.

16. Illustrissimus ac reverendissimus Dominus Dn. *Stanislaus de Buzenin Pstrokowski* Episcopus Chelmensis, Abbatiae Tinecensis Administrator. *Danckerts* pinxit. *Falck Polonus* sculp. *Georgius Forsterus* excudit.

17. Illustrissimus ac reverendissimus Dominus Dns. *Georgius Tyszkiewicz* Episcopus Vilnensis, S. D. N. Papae Praelatus Domesticus etc. etc. *J. Falck* sculp. *Georg. Foersterus* excudit.

Inne wizerunki.

18. *Daniel Dilgerus* Gedanensis in patria Evangelicus Doctor et Theologus ad Annos L obtime meritus. Nat. an. MDLXXII ob. an. MDCXLV 4 Cal. Martij. 4-wiersz Mochingera: Ecce sacrum Gedani fulmen.... *S. Waegener* pinx. *J. Falck* sculp. 1648.

19. *Nicolaus Copernicus*. 12<sup>o</sup> wiersz: łaciński Barlea: Naturae novus.... *J. Falck* sculpsit.

O téj rycinie ma tylko domysł *Kraszewski*; jest w Paryżu w bibliotece cesarskiej.

20. Nobilissimo viro, domino a *Thwenhusen* Pictori laudatissimo, atque amico suo plurimum colendo, coelo a se expulsam hanc effigiem, in duratorum amoris atque studii monumentum, libenter et ultro exhibuit *Jeremias Falck*.

Wizerunek podobny *Helmicha van Thwenhusen*, malarza w Gdańsku pracującego, przez *J. Falcka*, znajduje się przy dziele *Jana Heweliusza*: Selenografi a sive Lunae descriptio. Gedani 1647, fol.

21. Przy temże dziele jest wizerunek samego *Jana Heweliusza* astronoma gdańskiego. *Helmich à Thwenhusen* pinxit. *Jerem. Falck* sculp. 6<sup>o</sup> wiersz: łaciński podpisany: *Johannes Mochingerus* f. Contemplare virum....

22. Illustrissimo et excellentissimo domino dn. *Hieronymo in Radziejowice Radziejowski* Pro Cancellario Regni Poloniae, Lomsensi, Bielsensi, Varecensi, Koziopicensi, Solecensi, Kamiencensi etc. Gubernatori, Haeredi in Kryłow, Dno. suo grätiosissimo hanc S. Exc. ae effigiem coelo exsculptam, dicat, dedicat, consecratqu. *Je. Falck* S. R. M. Sueciae Chalcographus. ·Owal, w okolu napis: Invulnerabile est non quid non feritur, sed quod non laeditur. *H. Munnich-houen* pin.

Ta rycina była zapewne w Szwecyi odbita, lecz należy do zbioru polskiego (1652).

23. *Janusz książę Radziwiłł* wojew. wileński hetman W. Lit. *S. Schultz* pin. *J. Falck* sculp.

Należy może do wydań Foerstera, lecz tego z pewnością nie wiemy.

24. *Joh. Casimirus* Rex Poloniae.

25. *Gabriel Schumannus* Consul et Camerarius Gedanensis. *L. de Neeter* pin. *J. Falck* fec. 1654.

26. *Nathanael Schmieden*, radzca czyli konsul gdański. Czterowiersz: quos cernis, Lector, vultus ac ora *Schmideni*..... *J. Falck* sculpsit. *Daniel Lagus* D.

Ryciny za malarzem gdańskim *Adolfem Boy*.

27. Dn. *Constantinus Ferberus* Praeconsul Gedan. *Ferberi* effigies eadem virtutis imago est, sculpi aliter facies tam veneranda nequit. V. F. S. G. *A Boij* *J.* delineavit. *J. Falck* sculp. Hamburgi.

28. Ut *Mochingerus* tabula spectetur in illa

Artificis frustra est ingeniosa manus

Corporis est, quidquid pictor depixit, imago

Mens, quam non pinxit pictor, imago Dei est.

*Adolf Boij* pinxit—*Jerem. Falck* sculpsit.

*Joachim Mochinger*, pastor u S. Katarzyny w Gdańsku.

29. *Stuvius Dantiscanus*. 4<sup>o</sup> wiersz łaciński: Aedibus hic coluit.... *A Boij* pinx. *J. Falck* sculp.

30. Postać duchownego nad grobem swoim, malowana przez *A Boya*, sztychowana przez *J. Falcka*. Przytacza tę rycinę *C. H. de Heineken*, *Dict. des artistes* 1789, III, 284; atoli jęj nie widzieliśmy.

31. *Piramides* ante fores Regii Hospitii in foro Civitatis Gedanensis collocatae. Anno MDCXLVI.

Dwie piramidy otoczone winną latoroślą, połączone wieńcem na którym orzeł z głoską A. cyfry: L 4—LM (Ladislaus IV Ludovica Maria). Posągi Dyanny i Apollina. Napis: protegat ingressus..... Pod posągami bożyszczy 12<sup>o</sup> wiersz: łaciński. *ABoij* figura. *Falck* incid.

32. *Arcus* circa festivitatem Regiarum nuptiarum in medio Longae Plateae Civitatis Gedanensis erectus Anno MDCXLVI.

Na Karyatydach oparty łuk słoneczny, pod nim słońce i miasto Gdańsk. U dołu: Inscriptio *Arcus*. Versus Occidentem. Versus Orientem. Po 4 wiersze łacińskie. *ABoij* *Dantis*. deline. *Falck* *Polon.* sculps.

33—34. *Brama* tryumfalna na wjazd do Gdańska królowej Maryi Ludwiki 1646 r., wystawiona z rysunku *Adolfa Boy*, na której odmalowane czyny Herkulesa w 6iu obrazach. Za *A. Boyem* sztychował *J. Falck*. Dwie ryciny fol.

35. *Porta honoris* quam Serenissimo, Potentissimo, Invictissimo Principi Vladislao VI (sic) Dei Gratia Poloniae Regi etc. etc. etc. Domino suo clementissimo Magno in sua Prussia hospiti erexit et obtulit Andreas Scato Gedani A. D. 1646. *J. Falck* fecit 1646.

U góry w owalu portret Wład. IV, na dwóch słupach herby państwa. Jest w zbiorze drezdeńskim. Taż rycina znajduje się w zbiorze zakładu Ossolińskich we Lwowie, przywiedziona przez J. I. Kraszewskiego, ma tamże niedopatrzony przezemnie podpis: *Georg Foersterne* excudit. Gdyby tak było, to rycina ta należałaby do zbioru wydań Forsterowych.

36. Karta tytułowa do Jana Heweliusza *Selenografia sive Lunae descriptio*, Gedani 1647. *Adolf Boij* delineavit. *J. Falck Polonus* sculpsit.

37. Karta tytułowa do Jana Heweliusza *Machina coelestis* Pars prima, Gedani, 1673. *A. Boy* delineavit. *J. Falck* sculpsit.

Taż sama rycina powtórzona przy drugiej części tego dzieła: Pars posterior r. 1679. Ta rycina przedstawia wizerunki w całych postaciach czterech astronomów: Hipparcha, Ptolomeusza, Kopernika i Tycho Brahe.

38. *Civitatis Gedanensis Porta lapidea ad ingressum Platae longae ab Architecto Abrah. Block anno 1612 exstructa, et octo statuis a Petro Ringeringo sculptii ornata. Anno MDCXLIX. Caspar Gockhellen del. Jerem. Falck sculp.*

39—46. *Ośm posągów z powyższej bramy, przez Piotra Ringeringa rzeźbiarza wykonanych, wyobrażające ośm cnot w postaci niewiast. Je. Falck deline et sculps. P. R. Fol.*

- a) *Prudentia.*
- b) *Pietas.*
- c) *Justitia.*
- d) *Concordia.*
- e) *Pax.*
- f) *Libertas.*
- g) *Ubertas.*
- h) *Fama.*

Pod każdą dwuwiersz łaciński i niemiecki.

47—72. *Libellus novus elementorum Latinorum cum aeneis picturis usui Aurifabrorum inservientib. Invenit et edidit Joh. Christian Bierpfaf S. R. M. Pol. et Suec. Aurifaber Aulicus nunc Civis Thorunen. Sculpsit Jeremias Falck Hamburgi.—Spectabili et ingeniosis viro Dn. Andrea Makensen Civi et Aurifabro Gedanensi Amico suo observanter colendo dedicat autor 4.*

Rycin 26, przedstawiające wzory dla złotników, oznaczone *I. C. B. in I. F. sculp.* Dzieło dziś bardzo rzadkie.

73. *La bibliothèque d'un Polonais.* Wśród księgozbioru pan Polski, przed nim postać cudzoziemska. Avant lettre znajduje się w zbiorze Drezdeńskim. Zdaje się być kartą tytułową do jakiegoś dzieła.

74. *Kobieta z koroną w ręku i księgą na kolanach, siedząca na postumencie; poniżej dwoje dzieci.* Spodem zdanie po niemiecku z Tymoteusza. *Boij inv. Falck scu.* Jest to zdaje się rycina do jakiegoś dzieła.

75. Karta tytułowa do dzieła: Andr. Max. *Fredro Monita Politicomoralia Dantisci in Bibliopolio Foersteriano. 1664. A. B.—I. F.* Z rysunku *Boja*, rycina *Falcka.*

76. W. Sejdel *Nachr. ueber Danziger Kupferstecher* (w *Neue Preuss. Prov. Blaetter III, 166*) utrzymuje, że *Falck* w Gdańsku sztychował także za malarzem tamecz-

nym *M. Thiel*; lecz nie przywodzi żadnego z owych sztychów, a nam téż wcale znane nie są.

77. Karta tytułowa do dzieła: *Georgii Ducis in Ossolin S. R. J. Principis, Comitis a Tenczyn Ossoliński Supremi Reg. Pol. Cancellarii Orationes....* Dantisci sumpt. G. Försteri Bibl. reg. A. 1647. Prześliczna ta rycina, lubo nie ma podpisu *Falcka*, nie bezzasadnie jemu przypisaną być może. Pierwiastkowo wystawiony był na niej Ossoliński w postawie klęczącej z pochyłoną głową. Artysta, na żądanie zapewne samego Ossolińskiego, przerobił główną postać posła, wyobrażając go stojącym. Pierwotne exemplarze musiały być poniszczone, albo w małej ilości odbite; ztąd téż są arcy-rzadkie. Drugie są pospolitsze.

### III.

Ryciny szwedzkie i duńskie z lat 1649—1654, i późniejsze do r. 1662 w Hamburgu wykonane. (Wszystkie portrety owalne).

1. *Serenissimo et celsissimo Principi ac Dno. Dno. Carolo Gustavo, Comiti Palatino ad Rhe. in Bav. Jul. Cli. et Mont. Duci, Comiti Veldent Spanh. Marcae et Ravensb. Dno. in Ravenst. Sae. Rae. Mtis. Regnorq. Sueciae Praefecto exercituum armorq. per Germaniam Generalissimo, Dno. suo Clementissimo hanc suae Serenitatis effigiem coelo exsculptam, dedicat consecratq. Suae serenitati obsequentissime devotus J. Falckius. D. Beck pinx. J. Falck sculp. et excu. Cum priv. R. S. Stockholmiae 1649.*

2. *Cristina Regina. D. Beck pinx. J. Falck sculp. et excu. cum priv. R. S. Stockholmiae 1649.*

3. *Illustrissimo et generosissimo Dno. Dno. Magno Gabrieli de la Gardie Comiti in Leckoo et Arensburg L. B. in Echolm, Dynastae, in Habsal etc. S. R. M. Regnorq. Sueciae Senatori Gubernatori Generali Livoniae Dno. meo gratissimo humiliter offert dedicatq. J. Falckius. D. Beck pinx. J. Falck sculp. et excu. cum priv. R. S. Stockholmiae 1649.*

4. *Lovys de Geer.—D. Beck pinx.—J. Falck sculp. Stockholmiae 1649.*

5. Perillustri ac generosissimo Dno. Dno. *Leonhardo Torstenstonio*, Comiti in Ortala, L. B. in Wirista, Dno in Forstena Redsta et Rasigk, et S<sup>tae</sup> R<sup>ae</sup> M<sup>tis</sup> Regnorq. Sueciae Senatori, Campi Mareschallo ac. Vest. Goth. Dal. Werm. Hallandiaeq. Gubernatori Generali, Dno. suo Benignissimo, hanc S<sup>an</sup> E<sup>xo</sup> effigem coelo exsculptam, dedicat consecratq ejusdem Exc.<sup>tiae</sup> humilis cliens *J. Falckius*.—*D. Beck* pinx. *J. Falck* sculp. et excu. cum priv. R. S. 1649.

6. Perillustri et generosissimo Dno. Dno. *Sewedh Bo-ot* Libero Baroni in Herrclunda, Dno in Skaersholm et Myröö etc. S. R. M. Regnorq. Suetiae Senatori et Camerae Consiliario, Dno suo gratiosissimo hanc suae Excell.<sup>ae</sup> effigiem coelo exsculptam dicat, dedicat, consecratq *J. Falck*. *A. Cooper* pinx *J. Falck*. sculp. cum priv. R. S. Stockholm 1650.

7. Tenze z podpisem szwedzkim: Friherre *Sewedh Both* Sweriges Rikcs Radh och Camaradh.—*A. Cooper* pinx. *J. Falck* scupl. cum priv. R. S. Stockholm 1650.

8. Perillustri et generosissimo Dno. Dno. *Gabrieli B. F. Oxensterna* L. Baroni in Mörby et Lindholmen, Dno in Rosenbergh etc. S. R. M. Regnorq Sueciae Senatori et Thesaurario Magno, Wermlandiae Judici provinciali, Dno suo gratiosissimo hanc suae Excell.<sup>ae</sup> effigiem coelo exsculptam dicat dedicat consecratq *J. Falck*.—*D. Beck*. pinx.—*J. Falck* sculp. et excu. cum priv. R. S. Stockholmiae 1650.

9. Illustri ac Generoso Domino Dno *Ruperto Duglasio* S. R. M. Sueciae Militiae equestris Generali et Assessori Collegii Militaris Holmensis, Libero Baroni Haereditario in Haittinham, Dno in Schälbbii, Zeven et Hochsälten etc. Dno suo gratioso dedicat et offert *Je. Falck* S. R. M. Chalcographus. *D. B.* pin. *I. F.* sculp. et excu. cum priv. R. S. Stockholmiae 1651.

10. Excellentissimus ac generosy Dny. Dny. *Hammerstein* S. R. M. Regnorq. Sueciae Excubia. equestrium Praefecty Generalis etc. etc. *D. Beck* pin. *J. Falck* sculp. et excud. cum priv. R. S. Stockholmiae 1651.

11. Perillustri ac generosissimo Dno. Dno. *Gustavo Horn*, Comiti Biörneburgi, B. in Marienburgh, Dno in Herring et Malla etc. S. R. M. Regnorq. Sueciae Senatori et Campi Mareschallo, Finlandiae Australis Judici Provinciali

Equiti Aurato, Dno suo benignissimo hanc ejus Excell<sup>tae</sup>. effigiem coelo a se exsculptam humiliter offert dicat dedicatq<sub>n</sub> *Je. Falck* S. R. M. Sueciae Chalcographus. *D. Beck* pin. cum priv. R. S. Stockholmiae 1651.

12. Perillustri ac generosissimo Dno. Dno. *Johani Christophoro de Konigsmarck* Comiti de Westerwick et Stegehalm, Dno in Rodenburgh et Neuhaus, S. R. M. Regnorumq<sub>n</sub> Suediae Senatori, Campi Mareschalli Locumtinenti et Ducatum Bremensis et Verdensis Gubernatori, Dno suo gratiosissimo dedicat et offert *Je. Falck* S. R. M. Chalcographus. *D. Beck* pin. *J. Falck* sculp. et excu. cum priu. R. S. Stockholmiae. 1651.

13. Illustri ac generoso Dno. Dno. *Axelio Lillio* Libero Baroni in Kijdes, Hereditario in Löfska, Lötz et Ottersberg etc. S. R. M. Regnorq. Sueciae Senatori, Militiae equestris in Germania quondam Generali, Gubernatori in Pomerania, Misnia, Lipsia et Pleissenburg, nunc vero Consiliario bellico meritissimo Dno suo gratioso dedicat et offert *J. Falck* S. R. M. Chalcographus. *D. B.* pin. *J. F.* sculp. et excu. cum priu. R. S. Stockholmiae. 1651.

14. Perillustri ac Generosissimo Dno. Dno. *Arfivedo Wittenberg* Comiti in Neuburg, Libero Baroni in Loimejocki, Dno. in Yltis ac Yllestadh S. R. M. Regnorq. Sueciae Senatori Tormentorq. Bellicor. Praefecto Generali Dno. suo gratioso offert ac dedicat *J. Falck* S. R. M. Chalcographus. *D. B.* pin. *J. F.* sculp. et excu. cum priu. R. S. Stockholmiae. 1651.

15. Taz sama rycina, ale z odmianą w podpisie: Illustri et generoso Dno. Dno. *Arfrido Wittenberg* Libero Barono in Loimejocki, Dno. in Yltis ac Yllestadh, S. R. M. Regnorq. Sueciae Senatori, Tormentor. Bellicor. Praefecto Generali, ac Consiliario Bellico, Dno. suo gratioso offert ac dedicat *J. Falck* S. R. M. Chalcographus. *D. B.* pin. *J. F.* sculp. et excu. cum priu. R. S. Stockholmiae. 1651.

16. Illustrissimus et excellentissimus Heros Dno. *Jacobi de la Gardie* Comes de Locköö, Baro in Eckholmen, Dom. in Hopsal, Daghöön, Kolka, Kidha, Runsa et Arnöö etc. Eques Auratus etc. R. M. Regnorumq. Sueciae quondam Senator, Marseus et Generalis Campi Ductor, Regii Militaris Collegij Praeses et Judex Provincialis Uplandiae. *J. Falck* sculp. et excu. cum priu. R. S. Stockholmiae. 1652.



17. Perillustri ac generosissimo Dno. Dno. *Axelio Oxenstierna* Comiti Moreae Australis, Libero Baroni in Kijmitho, Dno. in Fiholm et Tydoen, Equiti Aurato, S. R. M. Regnorumq<sub>n</sub> Sueciae Senatori et Cancellario, nec non Judici Provinciali Norlandiarum Occidentalium, etc. etc. Dno. suo gratiosissimo hanc S<sup>ae</sup> Exc<sup>ae</sup> effigiem coelo exsculptam dicat dedicat consecratq<sub>ue</sub> *Je. Falck* S. R. M. Sueciae Chalco-graphus. *D. B.* pin. *J. F.* sculp. et excu. cum priv. R. S. Stockholmiae, 1652.

18. *Christina Regina Sueciae.* *D. Beck.* pin. *J. Falck* sculp. et excu. cum priv. R. S. Stockholmiae 1653. Spodem wiersze łacińskie: Christina arctorum sydus...

Odmienny od poprzedniego z r. 1649.

19. *Taż* w postaci *Minerwy*, czyli *Pallady* z palmą i sową na książkach. 6<sup>o</sup> wiersz: Pingere Suecorum numen... Sacrae Regiae Majestati Sueciae humillimo ac devotissimo animo offertur, dedicaturq<sub>ue</sub> à *M. le Blon.*—*J. Falck* sculp. et excu. cum priv. R. S.

Ta rycina jako publikacya *le Blon*, należy téż do kolekcji paryżkiej, lubo z czasu po odjeździe z tego miasta *Falcka*.

20. Serenissimo et potentissimo Principi ac Dno. Dno. *Carolo Gustavo* D. G. Suec. Goth. Vand. Regi, Magno Principi Finl. Duci Esth. Car. Bre. Ver. Stet. Pom. Cas. et Vand. Principi Rug. Dno. Ingr. et Wism. Nec non Com. Pal. Rheni. Bav. Jul. Cliv. et Mont. Duci, hanc Suae Reg<sup>ae</sup> May<sup>tis</sup> effigiem humilli: offert D. D. consecratq<sub>ue</sub>. R<sup>ae</sup> Maj<sup>tis</sup> humillimus et devotissimus *Falck.* 1654.

W pysznój ramie liściastój.

21. Perillustris et generosissimus heros, Dominus *Pontus de la Gardie* L. B. in Eckholm, Dijnasta in Koleka et Sundbij, Eques Auratus Exercitus Suetici Capitaneus Generalis, et Supremus Livoniae Gubernator. *J. F.* 1654.

22. Serenissimo et potentissimo Principi ac Domino Dno. *Friderico III Daniæ, Norwegiae, Gothorum, Wandalarumq<sub>ue</sub>* Regi, Duci Slesuici, Holsatiae, Stormariae et Ditmarsiae, Comiti in Oldenburg et Delmenhorst hanc sua Reg. May. effigiem humill. offert D. D. consecratq<sub>ue</sub>. R<sup>ae</sup> M<sup>tis</sup> humillimus et devotissimus *Je. Falck.*—*Je. Falck* R. S. Chalco-graphus sculp. et excu. Hamburgi. 1656.

W pośród wieńca liściastego owalnego.

23. Serenissimus et celsissimus Princeps ac Dominus Dn. *Friderecus Haeres Norvegiae*, Dux Slesvici, Holsatiae, Stormarcae, Dithmarsiae, Comes in Oldenburg in Delmenhorst. *J. Falck* s. Czterowiersz: *Fridericus Princeps* quo non clementior alter....

24. *Hans Schack. Van Mander* pinx. *J. Falck* sculp. 1662. Czterowiersz łaciński i niemiecki.

*Karol van Mander* był malarzem nadwornym duńskim, a *Schack* generałem duńskim.

25. Napis dokoła popiersia: *Johannes Thuringus de Wallich* Vinaria Thuringus S<sup>ae</sup> Reg<sup>ae</sup> Maj<sup>tis</sup> Sueciae Secretarius CIOIOLXII. *G. Dittmaers* pin. *J. Falck* sc. Spodem 12<sup>o</sup> wiersz: *Hos vultus haec laetae*....

26. Serenissimo ac celsissimo Principi ac Dno. Dno. *Adolpho Johanni* Comiti Palatino ad Rhe. in Bav. Jul. Cli. et Mont. Duci, Comiti Veldent. Spanh. Marcae et Ravansb. Dno. in Ravenst. S. R. M. Regnorumq. Sueciae Praefecto Camerae ac Vent. Goth. Dal. Werm. Hallandiae. Gubernatori Generali, Dno. suo clementissimo hanc Suae Serenitatis effigiem coelo exsculptam dedicat consecratq. Suae Serenitati obsequētissime devotus *J. Falck*.

Brat króla szwedzkiego *Karola Gustawa*.

27. Tenże. *Joh. Adolphus* Comes Palatinus. *D. Beck* pinx.

28. *Comes de Arnsburg. Beck.* pin. *J. Falck*.

Tę ryciny nie widziałem; być może, że to jest ten sam wizerunek *Gabryela de la Gardie*, który przytoczony był wyżej. Zostaje wątpliwość do sprawdzenia.

29. Illustrissimo Domino Dno. *Petro Brahe*, Comiti in Wisingsborg, L. B. in Caiana, Dno. in Rijdboholm, Lindholm, Brahelinda et Bogsand, R. S. Senatori Drotzeto, Judicii Regii Summo Praesidi, Legifero Wesmanniae, Montanorum ac Dalekariae, nec non Magni Finlandiae cum Orientali Botnia et Alandia, Generali Gubernatori humiliter dicat, dedicat, consecratq. *J. Falck*.

30. *Ticho Brahe*, Astronom. Non habere sedesse.

Sztychowany w Hamburgu.

31. Illustrissimo et excellentissimo Dno Dno *Carolo Gustavo Wrangelio* Comiti in Salmis, L. B. de Lindenb. g,

Domino in Schorkloster, Bremerkerdae, Wrangelsburg, Spicker et Restorp, S. R. M. Regniq Sueciae Senatori, Campi. Mareschallo, nec non Status Maritimi ut et Classis totius Regni Vice Ammiralio, Dno suo clementi officiosissime offert et d. *Jeremias Falck*.—*D. Kloeker* pinx.

Portret konny, sztandary, wojsko. Jest w Paryżu w bibl. cesarskiej.

32. *Prince Contrand Duc de Mechelburg*.—*D. Cloecker* pinx. (Catal. de Winckler III, 333).

33. Nie nazwany wizerunek *Karola XI króla Szwedzkiego*.—*D. Kloecker von Ehrenstrahl* p. *J. Falck* (R. Weigel, Kunstkatalog XXIV, 55 Nr. 18,951).

34. *Molier*.—*J. Falck* scu.—*D. Cloecker* pin.

Tak oznaczona rycina w jednym ze zbiorów paryzkich; jednak jest to dla nas rzeczą wątpliwą, żeby to był wizerunek Moliera.

*David Kloecker von Ehrenstrahl* szwedzki nadworny malarz. Powiada Nagler VII, 65, że za nim sztychował między innymi także *J. Falck*. Być może, iż jest i więcej wizerunków tego malarza, sztychowanych przez naszego artystę.

35. Karta tytułowa z napisem: Koeniglichen Schwedischen in Teutschland gefuihrten in Kriegs—Ander Theil. Stockholm betruckt und verlegt durch Johannem Janssonum Regium Typogr. 1653.—*Bourdon* deline. *Falck* sculpsit.

Gustaw Adolf w obłokach na orle podaje maczugę Krystynie. Geniusz sławy ryje napis.

#### IV.

*Sztychy wykonane w Holandyi i Hamburgu,  
z lat 1655—1663.*

Portrety:

1. *Hugo Eberhardus Cratz*.

2. *Joannes Mueller* SS. Theol. D. R. Ministerii Senior Ecclesiae Petro-Paulanae Pastor Schol. Inspector Hamburgi An. Chr. MDCLVI aetatis 59 (napis dokoła owalu).—

*G. Dittmaers* pin. *J. Falck* sculp. 4<sup>o</sup> wiersz Ostermana: Quem cathedrae saxo...

3. *Christianus Woldenbergius* Doctor Philos. Crempa Holsatus. *F. de Neijs* del. *J. Falck* fe. Hamburgi 1657.

4. *Adrianus Spigelius* Bruxellensis, Eques D. Marci, in Gymnasio Patavino Anatomiae et Chirurgiae Professor Primarius aetat XLVI (napis wkoło owalu). *J. Falck* f. 12<sup>o</sup> wiersz: Quem terris Bruxella.....

5. *Die Herzogin von Massavia*. Pani *Gwinn* nałożnica Karola II, króla angielskiego; siedząca. Z obrazu *Piotra von der Fees*, zwanego *Peter Lely*. (Przywodzi *J. C. Schultz*, Ueber altert. Gegen. in Danzig 1841 str. 56).

6. *Joannes Tristanus* Dominus a Sancto Amante et Putei Amoris. *Jeremias Falck* fecit.

7. *M. Harticus Wichelmanus* Lunaeburgensis Philosophus insignis, aetatis suae 35. *P. Westphahl* pinx. — *J. Falck* Polonus sculp. Dwuwiersz francuzki.

Jeden z najpiękniejszych *Falcka*. *Filip Westphal* malarz Krolewiecki.

8. *Ulrichus Wolicius* (Wolich). Arkusz mały.

Obrazy mistrzów włoskich, flamandzkich i t. p.

Ryciny z galerji *Gerarda Reynst*, zbioru zwanego *le Cabinet de Reynst* (z lat 1655—1663).

*Gerard Reynst*, jak to powszechnie wiadomo, burmistrz amsterdamski, był posiadaczem tamże bardzo znakomitej galerji. Zamierzył ogłosić ją w sztychach, a do tego użył kilku biegłych rytowników, między którymi obecnego wtedy w Amsterdamie *Falcka*. Już od r. 1655 pracował *Falck* czynnie do tej publikacyi, która i po nastąpionėj śmierci samego *Reynsta* przez jego wdowę posuwana dalej była, a najwięcej rycin wykonywał *Falck*. Zbiór ten otrzymał tytuł:

Variarum imaginum a celeberrimis artificibus pictarum caelaturae, elegantissimis tabulis repraesentatae. Ipsae picturae partim extant apud viduam *Gerardi Reynst*, quondam hujus urbis Senatoris et Scabini, partim *Carolo II Britanniarum Regi* a Potentissimis *Hollandiae Westfrisiaeque* ordinibus dono missae sunt. Amstelodami.

Wiadomość szczegółową o tej publikacyi przekazał *Heinecke*, w dziele: *Jdée générale d'une collection complet-*

te d'estempez. Leipsig et Vienne 1771, str. 82 i dalsze. Powiada, że było w niej rycin z obrazów sztuk 33. Na nie-szczęście ta kollekcya czyli gabinet Reynsta, nigdzie dziś podobno w zupełności nie znajduje się dochowany. W zbiorze rycin drezdeńskim jest on z kartą tytułową, lecz nie całkowity; w zbiorze berlińskim jest exemplarz przedtém Naglera rycin 34 obejmujący. Gdzieindziej równie nie zdarzyło mi się widzieć go w stanie niewątpliwego kompletu, zwłaszcza, że dzieło samo nie miało swego spisu. Ztąd nie można téż dziś z pewnością powiedzieć, wiele i które ryciny do tego zbioru wykonał nasz rytownik *Falck*. Różni rozmaicie je przytaczają: A. Hagen twierdzi, że ich było 15; widocznie było ich więcéj. Jakkolwiek bądź, w takiej wątpliwości, upewnienie się czyli ta lub owa rycina *Falcka* należała rzeczywiście do zbioru gabinetu Reynsta, mniej jest dla nas ważne; dość że wiemy, iż jest jego dziełem, i za którym malarzem wykonana. Przytaczamy tu z kolei wszystkie te jego sztychy, do gabinetu Reynsta z pewnością, czy nawet wątpliwie przypadające.

1. *Giac. Bassano*.—*Chrystus upadający pod krzyżem* (w zbiorze rycin drezdeńskim).

2. *Abr. Bloemaert*.—*Jan chrzciciel każe na puszczy do ludu*.—*Bloemert* pinx. *J. Falck* Polonus 1661.

Naczelne dzieło *Falcka*; u mnie exemplarz *avant la lettre*.

3. *Michel Angelo Amerigi da Caravaggio*.—*Cyklopy w kuźni*. Czterech ludzi nagich kujących na kowadle; na ziemi pancerz i hełm. *Migelangelo de Caravagio* inventor. *J. Falck* Polonus sculp.

4. *Antoni van Dyck*.—*Ukrzyżowanie Chrystusa*.

5. *J. Fr. Barbieri, il Guercino da Cento*.—*Semiramis otrzymuje wiadomość o wybuchu buntu w Babilonie*. *Guercin del Sento* pinx. *J. Falck* sculp. *F. de Wit* excud.

U mnie dwa exemplarze, z których jeden *avant la lettre*.

6. *Tenże*.—*Estera i Mardocheusz*.

7. *Tenże*.—*Koncert z 4 osób; pół-postacie* (M. Huber, *Notices* str. 404; Nagler). Inni przypisują obraz malarzowi *Giorgio Barbarelli Giorgione* (F. Faber, *Convers. Lex* V, 101; R. Weigel XIII, 40).

8. *Jakób Jordaens.*—*Satyr z koszem owoców, obok Ceres i inna postać niewieścia.*

9. *Jan Lys.*—*Zgromadzenie osób obojęd płci, obraz zwany zwykle Bordel.*

10. *Tenże.*—*Mężczyzna i niewiasta śpiewający czy śmiejący się. Młodzieniec dzwoni nożem wszczypce komi-nowe.*—*J. Falck Polonus.*

11. *Tenże.*—*Stara zalotnica przy gotowalni, dwie służki.*

12. *Tenże.*—*Narodzenie Chrystusa.*

13. *Giacopo Palma il Vecchio.*—*S. Rodzina przyjmuje ofiary, czyli ubóstwienie Magów i pasterzy.*

U mnie 2 exemplarze, z których jeden avant la lettre.

14. *Guido Reni.*—*Pictoria ars. Niewiasta siedząca z paletką w ręku, wienńczona przez Amorka.*

Jest u mnie w dwóch exemplarzach, z tych jeden avant la lettre.

15. *Andrea Vannuchi del Sarto.*—*Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus i ś. Anną. Podług innych Rafael albo Giulio Romano.*

U mnie azoant la lettre.

16. *Andrea Schiavone.*—*Chrystus krzyż niosący.*

17. *Tenże.*—*Okazanie Chrystusa dzieciątko w świątyni (w gabinecie drezdeńskim).*

18. *J. Tintoretto.*—*Esau sprzedaje pierworodzstwo Jakobowi.*—*J. Tintoretto pinx. J. Falck Polonus sculp. 1663.*

19. *Tenże.*—*Strzelec z zajęcem, obok dwie postacie; oświetlenie księżycą.*

20. *Titiano Vecelli.*—*Nawiedzenie pasterzy (w gabinecie drezdeńskim).*

Inne ryciny.

1. *Mikołaj Berghem.*—*America.*—*J. Falck sculp.*

Heineke Dict. des artistes II, 520 powiada, że ta rycina jest przedtytułową, frontispice do jakiegoś dzieła. Arkusz wielki.

2—5. *Tenże.*—*Cztery części świata. W postaciach ludzkich, ozdobione zwierzętami. Cztery ryciny fol.*

W spisie rycin za M. Berghemem wykonanych u Heinekena widzimy, że do atlantów i mapp robił rysunki części świata w postaciach ludzkich. Podwyższe także pewno z jego pomysłów są sztychowane.

6. *Sebastyan Bourdon*.—Bruillot Dict. des Monogr. II, 188 utrzymuje, że *Falck* za nim sztychował; tak samo przed nim twierdził Fuessli str. 226, tudzież Bazan I, 208. Nie znamy tych robót.

7. *J. Jordanes*.—*Stara zalotnica przed zwierciadłem z różą w rękę, otoczona służebnemi*. 4<sup>o</sup> wiersz holenderski: Ilet deugt saem....

8. *Jan de Lys*.—*Wizya S. Piotra*. *Johannes Lis pinxit. Nicol. Vischer excud. Cum privilegio Ordinum Hollandiae et Westfrisiae*.

Napis: Petrus in mentis excessu....

*N. Visscher* nakładca, Kunsthändler. U mnie dwa exemplarze, jeden z nich avant la lettre.

9. *Tenże*.—*Wizya S. Pawła*. Odpowiedni tamtemu, pendant.

U mnie avant la lettre.

W gabinecie drezdeńskim te dwie ryciny włączone do gabinetu Reynsta, lecz zdaje nam się błędnie. Gw. Pawlikowski mówi o dwóch rycinach odmiennych: *S. Piotra* podług *Van Lys*, przez *Falcka*; atoli myli się w tém, biorąc tamtą *S. Pawła* za drugą *S. Piotra*.

10. *Piotr Van Mol*. F. Bazan Dict. des graveurs I, 208, a za nim Fuessli str. 226 utrzymują, że z obrazów *Mola* sztychował *J. Falck*. Rycin tych jednak nie znamy.

11. *Erazm Quellinus*.—*Minerwa czyli Pallas z dzidą i tarczą*. *Je. Falck sculp. aqua fort. 1656*. Jedyna tego rodzaju jego praca.

12. *Eneas Salmeggia il Talpino di Bergamo*.—*Ś. Jan mający napawać baranka*. 4<sup>o</sup> wiersz: Hinc fons inde Agnus.... *Eneas Salmatia Bergo. inven. Arkusz mały na poprzek*.

Ta rycina bez podpisu, przypisywana jest *Falckowi*.

13—15. *Joachim von Sandrart*. Z zbioru 12 miesięcy w 12 obrazach, dwa są *Falcka*:

a). *Januarius*. Starzec w futro odziany, grzejący się przy kominie. 8<sup>o</sup> wiersz C. Barlaeusa: Janus adest.... *Joachimus Sandrart pinx. et excudit Amstel. Jer. Falck sculpsit*.

Na exemplarzu moim dodatek: zu finden in Nürnberg bei Funcken sel. Sohn.

b). *Martius*. Rybak z fajką w ustach i w prawej ręce, lewa w zanadrzu. 8° wiersz: *Martius hic... Joachimus Sandrart pinx. et excudit Amstel. Jer. Falck sculpsit.*

Na moim exemplarzu wypuszczone słowa: *et excudit Amstel*. Jest ta sama rycina, ale odwrócona, z napisem: *Gerard Valck*. Może naśladował z *Jer. Falcka*. Tych wszakże dwóch rytowników za jedno brać i z sobą mieszać nie należy, a pracowali oba prawie współcześnie.

16. *Tenże*.—*Dies*. Młodzieniec z kwiatami. 8° wiersz: *Pulchra dies... Joah. Sandrart. Jer. Falck.*

17. *Tenże*.—*Taż rycina*; w większym nieco rozmiarze. *Joachimus Sandrart pinxit. Jer. Falck sculpsit.*

Nagler, a za nim Kraszewski, mylą się mówiąc: że Falck sztychował Noc Sandrarta, pendant rycina Dnia; właśnie odwrotnie.

18. *Tiziano Vecelli*.—*Chrzest Chrystusa*. *Titian pinxit*. Arkusz wielki. Tę rycinę przypisują Falckowi; jest w moim zbiorze.

19. *Paulo Cagliari Veroneze*.—*Narodzenie Chrystusa*. *P. Cagliari pinx. J. Falck sculp.*

20. *Tenże*.—*Chrystus upadający pod krzyżem*. *P. Veronees pinx. J. Falck sculpsit. F. de Witt excudit.*

21. *Flora*, kobieta z głową uwieńczoną w kwiaty. *J. Falck sculp. A. Bloeteling excud.*

22—25. *Czterej ewangelisci*. Pół-postacie, 4°.

26—43. *Aufzug etzlicher Amazonischen Heldinen*. 1655. *J. Falck excudit Hamburgi*. 16°.

18 małych rycinek.

44—62. *Diverses exercices de Cavalerie*; a *Hambourg chez J. Falck*. 16°. Bez roku.

19 małych rycinek.

Dwa te niezmiernie rzadkie dziełka, znajdują się w prywatnym zbiorze A. C. w Paryżu. W obu rysunek i rylec ten sam, a rycinki tak są do siebie podobne, że tylko długością stroju kobiet rozróżnić można oba zbiory. Na każdej rycinie dwie lub trzy osoby zbrojne na koniach.

63—78. *Novae et exquisitae Florum Icones* hujus generis artium cultoribus perutiles maxima cura delineatae et tabulis aeneis incisae per *Jeremiam Falck*. *Hamburgi An.*



1662. T. Amsterdam gedruckt bij *Fredrick De Wit* in der Kalverstraet bij den Dam in de Witte paskaert.

W zbiorze prywatnym w Paryżu X. W. C. znajdują się z tego dzieła 4 ryciny, oznaczone liczbami 1, 8, 11, 13. W zbiorze drezdeńskim jest z tytułem sztuk 16. Może w całości dzieła jest ich więcej.

79—94. *Verscheyde nieuwe Tulipen en andere Bloemen.* Gedruckt tot Amsterdam, by *Frederick de Widt*, inde Culverstraet by den Dam, inde Witte Pas Cuert.

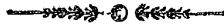
Bez roku i podpisu sztycharza. 16 rycin przeslicznych 8°, z kartą tytułową, numerowanych 1—16. Są w zbiorze moim, a uchodzą za roboty *J. Falcka*, czego prawdopodobieństwo poświadcza dzieło poprzednie, takż w Amsterdamie przez Fryd. de Witt wydane.

Ogólne zebranie znanych obecnie dzieł rytowniczych *Jeremiasza Falcka*.

Sztychy paryzkie z lat 1641—1646. . . . .	83
„ gdańskie polskie od r. 1647—1663 . . . .	77
„ szwedzkie i duńskie od r. 1649—1662. . .	35
„ w Holandyi i Hambur. z lat 1655—1663	122

---

razem sztuk 317.



# KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

Rzeźbiarstwo na wystawie: Cromwell, studium historyczne pana Renée.—Oreste, dramat Dumasa przerobiony z greckiego. — „Obiaduję z matką”; noworoczna elegia teatru Gymnase.—Korsarz, balet w trzech aktach.

Sztuka rzeźbiarska, owoc naturalny cywilizacji pogańskiej, który dojrzał swobodnie pod szafirowym niebem Grecji, za naszych czasów jest egzotyczną rośliną, hodowaną starannie w gorącej szklarni, często wątłą i chorą mimo gorliwej pieczy. Ogólne to spostrzeżenie nie znaczy bynajmniej, że dziś już nie ma genialnych rzeźbiarzy, ale stosuje się jedynie do samej sztuki:—stwierdza fakt dowiedziony wystawą powszechną.

Pierwszym warunkiem rzeźby jest nagość. Tu nam zarzuci kto zapewne, że istnieją bardzo piękne statuy, całkowicie draperyą zakryte. Zarzut ten nie zbija wcale powyższego twierdzenia: draperya powiewa wkoło ciała, jak forma około ideału, przyklejając się doń miejscami, miejscami spływając w lekkich fałdach i uwydatniając kształty, które niby zakrywa: jestto komentarz, który idzie krok w krok za tekstem i tłumaczy go, igraszka dmuchającego wietrzyka, akompaniament pieśni, wszystko, co kto chce, byle nie ubiór, bo nic mniej niepodobne do rzeczywistego ubioru jak draperya wedle pojęcia starożytnych. Nagość jest pierwszym warunkiem rzeźby dlatego, że najdoskonalszą formą jaką człowiek pojąć może, są jego własne kształty. Wyobraźnia ludzka dalej nie sięga; oddanie ludzkiego ciała wolnego od wszelkiej wady i skazy, stanowi ideał

piękności. Greckie i rzymskie bogi chcąc być widzialni, w ludzką wcielali się formę, karraryjskim marmurom poruczając swą ziemską nieśmiertelność.

Obyczaje ówczesne sprzyjały postępowi sztuki rzeźbiarskiej: łaźnie, gimnastyka, cyrki i obchody publiczne, dostarczały nieustannie czystych wzorów artyście; piękność, jako *expressya* ideału, zajmowała wszystkich myślicieli. Platon w sławnej definicyi nazwał *piękno: splendorem prawdy*.

Ciało raz uznane za formę ideału, szlachetniało co dzień pod dłutem artysty; każda poza była oddawana wedle praw wyrezonowanej estetyki, każde bóstwo, każdy bohater otrzymał swój typ właściwy, i zaczęto wykuwać owe białe marmurowe poemata, których oderwane strofy dobyte z ziemi przypadkiem, dodziśdnia są podziwem sztukmistrzów i wzorem dla artystów.

Pierwotni chrześcianie mając w świeżej pamięci orgie rzymskie, czuli mimowolny wstręt i pogardę dla rzeźby; w arcydziełach Fidiasa, Praxitelesa, Lysippa i Myrona, widzieli tylko pogańskie bałwany: w tych posągach chociaż uduchownionych do najwyższego stopnia, jeszcze raziło ich ciało. Ludzie ci potężni, co nieubłaganą walkę wydali materji, co ją w sobie nieustannie dręczyli postami i wszelką męczarnią, nie pojmowali dziecinnego spokoju artysty, który w najpowabniejszej formie widzi tylko sposób uwidomienia poczętego w duszy ideału. Starożytne rzeźby wzgardzone od tych mężów, co żyli wyłącznie jedną myślą najwyższą; pokruszone maczugą dziczy, płynącej z Północy, runęły i zaginęły prawie, przysypane kurzawą wieków. Aż zwrot epoki odrodzenia do pogańskiej formy, wskrzesił je na nowo.

Wprawdzie średniowieczni artyści wykuwali po katedralnych przedsionkach smukłe figurki z pochyloną główką, podobne do kwiatu męki Pańskiej zwieszzonego na wątlęj łodydze, z wyrazem smutnie powabnym jak uśmiech chorego dziecięcia; ale pracowite utwory tych tęskniących za niebem ludzi, nie są wyrazem nieśmiertelnej sztuki.

Dopiero za epoki odrodzenia, niedość głęboko pogrzebana starożytna rzeźba, wstała z grobu i ukazała jeszcze raz światu w słonecznym blasku marmurowe oblicza bogów

Homera, Fidiasa i Wirgiliusza, które na klęczkach kopiował Michał Anioł, Donatello, Benvenuto i inni.

Odtąd tradycya przechowała się święcie, ale rzeźbiarstwo istnieje jako język martwy, np. greczyzna lub łacina, chociaż we Francyi możni wspierają usilnie tę ze wszystkich najsurowszą i najwznioslejszą sztukę. Canova, Bartolini, Pradier, David, niemniej biegle od przodków mówili tym pięknym marmurowym i bronzowym narzeczem; mimo to rzeźbiarstwo nie może się przyjąć pośród cywilizacyi XIX-go wieku. Ciało nie zdjęło z siebie dotąd rzymską rozpustą zasłużonej klątwy, a dzisiejsze nasze ubiory nie nadają się wcale dla dłuta. Czyż można sobie wyobrazić statwę we fraku lub paltocie z kapeluszem na głowie? Rzeczywiste zaś kształty ludzkie zobaczyć dziś można chyba na anatomicznym stole. Nowoczesny rzeźbiarz potrzebuje mieć nadzwyczaj potężną imaginacyą, ażeby zdołał wyobrazić sobie człowieka, więcej zakrytego dzisiaj, jak niegdyś tajemnicza bogini Izis.

Mówią, że Goethe przyszedłszy raz nad jezioro z przyjaciąłem swoim Fryderykiem, dorodnym młodzieńcem, prosił go żeby się rozebrał i chodził tak po brzegu, gdyż chciałby zobaczyć jak wygląda człowiek w swjej rzeczywistej formie, odbijający się na tle pięknego krajobrazu. To nic nie znaczące na pozór zachcenie poety-filozofa jest najlepszą odpowiedzią na pytanie: czemu sztuka rzeźbiarska musi zniknąć powoli. Czyż może zająć kogo reprodukcyja formy nieznaniej?

Powyższe uwagi stosujące się do wszystkich nowożytnych narodów, stosują się mianowicie do Anglików, których surowa religia, nawet obrazy wygnała z kościołów, a rząd żadnej pomocy nie daje artystom; dlatego usiłowania ich podwójnie cenić należy.

Ze wszystkich wystawionych rzeźb, najciekawszą była wierna kopia ateńskiego posągu Minerwy Fidiasa. Statwę tę nadzwyczaj dziwną i kosztowną wykonał z polecenia księcia de Luynés angielski rzeźbiarz Simart, bardzo sumienny i przesiąknięty tradycyą sztuki greckiej artysta. Simart, po specjalnej na ten cel nauce i długich poszukiwaniach, przedstawił Minerwę Parthenonu pomniejszoną do

jednej trzeciej części, czyli do wysokości ośmiu stóp, któryto rozmiar może dać dokładne wyobrażenie o oryginale.

Zanim przystąpimy do dzieła pana Simart, nie zawadzimy opowiedzieć pokrótce historią posągu Minerwy ateńskiej, który słusznie uchodzi za arcydzieło sztuki starożytniej.

Złoto-słoniowe rzeźbiarstwo tak wysoko cenione u starożytnych, że tylko wolny człowiek mógł się trudnić tą sztuką, nie znalazło naśladowców w nowożytnych czasach; mieszanie tych dwóch chociaż tak zgodnych z sobą materii: słoniowej kości ze złotem, razi wzrok nasz, przywykły do śnieżnej białości rzeźby marmurowej. Jakoż, trudno zaprzeczyć, że przekładanie posągów idealnej białości, w których ciało, włosy i draperye nie różnią się kolorem, jest oznaką uszlachcenia gustu, a to zapatrywanie się abstrakcyjne na rzeźbę, dowodzi, że ludzie mniej są cielesni, kiedy nie tylko zdolni pojąć, ale dają pierwszeństwo bezkolorowej piękności. Jednakże Grecy, którym trudno zaprzeczyć gustu, uplastyczniając kształty swych bogów, chętnie miesza li złoto z kością słoniową, architekturę zaś prawie zawsze kolorowali. Parthenon dodziśdnia nosi widoczne ślady czerwonej i niebieskiej farby.

Któryż wędrowiec zwiedzający ruiny pełnej cudów ateńskiej świątyni, którą szanował czas, a piękności nie pozabawiła nawet siekiera barbarzyńców; któryż mówię wędrowiec stąpając po tych szlachetnych marmurach nie dźwigał myślą potrzaskanych kolumn, a z pomocą planu Careya nie odbudowywał wyobraźnią całego gmachu; stanąwszy zaś przed pustą framugą i widząc jeszcze ślady piedestału statuy Fidiasa, nie malował jej sobie, pożyczając kolorów od starożytnych podań, pełnych uwielbienia dla olbrzymiego posągu bogini mądrości?

Dziwnem się wydaje nam, co widzimy kość słoniową tylko w kilku-calowych kawałkach, jak można z niej było kolos wybudować, jak można było do tak wielkiego dzieła użyć materii, która będąc zębem, ma ograniczone przez naturę rozmiary. To też starożytne posągi z kości słoniowej nie były *massif*. Grecy posiadali sztukę rozmiękczenia kości; z tak zmiękczonej wykrawali okrągłej formy deszczułki, któremi jak teraz meble mahoniem, fornirowali z proste-

go drzewa wyciosane statuy, składając z sobą kawałki tak szczelnie, że nigdzie spojenia znać nie było. Tym sposobem mogli robić na pozór z kości słoniowej posągi nieograniczonych rozmiarów: draperye, włosy i ozdoby były ze złotej blachy także na wierzchu przybijane.

Minerwa Fidiasa miała około 37 stóp wysokości, piedestał ośm; przeto ogólna wysokość wynosiła 45 stóp: koniec lancy, którą bogini trzymała w ręku, dotykał prawie sufitu świątyni. Siedzący Jowisz Olimpijski był również olbrzymich rozmiarów. Strabon powiada, że wstawszy byłby głową wybił dziurę w dachu. To uchybienie ogólnej proporcji jest bardzo dziwne u Greków, którzy do najwyższego stopnia posiadali poczucie harmonii kształtów: zapewne było ono umyślne. Olbrzymie formy, bożyszczka miały dowodzić wyższości jego nad człowiekiem

Koszt pokrycia takiego kolosu kością i złotem był ogromny. Fidias zaproponował, żeby ciało Minerwy zrobić z marmuru: ale lud ateński nie chciał słyszeć o takim sknerstwie, zostawiając je sąsiadom jeżeli sobie domowe bogi stawiać zechcą. Zakupiono więc kości i złota. Użyte złoto wynosiło czterdzieści pięć talentów, Perykles, który dobrze znał charakter Ateńczyków, poradził Fidiasowi, żeby części złote przytwierdzał śrubami, celem łatwego odjęcia takowych w razie potrzeby: ostrożność pokazała się zbawienna. Artysta posądzony wkrótce o kradzież przez swych współobywateli, mógł się łatwo usprawiedliwić. Ile kosztowała kość słoniowa, niewiadomo; ale jej cena razem z obrobieniem musiała wynosić tyle co złoto.

Ateńczycy stawiając bogom tak kosztowne posągi, nie schlebiali jedynie próżności swojej: twierdzili słusznie, iż ciepła i przezroczysta białość kości słoniowej lepiej naśladuje ciało niż rażącej białości marmury, a gorący połysk złota przedstawia najwierniej słoneczne draperye, w jakie przystało odziewać bogi. Nie z bogactwa więc, ale z piękności słynął *złoto-słoniowy* posąg Minerwy.

Bogini miała na głowie hełm, na którego grzbiecie, jak powiada Pausanias był Sfinx i dwa smoki; na medalu Aspaziusza, który ma być kopią Minerwy Fidiasa, są nadto dwa Pegazy po obu stronach hełmu, i ośm koni zaprzężonych w poręcz na przyłbicy. Pancierz pokrywał pierś Mi-

nerwy; lancę trzymała w lewej ręce, wspierając ją na złotym puklerzu, który wedle ogólnej proporcji musiał mieć 15, do 18 stóp wysokości. Srodek tarczy wyobrażał walkę bogów z olbrzymami, wojna Amazonek okalała ją wieńcem. Tamto Fidias, któremu zabroniono się podpisać na dziele, umieścił swój portret pod postacią łysego starca, podnoszącego oburącz kamień, i za tę bezbożną śmiałość wtrącony do więzienia, w nim żywot zakończył. Oto zapłata, którą zawistni Ateńczykowie nagrodzili swego sztukmistrza. Ale wróćmy do posągu.

Tunika bogini ułożona w gęste fałdy spadała aż po kostki, odkrywając stopy obute w greckie sandały o kilku podeszwach; podeszwy te zastosowane do wielkości statuy miały szesnaście cali grubości: ponieważ zaś taka przestrzeń gładka psułaby efekt ogólny, artysta ozdobił ją płaskorzeźbą przedstawiającą bitwę Centaurów z Lapithami.

W prawej ręce wyciągniętej na przód, Minerwa trzymała *zwycięstwo*: figurkę na sześć stóp wysoką, skrzydlatą, w złotych draperyach, która z ruchem nieźrównanego wdzięku podawała bogini koronę. Statuetka ta była jakby arcydziełem w arcydziele; starożytni wyczerpali wszystkie przenośnie i porównania na jej pochwały. U stóp Minerwy wił się wąż, symbol nieśmiertelności, po drugiej stronie leżał Sfinx skrzydlaty.

Nie poprzestając na tyłu ozdobach, Fidias wymyślił jeszcze jedną najświetniejszą: ponieważ puste źrenice marmurowych posągów wydawały mu się niestosowne w twarzy bogini mądrości, w miejscu ich przeto wprawił dwa wielkie karbunkuły, których blask słoneczny miał naśladować pełne życia i intelligencji spojrzenie Minerwy. Emaile kolorowe rozrzucone po draperyach dopełniały świetności tego nieźrównanego dzieła.

Co za efekt musiał czynić taki posąg w tej przepysznej świątyni! Najczystsza piękność podniesiona do kolosalnej wielkości, stała się prawie groźna: ideał grecki połączony z egipskim ogromem działając razem na ducha i zmysły, zdolny był poruszyć najzimniejsze ludy, a cóż dopiero ów naród gorący, rozkochany w swém niebie błękitnym i swych białych marmurach. To też jak troskliwie dbali Ateńczycy o konserwacyą tej przepysznej statuy!

Wokoło niej nieustannie polewano wodą posadzkę dla utrzymania wilgoci, potrzebnej do przechowania blasku kości słoniowej; każdego roku w dniu oznaczonym, odejmowano wszystkie ozdoby posągu, czyszczono je, i naprawiano najdrobniejszą skazę. Podczas swjej toalety, bogini bywała starannie zakrywana przed oczyma gminu.

Cóż się stało z Minerwą Fidiasa? Postawiona w Parthenonie trzeciego roku dwudziestej piątej olimpiady, pod rządami Teodora, zabrana została przez chrześcian za panowania Justyniana, i wywieziona zapewne razem z Jowiszem Olimpijskim do Bizancyum na ozdobę hipodromu. Po tém, jak wszystkie arcydzieła starożytne, zaginęła w czasie napływu barbarzyńców. Pauzanasz wspomina, że widział ją w całym blasku pierwotnej piękności po sześciu wiekach istnienia.

Pan Simart wezwawszy w pomoc archeologii, poradziwszy się wszystkich podań i medali, odtworzył w zdrobieniu olbrzymią statwę Minerwy parthenońskiej.

Powyższy opis dzieła Fidiasa, uwalnia nas od szczegółowego rozbioru posągu pana Simart, który jest wierną tamtego kopią; dodam więc tylko, że twarz statuy jego ma wyraz zimnej, pogodnej dumy, bardzo właściwy najczystszej bogini Olimpu; *azurynowe* jęj oczy przypominają przydomek *modro-oka*, który Homer zawsze dodaje atteńskiej Palladzie. Złote zausznicie i naszyjnik z drogich kamieni zdobią jęj szyję; ręce wycięte z dwóch ogromnych zębów słoniowych, wybornie naśladowują przezroczyste ciało niewieście; stopy drobne i lekkie są takie, jakie powinna mieć bogini, co stąpa tylko po niebios błękicie albo po śnieżnych szczytach Olimpu, a tunika z bladego złota godna okrywać jęj wyniosłą postać, wspaniałe rzuca blaski.

Opierając się na podaniu poważnych kronikarzy, pan Simart zamiast Meduzy, wykuł na pancerzu bogini twarz Hekaty z roztwartemi usty, w których cztery kły sterczące są symbolem czterech kwadrów księżyca. Simart równie jak Fidias całą umiejętność swoję wysilił na oddanie statuetki *zwycięztwa*, którą Minerwa trzyma w dłoni; przyznać należy że usiłowania jego najpomysłniejszy uwieńczył skutkiem. *Zwycięztwo* trzepoczące złotemi skrzydełkami jest z idealną wykonane doskonałością.



Piedestał bogini, zawsze wedle Fidiasa, ozdobił pan Simart płaskorzeźbą przedstawiającą urodziny Pandory, wyposażanej przez wszystkie bogi. Piękna ta płaskorzeźba jakby odtrącona z fryzów Parthenonu jest dopełnieniem godnym tak kosztownego pod każdym względem dzieła.

Książę de Luynes, szczęśliwy właściciel posągu Minerwy, która go krocie funtów szterlingów kosztowała i była ozdobą rzeźby angielskiej na wystawie, zakupił także za bajeczną summę najpiękniejsze dzieło rzeźby francuzkiej: *śpiącą Penelopę Caveliera*. Penelopa uwikłana w bogate draperye, schylona nad robotą usypia niemogąc pokonać znużenia, z którym walczyła przez tyle nocy bezsennych. Posąg ten godzien starożytnych czasów zjednał panu Cavelier pochwały wszystkich artystów i dyletantów.

Tenże sam rzeźbiarz wystawił nadto: *Prawdę, Bachantkę igrającą z Panterą i Kornelią*. Rzymska matrona siedzi w starożytnym krześle cisnąc do łona dwoje dzieci, które swemi klejnotami nazwała. Paryżanki niezmiernie chwaliły posąg ale zapytywały, czyby nie można mieć zarazem i dobrze wychowanych dzieci i brylantowych kolczyków.

Być zmuszonym do wykucia z marmuru statuy wielkiego męża w butach i surducie, jest niezawodnie najsmutniejszą ostatecznością, w jakiej się może znajdować rzeźbiarz. Pan Duret wywinał się z niej jako tako, wezwawszy pomocy szerokiego płaszcza, którym zasłonił gdzie tylko można było prozaiczny ubiór Châteaubrianda, przeznaczonego do galeryi wersalskiej. Dzięki temu pomysłowi, posąg ma wiele szlachetności w postawie; nadto wyraz twarzy wzniosły i uderzające podobieństwo, zjednały mu uznanie powszechne.

Nowożytni rzeźbiarze zajmują się prawie wyłącznie reprodukcją kształtów niewieścich; starożytni nietylko kobięcą, ale i mężką piękność umieli idealizować dłutem; ich bożki i bohaterowie mieli kształty niemniej piękne i czystsze jak Venus, gracye i Nimfy. Jeden tylko pan Lequesne przypomniał starożytną mężką piękność w swym *tańczącym Faunie*, który żeby nie świeża data, mógłby bezpiecznie stanąć w rzędzie bóstw mitologicznych, nagromadzonych po rzymskich muzeach. Niepodobna oddać z wię-

kszą sztuką ciała szukającego równowagi na śliskiej pochyłości. Prócz tego, budowa Fauna silna, bez przesady, dowodzi głębokiej znajomości anatomii, chociaż artysta przyjętym obyczajem nie zamienił dłuta swego na skalpel i nie odarł ciała ze skóry dla popisania się z nauką.

Szkoła romantyczna ma niewiele dotąd reprezentantów pomiędzy rzeźbiarzami. Wyjąwszy Dawida, który w tych dniach życie zakończył, Barye, Preaulta, Maindrona i Leche-sna, wszyscy inni pozostali wierni mitologii. Wymarłe dla całego świata bogi Olimpu dla nich są zawsze żywe i zamieszkują w swoich dwunastu złotych pałacach. Od czasów Fidiasa, wedle nich nic nowego nie zaszło. Nie przerywając im przeto olimpijskich kontemplacyj, rzućmy okiem na dzieła romantyków.

Maindron wystawił gipsowy model Velledy, którego oryginał jest w ogrodzie luxemburskim. Posąg kapłanki Druidów zdradza wyraźny bunt przeciw ideałowi starożytnemu, oraz dążenie do zastąpienia typem galickim odwiecznego greckiego typu. Jakoż z tych powodów statua Velledy wywołała żywe dyskusye, i była celem żwawej polemiki pomiędzy stronnikami dawnéj i nowéj piękności. Bronzowy Chrystus na krzyżu, tegoż artysty, dowodzi także, iż się bronił jak mógł mitologii; że nie chciał przedstawić ukrzyżowanego Appolina, ale cierpiącego Boga w ludzkim ciele.

Bronz godzi się wybornie z nowoczesną rzeźbą: oddaje on lepiej niż marmur siłę w delikatnéj robocie, wyraz i życie, które są główném zadaniem dzisiejszych rzeźbiarzy; mianowicie téż nadaje się do reprodukcji, a tém samém przyczynia do rozpowszechnienia dzieł sztuki, co jest podobno główną zasługą bronzu. Dzięki jemu, znakomite dzieła pana Barye rozmnożone na miliony exemplarzy, aczkolwiek nie tanio, sprzedają się u wszystkich bronzowników, i są przystępne nietylko dla milionerów. Rzeczywista wystawa tego znakomitego rzeźbiarza paryzkiego była nie w galerii sztuk pięknych, ale w pałacu wystawy przemysłowej, gdzie artysta figurował jako fabrykant bronzów. W salach rzeźby jedno tylko, ale wyborne dzieło wystawił: *Szakala pożerającego zajaca*. Z jakąż krwiożerczą rozkoszą dzikie zwierzę ścisną w silnych łapach biédnego zajaca,

który już prawie martwy ze strachu, stuliwszy uszy a wytrzeszczywszy oczy, czeka śmiertelnego ciosu. Po wygiętym grzbiecie szakala widocznie biega dreszcz rozkoszy, jeżąc i gurbiąc sierć jego w podobne do mory desenie.... Każdy muszkuł zwierza zdradza instynkt okrucieństwa, który ma nasycić w tej chwili. Cały poemat ukrywa się w tej grupie. Dwa te zwierzęta uosabiają oburzającą walkę siły z niemocą, kata i ofiarę, człowieka i przeznaczenie. Czemże zasłużył zając na śmierć tak okrutną? Jakąż zbrodnię mogło popełnić tak łagodne zwierzątko? Miałożby więc istnieć w naturze fatalne prawo mocniejszego?

Pan Barye nie poprzestaje na wierném kopiowaniu natury: w każdym dziele swoim stara się idealizować ją, podnieść, lub uprościć wedle potrzeby. On pierwszy poważył się przedstawić lwa bez peruki w guście Ludwika XIV, w którą ubrany król zwierząt przez rzeźbiarzy zeszłego wieku, podobny był jak dwie krople wody do Racina lub Boila. Nadto, ośmielił się wyjąć lwu z pod łapy owę klasyczną a śmieszłą kulę marmurową, z którą jak kociak z kłębkim wyglądał.

Przeprowadziwszy tę wielką reformę, począł wykładać lwy gniewne, dzikie, z najeżoną grzywą czychające na zdobycz, lub znudzone i senne z węzłem w szponach, których widok natchnął owe wzniosłe porównanie jednemu z naszych wieszczów:

.... „Może wam pokażę pełne piorunów usta,  
Może zamilknę jak lew co poziewa  
Patrząc na małość zielonego węża”....

Inne znów przedstawił nam tak, jak je widział na pustyni sławny ich morderca Gerard; kiedy swobodnie spacerują po swém królestwie, nawołując się dobytym z głębi wnętrzości rykiem, który jak grzmot złowrogi zatrzymuje nad źródłem spragnioną antyloppę, od którego trzęsie się ziemia i blednie Arab na wiatronogim koniu: słowem, zbadał lwia piękność, i pokazał wszystkie typy tych tyranów pustyni, których kształt rywalizuje o pierwszeństwo z ludzkim.

Podobnej reformy jaką Barye przeprowadził w reprodukcji zwierząt czworonożnych, Lechesne dokonał w rzeźbie ptaków i płazów: z konwencyjonalnej formy sprowadził

je do prawdziwej. Ptastwo wyzwolone z fryzów pokojowych, gdzie mu jedynie wolno było trzepotać skrzydłami; żaby, węże, jaszczurki, przywołane z łąk i tataraków, Leschesne pierwszy przedstawił osobno, bez przyprawy z róż ani rzerzuchy, i wmieszał do grup człowieczych, co mianowicie powiodło mu się doskonale.

Niewielka rzeźba jego: *Les Dénicheurs* liczy się do przedziwności tego rodzaju. Dzieci, jak zwykle bez litości, odkrywszy gniazdo w krzaku, kradną matce pisklęta; wtém wąż, tą razą nie pokusę ale karę wyobrażający, wysuwa się z boku i obwija silnemi skręty gromadkę malców, którzy szamocą się jak synowie Laokoona w objęciach hydry. Nauczka trochę za mocna, ale czemu niszczyć to, czego się stworzyć nie potrafi? Zresztą w oczach Lechesna, który tak wtajemniczył się w świat skrzydlaty, jakby do niego należał, martwić ptaka jestto zbrodnia nie do darowania. Trzeba widzieć wyraz rozpaczki, jaki nadał matce ptaszków broniącej gniazda przed rabunkiem, i w jak tragicznych pozach rozrzucił pisklęta na poszarpaném gnieździe, kiedy je wąż syczący wyrwał z dłoni napastników.

Nie zatrzymując się dłużej przy zwierzyńcach i klatkach, wróćmy do człowieka, który jest najszlachetniejszym celem, jaki w ogólności sztuka, a w szczególności rzeźba wytknąć sobie może.

Préault, najgłębszy i najśmielszy z młodych rzeźbiarzy francuzkich, znany twórca *Maski* i dwóch przepysznych popiersiów Danta i Wirgiliusza, nie wiedzieć czy przez lekceważenie, lenistwo, czy naśladownictwo Dawida, żadnym nowym utworem nie ozdobił powszechnej wystawy rzeźby. Tylko dawniejsze prace jego w bronzowej kopii, wystawili w szeregach przemysłowych biegli bronzownicy pp. Eck i Durand.

Ogromna potęga myśli i rzadka oryginalność cechuje wszystkie utwory Préaulta: znaczenie moralne przedmiotu zajmuje go najmocniej. Rzeźba, wedle niego, nie powinna się ograniczyć na wierną reprodukcji formy, ale chwycić bacznie ducha objawiającego się w każdym ruchu *materyalnego kształtu*. Jakoż przez ciągłe studia, Préault doszedł do wysokiego jasnowidzenia w tym względzie: z niezrównaną zrecznością chwytą on fizyonomią kształtów. Jak biegły lekarz z symptomatów poznaje chorobę pacjenta,

tak on z formy, ruchów i wyrazu twarzy, zgaduje myśl, chęci i czucie swych wzorów, i wszystko to czytelnie wypisuje dłutem na ich marmurowych twarzach. On, Klessinger zięć pani Sand i Foyatier, twórca Spartakusa i Joanny d'Arc, stoją niezaprzeczenie na czele całej młodej falangi rzeźbiarzy francuzkich. Tylko że dwaj ostatni wyłącznie wielką zajmują się rzeźbą, ztąd dzieła ich prawie nigdy nie są widzialne na wystawach; kto je chce widzieć, niech ich szuka pod gołém niebem, po ogrodach lub placach publicznych: znajdzie i pozna je łatwo, bo z tych marmurów wyziera dusza. Franciszek I Klessingera, o którym donosiliśmy obszernie w dawniejszych sprawozdaniach, świeżo postawiony na dziedzińcu w Luwrze, po całych dniach otoczony jest tłumem ludzi, nie mogących napatrzeć się piękności tego przepysznego posągu.

Najznakomitszym utworem Préaulta na wystawie przemysłowej, była bronzowa płaskorzeźba, przeznaczona na fronton nagrobka. Kobięta osłonięta w powłóczyste drape-rye, z zawołowaną twarzą, pochyla się nad wysmukłą lilią i łamie ją przy ziemi. Trudno poetyczniej przedstawić śmierci, oraz nadać oderwanęj figurze więcej tajemniczego wdzięku.

Niemcy wystawili tylko dwa posągi: *Fryderyka Wielkiego*, Raucha, sprowadzony do naturalnych rozmiarów, i *Walkę świętego Jerzego ze smokiem*, Kissa, kolosalnej wielkości. O pierwszym w pomniejszeniu sądzić trudno, drugi grzeszy zbyt niemię wykończeniem szczegółów. Ogromnego konia od głowy do ogona pokrywa jakby koronka pleciona z żył i muszkułów; skóra zaś smocza z nadto zoologiczną wydaje nam się wyhaftowana dokładnością.

Włochy nie mają już Kanowy ani Bertoliniego, ale zachowały dawną zręczność obrabiania marmuru. *Obląkana z miłości*, pana Galli, zasługuje na wzmiankę, jak również *Orgia uosobiona* w leżącej na wezglowiu kobiecie, dłuta markuiza della Torre, i *Opuszczona Armida* Bottinello. *Zamaskowana niewiasta* uderza wybornim oddaniem odzienia; pan Magni z zadziwiającą sztuką umie gnieść marmur w jedwabne fałdy i wyrabiać z niego koronki, z którychby się pierwsza robotnica pajęczych tkanek w Allenczon i Chantilly poszczycić mogła.

Belgia wystawiła *Negra po bastonadzie*, rzecz bardzo znakomitą, dłuta pana Vanhove; statwę króla Leopolda i *Lwa zakochanego*, oryginalny utwór pana Geefs.

*Biografia powszechna* wydawana w Paryżu nakładem Didota, zbogaciła się niedawno ciekawą książką pod napisem: *Olivier Cromwell, étude historique*, przez pana Renée. Autor kreśląc ten rys szczegółowy charakteru i politycznego zawodu Cromwella, czerpał z najlepszych źródeł angielskich, mianowicie też z dzieła Tomasza Carlyle: *Listy i mowy Cromwella z komentarzami*, wydanego w Londynie 1846 roku, które ze wszystkich najwięcej zawiera szczegółów.

Mimo nader liczne w tym przedmiocie poszukiwania, żaden dziejopis nie zdołał przedstawić w rzeczywistém świetle téj straszliwej, dziwnej i zarazem trywialnej figury, bo nic trudniejszego, jak rozróżnić w bohaterze ciężkich i burzliwych czasów osobiste wady jego charakteru od potężnego parcia wyższej potęgi, która bez względu na postronne okoliczności, posłannika swego pcha do spełnienia poruczonej missyi.

Portret Cromwella mógł tylko sam Cromwell wymalować. Zrozumiał to w części pan Renée i nazbierawszy mnóstwo faktów, zestawił razem listy, mowy i uczynki jego, ażeby tym sposobem czytelnik mógł ogarnąć całość; a mając przed oczyma tę amalgamę złożoną z popędliwości, wzniosłych chęci, goryczy, wzgardy, znudzenia i szatańskiej wesołości, mógł utworzyć sobie, jeżeli podobna, wierny obraz Cromwella. Pan Renée byłby niezawodnie dopiął zamierzonego celu, gdyby mu stronnictwo nie psuła co chwila przedsięwzięcia. Mimo to, książka jego czyta się ciekawie, mianowicie jeżeli czytelnik sam z faktów naukę wyciągnąć potrafi.

Bohaterowie pogańscy mieli jedną tylko namiętność: chęć sławy. Nauka Chrystusa otworzyła przed człowiekiem obszerniejsze pole, w którym sława bardzo drobne zajmuje miejsce. Chrześcianin do zaspokojenia wzniosłych chęci, z których szlachetna duma złożona, nie potrzebuje już admiracyi ani uznania ludzi: poczucie spełnionego obowiązku powinno mu wystarczyć, jeżeli rzeczywiście jest

chrześcianinem. Otóż nie zdaje się, ażeby Cromwell u szczytu swój potęgi znalazł owę pogodę i zadowolenie wewnętrzne, które jest zarazem nagrodą i oznaką zasłużonej wielkości; od początku do końca życia swego był posepny, ironiczny, niezadowolony ani z siebie, ani z drugich.

Pan Renée bardzo niepochlebnie przedstawia Cromwella. Posłuchajmy co mówi o nim doszedłszy do głównej katastrofy, która położyła koniec panowaniu i życiu Karola I-go. Opowiedziawszy porwanie króla z wyspy Wight, gdzie się schronił trzykroć pobity pod Preston, Warrington i Vigan, autor tak ciągnie dalej:

.....,Podczas tych wypadków Cromwell znajdował się w Szkocyi, ale przeważny wpływ jaki wywierał na wojsko tak zbliżka jak zdaleka, nie pozwala wątpić, że nie kto inny tylko on podyktował śmiałe przedsięwzięcie. Fairfax, człowiek prawy ale słaby, był tylko wodzem nominalnym wojska *Purytanów*, *de facto* był nim Cromwell. Po uwięzieniu króla zjawił się natychmiast; wszedł napowrót do izby niższej i przysiągł, że nie wiedział o niczem co zaszło w jego obecności. Śmiały i ostrożny zarazem, nie przyznał się do udziału jaki miał w tej sprawie, ale nie taił radości. „Bóg świadkiem, rzekł, że nie wiedziałem co się tu dzieje, ale kiedy już się tak stało, cieszę się bardzo i popierać będę”.

„Jednakowoż ograniczył się tylko na podżeganiu swoich stronników, unikając starannie wszelkiej osobistej odpowiedzialności. Ale parlament całą duszą oddany *Purytanom*, dobrze wiedział komu zawdzięcza wygraną; przyjął Cromwella z zapalem, obsypał go nowemi dostojenstwami i powiększył dochody. W końcu dzierżawca Saint-Yves przeniósł się do królewskiego pałacu White-Hall i zamieszkał w królewskich pokojach.

„Skoro rozpoczęto proces Karola I-go, Cromwell zasiadający pomiędzy sędziami, co chwila zdradzał dziką niecierpliwość: zdjął prawie zupełnie maskę. Na uwagi kolegów, którzy obawiali się rozruchu w ciągu procesu, ofuknął się i zawołał: „Powiadam wam, że mu utniemy głowę w koronie!”

„Kiedy oznajmiono przybycie króla, Cromwell poskoczył do okna, żeby go zobaczyć: „Otóż i on! — zawołał —

ważna chwila nadchodzi, proszę was—dodał zwracając mowę do sędziów—decydujcie prędko i ułóżcie naprzód, co macie mu odpowiedzieć, bo zapyta was pewnie, jakim prawem go sądzicie”.

„Po odczytaniu wyroku, ktoś zawołał w tłumie: „Olivier Cromwell jest zdrajca!” Wszyscy poznali głos Lady Fairfax, żony naczelnego wodza, która musiała wiedzieć co mówi. Jakoż ręka Cromwella ukartowała wszystko: najzaciętsi sekciarze nie mogli mu wyrównać w gorliwości. Skoro podpisał wyrok śmierci, umaczał odwrotny koniec pióra w kałamarzu i poczercił atramentem twarz temu, co się miał po nim podpisać. Widząc, że następny chcąc uniknąć odpowiedzialności, wymyka się za drzwi, pobiegł za nim, odprowadził na miejsce, śmiejąc się dziko, a włożywszy mu pióro w palec, prowadził piszącemu rękę. Kiedy Jan Cromwell krewny jego zaklinał go, żeby ocalił króla; Olivier odpowiedział z ironią: „Mój kochany, modliłem się i pościłem za niego, teraz czekam na odpowiedź od Pana Boga”.

„Zapewniają, że Cromwell kazał sobie otworzyć trumnę, w którą po egzekucyi złożono ciało Karola I-go. Skoro wypełniono rozkaz jego, wziął królewską głowę w rękę i rzekł: „Zdrowe ciało! mógł być żyć Bóg wie póki”. Postępowanie Cromwella w tych uroczystych chwilach było niegodziwe; nieustannie wybuchające brutalstwo i fatalna wesołość jego, dowodziły jasno, że nie dla przekonań religijnych, ale dla ambicyi i zemsty spełnił zbrodnię. Cromwell był szatanem cynizmu na czele grona tych ludzi, którzy się świętymi nazwali”.

Mimo tak złego dla bohatera swego usposobienia, autor przyznaje dalej, że życie prywatne Cromwella było przykładne. Podczas kiedy trzymał w swym ręku losy narodu, oszukiwał przyjaciół, zawiązywał tysiące intryg; oddany niby wyłącznie ambitnym swym celom, pisywał do żony i córek listy pełne wiary, zapału i chrześcijańskiej pokory. Listy te rzeczywiście bardzo wysokie, pan Renée umieszcza w swojej książce; szkoda, że dla braku miejsca przytoczyć ich tutaj nie możemy. W końcu dzieła autor takie podaje konkluzye:



„Cromwell należy do rodziny wielkich ludzi, ale jest z nich najmniej doskonały: bohaterem nie był. „Ludzie, powiedział jeden sławny pisarz francuzki (Lamartine), których Bóg obiera za narzędzia ku spełnieniu swych wielkich zamiarów, są pełni tajemnic i sprzeczności: ręka Najwyższego łączy w nich ściśle cnoty z błędami, światło i cienie, potęgę i słabość. Zazwyczaj wypełniwszy czasy swoje rozgłosem swych czynów, pozostają ciemni na łonie téj sławy, wielbieni i przeklinani naprzemiennie od świata, który ich nie zna.”

„Wymowne te słowa, mówi dalej pan Renée, całkowicie stosują się do Cromwella, ale do Cromwella tylko, który jest najciemniejszy z wielkich ludzi. Wszyscy inni wybrani przez Stwórcę za narzędzia, nie byli tak skomplikowani. Historia stawia niemało wielkich imion sympatycznych: Cyrus, Alexander, Cezar, Trajan, Karol Wielki, Napoleon; Cromwella z nimi równać nie można. Jak oni jest on potężny niezłomną wolą, niezmordowaną czynnością i wiarą w siebie; ale nie jest jak oni piękny i wzniosły: jest tylko silny.

„Napoleon gniewał się, kiedy go porównywano z Cromwellem. Cromwella porównywaćby raczej można do barbarzyńskich bohaterów, którzy wszystko zniszczywszy zakładali państwa swoje na zgliszczach dawnej potęgi. Cromwell był jak oni burzycielem i budowniczym; niszczyiciel ustaw i ludzi, zwałił tradycyjne ustawy kraju, ażeby *sobie* zrobić miejsce, i dlatego kraj go nie pokochał, chociaż jest największym politykiem i największym wojownikiem Anglii. Ojczyzna Edwarda III, Henryka V i Elżbiety jest bez entuzjazmu dla Cromwella i bez pomników dla pamięci jego. Nie chciała wziąć sobie za bohatera tego nadzwyczajnego człowieka; kraj zaś którego potęgi był założycielem, nie chlubi się z imienia jego. To milczenie całego narodu wydające się z pozoru niewdzięcznością, rzeczywiście jest dowodem wielkiej moralności Anglików.”

---

Alexander Dumas wyczerpawszy wszystkie koncepta, zużywszy wszystkie formy i wszystkie sytuacje, aż do Greków uciekł się szukając nowości, i z materyałów wyrwa-

nych z mózgu Eschyla i Sofoklesa, pozszywał *nową* tragedią grecką, którą dla lepszéj rekomendacyi ochrzcił uświęconém imieniem Eschyłowego dziecka: *Oreste*.

Mimo sławy autora, mimo nader zręcznych przygotowań poprzedzających każdą sztukę Dumasa, który chociaż pewien swéj literackiéj potęgi, nie pominie przecieź żadnego z drobnych środków pomagających do sukcesu, rozumnie twierdząc, że *strzeżonego Pan Bóg strzeże*; *Oreste* pozyskał tylko średnie powodzenie na scenie paryżkiéj. Starożytna Melpomena wydała się zaczarna, zapowaźna, zasztywna oczom tutejszéj publiczności, przyzwyczajonéj do mniej surowego obejścia nawet najsurowszéj z dziewięciu siostr Apollina.

Nie dowodzi to bynajmniej, żeby sztuka była zła; przeciwnie, niepowodzenie jéj na paryżkiéj scenie mogłoby raczéj być rękojmią, że autor nie wystąpił nigdzie poza ramy starożytnéj tragedyi; że naśladował wiernie głos owego brązowego kolosu, co przemawiał do serc ludzi potężnych i młodych, prosto i twardo, nie potrzebując uciekać się do sposobów sztucznych, wymyślonych dla poruszenia odrętwiałych zmysłów dzisiejszego społeczeństwa. Jakoż rzeczywiście są w téj sztuce wzniosłe ustępy przetłumaczone z Eschylesa pięknym wierszem; i gdyby autor był się ograniczył na prostym przekładzie, nie wprowadzając scen własnych i scen Sofoklesowych, możnaby powiedzieć, że zbogacił teatr francuzki znakomitém tłumaczeniem. Na mieszaninie rzecz straciła wiele, co nie przeszkadza, że oddawna nie pojawiła się na tutejszych teatrach sztuka godniejsza wzmianki jak *Oreste*, chociażby tylko dlatego, że w niéj od czasu do czasu, jakby grzmot podziemny odzywa się echo wielkich myśli greckiego dramaturga, i miga kraj poważnéj szaty, w które najpowaźniejszy z Greków odziewał swoje bohaterzy.

Eschyles był niezaprzeczenie najpotężniejszym geniuszem Grecyi: legendę o jego śmierci można uważać jako symbol jego. Podanie mówi, że dnia pewnego kiedy w dzikie zapuścił się zarosła, orzeł krążący w chmurach z żółwiem w szponach, spostrzegłszy łysą głowę mędrca, otoczoną kosmykami siwych włosów, rozumiał, że to skała obrosła krzakami, i spuścił się z wysoka, upuszczając nań ogromną żółwią skorupę, która strzaskała czaszkę poety. W istocie,

kamienna musiała być ta głowa, co wydała tak granitowe utwory jak *Prometeusz*, *Persowie*, *Oreste* i ośmdziesiąt innych, których bohaterowie mają skamieniałą twarz posągu, wyrażającą jak one jedno uczucie niezmienne, jak one pożyczają formy od ideału i zamykają się w uporczywem milczeniu. *Prometeusz* przez cały ciąg swój męki na szczycie Kaukazu nic nie mówi; *Achilles* boleść po stracie Patrokla wyraża nie słowem, a postacią; *Niobe* na grobie swych dzieci siedzi z zakrytą twarzą, jak posąg smutku uwikłany od stóp do głów w draperye; wszystkie główne figury tragedyi Eschyleśa są jakby karyatydy bolu zaniemiale z rozpaczy. Jest on starożytnym w samėje starożytności: myśl jego wraca nieustannie do zamierzchłych początków Grecyi, wywołuje dawne, zapomniane przez współczesnych poetów bogi. Pogoda, którą Helleński geniusz czerpał w spokojném łonie Homera, odziewając nią jakby promienistą szatą świątynie, rzeźby i samą nawet tragedją, jego nie dosięga; umysł Eschyla zostaje chmurny i burzliwy pośród ogólnej światłości. Uparty starowiec, zatopiony w dawnych mytach bez formy, odwraca oczy od tych bogów plastycznych, wyrobionych na wzór człowieka, któremi młoda Grecya zaludniła rozkoszne swe wzgórza, lasy i doliny.

Ciemny koloryt religii Eschyleśa powłóczy także dzieje opowiedziane jego usty; przez niego dramatyzowane wypadki zdają się odnosić do pierwotnej historii ras ludzkich. *Oreste* odkrywa wyobraźni jakieś dzikie, zamierchłe horyzonty, oświecone blado niepewnym promyczkiem historycznego światła. Całą pierwszą scenę Dumas przełożył wiernie.

Dramat rozpoczyna się skargą, spadającą jak jęk puszczyka z okna zamkowej wieży. Jestto głos niewolnika postawionego na pałacu Agamemnona przez żonę jego Klytemnestrę, na to, żeby upatrywał ognistego sygnału, który ze szczytu góry Arachny ma uwiadomić o zdobyciu Troi. Niewolnik wyrzeka na swą dolę, przeklinając słońce, skwary i chłodne nocy, których przez dziesięć lat doznał nie schodząc ze stanowiska. Elegia tego stróża przykutego łańcuchem niewoli do swego obserwatoryum, podobna jest do szczekania brytana, który poziewa i wyje przed budą znudzony długością grudniowej nocy. Wreszcie po dziesięciole-

tniém oczekiwaniu, wybucha pożądany ogień, a Klytemnestra przychodzi uwiadomić chóry o zdobyciu Troi.

Dumas słusznie zapewne skrócił rozwlekłe opowiadanie żony Agamemnona, nadto epicznych rozmiarów na dzisiejsze czasy. Zapewne także dla wymogów nowoczesnego teatru wprowadził następnie scenę, w której Egesthes z Klytemnestrą znawiają się na życie Agamemnona. Scena ta nie istnieje w dramacie Eschyleśa: bohaterowie jego wyrębani z jednej sztuki nie wahają się nigdy, ani znają walki wewnętrznej; autor czyniąc z nich hołdowników złego, albo dobrego, postanowienia ich nakreślił od pierwszej karty.

Wynagradzając powyższą usterkę, Dumas wiernie i wspaniale przetłumaczył dwie następujące sceny: przybycie herolda opowiadającego chórom srogość i ciężkie zapasy wojny trojańskiej; potem wjazd Agamemnona na tryumfalnym wozie pośród ludu i dziewic ugrupowanych na pałacowych schodach.

Klytemnestra przedstawia mężowi dwoje dzieci jego: syna Oresta i córkę Elektrę; poczem wiarołomna żona w obłudnej oracyi maluje mu swą miłość i wierność. Na tę przemowę przypominającą sofistykę ostatnich czasów ateńskich, która jak wąż jadowity ślizga się po kwiatach retoryki, odgadujący prawdę Agamemnon odpowiada zimno i krótko: „Córo Ledy, strażniczko mojego domu, mierzyłaś słowa swoje miarą nieobecności mojej: mówiłaś za długo!” Odpowiedź ta czyni wielkie wrażenie: jest ona jakby krótki miecz, którym starożytny bohater rozcina gordyjski węzeł zrecznie namotanych wykrętów.

Agamemnon uosabia w dramacie stary typ greckiego wojownika. Po długiej nieobecności, zdobywszy Troję, wraca do ojczyzny i zastaje ją zmienioną do niepoznania. Dawną rycerską prostotę Greków zastąpiło krasomówstwo i zbytek, który go razi na każdym kroku; kiedy więc żona zaprasza go, ażeby zasiadł na purpurowych kobiercach, które pod nogi jego rozesać kazała: mąż odmawia, zostawiając, jak mówi, barbarzyńskim monarchom te zniewieściałe obyczaje.

Na tryumfalnym wozie Agamemnona stoi kobieta obca powszechnej radości, z przepaską na głowie i berłem

Augurów w dłoni. Jestto Cassandra, sławna prorokini, niewolnica Agamemnona, którą tenże swój żonie poleca. Proszona przez królową aby zasiadła przy królewskim ognisku, odmawia i zostaje na wozie. Skoro zniknął monarszy orszak, chóry zaczynają się niepokoić jej milczeniem; wtém nagle natchniona wróżka rzuca im z wozu w oderwanych słowach przepowiednię: mówi, że czuje odór śmierci..... widzi podstęp..... widzi topór wyostrzony, przepowiada śmierć Agamemnona, śmierć swoją: i jakby pchana ręką nieubłaganego *fatum*, wpada do zbrodniczego pałacu, którego podwoje zatrząskują się za nią jak wieko trumny.... Cassandra porwała całą salę: święta groza starożytniej tragedyi ogarnęła wszystkie serca. Melpomena ukazała się w masce Meduzy, która po trzech tysiącach lat jeszcze przeraża.

W tragedyi Eschylesa zaraz po tej scenie słyhać jęki mordowanego Agamemnona. Dumas zanim otworzył podwoje sali, gdzie zamordowany król leży na marach, pokazał Egista namawiającego do spełnienia umówionej zbrodni, wahającą się Klytemnestrę. Scena ta z krwi i ciała nie zgadza się z czarnym marmurem, z którego prolog wykuty. Grecka Klytemnestra nie zna obawy; spełniwszy zbrodnię wręcz przyznaje się do niej ludowi, pokazując ręce zbroczone po łokcie w krwi męża, i uniewinnia w części postępek, przedstawiając go jako pomszczenie zabójstwa swjej córki Ifigenii „zaduszonej jak koza” z rozkazu ojca. Surowy Eschyles nie mógł inaczéj przedstawić tej zbrodni; nie opiewa on nigdy, nawet na to, żeby je przeklinać, sprosnych występków, do których namiętność spycha człowieka. Klytemnestrę wystawił jako mszczącą się matkę, nie zaś wiarołomną żonę, która zabija męża żeby ustąpił miejsca kochankowi.

Drugi akt, w który Dumas wnieszał parę ustępów z Sofoklesa, nie ma całości: zawiera wszelako kilka oderwanych scen ładnych. Wspaniała jest obraz przedstawiający Elektrę płaczącą na grobie Agamemnona z tą potężną rozpaczą, która dlatego właśnie że ówczesni ludzie nie znali melancholii, wybuchała gwałtowniej. Źródło łez, którego starożytni nie marnotrawili na drobne smutki, w dniach żałoby wytryskało jak potok wezbrany; pierś ich nie osłabiona jak nasza ustawiczném stękanie, skoro nadszedł go-

dnym powód smutku, wydawała jęki, o których dziś wyobrażenia nie mamy. Job z przyjaciółmi przez siedm dni i siedm nocy płakał bez przerwy. Elektry widzimy jak siódmy rok płacze na grobie ojca. W ogóle żałoba pogańska daleko jest czarniejsza od chrześcijańskiej, bo się nie spodziewa zmartwychwstania; jedyna ich nadzieja, jeżeli oplakują zamordowanego, jest—zemsta. Elektra téż dzień i noc nad zemstą przemyśla i wzywa brata Oresta, błędzącego po dalekich krajach, żeby powrócił i pomścił się na matce krwi rodzica.

Tu następuje długa i niepotrzebna scena, którą Dumas wprowadza dla zagmatwania intrygi. Stary powiernik opowiada Klytemnestrze, że widział jej syna Oresta, jak ściągając się na delfickich igrzyskach spadł z wozu i został stratowany końskimi kopyty. Ustęp ten przypominający opis śmierci Hippolita w Fedrze, zapełnia akt nie dodając mu wcale zajęcia. Niepotrzebnie także wprowadził Dumas pożyczoną od Eurypida interwencją Kastora i Polluxa, którzy schodzą z pałacowej fryzy i doradzają Orestowi pielgrzymkę do świątyni Minerwy. Nagłe zjawienie się tych dwóch panów, którzy nie wiedzieć z kąd się biorą, bo nazwisko ich nie jest wymienione w ciągu sztuki, nasuwa nierozwiązane pytanie: po co przyszli? Obecność ich nawet tragicznym cudem usprawiedliwić się nie da: jestto poprostu figiel maszynisty.

Spełnione na scenie matkobójstwo, którego słusznie uniknął Eschyles a Dumas wprowadził, także wydaje nam się niesmaczne. Starożytny Orest powróciwszy do domu, przekonywa się o stosunkach matki z zabójcą ojca i mówi do niej: „Pójdź za mną, zamorduję cię w oczach tego człowieka!” Królowa krótką prośbą stara się zmiękczyć serce synowskie, poczem, widząc że go nie przebłaga, idzie za nim ze spuszczoną głową na miejsce kaźni. Efekt téj sceny niemniej tragiczny, a matkobójstwo nie oburza oczu jak w sztuce Dumasa.

Trzeci akt, czyli epilog, wzięty żywcem z greckiego, w którym występują Eumenidy i cała stara mitologia grecka, ulubiony przedmiot Eschylesa, jest zupełnie nieprzystępny dla dzisiejszej społeczności. Tłumnie wywołane z czarnych lasów tessalskich najstarsze widma urojeń ludz-

kich, symbole już samym Grekom nieznane, fatalne jędze, upiory, strzygi, wybladłe mary i odarte z ciała skielety, wstrzasając smolne pochodnie, puszczają się w pogoń za matkobójcami. Duch Klytemnestry wychodzi z ziemi i wyrzuca wścieklej zgrai, że dotąd na Oreście nie pomściła się jej skonu. Minerwa z Apollinem wdają się w tę sprawę i popierają Oresta. W końcu zimna wymowa bogini mądrości przekonywa piekielne zastępy; Eumenidy mając sobie udowodnioną niesłuszność swego postępowania, zaprzestają dalszej pogoni Oresta i przemieniają się w białe nimfy dobrej woli. Nic dobroduszniejszego na świecie jak ta mitologia grecka, która wymową przekonywa piekło i poprawionych szatanów kanonizuje.

Prolog był najlepiej przyjęty w teatrze Saint-Martin; pierwsze wrażenie najsilniejsze słabło aż do końca. Mimo to, wywołany autor przyjmował na scenie poklaski, które musiały mu się wydawać bardzo słabe w porównaniu z entuzjazmem, z jakim przyjmowano pierwsze jego dramata, wspaniałe owoce nie cudzego, ale własnego natchnienia.

---

Teatr *Gymnase* przedstawił w dzień Nowego Roku bardzo ładny jednoaktowy dramacik pod tytułem: *Obiaduję z matką*. Należy on do małej liczby utworów, w których myśl moralna objawia się nie przez morały, a wrażenie jakie słuchacz odbiera, nie pochodzi ani z naciąganych sytuacji, ani urojonych straszdeł, ani dziwacznych baśni, ani antytezów, za którymi zwykle ubiegają się dramaturgi, ale poprostu z małego obrazku wziętego z natury, jednej kartki wydartej z historii codziennego życia, tak obfitego w sceny rzewne i prawdziwe smutki.

Bohaterką sztuki jest Zofia Arnoult, modna aktorka paryzka zeszłego wieku, ale rzecz tak dobrze do niej, jak do każdej tego rodzaju kobiety stosuje się całkowicie. Otóż, jedna taka teatralna bogini, której świat cały wybija pokłony, młoda, piękna, bogata, zbudzona ze snu słodkiego noworocznemi dary, opiewa rozkoszną swą dolą mniej więcej w tych słowach:

Nie jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie? do kogóż jeżeli nie do mnie stosują się słowa, które Szekspir włożył

w usta swęj najszcześliwszej bohaterce: „W chwili w której mnie matka poczęła, na niebie tańcowała gwiazda, pod tą gwiazdą urodziłam się.” Jestem piękna, najdorodniejsza młodzież dobija się o serce moje, książęta rujnują się dla mnie, co powiem wszyscy powtarzają, dowcipne słówka rozsiewam jak perły. Jestem królową na scenie, a samowładną panią w moim buduarze; dom mój monarszą miłość może pomieścić; stąpam po kobiercach, od stóp do głów obwijam się w koronki; mam pełne szkatuły dyamentów, pereł i drogich kamieni; mam przepyszne powozy, dziesięć rasowych koni rży w męj stajni; stwarzam mody, wymyślam nowe ubiory, które bywają naśladowane wiernie: słowem, jestem królową w prawdziwém znaczeniu tego wyrazu, i mogę powiedzieć, że dobrze mi na tym świecie!

Tak rozmawiając z sobą szczęśliwa tych wszystkich dóbr właścicielka, przegląda się w weneckich zwierciadłach, sewrskich wazonach, ogląda świecidła któremi jęj salon zastawiony, i puszy się jak paw w dzień słoneczny, spacerując pomiędzy wiosennemi kwiaty z rozpostartym ogonem.

Służąca tymczasem zastawia wykwinny stolik do obiadu.

— Będiesz pan u mnie na obiedzie—mówi aktorka do młodzieńca, który jęj przychodzi winszować Nowego Roku.—Nie mogę pani! dzisiaj obiadam z matką—odpowiada gość z niskim ukłonem. Pani nie dbając wiele o niego, przyjmuje obojętnie odmówną odpowiedź.

Po nim przychodzi drugi. Czulej przyjęty, na takież zaprosiny taką samą daje odpowiedź: „obiadam z matką.” Tą razą aktorka niechętnie przymuje wymówkę, lekka chmurka złęgo humoru zaciemnia jęj ładną twarzyczkę. Ta podwójna odmowa z jednego powodu, widocznie źle działa na nerwy... Cóżto? każdy dziś ję z matką, przecież i ze mną ktoś jeść musi!

Wtém wchodzi książę, jęj kochanek, wielki pan, szlachetny nawet w miłostkach, który nietylko nie domaga się wdzięczności, ale mu się zdaje, że powinność swoje czyni, otaczając tę piękną istotę zbytciem w którym jęj tak do twarzy. Artystka dumna podbojem takiego serca, wdzięcznym uśmiechem dziękuje księciu za przysłany na kolebę powóz z piękną parą koni, oraz wskazuje mu stół nakryty



na dwoje...—Nie mogę! obiadam z matką—odpowiada książe stanowczo.

Tego już nadto! Pani poczyna się gniewać naprawdę i nalegać. Książe tłumaczy jej, że matka jego jest wielka dama starzej daty, równie surowo przestrzegająca przepisów dworskiej jak rodzinny etykiety; że w dzień Nowego Roku matka zwykła drzącymi ustami składać na czole jego pocałunek, którego za nic w świecieby nie oddał, tym bardziej, że to może ostatni....

Wszystkie te słuszne i szlachetne powody nie przekonują zepsutego dziecka, przywykłego do posłuszeństwa swego niewolnika; wszechwładna pani nie przypuszcza, żeby jej kaprys miał mniej ważyć niż obowiązek. Upiera się coraz mocniej, a kiedy kochanek ciągle stawia za przeszkodę noworoczny obiad, który jest jednym z rodzinnych sakramentów jego domu, każe mu wybierać między matką i kochanką: albo będzie z nią jadł dzisiaj, albo też nigdy. Już nie otworzą mu się te drzwi, które za nim zatrzaśnie. Na takie ultimatum książe blednie... waha się chwilę... ale wnet poczucie obowiązku pokonywa namiętność: wstaje, ukłonem żegna panią swego serca i ze łzami w oczach wychodzi.

Tutaj zaczyna się tragedia. Kobieta zraniona do żywego, rzuca się na sofę, zakrywa twarz rękami i płacze. Rozwaga wnet w jej sercu gniew na boleść zmienia. Poważne myśli po raz pierwszy uzyskują posłuchanie od roztrzepanej główki. Pojmuje nareszcie, jak bardzo byt jej na pozór świetny, pusty jest i nędzny w gruncie. Czuje, że jej tylko składają w ofierze dni zbyteczne lub szalone, że nie ma prawa do żadnej chwili seryo, żadnej uciechy uświęconej w życiu człowieka. Wśród powszechniej uczyt rodzinnej obchodzonej w całym mieście, ona, owa najszczęśliwsza z szczęśliwszych, czuje się wyklęta i nie wolno jej pożywać komunii przy rodzinnym stole. Ona nie ma rodziny! Niestety jej podobne ptaki odlatują tak daleko od swego gniazda, że go już potem znaleźć nie mogą. W poranku życia, a już ją zimna samotność ogarnia... Co będzie, skoro przyjdzie starość, i mroźnym oddechem pogasi wszystkie te ognie bengalskie, które illuminują życie, a nie grzeją!

Jedyny ogień trwały na tym świecie, nie jestże święty ogień domowego ogniska?...

Kiedy tak duma biedaczka, przychodzi malarz, dawny towarzysz jój lat dzieciennych i domowej nędzy. Bada o powód smutku i w końcu otrzymuje z płaczem zwierzenie. Nieborak, mimo najlepszych chęci nie może pocieszyć samotnicy: i on także obiada z matką; ale przychodzi mu myśl szczęśliwa: zaprasza ją z sobą do rodziców. Ojciec jego mularz, matka szwaczka; jadło nie będzie wystawne, ale uprzejmość, ale serdeczność, ale uścisk macierzyński który ją tam czeka, skoro powie, że im przyprowadza sierotę: to wszystko czyż nie droższe nad wszystkie skarby świata?

Słyszając tę propozycyą, pani przestaje płakać; zrzuca koronki i brylanty żeby nie straszyć nędzy; wdziewa suknię z perkaliku, czepeczek na głowę, i w tym ubiorze, który jój niewinne lata przypomniał, już ma wybiedz trzymając za rękę malarza, kiedy nagle staje u progu i zapytuje siebie, czy godna zasiąść przy tém ognisku, do którego ją pobłażający przyjaciel prowadzi? „Nie!—woła wyjmując z za gorsu miniaturę matki, i stawiając ją na stole—nie! już zapóźno! Idź przyjacielu, ja także będę obiadować z matką.”

Małeńka ta sztuczka, której piękność niknie oddana martwém słowem, a głośno przemawia do duszy uwydatniona znakomitą grą aktorki, wywołała wiele szczerych westchnień z głębi serca, i nasunęła niejednej pięknej główce zwrót myśli pożądany w dzień Nowego Roku.

*Korsarz*, nowy balet mimiczny we trzech aktach i pięciu obrazach, zyskał nadzwyczajne powodzenie w tu-tejszej operze. Farby i myśl do dzieła (jeżeli może być jaka myśl w balecie) czerpał pan Saint-Georges w dwóch poematach Byrona: *Korsarzu* i *Don-Juanie*; muzykę dorobił Adolf Adam. Jeżeli z tamtego świata można widzieć co się na tym dzieje, Lord Byron nacieszy się zapewne, że jego krwawe poemata, pełne łez, dumy, śmiechu i wzgardy, skaczą na linie dla zabawy Paryża. Przedstawienie tańczącego *Korsarza* liczy się niezawodnie w rzed największych upokorzeń doznanych od rodzaju ludzkiego. My atoli, będąc

organem żywych nie umarłych, przyznać musimy wraz z publicznością tutejszą, że balet wydaje się prześlicznie: wyborne tancerki, piękne dekoracje, ubiory jakby pożyczone z garderoby Rusałek; w końcu wspaniały obraz rozbicia okrętu: wszystko to tworząc arcy-harmonijną całość, zjednało *korsarzowi* admiracją powszechną.

Pierwszy obraz przedstawia targ na niewolnice w Adryanopolu. Kobiety malowniczo ugrupowane, siedzą na rogożach rozesłanych po placu; między nimi przechodzą kupcy i zjawia się ze swą bandą Konrad, korsarz zakochany. Ujrawszy go Medora, wychowanica żyda Izaaka, wybiegła na balkon i rzuca mu bukiet kwiatów, którego każdy listek jest wyrazem miłości.

Podczas kiedy korsarz odczytuje te hieroglify, przybywa stary Seyd pasza, kupować sobie niewolnice do haremu, i zaczyna się tańczący przegląd płci pięknej: kobiety wszelkich krajów w narodowym stroju defilują przed paszą, starając się pozyskać jego względy. Ale paszy do gustu trafić niełatwo: ta zawysoka, ta zaniska, ta za tłusta, ta zachuda, ta zarumiana, ta zablada: słowem żadna mu się nie podobała. Wtém spostrzega krucze włosy Medory i jej oczy skier pełne padają nań jak promienie majowego słońca..... Olsniony starzec już na inne nie patrzy, tylko Medorę widzi: Medory pożąda. Opiekun Greczynki Izaak, żyd chciwy i podły, wzdraga się zrazu, a raczej droży: ale w końcu sprzedaje ją na wagę złota. Widząc to Konrad porywa Medorę. Każdy z jego bandy wybiera z tłumu najpiękniejszą, i tak z brankami na ręku uciekają, a stary Seyd przysięga na Ałłacha, że ukarze rabusiów.

W następnym akcie znajdujemy się w podwodnym pałacu korsarza, czyli w jego kajucie. Jestto rozkoszna grota podparta kolumnadą ze stalaktytów, napełniona bronią, klejnotami, złotem, zwojami drogich materyi: słowem, istne *gruene Geiwelbe* najpotężniejszego z kleftów. Konrad leży na lwiej skórze, mając wlepione oczy w siedzącą u nóg swoich Medorę; ona bojąc się znudzić pana swego zbyt długim milczeniem, wstaje, i zaczyna przed nim prześliczny taniec z wachlarzem, do którego przyłączają się wszystkie porwane niewolnice. Za ten taniec, pełen niezrównanego wdzięku, Medora prosi Konrada, żeby udarował wolnością branki.

Konrad zezwala. Pierzcha stado turkawek, ale wybucha bunt na pokładzie: bandyci nie chcą wypuścić kobiet: Konrad zabija naczelnika zgrai Birbanta i bunt uśmierza, lecz tylko na pozór; korsarze zmagają się pocichu na wypędzenie przeklętej żydówki, co im oczarowała wodza. Spiskowi przynoszą jej bukiet, którego woń w letarg wtrąca. Medora o niczym nie wiedząc, daje go powąchać Konradowi, który zasypia natychmiast. Piraci tymczasem porywają Greczynkę i oddają Izaakowi, rozkazując mu, żeby ją natychmiast odwiózł paszy.

Trzeci obraz przedstawia *śpiący harem*, ustęp z dziesiątej pieśni Don-Juana, który można nazwać koh-i-norem tego brylantowego poematu: jakże ogniste i wonne są te strofy, co opiewają wdzięki tysiąca uśpionych piękności, i tysiące marzeń, za którymi gonią we śnie biedne niewolnice!... Jakże urocze te obrazy obejmujące wszystkie odcienia cery kobiecój, począwszy od hebanowój twarzy negrzcicy aż do śnieżnego oblicza Georgianki, chwytające odrazu całą gamę powabów niewieścich, podobną do mieniającej tęczy drżającej w wilgotnym półcieniu nocy letniej....

Balet usiłuje przedstawić namiętne malowidło Byrona. Harem paszy zbudzony blaskiem wschodzącego słońca wstaje, stroi się, przeciąga, próbuje tańców i skoków, przemyślając, czémby przypodobać się panu, czémby zapełnić całodzienne nudy. Pożądana rozrywka przybywa w osobie Izaaka, przyprowadzającego paszy ulubioną branke Medorę. Jednocześnie u drzwi pałacu staje pobożna karawana, jadąca na wielbłędach do Mekki; stary derwisz przewodnik pielgrzymów, prosi paszy, żeby mu pozwolił pod swym dachem przeczekać upał dzienny. Gospodarz zezwala, nadto każe odaliskom bawić gościa; ale kiedy te otoczywszy go wieńcem rozpoczynają taniec, on zrzuca płaszcz:—derwisz przemienia się w korsarza, a pielgrzymi w bandę jego. Pasza ucieka, Medora pada w objęcia Konrada. Zajęci sobą kochankowie nie widzą grożącego niebezpieczeństwa: wojsko paszy otacza zwolna bandę, rzuca się nań, rozbija, wiąże i uprowadza do więzienia. Poczém pasza ofiaruje swą rękę Medorze i oświadcza, że jeżeli jego ofiary nie przyjmie, każe utopić Konrada. Medora słysząc takie *ultimatum*, udaje, że się zgadza, ale posyła na swoje miejsce

zawołowaną Gulnarę, żeby z paszą ślub wzięła: sama zaś podejmuje się roli małżonki po odbytej ceremonii zaślubin.

Zostawszy sama z paszą Medora, prosi go, żeby jej dał swój kindżał; zakochany pasza nie zdolny nic odmówić żonie, składa w jej ręce nieodstępного towarzysza, potem oddaje jej także pistolety, których się napiera, i dla zabawy pozwala sobie szarfą związać ręce. Tak skrepowawszy i rozbroiwszy Iwa, Medora klaszcze w dłonie: Konrad ukazuje się w otwartém oknie, Medora jednym skokiem staje przy nim, i mierząc do paszy z jego własnej broni, niknie z kochankiem.

Piękność ostatniego obrazu, który jest koroną dzieła, zawdzięczyć należy całkowicie maszynistom. Scena przedstawia rozhukane morze z niepojętą oddane sztuką, a na niem kołyszący się okręt. Pokład napełnia załoga, wyżej ponad tłumem piratów i niewolnic obchodzących wesele młodej pary, widać wyniosłą figurę Konrada trzymającego na ręku Medorę, w postawie podobnej do Neptuna porywającego ziemską nimfę.

Nagle niebo zaczyna się mroczyć: czarne chmury coraz gęstnieją; zdala słyhać grzmot. Morze coraz burzliwsze pieni się i zżyma; okręt na coraz wyższe wskakuje bałwany; *crescendo* burzy ciągle wzrasta, aż wreszcie piorunowe błyskawice prują ciemności i zaczyna się najpiękniejszy obraz jaki widziano kiedy na teatrze: burzliwa noc na oceanie przedstawiona w całej grozie i fatalna wizja rozbicia okrętu oddana z niepojętą prawdą. Nic straszniejszego, jak ten okręt rozpadający się na płowém tle nieba, szarpanego piorunową wstęgą! Coraz wyższe bałwany liżą brzegi statku i połykają go częściowo: dopiero widziany okręt odarty z masztów i żagli staje się podobny do łodzi, za chwilę do tratwy, a za chwilę do pływającej trumny, na której cienie rozbitków stoją załamując ręce.... W końcu noc zakrywa czarnym całunem ten grób pływający....

Zwolna burza ustaje, opadają bałwany, księżyc wschodzi, srebrzy grzebienie coraz to ciszej pluskającej fali.... i odkrywa daleko, daleko, dopływających na maszcie do swój wyspy, Konrada i Medorę.

Taki jest ten balet wdzięczny, kolorowy, wesoły i dramatyczny, a mianowicie ukoronowany arcydziełem sztuki dekoracyjnej. Ta noc na oceanie, ta nawałnica morska, i to rozbicie okrętu nieporównanej grozy, powinnyby przebłagać cienie lorda Byrona, i wyjednać jego przebaczenie dla profanów, którzy się poważyli zaprosić do tańca ponurego korsarza.



## KRONIKA LITERACKA.

---

*Dzieje Polskie wewnętrzne. Opis zwyczajów i obyczajów za panowania Augusta III, przez księdza Jędrzeja Kitowicza. Tomów IV. 1855 r. Petersburg.*

*Znakomici mężowie Polscy w XVIII wieku przez Juliana Bartoszewicza.*

*Cmentarz Powązkowski przez K. Wł. Wójcickiego.*

*Słownik malarzów polskich. Tomów II, Edwarda Rastawieckiego.*

*Krótkie wiadomości z dziejów piśmiennictwa polskiego, zebrał M. Ł. 1855. Warszawa.*

**D**zieje zewnętrzne krajów długo jeszcze zapewne uważanemi będą za większej wagi niż ich dzieje wewnętrzne. Im dobitniej jednak poznajemy łączność i wpływ wzajemny jednych na drugie, im więcej uczymy się cenić wartość duchową: tém więcej gromadzimy szczegółów, śladów, dziejów wewnętrznych, i tym większy stopień zajęcia budzi w nas rozpatrywanie się w nich. Zajęcie to, mówiąc nie egotycznie, lecz historycznie, w szczególny właśnie sposób musi obudzać społeczność nasza. Kraj nasz był to kraj, który sływał bezrządem, bezrządem zginął; który się nie odznaczał żadnym ze znanych środków fizycznej potęgi, granic swych nie rozszerzał ani siłą zaborów, ani przez politykę rządów, sukcesy dynastyj, i który jednak zabłysnął był wysokim i trwałym blaskiem w historyczności. Zawarty (z swém dzisiejszém imieniem) w szczupłej zrazu społeczności pierwotnej (między Odrą i Wisłą) przez kilka wieków z rzędu wzrastał w obszerność, wcielał w siebie całe pokolenia i kraje już rozwiniętych nawet i fizycznie silniejszych od siebie historyczności, łączył je jednym duchem i mową, i za wieków swego kwitnienia (XV, XVI i XVII) ze wszystkich krajów europejskich stał się najobszerniejszym granic krainą. (Polska obejmowała więcej niż 13,000 mil kwadratowych; Francya ówczesna, to jest bez Alzacyi i Lotaryngii 9180; Anglia razem ze Szkocyą 4214; Włochy w ogóle nawet z Sycylią i Sardynią

5850; *Hiszpania z wyspami Balearskimi* 8847; *Niemcy w ogóle swych elektorstw* 11,600; *Turcja europejska* 9335. Nie mamy tu wcale w tym razie zamiaru wyszukiwać i oznaczać powody takiego faktu; mówimy tylko, iż zgromadzenie i rozpatrywanie się w dziejach wewnętrznych kraju, który wydał ten fakt, zawsze zajmującym być musi. Nic więc dziwnego, iż od lat wielu zbieranie i zajmowanie się szczegółami dziejów wewnętrznych polskich stanowi u nas jedną z najobfitszych gałęzi krajowej literatury. Samo wyliczenie tych dzieł złożyłoby artykuł oddzielny; o niejednym donoszonym już było w tej kronice; tą razą wspomnimy jeszcze o kilku z ostatnio zjawionych, różnych gałęzi dziejów wewnętrznych dotykających.

**Opis zwyczajów i obyczajów za panowania Augusta III** przez księdza Jędrzeja Kitowicza, tomów 4, otrzymujemy w wydaniu nowém. Pismo to autora zmarłego w r. 1804 poznaliśmy dopiero z druku przed kilkunastą laty. Jestto opis, który przedstawia nader szczegółowie wewnętrzny stan Polski w połowie zeszłego wieku. *Duchowienstwo, wojskowość, szlachta, obrady sejmowe, sądownictwo, gry, ucztę, zabawy, ubiory, jedzenia, napoje* wszelkie: słowem szczegóły bytu publicznego i domowego różnych klas kraju, przedstawione tu są kolejno. Opis ten pozostawiony nam jest przez świadka naocznego i bezstronnego. Z ciągu pisma nie widzimy bynajmniej, iżby autor był szczególnym admiratorem kraju swojego; nie widzimy też jednak wcale, iżby był jego nieprzyjacielem. Ze układania tego pisma nie był żaden cel osobisty, dowodem jest i to, iż autor nie ogłaszał go drukiem za życia; bodźcem do pozostawienia tego opisu była tylko wyraźnie jakaś, rzecz można konieczność wewnętrzna, nagląca do zapisania i przechowania szczegółów, które wkrótce zakończyć się i z gruntu przemienić się miały. Co do ogólnego wrażenia tego obrazu, to jak idzie z samej natury rzeczy, nie może być nader miłe: jestto widok stanu owego kraju, o którego historycznym losie dopiero wspomnieliśmy, lecz który właśnie był w chwili zakończenia owéj swéj epoki: widok zatém, który nietyle może być przedmiotem admiracji, jak raczej lekyi. W kraju tym była jeszcze zapewne pewna szczęśliwość wewnętrzna. Pisarz berliński *Ranke*, w 2gim tomie głośniejszém swéj *historii papieży* uczyniwszy uwagę, iż w wiekach XVI i XVII w miejsce nieograniczonej władzy czyli swobody jednostek (królów), swobodę tę zyskiwały po krajach liczniejsze jednostki, (panowie i szlachta), i wskazując na różne jéj stopnie po różnych krajach, dodaje: „w Polsce wreszcie pozyskali zupełną.“ Fakt ten ostatni wczesniejszym był wprawdzie niż wiek XVI (i był właśnie jednym z powodów owéj historyczności kraju), był jednak istotnie jeszcze w całej swéj sile i w wieku XVIII. Każdy szlachcic nie znał tu innéj woli nad własną; każdy mógł oprzeć się wydaniu nowéj ustawy. Za Augusta III był przytém pokój ciągły, liczba wojska w ogromnym kraju nie wynosiła więcéj jak 18000 (12000 w Koronie, 6000 w Litwie): był to rzecz można ideał wielu



nam społecznych teorii: zamożność szczególnych mieszkańców, na którą każdy z podróżopisarzy ówczesnych zwracał uwagę, wiodła nawet zwykle do zbytów większych niż dzisiaj. Książ Kitowicz nieraz o nich wzmiankuje. „Panowie, mówi naprzykład, jeździli po mieście nie inaczej jak sześcioma końmi: był jakiś wstyd i przyrównanie do mieszczanina jeździć parą końmi; (tom IV str. 35). Liczba służby przy powozach dochodziła niekiedy 12 lokajów, 6-u hajduków i 4-ch pajuków. Biskup Sołtyk pierwszego roku biskupstwa prezentował się o dwudziestu czterech lokajach, dwunastu hajdukach, czterech pajukach!” Przepych był w strojach wojсковych i w strojach cywilnych: za same rękawki i piersi od koszuli, mówi autor, płacono po pięćdziesiąt dukatów; na karty stawiano naraz po kilka i kilkanaście tysięcy czerwonych złotych. Wszakże ta pewna szczęśliwość była już nietyle szczęśliwością kraju, jak raczej pewnych jednostek: owa zupełna swoboda była tylko swobodą wyłącznie szlachty, a nie miały w niej prawie udziału klasa wiejska i miejska. Na 14 milionów mieszkańców w ówczesnej Polsce (według obrachowania *Guthry*) 500,000 tylko było uprzywilejowanych. Kraj nasz prócz pewnej misji świetnej miał i tę smutną, by wskazać: iż owe wewnętrzne cechy i przywileje, do których dążył, nie były jeszcze zgodnemi z wewnętrzną naturą wieków: podstawą ich mogła być tylko miłość, a miejsce jej w naszych przodkach zajął był wkrótce *egoizm*. Egoizm ten kazał szlachcie poniżyć inne klasy krajowe, egoizm ten w rozwinięciu kazał też jej w końcu zapomnieć na jej własne dobro ogólne, na zajmowanie się niem. Książ Kitowicz w rozdziale o *uczciach i trunkach* w najprzychylniejszym zdaniu o swym przedmiocie, zapisał tu właśnie takie świadectwo: „dobre czasy, pokój ciągły, obfitość wszystkiego, całą myśl obywatela rozrywkami i uciechami zajmowały; ile gdy zrywane (dodaje) raz wraz sejmy *nikogo nie wabiły do zatrudniania się około dobra publicznego*” (tom III stron. 143). Rozwicie tego stanu rzeczy, to jest skutków tej ujemności w naturze kraju, zakończyło się jak wiadomo w końcu owocem, którego nazwiskiem było: upadek kraju, a czas rozwicia przypada właśnie głównie na czas opisu, o którym mówimy. Swobody, skutki ich dobre z dawnych czasów idące, ich nadużycia, jest to cecha ogólna, która charakteryzuje wszystkie szczegóły tych opisów. Rozdział określający szczegóły obrad sejmowych jest jednym z tych, który najwięcej zajmuje; dodajmy jednak, iż mimo mniej powabne swe szczegóły nie jest stwierdzeniem zdania o wiecznej kłótności i niezgodności szlachty ówczesnej.

Autor określa tu jak z 30 sejmów za panowania Augusta III każdy pomimo dojścia niekiedy do ostatniego dnia uchwał, zerwanym był w końcu przez *nie pozwalam*; szczegół ten nie jest zapewne wcale na pochwałę administracyi krajowej, nie jest to jednak wcale dowód niezgód i burzliwości, skoro reprezentacya zebrana z najrozmaitszych prowincyi kraju, obradując z całą swobodą po-

śród rozlicznych partyi, przy wyrzeczeniu stanowczém znajdowała tylko w opozycyi głos jeden.

Opis księdza Kitowicza, dodajemy w końcu, pisany jest wszędzie czysto, jasno, i z pewnym życiem, to jest dodawaniem dla lepszego odkreślenia przedmiotu i niejakiich społecznych anegdot, czyli jak nazywa autor małych zdarzeń. Mieści on co do wewnętrznego widoku kraju i epoki nie jeden, lecz mnóstwo szczegółów, którychbyśmy napróżno szukali w innych społecznych statystykach i historyach krajowych: jestto słowem materyał, i kosztowny materyał dziejowy.

**Znamienici mężowie polscy w wieku XVIII** przez Juliana *Bartoszewicza*, jest pismem autora, którego znajomość i zasługi w badaniu dziejów wewnętrznych krajowych, nader dobrze są znane czytelnikom Biblioteki, i jest pismem, które właśnie było początkiem tych zasług. Zasługi p. *Bartoszewicza* w badaniu dziejów wewnętrznych krajowych są liczne; lecz najglówniejszą czyli raczej glównie charakterystyczną jest badanie szczegółów życia jednostek *krajowych* czyli *biografie*. Każdy szczegół, fakt historyczny, zdaje się nam iż dla myśli autora nietylko jest ważny w sobie w odniesieniu do dziejów, jak raczej w odniesieniu do życia takiej nie innej jednostki. Zbiór takich szczegółów, faktów, potworzył pod piórem autora szereg wizerunków krajowych.

Każdy wizerunek p. *Bartoszewicza* nietylko jest ściśle życiorysowy czyli powieściowy, lecz też psychologiczny i historyczny, to jest kreśli nam w nim autor nietylko zawód osoby, ale też jęj charakter, zadanie, stosunek jęj zasług do tęg gałęzi dziejów wewnętrznych, do jakieg te się odnoszą. do ogółu dziejów; stosunek jęj wreszcie do całej swojęj rodziny, do innych rodzin i. t. p. Ten też właśnie jest ogólny charakter i *Znamienitych mężów*: jestto zbiór wizerunków kilku znakomitszych ludzi w wieku zeszyłm w Polsce żyjących, i obejmuje jednostki różnych zawodów. Umieszczeni tu mianowicie: biskup *Naruszewicz*, *Felix Łojko*, *Ożarowski*, *książe de Nassau* i *ksiądz Łuskina*. Sąsiedztwo pióra w tęg piśmie nie mogło nam wzbronię, iżbyśmy nie wspomnieli o ogólnęj zasłudze autora; sąsiedztwo tu nie będzie też nam równie przeszkodą do wyrażenia zdania o tęg, coby nam pod piórem autora do życiorysów zwróconém, sprostowaném życzyło się widzię, co się nam widzi ujemném. Ostrzegamy jednak, iż nie mamy tu mówię o takich lub innych faktach życiorysowych, tych bowiem sprostowanie lub pomnożenie, w miarę odkrywania się źródeł być może bez granic; ale mamy tu mówię tylko o wizerunkach, jako o wizerunkach czyli o sposobie ich wykonania z faktów zebranych.

To, co nam widzi się zwykle brakiem w wizerunkach p. *Bartoszewicza*, jest to nieuksztalcenie jednego stałego obrazu z cząstkowych rysów, stosowanie przeciwnie uwag oddzielnych do świadectw cząstkowych, zkąd nieraz sprzeczność; inną zaś razą kształcenie rysów dziejowych osób nie ze źródeł dziejowych, lecz z własnych pomysłów, i wreszcie w towarzyszących obrazom zda-

niach szczególnych, nie wyższe rozjaśnianie przeszłości lub psychologii, lecz uwagi i wnioski niedochodzące stopnia zasług autora pod innym względem, i nieraz jakby okazujące tylko pochybność do pomiatania przeszłości krajowej. Uwagi te wyjaśniamy kilkoma przykładami, i weźmiemy je głównie z najobszerniejszej i najinteresowniej dotąd wypracowanej biografii przez autora, a z porządku pierwszej: biskupa *Naruszewicza*.

Głównem źródłem i zapewne powodem skreślenia tej biografii *biskupa Naruszewicza* były wynalezione, i w znacznej części ogłoszone przed kilką laty liczne korespondencye tego autora, jego dyaryusz podróży Kaniowskiej i. t. p., co połączone z jego znanymi dawniej pismami, aktami urzędowemi, pewną jeszcze tradycją dozwoliło autorowi skreślić dosyć pełny i zajmujący obraz téj znakomitej figury; obraz w którym nam po kolei przedstawia czas jój dzieciństwa, dalej piérwszy zawód duchowny, zawód poetyczny, zawód jako historyka, wreszcie biskupa, senatora i chwile ostatnie.

Co do nas zdaje się nam, iż ze zbliżenia i porównania szczegółów życia Adama Naruszewicza ten głównie co do charakterystyki jego wypada wniosek: iż mąż ten jakkolwiek z zawodu duchowny i znakomity pisarz, był jednak, mówiąc psychologicznie, *przedewszystkiem* światowym człowiekiem. W jednym z listów swych, któremi się dobijał o jakąś godność światową, Naruszewicz pisał: „nędzny to cel *śława nieśmiertelna po śmierci* (w biografii strona 66).” Istotnie widzimy, iż Naruszewicz był nie tylko duchownym autorem, ale téż dygnitarzem krajowym, a jak powiada przysłowie: „pieczone gołąbki nie wlecą do gąbki;” Naruszewicz miał talent w wierszu i prozie, naukę, umiał pracować, a darów tych użył, to jest używał głównie: do owego upieczenia gołąbka czyli: do dygnitarstwa. Pomimo iż był duchownym, zawód swój rozpoczął Naruszewicz od poezyi głównie światowej, *sielanki, satyry, bajki*, gdyż drogą tą mógł najprędzej spólcześnie zjednać głośność. Zaznajomiony z księciem Adamem, znajomości téj użył do przedstawienia się na salony królewskie. Sama znajomość z królem nie było to jednak jeszcze dygnitarstwo; król sądził zapewne, iż uczynił dla literata dosyć jeśli go zaprosił na obiad, mógł być wreszcie orderem obdarzyć; lecz Naruszewicz chciał w swym zawodzie *posuwać się*, a wiedział, iż aby posuwać się trzeba działać i przypominać się, narażać się, a mianowicie nie zrażać się. Naruszewicz był téż niezłomnym z téj strony; cały prawie zbiór jego korespondencyi jest to obraz jego nieustannych starań o posuwanie się. Autor obmyślał środki, wyszukiwał wakansów, usuwał współzawodników i co chwila prawie kołatał, pisał do króla umiając zręcznie wynajdywać różność powodów, użalać się, wskazywać na swoją wartość i zarazem przemawiać do majestatu. Przytaczamy tu kilka urywków z tych listów z czasu, kiedy Naruszewicz zajął się był już z polecenia króla układaniem *historyi narodu*: „Teraz zdaje mi się, żem żak i mówić nie umiem, potem pod-

sycony łaską pańską *loquar in conspectu regum et non confundar*, gdy mnie jeszcze ta nadzieja ominie, podobno zapłakawszy z Dawidem *vacuum est confidere in principibus* trzeba będzie pojechać na wieś i zamiast Liwiusza czytać Varrona *de re rustica*." „Nie jest to fraszka dla mnie miłościwy Panie utracić bliską nadzieję, a tymczasem gnść i ślepić nad temi szpargałami. Potrafiłbym i ja jeździć karyolką, grać w karty, jeść i pić smaczno, liczyć pieniądze, a potem bez pracy wyższe infuły łapać." „Ja nie proszę o pieczęć (po Młodziejowskim), bo choć mam serce, ale trzeba *lepszej głowy* (Naruszewicz czynił tu sobie zręcznie z tego tylko zarzut, co wyraźnie było fałszywem); dla usunięcia współ rywala Sołtyka ten tylko podawał pretext, iż pochodził z Rusi. „Czémby tego pretendenta ugłaskać można nie mojej to głowy rada. Mógłby jednak jako *Roxolanus* poaspirować do Smoleńska albo do Chełmna, a nam starym sługom drogi nie zagradzał." Otrzymałszy pierwszy stopień wyższej godności, pisaryą Wielkiego Księstwa Litewskiego, w samém podziękowaniu umiał zręcznie polecać się i dalszym względem: „byłem dotąd, wyraża, pisarzem Waszej Królewskiej Mości, wszystkie pisma moje były dla króla, za królem, z woli króla; odbierasz mi Wasza Królewska Mość najśłodszy mój honor, ale ja protestuję się, że prócz tytułu litewskiego będę zawsze pisarzem Stanisława Augusta."

Takim był główny rys charakteru Adama Naruszewicza jako człowieka; lecz autor w kreśleniu jego, lub jak rzekliśmy sławi rysy z domysłu, lub do każdego przytoczonego świadectwa dodaje oddzielny wniosek. Opisując młodość swego bohatera, czas jego szkolny, autor mówi między innemi: „młodzieniec słuchał z zajęciem swoich nauczycieli i uczył jakiegoś *drzenie w sercu, przeczucie dziwne* (?), bo dusza jego gwałtem się rwała w świat nowy, w świat nauk i przyszłej sławy, a zdawało się biednemu dziecku, że li tylko Jezuitci posiadają tajemnicę, jakimby sposobem spełnić można jego nadzieje i marzenie." Marzenia i młodość ludzi później oddanym naukom nader różne bywają, nieraz bez *drzeń*, bez *prieczuć*, nawet bez zdatności do nauk; ciekawi naturalnie byłibyśmy jaką była psychologiczna młodość Naruszewicza? Co skłoniło go iż wszedł do zakonu Jezuitów? czy z powołania? potrzeby? albo dla innych celów? Autor twierdzi stanowczo, iż tym powodem było to przekonanie: iż tylko zakon Jezuitów może ziszczyć jego marzenia! Lecz marzeniem całego życia Naruszewicza było biskupstwo, a zakon Jezuitów nie dawał godności duchownych. Te szczegółowe rysy, które tu autor wyraził, mogłyby się tylko znajdować w pamiętnikach Naruszewicza lub jego listach szkolnych, lecz tych nie znamy: kreślenia rysów z domysłu mogą mieć tylko miejsce w powieści historycznej, nie w biografii. W całym dalszym ciągu żywota Naruszewicza autor nie widzi w nim nigdzie człowieka zajętego światem, myślącego o dygnitarstwie; wyszukiwane przezeń powody do posuwania się bierze wszędzie, że tak powiemy, za dobrą monetę, i zbyt proste do każdego przy-

toczenia dodaje wnioski. Przytoczywszy naprzykład wyjątek z listu Naruszewicza, którym ten prosząc o awans kładzie ten najpowszechniejszy w podobnych razach powód, iż ma liczną familią do wyżywienia, autor dodaje: „te wyrazy określają coraz piękniej szlachetny charakter i czułe serce Naruszewicza.” Przytoczywszy znowu te słowa innego listu: „żeby nie był tak leniwy i nieczuły na siebie jak o mnie mówią, przypominam się łasce Waszjej Królewskiej Mości”, autor zamiast zwrócenia uwagi na zbyt wyszukany powód do łaski, rozbiera na seryo, dlaczego Naruszewicz mógł być uważanym za nieczułego (stron. 73); przytaczając znowu wyjątek z listu w którym polecał *usługom* królewskiem brata swego i upraszał dla niego o biskupstwo unicko-łuckie, autor dodaje: „widać z tego, jaką wdzięcznością (?) był dla króla przejęty.” To dopisywanie wniosków do zdań pojedynczych bez poprzedniego zdania sobie sprawy z ogółu, musi kształcić szereg *sprzeczności*, które w ogóle są jedną z najpowszechniej zarzucanych wad pióra autora; sprzeczności te spotykać się muszą co chwila i w rysach i w zdaniach szczególnych. Autor naprzykład w tych życiorysach o których mówimy tyle razy narzeka na nasze leniwość w gromadzeniu materiałów historycznych, i tyle razy powtarza, iż mamy już ich aż nadto i tylko brak historyka, że czytelnik zgadnąć nie może, który zarzut jest słuszny. Mówiąc o charakterze księcia de Nassau autor powtarza po kilkakroć, iż książę ten nie mógł się przywiązać do kraju w którym przyjął indygenat, i wnet w dalszym ciągu wyraża: „doprawdy książę de Nassau przywiązał się był szczerze do Polski.” W artykule o Łojce i jego pracach autor wyraża następane zdanie, „Czacki poprawiał obrachunki Łojki, bo ten źle zredukował grzywnę Jana Ostroroga; musiał jednak Czacki wiele z prac Łojki korzystać (czemu?), bo dotąd odwołujemy się do tablic Czackiego.” (inaczej: Czackiego praca nie jest własna, ale z Łojki wzięta, czemu? bo dobra, bo Łojko nie umiał obrachować grzywny Ostroroga). W zaczęciu tegoż artykułu o Łojce autor mówi: „prawdę powiedziawszy, sami sobie winni jesteśmy że tak mało znamy literaturę ojezystą”; a w rozwinięciu tego twierdzenia czytamy: że Janocki zostawił nam porządną wiadomość o Bibliotece Żaluskich, że dalej przeszkodą były wypadki krajowe, a dzisiaj brak źródeł pod ręką; wniosek więc oczywiście jest: że niekoniecznie sami sobie winniśmy. O sprzecznościach tych wspominamy tu mianowicie dlatego, iż, jak rzekliśmy, spotykają się nieraz w wizerunkach i rozumowaniach autora; że jednak winą tu jest nie brak logiki, ale prosty pośpiech, dowodem tego są nieraz zbyt jawne sprzeczności, jak naprzykład następną, która się spotyka przy końcu biografii Naruszewicza. Po przytoczeniu zajmujących szczegółów z dyariusza Naruszewicza i zjazdu monarchów w Kaniowie, autor dodaje: „resztę dni swoich Naruszewicz przepędził w osamotnieniu: już nie żył, nie pracował a *vegetował* tylko.” Autor jednak określa następnie, jak jego bohater otrzymał wreszcie całe życie ścigane biskupstwo łuckie, krzesło w senacie,

nader czynny jego udział w sejmie czteroletnim, czynne kierowanie w tym czasie opinią publiczną wierszem i prozą, i zapisuje uwagę: iż w mowie powiedzianej przy zakładaniu kościoła Opatrzności na cześć szczęśliwie dokonanej pracy sejmowej, zrównał Woroniczowi i Skardze." Nie rozumiemy, jak bohaterem tego wszystkiego mógł być człowiek, który zostawał *w osamotnieniu*, nie żył i nie pracował. Zdanie to miał oczywiście autor umieścić o dwie czy trzy karty niżej. Dodajemy tu wreszcie uwagę, iż czyli to tenże pośpiech, czyli co prędzej, owe zatapianie się w zdaniach pojedynczych, z zapomnieniem na inne otaczające, na ogół, jest też powodem, iż przy podniesieniu tych zdań do stopnia ogólników, autor zamiast odcieniania obrazu psychologicznie lub historycznie, kładzie tylko zwykłe postrzeżenia i ogólniki, które wymierzone są zapewne na efekt, w istocie zaś pokrzywdzają tylko zwykłe, i zwykle niesłusznie, jak już uważaliśmy, przeszłość krajową. Tak naprzykład w zaczątku biografii Naruszewicza, autor mówi między innymi; „ale jakto *w dawnej Polsce było nie nowiną* podupadł i ród Naruszewiczów”, (czy dziś albo w jakim innym kraju jest to nowiną?); w artykule księdza Łuskińa wspomniawszy o wyjednaniu przezeń u króla *przywileju* na wydawanie gazety, autor dodaje: „dawniej był *monopol* na wszystko.” (Polska owszem mniej niż jakikolwiek kraj inny, była krajem monopolów). W tymże artykule autor dołącza ironią i połajanie obszerne dziennikarstwa polskiego przy końcu wieku zeszłego, porównywając je z powszechnym, dzisiejszym; zwracamy wszakże uwagę, iż ten stan dziennikarstwa jakiego autor wymagał jest zjawiskiem w historii zupełnie nowym i datuje dopiero, rzecz można, od lat trzydziestu! Dosyć wspomnieć naprędce: iż w samej prassie Wielkiej Brytanii zakaz rozbierania przez dziennikarzy obrad parlamentarnych, urzędownie nie jest jeszcze zniesionym.

Przytoczyliśmy tu kilka postrzeżeń o stronie ujemnej kreśleń wizerunkowych przez p. Bartoszewicza; ujemności te są jednak zbyt małe w miarę tych zalet, jakie ma, jakie do literatury krajowej wniosło pióro autora: uwag powyższych nie wyrażalibyśmy nawet, gdyby się nie stosowały do pisarza, którego pisma zkądnąd tak zajmujące są, i tak czytane. P. Bartoszewicz jest dziś u nas jednym z najdokładniejszych znawców szczegółów naszej historii wewnętrznej, i *Biblioteka* za zaletę ma sobie, ilekroć pozyskuje zdanie tego autora o pismach tego przedmiotu. Nie wiemy wcale powodów, dla jakich dalsza publikacya zbioru, o którym mówimy została wstrzymana; wizerunki wszakże umieszczane przez tegoż autora w felietonach gazet i pisma wydane przezeń oddzielnie: *Panowie niemieccy na dworze Augustów* i *Królewicze biskupi* są to i w rodzaju swym nowe i nader rozjaśniające przeszłość krajową monografie. Na témże polu, to jest na polu biografii polskiej pokazało się w tym czasie w naszej literaturze kilka znakomitych prawdziwie publikacyj. *Dzięduszyci* przy kreśleniu swych bohaterów, kreśli też historyzoficznie epoki,

których są wyrażeniem; *Szajnocha* (mianowicie w *Jagielle i Jądwidze*) obok poglądu również historyzoficznego, każdy nadto fakt wzmiankowany, każdą uwagę, szczegół, popiera wskazówką źródła: tę ostatnią zaletę ma też i *Paweł z Przemankowa A. Przędzieckiego*. Pan Julian Bartoszewicz nie ma w swych biografjach téj historycznej ścisłości, ani owych poglądów na epokę, ale ma rzecz można, więcej miłości ściśle biografijnej: za bohaterów obrazów swych autor nie obiera wyłącznie figur okresowych i znakomitszych, lecz każdą, o której kilka szczegółów w źródłach historycznych da się wynaleźć. W szczegółach tych obok względu historycznego, autor zwraca też uwagę, jak powiedzieliśmy, na rodzinę określanéj osoby, jéj przodków, następców, stosunki do innych rodzin, i jest rzecz można, jakby Niesieckim i Okólskim. W poczęcie spółzawodników swych celuje p. Bartoszewicz najprzód: wskazaniem drogi (biografia Naruszewicza jest pierwszą co do czasu śród wszystkich powyższych), i powtóre: ilością zebranych biografijnych szczegółów o indywiduach.

**Cmentarz Powązkowski**, wydawany przez pana K. W. *Wojcickiego*, jestto zbiór życiorysów osób leżących na cmentarzu Powązkowskim, (zbiór którego otrzymaliśmy już poszytów 5) a służy do objaśnienia i przechowania najbliższej naszej przeszłości. Cmentarz Powązkowski, jak to objaśnia zajmująca przedmowa wydanie to otwierająca, po długich protestacyach mieszkańców miasta przeciw zakładaniu cmentarza za miastem, nie przy kościolach, otworzonym został dopiero w roku 1797; umieszczone tu życiorysy sięgać więc tylko mogą i sięgają czasów drugiejj połowy zeszłego i pierwszejj bieżącego stulecia. Publikacya ta również jest bogacąca źródła do dziejów krajowych wewnętrznych jak zajmująca. Jest to, rzecz można, zamienianie miasta zmarłego i leżącego w prochu, na miasto żywe; jest to, ile się da uchwycić, wskrzeszanie świeżo zgasłego życia wewnętrznego tego miasta. Historyk nasz Długosz pisząc przed laty 400 w Krakowie historiją królestwa polskiego, wyraził w przedmowie, iż nie spieszy się z rozpowszechnieniem swego pisma, bo nigdzie tyle zawiść nie ściga piszących jak u nas w Polsce. Nie wiemy jak jest dzisiaj w Krakowie, (listy albo wyjątki z listów, wspomnijmy tu nawiasem, któreśmy od lat kilku i kilkunastu czytywali pisane z Krakowa lub Lwowa, a które są zwykle wylewem żółci na wszystkich piszących spółmieszkańców swojego miasta, dowodzić się zdają, iż nie się tam pod tym względem nie odmieniło od czasów Długosza); ale to pewna, że i cienia tego zarzutu nie mógłby ściągnąć na siebie wydawca Cmentarza powązkowskiego. Jedną z cech i jednym z powodów wszystkich pism pana Wojcickiego jest miłość spółpiszących w swym kraju i (jeżeli jakie mają) zalet ich. Każde ocenienie lub wzmianka przez autora o danym pisarzu lub jego piśmie towarzyszoném jest zwykle przytaczaniem żywcem wyjątków i lepszych miejsc z tego pisma; każde odkrycie jakiej

zalety wiedzie autora nie do ukrycia lub zmniejszania, lecz owszem do jak najprędzszego udzielenia, przekazania jój publiczności. Tę przychylność stosuje autor nietylko do dawniejszych od siebie zasług i wiekiem, lecz i do młodszych, najmłodszych, do nieprzyjaznych nawet własnej zasłudze. Uwagę tę nastreczył nam zaraz pierwszy poszyt *Cmentarza powązkowskiego*; zasługa czy to żyjąca, czy zmarła spokojną być oczywiście może o siebie przy takim wydawcy. Publikacya ta *Cmentarza powązkowskiego* jest można rzec dalszym ciągiem wydawanych przez autora *Życiorysów*; różnicą jest, iż przedmiot opisów ogranicza się tu do jednej miejscowości, i że z drugiej strony, obszerniejszym jest rozciągając się i do osób mniej głośnych. Rozmaitość jest tu równie cechą wyboru jak w *Życiorysach*.

Artyści, urzędnicy, wojskowi, uczeni, osoby różnego wieku, płci, stopnia, zasługi, lecz których tylko pamięć już z tych, już z innych powodów przechowaną została, znajdują tu wspomnienie o sobie.

Autor, że tak powiemy gwałtownie przedziera się w tę świeżo zgasłą przeszłość, i tysiące co do zdarzeń, wypadków, historyi osób pojedynczych i rodzin w mieście żyjących szczegółów przechowuje. *Życiorys* każdy pisany jest jasno, zwięźle i prosto, ile być mogło krótko, z dobitnym wszakże przedstawieniem zasług lub charakterystyki zmarłego. Jednym z oddziałów najwięcej zajmujących są często tu spotykane biografie, jakkolwiek niedawno zeszyłych, lecz z imienia już nawet prawie od nowego pokolenia nieznanym, dawnych wojskowych.

**Słownik malarzów polskich**, przez Edwarda (barona) *Rastawieckiego*, którego dwa tomy mamy przed sobą już od lat kilku, a trzeci oglądaliśmy w rękopiśmie, wielkim krokiem przyczynił nam światła nietylko co do części biografijnej, ale też co do rozjaśnienia szczegółów tak znakomitej gałęzi dziejów wewnętrznych, jaką jest sztuka. Słownik ten obejmuje w porządku abecadłowym: nazwiska, główne szczegóły życia, i wyliczanie prac malarzy w Polsce zrodzonych, albo zamieszkujących od najdawniejszych czasów. Zbiór się okazał obfitym, i liczba nazwisk w dwóch pierwszych tomach (do litery S) dochodzi do 500. Jakkolwiek liczba ta znacznie zapewne zwiększoną jeszcze być może (*w Skarbnicze archeologii* naprzykład, wydanej w roku zeszłym przez zasłużonego Ambrożego Grabowskiego, znaleźliśmy niejedno nazwisko pośród malarzy krakowskich, nie znajdujące się w Słowniku, pomimo iż notatki Ambrożego Grabowskiego były jednem ze źródeł Słownika). Jakkolwiek niejedyn szczegół biografijny może znaleźć swe dopełnienie lub sprostowanie, zawsze ten Słownik w swojej gałęzi jest takim, a może i dokładniejszym krokiem, jakim w roku 1814 była pierwsza *Historja literatury polskiej* przez Bentkowskiego. Szczegółowość, zimna krew i pewna powaga odznaczają wykład w Słowniku; w ogólności przytaczane tu są tylko szczegóły życia i same nazwi-



ska prac wzmiankowanych malarzy. Zdanie o pracach tych zapisywał autor tylko wtedy, gdy mógł zapisać z naoczego przekonania, własne, lub obce wartości już ustalonej. Z natury treści wynikało, iż pismo to podając szczegóły o rodzaju, wartości i miejscach znajdowania się w kraju różnocześnie różnych utworów malarskich, przyłożyło się też do rozjaśnienia i historii krajowych świątyń kościelnych, gmachów królewskich, pomieszkań panów i t. p. Wydanie Słownika malarzy jest ozdobne i wzbogacone dodaniem wizerunków znakomitszych malarzy.

Książka ta jednak (mimowolnie następuje się tu nam ta uboczna uwaga) im bardziej w swój użyteczności specjalna, z natury swój niepo czytana a ozdobniejsza, tém mniej może rachować na odbyt księgarski: właśnie zatem większą winniśmy wdzięczność dla przedsiębiorcy. Tak kosztowna zewnątrz i wewnątrz praca mogła być tylko dziełem nietylko szczególnie gorliwego, ale też razem i zamożnego sztuki krajowej miłośnika.

Wspomnijmy tu wreszcie o tej wielkiej gałęzi dziejów wewnętrznych, jaką jest historia literatury, a powód do tego daje nam ze skromnym lub raczej mniej właściwym napisem wydane, ale treściwe dziełko:

**Krótkie wiadomości z dziejów Piśmiennictwa Polskiego** przez *M. Ł.* Dziełko to nie jest bynajmniej, jakby wnieść można z napisu, przedstawieniem jednego lub drugiego okresu, jednej lub kilku gałęzi z piśmiennictwa polskiego, ale pospieszamy objaśnić, jest rysem wcale dokładnym literatury polskiej od najdawniejszych czasów do roku bieżącego. Wydanie to jest zaspokojeniem naprędce potrzeby, która nader czuć się dawała. Dzieje literatury krajowej były zapewne w ostatnich czasach jednym z przedmiotów najpowszechniejszego zajęcia się naszych pisarzy, i niejedna w przedmiocie tym publikacya należy do najzasłużeńszych w literaturze: mimo to jednak dokładnego obrazu ogółu literatury krajowej dotąd nie mamy. Krajowca lub cudzoziemca żądającego pisma, któreby go zapoznało z naszą literaturą, nie mamy do czego odesłać. Dzieło *Bentkowskiego* oprócz swój koniecznej niedokładności jako krok pierwszy, wyszło nawet już z handlu i nie dochodzi dalej jak po rok 1814: nie obejmuje więc czasu najbogatszego w literaturze. *Wiszniewski* zaczął swe ogłoszenie na kolosalną skalę i mimo ogłoszonych już ośmiu tomów, nie doszedł jeszcze połowy. *Wójcicki* w swój *Historji Literatury* dał poznać ją nietylko zewnątrz lecz i wewnątrz, to jest: z dołączeniem wyjątków ze wzmiankowanych pisarzy, (podobną właśnie publikacyą otrzymuje w tym roku literatura niemiecka przez *Henryka Curtza*): lecz przedmiot jej nie dotyka pism krajowych łacińskich i nie obejmuje wszystkich gałęzi literatury. Praca *Jochera* udokładnia tylko niektóre gałęzie albo epoki. *P. Łukaszeuicz* w swym *Rysie dziejów literatury polskiej* z literatury dawniej usunął pisma łacińskie (zatém połowę

literatury); a w czasach najnowszych zajęty jest głównie poezją i poetami (1).

P. Kondratowicz mimo skromne zapowiedzenie w przedmowie, iż tylko powtarza, pięknie i z różnostronnem znawstwem przeszłości rozpoczął opowiadanie swe dziejów literatury krajowej, lecz także, tylko rozpoczął. Dokończona, ale nader mniej różnostronna i w szczegóły bogata *Historya Literatury Polskiej* Jana Majorzkiewicza ma nadto tę kardynalną (mianowicie pod względem użytku praktycznego) wadę, iż cechą jęj jest: naginanie zdań o autorach i obrazach do systematu pomyślanego *a priori*, pomyślanego fałszywie. Pełne wreszcie literackiej zasługi *Piśmiennictwo Polskie* p. Wacława Alexandra Maciejowskiego doprowadzonem jest równie jak większa część powyższych, tylko do wieku XVII, i nie obejmuje pism łacińskich. Pismo to nadto jest raczej zbiorem bogatych materyałów do historyi literatury, nie zaś historyą literatury (2).

*Krótkie wiadomości* przez M. Ł. o których mówimy, nie odkrywają i nie podają nowych materyałów do historyi naszej literatury, ale czynią właśnie zadość owęj potrzebie ułatwienia poznania jęj.

(1) Treść tego pisma przypomina także trochę, dodać tu można, owe zdanie Długosza, o którym wyżej: w Rysie swym p. Lesław Łukasiewicz, jakkolwiek umieszcza wzmianki o autorach byle powiastki, a nie wspomina nawet o spółmieszkańcach swojego miasta takiej zasługi, jak *Bandke, Pol, Józef Kremer* i t. p.

(2) *Piśmiennictwo polskie* p. Maciejowskiego, które doprowadzonem być miało według prospektu do r. 1830, objęło tylko trzy tomy i zakończyło się wiekiem XVI. Sam układ tego pisma jest już dostatecznym objaśnieniem niepraktyczności jego użytku. Autor opowiada tu historyą literatury, nie kolejną gałęzi jak naprzykład *Bentkowski*, ani kolejną epok (jak np. *Wiszniewski* i inni), ale ją podzielił na *zwroty*. Przez zwrot nic innego nie możemy rozumieć jak zakończenie jednego kierunku a zaczęcie innego: co się raz zwraca już idzie innym biegiem, a nie poprzednim. Nazwisko zwrot może dobrze służyć w znaczeniu *epoki*, jest owszem rozumowanem znaczeniem epoki; w tém znaczeniu dobrze użył był *Majorzkiewicz* nazwiska *zwrotów*, ale w historyi literatury p. Maciejowskiego, te zwroty nie są to zwroty. *Zwrot I-y* obejmuje według autora literaturę ludową, to jest: oryginalnie przez lud w pieśniach i podaniach tworzoną, i treść jęj doprowadza autor do wieku XVIII-go. *Zwrot II-gi* obejmuje *Piśmiennictwo Polskie* najdawniejsze, to jest zaczyna się od ujęcia literatury ludowej w pismo, w wieku XII: zwrot ten więc jakkolwiek z nazwiska II-gi uprzedza swego poprzednika o wieków pięć. *Zwrot III-ci* obejmuje znakomitych pisarzy polskich do końca wieku XVI-go, i przeciąga się także obok klechd i pieśni, poprzednio przez autora wspomnianych. Literatura piśmiennicza i literatura ludowa, tak jak je autor do wykładu wciągnął, są to dwa jednoczesne *równoległe* przez wszystkie wieki *kierunki*, a nie dwa *zwroty*.

W tomie drugim autor wraca do tegoż przedmiotu, który opowiadał w tomie pierwszym, z różnicą, iż opowiada go tu szczegółowiej, oraz iż nazwisko *zwroty* zamienia na nazwisko *obroty* i rachuje ich *pięć*. W tomie III-cim autor powraca do przedmiotu opowiadanego w tomie I-ym po raz trzeci, i wylicza pisarzy mniejszej, jak mówi, wagi, należących do powyższych zwrotów czyli obrotów. Sam wykład opowiedzianej w tych ra-

Rys ten przedstawia szczegółowie w kolei epok wszystkie główne wypadki dotychczasowego zbioru materiałów w swoim przedmiocie. Mamy tu w każdej epoce wyliczenie wszystkich głównych pisarzy, ich pism tak łacińskich jak polskich, charakterystykę tych pism, nawet krótkie biografijne szczegóły o pisarzach, o ile są znane. Wyliczenie to jest kolejną gałęzią w każdej epoce, tak, iż czytelnik jasno tu poznaje chronologicznie i stan

mach treści, nie nosi także bynajmniej cechy praktyczności czyli historyczności. Główną wadą tego wykładu pod tym ostatnim względem jest: iż autor przypuszcza w swym czytelniku poprzednią znajomość swego przedmiotu i zamiast opowiadania go, zajmuje się tylko polemiką niektórych szczegółów, po fakta zaś odsyła zwykle do innych pism. W tomie na przykład I-ym pod zwrotem pierwszym, znajdujemy oddział pod napisem: *Historyczny rozwój podań i klechd*; drugi za nim: *Krytyczny pogląd na historyczny rozwój podań i klechd*, i wreszcie trzeci: rzut oka na *historyczny rozwój podań i klechd*. Już sama ta podobność lub raczej tożsamość napisów wskazuje, że treść tych rozdziałów co innego obejmować musi niż ich napisy: jakoż istotnie w całym nawet w ogóle zwrocie I-ym czytelnik nie dowiaduje się wcale zkąd i kiedy wzięły się wiadomości lub zbiory klechd, pieśni ludu naszego i czyli? i jakie te są? jaka ich pewność, dawność i t. p.; spotyka zaś tylko rozumowania i polemiki w przedmiotach nieraz nie należących prawie do piśmiennictwa polskiego: jak np.: o znaczeniu w ogóle pieśni, klechd, o słowa pieśni niemieckich (to jest pieśni, w których sam autor wyznał, iż prócz *jednego słowa dwuznacznego* nic polskiego nie widzi), sprzeczki z *Grimmem*, *Neumannem*, *Godsche*, *Swidzińskim*, *Wiszniewskim*, *Pawlikowskim*, *Siemińskim* i t. p.; po fakta zaś, jak dopiero rzekliśmy, odsyła lub do zbioru i opowiadań swych poprzedników, albo do przypisków.

Miłość polemiki tak jest przemagającą pod piórem historycznym autora, iż w tomie drugim mówiąc o wieku XVI-ym, oparł się o lata nam współczesne, i zakończył go szczegółowym określeniem, lub raczej połajaniem (zdaniem naszym niesłusznym) wszystkich pisarzy, którzy w ostatnich latach zajmowali się u nas historią literatury.

Nie będziemy tu mówić o stanowisku krytycznym autora w jego poglądach na epoki, a w którym główny za zasadę wzięty jest wzgląd religijny, bo nie piszemy tu wcale rozbiórów pisma: dodajemy jednak, iż nie rozjaśnia to wcale biegu historycznego literatury, gdy autor w tomie pierwszym, w którym miał opowiadać o pisarzach jedynie najznakomitszych, umieścił autorów znajomych lub nieznanymi byle piosnki, lub autora jak *Piotr Moskorzowski* (autora, którego znamy tylko kart kilka i to tłumaczonych z Socyna); do tomu zaś trzeciego, to jest pisarzy podrzędnych odesłał pisarzy takiego bogactwa pióra i wpływu jak *Orzechowski*, *Wujek* i t. p.; dodajmy także, iż owe poglądy krytyczne na rozwinięcie moralne w kraju, których wykazanie zapowiedział był autor we wstępie, tym mniej uskutecznione zostały i uskutecznione być mogły, iż usunął z wykładu swego dzieła i pisma nie polskie, (wyjątek uczynionym tylko jest dla Smalcjusza), a zatem połowę faktów z życia umysłowego krajowego. Z tego wszystkiego już jasnym jest, iż czytelnik nie znając literatury polskiej, z pisma p. Maciejowskiego nie pozna jęj, nie pozna zwłaszcza ani jęj biegu historycznego w ogóle, ani historii jęj gałęzi. Uważane wszakże jako zbiór materiałów, *Piśmiennictwo* p. Maciejowskiego ma zalety pierwszego rzędu; do takich mianowicie należą: w tomie pierwszym przedruk najdawniejszych zabytków piśmiennych i inkunabułów; w tomie drugim rozprawa o najdawniejszym języku polskim w tych zabytkach, mianowicie zaś w tomie trzecim wzmianka szczegółowa o wielkiej liczbie pism i pisarzy dotąd nieznanych. Pod tym względem *Piśmiennictwo* p. Maciejowskiego jest skarbcem.

oświaty ogólnej i każdej gałęzi. Autor zwłaszcza z drobiazgową dokładnością wylicza wszystkie zjawiska piśmienne w naszej literaturze z lat ostatnich dziesięciu do ubiegłego, i pod tym względem pismo to, rzecz nawet można, staje się materiałem dla następców. Rys literatury P. M. Ł. nie jest zapewne bez swoich niejakich wad, albo skaz; do takich na przykład należy: stawianie niekiedy pisarzy następnego okresu pod okresem poprzednim (na przykład książkę *Waga*), przepomnienie o znakomitszych (jak *Hozyusz*), wzmianki takie, iż *Roxolania* pisana po polsku, że z kroniki *Wapowskiego* doszły nas tylko lata od Zygmunta I; że dramat w wieku XVII stał u nas *wysoko*. Z dat najnowszych pośród nieprzepuszczania żadnego prawie autora ogłoszonego gdzieś artykułu, jawne razem przeoczenia lub przepomnienia; jak na przykład: gdy autor przy wyliczeniu pism *Gawareckiego* szereg ich przerywa na roku 1830; mówiąc o *Rastawieckim* czyni go tylko autorem *Mappografii*, jakkolwiek o parę kart niżej mówi obszernie i o *Słowniku Malarzy*; niewłaściwem jest, oczywiście ile kompendium, umieszczenie długiego wypisu bez żadnej zmiany z rozprawy z roku 1832: *Nowa epoka poezji polskiej* (z rozprawy pisaną zdolnie, lecz której autor mając swojego niegdyś kandydata, poetów pierwszej zasługi, jak na przykład autora *Grażyny*, *Fredra* podawał tylko za naśladowców niemieczyzny i francuzczyzny, i w której pisarze już dziś nieżyjący lub rozwinięci, wzmiankowani są jako czyniący dopiero nadzieję i t. p). Wypis tém niewłaściwszy, że autor o kart parę o wszystkich prawie wymienionych w tym wypisie pisarzach wprost przeciwne objawił zdanie. Niewłaściwem znajdujemy także, ile w kompendium, przytaczanie obszernych treści utworów mniejszej wartości. Raz dopuściwszy autor w swym rysie miejsce na treść, słusznieby już bez wątpienia był uczynił, gdyby tu podał takową, lub jakowych pism okresowych, albo zawikłańszego zawarcia (na przykład: większych *fantazji* Zaleskiego, które i nie dla wszystkich miłośników poezji są równie jasne), a nizeli zajmując długie stronnice treścią *Satyr* Naruszewicza albo powiastek *Gadugadu*, które dosyć jest umieć czytać aby rozumieć. Wszakże mimo te wszystkie i tym podobne przeoczenia, przepomnienia lub zbytki, dziełko p. M. Ł. jest, powtarzamy, nader praktycznej wartości, jest pierwszą i jedyną dotąd dokładniejszą książką podręczną dla poznania dziejów literatury krajowej.

T.

# ROZMAITOŚCI.

## SYNOWIE GAJOWEGO.

*Obrazek z nad Buga.*

### I.

Smutną, jednostajną i pospolitą zapewne jest dla wielu okolica lesista: dla jednych majestatyczny i tajemniczy pozór boru o tyle tylko jest cennym, o ile w nim można znaleźć zwierzyny do upolowania; dla drugich, patrzących kupieckimi oczyma, o tyle jest powabnym, o ileby z niego wyrobić można belek, klepek, smoły, potażu i sągów, które żyd zakupi i dobrze zapłaci; dla innych znów nie przedstawia on nic ciekawego, bo w nim nie widać tylko drzewa, krzaki, liście i gałęzie. Ale dlatego, kto umie patrzeć na przyrodę i czuć jej piękność, kogo wzruszają jej obrazy i dla kogo są czytelnymi zgłoskami te dary Boże: dla tego widok boru, będzie zawsze powabnym i majestatycznym.

W jednej z lesistych okolic Podlasia nad Bugiem ku Wołyniowi, rozciągał się las z kilkunastu włók ziemi składający się, jedną ścianą ku Bugowi sięgający, drugą wązką trybą oddzielony od przyległego mu, i w dal sinawym paskiem niknącego lasu, kryjący za sobą wioskę Hryhorów, od której nosił nazwisko.

Dziwnie miłym dla oka był ów las Hryhorowski. Zdała już ścianą równą jakby pod linię, wabił oko rozmaitością i bujnością swych drzew; u spodu rozsadziste krzaki leszczyny tworzyły zda się gąszcz nieprzebyty, ponad niemi białe i smukłe brzozy zwieszały warkocze, wyżej drżąca osika i dęby rosochate rozpościerały grube konary; a ponad tém wszystkim wznosiły się wysokie sosny, wydając się niby rząd olbrzymich

zakapturzonych i zgarbionych mnichów. A gdyś wszedł wewnątrz lasu, to cię uderzały obok naturalnej bujnej i pięknej roślinności, jakiś niezwykle porządek i starunek: dróżki, które go przerzynały, były czyste i proste; pomiędzy drzewami tak czysto, jak gdyby wymieciono, rowy pokopane starannie, mostki na nich całe i mocne, rzeczulka kręta i szparko płynąca, do Bugu wpadająca, przerzynała las w samym środku, dodając mu świeżości i wdzięku; kopce trwale posypane, z wiechami i tabliczkami, oznaczające poręby, obręby, i t. d., wszystko to świadczyło, że ręka czyjaś z zamiłowaniem i bezustannie czuwa nad tym lasem, i w tym starannym porządku go utrzymuje.

W majowej porze, gdy roślinność w całej krasie się rozwija, jakże pięknym był ów Hryhorowski las! Zdawało się, że w nim zieloność liści i murawy żywsza i piękniejsza aniżeli w innych, że w nim kwiecieca różnobarwnego i więcej, i żywszych i liczniejszych odmian kolorów, aniżeli w innych. Wówczas to, z gałęzi drzew i krzaków tworzyły się wiązania, jakby śmiałe i majestatyczne łuki sklepienia żywej zieloności, a na ziemi rozciągał się niby kobierzec zielonego aksamitu, w różnobarwne kwieciste utkany wzory. I zdało się, że w tym lesie, jak gdyby poczuły jego piękność, liczniejszą i głośniejszą były śpiewy ptastwa, brzęk muszek i pszczół; a czy to że w nim rzadsze były polowania, czy też że i zwierz lubował się w piękności tego gaju, częściej aniżeli w innych przemykał przez dróżkę lis lub zając, a przez polanki z podniesionym dumnie łbem, rogaty kozioł lub sarna przechodziły się zwolna, i poily się w przerzynającej go rzeczulce.

W głębi tego lasu, niedaleko od wioski Hryhorowa, na małej polance, do której przez las odewsi dróżka prowadziła, leżała mała osada, z chaty starzej, stodołki i szopki złożona, z kawalkiem ogrodu warzywnego, chruścianym ogrodzonego płotem, zasadzonego kapustą, konopiami, lnem i słonecznikami. Chata ta zwyczajnej struktury chat w ruskiem Podlasiu, z kominem krzywym lepionym, z gniazdem bocianiem na czarnej, mchem obrosłej strzesze, malowniczo wszakże rysowała się na tle zielonem brzóz i sosen wysokich, które dokoła niej szumiały. Osada ta zwała się *Werchlisie*, i była mieszkaniem gajowego, który nad tym laskiem miał dozór, i który go utrzymywał w tym porządku, jakiśmy widzieli.

Wasko *Semenowski* gajowy, chłop prosty, syn gajowego w tymże samym lesie i w tej osadzie, mający lat około sześćdziesięciu; byłto prawdziwy syn lasu, w którym wzrósł, do którego przywykł, i który pokochał. Wdowiec od lat dawnych, Wasko żył tu spokojnie, w ciągłej pracy i staraniu o lesie, wywołanemi zamiłowaniem swych obowiązków i wiernością dla swego pana. Wierność ta, trzeźwość, zdrowy chłopski rozsą-

dek i pracowitość, były jego zaletami. Oprócz tego Waśko był poetą: umiał czuć piękność téj przyrody, która go otaczała, i lubował się nią; nie przesycała go ona ciągłym z nią obcowaniem, ale owszem, o ile to być mogło, że tak powiem, wyexaltowała. Rzadko kiedy spotkać go było można na wsi poblizkiej Hryhorowie, chyba w kościele, w święto; za to w lesie tym prawie zawsze. A charakterystyczną była postać Waśka: wysoki z twarzą czerwoną, siwemi i gęstemi brwiami nad okiem wpadłym i jasnym, ale pełnym życia i rozsądku, z krótką siwą brodą i takimiz wąsami. W czapce rogatęj z grubego kasztanowego sukna, zasuniętej na oczy, w takiegoż koloru sukmanie, w zwykłych postołach, z ulubioną krótką fajeczką w ustach, napotkać go było można często chodzącego śmiałym i pewnym krokiem po lesie; a nierzadko uzbrojonego w rużnicę przez plecy przewieszoną, jak nazywał swą fuzyę skałkówkę, starą, przy zamku owiniętą szmatami. Tu, w tym lesie, było mu tak dobrze, tak kochał te drzewa, które od dzieciństwa jego grały mu miłym szumem, które pielęgnował jak ogrodnik; tak zawsze miał coś do porządkowania, do zatrudnień około barci, do zbierania żołądźi i liści, do odświeżania kopców i poprawiania rowów: że mało go, zdaje się, obchodził świat i siola sąsiednie, a nawet Hryhorów. Po każdej burzy która wstrząsała lasem i huczała nad Werchlisem, robił przeglądy skrupulatne: czy które drzewo nie wywróciło się, czy rowy się nie popsuiły, i brzegi rzeczki nie pozarywały, a oniemal wiedział gdzie które drzewo i drzewko rośnie. Dla kradnących drzewo na opał z wsi poblizkich był nieubłagany, i wiedziano, że bratu rodzonemu i kumowi-by nie przepuścił; albo gdy kto z myśliwych zapędził się w las hryhorowski, czy wypadkiem, czy umyślnie, wówczas psy zabierał i bronił do upadłego.

Waśko miał dwóch synów: z tych pierwszy starszy, lat blisko dwadzieścia mający Paweł, pomagał ojcu w jego leśnych zatrudnieniach, i wedle jego woli kształcił się na gajowego; drugi Iwanko, lat około 14, służył u księdza i na diaka się wedle swój skłonności kierował. Stara Pakulicha krewna Waśka, gospodarstwem kobiecem w chacie werchliskiej się zajmowała.

Pawełko było parobczak rosły, barczysty, silnie zbudowany, zdrowej, wesołej a rumianej twarzy, w której malował się spryt obok swobody i spokoju duszy, jakie dają czystość obyczajów i ciągła praca. Chwacko zawsze wyglądał, bo zawsze wesoły, hukający, rzeźwy, zawsze z piosnką: „oj ta da da....“ która po lesie rozchodziła się daleko, a z którą zawsze biegł do pracy. Kochał i on swój las, po którym tak swobodnie hukął i śpiewał, a który mu echem na te hukania i śpiewy odpowiadał, gdzie ojcu we wszystkim chętnie pomagał, ale jako młody, częściej towarzystwo lubił i do młodych hryhorow-

skich, i na o choty częściej zabiegał. Odróżniał się on od innych parobków wesołością i zgrabnością we wszystkim: to też po ochotach réj wodził, umiał piosnek siła, a gdy huknął głosem prawdziwie leśnym, to aż okna karczmy lub chaty zadrzęły. Żywym i dowcipnym był w odpowiedziach, taniec i zabawę lubił namiętnie, również jak polowanie, a miał także swoją rużnicę podobną do ojcowskiej, ale jój nie używał, tylko wtedy, gdy batko pozwolił, lub gdy polowanie przez pana nakazanem było. Kiedy dziedzic nakazał obławę na wilki, lub wydał polecenie Waśkowi opatrzenia zwierza, ażeby na pewno potem polować; dla Pawełka wówczas byłto fest niepospolity: z jakimże śpiewem i hukaniem, jak ochoczo ze swoją rużnicą, czapkę baranią lub kapelusz nasadziwszy na bakier, ruszał na tę myśliwską wyprawę! A później, gdy psy zagrały goniąc zwierza, jakże serce drżało stojącemu na stanowisku Pawełkowi, jak wzrok natężał i dech w sobie tamował; a gdy mógł strzelić i zabił (a celnie strzelał), wówczas uciecha była najżywsza. Z młodocymi psoty wyrabiał, i tam gdzie on był, śmiechy trwały nieprzerwanie, tak się z nimi droczył, tak pokazywał (przedrzeźniał) różne ptastwo i zwierzęta, a gdy spotkał dziewczęta w lesie szukające orzechów lub grzybów, to im niby odbierał, groził, gonił je i sprzeciwiał się.

Drugi syn Waśka, Iwanko, byłto chłopię szczupłe, mizerne, potulne i ciche. Stary diak hryhorowskiego unickiego kościółka, a krewny Waśka, wziął Iwanka pod swoją opiekę, wyuczył go czytać i pisać; a ponieważ chłopiec od dzieciństwa okazywał spryt, pojęcie i zamiłowanie do służby kościelnej: w krótkim czasie już miał z niego wyręczenie w kościele, i gdy stary często zaniemagał, Iwanko całą mszę z mszałów śpiewał, i wszystko tak jakby sam diak dopełniał. Oprócz tego i księdzu w plebanii rozmaite pełnił posługi: pasał konie, czasem służył za furmana, i za różnemi przesyłkami był używany. Dziwne to było chłopię, i na swój wiek i stan niepospolite. W oczach dużych czarnych i melancholijnych, na czole, widziałeś myśl, w całym układzie powolność i łagodność, a w rzadkim uśmiechu, dobroć i czystość duszy. Jakże prędko Iwanko wyuczył się czytać, jak chciwie potem czytał książki religijne, które mu w plebanii znaleźć się zdarzyło, z jakąż to uwagą i pobożnością pełnił służbę kościelną, i jak uważnie każde słowo nauki lub kazania słuchał i zatrzymywał w pamięci! Już od dzieciństwa patrzył Iwanko na świat innemi oczyma, jak jego stanu i powołania rówieśnicy; nie umiał jeszcze zdać sobie sprawy i wyrozumować, czuł tylko że go wzruszają te wszystkie widoki i objawy przyrody, że mu miło patrzeć na gwiazdziste niebo i na księżyc co się z za Buga wysuwał i mdłym światłem oblewał okolice, że mu mile brzmiały ta harmonia pół wieczor-



na i szum lasu, pośród którego się urodził; i gdy często pogrążał się w zadumy, rozważając po swojemu to co czuł, inni budzili go pytaniami: „ab czom tak dumajesz Iwane?“ A kiedy im odpowiadał, że słucha szumu drzew, że patrzy na piękny zachód słońca i t. p.; to ruszali ramionami i durnym zwali. Gdy szedł za pogrzebem, śpiewając z księdzem pieśni żałobne, do poblizkich mogilek; gdy widział żal głęboki bliźnich zmarłego i słyszał płacz rzewliwy po nim, to i sam płakał i śpiewać nie mógł, a inni kiwali głowami i dziwowali się mówiąc: „ot durnaja detyna! czo hoż win płacze, kole to ni jeho bał'ko, ni kum, ni nawet znakomyj!“

Niedaleko Werchlisia, na otwartej równinie, którą Bug przerzynał, leżało sioło Hryhorów z kilkudziesięciu chat szarych złożone, otoczonych sadami, z których gdzieniegdzie wyskakiwała stara grusza lub lipa, i ocieniała domostwa. O kilkaset kroków od lasu stał mały kościółek unicki, drewniany, czarny, omszony, który znać już kilka przetrwał wieków, pochylony i spaczony w połączeniu z dzwonnica, ze znacznie pochyloną kopułką pośrodku dranicowego dachu, tulił się pod konary kilku olbrzymich lip, rosnących na cmentarzu. Kilka świerków i krzyżów, siła z białymi płachtami, dodawały wdzięku temu ustroniu modlitwy. Nieopodal na polu czerniały mogilki z mnóstwem prostych i pochylonych krzyżów: drugie sioło hryhorowskie, ale ciche, ale smutne, a może nie dla jednego spokojniejsze. Kiedy zadzwoniono w rozbite dzwony, lub gdy mały dzwonek ręką Iwanka zadzwięczył w kopułce; to głos ten biegł do lasu, i tam się w rozliczne echa rozplýwał: i w Werchlisiu słychać go było dobrze. Codziennie wieczorem na Anioł Pański dzwonił Iwankó; to Waśko będący wówczas najczęściej w lesie, przerywał pracę, i Bohorodycię pobożnie odmawiał. A w niedzielę i święto, gdy gajowy był w kościele, to go wielce cieszyło, gdy widział że syn tak zręcznie, tak pobożnie służbę pełni, i że nabożeństwo tak porządnie się odbywa.

Dla młodego, żywego i przystojnego chłopca jak Pawełek, nie było trudnym zająć się i pokochać; jakoż urodna młodyca Paraska, córka zamożnych gospodarzy hryhorowskich, była celem zabiegów i miłości Pawełka. Paraska uchodziła za najładniejszą we wsi, była smagła, wysoka, czarnobrewa, kosy miała czarne i długie, a choć śniada i bez rumieńca, wszakże miło było na nią popatrzeć: a co życzek, a paciorek, a spinek u szyi, a mentalików, a nowych malowanek na niej, a białych lub krasnych chustek na głowie, zawsze u niej widzieć było można, bo lubiła się stroić, zwłaszcza od czasu gdy się z Pawełkiem zbliżyli i pokochali.

To też Pawełko byle czas wolny, byle święto, to biegł do Hryhorowa do karczmy na ochoty: tam hassał z Paraską, albo

do jój chaty zachodził, a w dnie powszednie gdy mniej miał czasu, a chata rodziców Paraski była niedaleko lasu od kościołka; więc schodzili się wieczorem na drodze pod krzyż omszały, i pod rosnący przy nim dąb rosochaty, tam pośmieli się, pogadali, opowiadając sobie dzienne przygody. Pawełek pograł jój czasem na fujarce lub ligawce tęskne piosenki, ta i rozchodzili się. Z jakąż swobodą i lekkością powracał Pawełko z téj schadzki do Werchlisia, jakże radośnie serce mu biło, że ta którą kochał, wzajemnie go kochała; a chociaż wstyd nie pozwalał jój tego dowodnie objawiać, wszakże z jój oczu i słów i całej postaci, tak łatwo Pawełko wzajemność mógł wyczytać! Wracając często po miesiącu, hukął wesolo, a las cichy ni listeczkiem się nieruszył, i pełném echem na te hukania odpowiadał. I zastawał Pawełko starego ojca siedzącego z odkrytą głową przed chatą na progu i przysłuchującego się téj głuszy lasu i patrzącego na te drzewa przyjaciele, przez które fantastycznie przedzierały się promienie księżyca, i które długie cienie na całą polankę rzucaly.

Rodzice Paraski radzi byli skłonności swój córki i Pawełka, bo Waśko był szanowany, i wiedziano, że jest dość zasobny; a Pawełko słynął jako parobczak zwinny, sprytny i pracowity. Waśko podobnież nie był od tegoż, dowiedziawszy się o skłonności syna, bo rodzice Paraski byli uczciwi i zasobni: tak więc do skojarzenia tego małżeństwa szło tylko o formalność swatów, a innéj żadnéj nie było przeszkody.

### III.

Gdy takim było położenie i życie gajowego i synów jego, gdy im dnie przechodziły cicho, spokojnie, a dla Pawełka z przyczyny jego miłości tém więcej powabnie i radośnie; następująca okoliczność sama z siebie niewiele ważna, dla tego ostatniego była wielce znaczącą. Młody pan do którego należał Hryhorów i ów las, u którego Waśko służył za gajowego, jadąc do swego krewnego hrabiego na czas jakiś, gdzie obok zwyczajnych hulanek i bachanalii, polowanie ważną stanowiło rozrywkę, a słysząc o Pawełku, o jego zręczności, sprycie i celném na zwierza oku, postanowił wziąć go z sobą, i tymczasowo go na strzelca pasował. Ubrano go więc w szeraczkową kurtkę, w długie buty, włosy trochę podstrzyżono, dano mu barankową czapeczkę i torbę borsuczą, i tak zgrabnie i ochoczo wyglądając ze swoją rusznicą przez plecy, którą obiecywał popisać się, wyruszył z młodym swym panem do pana grafa, którego majątek obszerny, o mil ośm był oddalony. Łatwo sobie wystawić, że dwór możnego pana wielki i okazały,

mnóstwo sług uliberyowanych, zbytek i wystawa, odurzyły i oczarowały naszego młodego wychowanka hryhorowskiej puszcy. Łechtało to jego miłość własną, gdy go nazywano panem Pawłem, i traktowano a raczono do syta; że zaś był nadzwyczaj pojętny i łatwy do przejmowania ułożenia drugich, wzajem też starał się i ruchem i słowy naśladować służaków, w których się znajdował towarzystwie, i niczém niezgrabném lub niestosowném się przed niemi nie zdradzić. Jakże go zajęło polowanie, widok licznych strzelców, gajowych, leśniczyc w zielonych strojach, biwaki i te wszystkie wygodki i wymysły wielkich panów na tém polowaniu!... Pomimo to wszakże, jak przyrzekł, popisał się gracko ze swą rusznicą, bo ubił ogromnego wilka, co zwróciło nań uwagę samego pana grafa, tak, że raczył do niego przemówić: zapytał o nazwisko i pochwalił. A tak oczarowany tém wszystkiém co widział, i zadowolony że się popisał, powrócił niebawem z panem do domu i do zwyczajnego trybu życia i zwyczajnych zajęć. A co to było opowiadania przed Paraską i w karczmie i po chatach, o tém wszystkiém co widział; i chociaż znów do dawnego powrócił stroju i do dawnych zajęć, zdawało się, że przez ten krótki pobyt w gościnie, ruchy jego ciała były bardziej wyszukane, wymowa więcej staranna, więcej jakiejś pewności siebie, i jakby doświadczenia. I długo Pawełko marzył o tém co widział; i jakkolwiek kochał i Paraskę, i baćka, i las hryhorowski, dusza mu się rwała tam, gdzie tyle nowych rzeczy dla siebie widział, gdzie tak wszystko było po pańsku i dostatnio, aż do zbytku, i wdychał do tego, ażeby jeszcze kiedy mógł tam ze swym panem pojechać.

W pół roku potém, pan graf przybył w gościnę do Hryhorowa, i polowanie na wilki z obławą zarządzoném zostało. Wasko i Pawełko krzatali się niemało, szczególnie też ostatni w wypatrzeniu na pewno zwierza, i w przygotowaniach myśliwskich. Jakoż polowanie mniej świetne, mniej liczne, ale szczęśliwe, powiodło się najzupełniej; i Pawełko jak palnął ze swój rusznicy, tak wilka ogromnego ubił. Pan graf pamiętał o Pawełku, poznał go od razu, i znów pochwalił. A nazajutrz po tém polowaniu, zawołano Pawełka do dworu. Gdy stanął przed swym panem i grafem, ten ostatni przemówił doń: że otrzymał pozwolenie od dziedzica wziąć Pawełka do swych lasów i strzelcem go zrobić z dobrą ordynaryą i niezłą płacą; odwoływał się tylko do jego chęci i zgody. Pawełkowi zaiskrzyły się oczy od radości; lecz gdy wspomniał na Paraskę, na baćka, pomyślał trochę, i drapiąc się w głowę odpowiedział: „Jab chciał proszę Jaśnie Wielmożnego Grafa z duszy i serca; ale kiedy ja się mam żenić, a i baćko nie wiem czy zezwoli.” Ale gdy pan graf odrzekł: że pomimo to, żenić się nikt mu nie

wzbroni; gdy dziedzic dodał, że bał'ko pozwoli kiedy on zezwala; gdy mu przełożono, że jak będzie miał miejsce i dom zapewniony, to mu i łatwiej wtenczas będzie żonę do niego sprowadzić: trafiło to zupełnie do przekonania Pawelka, i chodziło tylko o zezwolenie Waska. Zawołano gajowego do pana, a chociaż zrazu na tę propozycją jakoś się niechętnie godził, mówiąc: że wołałby taki, żeby jego syn u swego pana i w miejscu służył; wszakże gdy widział, że wola pańska taka, i że może dla syna odsłonić się widok świetny na przyszłość, zgodził się i zezwolił, i Pawelko tejże saméj jeszcze nocy, powiększając swiętą służbową pana grafa, miał wyjechać z nim razem, i objąć miejsce nowego swego obowiązku.

\* \* \*

Sliczny był ów wieczór lipcowy dnia tego, w którym Pawelko pożegnać miał hryhorowski las i sioło. Słońce zniżało się ku zachodowi, upał ustawał i rosa zaczynała perlic trawy i ziola. Na zachodzie czyste niebo, nikiące zda się za sinawym paskiem lasów Wołynia, od spodu sine i ciemne, wyżej lekko i stopniowo przechodzące w różową barwę zachodu, a około słońca żywo purpurowe; zwiastowało noc cichą, gwiazdzistą, z drogą mleczną i jasnym a tęsknym księżycem. Na łąkach hryhorowskich około wsi, aż pod las, chwieją się obszerne łąny dojrzewającego żyta, z mnóstwem różnobarwnego kwiecica w swém łonie. Lekki chłodnawy wietrzyk porusza powoli zwieszzone kłosa, lśniące pod słońcem jakby brylantów i rubinów krasą, i biegnie dalej, by zaszumić lekko liściem lip otaczających kościołek, a dalej drzewami lasu, i zniknąć tam niepowrotnie. Lśni stara kopuła z krzyżem na kościele od słońca, a krzyże czarne, omszałe, wznoszące się ponad fałdą kłosów i na dalekich mogiłkach, brzegi swe złoto-purpurową pokrywają obwódka. Gromadka motyli białych, sinych, żółtych, niebieskich, biega swawolnie po kwiatkach polnych, zupełnie kolorem do nich podobnych: rzekłbyś, że to listki kwiatów, które wiatr zerwał, i igra z nimi w rozmaite strony. Świerszcz zaczyna swoją smutną piosenkę wraz z bakiem; i derkacz monotonnym i miarowym swym krzykiem, gdzieś na bagniskach znać o sobie daje; a i przepiórka biegając po brózdach, choć żytko jeszcze nie doszło, raz bliżej, to znów dalej „pójdźcie żać!“ woła; i las hryhorowski zaczyna brzmieć żywszemi głosy ptastwa, po skwarze dziennym.

Ustroiwszy głowę w bławatki, wyszła Paraska ze swéj chaty, i zbierając po drodze kwiecie, przeżegnawszy się przed kościołem, szła ku drodze pod krzyż i dąb stary, z rzewną piosnką na ustach, z nadzieją ujrzenia kochanka, zwłaszcza że od dni kilku, z przyczyny polowania i zatrudnień Pawelka, nie

widziała się z nim i próżno go przez kilka wieczorów wycze-kiwała. Biędna, nie przeczuwała że idzie aby go pożegnać na długo, może na zawsze; by za nim tęsknić i cierpieć w tych miejscach, które on opuścił. Zbierając kwiaty, przerywała śpiew i patrzyła na drogę od strony lasu z niepokojem; chłodny powiew wieczorny igrał z jej czarnym włosom spadającym w dużych zwojach z obu stron twarzy, i z białemi jak śnieg końcami chustki na głowie. Niedługo tak czekała: od lasu niebawem ukazał się Pawełko, a gdy zdala ujrzał białą jej postać, zaczął biedz, i zadyszany stanął przed nią.

— Parasko!—mówił—wy nie wiecie.... ja was pożegnać muszę.... ja jadę....

Dziewczę zbladło, oczy smutkiem zagorzały.

— Wy? a gdzie?!—zapytała przełknięm głosem.

— Pan graf mnie bierze z sobą.—I patrzył na nią z tęskną ciekawością, jakie te jego słowa zrobią na niej wrażenie.

Ona spuściła głowę, odwróciła się, patrząc niby gdzieś w dal, i mnąc w ręku fartuszek, i widocznie lży tłumiąc, odrzekła:

— To jak pojedziecie, to tu o wszystkich zapomnicie....

— Nie bójcie się Parasko—biorąc jej rękę rzekł Pawełko, uradowany tym widocznym znakiem jej współczucia—powrócę, powrócę do was niedługo! Jak tam będę już mieć miejsce i ordynaryą, i płacę i dom; jak się trochę obsiedzę i urządzę chatę, to po was przyjadę i zabiorę.

Dziewczyna stała ciągle odwrócona dławiając się łzami i mówiła zcicha:

— Zapomnicie, oj zapomnicie!...

Rozrzewniony Pawełek rzekł znów z zapałem:

— Parasko moja! w jesień na pokrowę, przyrzekam wam, że przyjadę; żeby tam nie wiem co, przyjadę... Chyba umrę... rozumiecie. Jak nie będę tu u was w sam dzień pokrowy, to znak, że umarł: chyba to jedno. A zapomnieć o was... o! nie troskajcie się o to!... Na znak macie oto mój pierścionek—mówił zdejmując ze swęj żyłastej i spracowanej ręki mosiężny pierścionek—a dajcie mi swój... chyba że wy o mnie Parasko zapomnicie.

I podał jej pierścionek.

Ona mu swój ze smutkiem i niedowierzaniem jakimś podała, a jego na swój palec włożyła, mówiąc ze smutkiem:

— Pamiętajcie wy o tém, bo ja, to o was pewno, pewno nie zapomnę!—i schyliła niby się dla urwania niebieskiego dzwoneczka, a istotnie dla otarcia łez, które kapały z jej oczu.

Tę tęskno-miłosną rozmowę przerwała im postać starego dziada, który szedł zwolna z hryhorowskiego lasu, a którego oni nie dostrzegli, aż gdy stanął przy nich. Był to stary dziad Tymosz, stróż kościółka hryhorowskiego, zgarbiony, niski,

z długimi kręcącemi się a białemi włosami, z krótką siwą brodą, z przenikliwemi buremi oczyma, nosem haczykowatym i ustami wklęsłemi; w podartój sukmanie, z torbą płócienną, w postolach, stanął nad młodą parą oparłszy się na sękatym kijku i zawołał:

— Co tobie Pawle, gdzie nam uciekasz?... Ja coś posyłał we dworze?

Pawełko powtórzył mu o swoim wyjeździe na służbę do grafa.

— A jakże będzie z młodycą?— rzekł stary kiwnąwszy głową na Paraskę, która przy dziadzie starała się przybrać miłą obojętną.

— At, jak będzie? toż ja tam na koniec świata nie jadę, i na pokrowę powrócę.

— Tyło tam do drugiej Pawle ne chody, ne nudy, ne zalicajsia, bo taki staryj Tymosz chciałby na waszém weselu sobie potańcować, horyłku (wódkę) popić, lulku pokurzyć, i żeb ne było tak jak z Semenem: bodaj on zmarnował się! co poszedł na flisy i tam ożenił się, a Marynę ostawił.

Chcąc przerwać gawędę starego dziada, Pawełko rzekł:

— No! Parasko, ja jeszcze zajdę pokłonić się waszym-rodzicom, a teraz pobiegnę do brata; obaczmy się jeszcze, a wy Tymoszu bywajcie zdrowi, i módlcie się za mnie.

I wydobywszy z kaletki trzygroszniak, wsunął staremu w rękę i odszedł śpiesznie.

— Oj dobrze, dobrze,... szczęśliwój drogi! a wracajcie się do nas prędko!... Trzy groszy już dawno nie miałem od ludzi... bodaj oni zmarnowali się! — I schowawszy trzy grosze, szedł zwolna z Paraską ku kościołowi.

Spojrzawszy w oczy dziewczyny, która z tęsknotą i smutkiem w twarzy, z oczyma jeszcze pełnemi łez, patrzyła za oddalającym się Pawełkiem, rzekł dziad:

— Ii nie płaczcie, nie smućcie się Parasiu; będzie dobrze... Pojedzie, ta i wróci się nazad.

— Ja nie płaczę, co wam się śni?...

Stary spojrzał bystro w jęj oczy, i huknął piosnkę aż dziewczyna drgnęła:

Lublu mamu Petrusia,  
A skazaty bojusia... i t. d.

Gdy doszli do kościoła, stary dziad wszedł na cmentarz, ukląkł przed drzwiami i przerywaną kaszlem zaczął modlitwę: „Bohorodycia diwo radujsia...“ a Paraska poszła do swęj chaty.

Pawełko przyszedłszy do plebanii, we wrotach spotkał Iwanka, który szedł dzwonić na Anioł Pański, a gdy nie wie-

dzącemu o niczém, opowiedział o swym nagłym wyjeździe: Iwanko rzucił mu się na szyję i rzewnie zapłakał.

— Czegoż płaczesz durnyju?... toż przyjadę wkrótce, i będę was widywał—pocieszał go rozrzewniony Pawełek.

— A kiedyż wrócisz bracie?

— Wrócę na pokrowę żenić się z Paraską.

— A baćko jakże tak sam będzie?... To mu będzie smutno—obcierając oczy mówił Iwanko.

— Z początku może, ta się i przyzwyczai.

— Jak przedzwonię, to pobiegnę na Werchlisję, nim jeszcze bracie odjedziesz.

I Pawełko pobiegł do wsi żegnać znajomych, podczas gdy po rosie rozlegały się ręką Iwanka poruszone tony dzwonka, płynęły po niwach żytnych i niknęły w hryhorowskim lesie. Pawełko w końcu pożegnawszy znajomych, w których tyle znalazł współczucia, wstąpił jeszcze do chaty rodziców Paraski: tam im się pokłonił, i Paraskę smutną raz jeszcze pożegnał, przyrzekając wrócić na pokrowę. Gdy powracał do Werchlisia, już słońce się skryło za las, pozostawiając zrazu jasną po sobie zorzę, coraz, coraz potém bledniejącą. Rosa białemi tumanami wznosić się zaczynała ponad Bugiem i nad bagnami, i zmrok już szarzał, a na niebie zapalały się gwiazdy jedna po drugiej. W przeciwnym kierunku zachodu coś jakby płomień zamigotał z za lasów dalekich, coraz się wznosząc i powiększając jak luna pożaru; wreszcie ogromna kula księżycy, czerwona i przecięta ciemnym obłoczkiem, wychyliła się zwolna, posuwając się w górę.

Smutno jakoś zrobiło się Pawełkowi gdy ze wsi powracał do Werchlisia i pomyślał, że ma opuścić te miejsca rodzinne i tyle drogich osób, od których tyle zyskał współczucia; ależ i nowość miała powab dlań niepospolity.

Wszedłszy do werchlisijskiej chaty, zastał tam z ojcem i Iwanką. Robiąc zawiniątko, w które baćko trochę grosza dołożył, słuchał Pawełko napominań ojcowskich, o pracy, wierności, pamięci o Bogu, w którychto napomnieniach przysłowie ruskie: „krutynoju świt perejdesz, no nazad ne werneszia“ często wspominaném było; wreszcie ucałowawszy kolana baćka, i pocałowawszy się z Iwankiem, który lzy miał w oczach, wyruszył z chaty ze strzelbą i zawiniątkiem do dworu.

A księżyc już świecił jasno pomiędzy drzewami, laś stał milczący i nieporuszony. Jakby na pożegnanie, stanął, huknął parę razy „oj ta da da“, echo daleko gdzieś odpowiedziało: „da da“, podskoczył kilka razy i poszedł.

## III.

Chciwość nauki, pojętność nadzwyczajna, ochota i pobożność z jaką Iwanko odbywał zawsze służbę kościelną, zwróciły nań prędko uwagę sędziwego proboszcza; a że to był czcigodny kapłan z powołania, umiejący cenić i poznawać ludzi: poznał w krótkim czasie, że szkoda byłoby przy tych niezwykłych zdolnościach i zaletach wieku i stanu tego chłopca, pozostawić go w tém wązkiem kółku terażniejszych jego obowiązków, i że z małym staraniem i pomocą, ta wiotka roślina mogłaby się bujniej rozwinąć i wznieść się ponad inne wysoko. W tym celu postanowił zająć się losem tego chłopięcia, wiedząc, że Wasko niebardzoby mógł i pojmował to zadanie; łożył więc pewien fundusz i oddał do szkół w poblizkiem miasteczku.

Iwanko ze smutkiem, że opuści te strony rodzinne i baćka, a zarazem z radością, że będzie się mógł uczyć, ucałował nogi swego dobrodzieja, baćka pożegnał z płaczem, Werchlisie i las hryhorowski, w którego szumie się wykołysał; pomodlił się w kościele, pożegnał znajomych i pojechał. A tak synowie gajowego wkrótce jeden po drugim opuścili miejsca rodzinne, i stary Wasko został sam w swęj puszczy, tęskniąc za dziećmi, ale pocieszając się, że zgotują sobie los i będą podporą jego starości.

\* \* \*

Z jakąż niecierpliwością oczekiwała Paraska pokrowy, jakże ten czas długim się jęj wydawał i przykrym, gdy jeszcze niepewność, tęsknota i złowrogie jakieś przeczucia serca, pierś jęj wzdymały! Jakże była rada usłyszeć jaką wiadomość od stron w których jęj kochanek przebywał; ale wstyd wstrzymywał ją od jawnego wypytywania się i okazywania przez to swęj miłości. I raz tylko od kuma jęj rodziców, który jeździł w tamte strony, dowiedziała się, że Pawełek zdrów, że ładnie wygląda jak jaki pan w nowym stroju, lecz że żadnego pozdrowienia nie przysyła, bo go ów kum zdaleka tylko i krótko mógł widzieć. A gdy jesień nadeszła, gdy pokrowa była blisko, to niepokój jakiś i tęsknota wzmagaly się w dziewczynie i wybiegala wieczorami pod krzyż i pod dąb stary, który zeschlým i żółtým już liściem szumiał, i patrzyła ku lasowi, z kąd głuchy i ogromny szum drzew do jęj uszu dochodził, a pierś jęj wzdymala się tęsknotą i smutném jakimś przeczuciem i niepokojem, i zdawało się jęj, że przychodząc tu, łatwiej go wyczeka i łatwiej za nim wytęskni. Ale ot, przeszła pokrowa, Pawelka nie było i Paraska kryjąc się przed rodzicami ze swým niepokojem i łzami, schła widocznie, rozmaite smutne wywodząc domysły.



Raz zdawało jój się, że Pawełek nie żyje, że chory może, gdy patrzyła na pierścionek który jój dał; to znowu wpadała na myśl że zapomniał o niój, i w tym wielkim dworze do innój piękniejszój i wyższego stanu swą miłość skierował; i nieraz dręczona temi myślami, zrywała się w nocy z pościeli i chciała biedz nie wiedzieć gdzie, to znów ręce łamała i rzewnemi zalewała się łzami. Gdy kilka tygodni ubiegło po pokrowie, chcąc koniec położyć tym myślom dręczącym, postanowiła prosić Tymosza, ażeby poszedł, i o przyczynie nieobecności Pawelka się dowiedział. Wyjawszy więc z bodeńki swój złotówkę, którą bałko na paciorki jój podarował, pobiegła wieczorem pod kościół szukając Tymosza, i wiedząc, że dziad wcześniej ze swych peregrynacyi powraca i wcześniej się w dzwonnicy na spoczynek układa. Jakoż zastała go jeszcze z rydlem w ręku kopiącego rowek około cmentarza dla ścieku wody.

— Dobry wieczór Tymoszu!—rzekła nieśmiało dziewczyna.

— Dobry wieczór Parasiu!—odpowiedział dziad, przerywając robotę i patrząc się na nią.

— Mój Tymoszu, ja mam do was prośbę...—zakrywając sobie twarz ręką mówiła Paraska—ale się wstydzę.

— Ho! ho! to już wiem czego chcecie Parasiu; stary Tymosz nie taki dumny jak się wam zdaje!—przekrzywiając głowę i wpatrując się w nią, przenikliwie mówił dziad.

— Bo to widzicie..... ja was chciałam prosić: jak pójdziecie na praznik do Huszczy... wszakże pójdziecie?

— Aha! pójdę; to jak pójdziecie—podchwytyjąc ją, dodał stary—to jab chciała żebyście zajszli i do Pawła, i dowiedzieli się o niego.

Dziewczyna spuściła oczy i mówiła nieśmiało:

— Jab wam dała złoty; a jakbyście wrócili to drugi złoty.

— Oj dobrze, dobrze! dawajcie, pójdę taki do Pawła, A cóż jemu powiedzieć?

— Dowiedziecie się czy zdrów; bo on miał tu na pokrowę być, a nie był, a może... jeżelibyście się przekonali że zapomniał o mnie; to mu oddajcie ten pierścionek... rozumiecie?...—i zapłakała, podając dziadowi złotówkę i pierścionek.

— Już ja wiem jak zrobić—zawijając w szmaty pierścionek i złotówkę, mówił stary—ii! nie płaczcie! toż może przyjdzie, a ja się dowiem. Cyt bo cyt, będzie dobrze: jutro pójdę i wrócę prędko. Złotówki dawno nie miałem, to jeszcze na splenie, ta baba Pawicka, bodaj ona zmarnowała się, na prazniku w Kosyniu jak zabrała ta i przepadło.....

— To mój Tymoszu pamiętajcie i wracajcie prędko.

I dziewczyna ocierając łzy, odeszła, a dziad mruczał coś do siebie, i znów się wziął do rydła,

Nazajutrz rano pomodliwszy się i nażegnawszy przed kościołem, obwinawszy się w podwójną łachmanowatą sukmanę, ruszył Tymosz w drogę; a przechodząc przez las, wstąpił do Werchlisia i oznajmił Waškowi, że idzie w okolice gdzie się z Pawełkiem zobaczy, i zapytał czy nie ma co synowi do nakazania. Waško oprócz pozdrowienia i przypomnienia, ażeby nie zapominał o Bogu, o pracy i wierności; nie miał nic więcej do nakazania.

Po kilkodzińowej podróży w której po dworach wstępował i żebrał; po prazniku w Huszczy, który mu dość groszków przyniósł, przybył do wsi pana grafa, i wywiadywał się o Pawełka; lecz mu powiedziano, że pan Paweł przeniósł się do drugiego myjätku grafa o mil dziesięć ztamtąd odległego. Rozmyślał jakiś czas Tymosz, czy wrócić czy iść dalej; ale gdy się już tak rozchodził, a jesień była piękna i pogodna, gdy po drodze nie zgorzej szła jałmużna, gdy przytém chciał dogodzić Parasce od której obiecał jeszcze wynagrodzenie: zdecydował się powędrować dalej, wypytawszy się o wieś i drogę. Stanąwszy na miejscu, wszedł do karczmy ażeby się pokrzepić horyłką, którą dość lubił, a zarazem w celu wywiedzenia się z boku szczegółów o Pawełku, zanim się miał z nim zobaczyć. Trafił na gosposię gadatliwą, która zrazu na zapytanie dziada o Pawle Semenowskim, spojrziała nań jakby zdziwiona, co dziad w łachmanach mógł mieć do niego, i że go tak poufale bez tytułu pana wspomniał; i w dalszym rozhovorze Tymoszowi wypowiedziała, że pan Paweł smali cholewki do panny ekonomówny, że się przyjaźni z pisarzem i synem rządcy, i wskazała mu dworek gdzie mieszkał.

Wyjawszy pierścionek z torby, poszedł do wskazanego dworku; był to ładny domek z ganeczkiem, na końcu wsi stojący już blisko lasu. Mrucząc pacierze wszedł do dworku, do sionki, gdzie ułyszawszy przez drzwi nieprzymkniętą rozmowę, drzwi zwolna uchylił. W obszernej i wybielonej izbie, około stołu przed oknem, siedziało trzech młodych ludzi grających w karty. Pomiędzy nimi poznał Tymosz od razu Pawełka: był on ubrany w zieloną kurtkę, włosy miał ostrzyżone, chustkę na szyi starannie zawiązaną, i wyglądał jak pisarz, ekonom, lub jeszcze coś wyższego.

— Niechaj będzie pochwalony....—rzekł dziad głośno, wchodząc i stając koło drzwi.

Nie odpowiedziano mu „na wieki“: lecz wszyscy trzej spojrzeli na dziada.

— Jak się macie Pawle?... Ja was ledwo poznał.

Pawełko w miejsce odpowiedzi, zaczerwienił się mocno, i jakby zawahał co ma odpowiedzieć.

— Cóż? nie poznaliście starego Tymosza Pawle?

— Czego chcesz dziadzie? po co aż tu włazisz, czy na dworze stać nie możesz?—rzekł z pomieszanem Pawełek, groźną starając się przybrać minę.

— To znać, taki nie poznałeś mię—rzekł dziad kiwając głową—a to pewno i baćka swojego Waska nie poznałbyś; to i Paraski byś nie poznał. Oj Pawle, Pawle!..

— Pijanica jakiś!... plecie sam nie wie co — rzekł ciągle pomieszany Pawełek powstając.

— A tenże pierścionek?—rzekł dziad trzymając w ręku pierścionek—czy jego także nie znasz?.. Mogę ci go teraz oddać. Paraska kazała mi go oddać, kiedy już i jój znać nie chcesz—i położył pierścionek na stole.

— Pierścionek od Paraski?! ha ha ha! zawołał jeden z grających śmiejąc się—a to ładnie panie Pawe! a cóż na to powie panna Teofila?

Pomieszany coraz więcej Pawełek, powstał, i drżącym mówił głosem:—daj mi pokój dziadzie... idź sobie precz! Ja nie znam i ciebie i tych wszystkich, o których mówisz — Wziął go za ramię, wypchnął za próg i drzwi zamknął.

Tymosz słyszał jeszcze śmiechy towarzyszy, i wyszedłszy widział jak przez okno wyrzucił Pawełek daleko gdzieś za płot pierścionek.

— To już tak?! to takij pan..... to nie znasz ni Tymosza, ni baćka, ni Paraski! A bodaj ty tak zmarnował się! he, he!—i mrużąc tak do siebie, odszedł Tymosz, już nie zatrzymując się we wsi.

Łatwo sobie wystawić smutek i rozpacz Paraski, gdy się od Tymosza dowiedziała o wszystkiem. Wybiegała ona często na drogę, i niecierpliwie, gorączkowo wyglądała starego dziada; a gdy ujrzała zdała kiwającą się leniwo znajomą postać Tymosza, podbiegła doń wołając:

— A co Tymoszu? czy żyje? czy zdrów?

— Taż żyje i zdrów..., bodaj won zmarnował się!—odpowiedział dziad machnąwszy ręką.

Dzieweczyna zbladła.

— A pierścionek mój?.....

— Oddałem jemu.....

Tu już odgadła cały ten cios, który przeczuwała; i gdy Tymosz wszystko jój jak było opowiedział, załamała ręce, pokiwiała głową, i zanosła się od płaczu wywodząc żale.

— Oj! moja suchoto! moja dolo nieszczęśliwa!.....

Trudno było ją pocieszać: to téż dziad oprócz dorady, aby o niewdzięcznym zapomniiała, nic więcej na jój pociechę nie mówił, drugieć obiecanej złotówki nie przyjął; a Paraska zawłóklszy się do chaty, długą chorobą przyplaciła ten zawód miłosny.

Tymosz chciał zrazu taić przed Waśkiem tak naganne postąpienie syna, i zrazu na zapytanie gajowego o Pawelku, odpowiadał ni to, ni owo; lecz gadatliwość wrodzona przemogła, i w końcu wypowiedział wszystko, a stary gajowy pokiwał głową i wyrzekł:

— To syn już nie dla mnie, Iwanko tegoby nie zrobił. Niechaj tam jego! — i kiwnąwszy ręką, mocno strapiiony, choć tego starał się nie okazywać, już więcej o tém z dziadem nie mówił.

#### IV.

W jednym z niedalekich miasteczek Hryhorowa, w pięknym, obszernym, murowanym kościele, odbywa się solenne nabożeństwo. W kościele ludu siła, modlą się a szepcą pacierze i zegnają; organy pełnemi i poważnemi tony rozlegają się w świątyni; słońce smugami światła ściele się przez szyby dużych okien, a dym kadzidel wznosi się przed wielkim ołtarzem, gdzie otoczony duchowieństwem młody ksiądz mszę świętą odprawia. Pierwsza to msza młodego księdza, to téż głos jego drżąco i nieśmieie się podnosi, a w bladéj jego twarzy znać tę pobożną radość a zarazem nieśmiałość przy spełnianiu po raz pierwszy téj wielkiej i świętej ofiary.

Ależ oto umilkły organy, dym kadzidel rozszedł się powoli, i młody prymicyant odchodzi od ołtarza i zbliża się do kratak oddzielających presbyteryum od nawy; cisnie się lud pobożny i rzędem klęka, a on na głowę każdego ręce wkłada i szepce modlitwę. Oto przez tłum przeciska się starzec z siwym włossem, czerstwéj twarzy, z zażawioném okiem, z krótką siwą brodą i siwemi brwiami, w kasztanowatej ubrany sukmanie, i w rzędzie klęka z innemi. Zbliża się kapłan i ręce układa na jego głowie, lecz ręce kapłana drżą w téj chwili na siwéj głowie starca, a na twarz jakies rzewne wystąpiło wzruszenie; i dłużej niż nad innemi trzyma swe ręce nad starcem, i dłuższą szepce modlitwę; w końcu ustami dotyka siwych tych włosów, i dwie łzy padają na głowę starca, a i stary drży jak listek osiki, której tyle i tak pięknej w hryhorowskim lesie, i łzy także cieką mu po zmarszczonej twarzy.

Łatwo odgadnicie że to był Waśko gajowy, który doczekał szczęścia widzieć swego syna sługą bożym, i że to były prymicye księdza Jana Semenowskiego. A po skończonym nabożeństwie przed kościołem, ludzie rozmawiali o młodym księdzu z szacunkiem i uszanowaniem, i powtarzali: „to Waśków syn — to Waśków syn“, i kiwali głowami. Mówili tam także i o drugim synie gajowego, który gdzieś w świat poszedł i słych o nim zaginał; i widziano, jak przy wyjściu z kościoła, ten syn w czar-

nój duchownego sukience ukląkł w obec ludzi przed ojcem i o błogosławieństwo prosił, a stary płakał z radości i rozrzewnienia, i błogosławił.....

## V.

W lat dziesięć po opuszczeniu Hryhorowa, trudno było poznać Pawelka. Służbę zmieniając często, służył on wreszcie u jednego z możnych panów na Wołyniu, jako ekonom dużego i dorobnego folwarku, i działało mu się dobrze. Widząc go, nigdyby powiedzieć niemożna było, że to ten niegdyś żywy i dziarski parobczak, tak czerstwy, tak rumiany i swobodny; wychudły, wybladły rozpustą i trunkiem, zatarł on w sobie zupełnie dawny charakter, i przeobraził tak, iż zdawało się, że w nim ani jednej cząstki dawnego Pawelka nie zostało. Że to nie było pod pańskim okiem, oficjalistom działało się dobrze, między nimi też i pan Paweł opływał we wszystko; mieszkał w ładnym dworku, hulał, kradł pana, jak ludzie mówili, a ostatnio konkurował o córkę dzierżawcy pobliskiego, za którą spodziewał się wziąć trochę grosza. Pozornie zdawało się, że to był szczęśliwy człowiek, ale ktoby zajrzał do jego duszy, widziałby tam obok kału i zbrudzonych uczuć, obok nałogów nagannych, niepokój, czasami i zgrzyotę; i te wyrzuty, które często w chwilach samotnych, w chwilach rozważgi opadają winnego i dręczą tém więcej, im więcej je zagłuszać usiłuje. I nie raz w tém obfitującym w fizyczne wygody życiu, obraz ojca starego którego się wyparł, o którym zapomniał, który może w niedostatku umarł przeklinając syna, co go się wstydził; obraz brata o którym także od lat dziesięciu nie słyszał i nie dbał; i ta pierwsza miłość Paraski zakłócały mu spokój. I gdy porównywał życie terażniejsze z dawniejszym, gdy swobodny, wesóły, w sukmance, hukał po hryhorowskim lesie; o! wówczas tęsknił do tych chwil; a jednakże brnął dalej, i o ile można, głos ten duszy w sobie zagłuszał.

\*     \*     \*

Żadną najtyczanką i parą żwawych kasztanków, jechał pan Paweł z Wołynia do dóbr tegoż pana u którego służył, położonych w królestwie, wysłany w interesie przez rządzącą dobr. Przejeżdżając przez jedną wioskę już z téj strony Buga, odległą o mil kilkanaście od Hryhorowa, zatrzymał się dla popasu koni przed karczmą. W téj wsi był kościół, i właśnie wówczas odbywał się odpust, bo mnóstwo ludu przed kościołem, kramiki z drobiazgami zwykłymi na odpuscie, i często odzywające się dzwony, świadczyły o tém. Dla skrócenia sobie czasu, podczas popasu koni, lecz nie w żadnej myśli pobożnej, bowiem od

czasn wyjazdu z Hryhorowa zapomniał całkiem o Bogu, o pa-  
cierzu, który dawniej co rano i wieczór z ojcem odmawiał,  
poszedł pan Paweł ku kościołowi. Tu gwar rozmowy, pieśni  
dziadowskie, odgłosy świstawek i fujarek sprzedawanych po  
kramikach; ten lud w ceglanych sukmanach, do którego da-  
wniej należał, a którego się teraz wypierał i wstydził; ta mowa  
którą dawniej mówił: wszystko to żywe obudziło w nim wspo-  
mnienia o rodzinném miejscu; przypomniało praznik hryhorow-  
ski, i tém żywiej rozbudziło te dręczące i zgryźliwe myśli, które  
go tak często opadały. Wszedł wszakże do kościoła, przeci-  
snął się przez tłum, i stanął pod chórem w miejscu nieco wol-  
niejszym od natłoku. Organy rozlegały się w pełnej i maje-  
statycznej harmonii, dzwonki dzwoniły przy ołtarzach, gdzie  
się liczne msze odprawiały. W chwilę umilkły organy, i na  
kazalnicę wszedł młody kapłan ściągłej bladawej twarzy,  
z czarnemi myślącemi oczyma, w białej komży, z różową u szyi  
kokardą; i zaczął głosem miłym, dobitnym, czytać ewangelią.  
Ewangelia ta była o odpowiedzi Chrystusa faryzeuszom i do-  
ktorom, o owcy zgubionej i o radości w niebie nad jednym  
grzesznikiem pokutującym, większej, aniżeli nad 99ciu, którzy nie  
potrzebują pokuty, i kończyła się słowy: „Taka, powiadam  
wam, będzie radość przed aniołami bożemi nad je-  
dnym pokutującym grzesznikiem“. Uchwyciwszy te  
ostatnie słowa rozwijać je zaczął kaznodzieja w pełném pięknych  
i wzniosłych myśli słowie o miłości Boga, o Jego dobroci i mił-  
osierdziu nieskończoném; o powrocie do żalu i pokuty tych, którzy  
odeń odstąpili. Każdy jego wyraz czyto w prośbie łagodnej do  
słuchaczy, czyli téż w groźbie, nosił na sobie cechę tego we-  
wnętrznego przekonania o prawdzie którą ogłaszał. W miarę  
zapału z jakim przemawiał, twarz jego ożywiona pokrywała się  
rumieńcem, oczy dziwnym uroczym jaśniały blaskiem; to znów  
głos mu drżał i oczy łzami zachodziły tak widocznie czuł to  
co mówił, i co chciał przelać w słuchaczy. Słowa jego proste,  
jędrne, zrozumiałe były dla ludu prostego; niemniej poruszyły-  
by one do głębi człowieka więcej oświeconego, więcej wyma-  
gającego. To téż cisza w kościele, łzy w oczach słuchaczy,  
świadczyły o tém, że cel swój osiągnął, i do gruntu ich serca  
poruszył. I Pawełek słuchał, a z razu głos ten dziwne w nim  
obudził wrażenie; odbijał się on o jego duszę jakby coś dawno  
znajomego; a las hryhorowski, ojciec, brat i Paraska, żywiej  
mu niewiedzieć czemu na pamięć stanęli. Nie mógł sobie z te-  
go zdać sprawy, ale słuchał dalej; a słowa kapłana, powoli, po-  
woli, przebijały twardą oponę grzechu i zepsucia, pokrywającą  
jego duszę, i wywołały żal i tęsknotę za dawném, czystém  
i swobodném życiem; żal szczery za to występne terazniejsze  
zycie, ale z razu, żal bez pociechy i nadziei. Lecz drżącym

i przenikającym głosem wymówione słowa kaznodziei: „Miłosierdzie boże jest wielkie, byle żal, byle poprawa,“ w lały promyk nadziei w jego zrozpaczoną i skruszoną duszę, że to życie może być jeszcze wolnym od tych zgryzot, jakie przy największych dostatkach niemilém go czynią; że może jeszcze powrócić ten pokój, którego od opuszczenia Hryhorowa niekosztował; że ojciec jego jeszcze żyje, i że go przy zgonie nie przeklął; że mu jeszcze wszystko darować może i pobłogosławić; że zmieniawszy to życie pełne występków i rozpusty, żyć będzie dawnym życiem pośród tych, których się wyparł i zawstydził. Tą łaską bożą oświecony, po skończoném kazaniu wybiegł z kościoła z sercem wzdętém od żalu, skruchy, tęsknoty i niepewności, a w uszach brzmiał mu ten głos, który go tak do głębi poruszył: „Miłosierdzie boże jest wielkie, byle żal, byle poprawa“.

\* \* \*

W tydzień potém, Pawełko ubrany w dawną swoją sukmanę, biegł na spienionym koniu przez las hryhorowski do Werchlisia. W oczach jego wpadłych i podsiniawych, znać było jakby obłąkanie; włosy i ubranie jego były w nieładzie, i popędzał konia z gorączkową niecierpliwością, pochylony naprzód. A wielką zmianę dostrzedz było można w lesie hryhorowskim od owój pory: dużo drzew było wyciętych, dróżki i linie dawniej tak czyste, teraz pozarastały; dużo drzew powyracanych i gałęzi pociętych; nie było już znać tego starunku, téj czystości i porządku, jakimi się dawniej ten las odznaczał. A gdy wjechał na polankę rodzinną, gdy ujrzał zamiast chaty i całej osady, kupę gruzów, i śladu nawet ogródka nie dostrzegł, z piersi jego wydobył się krzyk przerażenia, i myśl, że ojciec jego umarł, rozpaczą napełniła jego piersi. I biegł dalej chcąc się stanowczo o swym domysle przekonać, a spotkawszy idącego drożką starego chłopą, którego może znał dawniej, ale w téj chwili poznać nie mógł, zwolniwszy biegu, wołał stłumionym i drżącym głosem:

— Gdzie Waśko Semenowski gajowy, czy żyje... czy umarł może?.....

Chłop spojrzał zdziwiony na tę dziwną niepokojem i niezwykłym wzruszeniem tchnącą postać, i odpowiedział:

— A tam w plebanii, u księdza.

Ciężar spadł z piersi Pawełka, i nadzieja w oczach zabłysła; i pocwałował żwawo ku plebanii już nie wdając się w dalszą z chłopem rozmowę. Wyjechawszy z lasu, ujrzał Hryhorów, stary, bardziej poczerniały, bardziej drzewami ocieniony; a w miejsce starego kościółka, ujrzał w témże samym miejscu nowy, zgrabny, ze świecą kopułką. A krzyż, około którego

schodzili się z Paraską, pochylił się znać przez burzę; a dąb stał jak dawniej wyniosły i okazały, bardziej może rozrosły. Przybiegłszy na dziedziniec plebanii, puścił konia, i wbiegł do dworku, do sieni: wtém, we drzwiach do izby prowadzących, ukazuje się młody ksiądz, o twarzy bladawej, ściągłej, pełnej łagodności, o oczach czarnych, myślących, spokojnych. Pawełek wpatruje się... ta twarz gdzieś mu znajoma... tak! to ów kaznodzieja, któremu winien swe nawrócenie..

— Mój ojciec... czy tumój ojciec Waško?..—Pawełek pyta.

Zachwiał się na to zapytanie młody kapłan, postąpił, i wyraz:—bracie mój, Pawle!—drżąc wymówił; i rzucił mu się w objęcia.

Pawełek oniemiał; nie wyrzec zrazu nie mógł, a łzy tylko obfite puściły mu się z oczu, i cisnął do swych piersi brata, który dziwném zrządzeniem Opatrzności, wpłynął na jego nawrócenie. Trudno opisywać tę chwilę pierwszego uniesienia między braćmi: była to wymowna spowiedź szczerego żalu jednego przed drugim, przeplatana łzami żalu jednego, i słowami pociechy kapłana. Następnie ksiądz Jan opowiedział Pawelkowi, że ojciec słaby już od dawna; że często wspomina o nim, i boleje i narzeka na niewdzięczność syna, ale że zawsze jest skłonny do darowania mu wszystkiego, i prosi Boga, ażeby Pawelka mógł jeszcze przed śmiercią zobaczyć; w końcu dodał, że musi ojca przygotować powoli do widzenia się z nim, gdyż to wrażenie mogłoby słabość jego powiększyć. Zostawiwszy więc Pawelka w pierwszej izbie, wszedł do przyległej, i po chwili powróciwszy, wziął brata za rękę, przyprowadził przed łóżko na którym leżał stary Waško ze zmienioną twarzą; i rzekł:

— Oto syn marnotrawny, ojcze, który błaga przebaczenia; daruj mu, bo żal jego szczerzy i wielki.

Tu Pawełek ukląkł, całował z płaczem nogi starca, a stary zapłakał, i przerywanym a stłumionym głosem mówił:

— Wiem, żeś się mnie powstydział... i żeś pewnie zapomniał o Bogu i cnocie; ale kiedy istotnie żal twój prawdziwy, daruję ci, i błogosławię...

\*

\*

\*

Nazajutrz stary Waško Bogu ducha oddał, a w dni kilka syn jego proboszcz hryhorowski i Pawełek, odprowadzili go na mogiłki.

\*

\*

\*

A Pawelko wkrótce przyjął służbę lesniczego u pana hryhorowskiego, wybudował sobie na Werchlisiu domek, i tam wśród szumu drzew, pośród których się urodził i wychował, osiadł, pracując i starając się las ów do dawnego przywieść po-



rządku. Korzystając z rad i nauki brata, żyjąc z ludźmi, których się dawniej wstydził, przez żal i poprawę, zwolna do dawnego powrócił spokoju i swobody.

Stary Tymosz poprzedził nieco Waśka, i umarł na kilka tygodni przed nim. Paraska przechorowawszy swój zawód miłosny, i popłakawszy jeszcze trochę, poszła wkrótce potem za mąż, za jednego z sąsiednich wiosek parobczaka.

*Leon Kunicki.*

### *Doniesienia literackie.*

#### WARSZAWA.

Wyszedł zeszyt IV Kościołów warszawskich, text J. Bartoszewicza, drzeworyty Michała Starkmana, i obejmuje: kościół księży Pijarów na ulicy Święto-Jańskiej, z drzeworytem, oraz pomniki grobowe dla Stanisława Konarskiego, Onufrego Kopczyńskiego i Edmunda Andraszka, i kościół Po-Pauliński Św. Ducha wprost ulicy Mostowej, z drzeworytem.

— Druk trzeciego tomu „Słownika malarzów polskich“ E. Rastawieckiego już się rozpoczął. W ciągu kilku miesięcy będziemy więc mieli całe tak ważne i sumiennie opracowane dzieło, a jedyne co do swjej treści w literaturze naszej.

— Po wyczerpaniu wydania: „Historyi literatury polskiej w zarysach“ K. Wł. Wójcicki przygotowuje drugie wydanie przerobione i pomnożone, które w 2-ch wielkich tomach wyda księgarz G. Sennewald. Tom I-szy w r. b. opuści prasę drukarską.

— Antoni Czajkowski, professor w uniwersytecie petersburskim, dawny współpracownik Biblioteki Warszawskiej, nadesłał kilka utworów poetycznych, które w następnych zeszytach pomieścimy. Jeden poemat p. n. „Bianka“ przypisał tłumaczowi bezimiennemu: Pan dwóchset wysp, „czołem bijąc, poświęcam ten przekład w dowód wysokiego szacunku.“ Winniśmy przeto zawiadomić, że tłumaczem Pana dwóchset wysp, jako i poezyi p. n.: „Paproć“ jest pani Ilnicka. A. Czajkowski (jak w liście swoim do K. Wł. W. donosi) przygotował wiele rozpraw prawnych, które zachowuje do specjalnie prawnego pisma, jakiego potrzeba u nas oddawna uczuwać się daje“.

— S. Orgelbrand rozpoczął już druk X-go tomu Historyi powszechnej Cezara Cantu. Tom ten zamyka całość przekładu tego wielkiego dzieła. Tłumacz Leon Rogalski, w tomie XI-tym ma dać nam obraz literatury ludów słowiańskich. Praca ta wcielona do dzieła Cantu, będzie mogła być i oddzielnie nabytą.

— Powszechną, miłujących zasługi dla kraju, zwrócił uwagę ogłoszony w Dzienniku Warszawskim testament ś. p. Konstantego Świdzińskiego, który nieocenione swoje zbiory przeznaczył na użytek publiczny, i fundusz na zakupienie odpowiedniego domu lub wybudowanie, przeznaczył. Życzyćby należało, aby odpowiadając woli zmarłego, jeden z wyznaczonych opiekunów zajął się bezwzględnie zbieraniem od autorów i wydawców dzieł ważniejszych, któreby we właściwym czasie zbgacie mogły zakładać Świdzińskiego. Od chwili bowiem śmierci jego, zbiory te nowemi dziełami nie zostaną zasilone. Myślimy, że każdy z auto-

rów chętnie jeden egzemplarz ze swych prac, na cel tak szlachetny poświęci.

— Główny redaktor Tygodnika lekarskiego Dr. L. Natanson, zdając sprawę w nr. ostatnim r. z. o zbiorze dziesięcioletnim swego pisma, staraniach i pracy w utrzymywaniu takowego, ofiarował rsr. 150 za trzy najlepsze prace oryginalne, nadesłane redakcyi w ciągu roku i umieszczone w tém piśmie, a zatem po rsr. 50 za każdą, bez względu na jej obszerność, stosownie do uznania kompetentnych sędziów, których imiona dla gwarancyi, obok imion uwiecznionych autorów w końcu roku umieszczone będą. „Jakkolwiek małoznaczące będzie (pisze L. Natanson) powyższe wynagrodzenie, to pewni jednak jesteśmy, że chluba otrzymania nagrody pobudzi niejednego lekarza do wsparcia swą pracą pisma, które założone bez widoków spekulacyjnych, jedynie wspólne dobro lekarzy krajowych ma na celu“.

— Znakomity artysta, nasz rodak E. Boratyński, osiadły we Florencyi, zajmuje się obecnie w Monachium kopią dwóch pięknych portretów Zygmunta III-go króla polskiego i królowej Konstancyi, wielkości naturalnej i w całej postawie, malowanych przez Rubensa. Portrety te będą w Warszawie, gdyż je zamówił znany nasz uczony badacz dziejowy A. Przedziecki. Wierny ich przerys (w chromolitografii) ma być dany w seryi 2-ój „Wzorów sztuki“.

— W Wrocławiu, w przekładzie niemieckim ma wyjść wkrótce powieść J. I. Kraszewskiego „Ostap Bondarczuk, a na czele tłumacz ma dać życiorys naszego autora. Pragnęlibyśmy wszelako, aby w przekładzie niemieckim określono wyraźnie okolice, w której rzecz się tej powieści dzieje, dla objaśnienia cudzoziemców; tym bardziej, że treść cała w najmniejszej części nie może się stosować do Królestwa Polskiego. „Chata za wsią“ jedna z najpiękniejszych powieści J. I. Kraszewskiego, która wiele innych utworów jego przeżyje, ma wyjść w przekładzie francuzkim.

— Z początkiem b. r. zaczęło wychodzić w Poznaniu tygodniowo pismo peryodyczne p. n.: „Przyroda i przemysł“. Wydawcą jest Ludwik Merzbach drukarz poznański, redaktorem głównym Julian Zaborowski. W drugim zeszytce ogłosił taką odezwę do pisarzy polskich nakładca L. Merzbach: „Pranąc opatrzyć to pismo w artykuły jak najlepsze, a przytém wzbogacić literaturę nauk przyrodzonych, i dać pole zdolnościom może nieznanym; wzywam wszystkich piszących do udziału w konkursie rozpraw: z dziedziny nauk przyrodzonych, przemysłu lub agronomii, pod następnymi warunkami. Nagrody rozpraw uznanych za najlepsze są: 1-sza 40 dukatów; 2-ga 20 dukatów; 3-cia 10 dukatów. Rozprawy, którym nagrody zostaną przyznane, stają się własnością nakładcy. Ten oprócz nagród płaci zwykle przy tém piśmie honorarium arkuszowe. Rozprawy powinny: 1) być napisane oryginalnie, zrozumiale i popularnie, nigdzie nie drukowane. 2) Zapełnić przynajmniej 6 arkuszy Tygodnika wspomnionego, i mogą zawierać rysunki potrzebne do objaśnienia. Rozprawy ubiegające się o nagrodę, winny być odsyłane franko pod adresem nakładcy, z dołączeniem godła i nazwiska autora, w osobno zapieczętowanej kopercie, przed dniem 1 maja r. b. Nazwiska osób składających komitet, który przyzna nagrodę, czasu swego będą ogłoszone, a przyznanie nagród nastąpi 1 czerwca r. b.“

— Seweryna z Zochowskich Prusakowa ukończyła opowieść poetyczną p. n.: „Kacper Miaskowski“.—J. K. Gregorowicz, redaktor główny Gazety Codziennj i Rolniczej, pracuje obecnie nad książką dla rzemieślników.—Leon Kunicki przygotował do druku trzy tomy rękopismu p. n.: „Nad-Bużne“ obrazy i powiastki, które zamierza wkrótce drukiem ogłosić.—Józef Paszkowski, znany już zaszczytnie w piśmiennictwie naszym, zajmuje się od lat wielu przekładem dramatów Szekspira. Ukończył i przygotował do druku: Juliusza Cezara, Koryolana, Macbeta, Hamleta, Noc letnią, Kumoszki z Windsoru i w. i. Wkrótce damy poznać czytelnikom w piśmie naszym tę znamienitą i sumienną pracę, umie-

ścimy bowiem dramata niedotknięte dotąd piórem polskiem.—Powieść K. Wł. Wójcickiego p. n. „Pałac i Dworek”, z której część 1 tomu Biblioteka nasza podała, ukończona w druku, wyszła z pod prasy.

— Gazeta Codzienna ogłasza ustęp z powieści Michała Grabowskiego (Edwarda Tarszy) „Pan Kaniowski”. Zaleca ją wierność kolorytu miejscowego, i dosadnie odmalowane charaktery, a wiernie i z prawdą.—Zygmunt Kaczkowski, o którego powieści dobijają się nasze gazety, ma wykończoną powieść ludową. Powieść ta, której tytułu nie znamy, ma być drukowaną w jednej z gazet warszawskich.

— Z dniem 1-ym marca wychodzić zaczęła „Gazeta Codzienna” w formacie powiększonym do wielkości Gazety Warszawskiej i Dziennika, bez podniesienia ceny prenumeracyjnej. W odcinku drukuje najnowszą powieść fantastyczną Dra Teodora Tripplina, która ciągnąć się będzie przez miesiące marzec i kwiecień; po niej nastąpi powieść Zygmunta Kaczkowskiego w jednym tomie, osnuta na tle historycznej przeszłości.

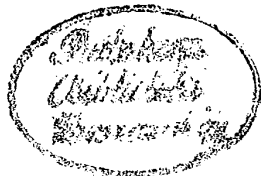
— W ciągu b. m. wyjdą zeszyty: V-ty i VI-ty, drugiej seryi, „Wzórów sztuki średniowiecznej” wydawanych przez Alexandra Przezdzieckiego i Edwarda Rastawieckiego. Zawierać będą 4 tablice, z których 3 przedstawiają grobowiec króla Kazimierza Jagiellończyka w katedrze krakowskiej, dłuta znakomitego Wita Stwosza; a 4-ta pomnik grobowy biskupa Piotra z Bnina, we Włocławku. Trzy pierwsze tablice wykonane są wedle rysunków p. Łuszczkiewicza, profesora malarstwa w Krakowie, a czwarta wedle rysunku tutejszego artysty W. Gersona. Wkrótce po nich wyjdą zeszyty VII-my i VIII-my z portretami Zygmunta Augusta i trzeciej żony jego królowej Katarzyny Austriaczki, wedle Cranacha, z obrazkiem Matki Boskiej, po królowej Maryi Ludwice, i z klejnotami z XVI-go wieku. O tych zeszytach podamy później bliższą wiadomość. (Prenumerować można na drugą seryą Wzórów u osób na okładkach tego dzieła wymienionych: w redakcyi Biblioteki Warszawskiej i Gazety Codzienniej, oraz we wszystkich znaczniejszych księgarniach w Warszawie i na prowincyi).

— Władysław Syrokomla (Ludwik Kondratowicz) wydał część drugą „Chatki w lesie”, a dwie te części stanowią całość. Część pierwsza z małemi odmianami, na amatorskim teatrze w Suderwi d. 9 sierpnia r. z. była grana, dla uczczenia naszego poety i w jego obecności. Syrokomla sam o tem wspomina z rzewnym uczuciem we wstępie do 2-jej części.

*Lwów.* (Z listu). Znany wydawca Pamiętników Koniępcolskich i wojny chocimskiej Stanisław Przyłęcki, pracuje nad dokładną bibliografią polską. Jestto ogromna praca, która może być zadaniem całego życia. Alexander Batowski oprócz Kodexu Tynieckiego, zebrał bardzo znaczne materyały do rokосу Zebrzydowskiego z rękopismów współczesnych. Rzecz nadzwyczaj ważna, co wielce objaśnić zdoła ten dotąd fałszywie przedstawiany ustęp dziejów naszych.—Nakładca, który ofiarował potrzebną summę na wydanie „Monumentów”, na co oczekiwaliście, cofnął swoją deklaracyą, i Bielowski wyszukuje, czy nie znajdzie nakładcę, któryby pojmując wielkie znaczenie tego dzieła, chciał przyjść w pomoc wydawcom. Może u was kto się znajdzie, bo my mało mamy ludzi z głową i sercem. Tłumacz „Oberona” Wiktor Baworowski, zajął się przekładem „Child Harolda”. Witowski przerabia i poprawia drugie wydanie swojej historii naturalnej.

—•—

*Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.*



**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**  
**w Obserwatoryum Astronomiczném**

**WARSZAWSKIÉM.**

***Styczeń, 1856.***

Styczeń 1856.

Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obser.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziomem 14m.45s.,7 czyli w łuku 18°41'25,"5 na

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stusstopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. sredn. dzienna
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god.rano	god.rano	godz. w.	godz. w.	god.rano	god.rano	godz. w.	godz. w.	
1		762.69	763.27	762.67	761.52	— 1°.7	— 0°.9	— 1°.9	— 1°.9	
2		760.34	760.27	758.97	758.58	— 2.1	— 2.9	— 3.1	— 4.2	
3		757.23	757.53	756.38	756.10	— 6.5	— 7.3	— 6.5	— 6.9	
4		755.75	755.52	756.68	756.85	— 6.7	— 5.8	— 6.7	— 6.7	
5		756.93	756.49	754.95	752.43	— 6.7	— 7.0	— 6.8	— 6.9	
6		748.11	746.31	743.30	741.30	— 8.2	— 5.6	— 2.7	— 1.3	
7		739.38	739.56	737.84	736.89	— 3.0	— 1.9	— 1.5	— 0.5	
8	☉	732.08	730.98	728.76	728.79	— 0.2	+ 1.1	+ 2.9	+ 0.2	98.7
9		728.79	728.93	731.28	734.94	+ 0.8	+ 1.5	+ 0.8	— 0.6	99.3
10		738.66	739.31	738.16	737.87	— 1.1	— 0.7	+ 0.4	+ 0.6	96.5
11		736.41	737.28	740.80	745.26	+ 0.4	+ 1.4	+ 0.1	— 2.7	96.0
12		749.12	750.17	752.35	754.43	— 5.4	— 4.2	— 4.8	— 7.6	—
13		758.58	761.11	764.31	766.29	— 8.7	— 8.1	— 7.6	— 8.2	—
14	☾	764.16	763.40	762.49	762.02	— 6.1	— 4.9	— 3.0	— 4.0	—
15		759.43	759.20	754.35	751.08	— 8.7	— 7.7	— 3.6	— 6.4	90.7
16		747.46	747.10	746.28	746.62	— 5.6	— 3.1	— 0.2	+ 0.4	98.2
17		748.71	749.72	751.19	751.87	+ 0.2	+ 0.4	+ 0.7	— 0.6	99.0
18		749.62	749.33	746.94	745.43	— 3.3	— 1.3	+ 0.8	+ 1.2	91.5
19		744.09	744.60	744.44	745.17	+ 1.2	+ 1.7	+ 2.2	+ 0.3	97.5
20		742.51	739.56	737.00	737.18	— 1.0	+ 0.4	+ 2.3	+ 1.8	94.8
21		737.72	737.72	735.44	735.58	+ 1.5	+ 0.8	+ 2.7	+ 3.1	96.2
22	☉	737.30	738.29	739.03	739.56	+ 2.7	+ 2.5	+ 3.5	+ 1.7	94.5
23		739.81	740.28	740.59	741.82	+ 0.8	+ 1.6	+ 3.3	+ 2.5	96.3
24		741.92	741.86	742.36	742.75	+ 1.2	+ 2.4	+ 2.9	+ 1.6	99.2
25		738.46	738.42	736.68	736.54	+ 3.1	+ 3.6	+ 5.4	+ 2.9	94.5
26		737.38	738.42	740.10	742.57	+ 1.1	+ 2.1	+ 3.1	+ 1.4	95.5
27		745.02	745.70	745.84	745.27	+ 1.2	+ 1.6	+ 2.8	+ 0.2	95.0
28		742.40	741.55	741.23	742.49	— 0.7	— 0.3	— 0.0	— 0.7	99.3
29		742.86	743.14	742.22	741.17	— 0.2	+ 0.4	— 0.4	— 2.1	96.0
30	☾	739.69	739.79	739.28	738.64	— 0.9	— 0.6	— 1.6	— 7.3	95.7
31		737.77	737.41	735.20	734.29	— 3.5	— 1.3	— 1.5	— 6.9	91.2
śre.		745.819	745.878	745.391	745.519	— 2°.13	— 1°.36	— 0°.58	— 1°.86	96.0

## watorium Astronomiczném Warszawskiem.

ziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie wschód względem południka paryzkiego.

S T A N N I E B A				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god.w.	10 god.w.	dé- szczu	śnie- gu
poch. l. mg. pochmurny pochmurny pochmurny pochmurny	mgła pochmurny pochmurny pochmurny pochmurny	pochmurny pochmurny pochmurny pochmurny pochmurny	mgła pochmurny pochmurny pochmurny pochmurny	PnZ. PdW. PdW. PdW. Pd.	PnZ. PdW. Pd. PdW. PdW.	— PdW. PdW. PdW. —	PdW. PdW. PdW. Pd. Pd.		
pochmurny pochmurny pochmurny pochmurny pochmurny	lek. zamat. pochmurny pochmurny pochmurny pochmurny	lek. pochm. pochmurny dészcz pochmurny pochmurny	pochmurny pochmurny pogodny pochmurny pochmurny	PdW. Z. PdW. PdZ. PdZ.	PdW. Pd. PdW. PdZ. PdZ.	PdW. PnW. PdZ. Z. W.	— — Pd. Z. PdW.	2.8	
pochmurny pochmurny pogodny pochmurny pogodny	pochmurny lek. pochm. napół pog. pochmurny pogodny	pochmurny lek. pochm. lek. zamat. pochmurny pogodny	pochmurny pogodny pochmurny pochmurny napół pog.	PdW. — Z. Z. PdW.	Z. PnZ. PnZ. Z. Pd.	Pn. Pn. Pn. Z. PdZ.	PnZ. — Z. Z. Pd.		
pochmurny mgła pogodny dészcz pr. pogodny	pochmurny poch. l. mg. lek. pochm. pochmurny pochmurny	pochmurny pochmurny lek. pochm. pochmurny lek. pochm.	pochmurny pochmurny lek. pochm. lek. pochm. pochmurny	PdZ. — Pd. PdZ. PdW.	PdZ. Z. Pd. PdZ. Pd.	Z. Z. PdZ. PdZ. Pd.	Z. Z. Pd. Pd. PdZ.	4.0	
poch. mgła pochmurny pochmurny mgła pochmurny	pr. pogodny pochmurny pogodny dészcz napół pog.	lek. pochm. pochmurny pochmurny pochmurny lek. pochm.	pochmurny pochmurny pochmurny lek. pochm. pochmurny	PdZ. PdZ. Pd. Pd. PdZ.	PdW. PdZ. Pd. Pd. Pd.	PdW. Pd. Pd. Z. Pd.	Pd. d. PdZ. Pd. PdW.	1.0 1.4 6.8 5.2	
pogodny pochmurny pochmurny pochmurny pochmurny	pochmurny napół pog. śnieg mgła pochmurny pochmurny	pochmurny lek. pochm. pochmurny pogodny pogodny lek. pochm.	pochmurny poch. mgła pochmurny pr. pochm. pogodny napół pog.	PdZ. Z. PnW. PdZ. Z. Z.	PdZ. Pd. Pn. Z. PdZ. Z.	Z. Pd. Z. Z. Z. PdZ.	Z. Pd. PdZ. Pd. PdZ. PdZ.	1.0	8.8 2.0 4.8
								22.2	15.6

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	745.652	27	6.545
Najwyżej barometr dochodził d. 13 o g. 10 w.	766.29	28	.694
Najniżej — — — d. 8 o g. 4 w.	728.76	26	11.056
Średnia zmiana dzienna barometru	3.451		1.530
Największa zmiana dzienna barometru d. 11—12 o g. 10 r.	13.89		6.157
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	5.696		2.524
Średnia temperatura stycznia wynosi: i ta jest wyższa o od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	— 10.48 C. 3.96 „	—	1°.18 R. 3.17 „
Największe ciepło było d. 25 o g. 4 w.	+ 5.44 „	—	4.75 „
Największe zimno — d. 13 o g. 6 r.	— 8.7 „	—	4.32 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.058 „		6.96 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 15—16 o g. 10 w.	6.8 „		1.646 „ 5.44 „

Termometrograf wskazał:

Maximum: + 5°.7 R. d. 25 p. p.

Minimum: — 8°.0 „ d. 15 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 96.0, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 4.73 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blisko o 0.02 większa od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 22.2 mil. czyli 9.84 lin. par.; z śniegu 15.6 mil. czyli 6.91 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 37.8 mil. czyli 16.75 lin. par.; ilość ta wody jest o 2.48 lin. par. większa od tej, jaka średnio u nas w styczniu spada.

Dni pogodnych było 1, napół pogodnych 2, pochmurnych 28.

— deszczu 9 (d. 8, 9, 19, 20, 21, 22, 24, 25, 26).

— śniegu 5 (d. 11, 16, 28, 30, 31).

— mgły 8 (d. 1, 5, 9, 17, 21, 24, 27, 29).

Wichrów było 1 (1 Z).

Wiatrów mocnych 3 (3 Z.).

Wiatr panujący: południowy, często były także: południowo-zachodnie, zachodnie i południowo-wschodnie.

Styczeń r. b. był niepogodny, wilgotny, słotny, przeszło o 3 stopnie R. cieplejszy niż zwykle; w pierwszej połowie zimny, w drugiej łagodny i ciepły jakby w porze wiosennej. Najcieplejsze dni były: d. 7, 20, 22, 23, 24, 25, 26, 27; najzimniejsze: d. 2, 3, 4, 5, 11, 12, 13; niektóre dni odznaczały się prawie wiosennem ciepłem i tak: d. 23 i 25 termometr w południe na słońcu pokazywał 10 stop. R. ciepła. Barometr osobliwie w drugiej połowie przy wietrze południowym i południowo-zachodnim utrzymywał się nisko. Stan nieba był niepogodny; w stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest: 4.1 : 6.7 : 20.2; w r. b. stosunek tych dni jest jak 1 : 2 : 28. Począwszy od d. 8 grudnia r. z. aż do dnia 8 stycznia r. b. przez dni 11, sadz gęsta pokrywała ciągle drzewa. Elektryczność atmosferyczna w dniach 1, 13, 15 18 była silna.

D. 30 między godz. 7 a 8 wieczór, świeciła zorza zodyakalna.

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**



**BIBLIOTEKA**  
**WARSZAWSKA.**

**PISMO POŚWIĘCONE**

**NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.**

**1856.**

**Tom drugi.**

**OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXII.**



*P*  
*117152*  
**117152**

**WARSZAWA.**

**W DRUKARNI GAZETY CODZIENNÉJ.**

—  
**1856.**

Wolno drukować; z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury,  
po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, d. 14 (26) marca 1856 r.

*Starszy Cenzor,*  
**F. Sobieszczański.**





*Władysławowi Syrokomli*  
tę przyjacielską pamiątkę przesyła autor.

---

## JERMOŁA.

O B R A Z K I W I E J S K I E

PRZEZ

*J. I. Kraszewskiego.*

---

Amor omnia vincit.

Było to na Polesiu wołyńskim, w jednej z tych szczęśliwie zapomnianych okolic, przez które dotąd ani trakt pocztowy, ani żaden większy nie przerznął się gościniec; w zapadłym kątku, gdzie życie jest niemal średniowieczne i średniowieczna panuje prostota i poczciwość, rubaszość i ubóstwo. Proszę mnie nie pisać, jakobym przez to chciał dać do zrozumienia, że wielkimi traktami z cywilizacją razem maszerują wszystkie występki z mantelzakami grzechów na plecach; ale, ale, jest podobno chwila między jednym a drugim życiem, przejście w którym nim się nowe wyrobi, a stare umrze, pozostaje tylko dość nieciekawe ni to, ni owo. Ta chwila już gdzieindziej wybijająca na zegarze, nie przyszła jeszcze dla okolicy naszej;

żyło się tam, zwłaszcza po małych dworkach, na wzór XVI i XVII wieku, ich obyczajami, ich wiarą i trybem. Wprawdzie żółto pomalowane bogatsze dwory pół-panków już zaczynały przodować jakiejs reformie, ale ta drobnój szlachcie wydawała się jeszcze niczem więcej jeno monstrualném dziwactwem. I mogłoby być inaczej w poczciwój téj dziurze, do której gazety dochodziły miesięcznemi paczkami, pocztę stanowili żydzi jadący na szabas do miasteczek, a handlowy ruch ograniczał się targami na bydło i łapcie (wyjmuję drzewo, o którym niżej). Są ludzie, którzy uwierzyć może nie zechcą, że kąś taki znajdować się może na świecie; ale najprawdziwsza prawda, że na Pińszczyźnie w Zarzeczcu są, lub niedawno jeszcze były dwory, gdzie się dopytywano o zdrowie króla Stanisława Augusta, zostając w zupełnej niewiadomości wypadków, które od Kościuszkowskich czasów ubiegły. Nikt tam nie widział żołnierza, nikt nie znał urzędnika; a ci, co jeżdżą płacić podatki do Pińska, niebardzo pytają komu je składają, i obwijając w chustkę kwit, nie wdają się w czytanie, które niebardzoby się im zapewne powiodło.

To tylko między nawiasami, bo w okolicy o której mowa, nie tak już było dziko: i kalendarze berdyczowskie dochodziły tu regularnie ostatnich dni grudnia, niosąc z sobą promyk cywilizacyi i zasób najpotrzebniejszych wiadomości dla tutejszych obywateli; na czele ich planetę mającą panować, ciekawą nowinę Wielkiójnocy, wschody i zachody słońca, i sposób wygubiania pluskiew wynaleziony w Anglii! Poczta była nie dalej jak o mil dziesięć, ale po nią bogatsi posyłali raz w miesiąc, lub co najdalej w sześć tygodni: niektórzy nawet tą drogą odbierali listy.

Większość jednak, powiedzmy prawdę, uważała za daleko pewniejsze w razie interesu, choćby o mil pięćdziesiąt wyprawiać umyślnego posłańca. Nie ma na świecie całym posłańców jak Poleszucy: nikt tak szybko nie chodzi, tak się nie dopyta, nie dotrze, o odpowiedź nie dokuczy i cało ze wszystkich niebezpieczeństw nie wyjdzie. Na oko wziąłbyś owego w szarej świecie, obwieszzonego sakwami i prowizyą łapciów odartusa, za włóczęgę lub żebraka; gdy tymczasem za okładzinami jego czapki lub cholewą buta,

w świstku papieru krociowa często sprawa i najważniejszy interes spoczywa. Pan Bóg stworzył Poleszuka na posłańca: przewącha zawsze drogę najbliższą, trafi wszędzie i prześliźnie się z nieporównaną szybkością. To też w nałogach szlacheckich jest dotąd posłańiec; i poczta najlepsza nie potrafi go zastąpić. W każdej wiosce jest takich kilku kwalifikowanych pieszaków, którzy per pedes apostolorum o kilkadziesiąt mil chodzą, i byle im parę złotych czystego zarobku, gotowi pójść z listem do Kalkuty. Dotąd trwa podanie o takim Poleszuku, którego jakiś pan Ogiński wyprawił do kuzyna swojego do Paryża, a ten mu w kilka miesięcy odpowiedź z pokłonem dostawił.

Posłańiec Poleszuk choćby miał konia, to go nie użyje, uważając go raczej za niepotrzebny ciężar, niżeli za siłę pomocniczą.

Aleśmy się znowu rozgadali nie do rzeczy z tą charakterystyką poleskich posłańców: wróćmy więc do przedmiotu. Okolica nasza, której położenia geograficznego bliżej oznaczać nie widzimy potrzeby, nie tak zapadła jak pińskie Zarzecze, między niem a Wołyniem usadowiona, stanowiła coś pośredniego. Był to wielki szmat kraju jeszcze po większej części zarosłego lasami sosnowemi i dębowemi, wśród których na roztrzebionych polach tu i owdzie siedziały zakopcone smolnemi dymami wioski. Horyń spławny przerzywał bory dając im wysoką cenę handlową, i główny dochód dóbr na nich też polegał. Przy prostocie obyczajów i życia tutejszego, które wykwinieć by ani potrzebowało, ani chciało, wszyscy tu niemal robili majątki i tyli na starość. Mięso najdrożej sprzedawało się funt po trzy grosze, a żydzi je od wrót do wrót rozwozili; baran ze skórą płacił się około 3 złotych, chleba nie brakło, zarobku także: a na pozór nędzny, kołtunowaty, czarny Poleszuk nie mieniałby się na swój byt z pokażniejszym Wołyniakiem. Wieśniak tutejszy nie spuszczał się na rolę, ma różne sposoby zarabkowania, które mu nie dopuszczają obawiać się zbytnio nieurodzaju, będącego klęską ostateczną gdzieindziej, zwłaszcza gdy jakich nie siedm, ale bodaj dwa lub trzy lat po sobie głodnych wypadnie. Las i rzeka od których go nie odpychają dziedzice, stanowią dlań nieprze-

brane źródło drobnych dochodów i przemysłów. Las naprzód, mało co lub nawet po wycięciu towaru nie nierobiący stosunkowo dziedzicowi, wszystkiem jest dla chłopka; gdyż zarobkowanie z takich rzeczy jak kora dębowa, lipowe łyka, obody, płozy, wyrób naczyń gospodarskich, obręcze, łapcie, łoża do wyplatania, skatki na podpał, i t. p., nie zajmuje dworu, a wieśniak wszędzie prawie dotąd jeszcze swobodnie wyrabia co chce, psując nawet młodzież i najlepsze drzewa. Suszone grzyby, jagody, dziki owoc jabłoni i grusz, tarnina, dają także choć niewielki grosz w potrzebie. Na brzegach rzeki zarobkują rękami: najmują się na flisów, stawiają więcierze i saki, jéżdżą z poświatem i ościami: dość, że tu z głodu umrzeć nie można; a choć bieda dokuczy (bo gdzież ta dobrodziejka nie zajrzy), byle przednówek przekotać, wlecze się dalej a dalej. Trafiają się i tu ciężkie, czarne, jak je u nas nazywają godziny; trafia się chléb pieczony z plewą, z korą, z owsem, z hreczką, ale świat nie byłby światem, żeby na nim wciąż było jak w niebie.

Po dworach to także patryarchalny żywot, do którego utrzymania handel i zamorskie kraje niewiele się przykładają, tak że niemalby się bez nich obejść tu można, trochę ścisnąwszy. Wszystkiego dostarcza wioska, wszystko się robi na wsi, a z kupnych rzeczy to tylko cukier, kawa, butelczyna wina frankońskiego zwanego tu francuzkiem, jaka ówieré funta herbaty, trocha pieprzu:—ot i po wszystkiem. W bardzo téż wielu razach cukier się zastępuje miodem, który nie nie kosztuje, kawa cykoryą, herbata rumiankiem i daleko zdrowszym lipowym kwiatem lub melissą, wino miodem i wódką, a pieprz chrzanem. Mięso bije się w domu lub żydek je przywozi o ko po dziewięć, po siedm i po sześć groszy, w dodatku ofiarując ozory i flaki; drób hoduje się na folwarku, świece leją się u siebie, suknotka na starożytnym warsztacie, rozczulającym prostotą, płótna snują na wsi, i nie ma rodzaju majsterstwa, którego byś w znaczniejszych wioskach nie znalazł. Kowal, stelmach, cieśla, bednarz, mularz choć nie tędzy, aleć przecie są. W razie gwałtownej potrzeby, gdy przypilni a majstra nie ma, wyrwie się Poleszuk, który widział kiedyś jak coś gdzieś robiono, podejmie się spro-

bować, i najczęściej tym sposobem zepsuwszy kilka razy, wychodzi na professyonistę.

Nie powiem, żeby tu bardzo kwitły przemysł i sztuki;... ale też w Polesiu niewiele się wymaga od artysty. Szewc kiedy ci but uszyje, prawda że zdaje się na pozor nie na ludzką nogę stworzony: taki czegoś okrągły, niezgrabny, twardy i jakby z żelaza wykuty. Ale po probuj chodzić: we dwa lata po wodzie i błocie ani dratwa nie puści, ani ci skóra pęknie, takie to sumienne i gruntowne.

Nogi się nie pytają jak jój tam będzie: niech Pana Boga chwali że ją skóra pokrywa, a podeszwa zastępuje żywą; nagniotki uważają się za naturalne następstwo lat i pracy, nie winę obuwia....

I tak we wszystkiém co się tu robi: mocno, bezpiecznie, grubo, a choć dla oka niepokaznie, choć rozpierzczonym niewygodnie, tém gorzej oku co się popsuło, i skórze, która się wydelikaciła. Dodam, że każdy rzemieślnik w tym szczęśliwym kraju, w którym z professyi ich niewielu, a najwięcej amatorowie, bo wszyscy potrosze są wszystkiém, uważa się sam za artystę, istotę wyższą, poczęści niezrozumianą i nie ocenioną przez współobywateli, mającą prawo dźwigać do karczmy swą wyższość zapoznaną, z dumą godną szacunku, ale wartą razem śmiechu. Stosunki z dworem, wysiłek ducha na odgadnienie niewyuczonych tajemnic rzemiosła, uczucie siebie jako niezbędnego w społeczeństwie członka i jednej z osi koła towarzyskiego, budzą to uczucie, które i w innych kręgach i pod innymi strefami znajdzie się tak jak na naszym Polesiu. W tym względzie niejeden artysta paryzki stoi na równi z tutejszym szewcem. Znałem szczególniej jednego łatacza.... Ale to znowu byłby niepotrzebny epizod: idźmy dalej i nie zbaczajmy z drogi.

Rozległe lasy stanowią tu wszędzie tło i opasanie każdego widoku. Wśród nich gdzieniegdzie spotkasz polanki, błyszczą stawki i rzeczutki, kisną odwieczne nieosuszone błota, zielenieją sianożęcia nawpół łozami zarosłe, szarzeją i czernieją chaty odwiecznym okopcone dymem. Jak błyszczący pas, srebrny Horyń majestatycznie przerzyna się środkiem drzemiącej okolicy, którą ożywia i wzbogaca: maleńkie miasteczka tutejsze

prawie wszystkie leżą nad jego brzegami, Gdziein-dziej nie dałoby się to nazwać imieniem tak wiele obie-cującym, ale w Polesiu, gdzie targowica i niedzielny zjazd, cerkiew i kościół, rynek, a nadewszystko więcej niż jeden żyd, to już miasteczko.

Hość Izraelitów stanowi wartość miejsciny: im wię-ciej ich, tém się bogatsze nazywa. W każdej takiej małej stolicy jest królujący w niej Boruch, Zelman lub Majorko, który handluje wszystkiém, dostarcza cze-go się podoba, od kozucha do zegarka, kupuje zboże i plewy, ma dom zajezdny, arak, tytuń i cukier, a zna na wylot sąsiedztwo całe, pełen mając pugilares listów je-go i kwitków. Kramnica w rynku po większej części zastosowuje się do potrzeb biednego wieśniaka, po-czawszy od garnka, pasa, czapki, do żelaza, soli, dzieg-ciu i t. p. Dwa lub trzy sklepiki bławatne, kilka ko-rzennych—ot i wszystko. Na łasce żydków żyje całkiem takie miasteczko: oni są jego duszą. Zresztą mieszczan-ine zarazem zajmują się rolą: bo u nas mało jest takich osad, gdzieby gospodarstwo rolne nie wchodziło po słowiańsku do zajęć mieszkańców! Trochę ubogiej szla-chty, jakiś tam ubogi urzędnik, ksiądz proboszcz, ofi-cyaliści dworu:—ot i reszta ludności. W ciągu tygodnia pusto, dzieci żydowskie po ulicach grają w kregle i ka-myki, kury, kozy i krowy chodzą w rynku swobodnie; za to w niedzielę ani się precisnąć tyle drew, tyle fur, taki gwar i żwawy targ na wszelkiego rodzaju produk-ta, a raz w rok w dzień odpustu lub prężniku, to jar-mark całą gębą. Wówczas i markietani we trzy lub cztery powózki przyjeżdżają i budy stawiają na placu, i żyd czapnik na wysokich żerdziach rozwiesza przy ścianie swe ponętne wyroby, i cygan konował, i szejne katarynka, i towarzystwo ogromne. Zjeżdżają się wszyscy dobrodzieje z żonami z sąsiednich parafii, wszyscy ekonomowie i pisarze, szlachta czynszowa, i wieśniacy co jakiś towar niezwyčajny, jak np. skóry, wełnę, sukno, płótno i t. p. mają do zbycia. Aż pocie-cha patrzeć, aż miło słuchać co to tam za gwar, rwetes, jakie wre życie potężne. W rynku co chwila ktoś dobija targu i idą do karczmy zapijać mohorycz; a tu baby z cebulą, czosnkiem i tytuniem, z krasnemi pasami i za-paskami strach co zbierają groszaków. Nazajutrz po



jarmarku, ba! nawet do pierwszego ulewnego deszczu, który te ślady sptucze, poznasz jedném wejrzeniem na placyk co się na nim działo; niekiedy nawet krwawe zarzniętych koz i baranów pobojuwiska, straszniejszych się rzeczy pozwalają domyślać, niż w istocie były.

Za ten dzień jeden szatu, okolica rok cały najczęściej spoczywa w tój błogiój odretwiałości, w tój smętnej ciszy, która tu stanowi tło powszedniego bytu. Człowiek najczęściej mimowoli, ale musi zastosować się do tego, co go okraża: nie jesteśmy nigdy zupełnie wyzwoleni z pod tych wpływów, jakim ulega gąsieniczka zielona na liściu zielonym, czerwona w krasnym owocu. W krajach drzemiących jak Polesie, gdzie szum drzew odwiecznych, błoto do snu kołysze, a spokojem oddycha się w ciężkiem, wilgotniem i smolnemi dymy przesyconém powietrzu, mieszkaniec zamknięty powoli uczuwa coraz tępij płynącą krew, coraz wolniej krążące myśli: zachęwa mu się spoczynku, wzdryga się na burzliwe losy i przyrasta jak grzyb do ziemi. Włośniacy w czterdziestu kilku leciech zapuszczają brody, a panowie w tymże wieku wkładają szlafroki, zrzekają się fraków, pozwalają wąsom rosnać jak im się podoba, i jeśli żonaci nie wyjeżdżają z domu, a kawalerowie poczynają się domyślać, że ożenienie do niczego nie prowadzi, prócz niepotrzebnej subiekty.

Odwiedziny są tu bardzo rzadkie, choć stosunki przyjazne: w lecie gorąco, w zimie mroźno, w jesieni błoto i grzęzawica, na wiosnę bywają komary. Przewycięża się lenistwo tylko na imieniny kochanego sąsiada, lub w gwałtownej potrzebie. A że bez posiłku jakiego i wyżyć niepodobna, żyd arendarz pospolicie go dostarcza. Przychodzi on zawołany lub w porze zwyczajnej, staje w progu i poczyną zdawać sprawę z tego, co pochwycił w ciągu tygodnia w swych wycieczkach, czy też co od przyjeżdżających do młyna, do kowala, do folusza postyszał. Tu się zwykle nie więcj dowiaduje nad to, kto ile posiał, kto co zżał, czy gdzie nie wyjechał, czy sprzedał i po czemu, kto do kogo i po co jeździł i t. p.; ale ta odrobina karmi na jakiś czas dostatecznie, kieruje gospodarstwem, zachęca, niecierpliwi, odpycha, a niekiedy z domu dla sprawdzenia wypędza.

Nie szukajmy tu naturalnie żadnych nowostek, ani zbytniego do nich popędu: niedowiarstwo raczej i wstręt idą przed niemi. Wszystko się robi po staremu; ale za to chęcieli tradycyi żywej, czynnej, pamiątek i śladów zgasłego gdzieindziej życia przeszłości, nigdzie ich więcej jak tutaj. Pan dzieli z czeladzią głęboki dla nich szacunek, a jeśli go Bóg pokarał ziarnem filozofii, nawet w takim razie niby się śmieje z przesądów, ale w kątku im hołduje, bo z krwią i mlekiem, z powietrzem i słowem weszły weń od dzieciństwa.

Będzie tak, że we wsi od lat pięciuset zamczyska nie ma, a taki miejsce gdzie dwór stoi, podzamczem się nazywa; drwa wioząc dla dziedzica powiedzą: na zamek. Gdzie była stara cerkiew, dziś może ogród dobrodzieja i kartofle, ale zagony te mianują monasterzyskiem i t. p. Na rozdrożu mogiła od wieku wpadła w ziemię bez śladu, krzyż się z nią obalił i spruchniał; tylko po gęstszym chwaście poznasz gdzie ziemię użyznił: a nie przejedzie ci chłop, żeby obyczajem pogańskim gałęzi lub kamyka na to miejsce nie rzucił. Żyje tu wszystko co żyło: i powieść o założeniu osady oboranej parą czarnych byków, co ją ma bronić od zarazy i pomorku na bydło, i historia jakiegoś kniazia, który się w stawku utopił, i napad tatarski, i bajka o dwóch braciach co się w jednej kochając dziewczynie zabili, a ona z żalu po nich na mogile ich się obwiesiła.

Pieśń jedna powtarza się od lat tysiąca, obyczaj jeden rządzi zawsze niemi, i są mu wierni jak obowiąz-kowi zaciągniętemu względem ojców.

---

Przenieśmy się teraz w opisaną okolicę nad brzegi Horynia.

Przyznam się, że pomimo przywiązania mego do naszej ziemi, są lata w których wiosny u nas, pięknej owój, świeżej, zielonej, wesołej, zefirów pełnej, poetycznej wiosny, dopatrzeć się trudno: wygląda ona na bajkę wierutną i niepotrzebnie na zaoskonomie pożyczony grecki mythus. Zaczyna się tu od wichru i deszczu nawpół ze śniegiem, od błota nawpół z mrozami, od skąpój zieleni przypruszonej szronem, i przykrzejszego nad zimowy mróz chłodu, przejmujących nocy i dni w cie-

niu nabawiających dreszczem, zbytkiem jakiejś surowizny w powietrzu; potem nagle po syberyjsku przechodzimy do nieznośnych upałów, a zima podawszy rękę latu, wiosnie całkiem broni przystępu na ziemię. Nie wiem gdzie się wówczas podziewa zachwalona owa i opiewana wiosna sielankowa, którą tak regularnie zapowiada na 9 marca Berdyczowski kalendarz, tak jak nie wiem co się dzieje ze starymi księżycami, gdyż wielkiej podpada wątpliwości owa dawniej przyjęta teoria nianiek, wedle której Pan Bóg z nich nowe miał wykrawać gwiazdy, a okrawki zrzucił i otrząsał deszczem areolitów. Wiosna zapewne musi wówczas biedna wędrować gdzieś sobie do innych krajów, jeżeli to prawda wedle Kämtza i innych meteorologów, że pewna suma ciepła i chłodu zawsze się w roku bez niedoimki wyszafować musi, tu czy gdzieindziej: może więc pociesza chłodniejsze strefy, lub dodaje ciepła gdzie go aż nadto. Bądź co bądź, to pewna, że u nas często jejność swego obowiązku nie pełni; nie zawadziłoby jej przypomnieć, że może w końcu stracić miejsce jak urzędnik nie pełniący służby, lub obywatel po kilkakroć nie stawiający się na wybory, który się sam ipso facto od wotowania odsądza.

Nieznośniemy się rozgadali, nie prawdaż? A wiecie kochani czytelnicy (jeżeli kochani) czego to jest skutkiem? — Nie starości jeszcze, nie chęci powiększenia tomu, ale postuszeństwa krytyce, która poprawiać każe i poprawiać bez końca. Ile razy przepisuje się rękopism na nowo, zawsze się coś doda, a że oto raz trzeci, chwala Bogu tę powiastkę przechodzę, narosło w niej przypisków bez końca. Już teraz powracam do wiosny, a od niej da Bóg doczekać, jakoś się powoli dobijemy do celu tej fantastycznej podróży.

Są tedy szczęśliwe i u nas lata, kiedy wiosna zbierze się przyjść w porze, jeśli nie na zawołanie kalendarza Berdyczowskiego, to na przepowiednie chłopskie, i spełnia święcie co do niej należy.

W tym roku o którym mowa (chronologia na nieby się nie przydała, a czasy niezbyt są dawne), właśnie się upamiętała bałamutka i dawszy zimie wytrzymać z mrozami i śniegiem do drugiej połowy marca, jakby jej na

świecie nie było, niespodzianie potém wionęła od południa wiatrem ciepłym i deszczem kroplistym: sptukała paskudną poczerniałą skorupę, przejęła do gruntu stężale ziemię, zaświeciła słoneczkiem wesołym, tak, że w chwili nastąpiła czarodziejska zmiana dekoracyi.

Wszystko tylko zdawało się oczekiwać znaku, będąc w gotowości do odegrania swojej roli: bociany oddawna już przechadzały się wychudzone nad ciepłymi źródłiskami, długimi dzioby napróżno macając ich głębie, wśród której tylko kawałki lodu pływały; skowronek marzył, ale śpiewał biedak zagładając ku słońcu; na drzewach pączki były nabrzmięte i pełne, wilcze-tyko i leszczyna promyka tylko czekały, by zakwitnąć; trawy niecierpliwiły się pod kilkomiesięczną pleśnią. Jak tylko wionął wietrzyk, spadł deszcz i wiosnę postyszano nadjeżdżającą, zapachniała ziemia i piorunem ruszyło się wszystko. Dzień jeden ogromne zrobił zmiany: bocian podleciał i na oschłym zaklekotał gnieździe, skowronek puścił się śmielój w górę, wilcze-tyko całe się ustroiło w różowe kwiaty, leszczyna swe purpurowe rozwinęła lilijki, trawa powyskakiwała z ziemi, anemony pootwierały się, pijąc chęciwie pierwszą kroplę rosy i pierwszy promyk światła; powysychały kałuże niezgłębione, poweselało, rozjaśniło się, świat stał się innym i odmłodniał.

Wiosna tego rodzaju przychodząca w porze i taka jaką być powinna, wszędzie jest piękną, ale nigdzie może wdzięczniejszą jak nad brzegami rzek wielkich, gdzie ruch i życie budzi potężne. Nad Horyniem rozlanym ogromnie, szeroko zatapiającym ługi, i gdzieniegdzie wykradającym się aż na pola, w lasach zalegających brzegi jego, szczególnie pięknie było i wesoło. Wprawdzie bór czarny nie pozieleniał jeszcze, ale czuć już w nim było budzące się życie: powietrze miało tę woń wiosenną wilgotnej ziemi, pączków, trawy, wody, tak miłą i upajającą, która tajemniczą ma własność przypominania nam lat młodych; wody szemrały zwyciężko potamawszy nie tylko lody, ale groble i zasieki, niosąc co gdzie na drodze pochwytały i rozrzucając na brzegi; las choć szumiął suchymi jeszcze gałęziami, ale już inaczej, innym językiem jak w zimie.

Nad rzeką ludzie ruszali się także po zimowym spoczynku, biorąc się do handlu i pracy: wiązano drzewo w gąski, przyrządzano pasy, gromadzono rozpierzchłe bale, gotowano się do żeglugi, a świeżo zbudowana skarbówka oporządzała się właśnie, aby za chwilę wypłynąć z komendantem téj wyprawy. Tak zwana skarbówka jestto na mocno związanej tratwie, często zgrabnie i schludnie zbudowany domeczek z tarcic, w którym na czas żeglugi mieści się gospodarz i wódz, kassa, policya, rachunki, spiżarnia, wódka w kufach i piekarnia dostarczająca chleba dla czeladzi. Nie wiem jak tam skarbówka do Gdańska przychodzi, może okopcona, brudna, zszarzana i niepozorna; ale na odjeździe wygląda jak cacko: chciałoby się w niej trochę pobujać po wodach, taka czegoś miła i ładna. Na nieszczęście najpospolitszym jój mieszkańcem bywa gruby, tłusty, sapiący, czosnkiem przejęty, cebulą faszerowany żyd faktor kupiecki.

Właśnie w tém miejscu, gdzieśmy się u brzegu Horynia zastanowili, zółciła się nieopodal od niego mała, ale ładniuchna skarbówka; dokoła niej gęsto stojące pasy tak pokrywały wodę, że po nich nietylko do domku, ale na kilkanaście sążni dalej w rzekę przechodzić się było można. Wszystko to wstrzymane oczekiwało znaku do wyjścia, ale ludzi brakło jeszcze: zbierano flisów, skupowano zapasy, zwlekano od dnia do dnia, a jeszcze téż żadna się na Horyniu nie pokazała partya, któraby ostrogską uprzedziła.

Otoczający kraj choć nagi jeszcze, nie był bez pewnego smutnego wdzięku. Z téj strony szeroko rozlanej wody, nieco odsunięta od ługów rozsiadła się wielka wieś poleska ze swemi chatami szaremi i mnóstwem drzew, które ją umajały latem; z cerkwią starożytną otoczoną krużgankami i oryginalną dzwonnica, z cmentarzem w sosnowym borku, wśród którego gdzieniegdzie białe wytykały się brzozy. Za rzeką ściana borów rozciągała się w prawo i lewo jak zajrzeć okiem, a na płaszczyźnie zajętej wodami, podtopione łoża wskazywały dopóki wody opaść miały. Wieś długa była wielka i stara, jak z wzrostłych drzew panujących nad nią wnosić było można.

Oko szukając w niej dopełniającego całości dworu, domyślało się go na pagórku nad Horyniem; ale zbliżywszy się, w sadzie i drzewach porąbanych okrywających zarosłami i pniakami to miejsce, dojrzałeś tylko ruin drewnianych budowli i smutnej jakiejś pustki. Dom mieszkalny stał napół rozwalony, z kominem jednym już obnażonym, a obok niego z zamieszkałego jeszcze, ale odrapanego dymiło się folwarku. Dziedzica znać tu oddawna nie było, krzyż nawet stojący u wrót dziedzińca wywalił się podgniły i butwiął na ziemi, a płot obłamany przepuszczał idących i jadących, gdy obok wrosłe w piasek wisznice jakby na szyderstwo stały zamknięte, choć w nich już i jednego szczebla nie było.

Między wsią a dworem zamiast dawniej szerokiej drogi, dziś bujnie trawą porostej, wiły się ścieżki powydeptywane przez bydło, które się tu zwykle paść chodziło.

Toż samo opuszczenie widać było i we wsi na tych budowlach, których utrzymanie od dziedzica zależy; ale mimo to binduga, drzewo, zarobek, wlewały tu trochę zamożności i życia.

W chwili gdy się nasza powieść poczyna, na tratwach przygotowanych do wyptynienia, ludzi już było niewielu: mrok powoli padał, chłód od wody zawiewał. Na kłocu porzuconym siedział z fajeczką drewnianą w ustach stary już i przygarbiony człowieczek, a obok niego przechadzał się coś z chłopska, coś z szlachecka i dworska odziany młody parobek. Trudno było poznać po starcu ile lat mógł liczyć sobie: są bowiem fizjonomie, które doszedłszy pewnego wieku zmieniają się tak nagle i starzeją odrazu, że lata późniejsze już na nich nie zostawują śladu. I tu powiedziec było ciężko, czy pięćdziesiąt czy o dwadzieścia więcej miał mały, złamany człowieczek. Niewielkiego bardzo wzrostu, trochę zgięty w krzyżach, z głową łysą i osiwiałą, z zapuszczoną od niedawna, bo jeszcze niewzrosłą brodą i wąsami, cały pomarszczony jak zwiedłe jabłko zimowe, wyglądał dość jeszcze świeżo i czerstwo: cera jego miała krwi trochę, oko blasku, a rysy dawniej regularne z pod pofałdowanej skóry jeszcze się rozpoznać dawały. Wyraz ich spokojnie i łagodnie smutny,

miął niezwyčajną cechę swobody ducha, którą rzadko na twarzy biedniejszych ludzi spotykamy: rzekłbyś, że rachunek jego ze światem całkiem był skończony i że zań czekał tylko cierpliwie obiecanéj zapłaty. Po ubiorze trudno go było zaliczyć do jakiegoś określonego stanu: nie byłto prosty wieśniak, choć strojem niewiele się różnił od niego. Switka jaką miał na sobie była nieco krótszą od sukman poleskich, podpasywał ją skórzany pas z klamrą, spodnie były z cieńszego ciemnego sukna, na szyi chusteczka jakaś staruszka, na głowie czapka z daszkiem wychodzona i wytarta. W téj odzieży ubogiéj, mimo jéj zużycia przeglądało jakieś staranie o siebie: koszula wystająca z za chustki była świeża, sukmana czysta, łapcie na nogach lipowe, parcianemi pooplatane sznurkami.

Stojący naprzeciw staruszka młody chłopek flisak, ni to dworak ni wieśniak także, z długim ciemnym włosiem opadającym na szyję obnażoną, z oczyma małemi piwnemi biegającemi żywo, rysów był właściwych ludowi poleskiemu, z którego pochodzić musiał, twarzy prawie kwadratowéj, ust dosyć szerokich, nieco zadartego choć kształtnego nosa, czoła niskiego ale roztopnego. Ogół jego fizyonomii oznaczał dosyć dowcipu, opromienionego jeszcze młodością i właściwém jéj weselem, a niebaczością na jutro.

— Nas jest w chacie trzech,—mówił do starego—pan mi pozwolił najać się na flisaka, a przyznam się wam, że to życie taki lépiéj mi smakuje aniżeli pańszczyzna i gnicie w chacie pod piecem....

Staruszek ruszył ramionami.

— Ja tu widzę,—rzekł—że ty mnie nie posłuchasz, bo ci się już na flis zachciało, a młodemu jak co w głowie zaświta, nie przekona go nikt, chyba bieda... No, Bóg z tobą, a ja taki powiem swoje....

Rozśmiał się młody.

— A niechżeno ja powiem wam wprzódy co myślę, przerwał, to potem nastawię ucha na to, co mi mówić chcecie. Naprzód to taki młodemu świata zobaczyć nie zawadzi:—nietyle go co w oknie; powtóre już ciż mnie tu swobodniéj z żydem, który zawsze potrochu się boi, choć sam nie wie czego, niż tam z panem i ekonomem; a naostatek i grosz się na podatek zarobi.

— Wszystko to prawda—zawołał stary—i jeszcze by się co dodać znalazło, ale starym oczom inaczéj się widzi: człowiek w téj wędrowce i od chaty i od regularnéj roboty odwyknie, mandrowanie, taj włóczęga zasmakują, a nie ma gorszéj rzeczy, jak swoje gniazdo sobie obrzydzić. Do domu powróciwszy wszystko się wydaje niepotemu: chléb gorzki, strawa postna, ludzie nudni, pańszczyzna ciężka. Zacznie się do żyda i karczmy zaglądać na pociechę, to się do wódki przywyknie:—ot i człowiek przepadł. Gdybym ja miał syna, to bym go nie puścił z domu na żydowskie ręce. Komu Bóg w chacie siedzieć przeznaczył, niech daleko od progu się nie odbija.

Młody chłopak zamyślił się słuchając.

— Albożto—rzekł po chwili—zaraz już człowiek ma zapomnieć w czém wyrósł i do czego się urodził? Oj! nie, ojcze, nie! Albo to co złęgo świata zobaczyć i umieć co na starość dzieciom powiadać? Prędzéj się zatęskni za swemi niż swojego zapomni, a potém smaczniejszy chléb domowy.

— Wszystko to prawda, prawda potrosze; aby nie do zbytku, aby z Bogiem, i flisackiby się trochę przydało—odpowiedział stary.—Ale jak to łatwo się rozhulać, jak to łatwo nawyknać codzien co nowego mieć i coraz czego innego żądać, a potém rozleniwieć i ręce opuścić? Na drzewie codzien jakaś okazyja do kieliszka: żyd psia wiara na każdéj mieliznie, przy każdéj służbie wódczyskiem zalewa, a ludzi pocziwych diabli biorą... Byle jego drzewo do Niemców doszło, i talary się posypały, co jemu flisy! Mnie ot, jak widziacie, wiek minął i nie zachciało się nawet zobaczyć, co tam dalej po świecie się święci: małom kiedy za wrota wyruszył, a niczego u Pana Boga nie proszę, tylko że bym tu moje kości położył.

— Kiedy wam z tém dobrze?

— Dobrze? he? juściż teraz musi być dobrze, bo świat nie dla mnie, a byle ką i łyżka strawy, więcéj człęku nie potrzeba; ale bywało różnie, a wszystko na swoim śmietniku jakoś i złą dolę przeżyć łatwiej przyszło.

— A wściec tutejsi?—spytał flisak.



— Tu się urodziłem, wiek przestękałem i życia dokończę—odparł staruszek trochę smutnie..... Grzybowi nie tańcować!

— To ciekawa być musi historia?

— Czyja?

— A wasza?

— Moja! albo to historia! Bięda się urodziła i biedą zdechła.....

— Ot nie ma co robić z wieczorem, do karczmy się boję: gdybyście ojciec powiedzieli mi o sobie. Samemu tak siedzieć na gąskach nie wesoło..... godzinaby przeszła..... a jabym się co od was nauczył....

Stary rozśmiał się jakoś łagodnie.

— A co ja tobie powiem, rzekł, moja dola nie ciekawa: podobnych wiele na świecie! Sam jeden jak palec zostałem się na starość, żywego ducha coby mi powiedział żeśmy swoi..... Ale staremu, widzisz bratku, w to graj żeby gadać, aby go kto słuchał: nie wyzywaj wilka z lasu, bo się nie odczepisz od gaduły.

— E! mówcieno tylko, mówcie, mnie to nie dokuczy, ja słuchać lubię.

— Jak zapamiętam—począł stary — oto tu, nad brzegiem Horynia latałem z chłopakami wiejskimi, a choć w podartej koszulince i ze łbem gołym, jak mi się ta bięda przypomni, żadnejbym w świecie rozkoszy nie pomieniał na nią.

— A rodzice wasi?

— Obojga nie pamiętam: odumarli mnie sześcioltniego z jakiejś gorączki; a że byli przybysze kędyś z Wołynia, nikogom nawet krewnego tu nie miał i nikt się do mnie nie przypytał. Jak przez mgłę widzę, że mnie nakażny do sąsiedniej chaty zapędził ze cmentarza po pogrzebie, a stara kobieta, którą nazywałem kumą, dała mi wielką misę stawy, bom od dwóch dni nic, oprócz chleba suchego schowanego za nadrę nie jadł. Nazajutrz postali mnie paść gęsi, potem wzięli do świń, gdy zobaczyli że sobie radę dać umiem, w ostatku kazali mi iść do bydła gromadzkiego. Oj! nie było rozkoszy jak w tém życiu pastuszem. Prawda, że dodnia na rosę musieliśmy pędzać krowy, ale się za to we dnie smaczno pod krzakiem zdrzémnęło, gdy bydło było da-

leko od szkody, a w lesie albo na ługu nasza gromadka swobodnie się dobrze nahulała. Z bydłem niewiele kłopotu: bo to stworzenie roztropne, jak się raz przyzwyczai do wygonu, to go z miejsca i kijem nie spędzisz; raz, drugi od szkody popilnowawszy, dalej już i samo nie pójdzie, a człowiek tyle tylko że popatrzy zdaleka, huknie, resztę czasu może sobie swobodnie bawić się jak mu się zechce.

— E! co mi to za rozkosz—przerwał młody chłopak—kiedy ludzi nie ma...

— Toż nas tam bywała gromada, a jak nałożemy gdzie ognia w łozach na hrudku, albo w lesie przy starym pniu spruchniałym, napieczemy kartofli, napieczem grzybów i syrojeżek, przysmażym przyniesioną słoninkę, co to bywała za uczta! A jak poczniemy śpiewać, a lasy nam wtórować, aż się serce raduje, tak pieśń nasza daleko rozlega się i leci.

To też kiedy mnie raz pan nasz, dawniejszy dziędzie, świeć Panie duszy jego, napotkał w lesie idąc ze strzelbą na polowanie, zagadał do mnie, a coś mu się widać z oczu podobałem i zażądał mnie zaraz do dworu na kozaczka, samemu Panu Bogu wiadomo, jak mi się tam iść nie chciało!

— Aha! toście dworsko służyli!

— Całe życie, mój synku, całe życie!

— I cóżeście sobie na starość wystużyli? torbę?

— Oto poczekaj, nie narzekam ja, choć mi się praca moja może nie tak poszczęściła jak drugim; ale na coby mi się to dziś przydało, gdybym miał i więcej? Anibym jadł smaczniej, ani spał spokojniej? Posłuchajno, a potem powiesz, czegom się dostużył. Przeprowadzili mnie tedy nazajutrz gwałtem do dworu, odzieli, umyli, postrzygli, i nie było rady: choć się płakać chciało, musiałem zostać gdzie kazano. Ale trzeciego, czwartego dnia jużem się był wciągnął do roboty, bo to nie było nic tak ciężkiego: otargiwano mnie w kredensie dopóki nie puszczono do pokoju. Pan nasz był wówczas jeszcze nie stary człowiek, piękny mężczyzna, a co lepiej, najpoczciwszego serca: ledwie zagadał, a już się czuł, że go pokochać musisz i poszanosować, bo z wejrzenia i postawy pan był całą gębą: choćbyś go w sukmanę przebrał, i po nocy poznał,

że go Pan Bóg stworzył na panowanie. Aleć to panowanie nikomu ciężkie nie było: do człowieka srogo nie przemówił rozniewawszy się nawet; milczał tylko i to była największa kara dla ludzi, gdy do kogo mówić nie chciał, a twarz odwracał. Jaki pan, taki kram; i stary kozak co mnie miał w ręku, i inni dworscy nie byli źli: prędkom się oswoił z niemi. Popędzali mną trochę, wyręczali się, ale najwięcej nogi cierpiały na posytkach, a nie pamiętam nawet, żeby mnie kto trącił lub połajał. Kozak bywało mówi zawsze: to sierota, biédactwo, nie godzi się nad nim znęcać. I zapomniało się życie pastusze, a w kilka tygodni potém, spotykając na grobli starego Hryndę i moich dawnych wiejskich towarzyszków pasterstwa, tylkom się do nich zdaleka uśmiechał, pokazując szarawary z czerwoną wypustką, ale do lasu już nie miałem ochoty. Służba nie była ciężka: pan chciał mnie mieć przy pokoju i do tego tylko uprawiali. Koło niego niebardzo się kto strudził: najwięcej sam sobie usługiwał, rzadko zapotrzebował człowieka, a obchodził się po ojcowsku. Ze starym kozakiem tak byli jak bracia, tylko kozak często gderał na niego.

— Dobrze jakieś widać było panisko.

— Karaj Boże do wieku—odparł łązy ocierając stary—nie ma już na świecie takich ludzi: to mi był brat i ojciec!... Mieszkał ot tam widzicie, gdzie sterczy komin starego dworu, ale za jego czasów to inaczej wyglądało.... Ho! ho! taki był u niego ład i porządek w najmniejszym kątku, że na szerokim dziedzińcu słominkibys niepotrzebnej nie znalazł, a dziś to chlewy i rozwaliny!

Stary westchnął ciężko i tak mówił dalej:

— Z domu bardzo rzadko wyjeżdżał, do niego téż nieczęsto ludzie przybywali; wszakże gość się czasem trafił, a choć jak w klasztorze, nie było u nas smutno we dworze, bośmy się zawsze i on i my koło czegoś krzatali: gospodarzył, polował, ogródek swój porządkował i czyścił, a chwili nie spróżnował. Lubił konie, psy, polowanie, drzewa, czasem nawet na rybę chadzał, i ot tak czas płynął, żeś się nie obejrzał, jak drugi koniec roku zobaczył. Nieżonaty był i sam jeden jak pa-

lec. Gdzieś mówili zdaleka przyjechał i majątek ten kupił, ale już do niego ludzie tak przystali, jakby z pradziadów żyli pod nim, i kochali go we wsi jak ojca.

Łatwoż-bo się było do niego przywiązać, takięto było serdeczne i poczciwe, a względne na biędę ludzką i człowieka najmniejszego, że nikt do niego nie przyszedł darmo i nie odszedł z żalem. Ja tam się taki zaraz przywiązałem, i w pół roku jużem starego kozaka, który nie zdążył zastępować przy nim. Tamtemu się chciało wypocząć, bo miał sobie nadane grunt i dożywocie; to też mnie wyuczywszy i wpuściwszy do pokoju, sam się prędko do chaty wyprosił. Ale co to nałóg stary: zdawało mu się, że już będzie odpoczywał na swoim, a po trzech tygodniach jak począł z nudy zaglądać do dworu, tak często chatę kołkiem podpartszy z nami lulkę kurzył, w ganku siedząc od rana do nocy, a którego dnia pana nie zobaczył, to jakby nie jadł tak mu koło serca było głodno.

I mnie teżby był już biczem nie wypędził od niego, bo panisko było jakich nie ma, powiadam wam.

Dość powiedzieć, choć to głupstwo, tak każdego uważał, że kiedy co smaczniejszego jadł, czy to owoc z ogrodu, czy potrawę jaką, nigdy się nie trafiło, żeby choć kaska ludziom do skosztowania nie zostawił. W kilka lat kiedym go lepiej poznał, stał mi się ojcem, i jak każdy z nas życiebym chętnie dał za niego. Ze wszystkich dworskich najbliżej go byłem: chodziliśmy razem na polowanie, które niezmiernie lubił, jeździliśmy na rybę, pracowali w ogrodzie. Bywało pamiętam do dnia wstajemy ochoczo, a stary bekas, wyżej jegomości, czując co się święci, podskakuje, wykręca się i szczeka; my torby na plecy i w chrusty lub na błoto, a czasem i dzień tak cały o kieliszku wódki, chlebie i serze przechodzimy. Dziwiłem się, że taki poczciwy człowiek mało żył z ludźmi; ale kiedym go bliżej poznał, dopatrzyłem się, że choć poczciwie dźwigał się i krzepił i uśmiechał, coś tam było w jego życiu takiego, o czém nikt nie wiedział, a co mu je truło. Bywało najweselszy zamyśli się nagle, westchnie, łzy mu po twarzy jak groch pociekną, ale ledwie je poczuł—oho! już albo strzelba na ramię i w las, albo na ogród, albo do jakiej tam roboty, i nie poznasz że płakał.

Takiegomto ja miał pana, a było mi tak dobrze, że człowiek o sobie ani myślał. Dorosłem lat, on sam mi się naprzykrzał, czybym się ożenić nie chciał i osiąść na gruncie: ale jakże się było od niego oddalić? Przytém że u nas we dworze takeśmy byli od kobiet odwykli, jakby ich na świecie nie było; i zdawało się, że bez nich całe życie obejść się można, a kozak stary utrzymywał, że to tylko śmieci robi.

A taki sam się ożenił potém!

Pan nie zagadał do żadnej, nie spojrział nigdy; my téż choć się czasem poswawoliło za dworem, ale nam w głowie nie powstało, żeby się żenić! I tak pan sobie postarzał, i my sobie: jedni pomarli, drudzy jak ja powoli starzeć poczęli, a ja rychlej niż kto, bo mi w trzydziestu leciech nie wiedzieć z czego głowa poszpakowaciała. Życie się we dworze nie zmieniło, jegomość wciąż krzepko się trzymał, na polowanie chodził; ale wszakże coraz mniej zapalczywie, więcej około ogródka się krzątając, bo na nogi szwankować powoli zaczął. Myślę, że je chodząc po błocie zerwał, bo chodził bardzo wiele i niezmiernie szybko.

Kiedy się począł pochylać i trochę niedomagać, jeszcze jakoś smutniejszy się zrobił: pracy już mu było dobrać ciężko, do książek się wziął więcej a stękał, i w nocy wzdychał czasem, wywołując imię boże, aż mnie śpiącemu w drugiej izbie łzy się do oczu cisnęły.

Cośmy go chcieli zabawić, to tém, to owém, coraz nam przychodziło ciężej: jam mu ptastwo hodował, rozrywało go to trochę, ale z dnia na dzień zaczął gorzej zapadać i obojętnieć na wszystko.

Jak tylko się położył, zaczęli powoli zaglądać do nas zdaleka jacyś dotąd nieznanymi panowie. Przyjechała jakaś jejmość, mówiono że jego bratowa, potém mąż jój jakoby brat pański, różnych krewniaków siła co go dawniej ani znali, a teraz nie wiem jak i z kąd z pod ziemi powychodzili.

Ale takie to wszystko było do niego niepodobne, jakby mu zupełnie obce: grzeczni, potulni, cicho gadający, tylko od ich własnych ludzi wiedzieliśmy, że się to poprzebierało dla jegomości, bo doma byli całkiem inni. Nie wiem jak to pan hurtem wszystko poodpra-

wiał, że za jednym zamachem pojechali z gniewem, a myśmy znowu sami chwała Bogu zostali.

I ot tak wlekło się życie coraz smutniejsze: anim się opatrzył jak lat trzydzieści z okładem przestąpiłem przy nim, a ostatek prawie ciągle przy łóżku. Bywało tyle jego zabawy i rozkoszy, co ze mną, ze starym bekasem i hodowaném ptastwem dzikiém, albo jak mu jaka książka do smaku przypadła, to ją dzień i noc czytał i zdawał się spokojniejszy. Widać już było, że meta niedaleka, aleśmy go tak kochali, że żaden z nas o sobie nie pomyślał, a śmierć jego ani się nam nawinęła na pamięć, ani co tam potém będzie. Miałem około lat czterdziestu, kiedy poczciwe panisko umarło. Spędziłem życie przy nim, przywykłem jak pies do niego, i kiedyśmy go położyli na katafalku, myślałem, że i ja się na nim wyciągnę, tak nie wiedziałem co począć z sobą.

Siadłem w nogach i płakałem. Przyjechali sadowi, popieczętowali, spisali, ktoś tam się zajął pogrzebem, ja ani wiem co się ze mną działo. Nazajutrz wróciłem do pokoju, pozamiatałem, poskładałem wszystko jakby żył jeszcze, i ośłupiały czekałem nie wiedząc czego. Chwilami zdawało mi się, że to tylko sen jakiś przykry. Nierychło dopiero przypędzili pocztą krewni, owa pani bratowa, brat, bratanki i cała czereda, i nuż się tu dopiero ujadać, szukać testamentu. Zburzyli dom cały, a gdy nie się nie znalazło, podobno odepchnawszy resztę familii, wzięli wszystko pan brat i bratowa.

Nuż tedy robić porządek, sprzedawać, wypuszczać arendy, pieniądze ciągnąć i swój rząd stanowić: ja tylko prosiłem, żeby mnie przy dworze zostawili, ale na co im był dwór, kiedy tu mieszkać nie mieli. Kazali mi iść na wieś do chaty: nie było dokąd, a że pan nieboszczyk nie rozporządził niczém, niewiele brakło, żebym znów pastuchem nie został na miejscu starego Hryndy. Tyle mieli łaski nademną, że gdy się przekonali jak im wszystko oddałem w całości, pozwolili mi resztę życia swobodnie tu przepędzić. Chaty żadnej nie było wolnej, krewnych nie miałem. Widzicie tam starą rozwaloną karczmę nad bindugą podle dębów za mogiłą? otóż to tam dali mi kąt i ogródek za roczny czynsz trzy rublowy. Tu już lat dwadzieścia i kilka mieszkam i Pana

Boga chwale: co dzień pójdę do dworu, pomyślę, popła-  
czę i nazad do mojej dziury.

— Tak sam jeden?

— Jak widzicie. Mojato już dola nie mieć nikogo  
i umierać samemu! Od czasu jak pan umarł, anim się ja  
do żadnego człowieka, ani się do mnie człowiek żaden  
nie potrafił przywiązać; nie skarżę się, bo mi na wsi  
krzywdy nikt nie robi, prędzej pomoże, alem taki sam  
jeden... a! jak palec....

— Na starość to tęskno—odparł parobczak.

— A tęskno—westchnął stary—nie ma co mówić, ale  
cóż na to poradzić? Z siwym włosem i o kiju żenić się  
nie pora: a ktoby tam za mnie poszedł, chyba taka, któ-  
rójbym ja nie chciał. Brata, swata, rodzonych, nie dał  
mi pan Bóg; co robić! trzeba samemu zdychać jak się  
samemu żyło.

— I nie narzekacie?—spytał zdziwiony flisak.

— Alboby to co pomogło?—rzekł powoli staruszek—  
albobym Pana Boga obraziwszy sobie ulżył, czy losu  
odmienił! Czyto zresztą człowiek choćby i do takiego  
życia się nie przyzwyczai?... Aby dzień do wieczora!

To mówiąc westchnął stary, fajkę wytrząsał i za kij  
swój wzięwszy, gotował się odchodzić.

— Dobranoc wam synku!... A wy tu myślicie no-  
cować?

— Żyd prosił, żebym przespał w skarbówce, bo  
tam worki z mąką i fasy ze słońcą, to się boi szkody.

— U nasby to szkody być nie powinno, ale strze-  
żonego Pan Bóg strzeże—odpowiedział stary, ta i dobra-  
noc wam...

— Dobranoc bał'ku! dobranoc!

I rozstali się tak ci ludzie, których traf zbliżył,  
a godzina rozmowy poprzyjaźniła, wiedząc, że się już mo-  
że w życiu nigdy więcej nie zobaczą. Dziwna rzecz:  
im prostsze obyczaje, im pierwotniejszy stan społeczno-  
ści, tém, uważaliśmy to zawsze, stosunki przyjazne  
między ludźmi są łatwiejsze, bardziej braterskie i pręd-  
sze. Cywilizowani naprzykład im więcej chcą za  
ucywilizowanych uchodzić, tém grzeczniej i przyzwoi-  
ciej unikają zbliżenia się do siebie, omijają się. Prze-

mówić do nieprezentowanego i nieznanego człowieka jest prawie grzechem towarzyskim; przepytać się do kogo przy pierwszym spotkaniu, niedarowaną nieprzyzwoitością. U ludu wcale inaczej, nie powiem że gorzej: godzina jedna spaja i brata, słowo pocziwe lub twarz obiecująca wywołują zaraz wywnętrzenia, przyjaźń jedna się łatwo, i bywa gorąca jak nienawiść. Ludzie tu są jeszcze ludźmi: później przerabiają się na jakieś lalki, pewnym pociągnięciem sznurka posłuszne.

Stary Jermoła z głową przypomnieniami życia swojego nabitą, powracał do domu powoli, a parobek świszcząc piosenkę i myśląc o biednym dziadku sierocie, przygotowywał garść słomy na której miał się położyć we drzwiach skarbówki, rad będąc odpocząć, bo po zachodzie słońca, wieśniak gotów usnąć w każdej godzinie, byleby mu było wolno.

Jermoła tymczasem powlókł się do domu, do którego niedaleką miał drogę. Pomiędzy wioską a brzegiem rzeki, na piaszczystym wygonie zarostłym zrzadka wyniosłymi starymi sosnami i wiekuistymi dębami, gdzieniegdzie poobcinanymi przez leniwych gospodarzy, którzy po drwa do lasu jeździć nie chcieli: widać było budowę dziwną, służącą starymu za schronienie. Nie chata to była, nie dwór, raczej pustka i ruina: stara karczma opuszczona, niegdyś na zbyt wielką pobudowana skałę, zrujnowana jakimś przypadkiem, bez dachu, ze sterczącymi krokwiemi, gołemi i częścią słomianego poszycia, zawieszoną nad kawałkiem ścian jeszcze cało stojących. Jeden róg w zrąb zbudowanego karczmiśka choć wychylony i skantowany trzymał się jeszcze: widać w nim było okno nawpół zalepione gliną z kilką szybami u góry, drzwi połatanie na nowo, i ściany które od dawniej pobiały i nalepy, dziś szary tylko i wątpliwy kolor zachowały.

Reszta gospody cała była stosem przegniłych belek i brusów, poczerniałego drzewa, kupą gnoju porośłego chwastem i bezkształtnym rumowiskiem. Jakim cudem trzymał się tam ten dachu szczątek nad izbą mieszkalną i sama budowa, może podpierana nawalonymi obok gruzami? odgadnąć trudno.

Obok niej płot z żerdeń ogradzał maleńki kilkogrzędowy ogródek, opasany kilką wzniosłymi dębami i sosnami.



Nad dachem stary komin obnażony, czarny, popękany, znać służył na coś jeszcze mieszkańcowi tego kąta. Ruina ta jak większa część naszych zwalisk drewnianych, nie miała wspaniałości i powagi rumowisk kamiennych, nieszlachetną była i brudną: mogłeś policzyć ile jeszcze lat żyć będzie, dopóki się nie zmieni w mogiłę chwastów bujnych i zielsk nieużytecznych. Zgnilizna od drzewa na ziemi przechodziła do ścian trzymających się jeszcze: widać ją było poczynając dzieło zniszczenia, gdzie tylko opadły tynk i glina. Smutno było spojrzeć na te zwaliska i pomyśleć, że człowiek jakiś został zmuszony w nich zamieszkać. A jednak przywykły do swego śmietniska Jermoła, bez wstępu zbliżył się do téj kletki, otworzył drzwi i wszedł do swojej izby; a że w niej już panowała ciemność, naprzód skrzesał ognia i podpalił trzaski przygotowane w piecyku.

Powoli rozjaśniały kątki alkierza i już go można było obejrzyć przy blasku suchego łuczywa. Była to niewielka izdebka narożna, nad którą ścieł i dach trzymały się jeszcze: dawniej musiała być to sypialnia i skład pana arendarza. Drzwi wiodące od niej do drugiej izby szynkowej, dziś zrujnowanej i niemieszkalnej, zabite były deskami i oblepione słomą z gliną; stary piec co rok poprawiany i lepiony, straciwszy już dawny kształt prostokątny, wyglądał garbato, koślawo, nieforemnie i guzowato: zamiast blaszki zamykał się kilką cegłami. Obok komin całkiem był zamurowany, wierzchni gzems jego służył za rodzaj pułki, a wewnątrz zastępowało szafę.

Sprzęt jak się domyślać łatwo, nie był wykwinny: nawpół wiejskiego pochodzenia, od siekiery obrobiony, wpół z resztek i łamu dworskiego się składał. Gdy Jermołę odprawiono z próżnemi rękami po trzydziestokilko-letniej służbie, za całą nagrodę styranego życia dano mu jakieś resztki potłuczone i niepotrzebne, które miano na śmietnisko wyrzucić. Z tych szczątków skrętne ubóstwo złożyło sobie sprzęt prawie wygodny; przemyślny Jermoła umiał skorzystać z najlichszej drobnostki, i izdebka jego ubrała się w pamiątki po dzieciu i latach młodości. Spał na starój kanapie z powyginanemi nogami, niegdyś biało ze złotem lakiero-

wanój, w głowach miał stoliczek z szachownicą jeszcze Kolbuszowskięj roboty; para krzesel deskami zamiast poduszek pozabijanych, widocznie pochodziła z Gdańska, ale już sznurki tylko i ćwieczki wstrzymywały je od rozsypania. Obok nich skrzynia zielono malowana, i kuta w domu wiejskięj była fabryki; ława ledwie ociosana stała przy drzwiach, drugi stolik nie zheblowany nawet, pośledniejszą zastawiony był poteruchą garnuszków i miseczek. Ale za to na kominie zlepiony karukiem świetnie się wydawał dzbanuszek z sewrskięj porcelany bez ucha, musztardniczka, imbryczek saski na nóżkach, z których jedną przed 50 laty odbito, filiżanka wydzwudowa i prosta ruska maselniczka w kształcie baranka. W ten sposób cała przedstawiała się izdebka: uboga, chędogo a smutna tęp, że ją składały same resztki dawno zapomnianego dostatku, na pokrycie dzisiejszęj nędzy służące. Kilimek przy ścianie był turecki, ale dziurawy i połatany, a spotykał się z prostym krajczakiem u łóżka; obok garnków świeciły resztki szkła, porcelany i fajansów, przy mahoniu sośnina. Na ścianie obok nieforemego obrazka Bogarodzicy Poczajowskięj, wisiał przepyszny, ale szkaradnie zamokły sztych Rafaela Morghen'a, przedstawiający wieczerzę Leonarda, któręj całego rogu brakowało, i dalej dwunastu apostołów pochodzących od Hoffmana z Pragi, i niemieckięj szkoły na drzewie uszkodzone małowidełko, Narodzenie Pańskie.

Całą rzeczywistą ozdobą tego kątko była jego czystość i panujący w nim porządek: nie dostrzegłęs pyłu nigdzie, nigdzie śmieci, każda rzecz stała w miejscu; a choć w tęp biednęj izdebinie mieściły się i zapasy, i jadło, i kuchnia ubogiego, i spiżarnia, i odzież, i wszelki dostatek jego, nie znać było ani nagromadzenia, ani bezładu. W ścianach porobione były szafy i pułki, pod stołami stojące skrzynie, komórka zapieckowa, komin zapuszczony sukniem, służyły za składy. Nawet drewka i trzaski z pewną symetrią w wyznaczonęm sobie miejscu nałożone były. Miał wprawdzie Jermoła obok w opustoszonęj szynkowni zagrodzony kąk, w którým część grubszych swych zapasów zwykły składać; ale tam bez zamku niewiele mógł rzucić, bo

nędza z nędzą, nierozbierając praw własności, chętnie się dzieli.

Wszedłszy i rozpaliwszy skałki w piecyku, bo świeca była dlań rzeczą zbyt kosztowną, stary obejrzał się wprzód, czy wszystko w porządku zastał; poszedł do garnka, aby sobie przygrzać wieszę, którą mu przynoszono ze wsi od kozaczychy, lub ją czasem w części sam sobie przyskwarzał, a potem usiadł na zydlu przeciw ognia i rozpoczął pacierze.

Wiatr chwilami przebiegał po gałęziach sosen i dębów blizkich zagrody, cisza głęboka panowała dookoła, i Jermoła zamyślił się modląc, gdy wpośród milczenia, zrazu niewyraźny, potem coraz głośniejszy i dobitniejszy dał mu się słyszeć płacz dziecięcia.

Było to kwilenie niemowlątka.... a tak blizkie, że niemal zdało się gdzieś z pod drzwi wychodzić.

---

— Cóż to być może?—rzekł w sobie stary przerywając pacierze i powstając z ławy—późna godzina, czyby która głupia baba miała się wybrać nad rzekę z dziećciem, albo do mnie po lekarstwo?

Nastawił ucha, ale kwilenie się ani zbliżało, ani oddalało: widocznie dziecię gdzieś leżało w miejscu. Pora nie była potemu, żeby je z przenośną kolóbką postawić tam miano; chłód, wieczór, położenie wygonu nie dozwalało tego przypuszczać. A głos dziecięcia kwilił smutnie.

— E! to sowa!—rzekł sobie siadając stary—usiadła gdzieś na dębie i piszczy; ale przysiągłbyś, że dziecko... jakto one udawać umieją...

Posłuchał, płacz stawał się coraz wyraźniejszy i boleśniejszy.

— Nie! to nie sowa, to coś niepojętego: trzebaby pójść zobaczyć, może jakie nieszczęście; ale coby to być mogło?

To mówiąc chyżo się porwał, czapkę na uszy wciśnął, kij wziął do ręki i nawet o ulubionej zapomniawszy fajeczce, za drzwi wyskoczył. Na progu już przekonał się, że najmniejszej wątpliwości nie było, a krzyk nie sowa pewnie, ale biędne jakieś wydawało

dziecię. Przeraziło to prawie starca i kierowany głosem, począł szukać zkądby pochodził; zwrócił się zaraz ku ogródkowi i ujrzał coś bielejącego pod najbliższym dębem. Oczy go stare nie zwodziły: na garbie mchem zielonym okrytym, obwinięte w bieliznę, kwiliło niemowlę.

Dziecię! dziecię porzucone, opuszczone od rodziców!—to się w głowie staruszka pomieścić nie mogło. Struchlał z przerażenia, z podziwu, z litości i smutku, podbiegł i nie myśląc co robi pochwycił na ręce dzieciaka, który uczuwszy może ruch około siebie, natychmiast kwilić przestał.

Jak złodziej z kradzieżą biegł, kija nawet zapomniawszy, stary Jermoła do swojej izdebki, powtarzając sobie ciągle:

— Dziecię, dziecię! co to być może?

Nagle przyszło mu na myśl, że przypadkiem zapewne porzucono na chwilę niemowlętko, i że niepokojem matkę nabawić może, gdy go w miejscu nie znajdzie; począł więc wołać głośno i hukać po polesku, aż mu się lata pastusze echem przypomniały; ale nikt nie odpowiadał.

— Juściż tak biédnego dziecka na chłodzie zostawić niepodobna—rzekł z wzruszeniem—pójdę do chaty, domyslą się gdzie się podziało.

Otworzył drzwi, w piecu było przygasto, ciemności okrywały izdebkę; żywo złożył swój ciężar na łóżku, a sam jął się rozpalać trzaski i wióry, których nie oszczędzał tą razą.

Gdy światło znów zabłyśło, a stary przybiegł do kwilącego znowu dziecięcia, podziwienie jego i przestach wzrosły do najwyższego stopnia. Dziecię to widocznie nie było wiejskie: samo spowicie dowodziło tego. Jermoła w głowie się pomieścić nie mogło, jakim sposobem z jakichkolwiekby powodów, matka czy ojciec potrafili wyrzec się téj maluczkiej istoty niewinnej, na którą patrząc płakał z litości i wzruszenia.

W istocie od usłyszenia pierwszego płaczu do téj chwili, nieznanie jakieś uczucie owładnęło starcem dotąd spokojnym: czuł się poruszonym, przełęczym, ale zarazem ożywionym, jakby o lat 20 odmłodził. Z ciekawością zbliżał się do zagadkowej istoty, którą

los, jakby ulitowawszy się jego osamotnieniu, rzucił mu na pociechę właśnie, gdy myśl szukała jakiegoś węzła, coby go jeszcze ze światem połączył.

Dziecię starannie obwinięte, było widać przysto-  
nione umyślnie w ten sposób, aby z pieluch nawet po-  
chodzenie jego wydać się nie mogło. Matka wyrodna  
czy ojciec obojętny, z resztką jakiejś troskliwości  
o nie, obmotali całe sztuką grubego białego perkalu,  
która tylko część twarzyczki rozpiętaną zostawiła  
odkrytą.

Jermoła wpatrywał się w nią z uczuciem osłupienia  
i załamaniem rękoma.

Nierychto mu przyszło na myśl, że tu coś radzić  
potrzeba, że dziecko płacze może głodne, że na niego  
spada ciężar niespodziany, któremu podołać będzie tru-  
dno i nad siły. Błyskawicą przesunęły mu się przed  
oczyma: mamki, kołobka, niańczenie, macierzyńskie  
starania i niedostatek, który mu nie dozwalał nikogo na-  
jąć do dziecięcia.

Najemne też ręce zdały mu się niegodnymi dotknąć  
tego bożego daru, za jaki podrzutka uważał, już się  
rachując niejako za przybranego ojca, przez Opatrz-  
ność wyznaczonego sierocie. Błysło mu w oczach, że  
mu to dziecko odebrać mogą, i nim się zastanowił co  
z niem uczyni, przeląkł się téj ostateczności.

— Nie! ja go nie oddam nikomu: to moje dziecko,  
moje! sam Bóg mi je zesłał: nie porzucę sieroty!

Ale radzić było pilno: dziecko kwiliło i płakało  
znowu. Jermoła wziął je na ręce.... Co tu począć? do  
kogo pójść po radę? co najpierw robić?

Gdy je tak nosi po izdebce niemal oszalonego swą  
dziwną przygodą, z powinięcia wysunął się zwitek  
ciężki i upadł na ziemię. Jermoła zdziwił się bardziej  
jeszcze, podniósł i postrzegł w biały papier zakreco-  
nych kilkadziesiąt sztuk złota.

Omało dziecięcia nie upuścił....

— A więc to ktoś dostatni wyrzekł się swój krwi,  
płacąc, by mu ją ktoś odebrał!

Zamyślił się starzec usiłując odgadnąć świat, któ-  
rego do téj pory tak mało rozumiał, a może intuicyjną  
siłą serca pojął chwilowo całą czarność, nędzę i cier-  
pienia żywota....

— Mój Boże!—zawołał—znależliby się może i tacy, coby ten grosz odebrali sierocie.... Nie! nikt o nim wiedzieć nie będzie: schowam go dla wychowanka gdy dorośnie, a wyżywić go i sam potrafię.

I rzucił złoto w szkatułkę starą stojącą przy łóżku, w której swój grosz jaki miał zwykł był chować, a sam porwawszy opończę, postanowił z dzieckiem pójść na wieś, popytać rady u ludzi.

Biędny starzec otulając swój ciężar, skłopotany, przerażony i szczęśliwy zarazem, do najbliższej wbiegł chaty.

Siedziała w niej wdowa po kozaku owym Harasymie, którą téż od służby mężowskiej pospolicie kozaczyką zwano, z córką jedynaczką ukochaną, której od lat kilku szukając męża, wyszukać nie mogła, choć dziewczę warte było zalotów.

Chata którą jeszcze nieboszczyk dziedzic nadał Harasymowi na końcu wsi, ku brzegowi Horynia posunięta, mogła starego dworaka upoważniać do odpowiedzi: „Moja chata z kraju, niczego ne znaju!” bo za nią był tylko wygoń i pustka w której mieszkał Jermoła. Z dawnych stosunków dworskich, między temi dwiema lepiankami pozostał węzeł przyjazny: kozaczyka opierała Jermoła, brał u niej jedzenie, a czasem w złej godzinie przychodził szukać pociechy, częściej jeszcze gawędy i dobrego słowa. Ale tam lepiej się działo niż u biedaka Jermoły: dostatek był większy, a że babka skąpa i rządna, nigdy na przednówku nie brakło niczego, i grosz jeszcze lub miarka zboża po ludziach się znalazła.

Chata dziś postarzała i czarna, choć ją kozak budował z pomocą pana i wielkiem staraniem, podobna była wszystkim innym, które zaraz za nią długim się ciągnęły sznurem: drzewo tylko użyte na ściany grubsze było, a wewnątrz trochę lepiej, bo piec i komin porządny, a izba nie kurna.

Do niej należał ogródek tuż wydzielony w połowie na ługu, i drugi obszerniejszy, na którym siano żyto lub jarzynę, nieco opodal z polami wiejskimi w łanie. Kozaczyka miała krów cztery, z których zbierała sér i masło i przedawała je okolicznym dworom lub w mieście; cały pług najczęściej wynajmowany lub wysy-

łany do obrabiania pola na wspólnie z uboższymi; dziesięć owiec, troje ozimków, a nawet konia do brony kupiła była, choć się jej nie powiodł i znosiał z zapuszczonej zołzy. Oprócz niej i córki był w chacie stary Chwedor parobek już poszpakowaciały na cudzym chlebie, nieco głuchy i wielki pijak; chłopak wyrostek sierotka i dziewczka najmitka. Słowem gospodarstwo to wcale zamożne, kierowane przez starą wdowę, tym dziwniejszym czyniło, że po rękę Horpyny nikt się dotąd nie zgłaszał, zwłaszcza że sama dziewczyna już dochodząca dwudziestki była bardzo piękna i za najcelniejszą krasawicę na wsi uchodziła.

Słusznego wzrostu, co widać wzięła po ojcu, ręcznej kibici, czarnobrewa, kiedy się na niedzielę wystroiła w krocie wstążek, w granatową bekieszę i żółte po wołyńsku buciki na wysokich obcasach, wyglądała jak przebrana pani. Chłopcy oczy nią paśli zdaleka, wzdychali, czapkami kręcili, w głowy się skrobali, ale zbliżyć się do niej żaden nie śmiał. Naprzód że istotnie Horpyna dumna była jak wielka pani; powtóre że pocichu powtarzano, jakoby od lat już dwóch dojeżdżał do niej szlachcic, który wprzód we wsi pisarzem służył, i ona go kochała i on do niej przyłgnał zapamiętałe. Od tej pory każdy parobczak unikał od kozaczanki, i dziwy prawili o tych miłostkach pokątnych.

Stara jakby ich nie widziała, swatała się z córką po wsi jak mogła i umiała: jeździła z nią na odpusty, zapraszała na wieczorynki i doświtki. Spijano, zjadano, bawiono się, ale Horpyna nie doczekała dotąd od nikogo flaszki z ręcznikiem.

Trafił tak Jermoła, że nie zastał żywej duszy przed chatą kozaczychy, gdy się do niej zdyszany zbliżył z kwilącym znowu dziecięciem; światło tylko buchające przez okienko zwiastowało, że gospodyni doma. Wszedł więc wprost ze swoim zawinieniem do świetlicy staruszek.

Kozaczycha siedziała na ławie przy stole podparta na rękę zadumana, a Horpyna przy piecu: obie milczące i smutne, podniosły oczy razem i ujrawszy Jermołę z dzieckiem, zerwały się z krzykiem podziwienia.

— Co tobie stary? co to jest?—zagadnęła matka.

— Co? co?—zawołał przybyły padając na ławę i na kolanach składając dziecko, z którego oka nie spuszczał—ot co... widzicie.... mnie.... dziecko Pan Bóg dał!

— Tobie! jak!

— Dziw! cud! sam nie wiem co robić! Tylkom co powrócił z nad rzeki od drzewa, gdzie byłem na balach, zapaliłem ognia i począłem się modlić, gdy słyszę coś piszczy pod dębami: ni to sowa, ni to dziecko.... Myślę sobie puhać.... bo tam są dziuple w starych dębach; modlę się dalej, a tu znowu płacze. Skorciło mnie, a no wyjrzę.... Pobiegłem, przychodzę, patrzę i ot co znajduję.... dziecko... Co tu teraz robić!.... co tu robić!

Stara i młoda obie niewiasty stanęły ciekawie nad Jermołą opowiadającym, kiwając głowami w milczeniu.

— Ktoś podrzucił—zawołała stara—ale kto?

— A któżby tak mógł dziecinę porzucić? — z oburzeniem podchwycił stary—czy to może być?

— Oj! oj! znamy my takich ludzi,—odezwała się kozaczycha trzęsąc głową na wszystkie strony—nie takie to historye opowiadają o złości ludzkiej: alboście nie słyszeli o niemowlątku, co to je wyrodna matka na pastwę wieprzom wrzuciła w koryto, żeby śladu jej sromoty nie zostało!

Stary Jermoła niezrozumiawszy spojrzął prawie wielkimi oczyma na kozaczychę, i ruszył ramionami; tymczasem dwie niewiasty aż poprzyklekały przy dziecieniu, żeby mu się przypatrzeć.

— A w jakieżto białe poobwijane rańtuchy!

— A jakie delikatne!

— Pewnie pańskie, bo u nas ktoby co podobnego odważył się zrobić: z a w o d u na to nie ma.

— I wybrali miejsce pod waszą chatą!

— Ale radźcieno, co ja z niem będę robić?

— Jak zechcecie,—odpowiedziała kozaczycha— możecie odwieźć do ekonoma, a on odstawi do pomocnika i zabiorą sobie gdzie do jakiego szpitalu...

— Zabiorą!—krzyknął Jermoła z płaczem w głosie—a to mi ślicznie radzicie! A będąż doglądać, pilnować: gotowi umorzyć niemowlątko!

Stara ruszyła ramionami.

— A wy jak sobie z niem radę dacie?



— Radźcież na to kumo!

— A jakże myślicie?

— Czy ja wiem co myśleć—przerwał stary—mnie się w głowie zawraca co tu począć. Za nic porzucić-bym nie rad dziecka, które sam Bóg oddał mojej opiece: wyhodować go nie wiem czy potrafię.... Tylko mi się zda, czemużby nie!

— Będziecie je musieli oddać na mamki, to naj-prędzej do Jurkowej niewiastki.

— A! za nic!—zawołał Jermoła—ot to! taka zła baba, toby mi je przymęczyła, a zażądałaby odemnie nie wiedzieć czego, kiedy u mnie grosz grosza goni.... Gdybyście mu dali mléka: patrzcie no jak się maże i płacze, możeby piło.... Jabym u was najął mléko dla niego.

Kozaczycha rozśmiała się.

— Cóż? i sami niańczyć będziecie? sami bawić, huścić, kołysać? A! to chyba nie już więcej robić nie będziecie mogli. Dziecko to wiekuisty kłopot: pamiętam com ja miała ze starszym, z tym nieborakiem Tymoszkiem, który roku nie dożył, a i z Horpyną, ani dnia ani nocy spokojnej.

— Albo to ja i tak bardzo śpię, czy tak bardzo co robię wiele?—rzekł uparty Jermoła, który się do swego znajdy przywiązywał coraz bardziej—mnie aby się tylko parę godzin przespać, a dziecko to prawie ciągle spi a spi, byleby nie było głodne.... Znajdę czas i przedrzęmac się, i do ogródka zabiedz i kartofli sobie upiec.

— Ale czemże je karmić będziecie?

— Ano, mlékiem.

— Kiedy ono może i pić jeszcze nie potrafi, takie małe....

Jermoła westchnął.

— Nie potrafi.... to się nauczy! Ale co tu poradzić?

Kozaczycha powoli wzięła mu z rąk niemowlę i poczęła się w nie wpatrywać: ono kwiliło. Córka jój pobiegła po świeże udojone mléko, a przywabieni ciekawością i słowem rzuconém przez Horpynę sąsiedzi, schodzić się poczęli po jednemu, po dwóch, dalej całemi gromadami, i obstąpili kołem starego.

Jak wieś wsią, za pamięci najstarszych ludzi, nigdy się tu nic podobnego nie trafiło, słyhać o tém nie było. Gadano niemogąc się nagadać.

Radził wójt, radziła gromada i starzy i młodzi, i kobiety i parobcy, ale nic uradzić nie mogli, bo wciąż powtarzali jedno, jednakowo się zbijając i znów powracając do pierwszego, a zawsze swatając na mamkę Jurkową niewiastkę.

A co było domysłów, co przypuszczeń dziwnych, co żartów i co narzekań na niepocziwych ludzi!

Nikt jednak poszlaki nie miał o sprawcy: we wsi nikogo obcego nie widziano pod wieczór, ani w pobliżu nawet; drogi były puste, w karczynie, na przewozie, nie pokazał się żaden podróżny. Gdy się dosyć nagadali, narozprawiali i powoli rozchodzić już zaczęli niosąc po wsi owę osobliwszą nowinę, stary Chwedko znany bardzo posiadacz dereszowatej klaczy, oparty na kiju, zebrawszy myśli, tak się odezwał do Jermoły:

— Ot co mi teraz na pamięć przyszło: słyzałem to już temu lat będzie ze 20, w Małyckach owdowiał był gospodarz znajomy mi; żona mu w słabości zmarła i zostawiła sierotkę, tylko że na świat przyszła. Biedaczysko jednooki, ubogi, nawet mamki znaleźć nie mógł: chodził od chaty do chaty, ale nie wyprosił nigdzie, żeby mu córeczkę przyjęto, a nie miał nawet i krowy, żeby ją mlekiem karmić. Wiecie co poradził sobie? kozę słyżę kupił za ostatniego pół rubla, co mu został od pogrzebu, i ta wykarmiła córkę, taką śliczną dziewczkę, jakiej na okolicę nie ma.

Jermoła aż się porwał.

— Dawajże tu kozę! — zawołał z żywością — jest gdzie koza... kupię kozę....

— Koza u arendarza.

— Nie ma rady, idę i kupuję....

I już ruszył się do drzwi, kiedy go zarazem i kozaczycha i Chwedko wstrzymali.

— Bój się Boga! — zawołał chłop — a to cię żyd zedrze ze skóry, jak się dowie że koza potrzebna.

— A! niech weźmie co chce, aby kozę dał

— Ostatnią koszulę oddasz za nią — przerwała zapalonemu kozaczycha — czy ty nie znasz Szmula, toż

to okrutnik że i między żydami poszukać podobnego.... Powoli na miłość Boga! choć już kłamcie, że dla chowu potrzebujecie, bo ci za nią drożej krowy każe zapłacić.

— Pójdęno ja z tobą,—rzekł Chwedko—zobaczycie, zdurzym żyda.

— Ale cóż zrobić z dzieckiem?

— Nie turbujcie się, zostawcie u nas, nie mu się nie stanie.

— Jeno zmiłuj się matko,—rzekł Jermoła troskliwie—ostrożnie koło niego!

— A on mnie będzie uczył! patrzcie! co to pierwsze u mnie czy co! Ja je ukołyszę, mlekiem napoję, choćby na palcu po kropli dawać przyszło.... Tylko się już nie frasujcie.

— Ja się duchem zwinę,—odparł Jermoła — ale proszę was, żeby się co dziecku nie zrobiło.

Stara aż się z niego rozśmiała, taki był skłopotany. Dopiero na wychodnem przypomniał sobie jak dawno fajki nie palił, dobył luleczki, która go nigdy nie opuszczała z za nadrza, nałożył szparko, zapalił i razem z Chwedką puścili się mimo ciemnej nocy, ku nowej karczmie w środku wsi położonej.

(Dalszy ciąg nastąpi).



# W I A R A .

---

„Wiara jest gruntem rzeczy niewidzialnych, albowiem przez nią świadectwa doszli przodkowie.”

*Św. Paweł do żydów.*

Czemu jak duchy w pokutnej odzieży,  
Niby żyjący, a umarli prawie,  
Kształtem pół-sennych, bezdusznych szermierzy,  
Nękani trwogą we śnie, czy na jawie,  
Jako żebracy żądni kęsa chleba  
Patrzym dokoła martwiejącym wzrokiem?  
O! bo nam wiary, wiary świętej trzeba,  
Balsamu niebios w cierpieniu głębokiem.

Straszno żyć człeku pośród uciech świata,  
Gdy się w pierś jego wciśnie gad zwątpienia  
I wkrąg mu serce pierścieniem oplata;  
Lecz stokroć straszniej, gdy w prąd zatracenia  
Dążąc pospieszno, straci wśród pogoni  
Tę, z jasnych niebios gwiazdę macierzystą!....  
Cóż go od kału ziemskiego uchroni,  
Gdy zdruzgał ojców tarczę promienistą:  
Tę tarczę złotą, co przez wieków tyle  
Zbroiła siłą dzielnych mężów plemie,  
Co z niemi w ciemnej spoczawszy mogile  
Światłem Golgoty spromieniła ziemię!

Gdzież bracia szukać owęj wiary świętej,  
Którą nam śnieżni z za rajy anieli,  
Jak krople rosy na światowe męty  
W pierś niemowlęcą na osłodę wleli?  
O! żyje ona w każdym łonie człeka!  
Zrzućmy z serc tylko samolubstwa brzemie,  
Zbudźmy skrę świętą, która tam od wieka,  
Jak łza męczeńska w cichym bólu drzemie:

A wnet ożywcze światła jój promienie  
Skruszą nam zwątpień powłokę lodową;  
Jako przed słońcem pierzchną mroczne cienie,  
I świetlejące Bożej prawdy słowo  
Niby świt ranny z zamroczą wypłynie;  
Przezystém tchnieniem człowiek się odmłodzi,  
I w niebieskiego przedświtu godzinie  
Ciało się skrzepi, a duch się odrodzi!  
Spojrzy człek w niebo, do nieba tęskniący,  
A z głębi serca, cicho proszącemu,  
Nad strzechą własną, zpośród zamgły drżącój  
Błyśnie promienna gwiazda *Betleemu!*

*Wład. Rog.*



# IKONOGRAFIA.

(CZĘŚĆ ARCHEOLOGII OGÓLNEJ)

O NIMBACH, AUREOLACH, GLORYACH I SYMBOLACH  
ŚWIĘTYCH, UŻYWANYCH NA OBRAZACH.

Z ARCHEOLOGII OGÓLNEJ

*Józefa Łepkowskiego*

Członka Tow. Nauk. Krak. Wydz. Archeol.

---

(Z 3 tablicami rycin).

## Symbolika.

Symbolikę stworzył bogaty w przenośnie Wschód, a u nas obyczaj, legenda, a czasem obrzęd kościelny, przeniosły ją w stałą formę na obrazach. Dopóki niedostatki w materii malarskiej i niewola ruchów na obrazie, właściwe utworom średnich wieków, krępowały ducha zniewolonego do przedstawiania jakby stereotypowych postaci; dotąd i symbolika w całym bogactwie, drobiazgowości i znaczeniu, prawie główną gra w nich rolę. Poznanie jej tedy i rozróżnienie, koniecznym jest w elementarnym wykładzie archeologii.

Gdy dziś zamarła legenda, która w średnich wiekach tłumaczyła poezją przedstawionego faktu; rzeczą jest nauki, by niejako na stole anatomicznym okazać zagadkowe znaczenie, by nauczyć chociażby rozpoznać i rozróżnić to, co dawniej znano w życiu i pojmowano sercem. Nauka robi tu tę przysługę, jaką nasze książki o mitologii oddały poznaniu starożytnej przeszłości.

Do Ikonografii — oddział Symbolika.

Fig. 1. Malowidło na szkiele x 12% i 14% wieku.



Fig. 2. — x 11% wieku.

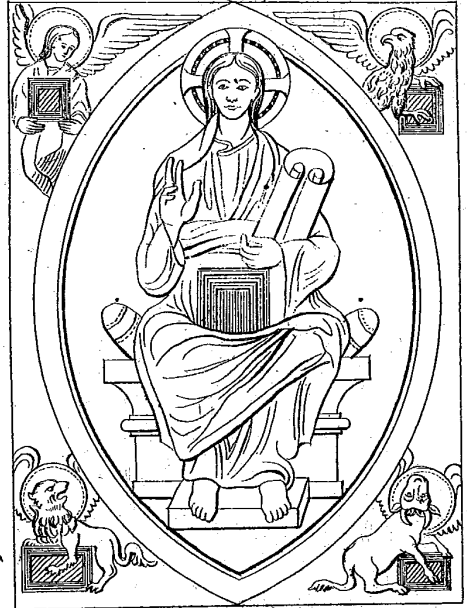


Fig. 3.  
Minijatura x 10% wieku.

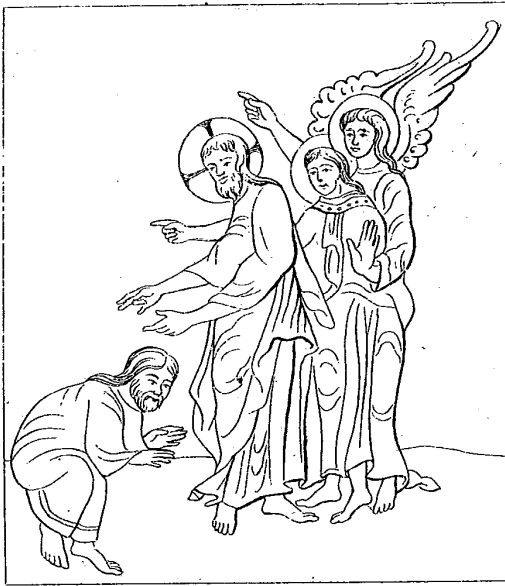


Fig. 4. Fresk.



Fig. 6. Fresk.

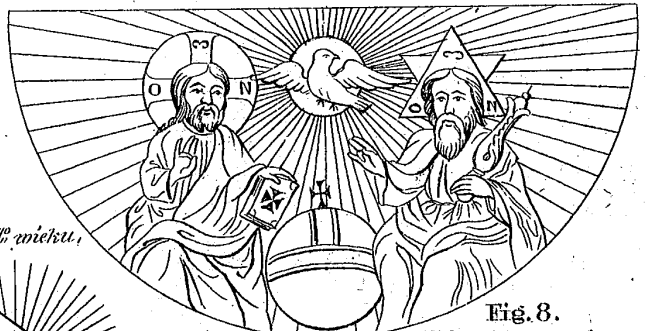


Fig. 5.  
Malowidło na szkiele x 12% wieku.



Fig. 7.  
Fresk x 11% wieku.



Fig. 8.  
Mozajka rzymska  
x 9% wieku.



Fig. 9. Minijatura x 9% wieku.



Do Ikonoğrafii — oddział Symbolika.

Fig. 10.  
Minijatura x 14<sup>ym</sup> wieku.



Fig. 11.  
Minijatura x 16<sup>ym</sup> wieku.



Fig. 12.  
Minijatura x 9<sup>ym</sup> wieku.

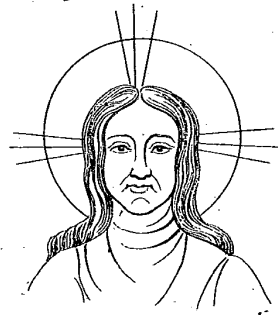


Fig. 13.  
Rzeźba rzymska.

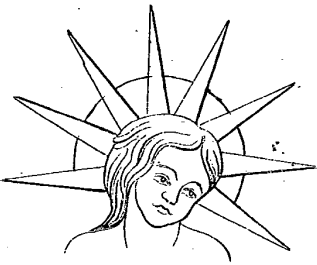


Fig. 14.  
x 1<sup>ym</sup> wieku chrześc.



Fig. 15.  
Minijatura x 9<sup>ym</sup> wieku.

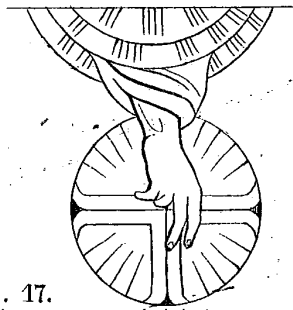


Fig. 16.  
Minijatura x końca 13<sup>ym</sup> wieku

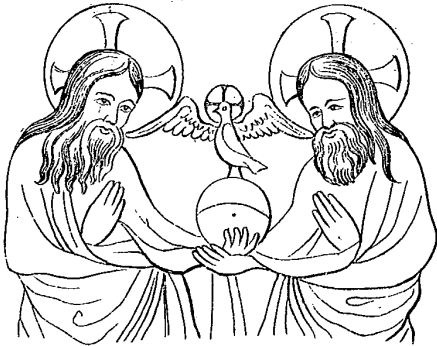


Fig. 17.  
Rzeźba x 1<sup>ym</sup> wieku chrześcijaństwa.

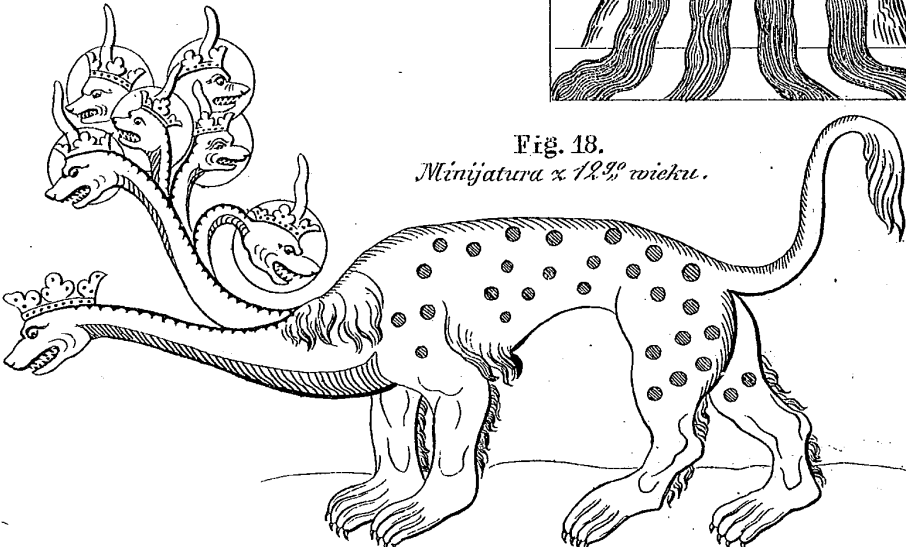


Fig. 18.  
Minijatura x 12<sup>ym</sup> wieku.



Do Ikonografii — oddział Symbolika.

Fig. 19.  
Rzeźba z drzewa — z 16<sup>go</sup> w.

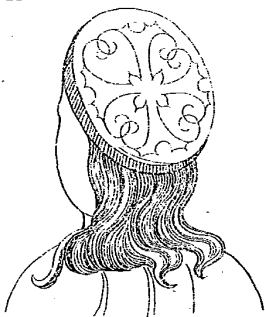


Fig. 21.  
Minjatura z 10<sup>go</sup> w.



Fig. 23.  
Rzeźba z 13<sup>go</sup> wieku.



Fig. 20.  
z „dysputy o S.S. Sa-  
kramentach” Rafaela.



Fig. 24.  
Malowidło na murze — z 12<sup>go</sup> wieku.

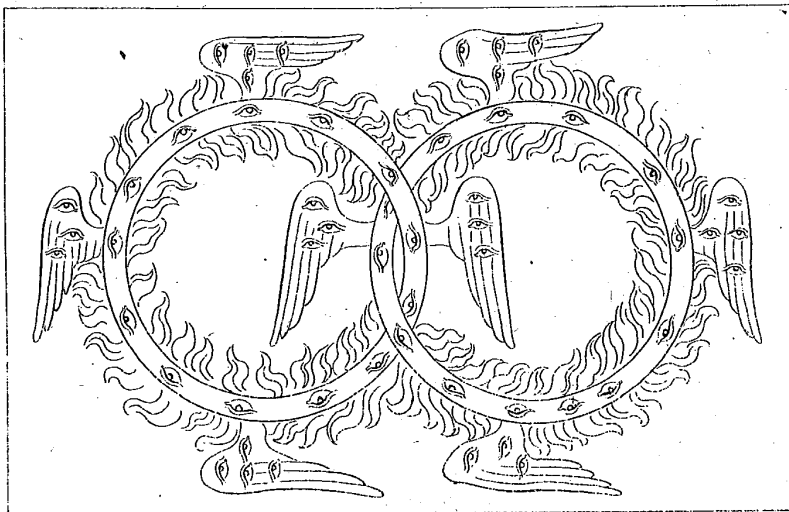


Fig. 22. Rzeźba z drzewa — z 11<sup>go</sup> w.

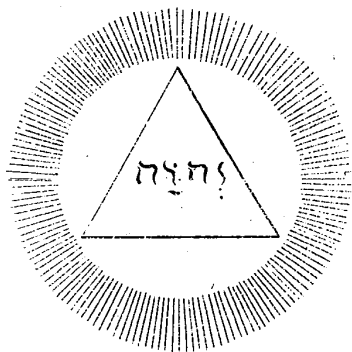
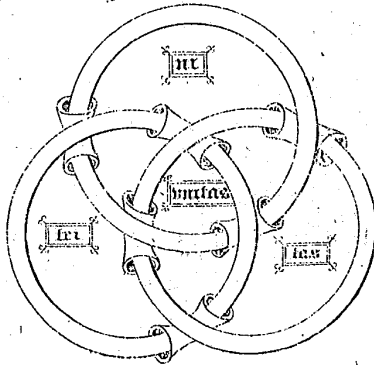


Fig. 25. Minjatura francuzka z 13<sup>go</sup> wieku.



Jowisze, Minerwy i całe tłumy bogów straciły u nas cześć, którą im Rzym i Ateny oddawały; trzeba było przynajmniej nauczyć się poznawać, czém odróżnić od siebie wyobrażenia tego mnóstwa bóstw zamarłych. Ledwie nie podobnie uczyć się musimy odróżniać świętych naszych. Odróżnienia te, w sposób jaki je tu co do gloryi, nimb i aureol wedle p. Didron, co do symbolów św. wedle J. Radowicza i Ottego podajemy, mogą służyć tylko na pierwsze potrzeby, a rzecz ta zasłużyła na obszerne rozbiory za granicą; nam przyswoił nawet ważne w tym przedmiocie dzieło p. Kraszewski, tłumacząc z angielskiego p. Jameson *Złotą legendę artystów*. (Wilno 1848 r.) (1).

Co do niniejszej pracy, prócz źródeł wymienionych, przychodzi mi wyznać wdzięczność JX. Waleryanowi Serwatowskiemu, który swoją światłą radą i objaśnieniem w wątpliwych razach, poparł usiłowania moje; niemniej p. Karolowi Balickiemu artyście, którego pomoc w przerysowaniu umiejętném a tak nudném załączonych tablic, stała się dla mnie nader pożądaną, gdy rysunek ułatwia zrozumienie rzeczy.

Jeśli praca niniejsza okaże się być pożyteczną, w zupełném wydaniu wykładu ikonografii powiększę ją traktatem szczegółowym o obrazach N. M. Panny, i przytoczeniem, gdzie i jakie przedstawienia najużywanych u nas obrazów św., na ziemiach dawnej Polski się znajdują; a teraz szczególnież wielobnych księży o dopełnienia, uwagi i krytykę proszę.

Kraków,  
d. 18 sierpnia 1850 r.

## O gloryi.

Pod wyrazem *glorya*, w ogólném pojęciu rozumiemy zazwyczaj odznaczenie, kładzione przez malarzy i rzeźbiarzy albo

(1) W dziele tém, obok legend tłumaczących treść znakomitych europejskich obrazów, których tematem jest nowy testament, podano symbolikę przyjętą w malowaniu: apostołów, Chrystusa, doktorów pisma (św. Hieronim, Augustyn, Ambroży i Grzegorz), Maryi Magdaleny, Najświętszej Maryi Panny, św. Cecylii, Katarzyny, Barbary, Małgorzaty; św. Longina, Jerzego, Maurycego, Sebastjana, Marcina, i scen historycznych, do których wchodzi wyliczone postaci. Prócz tego w Athenium z r. 1848, podał p. Kraszewski jako dopełnienie Złotej legendy rzecz o symbolach kilku św. polskich.

naokoło głowy, albo naokoło ciała jakiejś osoby: jestto godło symboliczne niektórych postaci, jak krzyż albo berło oznaczają biskupa lub króla. Godło takie umieszczone na głowie, nazywa się *nimba*. W tym razie, co do znaczenia odpowiada koronie, lecz różni się od niej umieszczeniem i formą. Korona jest okrągłą, a nimba jest prawie zawsze kolistą; pierwsza umieszcza się poziomo na głowie, druga otacza ją pionowo (1). Nimby znaczenie i przedstawienie w Ikonografii chrześcijańskiej jest ważne dla starożytnika, malarza lub rzeźbiarza, i należy zważać na nią z największą skrupulatnością, aby nie pomylić zwyczajnego człowieka za świętego, albo nie wziąć Boga za świętego lub człowieka.

Nimba nie tylko otacza głowę, ale niekiedy całe ciało: w tym razie nazywają ją *aureolą*. Aureola daleko rzadziej była używaną, aniżeli nimba, właściwie zwana ozdobą głowy. Aureola jest rzadką w utworach sztuki pogańskiej; w chrześcijańskiej używano jej prawie wyłącznie dla osób świętych, Chrystusa, Matki Bożej i świętych wziętych do nieba (2).

Nimba głowy i aureola ciała różnią się znacznie od siebie; jednakowoż obiedwie jako złożone z tych samych kształtów, często bywają przedstawiane w tenże sam sposób, i są wyobrażeniem gloryfikacyi, beatyfikacyi i kanonizacyi. Należy więc jednym wyrazem objąć połączenie tych dwóch rodzajów ozdób, któryby dawał wyobrażenie o tém użyciu nimby: dlatego też wraz z p. Didron musieliśmy nimbę i aureolę razem wzięte, nazwać *gloryą* lub *gloarą*. Nimbę uważamy jako właściwie do głowy się odnoszącą; aureolę do ciała, a gloara rozciąga się do głowy i do ciała.

Niepodobnym jest oznaczenie epoki, w której nimba była użyta po raz pierwszy. Zdaje się, iż tak jest dawną, jak najdawniejsze religie. Nimby i aureole widzieć można na pomnikach indyjskich, które zdają się być najdawniejszemi zabytkami w świecie.

Zdaje się, że Egipcyanie znali nimbę w jej religijném znaczeniu: była ona używaną u Greków, Rzymian, jak tego dowodzą niektóre malowidła, rysunki i rzeźby starożytności. Reichenbach w swém najnowszym dziele: „*Odisch-magnetische*

(1) Karol Wielki w nimbie i koronie. (Tabl. II, fig. 1).

(2) Chrystus w aureoli eliptycznej. (Tabl. II, fig. 2).

*Briefe*” mówi, że w szczelnie zamkniętém i dla światła dziennego niedostępném miejscu, widzieć można po kilkogodzinnym pobycie każdego człowieka, objawiającego swe życie świeceniem nimbą około głowy jego. Czyli starożytnym ten pojaw nie był już wiadomy? Czyli nie ztąd początek nimby jako godła życia?...

Ojczyzny gloary szukać należy na Wschodzie, i tam natrafiamy na jej użycie daleko częściej, aniżeli u nas. Chrześcijańskie religijne pojęcie tych oznak świętości i ubóstwin, zapewne nie zkadınąd bierze początek, tylko z cudu, który Bóg uczynił, otaczając (jak nam wiara podaje) jasnością głowy, a nawet ciało, miłych sobie i wybranych ludzi, np. Mojżesza. (Obacz Exod. r. 34, wiersz 29—35).

Na bardzo wiele lat przed Chrystusem nimba i aureola pokazują się w różnych krajach Wschodu; a religia chrześcijańska nie tyle wynalazła, jak raczej przyswoiła sobie tę formę symboliczną. W czasach nowożytnych, zawsze na Wschodzie, w Azji, Konstantynopolu, najdawniejsze i najstarsze jest użycie nimby, jak tego dowodzą pomniki i fakta historyczne.

## O nimbie.

### *Określenie, Forma.*

Wyraz *nimba* pochodzi od łacińskiego wyrazu *nimbus*, i greckiego *νεφος*, oznaczających deszcz, chmurę, miejsce gdzie się deszcz tworzy: a przenośnie wóz powietrzny, według Wirgiliusza, służący bogom do jazdy: W archeologii jestto koło światła, którém malarze lub rzeźbiarze przyozdabiają głowy Boga lub świętych.

Artyści mało uważali na istotne znaczenie nimby; albowiem, kiedy wedle swego istotnego znaczenia zawsze przedstawiać ma obłok, bywa często użyta w postaci tarczy, koła, jużto nieprzezroczystego, już też świetnego. Nimba bywa czasem w postaci trójkąta lub czworoboku, w postaci jednego lub więcej płomyków, albo gwiazdy o 6, 8, 12 promieniach, lub też o nieskończonej ich liczbie. Nie masz przykładu nimby, którój postać odpowiadałaby zupełnie znaczeniu wyrazu. Usiłowano zawsze tym sposobem

wystawić chwałę, światłość otaczającą osoby, błogosławione albo obdarzone wszechwładzą.

Nimba jest zawsze kolistą i w postaci tarczy (1): natrafiamy jednak na obrazy, gdzie pole tarczy zniknęło i został tylko jej obwód (2). Nimby przezroczyste, czyli przedstawione tylko zarysem obwodu, częste są u Greków przed XIII wiekiem, a u Włochów po XV. Te nimby bywają czasem ozdobione trzema promieniami cienkimi a szerokimi, jakby na podobieństwo trzech ramion krzyża greckiego (tabl. II fig. 2). Ramiona te są albo jednostajne, gładkie, albo ozdobione rubinami, albo z zapisanemi na nich literami greckimi lub łacińskimi (tabl. II, fig. 6). Promienie te są z linii prostych geometrycznych, albo z linii wyrażających jakby falistość płomieni.

Czasem koła dośrodkowe dzielą nimbę na kilka pasów. Pas środkowy jest właściwą nimbą, inne są jej przedłużeniem i jakby tęczowaniem. Na tych pasach przedstawiają: perły, kamienie drogie, rubiny, różne ozdoby, niekiedy umieszczone jest nazwisko osoby, której głowa jest nią otoczona (tabl. II fig. 1).

Zewnętrzny obwód nimby bywa opatrzony przydatkami, zazwyczaj w kształcie promieni prostych albo płomienistych. Niekiedy jak u św. Remigiusza w Reims, na obwodzie nimby utkwione są dwie łodygi słonecznika, który przedstawiać ma słońce (tabl. II fig. 5).

Nimba bywa trójkątna. Forma ta jest nadzwyczaj rzadką we Francyi; dość często napotykamy ją we Włoszech i Grecyi, szczególnież począwszy od XV wieku (tabl. II fig. 7).

Bywa także podwójnie trójkątna, czyli tworzy dwa trójkąty, które się przecinają w kształcie jakby gwiazdy o pięciu promieniach (tabl. II fig. 6).

Czasem nimba bywa kwadratową, czworobokiem doskonałym, z bokami prostymi lub wklęsłymi; czworobokiem podłużnym prostokątnym (tabl. II fig. 8). Lecz najwięcej i najczęściej napotykamy tę formę w rękopismach włoskich, gdzie nimba ma podobieństwo do voluminu, do zwoju pergaminu roztworzonego w środku, a zwiniętego jeszcze po bokach (tabl. II fig. 9). Nimba bywa czworoboczną z bokami prostymi, tak jak ją przed-

(1) Tabl. II, fig. 2, wyjąwszy krzyż, i fig. 3 i 4.

(2) Tabl. II, fig. 5, oprócz łodyg i słonecznika, oraz fig. 3 i 4.

stawiono na głowie Ojca Przedwiecznego „w dyspucie św. Sakramentu” (obraz Rafaela); bywa także z bokami wklęsłymi (tabl. III fig. 10).

Gdy nimba jest kolistą i gdy należy do osób boskich, zawsze jest krzyżem ozdobiona, wyjąwszy opuszczenie przez niewiadomość artysty (tabl. II, fig. 2 i 6). Krzyż ten jest bardzo wielkiej wagi i doskonałą cechą archeologiczną: jest on stałym godłem bóstwa.

Niekiedy z tarczy zostawiają tylko promienie (*croisillons*), które dzielają pole. Często te *croisillons* jeżeli mają postać promieni światłych, zbliżają się do siebie jakby na utworzenie tarczy; lecz z wierzchołka głowy i ze skroni wychodzą dłuższe pęczki aniżeli reszta promieni, i te tworzą rodzaj krzyża greckiego.

Nimba przybiera jeszcze inne kształty. Jużemy to widzieli i jeszcze zobaczymy, że nimba nie jest nic innego, jak opromienienie głowy. Otóż to opromienienie było przedstawiane w rozmaity sposób: jużto głowa rozrzuca promienie w równej liczbie i w równych wymiarach, a wtedy mamy nimbę kolistą bez obwodu; jużto promienie silniejsze, grubsze i dłuższe wychodzą ze skroni, gdy tymczasem inne punkta słabo promieniają: wtedyto powstaje rodzaj czworoboku z bokami wklęsłymi (tabl. III fig. 11). Niekiedy przedziały pomiędzy trzema promieniami światłemi całkiem nie promieniają; ztąd powstaje nimba w postaci trzech pęków światła (*aigrette*), z których każdy złożony jest zazwyczaj z 3 promieni tylko. Nimba taka zwie się krzyżową i jest nader powszechną; często w niej promienie przechodzą obwód (tabl. III fig. 12), rozchodząc się odśrodkowo, t. j. są ściśnięte w podstawie, a rozstrzelone nikną.

W ikonografii pogańskiej spostrzegamy nimby, których promienie szerokie w podstawie, a ostro zakończone, są równo od siebie odległe i wychodzą ze wszystkich punktów głowy, (tabl. III fig. 13). Kształt ten podobny do kształtu; jaki artyści dają gwiazdom, przypomina zupełnie korony promieniste, tak częste na monetach greckich i rzymskich. Promienie te szersze w podstawie niż na końcach, mijają się z naturalnym ryśunkiem światła. Na fig. 13, tabl. III promienie łączy w połowie długości koło niby druciane, utrzymując je niejako. Niekiedy ta obwódka jest więcej zbliżona do głowy, a wtedy pro-

mienie zamiast wychodzić z głowy, wydobywają się z niej i są do niej przytwierdzone; wtedy więc promienie są na zewnątrz tarczy, zamiast w jej wnętrzu (tabl. III fig. 14).

Zazwyczaj obwód nimby oznaczony jest linią kolistą, doskonałym kołem; lecz u Rzymian i Indyan, linia ta bywa połamaną w gzygzak niby zęby piłki. Ten kształt rąbka może być uważanym za końce mnóstwa promieni wychodzących z głowy, zbitych aż do obwodu, i dopiero ztąd rozpierzchających się na wszystkie strony.

Nakoniec w ikonografii odrodzenia (*renaissance*) bardzo często napotykaną formą nimby jest ognisty język, umieszczany na głowach starożytnych geniuszów. Z tymto płomieniem nad czołem przedstawiają apostołów, na których zstępuje Duch św. Ten jednak kształt ma właściwsze źródło w podaniu Pisma Św. niż w naśladowaniu starożytnych pogan, a raczej w celu wystawienia faktu historycznego. (Obacz dzieje Apost. rozdz. 2 w. 2—3).

### Zastosowanie nimby.

W ikonografii pogańskiej nimba dawana była zazwyczaj: bóstwom, dość często cesarzom rzymskim, niekiedy królom Europy wschodniej i azyatyckim; zazwyczaj czarnoksiężnikom i prorokom, prawie zawsze złym lub dobrym siłom duszy ludzkiej, przyrody i społeczeństwa.

W ikonografii chrześcijańskiej ozdabiają nimbą osoby boskie, przedstawione poszczególne lub razem w Trójcy św.; oznaczają przez nią aniołów, N. Pannę, apostołów i świętych. Niekiedy także, choć rzadko, dają nimbę uosobionym cnotom, allegoryom przedmiotów naturalnych albo psychologicznych, pewnym przymiotom lub uczuciom duszy. Władzę polityczną, siły natury i geniusz zdobi często to godło, lecz tylko wtenczas, gdy duch pogaństwa skalał geniusz chrześcijański.

### Nimba Boga.

Pierwsi chrześcijanie nie pozwalali Boga malować ani rytować, stosownie do prawa bożego, danego przez Mojżesza

(obacz Exod. rozdz. 20. w. 4); dopiero po zwycięstwie nad Ikonoklastami zaczęto wystawiać w obrazach Tróję św. a narazie samego téż Boga - Ojca w postaci starca. Zdaje mi się, że kościół więcej ten szczegół toleruje, niż iżby go upoważniał.

Bóg, równie jak aniołowie i święci, nosi nimbę kolistą lub tarczowatą; lecz dla rozróżnienia Stworzyciela od stworzeń, podzielono pole tarczy boskiej dwoma prostopadłemi prętami, które przecinają się w środku tworząc krzyż grecki. Główne ramie krzyża zakrywa głowa, trzy inne są widoczne, i zdaje się że wybiegają z czoła (tabl. II fig. 2, 6, i tabl. III fig. 16). Ramiona krzyża oznaczają siłę boską.

Zdaje się niestosowném mniemanie, aby ramionami krzyża chciano przedstawić narzędzie męki Chrystusa; ponieważ nim ozdabiają nimbę Boga Ojca i Ducha św. i ponieważ bogowie indyjscy i buddajscy mają w aureoli otaczającej ich głowy tenże sam symbol, nie można więc powiedzieć, aby pożyczili go z góry Kalwaryjskiej. Lecz ponieważ czoło i skronie są najważniejszymi częściami głowy, jako główne trzy punkta sfery mózgowej; więc te pęczki światła, te ramiona krzyża przedstawiają prawdopodobnie w ogóle siłę głównych trzech części głowy, aniżeli krzyż św. Napotykamy wszakże obrazy Chrystusa, gdzie chęć przedstawienia krzyża jest widoczna; lecz to jest wyłącznóm i właściwém Bogu-człowiekowi. Nie można wątpić o tym zamiarze, jeżeli ramiona są podniesione nad głowę, albo gdy każde ramie zakończy znów mały krzyżyk.

Ramiona krzyża w nimbie Boskiej tworzy niekiedy pojedyncza linijka, a czasem zajmują one znaczną powierzchnię pola; w tym ostatnim razie sadzone są perłami, kamieniami drogieymi i różnemi innemi ozdobami. U Greków, każde ramie nosi literę, z których wszystkie trzy tworzą wyraz  $\alpha \omega \nu$  (*istota*) (tabl. II fig. 6). Łacinnicy niekiedy naśladowali tę myśl; lecz zamiast  $\alpha \omega \nu$ , kładli *rex*, którego trzy litery były umieszczone na trzech ramionach krzyża.

Wprawdzie często na obrazach średniowiecznych nie znajdujemy nimby nad głową Boga, lub téż nimbę Bogu - Ojcu poświęconą, spostrzeżemy na wyobrażeniu człowieka: przecież to tylko zdradza nieświadomość artysty.

Nimba Boga nie we wszystkich wiekach była krzyżową: na pierwszych pomnikach chrześcijaństwa wcale jej nie kła-



dziono, lub téż prostém kołem otaczającym głowę Bóstwo oznaczali.

Aniołowie i święci mają nimby tylko zarysem okręgu koła wyrażone; przecież na wielu pomnikach średniowiecznych widzimy aniołów w nimbach krzyżowych, co za nieświadomość właściwych symbolów uważać należy; wyjąwszy jednak podobną np. scenę ze Starego Testamentu, kiedy Abraham spotkawszy trzech aniołów, rzucił się do nóg jednego tylko i chwalił go (*tres vidit, unum adoravit*). Ponieważ komentatorowie uznali, że ci trzej aniołowie przedstawiali Tróję Św.; artyści umieścili krzyż w nimbie anioła, któremu Abraham do nóg upadł (tabl. II fig. 3).

Powiedzieliśmy wyżej, że nimba otacza tylko głowę; lecz i tutaj jest wyjątek dotyczący samego tylko Boga: przedstawiano bowiem czasem tylko jedną część Bóstwa, np. rękę wystającą z obłoków; a chcąc pokazać, że ta ręka jest ręką Boską, otaczano ją nimbą krzyżową. Ręka w ten sposób nimbowana, jest najdawniejszym przedstawieniem Boga-Ojca (tabl. III. fig. 15).

Napotyamy także jagnię i lwa otoczonych nimbą krzyżową, wtedy, gdy są przedstawione jako symbole Jezusa Chrystusa.

Czasem nimba Boga jest kwadratowa z bokami wklęsłymi (tabl. III fig. 10), częściej trójkątna (tabl. II fig. 7), albowiem trójkąt był figurą geometryczną oznaczającą Boskość lub Tróję św. Włochy i Grecya przyjęły tę formę nimby, oznaczającą zarazem zasadniczy dogmat chrystyanizmu. Grecy umieszczali w trzech kątach trójkąta litery *ὁ ὢν ἰστοτα*. Oprócz tego, robili nimby złożone z dwóch trójkątów, aby niejako tém lepiej okazać nieskończoność Boskości i jój wszechmoc (tabl. II fig. 6).

Boskim zatém osobom wyłącznie, forma trójkątna nimby była dodawaną, najczęściej jednak Ojcu Przedwiecznemu. Gdy inne osoby Boskie noszą trójkąty, to tylko wtenczas, gdy przedstawiają Tróję św. Często jednak obok Boga-Ojca mającego trójkąt, spostrzegamy Syna Bożego i Ducha św. mających tylko obwódki koliste. Niekiedy Ojciec i Syn mają trójkąty, Duch zaś św. otoczony jest aureolą kolistą. Za czasów odrodzenia (*renaissance*), przyjęto we Włoszech i Grecyi nimbę trójkątną; Francya zaś pozostała przy kole.

Nimba kwadratowa, wyobrażenie geometryczne ziemi, ozdabia głowy żyjących. Czasem nimba ta dawana była Bogu, lecz wtedy jest wpisana w nimbę kolistą jako amblemata wieczności: kwadrat więc ten oznacza Boga wiecznie żyjącego, życie wpisane w wieczność.

Pole nimby Boskiej zazwyczaj więcej bywa przyozdabiane, aniżeli pole nimby aniołów, ludzi i istot alegorycznych. Głowa Boska, ognisko wszelkiego światła, prawie zawsze rzucała promienie na tło nimby; promienie te są zawsze w trzech pęczkach (tabl. III fig. 12), wyjątkowo tylko w czterech (tabl. III fig. 15). W XV wieku promienie te pomnażają się, oddzielają się od siebie (tabl. II fig. 7) i obwód znika. Są one zazwyczaj proste i wszystkie równe, niekiedy skupiają się w snopki na czole i na skroniach, i wystają nad promienie pośrednie (tabl. III fig. 11), niekiedy wszystkie są płomieniste, albo naprzemian płomieniste i proste.

W pierwszych czasach chrześcijaństwa, gdy Chrystusa przedstawiano często pod postacią jagnięcia, zazwyczaj to jagnię było bez nimby; a jeśli ją miało, to kolistą. Nieco później dopiero umieszczono krzyż w polu nimby, lecz od tego czasu rzadko już w polu nimby zapisywano monogram Chrystusa  $X$  albo  $P$ , dwie greckie litery, rozpoczynające wyraz  $XPICTOC$ . Nakoniec  $A$  i  $\Omega$  monogram wspólny trzem Osobom Boskim, litery oznaczające początek i koniec, towarzyszyły właściwemu monogramowi Chrystusa (tabl. III fig. 17). Chrystus mówi o sobie w Apokalipsie: „Ja jestem  $A$  i  $\Omega$ , początek i koniec.”

### Nimba aniołów i świętych.

Aniołowie mają nimbę kolistą, lecz z polem jednostajnym (tabl. II fig. 3); niekiedy jednak, szczególnie w Włoszech i Grecji, pole ozdobione jest gałązkami, sznurkami pereł, a nawet promieniami: lecz trzeba uważać, że w tym ostatnim razie promienie są rozrzucone bez liczby, a nie skupione w trzech punktach, jak w nimbie Boga. Trzy promienie nimby świadczą o Boskości, a liczniejsze promienie są godłem innych stworzeń, szczególnie aniołów; tak więc anioł nigdy nie nosi nimby krzyżowej, chyba że jest uosobieniem Boga, jak to bywa u Greków, i jak to widzimy na obrazie przedstawiającym zjawienie

się trzech aniołów przed Abrahamem (tabl. II fig. 3). Są jednak częste wyjątki od téj reguły, i zazwyczaj ci trzej aniołowie nie różnią się niczem od innych aniołów: mają nimby jednostajne a przynajmniej nie krzyżowe.

Osoby Starego Testamentu szczególnie na Wschodzie, mają nimby jak święci Nowego Testamentu (tabl. II fig. 4, 5 i 1). Na Zachodzie patryarchowie, sędziowie, prorocy i królowie żydowscy, daleko mniej są czczeni, aniżeli na Wschodzie: w Grecyi, w Azji, gdzie są w największym poważaniu, i gdzie nazwiska z biblii wysoko są cenione. Tam téż nadają tym osobom nimbę kolistą, często w polu palmą ozdobioną.

U nas na Rusi malują proroków z takimi nimbami, rzadziej patryarchów i sędziów, a najrzadziej królów. Z pomiędzy królów, Dawida i Salomona czasem widzieć można z nimbą. W Grecyi nimbę dawano Ezechiaszowi, Manassesowi, wreszcie królom świętym, więcej szanowanym aniżeli inni. W ogólności, u nas i na całym Zachodzie nimbę dodawano tylko świętym ewangelicznym; gdy przeciwnie, malując świętych Starego Zakonu najczęściej ją opuszczano.

Święty Jan Chrzciciel, będący niby pośrednikiem pomiędzy obydwoma testamentami, ma zawsze, nawet na Zachodzie, nimbę na głowie (tabl. II. fig. 4). Śty Józef opiekun Chrystusa, najczęściej miewa nimbę; jednakowoż często i bez niej widzieć go można.

Najświętsza Panna nosi nimbę kolistą, a często bogato ozdobioną. Matka Boska, w uwielbieniu najbardziej zbliżona do swego syna, rozsyła promienie nietylko z głowy, ale z rąk i z całego ciała. Nimba Jój nie jest krzyżową, ale równie bogatą jak samego Boga. Ma ona aureolę i gloarę całą, ręce promieniste, tęczę za tron, słońce za ubranie, księżyc za podnózek, gwiazdy za koronę, równie jak sam Jezus Chrystus (tabl. IV. fig. 21). Pochodzi to z zastosowania do Matki Najświętszój owego Apokalipsy obrazu w rozdz. 12.

Apostołowie, jakto być powinno, są także ozdobieni nimbą. Apostołowie wraz z osobami boskimi, największe mają prawo do nimby.

Święci wszystkich rodzajów bywają ozdabiani nimbą kolistą.

Pole tarczy bywa mniej albo więcej ozdobnóm, stosownie do epoki lub kraju w którym było zrobione, i stosownie do

materyi, na której zostało wykonane. W odległej epoce chrystyanizmu i w czasie odrodzenia się sztuk, nimba bywa więcęj ozdobną, aniżeli w właściwych średnich wiekach; spostrzegamy na niej palmy, koronki, rubiny, perły. Grecy nietylko pędzlem wykonywali ozdoby nimby na swoich obrazach, ale przyczepiali nawet i rzeźby. Nakoniec nimby roboty złotniczej, z kości słoniowej, z emalii albo malowane na szkle, są zazwyczaj bogatsze, aniżeli rzeźbione na kamieniu liasowym albo granicie.

Okolo XIV wieku upowszechnił się zwyczaj, szczególnięj w Niemczech, wpisywania wewnątrz nimby nazwiska św. którego głowę ozdabia. I tak w katedrze sztrasburskiej, malowania okien przedstawiające wielu królów i cesarzów, (choć pochodzą z XI i XII stulecia, ale były restaurowane okolo XIV wieku) wokoło głowy mają nimby, na których czytać można nazwiska osób (1). W Niemczech zwyczaj ten dotrwał aż do końca XVI wieku. Grecy zachowali go stale; lecz zamiast pi-

Ω Ω

sać całe nazwisko, dość często kładą monograma IC. XC. (Jezus

Ω

Chrystus) i MP. ΘV. (Matka Boska) dla Chrystusa i Najśw. Panny; albo litery początkowe Γ. M. P. M. H. II dla archaniołów: Gabryela, Michała, Rafaela, Mojżesza, Eliasza i św. Piotra.

We Francyi w XII i XIII wieku pisano zazwyczaj nazwiska świętych na chorągiewce danęj w rękę przedstawionęj osobie.

### Nimba osób żyjących.

Żyjący jeżeli byli ozdobieni nimbą, ta bywała czworokątną (tabl. II. fig. 8). Forma ta oznaczała zawsze, że osoba którą przedstawiano, żyła jeszcze wtedy, kiedy ją przedstawiano.

Powiedzieliśmy już, że czworokąt ma niższe znaczenie od koła, i jest symbolem geometrycznym ziemi, jak koło jest symbolem nieba.

Ani u nas, ani też w Grecyi, Niemczech, Anglii, Hiszpanii, nie przedstawiają tego rodzaju nimb; są one właściwe tylko Włochom. Mówiąc *u nas* rozumiemy obrazy i pomniki

(1) Ob. na tabl. II, fig. I przedstawiającą Karola Wielkiego.

w kraju znajdujące się; przecież zagraniczne są w krajach dawniej Polski w większej ilości niż utwory swojskie. We Włoszech używają często nimby kwadratowej, i nadają jej rozmaite postaci: bywa ona poprostu prostokątną, jak papieża Grzegorza (tabl. II. fig. 8); niekiedy ma kształt triptyku, głowa oparta jest na części środkowej, a skrzydła napół roztwarte; niekiedy ma kształt tablicy czworokątnej z polem i ramami; czasem ma postać zwoju napół roztwartego (tabl. II. fig. 9).

Czworokątna nimba żyjących jest wielkiej wagi, ponieważ służy do oznaczenia wieku obrazów, mozaik, rękopismów i innych pomników; są bowiem one niezaprzeczenie z epoki, w której żyła osoba z nimbą tego kształtu przedstawiona.

We Włoszech nie przestawano na nimbie czworokątnej albo prostokątnej: wprowadzono jeszcze nimbę sześciokątną, i stosowano ją do uosobionych cnót teologicznych i kardynalnych. W tym przypadku, forma nie ma znaczenia chronologicznego i nie jest cechą indywidualum żyjącego, albowiem jestto tylko allegorya.

### Nimby postaci allegorycznych.

Postaci allegoryczne, którym przypowieści Jezusa Chrystusa nadały niejako istnienie rzeczywiste, miewają nimby, jeżeli wyrażają cnotę albo święty jaki przymiot; takimi są: *panny mądre*, a niekiedy i *panny głupie*. Cnoty uosobione przez sztukę i przedstawione przez rzeźbiarzy albo malarzy, miewają zazwyczaj nimby, jako cnoty nazwane teologiczne: wiara, nadzieja, miłość; cnoty kardynalne: sprawiedliwość, rozsądek, wstrzeźliwość i siła. Ich nimba we Włoszech bywa niekiedy sześciokątna; we Francyi zawsze kolista. Uosobienie wiatrów, czterech elementów, konstellacyj, dnia i nocy, są czasem nimbowane. Religia chrześcijańska albo kościół, uosobiony jest w postaci kobiety ukoronowanej, trzymającej kielich w jednej ręce a krzyż w drugiej: uosobienie to najczęstsze w średnich wiekach miewa nimbę. Nimbę noszą także niekiedy słońce i księżyc. We Francyi, zamiast otaczać tém godłem głowę słońca i księżyc, kładą w rękę tych planet pochodnię, jak to widzimy w portyku północnym katedry w Chartres.

Cztery godła ewangelistów: anioł św. Mateusza, orzeł św. Jana, lew św. Marka i wół św. Łukasza, miewają nimby równie jak ewangeliści i sami apostołowie. (Porównaj widzenie Ezechiela proroka rozdz. 1 w. 10, które zastosowano do czterech ewangelij).

Co do nimbowania zwierząt należy zważyć, czyli czasem zwierzę na obrazie przedstawione nie jest herbem ofiarującego obraz. I tak w kościele Woli Radziszowskiej (w obwodzie wadowickim) na obrazie Zwiastowania, N. M. Panna trzyma na ręku gryfa w koronie. Obraz szkoły staro-niemieckiej z XV wieku, a gryf tu tylko jako herb a nie symbol przedstawiony.

Nakoniec geniusz złego, szatan, miéwa niekiedy nimbę, jeżeli według stylu bizantyjskiego jest w postaci potęgi i siły. Zobacz fig. 18 (tabl. III) przedstawiającą zwierzę apokaliptyczne o siedmiu głowach, lamparta z nogami niedźwiedziemi. Sześć głów mają nimby, a siódma jestto ta, o której mówi apokalipsa, że była śmiertelnie ugodzoną: utraciła siłę, jój więc oznaki mieć nie powinna.

### Znaczenie nimby.

Nimba według wyobrażeń zachodnich jest godłem świętości: ktokolwiek jest uwielbionym, ma nimbę. Lecz nie tak jest na Wschodzie: nimba oznacza tam siłę fizyczną, równie jak i potęgę moralną; władzę cywilną albo polityczną, zarówno i powagę religijną. Król tém samym prawem nosi nimbę, jak i święty. Tak więc na Wschodzie dają nimbę wszystkim panującym władzą czysto cywilną, powagą wojskową i religijną, zarazem powagą czysto religijną; oznaczają nią wszystko co jest silném, nawet geniuszów złego lub dobrego, diabłów i bogów: odmawiają jój zaś wszystkim istotom słabój władzy lub cnoty.

Na Zachodzie oprócz małej liczby wyjątków wyżej wymienionych, i w okolicach, które nie były w zetknięciu z wyobrażeniami wschodniemi, nimbę kładą tylko na głowie Boga, aniołów, świętych, i dodają ją wyobrażeniom świętych. Król, biskup, nie ma nimby, jeżeli nie jest świętym, albo jeżeli nie jest uznany za takiego. Niekiedy jednak posągi wielkich świętych mogą być bez nimby, jak to spostrzegamy w wielkim portalu

katedry w Amiens; ztąd nie można wnosić, że oni nie są kanonizowani, jeżeli nie mają nimby: pochodzi to albo z trudności wyrzeźbienia trwale téj oznaki naokoło głowy, albo że są zbyt oddaleni od muru, do którego tylko można było przyczepić nimbę. Co więcej, włącznie aż do XIV wieku, brak albo obecność nimby nie są zawsze charakterystycznymi, aby ztąd można zaprzeczać lub sądzić o świętości.

## Historya archeologiczna nimby.

Nimba przeznaczona jest do wyraźnego nacechowania świętością lub ubóstwieniem każdej postaci nią ozdobionej. Bywa ona na głowie jako korona, ponieważ głowa jest najszlachetniejszą i najważniejszą częścią, a zarazem najwięcej widzialną. Poganie znali już nimbę, jakśmy to wyżej powiedzieli; lecz użycie jéj częstsze, stalsze, rozmaitsze, i więcej znaczące, zawdzięczamy chrystyanizmowi. W piérwszych czterech wiekach chrześcijaństwa, nimba mało się pokazuje, ponieważ peryod ten napełniony jest walkami i prześladowaniem. Kościół buduje się, lecz nie ma jeszcze swéj własnéj sztuki. W epoce téj, nimba na freskach i sarkofagach rzadko bywa napotykaną w katakumbach; nawet sam Chrystus bywa przedstawiony bez nimby.

Później około V i VI wieku, rozrózniono świętych królujących w niebie, od zwyczajnych śmiertelników, przez nimby kolisté; sam Bóg nawet miał nimbę kolistą albo tarczowatą. Lecz przez rozróznienie właściwe, nimba osób Boskich została wierzchołkowo podzieloną przez dwie poprzeczne linie na podobieństwo krzyża, tak, jakśmy to już wyżej widzieli.

Chrystyanizm przyjąwszy już raz nimbę za cechę świętości, używał tego znaku stale, prawie aż do odrodzenia, lecz z pewnemi modyfikacyami, które stanowią jego historyą archeologiczną o której teraz mówić nam przypada.

Na pomnikach dawniejszych od XI wieku, nie znajdujemy nimby stale wyrażonéj naokoło głowy świętych. Przed VI wiekiem na pomnikach autentycznych nie widzimy nimby chrześcijańskiéj. W VII, VIII i IX wieku istnieje przejście pomiędzy brakiem zupełnym, a stałą obecnością nimby; tenże sam pomnik przedstawia osoby jużto z nimbą, jużto bez tego

godła. Nimba bywa rozmaita nawet co do kształtu: przedstawia albo prostą prążkę, albo obrąbek, albo tarczę. Aż do XII wieku, nimba miała zazwyczaj kształt tarczy cienkiej, zupełnie, albo prawie przezroczystej.

W XII, XIII i XIV wieku, nimba grubieje, zwęża się i mniej wystaje nad głowę; z przezroczystej jaką była, staje się nieprzezroczystą: jestto tylko tarcza gruba, rodzaj tablicy wymalowanej lub wyrzeźbionej poza głowę. Takie nimby mają Bóg, aniołowie i święci w katedrze paryzkiej i w Chartres. Kaplica św. Ludwika (I), pomiędzy dziwnie pięknymi ozdobami, przedstawia nam aniołów i świętych z świetnymi nimbami, pięknej roboty i malowanymi jaskrawymi kolorami; lecz kaplica św. Ludwika jest pomnikiem wyjątkowym, budowlą królewską, o której powiedziećby można, że geniusz orientalny w niej panuje.

XV wiek i pierwsze lata XVI przedstawiają okres, w którym gotycyzm upada, traci lekkość i bogactwo, a staje się materialnym; i nimba też z szerokiej, jaką była jeszcze, staje się wąską, a szczególnie grubą. Nie jestto już aureola, światło promieniejące z głowy: światło to się skupia i wygląda jak rodzaj czapki umieszczanej czasem na głowach świętych, nawet Boga samego; często na ucho zwieszonę, już to na prawo już to na lewo, jak nakrycia głowy naszych wieśniaczek w okolicy Oświecima i Zatora. Szyby z końca XV wieku, wiele okien z kościołów Troyes i Chalons sur Marne przedstawiają takie nimby, rzeczywiście zbliżone do czepków, niekiedy ozdobione jak denko czapki sukiennęj. Stalle katedry w Amiens z roku 1508 przedstawiają takie przykłady (tabl. IV fig. 19). W całym kościele Notre Dame de Brou w Bourge, ani jednej nie masz nimby nad aniołami rzeźbionymi lub malowanymi, ani nad posągami. U niektórych jest, ale w postaci ubrania na głowie.

W tej samej epoce we Włoszech, a nawet na sto lat pierwiej, nimba była należycie wyobrażona; (trzeba pamiętać, że odrodzenie włoskie, o sto lub sto pięćdziesiąt lat poprzedza odrodzenie francuzkie, a u nas przypada na czasy Zygmunów: ztąd ten styl Zygmunowski zwiemy). Tak więc nimba poniżona wraca z odrodzeniem do dawniej świetności, dostaje napowrót kształt kolisty jak w pierwszych wiekach, a pole jej znika.

(1) La sainte chapelle, w Palais de justice.



Koło to jest regularne, albo przedstawia linią rozplywającą się, drżącą, i jakby koło świetlne. Często samo koło nawet znika, widać tylko cień płomienia kształtu okrągłego, lecz bez stałego punktu przyczepienia. Czasem promienie tworzą okrąg, czasem równoległobok (tabl. III fig. 11), często są tylko trzy pęczki światła, wychodzące z wierzchu i boków głowy, jak na fig. 12 niemającej koła.

Również widać koła świetlne w perspektywie nimby, przezroczyste. Fig. 20 tabl. IV jest przykładem bardzo częstym we Włoszech.

Pomniki dostarczające tych innych rodzajów nimby, napotyamy we Francji, szczególnie w Saint-Germain des Prés, Notre Dame, w kaplicy św. Ludwika w Saint-Germain l'Auxerrois, u św. Szczepana du mont. Nie mamy jeszcze tyle specjalnych opisów obrazów, abyśmy swojskie zabytki ciągle na przykład podawać mogli; wreszcie obce więcej u nas znane jak swoje, a więc jaśniej tłumaczą.

Wreszcie na końcu XVI wieku nimba znika zupełnie, tak, że Bóg i święci są wyobrażeni bez nimby.

W naszym wieku nimba została przywróconą, lecz artyści mało obznajmieni z archeologią, nadają nimby dowolnie, bez różnicy, i popełniają mnóstwo błędów.

## Aureola.

### *Jej określenie, postać.*

Aureola, jakśmy to wyżej powiedzieli, jest nimbą całego ciała, tak samo jak nimba jest aureolą głowy.

Wyraz ten pochodzi od łacińskiego *aureola*, zdrobniały od *aura*, wietrzyk, powietrze, podmuch; także dzień, światło, dech świecący: wszystkie te wyrażenia oznaczają naturę aureoli, będącej światłem, które otacza całe ciało, promieniowaniem ciała.

Forma aureoli bywa dosyć rozmaita. Najczęściej napotyamy owoidalną, z podstawą i szczytem kończystymi (tabl. II fig. 2), a nie z tępemi, jak w owalu właściwym. Czasem owal jest doskonały, albo też ścięty w podstawie i wierzchołku; otacza tylko ciało i przedłuża się do góry i na dół w postaci oko-

lonych tarcz. We Włoszech, brzeg zewnętrzny aureoli obejmujący ciało jest regularny, geometryczny (tabl. II fig. 2); u nas jestto najczęściej linia falista, przedstawiająca obłoki, albowiem pole owalu jest niebem. W XV wieku cały brzeg aureoli bywa niekiedy otoczony aniołami, na podobieństwo ram zdobionych arabeskami. W XVI wieku, aureola Najśw. Panny nie miewa najczęściej na brzegu obłoków, i zostaje samo tylko pole złożone z promieni płomienistych, albo naprzemian prostych i płomienistych, wychodzących z ciała Najśw. Panny na wszystkie strony.

Aureola bywa niekiedy kolistą, unoszoną przez cherubionów; niekiedy pole podzielone jest na kwadraty symboliczne z bokami wklęsłemi, jedne na drugie zachodzącemi. Z ciała Chrystusa wychodzą niby promienie na wszystkie strony, i zapełniają pole aureoli. Pole to niekiedy oświecone jest dwiema gwiazdami, błyszczącemi koło głowy osoby świętej, umieszczonemi w aureoli samej, po prawej, i lewej. Czasem całe pole zasiane jest gwiazdami, jak niebo w noc pogodną (tabl. IV fig. 21), lecz to dość rzadko. U Bizantynów i Greków nowożytnych, aureola otaczająca Chrystusa przedstawia nam pewną właściwość; aureola ta ma kształt koła. Ze środka wychodzi sześć promieni, biegnących do obwodu, lecz nie zatrzymują się tutaj, ale przedłużają i kończą: jeden na Mojżeszu, drugi na Eliaszu, trzeci na św. Piotrze, czwarty na św. Janie, piąty na św. Jakobie, szósty zaś zakryty jest przez Chrystusa samego. Szczególny ten rozkład aureoli jest najrzadszym: widzieć go można tylko w budowlach zdradzających wpływ bizantyński, choćby pośredni; w Sycylii aureole takie są zwyczajne. Zda się, że to ma wyobrażać Chrystusa Pana w Przemienieniu Jego na górze Tabor. U nas obrazy Przemienienia Pańskiego inaczej się znamionują.

Aureola także przedstawia wiele odmian: czasem ma formę czteroliścia, kiedyindziej utworzona jest z dwóch kół różnej średnicy, przecinających się i tworzących postać ogórka albo figi (tabl. IV. fig. 21), z tą jednak różnicą, że na fig. 21 Najśw. Panna wyobrażona w aureoli, siedzi na tarczy przecinającej owal górny. Niekiedy koło górne jest otwarte, a dolne zamknięte, albo też przeciwnie; inną razą i góra i dół są otwarte, a aureola składa się z linii równoodległych.

Najwyczejniej aureola ma postać owalną; lecz czasem owal ten przedstawiają gałęzie drzew krzyżujące się, odstające dla zostawienia miejsca wolnego i znów się krzyżujące: przez co powstaje kształt jakby podwójnego łuku krzyżowego (*ogive* w architekturze gotyckiej). Prawie wszystkie drzewa genealogiczne, szczególnie z XII i XIII wieku, na których ustawieni są przodkowie Najśw. Panny i Jezusa Chrystusa, są w ten sposób utworzone. W każdym owalu wpisany jest praszczur, król; na wierzchu panuje Jezus Chrystus siedzący na tronie i błogosławiący świat ręką prawą. Pięknym pomnikiem a dającym wyobrażenie o podobnym drzewie rodowém, jest drzeworzeźbiona ambona w kościele PP. Klarysek w Starym Sączu; przecież jest to zabytek z końca XVI, a może początku XVII wieku.

### Zastosowanie aureoli.

Z małemi wyjątkami, aureola służy tylko Bogu. W rzeczy samej jest ona wyrażeniem postaciowém największej potęgi, Bogu więc tylko samemu dawana być powinna; Bogu, który sam w sobie samym posiada światło najwyższe i wszechmoc. Bywa ona dawana Bogu-Ojcu, albo Synowi (tabl. II fig. 2.), niekiedy Duchowi Śmu: lecz w tym ostatnim razie, szczególnie przed XIVtym wiekiem, potrzeba, by Duch Śty wchodził do Trójcy Stój i aby towarzyszył innym osobom Boskim (tabl. II. fig. 6).

Jednakowoż Najśw. Panna, która jest pierwszą z ludzi następującą zaraz po Bogu; Marya, wyższa nad Świątych i Aniołów przez czynności, które wypełniła i przez cześć, jaką jej odają, dostępuje dosyć często téj chwały (tabl. IV. fig. 21).

Aureola otacza Maryą w czterech szczególnych okolicznościach: 1) gdy trzyma na ręku Boskie dziecko; 2) podczas Wniebowstąpienia, gdy aniołowie w niebo ją unoszą; 3) na sądzie ostatecznym, gdy błaga Chrystusa o miłosierdzie; 4) kiedy jest przedstawioną z godłami niewiasty apokaliptycznej, niosącej nam odkupienie: niekiedy jednak na sądzie ostatecznym widzieć ją można bez aureoli. Korony królewskie metalowe na obrazach Bogarodzicy ukazują się w Europie dopiero w końcu XVII wieku. Alexander Sforcyca dziekan kapituły

watykańskiej, r. 1685 przeznaczył procenta od swego majątku na koronowanie obrazów Matki Boskiej i SS., wyjednawszy na to pozwolenie stolicy apostolskiej. U nas ukoronowano pierwszy obraz Maryi Częstochowskiej r. 1717. Rozumiemy tu korony metalowe, a nie na obrazie malowane lub wyrabiane, jakie dają się widzieć na utworach staro-niemieckiej szkoły.

Aniołowie nie mają aureoli, a jeżeli są objęci aureolą Boga, któremu towarzyszą, jak się to dzieje na ostatecznym sądzie, aureola ta nie jest im właściwą, lecz należy do Boga absorbującego ich w swojej świetlnej atmosferze.

### Historya aureoli.

Aureola podlega tym samym odmianom co i nimba, a w najdawniejszych pomnikach chrześcijaństwa nie widzimy jej wcale. Aureola nawet zjawia się o wiele później od nimby, znika ona także przed zniknięciem nimby, tak, że jej istnienie jest dosyć ograniczone. Wreszcie w średnich wiekach, gdy nimba pomimo zapomnienia była przecież używaną, aureola niezawsze jest przedstawioną: jestto więc forma daleko rzadsza i daleko krócej trwająca, aniżeli ta, która otaczała głowę. Niekiedy w XIIIym wieku Bóg wyobrażony jest bez aureoli.

Okolo XV-go i XVI-go wieku, nimba utracą swój brzeg zewnętrzny, jakeśmy to wyżej powiedzieli; a nawet dość często brakuje jej obwódki wewnętrznej, do której przyczepione są promienie; toż samo dzieje się z aureolą: obwód znika i zostaje samo pole. Pole to jest prążkowane promieniami prostemi, albo płomienistemi, a niekiedy naprzemian prostemi i płomienistemi.

### B ó g.

Bóg jest czystym duchem, niewidzialnym, lecz wszędzie obecnym, wiecznym, niezmiernym, nieskończonym w trwaniu, równie jak w wieczności. Sztuka wyobraziła tę niewidzialną istotę w obrazach i posągach; tę niezmierną istotę uchwyciła w skończone rozmiary.

Jedyny w istocie Bóg, jest trojakim w osobie: *Deus trinus et unus*. Dogmat chrześcijański nadaje każdej z tych Boskich osób osobne nazwisko i osobne czynności; sztuka ze swój strony przydziała te nazwiska szczególnymi postaciami; wyobraziła te osoby, i nacechowała ich czynności właściwymi godłami. Przez te też godła artyści odróżniali trzy te osoby Boskie, wystawiając je razem, albo też każdą z osobna.

## Bóg - Ojciec.

Bóg Ojciec często objawiał się w stosunkach z człowiekiem, i niektóre czynności częściej bywają Jemu przypisywane, aniżeli innym dwom osobom. Według historyi, Bóg częściej okazywał się w Starym Testamencie i Biblii właściwej; gdy tymczasem Syn, szczególnie w nowym zakonie się objawia, a Duch ś-ty jużto po wszystkie czasy się pokazuje. Jednakoż w ikonografii nie częstszego, przynajmniej do XV-go wieku, jak widzieć Syna zajmującego miejsce Ojca: stwarzającego świat, nakazującego Noemu zbudowanie arki, wstrzymującego rękę Abrahama, rozmawiającego z Mojżeszem. W tym razie łatwo jest rozpoznać Syna po młodej twarzy, bez brody, po ubiorze który później opiszemy, lub też po napisie nazwiska całego albo w monogrammacie. U Greków Syn zastępuje nie tylko wszechmoc, ale nawet mądrość Ojca. Nietylko Syn miejsce Ojca często zajmuje, lecz nawet postać Boga Ojca niknie w takim przedstawieniu: jużto widać tylko jego rękę, jużto rękę i przedbark, albo rękę i cały bark, niekiedy twarz, a w końcu popiersie; później dopiero usiłowano wyobrazić Jehowę w całkowitej postaci. Jeżeli Bóg-Ojciec wyobrażony jest cały lub w części, niezawsze jest stosownie umieszczony, albo godnie przedstawiony. Przeciwnie, Syn zawsze jest przedstawiony z godnością, i zawsze stosownie umieszczony.

Fakt ten można sobie wielorako wytłumaczyć: najpewniej może będzie, że gnostycy nie mieli dość czci ku Bogu-Ojcu. Prawdopodobną jest rzeczą, że gnostycyzm wcisnął się do sztuki chrześcijańskiej, i może bez jój wiedzy długo się tam zachował, jak tego dowodzą starożytne pomniki. Byłaby to ta sama rzecz z temi herezjami, co i z legendami fałszywymi (apocryphes), które choć potępione i przeklęte, pomimo tego po naj-

większej części są malowane na szybach, rzeźbione w portalach katedr zagranicznych.

Drugi powód była obawa przypomnienia Jowisza; trzecim, było toż samo podobieństwo Ojca i Syna, oparte na Piśmie Świętém; czwartym, Wcielenie Syna, które jest słowem Bożém; piątym powodem brak wzoru przez widoczne objawienie; szóstym nakoniec, trudność utworzenia tak wspaniałego obrazu. W pierwszych wiekach kościoła, aż do XII wieku, nie widać wizerunków Boga-Ojca: obecność jego objawia się tylko przez rękę wychodzącą z obłoków albo z nieba (tabl. III, fig. 15.), która oznacza potęgę Boską. Ręka ta otwiera się cała i rozrzucą niekiedy promienie, najczęściej błogosławi. Znak, po którym poznać można, że to jest ręka Boska, jest nimba krzyżowa (tabl. III, fig. 15.), albo téż po fackie przedstawionym jeżeli nie jest nimbowaną. Zazwyczaj można uważać za rękę Boga każdą rękę błogosławiącą, albo promieniejącą, albo trzymającą koronę, którą widzimy wychodzącą z nieba.

Podczas panowania gotycyzmu i odrodzenia, nawet wtenczas, gdy przedstawiano Boga w popiersiu lub całej figurze, często jeszcze widzimy rękę, co trwa aż do XVII wieku. Zazwyczaj nie miewa ona godęł, szczególniej w epokach odznaczających się albo brakiem, albo rzadkiem pojawianiem się nimby; niekiedy ma nimbę jednostajną albo krzyżową. Na freskach katakumb, w starożytnych sarkofagach i najdawniejszych mozaikach, nimby nigdy nie spostrzegamy.

W XIII i XIV wieku, Bóg-Ojciec pokazuje z nieba nie tylko rękę lub ramię, ale popiersie i nakoniec całą postać; lecz nie ma jeszcze właściwych rysów: postawę, ubiór i wyraz ma Synowski, i napis tylko, albo fakt jakowy może ułatwić rozróżnienie Go od Syna (tabl. III fig. 16 i 10). W wyobrażeniu Trójcy św., Syn Boży jest po prawej stronie Boga-Ojca. Ojciec ma herło albo kulę ziemską, Syn zaś krzyż albo Ewangelią (tabl. II fig. 6). Niekiedy przydają Synowi Bożemu kulę ziemską, jeżeli sam jest wyobrażony, ale to rzadko; przeciwnie, książkę daleko częściej dają Synowi, po której niekiedy można go rozpoznać. Nimba trójkątna albo równoległoboczna służy zazwyczaj Bogu - Ojcu (tabl. II fig. 6, 7; i tabl. III fig. 10). Wszystkie Osoby Boskie miewiają nogi bose.

Już w XIV wieku daje się spostrzegać niekiedy w rękopismach lub miniaturach usiłowanie sztuki, nadania Jehowie

szczególnej postaci. W rysach spostrzegamy wiek podeszły. Na początku XIV wieku, Bóg-Ojciec jeszcze zanadto jest młody, stosownie do ziemskiego pojmowania różnicy, jaka zachodzi pomiędzy nim a Synem; lecz w XVI wieku, a szczególnie podczas odrodzenia, stosunek wieku jest naturalnie zachowany.

Przy końcu XIV wieku, w XV i w początku XVI, pomimo nieudolności nadania Mu odpowiedniej fizjonomii, szukano w społeczeństwie typów, mogących najlepiej wyobrazić najwyższą potęgę. Tak więc we Włoszech, gdzie papież ma najwyższą władzę, Boga-Ojca przedstawiano w tyarze papieskiej; w Niemczech, w koronie cesarstwa niemieckiego; we Francji często król służył za wzór; w Anglii przywdziewa Bóg godła królestwa, w Hiszpanii jest jużto papieżem, jużto królem. U nas bywa też często w postaci Ojca św.; np. na rzeźbie na dziedzińcu w domu nr. 15 w rynku w Krakowie. Mamy przecież i za-  
bytki, gdzie Bóg-Ojciec i Syn Boży są przedstawieni w purpurach i koronach cesarskich. Wyobrażenie w ten sposób sceny koronacji Matki Boskiej, można widzieć na obrazie szkoły staro-niemieckiej w farze Krośnieńskiej (Jasielskie). Wit Stwos w swoim ołtarzu P. Maryi w Krakowie, przedstawia Chrystusa i Boga-Ojca przybranych w złote płaszcze i królewskie korony. Dla podwyższenia Boskości nad papieża, zamiast dawania Mu trzech koron w tyarze, miewa ich często cztery, do pięciu. Jeżeli obuty jest w sandały papieżkie, jestto wyjątek, ponieważ Bóg zawsze miewa nogi bosa. Bóg Ojciec w postaci króla zjawia się najczęściej w XIV wieku; w XV zaś w postaci papieża.

Jestto rzecz bardzo ciekawa, jak w sztuce jasno i dobitnie odbija się epoka, która na nią wpływała. Podczas gdy duchowieństwo rządziło społeczeństwem, od V aż do IX wieku, sztuka jest ciężka i surowa. W fizjonomiach rzeźbionych marszczki nigdy nie giną, nawet dla uśmiechu. W IX do XIII wieku, podczas panowania feudalizmu, postaci są sztywne, a w kształtach jest coś z arrogancyi, a w wyrazie śmiałość: odwaga, ale także i surowość przebija się we wszystkich rysach. Później, w XIII aż do XV wieku, gdy w gminach emancypowanych mieszczaństwo zawiązało się i wykłuło, sztuka zdelikatniała; wtedyto sztywność epok poprzedzających zgięła się w liczne ruchy, dzikość zeszyła do familiarności, szlachetność rysów do pospolitości. Pomiedzy żyjącymi szukali artyści wzo-

rów do przedstawienia Boga, i zrobili Go bez godności, zmienili w człowieka i natchnęli nieszlachetnymi namiętnościami. Lecz w XV i XVI wieku wcisnęła się do polityki równie jak do sztuki massa ludzi bez nazwiska, uboga w formy i ubranie, mająca fizyonomie najczęściej zwyczajne, a powierzchowność często gburowatą. Tłum ten zmącił wyobrażenia estetyczne, i grubą swoją fizyonomię nadał ideałowi wyższemu, nawet Najśw. Pannie, która pojawiała się w postaci zwyczajnej kobiety: jak to widzieć możemy na pomnikach z tej epoki.

Potrzeba było przyjścia na świat wielkich artystów włoskich i odrodzenia (Perugino, Raphael, Michał Anioł), aby stworzyć to podziwienia godne wyobrażenie Przedwiecznego Jehowy, tego Boskiego starca, przed którym drży ziemia więcej, niżli przed starożytnym Jowiszem ze zmarszczonem czołem.

Tak więc z odrodzeniem, odrodził się starożytny ideał. Wyobrażenia Boga-Ojca malowane, albo rzeźbione przez artystów odrodzenia, przejmują uczuciem religijnem. Piękna ta Boskość! Wspaniały starzec tak spokojny i tak silny, nie jest już więcej ni królem, ni papieżem: jestto przyczyna światów.

Nakoniec w XVI-tym wieku wyobrażano Boskość przez samo tylko imię, albo figurę geometryczną. W rozdziale o nimbie powiedzieliśmy, że trójkąt jest symbolem Boga i Trójcy Stój. W tym trójkącie pisano literami hebrajskiemi imię Boga: *Jehowa*, i umieszczano wyraz i figurę w środku promieniejącego koła, które przedstawiało wieczność (tabl. IV, fig. 22). Forma ta abstrakcyjna miała wielkie powodzenie, i nawet dziś jest używaną.

## S y n B o ż y.

Gdy postać Ojca wiele zmian ucierpiała w średnich wiekach, co innego stało się z postacią Syna. Chrystus nas odkupił: chrześciance téż byli Mu wdzięczni, jak dzieci swojemu ojcu. Nad uczuciami, równie jak nad sztukami, Chrystus miał panowanie, począwszy od katakumb, aż do dni dzisiejszych: jestto osoba Boska, której sztuka wyrażała zawsze i wyraża jeszcze szczególną cześć. Osobliwie u Greków wszechmoc i przyczyna bytu wszech istot, bardzo często, a prawie wyłącznie przypisywaną była Chrystusowi.



Na podniebiach wielkich kopuł bizantyjskich błyszczy na dnie złoconém olbrzymia postać Wszechmocnego: *Panto Creatora*. Otóż to wyobrażenie jest rzeczywiście wyobrażeniem Syna, ponieważ z boku napisu *Ὁ Πάντοκρατωρ*, czytamy: IC. XC., a na ramionach nimby *ὁ ὢν*. Tak więc Chrystus jest zarazem odkupicielem i najwyższą potęgą. Chrystusa wszystkie czasy i bez przerwy przedstawiała sztuka pod różnemi postaciami. W czasach, gdy Ojciec pokazywał tylko rękę, Chrystus pojawiał się cały w różnym wieku, bez brody albo z brodą, 18-to albo 30-to letni, z długimi, gestami i kręconymi włosami na ramionach; niekiedy ozdobiony jest dyademem albo opaską na czole. W XV-tym wieku, podczas gdy Ojciec został zeszepecony przez sztukę i poniżony do wyobrażenia papieża zniszczonego starością i zgrzybiałego; Jezus zachował całą swoją piękność, cały swój blask i godność. Zresztą Syn wcielił się, wszyscy widzieli Jego rysy, wszyscy mogli je przedstawić. Zdaje się, że pierwsze portrety Chrystusa winni jesteśmy gnostykom, którzy byli mu przychylni. Wiemy, że Alexander Severus, pomiędzy bożkami domowemi, filozofami i książętami najwięcej szanowanemi, umieścił portrety Chrystusa i Abrahama. Cudowne obrazy, obraz prawdziwy albo fałszywy malowany na chustce ś. Weroniki, portrety przypisywane Nikodemowi, Piłatowi albo ś. Łukaszowi; statua wzniesiona Chrystusowi w mieście Paneas przez kobietę, którą Chrystus uzdrowił: wszystkie te fakta, prawdziwe czy fałszywe, lecz o których pisana tradycja sięga aż do pierwszych wieków ery naszej, dowodzą, że Syn Boga przedstawiany był przez rzeźbę lub malarstwo, nawet w jutrzence chrystyanizmu. Pierwsi chrześcijanie nie mieli z początku w swych zgromadzeniach i katakumbach innych obrazów, jeno Jezusa Chrystusa, jako dobrego pasterza z owieczką na ramieniu, odpowiednio do Ewangelii ś-go Jana r. 10, w. 11. Wszyscy znają opis szczegółowy postaci Jezusa Chrystusa, przesłany senatowi rzymskiemu przez Publiusa Lentulusa prokuratora Judei. Portret ten, jakkolwiekbyć może być fałszywym, nie jest najpierwszym z pomiędzy znanych: pochodzi on z pierwszych wieków kościoła, i najdawniejsi Ojcowie wspominają o nim. Według tego opisu, cesarz Konstantyn kazał malować portret Syna Bożego. W VIII-mym wieku, za czasów ś-go Jana Damasceńskiego, główne rysy tego wyobrażenia pojęto tak, jak je jeszcze dziś

wystawiają. Równie jak Lentulus, Jan Damasceński oświadcza się za pięknoscą Chrystusa, i surowo karci przeciwnie opinie Manicheuszów. Tak więc Chrystus, który wziął na siebie postać Adama, obłókł się w rysi Najśw. Panny: »wzrost wysoki, brwi gęste, oko łagodne, nos proporcjonalny, włosy w lokach, postawa cokolwiek zgięta, barwa świetna, broda czarna, kolor twarzy koloru pszenicy, tak jak i matki; palce długie; głos dźwięczny, mowa przyjemna; charakter ma nadzwyczaj miły, jest spokojny, na wszystko przygotowany, cierpliwy, obdarzony wszystkimi cnotami, jakie rozum wystawia sobie w Bogu-człowieku.« (1).

Przejdźmy teraz do pomników. W szeregu pomników, dwa punkta ikonograficzne nam się przedstawiają: postać Chrystusa z początku młoda, wraz z chrystyanizmem co wiek się starzeje; przeciwnie, postać Najśw. Panny stara w katakumbach, odmładza się z wiekami: ze 40 do 50 lat, które miała w początku, ma tylko 20 do 15 z końcem epoki gotyckiej. Około XIII wieku, Chrystus i Marya mają tenże sam wiek, mniej więcej 30 do 33 lat; później rozłączają się i oddalają coraz to więcej.

Ta młodość Chrystusa, którą uważamy na najdawniejszych pomnikach chrześcijańskich, jest faktem ogólnym i ciekawym. Od drugiego albo trzeciego wieku, aż do dziesiątego, Chrystus jest pięknym młodzieńcem 20-letnim, albo 15-letnim, bez brody, z twarzą okrągłą, miłą, jaśniejącą Boską młodością (tabl. III. fig. 12.) W tej samej epoce, ale rzadziej daleko, napotykamy Chrystusa z brodą; pięknego mężczyznę 30 lub 33-letniego, którego postać nie sprzeciwia się opisom Lentulusa i Damascena.

Na końcu X wieku, za cesarza Ottona II, Chrystus jest jeszcze młodzieńcem bez brody; lecz około r. 1000, wszystko posępniejszą przybrało barwę, jużto z powodu myśli o końcu świata, już téż z powodu rozlicznych klęsk: a więc w XI wieku a nawet już w X, artyści wystawiają Chrystusa w postaci surowej i z fizioonomią smutną. Na Sądzie Ostatecznym Chrystus ma brodę, a wyraz twarzy niewypowiedzianie surowy, w czasie, gdy złych potępia. W piérwszych wiekach udano się do przedstawiania cudów i czynów dobroczynnych Chrystusa, pomijając

(1) Opus et Joch. Damasceni. T. I. pag. 630.

milczeniem boleści Jego męki; lecz od X wieku do XII, prawie całkiem nie zajmowano się cudami, przypominając najboleśniej-sze okoliczności krzyżowania. Najulubieńsza postać Chrystusa w pierwszych wiekach była postać *dobrego pasterza*; lecz od XI aż do XVI wieku pomniki nie przypominają téj pocieszają-cój przypowieści. Od XII wieku, obrazy Chrystusa są jeszcze straszniejsze i surowsze, szczególnie podczas męki i na Sądzie: jestto prawdziwy „*rex tremendae majestatis*” w naszym „*dies irae*”. Niekiedy jednak w tym samym np. rękopismie, spotyka my kontrast surowego i łagodnego, stosownie do przedmiotu: Jezus jest smutny i brzydki podczas męki, gdy tymczasem jest pięknym i śmiejącym się podczas tryumfu (tabl. II fig. 2). Grecy więc ulegający wpływowi hebrajskiemu, malowali Chrystusa jeszcze straszniejszego.

Tak więc od XI do XVI wieku Chrystus jest człowiekiem w sile wieku, ma zawsze 30 przeszło lat; zawsze ma brodę, nigdy się nie śmieje, a twarz Jego jeżeli nie jest smutną, zawsze jest poważną (tabl. III fig. 16). W XIII i XIV wieku przedstawiają Boga siedzącego w niebie, i trzymającego w rękach Syna przybitego na krzyżu. Od téj epoki, krzyż, narzędzie Jego śmierci, rzadko opuszcza Chrystusa, nawet gdy tryumfuje po śmierci. Zapewne krzyż w rękach Chrystusa jest dla chrześcian tém, czém tęcza w obłokach dla Noego i dla jego ple-mienia—znakiem zbawienia i pokoju. W XV i XVI wieku oblicze Chrystusa staje się jeszcze smutniejsze. *Ecce homo*, ukrzyżowanie, zdjęcie z krzyża, Chrystus w grobie, są prawie w modzie. Ukrzyżowanie nabywa corazto większego wyrazu smutku. W czasach pierwotnych, spostrzegamy krzyż, ale bez ukrzyżowanego Boga. Krzyż Chrystusa z męką zjawia się w malowaniach dopiero w VIII wieku; dawniej malowano sam krzyż, a na nim baranka lub Chrystusa pod nim siedzącego w królewskiej purpurze. Roku dopiero 595 pierwszy raz w Narbonie wystawiono Chrystusa na krzyżu, ale biskup turski, Grzegorz, uważał za potrzebne zakryć tę postać. W 691 r. na soborze Konstantyńskim zabroniono malować baranka, ale nakazano przedstawiać Chrystusa na krzyżu. Pod owe czasy przybity bywa 4 gwoździemi, i tak go w IX wieku wyobrażają; w X wieku poczęto dopiero dawać trzy gwoździe: przecież przez niewiadomość i w XV wieku nieraz artyści 4 gwoździemi Chrystusa do krzyża przybijają. W Starym Sączu u PP. Klary-

sek zdarzyło mi się widzieć passyjkę z kości słoniowej, gdzie Chrystus czterema gwoździami jest przybity. W X wieku krucyfiksy nie są jeszcze powszechne, lecz ukrzyżowany Bóg miewa na nich fizyonomią miłą i łagodną; zresztą miewa długą suknię z rękawami, z pod której wyglądają ręce i stopy nagie. W XI i XII wieku suknia skraca się, rękawy znikają, a czasem i piersi bywają odkryte. W XIII wieku tunika jest bardzo krótką; w XIV jestto tylko kawałek materji, albo tylko płótna owiązanego naokoło boków: i w tento sposób Chrystus aż do naszych czasów jest przedstawiany.

Syn Boży nawet w niebie, nawet tryumfujący po Wniebowstąpieniu i zwycięztwie nad śmiercią, bywa przedstawiany z koroną cierniową na głowie i krzyżem w ręku. W XIII wieku bywa ubrany w suknię i płaszcz; od XV widzimy Go często bez sukni, zaledwie odzianego płaszczem, z pod którego widać gołe ramiona, nogi, piersi i bok przebity lancą. Postać ukrzyżowana w sukni nie zawsze przedstawia Chrystusa: w ten sposób malowano także św. Wilgeforta męczennika w Luzytanii, i św. Kumeriusa. Obraz taki; z późnych już wprawdzie czasów, jest w Krakowie w kościele św. Salwatora.

Corazto więcej wpadali artyści w rozminięcie się z ideałem, aż nareszcie Michał Anioł przedstawia Chrystusa na Sądzie ostatecznym pod postacią Jowisza piorunującego, i jakby pięścią chcącego ukarać rodzaj ludzki: jestto smutne zboczenie genialnego człowieka, poniżające całą Boskość.

Począwszy od odrodzenia aż do dni dzisiejszych, usiłowano powrócić tej wielkiej postaci Chrystusa całą słodycz fizyonomii, całą niewypowiedzianą dobroć (tabl. III fig. 11); wpadnięto w ostateczność przeciwną Michałowi Aniołowi, to jest, robiono Chrystusa z postacią czczą, nudną i sentymentalną.

Jest kilka archeologicznych znaków cechujących Chrystusa i służących do odróżnienia Go od innych osób. Na ikonostasach w cerkwiach ruskich, zwykle Chrystus przedstawiany jest na szczycie, w ubiorze metropolity czyli patriarchy greckiego, siedzący na tronie, z kulą ziemską w ręku. Nogi bose, osobom Boskim właściwe, lecz także niekiedy u aniołów, apostołów, a czasem i proroków spostrzegane, rozróżniają Chrystusa przynajmniej od wielkiej liczby ludzi; lecz znak ten nie jest dostateczny. W XV wieku bywa niekiedy obuty, jeżeli jest wystawiony jako papiész. W XIV, towarzyszącego uczniom do

Emaus, ubierają w kostium pielgrzyma. Najlepszymi cechami są: aureola, nimba krzyżowa, monogrammata  $\alpha \omega \nu$ , *rex*,  $\alpha$  et  $\omega$  albo AM  $\omega$ , IC, XC, krzyż, rany w rękach, w nogach i boku, korona cierniowa, towarzyszenie gołęi Ewangelistów; ewangelia otwarta albo zamknięta, a w książce tej niekiedy text z Pisma Św. odnoszący się do Chrystusa. W XII, XIII i XIV wieku przedstawiają często Chrystusa otoczonego siedmioma małymi gołębiami, wyobrażającymi dary Ducha Ś. Innym znakiem niezawodnym jest to, jeżeli w jakiej scenie ewangelicznej, widzimy osobę spełniającą czynności, które ewangelia Chrystusowi przypisuje. W tym przypadku, gdyby nawet i innych cech nie było, nie można postaci Chrystusa nie rozpoznać.

Do tej chwili mówiliśmy o Chrystusie przedstawionym pod postacią człowieka młodego albo starego; lecz nie możemy zapomnieć o trzech formach symbolicznych, których mu użyczano, a którymi są: baranek, lew i krzyż.

Pierwsza sięga aż do początków chrystyanizmu; przebyła całe średnie wieki i jeszcze dziś istnieje. Chrystusa przedstawiają często w postaci baranka, bo święty Jan Chrzciiciel ujrawszy Zbawiciela, zawołał: „Oto baranek Boży!“ Apokalipsa przedstawia Chrystusa jako baranka (rozdział 5. wiersz 6). Chrystus umierający na krzyżu jest barankiem symbolicznym, o którym mówią prorocy, a który idzie na śmierć i pozwala się zabić bez narzekania. Fig. 17 tabl. III. przedstawia Chrystusa na cudownej górze, z której wypływają cztery rzeki rajskie. Poznać go można, że to jest baranek Boży, po aureoli, nimbie, a szczególnie po nimbie krzyżowej i monogrammacie Chrystusa: w XV wieku widzieć można takiego baranka bez nimby.

We wszystkich rzeźbach i malowidłach na szkłe i na pergaminie, przedstawiających apokalipsę, widzieć można baranka o siedmiu oczach i siedmiu rogach, łamiącego pieczęcie cudownej księgi. Liczba ta jest mystyczna, równie jak i głowy i rogi zwierza piekielnego w apokalipsie. Święty Jan mówi, że ona przedstawia siedm duchów Bożych zesłanych na ziemię, a napełniających baranka. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa, upodobanie w baranku tak było wielkie, że zarzucono prawie postać ludzką Chrystusa i zastąpiono ją symboliczną.

Lew jako godło Chrystusa, (obacz Apokal. r. 5. w. 5.), na pomnikach jest daleko rzadszy, aniżeli baranek; lew oznacza

pokolenie Judy z którego pochodzi Jezus, i do Jezusa odnoszą się texta w Piśmie Świętém, które mówią o lwie. Jak baranek przypomina łagodność Chrystusa; tak lew oznacza siłę. Lew ozdobiony nimbą krzyżową, jest symbolem Jezusa; jeżeli nimba jest pojedynczą, bywa on godłem świętego Marka (tabl. II. fig. 2). Krzyż jest więcéj aniżeli figurą Chrystusa: w ikonografii jest on albo Chrystusem samym, albo Jego symbolem. Chrystus wyraża się w krzyżu, równie jak i w baranku, jak i we lwie. Tak téż pierwsi artyści chrześcijańscy przedstawiając Tróję Świętą, umieszczali niekiedy krzyż z boku Boga-Ojca i świętego Ducha, krzyż sam bez ukrzyżowanego Boga.— Krzyż jako symbol Chrystusa, jest dawniejszym od baranka i od lwa. W IX wieku śpiewano pochwały krzyżowi, i zawsze od dawano mu podobną cześć co i Chrystusowi.

Cztery są rodzaje krzyża: krzyż bez wierzchołka; krzyż z wierzchołkiem i z jedném ramieniem poprzeczném; z wierzchołkiem i dwoma poprzecznemi; z wierzchołkiem i trzema poprzecznemi.

Krzyżem greckim nazywają krzyż o czterech równych ramionach; krzyżem rzymskim nazywamy ten, którego ramię dolne jest dłuższe od innych. Oba te rodzaje krzyżów były w pierwszych wiekach zarówno używane na Wschodzie jak i na Zachodzie. Później krzyż z ramionami równymi wziął przewagę na Wschodzie; i formę tę nazywano krzyżem greckim; drugi typ przemógł na Zachodzie, i zwany był krzyżem łacińskim. Nazywają także krzyżem loretańskim krzyż z podwójnemi ramionami: dzisiaj oznacza godność arcybiskupa.

(Dalszy ciąg nastąpi).



# DWIE DROGI.

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA.

---

## OSOBY.

MATKA.

LUDOMIR, jej syn.

ZOSIA, mleczna siostra.

WACŁAW.

KLARA.

STANISŁAW, przyjaciel Ludomira.



HRABIA.

CHÓR gości.

ANIOŁ poezyi.

WODNICA.

CHÓR lirników.



## PROLOG.

*Noc — niekiedy księżyc wypływa z poza chmury, i ukazuje krzyże rozsiane po cmentarzu. Pomiędzy mogiłami przesuwają się cienia starych lirników.*

### Chór lirników.

Długoż będą nasze duchy  
Smutne, krążyć po przestrzeni,  
Gdy nad ziemią pomrok głuchy,  
Zorza nieba nie rumieni.

Sen ogarnął błędnych ludzi,  
Krew im lodem skrzepła w łonie,  
Chyba dźwięk ich pieśni zbudzi;  
Lecz kto lirę ujmie w dłonie?

Lir odwiecznych drżąca struna  
Przegryziona rdzą grobową,  
Zdołaż sama z pod całuna  
Zabrzmieć pieśnią hejnałową?

By z niej srebrne dobyć dźwięki  
I błagalnie wznieść do nieba;  
Nieskalanęj trzeba ręki,  
Płomiennego serca trzeba.

O aniele białopióry,  
Co stróżujesz onęj ziemi,  
W mgłę porannęj przyplłyn z góry,  
Błyszni skrzydły łabędziemi.

O! wybłagaj nam aniele  
Krople żywěj z nieba rosy;  
A ugory kwiat zaściele,  
Na pustkowiach błysną kłosy!

I przez usta zabrzmie wieszczce  
Czarodziejskich zaklęć słowo;  
I ta ziemia Panu jeszcze  
Pieśń zanuci hejnałową!...

*Na obłoku usrebrzonym promieniem księżycy, zjawia się  
anioł poezyi, i przepływa ponad ziemią).*

#### **Anioł.**

Zdała nad tobą ziemio uśpiona,  
Ja czuwam wiecznie, twój anioł stróż;  
Gdy skrzydłem dotknę twojego łona,  
Wieńcem cię wonnym oplatom róż.

A nieśmiertelne piersi mój tchnienie,  
Grobów wilgotną osusza pleśń;  
Płoszy ponure chmur nocnych cienie,  
Z zaklęcia cudną wyzwala pieśń!

Ocknij się senna, bo wnet uroczy  
Błysną dwie gwiazdy na nieba tle;  
W promień czarowny znów cię otoczą  
Spowitą w bladęj zwątpienia mgłę.

*(Anioł pochodnią swoją zapala dwie gwiazdy i rzuca je  
w przestrzeń).*

Dalejże w przestrzeń, jasne a czyste,  
Zatłone ogniem niebieskich łask;  
Nad grody, lasy, pola kłosiste,  
Rozłoccie złotych promieni blask!



Niech jedna cudne skapie oblicze  
Wzmaconej fali Wiślanych wód,  
Niech z góry światła tchnie tajemnicze,  
W snem twardym zdjęty kamienny gród!

Druga niech ze snu rozbudza siola,  
I z ulów pszczolny wyprasza rój;  
Z rannym skowronkiem do siejby woła,  
I słodzi kmiotkom codzienny znój.

### Chór lirników.

Chwała Panu, zorza płonie,  
Złote słońko błysnie wraz;  
Bracia, kornie wzniesmy dłonie,  
Nim mogiła wezwie nas.

Biały anioł zbiegł z błękitu,  
Błysnął luną śnieżnych piór,  
I rozpostarł hasło świtu  
Na wyżynach stromych gór.

Hej! oraczu, słońko świeci.  
Twardą dłonią ujmij pług;  
Dalej ze snu, starce, dzieci!  
Nim dzień biały ześle Bóg!

Niech z kościelnej Panu wieży  
Pozdrowienie bije dzwon;  
Niech po rosie dźwięk dobieży  
Przed odwieczny Boga tron.

My pod darnią cmentarzową  
Do grobowych wrócmy snów;  
Bo urocze pieśni słowo  
W nasze pola spływa znów!

### II.

*(Dworek mały pokryty słomianą strzechą. W ubogiej izdebce  
spi w kołysce dziecię; matka czuwa nad śpiącym i śpiewa).*

Dziecino, spoczywaj pod skrzydły anioła  
Nim ranne twe chwile przepłyną;  
Nim ciebie do czynu głos boży powoła,  
Snij błogo na kwiatach dziecino!

Niech anioł stróż w rajskie zasiewa nadzieje  
Myśl twoję przeczystą a jasną;  
Dopóki chłód życia mar złotych nie zwieje,  
Nim zorzy promienie zagasną.

Nim duch twój od matki oderwan przyrody,  
 Gdy burza zaszumie doliną,  
 Pogoni za chmurą z orłami w zawody,  
 Snij błogo na kwiatach dziecino!

Czy słyszysz? tam w boru konary dębowe  
 Tajemnym szelestem zadrzały;  
 To może ci anioł rozwija na głowę  
 Liść, godło uroczę twój chwały.

Bo anioł twój dziecko, przed matki żrenicą  
 Rozsunął przyszłości mgłę siną,  
 I wskazał, jak gwiazdy promienie już świecą  
 Nad twoją kołyską dziecino.

I wskazał tę lirę zrdzewioną a starą,  
 Co brzmiała przez wieki tej ziemi,  
 Skrzepiając pierś ojców miłością i wiarą,  
 Jak leży pod stopy twojemi.

Podejmiesz ją dziecko, uderzysz w jej struny,  
 I dźwięki jej z rosą popłyną;  
 Aż zadrzą serc zwiędłych grobowe całuny  
 Na odgłos twój pieśni dziecino!

I z grodu do grodu, od sioła do sioła  
 Pobieży natchnione twe słowo;  
 I czarów zaklęciem na błędnych zawoła,  
 Lub błysnie im gromem nad głową.

Ty przejdiesz z nieziemską na czole pogoda,  
 Przez trudy żywota i znoje;  
 I własna pieśń będzie, twą, dziecko, nagrodą,  
 Pocięchą, niewinne lzy twoje!

A dzisiaj nim blaski twój gwiazdy zapłoną,  
 Nad samą naddziadów krainą;  
 Spoczywaj pod skrzydeł anielskich osłoną,  
 Snij błogo na kwiatach dziecino!

## II.

*(Dworek na powiślu. Opodal widać mury Warszawy usrebrzone promieniem księżycy. W izdebce spi dziecko w kołysce, wodnica z złotym włosiem i błękitnym okiem kołysze je i śpiewa).*

Śpij maleńki, jeszcze zorza  
 Nie zabłysła wśród przestworza,  
 Ziemię mroczny słońci cień;  
 Na przyszłości ledwie łonie

Blado we mgle gwiazda płonie,  
Wróżąc tobie jasny dzień;

Zlekka biegnie tu wodnica  
Otulona w blask księżycy  
Z łona chłodnych Wisły wód;  
Aby cudnie opleść wkoło  
Niemowlęce twoje czoło,  
Z róż utkanym wieńcem złud.

Śnij na kwiatach, śnij dzieciно,  
Za nim świtu blaski spłyną  
Na młodziuchną twoją skroń;  
Nim twe ranne zbiegną chwile,  
W snach uludne goń motyle,  
Gwiazd promienie myślą goń.

A gdy wkoło twojej głowy  
Słońce skreśli łuk tęczy,  
Gdy cię dojmie letni znój;  
Do mnie, do mnie, na dno fali,  
Mam ja z pereł i koralu  
Czarodziejski pałac mój!

W me objęcia zbiegnij dziecko  
Gdy okraży cię na świecie  
Siny obłok, zwiastun burz;  
Przebrnij fale kryształowe,  
A utulę twoją głowę  
Na wezglowiu z wonnych róż.

Tam nieznane lzy niedoli,  
Tam wśród płasów i swawoli  
Dnie jak czysty płyną zdroj;  
Trwoga jasných dni nie płoszy,  
Tyle szczęścia i rozkoszy  
Świat przeczuwa ledwie twój.

A gdy księżyc nocą ciemną  
Srebrzy blado i tajemno  
Wód spokojnych ciemne tło;  
Wtedy na świat my wodnice  
Wychylamy cudne lice,  
Tajemniczą zwiane mgłą.

Wiatr nam złote trąca włosy,  
I nieznane płyną głosy,  
Jak lir dźwięki z biegiem fal;  
I w obłądnych sercach ludzi,

Dźwięk ich drżący sennie budzi,  
Ból, tęsknotę, rozkosz, żal..

Do mnie, do mnie, na dno fali  
W pałac z pereł i z koralu,  
Na me łono głowę schroń;  
Ja ci szepnę pieśni tony,  
I oplotę w bluszcz zielony  
Nieśmiertelną twoją skroń!

### III.

*(Dworek wiejski. Na podwórku pod lipą stara matka spoczywa na ławie; przed nią stoi Ludomir w podróżnej odzieży. Na boku, ciągną się dolinę chaty wiejskie. W oddali widać pasmo gór obrosłych sosnami, na najwyższej, wznoszą się mury Świętokrzyskiego klasztoru).*

#### Matka.

Od łona matki odbiegasz więc synu  
Ze świata marzeń, w świat trudów i czynu:  
Stroma to, ślizga i krzemienista droga!...  
Lecz moc tajemna przyżywa od Boga  
Tym, co ufają!...

#### Ludomir.

O! ja idę śmiało!  
Tyle stóp bratnich ścieżkę udeptało:  
Gdzie zwrócę oko, dostrzegam ich ślady.

#### Matka.

Im lśniło słońce; tobie, pomrok błady  
Wkoło zamgloną życia drogę ściele.  
Oni zaznali niewinne wesele,  
Ty, lżę sieroctwa znasz jedynie dziecię!

#### Ludomir.

Matko, są kwiaty ukryte na świecie,  
Które Pan w łasce dla wybranych chowa:  
Tych nie zniweczy nawet pleśń grobowa,  
Ni chłód zatruty, co z serc ludzkich wieje,  
Ni lża sieroctwa! O! ja mam nadzieję,  
Że kiedyś matko, wieniec choć ubogi,  
Z cudnego kwiatu przyniosę w twe progi.

Liro moja szczerozłota,  
Z tobą pójdę ja sierota  
Między ludzi, w świat;  
Złota liro, brzmij rozgłośnie,

Ukaż światu kędy rośnie  
Czarodziejski kwiat.

Wszędy jego rośnie wiele:  
On ugory barwne ściele,  
Ciemny krasi bór;  
Tehnie nadobne swoje wonie  
Znojnym żeńcom na zagonie.  
I pasterzom z gór.

Kiedy zgoda, miłość, praca,  
On łodygę tam obraca,  
Pszczołom daje miód;  
Lecz utula wraz kielichy,  
Gdy go zmrozi ludzkiej pychy  
Samolubny chłód!

W pełnej barwie, w pełnej sile  
On wykwita na mogile  
U cmentarnych bram;  
Lecz gdzie krążą uczt puhary,  
Gdzie brak w łonie serc a wiary:  
On więdnije tam!

Chceszli uszczknąć śród swobody  
Starój matce kwiat na gody,  
Młody piewco mój;  
Bież o rosie z brzaskiem zorzy  
Do podnóża męki bożej,  
Nad kryniczny zdrój.

Tam śpiewaku, tam sieroto  
Idź z twą lirą szczerozłotą,  
Z wiarą młodych lat;  
Sama lira w twojej dłoni  
Czarodziejski hymn wydzwoni,  
I zdobędziesz kwiat!

#### Matka.

Synu, weź lutnię, i jak on Jeremi,  
Co nad Syonu mury zburzonymi  
Siedząc w żałobie, trącał harfę z żalem,  
Aż jękły martwe prochy Jeruzalem;  
Tak ty, potężne słowo dobądź z łona,  
A chłód grobowy, żywa pieśń pokona,  
I z serc wytryśnie wiara w pełnej sile,  
I włos mój siwy, potarzany w pyle,  
Odżyje cześcią! O! weź lutnię synu;  
Idź nie po oklask, nie po liść wawrzynu,

Nie żebyś zebrał ku znikomój dumie  
 Sławy, w bezmyślnym a ciekawym tłumie,  
 Bo nazbyt rychło wieńce sławy bledną;  
 Lecz jeżeli synu, choćby serce jedno  
 Zadrgnie ku Bogu na twój pieśni tony,  
 Gdy z pod powieki obłędem zamglonój,  
 Jedna łza żalu wytryśnie gorąca;  
 Jeżeli uczujesz, że wiatr nie roztrąca  
 Próżno twych dźwięków ponad stepem świata,  
 Lecz w serca braci żywotnie się wplata  
 Twe święte słowo:—synu, na kolana!  
 Dźwięk twojej pieśni znać dobiegł do Pana!

**Ludomir.**

O! pobłogosław matko podróż moją:  
 Twój krzyż mi będzie puklerzem i zbroją!  
*(klęka u stóp matki).*

**Matka (kreśląc krzyż).**

Błogosławię synu tobie,  
 Kiedy we łzach i żalobie  
 Zwiędnieć barwny kwiat nadziei,  
 Gdy sen oczu twych nie skleci,  
 Bo zgryzota sępie szpony  
 Utkwi w piersi nieskażonej;  
 Gdy bez czystej kropli wody,  
 Bez otuchy, bez swobody,  
 Jakby trawa na ugorze  
 Twe jagody zwiędną hoże  
 W młodocianej życia dobie:  
 Błogosławię synu tobie!

Gdy twe pienia będą brzmiały  
 Odtrącane jak od skały,  
 Od serc braci twoich ludzi;  
 Kiedy dźwięk ich nie rozbudzi  
 Pograżonych w sen grobowy;  
 Gdy w pustkowiach skryte sowy  
 Kwiląc głucho nad twą głową,  
 Twe wyszydzą święte słowo;  
 Gdy pocisków ostre groty  
 Utkwią w łzawą pierś sieroty;  
 Kiedy lirę twoję złotą  
 Tarń i piolun w krąg oplotą  
 Miasto bluszczu i wawrzynu:  
 Błogosławię tobie synu!

Nie na uczty, nie na gody  
 Ja-ć wyprawiam piewco młody;

Ten chłód niewiary ja mu zetnę z czoła.  
Anioł-stróż jego niedaremno woła,  
Bym pierś w miłości zasiliwszy zdroju,  
Śmiało szatana wyzwała do boju.

*(Chwila milczenia).*

Czysty aniele daj mi twą moc,  
Bym mu jak gwiazda zalsniła w noc,  
W noc, którą powiew złowrogi świata  
Na jego ranne roztoczył lata.  
Wyproś aniele z niebieskich łask,  
Na czoło moje promienny blask;  
Aby myśl jego w prochu starzana,  
Przy owém świetle przeczuła Pana!

Białe aniele, użyż mi piór,  
Bym go uniosła nad tuman chmur;  
Co tak mu głucho szumiąc nad głową  
Świat mu całunem słońią grobowo.

Strózu, co czuwasz u niebios bram,

Przypłyn aniele na ziemię sam!

Wyrwij go z wiecznej zraty progu,  
I w blasku chwały powróć go Bogu.

*(ociera łzy).*

*(Wacław wchodzi, i patrzy w milczeniu na Klarę).*

**Wacław.**

*(z szydzącym uśmiechem).*

Znów płaczesz Klaro!

*(po chwili).*

Czasby wam nareszcie

Skończyć te nudne kwilenia niewieście!

Bywały czasy, gdy łyzy waszej siła,

Serca hartowne w miękki wosk topiła.

Te serca mężów, w stal odziane twarzą!

My łyzy dziś płacim, uśmiechem i wzgardą!

Wartoż wam płakać?

**Klára.**

Smutna to Wacławie

Ta wasza siła: czyż naddziadów sławie,

Wzgląd dla niewiasty przynosił zakalę?

O! zły to rycerz, który dzielność całą

Trwoni w nierównej walce z bezsilnemi!

**Wacław.**

Lecz pomnij Klaro, wy jesteście ziemi  
 Cudną ozdobą, jój nadobnym kwiatem;  
 Wdzięk wasz uroczy panuje nad światem.  
 Tyleż wam szczęścia i uludy tyle,  
 Ile wam dadzą przepląsane chwile  
 W majowy ranek, po kwietnym kobiercu!

**Klara.**

O nie Wacławie: skarb kobiety w sercu!

**Wacław.**

Nietyle w sercu, jak w próżności, Klaro!  
 Któraż pochlebstwa ocukrzoną czarą,  
 Serca odurzyć, i zniewolić nie da?  
 Któraż, spojrzenia, uśmiechu nie sprzeda  
 Za cześć pochwałę. O czyż wam przystoi  
 W łzach tyrać wdzięki, w które wiosna stroi  
 Oblicza wasze; gdy wraz z niemi skona  
 Waszój potęgi moc niewyciężona!

**Klara.**

Porzuć szyderstwa! Gdybyś wiedział drogi,  
 Jak mi boleśnie, gdy ten chłód złowrogi  
 Z twego spojrzenia na me serce wieje,  
 Jak lodem ścina kwitnące nadzieje:  
 Tybyś zaniechał, tyś dobry Wacławie!  
*(podaje mu rękę).*

**Wacław**

*(odsuwając rękę Klary).*

Dobry? nie, Klaro! czyliż w mój postawie,  
 Czy na mém czole, czy w głębi źrenicy  
 Dopatrzysz słodycz, w jaką obłudnicy  
 Stroją się zewnątrz; gdy jak nędzne żmije  
 Czychają, rychło która się owije  
 Wkrąg twego serca! Nie! ja się nie chlubię  
 Taką dobrocią: ja niszczyć!... ja gubię! ..  
 Czegobądź dotknę mój piersi pożarem.  
 O! uchron serce przed złowrogim darem  
 Mojej miłości! dopóki czas Klaro,  
 Póki zatrutą nie napoję czarą  
 Twój młodej piersi: uciekaj! nie tobie  
 Zagrzebać w pustym mego serca grobie  
 Kwiat twego życia!...



**Klara.**

Wszak uczucia władza  
Wytłoną iskrę z popiołów odradza:  
Ufaj mi tylko Wacławie!

**Wacław.**

Nie mogę.  
Przeszłość zbyt ciężką dała mi przestroge...  
Był czas, żem ufał niebacznie kobiecie,  
Żem śmiał zawierzyć: iż dłoń jój oplecie  
W kwiat czarodziejski, dni mych ścieżkę jasną:  
Że te płomienie przez wieki nie zgasną,  
Które z jój oka chłonałem w piersź młodą.  
O! wtedy pienia z harmonijną zgodą  
Biegły z méj duszy, jak kryniczne źródaje!  
(z goryczą).

Aż je zmąciły zatrute łzy moje!  
Jam je wyronił wszystkie, co do jednéj!  
Dziś wyszło oko, piersź pusta.

**Klara.**

O biedny!  
Kiedy ci nawet łza ulżyć nie zdoła.  
Lecz ja przebłagam twój anioła;  
On rosę łaski wymodli ci w niebie.  
O mój Wacławie! ja zaklinam ciebie  
Wyznaj mi wszystko, twój ból, twe zawody,  
Czemu niewiara w twojéj duszy młodéj  
Wcześniej osiadła, niby pleśń grobowa;  
Zkąd chłód w twém sercu, gdy płomienna głowa  
Pozorem uczuć tak ponętnie ludzi?  
Zkąd ta nienawiść do świata i ludzi;  
Wszak oni nie zli, lecz biedni, zbłąkali!

**Wacław**  
(z oburzeniem).

Ślepi szaleńcy, sami w głąb' otchłani  
Siebie w obłędzie spychają nawzajem;  
I świat, co mógłby pozostać ich rajem  
Brudzą i plamą!

**Klara.**

Tak, plamią niewiarą!  
Czemu prostotą pogardzili starą?  
Czemu chcą więcej niż ziemia dać może?  
Po co im wnikać w tajne sądy boże;  
Czemu nie pomną, że za grzech Adama  
Wiecznie Edenu zamknięta im brama;

Po co w nią pyszna myśl darmo kołacze?  
 O! niechby lepiej pokorni tułacze,  
 Pod twardym krzyżem Chrystusa schyleni,  
 Krążąc pospołu wpośród ziemskich cieni,  
 Wzajem pielgrzymkę ułatwiali długą,  
 Pieśnią, modlitwą, pracą i zasługą!  
 Niechby pogańskim zaniechali mieczem  
 Walczyć daremnie z obłudą człowieczem;  
 Niechby się w złości raz bluzgać przestali  
 Jadem, co serca nie leczy, a pali;  
 Niechby miłością płomienną i czystą,  
 Zganiiali zwolna tę pomrokę mglistą  
 Co im przyémiała dróg ziemskie koleje;  
 Niechajby pieśnią budzili nadzieje....

**Wacław.**

Nadzieje? Klaro! Znikome to słowo  
 Głucho dziś ludziom szeleści nad głową,  
 Niby dźwięk pusty rozbitego dzwonu:  
 Raczej puhaczom zwiastować dzień zgonu,  
 Kiedy wyziewy zewsząd wiejąc zgniłe,  
 Ziemię w olbrzymią zmieniają mogiłę.

**Klara.**

Co cię tak z życiem skłóciło Wacławie?

**Wacław (żywo).**

Szatan, wcielony w niewieściój postawie!  
 (po chwili, pomalu i zcicha).  
 Wszakże się zdała tak czystą, tak jasną!  
 Przy ócz jój blasku, niby gwiazdy gasną;  
 A głos jój płynął tak drżąc i łzawo  
 Jak szelest rosy, kiedy nad murawą  
 Sperlona w krople, tajemniczo spada.  
 Postać jój była tak uroczo blada  
 Jakby utkana z księżycy promieni.  
 Jój oko w nieba krążyła przestrzeni,  
 Jak gdyby ziemia niegodną jój była.  
 A serce.....

(z oburzeniem).

Serce, niby lodu bryła,  
 Nie uderzało ni ludziom, ni Bogu;  
 Do świecącego Ignąc jeno barłogu  
 Zwanego złotem!

(po chwili).

Lubiła me pienia,  
 Bo wdzięk jój światu wykrywały z cienia;

Bo ton ich czysty, brzmiały, w pełnej sile,  
Do cudnej róży przynęcał motyle!  
Lecz czemu pieśni zapłacić poecie,  
Gdy mu jak orłu na szerokim świecie  
Dość blasku słońca, dość krynicznej wody!  
(z szyderstwem).

Trzebaż mu było wkoło skroni młodej  
Opleść nadziei jednodniowe kwiaty.  
Zbłąkać go z wieszczów dziedziny bogatej,  
Gdzie dróg tęczowych obiegają koła,  
Kwiat czystych natchnień, brał z ręki anioła.  
(smutno).

O! zbiegł odemnie stróż mój srebrnopióry;  
Bom ja też duchem niewzłatał do góry!  
Ona mi była podniętą do pieśni,  
Dźwięki me brzmiały coraz to boleśniej,  
A lzy me, pychę kobiety karmiły:  
Wreszcie, do pieśni zabrakło mi siły;  
Wyznałem miłość. Odparła mi śmiechem:  
Mnie myśleć o niej było nawet grzechem.  
Wszak mogła mitry zapragnąć książęcej;  
A ja, prócz pieśni i serca, nic więcej  
Dać jej nie mogłem!  
(po chwili).

Osiągnęła nareszcie  
Żadaną mitrę: jej wdzięki niewieście  
Na szerszym odtąd widnokregu błysły!  
A echem brzmiały nad brzegami Wisły  
Dźwięki mej lutni, w cześć próżnej kobiety.  
(z zapalem).

Lecz innej odtąd szukałem podniety  
Do mojej pieśni. Jak wąż łuskę starą  
Zrzuciłem z siebie, i stałem się Larą,  
Pyszny Manfredem, Haroldem, Konradem!  
I wyrzył szatan na mém czole bladém  
Złowrogie piętno, i odtąd poczyna  
Spełniać się na mnie przekleństwo Kaina.  
Jak on, jam bratnie zienawidził plemię  
I radbym bolu cisnące mnie brzemię  
Wypłwać szyderstwem na nikiemnych głowy,  
Zatruc ich spokój bluźnierczemi słowy;  
Spokój.... którego zaznać mi nie дано!

**Alara.**

Dość już! O jakąż trwogę mi nieznaną  
Budzą twe słowa!

**Wacław.**

To słowa szatana!

On mi je szepcze...

**Klara**

*(wskazuje mu Chrystusa na krzyżu, i ciągnąc go ku niemu).*

Tu, tu, na kolana!

Pod onym krzyżem, gdzie w krwawej koronie  
Chrystus pochylił uznojone skronie;  
Zkąd, gdy świat ciemność zaległa dokoła,  
Wyrzekł mordercom przebaczenia słowa;  
A wiernym wskazał ku niebiosom drogę,  
Tu, na kolana Wacławie!

**Wacław**

*(opierając się).*

Nie mogę!

Biada! kto w burzę porzuca ster łodzi:  
Tylko nikczemnik z boleścią się godzi.

**Klara.**

O! chrześcjanin, serce bolu czarę  
Z rozkoszą poi!

**Wacław.**

Zapóźno już Klaro!

**Klara.**

Nie! czas Wacławie! Bóg cierpliwie czeka!  
On gotów łaską tknąć serce człowieka,  
Byle w obłądnym dobrą dostrzegł wole.

**Wacław.**

Jak wzniecić w sercu miłość, gdy niedole  
Jój czystą iskrę w martwy proch wylili!

**Klara**

*(klękając przed Wacławem).*

Módl się i ufaj, a Bóg doda siły.  
Pomnij na lata twój dziecięcej wiary;  
Kiedy na ziemię spadał pomrok szary:  
Jak ku Maryi w anielskiej koronie,  
Matka z modlitwą wznosiła tve dłonie.  
Czyż to wspomnienie serca ci nie wzbudzi?

**Wacław.**

Jam nie znał matki; w progu obcych ludzi  
Doleę jedynie zaznałem sierocą!

**Klara***(wznosząc ręce ku niebu).*

Panie! przedwieczną Twój potęgi mocą,  
Na zwiędłe serce ześlij promień łaski!

**Wacław.**

Daremnie Klaro! innéj łuny blaski  
Nęcą me oko; już krwawe płomienie  
Śmierć i pożogę roznoszą w przestrzenie,  
A szatan kreśli na zwaliskach świata  
Dwa straszne słowa: „Rozpacz i zatrata!”  
Niech im wtorują mojej pieśni tony:  
Rozpacz, zatrata! mém hasłem.

**Klara***(padając twarzą na ziemię).*

Zgubiony!!

**V.***Mała izdebka na poddaszu.***Ludomir**

*(sam, otoczony stosami ksiąg. W ręku trzyma pieśni liryczne  
Kochanowskiego).*

Nie był poetą kto rzekł, iż poecie  
Pusto i ciasno na tym Bożym świecie,  
Kto z gorzkim żalem rzuca ludziom w oczy  
Krew, co mu strugą pierś zboląłą broczy,  
Łzę, co mu oko wypala przedwcześnie;  
Nie był poetą na jawie ni we śnie,  
Kto świętokradzko własną pieśń przeklina!  
O pieśni złota! ozdobo jedyna  
Stroméj, bezkwietnéj mego życia drogi!  
Błogosławieństwo tyś wniosła w me progi;  
Przy dźwięku twojej struny nieskalanéj,  
Promień rozjaśnia me ubogie ściany.  
Ty w dni mych wątek utkany z tęsknoty,  
Wsuwasz nieznacznie pasmo przędzy złotéj;  
Tyś lepszą, czystsza méj duszy połową,  
Ty łzę mą cichą wplatasz wdzięcznie w słowo,  
A brzmiąc w méj piersi hymnem wiecznéj chwały,  
Dźwięk z niej ku Panu dobywasz nieśmiały.  
Ty nieśmiertelne wijesz wieńce w darze,  
Ze czcią, na święte przeszłości ołtarze;  
W gruzach przyémionych niepamięci nocą,  
Życie rozbudzasz czarodziejską mocą,  
Pusty smug życia w barwne ścielesz kwiaty,  
Drzemiącej myśli dajesz lot skrzydlaty.

Gdy ty przyświecasz, błogi znój i praca,  
 Bo blask twój niwa przyszłości uzłaca,  
 Dzięki ci pieśni! czarodziejka droga!  
 Przed tobą z serca blada pierzcha trwoga,  
 Ty płoszysz troskę ze stróżem aniołem,  
 By nie zawisła nad śpiewaka czołem;  
 A wkrąg mu niebo ómiąc skrzydły sępiemi,  
 Swém go brzemieniem nie wgniotła do ziemi.

(z zapalem).

Ty gdy zabrzmisz w duszy młodej,  
 Cudne piewcom sprawiasz gody,  
 I w nieznanie świata wieńce  
 Stroisz twoje ulubieńce.

Oto widzę, we mgle spływa  
 Ku mnie, Jana postać żywa.  
 Lutnię ujął mistrz do ręki,  
 Słyszę pieśni cudne dźwięki,  
 Te, co dawnym brzmiały czasem  
 Nad szczęśliwym Czarnolasem!

Jasnoż płynie przez lazury  
 Niby łabędź białopióry,  
 Wszechmocnemu do stóp tronu  
 Hymn proroka z nad Syonu.  
 W ślady za nim płyną dalej,  
 Kołysane w modrej fali,  
 By żywiczne lasów wonie,  
 Jak szmer kłosów na zagonie,  
 Niby roje pszczół na łące,  
 Swojskiej liry dźwięki drzące:  
 Takie jasne, uroczyste,  
 By krynicy zdroje czyste,  
 Co pod wierzby zielonemi  
 Trysły z łona matki ziemi.

Widzę lipę, która chroni  
 Od upału wieszczą skroni;  
 Kędy cichój jego pracy  
 Przygwarzają wdzięcznie szpacy;  
 Gdzie powiewy z pola wieją  
 Wciąż swobodą i nadzieją.

Widzę piewcę jak się mieni,  
 Orłem buja po przestrzeni!  
 Z bark mu białe skrzydła rosna,  
 Gdy zanurzył wzrok radosno  
 W onę drogą ojców ziemię,  
 Kędy Piastów stare plemię  
 Założyło cnemi sprawy  
 Gniazdo cnoty, czci i sławy!

Przyćmił pomrok orła loty,  
 Widzę odbłask łuny złotój;  
 Brzmią kobziarze, grają baki;  
 Wiatr na skrzydłach z kwietnej łąki  
 Uroczyste dźwięki niesie:  
 To sobótka w Czarnolesie!

Nuć o wieszczu pieśń swobody,  
 Bo nie długie tobie gody.  
 Orzesz zagon twój w nadzieje,  
 Ziarno z wiarą dłoń twa sieje,  
 A śmierć w progu ostrzy kosę  
 Na twe dziecię złotowłose.

Już nadobnej twój Urszuli  
 Pierś ojcowska nie utuli;  
 Sen ją ujął nieprzespany,  
 Puste domu twego ściany.  
 Ale święć się woła Pana!  
 Ona czysta nieskalana,  
 Bładym cieniem, senną marą  
 Ponad ziemią przemkła szarą.

Dziś w aniołów czystych chórze  
 Twa Urszula śpiewa w górze;  
 I zawczasu lube dziecię  
 Z nieśmiertelnych kwiatów plecie  
 Na twe czoło wieniec chwały!

Daléj wieszczu posiwiały,  
 Złóż żywota twarde brzemie:  
 Obok ojców, w matkę ziemię,  
 Grób otwarty już w Zwoleniu!  
 Lecz ty będziesz jasny cieniu  
 Żył w twój pieśni na wiek wieka,  
 Bo gorąca pierś człowieka  
 Twe podejmie słowo wieszce,  
 I pieśń twoja zabrzmii jeszcze  
 Nad grobowca chłodną darną;  
 I twych plonów złote ziarno  
 Będzie długą lat koleją  
 Siał miłością i nadzieją  
 Nasze pola i ugory!

Daj mi Janie twemi tory  
 Wniknąć w serca braci ludzi;  
 Moje słowo niech rozbudzi  
 Świętą mocą twój prostoty  
 Zapomniane ojców cnoty;  
 Niech rozżarzy płomień wiary,  
 I obyczaj wskrzese stary,

Niechaj wskaże kędy droga  
Do przyszłości i do Boga!

*(Chwila milczenia, podczas której Stanisław wchodzi do izdebki).*

**Stanisław**

*(na stronie patrząc na Ludomira).*

Jak zadumany, nie patrzy, nie słucha...  
Może mu anioł pieśń szepecze do ucha.  
Szanujmy owę uroczystą ciszę,  
W której poeta senną myśl kołyszę,  
Zanim pod wpływem wyższej niebios łaski  
W cudne ją słowa przyodzieje blaski.

*(Siada na boku).*

**Ludomir**

*(budząc się z zadumania).*

Jakże cudowne ja widzenie miałem!  
*(sposstrzega Stanisława; żywo:)*  
Kto tu?

**Stanisław**

*(zbliżając się do Ludomira).*

Ja, człowiek krwią, kośćmi i ciałem,  
Nie senna mara, ani duch z mogiły.  
Witaj poeto!

**Ludomir**

*(podając mu rękę).*

Witaj Stasiu miły!

**Stanisław**

*(wskazując na stosy książek).*

Widzę nie trwónisz nadaremnie czasu.

**Ludomir.**

Czytałem właśnie Jana z Czarnolasu.  
O! radbym zdobyć tę prostotę świętą,  
Co gardząc próżnych błyskotek ponętą,  
Dąży do celu poważnie a śmiało.

**Stanisław.**

Ciebieby z Janem porównać przystało,  
Tyś jak on szczery; znać z serca nie głowy  
Płynie twój zapal.

**Ludomir.**

Jam śpiewak ludowy,  
A on był wieku złotego ozdoba!



**Stanisław.**

Jego jest przeszłość, a przyszłość przed tobą  
 Jak barwna tęczy rozwija się wstęga;  
 Na niej ma ducha twojego potęgą  
 Wyryć na wieki niezatarte ślady.  
 Masz wielkich mistrzów bogate przykłady:  
 Przed tobą pusta a szeroka niwa,  
 Którą wiatr z głuchym pogwizdem przepływa,  
 Zkąd ledwie pieśni wiedziony potrzeba,  
 Drobnym skowronkiem podrywa lot w niebo.

**Ludomir (z zapatem).**

O tak! szerokie przedemną pole!  
 Daj mi o Panie oko sokole  
 I lot sokoli, i skrzydły daj,  
 Bym obiegł wkoło kraj mój rodzony,  
 I swojskiej pieśni cudnymi tonami  
 Uczcił on piękny, on Boży kraj!

O! bo uroczy brzeg nasz wiślany,  
 I te faliste pszenicy łany,  
 I cudny wonią kwiat naszych pól;  
 I zgodnie brzęczą pszczoł naszych roje,  
 Gdy na mozolne nie bacząc znoje  
 Przynoszą plony do matki w ul.

Bo tak nadobnie w ciszy głębokiej  
 Szumią po zwirze nasze potoki,  
 Technie woń żywiczną sosnowy bór;  
 I drobne ptastwo w dąbrowie ciemnej  
 Wdzięcznym rozhowor wiedzie tajemny,  
 Jednocząc pieśni w poważny chór!

Lecz nad te pienia, nad poszmer fali,  
 Cudnie, gdy zorza niebo zapali,  
 Bieży jęk dzwonu w porannej mgle,  
 Złączony z modlitwą wiernego ludu,  
 Gdy wśród niedoli pracy i trudu,  
 Bogarodzicy pokłony śle!

O! milej patrzeć jak pochylony  
 Poczciwy kmiotek orze zagony,  
 Jak szorstką ręką prowadzi pług;  
 Z jaką mu serce wiary potęgą  
 Pod tą wytartą bije siermięgą,  
 Jaką otuchą skrzepia go Bóg!

O błogo patrzeć, jak na tej ziemi  
 Boży się zasiew cudownie pleni,

We mgle niebieskich skapany ros;  
 Jak na serc prostych bogatęj roli  
 Dojrzewa prawdy ziarno powoli,  
 Nim w chleborodny wybuja kłos!

**Stanisław.**

Śpiewaku ludu, wielkie tve zadanie!  
 Może pieśń twoja zwiastunką się stanie  
 Nowego świtu! Jan czeił owe meże  
 W kirys okute, a zbrojne w oreże,  
 Co pierśmi strzegąc granic w imię wiary  
 Toczyli harce z Turki i Tatary.

Jan uczył pieśnią te przesławne chwile  
 Gdy August w blasku monarszym i w sile,  
 Boży posłannik, ojciec ludów tkliwy,  
 Sprzągl dwa narody, miłości ogniwy;  
 Gdy z berłem w dłoni, i w płaszczu szkarlatu,  
 Widział składane u stóp majestatu  
 Hołdy lenników, ich pyszne proporce,  
 Bijące czołem o ziemię Pomorce;  
 Widział Legaty i dostojne posły,  
 Jak w świat rozgłosy jego cześci nosył!

Te brzmienia w lutni zaplecione dźwięki  
 Drgnęły pod tknięciem wieszczęj Jana ręki  
 I wiatr je rozwał szeroko po kraju,  
 Od skał Karpatu, od łoża Dunaju,  
 Do bursztynowych Bałtyku wybrzeży;  
 Zaklął ją w głuchych puszczech Białowieży,  
 Kędy z żubrami gwarzą o nich tury,  
 I starych orłów korowód ponury!

Inne dziś dźwięki o śpiewaku ludu!  
 Niech brzmia w twęj pieśni! Błagaj z nieba cudu:  
 Niech Pan potęgą uzbroi twe słowo,  
 By błyskawicą przebiegło nad głową  
 Twych sennych braci. Niech twa pieśń im wskaże,  
 By w serc swych głębi stawiali ołtarze  
 Bogu a prawdzie! By czyści i bieli  
 Uszli bez skazy światowęj topieli,  
 Krwią niezmazani, ani mogił plęsnia,  
 Jedno niech z wiarą, modlitwą a pieśnią;  
 Z miłością w święte rozrodzoną czyny,  
 Wolni od pychy, uludy i winy,  
 Z duchem skrzepionym wyższęj łaski mocą,  
 Walczą z serc własnych obłudę i nocą.

Śpiewaku ludu! niech dziś słowo twoje  
 Takie opiewa zwycięstwa i boje.

**Ludomir.**

O! tyś zrozumiał myśl mą, przyjacielu.  
 Dzięki ci! pieśń ma nie przebrzmi bez celu.  
 (podaje rękę Stanisławowi).

**Stanisław.**

Wszakże poeta w pierś gorącą chłonie  
 Myśl, którą złożył Bóg na czasów łonie,  
 Szczęśliw, gdy wporę pochwycić ją zdoła.  
 Wtedy niech pieśnią na ludzi zawoła,  
 A każdy drgnieniem serca mu odpowie,  
 Bo w każdej piersi, w każdej żyje głowie  
 Słowo śpiewaka, wysnione, przeczute  
 Nim on je zaklął w czarodziejską nutę!

**VI.**

*Noc. Sala jadalna rześisto oświetlona, zastawiona wspaniale. Przy stole przybranym w srebra, kryształy i kwiaty, siedzą napół pijani biesiadnicy, a pomiędzy nimi Wacław i hrabia. Służba nalewa wino w puhary. Jeden z obecnych gości powstaje, i wznosząc w górę kielich, śpiewa. Muzyka przegrywa na wesołą nutę.*

Życ i użyć, póki czas!  
 Dość ma życie walk i prób!  
 Dziś niech nektar skrzepi nas,  
 Może jutro czeka grób!..

Blado płonie życia kwiat  
 Na bezdrożu pustych dni;  
 Tyleż złudy daje świat,  
 Ile kropel w czarze łśni!

Niech świętoszek pragnie chłost,  
 Niech się modli w celi mnich:  
 Im rozkoszą ducha wzrost,  
 Nam gwar biesiad, wrzawa, śmiech!

Nasze łodzie z pędem fal,  
 W wartką życia pchnijmy ton;  
 Pierś uzbrojmy w twardą stal,  
 W kwiat oplećmy zwiędłą skroń!

Tyś Wacławie wskazał wzór  
 Jak kwiat ulud w życie wpleść;  
 Złączmy pieśni w jeden chór:  
 Twą poeto głośmy cześć!

**Wszyscy** (*chórem*).

Życ i użyć póki czas!  
Dość ma życie walk i prób;  
Dziś niech nektar skrzepi nas,  
Może jutro czeka grób!  
(*słychać powszechne oklaski*).

**Różne głosy.**

Brawo! brawo!

**Inny głos.**

Wybornie.

**Wacław.**

Godne wieku słowa,  
Kiedy światu pochodnia przyświeca grobowa.  
Nim puścim łódź na fale, spełńmy ulud czasę,  
Bo noc roztacza skrzydła, bo jutro nie nasze!  
(*wyciąga rękę z pełnym kielichem*).  
No! szczeknijmy w puhary, splećmy wzajem dłonie,  
W czarodziejskim nektarze niech boleść utonie.  
(*piją wszyscy*).

**Hrabia** (*do Wacława*).

Poeto! tyś nam winien słowo pieśni wieszczę.

**Wacław**

(*półgłosem wskazując ręką w przeciwległe okno*).

Moja gwiazda już zgasła!

**Hrabia.**

Ona załśni jeszcze!  
Patrz! jak w stronę pierzchają czarne chmur tumany.  
Księżyc błysnął uroczym, mgłą srebrną owiany:  
W takiej chwili moc natchnień tajemnicza leży.

**Wacław.**

(*przysłuchując się chwilę*).

Czy słyszycie jak kwilą puchacze na wieży?  
To zwiastuny niedoli, posłanniki skonu!

**Hrabia** (*pogardliwie*).

Tak nam prawią podania. Do innego tonu  
Nastrój pieśń swą, poeto: niech Ludomir młody  
Zafleci dumkę tkliwą w cześć sielskiej zagrody.  
Duch twój w wyższą, w przestrzeńszą krainę niech sięga,  
Znana światu twych orlich polotów potęga!  
Niech dawny żar płomieniem twoje pierś zapali,

**Wacław**

*(napół pijany wyciągając rękę w stronę okna, mówi sam do siebie).*

Gwiazdo moja! coś lśniła na powietrznej fali,  
Gdzie jesteś? Czy mi wszędzie jeszcze blask twój złoty?  
O nie! na mój widnokrag spadł całun tęsknoty!  
Na skrzydłach niedoperzonych duch bezsilnie wzłata...  
*(z goryczą).*

Mém hasłem, mém natchnieniem: rozpacz i zatrata!  
*(zwracając się do obecnych).*

Nie żądajcie méj pieśni: jéj zatrute jady  
Niezleczone na duszy wypalą wam ślady.  
Płomień życia wysuszył moich natchnień zdroje,  
Gwiazda zgasła! Wy pieśni, wy cudne sny moje  
Gdzie jesteście?! Noc głucha, noc czarna dokoła!  
*(Wskazując w okno, z rozpromienioném nagle okiem).*

Coś zabłysło! ... czy przemknął biały cień anioła?  
*(Smutno skłaniając głowę).*

To złuda! Pusto, ciemno, ponuro jak w grobie...  
*(Z coraz większym zapalem, wskazując ciągle w roztwarte okno).*

Patrzcie tam, przez chmur kłęby mknie widmo w żałobie.  
To on! on, co wypalił piętno na méj duszy,  
Tchnął w łono zółc szyderstwa, pierś zwątpieniem suszy,  
Co myśl mą na torturach niewiary rozpina.  
Słuchajcie! on mi szepcze przekleństwo Kaina!  
Słowo, które w rozpaczy czerpiąc siłę z piekła,  
Nad głową bratobójcy własna matka rzekła,  
Na które wstrząsł się anioł, co strzegł rajy bramy:  
Chcecież słyszeć to słowo?

**Wszyscy.**

Słuchamy, słuchamy!

*(Podczas mowy Wacława, Ludomir i Stanisław weszli prawie niepostrzeżeni do sali).*

**Wacław.**

„Potworo! ty coś łono nieskalane ziemi  
Pierwszy splamił krwi bratniej strugi czerwonemi,  
Coś w ziarno śmierci posiał żywota pustkowie,  
Zabójco niewinnego—przekleństwo twój głowie!...  
Niech cię serca własnego wieczna trapi nędza,  
Niech cię wiatr po pustyni, jak plewa przepędza;  
Niech na kark twój podniosą dłoń wyrodne syny,  
Niech cię z mieczem ognistym gonia Cherubiny.

Gdzie stąpniesz, niechaj węże oplotą cię kołem;  
 Niech się owoc w twych ustach rozsypie popiołem!  
 Gdy na pościel z mchu miękką padniesz snem znudzony,  
 Niech się pod głową twoją lęgną skorpiony;  
 Niech widmo twój ofiary ściga ciebie we śnie,  
 Trwoga śmierci niech włos twój ubieli przedwcześnie;  
 Gdy usta tkniesz sprośnemi czystego napoju,  
 Niech się tobie w krwi strugi zmienia wody źródło:  
 Bo kto wiekom przekazał bratobójcze noże,  
 Niech żyjąc, wiecznie kona, a skonać nie może!  
 Choć gruby czasu pomrok twe imię otoczy,  
 Potomność niech ci bluzga przekleństwo na oczy!  
 Niech za stóp twych dotknięciem miękka trawa spłonie,  
 Niech dąb nie rzuca cieniu na twe spiekle skronie;  
 Niech ziemia nie ma schrony, ni grobu dla ciebie:  
 Nie znaj słońca w przestrzeni, ani Boga w niebie (1).”

**Stanisław** (*ze zgrozą*).

Panie! przebacz bluźnierstwo!

**Ludomir** (*oburzony*).

Włos wstaje nad głową!

**Wacław** (*z goryczą*).

Wszyscy, wszyscy dzierzymy klątwę Kainową,  
 Każdy spełnia po kropli swój puhar goryczy:  
 Ile serc, tyle piekiel nędzna ziemia liczy!

**Wszyscy**.

Brawo! brawo poeto!

**Hrabia**.

Jaka myśl bogata!

**Wacław**.

(*stłumionym głosem*).

Mém hasłem, mojem godłem: rozpacz i zadrata!!....

**Hrabia** (*do służby*).

Lejcie wino w puhary!

(*do Wacława*).

Poeto, twe zdrowie!

(*pije, i oddaje puhar Wacławowi*).

**Wacław**

(*spełniwszy kielich*).

Spełniłem co do kropli! Lecz kto mi odpowie?

(*Spostrzegając Ludomira, mówi do niego z urąganiem*).

(1) Kain, Byrona.

Sielski śpiewaku!... jaskółko z pod strzechy!  
 Zanuć nam dumkę niewinnej pociechy:  
 Na twojej niwie siła kwiatu rośnie,  
 Przynieś nam wieści o słońcu, o wiośnie!  
 Wzbij się ku niebu skowronka podłoty,  
 Opiewaj zorzę i poranek złoty,  
 I jasną dołę, jaką człek na ziemi  
 Zaznał, gdy pisał smugi kwiecistemi,  
 Nim Pan, dostrzegłszy w sercu jego plamy,  
 Wygnał go chłostą za Edenu bramy,  
 Na nędzę, pracę, boleści i krzyże.  
 Składam w twe ręce puhar, Ludomirze!  
 (*Nalewa puhar i oddaje go Ludomirowi*).

**Ludomir.**  
*(odtrącając go).*

Precz z nim na wieki! Nie w durzącém winie,  
 Lecz z nieba, wieszczom moc natchnienia płynie!  
 Biada, kto w błoto rzuca dary boże,  
 Kto w sercach bratnich ściele gadom łoże,  
 Kto z łona zionie zgnilizną grobową,  
 Kto w grom zniszczenia mieni pieśni słowo!  
 Kto miota klątwy, sam stokroć przeklęty:  
 Jego się sława rozprysnie na szczęty,  
 Jak ona czasa...

*(Porywa puhar z rąk Wacława i rzuca go na ziemię)*

Ja w niej ust nie zmażę!  
 Drudzy niech kłamstwu stawiają ołtarze;  
 Mém godłem: prawda, nadzieja a wiara!

**Mrabia** *(szydłerczo).*

O! to podobno piosnka bardzo stara,  
 Żle dziś popłaca!....

**Głos z boku.**

To człowiek szalony!

**Mrabia** *(z urąganiem).*

Coś śpiewak ludu, sielskiej pieśni tony  
 Na nieco wyższą nastroił dziś skalę.

**Głos z boku.**

Jeszcze go w takim nie widział zapale.

**Stanisław**  
*(do Ludomira).*

Pójdź Ludomirze! nie twoje tu pole:  
 Darmo tu skrzydła rozwijać sokole,

Gdzie moc natchnienia jad szyderstwa studzi,  
 Tam gdzie miłością tleją serca ludzi,  
 Kędy pierś czysta, a duch nieskalany,  
 Chronią się w cieniu zagrody chruścianej:  
 Tam przemów pieśnią, a rzewnej twój nucie  
 Szczere a święte odpowie współzucie!  
 (odchodzą).

**Hrabia**

(do Wacława, który stoi jak skamieniały).

Ocknij się wreszcie!

**Głos z boku.**

Co jemu? drży cały!

Blady jak widmo, usta mu zsiniały!

**Hrabia.**

Czyż tak cię zawiść ma obchodzić czyja?  
 Słowo, czeza bańka!

**Wacław** (ze zgrozą).

O! słowo zabija!..

## VII.

*Noc, gwiazdy i księżyc świecą na niebie, drobne chmury chwilowo je przysłaniają. Brzeg Wisły w bliskości Warszawy, której mury i wieże widać na boku. Na wzgórku ponad Wisłą stoi dworek ocieniony drzewami, w jedném oknie płonie światelko. Wacław niedbale odziany, z roztarganym włosom zbliża się blady i pomieszany od strony miasta.*

**Wacław**

(stłumionym głosem).

Niech raz odetchnę pełną piersią jeszcze,  
 Niech zwiędłe serce i oko napieszcze  
 Cudnym obrazem wiślanych wybrzeży.

(wskazując w stronę Warszawy).

Tam mgła nad miastem rozpostarta leży,  
 A za nią ludzkie roją się mrowiska.  
 Nademną niebo gwiazdami rozbłyska,  
 I w promień srebrny ściele Wisły wody:  
 Tam ja spokojnie przepląsał wiek młody....  
 (coraz rzewniejszym głosem).

W duszy mój było tak jasno, tak błogo!  
 Tu, dobrzy ludzie pod strzechą ubogą



Wzięli sierotę, podali kęs chleba,  
Uczyli wiary i miłości nieba!....

*(wskazując na dworek).*

Przez olch gałęzie światło w oknie błyska.  
Pójdę tam, zajrzę!....

*(idzie ku dworkowi i przykłada twarz do okna).*

Widzę u ogniska,  
Stara niewiasta siedzi przy kądzieli.  
Onażto? Marta, co z chłodnej topieli  
Wyrwała dziecko, gdy wzburzone wody,  
Dach starój ojców rozniosły zagrody,  
I życia całą zbawiły rodzinę!

*(wyciągając ręce z uczuciem).*

Marto! tyś senną podjęła dziecinę,  
Tyś ją ogrzała twojej piersi ciepłem,  
Gdy krew ostygła w mém sercu, pół skrzepłem;  
Tyś mą kolebkę z bystrych fal wyrwaną  
Tam ustawiła, pod bieluchną ścianą,  
Kędy Marya z Jezusem na łonie  
Czuwała nad nią w gwiazdzistój koronie.

*(z głęboką boleścią).*

Sroższe mą prądy miotają dziś Marto!  
Bo z głębi serca miłość mi wydarto,  
Bo mi burzliwe żywota koleje  
Stargały wiarę, rozwiały nadzieje;  
Bo duch mój Marto, złamany i chory,  
Nie śmie się podnieść na skrzydłach pokory,  
O! bo go szatan otumał pychą!

*(oglądając się wkoło i mówiąc coraz rzewniej).*

Jakże tu błogo, uroczy i cicho!  
Tylko niekiedy zabrzmiał świerszcz domowy,  
Klekotnie bocian, lub zaryczą krowy,  
Jaskółki dziobki wychyliły z gniazda.  
Czyżby tu moja nie zalsniła gwiazda,  
Gdybym ją przyzwał z nadzieją i wiarą?  
Módl się aniele. módl się czysta Klaro,  
A Bóg wysłucha twój modlitwy świętej.

*(ociera łzę, po chwili z goryczą).*

Nie! kto przeklina, sam stokroć przeklęty!  
Słyszę jak sowa zajękła na gruszy.  
Ha! śmiech mnie bierze, z kąd w méj zwiędłej duszy  
Iskra nadziei ostatnia rozbłysła?!

Znów wiatr powstaje, szumi pianą Wisła,  
Ponury obłok przeciąga nad głową;  
Już nocne ptastwo pieśń kwili grobową,

Już błyskawice wróżą grom złowrogi;  
 Chłodno mi, straszno, drzę cały od trwogi...  
*(chwila milczenia, Wacław przypomina sobie coś nagle, po-  
 tём dobywa wino z flaszą).*

O! mam czém skrzepić jeszcze pierś spaloną:  
 W durzącém winie, niech troski zatoną!  
*(pije, po chwili w coraz większym obłąkaniu).*

Lżęj mi, swobodniéj! Pierzcha obłęd szary.  
*(wyciąga ręce ku Wiśle).*

Widzę dokoła płasające mary,  
 O! jakże cudne! jaki blask ich lica!  
 Promieniem gwiazdy ich oko przyświeca,  
 A włos ich złoty powiewem tracony,  
 Przynęca pieśni czarownemi tony!  
*(Zbliża się nad brzeg Wisły, o którą w tejże chwili odbił  
 się jasno promień księżycy).*

Księżyc otrząsnął z mgły senne oblicze.  
 Jakże nadobnie duchy tajemnicze  
 Mkną w srebrném świetle po zwierciadle wody:  
 Pieśń ich tchnie wonią wiosennej pogody.  
 Pomnę ją niegdyś: jój to dźwięki złote  
 W kołysce łzawą koily sierotę.  
 Niechże dziś spełnią cudną wróżbę swoją,  
 Stargane serce niech jeszcze ukoją!  
 Niech pierś zbolalą do snu ukołyszą,  
 I myśl napełnią spokojem a ciszą.  
*(chwilę słucha w milczeniu).*

Coraz czarowniéj, drżąc po wód głębinie  
 Słyszę, pieśń ku mnie z pędem fali płynie.

*Pieśń zoddali.*

„Gdy wokoło twojej głowy  
 Słońce skreśli łuk tęczowy,  
 Gdy cię dojmie letni znój:  
 Do mnie, do mnie na dno fali,  
 Mam ja z pereł i z koralu  
 Czarodziejski pałac mój!”

**Wacław**

*(z zachwyceniem wyciąga obie ręce).*

Idę, idę za twym cieniem,  
 Czyliś złudą, czy marzeniem,  
 Czarodziejko z Wisły łona  
 Przyjm sierotę w twe ramiona!

Dosyć bólu, dość zawodu!  
 Ty mi śpiewaj jak za młodu,  
 Gdys kołyski méj podnoże,  
 Oplatała w wonne róże.

Długom tęskny gonił ciebie  
Po mych marzeń jasném niebie,  
Pełen wiary i zapalu  
W postać twego ideału.

Jam przybierał twory ziemi,  
A ty skrzydły promiennemi  
Otulona w mgłę obłoku,  
Błysłaś ledwie memu oku.

I znów ciebie niosła zdala  
Kryształowa Wisły fala:  
Gdy mnie boleść i tęsknota,  
W stek ziemskiego pchnęła błota.

*(z coraz większym zapalem, przystępując bliżej Wisły).*

O! nie zbiegniesz ty przedemną,  
Nawet w otchłań wód tajemną  
Pójdę stale twemi ślady,  
Jak za słońcem księżyc blady.

W świat nieznany, w świat daleki,  
Wierny tobie na wiek wieki!

*(Z wrastającym oblakaniem, przyglądając się z rozpromienieniem okiem).*

Tyś wyciągła ku mnie dłonie,  
Stąpasz lekko po wód łonie  
Niby senny cień;  
Jak różowy odbłask świtu,  
Co rozsiewa wśród błękitu  
Promienisty dzień!  
Dźwiękiem harfy głos twój złoty  
Brzmi przygrywką dla sieroty,  
Tchnie w pierś życia zdroj;  
Czarodziejko z Wisły łona  
Otwórz śnieżne twe ramiona,  
Jam na wieki twój!...

*(Rzuca się w fale Wisły. Na plusk wody, gwiazda blado-  
tlejąca spada z nieba. Słychać tajemniczy śpiew wodnicy).*

„Do mnie, do mnie piewco młody,  
Gdy owiały ziemskie chłody  
Pałającą twoję skroń;  
Mam ja pałac na dnie fali  
Z pereł, złota i koralu,  
Tam natchnioną głowę schroń.

Znajdziesz u mnie wieczną ciszę,  
Ja cię do snu ukołyszę,

Na wezłowie z wonnych róż;  
 Patrz wyciągam z fali łona  
 W górę śnieżne me ramiona:  
 Tyś na wieki moim już!!!

### VIII.

*(Zachód słońca, w bliskości wioski widać krzyż na rozstaju.  
 Matka niewidoma postępuje zwolna, wsparta na ramieniu  
 Zosi, drogą wiodącą od wioski do krzyża).*

**Matka.**

Dalekaż jeszcze nam droga do krzyża.

**Zosia.**

Już blisko, matko!

**Matka.**

Wszak słońce się zniża?

**Zosia.**

Zajdzie za chwilę; już za las jodłowy  
 Złote promienie skryło do połowy.

**Matka** *(oddychając pełną pierśią).*

Czuję rzeźwiącą woń wieczornéj rosy;  
 Jakże przyroda czarownemi głósy  
 Mówi do człeka o Bogu, o niebie!

*(zwracając się do Zosi).*

Biedneż ty dziecię!... jak ja trudzę ciebie!

*(coraz tklwiéj).*

Tyś mi ramieniem, tyś źrenicą oka,  
 Odtąd, jak wieczna zémila mi pomroka  
 Ten świat tak piękny, i błękit i zorzę!

**Zosia**

*(stawiając matkę pod gruszą niedaleko krzyża).*

Czekaj tu matko, zaraz ci ułożę  
 Ze mchu miękkiego wygodne siedzenie.

**Matka.**

Dobrze aniele, o jakże ja cenię  
 Twoję troskliwość i serdeczne chęci!

**Zosia.**

Matko, ja także wiecznie mam w pamięci  
 Twe miłosierdzie dla biednéj sieroty.

**Matka.**

Ty mi przywodzisz młodości wiek złoty!

Twa matka niegdyś była mi tak miłą  
 Jak własna siostra: dziś, gdy pod mogiłą  
 Spi już na wieki, mogłabym jój dziecie,  
 Samą, sierotę, zostawić na świecie!?

*(Siada na pośłaniu ułożoném naprędcie przez Zosię: po chwili).*

Lecz mój Ludomir? czemu on nie wraca?

**Zosia.**

*(siadając u stóp matki)*

Pewno go ważna zatrzymuje praca.  
 Zobaczysz matko, przybędzie niedługo,  
 Nową z bogactw sławą i zasługą.  
 Kto wie, dziś może ujrzymy go jeszcze!

**Matka.**

Dawno tą myślą serce tęskne pieszczę,  
 Ale daremno! Dzień za dniem ulata,  
 A Ludomira nie widać ze świata.  
 Tak mi na duszy tęskno i boleśnie!

**Zosia.**

Matko! wszak mamy jego wdzięczne pieśni:  
 W nich nam przysyła część własnego ducha!  
 Jak słowo jego przypada do ucha,  
 Jak błogą w sercu obudza nadzieję!

**Matka.**

On złote ziarno dla przyszłości sieje,  
 Gdyby siew prawdy ludzie cenić chcieli!

**Zosia.**

Jego się pieśnią radują anieli,  
 Czy to nie dosyć?

**Matka.**

Tak, dość dla poety,  
 Gdy pieśń mu własna dodaje podniety,  
 Gdy wiedzion prawdy wielowładną siłą  
 Ku czci jój śpiewa: lecz komuż nie miło  
 Uczuć pocziwy uścisk bratniej dłoni?  
 Sercu nie starczy liść bluszczu na skroni.

**Zosia.**

I któż miłością nie płaci pocie  
 Za szczere słowo?

**Matka** (*smutno*).

Niezawsze na świecie  
W ślad za zasługą przychodzi nagroda;  
Nieraz przeboli pierś poety młoda.  
Siła zawodów, cierpień i goryczy,  
Nim lzy zronione stróż anioł policzy.

**Zosia.**

Ale szczęśliwy, kiedy jego słowo  
Brzmi wkoło rosą niesioną majową;  
Kiedy milczące rozwesela sioła!  
Gdy utulone pod skrzydły anioła  
Serce porywa ku Bogu, wysoko!  
Dalej niż sięgnie myśl nasza i oko,  
Gdy nowy obszar dla ducha otwiera!

**Matka.**

Śpiewaj mi dziecię dumkę Ludomira:  
Wszakże świat cały o wieczornej zorzy  
Dziękczynną pieśnią przed Panem się korzy.  
Złącz głos twój czysty wraz z dźwięki cudnemi,  
Co brzmią niebiosom podzwonne od ziemi.

**Zosia.**

O! chętnie matko, jam zawsze gotowa  
Zanucić rzewne Ludomira słowa.

(*śpiewa*).

„Dziweczeko aniele, ty ścielesz w kwiat  
Bezbarwne koleje żywota dróg;  
By lodem nie zaskrzepł on piękny świat,  
Jak rosę z błękitu zsyła cię Bóg.

Tys tęczą promienną, co jasno lśni  
W przestrzeni owianej bladawą mgłą;  
Co wróży uroczo na dalsze dni  
Cudniejsze i czystsze żywota tło.

Ukochał cię anioł, téj ziemi stróż;  
Czarowny ci powab jak tarczę dał;  
Na licach tchnął krasę płomienną róż,  
A ziarno ci prawdy do serca wsiął.

Niech ziarno to w złoty wybuja kłos,  
Strzeż myśl twą od marzeń i sennych złud;  
Wznos w niebo z modlitwą błagalny głos,  
Ogrzewaj twém tchnieniem serc ludzkich chłód.

Przez szare a groźne tumany chmur,  
Niech w górę ulata duch czysty twój;

Niech wiara mu doda łabędzich piór,  
Niech skrzepia go święty nadziei zdroj.

Za słońcem, za prawdą, goń okiem wciąż,  
Przyciągaj ich promień w domowy próg;  
Ty z ziemią niebiosą miłością wiąż:  
To święte zadanie wskazał ci Bóg!...

*Podczas gdy Zosia śpiewa, Ludomir ukazuje się w oddali po drugiej stronie rzeczki w podróżnym ubraniu. Przystawa na chwilę, opiera się o pień olchy, i słucha pieśni w milczeniu).*

**Zosia**  
(sposstrzegając Ludomira).

Matko!

**Matka.**

Co tobie?

**Zosia.**

Nic, nic; to sen może!

**Matka.**

Czy nie Ludomir?

**Zosia.**

On matko!

**Matka.**

O! Boże!

Gdzież jesteś synu?

**Zosia.**

On jeszcze daleko,

Tam pod olszyną, przystanął za rzeką  
Słuchając pieśni.

**Matka.**

Panie! dzięki Tobie!

Nim głowę złożę na spoczynek w grobie,  
Pobłogosławię raz ostatni syna.

**Zosia**

(patrzając w stronę idącego Ludomira).

Teraz go liśmi przysłania olszyna:  
Znowu go widzę, odkrył znojną głowę,  
A wiatr rozwiewa jego włosy płowe.  
Już dobiegł mostu, będzie tu za chwilę.

**Matka**  
(wyciągając ręce do Zosi).

Pomóż mi dziecko, bo o własnej sile  
Nie zdołam nawet klęknąć u stóp krzyża.

*(Zosia pomaga powstać matce i prowadzi ją do krzyża, pod którym klękają obiedwie. Dzwon z kościelnej wieżyczki bije na „Anioł Pański”. Ludomir przystępuje z wolna, blady, wzruszony).*

**Matka.**  
(unosząc ręce do góry).

Boże! Tyś wejrzał na mnie!

**Zosia**  
(oglądając się).

Już się zbliża!

**Matka.**

Ukorzmy naprzód przed Panem kolana,  
Z Jegoto łaski ta chwila nam dana!

*(Modlą się obiedwie w milczeniu.—Ludomir nadchodzi, i klęka za niemi. Matka po krótkiej modlitwie wyciągając ręce do syna.)*

Witaj mi synu!

**Ludomir.**

Witaj matko droga!

*(Rzuca się do nóg matki, ona przytula go do piersi.)*

**Matka.**

Jak ty drzysz cały?!

**Ludomir.**

Niepojęta trwoga  
Zdjęła me serce, gdym się ujrzał blisko  
Celu mej drogi!

**Matka** *(poważnie).*

Nie zgasło ognisko  
Pod naszą strzechą z Przedwiecznego woli!  
Jest i dostatek, i własny kęs roli,  
Który za ojców płon wydawał złoty;  
Jest dach, co głowę ochrania od sloty;



Jest stara grusza, gdzie białe bociany  
Przynoszą promień doli pożądanej.  
Są serca ciche, cierpliwe i stałe:  
Można tu wiankiem przewieć życie całe,  
Z pieśnią, z nadzieją, z miłością i wiarą!  
Można tu zakląć czarami mgłę szarą,  
Co się wokoło serc zmrożonych ściele;  
Można tu z niebios wymodlić wesele!..

**Ludomir** (*patrząc na Zosię*).

Głos ten anielski wyblagać je zdoła....

**Matka** (*z uczuciem*).

Głos to i serce przeczyste anioła!  
Ona wspierała moje błędne kroki,  
Gdy Bóg rozesał ten pomrok głęboki  
Co mi całunem świat przyémiał grobowo!  
Ona wtórzyła mi twój pieśni słowo....

**Ludomir**.

Słyszałem matko, w olszynie za rzeką,  
Jak wiatr roznosił doliną daleko  
Srebrnego głosu nieskażone tony!

**Matka**.

Niech będzie synu dzień błogosławiony  
Twego powrotu w święte ojców progi!  
Już kres przebiegłeś onęj stromęj drogi,  
Którąś za sławą gonił i znaczeniem.  
Dzisiaj osłoń głowę staręj lipy cieniem,  
Za pług żelazny pochwyć ręką śmiało:  
Orac twą skibę, dzisiaj tobie przystało.  
Masz ją użyzniać krwią, potem i łzami.  
Nie szcędź ich synu! O! jest Pan nad nami,  
On sam policzy twe rany i bole,  
Bo życie nasze, synu! to nie pole,  
Kędy falują wiecznie złote kłosy,  
Z których nam wolno ciąć bujne pokosy:  
Życie, to rola skalista a sucha,  
Którą masz ogrzać tchnieniem twego ducha;  
Gdzie masz wytrzebić pniów spróchniałe szczęty  
I złożyć posiew dla przyszłości święty.  
Życie, o synu! to powszechna niwa,  
Kędy plon prawdy pomału dojrzewa;  
Gdzie człowiek składa swój zasługi ziarno.  
Biada! kto przeszedł bezpłodnie i marno  
Jałowym stepem, z kołyski do grobu,  
A nie z bogacił bratniego zasobu!

**Ludomir** (z zapalem).

Jam rannemi, matko, laty  
 Zrywał barwne pieśni kwiaty;  
 Jam je z wiarą i w pokorze  
 Na dni ludzkich siał bezdroże,  
 I poszczęścił Pan mój chęci.  
 W bratnich sercach i pamięci  
 Pozostało słowo moje,  
 I wytrysły czyste zdroje  
 Z serc zaskrzepłych w lodu bryły,  
 Gdy je pieśni me stopiły.  
 Dziś mi nowa doba błyska,  
 Wracam z wiarą do ogniska,  
 Kędy ojców szorstkie dłonie  
 Pług wodziły po zagonie.  
 Tu pieśń moję w życie wplotę,  
 Może wyda plony złote!

Dalej z wiarą i nadzieją  
 Rzućmy w ziemię Boży siew;  
 Zanim pola z zielenieją,  
 Niech tęsknotę koi śpiew.

Wszak ta ziemia nieskażona,  
 W długim paśmie zbiegłych lat  
 Wydawała szczodrze z łona,  
 W chwałę Panu, kłos i kwiat.

Ty z niebiosów jeno Panie!  
 Spuść nam łaskę, dodaj sił;  
 Żywot pieśnią nam się stanie,  
 Jak nią ojcom niegdyś był!

**Matka.**

Jak do pieśni w ranne lata,  
 Gdyś biegł śmiało w obszar świata,  
 Tak do pracy dziś i czynu,  
 Błogosławię tobie, synu!

(Ludomir klęka przed matką, która składa krzyż na jego czole).

## IX.

*Przy ostatnim blasku zachodzącego słońca, widać w oddali stary dworek ocieniony lipami. Pod drzewem, na kamieniu siedzi Ludomir. Ociemniała matka spoczywa w wygodnym krześle pod ścianą dworka; przy niej siedzi Zofia z robotą w ręku. Grono drobnych dzieciek płąsa swobodnie po murawie. Na łące ponad rzeką krążą duchy starych lirników. Gwiazdy zapalają się po jednej na niebie.*

\* **Chór lirników.**

Ponad cichym dworku progiem  
Gwiazda złoty sieje blask;  
Tam upływa żywot z Bogiem  
Wzmocnion siłą wyższych łask.

Jakby wody dwóch strumieni  
Zlane społem w jeden prąd,  
Płynąc cicho po przestrzeni  
Użyzniają brzeżny łąd;

Tak z żywotem pieśń spleciona,  
A zakłeta w święty czyn,  
Cudu mocą swą dokona,  
Zmaże plamy bratnich win.

Bo ten tylko, kto podola  
Spoić życie z pieśnią wraz,  
Kto pod tarczą piór anioła  
Ustrzegł serce ciemnych skaz;

Ten dobędzie jedno z siebie  
Cudotwórczej pieśni ton,  
I wyśpiewa wieść o niebie,  
Bo je w sercu nosi on!

*(Anioł przepływa w obłoku ponad wioską).*

**Anioł.**

Dwie świetne gwiazdy w niebios przestrzeni  
Jam tu zapalił, téj ziemi stróż:  
Jedna zaśniła blaskiem promieni,  
I w mgle obłędu zagaska już!

Druga przyświeca jasno i czysto,  
I tor niebieskich wskazuje dróg;  
I cudnie złoci strzechę ojczystą,  
Bo jój promienie zażegnał Bóg!

Przy jój odblasku widzę w oddali  
Piewcę, pod cieniem odwiecznych drzew;

Płomień natchnienia oko mu pali,  
A z piersi drzący wypływa śpiew.

Młoda małżonka sieje mu kwiatem  
Pasma żywota, pogodnych dni;  
I w zgodzie z Bogiem, z sobą i z światem,  
Śpiewak o doli aniołów śni.

Śpiewaj o piewco, ja twoje pienia  
Wezmę na skrzydła ze śnieżnych piór;  
Sam je poniosę w modre sklepienia,  
Gdzie Cherubinów brzmi Panu chór.

I po tej ziemi dźwięk ich rozniosę  
Jak gwiazd odblaski, jak kwiatów woń,  
Jak w czas posuchy majową rosę  
Z piór mych otrząsam, wśród ziemskich błon.

A ty śpiewaku, coś padł w pogoni  
Za złudnym wieńcem znikomych róż;  
O! niech nad tobą choć lżę uroni  
Zwiastun natchnienia, twój Anioł Stróż!

#### Chór Lirników.

Już ognisko w dworku zgasło,  
Ziemie czarna słoń noc;  
Kur północne pieje hasło,  
Teraz w pełni duchów moc.

Z chłodnych mogił wstańmy wspólnie,  
Z mgłą nad nizki spłynę dach;  
Ukołyszmy wraz z aniołem  
Piewę w wieszczych jego snach.

W lir odwiecznych rdzawe struny  
Jemu brzmijmy bracia wraz,  
Niech rozsuna się całuny,  
Co mu zbiegły słońią czas.

Niech się stanie tém ogniwem,  
Co przeszłości cudny kwiat,  
Zaklnie słowem prawdy żywym  
Wczarodziejski pieśni świat.

Dalój z mogił bratnie duchy,  
Otrząsnijmy czasów pleśń;  
Niech mu w ciszy, nocy głuchój,  
Nieśmiertelna zabrzmie pieśń!

# PRZYSŁOWIA KASZUBSKIE.

PRZEZ

*K. Wł. Wójcickiego.*

---

Piąty rok upływa, jak po raz pierwszy Lesław Łukaszewicz wydaną broszurą w Krakowie 1850 r., zwrócił uwagę na Kaszubów i ich język (1).

Podjąłem przedmiot ten w Bibliotece Warszawskiej, a składając sprawozdanie o wydanej broszurce, wskazałem niedostatek przywiezionego kaszubskiego słowniczka, dołączając tam opuszczone a powszechne wyrazy.

Rzecz dotąd ciemna o Kaszubach czyli Kaszebach, zaczęła się wyjaśniać. Z pomienionej broszury, w której Wójkasena rozprawa „o Kaszebach i ich ziemi,” w narzeczu kaszebskiem spisana, okazała to narzecze w całym blasku; dodana „Rzecz o języku kaszubskim,” Prejsa, nie zostawiły żadnego powątpiewania, że to narzecze jest gałęzią nietylko polskiego języka, ale małym odcieniem narzecza mazowieckiego.

W tym czasie otrzymaliśmy od znanego badacza naszego p. Tymoteusza Lipińskiego nadesłany mu zbiór przysłów kaszebskich, zebrany przez Stanisława Florjana Cejnowe (przesłowjo kaszebskie), a wynoszący z górą 400 przysłów.

(1) „Kile słow wó Kaszebach e, Jich zemi” przez Wójkasena. Kraków, 1850 r., w 16-ce str. 36.

Szacowne te pomniki językowe podpierają nasze zdanie silnie, któreśmy wyrzekli dawniej (1), że mowa kaszubska jest tylko małym odcieniem narzecza mazowieckiego. Błąkają się dziś jeszcze w pisowni Kaszuby, tak jak to było w czasach pierwotnych druków polskich XVI wieku. Nie umieją nawet używać stosownie naszego alfabetu (2), i przez to język kaszubski, będący rodzoną gałęzią mowy mazowieckiej, przystroili w takie szaty dziwoląga, że miasto zbliżyć, uprościć pisownią, o ile można z zachowaniem brzmień właściwych podług wymowy, zdaje się, że chcą kaszubskiemu narzeczu dać zewnętrzną formę oddzielności.

Rzeczą jest widoczną i wiadomą, że każdy naród odbił w przysłowiach myśl, mądrość swoją, charakter i wrażenia ze świata zewnętrznego, i ślady życia i pochodzenia historycznego przechował. Są to kwiaty polne, rodzime, w których naleciałka obca, jaskrawością barwy i nieszykownością swoją, zaraz się przed okiem badacza zdradzi. Poznasz tego obcego w języku rodzimym przybysza z miny i czupryny; tak on niekształtnie swoją postacią uderza, tak nieskładnością wyrazów w objawie myśli odstręczy.

Któż jest pierwszym twórcą tych pieśni nieuczonych, co jak tysiące wiosennych śpiewaków polnych i leśnych, krążą nad strzechami sielan naszych, i dla serc młodych są ową zbawczą rosą, co uczucia odżywiają w skwarze i trudzie życia? Tych przysłów i przypowieści, co stanowią niepisaną a znaną wielką księgę, w której myśl rodowa z bogactwem doświadczeniem, rozum rodowy, zapisał swoje zdania niestartem zgłoskami.

I jedno i drugie są owocem, to uczuć serca ludowego, to jego głowy. To też w nich obrazy i porównania są czysto rodzime; a na te utwory, na ich ubarwie-

(1) Bibl. Warsz. T. I, str. 151 z r. 1851.

(2) Małe *i* wszędzie zastępują bez potrzeby *j*; a w wyrazach mających wyraźne brzmienie na *i*, przed nim *j* bez żadnego znaczenia kładą, (np. *niezrobij*, *vespji*, *wyśpi*). W miejsce *w* przyjęli *v*; gdzie wyraźne grube mazowieckie brzmienie *u* tam piszą *ó* z kreską (np. *wóko*, *wuko*, *wóda*, *wuda*). Do właściwości narzecza kaszubskiego należy, że nasze *g* zamieniają na *h*, *a* na *o*, *o* na *u*, *k* na *cht*, *m* na *a*.

nie, wpłynął świat nasz zewnętrzny, jak go lud nasz sercem i głową pojmował.

Ztąd, czy pieśń, czy przysłowie, jeśli da ci obrazek, to zdjęty z przyrody swojskiej, jeśli porównanie, to odbicie tego co widział własnymi oczyma, na co się wpatrzył, co usłyszał lub zbadał, co pojął głową lub sercem.

To też mając dokładne zbiory pieśni ludowych, przysłów jego i przypowieści, możesz zbadać jego charakterystykę. W nich on odśłania jak myśl i serce, tak świat cały, co się w nich odbijał, a który go otoczył i oddziaływał na niego.

Ubogim jest świat wyobraźni Kaszubów i ubogo też w przysłowiach wygląda.

Pies (1), kot (2), wół, krowa (3), koń (4), koza (5), świnia (6). Z dzikich zwierząt jeden zajaczek a wilk (7), a raz mazowiecki tur, który ze starych podań, w przysłowiach Kaszubów pozostał, że:

*Turowi zdechłemu, zając brodę skubie.*

Z drapieżnych ptaków kruk, wrona a kania, to z Mazurów napłynęły (8). Nie masz tu ani orłów kąpiących się w chmurach, ani sokołów ni rarogów; nie masz dzików, niedźwiedzi, rysiów ni żubrów.

Z przysłów Kaszubów ukazuje się ich żywot rolniczy, cichy, spokojny. Oko Kaszeby dalej nie sięga jak w pole, na miedzę własną; popatrzy w niebo, czy zwiastuje deszcz, czy pogodę; zajrzy do lasu: ale w tym spokojnym poglądzie rzuca myśl filozoficzną, że:

„Świat jak las; człowiek jak listek”  
(*Svjat jak las, człowiek jak listek*).

Nie ma gór, po równinie patrzy; więc jak góral z dymiących gór nie wróży, ani jak Sandomierzak ze swój Łysicy, czy dymi (9); a że nie braknie na Kaszubach błota, z niego wyciąga myśl moralną:

*Kto w błoto bije, temu kał do gęby pryszcze.*

Pocziwy Kaszuba, jak cały lud polski, jest szczerze gościnnym; dlatego przybycie gościa uważa za świętą, uroczystą chwilę; toż samo co i u nas brzmi w ustach jego przysłowie:

*Gość w dom, Bóg w dom.*

I po starodawnemu daje:

*Chleb ze solą, z dobrą wolą.*

Z oburzeniem, nieużytych, niegościnnych wspomina:

*Wón mu kąska chleba nie żeczi.*

(On mu kąska chleba nie życzy).

Ztąd powszechnie u nich przysłowie: że kto wody ze studni broni, to taka woda zaśmierdnie się, albo zupełnie wyschnie (10).

Radby żyć ze wszystkimi w zgodzie—bo:

„Rybotm woda—a ludziom zgoda potrzebna”.

*(Rebotm wóda, ledzom zgoda).*

W przysłowiach uczą szanować starszych wiekiem:

*Przed sevą głową, trzeba mucę zdjąć.*

(Przed siwą głową, trzeba czapkę zdjąć).

*Chto starszech nieszoneje, ten biede póczeje.*

(Kto starszych nie szanuje, ten biędę poczuje).

Kaszeby mają tak jak i my swój kalendarz rolniczy; oto niektóre z tego rodzaju przysłów:

*Na święti Szczepon, kózdzi sobie pon.*

(Mazurskie: „Na święty Szczepon każdy sobie pan”. Bo czeladź wiejska w dzień ten odprawia się z dworów, jak i od gospodarzy, i zostaje chwilowo bez służby).

*Wókoło Géd cheltka (11) jak miód; a wókoło gromnice wimie się e zgownici.*

(Okolo Gód (Bożego Narodzenia) jabłko jak miód, a okolo Gromnicy, wyjmie się z gnojownicy; owoc bowiem ten już nie dotrzyma smaku i gnije).

*Na święti Wálek, nie ma pod lodę bálk.*

(Na święty Walek, nie ma pod lodem balek, bo lód kruchy).

*Chto seje groch w marcu, warzi jen w garcu, a chto w maju, warzij jen w jaju.*



(Kto sieje groch w marcu, to go warzy w garncu; a kto w maju, warzy go w jaju). Groch trzeba siać wcześnie, aby mieć urodzaj.

*Sechi kwiecen, mókri moj, bądze źetko jak goj.*  
(Suchy kwiecień, mokry maj, będzie żytko jako gaj).

*Świąti Maci, zeme traci.*  
(Święty Maciej, zimę traci).

*Na wszetkich swiątech, je zema goścę.*  
(Na Wszystkich Świętych zima jest gościem).

*Przindze moj, dzure wutekoj, krowie sana dodawaj, w piciku zapalój.*

(Przyjdzie maj, przecie bydłu daj, a sam za piec uciekaj. Przysławie mazurskie).

*Na swiąti Wabrzinc, skosą w źeto przinc.*

(Na święty Wawrzyniec z kosą w żyto przyjdź; bo na Kaszubach później się zaczynają żniwa, a nie sierpem, ale kosą tną żyta).

*Kie na setme braci spiących podo, tej setme niedziel pado.*  
(Kiedy na Siedmiu braci śpiących deszcz pada, to siedm niedziel padać będzie).

*Świąty Michel, wrota rozpicheł.*  
(Polskie: „Święty Michał, kopy spychał”. Żniwa bowiem skończone, i wożą do stodół plony z pola).

*Na swiąti Morcen, je zema z dzotkami e czeladką.*  
(Na święty Marcin jest zima z dziatkami i czeladką, bo w dzień ten zwykle śnieg pada, z kąd polskie przysławie): „Święty Marcin na białym koniu przyjechał”.

Nie braknie Kaszubom zasobu przysłów, malujących ich żywot rolniczy:

*Jedna jaskuleczka lata nie zrobij.*  
*Voń na to, jak na lato.*

*Chto w lecie proznejje, ten w zemje głód póczejje.*  
*Chto ze skóbronką wstaje, ten może s kuramy jść spać.*

(Kto ze skowronkiem wstaje, ten może z kurami iść spać).

*Chto rano wstaje, temu Pan Bóg daje; a chto długo spji, temu koza bzdzi.*

*Zorko do zorka, a badze mjorka.  
(Ziarnko do ziarnka, a będzie miarka).*

*Bez wóhote, niespóre robóte.*

*Jako robota, tako zapłata.*

*Nijma kółaczi bez proci.*

*Co te przedemną wodę mącisz.*

*Jakbe kam v wodę pusceł.*

*(Jak kamień w wodę).*

*Stori panski pjes, kon, e ekonom, to vszetko jedno.*

*Voń ma takje prawo, jak vrobek do gnjozda jaskuleczki.*

*Wkrod się jak vrobek v boconowe gnjazdo.*

*Chto w plecąnkę dmuchnje, temu pesk spuchnje.*

(Mazurskie: „Kto w ul dmuchnie, to mu pysk spuchnie”. Kaszuby mówią kto w plecionkę dmuchnie, bo ule robią rzeczywiście z plecionej słomy. I u nas ten rodzaj ulów jest znany i upowszechniony).

*Z wielgie chmure, bivo mełi deszcz.*

*Na wjardi kloc, jesz trzeba wjardszeho klina.*

(Na twardy kloc, potrzeba jeszcze twardszego klina).

*Trafiła kosa na kam.*

*(Trafiła kosa na kamień).*

*Przemovjo kocet gropovji, a wóbaju smółą.*

(Kocioł garnkowi przymawia, a obadwa smolą).

*Chto sę na góracim spoli, ten na zemną dmucho.*

Przysłowia polskie historyczne i podaniowe, przeszły do Kaszubów, a ci je przyjęli i powtarzają, choć obcy im jest ich początek.

Wyliczymy tu niektóre:

*(Gorsza sprawa jak w Osieku).*

*Gorszo sprawa jak w Wóseku.*

*(Zarobił jak Zabłocki na mydle).*

*Zarobiel jak Zabłocki na medle.*

*(Przybyło dnia na kurzą stopę).*

*Przebeło dnia na kurzą stopę.*

*(Siedzi jak na niemieckim kazaniu).*

*Sedzi jak na niemieckim kazaniu.*

(Tłucze się by Marek po piekle).

*Włóczy sę jak Mark po piekle.*

(Prawić jak o żelaznym wilku).

*Słecho jak wózeloznim wilku.*

(Nauczę ja ciebie gwizdać po kościele).

*Nawuczę jo jeho pó kóscele gwizdac.*

Obok tych, zachowali sławne nasze z Piastowskich czasów przysłowie:

*Poloch mądri pó szkódze.*

I w Rysińskiego zbiorze przechowane a nieco zmienione:

*Polski most, niemiecki póst, żedowskie nabożeństwo,  
wszetto błazeństwo.*

(Polski most, niemiecki post, włoskie nabożeństwo,  
to wszystko błazeństwo).

W ostatku w ich ustach brzmi jeszcze ulubione przysłowie ojców naszych z XVI wieku, że: „Stara księga, stara prawda i stare wino, zawsze najlepsze”.

*Storo xęga, stora prawda, e store vino, vjedno dobre.*

Przestajemy na przywiedzionych przykładach, w przekonaniu, że czytelnik sam łatwo osądzi, czy nasza zasada usprawiedliwiona, liczenia Kaszubów jako tylko odciń jednoplemiennego rodu z starodawnymi Mazurami.

---

## PRZYPISY.

- (1) *Kje przez psa, teje przez wógon.*  
(Kiedy przez psa (bijesz) to i przez ogon).  
*Zdech jak pies.*  
(Przytulił się jakoby nie żył).  
*Lubi jeho, jak pse żeda.*  
(Lubi go jak psy żyda).  
*Nie dla psa kielbosa.*  
*Cesz pó pse w koscele, kje pocerza nie mowi.*  
(Cóż po psie w kościele, kiedy pacierza nie mówi).

- Chto chce psa wuderzec, kij naleze.*  
 (Kto chce psa uderzyć, to kij znajdzie).  
*Koźdi pies je na swoich śmieciach wodważniejszi.*  
 (Każdy pies na swoich śmieciach śmielszy).
- (2) *Kot spiący meszi wjichwota.*  
 (Kot śpiące myszy wychwyta).  
*Mesze figleją, kie kota nie czeją.*  
 (Myszy figlują, jak kota nie czują).  
*Czim kot starszi, tim wogon wjardszi.*  
 (Im kot starszy, tém ogon twardszy).  
*To są pówrozel rzeł kot na kiołbose w kominie.*  
 (To są powrozy! rzeł kot na kielbasę w kominie).  
*Wysmukłui jak kótką.*  
 (Wylizany jak kotka).  
*Wóni se tak lubją, jak dwa kóte.*  
 (Oni się tak lubią, jak dwa koty).  
*W noce są wszystkie kóte bure.*  
 (W nocy wszystkie koty bure).
- (3) *Szekovni jak wół do karete.*  
 (Zgrabny jak wół do karety).  
*Kie jedna krowa wogon podniesie, téj wszystkie za nią.*  
 (Kiedy jedna krowa ogon podniesie, to i wszystkie za nią).  
*Bjeda temu dworowi, dze domogo krowa wołowi.*  
 (Bięda temu dworowi, gdzie krowa dobodzie wołowi).  
*Chodzi jak cełę za krową.*  
 (Chodzi jak cielę za krową).  
*Słówko wroble wełeci, a wóle wroci.*  
 (Słówko wyleci wróblem, a powróci wołem).
- (4) *Panske wóko konja teczi.*  
 (Pańskie oko konia tuczy).  
*Kon mo sztere nogi, a jednak se potkuje.*  
 (Koń ma cztery nogi a jednak się potknie).  
*Skoko jak meli wógierek.*  
 (Skacze jak mały ogierek).  
*Darowanemu koniowji njezazero se do zębou.*  
 (Darowanemu koniowi nie zagłąda się do zębów).  
*Wóstatni kon ze stąnie.*  
 (Ostatni koń ze stajni).
- (5) *Na póchele drzewo e kóze skoczą.*  
 (Na pochyłe drzewo i kozy skaczą).  
*Won se znaje na tém, jak koza na pieprza.*  
 (On się zna na tém, jak koza na pieprzu).  
*Na swjátý Fryc, kje kóze mda strzic.*  
 (Na święty Fryc, kiedy kozę będą strzydz).  
*Vstedzi se jak kózeł w jarmużu (kapusce).*  
 (Wstydzi się jak kozieł w jarmużu, albo w kapuscie).
- (6) *Von sobje swinje kupiel.*  
 (On sobie świnie kupił).

*Idzie do stołu, jak svinja do koretka.*  
 (Idzie do stołu jak świnia do korytka).  
*Njedel svinij Pan Bóg rogów.*  
 (Nie dał świni Pan Bóg rogów, boby bodła).  
*Vón nim wszetkich svinij doma.*  
 (On..... wszystkich świni w domu).

- (7) *Viele psov, zajca smjirc.*  
 (Wiele psów, zająca śmierć). Po starokaszubsku *zajka.*  
*Vón biego jak drzevjani zajc.*  
 (On biega, jak drzewniany zając).  
*Vilk vilka nie vuje.*  
 (Wilk wilka nie kąsa).  
*Notera cignie vilka do lasa.*  
 (Wilcza natura do lasu ciągnie).  
*Vilk seti, a wówca cało.*  
 (Wilk syty i owca cała).  
*Zeby vilk za gorą njesrel, dalibe wucek.*

(Przysłowie to, S. Rysiński w zbiorze swoim najdawniejszym zapisał).

- (8) *Krek krekovij wóka niewedlebie.*  
 (Kruk krukowi oka nie wydłubie).  
*Chto przindze mjedze wrone,*  
*Muszi krakać jak e wóne.*  
 (Właslszy pomiędzy wrony,  
 Trzeba krakać jak i ony).  
*Pragnie jak kania deszcze.*  
 (Pragnie jak kania dżdżu).

Dodajmy tutaj jeszcze do tego działu należące przysłowia:

*Pieczone gołabki nie przyńdą same do gąbki.*  
*Znaję jo sę ptaszku.*  
 (Znam ja cię ptaszku).  
*To lechi ptoch, co v svoje gnjozdo sro.*  
 (Lichy to ptak, co swoje gniazdo kała).  
*Poznoc ptoszka pó piorach.*  
*Piszęzi jak kurczę.*  
*Lepszy jeden wróbel v gorsci, jak sto na daka.*  
 (Lepszy jeden wróbel w garści jak sto na dachu).

albo po mazursku:

„Lepszy wróbel w ręku, jak cietrzew na sęku.”  
*Płevye jak wółowjana kaczką.*  
 (Pływa jak ołowiana kaczka).  
*To mu sę tak trafiło jak ślepi kókoszi zorno.*  
 (Trafiło mu się, jak ślepój kokoszy ziarnko).  
*Dać kókoszi grzędę, to wina chce vjeże.*  
 (Dać kurzę grzędę, to ona chce wieży).  
*Gzika jeho kaseła.*  
 (Gęz go ukąsił).

*Chci chce rybę wuchwacć, musi sę zmaczac.*  
 (Kto chce rybę uchwycić, musi się zmaczać).

*Spiwo jak kęlp.*

(Śpiewa jak kielb')

*Jabko sę niedalek wód jabłonie wódkucuje.*

(Niedaleko pada jabłko od jabłoni).

*Gołi jak bania.*

(Goły jak bania).

*Zamk mesz w sziżarnij.*

(Zamknął mysz w sziżarni).

*Tak zli jak żmija, a sapi jak wąż.*

(Tak zły jak żmija, a syczy jak wąż).

- (9) Przysłowie sandomierskie mówi:

*Kiedy Łysica w koszuli,*

*To zaraz się niebo rozczuli.*

Rzeczywiście, gdy Łysa górą we mgle, to pewny deszcz na dolinie.

- (10) *Kje są zabronio wódcę ze studnie, téj wóna zasmiardnie,  
 abo czesto weschnie.*

- (11) *Cheltka, cheltki, dzikie jabłko leśne, albo i ogrodowe.*



## KRONIKA ZAGRANICZNA

### LITERACKA NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

Historya angielska Macaulaya. — Literatura hiszpańska; dzieła pana Guella y Rente. — Zdjęcie z krzyża, fresk Teodora Chasseriau. — Henryk Heine. — Wiadomości literackie.

**P**od koniec zeszłego roku, Macaulay sławny dziejopis Wielkiej Brytanii, wydał drugie dwa tomy Historji angielskiej. Dalszy ciąg znakomitego dzieła, które tyle narobiło odgłosu w swoim czasie, był czytany w Anglii z bezprzykładną na kontynencie pożądlivością. Księgarz Longman zapłacił autorowi za manuskrypt na dwa tomy 16,000 funtów szter. (640,000 złp.). Od czasów publikacyi dzieł lorda Byrona, księgarze angielscy nie mieli takiego odbytu. Całą ulicę na której znajdowała się księgarnia, gdzie sprzedawano dzieło Macaulaya, napełniał nieustannie taki tłum ludzi, że musiano wstrzymać cyrkulacyą powozów dopóki każdy Anglik nie kupi sobie owęj najciekawszej z książek. Edycye nowe wychodziły co tydzień: odbijano naraz po 25,000 exemplarzy, a księgarze jeszcze nie mogli nastarczyć obdzielenia 2,000,000 kupujących. W Paryżu Juliusz Premaray, tłumacz dwóch pierwszych tomów tego dzieła, na gwalt wziął się do tłumaczenia dwóch drugich, i książka już jest pod prasą. Dzienniki europejskie mimo wojny, poświęcały całe kolumny rozbiorowi lub panegirykom tego dzieła: dotychczas mówią o niém tyle na Zachodzie, że i my poczuwamy się do obowiązku powiedzenia o tój książce słów kilka naszym czytelnikom.

kom, chociażby tylko dla sumiennego wywiązania się z powinności sprawozdawcy.

Wydana dotąd *Historya angielska* Macaulaya dzieli się na trzy części: pierwsza jest obrazem wszelkiego rodzaju nadużyć, które spowodowały upadek i śmierć Karola I<sup>go</sup>; w drugiej wykazuje autor przyczyny założenia i upadku *rzeczypospolitéj*; w trzeciej, powody przywołania Stuartów i ich ostatecznego wygnania. Czwarty tom kończy się wjazdem do Londynu Wilhelma III<sup>go</sup>, dnia 15 listopada 1697 roku. Podziały te nie są wyraźnie oznaczone w dziele, ale wynikają same przez się z wypadków: my zaś zakreślamy je mocniej dla nadania jasności téj krótkiej notatce.

Przyczyny wielkich wstrząśnień, które przed wiekami zakończyła Anglia powrotem do wzorowego porządku i dobrego bytu, nadto są znane, żeby się tu nad nimi zastanawiać: dlatego podajemy tylko treść widzenia rzeczy Macaulaya, nie zaś treść książki.

Za panowania Karola I, kalwinizm głęboko zakorzenił się w Anglii; wyznanie rzymsko-katolickie i anglikańskie zarówno były niecierpiane. Rząd chciał w całym kraju zaprowadzić religią katolicką: oto pierwszy powód wzburzenia umysłów, a następnie rewolucyi, stracenia króla i ogłoszenia *rzeczypospolitéj*.

Odcięci morzem od stałego ładu, z natury zamknięci w sobie Anglicy, nie czuli wcale potrzeby propagowania reszty świata, jak to czynili Francuzi za wielkiej rewolucyi 1789 roku. Kłótnie polityczne załatwiali pomiędzy sobą jak familijne zatargi, przy drzwiach zamkniętych rozprawiali się z sobą, z pomiędzy siebie wybierając sędziów polubownych, lub najwyższe trybunały: i z tego to zupełnego odosobnienia od innych narodów wynikło, że mało kto na stałym łądzie wiedział co się dzieje w Londynie, a taż sama Europa, która w 92 roku zawiązała koalicją przeciw Francyi, patrzała obojętnie na ścięcie Karola I. Prócz korzyści że nie była niepokojoną z zewnątrz, *rzeczpospolita angielska* miała nadto dwie rzeczy, na których zazwyczaj zbywa poczynającym rządóm: miała pieniądze i miała rozum. Prócz miłości kraju, posiadała wiedzę potrzebną do urządzenia się. W końcu miała po sobie protestantów stałego ładu, stronnictwo silne i energiczne,



które w każdym ważnym razie, ważne oddawało jój przystugi.

Oto okoliczności, które wedle Macaulaya przyczyniły się głównie do założenia i utrwalenia rzeczypospolitej w Anglii. Jak słabły i znikały powoli te przyczyny, autor wykłada obszernie; za najważniejszy zaś powód upadku rzeczypospolitej uważa rozdwojenie, które się wkrađło pomiędzy ludzi stojących na czele i podzieliło ich na dwa stronnictwa: pierwsze pełne miłości kraju, czyste w swych widokach, rozumne i wytrwałe, zachowało nazwę Presbyteryanów; drugie, gwałtowne, chciwe, despotyczne, obłąkane przez intrygantów i zdrajców, wzięło nazwę Niwelatorów.

Niwelatory stanowili mniejszość w parlamencie, ale ściślej połączeni z sobą niż Presbyteryanie i popierani przez całe wojsko, pokonali tych ostatnich przedsiębiorczością i odwagą; wyparli ich z wysokich stanowisk jakie zajmowali, i zajęli sami wszystkie urzędy tak cywilne jak wojskowe, oskarżając Presbyteryanów o zasady monarchiczne. Zarzut ten był niesłuszny: dowodem, że na Presbyteryanach mściła się później przywrócona monarchia.

Dopóki trzeba było walczyć i zdobywać, Niwelatorowie postępowali zgodnie; ale raz doszedłszy do władzy zaczęli się różnić i prześcigać w najdziwaczniejszych pomysłach. „Fanatycy” mówi Macaulay, nazywając tak Niwelatorów „chcieli narzucić siłą krajowi utopie swojej gorączkowej imaginacyi”. Zwyczaj wspólnej modlitwy został zakazany nawet po domach. Kościoły, nagrobki, arcydzieła sztuki były niszczone lub bezczeszczone, wszystkie obrazy Chrystusa i Matki Boskiej spalone. Starożytne posągi padły pod toporem lub zostały oddane mularzom, żeby je ubrali przyzwoicie. Cudzołóstwo było karane śmiercią. Wszelkie zabawy tak publiczne jako i prywatne, karane surowo; teatry miały być zburzone; ci co do nich uczęszczali skazani na kary pieniężne, a aktorowie chłostani po placach publicznych; tańce na linach i wyścigi konne zostały zakazane.

Prezes parlamentu Barebone postanowił, że do służby publicznej przypuszczeni zostaną ci tylko, których świętobliwość będzie dowiedziona autentycznie. Że

o dowody było niełatwo, przeto dla uproszczenia rzeczy skreślono powierzchowny rys świętego: zadekretowano, że za dowód świętości będzie uważany ciemny ubiór, tudzież twarz surowa, rozmowa pełna cytacji z Pisma świętego i wstępnym wyrażny do zabaw i teatrów.

Bezrozumna i dokuczliwa gorliwość fanatyków wywołała zwyczajny skutek. Cała Anglia przywiązała się silniej do religii, którą jej gwałtem wydrzcić chciano. Niwelatorowie podwoili prześladowania. Oburzenie z każdym dniem rosnęło. Wielu wysokich urzędników państwa protestowało gwałtownie, za co rozstrzelani zostali. Skoro zobaczono, że stronnicy rewolucyi nie byli więcej oszczędzani od innych, powstał strach i przerażenie powszechne. Aż w końcu przebrała się miara. Wszystkie stronnictwa połączyły się przeciw zgromadzeniu, które po czteroletniej dyktaturze upadło bez godności pod władzą wojskową.

Pan Macaulay uwielbia Cromwella, sądzi go nie jako bezstronny historyk, ale jak Anglik wdzięczny założycielowi potęgi swego kraju. „Dziejopisowie zaręczali nieraz, mówi Macaulay, nie mogąc atoli dostatecznie wymotywować swóje go twierdzenia, że Cromwell umarł w sam czas dla ocalenia swój sławy, że gdyby był żył dłużej, byłby zapewne skończył we wstydzie i hańbie”.

Zdaje się, że dostatecznym wymotywowaniem twierdzenia dziejopisów są znane każdemu fakta, których tylko Macaulay widzieć nie chce, to jest: że liczba nieprzyjaciół Cromwella wzrastała codziennie, że tyrania jego ciążyła wszystkim, nawet przyjacielom, że spiski na życie jego mnożyły się z przerażającym uporem, że w końcu nie wiedząc już na kim polegać, rozdawał i odbierał co dzień urzędy, że dzień i noc żył w trwodze i niepokoju, widząc w każdym czyhającego na siebie mordercę, co wreszcie sam Macaulay przyznaje, mówiąc: „że Cromwell ilekroć wydał się z pałacu, był otoczony nagiemi pałaszami swój gwardyi”. To wszystko jednak nie przekonywa Macaulaya. Dalej, opowiedziawszy śmierć Cromwella, mówi: „Syn jego Ryszard wstąpił po nim na tron tak spokojnie i naturalnie, jak nigdy żaden książę Galii po królu angielskim”. Dlaczego? Bo nie mając ani geniuszu, ani uroku oj-

cowskiego, został przyjęty przez wszystkie partye jako narzędzie, którym po myśli swojej spodziewały się władać, a w końcu złamać je bez wysilenia. Jakoż rzeczywiście, po kilkomiesięcznym panowaniu, upadł bez oporu ani sławy, zostawiając niezgodę w stronnictwach, wojnę domową w wojsku, a w całej Anglii zamęt nie do opisania.

Ale powrócmy na stanowisko Macaulaya, bo inaczej nie poznamy dzieła jego, a o to tylko nam chodzi.

Po śmierci Cromwella Anglia jeszcze chciała rzezypospolitą; ale po usunięciu się syna jego, zamieszanie było tak wielkie, niezgody w wojsku i parlamencie tak zajadłe, projekta i ambicje stronnictw tak szalone, że oburzenie wkrótce stało się powszechne. Skoro zaś przyszła wiadomość, że Monk, wódz armii szkockiej, ogłosił się obrońcą władzy cywilnej, i ma przybyć na czele 7,000 wyćwiczonego żołnierza: cały Londyn się zbuntował. Odmówiono podatku; wyrobnicy zaniechawszy pracę schodzili się tysiącami na szalone zabawy; nienawidzony parlament, który się zgromadził w Westminsterze, został rozpędzony.

Taki był stan rzeczy, kiedy przybył do Londynu Monk. Człowiek ten milczący i zimny, bez namiętności ani wyraźnie określonych zasad, stanął zrazu na boku, starając się zbadać usposobienie ogółu, i wedle niego obmyśleć najlepszy środek eksploatawania narodu na korzyść własną.

Skoro się przekonał, że wojsko i parlament były w równiej pogardzie u ludu, Niwelatory niecierpiani, republikanie bezsilni, oświadczył się za nowemi wyborami. „Dowiedziawszy się o tém cały naród, powiada Macaulay, szalał z radości; gdzie tylko pokazał się Monk, otaczał go tłum i błogosławił mu: dzwony w całej Anglii dzwoniły bez przerwy, porter płynął rynszotkami, Londyn przez kilka nocy gorzał od fajerwerków i illuminacyi na 5 mil dokoła”.

Wybory odbyły się pośród radości, nadziei i niepokoju. W końcu mimo drobnych rozruchów, które starał się wywołać pomiędzy wojskiem Lambert, lordowie powrócili do izby z której wygnani byli przez blisko lat 12, nowy parlament zaprosił króla, żeby powrócił do swego państwa. „Niwelatorowie, mówi Macaulay, najzagorzalsi

nieprzyjaciele monarchii, ludzie których bezrozumna wściekłość zgubiła Rzeczpospolitą, pierwsi rzucili się do nóg Karola II, tak jak niegdyś do nóg Cromwella”.

Karol II przyrzekł szanować prawa, opierać się na parlamencie, zachować wszystkim wojskowym dawne stopnie i żołdy, utrzymać religią pretestancką, szanować wolność wyznań i sprzedaż dóbr narodowych, tudzież ogłosić ogólną amnestyą.

Karol II wstąpił na tron 29 maja 1660 roku, w najpomyślniejszych dla siebie warunkach. Cała Anglia upojona była radością. Parlament, flota, wojsko, korporacje świeckie i duchowne, na wyścigi składały monarsze dowody czci i posłuszeństwa. Oświecone ulice Londynu napełniał tłum, który całą noc bankietował i zmuszał przechodniów, żeby pili za zdrowie Jego świętobliwej królewskiej mości. Co kilka kroków były szczytały ogniska w których lud palił lalki naśladujące członków byłego parlamentu, miotając przeciw nim bezwstydną obelgi. Cromwell wisiał na szubienicy, wkoło której tańczono, ztorzecząc mu i urągając.

Ale niedługo trwała owa radość powszechna. Wybory odbyły się w początku 1661 roku. Nowa izba nietylko nie popierała łaskawego usposobienia Karola II, ale namawiała go do cofania danych obietnic. Prześladowania religijne zaczęły się na nowo. Izba uchwaliła, że każdy jej członek pod karą wykluczenia z grona, będzie komunikował się wedle katolickiego obrzędu. Dwa tysiące księży presbyteryjskich w jednym dniu utraciło swoje posady. Narzucono nową przysięgę dyssydentom pod karą więzienia lub wygnania. Mimo przyobiecanej amnestyi wydano proklamacyą, nakazującą wszystkim sędziom Karola I, ażeby udali się do więzienia. Dziewiętnastu poddało się prawu, reszta uciekła. Wkrótce skazani na śmierć, zginęli z wielką odwagą. Jeden z nich Tomasz Scott, jak o ostatnią łaskę prosił zgromadzenia, żeby na grobie jego pozwoliło położyć kamień z napisem: „Tu leży Tomasz Scott, który skazał na śmierć Karola I króla angielskiego”.

Parlament uchwalił prawo uznające za zbrodniarza każdego, kto by prosił króla o przywrócenie synom straconych sędziów Karola I ich tytułu i dziedzictwa. Prześladowanie było wielkie, presbyteryjanów zabijano mas-

sami. W Szkocyi utworzyły się zgromadzenia, które podały petycye do króla, prosząc go najpokorniej o przywrócenie religii presbyteryjskiej. Czterdziestu szkockich wystanników zabito na miejscu, dziesięciu powieszono w Edyburgu, a 35 przed własnymi domami w obec ich żon i dzieci.

Tomy całe możnaby napisać, chcąc zgromadzić wszystkie okropności spełnione w Anglii w owym czasie, a które tak wymownie opowiadają Macaulay, Hume i inni historycy angielscy. Takie postępowanie izby musiało wywołać reakcyę: jakoż uskuteczniła się ona wolno, ale gruntownie.

W 1660 roku cała Anglia rzuciła się do nóg Karola II; w 1678 już zupełna nastąpiła przemiana. W 1660 po dwudziestoletniej wojnie domowej, Anglia chciała pokoju za jakąkolwiek cenę, i kupiła go kosztem wszystkich praw swoich. W 1678, po 18 latach panowania Karola II, upomniała się o nie, tak, że gotowa je odkupić za jakąkolwiek cenę. Potężna opozycya pokazała się w izbie niższej: król rozwiązał ją trzy razy i za każdą razę wyborcy tych samych odesłali mu deputowanych. Gdyby Karol II był miał dumę swego ojca, zgubiłby się niechybnie; ale wrodzona obojętność ocaliła go. Cała wina spadła na doradców króla. Karol II dosyć lubiony, umarł 1685 roku. Po nim brat jego Jakób II, znany nieprzyjaciel Whigów, wstąpił na tron; ale po trzech latach panowania wypędzony z kraju, przybył do Francyi prosząc Ludwika XIV o gościnność.

Część, w której Macaulay opowiada przyczyny upadku Jakóba II, jest napisana najwymowniej z całego dzieła, ale niezmiernie stronniczo. W tym ustępie Macaulay nie jest już historykiem piszącym w 1856 r., ale zażartym Whigiem z r. 1688, ścigającym z nieubłaganą zajadłością nieprzyjaciela swego kraju, swego stronnictwa i swojej religii.

Czwarty tom prawie cały poświęca autor rewolucyi 1688 roku, najłagodniejszej i najpłodniejszej ze wszystkich. Była ona ostatecznym zwycięstwem odniesionem przez protestantów na katolikach. Po długiej i krwawej walce, po wygnaniach, rusztowaniach, rzeziach, zesłała wreszcie dla Anglii zorza spokoju

i pomyślności ze wstąpieniem na tron Wilhelma III. Ogłoszone przezeń prawa były zapewne niekompletne, ale chowały w swém łonie zarodek wszystkich mądrych instytucyj, które sobie Anglia ustanowiła później. Ażeby dobrze osądzić rewolucyą 1688, trzeba badać nie jój powody, które różni różnie pojmują, ale jój skutki odległe i ogólne; pomiędzy któreni największą zdobyczą, najważniejszym dobrem okupioném morzem krwi i ciężką półwiekową wojną domową, jest niezawodnie wolność wyznań religijnych.

„Rewolucya 1688 roku, powiada w końcu Macaulay, była naszą ostatnią rewolucyą, i to jest jój największa pochwała. Wiele pokoleń przeszło, a żadnemu Anglikowi w myśli nie powstała chęć obalenia władzy. Każdy z nas ma przekonanie, przekonanie nabyte doświadczeniem: że nasza konstytucya nosi sama w sobie środki potrzebne do uskutecznienia reform, których kraj potrzebować może. Konwencyi, i Wilhelmu d'Orange powinniśmy zawdzięczać szanowaną powagę prawa, bezpieczeństwo własności, spokój ulic i szczęście rodzin naszych”.

Historya Anglii Macaulay'a napisana ze stanowiska czysto angielskiego, jest najznakomitszą i najkompletniejszą z wszystkich, jakie wydano dotąd. Prócz talentu pisarskiego, znać tam na każdéj karcie głębokiego myśliciela i mocno kochającego swój kraj Anglika.

---

Hiszpania liczy w téj chwili wielu znakomitych pisarzy, którzy nie ustępują w niczém autorom najcywilizowańszych narodów. Twierdzenie nasze opieramy: najprzód, na powadze bardzo znakomitego dzieła: Hiszpania nowoczesna, pana Mazade, które właściwie możnaby nazwać kursem krytycznym literatury hiszpańskiej; jak również na własném przekonaniu, które powzięliśmy po przeczytaniu dzieł pana Guell, o których tu mówić zamierzamy.

Piśmiennictwo hiszpańskie tak bogate niegdyś, oddawna przestało ściągać na siebie uwagę cywilizowanego świata: długie bezkrólewie po zmarłych geniuszach: Cervantesie, Lope de Vega, Moratynie i innych, zrodziło powszechne mniemanie, że szafirowe niebo te-

go rozkosznego kraju, co kiedyś tak szczerze sypało natchnienia swoim romancerom, zamknęło się przed nimi; że ta ziemia pełna przepysznych pałaców i ogrodów kwiatnych, w których nieustannie odzywa się brzęk gitary, śpiew słowika i szmer wodotrysków, stała się niemą i bezpłodną. Mérimée, Alfred de Musset i tłumacz Niezłomnego księcia, ostatni z cudzoziemców, czerpali z jej wysychających źródeł. A gdyby nie Donoso Cortès, który jak olbrzym ukazał się nagle z poza pirenejowych szczytów, Europa dowiadywałaby się o istnieniu Hiszpanii tylko ze smutnych scen wojny domowej, która zakrwawia jej łono; a o jej literaturze tylko od turystów, których relacje kończą się zwykle na opiewaniu walki byków, widzianej w Pampelunie lub Madrycie. Grano wprawdzie w Paryżu przed kilkunastą laty dramat z chórami Martineza de la Rozy; ale ten dramat był napisany po francuzku, i daleko więcej francuzki niż hiszpański.

Pojawienie się przeto grona młodych literatów pośród politycznego zamętu i ogólnego rozstroju Hiszpanii, ma w sobie coś uderzającego; jak równie uderzającym jest to, że wszyscy ci młodzi autorowie są zarazem ludźmi politycznemi.

Rozbudzenie życia literackiego pan Mazade przypisuje klubom. Hiszpańskie kluby niepodobne są wcale do zwykłych zgromadzeń tego nazwiska: są to koła czysto-literackie, rodzaj akademij prywatnych, w których bywają rozbierane same poważne kwestye. Na czele takich zgromadzeń stoi klub *Atheneum*, założony w Madrycie roku 1835. *Atheneum* jest rzeczywistą szkołą wymowy, w której od dwudziestu pięciu lat odbywają się potężne walki słowa, przyciągające codziennie tyleż prawie aktorów co słuchaczy. Nie są to jak dawniej, na podobnych zgromadzeniach we Francyi, puste wyścigi słów, językowa szermierka, zostawiająca po sobie czczość i nudę; bynajmniej: *Atheneum* jest serjo nauczającą szkołą, której nie zbywa ani na poważnych profesorach, ani na poważnych uczniach: jest to uniwersytet wszelkich pożytecznych wiadomości, mogących wykształcić umysł narodu.

Jakoż klub *Atheneum* przysposobił krajowi najznakomitszych ludzi ostatnich lat dwudziestu. Tamto Do-

noso Cortès odczytywał pierwsze prace swoje, a później w Atheneum założył trybunę, z której dał się poznać światu. Pierwsze wystąpienie sławnego mówcy dodziśdnia jest obecne w umysłach Hiszpanów, bo każdego z nich już wtedy uderzyła ścisła i potężna logika, oraz przepyszna wymowa tego młodzieńca, który miał być chlubą swego kraju.

Prócz Donoso Corteza, Atheneum wydało jeszcze dwóch ludzi stanu: pp. Galiano i Pecheco, którzy nie mniej ściśle są związani z wypadkami kraju. Galiano zastąpił jako mówca i biegły publicysta; Pecheco jako poeta, prawodawca, deputowany, minister, autor historyi Regencyi Maryi Krystyny, oraz dwóch znakomitych dramatów: Alfredo i Sept Infans de Lara. Nadto, historia, administracya i ekonomia zawdzięczają klubowi Atheneum Morona, Seyjas Lozana i Banavides'a; a literatura dramatyczna Serafina Calderon i wielu mniej sławnych dramaturgów. Rzecz godna uwagi, że każdy z tych literatów i ludzi stanu był pierwój dziennikarzem: nawet Donoso Cortès, który w roku 1837 wydawał dziennik Porvenir, a w roku 1839 Piloto.

Ale nie samo tylko Atheneum wydało niepospolitych mężów: prócz tych, których wymieniliśmy, są inne znakomitości, które nie w stolicy, ale gdzieś na uboczu wykształciły się i wybiegły myślą tak wysoko, że nie tylko Hiszpania, ale każdy, kto zna ich dzieła uwielbiać je musi. Do takich należy Don Jaime Balmès, prosty ksiądz, syn rzemieślnika z Katalony, najznakomitszy pisarz chrześcijański swego kraju. Balmès, mimo że umarł młodo, zostawił po sobie dzieła ogromne, które wydają się być owocem stuletnich rozmyślań i nauki: tak są dojrzałe i pełne wszechstronnej wiedzy. Z pisarzy młodszych, książę Rivas jest niezwyčajnym poetą, Herreros, Ventura de la Vega, Rodrigues Rubi zastąpili jako komedyo-pisarze; Larra stoi na czele szkoły fantastyków; Romanos i Calderon stoją na pierwszém miejscu, jako pisarze obyczajowi.

Ciasność ramy nie dozwala nam rozszerzać się więcej z wyliczaniem nazwisk i dzieł ludzi, słynących teraz na polu literatury hiszpańskiej. Przeto tych z czytelników naszych, którzyby się chcieli obznajmić



bliziej z tym przedmiotem, odsyłamy do wybornego dzieła pana Mazades: Hiszpania nowoczesna, które, jak wszystkie znakomitsze utwory pojawiające się za Pirenejami, jest przełożone na język francuzki.

Powyższe wiadomości zgromadziliśmy jedynie na dowód, że Hiszpania nie jest teraz tak niema i bezpłodna jak wielu mniema, i że posiada w obecnej chwili młodych dramaturgów, romansistów i poetów, którychby się ani Calderon, ani Cervantes, ani Lope de Vega nie powstydzili.

Do takich należy pan Guell, o którego dziełach obszerniejszą uczynimy wzmiankę. Ale najprzód powiedzmy, kto jest pan Guell. Don José Guell Y Rente, autor *Medytacyj chrześcijańskich i filozoficznych*, jest reprezentantem kortezów i mężem infantki donny Józefy Burbońskiej, siostry króla hiszpańskiego, a bratowej królowej Izabelli. Urodzony w Hawannie z ubogich rodziców, przybył do Hiszpanii poprzedzony sławą literacką, której jedynie zawdzięcza godności, jakimi go tam zaszczycono, oraz miłość królowny, która wyższa od Leonory okrutnej Tassa kochanki, nie wahała się poślubić poetę, uważając talent jego i serce za dostateczne dyplomy szlachectwa.

Guell jest chrześcianinem w prawdziwem znaczeniu tego słowa: kocha cierpiących, słabych, ubogich i pokrzywdzonych; do nich nieustannie mowę zwraca, z nimi płacze, ich pociesza. Wszystkie utwory jego tehną jedną myślą: kochaj bliźniego jak siebie samego.

*Medytacje* dzielą się na dziesięć rozdziałów. Pierwszy pod tytułem *Matka*, jest najpiękniejszy: miłość macierzyńską, najczystsza i najwyższą z wszystkich ziemskich miłości, autor pojmuje i określa z rzadką płci naszej uczuciowością. „Cnota, powiada on w pierwszym rozdziale, nie jest ani w nauce, ani wstynnych wynalazkach naszego wieku, ani w zdobyczach, za którymi uganiają się cheiwi i ambitni: cnota jest poza książkami; jej kodex wryty w sumieniu i głębi serca; święte myśli rodzi w młodych duszach macierzyński pocałunek; owoc ich zawiązuje się i dojrzewa pod gorącym promieniem macierzyńskiego wzroku.”

Niemniej piękne definicje napotyka się w następnych rozdziałach, których same tytuły już są wymowną

skazówką treści; jak naprzykład: „Przez miłość poznasz Boga. Bez miłości, roztropności, sprawiedliwości i moralności, władza ostać się nie może. Słowem Bożem jest światło i t. d.” Cała ta książka napisana jest prostą i łatwą prozą, niekiedy bardzo surowa, czasem wesoła, a w zwykłym ciągu pełna owój dobrodusznój naiwności, która od wieków była formą kastylskiego humoru.

Tom poezyi tegoż autora pod napisem: *Lagrimas del corazon* (łzy serdeczne), dowodzi młodzieńczego uczucia i ogromnój imaginacyi, która objawia się to głośnym hymnem biegnącym pod niebiosa, to cichą zadumą w pół-cieniu, to śpiewem miłosnym, podobnym do pieśni słowika upojonego wonią róż i czarowną jasnością majowej nocy. Nie ma szczytu, na któryby się nie wdarta ta hiszpańska wyobraźnia, śpiewając naprzemiany cuda Alhambry i swe zwrotnikowe niebo.

Trzy ustępy uderzyły nas mianowicie w téj książce: Kwiat nadziei, Maur, Bóg i Ona. Są to trzy oktawy historii uczucia ludzkiego: rozczarowanie młodzieńczych marzeń, miłość jak ją Maur pojmował, na koniec miłość Boga i prawdziwa miłość na ziemi.

Kwiat nadziei przypomina *Medytacye* *Lamarina*: cicha skarga kołysana harmonijnym rymem, szemrze jak strumień na zwirowém posłaniu; i jak on ku morzu, ucieka gdzieś ku odmętom burzliwego życia.

W drugiey części Maur wyznaje swą miłość przesłicznój sułtance, powtarzając w każdéj zwrotce namiętnéj pieśni: „Nie chcę twojéj litości, tylko twojéj miłości.”

Trzecia część jest najpiękniejsza. Pozwalamy sobie uszczknąć i postać czytelnikom naszym ten kwiatek rozkwitły na ruinach Alhambry, w nadziei, że choć dotknięcie obcej dłoni pozbawi go świeżości i siły, to przecież nieco woni jeszcze zachowa:

Bóg i Ona.

„Boże! Twoja Wszechmocna prawica nadaje ruch nieskończonej girlandzie globów, wzburzonemu falom oceanu i lekkim skrzydłom zefiru; Twoje tchnienie rodzi na pustyni olbrzymie drzewa i wonne kwiaty; Ty jesteś wiecznością, przed którą korzy się wspaniała pochodnia ludzkiey wiedzy.”

„Imię Twoje jest zapisane w porannym kwiecie, czuję Cię w kryształowych nurtach strumienia, w błękanie, który przegląda z poza chmur, w gazowych skrzydłach powietrza; błogostawię Cię we wschodzącej jutrzence, ubóstwiam w niebios przezroczu, a głęboka cisza nocy w zachwyty mnie wtrąca, odkrywając ogrom Twego majestatu.”

„Duch mój o Tobie sni, w cierpieniach patrzy w Ciebie z tęsknotą; Ty jesteś jedynym światłem mego sumienia i wiecznością, do której wzdycha serce moje; Ty jesteś wielką księgą, w której zapisane dzieje wszystkiego co żyje. Duch mój słyszy głos Twój w oceanie nieskończoności.”

„Duch mój nigdy nie jest samotny: Ty jesteś ze mną kiedy słońce wschodzi i kiedy świat cały kąpie się w jego zachodzących promieniach; w nocy czuwasz nademną. Błogostawię Cię Boże, ucieczko nieszczęśliwych.”

„Ale kiedy oglądam we śnie Twoje cudowne oblicze, i inne widzę w mej duszy; kiedy wielbię światłości Twoje, zda mi się, że Jój oczy patrzą na mnie; a kiedy imienia Twego używam, Jój imię do ust się ciśnie.”

„Ona mnie wspiera w mej drodze, ona tży nademną roni, ona splotami złotych warkoczy odpędza odemnie szatany; ona o wielkości swojej zapomniła dla mnie, przez nią poznałem Ciebie: oto dlaczego serce moje z Tobą podziela, dlaczego wzywając Ciebie, jój imię szepeć pocichu.”

„Twój utwór jest bóstwem mojem: anioł mój bielszy od lilii, powietrzniejszy od ptaka, co krąży nad wzburzoną wód przepaścią. Szczęściem jój żyję, jój smutkiem usycham, a kiedy przed nią uklęknę, Ciebie uwielbiam Boże!”

---

Teodor Chassèriau twórca *Tepidarium*, *Obrony Gergovii*, *Mazepy* i tylu innych znakomitych obrazów, o których mówiliśmy wiele czytelnikom naszym, prowadzając ich po galerii sztuk pięknych na wystawie powszechniej, wymalował afresko na sklepieniu kopuły nowego kościoła paryzkiego *Saint-Philippe-du-Roule*, *Zdjęcie z Krzyża*. Wszyscy artyści i znawcy, którzy widzieli to nowe dzieło, nie mogą dosyć na-

chwalić oryginalności, śmiałości pędzla, a mianowicie wysokości myśli ogólnej, jaka w tej pracy przewodniczyła artyście.

Jeżeli w jakim, to w tym przedmiocie trudno było o oryginalność. Zdawało się, że Zdjęcie z Krzyża przedstawione po tylekroć przez najświetniejszych mistrzów, układane rozmaicie wedle wszelkich tradycji sztuki, nie może być wyrażone inaczej. Pan Chassériau dowiódł, że mylnie było to mniemanie: do pogrzebu umęczonego Chrystusa, który dotąd wszyscy malarze otaczali tylko figurami wyrażającymi miłość i litość, wprowadził morderców pałających nienasyconą zemstą: katów, którzy jeszcze po śmierci urągają ofierze; faryzeuszów i senatorów, co się zeń nasmiwali mówiąc: „zbawiał innych, a siebie zbawić nie może; jeśli jest królem Izraela niech zejdzie z krzyża, a uwierzymy w niego”. Słowem, Chassériau malując mękę Chrystusa dorzucił doń jedną więcej boleść, przez co podniósł wielkość ofiary.

Golgota jest antypodą starożytnego Parnasu: odkrywa co tamten kryje, wielbi czego nienawidził, przewraca wszystkie jego apoteozy. Na Gulgocie widzimy Boga w cierniowej koronie pojonego żółcią, przybitego na haniebnym krzyżu, kłutego lancą rzymskiego żołdaka. Ta wielka scena, na oddanie której malarze chrześcijańscy wysilali swój pędzel, jest wprost przeciwna obrazom artystów pogańskich. Zamiast tryumfu, który malowali tamci, chrześcijanie stawiają mękę; zamiast wawrzynów, koronę cierniową; gąbkę z żółcią zamiast czary z ambrozyą, a zbite i umęczone zwłoki Chrystusa w miejsce ciała kwitnącej czerstwości bogów Olimpu. Coby powiedział Ateńczyk z czasów Peryklesa, stanąwszy przed obrazem Mantegna albo Moralèsa? Wyobrazić sobie można przestрах, jakiby go opanował na widok tych bolesnych arcydzieł! Uciekłby wzywając pomocy swoich bóstw wesołych, nie rozumiejąc wcale tej wielkości na krzyżu.

Nauka Chrystusa przemieniła z gruntu umysł ludzki: przed nią człowiek krążył tylko w małym kółku sfery ziemskiej; ona wskazała mu świat inny, nieskończony. Ubóstwiał sławę, piękność i rozkosz: boski mistrz nauczył go wielbić cierpienie, upokorzenie i mę-

czarnie. Dante powiada w swym boskim poemacie: „Śmielsza od Maryi, która została na dole, Nędza wstąpiła na krzyż z Chrystusem.” Wszystkie cierpienia ludzkie wstąpiły z nią razem: wcielił je w siebie, ażeby je oczyścić w swych ranach, i przeobraziły się przechodząc przez boskie ciało: krzyż stał się świętością, a męka zbawieniem. Na Golgocie zgromadziły się wszystkie cierpienia ziemskie: dlatego góruje ona nad tym padółem płaczū, jako najwznieściejszy szczyt boleści.

Ciekawa jest różnaitość stanowisk, z których w różnych wiekach dawni wielcy malarze zapatrywali się na mękę Chrystusa. Każdy z nich malował Zdjęcie z krzyża, a każdy inaczej. Pierwotni mistrze malowali je krwią i łzami, ręką zeszywniałą od świętej zgrozy. Później zaczęto grupować i dramatyzować tę boską scenę: obrazy naprzykład Daniela i jego spółczesnych mają cechę chrześcijańskiej tragedyi, poprawianej wedle pogańskiego gustu. Chrystus pada z krzyża w zaokrąglone wdzięcznie ramiona swoich uczniów, jakby statua grecka z piedestału: śmierć tam drzémie, żałoba się drapuje, rozpacz szuka zajmującej pozy.

Zdjęcie z krzyża Rubensa nie jest ani pogańskie, ani chrześcijańskie: jestto obojętne arcydzieło potężnej siły. Mistrz flamandzki w boskim skonie widział tylko malowniczy obraz: ciężkiego trupa zdejmowanego z wysokiego krzyża z pomocą drabin, sznurów i rąk silnych grabarzy, biegłych w swoim rzemiośle. Golgota dla Rubensa jest tylko placem olbrzymiej gimnastyki. Jego Chrystus atletycznych kształtów, równie jak dąb ścięty nie zmartwychwstanie. Ludzie którzy go zdejmują zajęci tylko utrzymaniem równowagi: dźwigając ciężkie ciało schylają się, przeginają, spinają pomagając sobie łokciami, ramionami i nogą; jeden z nich nad krzyżem zaczepiony trzyma zębami przescieradło z dziwną trywialnością. Sam święty Jan mistyczny uczeń, zakasał rękawów i jał się drabiny i topora; nawet Marya pomaga dźwigającym. W całej tej grupie ciał przepysznych, jedna tylko Magdalena, która podstawia śnieżne ramię pod nogi Zbawiciela, wydaje się jakoby miała duszę. Ale świetne malowidło Rubensa tak działa na zmysły, że umysł przestaje sądzić.

Jasny całun, ów cud kolorytu, od którego odbija nagie ciało Chrystusa, w osłupienie wzrok wprawia. Ten fenomen światła rzuca na cały obraz promień nadziejskiej jasności, która oczom wydaje się być aureolą.

Za to Zdjęcie z krzyża Rembrandta jest prawdziwym poematem bólu i pokory. Wątle ciało ukrzyżowanego, złamane torturą, wisi bezkształtne jak kawał krwią zbryzganą draperyi. Ale jakże przenikający jest ten zewłok ziemskiej formy Zbawiciela, więcej stargany ubóstwem i codzienną pracą ducha, niż męką na krzyżu! I ci nędzarze w łachmanach, co go otaczają, podnosząc oczy ku niemu, jakby wzrokiem chcieli rany jego opatrzeć, jakże prawdziwa ich rozpacz, jak serdeczne łzy które wylewają! Jakże czarowne to światło z nieba, co czyści i złoci łachmany tych jerozolimskich paryatów, że mimo ubóstwa wyglądają jak polne lilie, o których mówił Chrystus: że są ubrane tak przepysznie, jak nigdy Salomon w swój chwale.

Pomiędzy tylu dziełami wielkich artystów, z których każdy inaczéj tenże sam przedmiot pojmował, żadne nie wyraża dostatecznie textu Pisma świętego, nie oddaje cierpienia moralnego, które przetrwało spełnioną męką fizyczną. Chassériau pojął i uplastyczył tę drugą czysto duchową część dramatu: Zbawiciel jego czuje i cierpi, nawet po śmierci.

Ciało Chrystusa wspierane przez Józefa z Arymatei, sprawiedliwego męża, który był senatorem, już prawie dotyka ziemi; Marya przyjmuje je w swoje objęcia. Jezus umarły zwiesza głowę na piersi; z przebitego włócznią boku krew mu się sączy; na twarzy jak trup blady: jednak rychłe zmartwychwstanie. czuć w tych pokaleczonych członkach, które zdają się raczéj omdlałe, nie martwe. Boska nieśmiertelność przebija przez pokruszoną cielesną skorupę. Bolesć Maryi tchnąca heroizmem poświęcenia, przypomina nieco, chociaż wysoko uduchowniona, Marye Michała Anioła, które przyjmują ukrzyżowanego, jak matki Spartanki poległych synów, przyniesionych na puklerzu z pobojowiska. Wzniosły smutek Jana trzymającego kraj całunu, i gwałtowna rozpacz Magdaleny, która złote włosy zlewa wraz ze łzami na Chrystusowe nogi, dorównywają wyrazowi Matki Bolesnej. Wkoło klęczą święte niewia-

sty: jedne podnoszą w niebo oblicza, drugie zakrywają draperią nabrzmiałe od płaczu oczy. Cała ta środkowa grupa pełna jest świętości i powagi; scena, którą widzimy obok, nie ma ci wcale jej bolesnego zachwytu.

Po lewej stronie krzyża, jak gromada złych duchów, stanęli fanatycy synagogi: rabini, doktorowie, starsi, faryzeusze i kupcy, których Jezus wygnał z kościoła. Przywódzca zgrai, żyd rudobrody, istne uosobienie nienawiści, szyderstwa i fanatyzmu, odwraca głowę ku Chrystusowi, ręką czyniąc gest urągliwy.

Za nimi wre i bluźni rzesza, co wołała na Piłata: „ukrzyżuj tego, a wypuść nam Barabbasza!” Na przodzie faryzeusz w niebieskim płaszczu klęka i przedrzeźnia modlitwę; inny jedną ręką pod bok się podparłszy, drugą wskazuje Jezusa jakby mówić: „jeżeliś Syn Boży, powstań!” Jakiś Etiopczyk podróżny przyłączył się do bandy: pyta, czyjato exekucya tak wzburza całe miasto? I zaśmiał się głupio, bo pytany podnosi trzy palce w górę, opowiadając, że ten ukrzyżowany obiecał zmartwychwstać za trzy dni. Na pierwszym planie mały żydziak drobną rączką rzuca na Chrystusa kamyki, których nazbierał w połę. Ten dziecinny instykt okrucieństwa jest dopełnieniem wszystkich złych namiętności, które tu zgromadzone, jak gniazdo węzów syczy i parska jadem.

W tłum bluźnierców, jakby dla uwydatnienia ich szkarady, artysta rzucił figurę, która wymownie protestuje przeciw zbrodni: jestto starzec białobrody, którego głowa mocno oświecona padającym od krzyża światłem, nagle zwraca się na bok, pragnąc co prędzej uciec od bezbożnego gminu. Zapewne odezwał się w nim głos sumienia: błyskawica co powaliła świętego Pawła, błysła mu nagle przed oczyma—i uwierzył.

Po drugiej stronie krzyża, jako przeciwstawienie wściekłego judaizmu, artysta ustawił obojętnych pogan, zupełnie obcych kłótniom synagogi. Trzej Rzymianie siedzą poważnie na potężnych koniach: Longus, którego ochrciła krew Zbawiciela, podnosi ku niemu pocziwą twarz żołnierską i bije się w pierś; koń jego przestraszony nagłą ciemnością, która pokryła niebiosa, zżyma się i trze o piersi rozdęte chrapy. Dwaj drudzy jeźdźcy, jak dwa konne posągi stoją nieruchomo

i rozmawiają spokojnie. Pan Chassériau po mistrzowsku umie malować konie: dwa rzymskie rumaki powstrzymywane w miejscu, wspaniale wyglądają! Oblane potem i pianą, dymią z niecierpliwości jakby splotnąć miały.

Na pierwszym planie stojący żołnierz, rozwija i ogląda pożądliwie tunikę ukrzyżowanego. Obok, towarzysze leżąc na ziemi grają w kości o ubranie Chrystusa. Cały obraz rysuje się na tle górzystym prostych a ogromnych zarysów. Tarcza słoneczna napół zaćmiona, rzuca straszne światło na smutną okolicę: tu i owdzie żałobne ludzkie postaci migają i nikną, jak przeciągłe echa wielkiego żalu....

W tym pobieżnym rozbiorze staraliśmy się dać wyobrażenie powiększonej i nowój formy, jaką pan Chassériau nadał scenie Zdjęcia z krzyża. Z elegii zrobił dramat: Chrystus na jego obrazie nie tylko jest ukrzyżowany między dwoma łotrami, ale między judaizmem, który boskości jego zaprzecza, a pogaństwem, które o niej nie wie.

Wykonanie jest na wysokości myśli. Wszystko tu na swoim miejscu: powaga w ruchach, energicznie wyrażone charaktery, wielka znajomość anatomii i przepyszny koloryt. Niektóre figury odczepiają się od muru z niepojętą na gładkiej powierzchni wypukłością, i ożywione potężnym pędzlem artysty wybiegają z szeregu na kilkanaście kroków. Ogromny ten fresk jest ozdobą kościoła świętego Filipa, i bardzo wysoko stawia pana Chassériau. Żaden z młodych malarzy francuzkich nie posiada wyższego poczucia sztuki: artysta z rzadką w dzisiejszych czasach umiejętnością owładnął ogromną kompozycją, dopiero co opisaną, a która należy do rzędu tych które stanowią epokę w życiu malarza i dają mu prawo do nieśmiertelności.

---

Dnia 17 lutego umarł w Paryżu Henryk Heine. Liczne grono francuzkich i niemieckich literatów odprawiało go do grobu: żaden atoli głos nie ozwał się przy zwłokach jego, bo taka była ostatnia wola poety. Od ośmiu lat przybity do łoża boleści, tak poufale zaznajomił się ze śmiercią, iż zbytecznym mu się wyda-



wało robić z nią jakiebądź ceremonie. Wszyscy, co go odwiedzali w tych ostatnich kilku latach, co go widzieli w tej przygotowanej trumnie, w której leżał pozbawiony ruchu i wzroku, nie mogli się wydziwić jakim cudem ten człowiek żyje; a więcej jeszcze, jak w takim stanie śmiać się może: bo śmiał się aż do końca. Po śmierci nawet uśmiech Satyra, jak szeroka blizna przecinał na dwoje bladą twarz poety; po śmierci nawet ognisty język ironii zdawał się unosić nad trupem jego. Ta straszna wesołość, którą w godzinę skonu jeszcze pokonywał cierpienia fizyczne, dowodzi w nim wielkiej siły moralnej; świadczy, coby mógł być dokonać używając inaczey potęgi ducha i rzadkich zdolności umysłowych, jakie mu były dane.

Heine wąpiący o wszystkiem filozof, był przede wszystkiem artystą zakochanym w najwyższej piękności, którą ścigał przez wszystkie prawdy i sofizmata, uwielbiał gdzie tylko spostrzegł, tak dobrze w greckiej świątyni jak w średniowiecznej katedrze, mużmańskim meczecie jak w izraelskiej synagodze. Podobny do bóstw indyjskich, których żywot ma być wieczną metempsychozą, z gwiazdy przechodził aż do robaka, wcielając się naprzemiany we wszystkie piękności, i wszystkie potwory istniejące w naturze. Namiętny geniusz Heinego podkopuje wszystkie pojęcia, ulata za powiewem wszelkiego entuzjazmu, chwyta, pieści, i uplastycznia wszystkie rozkoszne wizye umysłu i ciała: śmiech i płacz, bluźnierstwo i modlitwa, mieszają się i płyną razem w błędnych pieśniach jego. W tych ustawicznych przeobrażeniach znika indywidualność poety, myśl jego wymyka się definicyi, jak potok lśniący wszystkimi kolorami tęczy, bieży i rzuca się w przepaść zwątpienia.

Uważane atoli ze stanowiska estetyki, utwory poetyczne Heinego są znakomite: Greka zachwyci w nich harmonia i piękność formy; Niemca idealna atmosfera, jaka od nich wieje; Francuza dowcip, którym połykają, nawet człowiek uczuciowy znajdzie tam dla siebie powaby: bo sceptyk co zwątpił o wszystkiem, jak Hamlet nie zwątpił o miłości, i poświęcił jey kilka kart pięknych: w Intermezzo napotyka się ich wiele.

Wmiarę zbliżania się do grobu, szyderstwo Heinego znacznie się ułagodziło w wyznaniach poety, napisanych na rok przed śmiercią: nie jest on już tak sceptyczny jak w poprzednich pismach; czasami nawet czuje potrzebę wiary, jak tego dowodzą następujące jego słowa:

„Ciało moje jest trupem, w którym uwięziony jest duch; skrępowany materją szarpie się, szaleje z rozpaczy, wrzeszczy i bluźni!

„Bezsilny niewolniku! Twoje najstraszniejsze przekleństwa nie zabiją nawet muchy. Znoś lepiej swój los w pokorze, płacz pocichu, albo spróbuj się modlić!”

Bóg nareszcie zlitował się nad nim, przeciął pasko tego nieszczęsnego życia, i zesłał koniec spokojny. Heine błogostawiąc swęj żonie, aniołowi cierpliwości i słodyczy, co wiecznie nad nim czuwał, umarł na jej rękę pełen wiary w przyszłe życie i sprawiedliwość Stwórcy; tak przynajmniej mówią ci, którzy byli obecni przy jego zgonie.

Nie wiedzieć przez jaką wymagalność ciała, trumna zamykająca wążę zwłoki Heinego była ogromnych rozmiarów. Patrząc na nią, mimowoli przyszły nam na myśl strofy, które poeta napisał przed 15 laty w Intermezzo, układając program własnego pogrzebu:

„Mam grzebać stare i złe pieśni, ciężkie i smutne sny: przynieście mi ogromną trumnę. Mam w nią schować wiele rzeczy: trumna musi być większa od heidelberskiej beczki.

„Niech będzie mocna i gruba! dłuższa od moguncckiego mostu. Przyślijcie mi także 12 olbrzymów silniejszych od świętego Krzysztofa katedry kolońskiej; muszą nieść trumnę i rzucić ją w morze: tak wielka trumna wielkiego wymaga dołu. A wiecie dlaczego tak ciężką i wielką być musi? Bo w nią złożę wszystką miłość moję i wszystkie cierpienia!”

---

Rząd tutejszy wyznaczył fundusz na wydawnictwo dzieł starych poetów francuzkich. Zbiór ten zajmie najmniej czterdzieści tomów po 60,000 wierszy każdy. Pierwsza serya zawierać będzie poemata narodowe, opiewające pamiątki z czasów rycerskich Fran-

cyi i Anglii. Po téj publikacyi wyjdą poemata starożytnie święte, i nieświęte: piérwsze osnute na wielkich wypadkach biblijnych, drugie na najważniejszych ustępach z historyi greckiej i rzymskiej, począwszy od Herkulesa aż do Alexandra, od Cezara aż do Attyli. Później drukowane będą romansowe awantury, oraz poemata satyryczne i allegoryczne, jakoto: le roman du Renard; le roman de la Rose i t. p. Są to rzeczy odpowiadające naszej odwiecznej powieści o księżniczce Banialuce i o jój Galasie. Osobna serya będzie przeznaczona na poemata krótkie, a osobna na poemata dramatyczne.

— Pani Molinos-Laffitte napisała książkę pod tytułem: L'éducation du foyer. Dziełko to traktuje o wychowaniu dziewczyn: daje rady matkom i naucza jak córki swoje prowadzić mają. Autorka dzieli wychowanie na trzy epoki: od dwóch do siedmiu lat, od siedmiu do czternastu, od czternastu do ośmnastu. W tym samym przedmiocie napisano już masę książek, mianowicie po francuzku: żadna atoli nie zadawalnia zupełnie. Ta, o której tu mowa, czyta się przyjemnie, ale wątpię żeby była użyteczniejszą od innych. Głównym jój błędem jest, że pod wszystko podciąga regułę, wszystkiemu jednaką nadaje wagę: w jednej kładzie rubryce maniery, język, serce, umysł, rozsądek, czucie i pojęcia; co zdaniem naszym, jak wszelki pedantyzm prowadzi wprost do przytłumienia wszelkich wrodzonych zdolności dziecka, a przez nieustanne gderanie, czyni je zupełnie obojętném na napomnienia. Takie drobiazgowe wychowanie jest plagą dla dzieci. Zaszczepiać w nie przykładem i nauką miłość cnoty a wstręt do występku, resztę mniej więcej zostawić naturze: to podobno najlepszy sposób wychowania. Najważniejszém zadaniem nauczyciela rozróżnić wrodzone dziecka zdolności i wady, poznavszy takowe, podać mu środki do rozwinięcia i zużytkowania piérwszych, a wykorzenienia drugich.

Dobra książka o wychowaniu byłaby najdroższym podarunkiem, jaki człowiek z talentem mógłby złożyć w ofierze swemu krajowi. Pani Molinos-Laffitte nie dała go: to rzecz pewna. Jednakowoż jój dziełko nie jest

bez zalet: styl jego prosty, oraz wiele trafnych spostrzeżeń dowodzą, że autorka jest kobietą niepospolitą.

— Autor Jocelyna ogłosił nową miesięczną publikacją pod napisem: *Cours familier de littérature*. Naturę tej publikacji sam autor określa temi słowy:

„Mniemałem, iż pożyteczną będzie rzeczą wskrzesić zamiłowanie do wysokiej i zdrowej literatury przez poufne rozmowy o ważnych dziełach umysłu ludzkiego, jakie pojawiły się we wszystkich językach, wszystkich krajach, i wszystkich czasach. To nauczanie w formie pogadanki nie będzie systematycznym kursem, ale raczej dowolną pielgrzymką po pomnikach literatury powszechniej. Będzie to ruchome muzeum arcydzieł literackich wszelkiego rodzaju, przynoszone co miesiąc do mieszkania czytelnika, a przeznaczone mianowicie dla ojców i matek.

Zniżona cena uczyni je przystępnym wszystkim klasom społecznym. Jestto owoc naukowego życia, które wypoczywa pracując. Polecam go przyjacielom oświaty, moralności i nauk.”

Co miesiąc wychodzić będzie jedna lekcya. Roczna cena abonamentu 20 franków.

— Ponsard napisał nową sztukę: „*La bourse*”, którą przedstawiać będą w Odeonie; role już są rozdane.



## MIÓD.

USTĘP Z POEMATU „PIAST”.

---

GĘSLARZ.

Dłoń niebieskiego szafarza  
Dziwnie z bogacą przyrodę:  
Niedość, że z owoców, zdrojów,  
Czerpiemy żar i ochłodę;  
Sama natura nam stwarza  
Najcudowniejszy z napojów,  
Napój z kwiatów....

CHÓR.

Ach! to miód!...

GĘSLARZ.

Znam ja maleńką istotę,  
Co bez ksiąg, ni cyrkłów, zdoła  
Wzniesć zamki przejrzysto-złote,  
Piękniejsze niż królów gród:  
Znacież wy taką?

CHÓR.

To pszczoła!

GĘSLARZ.

Choć nie siejem, ani orzem,  
Pszczoła śpichlerz nam odmyka;  
Jakiż więc pod słońcem bożem  
Najsłodszy zawód?

CHÓR.

Bartnika!

GĘŚLARZ.

W Polsce, tylko dla bogaczy  
 Płynie nektar winnych gron  
 I zamorskich krzewów plon;  
 W czémże więc swe lzy i trud  
 Topią tłumy?

CHÓR.

Ach! miód!... miód  
 Tryska z dąbrowy prostaczej,  
 Skromny, a mocny jak lud.

GĘŚLARZ.

Serca wrogów gniew tak pali,  
 Że ich zgodzi chyba cud;  
 Lecz w uczcie się uściskali!  
 Cóż źródłem braterstwa?

CHÓR.

Miód.

GĘŚLARZ.

Lirnik milcząc wszedł do wioski;  
 Ledwie wionął z czary chłód,  
 Pieśń wytrysła z struny boskiej:  
 Cóż źródłem natchnienia?

CHÓR.

Miód.

MŁODZIENIEC (*występując*).

Czemuż, kiedy miód mię poi,  
 Wnet na marzeń złotém tle,  
 Uśmiech czarnobrewy mojej  
 Potężniej czaruje mnie?

GĘŚLARZ.

Polki tron wdzięku dziedziczą:  
 Z ich ust płonących jak wschód,  
 Uśmiech *upaja słodyczą*,  
 Uśmiech, jest to duszy miód.

MĄŻ (*występując*).

Czemuż, kiedy lipca zdrój  
 Kryształowe dno ubieli,  
 Wsparty na méj karabeli  
 Światbym cały wyzwiał w bój?

GĘŚLARZ.

Miód, dla laurów rosą jest!  
 Ziemowity, Bolesławy  
 W miodzie brali mężstwa chrzest,  
 A gdy plac rzucili krwawy,  
 Miód im zastępował krew.  
 Ile krwi stracono z raną,  
 Tyle miodu w pierś wlewano,  
 I znów w bitwę wracał lew!

STARZEC (*występując*).

Czemuż, gdy włos szronem stroję,  
 Gdy zbladł urok dawnych złud,  
 Gdy rzucił inne napoje,  
 Odmładza mię tylko miód?

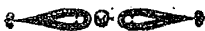
GĘŚLARZ.

Słuchaj:—z ziół i kwiatów pszczołka  
 Wypija nietylko sok:  
 Wysysa sumienie fiołka,  
 Młodzieńczy bławatka wzrok,  
 Tkliwej lipy puch gołębi,  
 Makówki jaskrawe sny,  
 Serce róży z kolcem w głębi,  
 I zakonne lilii łzy.  
 Nie dziw więc, że blady trud  
 Na dnie roztruchanu znika,  
 Bo wyskokiem wiosny—miód.

CHÓR.

Nie dziw, że dla biesiadnika  
 Kwitnie życie, kwitnie świat:  
 Bo gdy z słodkimi balsamy  
 Duszę kwiatów wypijamy,  
 Dusza nam się zmienia w kwiat!

Deptyma.



## PRZEGLĄD LITERATURY ZAGRANICZNEJ.

### LITERATURA ANGIELSKA.

#### *Powieściopisarki angielskie.*

Ważnym dziś faktem w powieściowej europejskiej literaturze jest współudział, jaki stanowczo zajęły w niej kobiety. Obejrzyjmy się tylko po świecie, a jeżeli zechcemy bezstronnie sądzić, musimy im przyznać wzniosłe stanowisko, jakie sobie w końcu wywalczyły, po wielu latach słabych prób i daremnych usiłowań. Genialna Sand, mimo zbyt słusznych zarzutów o rozszerzanie zasad burzących porządek społeczeństwa, stoi jednak na czele powieściopisarzy francuzkich; a obecny jej zwrot na drogę prawdy i prostoty, niemały czyni jej zaszczyt. Zmarła niedawno pani Girardin, odziedziczywszy zdolność literacką po matce swjej Zofii Gai, zasłynęła świetnie w kole francuzkich literatów. Ale nietylko gorączkowe życie Paryża daje kobietom natchnienie: toż samo zjawisko widzimy dziś na północy, bliżej biegunowych lodów. Panna Fryderyka Bremer, w powieściową formę, z głęboką znajomością sztuki obwija myśli czerstwe i żywotne, pełne prawdziwie męskiej siły, i przybiera je w samodzielną a świeżą barwę, przypominającą żywiczną woń skandynawskich lasów. W Anglii zaś obok imion Dickensów, Bulwerów i innych, widzimy bogaty wieniec niewieścich imion, nie ustępujących tamtym w zasłudze i świetności. Dość tu wspomnieć dwie Amerykanki: panią Stowe i pannę Kuming (autorki *Chaty ojca Tomasza i starego La-*



tarnika), których dzieła tyle sprawiły rozgłosu, tak żywotne poruszyły myśli; dosyć wspomnieć pannę Edgewort, miłą przyjaciółkę dorastających dziewcząt; uczuciową panią Kortkon; racjonalną pannę Brouty znaną pod pseudonimem Currer Bell; nakoniec głęboko religijną lady Georginę Fullerton.

U nas jednakże, jakkolwiek kobiety usiłują przynieść swoją cegiełkę do budującego się gmachu powieściowej literatury, usiłowania ich mniej były szczęśliwe. Oprócz prawdziwie wpływowych powieści Hoffmanowej, zalecających się więcej użytecznością, niż talentem, nie mamy znakomitych w tym względzie utworów niewieściego pióra. Jedne rażą nas zbyt dużą chorobliwością w pomysle, w innych zawiele widzimy poetycznego rozmarzenia; inne podobniejsze są do skargi cierpiącej duszy, niż do bezstronnego spoglądu na społeczeństwo; inne naostatek, zdrowe może w pomysle, niedosyć zalecają się formą, a podając prawdę zbyt cierpką i ogołoconą z wszelkiej estetycznej ozdoby, tém samém chybiają celu. Słowem w powieściowych utworach kobiet naszych nie widzimy dotąd równowagi: pomiędzy twórczymi władzami ducha przemaga w nich zwykle albo wyobraźnia, albo uczuciowość, albo chłodny rozum; a wiemy przecie, że tylko harmonijne zjednoczenie tych wszystkich władz, tchnie życie w martwe słowo i roztoczyć może na utwór czarodziejski blask sztuki.

Czy w tej nieudolności powieściowej leży wina kobiet naszych, które rzucają się częstokroć do pióra bez dostatecznego przygotowania, bez zbadania sił własnych i zdolności; czyli téż, co pewnie, wina uprzedzonej i pobieżnej krytyki, która albo psuje niewczesną pochwałą, lub zraża niewyrozmowaną chłostą—nie do nas o tém sądzić: podajemy tylko fakt, nie wchodząc w jego powody.

Pomiędzy przyczynami owego ogólnego dziś popędu kobiet do literatury, słynny krytyk angielski James Mackintosche kładzie *nudę*. Kobięta rozumna, mówi on, musi koniecznie się nudzić. Nuda bywa wszakże bodźcem do niepospolitych czynów ludzkich: nuda tworzy nawet bohaterów. I cóż ma czynić kobieta, która wiele w życiu czuła, wiele widziała, wiele rozmyślała, a która się nudzi? Oto pisze romanse!

Niepodobna przypuścić, żeby te słowa powiedziane były w poważném znaczeniu: musi to być zapewne płochy żart, igraszka dowcipu słynnego krytyka, lub téż zdanie rzucone na

wiatr w mglisty dzień jesienny, pod wpływem narodowego splenu. Inaczéj biada byłaby społeczności, któraby już nie znalazła w sobie silniejszój podniety do działania nad nudę. Nuda najsmutniejszy owoc skażonéj cywilizacyi, może wprawdzie podać pióro do ręki, ale nie natchnie pocziwą myślą, nie wleje życia, bo go nie ma w sobie, bo sama jest chorobliwą narosłą, moralnym trądem, toczącym wystygłe i zwątpiałe społeczeństwo. Tylko wiara, tylko miłość, mają w sobie twórczą siłę; kobieta zatém pisze, bo kocha, bo wierzy; bo zdobywszy prawdę doświadczeniem, nie zasklepia jéj w sobie, nie chowa jéj na własny pożytek, ale wedle siły dzieli się nią z drugimi, ostrzega, łagodzi, uczy, wskazuje drogę! Ztąd w utworach kobiecych uderza nas więcéj zdolność budująca (synteza), aniżeli krytyczna (analiza).

Gdybyśmy cośkolwiek przyznać chcieli na literackim polu panującej dziś nudzie, to chyba smutny fakt, że tchnąc w serce ludzkie złą wolę, podaje w rękę krytyka zimny nóż analizy. Jeśli zaś nuda tworzy niekiedy krytyków, to tylko miłość, tylko wiara daje natchnienie artyście!

Przekonamy się o tém, dając rozbiór dwóch utworów niewieściego pióra. Żadna z dwóch autorek bez wątpienia nie znalazła podniety w nudzie. Obiedwie zdobyły ją w szczerej miłości bliźniego, obiedwie chciały mu wskazać zatraconą drogę do szczęścia; a jakkolwiek jedna z nich protestantka, tylko po ziemsku pojmuje to szczęście, gdy tymczasem druga widzi je bezwarunkowo w poświęceniu i w wysokim rozroście ducha: wszakże obiedwie pragną gorąco powszechnego dobra, a to pragnienie podaje im pióro do ręki.

Przed dwoma laty wyszły w Londynie dwie znakomite powieści kobiet; jedna p. n. *Villeta*, utworu panny Brouty czyli Currer Bell; druga, p. n. *Lady Bird* (Ptaszyna Boża), napisana przez Lady Fullerton, znaną autorkę *Zamku Grantlej* i *Heleny Middleton*. Obiedwie te powieści z równą utworzone zdolnością, różnią się wielce tak w pomyśle, jako i w wykonaniu.

Currer Bell wiernie odwzorowuje stan mieszczański: wystawia ludzi w codziennych a trudnych zapasach z życiem, maluje obrazy na szarém tle rzeczywistości; lady Fullerton szersze pole naznacza bohaterom swoim: przeprowadza ich chętnie po złoconych salach pałaców. Sposób pisania Currer Bell jest szorstki, trochę nawet dziki; pani Fullerton przeci-

wnie nie goni za efektem: idzie raczej za popędem bogatęj wyobraźni, ogrzanęj gorącém uczuciem. Większa jeszcze sprzeczność panuje w moralnęj dążności tych dwóch niepospolitych kobiet. Currer Bell trzyma na wodzy zapal, broniąc mu wszelkiego wybuchu; razi tu i owdzie szyderczemi słowy, co naznacza jęj utwory pewną męzką siłą. Najchętnięj skreśla tego rodzaju walkę, w któręj człowiek zostawiony sam sobie, dobywa niezłomnęj mocy, z głębi własnego ducha. Currer Bell ogłasza tylko zwycięztwa ludzkiej woli: z pychą Tytana wskazuje moralną siłę, spoczywającą w piersi człowieka. Jest w jęj pismach moc i samodzielność, ale nie dojrzeć w nich ły: zadziwia ona, zajmuje, ale nie rozrzewnia. Jest to protestantka w całém znaczeniu tego słowa. Lady Fullerton przeciwnie: to prawdziwie niewieścia dusza zwrócona ku niebu siłą wyższęj miłości. Zna ona gorączkowe uludy młodego wieku, który wierzy w szczęście na ziemi i goni za jego zdobyciem; z prawdziwém jednak upodobaniem kreśli tylko okropne katastrofy ludzkiej zarozumiałości. Rada upokarza pychę i wolną wólę człowieka, pod chłostą z Bożęj odebraną ręką; mocą religii dzwiga człowieka z prochu; na torturach boleści lamie bohaterów swoich, aż cierpieniem doprowadzi ich w końcu do serdecznęj skruchy i wyznania win własnych. Wolna od wszelkiej przesady i bigoteryi, jest to rzecz można natchniona wyższą laską krzewicielka katolicyzmu w Anglii.

Różnicę pomiędzy wspomnionemi autorkami dostrzeżemy z szczegółowego rozbioru ich powieści. Zaczynamy od *Villeky* utworu Currer Bell.

Rzecz się dzieje w małym angielskim miasteczku. Bohalterka powieści Lucyna Snowe, przybyła na kilka miesięcy do matki swojęj chrestnęj pani Bretton. Jestto młoda, milcząca dziewczynka; chowa zazwyczaj w głąb duszy wszelkie doznane wrażenia, lubi cichy i spokojny dom chrestnęj matki, pełen ładu, z wielkimi oknami o świecących szybach, z balkonem wychodzącym na wąską uliczkę starożytnego miasteczka, cichego i czystego, jakby w niém wieczna panowała niedziela. Pani Bretton, zamożna wdowa, kobieta dobra, świeża jeszcze i piękna, ma jedynego syna, Grahama, dorodnego i wesołego młodziana, który kończy właśnie nauki. Lucyna Snowe dwa razy do roku odwiedza chrestną matkę z niemałą serca radością,

lubo po nieśmiałym jej ułożeniu znać, że nie czuje się u niej w właściwym sobie żywiole, należąc sama do uboższej klasy.

Do cichego domu przybywa wkrótce nowy gość, nowa dziewczynka. Niejaki pan Hume, który tylko co stracił żonę, kobietę światową, udając się w daleką podróż powierza córeczkę przyjaciółce swojej, pani Bretton. Miłe to i godne zastanowienia dziecicę.

Polly jest dziwnie ładna, delikatna, wątpa, prawdziwa miniaturka. Sądzi o wszystkiém, jakby dorosła osoba, a i uczucia jej niemniej są rozwinięte. Kocha z zapałem ojca: zdaje się zrazu, że nic ją nie zdoła pocieszyć po jego odjeździe; ale wkrótce, poznawszy lepiej Johna Graham, oddaje mu nieprzebrany skarb uczuć, przepelniający młodziuchne jej serce. Wesoly student bawi się z nią, drażni ją i pieści naprzemiany. Graham podnosi ją w górę, jak piórko, buja na huśtawce, stawia ją sobie na głowie, pokazuje jej piękne obrazki w książkach, uczy ją wierszy napamięć, sadza ją na swego kucyka. Polly usiłuje ciągle przypodobać się Grahamowi, a gdy roztrzepany chłopiec nie zwraca na to uwagi, biędna cierpi, i czuje się nie-szczęśliwą. Gdy Graham pracuje wieczorem w salonie, Polly siada u stóp jego na niskim stołeczku, i jak domowy piesek, patrzy mu w oczy, błagając wzajemnego spojrzenia, częstokroć nawet daremnie! Nakoniec gdy p. Hume przybywa po córkę chcąc ją zabrać na ląd stały; boleść Polly jakkolwiek tajemna, nie jest mniejszą jak w chwili, gdy poraz piérwszy przybyła do owego domu, do którego dziś przylgnęła duszą całą. Sama tylko Lucyna Snowe odgadła uczucia małej Polly. Pociesza ją i uspokaja, a wspomnienie tych piérwszych chwil młodości rzuca uroczy odblask na dalsze jej życie.

W ośm lat potém Lucyna Snowe występuje do walki z sobą i otaczającym ją światem. Szczególnym wypadkiem, którego nie wyjaśnia w swój opowieści (jestto bowiem rodzaj autobiografii) pozostaje sama jedna, do tego zmuszona myśleć o koniecznych życia potrzebach. Jest już sama oddawna, wypadki niezależne od jej woli zerwały jej stosunki z p. Bretton. Słyszała wreszcie, że jej matka chrzestna wraz z synem, który skończył nauki i obrał zawód doktora, opuścili miasteczko i przenieśli się do Londynu. W trudnym będąc położeniu, Lucyna Snowe przyjmuje obowiązki towarzyski przy pannie starzej i schorzałej. Smutneż to życie! Biędna Lucyna musi znosić

tysiączne dziwactwa i wymagania. Jednej nocy wreszcie chora, w chwilach bezsenności, zrozumiała jak nieludzko jest i okrutnie z jej strony, czynić młodą dziewczynę ofiarą jej cierpienia. Uczuła gorzki wyrzut, przywołała Lucynę i obiecała zapewnić jej los dalszy. Nazajutrz z rana znaleziono ją w łóżku umarłą. Lucyna pozostała bez miejsca; całym jej majątkiem była mała sumka, złożona z kilkunastu gwinei. Bez krewnych, bez przyjaciół, co tu czynić na świecie? Lucyna zamierza szukać szczęścia w Londynie. Przybywszy do wielkiego miasta, ogłuszona gwarem, śmielszy jeszcze przedsięwzięcie zamiar: słyszała ona, że na stałym lądzie bogate rodziny biorą Angielki do uczenia dzieci języka; Lucyna zna dokładnie rodzinną mowę, dość jej na tém: zamawia miejsce na parowym statku, i na los szczęścia rzuca się w świat nieznaną. W każdym Angliku jest kropla krwi Robinsona Cruoe.

Lucyna Snowe przyplywa do Ostendy, z kąd jedzie do Bruxelli, którą przeżywa Villetą. Na statku poznała się z młodą panią Ginewrą Fanshawe. Ginewra podróżuje sama równie jak i Lucyna, ma lat 17, ładna jest, ale roztrzepana. Postać to zwyczajna w obecnym czasie. Między podróżującymi po stałym lądzie Angielkami, wiele takich napotkać można, które jak Ginewra korzystają ze swobody dozwolonej w Anglii młodym pannom, a do tego przybierają obyczaje lekkomyślne kobiet stałego lądu. Ginewra należy do rodziny, która bez majątku żyje w Londynie na dość wysoką skalę, pragnąc bogato wydać za mąż córki. Wuj Ginewry pan Bassompierre, człowiek światowy, łoży na jej wychowanie; młoda wietrzniczka była już w wielu zakładach naukowych w kraju i za granicą; przejeżdżała się ustawicznie z Francji do Niemiec, z Niemiec do Belgii. „Ztémwszystkiem nie umiem nic zgoła, — mówiła naiwnie do Lucyny — gram na fortepianie i tańczę, ale też na tém koniec. Prawda! mówię płynnie po niemiecku i po francuzku, ale za to nie napiszę kilku słów poprawnie w rodowitym języku; co gorsza, zapomniałam zasad swojej religii. Nazywają mnie protestantką, ale ja sama nie wiem, czy nią jestem doprawdy: nie znam różnicy pomiędzy protestancką a katolicką wiarą. Ależ mnie to wcale nie obchodzi. Byłam luterką w Bonn; o! jakież to kochane, jakie śliczne miasto: tyle tam pięknej młodzieży, tylu uczniów uniwersytetu! Wszystkie pa-

nienki na naszej pensyi miały swoich wielbicieli. Wiedzieli oni dobrze, o których godzinach wychodzimy na przechadzkę, a kiedy nas mijali, mówili zawsze *schoenes Maedchen!* O! szczęśliwa byłam w Bonn, prawdziwie szczęśliwa!“ Ginewra wraca teraz rada nierada na pensyą do Villette, gdzie jest od pewnego czasu umieszczona; pensya jak mówi szkaradna, ale kilka znacznych rodzin angielskich zamieszkało w Villette, do których wychodzą w każdą niedzielę. Głowa Ginewry zaprzątnięta jest tylko balami, wieczorami, kochankami i światem. Wciągu téj nieustającej paplaniny, powiedziała Lucynie, że znajoma jęj w Villette, pani Beck, starała się niedawno o bonę Angielkę do dziewcząt. Lucyna Snowe zachowała w pamięci to nazwisko. Za przybyciem do Villette, udała się do domu pani Beck, gdzie została przyjętą.

Tu zaczyna się właściwa powieść. Dom pani Beck, która utrzymuje piérwszą pensyą dziewcząt w mieście, jest polem dramatu. Jakież to dziwny ten świat pensyonarski! Kto nie czytał romansu Currer Bell, nie pojmie łatwo, żeby można zając kilka godzin opisem szkolnych ławek, nieznośną wonią atramentu i papieru, psotami swawolnych i kłótliwych dziewcząt, i gdéraniem nauczycielek.

Trzeba sobie wyobrazić dokładnie ów świat, w który wpadła biédna młoda Angielka, gdzie ma się rozwinąć jęj dusza, wyrobić charakter. Piérwszą osobą w domu jest sama pani Beck: jestto wdowa, dosyć jeszcze młoda i przystojna; posiada w wysokim stopniu przymioty potrzebne do rządzenia małym swoim państwem, a za dawnych czasów mogłaby śmiało być ksienią jakiego opactwa. Słodka jest w obejściu, a jednak nieugięta, pełna względów, małomówiąca, słowem, wyborna polityczka. Umié zastosować się we wszystkiém do chęci, przesądów i próżnostek rodziców, którzy powierzyli dzieci jęj opiece. Wszystko widzi, wszystko słyszy, wszystko umié pokryć z niesłychanym talentem. Wszędzie jest obecna, i wszędzie niewidzialna, jakby posiadała jaki czarodziejski talizman. Każdego śledzi, ale nie potraći nikogo; trzyma na wodzy nauczycielki i podochmistrzynie, udzielając im niby nieograniczonej swobody. Obok pani Beck widzimy inną postać wcale niepodobną na oko, a jednak pociągającą figurę pełną sprzeczności, słowem niepojętą: jestto Paweł Carlos Emmanuel, krewny pani Beck, minister oświecenia w jęj zakładzie, tyran dziewcząt, Napoleon

w nauczycielskiej todze. Mały, krępy, ma lat około 40; czoło szerokie i poźółkłe, pokryte gdzieniegdzie rzadkim włosem: policzki wychudłe, oko zakłęste, pełne ognia, przenikające wskroś każdego, na kim spocznie; ruchy nagłe i szorstkie; wszystko to czyni z niego odrębną jakąś istotę, niepodobną do drugich. Człowiekto niez mordowany w pracy, niezłomny w walce, pełen ognia; pod chropawą, niby kamienną powłoką, za pierwszym spotkaniem odstręcza on i razi, ale pomału ogarnia drugich pewnym tajemniczym wpływem. Pomiedzy pensyonarkami p. Beck, Lucyna Snowe poznała znajomą ze statku, ładną i roztrzepaną Ginewrę. Lucyna lubo niechętnie zostaje powiernicą plótek i miłostek światowej pensyonarki. Zalotna dziewczeczka ma dwóch kochanków: jednego Anglika, miłego i pięknego młodziana, tkliwie do niej przywiązanego, ale którego nie kocha, bo pochodzi z nizkiego rodu, nie jest szlachcicem i nazywa się poprostu doktor John; woli za to młodego pułkownika, pierwszego dandysa w Villette, hrabiego du Hamal. Rzuca on Ginewrze przez mur ogrodowy słodkie bileciki, w których nazywa Lucynę prawdziwym brytańskim dragonem. Lucyna przywyka pomału do pensyonarskiego życia. Wkrótce nauczyła się po francuzku: pani Beck przeznacza ją do udzielania pannom angielskiego języka, i podnosi na godność podochmi-strzyni.

W pierwszych miesiącach pobytu w Villette, Lucyna nie ma czasu zastanowić się nad sobą, i uczuć moralnego swego osamotnienia. Zajmuje ją praca około wykształcenia własnego, ogłusza ją gwar ustawiczny drobnych i swawolnych dziewcząt, powierzonych jój straży. Przypatruje się bacznie sztucznym sprzęynom rządu, téj małej niewieściej rzeczypospolitéj. Polityka pani Beck, duch samowładny pana Emmanula, słowem wszystko co dostrzega, zadziwia, oburza i zajmuje jój umysł. Zalotność i drobne intrygi Ginewry, odwiedziny jednego z jój kochanków doktora John, jego prośba aby czuwała nad piękną dziewczeczką: wszystko to znów budzi z uspienia jój wyobraźnię. Przechadzając się po ogrodzie wpośród murawy i kwiatów, altan z dzikiego wina i jaśminu, lub pod cieniem odwiecznych lip wysypaną piaskiem ulicą, dochodzącą do wysokiego muru, obrosłego mchem odwiecznym, młoda Lucyna дума i marzy: przypomina sobie, że ten dom był niegdyś klasztorem, że krąży legenda o zakonnicy w welonie, która się tu pojawia. Raz na-

wet zdało jęj się, że dostrzegła jęj widmo. Okoliczność ta budzi stronę poetyczną w jęj duszy. Lucyna ma nakoniec pewne powodzenie w świecie: na wieczorze u pani Beck odegrała rolę w wodewilu, i zyskała poklask powszechny. Ale wakacye nadchodzą, mały świat rozprasza się na wszystkie strony: Ginewra wyjeżdża do południowej Francyi, ze znaną jęj rodziną turystów. Pani Beck udaje się do wód. Lucyna pozostaje sama w odwiecznym domu. Osamotniona, zastanawia się nad smutnym losem, jaki jęj Bóg przeznaczył. Trwoga ją dziwna przejmuje, czuje w sercu chłód dotkliwy, wpada w rozpacz i zwątpienie. Myśl o braku wszelkich związków na ziemi, o strasznej próżni, pustoszącej jęj duszę, przeraża ją, targa jęj nerwy, zapala krew gorączką, sprowadza obłęd do głowy. Okropna to chwila przesilenia; zważmy jak ją opisuje:

„Raz wieczorem, a tego wieczora nie miałam gorączki, byłam przy zdrowych zmysłach, wstałam, ubrałam się sama, słaba i chwiejąca. Niepodobna mi było znieść dłużej samotności w obszernej pensjonarskiej sypialni. Białe kolory łózek wydawały mi się jakby szeregi duchów, a zakończone je u sufitu korony, jakby trupie czaszki, wyblakłe na słońcu. Tego wieczora bardziej niż kiedy uczułam w głębi duszy przekonanie, że przeznaczenie było jakby z głazu, a nadzieja fałszywym bożyszczem, któremu świat próżne pali ofiary. Czułam także, iż proba na jaką Bóg mnie skazał, doszła nakoniec do ostatecznego kresu; zem powinna ją skruszyć, słabą, lecz gorączkową dłonią. Deszcz padał, wiatr dął przeraźliwie. Zwolna mrok zapadać począł, a wpływ jego wydał mi się dobroczynnym. Przez okno widziałam ciągnącą czarną chmurę, rozpostartą nisko ponad ziemią, nakształt olbrzymiej chorągwi. Byłam pewna, że w tej chwili niebo smuci się i boleje nad wielkiem cierpieniem ziemi. Czułam, jakby dłoń litościwa usuwała ciężar, który przyciskał srodze pierś moję. Dręcząca myśl, że nikt mnie nie kocha, nie zna, nie pojmuje, ustąpiła prawie nadziei. Pewna byłam, że ta nadzieja stokroć jaśniej mi zaświeci, gdy wyjdę z pod tego dachu, który gnióttł mnie, jakby wieko grobowca—gdy wybiegnę w pole za miasto. Zarzuciłam płaszczyk i wyszłam. Przechodząc koło kościoła usłyszałam dzwony: zdało mi się, jakby dźwięk ich wzywał mnie na wieczorne błogosławieństwo. Wyszłam do kościoła. Uroczystość obrzędu, widok czci szczerzej a głębokiej, głos modlitwy zasyłanej do Boga: wszystko to spły-



wało na mą spragnioną duszę, jakby rosa z nieba. Ukłękłam za drugimi na kamienną posadzcę. Był to stary kościół: światło zewnętrzne przedzierając się przez różnobarwne szyby, rzucało na mury purpurowe odbłaski.

„Niewielu było wiernych zgromadzonych w kościele: po błogosławieństwie rozeszli się prawie wszyscy, niektórzy tylko pozostali dla spowiedzi. Stałam jak skamieniała. Podwoje kościoła zamknięte były szczelnie, święty spokój spływał na nas, coraz grubsze ogarniały nas cienie. Po chwilowym rozmyślaniu i modlitwie, jedna z pokutnic zbliżyła się do konfesyjonału: śledziłam ją bacznie. Wyszepiała wyznanie, a potem powstała pocieszona; za nią poszła druga, potem trzecia w jej ślady. Jakaś pani blada klęcząc obok mnie, rzekła z cicha słodkim głosem: „Idź pani teraz, jam jeszcze nie przygotowana.”

„Posłuchałam jej machinalnie, wstałam i poszłam. Wiedziałam co czynię: myśl nagle jak błyskawica, ostrzegła mnie o ważności przedsięwziętego kroku. Zamierzony czyn nie mógł mnie wtrącić w większą boleść, przeciwnie mógł mi nawet przynieść ulgę.

„Ksiądz siedzący w konfesyjonałe nie spojrzął na mnie, skłonił tylko ucha w moją stronę. Milczałam chwilę, nie znałam bowiem zwykłej formy spowiedzi. Zamiast słów przygotowawczych rzekłam poprostu: „Ojcze! ja jestem protestantką.” Obrócił się ku mnie. Nie był to ksiądz miejscowy: po rysach i czole poznałam, że jest Francuzem. Lubo siwy i podeszły w latach, zdał mi się pełen uczucia i świątobliwości. Zapytał mnie łagodnie, czemu przychodzę do niego będąc protestantką?

„Wyznałam mu, że łaknę słowa rady i pociechy; że od kilku tygodni żyję w zupełnej samotności; że przebyłam chorobę; że czuję na duszy ciężar tęsknoty i smutku, którego dłużej znieść nie zdołam.

— Może to grzech jaki? może wyrzut? — zapytał jakby ze snu ockniony. Zapewniłam go w tym względzie, i wyjaśniłam mu jak mogłam smutny stan udęczonej mej duszy. Zdawał się pogrążony w myślach, zadziwiony, zmieszany.

— Złapałaś mnie — rzekł — niespodzianie: nigdy nie zastanawiałem się nad położeniem twojemu podobnym. W zwyczajnych razach mamy zawsze radę gotową na ustach; ależ

to jest wyłączny zupełnie wypadek. Ta rzecz potrzebuje namysłu.

Spodziewałam się tego, a jednak doznałam ulgi powierzywszy mi boleść ludzkiemu, litościwemu uchu. Wyrzuciwszy ją na zewnątrz z serea, w którym się pomieścić nie mogła, byłam już pocieszoną.

— Czy mam odejść ojcie — zapytałam widząc że milczy.

— Moja córko — rzekł łagodnie — odejdz lepiej w tej chwili. Wierz mi, twoje słowa wielce mnie uderzyły; widzę, żeś wylała przedemną całe twoje serce. Chciałbym rozmyślić się dobrze nad tobą, i to w modlitwie pod wpływem łaski Bożej. Gdybyś była naszej wiary, wiedziałbym co ci powiedzieć; dusza tak skołatana jak twoja, tylko w usunięciu od świata i wielkiem ducha podniesieniu znaleźć może spokój. Święci Pańscy prowadzili na drogę zbawienia takie dusze przez pokutę, zaparcie siebie i miłosierne uczynki. Dla takich Opatrzność Boża przeznaczona tu na ziemi, chleb niedoli za pokarm, a pragnienie ich gasi rzewnymi łzami: cała nagroda czeka ich w przyszłym życiu. Pewien jestem, że cierpienia twoje, to posłanniki Boże, zesłane z umysłu, aby cię zwrócić na łono prawdziwego kościoła. Tyś stworzona do naszej wiary: ona tylko zdoła cię uleczyć i dźwignąć; protestantyzm za suchy, za zimny, za prozaiczny dla ciebie. Im lepiej tę rzecz rozpoznaję, tém bardziej widzę, o ile wychodzi ze zwyczajnego trybu. Za nic na świecie nie chciałbym cię spuścić z oka. Oddał się teraz moje dziecię, ale przyrzecz mi, że powrócisz.

„Podziękowałam mu i powstałam. Miałam właśnie odejść, gdy mnie zatrzymał.

— Nie przychodź tu do kościoła — rzekł — widzę żeś słaba, a tu chłodno i wilgotno. Przyjdz lepiej do mnie (tu dał mi swój adres), będę cię czekał jutro rano o dziesiątej.

„Skłoniłam głowę na to wezwanie. Spuściłam na twarz zasłonę, otuliłam się płaszczkiem i odeszłam. Czyż myślicie, że miałam zamiar iść za radą świątobliwego kapłana? Bynajmniej! Czułam, żebym się nigdy nie oparła jego wymowie. Gdybym była poszła, wskazałby mi był całą tkliwą i pocieszającą stronę katolicyzmu. Byłby mnie związał i zachęcił do rzucenia się gorliwie w dobroczynne uczynki. Widzę jak na dłoni, jakby się to wszystko skończyło. Gdybym była poszła, kto

wię, może w chwili, gdy piszę to heretyckie wyznanie, liczyłyby z ziarnka różańca w celi klasztoru Karmelitek przy ulicy Cressy.

„Zmrok ustąpił ciemnej nocy: pozapalano latarnie, zanim wyszłam z kościoła. Chciałam wrócić do domu, ale byłam w części miasta nieznanej mi zupełnie. Wąskie uliczki wiły się kręto, wysuwając się jedna z drugiej po obudwu ich stromach. Starożytne domy malowniczo podnosiły w górę swoje gotyckie dachy. Znadto osłabiona, aby zebrać myśli i działać stosownie, zabłąkałam się w tym labiryncie ulic, a nie miałam dość odwagi i energii, aby zapytać przechodzących o drogę.

„Burza uspokojona chwilowo nad zachodem, wzmogła się całą siłą: wichur zadął od północno-zachodniej strony, grad sypnął z nieba w miejsce drobniuchnego deszczyku, który padał dzień cały. Zimno przejęło mnie do kości. Pochyliłam głowę chcąc stawić czoło burzy, ale wiatr wstecz mnie odpychał. Nie upadłam jednak na duchu w ową walce; przeciwnie, rada byłabym wsiąść na skrzydła uraganu, zaczerpnąć w nim mocy, wznieść się lub spaść na dno otchłani. Marząc o tém właśnie, czułam, że stygnę i słabnę coraz bardziej. Chciałam dostać się do poblizkiej bramy wielkiego gmachu, który widziałam tuż przed sobą. Ale olbrzymia jego wieża znikła mi nagle z przed oczu, jakby na czarodziejskie zaklęcie. Zdało mi się, iż lecę w jakąś niezgłębioną przepaść. Odtąd nie wiedziałam już co się ze mną dzieje.”

Lucyna budzi się z omdlenia w ładnym pokoiku, gdzie wszystko przypomina jej jakby we śnie dawne i błogie wspomnienia. Doktor John podniósł ją zemdloną, i kazał ją przenieść do ślicznego wiejskiego domku, o milę za miastem, gdzie mieszka. Zaczny doktor, to ów Graham Bretton, towarzysz lat dzieciennych Lucyny. Pani Bretton zawsze dobra, zawsze świeża jak dawniej, opuściła także Anglię, i zamieszkała razem z synem. Następuje wzajemne poznanie. Dawni przyjaciele otaczają Lucynę troskliwem staraniem i opieką. Pod wpływem wiejskiej ciszy, pomiędzy tkliwym i świetnym doktorem, a miłą panią Bretton, Lucyna odzyskuje zdrowie duszy i ciała. Odradza się i rozkwita, nie jako katoliczka u stóp konfesyonału, lub w klasztornej celi, ale w miłej domowej zaciszy, która gości ją z życiem. „Gdym się, mówi ona, co dnia po modlitwie udawała na wieczorny spoczynek, czułam, że mam jeszcze przy-

jaciół; wprawdzie przyjaciół nie zjednoczonych ze mną silném ogniwem gorącego uczucia, bo wyższych nademnie stanem i położeniem w świecie, a więc umiarkowanych w oznakach przyjaźni: ale ku którym serce moje unosiło się silnym pociągiem wdzięczności. Nieraz odwoływałam się do chłodnego rozsądku, pragnąc pohamować mój zapal.

„Spraw, mówiłam, o! ty przewodniku mój wierny, abym nie myślała o nich tak często, tak tkliwie; abym poprzestała na kilku kroplach tego ożywczego źródła, abym ich nie zaczerpnęła zbyt wiele w moje pierś spaloną pragnieniem; aby wyobraźnia moja nie zawiodła się, szukając w niém więcej słodyczy, niż jęj mogą posiadać wszystkie ziemskie źródła. O! dałby Bóg, abym się czuła dostatecznie wzmocnioną tym węzłem, acz słabym i chwilowym; dałby Bóg, abym nie żądała nic więcej nad spokojne wytchnienie pod dobroczynnym wpływem przyjaźni. I kończąc te słowa tuliłam głowę do poduszki, oblewając ją gorącemi łzami.” Dziwny to opór duszy złamanej cierpieniem, w obec pierwszych promieni wschodzącego jęj szczęścia! Jest w nim ciekawy fenomen psychologii protestanckiej; zważmy tylko słowa Currer Bell: „Te walki toczone z własnym naszym charakterem, z silnym i wrodzonym pociągiem serca, mogą wydawać się zrazu czcze i bezowocne, ale w końcu są nam zbawienne. Nadają one zwolna czynom naszym i postępowaniu pewien tor niezmienny, zakreślony rozsądkiem, przeciw któremu uczucie oburza się częstokroć. Te walki zmieniają ogólny układ naszego życia, zaprowadzają w nim pewien ład, dają mu pozór spokojny, a wszakże ludzkie oko sądzi według pozoru. Co spoczywa w głębi nas, pozostawmy to Bogu. Ponieśmy naszą myśl do Stwórcy, odkryjmy mu tajniki rozumu, który nam dał, błagajmy Go, aby nauczył nas znosić trudy, na jakie nas przeznacza; ukorzymy się przed jego obliczem, módlmy się z wiarą o światło w ciemności, o siłę w zwątlenu, o cierpliwość w najwyższej boleści. A uderzy niewątpliwie godzina, w której potok żywota wstrzymany chwilowo, popłynie swoim trybem (choć może nie w tym kierunku, jaki serce nasze wymarzyło i ukochało), a anioł pociechy spłynie ku nam, i pochodnią czystą oświeci nam drogę. Wtedy paralytyk i ślepy, niemy i opętany, będą doprowadzeni do świętego przybytku. Zwiastunie niebios, przybywaj!” Takąto drogą dusza młoda, pragnąc opanować sama siebie, powstaje przeciw boleści osamotnienia i trwodze ducha,

która niedawno rzuciła ją drżącą i gorączkową pod stopy konfesyonału. Zawiódł się sędziwy kapłan, mniemając, że zrozpaczona Lucyna znajdzie tylko spokój w pokorze i posłuszeństwie; ona potrafi poddać myśl pod chłodną analizę rozumu, ujarzmić uczucie, a mocą dumy wytrwać na przedsięwziętej drodze: bo mężka dusza tli w tém słabém, dziewiczém ciele, bo ona protestantka w całym słowa znaczeniu.

Odtąd powieść jest tylko historią wzrostu i kwitnienia owéj protestanckiej duszy. Najpiękniejsze chwile téj historii następują po odnowieniu stosunków Lucyny z rodziną Bretton. Graham postępuje z nią jak z towarzyszem, jak z bratem: oprowadza ją po teatrach, muzeach i koncertach; toczy z nią mężkie i fantastyczne rozprawy. Lucyna czuwa nad sobą pilnie, nie chcąc uleść tkliwyszemu uczuciu. Gdy powraca na pensyą pani-Beck, żąda, aby Graham pisywał do niéj; pragnie tym sposobem uchronić serce od nowego osamotnienia. Graham pisuje listy: Lucyna chowa je, jakby skarb drogocenny. W chwilach wytchnienia odczytuje stokrotnie każde słowo, oblicza każde tkliwsze wyrażenie chciwie, jak skąpiec zwykły obliczać pieniądze. Wszystko to dzieje się pod przenikliwém i baczném okiem pana Emmanuela, ale Lucyna śmiało stawia czoło jego samowładztwu. Czas jakiś pieści się złudném marzeniem, jakkolwiek nie śmie przyznać tego przed sobą. Spokojna jest, dopóki w sercu Grahama ma tylko do zwalczania wspomnienie zalotnej i powierzchownej Ginewry. Graham ocenił małą wartość owéj ładnej lalki i zapomniał ją oddawna. Ale przybywa do Villette mała Polly, którą poznaliśmy na początku powieści. Z ślicznej dziewczeczki wyrosła ona na 18-letnią czarodziejkę; Graham i Polly przypominają sobie miłe lata dzieciństwa. Wzajemne uczucie ściśle spaja ich dusze: Lucyna czuje znowu z całą siłą nowe opustoszenie serca. Patrząc na tkliwą miłość Grahama i Polly, na lekkomyślne miłostki Ginewry i hrabiego du Hamal, wpada chwilowo w dawne osamotnienie. Grzebie w ogródku listy Grahama opieczętowane w ołowianej skrzynce, a wraz z niemi mniema, że grzebie żywcem własne serce; ale w téjże chwili charakter pana Emmanuela ukazuje się jéj w nowém świetle: wielbi moc jego duszy, pod którój wpływem rozwija się jéj umysł. Dowiadyje się, że życie jego pełne trudu i mozółu, nieustającą jest

ofiara, ofiarą składaną wspomnieniu najszczytniejszej miłości. Pan Emmanuel pracą swoją wyżywia matkę (zamożną niegdyś) młodą panią, którą kochał, a która umarła w klasztorze. Dwa tak odmienne jestestwa, jak Lucyna i Emmanuel, protestantka i katolik, duch oporu i duch władzy, odpychają się i przyciągają nawzajem, obadwa równie szczerze, równie dzielne i samoistne. Lucyna i Emmanuel zawierają braterski stosunek. Lucyna przywykła już do tego dziwnego rodzaju przyjaźni, gdy po zbiegu różnych drobnych wypadków, pan Emmanuel opuszcza Villete, i płynie do amerykańskich kolonij, aby odebrać majątek spadły na panią Walraweus, ową starą kobietę, dla której się poświęcił. Raz jeszcze Lucyna czuje się opuszczona, i wpada w nową boleść i zwątpienie; ale stary dziwak, szczytny po Napoleońsku, obmyślił już jej przyszłość. Najął dla niej prześliczny dom na przedmieściu w Villete, urządził go stosownie na pensyonarski zakład; a gdy Lucyna mniema, że już wyjechał, zjawia się nagle, wprowadza ją do zaczarowanego pałacu, składa w jej ręce zarząd domu, gdzie ma żyć w nieobecności Emanuela, i zapewnić sobie byt niepodległy. Graham Bretton i Polly połączyli się z sobą. Ginewra dała się wykraść pułkownikowi du Hamal; nakoniec pan Emmanuel powróciwszy we trzy lata potem z Ameryki, pojmując w małżeństwo Lucynę, która pozostawszy Angielką i protestantką, prowadzi świetnie edukacyjny swój zakład. A więc Lucyna opanowawszy sama siebie, stworzyła sobie byt dobry i szczęście. Wprawdzie według uwagi Currer Bell, szczęście nie przyszło do niej na żądanie, w chwili gdy go wzywała, ani też w wymarzonej przez nią postaci!

Taka jest treść powieści, ale ta jednak nie stanowi jej wartości: główną zaletę nadaje utworowi temu dokładne wykonanie szczegółów w pełnych prawdy obrazach, wyborne skreślenie charakterów, umiejętność podniesienia sztuką przedmiotów drobnych i zwyczajnych: słowem życie tryskające z działania osób, mimo najprościej obmyślanych wypadków.

Rzućmy teraz okiem na dzieło pani Fullerton.

Starożytny zamek Liffort-Grange zostaje od kilkuset lat w ręku zamożnej katolickiej rodziny. Odbudowywany wielokrotnie, nosi na sobie cechę kilku odmiennych wieków. Korpus środkowy najpóźniej odnawiany, nazywa się nowym zamkiem, pomimo mchu zarastającego dach i gzymsy. Chłód po-

sepną powiewa dokoła owój starożytnój siedziby. Obszerne sale, szerokie wschody, wielkie kominy, słowem ogromne wnętrze tego zamku, którego wysokość harmonijnie odpowiada przestrzeni, jest dziś przybytkiem olbrzymiego widma, *nudy*. Nic wokół nie ożywia ścian zewnętrznych zamku, pasożytna nawet roślina nie śmie się zbliżyć do jego poczerniałych murów. Czworograniasty dziedziniec przedziela na połowę brukowana droga: po jednej stronie wznosi się wysoki kompas, który nigdy nie widzi słońca; po drugiej niby fontanna, gdzie cztery trytony daremnie otwierają paszcze, aby polknąć trochę wody, bez której schną oddawna. Do zamku wiedzie szeroka ulica, wysadzona świerkami, które nazwał ktoś słusznie ozdobą zimy, a żałobą lata. Po przeciwniej stronie zamku rozciąga się ogród bez kwiatów, zakończony wąską rzeczką, która pomijając spieszenie to zaklęte miejsce, kryje się w zielonój olszynie, rozrosłej swobodnie poza obrębem parku.

Zewnętrzny kształt zamczyska odbija wiernie charakter pana swójego. Pan Lifford pochodzi z rodziny katolickiej, równie starożytniej jak zamek, która przetrwała wieki prześladowania, bez zaparcia się wiary. Z pełną pychy rozkoszą ogląda on na herbową tarczę, wyrytą na frontonie zamku, oraz na wspaniałych gzymsach każdej sali. Pycha ta o władzę go wyłącznie, i odosobniła od reszty świata: nie ma żadnych związków z bogatymi rodzinami osiadłymi w sąsiedztwie; żyje zamknięty sam w sobie, a raczej w własnej dumie. W młodości pojął był w małżeństwo szlachetnego rodu Hiszpankę, ale ów związek grubszą jeszcze pomroką smutku otoczył to starożytne gniazdo Liffordów. Zona jego wydawszy na świat syna i córkę, została tkniętą paralizem, a ztąd przykutą na wieki do łóżka i czterech ścian sypialnej komnaty. Trzeci mieszkaniec zamku niemniej odpowiada jego składnym i wilgotnym murom: jestto ksiądz Lifford, stary kapłan, rodzony stryj pana zamku. Ksiądz Lifford nie posuwa rodowej pychy do tego stopnia, jak synowiec; nie oddaje jej czci bałwochwalskiej; ale i on pełen jest odwiecznych przesądów: tylko że charakter kapłana Bożego łagodzi cokolwiek wrodzoną jego szorstkość.

Kwiat dziki rozwija się w tém ponurém zamczysku, na łonie tej posepnej rodziny: jest nim Gertruda, córka pana Lifford i owój matki wlokącej ciężar życia wśród nieskończonych udręczeń. Gertruda wychowała się sama, ojciec był względem

niej surowy i niedbały; dziadek przerażał ją trwogą; matka wystudzona pod wpływem ciągłego bólu i rezygnacyi nie mogła jej ogrzać tkliwą pieczołowitością i otoczyć skrzydłami macierzyńskiej miłości. Gertruda oburzała się w duchu na wszystko, co ją otaczało; krew hiszpańska wrzała w jej żyłach, a w piersi tkwił niezłomny upór Liffordów. Czując, że kwiat jej młodości wędnie w tém samotném i ponurém więzieniu, pragnęła gorąco swobody; myśl jej wykołysana w samotności i ciszy, wybiegała w przyszłość, pragnąc uchylić jej zasłonę. Gdy raz chorowała w dzieciństwie, rodzice aby ją rozerwać, zbliżyli ją do skromnej katolickiej rodziny, osiadłej w sąsiedztwie. Dom pani Redmond miłą stanowił sprzeczność, porównany z smutnym zamkiem Lifford-Grange: stał on na wzgórkach, otoczony wieńcem zieleni i kwiatów. Pani Redmond wdowa po dwóch mężach, miała z pierwszego małżeństwa córkę w wieku Gertrudy, młodą Maryą Grey. Drugi jej mąż z pierwszej żony, słynnej śpiewaczki włoskiej miał syna, Maurycyego Redmond, dla którego pani Redmond prawdziwą była matką. Świat zewnętrzny uosobiał się dla Gertrudy w postaci Maryi i Maurycyego, z którymi długie i zajmujące prowadziła rozmowy: to też wybiegała z radością z ponurą zamkową biblioteką, gdzie trawiła godziny całe na czytaniu; lub też z ciemnej sypialni matki, do białego dworku Redmondów. Młodzi przyjaciele kochali i podziwiali piękną, fantastyczną i dobrą niewolnicę z Lifford-Grange, a Maurycy przezwiał ją imieniem ślicznego owadu o złotych skrzydełkach zwanego w Anglii *Lady Bird* czyli *ptaszyną Bożą*. Maurycy poszedł za powołaniem ojca, oddał się wyłącznie muzyce. Młody Francuz hrabia Arberg, zachwycony jego talentem, zawiózł go do Włoch. Listy młodego artysty do przybranéj siostry przechodziły w ręce Gertrudy, i wydawały jej się najszczytniejszemi poematami. Charakter Maurycyego pełen był sprzeczności: chciwy wrażeń, miał on umysł słaby i chwiejący; lada błyskotka, która mu mignęła przed oczyma, czarowała go i zaślepiała. Gdy powrócił do Anglii, rozmowy jego i opowiadania bardziej jeszcze podniecały rozmarzoną wyobraźnię Gertrudy. „O! jakże świat pięknym być musi, mówiła do Maryi, ów świat dzieło samego Boga, ozdobiony ręką człowieka, opisany przez największe genjusze różnych wieków, o którym wyobraźnia tak czarodziejsko marzy. Jak pięknym być musi Londyn, nie ten, który widziałas Maryo przez okno małego dworku



na ustronnéj uliczce, ale ów Londyn z całym przepychem, bogactwem, ze swym dworem, parlamentem, z całą swą poezją! I ów Paryż wrzący życiem, otoczony pełnym blaskiem cywilizacyi; i Włochy z błękitném niebem, pełne obrazów, posągów i zwalisk; i wyniosłe Alpy, pokryte wiecznym śniegiem; i ocean miotany burzą! O! jak piękny świat Bóży! jak piękna sztuka, literatura, teatr, towarzystwo, wszystko co żyje, co się porusza, co oddycha; ów świat, który ja odgaduję z książek, który ścigam chęcią i marzeniem, a którego może nigdy nie poznam!”

Gdy Maurycy wrócił z Włoch, wzywano go do okolicznych zamków, dla uczenia muzyki. Gertruda za pośrednictwem matki otrzymała od ojca pozwolenie na naukę śpiewu. Młody artysta był w jéj przekonaniu poetą; za jego pomocą układała w pewien ład myśli, krążące swobodnie w jéj bujnej wyobraźni. Maurycy, wielbiciel zapalony piękna, oceniał Gertrudę jako idealną postać; pieścił ją myśl, jakby cudnym tematem poezyi.

„Czy ja cię kocham?—zapytywał sam siebie w pieśni, którą na cześć jéj ułożył.—Nie! co tylko piękne w życiu, i ziemia i niebo, i morze, wszystko to jednakie uczucie zachwyty budzi w mojej duszy. Czy ja cię kocham? Nie! patrzę z rozkoszą na lilię i różę, z równą rozkoszą poglądam i na ciebie. Czy ja cię kocham? Nie! słucham na wiosnę śpiewu ptastwa, tak samo, jak słucham uroczej twojej pieśni, Czy ja cię kocham? Nie! gwiazdy na pogodnym niebie, powiew letniego wiatru, cichy posmer wody o zmroku, woń kwiecistej łąki: wszystko to napełnia mą duszę równem uczuciem piękna i miłości, jak odblask twego spojrzenia.” Maurycy wahał się pomiędzy skromną i cichą Maryą, tą siostrą przybraną, która od lat dziecinnych przeznaczoną mu była za towarzyszkę życia; i tą dziką, a poetyczną ptaszyną Bożą, wyhodowaną w świecie niedostępnym dla niego. Ale raz gdy Gertruda śpiewała z uczuciem arya włoską, przegrywając na fortepianie, a Maurycy patrzył na nią zachwycony, pan Lifford otworzył drzwi, zmierzył oboje gniewnym i zimnym okiem, a nazajutrz nauczyciel muzyki dostał ostateczną odprawę. Gertruda ze stłumionym gniewem zniosła to upokorzenie: godzina wyzwolenia miała wkrótce dla niej uderzyć.

Jedna z zamożnych sąsiadek, pani Apley, wyprawiała bal z powodu pełnoletności syna. Całe sąsiedztwo było zaproszone: Maurycy i Marya Grey mieli być zarówno. Gertruda nie widziała nigdy balu, więc zapragnęła być na nim koniecznie. Pan

Lifford otrzymał zaproszenie: Gertruda błagała, aby ją zabral z sobą; odmówił jój szyderczemi słowy. Gertruda w rozpacz udała się do matki: pokój matki był na dole, pełen obrazów świętych, zasłon i krucyfików, miał zupełny pozór kaplicy. Przez uchylone okno, woń kwiatów przyływała z pola. Gertruda weszła cicho, i niespostrzeżona usiadła na stołeczku u stóp chorój.

Podniosła głowę, objęła okiem rysy matki, i po raz pierwszy spostrzegła, że były piękne i podobne do jój własnych. Oddawna wiedziała o sobie że piękna: pomyślała, że jest dzieckiem tejże matki, że jedna krew płynie w ich żyłach, że na jeden wzór odlane są ich rysy. Czemużby ich serca nie miały być jednakie? byłyżby odmienne ich dusze? Czyżby żelazna ręka boleści przytłumiła zdolność kochania w tém sercu? Czyliż ta biedna matka nie wybiegła nigdy myślą poza to łożo, do którego cierpienie przykuło ją na wieki? Czyliż jój oko nie zapłoneło nigdy radością, ani gniewem? Czyż jój usta wydawały zawsze tylko urywane słowa i jeki?

„O! matko, matko, byłażeś kiedy młodą, miębaczną, burzliwą, jak ja? Pragnęłażeś kiedy szczęścia na ziemi tak gorąco, jak pragniesz teraz szczęśliwości w niebie?”

Te słowa wyszeptane były pocichu, a jednak ostatnie z nich doszły do ucha uspijonój pani Lifford: otworzyła oczy i uśmiechnęła się lekko, co było osobliwém zjawiskiem.—„Niebo—wyrzekła osłabionym głosem,—niebo pomалу przychodzi” I budząc się niby ze snu, wyciągnęła rękę i dała znak Gertrudzie, aby się ku niój zbliżyła. Spojrzała na nią badawczo, i zdało się, jakby nowe zgłoski wyczytała na twarzy swego dziecka: bo zdziwienie i trwoga odbijały w jój macierzyńskiém oku. Gertruda odwróciła głowę i rzekła: „Lepiej ci zapewne, mamó; tak dobrze dziś wyglądasz, masz nawet rumieniec na twarzy.” Matka uśmiechnęła się smutno. Czula ona płomień na licu i wiedziała dobrze, że to krasa choroby, a nie zdrowia. Lecz podwojona gorączka, dała jój niezwykłą siłę: miała nawet chęć do rozmowy, ale tak mało przywykła do tego, że oprócz słów pieśczośliwych, któremi obsypała córkę, tuląc jój rękę w suchej dłoni, sama nie wiedziała, co jój może powiedzieć. Nakoniec uniosła się nieco, wsparła głowę na rękę, i rzekła:

— Gertrudo, ty jesteś szczęśliwa, nieprawdaż?

Gertruda spłonęła, przysłoniła twarz rękoma, a lzy gorące przedzierały się przez zaciśnięte jęj palce. Była to chwila sposobna do skłonięcia matki ku jęj chęci. Ale był w jęj charakterze dziwny opór i niepojęty wstręt do skargi. Jednak po chwili walki rzekła zęicha:

— Mamo, pamiętam, 12 lat temu, pragnęłam mieć woskową lalkę, a to tak szczerze, tak gorąco, że nie sypiała nocą, we dnie zaś przechodziłam płacząc koło sklepu zabawek; a jednak nie prosiłam o nią, przez uczucie dumy i oburzenia na myśl, że nikt nie pomyślał o sprawieniu mi tęg uciechy. Wymówiłam się z żalem moim w obec księdzę Lifford, a on kazał mi przyjść do ciebie, i prosić cię o lalkę: usłuchałam go, lubo niechętnie. Tak tęg i teraz uczułam boleść tajemną, gdyś mnie zapytała, czy ja jestem szczęśliwą. Przykro mi powiedzieć, że tak nie jest; a jednak wyznam prawdę: nie matko, ja nie jestem szczęśliwa!

— Jękto? nie!— zawołała matka— nie jesteś szczęśliwa z młodością i zdrowiem, z całą przyszłością przed tobą? O moje dziecęg, czemuż cię nie mogę nauczyć, jak to być szczęśliwą!— I po chwili dodała pomieszana, przykładając rękę do czoła:— Ależ tam taki zamęt! Tu w sercu, czuję wszystko. O! mój Boże! naucz moje dziecęg co to jest szczęście.— Zatrzymała się chwilę, a potęg dodała z uśmiechem:— Coby cię mogło uszczęśliwić, Gertrudo? Zapewne już nie lalka woskowa?

Gertruda pochyliła się nad łóżko, i szepnęła matce do ucha:— Gdybym pojechała na bal do Woodlaus, byłabym szczęśliwa. Pragnę tego z serca, jak wtedy pragnęłam woskowej lalki.

Pani Lifford była zdziwiona i niespokojna. Przycisnęła obie ręce do skroni, jakby dla zebrania myśli.

— Bal, moje dziecęg? ale któż z tobą pojedzie? To niepodobna Gertrudo!

— Mamo droga, wszakże zaproszono księdzę Lifford: namów go, żeby jechał i mnie zabrał z sobą.

Tak zuchwała myśl zatrwożyła matkę, ale Gertruda dodała:— Mamo, mnie trzeba rozrywki, odmiany; nie zniosę już dłużej takiego życia jak dotąd: pewna jestem, że ojciec mnie nie cierpi.

— Moja córko! moja córko! przeproś Boga za myśl taką: przeciw takim myślom, tylko w modlitwie ucieczka. I cóż ci

winien ojciec? To okropnie!—Tu skreśliła ręką krzyż ponad czołem córki i westchnęła głęboko.

— Nie lękaj się mamo: wszakże nie powiedziałam, że go niecierpię, niech mnie Bóg od tego uchroni! Może się myłę, może i on nie ma do mnie niechęci; ale nie dba o mnie, trudno temu zaprzeczyć. Nikt się mną nie zajmuje, oprócz ciebie matko, oprócz ciebie jednej. Niezawsze dowierzałam i temu, ale dziś widzę jasno, jak mocno ciebie obchodzi.

— Myślałaś naprawdę, że twoja matka..... O! moje długie i okropne cierpienia, moje bezwładne członki, moja stępiona pamięć, moja tak trudna wymowa: wszystko cię to mogło uwieść. Tak być musiało. Ale dziś dzięki Tobie, o mój Boże, żeś uchylił zasłonę i pokazał, że i to serce bije, choć przygniecione takim krzyżem! Chwała ci Panie za wszystko!—zawołała po hiszpańsku z wrastającym zapałem. Potém upadła na łóżko, wysilona widocznie; a Gertruda przywołała służącą i wraz z nią trzeźwiła omdlałą matkę.

Biędna matka silnie popierała sprawę córki w obec męża i stryja, aż ją w końcu wygrała. Gertruda była na zabawie w Woodlaus, pod opieką księdza Lifford. Młoda dziewczeczka niepokoiła się wielce o ubranie, nie znając bynajmniej mody. Matka chciała ją jak najpiękniej ustroić: powydobywała z ukrycia drogie klejnoty, wpięła jęj w uszy dyamentowe kolczyki, ręce ozdobiła w kosztowne maurytańskie bransolety, w rękę włożyła kosztowny wachlarz misternęj roboty, którym nauczyła ją poruszać po hiszpańsku. Na zręczną sukienkę z indyjskiego muślinu, zarzuciła koronkową mantylkę; a widząc tak przybraną córkę, nie mogła jęj się dość napatrzeć, dość nadziwić jęj czarującej piękności. Ale gust matki, od tak dawna umarłęj dla świata, nie zaspakajał dostatecznie Gertrudy; byłaby chętnie oddała połowę swoich wdzięków za pewność, że jest przyzwoicie ubraną. Pojechała nakoniec. Weszła do sali drżąca zarówno od radości i trwogi: w mgnieniu oka zaspokoila się jednak: strój jęj wprawdzie odmiennym był od wszystkich, ale odpowiadał harmonijnie rodzajowi jęj wdzięku. Gertruda uczuła, jak dusza jej zakwita w owém świetném zgromadzeniu młodzieży i panien. Bohater dnia, młody Apley zajął się wyłącznie tym kwiatem dzikim, stokroć cudniejszym nad inne. Słynni śpiewacy włoscy, sprowadzeni umyślnie z Londynu, rozpoczęli zabawę koncertem. Gertruda upojoną była

muzyką. Kilkoma słowy dodała odwagi Maurycemu, który zyskał poklask powszechny. Na domiar szczęścia, stary ksiądz Lifford przywołany nagle do chorego, powierzył wnuczkę gospodyni domu, a tém samém otworzył klatkę ptaszynie bożej. Po koncercie bal się rozpoczął. Apley nie odstępował Gertrudy.

— Proszę panią do walca, panno Lifford.

— Rumieniec wystąpił na lica młodój Hiszpanki, i ożywił śniadą ich barwę.

— Ja nie umiem tańczyć walca—odparła.

— Jakto? czyżbyś pani nigdy nie próbowała?

— Nigdy. Czyż pan myślisz, że tańczę w Lifford-Grange?

— O! pani potrafisz tańczyć bez nauki, pewien tego jestem. Wszakże i pani włosy nie zwijane, a jednak same z siebie w tak cudne spływają pierścienie. Te dwa oto pukle na plecach same się wydobyły z pod warkocza, a jak się wiją malowniczo.

— Nie na mnie nie wygląda jak należy—odparła smutno, odrzucając w tył rozrzucone sploty.—Tańczuj pan, panie Apley; będę patrzeć, może się i nauczę.

— Chodź pani ze mną — rzekł młodzian żywo — nie ma nikogo w galerii; nauczę panią w mgnieniu oka.

Podał jój rękę, śliznęli się przez salon, aż do drzwi galerii, gdzie był koncert przed chwilą. W otwartém oknie siedział Maurycy zamysłony: zadrżał i powstał gdy weszli. Gertruda widząc go, puściła rękę pana Apley i zawołała żywo:

— O! i pan tu. Odpoczywasz na laurach, po otrzymanym tryumfie.

— Czy myślisz pani, żeby nam zagrał walca? — zapytał z cicha Mark-Apley—toby nam ułatwiło lekcję.

— Panie Maurycy — rzekła z przymileniem—zagraj nam walca niemieckiego, którego ja tak lubię. Pan Apley nauczy mnie tańczyć.

— Dobrze — odparł chłodno Maurycy — nie wiem tylko czy go pamiętam.

— To zagraj pan co chcesz, tylko prędko, bo nie mamy czasu do stracenia.

Głos jój był nakazujący, jak głos zepsutego dziecka, które nie nawykło, by mu się kto sprzeciwił. Ale Maurycy był dziwnie podrażniony: czuł w sercu jakiś niepojęty ból. Zdawało

mu się, że świat działa już na dziewczynkę i ośmiela ją do okazania mu obrazającej przewagi. Zarumieniony usiadł przed fortepianem i zagrał prędko i ostro. Temat wcale nie był wesoły, a przynajmniej dziwnie był oddany.

— Nie tak prędko, wołała Gertruda. Pan nie grasz tak jak zawsze.—Maurycy gryzł usta ze złości. Źle on grał w rzeczy samej. Obłąd jakiś mącił mu głowę. Gonił uchem leciuchny szelest muslinowej sukienki, i urywane słowa Gertrudy, i krótkie odpowiedzi Apleya. Przerwał nagle, wstał jakby chciał odejść; lecz usiadł znowu i zagrał z szalonym pośpiechem walca Straussa z Roberta Djabła, utwór gorączkowy, prawdziwie piekielny.

— Dziękuję ci panie Maurycy, dosyć już — rzekła Gertruda — już umiem com chciała.

I wybiegła lekka jak Sylfida, a oczy jęj ciskały płomień.

Maurycy porzuca bal z sercem zranioném. Marya oddała się z nim i pociesza go jak może. Gertruda tańczy na zabój. Upał wzmaga się w salonach. Dzieweczka w gronie młodych towarzyszek wybiega do ogrodu. Wiedziona ciekawością idzie do grotty, oświeconej w głębi lasu, przed którą bije fontanna. Wstępuje właśnie na wschody, gdy głos nieznany wstrzymuje ją: — „Przebacz pani mój śmiałości, ale nie możesz iść dalej: nazbyt jesteś zmęczona. To niebezpiecznie.” Te proste słowa wyrzeczone są dzwicznym głosem, który wnika do serca Gertrudy. Obraca głowę i widzi postać nieznaną. Nigdy jęj w życiu nie spotkała, ale pomiędzy obrazami zamieszczonemi w pokoju matki, jest jeden, pędzla Velazqueza, przedstawiający księcia Gaudie, młodego rycerza przy boku Karola V, który opuścił świat wcześniej niżli jego pan, i został św. Franciszkiem Borgiaszem. Ta postać pełna powagi i dobroci, siły i spokoju, była dla Gertrudy najwyższym ideałem męskiej piękności od pierwszych lat jęj dzieciństwa. Znalazła więc żywy wzór pobożnego bohatera Velazqueza w młodzianie, który stał przed nią: tenże sam wdzięk w postawie, takiż sam kształt głowy, jakby wykutęj według starożytnych posągów, toż samo czoło pełne myśli, tenże uśmiech dziwny a piękny, ten sam nawet układ głowy, podniesionęj w górę, i lewęj ręki opartęj na piersi. „Dziękuję panu.” Odrzekła nieśmiało z instynktową uległością. „Mam nadzieję, że mi pani za złe tego nie weźmiesz,

że nie nazwiesz mnie niegrzecznym.” „O nie!” odparła z uśmiechem i powróciła do sali balowej, a zadumana usiadła w kątku. Już przez resztę wieczora nie widziała tajemniczej postaci; daremnie pytała o nieznajomego, nikt jej nie umiał objaśnić. Wyjechała po północy z Wudlands; zdało jej się, że ten dzień był całym wiekiem, tyle w nim przeżyła wrażeń. Mark Apley podał jej rękę, gdy wsiadała do powozu. Uważała, że młodzian stojąc na ganku, długo ścigał ją okiem, dopóki powóz nie ruszył. Za przybyciem do domu, ledwie że utuliła głowę na poduszce, myśl nagła jak błyskawica przebiegła jej umysł: „jutro, rzekła sama do siebie, zobaczę portret księcia Gaudia.” Nazajutrz przyjrząwszy się do woli obrazowi, wzięła z biblioteki książkę *Luigi da Porto*, powieść o Julecie i Romeo, i usiadła z nią pod odwiecznymi lipami ogrodu. Ale książka wypadła jej z ręki, gdy przeczytała słowa powitania, ów mimowolny okrzyk duszy na pierwszy widok ukochanego przedmiotu. „Błogosławiona chwila twojego pojawienia Romeo!”

Stary kapłan powiedział jej nazwisko nieznajomego. Był nim hrabia Adryan d'Arberg, Francuz, urodzony z matki Irlandki, krewny rodziny Apley. Pan Arberg poświęcał znakomity majątek na miłosierne uczynki, a zdolność na obronę prawd katolickiego kościoła. Ksiądz Lifford posiadał książkę napisaną przez d'Arberga. Gertruda zapragnęła ją czytać, jakoż pochłonęła ją z zapalem. Z nimto Maurycy podróżował niegdyś po Włoszech. Gertruda wypytywała go więc ciekawie o szczegóły życia swego bohatera. Układała w myśli całą legendę o Adryanie, rysowała jego postać z obrazu Velazqueza. Wypadek zbliżył ją powtórnie do d'Arberga.

Raz Gertruda przejeżdżała się konno z bratem swym Edgarem. Koń ją uniósł i zrzucił. Ocknęła się z omdlenia w zamku Audlej-Park niedaleko Lifford. Było to czarujące mieszkanie wiejskie, urządzone i ożywione przez kobietę, którą pan Lifford kochał niegdyś i chciał zaślubić w młodości. Lady Klara Audley, piękna i okazała z postaci, nigdy nie zaznała silniejszej namiętności, przebiegła lekką stopą życie, jakby kwieciwą łąkę; dobra, ale lekkomyślna, umiała ze wszystkiego dobrą wyciągnąć stronę, otaczała się sztuką i zbytkiem, trwonila w świecie uprzejmość i wdzięk wrodzony, jakby zdawkową monetę; słowem brała życie z powierzchownej strony, nie przywiązując się głęboko do niczego. W Audley-Park było

ciągle zebranie znakomitych ludzi i kobiet światowych. Pan d'Arberg znajdował się właśnie w liczbie gości. Gertruda lekko zraniona, pozostać musiała kilka dni wśród tego świetnego towarzystwa. Lady Fullerton ślicznie opisuje wytworne i szczebiotliwe grono, rozproszone elegancko po galeryach i ogrodzie, a wprowadzane w nieustanny ruch przez miłą gospodynię domu. Gertruda widzi wreszcie świat, o którym tak marzyła, oddycha czarodziejskiem tchnieniem salonu. Spędza kilka chwil jasnych, jak pogodne niebo, kołysana nadzieją. D'Arberg otacza ją staraniem tkliwém, a pełném powagi, podnosi ją w własném jój przekonaniu. Odurzona radością, nie zważa na smutek Maurycego, który śledzi ją badawczém okiem, powtarzając w myśli wiersz Metastazyusza.

Di gelosia mi moro  
E non lo posso dire.

Umieram z zazdrości  
A nie śmiem tego wyznać.

Interesa-familijne wymagały wyjazdu pana Lifford do Hiszpanii. Gertruda wolniejsza, uzyskała od matki pozwolenie na powtórny kilkodniowy pobyt w Audley-Park. Czuła, że zaczyna żyć pełnym urokiem szczęścia i młodości, gdy list dziadka przywołał ją niespodzianie do domu, z kąd stary ksiądz miał właśnie wyjeżdżać w drogę do Hiszpanii, dla zastąpienia tam pana Lifford, który wracał. Gertruda musiała opuścić Audley-Park i rozłączyć się z Adryanem. Pragnęła go pożegnać. On pisał właśnie w salonie.

Gdy Adryan podniósł głowę i spostrzegł Gertrudę uchylającą drzwi, wstał żywo i poszedł ku niej.

— Wnijdź pani na chwilę — rzekł — nie odmawiaj mi. — Głos jego drżał od wzruszenia. Ona weszła, podała mu list księdza Lifford. Odczytał go po dwakroć.

— Szczęśliwy jestem, rzekł, że ojciec pani tak rychło już powraca.

— Czy doprawdy — zagadnęła smutno.

— Alboż to panią nie cieszy? — zapytał.

Nie odrzekła nic w pierwszej chwili, wlepiła tylko oczy w ziemię, a potem wyszeptała zcicha:

— Smutno mi, gdy myślę o rozłączeniu z księdzem Lifford.

— Rozłączenie każde smutne — odparł Adryan i odczytywał znowu list, jakby dla zyskania czasu.



— Gertrudo! — rzekł nakoniec i usiadł przy niej drżący jak listek — Gertrudo! skoro tylko powróci twój ojciec, będę się starał z nim widzieć, a wtedy los mój będzie zależał od niego i od ciebie.

Odwróciła głowę, blada jak śmierć: zdało się, że serce jój nie może pomieścić tyle radości i trwogi. Jój los w ręku ojca! Zadrzała na tę myśl; ale nie śmiejąc wyrazić co czuje, nie odrzekła słowa. Adryan przerażony był jój bladością i milczeniem.

— Gertrudo! — zawołał — mozem się omylił, mozem się zawiele spodziewał?

Ona pomału zwróciła oczy ku niemu, a wzrok jój więcej wyrażał, niżby najwymowniejsze słowa wypowiedzieć zdołały.

— Czemu miałbyś się mylić, — rzekła słabym głosem — Adryanie, prawdażto, że mnie kochasz?

— O! kocham, bardzo kocham — wyszepnął i przycisnął do ust rękę Gertrudy.

— Jestem więc szczęśliwą — zawołała z zapalem — Adryanie, mozem ja niegodna tak wielkiego szczęścia! Chciałabym teraz umrzeć. Dość dla mnie raz w życiu usłyszeć takie słowo. O! jam szczęśliwa, duch mój rozczulony! Adryanie, ja nie śmiem nic więcej spodziewać się od przyszłości!

— Mylisz się droga — odparł Adryan — daremnie się trwożysz: cóż może nam stanąć na przeszkodzie?

— Nic, nic, co mam myśleć o przeszkodach: nie może ich być dla nas!

— Ze strony świata, nie widzę żadnych — rzekł Adryan — a co się tyczy majątku o który nie dbamy oboje, mogę zadowolnić twego ojca. Gertrudo, droga moja Gertrudo! ty mi się nie zdajesz szczęśliwą. Powiedz mi co czujesz, czego się lękasz?

— Sama nie wiem co czuje, czego się lękam! Wiem tylko że cię kocham, lękam się tylko rozłączenia z tobą. Czuję to więcej niżbym mogła, niżbym powinna powiedzieć.

Te ostatnie słowa wyrzekła z takim uczuciem i z taką trwogą, że Adryan głęboko był niemi wzruszony. Spostrzegła to i zawołała:

— Adryanie, ty masz łzę w oczach: czy cierpisz na tém, że ja cię tak kocham? Czy się litujesz nademną? O słusznie, jeśli ta chwila szczęścia ma być snem tylko, marzeniem! Gdybyś nie był tém, czém jesteś, wstydby mi było, żem się dała na-

zbyt łatwo pokonać; ale tak, zamiast wstydu, jam dumna z mojej miłości, jam dumna, że poglądasz na mnie tak tkliwie; dumna że jestem czémkolwiek dla ciebie, żeś ty wszystkiem dla mnie Adryanie! Niech mi Bóg przebaczy, jeśli cię kocham nad miarę.

Adryan pochwycił jej ręce, i przycisnął je do ust z zapalem. Ona ich nie usunęła, ale oczy zwróciła ku niebu i przez chwilę zdało się, że go nie słucha, mimo że słowa jego pełne miłości dźwięcznie odbijały w jej sercu. Nigdy nie widział jej tak piękną; nigdy dotąd nie uczuł dla żadnej ziemskiej istoty współczucia tak głębokiego, tak wyłącznego a tak boleśnego zarazem. Może w tej chwili cień lekki, jak odbicie drobnej chmurki o gładką powierzchnię jeziora, przebiegł jego umysł; może zapytał sam siebie: jestże to kobieta o jakiej niegdyś marzyłem? Ale jednak nie czuł żalu, ani zawodu. Odrębny charakter Gertrudy, tém droższą mu ją czynił. Przeczuwał w jej duszy niepospolite cnoty, ale zarazem widział ją narazoną na nieznaną drugim niebezpieczeństwa. Nie troszczył się, czyli znajdzie w tém szczęście, że tak wyłącznie opanował jej płomienne serce, jej duszę pełną zapalu. Własne szczęście nie było nigdy celem jego myśli. Widział tylko nową powinność do spełnienia.

— Muszę odjechać—rzekła—nakoniec muszę wybić sobie z głowy tę szaloną trwoję o przyszłość.

— Czy będę mógł—zapytał—przybyć w niedzielę do Lifford-Grange i odwiedzić twą matkę? Wkrótce bowiem udam się do Irlandyi, zkąd powrócę niezadługo.

— O tak, tak, jeszcze jedna niedziela, jeszcze kilka dni szczęścia! Żegnam cię Adryanie!

Ale godzina burzy, którą Gertruda przeczuwała instynktowo, miała wybić niebawem. Pan Lifford powrócił, Gertruda zносиła cierpliwie pierwsze tygodnie nieobecności Adryana. Nadzieja, oczekiwanie stanowczego w życiu wypadku, kołysały jej wyobraźnię, zaspakajały serce. Aż jednego wieczora usłyszała turkot powozu na zamkowym dziedzińcu. Ruch niezwykły panował w pokoju jej ojca. W godzinę potem powóz odjechał. To Adryan niewątpliwie! Gertruda zapukała do pokoju pana Lifford, a po raz pierwszy stawiając czoło zwykłej jego obojętności, błagała go usilnie, aby jej powiedział, czyje przyjmował odwiedziny. Pan Lifford podał jej kartkę, na której wyryte było jakieś nieznanome nazwisko. Odtąd niepokój, trwo-

ga, zwątpienie, bolesny zawód po zbudzonej z każdym dniem nadziei, niby na torturach trzymały duszę Gertrudy. Choroba matki wzmogła się nagle, wkrótce wybiła godzina śmierci. Gertruda usłyszała przelotnie kilka słów z ostatniej rozmowy umierającej z ojcem: „Nie—mówiła matka—nie, to niepodobna! powiedz żeś tego nie zrobił!” A potem „złeś postąpił Henryku: ja ci mówię, że źle, bardzo źle!” Tu usłyszała Gertruda przeciągły jęk boleści. I drzwi się otworzyły, a pan Lifford wszedł blady i rzekł drżącym głosem: „Gertrudo, twoja matka kona”. Jakoż skonała w kilka chwil potem.

Gertruda została sama z ojcem, który jęj niecierpiał: matka umarła, d'Arberg ją porzucił, stary ksiądz był w Hiszpanii, dobra pani Redmond miała jechać do Londynu z córką i Maurycym. Wszystko się złożyło na jęj udręczenie, gdy w niecały miesiąc po śmierci matki, pan Lifford przywołał Gertrudę do swego pokoju. Po kilku przedwstępnych słowach, w których tłumaczył się przed córką, że zmuszony jest mówić o rzeczy nieodpowiedniej ich wspólnej żałobie, oznajmił w sposób oschły i nakazujący, że przyrzekł jęj rękę bogatemu i świetnie urodzonemu Hiszpanowi, który ma przybyć nazajutrz. Gertruda nie odrzekła ani słowa. Pan Lifford badał ją oczyma. „Ojczy, rzekła nakoniec, poglądając nań przenikliwie, chcięj mi odpowiedzieć na jedyne pytanie: Czy nikt inny nie oświadczył ci dotąd podobnego życzenia?” „Nikt” odparł ojciec po chwilowym namyśle. „To być nie może ojczy, rzekła z udaną obojętnością, Adryan d'Arberg żądał od ciebie mojęj ręki: jestem pewna tego.” Pan Lifford wyznał prawdę. Serce nie zawiodło Gertrudy, i był to powóz Adryana, którego turkot uderzył ją tak boleśnie. Pan Lifford zmuszony był przyznać się do kłamstwa w obec córki. Ale i cóż przyszło Gertrudzie z odniesionego nad ojcem zwycięstwa? Pan Lifford zawiedziony w rachubach próżności, mści się okropnie nad córką. „Ten człowiek, rzecze, nie godzien był ciebie: bez względu na przyrzeczenia o których mówisz, opuścił cię nikiemnie“, i to mówiąc wskazał jęj na dowód ustęp z francuzkiego dziennika, oznajmujący, że Adryan d'Arberg wszedł do seminaryum.

Gertruda nic nie odrzekła. Uderzona boleśnie jakby gromem, jednę tylko miała chęć, jednę wolę: uciec z rodzicielskiego domu. Po bezsennęj nocy, z piérwszym brzaskiem dnia, słyszy niezwykły ruch w zamku. To narzeczony przybył zape-

wne! Wysuwa się przez ogród nieznacznie i bieży ku domowi pani Redmond. Wdowa tegoż poranku wyjechała do Londynu wraz z Maryą; sam Maurycy pozostał w domu, a i on gotował się do odjazdu. Zamiast współczucia przyjaźni, której pragnęło biędne serce Gertrudy, znajduje tylko miłość Maurycego. Młodzian z rzewnemi łzami, z uniesieniem przyjmuje jęj wyznanie i pragnie wywieźć ją do Londynu. Jeśli Gertruda przystanie na to, musi go zaślubić. Pogrążona w boleści, przyrzeka mu rękę, nie ma siły oprzeć się sercu, które ją kocha tak stale, a potém pragnie się zemścić nad samowładnym ojcem: chce postawić wieczną i niezłomną tamę pomiędzy sobą, a dumnymi i pełnymi przesądu jego widokami. Córka rodu starożytnego, sięgającego krucyat, ma zostać żoną artysty! Jakaż ztąd plama spadnie na herbową tarczę Liffordów! Z jednéj strony pociągnięta szczerą miłością Maurycego, z drugiéj pchana duchem sprzeciwieństwa, daje się wieźć na żelazną kolój. W kilka godzin przybywa do Londynu, nie do poetycznego Londynu wymarzonego w jęj wyobraźni, lecz do Londynu pogrzebanego we mgle zimowéj, zatopionego w błocie. Maurycy prowadzi ją do matki i siostry, które oniemiały z podziwienia na jęj widok. Smutna rodzina: narzeczony pełen gorączkowego szału, narzeczona półmartwa i bezprzytomna, siadają do najętego powozu i udają się do katolickiéj kaplicy, gdzie naprędce ślub się odbywa.

— O mój Maurycy, będę usiłowała zostać dobrą i wierną żoną — rzekła Gertruda do młodziana, któremu oddała przed chwilą szkielet biędnego serca.

Maurycy musiał na tém poprzestać.

Związek ten od piérwszego dnia naznaczony piętnem złowieszczém, chorobliwy był i gorączkowy. Gertruda ochłonawszy z uniesienia nie miała do Maurycego żalu, ani niechęci. Nie brała mu za złe, że korzystał z jęj boleści i szału. Usiłowała być dobrą, ale czuła w duszy pewne letargiczne uspienie i obłęd, zwykle następstwa rozpaczy. Maurycy z natury umysłu niespokojnego i słabego, czuł jak niezłomna zapora istniała między nim, a Gertrudą. Niekiedy oburzał się gwałtownie, niekiedy czuł litość nad biędną ofiarą. Skutkiem tych walk nieustannych, tych ciągłych przejść z gniewu do rozrzewnienia, jednego dnia Maurycy uczynił żonie okropne wyznanie. Tegoż samego poranku, gdy poślubił Gertrudę, otrzymał list od Adryana d'Ar-

berg. Adryan zbijał fałszywe pogłoski, krążące o nim, i rozpytywał troskliwie o Gertrudę. Maurycy występłą powodowany słabością ukrył wtedy ów list przed narzeczoną, która za chwilę miała z nim stanąć do ołtarza; teraz zaś okrutny i niebaczny zarazem, ukazał go Gertrudzie, chcąc się przekonać o ile żyje w niej jeszcze wspomnienie Adryana. Młoda kobieta dotąd siłą woli, po bohatersku naginała swą duszę pod jarzmo konieczności, i żyła od roku, ulegając pozornie, ale niemniej kryjąc milczący opór w głębi serca. Odtąd czuła się rozwiązana z wszelkich kępujących ją moralnie węzłów. Ręka jęj pozostała przykuta, ale myśl wybiegała swobodnie, niczém już niekępowana. Rozdział duchowy nastąpił pomiędzy nią a małżonkiem. Maurycy pełen rozpachy wybiegał ciągle z domu, a w obec Gertrudy milczący był i ponury. Porzuczał po jednęj lekcyi muzyki, a szukając łatwiejszego zarobku, i bardziej gorączkowych wrażeń, włożył małą sumkę, jaką posiadał, w niepewną spekulacyą. Wkrótce stracił co miał, więzienie czekało go za długi. Gertruda ratując go, oddała wszystko, co jęj umierając przekazał był ksiądz Lifford. Uwolniwszy męża skłoniła go do opuszczenia Anglii, gdzie trudno im było żyć dłużej: postanowili udać się do Ameryki.

Wsiedli oboje na statek, ale w chwili, gdy mieli odpłynąć, gdy niepodobna już było wstecz powrócić, Gertruda pomieszana spostrzegła na pokładzie dawno znajomą lady Klarę Audley, która żegnała właśnie jakiegoś odpływającego podróżnika: tym podróżnikiem był Adryan d'Arberg. Adryan uwiadomiony o dziwném małżeństwie Gertrudy, część majątku oddał bratu, drugą część rozdał na dobroczynne zakłady: sam zaś zgromadziwszy garstkę Irlandczyków pod swoje skrzydła, odpływał wraz z niemi, aby szukać na nowym lądzie chleba i swobody.

Nieuchronne nastąpiło przesilenie. Te serca rozbite w okropnej powodzi żywota, napotkały nowe niebezpieczeństwo, tam właśnie, gdzie szukały ocalenia. Adryan zajmował z Irlandczykami swemi pośledniejszą część okrętu, wszelako nie uniknął spotkania z Gertrudą. Nastąpiło wzajemne wyjaśnienie, hamowane uczuciem przyzwoitości i obowiązku ze strony Gertrudy, pełne bolesnego poddania się ze strony Adryana. Po tém wyjaśnieniu Gertruda niemniej była smutna, ale spokojniejsza. Maurycy spostrzegł obecność Adryana. Wrzała w nim bo-

lesna walka między zazdrością a wyrzutem; miłością a ciężkim żalem. Tał on te walki w najskrytszej głębi duszy, aż nareszcie uległ im i zachorował. Gertruda pragnąc odpokutować grzeszną myśl (która mimowoli przebiegła na chwilę jęj głowę), że połączenie z Adryanem jest możliwem w przyszłości; Gertruda mówię czuwała troskliwie nad Maurycym. Jednego wieczoru oczekiwała doktora.

„Godziny płynęły, a doktor nie przybywał. Późno było; Maurycy coraz był słabszy: boleści jego wzmagaly się, oddech ustawał; Gertruda pełna trwogi, nie śmiała go odstąpić: wybiegła wreszcie, a spostrzegłszy służącego, błagała, aby pośpieszył po doktora. Gdy wróciła, Maurycy skinął na nią i prosił, aby usiadła u wezłowia.

— Słuchaj mnie Lady Bird—wyrzekł zcicha—bo ostatni raz nazywam cię tém imieniem. Przebacz mi wszystko, coś wycierpiała z méj przyczyny. Lepiej byłoby dla ciebie, gdybym się był nigdy nie rodził, ale jeżeli teraz umrę, życie moje nie będzie już tobie ciężarem: nieprawdaż Gertrudo? Jesteś tak młoda, możesz liczyć na długie lata szczęścia. Gdy będziesz szczęśliwą, czy przebaczysz mi, zem cię tyle kochał przez krótkie życie moje? Czy przebaczysz mi, że miłość uczyniła mnie samolubem i szaleńcem? Nie płacz, nie odwracaj oczu odemnie: pocałuj mnie raz jedyny.

Gertruda objęła głowę męża i złożyła pocałunek na jego bladém czole. Maurycy osłabł, tchu zabrakło mu w piersi.

— Daj mi krople—zawołał—prędko, bo nie mogę odetchnąć!

Oczy Gertrudy nabiegły łzami, mgła wzrok jęj przysłoniła. Wlała lekarstwo w szklanke: Maurycy połknął je do kropli.

— Jakież to okropne—rzekł zcicha.

Straszne widziadło przemknęło przed oczyma kobiety, śmiertelnie zbladły jęj lica, gdy klęcząc przed lampką, przeczytała napis przyczepiony do flaszki *Laudanum*—trucizna! Jest siła cudowna w chwili najwyższej trwogi: Gertruda nie padła, nie omdlała, ale wybiegła za drzwi kajuty i tak rozpaczliwie błagała o doktora, że kilku podróżnych wyskoczyło z łózek, pragnąc jak najspieszniej uczynić zadość jęj woli. Ona usiadła przy mężu, utuliła na piersi jego głowę i wlepiła w nią wzrok obłąkany. Szatan poszepnął jęj znów okropne słowa: „Jeśli

umrze, będziesz wolną.” Zadrżała. Strasznie wyglądało jej oblicze, pochylone nad obliczem małżonka. On jej wszakże nie widział: skarżył się tylko na okropne boleści. Ona czuła śmierć w piersi, mówiła jednak spokojnie, podniecona jakąś nadprzyrodzoną mocą. Czuła, że jeżeli mąż umrze, jej życie wiecznym zatrute będzie wyrzutem. Dopóki żył, była dla niej nadzieja: wiedziała bowiem, że miłosierdzie Boskie jest nieskończone, równie jak jej boleść. Doktor przybył strudzony, zadyszany, miał bowiem wielu chorych na statku.

— Pan Redmond — rzekł wchodząc — nie może się mieć gorzej, niż kiedym go ostatni raz odwiedzał: już i tak było źle, bardzo źle.

Gertruda porwała za flaszkę, podała ją doktorowi, i szepnęła mu do ucha:— Dałam mu to.

Doktor się wzdrygnął i wybąknął przez zęby przekleństwo.

— Ha! więc wszystko skończone—dodał po chwili.

Gertruda nie zemdląca, złożyła tylko ręce, jakby do modlitwy.

— Ratuj go panie, czyń wszystko co możesz!

I stała przy mężu nieruchoma, podczas gdy doktor ratował go wszelkimi możliwymi sposobami: patrzyła w milczeniu wstrzymując oddech w piersi, cierpiąc męczarnie skonu.

— Nie mogę już nic więcej uczynić—rzekł doktor nakoniec—muszę iść do drugich. Nie daj mu pani zasnąć, wszystko zależy od tego: rób co możesz, rozmawiaj z nim, poruszaj go. Ja odchodzę.

Gertruda pochwyciła jego rękę, a patrząc nań błagalnie, wyrzekła drżącym głosem:

— Powiedz pan Adryanowi d'Arberg, żeby tu przyszedł natychmiast; powiedz mu pan, że Maurycy Redmond umiera, że go własna żona zabiła.

Potem uklękła u stóp męża, i nie kryła już przed nim swą twarz; mówiła do niego rzewnym głosem, patrzyła mu w oczy, chcąc go gwałtem rozbudzić z odurzenia ogarniającego mu zmysły; wołała na niego po imieniu, cisnęła do piersi jego ręce.

Drzwi się otworzyły, Adryan stanął przy Gertrudzie blady, ale nie złamany boleścią. Ona szepnęła, nie zwracając oczu ku niemu. „Co ja pocnę, jeśli umrze!” Powieki Maurycyego przymykały się zwolna; zdało się, że nic już nie widzi, nie

słyszy, nie czuje. Gertruda rzuciła na Adryana wzrok okropnej rozpacz; on zbladł bardziej jeszcze, położył rękę na ramieniu kobiety i rzekł z cicha ale stanowczo:

— Módl się Gertrudo, módl się całą siłą rozpacz; ja będę czuwał przy łóżku. Spędzimy razem te chwil kilka, a potem jakakolwiek będzie wola boska, cokolwiek bądź nastąpi.....

— Rozłączymy się nazawsze—dodała kobieta.

— Amen—dokończył Adryan.

— To nasz ślub—rzekła cicho Gertruda.

— Tak uroczysty, jak ta chwila śmierci—odparł Adryan. Idź teraz, proś Boga, aby się zmiłował nad nami.

Ten ślub, ta ofiara uczyniona Bogu przez kobietę, która obwiniała się o spełnienie zbrodni, przemienia ją i odradza: Adryan i Gertruda ocalają Maurycego. Odzyskawszy przytomność widzi przy sobie żonę i przyjaciela. Strwożonem okiem wskazuje Gertrudzie Adryana: „Nie trwóż się daremnie, wszystko przeszło — rzekła z cicha, odpowiadając na jego myśl tajemną—wierz mi o mój Maurycy, zaklinam cię na wszystko, com wytrwała téj nocy, na to, cośmy znieśli od chwili naszego małżeństwa, zawierz mi odtąd zupełnie. Odtąd miłość moja wyłącznie do ciebie należy: dałam ci ją w tę okropną chwilę, nie przetrwałam naprózno téj najsroższej próby, na jaką serce zaślepione w grzechu narażone być może.” I Maurycy czyta prawdę w spojrzeniu żony. Gertruda odrodzona w duchu zupełnie zaparciem siebie, poświęceniem uczucia, które niegdyś było najwyższą rozkoszą jęj serca; Gertruda godzi się z życiem i powinnością: jest spokojna, głęboko pobożna, słowem, jest szczęśliwa, a Bóg cudem łaski uwieńcza jęj ofiarę.

W tém odrodzeniu leży moralne rozwiązanie powieści. Wypadki jęj kończą się w kilku słowach: Maurycy umiera za przybyciem do Ameryki, owdowiała Gertruda w małym synku znajduje pociechę i zapełnienie życia; Adryan zostaje misyonarzem. W kilka lat potem Gertruda odbiera list od brata swego Edgara. Od czasu domowych nieszczęść, pan Lifford długie lata podróżował wraz z synem, a w końcu powrócił do Lifford-Grange. Dumny potomek Krzyżowców ugiął kark pod siłą ciosów, jakie pychą bez granic i uporem sprowadził na własną głowę: zaczął wspominać znowu imię Gertrudy, o której dotąd zdało się że zapomniał.



Edgar mniemał, że przybycie córki wróci spokój duszy zboląłego starca: Gertruda wraca więc do ojcowskiego domu z małym Maurycym, a siłą zupełnego przebaczenia zdejmuje klątwę z odwiecznego zamczyska. Edgar pragnął oddawna zawrzeć związek małżeński, ale bał się, czy wyborem swoim nie potraci starych przesądów Lifforda. Gertruda błaga ojca za bratem. Pan Lifford na to ukazuje jój portret matki, i jój własny malowany przed laty. „Mówisz—rzecze—do człowieka, którego pycha zabiła te dwie istoty; czyż Edgar mniema, że dotąd czcę na oślep te bożyszczą, które je przyprawiły o zgubę?” Gertruda zamiast odpowiedzi, rzuca się w ojcowskie objęcia: pan Lifford odsuwa ją zlekka, poglądając na nią z niedowierzaniem.

— Czyż myślisz ojcze, że nie jestem szczęśliwą?—rzecze na to z anielskim uśmiechem, a na obliczu jój odbił się cudowny wyraz wewnętrznego spokoju, którego świat dać, ani odebrać nie może. Rozrzęwniony ojciec przycisnął ją do piersi i pobłogosławił drżącą ręką.

Odtąd zakwitły kwiaty w ogrodzie, a szczęście w starożytnym zamku Lifford-Grange.

Taka jest treść dwóch znakomitych utworów niewieścich, dwóch odmiennych pomysłów, przybranych w równie odmienną formę. I któraż z niewiast wyższą rozwija myśl, wznioślejsze rozwiązuje zagadnienie? Czy ta, co wskazując się spoczywającą w głębi piersi, uczy jak ją wydobyć i spożytkować, jak w miejsce znikomiej a poetycznej ułudy uganiać chłodną, lecz pewniejszą rzeczywistość; czy tamta, co na gruzach zburzonego szczęścia buduje wyższą szczęśliwość; która uczy jak zdobyć spokój niezależny od ziemskich wypadków, którego świat ani dać, ani odebrać nie może; która smutne ofiary własnej namiętności i pychy wiedzie drogą łez i zawodów przez świat i życie, aż doprowadziwszy je do najwyższego kresu ziemskiej niedoli, wskazuje zboląłym, jak mają modlitwą wybłagać łaskę z nieba; jak poświęceniem i cierpieniem iść w ślady Zbawiciela i odkupywać pomału swoje i cudze grzechy; jak pokorą i poddaniem odradzać się w pierwotnej czystości i prostocie; jak zdobywać najwyższe zadanie życia—oswobodzenie się w duchu nie od światowych więzów, ale od pęt własnej słabości, od starych przesądów występnej pychy!

Panna Breton daleka od prawdziwie chrześcijańskiej pokory, nie liczy na łaskę i objawienie, ale bierze za cel dowieść: że człowiek dzielnością woli pokona wszelkie zapory stojące mu na drodze; złamie zewnętrzne burze i dojdzie tam gdzie zechce, byle trzymał na straży rozum i nie dał mu obłąkać się marzeniem, ani ślepą namiętnością. Lady Fullerton wyżej sięga myślą: nie ogranicza jój bowiem na pogoni za zwyczajną ziemską dola, ale wskazując życie, jako znojną wędrówkę, jako pole walki i zasługi, a zarazem uczuć poświęcenia, podaje tajemny klucz do wyższej szczęśliwości. Przeprowadza ona bohaterów swoich przez ogień boleści, i wiedzie ich pod stopy krzyża, gdzie dopiero pojmują w pełni zadanie żywota, i oglądają w całym blasku cudowne oblicze wiekuistej prawdy.

Panna Breton czerpie natchnienie w chłodnej rozwadze i rozsądku. Znając sprężyny sztuki, porusza je umiejętnie i wie jak działać na umysł i wyobraźnię czytelnika; pani Fullerton porywa siłą zapału i religijnego przekonania. Znać, że natchnienie spływa w jój duszę prosto z nieba, z nieprzebranego źródła łaski, z którego tylko czerpią uciechy poeci i nieśmiertelni artyści wszystkich czasów.



## KRONIKA LITERACKA.

---

*Do szanownych wydawców Słowiańsko-Polskiego Słownika Lindego, i Czysto-Polskiego Słownika zapowiedzianego przez Maurycyego Orgelbranda z Wilna.*

Milém i pocieszającym zapewne zjawiskiem nietylko dla każdego miłośnika języka ojczystego, ale nawet dla miłośników mowy słowiańskiej, jest nowe wydanie Słownika wiekopomnej pamięci naszego Lindego, uskuteczniane we Lwowie nakładem Biblioteki Ossolińskich, a to tém bardziej, że nieśmiertelne to dzieło nietylko jest skarbem dla naszego języka (na co się zgadzają obecni jego wydawcy), ale i dla całej mowy słowiańskiej, czego mu ciż nader niesłusznie nie przyznają: twierdzą bowiem na str. 9 swojej przedmowy, że „Słownik Lindego co do dyalektów słowiańskich, według dzisiejszego ich pojmowania, bardzo ograniczonego jest użytku.

Jeżeli tak, będzie to winą nie Lindego, który ze swój strony uczynił wszystko, co tylko w jego czasie uczynić było można; ale skutkiem niedopatrzania się obecnych jego wydawców, czemu jednak, jak niżej wskażę jeszcze łatwo zaradzić będzie można w nader prosty sposób. Tymczasem, któżby się na to nie zgodził, że Słownik Lindego jest dla nas skarbyem językowym; nad tém jednakże ubolewać nam trzeba, żeśmy dotąd niestety, zwłaszcza w późniejszym czasie z tego skarbu naszego albo bardzo mało korzystali, albo, co gorsza. i obecnie wcale nie korzystamy. Na dowód tego, że tak jest, wspomnę tylko o wyszłym w łacińskim języku piśmku: „Pelasgia” drukowaném u Wolffa w Petersburgu 1851 r., w którym autor wywodzi początek języka polskiego z mowy starożytnych Pelasgów (cujus quidem rei fides penes auctorem set). Zestawia on tam na str. 23 i 24, jako spowinowaczone i jakby z jednego pierwiastku (ἔτυμον) płynące wyrazy polskie (?) zegar ζεύγος, ζύγος, ζευγάριον, polskie zagrać zegrać, zagarnąć, zagreznąć; kraińskie zagernete; pol. zagrzewam; luż. za-

*hre, zahremam, pol. zagrzebam, zagrzeszę* i t. d. i t. d. U nas np., za przykładem nieodżałowanej straty zacnego autora Dziejów rzeczypospolitej polskiej, czytamy często w naszej Gazecie: *dzisiajszy, tutajszy*; chociaż w Słowniku Lindego wyraz *dzisiajszy* jest oznaczony u góry gwiazdką, jako w téj potwornej postaci nieużywany, a formy wyrazu *tutajszy* nie czytał nigdzie Linde, boby ją w swym Słowniku był umieścił. Biedny Linde! tyś najpiękniejszy wiek życia twojego strawił na zgłębianiu języka ojczystego, na jego porównywaniu z innemi, a zwłaszcza słowiańskimi językami; my zaś daleko szczęśliwsi: bo bez pracy, bez ślęczenia w umiejętności językowej mędrsi jesteśmy od ciebie. U nas w Księstwie są nawet tacy, nie wiem czy też i u was w Królestwie, którzy sądzą, że wstydem byłoby dla Polaka uczyć się macierzystego języka!

Na coś podobnego zakrawa i autor listu z Pragi Czeskiej, którego wyjątek umieszczono w poszycie wrześnieowym r. 1855 Biblioteki Warszawskiej str. 591. Zdaje mu się bowiem przy przeglądzie czeskich spisów bibliograficznych dziwną rzeczą, że napotyka dotąd jeszcze (niestety?) badania grammatyczno-filologiczne; a Czasopismo Czeskiego Muzeum nie dotyka nawet, według niego, wcale kwestyi żywotnych: bo tam tylko, jak powiada, filologia i materiały historyczne surowe i t. d. przeciążają. Nie uważał zapewne autor listu albo zapomniał, jakie było życie literackie i narodowe w Czechach i Pradze, nim wystąpił ks. Dobrowski ze swemi niby martwemi badaniami grammatyczno-filologicznemi, a jakie jest dzisiaj?

Lecz nie dziwujmy się tym *diis minorum gentium*, kiedy mamy dwóch nader znakomitych i czcigodnych mężów, stojących na świeczniku literatury naszej, którzy na poparcie swoich etnograficznych i mytologicznych twierdzeń zapuszczają się zwykli w wywody etymologiczne, które w oczach badacza językowego słuszenie uchodzić muszą za czczą igraszkę. Czemuż ci zkadınąd tyle zasłużeń dla naszej literatury mężowie, czemuż taki autor *Pelasgiae et consortes*, nim się puszcza w swych badaniach w dziedzinę językową, przynajmniej wprzód z uwagą nie przeczytają „prawideł etymologii”, które Linde dodał do I tomu swego Słownika, i umieszczonych przy ostatnim tomie sprostowań ks. Dobrowskiego? O ileżby ubyło nedorzecznosci! Słuszenie powiedział nasz Cegielski w swojej rozprawie o słowie polskiem, wydanej w Poznaniu r. 1852, na str. 28 w przypisku, że: „prace olbrzymie Lindego leżą dotychczas jak kopalnie złota, oczekując ręki pilnej i przemyślniej, i smutne dają świadectwo o narodzie, który przez pół blisko wieku, nie mówię nie przysporzył téj pracy, ale co gorsza, czy nie śmiał, czy nie chciał ściągnąć nawet ręki po skarby tam ukryte. Wstyd powiedzieć: Linde leży przed nami w sześciu tomach in 4-to, z ogromnym zapasem materiałów języków słowiańskich, greckiego, łacińskiego i germańskich nawet, a my się nie wstydzimy popisować z bredniami etymologicznemi!” I zaiste rzadki to u nas podobno pisarz, któryby w wątpliwości

chciał zajrzeć do słownika Lindego, do owęj księgi praw pod względem naszego języka. Co większa, czytamy w poszycie sierpniowym Biblioteki Warszawskiej r. b., w zapowiedzi księgarza Maurycego Orgelbranda w Wilnie o zamierzonym wydaniu nowego Słownika języka polskiego, że Słownik Lindego (jak widać z ducha odezwy) jest dziełem (tylko) pomnikowem. A więc na to tylko pracował Linde ze swoim przyjacielem i dobroczyńcą wiekopomnej pamięci hrabią Ossolińskim nad tym słownikiem, aby po pierwszym jego wydaniu, jako pomnik przechowawszy się w księgozbiorach od r. 1814 aż do r. 1855, i w drugim swoim wydaniu lwowskiem był skazany na los podobny pierwszemu? O! gdyby tak być miało, jak sądzi księgarz wileński, nie byłibyśmy godni takowego skarbu, jakim nasz naród obdarzył Linde przy pomocy Ossolińskiego. Zapewne nietylko dla przechowania tego skarbu jako pomnika językowego, podjęła dyrekcya zakładu Ossolińskich we Lwowie nowe jego poprawne i pomnożone wydanie; zamierzyła ona sobie zarazem i jego upowszechnienie. Zrozumiała ona bardzo dobrze wyrazy Lindego, na końcu jego przedmowy umieszczone: „Już teraz ziomkom moim trudno nie będzie, czego brak, pododawać, w znajdującem się przebierać, znaczenia doskonałej wyluszczać, stosunki dokładniej powytykać; a tak z czasem zaszczycić język narodowy słownikiem, jakiego on wart jest w samej istocie, i którym go chyba jedno Towarzystwo Przyjaciół nauk obdarzyć może.”

Widać to z ogłoszenia Dyrekcji, umieszczonego przy pierwszym tomie, i odbitego w poszycie październikowym z r. b. Biblioteki Warszawskiej str. 198; i wdzięczni jej jesteśmy za wszystkie tam rzeczony poprawki, sprostowania, objaśnienia, a mianowicie za oddrukowanie wyrazów staro-słowiańskich kirylicą, zamiast abecadłem grażdzańskim, jak to jest w pierwszym wydaniu. Uwzględniała więc przez to oprócz polszczyzny, jeszcze dwa narzecza, to jest narzecze starosłowiańskie i rosyjskie; lecz czemużto, iż tak rzekę, zaniedbała inne tam umieszczone narzecza, których wyrazy Linde sądził być godnymi umieszczenia w swoim Słowniku? Wszakże, jeżeli w samej rzeczy Słownik Lindego jest nietylko skarbem naszym narodowym, lecz téż skarbem dla wszystkich naszych słowiańskich pobratymców (prócz Bulgarów), czego niestety, wydawcy jego nie uznają; powinni go jednak, jeżeli nie przez słuszny wzgląd dla pobratymców, to przez wzgląd dla własnego narodu uczynić i dla swoich i dla nich przystępniejszym.

Twierdzić, żeby w Słowniku Lindego skarbów dla innych Słowian nie było, jak sądzą jego wydawcy, jest to ubliżać pamięci wielkiego meża, bo tak nie jest. Odkryją się te skarby, kiedy uczynim co do nas należy; a powinnością naszą zapewne jest starać się o to, aby żadna odrobina pocziwój i mozolnej pracy jego próżno nie marniała: ale rzucona w razie potrzeby na żyzną i do niej przysposobioną niwę, pożądany owoc przyniosła. Jest to skarb, ale potrzeba klucza, aby do niego mieć wolny przystęp; trzeba pier-

wój tę zbutwiałą i grubą warstwę kurzu i gruzów, owój przestarzałej i dziwacznej pisowni, zwłaszcza naddunajskich narzeczy, uprzętnąć, aby go odkryć i oku czytelnika odsłonić. To jednak, co w tym względzie dyrekcya zakładu Ossolińskich uczyniła, jeszcze bynajmniej mojem zdaniem nie wystarcza. Wejdźmy w szczególności. I tak, dobrze jest, że rozróżniła kirylicą wyrazy starosłowiańskie od rosyjskich; lecz na cóż się to przyda i właścicielowi nowego wydania, który nie zna głosek ani kiryllskich, ani grażdzańskich? Jak sobie poradzi, kiedy mu będzie zależało na porównaniu wyrazu polskiego z wyrazem staro-słowiańskim lub rosyjskim? Jeżeli tylko ziomkowie obeznani z kiryllskim i grażdzańskim pismem nowe wydania nabywać mają, o jakże ich mało będzie! Należało przeto zaraz przy pierwszym tomie podać tablicę tych dwóch abecadeł, z krótkim objaśnieniem dla Polaków ich brzmienia, znaczenia i pisowni. Dalej Linde prócz tych dwóch narzeczy staro-słowiańskiego i rosyjskiego porównywa wyrazy polskie z wyrazami jeszcze siedmiu innych narzeczy słowiańskich, to jest: czeskiego, słowackiego, górno i dolno-łużyckiego, serbskiego (które niewłaściwie podzielił na 4 narzeczka, to jest na bośnieńskie, dalmackie, raguzzańskie i sławońskie, a wszakże są to tylko podrzeczka jednego dyalektu serbskiego), kroackiego i korutańskiego (jak je nazywa Szafarzyk), którego również dwa podrzeczka krańskie i windyjskie, jako osobne narzeczka przytacza. Opuścił tedy zapewne tylko w braku materiałów i źródeł narzeczka mało-ruskie, białoruskie i bułgarskie. Boć nikt zapewne, kto się zgadza z Szafarzykiem, języka litewsko-ruskiego Statutów litewskich, znanego Lindemu, ani za biało ani za mało-ruszczyznę poczytywać nie zechce.

Jeżeli przeto w Słowniku Lindego nie ma wyrazów mało i białoruskich, i bułgarskich, czyliżby nie należało umieścić takich zwłaszcza wyrazów, które są wyłączną własnością tych 3 narzeczy? Tu może wydawcy są przeciwnego zdania, ale tu przemawia za mną głos samego autora Słownika, który powiedział: „Już teraz ziomkom moim trudno nie będzie, czego brak pododawać i t. d”. A tego właśnie brak, aby ten Słownik uczynić użytecznym bez wyjątku dla wszystkich Słowian. A jeżeli tego nie dopełniono, to przynajmniej należało koniecznie objaśnić czytelnika co do pisowni wyżej rzeczonych narzeczy.

I tak np. co do pisowni czeskiej i słowackiej Bernolaka, te należało w tablicy porównać z terażniejszą pisownią czeską; pisownią zaś górno i dolno-łużycką autorów, z których czerpał Linde, z pisownią Smolera, Haupta i Jordana. A co do starych pisowni narzeczy i podrzeczy Ilirskich, jakato tam gmatwanina; istna wieża Babel! Te wszystkie rozliczne sposoby wyrażania brzmień słowiańskich, po włosku, po niemiecku, po madziarsku i Bóg wie po jakimu, należy sprowadzić w rubrykach tablicy, z jednej strony do nowszej pisowni Wuka, z drugiej strony do pisowni Berlicza.

Jeżeli nie umieści się takiej tablicy przy nowém wydaniu Lindego, cóż pocznie Polak nieobeznany z temi rozlicznemi pisowniami narzeczy pobratymczych, używanemi za czasów Lindego, a dzisiaj po większej części już przestarzałemi? gdy np. przy wyrazie „człowiek“ znajdzie dolno-łużyckie zlowek, wendyjskie zhlowek, dalmackie chyowik, cjoviek i t. d.; oto przeczyta według prawideł polskiej pisowni; a wymówiwszy takie potwory, sądzić będzie w samój istocie, że te potworne i dzikie brzmienia są właściwe tym narzeczom: gdy tymczasem „człowiek“ po dolno-łużycku nazywa się clowek, po dalmacku czowik i t. d. Czyliż tu Polak nie znajdzie się w położeniu Niemca nieumiejącego czytać i wymawiać po polsku, który wymówiwszy polskie wyrazy po swojemu, wyda według siebie słuszny i nieomylny wyrok, sądząc po swoim własnym wymawianiu, że nie ma nic obrzydliwszego dla ucha, nic więcej barbarzyńskiego, jak język polski. Dla przykładu weźmy jeszcze wyraz „żaba: w Słowniku Lindego jest po kraińsku, wendyjsku, dalmacku shaba; po kroacku saba; po ragusańsku i slawońsku xaba, po bosnieńsku sgjabba: gdy tymczasem wszystkie te sposoby pisania, wymówione według woli ich autorów, to jest jak się należy, brzmią w mowie żywej w tych wszystkich narzeczach nie inaczej, tylko tak samo jak nasze żaba.

Trzeba więc, mojem zdaniem, przydać koniecznie Alphabetarium wszystkich tych rozmaitych pisowni, używanych w Słowniku Lindego, i to ściśle według tych grammatyk i słowników, z których on czerpał wyrazy, a na czele umieścić kirylicę. A że spodziewać się i życzyć sobie należy, ażeby to nowe wydanie Słownika Lindego, rozchodząc się pomiędzy naszymi pobratymcami rozmaitego szczepu i pokolenia, zaszło też i nad brzegi morza Adryatyckiego, do kapłanów obrządku Rzymskiego, używających jeszcze dotąd do służby Bożej języka starosłowiańskiego, wyrażanego glagolicą, a następnie umiejących czytać tę ostatnią, a nieznających może kirylicy; potrzeba objąć w tej tablicy i glagolicę w obudwu jęj postaciach, to jest tak w chorwackiej jak bułgarskiej. Aby zaś niczego co jest słowiańskim nie pominać, i wywołać przez Słownik Lindego w usposobionych do badań starożytności umysłach archeologów słowiańskich, dobrzeby było jeszcze objąć w skład tej tablicy i runy słowiańskie.

W końcu do Słownika Lindego należy, mojem zdaniem, dodać, według 9 narzeczy słowiańskich tam objętych, 9 spisów alfabetycznych wyrazów, i podać na której stronnicy i w której kolumnie, w którym tomie wyraz każdy się znajduje. A te wyrazy w tych spisach mogłyby być pisane, obok pisowni tekstu, pisownią zbliżoną do polskiej albo do czeskiej; a przynajmniej taką, jakiej użył w swój Słowiańskiej Porównawczej Głosowni Mikłosicz. Przez takie tylko bowiem spisy da się łatwo praca Lindego pogodzić z dzisiejszym pojmowaniem innych narzeczy słowiańskich, i możnaby w ten sposób łatwo sprawić, ażeby to olbrzymie dzieło

nietylko co do polszczyzny, ale nawet co do innych narzeczy, na długie jeszcze czasy było dziełem nader wielkiej użyteczności. Zachodzące myłki z winy źródeł, z których Linde czerpał, dałyby się łatwo w tych spisach sprostować bez upstrzenia dzieła i bez znacznego powiększenia jego objętości. Wynikłe ztąd może większe koszta nakładu, każdy nabywca nowego wydania chętnieby tak za Alphabetarium, jak i za takowe spisy w przypadającej na niego części zwrócił. O tém, w tak ważnej rzeczy mowy być nie może. Jeden tylko rzeczywisty brak sił stosownych do wykonania takowej pracy uniewinniałby poniekąd, lecz niestety! z uszczerbkiem umiejętności słowiańskiej, gorliwych o oświatę narodu wydawców, gdyby zaniechali tego koniecznego mojem zdaniem uzupełnienia. Oto są środki i sposoby, któremi zakład Ossolińskich uczyniłby mógł Słownik Lindego przystępniejszym, dogodniejszym i pożyteczniejszym, nietylko dla naszych ziomków, ale i dla wszystkich Słowian; i zapobiedz temu, aby ta wiekopomna praca nie była i nadal, jak sądzi księgarz wileński, tylko pomnikowém dziełem. Winniśmy zapewne uczynić wszystko, co tylko jest w mocy naszej, aby ten skarb języka naszego nie był dla nas i dla naszych potomków, jak dotąd, martwym kapitałem.

Mówiąc tyle o Słowniku Lindego, nie od rzeczy być sędzę wspomnieć téż, mimo mojego serdecznego uwielbienia, jakie z całym narodem i z uczonemi badaczami mowy ludzkiej podzielam dla tego nieśmiertelnego dzieła, o znakomitym błędzie, którego się dopuścił mąż ten, a którego obecnym jego wydawcom poprawiać się nie godziło; który jednakże należy koniecznie naprawić wydawcom wileńskim nowego czysto-polskiego Słownika. A tym błędem jest, że autor odstąpił od starego zwyczaju podawania słów w formie pierwszej osoby Oznajmującego, jak to czynili i dotąd czynią lepsi słownikarze greccy i łacińscy, a nawet i nasz ks. Knapski; lecz poszedł za powagą Grammatyki ks. Kopczyńskiego, a może i za radą samego ks. Dobrowskiego i za przykładem słownikarzy germańskich i romańskich języków. Zapewne ani Linde w Słowniku, ani ks. Dobrowski w Grammatyce nie byliby popełnili tego błędu (wynosząc Tryb Bezokoliczny do takiego nie należącego mu się wcale w mowie słowiańskiej dostojenstwa i znaczenia), gdyby byli jeden i drugi znali narzecze bułgarskie (tę jedyną córkę (?) według Szafarzyka starosłowiańskiego narzecza), w którym wcale ten tryb nie istnieje. Ks. Dobrowski wychodząc z tego trybu, urządził system zaiste najlepszy ze wszystkich istniejących. Nasz Cegielski zastosował go w swojej rozprawie do języka polskiego, Jordan do gorno-łużyckiego, Puchmayer do rosyjskiego i t. d.; a wreszcie Mikłosicz udoskonalił, rozwinął, i wyczerpnął to całkowicie, co zaczął summus Dobrovius, jak go słusznie nazywa Kopitar. A jednak system ten, tak wydoskonalony i opracowany, jest sztuczną, subtelną i dowcipną budową bez umiejętnej podstawy i pra-



wdy, podobny do wytwornych i subtelných systemów grammatyków indyjskich, jak to widać z takiej liczby klass, a w 1-wszej klassie tyle działów, które znowu się rozpadają na poddziały i t. d. Boć zaiste w mowie słowiańskiej nie w trybie Bezokolicznym, lecz w pierwszej osobie Oznajmującego, całego i prawdziwego tematu słowa szukać należy, tak dalece, że tam, gdzie temat w tej formie jest uszkodzony (mową uszkodzony, a nie według zwykłych praw głosowych przemieniony), jak np. *wiem, jem*: tam też słowo jest nieforemne. Więcej powodów i dowodów, dla których tak w Słowniku, jak w Grammatyce formę 1-wszej osoby Oznajmującego, jako naczelną uważać należy, znajdzie czytelnik w Schleichera *Formenlehre der kirchenslavischen Sprache*, i w mojej krytyce rozprawy Cegielskiego, w Bibliotece Warszawskiej poszyt lutowy z r. 1854).

Według tego słownikarz polski powinienby podać na czele słów pierwszą osobę pojedynczą Oznajmującego, powtóre 2gą osobę; na 3 zaś miejscu, zamiast trybu bezokolicznego, imiesłów na *ł*. Drugą osobę dlatego, aby wiedzieć z jaką spójką słowo się spaja (konjuguje), a tych spojkek jest tylko dwie: *je* i *ji*. Imiesłów na *ł* dlatego w Słowniku polskim stosowniejszy jest od bezokolicznego: gdyż, jakkolwiek końcówki *ł* i *ć* według tych samych praw to jest bez spójki, albo ze spójką łączą się z tematem, jednakże spółgłoska *ł*, jako twarda, łącząc się z nim bezpośrednio nie przemienia ostatniej tematowej spółgłoski; np. *mógł, rzekł, plół, bół*, których temata są: *mog, rzek, plót, bód*; gdy tymczasem końcówka *ć*, łącząc się z temi tematami, przemienia je w *módcz, rzec, pleśc, bóśc*, a to według stałych, zwyczajnych i dobrze już znanych praw głosowych. Jeżeli pomimo tego umieści słownikarz tu na ostatniem miejscu i tryb bezokoliczny, to tylko uczyni przez wzgląd na nieobeznanych z prawidłami Głosowni Polskiej, tak ziomek, jak i cudzoziemców; lecz nie z koniecznych wymagań umiejętności.

Daliej w słowach, (których temata kończą się zawsze na spółgłoskę) spajających się ze spójką *ji* (*i*), która w imiesłowie na *ł* i Bezokolicznym przez stopniowanie *Lautsteigerung* przechodzi w *ʼ jał*, które w polskim języku z małemi wyjątkami przed spółgłoskami twardemi brzmi jak *a*, a miękkimi jak *é*, lepiej i wyraźniej się to *ʼ* pojawia w imiesłowie na *ł* niż w bezokolicznym, np. *widzę, widzisz, widział, słyszę, słyszysz, słyszał, brzmiał, musiał*; aniżeli w *widzieć, słyszeć, brzmieć, musiéć*. Do rzędu tych słów należą i słowa *stoje, boje, stał, stać, bał, bać*, mieszczące w sobie a contractum; staropolskie a ściśnione; zamiast *stojal, stojec, bojal, bojec*, która to kontrakcyja w niektórych innych narzeczach nie ma tu miejsca.

Słów spajających się ze spójką *je* temata są dwojakie: jedne kończą się na samogłoski *a, i, y, u*, i *ʼ*, a nie ma żadnego tematu ani w polskim, ani w żadnym słowiańskim narzeczu, ani według praw głosowni na żaden sposób być nie może, zakończo-

nego na samogłoski *e, o*; i nie ludźmy się formami bezokolicznego *kłóć, proć*, bo tu jest metathesis, a w rosyjskich *колоть, попорт* oprócz tego i epenthesis, bo temata tych słów są *kol, por* w obu dwu językach. Drugie zaś temata kończą się na spółgłoski i to zawsze twarde, prócz niekiedy na *l*, np. *piele, miele*. I nie ma tu tematu kończącego się na *jot (j)*.

Wszystkich zaś słów spajających się ze spójką (*ji*) temata kończą się li tylko na spółgłoskę i to procz słów, np. *taje tajisz, kroję kroyisz*, zawsze na spółgłoski twarde, np. *krzyczę, słyszę, tracę, rodzę*, których temata są: *krzyk, słych, trat, rod*; że tu ostatnie tematowe: *k, ch t, d*, miękczą się według praw głosowych na *cz, c, dz*, a następnie dwie ostatnie przechodzą w *ć, dź*, przyczyną tego jest *jot* spójki.

Temata tych słów, jeżeli są zarazem, jak to bywa najczęściej, pierwiastki (*ἔννομον*), należą zawsze do 2 lub 3 klasy pierwiastków według Institutiones Dobrowskiego, to jest do pierwiastków składających się najmniej z dwu lub więcej spółgłosek. Nie ma tu żadnego tematu pierwotnego, składającego się z jednej spółgłoski; to jest, nie mogą tu być pierwiastki klasy 1 Dobrowskiego tematami. Słowa z tematem kończącym się na *a*, np. *kocham, gram* zamiast *kochając, grając*; *kochasz, grasz*, zamiast *kochajesz, grajesz*, są verba contracta (jak greckie *τιμας τιμα*) spajające się ze spójką *je*. Przeto to *a* w starzej polszczyźnie było dla tego a ściśnione, tak jak jest u Czechów po dziś dzień z tej samej przyczyny długie. Prócz tego są słowa dwu tematowe, np. *piszę, orzę, kołaczę*, (*kołaczę* jest z ruska), *писаł, oral, kołatal*; tu znowu pierwsze temata kończą się na spółgłoski twarde, które pozostają przy swém twardém brzmieniu i przed tematową *a*, np. *pisa-ora-kołata*, prócz *kaszle kaszlał* i kilka innych. W formie *kaszlał* tematowe *t* zmięczyło się zapewne przez wpływ spółgłoski *sz*, boć mówim *wikłę wikłał*, bez zmięczenia (nie *wikłał*). W Oznajmującym a następnie i Rozkazującym według innych praw miękczą się tu spółgłoski niż w słowach jednotematowych ze spójką *je* lub *ii*: jako to: *t* plot. Jednotematowe ze spójką *je*, (temat *nos*) *nos-ę nies-ie-sz tr-ę (t) tr-trz-esz* plot-ę-pleciesz. Jednotematowe ze spójką *ji* (*t*) *nos-nosz-ę nosisz, (t) nur nurze nurzysz, (t) trat tracę tracisz*. Dwutematowe (*t*) *pis-piszę pieszsz, (t) or orzę orzesz, (t) kołat-kołaczę kołaciesz*. Do dwutematowych należą także niektóre słowa z *j*: *kraję krajał, taje tajał*.

Przy wszystkich słowach powinien słownikarz prócz wyżej rzeczonych form wyraźnie oznaczyć temat, a jeżeli słowo jest dwutematowe, potrzeba podać obadwa temata. Że tu jest mowa o właściwych tematach a nie o pierwiastkach (*ἔννομον*) samo się przez się rozumie, jakkolwiek i gołe pierwiastki mogą służyć już za temata i są tematami wszystkich słów pierwotnych; np. pierwiastki *mr, tr, bi, i t. d.*, takie temata możnaby przeto nazwać pierwotnymi dla różnicy od tematów pochodnych np. *id-umt*,

w słowach ideę, umiem, których pierwiastki są *i-um*. Zresztą, wielkąby przysługę uczynili wydawcy wileńscy, gdyby chcieli objąć w swój Słownik i oznaczyć wszelkie pierwiastki nie tylko słów, ale i wszelkich innych wyrazów, a jeżeli tych pierwiastków nie można wysledzić i oznaczyć w dziedzinie języka polskiego, należałoby ich poszukać w innych pobratymczych językach, a jeżeli i tu nie znajdziemy pożądanego światła, sięgnąć trzeba po nie do spokrewnionych jafeckich języków, a zwłaszcza do Sanskrytu (wielką usługę mógłby tu oddać wyborny słowniczek Mikłosicza: *Radices Linguae Slovenicae Veteris Dialecti*, ks. Pawskiego badań tom I i II, Dobrowskiego Institutiones, o Słowotwórstwie, prace Eichhoffa i Potta, a wreszcie Glossarium Sanscritum Boppa). Takim sposobem utorowałoby się drogę do etymologicznego Słownika polskiego, o którego potrzebie i użyteczności nikt zapewne ze znawców wątpić nie będzie.

Oto są wymagania, którymby wydawcy porządnego słownika według dzisiejszego stanowiska i postępu umiejętności językowej zadosyć uczynić powinni, wraz z ogólnemi zarysami mojego systemu konjugacyi, który z największą łatwością da się przeprowadzić przez wszystkie narzecza słowiańskie, a w całym blasku prawdy jaśnieje najwspaniałej w narzeczach: starosłowiańskim, polskim i rossyjskim. Nie uważam za rzecz stosowną udzielać tych myśli moich wydawcom słownika Lindego; lecz ośmielam się przedstawić je wydawcom słownika czysto-polskiego, zapowiedzianego przez księgarza Maurycego Orgelbranda w Wilnie. A że nikt bez rozwagi i zastanowienia nie powinien chwycać się nowości: przeto gotów jestem udzielić każdemu, komu na tém zależy, na żądanie obszerniejszego objaśnienia mojego systemu, i rozwiązać wszelkie przeciw niemu czynione zarzuty tak grammatyków naszych, jak i grammatyków naszych pobratymców, zwłaszcza, że znakomici mistrzowie moi w dziedzinie słowiańskiej, dziś jeszcze Bogu dzięki żyjący: Mikłosicz, Schleicher i ks. Pawski uważają, mojem zdaniem, błędnie moję spójkę *ji (i)* za ostatnią głoskę tematu

Jakkolwiekby, radzę szczerze wydawcom nowego słownika czysto-polskiego kłaść na czele 1 osobę każdego słowa osobistego, a przy nieosobistych, których nader szczupła jest liczba, osobę 3. Jeżeli tak sobie postąpią, pójdą tylko w tym względzie za przykładem naszego znakomitego leksykografa ks. Knapskiego, i innych polskich słownikarzy włącznie do Bandtkiego, i za świeżym przykładem sławnego Kopitara, który w swoim starosłowiańskim słowniczku, dodanym do pomnika trydenckiego (Glagolita Clozianus) kładzie na czele 1 osobę Oznajmującego. Być może, iż tu kto powie, że recenzye Słownika Lindego nie poczytują mu za błąd, że opuściwszy stary lepszy zwyczaj, kładzie na czele Bezokoliczny; i owszem tłumacz jednej z nich Wolski wychwala tę reformę słownikarską, jako coś nader ważnego i stanowczego.

Na to odpowiadam, że te recenzje pisali filolodzy niemieccy i francuzcy, gdyż niestety, w czasie wyjścia słownika Lindego, mimo wielkich zasług dla jego uprawy ks. Onufrego, staliśmy tak nisko w umiejętnej znajomości ojczystego języka, że nawet żadne pióro polskie, ba! i słowiańskie, prócz pochwał i uwielbień wierszem i prozą, nie odważyło się na porządną i umiejętną recenzją tego narodowego skarbu. Staliśmy wtedy nisko w tej gałęzi wiedzy ludzkiej; ale i dzisiaj niewieleśmy w tym względzie postąpili: dowodem tego wszystkie nasze grammatyki opracowane li w praktycznym kierunku, osnute na wyłącznej i powierzchownej znajomości ojczystego języka, obejmujące częstokroć wiele prawideł bardzo płytkich a nawet niedorzecznych. Nie mamy żadnej umiejętnej krytycznie opracowanej grammatyki języka ojczystego, i mieć jej nie będziem, pierwój, dopóki ci, którzy się tą umiejętnością zajmują, nim zasiądą do pisania grammatyki polskiej, nie zgłębią pierwój dokładnie, i nie poznają umiejętnie narzecza staro-słowiańskiego i wszystkich pobratymczych narzeczy. Niedawno mieliśmy przynajmniej towarzyszków naszej grammatycznej niedoli w Rossyanach, którzy stali na równi z nami: lecz i oni przez usilne i niezmordowane prace Wostokowa, a jeszcze bardziej przez głębokie i uczone badania ks. Pawskiego i to w kierunku lingwistyki porównawczej, i przez recenzje Dawydowa, lubo jeszcze nie stanęli u pożądanėj mety, są jednak na dobrej i jedynie do celu prowadzącėj drodze, zostawiwszy nas daleko za sobą, tak, że my jedni teraz ze wszystkich Słowian najniżej stoim w tej umiejętności, którą też sobie bardzo lekceważym. Czemu najniżej stoim?—bo inni Słowianie oglądają się na Czechów, którzy wszystkich w tym względzie wyprzedzili; my zaś, jakbyśmy nie byli dziećmi wspólnej matki sławy, sami sobie wystarczyć i podobać myślim. „Bawimy się pozorami, jak mówi słusznie nasz Cegielski w wyżej rzeczonėj rozprawie na str. 22 w przypisku, a tymczasem pobratymcy słowiańscy wyprzedzają nas w nauce i gorzko nam z Mikłosiczem przymawiają, że nie ma ani jednego grammatyka w Polsce, któryby język swój filologicznie obrobił.” Zgoła grammatyka nasza nie jest godną ani języka naszego, ani odpowiada godnie innym wybornym i gruntownym plodom piśmiennictwa naszego, i dlatego też może u naszych literatów i podobnych im autorów listów z Pragi Czeskiej poszła w pogardę i poniżenie; i nie dziw, że tę umiejętność uważają jako martwą nie mającą związku z innymi gałęziami wiedzy ludzkiej. Dlaczego? bo jej nigdy nie zgłębiali, ani się bliżej z nią zapoznać starali. Błądzi ten, który jakakolwiek gałąź wiedzy ludzkiej lekceważy i poniża i odmawia jej soków żywotnych: każda bowiem umiejętność dokładnie poznana i zgłębiona, podnosi, uzacnia człowieka, i nadaje wyższą wartość ziemskiemu jego życiu, a wszystkie razem są z sobą połączone ścisłemi mniej więcj węzłami, aczkolwiek dla pospolitego oka tajemnymi i niepojętymi. Wyłączne oddawanie się jednej umiejętności, w jakimkolwiek narodzie, z za-

niedbaniem i poniżaniem innych, nie może wydawać zbawiennych owoców, i naraża nas zawsze na niebezpieczeństwo jednostronności i szkodliwych uprzedzeń. Że tak jest a nie inaczej, sprawdza się to na nas samych, bo jeżeli najgodniejsi, najuczciwsi, najświetlejsi mężowie narodu naszego w dziełach swoich w innym względzie przynoszących zaszczyt literaturze naszej, występują częstokroć z etymologicznymi bredniami, a nikt się przeciw takowym powstać nie ośmieli: jakieżże przyczynie to przypisać należy, jeżeli nie zaniedbaniu i lekceważeniu u nas umiejętności językowej? Chlubim się i słusznie z tyłu pięknych i wybornych płodów ducha narodowego; w Bogu nadzieja, że i pod tym względem u nas będzie lepiej, skoro tylko na tém polu poznamy i uznamy niedostatek i ubóstwo nasze. Tymczasem nim to nastąpi, niech mi się godzi w imię miłości narodowej oświaty, której język oczysty jest środkiem, narzędziem i przedstawicielem, prosić uczynnych wydawców wileńskich czysto-polskiego słownika, o największą z ich strony staranność, ażeby zamierzone przez nich tak ważne dzieło, było nie tylko pomnikiem bogactwa narodowego języka, ale zarazem poważnym na zawsze świadectwem, żeśmy w bieżącym stuleciu, w umiejętności językowej nie pozostali w tyle za naszymi pobratymcami i innymi oświeconymi narodami, czego im i narodowi memu z głębi serca życzę.

Komorniki pod Poznaniem,  
w dzień śś. Młodzianków r. 1855.

*Fran. Xawery Malinowski.*



# ROZMAITOŚCI.

---

*Listy z Syberyi, Agatona Gillera (1).*

Aczyńsk w Krasnojarskiej gubernii, 2 kwietnia 1855 r.

....., **Z**a Niżegorodem zajmują uwagę każdego podróżnika ludy zupełnie różniące się od europejskich, tak ubiorem, obyczajami, jak wiarą, językiem i fizyonomią. Zatrzymaliśmy się na popas w lesie dębowym, poważnym, przy źródle; z za drzew wyszły do nas kobiety małeńkie, z oczami podłużnemi, rysami kwadratowemi, w ubiorze niezmiernie oryginalnym: suknia zwierzchnia płócienna w rodzaju koszuli, biała, wyszywana taśmami pstremi, na piersiach i na plecach czerwone gwiazdy. Z głowy spada na plecy zasłona szerokości ręcznika także wyszywana; włosy zaczesane za ucho i ujęte przepaską; w uszach pieniądze nawlezione na nitki w kształtach figurowych; spodnie białe; na nogach łapcie i czarne onuczki przewiązane postronkami. Kobiety te z ciekawą głupowatą fizyonomią, z lekliwością dzikich ludów, przyniosły na sprzedaż jabłka i orzechy w długich lipowych koszykach: byłyto Czeremiski. Mężowie ich noszą podobne koszule również wyszywane, a zimą siermięgi i futrzane czapki. Przeszedłszy Czeremiską ziemię, pagórkowatą i dębowemi lasami pokrytą, przyszlismy do ziemi pobratymczego Czeremisów narodu, do Czuwaszów w kazańskiej gubernii.

Czuwaszowie mało się różnią od Czeremisów: język podobny, ubiór mało odmienia się. Kobiety na piersiach noszą nie wielkich rozmiarów kwadratowe skórzane tarcze, wybite srebrne-

(1) Ciekawe szczegóły dotyczące się życia, charakteru, obyczajów i religii niektórych ludów wschodnich, spisane przez brata mego w listach do rodziny, skłoniły mnie do wypisania z tychże li tylko czysto-naukowych ustępów, i te podaję. *Stefan Giller.*

mi pieniędzmi. Kobięta na koniu w tym oryginalnym kostiumie zdaje się być amazonką Skitów, bo i rysy męzkie i skład fizyczny mocny, szeroki. Zebrałem niektóre szczegóły o dawniej wierze tych ludów, którą dotąd w skrytości utrzymują, choć przyjęli chrześcijaństwo, Czeremisy, Czuwasze i Wotiacy są czcicielami *Keremetja*, tojest cielca. Świątynie jego znajdują się w lasach pod ziemią, drogi podziemne ze wsi prowadzą do nich pobożnych czcicieli Keremetjowych. Podziemna ta katakumba dziwnie oświetlona: dęby rosnące na sklepieniu wydrążone od korzenia do wierzchołka, przepuszczają dzienne światło; nocą lampy ją oświetlają. W tej świątyni na środku stoi posąg Keremetja często z miedzi ulany, otoczony drewnianą balustradą, poza którą siedzi *Wadazin*, tojest kapłan Keremetjowy, w białym z kapturem płaszczu, wyszywanym w różnokolorowe pasy. Modlący się Czuwaszowie, w czarnych płaszczach chodzą wokoło bałwana, bijąc pokłony i powtarzając słowa: „*Tor sirlach! Tor asu sirlach.*” Boże zmiłuj się, Boże zmiłuj się nad nami! Zawieszono lampy bywają często z drogich kruszców: są to ofiary pobożnych. Świątyni tych niewiele się znajduje w głębokich lasach, i ci poganie chowają i strzegą je z największą ostrożnością i tajemnicą; tam gdzie nie ma świątyni podziemnej, modlą się w lasach, w pewnych miejscach pod dębami i osinami, przynosząc i zabijając na ofiarę gęsi, owce, konie, i t. p., i w dziuplach starych drzew chowają w tymże celu pieniądze. Przy zabiciu ofiary śpiewają i tańczą. Zimą około Nowego Roku wyganiają ze wsi, z domów i z lasów złych duchów. Tłum zebrany z biczami postępuje, i bijąc, trzaskając w powietrzu, po ścianach lub po drzewach w lesie, porzuca wreszcie nieczyste bicze na polu. Z tego co powiedziałem o ich wierze, możecie się domyśleć, iż kultura do tych ludów wcale nie przeniknęła: jakoż są oni na stanowisku pierwotnym, bez pojęć ogólniejszych i wyższych z przeszłością, o której nic nie wiedzą a z przyszłością *bardzo daleką*. Otoczeni przemagającą, obcą ludnością, wyższą od nich w każdym względzie, tracą co chwila cechy odrębne, obyczajowe i religijne, które ich wyróżniły jako *lud*. Bez inteligencji swojej, lud ten wkrótce zaginać może. Niedowierzenie obcym, zwyczajne wszystkim wół-dzikim ludom, bojaźń, zaboron, pomieszały się z chciwością i niegościnnością u Czeremisów i Czuwaszów. Pieśń ich nadzwyczaj uboga: nie mają swojej melodyi, swojego pokrzyku nawet. Pieśni, które słyszałem w ich języku, są albo naśladowaniem, albo podobne do rossyjskich lub tatarskich, a i tych nawet bardzo mało. Parobkowi i dziewczynie miłość, zieloność wiosny, ciepło i plody jesieni nie wyrrywają z piersi żadnego dźwięku, żadnego czucia. Pieśń ich albo się nie rozbudziła jeszcze, albo już zamarła, jak i oni wkrótce za nią zamrą. Chcąc poznać te ludy mało wiadome i znane w Europie, porobiłem każdego języka małe słowniczki, by przez to zbadać w jakim stanie znajduje się ich myśl swojska; i z tych słowniczków wniosłem, że języki ich są bardzo ubogie, choć do-

syć wyrobione; słów na pojęcia rozumu moralne i duchowe nie mają. Wracam do pieśni. Słyszałem jeden ton prawdziwie Czuwaszski, ton od nikogo nie wzięty; ton ten podobny swą jednostajnością i brakiem harmonii do krzyku chorego dziecka, które chciałoby się weselić.... a nie może.... Położenie ich materialne dobre: bez szlachty, posiadacze ziemi obfitują we wszystko, co tylko wymyślność i podniebienie czuwaszskie zapragnie; urodzajna ziemia przy małych potrzebach, nie dają im czuć niedostatku.

Minąwszy Czeremisów i Czuwaszów spotyka podróżny kazańskich Tatarów. Były żniwa: Tataruki w długich czerwonych lub niebieskich i pstrych tatarskiego kroju sukniach, na piersiach wyszywanych pieniędzmi, w męzkich futrzanych czapkach lub czepku z długim ogonem spadającym na plecy, patrzyły ciekawie na podróżnych, zasłaniając twarze według obyczaju tatarskiego. Twarze te są płaskowate, smutnawe, ale nie bez wdzięku. Tatarzy kazańscy mają zwierzchnią suknię kolorową, formy koszuli; w święta przywdziewają na nią kaftan kolorowy, a na głowę kapeluszy biały z szerokim skrzydłem, stoszkowato zakończony. Na glinianej i pszenniej ich ziemi rozsiadły się wioski obszerne z meczecikami drewnianymi i wąziutkimi minarecikami. Tatarzy ci najwięcej się zajmują kupiectwem i wszystkie wady kupców posiadają: chciwość, grabieństwo, brak gościnności, samolubstwo, pogarda cudzemi, łączy się w nich z silną wolą, z charakterem stanowczym i wytrwałym, oraz z pobożnością. Wieczorem i o świcie widziałem przejeżdżających Tatarów, którzy zatrzymywali się na drodze i pod drzewami drożnemi obróceni na południe do Mekki, długo w wielkiej kontemplacji ducha modlili się. Byli oni niegdyś narodem, ale nie wyrobili w sobie żywiołów mogących przenieść burze i wszelkie zawieruchy. Szlachty w znaczeniu europejskiem nie było u nich i nie ma; mullowie bez życia, w martwocie prawdziwie mahometańskiej; kupcy z bojaźnią i samolubstwem handlarzy; naród w ciemnocie: wkrótce zatrzeć się mogą jego cechy, choć więcej w nim konserwujących obyczaj i swój język żywiołów, niż u Czeremisów, Czuwaszów i innych ludów, które zajmują wschód Rosyi i osiadły nad Wołgą. Wołga pod względem ludów różnych między sobą, mieszkających nad jej niższym biegiem, niezmiernie jest ciekawą rzeką dla każdego podróżnika. Liczba tych ludów jest ogromna; małe, rozrzucone pojedynczemi grupami, ciekawe są dla historyka, może jako zabytek owych dzikusów, coto w wiekach średnich zalali Europę.

W Wiatskiej gubernii mieszkają Wotiacy; wspominam o nich, bo ich widziałem i obserwowałem. Wiara zda się też sama co i u Czuwaszów: chrześcijaństwem trzymają się nie szczerze, i tylko dla obcych, a w istocie są poganami. Kobiety Wotiaków dziwnie głowę stroją: włosy zaczesane nad czołem, ze skroni opuszczają się w dwóch grubych skręconych lokach, podobnych raczej do grubego postronka niż do włosów. Nad czołem wznosi



się namiocik, pokryty czerwoną lub innego koloru materyą, wysyty pieniądźmi, spadający długim ogonem na plecy. Wiatska gubernia pokryta gęstymi szumnemi borami, a permska sfalowana pagórkami i zamieszкана Rossyanami fabrycznemi, cokolwiek różniącemi się od innych Rossyan. Ogromne osady, hamernie żelazą, miedzi, przemyślność i kultura fabryczna dają zupełnie odmienny pozór permskiej ziemi. Ural przebywałem w miejscu dosyć niskiem: góry nie podnosiły się nawet do wysokości karpackiego przedgórze. Malowniczych grup, gór i widoków pożądanych dla imaginacyi nie widziałem wcale. W listopadzie witałem Sybir azyatycki! Tobolskie przestrzenie okryte były śniegiem, lasy gołe, bory smutne; miasta duże drewniane, zupełnie inne od europejskich. We wsiach budowy rozmaite, każdy według swego gustu buduje sobie chaty. Lud tworzy sobie jakieś nowe cechy; obyczaj jego surowy, pieśni mało i nie z serca. Wieśniaczki lubią się stroić i są lubieżne; mężczyźni grubi i leniwi. Przejeżdżasz całą stacyą, wiorst 20 lub 30 i nie znajdziesz wioski na drodze; czasem się ona ożywia karawaną herbaty, idącą od Kiachty. Jednostajność natury nadzwyczajna: ogromna przestrzeń od Tobolska do Tomaska przedstawia tak mało różnicy i różności, iż oko zapatrzone na te ogromne, gołe, brzozowe lasy, rzeki szerokie, lodem okryte, nuży się i zamyka. Latem w tych lasach musi być jednak wesoło i miło. Taniość produktów wielka; w krasnojarskiej gubernii już drożej, ale nie o wiele.

21 lipca, Wierzchni Udińsk, miasto za Bajkałem, 1855 r.

W Irkucku nie zakończyła się podróż moja, pospieszam dalej do Szyłki, położonej za Nerczyńskiem. Kraj, który obecnie zwiedzam jest górzysty, a choć wszystkie zjawiska natury nie odznaczają się różnitością, dosyć jednak malowniczy. Właściwemi jego mieszkańcami, to jest właściwemi Zabajkałami są Buryaci.

Szyłka, dnia 17 września 1855 r.

Szyłka leży w miejscu, w którym się już kończą osady zaludnione, w kraju górzystym. Kommunikacye z nią bardzo trudne, bo przez góry ścieżki tylko prowadzą, przez które konna lub piesza podróż jedynie jest możliwa. Rzeka przemknęła się pomiędzy górami, i jest drogą przez którą dochodzą do Szyłki towary; oddalenie więc i odosobnienie tego miejsca jest powodem znacznej drogości. Rolnictwo tutaj bardzo mierne i bydła nie wiele. Ostatnie dni mojej podróży były dosyć zajmujące i przyjemne: płynąłem rzeką Szyłką przeszło 80 mil. Brzegi jej gó-

rzyste i wspaniałe, często ściśnięte skałami, które przerwała woda; w innych miejscach góry od niej na kilkaset sążni odstępują, i dają obszerniejsze widoki na przecinające się pasma, ubrane borami sosnowemi, modrzewiowemi i lasami brzoźowemi. Na brzegach przytulone do gór czarne wsie i wioseczki, stoją samotne i biedne. Tratwa nasza płynęła unoszona bystrą wodą, wśród ozdobnej panoramy natury; młodej, nieużytej, mało jeszcze tkniętej ręką człowieka! Świeżo naokoło, ale pusto; natura mówi tu pocichutku do duszy, podnosi ją i uspokaja: bo przemawia kształtami, które utworzył wielki mistrz świata—Bóg! Ale Bóg niezawsze jest pojęty w naturze: trzeba myśli człowieka, trzeba żeby ona uderzyła o naturę, poprzyczepiała wspomnieniami historią do gór i padołów: wtedy dopiero wspólnie z pierwotną myślą Bożą, natura nabiera barw żywszych, więcej jest pojętą, więcej przemawiającą do duszy, bo piękniejszą. Natura bez człowieka zajmuje, ale nie zachwyca; daje cudne, piękne kształty, ale nie odgadniesz bez życia, któreby już przebrzmiało i legło w niej, tej harmonii między Bogiem a naturą, która stanowi całą jej treść. Tutejsza natura piękna, ale niema.... Płynąc na tratwie wśród takich brzegów, byłem jednak zajęty i uspokojony, bo zawsze się jest w pokoju, gdy się widzi piękno!.... Wypocząłem więc w duszy i ciele w ostatnie dni mojej podróży i przypląnałem do Szyłki zdrowym. Ciąg drogi od ślicznie w górach położonego Bajkału, aż do stolicy obwodu Zabajkałskiego, to jest do miasta Czyty, był ciekawym z powodu Buryatów. Lud ten jest pokolenia mongolskiego, mówi dyalektem mongolskim; twarzą ciemną, kwadratową, z wystającymi policzkami, nosem płaskim. Ubiór mężczyzn składa się z długiej nanki, nowej sukni, zwaną *buddygyl*. Rękawy i wyłogi na piersiach oszyte taśmami mانشestrowemi. Głowy mają wygolone, z warkoczem na jej wierzchu. Kobiety na podobną suknię wkładają jeszcze kaftan bez rękawów; włosy rozczesane na połowie głowy spadają im za ucho, gdzie pęki ich zdobią koralami i paciorkami; w uszach ogromne kolczyki, okrągłe, metalowe, z korałem wiszącym lub inną jaką ozdobą. Kobiety i mężczyźni noszą na głowie kapelusze, zwane *malachaj*; z formy podobny on do przewróconego grzyba: rondo wysoko zagięte, z niego spływa wstążka na plecy, dno lekko stoczyste, zakończone świecącą pałeczką. Kobiety czoło przepasują taśmą wyszytą koralami i paciorkami. Obie płci koszul nie noszą; teraz jednakże naśladować Rosyan, szyją koszule i wielu już je nosi.

Buryat spotkawszy się z Buryatem wita go przeciągłym słowem: „*mynde*” które obydwaj trzy razy powtarzają; jeżeli zaś bogaci witają się, wtedy nachylają się i obiema rękoma dotykają się bioder, potem kładą sobie wzajemnie na głowy coś naksztalt serwetki z wyobrażeniem bóstwa, i każdy bierze już sobie na własność serwetkę przyjaciela. Gdy człowiek z gminu wita *lamę*, ten go błogosławi stawiając mu na głowie posążek *burchana*, to jest

boga, który nosi za pazuchą, lub dotyka go kawałkiem jakiegoś drzewa, zapewne relikwiami.

Tak mężczyźni jak kobiety jeżdżą konno, i trzymają wielkie stada koni i owiec, a niektórzy i bydła. Z krowiego kwaśnego mleka wyrabiają wódkę, smaku cokolwiek cierpkiego, którą nazywają *araki*. Nieochędoźni są i brudni, kotłów w których gotują prawie nigdy nie szorują; mleka nie cedzą. Pokarm ich składa się z *arcy*; jest to mleko prażone z mąką, z mięsa baraniego, z *araki* i z czaju, który gotują w kotłach, kraszą masłem, solą, i podlewają mlekiem. Herbata której używają, zbita w formę cegiełki, pachnie gnojem. Chleba rzadko używają, potrosze go od Słowian przejmując, ale żyta nie sieją wiele. Przejeżdżając okolice przez nich zamieszkałe, stałem w ich *gyrach* (szałasach), jadłem ich brudny pokarm i przypatrzyłem się ich życiu i obyczajowi. Domy ich są to szałase z belek lub gałęzi, nakryte korą modrzewia lub brzozy; albo téż namioty wołokowe. Wołokiem nazywają wełnę zwalkowaną i zbitą w jedną masę; kilka szałasów stanowi *ulus* (wieś). Ułusy jak małe punkciki rozrzuciły się po równinie nad strumykami i w dolinach gór wśród traw łęgowych.

Wewnątrz jurta tak urządzona: na środku ognisko, dym z niego ulatuje przez otwór w dachu, naokoło ogniska zwykle siedzi cała rodzina i goście. W jednym kącie gyru stoją malowane gradusy, na najwyższym ich stopniu posażek burchana: często dwie tablice, jedna ze znakami, druga gładka z mosiądzu, okrągłe, podobne do słońca i księżyca. Przed burchanem na pierwszym stopniu ustawione rzędem ofiarne kielichy i czarki w liczbie ośmiu z dzwonkiem; nad dwóch niższych stopniach także kielichy w liczbie siedmiu. W kielichach złożone są ofiary: kilka ziarenek pszenicy, żyta, owsa, lub skrzępe sadło, masło, *araki*, i tém podobnie. Przybywający Buryat wchodząc do szałasu, zwraca się do domowej bożnicy, pada na kolana składając ręce, jak u nas do modlitwy; dopiero po oddaniu czci Bogu, siada przy ognisku. W drugim kącie gyru, niby sofa, niby łóżko, pościelą z kozuchów zarzucone, kuferki i skrzynki; w trzecim, wazki z mlekiem i różne domowe narzędzia; w czwartym złożona jurta wołokowa, jeżeli mieszkają w drewnianej. Szałase wołokowe cieplejsze są od drewnianych. Spią na baranich kozuchach i dziecko nowonarodzone zamiast pieluch, okręcają w skóry. Zimą wychodzą z ulusów, kryją się w wądoły i w głębokie doliny gór, gdzie rozbijają namioty wołokowe i mieszkają dotąd, dopóki łęgi i błonia zakryte śniegiem. Śpiew ich dziki, przeciągły, straszny, bez melodyi. Buryat na koniu jadąc stepem, gdy śpiewa, zdaje ci się, iż słyszysz drżący w pieczarze pisk wiatru; śpiew swój zwraca do każdego widzianego przedmiotu. Wielożństwo u nich jest pozwolone, ale zwykle Buryat utrzymuje jedną żonę, bo przekarmienie dwóch, trzech, więcej kosztuje; bogaci mają ich po kilka. Pan-młody płaci ojcu za żonę bydłem. Religia nie łączy swoim

węzłem małżeństwa: pan-młody przyjeżdża z gośćmi do domu narzeczonej, przez cały wieczór piją goście araki, krzyczą i tańczą przed gyrem wokół ogniska; ale panna-młoda się nie pokazuje. Na drugi dzień matka przyprowadza panu-młodemu córkę i oddaje mu; wszyscy na koniach odprowadzają młodą parę do ich domu, i tam znowuż piją araki, śpiewają i tańczą.

Latem robią wyścigi konne po polach i górach, i walczą z sobą. Lamowie wydzielają najzręczniejszym nagrody obok *ombon*, gdzie sprowadzają burchanów na tę uroczystość. Ombony są to spiczaste budy z tyczek złożone: w nich zasiadają lamowie i areopag wydzielający nagrody zwycięzcom; obyczaj ten rycerski jest narodowym buryackim obyczajem. Religia ich jest lamajską. Bóg stwórcy nazywa się *Szygi—moni*; oprócz tego boga jest mnóstwo bogów opiekujących się bydłem, dziećmi i ludźmi: jest Bóg siły, zła, *Oszirman* i inni. Bóg jest duchem, i wszyscy bogowie duchami: wyobrażają zaś ich w obrazach, w posągach, które nie są bóstwem, tylko symbolem jego: nie jestto więc wiara pogańska. Noszą szkaplerze, obrazki bóstwa na piersiach; nie poszczą, święto mają tylko jedno do roku: wierzą w nieśmiertelność duszy. Wiara to jest bardzo materyalna, ale ciekawa. Dusza żyje w ziemi, w drzewie, przechodzi później w owad, w robaka, w płaz, w ptastwo, w zwierzęta; później w człowieka gminu, później w *tajsze* (to jest rodzaj urzędnika, księcia nad nim): w *lamę*, potem w szlachetniejsze ciało *hanby lamy*, wreszcie idzie do najwyższego *dalaj lamy* i z niego wraca do Boga, z którego powstała, jako cząstka do swojej całości. Zdaje się, że to jest panteizm zmateryalizowany. Hierarchia duchowna składa się z *lamów*, to jest księży, z *hanby lamy* biskupa lamajskiego (jednego mają Buryaci), wreszcie z *dalaj lamy* w Tybecie, którego wpływ na Buryatów z wielu powodów jest pośredni. Lamowie są bezzenni; suknia ich kroju takiego jak i ludzi z gminu, różni się kolorem czerwonym. Po śmierci każdego Buryata, lamom składają na ofiarę cały jego majątek.

Buryaci są niegościnni, ciekawi, dosyć zdolni; ze wszystkich ludów koczowniczych Syberyi, oni mają najwięcej kultury. Trudnią się głównie pasterstwem; nie wyszli jeszcze ze stanowiska pierwotnego; charakter ich chytry, podstępny. Czyngishan miał się pomiędzy nimi urodzić i był Buryatem. Pamiątki po nim jakichsiś budowli pozostały nad rzeką Ononem, która wpada do Szyłki. Muszę o nich kończyć, ramy listu nie obejmą wszystkiego, co bym mógł o Buryatach powiedzieć: rysy więc lamajskiej wiary i obyczajów w następnych listach umieszczę.



**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**

**w Obserwatoryum Astronomiczném**

**WARSZAWSKIÉM.**

***Luty, 1856.***

Luty 1856.

Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatorium

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziomem morza, czyli w łuku 18°41'25",5 n.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stusstopniowy				Wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god.rano	god.rano	godz. w.	godz. w.	god.rano	god.rano	godz. w.	godz. w.	
1		733.66	735.74	734.40	736.92	— 4°.9	— 3°.4	— 2°.9	— 5°.0	94.5
2		737.16	737.27	738.92	741.79	— 8.2	— 6.0	— 4.7	— 5.0	95.5
3		748.36	752.00	755.35	757.94	— 5.6	— 4.7	— 4.4	— 5.4	95.5
4		759.65	759.93	758.55	757.46	— 11.6	— 8.8	— 5.3	— 10.2	—
5		755.87	756.32	755.54	755.96	— 13.3	— 9.2	— 5.4	— 9.5	91.3
6	☉	756.04	756.25	755.94	756.27	— 4.8	+ 1.7	+ 0.8	+ 0.7	97.5
7		751.43	750.40	746.15	746.00	— 1.5	+ 0.8	+ 3.5	+ 3.1	88.0
8		744.73	744.62	745.12	747.79	+ 3.8	+ 4.8	+ 6.3	+ 4.6	93.7
9		751.19	751.52	750.03	750.15	+ 2.0	+ 2.3	+ 3.7	+ 3.5	98.0
10		749.73	749.56	748.47	750.85	+ 3.5	+ 4.7	+ 8.6	+ 3.6	90.8
11		749.59	748.70	747.79	747.42	+ 3.6	+ 4.0	+ 5.1	+ 2.8	96.7
12		745.28	746.80	750.87	750.53	+ 1.4	+ 1.3	+ 0.2	+ 0.2	93.8
13	☽	748.18	744.51	740.64	744.98	— 0.2	+ 0.3	+ 7.3	+ 0.4	92.5
14		751.38	753.16	752.39	752.64	— 4.0	— 4.9	— 3.6	— 3.7	84.2
15		748.83	748.02	746.28	745.06	— 2.5	— 0.5	+ 2.1	+ 1.0	98.3
16		745.15	748.18	751.48	754.53	— 4.4	— 5.7	— 5.7	— 7.8	90.2
17		755.44	756.75	757.49	758.97	— 8.2	— 7.8	— 7.9	— 11.9	90.4
18		759.73	760.40	759.37	759.67	— 14.5	— 12.2	— 5.7	— 10.1	—
19		757.45	756.83	754.16	752.50	— 10.2	— 7.2	— 2.3	— 3.5	82.0
20	☉	751.48	750.25	749.24	748.57	— 3.9	— 2.8	— 0.2	— 1.6	84.5
21		747.72	746.97	745.31	742.71	— 3.1	— 1.5	— 0.5	— 3.1	98.0
22		743.60	744.49	743.95	743.59	— 5.0	— 2.5	— 3.3	— 5.0	93.0
23		742.98	743.27	742.87	742.69	— 6.8	— 5.2	— 5.2	— 5.4	92.5
24		744.21	747.06	751.81	753.91	— 2.1	— 0.7	+ 0.3	— 1.9	89.2
25		753.95	755.21	758.52	760.74	— 0.9	+ 1.5	+ 2.5	— 2.5	86.8
26		756.83	754.76	748.58	745.96	— 2.6	+ 0.4	+ 0.5	+ 0.7	97.5
27		745.98	747.39	749.75	751.53	+ 1.2	+ 1.6	+ 1.6	+ 1.1	94.0
28		757.58	759.60	760.16	757.06	+ 0.4	+ 1.0	+ 1.4	— 0.5	90.7
29	☽	753.88	751.73	750.87	752.72	— 0.9	+ 1.0	+ 3.9	+ 1.2	92.3
śre.		749.899	750.266	750.000	750.583	— 3°.56	— 1°.99	— 0°.32	— 2°.39	92.3

Wzrostyum Astronomiczném Warszawskiem.

Wzrostyum morza, jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie wschód względem południka paryzkiego.

S T A N N I E B A				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé- szczu	śnie- gu
nieg	lek. pochm.	pochmurny	pogodny	Z.	PnZ.	Z.	PnZ.		3.6
pogodny	napół pog.	poch. śnieg	pogodny	Z.	PdZ.	Z.	Z.		
pochmurny	napół pog.	pogodny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	Z.	Z.		
pogodny	pr. pogodny	pogodny	pogodny	PdZ.	PdZ.	Pd.	Pd.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdZ.	PdZ.	—	—		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Z.	PdZ.	1.0	
lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdZ.	PdZ.	PdZ.		
pochmurny	dészcz	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	3.6	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Pd.	Z.	2.0	
pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	2.4	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	mgła	Z.	Z.	Z.	Z.		
poch. mgła	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Pn.	PnZ.	Z.		
pochmurny	dészcz	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	Z.	Pn.	3.2	4.1
pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	W.	W.		
poch. mgła	poch. śnieg	lek. mgła	pochmurny	PdW.	PdW.	PdZ.	Z.	2.8	1.6
pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	PnW.	PnZ.	2.4	
pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	—	Pn.	PnW.	—		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	PnW.	W.	W.		
pogodny	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PnW.		
pochmurny	pochmurny	śnieg	pochmurny	PdW.	PnW.	PnW.	Pn.		2.8
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	PnZ.	Pn.	Pn.		3.2
lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	Z.	PdZ.		
pochmurny	lek. pochm.	napół pog.	pochmurny	PnZ.	PnZ.	Pn.	Z.		2.6
pochmurny	pochmurny	smugi	pogodny	Z.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		
pochmurny	pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	Pd.	Pd.	PdZ.	Z.		5.6
pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	Z.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		2.4
pochmurny	lek. mgła	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	PnZ.	Z.		
pochmurny	poch. d. dr.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PnZ.	Pn.		
								17.4	25.9

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.187	27	8.554
Najwyżej barometr. dochodził d. 25 o g. 10 w.	760.74	28	1.237
Najniżej — — — d. 1 o g. 6 r.	733.66	27	1.229
Średnia zmiana dzienna barometru	5.106		2.263
Największa zmiana dzienna barometru d. 2—3 o g. 4 w.	16.43		7.283
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	0.355		0.157
Średnia temperatura lutego wynosi:	749.832	27	8.397
i ta jest wyższa o	— 2 <sup>o</sup> .06 C.	—	1 <sup>o</sup> .65 R.
od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	1.27 „		1.01 „
Największe ciepło było d. 10 o g. 4 w.	— 3.33 „	—	2.66 „
Największe zimno — d. 18 o g. 4 r.	+ 8.6 „	+	6.88 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	— 14.5 „	—	11.60 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 5—6 o g. 10 w.	2.727 „		2.182 „
Termometrograf wskazał:	10.9 „		8.72 „

Maximum: + 8<sup>o</sup>.9 R. d. 10 w poł.  
Minimum: —11<sup>o</sup>.9 „ d. 18 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 92.3, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 4.40 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blisko o 0.02 większa od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 17.4 mil. czyli 7.71 lin. par.; z śniegu 25.9 mil. czyli 11.48 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 43.3 mil. czyli 19.19 lin. par.; ilość ta wody jest o 5.41 lin. par. większa od tej, jaka średnio u nas w lutym spada.

Dni pogodnych było 3, napół pogodnych 4, pochmurnych 22.

— deszczu 9 (d. 6, 8, 9, 10, 13, 15, 16, 27, 29).

— śniegu 11 (d. 1, 2, 13, 15, 16, 21, 22, 23, 24, 26, 27).

— gradu 1 (d. 24).

— mgły 5 (d. 9, 11, 12, 15, 28).

Wichrów było 1 (1 Pn).

Wiatrów mocnych 8 (4 Z., 2 PnZ., 2 Pn.).

Wiatr panujący: zachodni, często były także: północno-zachodnie. Luty r. b. był niepogodny, zmienny, w deszcz i śnieg obfity, o 1 stopień R. cieplejszy niż zwykle. Pierwsze pięć dni i druga połowa miesiąca były mroźne, przeciwnie dziesięć dni od d. 6 do 16 łagodne i ciepło jakby w porze wiosennej. Najcieplejsze dni były: d. 7, 8, 9, 10, 11, 13, 27; najzimniejsze: d. 1, 2, 3, 4, 5, 16, 17, 18, 19, 23. Pod względem stanu nieba, miesiąc ten był mniej pogodny niż zwykle. W stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest: jak 3.9 : 6.7 : 17.6; w r. b. stosunek tych dni jest jak 3 : 4 : 22. Dzień 13 odznaczał się szczególnymi zmianami; z rana było powietrze chłodne, od południa ciepłe, wieczór znowu chłodne, śnieg, deszcz połączony z wichrem, przez cały dzień się ponawiały. Dnia 26 śnieg mokry zaraz topniejący od godz. 11 rano do godz. 7 wieczór pruszył. Elektryczność atmosferyczna dnia 4 i 5 przy znacznym mrozie była silna.

D. 25 z wieczora świeciła zorza zodykalna w kolorze blado-różowym.



# KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1855.

52. Biblioteka Warszawska. Pismo poświęcone naukom, sztukom i przemysłowi. 1855. 4 tomy (złożone z 12 zeszytów, znaczonych od N. 169—180 włącznie). 8ka wielka. Warszawa. W drukarni Gazety Codzienniej (nakład redakcyi). Tom I, ogólnego zbioru tom LVII, kart napis. 2 i str. 584. Rejestru kart nieliczb. 2. (Do str. 1 należy plan bitwy pod Wiedniem, a przy str. 396 dołączono: Wypadki dostrzeżeń meteorologicznych w r. 1854 robionych). Tom II, ogólnego zbioru tom LVIII, napisów kart 2, i str. 632. Rejestru kart 2. (Do str. 124 należy Plan przekopania międzymorza Suez). Tom III, ogólnego zbioru tom LIX, kart napis. 2 str. IV, i 596. Rejestru kart nieliczb. 2. Tom IV, ogólnego zbioru tom LX, kart napis. 2 i str. 588. Rejestru kart 2. (Odbito ex. 650). Rsr. 9.

53. Grochowy wieniec czyli Mazury w Krakowskiem. Komedia w 4ch aktach przez Antoniego Małeckiego. 8ka. Poznań. 1855. Nakład J. K. Żupańskiego (druk N. Kamińskiego i Spółki). Napisów kart 2, osób karta 1, i str. 145.

54. Historya powszechna Kościoła przez Jana Alzoga doktora Teologii, profesora egzegezy i historyi kościelnej w Arcybiskupieim Seminarjum Poznańskiem. Przełożona na język polski według piątego wydania niemieckiego przez J. z P. B(elejowską). 6 tomów. Warszawa. 1855. Główny skład w księg. S. H. Merzbacha, druk Gazety Codzienniej. (Tom I drukowany u J. Kaczanowskiego). Tom I str. 220. Tom II, str. 215. T. III, str. 324. T. IV, str. 424. T. V, str. 360. T. VI str. 367, i w każdym kart napis. 2. Rsr. 6.

55. Kobięta z głową. Obraz z życia galicyjskiego. Przez Dr. T. Triplina. 2 tomy. 16ka. Warszawa. 1855. Nakładem Ig. Klukowskiego i W. Rafalskiego, druk Gazety Codzienniej. Tom I kart napis. 2 i str. 156. T. II kart 2 i str. 128. Rsr. 1 k. 20.

56. Komedyanci. Powieść przez J. I. Kraszewskiego. *Z godłem:*

... wszyscy na teatrze...  
Ja djable lubię teatr, bo jak się zapatrzę,  
To mi się czasem zdaje, że ja widzę ludzi.  
Bredro *Przyjaciele.*  
Totus mundus agit histrioniam...  
*Plautus.*

4 tomy. (Tom I i IIgi wydanie drugie poprawione przez autora). 16ka. Petersburg i Mohilew. 1855. Nakładem B. M. Wolffa, (druk Gazety Codzienniej w Warszawie). Tom I str. 292. T. II. str. 245. T. III str. 222. T. IV. str. 200. Rsr. 4.

57. Lirenka Teofila Lenartowicza. I. 8ka. Poznań. 1855. Nakładem J. Żupańskiego, druk W. Deckera i Spółki. Str. 110. Kop. 80.

58. Magdalena czyli poświęcenie (*brak zaim. zwrot. się*) młodej wieśniaczki (.) Powieść ludowa z prawdziwego zdarzenia Julii Kavanagh (.) Przekład wolny przez Eleonorę Ziemięcką. 12ka. Warszawa. 1855. Nakład i druk S. Orgelbranda. Napisów i przypisów kart nieliczb. 5. Przedmowy str. XI i str. 392. Rsr. 1 k. 50.

59. O częstey komunii. *Z godłem:*

„Jeźliby kto pożywał tego chleba, żyć będzie na wieki!”  
*Ewangelia S. Jana. Roz. VI. w. 52.*

Za pozwoleniem cenzury Kościelnej (.) W Rzymie. W drukarni Propagandy. 1855. 12ka. Str. 158. Kop. 90.

60. Rozprawy C. K. Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarskiego. Tom siedemnasty. 8ka. Lwów. 1855. W drukarni Zakładu Narodowego

Im. Ossolińskich. Napisów i rejestru kart 2 i str. 208. (Z trzema litograf. tablicami).

61. Wykład popularny sztuki malowania farbami wodnymi. Rzecz o krajowidokach dla szkół, pensyj i prywatnej nauki. Z pism Jerzego Barrot przełożył Karol Balicki. 8ka. Lwów. 1855. Nakład W. Manieckiego, druk Zakładu narod. Ossolińskich. Str. XIV i 112. Kop. 60.

62. Wzory sztuki średniowiecznej i z epoki odrodzenia po koniec wieku XVII w dawniej Polsce. Wydawane przez Alexandra Przezdzieckiego i Edwarda Rastawieckiego. Serya pierwsza. W Warszawie i w Paryżu. Zakład chromolitograficzny M. Fajansa. Drukarnia J. Unger. 1853—1855. (*Na drugiej karcie takż sam tytuł francuzki*): *Moments du moyen-âge et de la Renaissance dans l'ancienne Pologne depuis les temps les plus reculés jusqu'à la fin du XVII siècle, publiés par....* (Serya ta składa się z 12 podwójnych zeszytów w wielkiej 4ce, znaczonych N. I—XXIV. W każdym takim zeszycie jest po 4 rycin, czyli razem sztuk 48, licząc w to i tytuł, należący do dzieła. Za to przy zeszytach XXI i XXII są 4 litografowane tablice, a oprócz tego i kolorowy tytuł do spisu prenumeratorów. Textu polskiego i francuzkiego jest kart nieliczbowanych 116, znaczonych tylko literami od A. Aa, aż do Żż. Sygnatura druk. idzie nieporządnie od 1—24\*, chociaż na tę liczbę kart powinny się kończyć na 29. Oprócz textu jest jeszcze kart napis. pol. 2. i fran. 2. Poprawek pol. i fr. kart 3. Spisu tablic kart 2, i spisu prenumeratorów kart 4. Rsr. 24.

63. Zbiór rytmów Kaspra Miaskowskiego znowu przez autora poprawionych, rozszerzonych i na dwie części podzielonych. *Cum Gratia & Privilegio S. R. M.* W Poznaniu w drukarni Jana Rossowskiego roku 1622. Teraz do druku po raz trzeci podany, przejrany, objaśniony i wiadomością o życiu i pismach Miaskowskiego opatrzone przez Janą Rymarkiewiczą, Doktora filoz. i naucz. wyższego przy gimnazjum Ś. Maryi Magdaleny w Poznaniu. 8ka. Poznań. 1855. Nakładem Jana K. Żupańskiego, (druk W. Deckera i Spółki). Napisów i przedmowy str. XXXVI, wstępu str. VI i 158. Część II, napisów karta 1 i str. 216. Spisu rzeczy kart 2.

## 1856.

1. Archiwum domowe do dziejów i literatury krajowej (.) Z rękopismów i dzieł najrzadszych zebrał i wydał Kaz. Wł. Wójcicki. 8ka. Warszawa. 1856. Napisów i dwóch przedmów kart nieliczb. 4 i str. 578. Rejestru kart 3. (Na końcu dodano rycinę). Rsr. 3.

2. Augustyn, albo potęga wiary katolickiej. Z francuzkiego na język polski przełożone przez Jadwigę.... 16ka. Warszawa. 1856. Nakładem H. Natansoną, (druk Jaworskiego). Kart napis. 2. i str. 187. Kop. 60.

3. Dworek i pałac. Powieść K. Wł. Wójcickiego. *Z godłem*:

„Pojrzyj, jeśli co w świecie będzie tak trwałego,

Coby się nie spadało zawsze czasu swego?

A jako się rozlicznie na nim wszystko mieni,

Nie ujrzyś tego lecie, coś widział w jesieni?”

(*M. Rey z Nagłowic. Zwycęradko 1568*).

16ka. 3 tomy. Warszawa. 1856. W księgarni Ig. Klukowskiego i W. Rafalskiego (druk Gazety Codziennój. Tom I, str. 186, T. II, 185. T. III. 161, i w każdym napisów kart 2. Rsr. 2.

4. Gawęd, rymów ulotnych, i przekładów Władysława Syrokomli poczet czwarty. 16ka. Wilno. 1856. Nakładem R. Rafałowicza, (druk A. Marciniowskiego). Kart napis. i przypis. 4 i str. 175. Rsr. 1.

5. Jana Jaworskiego Kalendarz astronomiczno-gospodarski na rok przestępny 1856. Opisów roślin rok dziewiętnasty. 8ka wielka. Warszawa. Nakładem i drukiem wydawcy. Napisów, przedmowy i kalendarza str. XXIV (do str. IX nieliczb.). Textu str. 168. Jarmarków i doniesień str. XL. Kop. 45.

Im. Ossolińskich. Napisów i rejestru kart 2 i str. 208. (Z trzema litograf. tablicami).

61. Wykład popularny sztuki malowania farbami wodnemi. Rzecz o krajowidokach dla szkół, pensyj i prywatnej nauki. Z pism Jerzego Barrot przełożył Karol Balicki. 8ka. Lwów. 1855. Nakład W. Manieckiego, druk Zakładu narod. Ossolińskich. Str. XIV i 112. Kop. 60.

62. Wzory sztuki średniowiecznej i z epoki odrodzenia po koniec wieku XVII w dawniej Polsce. Wydawane przez Alexandra Przeddzieckiego i Edwarda Rastawieckiego. Serya pierwsza. W Warszawie i w Paryżu. Zakład chromolitograficzny M. Fajansa. Drukarnia J. Unger. 1853—1855. (*Na drugiej karcie takież sam tytuł francuzki*): *Moments du moyen-âge et de la Renaissance dans l'ancienne Pologne depuis les temps plus reculés jusqu'à la fin du XVII siècle, publiés par....* (Serya ta składa się z 12 podwójnych zeszytów w wielkiej 4ce, znaczonych N. I—XXIV. W każdym takim zeszycie jest po 4 rycin, czyli razem sztuk 48, licząc w to i tytuł, należący do dzieła. Za to przy zeszytach XXI i XXII są 4 litografowane tablice, a oprócz tego i kolorowy tytuł do spisu prenumeratorów. Textu polskiego i francuzkiego jest kart nieliczbowanych 116, znaczonych tylko literami od A. Aa, aż do Żż. Sygnatura druk. idzie nieporządnie od 1—24\*, chociaż na tę liczbę kart powinny się kończyć na 29. Oprócz textu jest jeszcze kart napis. pol. 2. i fran. 2. Poprawek pol. i fr. kart 3. Spisu tablic kart 2, i spisu prenumeratorów kart 4. Rsr. 24.

63. Zbiór rytmów Kaspra Miaskowskiego znowu przez authora poprawionych, rozszerzonych i na dwie części podzielonych. *Cum Gratia & Privilegio S. R. M.* W Poznaniu w drukarni Jana Rossowskiego roku 1622. Teraz do druku po raz trzeci podany, przejrany, objaśniony i wiadomością o życiu i pismach Miaskowskiego opatrzone przez Janą Rymarkiewiczą, Doktora filoz. i naucz. wyższego przy gimnazjum Ś. Maryi Magdaleny w Poznaniu. 8ka. Poznań. 1855. Nakładem Jana K. Zupańskiego, (druk W. Deckera i Spółki). Napisów i przedmowy str. XXXVI, wstępu str. VI i 158. Część II, napisów karta 1 i str. 216. Spisu rzeczy kart 2.

## 1856.

1. Archiwum domowe do dziejów i literatury krajowej (.) Z rękopismów i dzieł najrzadszych zebrał i wydał Kaz. Wł. Wójcicki. 8ka. Warszawa. 1856. Napisów i dwóch przedmów kart nieliczb. 4 i str. 578. Rejestru kart 3. (Na końcu dodano rycinę). Rsr. 3.

2. Augustyn, albo potęga wiary katolickiej. Z francuzkiego na język polski przełożone przez Jadwigę.... 16ka. Warszawa. 1856. Nakładem H. Natanson, (druk Jaworskiego). Kart napis. 2. i str. 187. Kop. 60.

3. Dworek i pałac. Powieść K. Wł. Wójcickiego. *Z godłem*:

„Pojrzyj, jeśli co w świecie będzie tak trwałego,

Coby się nie spadało zawždy czasu swego?

A jako się rozlicznie na nim wszystko mieni,

Nie ujrzyz tego lecie, coś widział w jesieni”.

(*M. Rey z Nagłowic. Zwycryadło 1568*).

16ka. 3 tomy. Warszawa. 1856. W księgarni Ig. Klukowskiego i W. Rafalskiego (druk Gazety Codziennój. Tom I, str. 186, T. II, 185. T. III. 161, i w każdym napisów kart 2. Rsr. 2.

4. Gawęd, rymów ulotnych, i przekładów Władysława Syrokomli poczet czwarty. 16ka. Wilno. 1856. Nakładem R. Rafałowicza, (druk A. Marcinowskiego). Kart napis. i przypis. 4 i str. 175. Rsr. 1.

5. Jana Jaworskiego Kalendarz astronomiczno-gospodarski na rok przestępny 1856. Opisów roślin rok dziewiętnasty. 8ka wielka. Warszawa. Nakładem i drukiem wydawcy. Napisów, przedmowy i kalendarza str. XXIV (do str. IX nieliczb.). Textu str. 168. Jarmarków i doniesień str. XL. Kop. 45.

6. O hodowaniu morw. Nakładem i staraniem Spółki Jedwabniczej. (Z ryciną). 8ka wielka. (Warszawa, 1856. W drukarni Gazety Codziennej). Str. 15.

7. Okruszyny. Zbiór powiastek, rozpraw i obrazków przez J. I. Kraszewskiego. *Zgodlem*:

Nulla dies abeat, quin linea ducta, supersit.

3 tomy. 12ka. Warszawa. 1856. W drukarni S. Orgelbranda, nakładem Czerniaka w Białocerkwi. Tom I str. 275. II, 278. III, 287, i w każdym kart napis. 2 i rejestru karta 1. Rsr. 3 kop. 60.

8. Prozą i wierszem (*na okładce dodano dla jasności*: Pisma) przez autorkę w Imię Boże! 12ka. Wilno. 1856. Nakładem A. Assa księgarza, druk J. Zawadzkiego. Str. 74 i spisu rzeczy karta 1. Kop. 60.

9. Różne różności czyli prawdziwe historye napisane przez Janka z Bielca. Wydał Jan Kanty Gregorowicz. 2 tomy. 16ka. Warszawa. 1856. Nakładem A. Nowoleckiego, druk Gazety Codziennej. Tom I. kart napis. 2, str. XXIX i 193. T. II. kart 2 i str. 219. Rsr. 1 k. 50.

10. Stanisława Strąbskiego Rocznik na rok przestępny 1856. 8ka duża. Warszawa. Nakładem i drukarnią braci Hindemith. Str. 189. Kop. 45.

11. Zgon Acerna. Chwila z XVIIgo wieku przez Władysława Syrokomlę. 12ka. Wilno. 1856. Nakład Maurycego Orgelbranda, druk A. Marcinowskiego. Str. 51. Kop. 60.

## Doniesienia literackie.

### WARSZAWA.

Hippolit Skimborowicz redaktor dawnego Przeglądu Naukowego rozpoczyna druk swego dzieła p. n.: „Słownik literatów i artystów polskich XIX wieku”. Pracy tej ważnej i starannemu obrobieniu poświęcił dwanaście lat życia. Słownik ten obejmie trzy duże tomy w 8ce, na dwie szpalty. Wychodzić będzie dla ułatwienia nabycia zeszytami.

— Oskar Flatt wykończy obecnie obszerną monografią Pilicy, i opis miasta Szczekocin. W Pilicy przesuwać się rodziny Pileckich: tu wydatnie postać Elżbiety z Pileckich Granowskiej, trzeciej małżonki Władysława Jagielly; Padniewskich, szczególnie Stanisława znanego starosty dybowskiego, i wreszcie Wessłów, z których Marya Józefa była małżonką królewicza Konstantego Sobieskiego. a przy niej staje postać podskarbiego Teodora Wessla. Dzisiejsza epoka jest zapowieścią odrodzenia się Pilicy, odpowiednio duchowi czasu, bo zyskało imię w dziejach przemysłu krajowego. W Szczekocinach, obok postaci podkanclerzego Piotra Wdy z czasów pierwszych Jagiellonów, wydatnie odznaczają się wizerunki starościny wólbromskiej, Czackiego, a poniekąd i autorki Karoliny.

— Czytelnia niedzielna, której już wyszło XII numerów pod główną redakcją p. Alexandry Petrów, znalazła jak najprzychylniejsze przyjęcie, bo około 3,000 prenumeratorów liczy obecnie. To szlachetne przedsięwzięcie, chętnie wsparli swemi pracami znani w literaturze naszej pisarze: J. K. Gregorowicz, Korzeniowski, Kraszewski, Pług, Wójcicki; — Panie: Seweryna Pruszkowa i Ilnicka, pospieszyli przed innemi i już ich utwory były drukowane w Czytelnicy: inni przyrzekli swą pomoc, i w części nadesłali. Mamy nadzieję, że troskliwa redakcja w miarę zasobów i powiększającej się liczby prenumeratorów, rozszerzać będzie zakres swego pisma przez dodatkowe arkusze, i postara się o stosowne drzeworyty, szczególnie wtedy, gdy wedle prospektu ogłoszonego, nowe wynalazki, dla ulżenia pracy, lub wydoskonalenia rzemiosł, podawane będą.

— Pani Belejowska ukończywszy w VI tomach przekład dzieła Alzoga: Historia Kościoła powszechnego, zaczęła przekład X. J. Gaume

we 2 dużych tomach: „Dzieje życia rodzinnego wszystkich starożytnych i tegoczesnych ludów, czyli wpływ chrystyanizmu na życie rodzinne“. (*Histoire de la société domestique, chez tous les peuples anciens et modernes, ou Influence du Christianisme sur la famille, par l'abbé J. Gaume*).

— Księgarz i znany nakładca B. M. Wolff w Petersburgu, zapowiedział następne nowości, które zamysła ogłosić w ciągu bieżącego roku: Piotra Skargi Żywoty świętych, wydanie nowe ogłoszone staraniem ś. p. ks. arcybiskupa Hołowińskiego 2 tomy. Tegoż ks. Hołowińskiego Hymny kościelne wierszem w 1 tomie. Plejadę polską: Album poezyi, ilustrowane. Żegoty Pauli: Pamiętniki o Djabłie Stadnickim.—J. Korzeniowski powieść w 3 tomach: Wyprawa po żonę. Zygmunta Kaczkowskiego powieść historyczną w 3 tomach: Rycerze Olbrachtowicze. Humboldta Obrazy natury, przekład profesora Urbańskiego, 2 tomy.

— P. E. Stawiski obywatel dawniej ziemi sieradzkiej, którego pracę: *Historja rolnictwa w Polsce*, już ogłosił w piśmie naszym, przygotował do druku rękopism p. n. „Księga szkiców i fragmentów”. Z niej ustęp p. n. „Teofrast polski” podamy w następnych zeszytach.

— P. Karol Minarski we Wrocławiu wydał powieści ludowe w języku niemieckim p. n. „Weichsel-Mährchen“.

— Maurycy Orgelbrand księgarz wileński wydał pierwszy zeszyt zapowiedzianego dzieła Jakóba Arago w przekładzie polskim: *Od bieguna do bieguna*. Tenże księgarz zamierza wydać w Warszawie zbiorowe pismo w okazałej edycji na wzór jak są angielskie Keepsak'i. Redakcją objął główną Władysław Syrokomla. Tytuł Wincenty Pol doradzał, aby dano temu zbiorowi: *Barcie*. Będzie on zaiste stosowny jeżeli w nim rzeczywiście miód literacki znajdziemy. Z zebranych dotąd artykułów wydawca ogłasza, że już posiada poezyą W. Pola: *Z boru i klasztoru*, hasło i odzew do Syrokomli; Ignacego Chodźki ustęp z powieści *Jesień w klasztorze*. Gabryelli z Ginterów księżnej Puzyniny: „*Co miłość może*”; Wł. Syrokomli: *Procedencye szklanicy miodu*: (gawęda).

— J. I. Kraszewski wykończył nową powieść p. n.: „*Człowiek*”. J. Korzeniowski, powieść „*Krewni*”, którą ma *Gazeta Warszawska* drukować. Dr. Teodor Tripplin pisze dalszy ciąg „*Pamiętników lekarza*,” mają one wyjść nakładem S. Orgelbranda.

— Z zeszytu VI Opisu cmentarza Powązkowskiego dowiadujemy się, że dwa tomy dzieła tego, obejmujące XII zeszytów, zawrą jedynie sam Cmentarz Powązkowski: gdyż wydawcy tyle przybyło materiałów, że w oznaczonych ramach zaledwie je pomieścić potrafi. Osobne dzieło, niemniejszej zapewne objętości, zawierać będzie opis cmentarzy katolickich Sto-Krzyckiego, Ujazdowskiego i Pragskiego, oraz innych wyznań. W plan tego dzieła wchodzi także opisy cmentarzy okolic Warszawy, jak Bielan, Wawrzyszewa, Willanowa i wiele innych. Praca ta w większej połowie już jest wykończona.

† Dnia 7 marca r. b. o godzinie 3 z rana, w 85 roku życia, umarł powszechnie czczony i wielbiony Kajetan Koźmian, kasztelan, autor *Ziemiaństwa polskiego*, znakomity poeta i zasłużony dobrze krajowi obywatel, w swojej zaciszy wiejskiej w Piotrowicach, którą od r. 1831 zamieszkał. Fran. Salezy Dmochowski (w *Gazecie Codzienniej*) i Andrzej hr. Zamojski (w *Dzienniku Warszawskim*) pięknymi wspomnieniami uczcili pamięć sędziwego starca.

† Dnia 22 marca r. b. zakończył życie Antoni Żyszkiewicz, adjunkt gabinetów Okręgu naukowego warszawskiego, mąż znany z głębokiej nauki, a obok tego z prawości i szlachetności charakteru. Wiele prac jego literackich mieszczą pisma peryodyczne warszawskie: na każdej wycisnął piętno nauki i sumiennosci swojej.

# NORMANOWIE I GERMANOWIE

Z UWAGĄ NA DZIEŁO P. A. MUNCHA

## DER NORSKE FOLKS HISTORIE,

tudzież

## POGLĄDEM NA GERMANIĄ

PRZEZ TACYTA OPISANĄ I JEJ U POLSKICH PISARZÓW WZIĘTOŚĆ.

PRZEZ

*Wacława Aleksandra Maciejowskiego.*

---

Kiedy, biblijnie mówiąc, zaczęła się po potopie nowo zaludniać Europa, tłumy ludów z Azji do niej przesiedlających się, znalazły ją na oścież sobie rozwartą. To też zaludniały ją łatwo, cisnąc się do niej w kierunku od północy przez uralskie, od wschodu przez kaukazkie góry, od południa przez Azyą mniejszą. W liczbie pierwszych występujący głównie Finowie głośniejsi są w dziejach jako lud od natury upośledzony, o którym zauważył już Tacyt „że dzikość jego i ubóstwo jest aż do podziwienia,” co też w pięćset lat po nim powtórzył Jornandes (1). W liczbie drugich głośniejsi Celtowie napływali na Europę (2), i najpiękniejsze jej bo południowe i zachodnie posiadłszy strony, mieli w niej, aż do zjawienia się tu nowego, o władzę współu-

(1) Germ. 46. *Fennis mira feritas, foeda paupertas.*

(2) Porówn. w dziele Gregor von Tours v. J. W. Loebell Leipzig 1839 artykuły: die Völkerstämme im vorrömischen Gallien, Ueber die Meinungen vom Ursprunge der Franken.

biegającego się z nimi ludu, wyłączne panowanie. Byli nim Scytowie, którzy po Celtach napływając władli wszędzie dokąd tych nie sięgało panowanie, i trzymali w swój mocy wszystkie na wschodzie mieszkające ludy. Cała więc Europa, o ile ją nie posiadali Finowie, na Celtów i Scytów dzieliła się rządy, których żaden nowo-napływowy lud zaprzeczyć im nie śmiał aż do IVgo po Chrystusie wieku. Wtedy to wystąpił znowu do walki z tymi, nowo w Europie pojawiony na pograniczu państwa Celtów, Scytów i Finów usadowiony lud. I on w przed-historycznych czasach z Azyi wyszedłszy osiadł naprzód u dolnej Wołgi, nie chcąc na północ, a nie mogąc dalej na zachód wędrować: tam bowiem nie nęciły go ku sobie zimne ubogich Finów siedliska, tu w potężne zastępy rozrodzone panowaniu Scytów i Celtów ulegające ludy, nie dozwalały posuwać się mu w głąb Europy; co wszakże nie mogło trwać wiecznie. Pociągnawszy więc w niewiadomym czasie ku północy, i o Finów w dzisiejszej Szwecyi i Norwegii rozłożone oparłszy siedziby, przesiedlał się ztąd przez morze w tak obecnie nazywane wschodnie i zachodnie Prussy, słynąc naprzód pod nazwą Gotów a następnie Normanów (1), niewiadomo przez kogo nadaną sobie. Tu zastał go w IV przed Chr. wieku opływający morza Bałtyckiego brzegi Piteasz żeglarz marsylski, i tę dla jego dziejów pierwszą zapisał datę.

Skoro się między Celtów i Scytów wdarli Gotowie, nie zaniedbali pójść w ich ślady inni Normanowie, i przez Danią wdzierać się w krańce dzisiejszych Niemiec. Zacierało się przez to dawne tutejszych ludów imię, a nastawało nowe, gdy przybysze ci zlewali się z osiadłymi tu oddawna władzy Scytów i Celtów, jak rzekliśmy, ulegającymi ludami. Z takowych nazwisk ludowe imiona Suewów i Germanów są wielkiej wagi. Początek pierwszego ginie w odległej starożytności: drugie nowszego jest pochodzenia. Przeszedłszy ono niedawno temu (mówi Tacyt) od Celtów na Germanów tych, którzy się nie wiadomo kiedy i dla czego Tungrami mianowali, służyło następnie wszystkim w granicach teraźniejszych Niemiec mieszkającym ludom (2), ale nie wyłącznie. Nosili bowiem Germanowie obok

(1) Dosłownie znaczy „północnych mężów“ od *Nord* północ, i *Mann* mąż, człowiek.

(2) Tacyt Germ. 2. Leo wywodzi to imię od celtyckiego *gair*, *gairm*, który ma okrzyk (wojenny?) znaczyć. Porówn. Rudolphi observationes grammaticae et criticae in C. Corn Taciti Germaniam, Monasterii 1855, na str. 23.

nowo uzyskanego inne jeszcze nazwiska. Występują więc obok nich Saksonowie, Suewów północnych, tudzież Frankowie Celtów zarenskich i Suewów południowych, dzisiejszą Bawaryą i Wirtembergią zamieszkujących, ujarzmiciele.

Zanim o ludach tych opowiadać zaczęę, muszę zwrócić na to uwagę, że odkąd głębiej w dzieje pierwotnej Germanii, z powodu nowo-opracowywanej Historii prawodawstw słowiańskich, wglądać zacząłem, pytanie to zkąd się do niej, czy od południa, czy od wschodu, czy od północy germańskie dostawały ludy? obchodziło mnie wielce. Upewniwszy się o tém, że wprost od wschodu przybywszy na północ zkąd na południe, nie zaś jak utrzymuje Grimm (1) od południa na północ czyli z nad Dunaju nad Bałtyk a ztąd do Skandynawii i Germanii dostawały się, wyciągnąłem ztąd ważne dla badań dziejowych wnioski. To samo dzieląc dziś ze mną zdanie professor norwegijski P. A. Munch w dziele r. 1851, w Chrystyanii wydaném (2), nie rozwijał dalej myśli swęj logicznie. Powiedziawszy bowiem że pierwotnych instytucyj germańskich początku upatrywać należy na północy, zauważył błędnie, że cokolwiek o tychże instytucjach niezgodnie z normandzkimi podali Juliusz Cezar i Tacyt, na karb to złego wysłowienia się lub nawet niewiedomości ich policzone być winno. Lecz zdanie to o historykach ze wszechmiar godnych wiary wyrzeczone lekkomyślnie, można sprostować tą naturalnie nasuwającą się uwagą, że gdy i ludy Germanią przed najściem do niej tłumów północnych zamieszkujące miały swe urządzenia polityczne, więc własnie o germańskich a nie o instytucjach wprost z północy pochodzących mówić mogą Cezar i Tacyt, ilekroć o nich po swojemu rozprawiają. Twierdzenie to nabierze mocy, skoro opowiemy: jakie były rzeczywiście instytucye narodowe Gotów i Normanów, a jakie Celtów i Scytów, Germanią przed najściem jęj od ludów

(1) *Geschichte der deutschen Sprache Leipzig 1848* i tamże wydanie drugie 1853. Porówn. 118 a z niém Muncha 31. 51. 59. 60. Dziś nie ulega wątpliwości że Niemcy nie dostali się z Azji do Germanii przez Dunaj, lecz owszem Słowianie: wcześniejsze tu bowiem są słowiańskości niż niemieckości ślady. Poświadczają to wyrazy botaniczne Dyoskorydesa (porówn. artykuł mój *Geto-Daki* w poszycie marcowym Biblioteki Warsz. z r. 1855) które za niemieckie r. 1853 poczytując Grimm, oświadczył mi, gdym we wrześniu r. 1855 rozmawiał z nim o tęg rzeczy w Berlinie, „że się pomylił“.

(2) *Die nordisch-germanischen Völker eine Uebersetzung der beiden ersten Abschnitte von P. A. Munch Der norske Folks Historie von G. Fr. Claussen. Lübeck 1853.*



z północy zamieszkujących? W jakim stosunku stanęły do siebie instytucje te po owym najściu? w jakim były za czasu panowania Germanów? co nakoniec przez zetknięcie się z sobą północnych instytucyj z południowemi wynikło?

Przed przystąpieniem do rozwikłania tych pytań, uprzedzam czytelnika, że wywód rzeczy oprę co do Normanów i Gotów na faktach które Munch przywiódł, co do Scytów zaś i Germanów na źródłach, którem w dziełach własnych a wiadomych bo drukiem ogłoszonych (1) przywiódł, że artykuł ten jest dalszym analizy źródeł pierwotnych praw słowiańskich ciągiem, której synteza czyli szczegółowość zaokrąglona w całość pojawi się w Historji prawodastw; że pisząc go miałem na uwadze dwa cele, by naszą publiczność zaznajomić z norweskim dziełem dla pierwotnej historji Słowian a więc i Polaków nader ważnym, i by sprostować w niem co mylnie piszący go o Germanach zeznał, nie znając Swewów i za Niemców ich poczytując wszystkich. Rzutem oka na Germanią Tacyta, i na poczynione o niej przez uczonych Niemców i Francuzów badania naukowe, zakończę mą pracę.

Z Azji wyniósłszy Germanowie zasady towarzyskiej społeczności politycznie i religijnie na rządach patryarchalnych oparte, mogli je nieskazitelnie zachować w długie wieki, gdyż ludy, między którymi w Europie osiedli, nie przeszkadzały im w rozwijaniu tychże. Trzymani długo nad Wołgą przez potężne Scytów zastępy, trzymani nierównie może dłużej przez nie w Skandynawii, zlodowacieli i zkamienieli w sercu pod ostrym północy niebem, a nie odwykli od broni, ucierając się ciągle z pograniczną swych nieprzyjaciół strażą, która im wstępu w dalsze Europy broniła kraje. Używszy wreszcie tegoż samego co później Gotowie względem Rzymian fortelu, czyli okrążywszy nieprzyjacielskie straże, i do Szwecyi i Norwegii od północy wtargnąwszy, osiedlili się w niej na zawsze. Gdzie który z ich oddziałów osiadł, tam też pozostał na miejscu, tworząc wojskową osadę nazywaną półkiem (*fylk*, dziś *Volk*), która się znowu dzieliła na sotnie (*hundari*), ale w wojskowym tylko a bynajmniej administracyjnym jak u Siewów a następnie

(1) Oprócz Pierwotnych dziejów, Roczników i kronik, oprócz rozpraw do Biblioteki Warszawskiej od r. 1852 podawanych, należy tu wychodzący właśnie opracowany przezemnie obraz literatury średniowiekowych ludów według układu Ejchofa. Nowe mimo to dowody położę gdzie potrzeba tego zachodzić będzie.

u Słowian, względzie. W sotniach były rody sprawowane od najstarszego z członków rodziny, który, jak dziś u Chińczyków, naczelnikiem i kapłanem będąc rządził majątkiem rodziny do czasu posiadany wspólnie. Nabywano go przez udział uzyskany na ziemi zdobytej i prawem posiadano dziedzictwa, a powiększano przez nowe nabytki, które mógł każdy robić na swą rękę siłę mający po temu. Wolno bowiem było prowadzić wojnę dla zdobyczy i tak sporzyć sobie nieruchomy i ruchomy majątek, biorąc w plon jeńca, i osadzając go na roli. Im kto szczęśliwszy był w tym względzie, tém łatwiej dostępował władzy w półku, i jako doświadczony w wojnie wychodził przez to na monarchę. Mąż taki mając liczne na rozkazy osadników rotę, kierował się przy ich pomocy na stałego dowódcę półku, a przytém przywoził inne półki pod swą władzę. Ztąd początek wazalstwa i piérwszy zaród królestw, utwierdzanych przez stany, o których wyobrażenia przyniósł z sobą z Azji Norman, i takowe podbitym Finom z bojaźnią broni zwyciężkiej wraził. Były trzy stany: Trelów czyli poddanych, Karlów czyli szlachetnych, Jarlów czyli szlachetniejszych. Urodzenie i zastosowana do niego główszczyzna różniło między sobą obywatelów, i odróżniało ich od poddanych.

Wcale inny kierunek wzięły ludy scytyjskimi zwane. Rozumiano pod tém nazwiskiem szereg wielu różnej narodowości ludów. W poczcie ich mieściły się i te, od których poszli Słowianie. Ci wyłącznie ku roli skierowani przez swych panów, stanowili tak od Herodota zwany ludzi nieszczęśliwych rodzaj, gdy przeciwnie szczęśliwi ich władzcy trudniąc się pasterstwem i wojaczką, przebiegali z bronią w rękę zajmowane przez lud sobie poddany ziemie, doglądając czy się mu od kogo krzywda nie dzieje; czy kto nie żyje z jego pracy, z której wyłącznie chcieli korzystać sami. Ponieważ zaś nie byli do gleby ziemi przywiązani Scytom poddani ludzie, którą owszem zmieniać i gdzie im było najdogodniej wybierać ją sobie mogli, przeto jak daleko sięgała władza panujących nad temi rolnikami żołnierzy i pasterzy, tak daleko téż rozciągały się otwarte im do uprawy role, i niby własność stanowiły ich. Celem łatwiejszej uprawy wolno było rolnikom tym stowarzyszać się przez przybieranie do siebie obcych rodów, z kąd powstawały plemiona i gminy. To było im zadatkiem przyszłego szczęścia, to zapowiedzią wolności, która miała nadejść po przerzedzeniu się szeregow usta-

wicznie wojujących Scytów, Traków, Getów, Sarmatów i t. p. nad owymi rolnikami władających. Były i te nowo z Azji napływające ludy, które sobie wzajemnie rządy nad owymi wydziebrały rolnikami, troszcząc się bardzo o to, ażeby nie brał się do broni oracz, ażeby pluga tylko i motyki pilnując, zbierał dla swych panów dostatki. Tak było aż do czasu, w którym Norman przepartszy wreszcie zaporę, dostał się z Skandynawii nad Bałtyk. Pojawił się tu naprzód Got, który zapewne widząc że się już bardzo przez wojny i lubieżność przerzedziły roty Scytów i Sarmatów, wszedł w tajemne stosunki z owymi rolnikami, i podawszy im myśl do zrzucenia z siebie ohydneho jarzma, stał się sprzymierzeńcem ludu pod dwojaką Swewow (Suowow, Słowenow) i Wanów (Wenetów) występującego nazwą. Z nich pierwsza charakter Słowian wybitnie dotąd cechująca mogła pojsć z języka Gotów (1); druga u Finów i Celtów naprzód pojawiająca nie odkryła nam dotąd znaczenia swojego.

Pierwszy a najważniejszy zażyłości tej wynik pojawił się w pojęciach i obrzędach religijnych, które u Słowian jako wśród Europy i w sąsiedztwie najukształceńszych narodów, Greków, Etrusków i Celtów od dawna wespół z Scytami, Trakami i t. p. bytujących, były wykształceńsze niż u Gotów i Normanów z Finami sąsiadujących. Nawet Germanowie, jak podał Cezar, stali na bardzo niskim stopniu pojęć religijnych, i długiego czasu bo tysiąc i kilka set lat potrzeba było na to, ażeby się pojęcia te wykształciły, ażeby się ich religia pogańska usystematyzowała. Nastąpiło to wówczas, kiedy Asowie czyli gocy bohaterowie zespolili się z Wanami, i bóstwa ich przyjęli za swoje, z kąd cześć ziemi śmiertelnych powszechnej rodzicielki, tudzież bóstw z rolnictwem w związku będących, a urodzajami i pokojem opiekujących się w stariej wystąpiła Eddzie, mając na czele Otina czyli bogów i ludzi, nieba i ziemi powszechnego ojca. Imię bóstwa podwójne i którego drugie z języka Gotów wywieść się nie da, gdyż na wyrażenie go nie dostaje słowa ich mowie (2); szereg bogiń w religii ludu, który sobie stawiał ko-

(1) W języku Gotów *slavan* znaczy *milczćć*, *still-schweigen*, w staro-cerkiewnym *tich* (dzisiejsze *cichy*) na toż samo co *spokojny*, *tranquillus*, wychodzi. Porówn. *Guthisches Glossar v. Ernst Schulze*, tudzież F. Miklosicza *Lexicon linguae slovenicae veteris dialecti* pod temi wyrazami (*slavan*, *tich*). Na wyrazie *slavan* i na śladach słowiańskiej u Suewów wspierając się narodowości, wywodziłem i wywodzić będę tychże Suewów imię.

(2) W Tacyta Germ. 2. *Tuisco* nazywa się w Eddzie *Otin*, *Othin*, *Odin*, znacząc powszechnego rodziciela czyli ojca bogów i ludzi.

bietę na równi z rzeczą, i dopiero po przesiedleniu się do Germanii cenić ją wyżej nauczył się, dalej ofiary ludzkie, obwożenie bałwanów w świętym pochodzie i t. p., wskazując na związek religii Gotów a owych spokojnych ludzi, domyslać się każe o tém, że cześć bóstwa wzajemna zbliżyła Normanów, Gotów i Słowian do siebie, ale nie ze wszystkiém. Duch bowiem wojny owiewał religią północy mężów, stanowisko towarzyskiej społeczności cechowało u nich jak ludzi tak i bogów, hierarchia nie była tu i tam jednakowa. Jak dziś w Chinach inną religią wyznaje rząd a poddani inną, tak i u Gotów i Normanów inne się bóstwo Jarlami, a inne poddanemi opiekowało. Piérwsi szli po śmierci do Otina, drudzy do syna jego Tora czyli Tura, pod postacią wołu od ludu rolnictwem głównie zajmującego się czczono. Kapłanili w kościołach temu ludowi duchowni osobną hierarchią przez Gotów od Greków naśladowaną stanowiący, a Otin był, dawnym Normanów zwyczajem, najwyższy u siebie kapłan, który obrzędując pod gołym niebem dopiero przy schyłku pogaństwa stawiał kościoły, i na ustanowionych kapłanów zlał swoje władzę duchowną.

Okoliczności te wykazują dostatecznie, że nie ze wszystkiém zgadzała się religia sprzymierzonych. Więcej atoli różniły ich jeszcze urządzenia polityczne.

Chociaż się Suewowie według Juliusza Cezara i Tacyty liczyli do Germanów, jednakże instytucje ich wyraźnie świadczyły o tém, że Germanowie ci ani od Gotów ani od Normanów, lecz raczej od Scytów, Traków i t. p. poszli. Byli zaś bezwątpienia Suewowie starszymi od Gotów Germanii mieszkańcami, gdy cywilizacją mieli wspólną z dawniejszym w niej od Normanów ludem. Ich bowiem rody zupełnie się od normandzkich różniły, zamiast półków mieli powiaty, a niebyły im znane stany narodu, władza królewska i dziedzictwo roli. Zgoła był stan polityczny suewskich ludów od normandzkiego wcale odrębny, i chociaż się po upływie tysiąca lat przeszło zlała cywilizacja ich z niemiecką, przecież odrębne cechy nosiła zawsze na sobie i nosi je dotąd. Niewiedząc o tém Munch i wszystkich Germano-Suewów poczytując za Niemców, nie mógł téż zdać sobie z tego sprawy, co o ich rodach i gminach zeznali rzymscy pisarze; w skutek

Pomnąc na to że *ojciec* wyrażał się u Gotów przez *fadar* (dziś *Vater*) a u Słowian przez *ot*, więc oczywiście owa bóstwa nazwa słowiańską jest, i *Otin* lepiej się pisze niż *Odin*.

czego nie był w stanie pojąć organizacyi społeczności towarzyskiej Germanów za czasów Tacyta i po nim istniejącej. Mianowicie téż drugą część jego dzieła, w której stan wewnętrzny Normanów przechodząc porównywa go z tym, jaki przez Saksonów i Franków dla Germanii spowodowany został, jest mylną i sprostowania potrzebuje; co wykazać przedsięwziąwszy, uwagę na normandzkie i suewskie, a więc niemieckie tudzież scytyjskie, geckie, dackie, czyli słowiańskie instytucye tak polityczne jak i prywatne zwracać i opowiadać będę, jak się i przez co w Germanii ukształtowały nieznane Suewom stany, z kąd i dla czego powstała w Europie własność alodialna, jak się na niej oparło niemieckie i słowiańskie szlachectwo.

Wczasach przedhistorycznych stowarzyszywszy się wszystkie te kraje, które w granicach dzisiejszych leżąc Niemiec, Celtów i Scytów niegdyś ulegały panowaniu, utworzyły sobie jedno związkowe z trojakiich rządów za czasu Tacyta złożone państwo. Od Elby aż do Wisły i w górę aż po dziś tak zwane Prus zachodnich idąc krańce, rozciągało się państwo Suewów: w niem przewagę mieli w stu powiatach rozłożeni Semnonowie czyli Zemnonowie, to jest czciciele ziemi (Nerthus), z którymi w związku zostawali, tak przezemnie nazwani, zeswewieni, gdyż ową częścią z nimi połączeni Longobardowie, Wandalowie, i inni. Po nich wielką zwracali uwagę na siebie Łęczanie (Lygii) na różne wielopowiatowe (Helwekonowie téż, według Pliniusza starszego, pięćset posiadali powiatów) podzieleni państwa, po tych zaś Gotowie do swewskiej przez Tacyta policzeni rzeszy, nakoniec Rugiowie żywiołem niemieckim wielce przejęci, a wreszcie odłamki celtyckich i panońskich (zakarpackich) ludów. Za Swewią były znowu inne odłamki Celtów za któremi siedzieli Wenetowie (Słowianie) i Finowie ci, którzy do rzeszy nie należeli Germanów. Resztę krajów aż po Ren zajmowali Germanowie różnej narodowości. I to byli Celtowie, Finowie, a z nimi Litwini i Normanowie, miejscowo różnym a ogólnym Germanów nazywani od Rzymian mianem. To czyli raczej te związkowe państwa, miały każde u siebie rząd własny. Suewowie mieli gminny, Markomanów i Kwadów, w dzisiejszych Czechach i Morawii przesiadujących, wyjąwszy, którym intryga Rzymian narzucała królów. Byli Gotowie i za nimi mieszkające ludy w większej nieco, mówi Tacyt, u monarchów swych podległości, a przeciwnie reszty Germanów królowie mieli władzę

ograniczoną i ścieśnioną. Nie byli albowiem mocni działać według swój woli, lecz albo z naczelnikami rodzin albo, w sprawach większej wagi, z narodem wspólnie naradzać się musieli. Zresztą była ta głównie ich a swewskich rządów różnica, że właściwie tak zwani Germanowie czyli nie Suewowie, biorąc na królestwo mężów szlachtetnego rodu, większemi ich, podczas rok rocznie przedsiębranego podziału roli, opatrywali udziałami. Nie będąc oni w stanie obrobić własnym karkiem wydzielonej sobie ziemi, puszczała ją w posiadłość osadnikom, to jest wziętym w plon wojennym jeńcom. Przeciwnie było u Swewów: u nich bowiem wszyscy obywatele równego będąc prawa, i urodzeniem jedynie tudzież ubiorem od niewolników się różniąc, nie mieli jedni nad drugimi w niczem i żadnej wyższości. Stan więc obywatelstwa był tu jeden, czyli nie było stanów, co trwało aż do czasu zetknięcia się po nieprzyjacielsku Suewów z Normanami. Sprawcami tego, wskutek swych nieszczęśliwych uczuwanego dotąd od Niemców czynu, byli nie widziani w Germanii przed Hgim po Chr. wiekiem Saksonowie, którzy z kądby do niej przybyli, to wiadomo tylko, że z za morza na łodziach przyплыли (1). Pomnąc na to co powiada Munch, rzeczy nie tylko nierozumiejąc, ale nawet coby znaczyła nie dorozumiewając się wcale; pomnąc, mówię, na to, że w tak zwanym „jadrze” czyli na wybrzeżu Norwegii południowej stawiał niegdyś lud nieznanego nazwiska „szatry” czyli szałas, z kąd powstawały „sioła”, i że cała ta norweskiego kraju przestrzeń mocne ma rugijskiej narodowości ślady (2), wniosłbym, że swewskie Rugian plemię, zwabione wybornemi w tych stronach pastwiskami, dawszy przez osiedlenie się tu zaczepkę do waśni Normanom, drogo zaczepkę tę opłaciło następnie. Ci, według wyrażenia się kroniki, nożami jak dzisiejsi Czerkiesy uzbrojeni wojownicy, wetując zapewne swój na Swewach krzywdy, wdzierali się stopniowo w ich kraj, aż się zupełnie do niego wdarli, i swewskich Hermundurów (3) intrygami Rzymian mocno w enocie zachwia-

(1) Porówn. pierw. dzieje 28 nstpn.

(2) O rugijskich osadach w Norwegii mówi Munch 108, przytaczając wyżej wspomniane wyrazy, które z Anglosaksońskimi porównywa. Ich atoli znaczenie jaśniej się w słowiańskich wyrazach *szatry* (tabernaculum, buda, szałas), *jadro* (sinus maris), *seto* (sioło), uwydatnia; co też i na Rugian narodowość słowiańską wskazywać się zdaje.

(3) Ma wiele podobieństwa do prawdy domysł, że Turyngowie, których wespół z Frankami obalili państwo Saksonowie, byli dawnych Hermundurów potomkami. Porównaj pierw. dzieje 37.

nych zdobywszy, stałe sobie w Germanii założyli siedlisko. Wtedy to rozwinęła się tu stanowość, jakiej dotąd nietylko ta część Germanii, lecz i reszta jej nie znała. Aż do rozpostarcia się bowiem w niej Saksonów wszyscy obywatele, którzy się szlachtą nie porodzili, jednego używali prawa. Szlachta, snadź za utracone i w ręce duchowieństwa złożone kapłaństwo, miała przywilej na królestwo; resztą zaś praw jednoczyła się z wolno urodzonymi obywatelami. Usamowolnieni nie wchodzili w ich poczet nie mając politycznego znaczenia, chociaż, jak zeznał Tacyt, mieli osobistą przewagę nietylko nad obywatelami, ale nawet nad szlachtą tam, gdzie nieco samowolniej panowali królowie. Gdy bowiem polityczne znaczenie od urodzenia zawisło, a wyzwolenicy porodzili się w niewoli, przeto téż ani na równi stać z obywatelami, ani udziału mieć w prawach obywatelstwa nie mogli. Dopiero za przeprowadzeniem od Normanów do Germanii tegoż samego prawa, jakie o dziedzictwach istniało na północy, mogło ukształtować się nowe na klassowości oparte obywatelstwo, czego powodem byli Fryzowie i Saksonowie, a reszty dokonali Frankowie.

Nie wysłedzono dotąd dla czego się Frankami nazywali Normanowie ci, którzy z przyczyny, iż od Salandu (dzisiejszej Zelandyi) w kraj Belgów wtargnęli, salickimi zostali mianowani następnie. Był tém kraj Belgów już podówczas czém jest i dziś, tojest różnych mieszaniną ludów: istniały tu bowiem przez nawykłych do włączeni Germanów przeprowadzone aż w te Europy strony osady Suewów; istniały takoweż Litów, za których sprawą ukształtowało się następnie litewskie nad Niemnem państwo; istniały resztki osiadłych przed wieki Finów; nakoniec różni Germanowie mieszkali tu z Celtami wespół. Te mieszaninę ludów, w jedność państwa ścisłym niezwiązaną węzłem, było łatwo podbić nawykłym do zwycięstwa północnym mężom: co gdy ostatecznie przyszło do skutku w Vtym po Chr. wieku, wzięli się wnet, jak we wszystkiém tak snadź i w tym względzie, powolni radzie kierującego cywilizacją ich duchowieństwa katolickiego Frankowie, do zlania w jedno różnorodnych praw, jakimi się mieszkające tu różnojęzyczne i różno obyczajowe rządziły i sądziły ludy. Ztąd powstała owa sławna ustawa salicka, w której nigdzie nie występujący przedtém, lecz dopiero w niej (w tytule LXIX) pojawiony wyraz *alod* jest dotąd zagadką dla uczonych europejskich.

Pominąwszy kwestyą rozbioru wyrazu tego, której osobny w zamierzonym wydaniu nowém Historji słowiańskich prawodawstw artykuł poświęcimy, dosyć wspomnieć, że według moich spostrzeżeń, zdał się mi być ów wyraz pochodzenia słowiańskiego, a bynajmniej niemieckiego; znaczyć tyle co *ojczyzna* czyli jak dziś mówimy *ojcowizna* (1), i początek swój wywodzić nie z udziału (*κληρος*), ale z nabytego własną osobą majątku. Trzeba albowiem wiedzieć o tém, że jak dotąd w głębi Rosyi i u naddunajskich ludów, tak i u wszystkich narodów, których zlewkiem Słowianie są, a więc i u Germanów, a bynajmniej u Normanów, nie była rola wyłączną osoby jednej, lecz całej gminy własnością, którą taż gmina rok rocznie w Germanii za Cezara i Tacyta między spółobywatelów rozdziałała losem (*κληρος, sors*). Własność więc prywatna z samą się tylko ruchomości składała przed salicką ustawą, a ponieważ szła z *ojca* na dzieci, przeto *ojczyzna, ojcowizna*, nazywała się. Miała wtedy ona większe od udziału losem nabytego znaczenie: przechodziła bowiem z mocy prawa na następców nabywcy, gdy przeciwnie udział stawając się po każdym opróżnieniu go pusty, dostawał się komu go dała w posiadanie gmina. Co trwało aż do czasu Franków, którzy chcąc wesprzeć wojskowość uchylili istniejące od wieków w germańskich gminach o posiadaniu ziemi prawo, w miejsce jego używane w normandzkich filkach położyli, i tak posiadłość na dziedzictwo zamienili. Dla dopięcia tego celu przyjęli (jak ja sobie rzecz tę wystawiam) taką samą zasadę, jakiej się i dziś przy oczynszowaniu włościan trzymają europejskie rządy. Wyrzekli więc: że *dla ojca* czyli *dla tego, że kto jest synem swojego ojca*, może, lub mogą synowie, bez zapytania się o to gminy, wchodzić w posiadanie udziału ojcowskiego, i dzierżyć go prawem ojczyzny na dziedzictwo zamienioną teraz, a dzierżyć sami tylko nie dzieląc się nim z siostrami, które wtedy dopiéro, gdy w rodzie zabraknie płci męskiej, mają dziedziczyć ojczyznę.

W skutek ustawy téj nastąpił taki stosunek roli, jaki dziś w dobrach rządowych widzimy w Polsce, to jest, że rola ta, któ-

(1) Kraj własny i obcy nazywali rzymscy pisarze i średniowiekowi mianowicie téż francuzcy łacinnicy *patria* (Du-Cange p. w. *patria*), dlatego téż według Galla kroniki ed. Bandtkie 275, Niemcy mówiąc o Polsce używali wyrazu *patria*, pojmując ją w znaczeniu *własnej* Polaków ziemi. Ztąd téż alud u średniowiekowych kronikarzy (Pertz I. 158) wyraża się przez *patria, haereditas*.



rój nie rozebrali między siebie czynszownicy, gdyż nie była ona nigdy w posiadaniu gromady, pozostaje rządową, i albo się folwarczną staje, albo nowo rozdana na czynsze, powiększa zakres czynszowych osad we włości.

Przez alody nastąpiła różnica dziedzictwa i posiadłości, z których pierwsze rodowych majątków charakter przybrawszy, stały się zasadą nowego o szlachectwie u Niemców wyobrażenia; drugie zaś pozostawszy w stanie gminnych udziałów losem rozbiernych, były dalej czasowemi posiadłościami. Jak u nas tak i u Franków nie od gmin ale od rządu, lub prywatnych właścicieli nabywano rol takich, obowiązuąc się za posiadanie ich do pewnych usług. Ztąd też potworzyły się nieznane w dawniej Swewii stany, których nie wszędzie był jednakowy charakter. Zawojowani od Saksonów suewscy Turynowie stanowili najniższy czyli trzeci stan, skierowani będąc jak za Scytów ku roli; z kąd też że na lesze własnością teraz zwyciężkiego będącej Saksona siedzieli, Lachami (*Lasi*) nazywali się; drugi stan stanowili wolnego urodzenia, a pierwszy szlachtetnego rodu sascy mężowie. Inaczej się stanowość ukształtowała u Franków. Ci bowiem mając głównie wojnę na celu wyrzekli, że kto w wojsku czyli, jak się wyrażali, w drużynie monarchy nie służy, znaczenia mieć w kraju nie może. Ten co miał własne fundusze, utrzymywał się z nich w wojsku, biorąc nadto pewne od króla wynagrodzenie; tego, co ich nie miał, opatrywano niemi. Służył więc nietylko kto ojcowski wziął udział, lecz i komu dał posiadłość monarcha z tém zapewnieniem, że będzie ją mógł po swej śmierci przelać na sposobnego do służby rządowej syna: z kąd też majątek obu z prawa ojcowskiego posiadany zwał się u Franków *alod*, u Saksonów *Odal*, u Norwegian *odel*, (1) które to wyrazy znaczyły, jak miemam, jedno. Rozważmy to.

Munch stawiając obok siebie wyrazy *alod* i *odel*, zauważył o pierwszym, że on znaczył własność od ponoszenia ciężarów wolną; a o drugim powiedział, że był majątkiem mogącym być

(1) Wyraz *alodis* (łacińskie zakończenie) składa się z przedimka *dla* rządzącego drugim przypadkiem i rzeczownika *ot* (ojciec). Przedimek ten brzmiąc według Szafarzyka (porówn. słown. Jungmana p. w. *dle*) w pierwiastku swym *la*, zastępującym jak mówi tenże *dla*, tworzył wyrazy *al-ota* (przypadek drugi, *dla ojca*) lub *otal* (znaczy *ojca dla*, jak Polacy w XV jeszcze mawiali wieku). Za *la* (mówi Szafarzyk tamże) można było położyć *le*, z kąd powstawało *ot'el*. *Al* jest przesunięte *la*.

dziedzicznym przez rodowych tylko (1). Lecz nie na tém polegała obu różnica, albowiem nie każdy *alod* ale dziedziczny tylko, bynajmniej zaś w posiadaniu, jak bywało u Franków, zostający, pod ciężary osobiste i gruntowe nie podpadał. Jeden téż i drugi, czyli *alod* i *odel* rodowym majątkiem będąc, przez nikogo, jak przez rodowych, lub na kogo oni złali swe prawa, posiadany być nie mógł. Jedno więc znacząc oba różniły się prawami, jakich nabywał przez nie posiadacz; co wszakże bardziej jeszcze zbliżyło do siebie *alody* i *odele*, i od tak nazywanych u Gotów *arbi*, a od Anglosaksonów *erfe* (dziedzictwo) wyosobniło je. Rzecz się tak ma:

Z bronią w ręku wtargnąwszy do Norwegii Normanowie, ciągnęli losy o posiadanie téj ziemi, na której osiadł półk jaki. Co kto z losu dostał, posiadał dziedzictwa prawem, i na swych zléwał to spadkobierców (2). To posiadali oni dalej prawem spółności. Trwało to aż do czasu, w którym rodzina podziału majątku zażądała (3). Co skoro nastąpiło, nie mogły już nowo z podziałów utworzone dziedzictwa zaspokoić żądań, jakich teraz duch czasu wymagał od ich posiadaczy, nowemi powinnościami uciążonych wielce. Skoro bowiem Frankowie wyrzekli, że znaczenia mieć nie może kto zasług nie położy dla kraju, a zasługa w owych czasach na służbie wojskowej polegała największa, ta zaś wymagała nakładów na sprzęt wojenny, które z roli jedynie mógł ciągnąć rycerz; więc téż zasługa a nie urodzenie stawając się odtąd podstawą szlachectwa, pociągnęła go ku roli i oparła na niej. Zaczem poszła i nowa szlachectwa nazwa, gdy dawna *Jarlów* nie wystarczała. Wziąć ją od *arbi* nie można było przeto, że szlachectwo było od niego dawniejsze; zanim jeszcze bowiem losowali Normanowie dziedzictwa, już byli szlachtą porodziwszy się nią. Od *alodów* więc zaczęto nazywać szlachtę tam, gdzie na zasłudze oparto szlachectwo; tudzież tam, gdzie się z dawnymi dziedzictwami (*arbi*) zetknęły

(1) „Nicht *Odel* sondern *Alod* bezeichnet mehr die Uneingeschränktheit und Abgabefreiheit des Eigenthums als dessen Erblichkeit und unzertrennliche Verbindung mit der Familie“, mówi Munch na str. 159.

(2) Guthisches Glossar von Schulze ma wyrazy *arbi*, *arbja*, *garbia*, *arbio*, toż samo co *Erbschoft*, *Erbe*, *Miterbe*, *Erbin*, oznaczające, a wyrazów *alod*, *odal*, *odel*, nie zna.

(3) Munch na str. 158 w przyp.

dziedzictwa nowe (*alod*): pierwsze bowiem ustąpić musiało drugiemu nazwisku, skoro dawna zastarzała instytucja została przez nowszą, czerstwiejszą i duchowi czasu więcej odpowiednią, zastąpiona. Krótko mówiąc od *alodów* wzięła nazwisko naprzód normandzka we Francji osiadła (1), następnie saksońska w ustawiczne wojny aż do czasu Karola W. z Frankami plątana szlachta. Za obiema poszedłszy anglosaksońska, dawne miano dziedzictwa i szlachectwa zarzuciła (2), a przybrała nowe nazwisko, wyrazem *Adal*, *Athel*, *Aethel* od *alod* wziętym nazwawszy się (3). Toż samo, jak ja mniemam, i w Norwegii nastąpiło; i tam wyraz rzeczony zaczął służyć podobnie jak słowiańska *ojczyzna* za przewodnika temu, który z pocztu ludu chciał do stanu szlacheckiego przejść. Mówi Munch (4), że przez dziedzictwa, (*odel*) szedł w górę Karl i z Jarlem się czyli chłop ze szlachcicem łączył. Tak też i w Polsce królewscy chłopci z drobną łączyli się szlachtą, i znowu ta szlachta posuwała się przez dziedzictwa w górę, dochodząc tą drogą do rzędu panów. Ta atoli była różnica, że słowiański pan i szlachcic dzieląc swoje dziedzictwo drobniał lub nawet utracając go chłopiał, a norwegski Jarl i Adal niemiecki nie szwankował przez ubożenie na szlachectwie, gdyż nosił go w sobie z krwi pochodząc szlachetnej, i nie opierał na zasłudze i majątku. Za to też odmładzała się zawsze nasza szlachta a niemiecka wymierała, tak iż wskrzeszać ją musiano z martwych przez udzielenie dyplomu, co znowu, ale pod inną postacią przedłużyło jej życie.

(1) Du-Cange w Glossar. ed. Henschel p. w. *Alodium*.

(2) Phillips Versuch einer Darstellung der Geschichte des Angelsächsischen Rechts, Göttingen 1828. Porówn. stronnica 117 przyp. 318.

(3) Powziąłem o tém mniemanie, rozważywszy co bracia Grymowie w poszycie pierwszym wydawanego od siebie słownika (*Deutsches Wörterbuch von Jacob Grimm und Wilhelm Grimm Leipzig 1852*) pod wyrazami *Adel*, *Allod* rzekli, lubo takich co ja, nie wyprowadzili ztąd wniosków. I oni wyraz drugi od źródłosłowu *ot* a pierwszy od różnych źródłosłowów z *od* spokrewnionych wyprowadzając przyznali, że *odal* ma powinowactwo z *vodal* (patria, praedium avitum). Wszelako nie może to, zdaniem ich, objaśnić powodu znaczenia wyrazu, gdy źródłosłów *od* nie jest do odgadnienia. Więc *Allod* zdaniem Grymów z *ot* wywieść się dający ma swoje znaczenie i pochodzenie wyjaśnione, a *od* dlatego że się przez *d* pisze nie ma go mieć? Czyż *d. t.* nie krzyżują się nawzajem w rękopisach właśnie w wyrazie *alod*, który się i *alot* pisze? Porównaj Waitz w *Das alte Recht der salsischen Franken*, Kiel 1846 na stronnicy 122.

(4) Na str. 149. 191.

Inaczej było u Słowian za sprawą ojczyzny, na której gdy dzięki Opatrzności nie zbywało nam nigdy, gdyż było podostatkiem roli, przeto nie było też u nas ani proletaryatu, ani nie brakło ludowi na środkach dostawania się do rzędu szlachty. Kiedy nam jeszcze Scytowie panowali, stały dla rolnika otworem wszystkie pod władzą ich zostające kraje. Gdzie chciał i wiele chciał orał ziemi, bo mu jej nikt jak dziś w Syberyi nie skąpił, zwłaszcza gdy panujący Scyta orężem się tylko bawił. W miarę jak się który lud słowiański wydobywał na wolność, w miarę tego tworząc gminę rozdawał w niej udziały. Nawet za nastaniem monarchii ziemia zamieszкана, a prywatny nie stanowiąca majątek, pozostawała się gmin własnością, gdyż tylko leżąca pustką dostała się królowi pod zarząd. Szły zaś obie na udziały, i ojczyznami się w tém co u Franków znaczeniu stawały; z kąd posiadacze ich ojczyzniakami nazywali się, co wszelako nie u wszystkich utrzymało się Słowian, bo u Serbów i Rusinów, ale do wieku XV tylko (1). U Polaków i Czechów wróciwszy szlachta do dawnego zwyczaju, ojczyznę nabyty majątek a rodowy dziedzictwem nazywała w XVII jeszcze wieku (2). Lud wiejski jedną miał tylko ojczyznę, i pozostał jej wierny, dając to miano nietylko wziętym w spadku po rodzicach ruchomościom, ale i roli którą uprawiał. Tę trzymając się stale, nie włóczył się po kraju jak za scytyjskich czasów, lecz siedział na miejscu, lubo nie osiedził się bezpiecznie: rugowano go bowiem z roli, by na niej sadzić nowego, większy czynsz płacić obiecującego niemieckiego osadnika. To zrobiło go znowu włóczęgą, w skutek czego co rok przenosił się z sprzętami swemi rolnik, szukając sobie dogodniejszego miejsca dla usadowienia się *na uroku* czyli na czynszu, z kąd też *naroknikiem*, a nie *ojczyzniakiem* nazywał się odtąd. Natomiast szlachta dzierżała ojczyznę, z kąd atoli kraj czyli powszechna wszystkich Polaków ojczyzna małą korzyść miała. Z przyczyny, że starostwa z powszechną powstały własności, a król był ich szafarzem tylko, wyrobiła sobie w szlachecką gminę ziemstwem zwaną zjednoczona szlachta, że jej oddawał pod zarząd te dobra dla ciągnięcia ztąd dochodów. Drapano je więc, i tak rozdrapywa-

(1) Porówn. słown. akadem. rossyjsk. p. w. *otczina*, *otczinik*. W statucie serbskim Duszana *baszczina*, *baszczinik*, toż samo znaczy.

(2) Porówn. słown. Lindego p. w. *oyczyzna*, a słownik Jungmana p. w. *otczina*, *otczizna*.

no ojczyznę, która świadkiem będąc zmian tyłu, po przejściu z ruchomą w nieruchomą, po zamienieniu się z udziału czyli posiadłości w dziedzictwo, przyszła naturalną koleją rzeczy na to, czém była w starożytnym już świecie u Rzymian i Normanów, zszedłszy na czynsze, i dziedzictwem czyli ojczyzną być dla ludu zaprzestawszy. Przyczyny tego poznamy w szczegółach z zamierzonego *Historji* prawodawstw słowiańskich nowego wydania; dlatego kończąc już tu sprawozdanie z czytania dzieła Muncha, rzucę nań okiem po raz ostatni jeszcze. Niepodobna mi albowiem rozstać się z nié, nie wynurzywszy co myślę o mniemaniu autora, który twierdzi, że państwo rossyjskie założyli Niemcy (1). Zebrał on myśl swą w tym ogólniku: „kiedy (mówi Munch) tak później nazywani Normanowie przesiedlili się z Azji do Europy, wówczas zatrzymawszy się u dolnej Wołgi siedzieli tu przez czas długi, może od wieku czwartego przed Chr. nie bardzo odległy, w którym Piteasz zastał ich pod nazwiskiem Gotów na brzegach Bałtyckiego morza; gdy przebywali nad Wołgą wtedy posunęła się część ich ku górnemu Dnieprowi tudzież nad Ilmenu i Ładogi jeziora, i siedząc tu doczekała się przybycia w te strony Ruryka z braćmi, reszta zaś do Skandynawii pociągnęła. „Tak więc (kończy opowiadanie swe temi słowy) szweccy Rodsi (ludzie używający jednej mowy), od których poszło miano Rusi, są potomkami owych niegdyś nad Wołgą i w Szwecyi przebywających Normanów (2).” Lecz jeżeli, jak sam (3) zeznał, rozpoczynają się dzieje każdego kraju z jego zaludnieniem, i dodajmy to, z zaszczepieniem w nim cywilizacyi, więc lud który w nim zamieszkałszy przez czas niejaki nic dla cywilizacyi nie uczynił, założycielem jego nie może się w żaden nazywać sposób. Krótko mówiąc zachodzi tu ten sam stosunek, o którym nie raz wspominałem w mych pismach, twierdząc: że chociaż od Traków, Scytów, Sarmatów, Getów i Daków pochodzą Słowianie, czyli, chociaż się między nimi wychowały ludy, które pod nazwą Wenedów, Suewów, (Suowenów) i t. p. a nakoniec pod mianem Polaków i t. p. wystąpiły z czasem na widowni dziejów, jednakże gdy owe ludy nie tyle się co ostatnie, czyli Getowie i Dakowie, do rozwinięcia towarzyskiego by-

(1) Mówi o tém na str. 9, 53, 54, 55, 56, 58, 59, 62, 63.

(2) Munch na str. 62. 63.

(3) Munch na str. 6.

tu naszego przyczyniły, przeto ich tylko za przodków nadwiślańskich i naddnieprskich Polan, nie zaś Wenedów i t. p., chociaż ci w krajach przed karpackich dawniej od przesiedlonych do niej z nad Dunaju Daków mieszkali, uważać powinniśmy. Jakoż w pośród Daków rozwinęła się owa społecznia stowarzyszonych rolników, o której Józef Zydowin podaje, a której dalszém jakoby rozwinięciem są, w równości obywatelskiej żyjący słowiańscy Suewowie; tych zaś odnogą są braterstwo między sobą zachowujący Lachowie; nakoniec Wiślanie czyli Małopolanie, którzy, jak dawne od Boguchwały przechowane podania mówią, działy (*sortes*) roli osiadującym u siebie naznaczali przybyszom (1). To téż i Normanów nad Wolgą po swém z Azyi przesiedleniu się mieszkających, założycielami ruskiego nie godzi się nazywać państwa, gdy ani kraju nie zaludnili, ani go nie ucywilizowali. Gdzież bowiem ślady obojga? Jeżeli istniały niegdyś a zaginęły następnie, to właśnie okoliczność ta dowodzi, że jedno i drugie było nic nieznaczące, gdy czas zatarł łatwo pamiątki obu do szczętu. Pierwsze ślady cywilizacyi Rusi, tego imienia godnej, występujące w téj części Ruskiej Prawdy, która móm zdaniem pogańskich sięga czasów, wskazując na słowiańską, a bynajmniej normandzką narodowość, dowodzą dostatecznie, że cywilizacya ruska nie była normandzką ale słowiańską od samego początku. Widać to szczególnież z prawa, którego jak narzucić, tak téż uchylić go odrazu nie można; które jeżeli się ma zakorzenić w jakim kraju, wieków na to potrzeba. Jeżeli więc ruskie prawo nie normandzkiego ale słowiańskiego jest ducha, gdyż w niém plemiona, gminy, i ruchome tudzież nieruchome ojczyzny (statok, zadnica), a drugie podobnie jak w salickiej ustawie kobiety wyłączające występują, więc to samo dowodzi, że prawa a z niém cywilizacyi nie zaszczepili na Rusi Normanowie, o czém w dziełach swych rozwodziłem się już nie raz i w nowém wydaniu Historji prawodawstw daléj rozwodzić się będę.

Rzućmy okiem na dzieło wielkiej wagi, które o Germanach książe historyków rzymskich napisał.

Zauważono o niem (2), że w żadném z swoich dzieł tyle co w tém osobistości własnej nie wyraził Tacyt, dla zwięzłości

(1) Według Boguchwały (rękop.) otrzymał taki udział Krakus (*sorte sibi divinitus inter fratres suos Lechitas attributa*).

(2) *Observationes grammaticae et criticae in P. Corn. Taciti Germaniam, scripsit W. Th. Rudolphi Monasterii 1855.*

i krótkości stylu nietylko spójniki lecz i przysłówki, a nawet czy-  
stość poświęcając mowy, byle co prędzej ustami wypowiedział,  
co czuło radością i smutkiem przepelnione serce, na widok czer-  
stwego, zbyt kłami niewycieńczonego, pełnego siły młodzieńczej  
ludu, który miał przywieść do skutku, co niegdyś Rzymowi po  
spaleniu go przez Celtów, przepowiedzieli galscy Druidowie (1),  
a o co frasował się bardzo historyk. Chcąc więc copędzej  
podać do wiadomości ziomków co się o narodzie tym, w po-  
bliżu jego, w kraju Belgów, dochodami cesarza Wespazjana  
zawiadując, dowiedział (2), spisał r. 97 po Chr. co posłyszał  
o duchu i narodowości germańskiego ludu: „któremu (jak ze-  
znał) nie dali bogowie złota i srebra, nie wiedzieć czy z miłości  
czy z gniewu, ale dali mu silny pociąg do cnoty, ażeby powo-  
dując się nim nie znał żartować z występków i nie chciał sro-  
moty zasłaniać modą”, i dlatego „więcej sobie ważył dobre  
obyczaje, niż kto inny (wskazując niby palcem na Rzym), dobre  
poważał prawa (3)”. Pragnął tego Tacyt, by wielowładny pan  
świata przejęty strachem klęski, jakiej się dla swój władzy słu-  
sznie spodziewać może od takich cnot i takiego charakteru lu-  
du, ujął silnie za oręż i zgniótł w swém gniaździe hydrę, z któ-  
rą się próżno przez dwa już prawie wieki z wielką łamał nie-  
sławą i szkodą (4). Wyliczył więc ryczałtem i według mo-  
żności po szczególe opisał zamieszkujące Germanią ludy, na  
dwie narodowości, Suewów i Germanów, rozkładając ich po-  
czet, i jakimby sposobem ducha narodowości tych najłatwiej  
można złamać, machiawelskie na to podał środki. Radził  
„w przyjazne z Germanami wchodzić stosunki, a pokątnie siać  
niezgody; przyczem prosił bogów, by wiekowała w narodach  
orężem dotąd niepokonanych, jeśli nie miłość dla władców  
okręgu ziemskiego, to przynajmniej nienawiść ku sobie samym,  
gdyż w tém państwie rzymskiego pochyłku, większego mu daru  
losy przynieść nie mogą, nad niezgodę nieprzyjaciół (5).” Ra-  
dził „nie żałować grosza na przekupstwa tych, którzy się już  
nauczyli pieniądze brać od swych nieprzyjaciół (6), by mieli za

(1) *Fatali igne signum caelestis irae datum et possessionem rerum humanarum Transalpinis gentibus portendi.* Taciti hist. IV. 54.

(2) *Haec in commune de omnium Germanorum origine, ac moribus accepimus,* mówi Tac. w Germ. 27.

(3) Germ. 19.

(4) *Tam diu Germania vincitur!* z boleścią serca woła Tacyt w Germ. 37.

(5) Germ. 33. (6) Germ. 15.

co nabywać gorących trunków, których im ile zapragną dostarczać kazal, zwłaszcza, gdy się młodzieńcze narody niemniej łączno kusem jak orężem zwyciężają (1).” Radził „osadzać ich w granicach rzymskiego państwa, uwolniwszy od wszelkich brzemion daniczych i tylko na wojenne zachowywać potrzeby”; wmawiać też w nich, „że się to nie dla Rzymu, lecz dla ich własnego czyni dobra, ażeby uszli niebezpieczeństwa grożącego im od ziomków za to, że się sercem i przychylnością z nieprzyjacielem zespoliwszy, Germanami być przestali rzeczywiście (2).” Dając do zrozumienia, że lepiej głaskać niż jątrzyć nieprzyjaciela, stawia za przykład swewskich Hermundurów, którzy przez łagodne z sobą obchodzenie się przyłgnąwszy sercem do Rzymian, sprawdzili to na sobie, że nie raz nieba karzą, gdy obdarzają szczęściem (3). Ponieważ się więc nie z miłości dla przedmiotu, lecz ojczyzny swój powodowany korzyścią, wziął do napisania dzieła, wnieść ztąd łatwo, że raczej politykę niż historią miał i mieć musiał przy układzie jego na widoku, zwłaszcza gdy nawet niemożliwą było mu rzeczą badać prawdy w samém źródle, albowiem nie powstał w Germanii swoją osobą Tacyt; i chociażby chciał był ją zwiedzić, nicby nie wskórał nie umiejac języka ludu, któremu się na statystę, na malarza obyczajów i historyka narzucił. To też jego *Germania* od swego na jaw wyjścia aż do obecnego czasu, mało, przez IV blisko wieki (4), postąpiła w obrobieńiu tekstu, który aż dotąd wiele do życzenia (5) w słowie, w objaśnieniu i zastosowaniu rzeczy do historii prawodawstw germańskich, zostawia. Czuli to i czują najnowszy tekst tego rozważacze i objaśniacze, którzy

(1) Germ. 23.

(2) Germ. 28. 29.

(3) Porównywając (Tacyt histor. IV. 64. Germ. 41) los Tenkterów a Hermundurów, miał snadź na uwadze słowa Pliniusza (hist. nat. XVI 2) *multis fortuna parcat in paenam*.

(4) Pierwsze wydanie wyszło w Wenecyi 1470, najnowsze ogłosił drukiem w Erlandze 1851, professor niemiecki Doederlein, którego nie znam.

(5) Tak i w najnowszém wydaniu Gerlacha (*Tacitus Germania*. Text Uebersetzung Erläuterung. Erste Abtheilung Text. Basel 1835. Zweite Abtheilung Uebersetzung und Erläuterung Heft. I tamże 1837) które znam, czytamy, Germ. 12. *Centeni singulis ex plebe comites consilium simul et auctoritas adsunt*. Gdybym się nie bał symetrii tego a szóstego rozdziału zepsuć, powiedziałbym że za *Centeni* czytać się powinno *Centenis singuli* i t. d. Tak chciał rzecz tę wyrozumić i Waitz (*Deutsche Verfassungsgeschichte* Kiel 1844-47 w dwóch tomach porówn. I. 113. przyp. 2) ale cofnął swe zdanie.



wszystkiego, nawet omyłek w stylu i miary wiersza, dopatrując się w Tacyta mowie, nie mogą się w niej tego właśnie co potrzeba dopatrzeć (1). Czują historycy i prawnicy, dla których byli i dotąd są uwiecznieni przez księcia rzymskich historyków Swewowie, niepokonaną do usunięcia trudnością, a na których przecież wyrozumieniu duch najdawniejszego prawodawstwa Germanów, i, jak ja rzecz pojmuję, Słowian, polega i polegać będzie.

Odkąd się na historią Niemiec z krytycznego zaczęto zapatrywać stanowiska, co w drugiej połowie zeszłego nastąpiło wieku, przekonano się o tém, że nie wszystkie ludy rzymsko-niemieckiemu ulegające cesarstwu, niemieckiego są pochodzenia, choć je germańskimi oddawna w ogóle zwano. Zwracając główną uwagę na Swewów dostrzeżono wnet, że ludy między Wisłą a Odrą mieszkające, do swewskiej od Tacyta liczone rzeczy, za słowiańskie poczytane być winny. Nie przestał na tém Dawid Popp, lecz rozciąglejszy nadał r. 1821 wyrazowi zakres, utrzymując, że wszyscy Swewowie początkowo Słowianami byli (2). Toż samo twierdził r. 1826 August Wersebe (3), na tej opierając się zasadzie, że gdy mieszkający w Germanii od czasów niepamiętnych Słowianie téż same co niegdyś Swewowie zamieszkiwali ziemię, a historia nie wspomina o tém, ażeby je mieli kiedykolwiek opanować przemocą, dawnych wyrugowawszy mieszkańców, więc sama ta okoliczność wskazuje, że Swewowie owi Słowianami byli. Co za pewne, bo nie powiedział o tém, mając na uwadze Guizot, prawil r. 1829 o Słowianach wśród Germanów za Tacyta mieszkających, zauważywszy przytem, że jedni i drudzy stali podówczas na tym samym cywilizacyi co dzisiejsi dzicy Amerykanie stopniu (4). Zdanie jego, zresztą co do barbarzyństwa Germanów nie nowe, prostując J. W. Loebell (5), nie wspomniał nic o Słowianach, powodowany snadź tém, co niemieccy i słowiańscy zeznali o nich uczeni, z których jedni Swewom słowiańskości ze wszystkiém zaprze-

(1) Wyżej przytoczony Rudolphi na str. 37. 41. nstpn.

(2) Abhandlung ueber einige Grabhuegel, Ingolstadt 1821. Porówn. 63. nstpn.

(3) Ueber die Völker und Völkerbündnisse des alten Teutschlands, Hannover 1826. Porówn. 23. 208. nstpn.

(4) Cours d'histoire moderne ou Histoire de la civilisation en France, Paris. 1829—1832, w pięciu tomach. Porówn., I. 262. 265. 272. nstpn.

(5) W dziele *Gregor von Tours Leipzig*. 1839. Porówn. 461. nstpn.

czyli, drudzy zaś niektórym tylko w rzeszy ich mieszkającym przyznali ją ludom. W poczet pierwszych wchodzi E. Th. Gaupp, który lubo nie przeczy temu, że za Tacyta i po nim zamieszkujące Germanią ludy, na Suewów się i nie Suewów dzieliły, utrzymuje jednakże, iż oba niemieckiego pochodzenia były; czego, kto im, jak Wersebe odmawia, ten (mówi Gaupp) przez to samo dzieje świata burzy i pochod cywilizacji średniowiekowych zaciemnia ludów (1). W poczet drugich weszli r. 1837 Gerlach i Szaffarczyk (2) z których pierwszy toż samo co ja o rzeszy Suewów z różnej narodowości ludów, po obu brzegach Łaby osiadłych składającej się rozprawiając, a drugi te tylko ludy, które między Wisłą a Odrą mieszkają za słowiańskie poczytując, Suewów zaś Niemcami być sądząc, nie wykazał bynajmniej, czemby się narodowość owych słowiańskich ludów od niemieckiej różniła rzeczywiście. Oba zdania zbiwszy w kupę Ukert (3) twierdził, że zawojowani od Suewów Celtowie i Słowianie stanowili poczet poddanego im ludu; i że lubo ujarzmieni różnili się wespół z władcami swemi przez cywilizacją od reszty Germanów, jednakże zupełnego dowodu na to ani Tacyt który o tém zeznał, nie podał, ani żadnego na to dowodu nie dają wykopaliska grobowe. Zeznanie to o rzeczy tak ważnej nijako, bo twierdząco i przecząco wyrzeczone, spowodowało zapewne Jakóba Gryma, że pomimo oświadczenia się r. 1835 przeciwko owemu Germanów na Suewów i nie Suewów rozdziałowi (4) nie wahał się następnie wyrzec, że dwoma ludowemi Suewów czyli Słowian i Germanów od Sarmatów i Belgów swoich na wschodzie i zachodzie sąsiadów nadanemi nazwiskami będąc mianowani Niemcy, wyłącznie się drugim bynajmniej zaś pierwszym nazywali następnie; gdyż i owszem podzielili się pierwszym z tymi, od których go dostali, tak atoli, że sami Suewami a wschodni ich sąsiedzi Sarmatowie Słowianami zaczęli się nazywać, i stale nazywali

(1) Das alte Gesetz der Thüringer, Breslau 1834 porówn. 33. tudzież 24—200.

(2) Tacitus Germania von Gerlach, Zweite Abth 210 nstpn. Szaffarczyka starožitn. I. 328. nstpn.

(3) W dziele *Germania nach den Ansichten der Griechen und Römer*, Wejmar 1843. Porówn. str. 347. 348 i przyp. 58.

(4) Porówn. przedmowę do *Taciti Germania ed. Jac. Grimm Gottingae 1835* gdzie czytamy: nam quod vulgo fit discrimen gentium suevicarum, ita comparatum, ut priscae Germaniae tenebras magis offendat quam lucem affundat, non servandum sed e medio penitus tollendum esse censeo.

następnie (1). Przez co i on raczej zaciemnił, niż wyjaśnił rzecz; nie wytłomaczył bowiem powodu wędrówki imienia Suewów, przyczyny zlewania go i przelewania na sąsiadów nie okazał, zmian wreszcie zrządzonych przez to w politycznym stanie niemieckiego i sarmackiego ludu nie wyłożył. Pozostała więc rzecz w tym stanie, w jakim ją na rok wprzód Amedeusz Thierry znalazł, który, dzieje Galii pod panowaniem Rzymian będącej pisząc, zeznał, że wielką między Germanami i Suewami upatrując różnicę, a wytłumaczyć jój sobie nie będąc w stanie, musi ją innym do wyjaśnienia zostawić (2). W takim téż stanie zostaje ona aż po dziś w Niemczech, albowiem w rok po wyjściu dziejów Galii, wydając Grym Historyą języka niemieckiego, objawił owo o Suewach zdanie, a w lat pięć drugie jój ogłaszając wydanie (3), oświadczył, że będąc zajęty opracowywaniem Słownika niemieckiego, nie ma czasu poprawić, co w pierwszym wydaniu rącho spisane go dzieła, mógł to i owo niedokładnie lub mylnie powiedzieć.

Ja považam się mniemać, że pytanie to, czém byli rzeczywiście Suewi, nie da się rozwiązać bez znajomości tak w ogóle słowiańskich, jak w szczególe dziejów Polski pierwotnych, wyrażonych po raz pierwszy w treściwém Tacyta o Germanach napisaném dziele, które za drugie po Herodocie główne tychże dziejów uważam źródło. Że jest niém rzeczywiście czuł to dobrze ten, który nam pierwszy do krytyki historycznej wskazał drogę; czuli toż samo dwa znakomici praw litewskich i polskich znawcy: ale, czemu się słusznie dziwić należy, nie czuł wcale tego ów, który po tych mężach wysoko posunął wiedzę dziejów narodu, i pierwszy skreślił najdawniejszego polskiego prawodawstwa obraz. W przypisaniu królowi przełożonej przez siebie Tacyta Germanii oświadczył Adam Naruszewicz, że dzieło to „acz obce, okazuje nam jednak wiele śladów starożytności polskiej”. W sławném dziele swém „o litewskich i polskich prawach” zwracał uwagę Tadeusz Czacki na ścisły związek praw tychże pierwotnych z prawami Gotów; oba Bandtko-

(1) Porównaj artykuł mój w Bibl. Warsz. z r. 1852 III. 1 nstpn. pod tytułem *Suewi są Słowianie* i t. d., tudzież tamże z r. 1853 II 405 nstpn. *Suewi, Słowianie, Niemcy*.

(2) *Histoire de la Gaule sous l'administration romaine*. Paris 1847 tomów trzy. Porówn. II. 48. nstpn.

(3) Pierwsze wydanie dzieła *Geschichte der deutschen Sprache* wyszło w Lipsku 1848. Drugie tamże 1853.

wie, Jerzy Samuel i Jan Wincenty, pierwiastki urzędów, sądów i niektórych praw polskich, u Franków, Saksonów i t. p. upatrywali (1). Nakoniec Józ. Maks. Ossoliński (2) rzekł wręcz, że Ziemowit syn Piasta rząd w Polsce na sposób niemiecki ukształtował. Wszystkiemu zaprzeczywszy Lelewel (3) nie umiał wyrzec stanowczo o różnicy praw niemieckich a polskich, nie znając zasad słowiańskiego prawodawstwa, które mogą w tym względzie najpewniej dopomódz do odgadnienia prawdy. Tak więc gdy historycy prawa nie znając, a prawnicy małą historyi posiadając wiedzę, próżno usiłowali odgadnąć, co jedynie przez głębokie wpatrzenie się w dzieje i prawo odgadnione być mogło, gdy mówiąc z wieszczem, nie wiedzieli jak śledzić przyczyn, związać następów łańcuchy, przeto téż sprawdziło się na nich, co tenże wyrzekł o badaczach dziejów, zauważywszy trafnie, że patrząc na rzecz nie widzą jój, lub widząc nie przeczuwają prawdy. I tak téż jest i było. Albowiem zamiast upatrywać z Naruszewiczem śladów starożytności polskiej w Tacyta dziele, upatrywano w niem podobieństwa téjże starożytności z niemiecką, a bez zapytania, która z nich dawniejszą jest w Germanii, zrobiono wniosek, że pierwotne prawo polskie jest kopią niemieckiego; lub téż, z jednéj ostateczności w drugą wpadając, że oba nic nie mając wspólnego, zaczęły w późniejszym dopiero czasie, po przybyciu do Polski prawa magdeburskiego, kojarzyć się i mieszać wzajemnie. W skutek czego, jak mówi Lelewel, było prawo krajowe przy schyłku, a niemieckie górowało nad niem, aż do czasów restaurowania ziemskich statutów przez Władysława Łokietka.

Mnie inszy wypadł wniosek z badań nad prawodawstwem słowiańskim, którym się od lat trzydziestu sześciu oddaję. Zdało mi się bowiem w źródłach tegoż prawodawstwa dostrzedz, że ludy od których pochodzą Lachowie stanowiąc część rzeszy Suewów znakomitą, mieli odrębne prawa od Niemców w rzeszy téj przewodzących; że prawa te przejęte od Franków i Saksonów doszły znowu do Polski po upływie kilku wieków, chociaż nieco przerobione jednakże w zasadzie swój nie zu-

(1) W *Rozmait. krakowsk.* III. 26 nstp., w rozprawach o przedm. prawa polskiego i we wstępie do historyi prawa polskiego.

(2) W rozprawie o *rozmaitem następstwie na tron za dynastji Piastów*, tudzież w *Wiadomościach historyczno-krytycznych.* Porówn. II. 412 nstp. 572.

(3) Porówn. wstęp do III. *Polski średnich wieków.*

pełnie zmienione, i dlatego polubione od nas i zobywatelszczone, z wyjątkiem obcych normandzkiego, niemieckiego pochodzenia będących warstw tegoż prawodawstwa, które, powodzenia nie mogą mieć u nas, wyszły z obiegu. Pozna to czytelnik z nowo zamierzonego wydania *Historji prawodawstw*, i porównywając moje w tym względzie a poprzedników mych prace, wyrzeczcie, do kogo rzeczywiście, do mnie czy do nich, stosują się trafnie o tego rodzaju badaniach wyrzeczony słowa wieszczą:

Tu zaćmi nieskończona różność widowiska,  
Tu po obcych świadectwach droga myśli śliska.



## NAD KOLEBKA.

---

Luli, dziecię, złóż rączęta,  
Niech odpoczną w wolnej porze,  
Nim uleci dzieckość święta  
Jak ptaszyna gdzieś za morze.  
Wkrótce minie dzień wesoły,  
Nie zagrzejesz miejsca w domu:  
Matce, panu, Bóg wie komu  
Trzeba będzie twój mozoły.  
Ręce zwisną ci bezwładnie,  
Ale prawych pilnuj dróg!  
Wzywaj Boga, pójdzie snadnie,  
Pokrzepienie z nieba spadnie,  
Tam łaskawy Bóg.

Luli, luli, zamknij oczka,  
Spać już czas!  
Oto sroczka,  
Białoboczka,  
Ponad lasy ku nam płynie,  
Niesie pasek mój dziecinie,  
Złoty pas!

Luli, dziecię! Jakiż zuszek!  
Ani słucha mój piosenki!  
Dajże łapki do pieluszek,  
Wraz cię zwiążę, mój małeńki.  
Zwiążę płachtą cienką, białą....  
Kto wie?? może-ć dola dana  
Nie mieć nawet i łachmana  
Uznojone przykryć ciało.

Ale ile siły stanie,  
 Bądź szemraniu złemu wróg!  
 Wzywaj Boga, choć w łachmanie:  
 Z nieba kwiatek ma ubranie,  
 Tam łaskawy Bóg.

Luli, luli, zamknij oczka,  
 Spać już czas!  
 Oto sroczka,  
 Białoboczka,  
 Ponad lasy ku nam płynie,  
 Niesie pasek méj dziecinie,  
 Złoty pas!

Luli, dziecko: zawsze płochel  
 Czego strzelasz oczkiem kotki?  
 Trzeba, widzę, piersi trochę,  
 Słodkiej piersi na sen słodki.  
 Prędko błogi czas przechodzi:  
 Ssij-że! Może w ciężkiej doli  
 Mieć nie będziesz chleba, soli,  
 Od złych oczu, od powodzi.  
 Choć ból serce ci przebodzie,  
 Nie opadaj przecię z nóg!  
 Wzywaj Boga i o głodzie:  
 Niebo wstrzyma swe powodzie,  
 Tam łaskawy Bóg.

Luli, luli, zamknij oczka,  
 Spać już czas!  
 Oto sroczka,  
 Białoboczka,  
 Ponad lasy ku nam płynie,  
 Niesie pasek méj dziecinie,  
 Złoty pas!

*W. Korotyński.*



# JERMOŁA.

## OBRAZKI WIEJSKIE

PRZEZ

*J. I. Kraszewskiego.*

---

(Ciąg dalszy).

**W** wiosce, w której dla bindugi i brzegu napływ ludzi jest ciągły, handel drzewny żywy, flisy, kupcy i ich faktorowie kręcą się nieustannie: lada żydek obszarpaniec siedzieć w karczmie nie może. To też w Popielañskiej gospodzie ów Szmul królujący nietylko włóści, ale okolicy, wcale nie był pospolitym szynkarzem, jeżdżącym z beczką po wódkę o trzy mile.

Byłto żyd zbogacony udziałem, jaki miał w kupnie towaru leśnego, handlem smołą, łuczyną, popiołami i dziegciem, brakiem klepki i belek, obodami i wszelkiego rodzaju poleskim produktem, aż do grzybów i suszonych jagód. Szynk także dawał mu, zwłaszcza na wiosnę, zyski nie do pogardzenia; a pan Szmul czując już trzos nabity i ważność swego położenia, powoli chorować zaczynał na morejnę. Nowa karczma w której się mieścił nie miała już pozoru starych gospód, których kształty zachowały dawne podaniowe formy słowiańskich gromadzkich budowli wiecowych, na narady i obrzędy publiczne przeznaczonych. Brakło jej zajazdu wspartego na słupach, bo na podróznym nie oglądała się wcale, a dla kupca żyda miała szafasik dla zataczenia budy jego wystarczający: wyglądała więc raczej



na dosyć porządny dworek szlachecki. Z jednej strony wielką izbę poświęcono w niej na szynkownią, otoczywszy ławami do ścian przymocowanemi i ogromnym opatrzywszy stołem, a w przepierzeniu od alkierza urządzono szynkwas zamykany na noc rodzajem podnoszonej okiennicy, na której we dnie wydawano wódkę, podpierając ją starym kołem brzoźowym. W drugiej domu połowie nie bez pewnego wykwinu urzędzonej, mieścił się Szmul Popielański z całą swą rodziną, zostawując w tyle izdebkę osobną dla kupców przyjezdnych.

Piérwsza izba zakrawała na coś bawialnego, bo miała kanapę politurowaną, cycem w gwiazdy żółte pościągniętą, dwa krzesła także z czarnemi strzałami w poręczy, lusterko zamuszone na ścianie, portrety za szkłem dwóch izraelskich znakomitości: rabina hamburskiego i wileńskiego, szafę z porcelaną, rumem, filizankami i kosztowniejszym sprzętem, i stół kiwający się z lirą, zawsze pokryty kolorową serwetą.

Gdybym miał czas i humor potemu, o jakże ważne mógłbym tu filozoficzne wyciągnąć wnioski z tych strzał i liry, dwojga symbolów starożytnego świata, sponiewieranych do tego stopnia, że o piérwsze plecami się opierają, a drugie depczą nogami! Strzały! strzały w poręczu krzeselka; lira zeszpecona, z drewnianemi strunami, lira Amfiona, Orfeusza i Apollina, podpierająca stolik u żyda! Niestety! sic transit gloria mundi!.. Strzały nie kaleczą, lira oniemiała—a my wracamy do żyda.

Podłoga w téj izbie była nawet zrazu malowana, ale to ją tylko dziś czyniło pstrokata; piec zamykał się drzwiczkami żelaznemi z gałką mosiężną, co wszystko Szmul proprio sumptu et cura fieri fecit, dla dogodzenia swéj fantazyi: z czego zresztą tak się chlubić umiał, jak niejeden z nas, gdy dwa kołki wbije koło domu, lub ścianę wyklei. W drugiej izbie większej nieco, żydowskie brudy rozpościerały się swobodnie, ale przy nich były ochotki wystawności i pragnienia wygódek. Łoże stało pod sufit wystłane bebeczami kolorowemi, z firankami w kwiaty; była szafa czarna z księgami i papierami, biurko kulawe, a obok kupa kartofli, niecutki, łokszyn schnący na serwecie, kadka z pomy-

jami, i przyjacielsko między bachurami chodzący biały indyk, pater familias.

Szumul był człowiekiem nie pierwszej młodości, lat pod pięćdziesiąt mającym, żonatym powtórnie, gdyż z nieboszki miał tylko jednego syna, który już w miasteczku handlował, a jednym potomkiem tym nie mógł się kontentować: wziął więc młodzieńką ubogą żydóweczkę wielkiej piękności, a ta już mu troje Szmuląt w przeciągu lat niespełna trzech przyprowadziła. Siwe włosy jego ubłogostawiała ta niespodziana jój płodność. Poważny ów, szpakowaty nieco potomek Izraela zdawał się na pierwsze wejście pięknym i szlachetnego oblicza; chciało się patrzeć nań, w poczciwość jego wierzyć: ale kłamał jak wielu innych, twarzą, oczyma i pięknoscią swoją.

Nie było bowiem pijawki nielitościwszej nad Popiełańskiego Szmula, a zyski coraz większe nie odstręczały go od maluczkich: obok tysięcy kładł wyszarzane grosze miedziane oblane potem wieśniaczym, i dumny swém położeniem i bogactwem, lud gorzej była odprawiał, obchodząc się z nim bez litości.

Doszło do tego, że wieśniacy pokryjomu z interesami woleli się uciekać do uboższych żydków w miasteczku, niż je tu z nim pod bokiem załatwiać: co Szmula do większej jeszcze przeciw nim pobudzało zajądłości, bo im przebaczyć nie mógł, że mu się obdzierać nie dawali. Uważał to za formalny bunt z ich strony; a że podanie jakieś gdzieniegdzie dochowujące się, dawało mu niejaka władzę dopominania się o ubytki, gdy kto z ludzi do cudzego pojechał młyną: zdawało mu się, że toż prawo upoważniało go do hałasowania, gdy kto na targ krowę prowadził lub sprzedawał korzec zboża bez jego wiadomości. Niestłuchanie czynny, Szmul nic nie opuszczał: wszystko mu było dobre, a czas miał na rzecz każdą. Zimna krew i spryt nie opuszczały go nigdy.

Do tegoż wszechmogącego władzcy biegł nieopatrny Jermoła w nadziei kupienia białej kozy. Szczęściem, daleko przebieglejszy towarzyszył mu stary Chwedko, bywalec wyuczony ludzkim oszukaństwem, ostrożny i nie załujący ani gęby, ani nóg, ani czasu, byle grosza oszczędzić. Po drodze dawał Chwedko

nauki Jermole, ale ten ich nie słuchał, cały zaprzętniony myślą, jakimby sposobem kozy dostać. Starszka ta na nieszczęście faworyta Sury i starszego jój synka, który ją czasem za brodę ciągnął, choć go kilka razy potłukła, w najszcześniejszym razie warta była około dwunastu złotych; ale Jermoła już był przygotowany dać za nią dwadzieścia, czemu się Chwedko nie tak bardzo przeciwił, zważając okoliczności. Ale jak tu było do Szmula z propozycją przystąpić? Dość żeby się dowiedział o potrzebie, zdarłby za nią niechybnie; chodziło więc o to, by jakoś żyda obejść i trochę oszukać, zapobiegając, żeby on nie oszukał nieboraka Jermole.

Już się zbliżali do karczmy, gdy Chwedko namyślwszy się głęboko, kazał się Jermole zatrzymać.

— Posiedźcie tu przed tą chatą—rzekł wskazując mu miejsce — poczekajcie, pójdę ja przodem i żyda wymacam: nie bójcie się, jakoś to będzie.. ja go uchożdę. Przyjść tak prosto z mostu i kozy zażądać, to on ci ją jak krowę zaceni: trzeba żeby żyd sam ją zalecał... Dajcie mi spróbować.

— A cóż zrobisz?

— No! zobaczysz—żywo rzekł Chwedko biorąc do serca sprawę Jermole—tylko mnie słuchaj.

Jermoła nabrawszy otuchy usiadł pod chatą, potrzebując prócz tego namyślenia i spoczynku; spartł się na rękę i zadumał głęboko, pierwszy raz oddawna zaglądając w przyszłość.

Chwedko pospieszył do szynkowni naprzód, ale tu Szmula nie było: chodziła tylko koza. Uchyliwszy więc drzwi jego paradnej izby, a dobrze otarłszy nogi, i poprosiwszy wprzód o pozwolenie wniścia, z czapką pod pachą wtoczył się kłaniając po kilkakroć na progu. Miał i to na uwadze, żeby stanąć na słomiance, bo żyd gniewał się, gdy mu jego izbę zanoszono błotem, a dobrze upewniwszy się w pozycji, ręką do kolan pokłonił się raz jeszcze Szmulowi.

Potrzeba było chcąc być łaskawie przyjętym dobrze pamiętać o wszystkich warunkach, tak właśnie jak baczny Chwedko; do nich należało otarcie nóg, trzymanie się u progu, i nie nazywanie starego żyda arendarzem tylko kupcem: morejne bowiem utrzymywał, że

szynk dla niego jest małą rzeczą, i że dla przyjemności tylko na wsi mieszka.

— Nu, a co to powiesz Chwedku?—zapytał z krzesła żyd, który się kiwał nad książką nabożną, ale nabożeństwo przerywał ilekroć była potrzeba dla interesu, wiedząc, że Pan Bóg cierpliwszy jest od ludzi.

— To, proszę pana kupca, jest tu jedna okazyja. Okazyją nazywa się u ludu wszelka niespodziana przygoda, każdy wypadek mogący być okazyją do kieliszka.

— Okazyja? no? co? chrzciny, zapowiedzi? wesele czy pogrzeb? Umarł kto broń Boże? pewnie wódki na kredyt chcecie?

— Ale nie, ja tu przypadkiem dowiedziałem się jednej rzeczy, i chciałem panu kupcowi powiedzieć: może być zarobek....

— Nu! jaki zarobek?—wstając, założywszy ręce za pas i zbliżając się spytał Szmul.

— Jegomość (tytuł ten wielce żydowi smakował), jegomość zna Jermołę: tego starego, co siedzi w owalnej karczmie?

— Jakże nie znam? gołysz! gołysz!

— Tato prawda, ale gdzieś kilka rubli sobie dostał.

— No, to co? chce przepić?

— At! on wódki nie pije, ale jemu do głowy przyszło koniecznie sobie krowę kupić: pół na kredyt, pół za pieniądze.

— Krowę! na co jemu krowa!

— Chciał już iść do miasteczka, ja go wstrzymałem, bo mi coś do głowy przyszło.

— Do miasteczka, zaraz u nich do miasteczka!—podchwycił żyd ruszając ramionami—A no mów dalej Chwedko, coś tam obmyślił...?

— Ja jemu chcę perswadować, że na co jemu krowa z długiem: lepiej za czysty grosz dojną kozę kupić, i mléko i przychówek mieć będzie. Możebyście wy jemu swoją starą białą sprzedali?

Szmul bacznie popatrzył w oczy Chwedkowi, który się szczęściem nie zmieszał; zresztą trudno się było domyśleć podstęp w narajeniu do sprzedaży białej kozy. Arendarz spróbował go tylko zapytaniem rzuconém jak sonda w głębinę.

— Jermoła tu? w karczynie?

— Nie, siedzi od południa u sąsiadów, ale gdybyście chcieli, to go potrafię tu namówić i przyprowadzić, choć nie rad do karczmy zagląda. Ale może wy tej stariej kozy sprzedawać nie myślicie? Ja to tak z dobrego serca dla was pomyślałem, na co pieniądze mają ze wsi wychodzić. A jak wam to nie wład, to mu dam pokój, niech idzie do miasteczka.

— Czekajno, czekaj — rzekł żyd po namyśle do Chwedka biorącego już za klamkę — po co jemu do miasteczka.....

I zawołał Sury, która weszła z minką kwaśną pieczyszki Abizail; poszwargotali coś z sobą, żyd bardzo łagodnie, żona dosyć ostro. Chwedko chciał z ruchów i głosu odgadnąć jak sprawa stała, ale nie potrafił; żydówka wreszcie odeszła, a Szmul odwrócił się do Chwedka:

— Tyś dobry człowiek — rzekł klepiąc go po ramieniu — jak tobie będzie potrzeba na kredyt, każę dać na rubla, słyszysz. Przyprowadźno Jermołę do szynkowni, koza tam jest... niechaj kupuje... to dobra koza... on na niej wyjdzie... Bardzo dobra koza... A wiele ma pieniędzy?

— Tego to ja nie wiem — odparł Chwedko — kilkanaście złotych swoich mieć musi, a kozacycha mu jeszcze miała dapożyczyć.

Żyd w milczeniu pokiwał głową i odprawiwszy chłopka, który do towarzysza pospieszył, sam coś cieplejszego na się wzięwszy, gdyż drogie swe i szacowne zdrowie umiał pielegnować, pociągnął powoli do szynkowni, pod pozorem jakiegoś obrachunku ze starą rekrutką zwaną Marysią, która w szabas i nieszabas szynkowała Szmulowi, dzieci niańczyła, krowy doła, słowem służyła im oddawna.

Wielka owa izba ciemna, bez podłogi, obrukana, smutna, oświecona jednem łuczywem kopcącym w kącie, zajęta była w tej chwili przez owę Marysię szynkarke, kobietę tak małą a grubą, że ją chłopci pospolicie do kadłuba kwaszeniny porównywali, ową kozą białą spacerującą i szukającą posiłku po kątach, i jakiegoś podróznego Poleszuka, który sakwy i łapcie podłożywszy pod głowę, sam po kieliszku wódki i cebuli, twar-

dym snem ujęty, spał jak kamień, a chrapał jak wóz niesmarowany.

Szumł przeszedł się kilka razy spoglądając to na kozę, to na Marysię zdziwioną jego przybyciem; ziewnął, westchnął i postyszawszy szelest w sieni, poszedł coś na okiennicy rachować, udając niezmiernie zajętego.

Właśnie téż wchodzili Chwedko ze starym Jermołą, który drżał jak liść i wstydził się komedyi, którą dla kozy odegrywać musiał. Pierwsze jego wejrzenie padło na białą poważną jej postać, i byłby się nieochybnie zdradził, gdyby Szumł to postrzegł; ale żyd także odgrywając swoją rolę, bardzo zaprzątnionego rachunkiem miał minę, i tyłem był odwrócony.

— Dobry wieczór panie kupiec—powitał Chwedko.

— Dobry wieczór.

Szumł się odwrócił i pod nosem coś mruknął.

— A co? napijemy się po kieliszku—rzekł Chwedko.

— Ja to rzadko piję, ale dla waszój kompanii nalejcie Marysiu....

— Macie isć, słyszę, na jarmark—dodał pierwszy—trzebać się na drogę posilić.

— Nu! a to czego na jarmark?—zapytał Szumł—może chcecie co sprzedać, to i jabym kupił.

— Nie, inną mam potrzebę...

— A jak inną!—dodał żyd—to zaraz do miasteczka: u was wszystkie interesa w miasteczku... Myślicie co kupować?

— Widzicie panie kupiec—wtrącił Chwedko—kumowi zachciało się krowy, nudzi się i kłopotu szuka.

— A na co wam krowa?—zagadnął żyd.

— At... byłaby wygoda, a może i zarobek.

— Gwałt!—machnął ręką Szumł—wy jeszcze wiadać nigdyście krowy nie mieli i nie wiecie co to krowę hodować... Daj na pastucha, a co te pastuchy kosztują, i zawsze głodne bydle powraca; kup siana, a co to teraz siano, jak szafran; kup plewy, i plewa po 10 groszy worek; kup grysu, a ja nie sprzedam od czterdziestówki, mnie wszyscy tak płacą... Potrzeba ziela, kartofli, a nie, to wychudnie; a choroby, a zajałowuje... choć i tak przez pół roku mléka nie da...

— Ale przychówek i trochę nabiału.

— A kto wam będzie koło tego chodził?—zapytał żyd ruszając ramionami.

Jermoła jakby przekonany, w głowę się poskrobał.

— A co ja wam mówił—dodał Chwedko—dla ubo-  
giego bydłę to kłopot, czysta biéda.

— Juściéby cielę i choć kapla mléka była—rzekł Jermoła.

— Także gadajcie. Jeśli dla mléka, to ja wam powiem że nie ma jak koza—dorzucił pośrednik.—Naprzód mało kosztuje, a żyje byle czém: gałązkami, ogryzka-  
mi, badyłami. Starania nie potrzebuje żadnego, i jak się koziego mléka napijesz, to przynajmniej wiesz żeś pił, taki pachnie i zdrowe.

— Jużto prawdę powiedziawszy — dodał arendarz powoli—i ja mówię że nie ma chyba koza... Już my to najlepiej porachowali, a patrzajcie że najwięcej kóz trzymamy; ale ludzie patrzą, a rozumu nie mają: koza to skarb...

— Kto to wie, może i ja jak pomyślę, to sobie kozę kupię—rzekł powoli Jermoła.

— I najlepiej zrobicie—zawołał Chwedko—mówię wam, najlepiej zrobicie. Ot, gdyby pan Szmul swoją białą sprzedał.

— Co ty gadasz?—podchwycił żyd żywo jakby do-  
stłyszawszy przypadkiem—ja téj białej kozy za żadne pieniądze nie sprzedam... Moja żona, moje dzieci, wszyscy ją lubią: to stworzenie nieopłacone, ona wię-  
céj warta niż krowa...

— Szkoda—rzekł Jermoła przypatrując się cho-  
dzącój—bo może, co się mam włożyć do miasteczka, a stare nogi bolą, namyśliłbym się na tę waszą kozę...

— To jest taka koza! taka koza!—zawołał żyd.—  
Widzieli wy kiedy taką kozę? ona jest tak rozumna, że do niej gadać można, a mléko nie poznać co to jest! Na mil 20 nie znajdziecie drugiej podobnej: to jest skarb nie koza, to jest osobliwość!

— Ale stara?—spytał Jermoła.

— Stara? jakto stara: koza jak stara to najlepsza! Jaka ona stara? ona dopiero żyć zaczyna... ona będzie żyć 20 lat!—zawołał Szmul coraz się ożywiając.

— A cóż ona kosztuje was?—zapytał Jermoła.

— Co ona kosztuje, to nie ma co gadać: ona koźlęciem mnie dwa ruble kosztuje... Bo trzeba wiedzieć, to nie jest prosta koza, to jest wysoki gatunek! Jabym jęj za 6 rubli nie oddał: ona prawie nic nie ję, a zawsze tłusta, i co roku po dwoje koźląt przyprowadza.

Na chwilę zamilkli wszyscy. Jermoła kręcił się nie wiedząc co począć, i przypatrywał się kozie, która wciąż chodziła po izbie stukając kopytkami, głowę kładnąc gdzie tylko ją zaszedł jaki zapach jadła. Zbięrała resztki liści, ogryzki kory, skórki chleba, i trzeba jęj oddać tę sprawiedliwość, że troskliwie myślała sama o swoim utrzymaniu, nie spuszcżając się na nikogo.

— Toby to dla was było w sam raz—począł po chwili faktorując Chwedko—już przywykła do wsi, toby nie uciekła; zna gdzie się paść: stara, pewna, dojna, doświadcżona.

— I nie prosta koza!—dodał żyd pocichu—wysoki gatunek!

— Ale gdzież tyle za nią dać pieniędzy!—przerwał Jermoła.

— Nu! więsz co,—podchwycił nagle żyd zbliżając się—wy jesteście uczciwi, ja was lubię, na jarmarku to was ludzie oszukać mogą, ja dla was to zrobię, że wam kożę za trzy ruble odstąpię... Ot tak! jak sobie chcecie.

Chwedko który się obawiał gorszego, znalazłszy tak łatwym Szmula, sam pospieszył:

— Przybijcie rękę i podziękujcie kupcowi: tanięj grzyba... Płaćcie i bierzcie, ja wam życzę.

— A nu, to cóż robić—odpart dworak—zgoda, niech tak będzie, tylko mi sznurka dacie, żebym ją miał na czém do domu zaprowadzić...

Najniespodzianięj więc targ się skończył: Jermoła dobył z węzełka trzy ruble i wyliczył je Szmulowi. Żyd obejrzał, plunął na nie wedle obyczaju, i schował do kieszeni.

— Ale sznurek mi jutro oddacie—wybąknął powoli zawracając się ku swójęj izbie.

— A mahorycz?—pocichu rzekł Chwedko.

— To do Jermoły należy!—zawołał Szmul—ale kiedy się nie targował, nie płacie już za wódkę: niechaj mahorycz będzie odemnie.



Marysia rzuciła sznurek z użewką, którego używano do noszenia drewek, i Chwedko zamknawszy drzwi począł chodzić za kozą, która domyślając się jakiejś zdrady, wymykała się łapiącym. Żyd zniknął już za drzwiami.

— A toście się we dwóch popisali—zawołała szynkarka widząc, że gospodarz wyszedł—tfu! mieliście co kupować: starą kozę za dwadzieścia złotych.... Na jarmarku byłoby ich trzy młode za te pieniądze.

Zmłczeli starzy i uwiązawszy sznurek do rogów, wyprowadzili zdobycz swoją. Jermoła aż drzał z radości, tzy mu płynęły z oczu, a kuma całował.

— Otóżeś mi dogodził.. niech ci Bóg płaci—wołał zcicha...

— Ale teraz już się Szmulowi ani na oczy nie pokazywać—westchnął Chwedko, mierząc niebezpieczeństwo na jakie się naraził.—Byleby mu o dziecięciu powiedziano, domyśli się niewiara, i nie daruje mi figla. Byłby cię dobrze pociągnął za kozę, żeby wiedział, że tak potrzebna.

Tak gwarząc pocichu pociągnęli nazad do chaty kozaczychy, różnemi sposoby kozę do posłuszeństwa przynaglając, a ta od karczmy odchodzić nie chciała w żaden sposób.

Tymczasem za nimi już wrzała burza, bo w chwilę potem wpadła Sura z wiadomością od Marysi szynkarki, o podrzuconém Jermole dziecięciu.

Szul się zaraz domyślił, nie w ciemę go bito, na co tak nagle koza była potrzebna, i aż się za palec ukąsił.

— A nu, pilnujże się Chwedku złodzieju!—rzekł kiwając głową—chyba ja żyć nie będę, żeby ci za to nie zapłacił.

---

W życiu osamotnionego człowieka, który wszystką siłę serca niezużyta na starość zachował, taki wypadek jakim było dla Jermoły znalezienie podrzuconego dziecięcia, spowodował nagłą i niestetychaną zmianę. Człowiek się odrodził, spoity się znowu węzły, które go łączyły ze światem: miał cel życia, miał nadzieję, miał przywiązanie, znalazła się ochota do pracy, otwarło uczucie, a biedna sierota przez rodziców odrzucona,

stała się dlań skarbem na starość. Nieznana od lat wielu gorączka zatrzęsała całym Jermołą: spieszył, marzył, obawiał się, niepokoił i roił już o jutrze. Łzy wytryskały mu z oczu: czuł się innym, czuł ubłogostawionym i szczęśliwym, ani myśląc ile trosk, ile pracy, ile sobie gotuje ciężkich chwil w przyszłości. I był jak to ptasze w którego gniazdko kukułka rzuca jaje: zdziwiony, uradowany, przestraszony. Pierwszy raz przyszła mu na pamięć z tej obawy śmierć, starość, potrzeba i przywiązanie do życia. Chwedko go nie poznawał, tak się z owego milczącego i obojętnego staruszka przedzierzgnął w inną istotę, tak mówił żywo i gorączkowo, tak się spieszył i co chwila młodniał.

Niemogąc wreszcie wytrzymać powolnej nazbyt z kożą podróży do chaty kozaczychy, bo stara towarzyszka używała wszelkich możliwych sposobów, żeby się im wyrwać i do karczmy zawrócić: powierzył kożę Chwedkowi, a sam pospieszył przodem.

Wpadł pędem i wprost przybiegł do ławy, na której leżało rozpowite nieco dziecię, uspokojone mlékiem, drzemiące, a nad niem stara kozaczycha, Horpyna, wyrostek, dziewczynka, Chwedor: wszystko to stało milczące, zagapione, ciekawe, wpatrując się w niespodzianego gościa. Jermoła przebił się przez nich i przysiadł na ziemi, żeby się dziecku lepiej przypatrzeć.

— Drzemię zdaje się,—rzekł zniżając głos do kozaczychy.

— Usypia niebożatko — kiwając głową odpowiedziała baba.

— A pił mleko?

— O! pił dobrze.. i zaraz płakać przestał. A koza?

— Kupiliśmy. Chwedko ją prowadzi.

Jermoła oka z dziecka nie spuszczał.

— Jakie śliczne — zawołał po chwili — to musi być pańskie dziecko!

— Chłopiec zdrów i silny — przerwała stara kozaczycha, ale wszystkie dzieci jednakie póki małe.... Dopiero potem, mój stary, znać na nich, które pod płótem rośnie jak pokrzywa, a które na słonku i powietrzu.... Dzieciak jak ryba, to dobrze: mniej będzie z nim kłopotu.

Jermoła śmiał się, a oczy mu płakały perłowemi łzami.

— Matko—rzekł—jak żyję tak pięknego dziecka nie widziałem.

Uśmiechnęła się kozaczycha.

— Wy to oszaleli Jermoło!—zawołała ruszając ramiionami—ale czyż taki sami hodować je myślicie?

— A cóż?—zdziwiony odparł stary— a cóż? albo- bymto ja je na cudze dał ręce.....

— Ale wy sobie rady z niém nie dacie. To się wam śni: sam jeden, bez baby, na starość niańczyć niemowlę! A toż trzeba karmić, kąpać, huścić, bawić, tulić, pilnować: nie sposób żebyście temu wydołali.

Jermoła ręką machnął.

— Dajcie mi pokój: nie święci garnki lepią, to i ja to potrafię. Wy mi poradzicie zresztą, a jak Bóg Bogiem, dziecka tego nikomu nie oddam.

— Skrecił się stary—zawołała baba ruszając ramiionami—jemu się zdaje, że to szczenię ułożyć: a toć to parę lat będzie koło niego zamoroki....

— Co dłużej to lepiej! Nie gadajcie matko, nie gadajcie:.... nie chcę słuchać.... Ja go sam wychowam, zobaczycie jak!

Wszyscy się śmieli ze starego Jermoły. Postrzegł wreszcie to szyderstwo i jakoś na chwilę zawahał się, zwątpił o sobie.

— Moja matko — rzekł zcicha smutnie — wszakci wy mi pomożecie, nauczycie, poradzicie: ja wam to odstuję. Przyjdzie żniwo, albo robota w ogrodzie: słowo wam wiele kosztować nie będzie.....

— To nic—odpowiedziała kozaczycha—ja i darmo gęby nie pożałuję: pomódz pomogę i wam i sierocie, ale jak to się wam śni, żebyście na starość, nie znając co to chodzić koło dzieci, mieli zostać mu matką?

Jermoła już nic nie odpowiedział. Uczuciem swojém mierząc drugich serca, uląkł się, czy mu dzieciny pod tym pozorem nie chcą odebrać: powoli przysunął się do ławy, ogarnął pieluchy, wziął powoli na ręce dziecinę i milcząc skierował się ku progowi. Wtém i Chwedko z kozą pokazał się we drzwiach. Na ciemném tle otwartych drzwi oświecona blaskiem łuczywa

rogata głowa białej staruchy poczęła się szamotać, a Horpyna aż krzyknęła z przestachu.

— Otóż i mamka!— zawołała kozaczycha.

— Chodźmy do domu—cichym głosem przerwał Jermoła—dobranoc kumo, a przyjdźcie jutro jeśli taska.

— Przez samą ciekawość—odpowiedziała gospodyni.

W obawie żeby mu dziecka nie odebrano, Jermoła przeszedł co żywo próg, i lżej odetchnął znalazłszy się w ulicy. Chwedko prowadził za nim kozę, i tak oba w milczeniu skierowali się ku obalonój karczmie.

W drodze tylko Jermoła wciąż mruczał do siebie:

— Dlaczego nie mam sobie dać rady? Ja to rozumiem: starój kozaczysze zachciało się dziecka; ale ja go nie dam: oniby o niém starania nie mieli..... Nie święci garnki lepią: ja je sam wyhoduję, będę miał syna, będę miał syna!—powtarzał z dumą i radością.

— Chwedku kochanie pilnuj kozy, dam ci złotówkę, boś mi pocziwie pomagał: Bóg ci zapłać!

Tak z ostrożnością postępując pociemku doszli nareszcie do gospody, drzwi otworzyli powoli. Dziecko drzemiące na własném łóżku położył Jermoła i ognia rozpalił, a że Chwedkowi pilno było do dereszowatěj klaczy, która cały jego składała majątek: dał mu zaraz złotówkę, uściskał i odprawił, pozostając sam jeden w swój ciupce z kozą i dziecieniem.

Spać ani myślał, ani mu się chciało: tyle miał do roboty, tyle do przygotowania. Usiadł pod piecem nie wiedząc do czego się brać naprzód; ale na dziecko patrzył jak w tęczę, a tu i stara koza go niepokoiła robiąc przegląd izby, bijąc rogami we drzwi, plądrując po kątach i chwytając co do zjedzenia napadła. Stukanie jój przebudzało dziecinę: leciał ją tulić Jermoła, aż wreszcie domyślił się żydówkę (tak bowiem Chwedko od razu nazwał kupioną mamkę) w kąciku uwiązać krótko. Podrzucił jój trochę słomy, i koza się uspokoiła, zgadzając się z przeznaczeniem. Dziecko spało także snem cichym i głębokim; Jermoła nie miał na czém i nie zapragnął się położyć: pozostał tak na pieńku służącym za stołeczek przed piecem. Łóżko jego było zajęte, a do jutra tyle rzeczy do obmyślenia i do roboty!

Już go ludzie przestrzegli, że o dziecku trzeba będzie dać znać do dworu ekonomowi Hudnemu, i oznajmić mu, że je na siebie przyjmuje Jermoła. Oprócz tego niemiłego pochodu, od któregooby się był wykupił, miał jeszcze do wyciosania kołyskę i tysiąc do przygotowania lub postarania się drobnostek. Dziecię przebudzało się i kwiliło, musiał zaraz biedz do niego, aby mu się nie dać rozbeczyć. Ale na wszystko starczył, taka w nim znalazła się siła, pochodząca z serca.

Krótką noc wiosenna zbiegła w tych troskach Jermole, i dzień szaro zaglądający przez okna zastał go skłopotanego, choć nie czującego jeszcze potrzeby spoczynku. Chciał odejść, żeby wyćiosać bieguny do kołyski ze starych polan w drugiej izbie za ścianą, ale obawiał się odejść dziecięcia; koza go także przestraszała, skrzypnienie drzwi mogło przebudzić, a nużby stukając nie postyszał płaczu!

Chwilami same tylko widział trudności i niepodobieństwa: to znowu malował sobie, że łatwo da wszystkim radę i krzepił się nadzieją, zapominając o głodzie, bezsenności i pracy. Już dobrze biał ranek, gdy się wziął do dojenia kozy, żeby mleko na przebudzenie wychowanka miał gotowe; ale ze starą żydówką nie tak było łatwo jak sądził. Uparta była jak koza, miała przytém nawyknięcie do osób i niechętnie ulegała przemocy nowego pana. Zrazu łagodnie z nią postępował Jermoła: głaskał, gadał, starał się przekonać o konieczności poddania się, aż wreszcie do środków gwałtowniejszych uciec się musiał. Koza podniosła bunt formalny, zerwała się ze sznurkiem i poczęła bijąc rogami latać po izbie od drzwi do drzwi, dziecko się obudziło, stary schwycił się za głowę.

Szczęściem na tę scenę nadeszła kozaczycha, którą ledwie przebudzoną, ciekawość do chaty Jermoły sprowadziła. Zobaczywszy go w tém utrapieniu w śmiech baba; ale zaraz téż do roboty się wzięła, i z kozą dała sobie naprzód rady w sposób czarodziej-ski. Żydówka czy to że do kobiet była przywykła, czy widząc przeciw sobie dwoje, a zwątpiwszy o dobrych skutkach podniesionego buntu, upokorzyła się dobrowolnie przed kozaczychą. Jermoła lulał już dziecko na ręku.

— A co?—zapytała stara—jakżeście noc przebyli?

— Ja się nie kładłem — odparł gospodarz — ale dziecko wyśmienicie spało. Ta przekłeta koza tylko.....

— E! z nią najmniej będzie kłopotu: we dwa dni się oswoi, bylebyś karmił. A chłopiec spał?

— Jak anioł!—zawołał Jermoła—żadne dziecko tak nie spi! Strach jaki on rozumny; zdaje się nawet, że mnie już poznaje!

Zdziwił się mocno przybrany ojciec sieroty, gdy na te słowa kozaczycha znów mu się w oczy rozśmiała, i zmieszany zamilkł.

— Ja nie wiem czemu wam Pan Bóg żony nie dał i dzieci—rzekła po chwili—albo was był powinien kobietą stworzyć.

Nie dokończyła tych słów, gdy pod drzwiami silny głos dał się słyszeć.

— Hej Jermoło, trutniu jakiś, wychodźże: nie widzisz że stoję.

Było to wołanie Hudnego ekonoma, który jadąc w pole, już uwiadomiony o wczorajszym wypadku, sam osobiście chciał się o prawdzie przekonać, żeby żonie opowiedzieć jak to było. Zadrzał stary przed władzcą, którego się obawiał, i jak mógł unikał; ale dziecię zostawiwszy kozaczysze, co najprędzej wyszedł.

Ekonom siedział na tłustym koniku, w szaraczkowym surducie podbitym barankami, w długich butach, z harapnikiem w ręku, w czapeczce na bakier: znać było z miny, że bez kieliszka wódki z domu na chłód nie wyjechał. Było jeden z tych młodego pokolenia rządzców włości, którzy zastąpili nam starych, wiernych, poczciwych sług zeszłego wieku. Wszystkie wady swych poprzedników przejąwszy, nowemi świeżego pomysłu zbogacony, pan Hudny, zwał chamami po dawnemu chłopów, bił ich, trzymał ostro, kradł potężnie, a miał się za upośledzonego że ekonomował, rozkazując nazywać się panem rządzcą, i oznajmując wszystkim, że wkrótce wyjdzie na dzierżawcę. Żona jego i on samowładnie w opuszczonym majątku zarządzili się jak szare gęsi: chwyтали szparko, i oglądali się tylko jakby wyść z położenia, które im nie smakowało. Serca w nich obojgu nie było za grosz: duma niesłychana, zepsucie jakie tylko na dnie rozprzężonej społeczności

znaleźć się może. Na twarzy sumiastemi ogromnemi wąsami pokrytej, czerwonej, okrągłej, dwoje tylko oczu piwnych, nieco skoszonych, dawały poznać charakter człowieka, w niepewnym, lekliwym a chmurnym spojrzeniu: resztę zarastały włosy, szpetne rysy przystając gęstemi ciemnymi kupami kręcących się faworytów i podbródka.

Jermoła pokłonił mu się ręką do samej ziemi.

— Co Wielmożny pan rozkaże?

— Co tam u ciebie się święci? Słyszę jakieś dziecko podrzucone?

— A tak, proszę Jaśnie pana—dodając jasności dla bezpieczeństwa rzekł Jermoła—wczoraj wieczorem posłyszałem kwilenie pod dębami, myślałem że puhacz... a to było dziecko, proszę pana.

— Chłopiec?

— Sliczny chłopiec!

— Nie było tam co przy nim?—zapytał ekonom bacznie wpatrując się w Jermołę—znaku jakiego? papieru? medalika: bo to trzeba odnieść do sądu albo i dziecko odesłać do szpitala...

Jermoła pobladł i ręce załamał.

— Znaku? żadnego nie było znaku: dziecko tylko zamiast w pieluchy zawinięte było w sztukę mory grubiej... proszę Jaśnie pana... Ale ja dziecka, kiedy mi je Bóg dał, nikomu bym oddać nie chciał.

Ekonom się rozśmiał.

— Ho! ho! coś to kuso wygląda. Podrzucone pod próg, a ty chcesz zatrzymać: może być śledztwo... kłopot, koszt dla skarbu! Nieś je sobie do pomocnika lub do sądu, niech postanowią, a tę sztukę perkalu odesłać mojej żonie: słyszysz, zaraz.

Ekonom zlaźł z konia i namyśliwszy się, dawszy go potrzymać Jermole, sam wpadł do izby. Staremu serce biło, obawiał się wejrzenia tego człowieka, a konia puścić nie mógł: chciał tam być przytomny i nie mógł, uchem chwycił rozmowę kozaczychy z ekonomem, a ten wysiłek i niepokój tak go zmógł, że gdy Hudny nazad powrócił, Jermole pot kroplami ze zbladłego ściekał czoła, jakby w łaźni.

Szczęściem kozaczycha, którą ekonom trochę szanował nie wiem z jakich powodów, bo o tym różnie mó-

wiono, najpewniej dla pieniędzy i masła, któremi mu się okupywała dla spokoju: potrafiła wmówić mu, tak, że Jermołę już nie niepokoił i nie pędził go z dzieckiem do stanowego.

— Tfu!—zawołał na koń siadając Hudny—kłopotuś sobie stary napytał: no! no! Ja pomocnikowi sam dam znać, ale ci jednak życzę zbyć się tego znajdy: po kiego ci licha ten przybytek? Ha! chyba się do czego poczuwasz stary?—dodał śmiejąc się głośno.

Jermoła z wielkiego strachu aż w łokieć go pocałował, prosząc za dziecięciem z wyrazem tak pocziwego rozczulenia, że kto inny, nie ekonom, byłby nim rozczulony do głębi!

W ten sposób uwolnił się stary od chodzenia do dworu, co go zawsze podwójnie kosztowało: bo miejsce samo naprowadzało do smutnych wspomnień, a ekonomstwo oboje polityczni ze swemi, gburowaci byli z prostym ludem nieznośnie. Cały więc dzień miał przed sobą do przygotowań wszelkich dla dziecka.

Słońce wstało jasne, promieniejące, wesołe, jakby niosąc nadzieję i otuchę. Na brzegu Horynia ruch się i gwar rozpoczął; a że po wsi poszła już wieść o dziecku, ktokolwiek więc przechodził mimo gospody, wstępował do Jermoły zobaczyć sierotę i podziwiać się i posłuchać opowiadania jak to było. Kozaczycha wyręczała z ochotą kuma, corazto ubarwiając opowiadanie swoje, z najdrobniejszymi szczegółami powtarzając je nieznużona. Tymczasem stary wyciosywał kołyskę, na którą szczęściem znalazła się kłomla z łoziny pleciona wyborna. Ta postawiona na dwóch jako-tako obrobionych biegunach, zaślana świeżem sianem i różnemi rupieciami Jermoły, około południa już była gotową. Łatwiej wprawdzie daleko było, wedle zwyczaju wieśniaczego, na sznurach u bunta koszyk zawiesić i huścić go nogą; ale się Jermoła sznurów, bunta, kruka i wszystkiego obawiał dla dzieciny, woląc podjąć pracę, niżeli ją, jak sądził, na niebezpieczeństwo narażać.

Kozaczycha śmiała się z tych strachów, ale przekonać go nie mogła. Oprócz téj roboty około kołyski, całą izdebkę, owę tak porządną i od lat wielu nietkniętą, potrzebą było teraz wcale inaczéj usposobić, żeby dziecku blask nie bił w oczy, żeby na nie ze drzwi nie



wiało, z pieca nie piekło. Żydówce musiano w kącie zrobić z drabiny zagródkę z furtką, gdyż się jeszcze przyswoić nie dawała: jadła wprawdzie co jój rzucono, ale ani myślała słuchać; została więc na sznurku do jakiegoś czasu.

Zasiadłszy z kozaczychą, Jermoła wziął od niej dokładną naukę o sposobie w jaki się należało z dzieckiem obchodzić: rozpytał ją z największymi szczegółami ile razy miał je kąpać, w jakiej wodzie, czém karmić, jak usypiać i tulić. Przywiązanie do malca wyrównywało w tej chwili prawie nienawiści, jaką miał ku kozie nieposłusznej i czuć nie umiejącej szczęścia, jakie ją spotykało. Jermoła groźnie spoglądał na nią, nie mogąc się zarówno nagadać o przymiotach dziecka i niegodziwości żydówki, jój nierozumie, uporze i szkaradnych nałogach, jakich w obcowaniu karczemném nabrała.

Tak upłynął pierwszy ranek ojcostwa biédnego Jermoły.

Dziwne są czasem przeznaczenia człowieka! Lata mu płyną nadaremnie w oczekiwaniu jakiejś jednej chwili, która wszystkie jego siły w czyn i działanie wprowadza: zdaje się, że przespał wiek, by się dopiero w daną przebudzić godzinie. Położenie nowe wywołuje zeń uczucia mu nieznane, otwiera serce, rozjaśnia głowę, i z beczynnego przetwarza na niezmordowanego w pracy.

Tak właśnie stało się z Jermołą, który ożył dziecięciem, i z podziwieniem kozaczychy, całej wioski, wszystkich co go znali wprzód, nie tylko wybornie sobie rady dawał z wychowaniem niemowlęcia, ale przerobił się na innego wcale człowieka. Znano go jako jedną z najobojetniejszych na wszystko istot na świecie: cichą, pokorną, milczącą, powolną; widywano zawsze o jednej godzinie około stariej karczmy, słyszano od niego niemal jedne powtarzane słowa. Z spuszczoną głową, zgarbiony, o kiju, chodził ku dworowi, ku rzece, nosił sobie chrust i drzewka, uprawiał trochę tytniu i warzywa w ogródku, czasem na progu w piękne wieczory odmawiał pacierze, a po kilka miesięcy niekiedy na wsi nie bywał, gdy go siedzenie uparte napa-

dło. W karczmie samój nogą nigdy nie postął; na wesela, chrzciny i pogrzeby nie uczęszczał, proszony zaś przyszedłszy, co najprędzej uciekał do swojej nory, w której życie tulił okryte jakąś tajemnicą.

Prócz chaty kozaczychy z którą go dawne stosunki i potrzeba pomocy łączyła, bo tam poczęści go karmiono, opierano i oszywano, nigdzie zresztą w gościnę nie poszedł. Mawiano téż o nim, że mruk i dziki; choć poznawszy go bliżej mało kto nie miał dlań przyjaznego słowa. Pod tą bowiem pokrywą niepoczesną, serce było złote, serce jakie się częściej niż sądzą uprzedzeni wyradza u prostego ludu.

Zagadnienie to namiętnie rozwiązywane zdaleka od tych, o których tu idzie, dziś wszyscy zwykli rozstrzygać najkrzywiiej, więcej złego niż dobrego dopatrując w wieśniaku. Tymczasem rozrachowując wpływy jakim lud ulega, okoliczności w jakich zostaje, przykłady które ma pod oczyma, nędzę która często go gniecie, zupełny brak wychowania moralnego: zadziwić się potrzeba skarbom poczciwości, jakimi go Bóg obdarzył. Największe występki w takim położeniu byłyby wytłumaczone: bo myślimże o środkach wszczępienia w jego duszę jakichkolwiek zasad? Cóż dopiero powiedzieć o cnotach, które tu są prawdziwym cudem. Zbliżyć się potrzeba, przypatrzeć, a na karb jakichś uprzedzeń lub pobłażania urojeniom czasowym nie kłaść tego, co z przekonania o ludzie naszym się mówi. Poszanujmy w nim cnotę tém droższą, że jest złoto samorodną. W nas ją szczepią, wpajają, uczą nas jój od młodu; mamy łatwość być poczciwymi, interes, miłość własną, pomoce ku temu, bodźce różne, wreszcie pojęcie jasne obowiązku, a jednak niezawsześmy i nie wszyscy jakimi być powinni. Nie dziw, że wzięwszy ściśle w rachubę co przeciw nam, a co za ludem mówi, zawsze bezstronny sędzia przyzna téj klassie więcej poczciwości niż innym: boć dla pięknych oczu możnych i szczęśliwych ani im darować błota, którym się walają, ani zapoznać godzi się, co tak cudnie przykładem świeci nam od dołu.

Nie waham się, w ciągłych i żywych będąc stosunkach z wieśniakiem naszym, lepszym go uznać rodowo, instynktowo, niżeli ludzi innych klass społeczeń-

stwa, niżeli lud w innych plemionach Europy, szczególnie na Zachodzie. Spójrzjmy, porównajmy, policzmy występki, a zdziwimy się moralności ludu zupełnie opuszczonego, i z powietrza, ze krwi własnej czerpiącego siły do cnoty. Maluczkie plamy o jakże łatwo wytłumaczyć się dają, byleśmy sprawiedliwymi być chcieli; lecz dziś przez nieuchronną reakcyą idąc w ślad za Zachodem, i my plujemy na wieśniaka, przenosząc wszystkie cnoty do salonu. Nie przeczę, jest ich wiele i tam; ale nas wszystkich uczą katechizmu i wiemy którądy droga: lud zaś sercem jój szuka i znajduje ją, za co winniśmy mu choć uznanie tego i wydział sprawiedliwości.

Jermoła był właśnie jednym z tych ludzi, obdarzonych cudownym instynktem cnoty, w którym dwór nie zabił szlachetnych popędów wrodzonych, co się często zdarza, cząstkowa ogłoda nie wyziębiła serca, a wiek nie zastudził uczucia. Nie mogę téż inaczej nazwać tego, tylko instynktem, i chętniebym w psychologii przypuścić obok zwierzęcego instynktu poziomego, egoistycznego, niszczącego, ten drugi szlachetniejszy, wyższy, wbrew pierwszemu przeciwny, który często najbardziej upośledzonych dźwiga na wyżyny objawienia cnoty. Obdarzeni cudownym jakimś popędem idą wbrew interesowi własnemu, posłuszni sercu, w którym nie krew i namiętność, ale przeczucie udoskonalenia i potrzeba poświęceń żywie i bije. Starzec ten nigdy się nie poskarżył na stérane życie, nie rzucił przekleństwem na przeszłość, nie odezwał przeciwko ludziom: wystarczał sobie, milczał, cierpiał i nie poddawał się, dźwigając się duchem pobożnym. Zawsze gotów z pomocą choć niewiele mógł, nie skąpił siebie. Wiedzano o tém we wsi, i znajomi i nieznajomi uciekali się do niego, gdy dwojga rąk i serca potrzebowali: tyle bowiem tylko mógł dać stary Jermoła. Przy chorym posiedzieć, ubogiej wdowie zżąć pokładzone już żyto, przypilnować dzieci, gdy wszyscy na łan powychodzili, poradzić na niezdrowie i przypadkowe skaleczenie, najlepiej umiał Jermoła. Używano go tém chętniej, że nigdy zapłaty nie wymagał, a wódki nie lubił i nie pijał. U ludu jest we zwyczaju zawsze w takich razach za najmniejszą przystługę wedle możliwości się wy-

wdzięczać; uważają to sobie za obrazę, gdy się od nich podarku nie przyjmie. Wtykano i Jermole cośkolwiek, brał on żeby nie upokarzać, ale kilka jaj, bułka, chleba, wystarczały mu aż nadto.

Nie miał nawet za złe swoim starym znajomym i obojętnym, gdy w chorobie, w potrzebie, w smutku doświadczywszy jego pomocy, zapominali potem o nim. Nie nazywał tego niewdzięcznością, nie skarżył się na nich: wiedział bowiem, że wieśniak mało ma godzin z którychby sercu mógł zrobić ofiarę, że nie chęci mu braknie, ale czasu i możliwości, a obojętność jego pozorną najczęściej bywa dziełem przypadku. Trzeba znać to życie, widzieć znużenie, porachować ile tam zostaje na spoczynek i myśli, by się niczemu nie dziwić. Jednym tylko sercem wyższy był Jermoła od swoich współbraci, zresztą nie poprzestał być dziecieniem wioski, zachowując jej upodobania, nawyknięcia, obyczaje i przesady.

Nazajutrz po opisanym wypadku, w całej Popielni o niczym nie było mowy tylko o znalezionym pod dębami dziecieniu, o Jermole i kozie kupionej u Szmulu, bo się Chwedko nią chwalił, równie jak swoją historyczną dereszową kobyłą. Tysiącznemi domysły usiłowano sobie wytłumaczyć zjawienie się podrzutka, niesłychanego w dziejach wioski zdarzenia, składając ten występki nie na wieśniaków naturalnie, którzyby go popełnić nie mogli, bo to nie jest w ich obyczajach, ale na tajemniczą jakąś istotę wyższego stanu. Podejrzania padały na różnych dalszych i bliższych sąsiadów, ale na niczym oprzeć się nie dawały, i jedne obalały drugie. Usiłowano sobie przypomnieć dzień i wieczór wczorajszy; na nieszczęście ślady tych, co przywieźli dziecko i porzucili je pod dębami, doskonale były zatarte. We wsi ktoś tylko widział wózek szybko pod wieczór pędzący ku Małyczkom, ale się pokazało, że to był pisarz zakochany w Horpynie kozaczance; inny przypomniawszy sobie konnego nad brzegiem Horynia z czymś białym pod pachą, ale zaręczano, że to ekonom z ręcznikiem, którym od chłodu szyję miał obwiązaną. Marysia szynkarka przypomniawszy Polészuka, co to spał na ławie w szynkowni i około pierwszych

kogutów wyszedł niewiadomo dokąd; ale byłżeby spał. tak spokojnie??

W karczmie, w polu, na drzewie, u bindugi wszyscy rozprawiali o podrzutku; nikt jednak więcej od drugich nie wiedział: dziwiono się Jermole, śmiano się ze starego i ruszano ramionami. Tymczasem w chacie kąpiel przygotowująca kozaczycha, gdy owe perkale rozwinęła dla odesłania ich ekonomowej, i przypatrzyła się lepiej dziecięciu, podzielać zaczęła przekonanie przybranego ojca, że podrzutek musiał być istotnie pańskiego pochodzenia: takie to było delikatne, świeżuchne i śliczne. Na pieluchach żadnego nie dopatrzonego się znaku, ale na szyi, na sznurku jedynym był brązowy medalik, który za złoty wzięwszy Jermoła, jak najstaranniej schował. Z tego powodu spór się wszczął, czy dziecko ochrzcić czy nie, i przemogło zdanie kobiety, że na wypadek zawsze chrztem obmyć bezpieczniej. Tegoż samego więc wieczora miał już imię Irodyona, które sobie sam w dniu tym przyniósł. Imię to na wsi lud pospolicie na Radyona lub Radywona zestawiańszcza: malec więc nazwał się Radyonkiem. Jermoła płakał z radości nosząc go na rękach, po stokroć powtarzając że ma syna; a tak był z niego szczęśliwy!!

Pierwszy raz w życiu podchmielił sobie na tych chrzcinach staruszek, spoił Chwedka i kozaczychę, którą serdecznie uściskał, żartował, podskakiwał, a nieszczęśliwej kozie, która chmurno jakoś poglądała na całą tę historią, pięścią pogroził.

— Słuchaj bezecna żydowico — odezwał się stając naprzeciw z groźnie podniesioną ręką — plemię rogate i brodate: słuchaj i pamiętaj jeśli mi uczciwą i posłuszną mamką dla mojego malca nie będziesz, znajdę drugą..... Ale ciebie, jak mi Bóg miły, zarznę tęym nożem.

Koza tupnęła nogą, pokręciła głową, a przytomni szerokim parsknęli śmiechem: bądź co bądź nauka w las nie poszła.

---

Taki to były początki, a w kilka miesięcy później Jermoła już doskonale obywwszy się z położeniem swoim, tak sobie wybornie radę dawał we wszystkiem,

że mu się oddziwić nie mogli. Pociecha bo to była całej wioski, kiedy stary z dzieckiem na ręku wyszedł na brzeg rzeki, albo na pole: otaczano go kołem, śmiejąc się i pieszcząc niemowlę i staruszka.

I czego to cierpliwość nie dokáže: owa stara uparta koza, która tyle charakteru okazała w pierwszych dniach po rozstaniu się ze Szmulowstwem, powoli, powoli tak się obyła i przywiązała do Jermoły, że od niego i dziecka na krok nie odstępowała. Kilka razy w początku uciekła do karczmy, Szmul nawet dał był wyrok zarznięcia jój pocichu; ale Jermoła, który odgadł wszystko, dziecko zostawiwszy u kozaczychy, sam przyjaciół zebrał, napadł na karczmę, kozę swoją za sromą w chlewku odkrył, i takiego strachu Szmulowi napędził, że żyd go już więcej zaczepić ani myślał, a przyptacił chciwość swoją, zmuszony częstować całą gromadę, żeby się hałasu i krzyku pozbyć, jakiego narobił Jermoła.

Koza żywiona dobrze zmiarkowała téż, że do Szmula nie ma po co uciekać: zobojętniała na dawne z nim stosunki, i wiernie służąc nowemu panu, gdy się trafiło przechodzić koło karczmy, głowy nawet ku niej nie zwracała. Stała się téż z nieprzyjaciółki ulubienicą Jermoły i pierwszą u niego po dziecięciu; a że ciągle do niej gadał, że zawsze z nim była, do małego téż Radyonka tak przylgnęła, że nawpół nianką jego się stała. Dziecię znało jój czarne oczy i długą brodę, z którą się małemi rączkietki bawiło; żydówka szła sama na zawołanie, zaglądała do kołyski z roztropnością i zmyślnością niezwykłą: słowem wcieliła się w rodzinę. Jermoła oddawał jój sprawiedliwość, że się zrazu na niej nie poznał.

Ale fraszka ta pociecha, jaką miał ze starój kozy, którejby teraz za żadne nie oddał pieniądze: gaśło to przy radości, jaką mu sprawiało rosnące i codziennie roztropniejące dziecię. Chłopak był duży, silny, wcale ładny i tak szybko dojrzewający, jak zwykle sieroty. Bóg tym, których pozbawił matki, wcześniej téż zsyła siły do życia potrzebne. Jakkolwiek zadziwiającym był Radyonek, Jermoła jeszcze w nim widział daleko więcej niżeli było w istocie. Śmiała się z niego koza-

czycha, ale to go nie poprawiało, gniewało tylko, nazywał ją ślepą i uchodził ze swym skarbem nadąsany. Zresztą starucha kochała także wychowanca, który i jej wiele był winien; stary ojciec przybrany bez niej nie tak łatwo by sobie dał rady, a cała wioska pomagała mu potrosze, bo był jej ulubieńcem i dziwotą.

Przez tych kilka miesięcy mamczenia i starań około utrzymania życia, Jermoła miał czas namyślać się co dalej pocznie, i rozpowiadał nieraz na głos projekta swoje dziecięciu i kozie. A było tego tyle! tyle! Naprzód nie chciał go mieć prostym wieśniakiem: lepszego zeń coś zrobić myślał. Wybór stanu zdawał mu się trudny, wszystko dla kochanego Radyonka zamałe. Byłby mu kupił wioskę i posadził na niej gospodarować, ale tego nie mógł nieborak: potrzeba było szukać czegoś innego. Myślą przebiegał zajęcia różne, rzemiosła wszelkie, i każdemu miał coś do zarzucenia: szewc musiał siedzieć na miejscu schylony i zgarbiony; stolarz cały dzień być na nogach, kował palić się w ogniu, mularz dźwigać cegłę, po drabinach tazić, słońce i wiatr znosić:—wszystko to niepodobało się Jermole.

Obstawał przytém, żeby wychowanca czytać i pisać nauczyć; ale że nierychło do tego przyjść miało, a diak, jedyny we wsi mędrzec, który mógł przewodniczyć jego wychowaniu, stary był bardzo, a z następcą zaś jego niepewnym, niewiadomo czyby się można ułożyć; stary postanowił sam się u diaka wyuczyć czytania, żeby malca w porze módz zacząć oswajać z abecadłem bez cudzej pomocy. W tym celu kupił u żydka z kramnikiem chodzącego asbukę, i na drugi koniec wioski dybał staruszek z dzieckiem na rękę i kozą nieodstępną na codzienne lekcye u starego Andreja Prosforowicza. Trzeba go było widzieć jak ślęczał nieborak, jak się męczył, jak pracował, dziecię tuląc jedną, a skazówkę wodząc drugą ręką. Pocieszało go to, że dosyć niecierpliwy diak Andrej, Radyonka w obroty nie weźmie, bo z doświadczenia wiedział, że byłby się nad nim znęcał i męczył go po swojemu, a tak siebie był pewien, że naukę przeleje mu bez trudności.

W sześćdziesięciu leciech z górą, piérwszy raz spotkać się z abecadłem nie jest rzeczą łatwą, a wy-

siedzieć nad niem godzin kilka, i oczy przywykłe chodzić swobodnie zmuszać do rozpoznawania kształtów maluczkich:—męka to wielka, na której cierpliwe wytrwanie serce się chyba zdobyć może. Stękał Jermoła, ale raz sobie postanowiwszy dokonał nauki czytania. Szczęściem wzrok jeszcze miał dobry i gładziej to poszło, niżeli się spodziewał diak, który za tę sztukę wziął półsetek płótna, dawno w kufrze chowany (i to piętnastkę), a w datku rubla karbowanego.

Z niančeniem chłopca tak się już znał stary, jakby kilkoro dzieci wychował. Kołyska stała przy łóżku jego, obok tuż w kątku sypiała koza; byle się odezwiała dziecina, ojciec był na nogach i zaraz poradził coś małemu niebożątku. Sypiał téż niewiele, ale snu nie tak bardzo potrzebował; we dnie wzięwszy na ręce Radyonka to nad rzekę chodził, to pod dęby, to w las lub na pole, albo na progu z nim zasiadał. Widok ten zrazu śmieszny dla wielu póki był niezwykły, stał się potem dla całej wioski miłym i zajmującym: uśmiechano się sierocie, dziwowano wytrwałości przybranego ojca, czasem w niedzielę jak na zabawę przychodzili ludzie do stariej karczmy, napatrzeć się na podrzutka i pogawędzić z wysłużonym dworakiem. Jermoła jak się miał przed kim pochłubić wychowankiem, rad był niezmiernie i tyle prawił o nim, że cała nareszcie wioska miała przekonanie, iż to dziecię obiecywało coś niepospolitego.

Najdziwniejszym ze wszystkiego było, że Jermoła wyraźnie odmłodniał, rozprostował się, twarz mu się rozjaśniła, wypełniła, uśmiechnęła. Niewygody, bezsenności, praca nietyle go wycieńczyły, ile pokrzepiła nadzieja: życie jego wypełniło się, rzecz można rozpoczęło na nowo.

A nie szło mu ono lekko i nie wplatało się w wieńiec przyjemności samych, jakby z tego sądzić można: dziecina przynosząc z sobą wydatki codzien znaczniejsze, zmuszała go do pracy, przemysłu i zaopatrywania w chleb powszedni nie na dzień jeden, ale i na jutro. Tego rodzaju ubodzy niezmiernie mało potrzebują na żywot codzienny. Jermoła wystarczał sobie choć bardzo miał niewiele, obywatł się to tém, to owém bez wielkich wysiłków, niedoświadczając przynajmniej głodu, dopóki



mu na ręce nie spadła sierota. Właściwie rzekłszy nie miał żadnego stałego funduszu, ale nie żebrał, płacił jeszcze za przytułek i ogród czynsz dwudziesto-złotowy bardzo regularnie, i wyżywiał się jako-tako. Nam przywykłym do innego trybu życia nie łatwo pojąć, jak się to ubodzy małuczkiem utrzymać mogą. Stary Jermoła nie prawie nie wyniósł ze swęj długiej służby dworskiej, może zaoszczędzonych kilka tylko kawałków płótna, kilkanaście rubli i trochę rupieci małej ceny. Było czém zrazu czynsz z góry opłacić i chleb kupić powszedni, ale bez nowego starania zapas ten byłby się prędko wyczerpał. Wprawdzie Jermoła na siebie wydawał bardzo mało, bo go po wsi karmiono, a kozacycha nie żałowała strawy, nie upominając się o odrobek: trocha kartofli, kawał chleba i słoniny wystarczały, odzienie się nie darło i nie wymagało odnawiania, ale czynsz zawsze potrzeba było opłacać i wyciągnąć go z tego jednego ogródka, który cały dochód stanowił. Półko ogrodzone żerdziami przy karczynie miało mniej-więcej rozległości zwykłego ogródka włościańskiego, mniej morga ziemi niżtęj bliżej karczyny, a ku dębom i sosnom wycieńczonęj przez drzewa, spijające żywotne soki dokoła. Siał na nięm Jermoła tytuń pod budowlą gdzie żywniejsze były zagony, dalej sadził kortofle; trochę kapusty ku dołowi, buraków i ogrodowiny. Niekiedy udawało się tak szczęśliwie, że odjąwszy co było potrzeba na własny użytek, odbierał jeszcze swoje 20 złotych czynszu z samego ogródka: innych lat musiał ich szukać inaczej. Las i rzeka w takich razach są dla wieśniaka wielką pomocą, a tych nie broniono w Popielni, wszyscy z nich użytkowali. Jermoła póki był sam jeździł czasem na rybę i udawały mu się nocne łówki z ościami, zastawiał więcierze i saki, a rybę we dworach lub miasteczku sprzedawał. Oprócz tego zbierał i suszył grzyby, które są lepszym jeszcze towarem i od niejakięgo czasu zwłaszcza poczęły iść w cenę. Ale oba te zajęcia z małym Radyonkiem na rękach stały się niepodobienstwem: dziecko nie dozwalało ani nocy spędzać na czólnie, ani się po lasach włóczyć. Tymczasem wydatki rosły, zapaśny grosz zaraz w początku wyszedł na kupno kozy i inne drobne potrzeby. Jermoła musiał sobie inaczej radzić. Dawniej rabił w po-

lu prawie darmo swoim znajomym i ubogim: dziś czas mu się stał droższym, namyślił się najmować. Widywano go jak te baby z dziećmi i kolóbką, chodzącego w dniu pilniejszej pracy w pole na sznury włościańskie ze swoim malcem, kozą, ze trzema drażkami, koszykiem i namiotem. Stawiał koszyk z Radyonkiem na miedzy w przenośnej budce osłonionej rańtuchem, pod opieką stariej żydówki, a sam żął, kosił lub wiązał. Dawało mu to czasem jadło i oprócz tego około 20 groszy dziennie, gdyż w Polesiu rzadko robotnik pieszy wart jest więcej. Trzy dni potrzeba było pracować na dwa złote, które gdzieindziej za jedną kopę płacą: i to pracować naprawdę, nażąc kopę rzadkiego żyta, naschylać się, napocić, i snopów nadzwigać; a snopy w Polesiu wydatne i ciężkie, choć je po kłosie zbierać muszą.

Często wróciwszy do swój pustki, niosąc z dalekiego pola koszyk i dziecko, brzemię lat i ciężar dnia, starzec czuł się osłabionym, sennym, wycieńczonym; ale spojrzenie na Radyonka uśmiechającego mu się, krzepiło go na nowo, a nocny wypoczynek dodawał sił na jutro. Nigdy zaprawdę tak się stary nie krzątał jak teraz, nie był tak czynnym i niezmożonym: ludzie z mimowolnym nań patrzyli poszanowaniem, wzbudzonem wytrwałością i milczeniem szlachetnym. Nieśmiejąc dotknąć złota znalezionego przy dziecięciu, choćby z głodu umierał, gdyż uważał to za własność sieroty, musiał przysparzać sam, bo codzień szło trudniej, a wystarczyć na wszystko nie mógł jednym przy karczynie ogródkiem. Tu rankami tylko i wieczorami robił urywkowo, a na resztę dnia się najmował.

Ale serce wszędzie i zawsze dokazuje cudów, gdziekolwiek pośle promyk uczucia. Wielkito talizman: bez niego każda rzecz trudna, a z niem nie ma niebezpieczeństwa.

Jakoś ta praca około roli, po upływie kilku miesięcy nie zaspokoila starego Jermoły: chłopak rósł a zarobek był nieskończenie mały; prócz tego diak rubla wziął za naukę, a co czasu na nią stracić było potrzeba! Smutny jakoś powlókł się jednego wieczora staruch do chaty kozaczychy, z którą zwykł się być naradzać. Przyjęto go jak zwykle, Horpyna z uśmiechem i wykrzykiem, bo dziecinę lubiła bardzo i zaraz ją za-

bierała od Jermoły, bawiąc, karmiąc, uśmiechając się jój, póki tylko stary był w chacie; kozaczycha kwaśno, gderliwie, ale serdecznie. Jermoła im tam nie zawadzała, nie uprzykrzała się, a często posłużył: bo jakkolwiek znużony, gdy go kozaczycha czém potraktowała, lub za to że się pogrzała przy jój ognisku, czuł się w obowiązku pójść po wodę do studni, szczepać skałki, urąbać drewno, zastępując pijanego Chwedora, który wieczorami najczęściej w karczynie siedział, i ztamtąd go już było nie wywabić i kijem.

Miała się baba ciężko z tym Chwedorem, ale parobków najmitów mało było we wsi, bo co silniejszego szło z toporem do wyrobu belek i wańczosów, do klepki i łuczywa: musiała więc znosić trutnia, który gdyby nie wyrostek co mu pomagał, nawetby chudoby nie napisał i nie dopatrzył. A był takiej natury ów Chwedor, że w nim jakby dwóch siedziało ludzi: z rana póki trzeźwy choć do rany przyłóż: pokorny, cichy, zapobiegliwy, przemyślny, często coś przypomniał o czémby i sama gospodyni nie pomyślała; ale powróciwszy z pola jeno woły na podwórko odprowadził, choć się zaklinał że do karczmy nie pójdzie, zniknął i zasiadał za stołem u Marysi szynkarki, pił, a pijąc niestworzone dziwolągi wyrabiał. Czapka na bakier, w boki się wzięwszy, gadał a gadał, szumiał, odgrażał się gospodyni, łajał, karczmą trząsał, wrzeszczał, śpiewał, tańcował, i taka go opanowywała buta, jakby tam w nim wojewoda siedział. Powróciwszy do chaty, regularnie szedł kozaczysze za służbę dziękować, z piosnką jeszcze kładł się spać: legł, przedrzęmał się, a im więcej krzyczał wczoraj, tem nazajutrz był pokorniejszy i pewnie z rana, naprzeklinawszy wdowie wieczorem, przyhołubiał się różnemi ślicznemi pomysłami gospodarskimi. Odprawiał się on sam i ona jego kilka razy, ale że innego dostać było trudno, a i on przyrósł już do téj kleci, zawsze po wieczornych kłótniach i awanturze, kończyło się pokorą i zgodą.

Wieczorami więc, przy takich natogach Chwedora, przybywający Jermoła wielce był dla wdowy pożądanym: pomagał jój trochę i było przed kim narzekać lub przeklinać niezdare. Horpyna także dla dziecka, które się jój uśmiechało, lubiła starego dworaka.

Jednego tedy dnia, dość już późno wróciwszy z ła-  
nu, gdzie się upocił i kopy nawet rzadkiego żyta nie  
mógł nażąć Jermoła, bardzo jakoś uciśniony na duszy,  
zesłabły od schylania, powlókł się do kozaczychy. Za-  
raz w progu Horpyna odebrała mu chłopca z którym  
śpiewając zaczęła biegać po izbie, a stary zasiadł na  
ławie przeciw ognia i zadumał się. Bolała go głowa od  
słońca, krzyże od nachylania, ręce namulane od sierpa,  
choć starannie drewnianą rękojeść płachtą był obwiązał.

Chwilowa bezsilność przeraziła go, nie dla siebie,  
ale dla przyszłości dziecięcia: począł wzdychać ciężko,  
aż się baba opatrzyła chodząc około garnków, że jej  
gość potrzebować musi rady i pociechy.

— A widzisz stary—odezwała się—co ja tobie mó-  
wiłam, kiedyś brał to siéroctwo, że ty temu nie podołasz.  
Nieprawda że ci ciężko, bo coś bardzo wzdychasz?

— Oj ciężko kumo kochana, ciężko! Jużem to ja,  
widzę, nie dwudziesto-letni, z pola wróciwszy choć pro-  
sto leż do trumny: tak się człowiek czuje biedny i zmę-  
czony; ale cóż? pracować potrzeba, bo się z głodu  
zdechnie. Czynsz muszę zapłacić, Hudny i z téj nory  
wypędziłby, gdybym go na św. Michał nie złożył; jeść  
potrzeba i o dziecku jeszcze myśleć. Za cały dzień jak  
dziś i dwudziestu groszy się nie zarobi, a krzyże jak  
połamane.

— Bo ja wam zawsze powiadałam i powiadam, że  
inaczej powinniście myśleć o zarobku. Całe życie spę-  
dziliście na stołku w kredensie, przy lekkiej pracy, a tu  
wam się zachciało z sierpem i kosą chodzić w pole jak  
temu, co do nich przywykł od młodu: czemużeście nie  
przydumali sobie co innego?

— Kiedy nic nie umiem...

— Wszakcito i czytać nie umieliście, a mówicie,  
żeście się nauczyli. Możebyście tak i czego innego  
potrafili od ludzi nabyć.

— Myślicie?

— A cóż?—odpowiedziała baba zwykłą pytającą  
formułą, która zastępuje potwierdzenie.

— Naprzykład czego?—zapytał Jermoła.

— Czy ja tam wiem: jakiegokolwiek rzemiosła  
moglibyście się wyuczyć. Roztropni jesteście, widzieli-

ście i nasłuchali się dużo po świecie, takiby to wam nie ciężej przyszło niż młokosowi.

Jermoła głową pokiwał.

— Szewiectwa choć sobie czasem buty łatał, nie lubię—rzekł powoli stary—krawców dosyć u nas z Kołków przychodzi z łokciami na ramieniu byle było co szyć, a mnieby nikt nie dał sukna ze strachu, żebym nie popsuł; kożuszników u nas aż trzech...

— A tkacza i jednego poczciwego nie ma!—zawołała baba—który weźmie osnowę pewnie ukradnie, u drugiego sztuki się nie doczekasz do trzech lat: pozostawiają w karczmie; na szlichtę daj im co zażądata, poniosą do żyda. Płótna nie ma komu zrobić, choć się nieźle płaci: wybyście się łatwo tkactwa nauczyli.

— A warsztat? krosna? gdzie to postawić u mnie? Izba mała, kołyska sobie, koza sobie zabierają miejsce, wszystko na kupie: ani sposobu. Macie radzić, radźcie co innego.

— Mnieby to najlepiej smakowało, żebyście wy zostali tkaczem, bo nie mam komu dać przędzy: butwieje leżąc.

Jermoła rozśmiał się weseliej, ale i westchnął zaraz.

— E! radźcie sobie nie mnie: poradźcie lepiej kumo.

— Wiecie co?—zawołała Horpyna,—ja wam powiem co robić będziecie. Wszakżeto mawialiście sami, że we dworze bywało, jak nie ma co robić, toście sobie na skrzypcach grywali...

— Prawda, całemi wieczorami.

— A no! zostańcie muzyką!

— Tfu!—splunął Jermoła—co wam Horpyno takiego? A tożby się człek rozpił: gdzież mnie z dzieckiem po karczmach i weselach się włóczyć?

— A to widzicie, ja tak radzę jak matka... Musieliście dziecko u nas zostawiać...

Jermoła rozśmiał się znowu.

W tej chwili garnki, które kozaczysza przystawiała do ognia stuknęły się: jeden z nich, znać już pęknięty pokryjomu, nagle rozpadł się na części, ukrop bryznął po kominie na węgle, i wylał się pod nogi uciekającej kozaczysze.

Wielka z tego powstała wrzawa: Horpyna oddała dziecko Jermole i pobiegła matkę ratować; wdowa kłąc poczęła, służąca najmitka łamała ręce, kartofle napół ugotowane rozbiegły się po podłodze, a pies leżący w progu, przełęczniony, gwałtownie szczekać zaczął.

Ledwie się to w kilka minut uspokoiło, gdy szczęściem nikt prócz garnka poszkodowany nie został, bo ukrop zbiegł wprost na ziemię, kartofle pozbierały dziewczęta, a gospodyni natajawszy złą godzinę, siadła na ławie, żeby się wysapać.

Ale gdy przyszło znowu owe ziemniaki nastawiać, a do alkierza po garnki pobiegli, pokazało się, iż tak wielkiego drugiego nie było w zapasie, i nieboszczyka musiano zastąpić aż dwoma—zdawkową monetą.

— To był garnek jak mały!—poczęła mowę pogrzebową gospodyni.—Pamiętam, żem go kupiła w Janówce na jarmarku; biały był jak mleko, a mocny, choć orzech nim tłuc! Wracaliśmy po nocy z pijanym Chwedorem. Około Małyczek kołem z drogi zjechał i wywrócił; ja, i co było na wozie, wszystko w rów: a było pięć garnków i rzeszoto. A! żeby cię pioruny z twoją wódką, myślę sobie, i nuż zbierać omackiem. Rzeszoto lichu wzięto, bo je koło od wozu przebiło w samym środku: już to ono służy, ale niekoniecznie; garnków dwa poszło w łupinki, a mój grubas potoczył się tylko o staje.. Ja do niego: cały! Oczom nie chciałam wierzyć. Służył mi lat dwa, teraz już takiego drugiego nie dostanę. Ot, z czém u nas bięda: z garncarzami! Trzeba czekać aż się który zlituje i zajedzie, a że to drogi złe, a towár kruche, rzadko zajeżdżają i draż bez miłosierdzia!! A ten w Małyczkach Prokop, pożał się Boże, czarne robi i kruche: na nic.. chyba na popiół... Musi je daleko kędyś wywozić, bo tu je znamy i nikt ich nie kupuje...

— Ot co!—zawołała baba nagle—a gdybyście zostali garncarzem, to i poczciwe i spokojne rzemiosło, i taki robota nietrudna.

— Myślicie!—pokiwał głową Jermoła—a gdzież go się nauczyć? a glina? czy to u nas jest dobra? a kto potrafi piec postawić? Wreszcie gdyby się już co i zrobiło, jeszcze wozu i konia potrzeba, żeby się z tym wy-

robem po świecie prosić.... A broń Boże wywrotu, nie-szczęście!...

— Cóżto tobie dziś—zawołała znów stara—wszystko złe i trudne; a ja ci mówię, nie święci garnki lepią. Poczęli się wszyscy śmiać, Jermoła się zamyslił.

Tak zszedł ten wieczór u kozaczychy, nie bezowocowo jednak: bo choć nic nie postanowił jeszcze Jermoła, powróciwszy do domu, jał niespokojnie rozważać co robić, i nabrał otuchy.

— Juściż kiedym się czytać nauczył—rzekł w sobie—a to taki najtrudniejsza rzecz na świecie, to i rzemiosła jakiego mógłbym nabyć. Stary jestem, prawda, ale czyto tylko młodzi wszystko mogą? Ot, zobaczymy.

Nazajutrz Radyonka zostawił Horpynie, a sam poszedł pod jakimś pozorem do Małyczek. W głowie mu się coś snuło.

Wioskato była o miedzę niewielką, ze znacznym lasów i błot obszarem, w gruntach dosyć jałowych, saspach, torfowinie i piaskach; ale bogata, bo przemyślna i z samych niemal rzemieślników złożona. Włościanie tutejsi prawie co roku chleb kupować zmuszeni, bo tak jak w Opoczyńskim, jeśli nie gorzej, korzec posiawszy kopę zbierali, i ze zmłóconej ledwie się dopytali korca ziarna, słomę za pracę mając w zysku; nawykli byli już inaczéj sobie zarabiać na życie. Palili węgle, sprzedawali korę, wyginali obody, strugali niecki i naczynia gospodarskie, stelmachowali, bednarzowali, bawili się ciesielką, tkactwem, wyrobem sukien i pasów czerwonych, a jeden nawet był garncarzem. Ale mu to rzemiosło niebardzo poszło: zysk miał, wyrobu nie chwaliłi ludzie. W ogólności garncarze rzadko tam biorą się do roboty, gdzie ich z dawnych czasów nie bywało; a piece po największej części utrzymują się od niepamiętnych wieków z ojca przechodząc na syna. Znać w przedhistorycznej epoce, gdy zdunowie potrzebniejsi byli dostarczając naczyń poświęcanych, znali się téż lepiej na gatunku ziemi, na wypalaniu, trafniej wybierali sobie miejsca, i lepszą mieli tradycją rzemiosła; dziś ledwie się kto ośmieli założyć piec nowy, a garnki terazniejsze wyrabiają się tam jeszcze, gdzie przed wieki

toczyły i lepiły drogie starożytnikom popielnice, z tej-  
że gliny, która dostarczała grobowego sprzętu pra-  
dziadom.

Ostatni potomek małyckowskiego garncarnstwa  
bardzo był zszedł nizko w swój sztuce: napijał się, roz-  
włóczył, o glinę nie dbał, ladajako lepił. Garnki jego  
nie miały dźwięku, czarne były i pękały tak łatwo, że  
ich we wsi już nie kupowano, chyba w ostatniej potrze-  
bie. Ale i ta lichota przecież odbył miała, a stary Pro-  
kop i za majątnego uchodził, i niczego sobie nie żało-  
wał: słoninę jadł, wódką popijał, kożuch nosił wyszy-  
wany z siwym kołnierzem, oponczę z kapturem, czap-  
kę czarną baranią wysoką jak u dobrodzieja.... Syna  
nie miał, córkę tylko jedynaczkę, wydaną za najlepsze-  
go we wsi gospodarza, której taki dał posag, że ludzie  
wierzyć nie chcieli: bydło, konie, trzy bodnie odzieży  
i rubli całą czapkę. Wiedział o tém wszystkiém Jer-  
moła, bo i dawniej i teraz dwór popielnicki z małyck-  
owskim, a wieś z wioską częste miewali stosunki:  
myśl stariej kozaczychy zajechała mu furą w głowę.  
Nie chciał się z nią jednak wydać zrazu, żeby nie na-  
robić śmiechu, i jak zwykle wieśniacy, udał inną po-  
trzebę, zawróciwszy się do dworu.

We dworze tym od bardzo dawna mieszkał niegdy  
przyjaciel popieleńskiego pana, starzec już niemal  
zgrzybiały, rotmistrz jeszcze kawaleryi narodowej, Feli-  
cjan Drużyna. Dawniej bogaty, ale w zamieszkach  
krajowych straciwszy tak majątność, że przy jednej ma-  
łej został wiosce, wążesał się długo po świecie na za-  
chód i północ; potem powrócił na Polesie, i ledwie  
z fortuny znacznej ocaliwszy ten okruch mały, ożenił  
się, owdowiał, ośleplł, i zaniemógłszy tak, że nie cho-  
dził, umrzeć już chciał tylko, bo się straszliwie męczył,  
a śmierć codzienn wywoływana nie przychodziła.

Dom w Małyckach dawniej fundum dóbr zna-  
cznych, obszerny, stary, ciemny, z ogrodem strzyżo-  
nym, sadzawkami, kaplicą, skarbcem, tak pozostał jak  
go byli rodzice jeszcze rotmistrza zbudowali; ale się to  
wszystko chyliło do upadku: na jednej wiosce nie było  
sposobu utrzymać tych splendorów. Życie starca było  
najosobliwszego rodzaju. Czy się z tém urodził, czy  
ludzie go tak zagryźli, czy choroba skwasiła, stał się



najnieznośniejszym pod starość. Nie odstępował go nigdy syn już blisko trzydziestoletni, i uboga krewna wychowanka jego żony, skazani na nieustanne męczeństwo i najdespotyczniejsze kaprysy rotmistrza.

Pomimo ślepoty i niedołężności taki się duch krzepki trzymał w tym człowieku, że dotąd nie z rąk nie chciał puścić; z synem się obchodził jak z dwunastoletnim dzieciakiem, z wychowanką jak ze sługą, czeladź trzymał w najostrzejszym rygorze. Klucze mu przynoszono codzień pod poduszkę, a jeśli komu kazał za karę wsypać, nigdy mniej nad 50, starszym po 100. Wszystko w domu ulegać i służyć mu musiało na skinienie, z każdej najmniejszej rzeczy zdawano przed nim rachunek.

Ślepy, znudzony ciemnościami w których był pogrążony, a co gorzej beczynością, w zarządzie domem i gospodarstwem szukał rozłargnienia, a w męczeństwie najbliższych sobie istot żywiołu i zajęcia. Jemu służyło tylko to, co go otaczało; nikt dla siebie prawa żyć nie miał. Szpiegowstwo uregulowane na wielką stopę weszło w obyczaj, wieczną wrzawą i niepokojem napełniając dom ten nieszczęsny, w którym nikt od niego wolnym nie był: syn nawet, poddany ojcu, przybity, Jan Drużyna siedział u łóża chorego, straciwszy nawet ochotę do życia.

Rotmistrz znowu srogi władzca dla swoich, obcym wydawał się najmilszym w świecie człowiekiem: w istocie innym był całkiem dla świata, innym dla domowników i rodziny. Dla gości uprzejmy nad wyraz, uczynny dla sąsiadów, wylany dla biednych; przemawiał słodko, żartował, uśmiechał się, przysługi robił, i kto go nie znał, zdaleka zaledwie mógł wierzyć, żeby stary wojak takim był tyranem. Zapewne choroba nieznośna, męczarnia ślepoty, boleści i nocy bezsenne tak zgryźliwym i przykrym uczyniły jego charakter; serce widać zostało nienadwreżone, choć się niem ze swemi nie dzielił przez jakiś dziwny system surowości. Przesadzane pojęcie karności wojskowej i potrzeby silnej ręki w rządzeniu domem i gospodarstwem, przyczyniały się do utrwalenia tego despotyzmu. U łóża starca dwie istoty: syn Jan i kuzynka uboga Marya wiedli dni, któreby żółcią samą były zaprawne, gdyby ich nie osta-

dzało wzajemne przywiązanie. Domyślił się go starzec, wyprowadził sam nawet na wyznanie, ale otrzymawszy je podstępnie, obojgu pod przekleństwem myśleć o połączeniu zakazał. Zostawił ich tak osamotnionych, jedno z drugim nie rozłączając, a rozkazem absolutnym sercom ich pozamykać się kazał, sądząc, że słowo jego będzie wszechmocnym, że nic sprzeciwić się mu nie ma prawa. Młodzi zamilkli i we łzach spełniali dalej ciężką powinność, tając się z przywiązaniem przed starcem.

Dzień i noc potrzeba było zostawać przy rotmistrzu, który ze spuchniętymi nogami w łóżku leżąc lub z krzesłem wytaczany na kilka godzin do pokoju, zawsze przy sobie kogoś, najczęściej Maryą lub Jana mieć musiał. Sen mając przerywany i krótki, zadrzemywał o dziesiątej, budził się z północy, po kawie nadedniem trochę zasypiał i potem do obiadu ciągle się czémś zajmował, zwołując do łóżka z kolei sług i oficjalistów; ledwie oczy przymrużywszy nieco po jedzeniu, budził się znowu, by rozkazywać i pędzić do nocy. Z kalem podwójnym, przy męczarniach swych rotmistrz wcale się nie szanował: pił wódkę kilka razy, jadł za czterech, a żadna rada lekarska ani perswazyja powstrzymać go od tego nie mogły.

U krzesła jego lub łóżka wytaczały się sprawy o najdrobniejsze gospodarskie i zarządu domowego szczegóły: konfrontowano ludzi, inkwirowano, sądzono; a Drużyna tak dobrze wiedział i pamiętał co raz mu powiedziano, że mimo braku oczu nic się przed nim utaić nie mogło.

Zdrowszy jeszcze nieco i nim oczy stracił, za życia popielańskiego pana, rotmistrz był jednym z największych jego przyjaciół i najczęstszych gości; widywał go tam Jermoła, a starzec przez pamięć dla przyjaciela, czasem mu w jego osieroceniu czémś pomagał. Poszedł więc i teraz naprzód do niego do dworu poradzić się Jermoła, ufając wielkiemu rozumowi i dobremu dla siebie sercu pana Drużyny.

Radzi tam byli każdemu nowemu przybyszowi we dworze, bo albo od rotmistrza odrywał na chwilę jego niewolników, dając im cokolwiek odetchnąć, lub

rozweselał go potrzebą przybrania tego tonu, jaki miał zawsze w pogotowiu dla obcych schorowany starzec.

Gdy znać dano panu Drużynie że Jermoła widzieć się z nim żąda, zaraz jął wszystkich pędzać, żeby go przyprowadzili; przynieśli wódkę i przekąskę dla gościa, i z uprzejmości dla niego znalazł sposób wyłajac połowę swego dworu. Usłyszawszy kaszelek w progu, powitał go swoim najśłodszy m humorem:

— Jak się masz stary? co tam słyhać w Popielni.

— A cóż? nic, Jaśnie panie: pustka tylko i bięda.....

— No, a ty co tam porabiasz? Co tam nowego?

— O! i bardzo nowego—westchnął Jermoła—pan nic nie wie?

— A zkądże u kroć sto tysięcy kaduków miałbym wiedzieć—zawołał rotmistrz.—Widzisz, że jak Łazarz leżę w ciemnościach, a ci co mnie otaczają, nie powiedzą pewnie coby mnie rozweselić lub zająć mogło: wołają milczeć lub stękać i wzdychać. Cóżto się tam stało?

— To taka przygoda, zem ja myślał, że o niej już i o sto mil wiedzą?

— No, ale cóż, cóż przecie mój bracie, gadajno?

— Pan Bóg mi dał dziecko.

— Co u diabła? czyś się oszalawszy ożenił?

— Ale nie, proszę Jaśnie pana.

— A, to coś gorszego jeszcze.....

— Jaśnie pan nie rozumie.

— Mówże jaśniej mój Jermoło, co u licha?

— Trafiło mi się to jeszcze w kwietniu, że ktoś mi chłopaczka podrzucił.

— Jak? co? kiedy?—niepokojnie podchwycił rotmistrz.....

— W kwietniu.

— Ano, powiedź mi jak się to stało?

Jermoła ze szczegółami opowiedział przygodę swoją, pociechy, kłopoty, historią całą kozy i dziecięcia; dalej trudność zarobkowania, naukę czytania, chęć wyuczenia się jakiegoś rzemiosła. Starzec słuchoł bacznie, a co dziwniejsza, pan Jan u drzwi stojący, choć miał już wyjść na świeże powietrze odet-

chnąć, tak się uczuł pochwycony opowiadaniem Jermoły, że do końca téj historyi pozostał.

— To dalipan coś ciekawego!—zawołał rotmistrz wysłuchawszy.—Jakaś wyrodna natura rzuca pod drzewem sierotę, a Pan Bóg mu stręczy takiego ojca, jakiegoby krew nie dała! Tylko stary mój przyjacielu, zapóźno ci przyszło to błogostawieństwo, widzi mi się; jak świat światem nie słyszałem, żeby się kto w twoim wieku uczyć czegokolwiek począł, o rzemiośle nowém zamyślał, i tak dalekie snuł projekta. Wiele ty masz lat?

Jermoła w istocie wiedział bardzo dobrze, że ich liczył sześćdziesiąt kilka, ale się obawiał przyznać, żeby go rotmistrz nie zbijał i nie straszył: odparł więc poprostu:

— Albo się to u nas liczy? Jak siwy, to i stary; jak niezdara, to grzyb: zresztą Pan Bóg tam najlepiej wie tę liczbę.

— Pan Bóg! ba! ba! wiedzą i ludzie! Ja ci sam powiem wiele ty lat mieć możesz—przerwał rotmistrz obrachowując na palcach.—Mogłeś mieć sześć, siedm, gdy cię z pastuszka wzięto do dworu. Mnie tu jeszcze nie było; ale lat 40 jakem powrócił, już wówczas nieboszczyk mi mówił, żeś u niego był około latsiedmnastu: obliczywszy się szczerze, sześćdziesiąt z czubem mój bracie....

— Może to być, ale kiedy człek zdrów i silny.

— A! to wielkie szczęście—zawołał rotmistrz—nie tak jak ja kaleka od Boga nawiedzony i ludziom ciężarem będący, którego ziemia nawet nie chce, choć się jój dawno należą.

— Co tam Jaśnie pan mówi!

— No! no, praw swoje: człek stęknąć musi, gdy go boli.

— Ot—rzekł Jermoła powoli—malca mojego wychowuję, pracować muszę na niego i na siebie, a w polu niebardzo zdążam: chciałbym sobie inny zarówek wymyślić, rzemiosła się jakiego wyuczyć.

— Toś ty trochę podszalał mój pocziwcze—zaśmiał się Drużyna—a toćto ci sama nauka dużo czasu zabierze! Gdzież będziesz terminował? ani ręce, ani oczy, ani siła potemu....

— Juściz zebrać pójść nie mogę....

— Nie zechcesz....

— I dla siebie i dla dzieciny... wstyd jakoś z torbami się wałęsać.... Nie.... nie....

— No! ale jakże potrafisz na starość wyuczyć się rzemiosła?

— Mnieby się zdawało, że to łatwiej przyjdzie jak młodemu: człek uważniejszy i wie na co się to przyda, nie go nie odrywa, siedzieć na miejscu lubi, a ręce toć takie same.

— A! a! kochanku! jeszcześ ty bardzo młody, kiedy tak mówić możesz.... Cóż wspólnego staremu z młodym??: nic, nic—inne serce, inna głowa, inne ciało, inny człowiek, i gorszy i biedniejszy. Szczęśliwys, że jeszcze tak odważnie brać się możesz do dzieła.

— Bo mnie się zdaje, że kiedym się dla tego dziecka czytać nauczył, to i rzemiosła potrafię...

Rotmistrz westchnął.

— Wybierzże sobie co łatwego przynajmniej — rzekł kiwając głową.

— Radzili mi krosna, ale nie mam ani za co kupić, ani gdzie postawić: u mnie ciasnota....

— A ty co myślisz?

— Ja, prawdę powiedziawszy, przywłókłem się tu do Prokopa....

— A! garnki lepić!—począł śmiać się rotmistrz— jeśli takie jak on, to niedaleko zajedziesz...

— Byle mi cokolwiek pokazał, to i lepsze potrafię; ale Prokop zazdrosny podobno, uczyć mnie nie zechce.

— Na to byłaby rada—rzekł rotmistrz—kazałbym go zawołać i rzekłbym tylko słówko; nie ma tajemnicy, żeby ci jój nie wydał, jak mu nakiwam.

Jermoła głową potrząsał.

— E! z musu, jakoś to nie idzie....

— Poprobujże dobrą wolą, a jak ci się nie uda, już ja na to poradzę.

I nakarmionego odprawivszy Jermołę, rotmistrz kazał mu jeszcze przyjść do siebie wieczór z doniesieniem.

(Dalszy ciąg nastąpi).



## NAJDAWNIEJSZE DZIEJE

### Salin krakowskich aż do żupnictwa Jana Bonara, czyli do r. 1515 (\*).

PRZEZ

*Hieronima Łabęckiego.*

---

Brak dziejowej pewności co do początków kopalń soli niedaleko Krakowa, nie jednego już sporu historyków naszych był przyczyną. Najważniejszym o nich wzmiankom zaprzeczano wiarogodności, dlatego że zbywało na jasnym poparciu; a co gorsza, przeistaczane o ich powstaniu późniejsze podania, nastroszone cudownością i do baśni zbyt zbliżone, resztę zaciemniały. Rozjaśnienie tego, co wiedzieć możemy o tych najdawniejszych kopalniach polskich, musi przeto służyć za wstęp do dziejowego wywodu, i o to się tu pokusimy.

(\*) W roku 1841 P. Hieronim Łabęcki wydał we 2 tomach: „Górnictwo w Polsce.” Pierwszy tom zawierał głównie historią górnictwa, drugi *dypłomataryusz* górnicy. Dzieło to dziś już jest w handlu księgarskim wyczerpane. Autor nie ustał w pracy: zbierał ciągle zasoby historyczne, uzupełniał i wyświecał wypadki: studia te wiele rzeczy sprostowały, objaśniły, znalazły się obszernie dopełnienia, i nowych szczegółów nie brakło, które rzucały nawet niemałe światło na ogół. Tak uzupełniony rozdział z drugiego wydania, który tu ogłaszamy, może być skazówką tego, czém będzie to drugie wydanie, albo raczej nowe dzieło: *Dzieje Górnictwa.*

*Przyp. red. B. W.*

Opierając się na tynieckich dokumentach, saliny te sięgać mogą Chrobrego wieku; wieści zaś Długoszowe służyły nie jednemu dorywczo je chwytającemu za podstawę mylnego twierdzenia, że dopiero obrączka św. Kunegundy pierwszym była powodem kopania szybu na sól w ziemi krakowskiej.

Istotną prawdę podań wyjaśnić powinna historyczna krytyka, sprawdzając wiarogodne dyplomata i prawdopodobieństwo podań.

Odnoszące się do salin polskich dyplomata dość są liczne i dawnych sięgają czasów, wzmiankują bowiem o soli w Wieliczce i Bochni już w XI wieku; znakomitą zatem bytowi kopalń tych starożytność naznaczyć pozwalają.

Że w Wieliczce znaną być mogła sól w początku lub w najgorszym razie przy końcu XI wieku, twierdzenie takie oprzeć się daje na wyrazach najdawniejszego z dokumentów tynieckich, a mianowicie na tak zwanym przywileju Idziego tuskulańskiego biskupa, nad którym nam przeto zastanowić się tu wypada.

Dzieło Szczygielskiego Tinecia (1), a nadewszystko przedrukowane w niém dokumenta, nauczają, że Benedyktynów sprowadził Bolesław Chrobry (999—1024), klasztor na skale tynieckiej nad Wisłą im założył, i hojne zapisy poczynił: chociaż i to wzmiankować się tu należy, iż tenże pisarz w inném miejscu dzieła swego (str. 6) twierdzi, że ich Kazimierz Mnich do Polski miał sprowadzić. Oprócz Chrobrego, obdarzyła nowemi tenże klasztor zapisami Judyta, córka Władysława księcia czeskiego, żona Władysława Hermana, zmarła 1089 (2).

Na czele dyptomatów służących Benedyktynom tynieckim zamieszcza Szczygielski (str 138) akt spisany przez kardynała Idziego biskupa Tusculum. Dopóki akt ten znany nam był tyl-

(1) Tinecia, sive historia monasterii tinecensis ordinis Sancti Benedicti, primariae inter polonica coenobia venerationis, per R. P. Stanislaum Szczygielski bibliothecarium ejusdem monasterii. Crac: ex officina Schledeliana S. R. M. Typ. a. 1668. W 4ce str. 275.

(2) Benedyktyni zostali zniesieni na Tyńcu w r. 1817, klasztor ich oddano Jezuitom; lecz ci opuścili go, gdy piorun w d. 2 maja 1831 r. kościół i klasztor spalił. Kościół nieco naprawiony i pokryty już tylko gontami, w miejsce stopionej blachy miedzianej, obrócono na parafialny.

ko z przedruku tego, anachronizmy w nim dostrzegane, niezgodności z datą r. 1105, a może i błędy drukarskie, czyniły go podejrzanym Naruszewiczowi (1), a następnie Lelewelowi, autorowi Początkowego prawodawstwa polskiego (r. 1828), który go jednak także przedrukował (Począt. praw. pol. str. 160); a w przypisie wyraziwszy swe wątpliwości, głównie co do daty, uważał go za kompozycją nader dawną, na wzór aktów XI lub początku XII wieku utworzoną, i dlatego za źródło historyczne bardzo ważne.

W. A. Maciejowski wykrył oryginalnego aktu tego transumpt z r. 1275, czyli potwierdzenie przez Bolesława Wstydlwego i Kunegundę, aktu poprzednio spisanego przez kardynała Idziego biskupa tuskulańskiego, i legata od papieża Kaliksta do Polski i Węgier, z datą r. 1105; za pomocą niego zachwianą autentyczność tego przywileju tynieckiego ustalił, i czystą jego redakcją z historycznemi objaśnieniami ogłosił drukiem w Bibliotece Warszawskiej z r. 1847, Tom IV, str. 287.

W. A. Maciejowskiemu winniśmy przeto dowód i wykazanie, że akt ten jest lepianką dawniejszych, gdyż obejmuje dobrodziejstwa udzielone klasztorowi tynieckiemu przez Bolesława Chrobrego (999—1024), przez Judytę żonę Władysława Hermana († 1089), Bolesława Krzywoustego (1102—1139), a nawet biskupa krakowskiego Radosta (1117—1142); również dowodzi, że akt ten spisany być mógł w r. 1105, (którą datę nosi), a po domieszczeniu dopisków przez Radosta biskupa krak., za legacyi Idziego około r. 1125, przez tegoż z dawną datą zostawiony. Wyraźnie w samym dyplomie oddziela Maciejowski dobrodziejstwa pochodzące od Bolesława Chrobrego od tych, które były z hojności Judyty; a następnie od tych, które od Bolesława Krzywoustego i syna jego Władysława pochodzą.

Między nadaniami sięgającemi pierwszego z tych okresów, wyliczone są: w Sydzinie cztery źródła solanki (surowicy), i dwa szynki (soli), po warze soli z każdój panwi i warzela; dalej w Wieliczce (ad magnum salem) pobór od czterech targów (cztery targowe), i cztery szynki (soli), i pecyny (zapiekanki), i co tydzień trzy niecki soli i czwartój połowę (3 1/2 niecek),

(1) Naruszewicz Hist. Narodu Pol., wydanie lipskie Bobrow. T. II, str. 287; T. III, str. 250; T. IV str. 285.



i siedm (niecek soli) na drzewo. Łapczyca z Kolanowem i solą, i t. d. (1).

Z nadań tych wyprowadza się wniosek: że źródła solanki znano w przyległych sobie Sydzyńce i Wieliczce już w połowie XI wieku, bo tamże jest tylko mowa o warach soli, o panwiach (sartago), o warzelni (dedina), o zapiekankach (pecyna), o nieckach soli (alvei), i że podobnie już wiadome były źródła słone we wsiach Bochni przyległych: Łapczycy i Kolanowie.

(1) Wyrazy dyplomatu: in Sydzina quatuor surouice et due taberne, et zamar de unaquaque sartagine et dedina... ad magnum salem quatuor thargowe et quatuor taberne et pecine, et qualibet septimana tres alveos et quartum sredne, et septem pro lignis, Lapsicia et Coyanow, et sale et servo Zului et fratribus ejus.

Nie zawadzi domieścić tu następujące wyjaśnienia:

a) *Surovice*; na Rusi surowicą, my zaś solanką zowiemy wodę ze źródeł słonych;

b) *zamar*, czytać należy właściwie *zawar*, bo *m i w* bywają do siebie w dawnym piśmie podobne, równie jak *i n i u*, lub *t, c, i r*, i trudne do rozeznania;

c) *sartago*, według Ducange Glossar., brytwanna, kanał. Mówi o sartagines dyplomata dla Wąchocka z r. 1249. Przy ważeniu soli, znaczy panwie czyli ceruny, to jest, płaskie kotły do warzenia soli;

d) *dedina*, czytając dziedina, domysł następujący zdaje się rzeczywistym: W średnich wiekach, główną rzecz, ciągłą czynność lub obowiązek oznaczano przymiotnikiem hereditarius, po niemiecku *erb*, zatem tam gdzie główną czynność ciągłego warzenia t. j. war po warze dokonywano, czyli zakład taki, mógł być dziedziną zwany. W podobnym znaczeniu dziedziczny, zamiast: główny, stały, ciągły, zdarza się także w dyplomatach górniczych olkuskich;

e) *pecine*, pecyna, przypieczona sól, zapiekanka; co bliżej objaśniają wyrażenia innych dyptomatów, mianowicie staniątkowskie, jakoto:

R. 1242: duo porciones salis que vulgo peczini et corcze vocantur ad magnum salem.

Lepiej jeszcze z r. 1254: cum stilla de caldario in ignem distillante, vulgariter pecina dicta apud magnum salem, t. j. krople soli z ceruna na ogień sączące się, zatem przypieczone czyli zapiekanka; pecynami do dziś zowiemy kłęby glinki suszone i na pół upalone przy wyrobie naczyń ogniotrwałych, fajansu i t. d.

f) *tres alveos et quartum sredne*, zasadnie W. A. Maciejowski tłumaczy: trzy niecki i czwartą połowa.

g) *septem pro lignis*, znaczy siedm niecek soli na zakup drzewa do waru soli.

Z dwóch więc dzisiejszych salin krakowskich, wielicka widocznie jest dawniejszą, a nazwa wielkiej soli *magnum sal* dla Wieliczki, świadczy o wczesnej jej ważności i rozległości.

Przejdźmy do następnych wspomnień o tej salinie. Przywilej wydany w Gnieźnie w dzień św. Wita r. 1145 przez synów Bolesława Krzywoustego, t. j. Mieszka (Starego), i Bolesława (Kędzierzawego), oraz Henryka i Kazimierza (Sprawiedliwego), (Codex Dipl. Poloniae T. II in supplem.) zatwierdza różne nadania dla klasztoru kanoników reguły św. Augustyna w Trzemesznie, gdzie między innymi wspomina o soli *ad magnum salem* czyli w Wielicze.

Inna kronika klasztorna miechowity Sam. Nakielskiego, opisująca dzieje miechowskich Stróżów grobu Pańskiego, obejmuje znowu wzmianki odnoszące się do pierwotnych dziejów Bochni (1).

Nakielski nam opowiada, że Jaksa z Miechowa h. Gryf, wracając po drugiej wyprawie krzyżowej z Ziemi świętej do Polski, sprowadził zakonników Stróżami grobu (bozogrobcami) zwanych, r. 1162, nadał im trzy wsie: Miechów (później miasto), Zagorzyn i Komorów, i wyrobił u Bolesława Kędzierzawego, iż uwolnił poddanych w tych wsiach od wypraw wojennych, budowania zamków, opłacania poradnego, wymiany pieniędzy u mincarza, i tak wówczas uciążliwych: przewodnika i podwód (2).

Następnie Michora h. Gryf, żyjący za Kazimierza Sprawiedliwego (1178—1198), nadał klasztorowi miechowskiemu sól we wsi własnej dziedzicznej Bochni.

Nakielski przedrukował dyplomaty potwierdzający założenie i nadania miechowitów, wydany roku 1198 przez ówczesnego ich patriarchy jerozolimskiego, jak się sam tamże mieni:

(1) De sacrosancta antiquitate et statu ordinis canonici custodum Sacrosancti Sepulchri Domini Hierosolymitani, in gratiam Miechovianae congregationis, libri tres, Samuelis Nakielski S. Th. licentiati, ejusdem Sacri ordinis in conventu miechoviensi Professoris, Ecelesiae S. Hedvigis in ponte regio ad Cracoviam praepositi. Cracoviae in officina Francisci Caesarii a. Dni 1625 w 4ce. str. 208.

(2) Statuit siquidem, quod homines in villis his habitantes, ad expeditionem non eant, castrum non aedificant, poradne non dent, monetario non obediant, powoz et podvode non tribuant. (Miechovia str. 146).

mnichem z bożej łaski, patriarchą kościoła św. zmartwychwstania (1). W dokumencie tym potwierdza on powyżej wspomniane nadania dla kanoników Bozogrobców, od Jaksy z Miechowa, przez Bolesława (Kędzierzawego) dozwolone; a przywołując potem potwierdzone przez Kazimierza (Sprawiedliwego) przywileje Mieczysława (Starego), dodaje: iż za przykładem księcia tego poszło wielu mężów szlachejnych (*viri nobiles*), którzy dobrodziejstwa dla zakonu czynili, a między temi kładzie Michorę (2), iż on dał nad rzeką Rabą wieś Chełm z kościołem i dziesięcinami, targ i karczmę, i inną wieś Nieskowice (pod Sączem), oraz oddał sól z Bochni, inną sól w Prewechnie czy w Przeginie (choć w właściwie in *Prevechna* czytać należałoby w *Przewiecznie*), i trzecią sól w Sidzinie (in *Sidigna*) oraz karczmę w Studzience (*Studencia*). Następnie jeszcze przytacza, iż hrabia Radosław (3) nadał im Skaryszew z takim prawem, że od przyjeżdżających z solą, z każdego wozu 50 głów soli dziedzic gruntu, a 12 głów klasztor miał pobierać. Mowa to o głowach soli warzonej, a zatem dowód starożytności wywarzania, a przynajmniej używania w krajach polskich takich główek czyli hurmanów, dotąd pod Karpatami produkowanych.

O powyższych trzech nadaniach Jan Długosz w spisie uposażeń (*Liber beneficiorum Dioecesis Cracov.*), w r. 1448 zebrałym na zlecenie Zbigniewa Oleśnickiego biskupa krak., daje następujące wyjaśnienie (4): iż w Bochni miał klasztor miechow.

(1) *Monachus Dei Gratia, sanctae resurrectionis ecclesiae patriarcha. ...*

(2) *Dominus Michora dedit nobis super Rabbam villam quae dicitur Quelme cum ecclesia et decimis, forum et tabernam, et aliam villam Neskovice, item addidit sal de Bohegna, aliud in Prevechna, tertium sal Sidignam et aliam tabernam Studencam.*

(3) *Comes Radoslaus dedit nobis Skariszow... domino vero terrae de quolibet plaustro salis quinquaginta capita, domui vero duodecim capita salis accipere constituit.*

(4) U Nakielskiego przedrukowany ten ustęp Długosza na str. 151, brzmi tak: *Sal in Bochnia primum; habuit in principio fundationis suae monasterium miechoviense specialem fundum seu puteum, ad proprietatem suam pertinentem, de quo habebat uberes introitus, sed alienatus est a monasterio per Michoram militem.*

*Sal secundum in Przeniechan; habuit et alium fundum seu puteum salis monasterium miechoviense in villa sive loco Przeniechan, in quo tunc vena salis fecunditer proveniebat, sed vena*

ski swój własny szyb darowany przez Michorę, z którego znaczne ciągnął zyski, lecz ten został sprzedany. Miał też drugi szyb solny w Przeniechan (w Przeniesze lub raczej Przegini Duchownej koło Chrzanowa), gdzie naówczas żyła soli obfita znajdowała się; ale gdy żyła ta ustała i dochód z soli przepadł. Trzeci szyb miał w Sidzinie blisko Wieliczki; lecz po wyczerpieniu tego szybu (a jak Długosz się wyraża, po wyschnięciu tej studni), sprzedał go klasztor.

Zdaje się, iż wszędzie tu o soli płynnej czyli o źródłach słonych jest mowa, bo nadania są: to głów soli, to studni solnych (puteus), w różnych miejscach. Później, gdy w rozleglejszych rozmiarach poznane zostały bogactwa solne w Wieliczce i Bochni, opuszczono te źródelka słone w ich pobliżu tryszczące.

Mało co mniej dawne jak miechowitzów jest nadanie solne klasztoru Cystersów sulejowskich. Długosz przywodzi (1), iż Kazimierz (Sprawiedliwy) ks. sandomierski, quarto idus Augusti anno 1176, założył w Sulejowie nad Pilicą klasztor Cystersów, i jako pierwszy opiekun, nadał mu w uposażeniu folwarki, wsie, dziesięciny i sole, oraz 13 wozów soli z ceł sandomierskich i nieckę soli z krakowskich.

Dyplom ten z r. 1176 (lecz bez daty dnia, wydrukowany w Cod: Dipl. Pol. T. I str. 11), naucza, iż owe 13 wozów soli miały być z soli ruskiej; co do niecki soli nie wyjaśnia z którego miejsca pochodzącą dostawać, tylko że w Krakowie odbierać ją mieli (2).

*salis dispereunte, ille etiam reditus perit. Tertium sal in Szydżina; habuit et tertium puteum salis monasterium miechoviense in villa Szydżina prope Wieliczka, sed ille quoque puteus siccatus et exterminatus est, et a monasterio miechoviensi alienatus; donatum monasterio per Michoram militem.*

(1) *Dux Casimirus, velut primarius fundator et patronus, praedia, villas, decimas et sales, coenobio praefato (in Sulejow) contulit in dotem.... contulit etiam monasterio praedicto.... tredecim plaustra salis in theloneo sandomiriensi, item alveum salis in cracoviensi, p. Długosz Hist. ks. VI str. 531.*

(2) *Conferimus etiam eidem clastro (Siliow), singulis annis tredecim plaustratas salis integraliter, sicut de Russia ducuntur, de theloneo in Sandomiria recipiendas, et alveum salis in Cracovia, et novem castores annuatim de camera mea recipiendos. Codex Diplom. Poloniae T. I str. 12.*

Klasztor sulejowski w wiekach następnych z nadania tego nie korzystał, albowiem znajdujemy w akcie kommissyi lustracyjnej żup wielickich z r. 1698 następującą w téj mierze wiadomość zapisaną (1):

„Deklaracja wielebnym OO. konwentu suleiowskiego. Produkowali przed nami WW. OO. cistersenses conventu suleiowskiego, przywileje super alveum salis annuatim klasztorowi swemu służące, jeden anni 1262 confirmationis ks. Bolesława, in suo originale privilegium księcia ieszcze Kazimierza de anno 1176 w sobie includuiący, a drugi confirmationis także ks. Konrada (II mazowieckiego), in anno 1279 toż samo Casimiri ducis privilegium reassumuiący, vigore których przywileiów, upraszali, ażeby ad perceptionem annuam bałwana soli z żupp J. K. Mei admitti mogli; więc lubo widzieliśmy w tych przywileiach realia et antiquitate incorrupta o téy soli testimonia, że iednak w starym pensionarzu żadnéy tegoż nie masz pamiątki, przeto pro sublevanda gratia et decisione intermissi usus (przerwanego użytku), convent pomieniony ad respectum (do łaski) J. K. Mei Pana Naszego Miłościwego odsyłamy.”

Następnie skutkiem tego, klasztor sulejowski z Wieliczki otrzymywał 8 beczek soli rocznie, jak przekonywają pensyonarze żupne, t. j. wykazy rozdawanéj darmo soli (np. z r. 1717).

Oprócz słonych źródeł w XII wieku w Wieliczce, Sidzynie, Bochni, Kojanowie, Przewiecznie czyli raczój Przegini, i wiadomości że już na Rusi z surowic sól przewarzano; jeszcze o innych solankach pod Krakowem są wzmianki w początku XIII wieku.

I tak, z przywileju Iwona biskupa krakowskiego z r. 1222, dla klasztoru Cystersów w Prandocinie, dowiadujemy się, iż nadał im folwark zwany Mogiła (clara tumba), i że tam było źródło słone prawem dziedziczném przez niego posiadane (2).

Przywilej Bolesława Wstydliwego księcia krak. z r. 1244, potwierdzający darowiznę Grzegorza scholastyka krak. temuż klasztorowi w Mogile, wymienia jeszcze źródło solne leżące przy Wieliczce w miejscu zwaném *Moristas* pod Marcinową wsią (3).

(1) W arch. metr. kor. księga lustracyi wojew. krak. z r. 1698 str. 154.

(2) Fontem salis, qui mihi jure pertinebat hereditario.

(3) Unum fontem salis, qui Moristas appellatur, et jacet apud Salem majorem, prope villam Martini.

Klemens (czyli Klimunt) Jaksa z Ruszczy hr. Gryf, kasztelan krak., wystawił dla swój jedynéj córki Wisenny, klasztor w Staniątkach, w którym ona była ksienią. Klasztor ten według dyplomu Konrada Mazowieckiego księcia krak. i łęczyckiego z r. 1242, stwierdzającego jego nadania, otrzymał od Jaksy biskupa mazowieckiego synowca fundatora, wieś Łopankę wraz z solą; a jak się z jednego z późniejszych dyplomatów tegoż klasztoru z r. 1253 wyjaśnia, było tam źródło słone (1). Dał on także dziedzictwo od Wincentego (2) kupione, które się zowie Bochnia; a prócz téj soli, wyznaczył jeszcze dwa udziały z Wieliczki, zwane pospolicie pecyny i korce (3). Tu pecyny oznacza sól w ogniu zapiekaną, korce zaś sól drobną na miarki.

W potwierdzeniu tego przywileju przez Konrada II księcia krak., Kujaw. i Mazowsza z r. 1241, wyrażono: *auzoria salis et pecini ad magnum salem*, co oznacza gruzły soli warzonej i zapiekaną z Wieliczki.

Bolesław Wstydlivy powróciwszy do kraju w r. 1248 z Morawii, gdzie się był schronił przed napadem Tatarów, potwierdził w r. 1254 nadania powyższe Konrada mazowieckiego jako księcia krakowskiego, Benedyktynkom w Staniątkach; wymienia w Wieliczce nieckę soli z kropelkami, które z cerunu w ogniu się skraplają, zwykle pecynami zwane, tudzież gruzły soli i grudy, które dawniej koniuszy księcia krak. pobierał; w Bochni zaś miarę soli co dni ośm, na wieczne czasy, która dotąd należała do kasztelana krakowskiego (Klemensa Jaksy), a w Łopance wsi należącej do klasztoru Staniątkowskiego, sól (albo raczej źródło słone). Oprócz powyższych udziałów soli z Wieliczki i Bochni, Bolesław Wstydlivy wraz z swą matką, przeznaczył klasztorowi Staniątkowskiemu za wstawieniem się Wierzbęty Jaksy (*fratis Virbintae*), proboszcza miejscowego, później opata tynieckiego, a brata Jędrzeja Jaksy biskupa płockiego, przez wzgląd na zasługi, jakie tenże Wierzbęta w urzą-

(1) *Lopenca cum fonte salis.*

(2) Wincenty Jaksa z Brzeźnicy, *comes et heres in Bochnia*, wspomniany jest w liście z klasztoru w Trzemesznie z r. 1106 przez Nakielskiego i Niesieckiego (pod h. Gryf), który jednego z wnuków jego zowie także Wincentym.

(3) *Contulit insuper et Lopancam cum sale et hereditatem Vincentii que Bochnya dicitur... et duas porciones salis que wlgo peczini et corcze vocantur ad magnum salem.*

dzeniu Bochni położył, corocznie jeden war czyli cerun soli (chran, cran), z zapiekanką, przepisując aby na war soli dziennie ze źródła słonego brano solanki siedm beczek. Z Wieliczki zaś wyznaczył niekę dziedziczną soli, także zapiekankę i z dodaniem datku soli zwanego żłoby (słobi), co zapewne znaczy pobór płynnej solanki (1).

Panny zakonnice staniątkowskie, później jeszcze, według pensyonarzy żupnych z r. 1717 i następnych, pobierały z Bochni 16 beczek soli.

Sól była skarbnicą książąt polskich, w której czerpali dla siebie łaski dla otaczających ich dostojników i sług, jak widzieliśmy dopiero co wymienionych w przywileju staniątkowskim z r. 1254: kasztelana krakowskiego i koniuszego dworu, a źródłem hojnych szafunków dla klasztorów i duchowienstwa, uposażonych w stały dochód soli.

Widzieliśmy, że najdawniejsza wzmianka o Wieliczce jest ustąpienie tamże przez panującego pewnych dochodów dla Tyńca; zatém Wieliczka była własnością monarszą, lecz Bochnia jeszcze aż do Bolesława Wstydliwego była dziedziczną Jaksów, bo same zapisy aż do jego czasów to wykazują; i zdaje się, iż ostatnim z dziedziców Bochni mógł być Jędrzej biskup płocki lub brat jego Wierzbęta Jaksą proboszcz staniątkowski, braciшек benedyktyński, a następnie opat tyński, albowiem Bole-

(1) W przywileju Bolesława Wstydliwego z r. 1254 stoi: Conradus quondam dux Crac: donavit intuitu pietatis alveum salis cum stilla de caldario in ignem distillante vulgariter *pecina* dicta apud magnum salem, item ausoria et glebas salis a vulgo *grudas* vocatas que agazoni ducis cracovie pertinebant. Item mensuram salis in Bochna octava die semper recipiendam et perpetuo possidendam, que actenus spectabat cracovie castellano. Item in villa Lopanka que erat propria cenobii de Stanetek salem in perpetuum possidendum.... Boleslaus cum matre nostra dedimus nihilominus unum caldarium quod vulgo *chran* nominatur cum *pecina* in Bochna claustro de Stanetek, constituentes ut singulis diebus de fonte nostro liquidi salis in Bochna septem tine ad praefatum caldarium perpetuo conferantur, quod pro fideli servitio fratris Virbentae et impensis quas in opere salis in Bochna exhibuit.... et alveus salis ad magnum salem hereditarius latine, *dedische* vulgariter nominatus, cum *pecina*, et cum alia obventione salis que *słobi* vulgariter nominatur; quod praedium cum sale permutavit episcopus monialibus pro Lipova et Babici, (z dyplomatarjusza staniątkowskiego).

sław Wstydl. mówiąc o Bochni jako o swój własności, spomina wierne jego usługi i nakłady na prace około soli tamże.

Rozumiem, iż to przejście Bochni na własność panującego, mogło nastąpić między rokiem 1245 a 1250; że wprzód sama tylko Wieliczka stanowiła żupy solne książęce: wnosić ztąd można, iż na lat dwa przed ożenieniem Bolesława Wstydliwego z Kunegundą, bo pod r. 1239, u Długosza w księdze VI str. 658, tenże książę, Henrykowi Brodatemu ks. wrocławskiemu stryjowi i opiekunowi, w nagrodę za swe i księstw swych wyzwolenie z rąk Konrada mazowieckiego, odstąpił dochodów z dóbr i ceł w księstwach krakowskim, sandomirskim, tudzież z żup wielickich, lecz o Bochni nie wspomina.

Niedługo trwało to wyswobodzenie, ta miła choć drogo okupiona opieka, bo po śmierci Henryka r. 1238, znów wrócił się do niej Konrad, a zaledwie minęła burza tatarskiego nawału, nowe z żup wielickich już czynił szafunki. W r. 1242 Konrad mieniąc się księciem krakowskim i łęczyckim, w obec i za zgodą synów swych: Bolesława mazowieckiego, Kazimierza kujawskiego i Ziemowita, oraz synowca Bolesława (Wstydliwego) księcia sandomierskiego, klasztorowi tynieckiemu przeznaczył nieckę soli z Wieliczki *łodnią* zwaną, na fundusz utrzymania świecy woskowej i odbywania nabożeństwa za duszę syna jego Ziemomila i rodziców swoich; nieckę tę wprzód kościoły krakowskie pobierały (1).

Wyprzedzając nieco potok dziejowy czasu, dla zamknięcia rzeczy z nadaniami tynieckimi, z pomiędzy licznych dokumentów jeszcze jeden tu przytoczę, który również dotyczy poboru soli z Wieliczki. Leszek Czarny książę sieradzki następca Bolesława Wstydliwego w r. 1288 (2), zwyczaj dawania opatowi i klasztorowi Benedyktynów tynieckich przy obejmowaniu dzierżawy żupy wielickiej przez nowego żupnika 40 grzywien srebrem, i 40 korcy (modios) soli, zmienił na stały dochód po 20 grzywien srebra rocznie od żupnika pod karą grzywny złota dla panującego, i dawania co tydzień korca soli (modium salis), dopóki téjże starczy, pod taką samą karą grzywny złota.

Według pensyonarzy żupnych wielickich, pobierał klasztor tyniecki jeszcze w XVIII wieku 16 beczek soli rocznie.

(1) Przywilój ten dochował Szczygielski w Tinecia str. 151.

(2) W dziele Szczygielskiego Tinecia str. 161.—Górnictwo w Polsce T. II, str. 91.



Zachodzi pytanie, kiedy sól kopalną z tych miejsc wydobywać zaczęto, albowiem dotąd dostrzegaliśmy, iż tylko mowa była o warzonej soli, którą wskazują najdawniejsze nadania: w surowicy (solance), w źródłach słonych (fons salis), w warach (zawar), w panwiach (sartago) i cerunach (caldar, chran); w zapiekankach czyli pecynach, nieckach (alveus), w żłobach, łodniach (łodziach), korytach, korcach (corcze, modius) i t. d.

Co do Wieliczki trudno oznaczyć kiedy dokopano się soli kamiennój; wywarzenie solanki tamże, chwilę tę wiekami poprzedziło. Jednakże śmiem twierdzić, iż to mogło nastąpić w drugiej połowie XIII wieku; bo chociaż o bałwanach soli nie ma jeszcze mowy, lecz pierwszy raz użyty jest wyraz *mensura salis*, a tak później oznaczano długość bałwana, jak to poniżej wykazemy. Wspomniany jest ten wyraz miary (mensura), w przywileju dla klasztoru wąchockiego z r. 1249, gdzie Bolesław Wstydlivy, zapisując im dziewiątą część dochodu z bocheńskiej soli dla ksiąząt pozostającej, jaka tamże jest lub będzie, mówi czy to w wymiarach (twarda), lub nieckach (warzona), czy też w panwiach (jako solanka) rozdawanėj (1), tudzież trzecią część wszelkiej gdziekolwiek w ziemi sandomierskiej odkryć się mogącej soli (2). Jak wnet poniżej zobaczymy, dopiero dwa lata później soli twardej dokopano się w Bochni; że zaś mowa tu jest także o wszelkiej soli jaka jest i będzie lub odkrytą zostanie, zatem wspomnienie to miar dozwala domyślać się, że wzmiankowanie soli twardej opiera się na tém, że już wówczas kopano ją, a przynajmniej dokopać niezadługo spodziewano się w Wieliczce, owėj większej salinie (sal magnum).

Domysł ten popieram innym dokumentem, niespełna w rok później wydanym dla Prandoty bisk. krak. r. 1250, którym Bolesław Wstydlivy wraz z matką swą Grzymisławą, zapewnia mu dziesięcinę z wszelkiej soli w Bochni, czy to pobierać zechce

(1) Sive per mensuras, sive per alveos, et etiam sartagines distribuatur. p. Codex diplom. pol. T. I str. 54.

(2) Cystersi wáchoccy okazawszy kommissyi lustracyjnej w Wieliczce r. 1661 odbytej, przywilėj ten z r. 1249, oraz drugi z r. 1270 Bolesława Wstydlivy potwierdzony przez Zygmunta Augusta r. 1551, na coroczny pobór z żup bocheńskich 30 grzywien i 3ch bałwanów soli, taż kommissya przeniosła tę dań soli na Wieliczkę, zkaąd do panowania Stanisława Augusta pobierali rocznie 15 beczek soli i 48 złp. Przywilėj z r. 1249 wydrukowany w Dyplomatarjuszu polskim T. I str. 54.

każdą 10<sup>ta</sup> panew soli (sartaginem), czy téż 10<sup>ta</sup> część wartości soli, lub téż na sposób jak w Wieliczce (1). Mówi więc wyraźnie o warzonce w Bochni, a wzmianka o Wieliczce, która już od dawniejszego czasu była książącą własnością, i zapewne już wtedy obszerniejszą warzelnią, a może i kopalnią, domyślać się dozwala, że o twardej soli z niéj mowa, jeżeli tylko owo wyrażenie *ad formam majoris salis* nie odnosi się do sposobu poboru soli,—co trudno rozstrzygnąć.

Długosz w księdze dziejów mówi: że r. 1251 sól twarłą i zbitą we wsi Bochni wynaleziono (2), dodając, że wynalezienie to soli przypisywane jest zasługom świętej niewiasty Kunegundy. Kromer zaś mówi, że za Kunegundy r. 1251 sól kruszcowa wynaleziona w Bochni, gdzie także wodę słoną wywarzają; a przytém, że niedługo potém także w Wieliczce w tenże sposób sól wycinać i wywarzać poczęto (3).

Widocznie tu dzieje kopalń soli są u Kromera pomieszane, bo jeżeli nawet w tych czasach Bochnia i Wieliczka powstały jako kopalnie soli, to już oddawna w Wieliczce i zapewne dawniej znane były źródła słone i warzelnie solanki.

Do zaciemnienia dziejów tych przybywa jeszcze powieść o obrączce Kunegundy, o której wprawdzie dziejopisowie ci nie spominają, ale ją w roku 1543, po zwiedzeniu kopalni wielickiej Szretter Szlązak wierszem łacińskim opisał, jako na miejscu upowszechnioną i rozprowadaną (4). Opowieść tę sam bajką nazywa i wiarogodności jéj odmawia, mówiąc:

(1) Venerabili patri dno Prandote.... et per eum ecclesie cracov., jus decime totius salis nostri in Bochna... sive quod decimam sartaginem habeat, sive decimam partem totius precii, sive ad formam majoris salis, secundum ipsius episcopi obvenientiam. Życie Prandoty Gładysiewicza str. 202.

(2) Sal durum et compactum, quod extrahitur in speciebus grossis... repertum est. Długosz Histor. T. I libro VII str. 719.

(3) Salis metalla apud Bochnam inventa sunt, aqua item ex puteis hausta in sal candidum excoquitur.... Aliquanto post etiam apud Vieliscam ad eundem modum sal excindi et excoqui coepit. Kromer pod r. 1251. Tenże rok 1251, jako rok odkrycia soli w Bochni (sal durum) podają: Rocznik sieniawski, dawniej puławski; Rocznik krakowski, rękopisowe, w zbiorach autora Wstępu krytycznego do dziejów polskich.

(4) Regni Poloniae salinarum vieliciensium jucunda et vera descriptio, carmine elegiaco, auctore Adamo Schroettero silesio. Cracoviae, u Łazarza 1543 w 4ce. (W zbiorze Miclera str. 755 do 797).

*Haec est incerti potior sententia vulgi,  
Sed caret ista sua fabula ficta, fide.*

Oto treść urojonėj powieści.

„Bolesław Wstydlivy przez posłów zaręczył sobie córkę Beli IV, Kunegundę czyli Kingę; ta świątobliwa niewiasta, nie chcąc u ojca brać posagu w złocie lub srebrze, prosiła na wyjeździe, aby jēj darował to, coby równie bogaczom jak ubogim służyć mogło. Bela zezwolił, a św. Kinga pojechawszy do żup solnych węgierskich, ślubną tam obrączkę wrzuciła. Stanąwszy potém w Krakowie, kazała się wieźć po jakimś czasie do Wieliczki, a gdy za jēj wolą, ziemię tam kopać zaczęto, znaleziono sól, i w pierwszej jēj sztuce królewską obrączkę.“

Jest to tkanina błędów prawdziwie sprzecznych, bo Kunegunda dostała posagu 40,000 grzywien srebra, jak świadczy Długosz (1) pod r. 1239, bo dzieje nie o odkryciu soli w Wieliczce, lecz w Bochni przez Kunegundę mówią, i to o 12 lat późniėj. Zkąd jednak powstała baśń usnuta na obrączce Kunegundy, i coby to właściwie znaczyło, wyjaśnił bardzo trafnie i zasadnie Karol Szajnocha (2).

Za nim więc idziemy, a oto treść opowiadania: Po napadzie gwałtownym Tatarów na krakowską ziemię i doznanych zniszczeniach, smutna królowa Kinga odwiedziła ojca swego Belę w Węgrzech około r. 1247. Ojciec obwoził córkę dla rozrywki po różnych okolicach swego państwa, między innemi zwrócono się w krainę Marmaruską wzdłuż południowych granic Pokucia, słynącą już z nadzwyczaj bogatych kopalń soli kamiennėj. Zatrzymano się u jednej kopalni, otwierającój się kilkoma szybami w głąb ziemi; niezwykle obraz pracy kopaczy, obfitość daru tak potrzebnego, zajął młodą, świątobliwą a ludzką księżną; która ozwała się zapewne z życzeniem, czemu krakowskie księstwo podobnego skarbu nie posiada. Król Bela darował jēj szyb, czyli dochód z jednego szybu, jak to wówczas było zwyczajem, iż podobne dary czyniono. Stosując się również do ówczesnych zwyczajów, niezwłocznie przystąpiła Kinga do wzięcia szybu w posiadanie przez znak symboliczny. Takimi znakami wwiązania się bywało: uroczyste przywdzianie sukni (investitura) podanej przez łaskodawcę, lub czapki jego (investitura per pileum), wzięcie trawy lub grudki ziemi z grun-

(1) Długosz: Hist. Księga VI str. 663.

(2) Karol Szajnocha. Szkice historyczne str. 23.

tu darowanego (per herbam, per terram), wreszcie przez rzu-  
cenie pierścienia (per annulum).

Długosz w życiu śtėj Kunegundy mówi (1): że Kune-  
gunda oddzielając szyb od ojca darowany od innych, i jakoby  
w wieczną własność i dzierzawę biorąc, pierścionek złoty zdję-  
ty z palca w głąb szybu tuż pod nogami wrzuciła; przez znak  
pierścienia w onę głębokość wrzuconego zakazując, żeby w swój  
daninie ni od kogo napotém, ubliżenia żadnego nie miała (2).  
I dalej mówi: „wszyscy co tam natenczas byli, za żart to ra-  
czej, niżli za rzecz istną przyjmowali”. Tymczasem błogi ten  
żart wprowadził księżnę i ziemię krakowską rzeczywiście w uży-  
wanie szybu darowanego. Pierścień ten wpadł pomiędzy pra-  
cujących w szybie górników. Niedługo potém z solą Marmar-  
ruską z darowanego szybu, ciągnęły ku Krakowu naładowane  
wozy, wędrowali tam i górnicy solni.

Niedawno wówczas nabyta na rzecz książąt Bochnia, po-  
trzebowała urządzenia. Przyznaje Bolesław Wstydlivy w do-  
kumencie staniątkowskim z r. 1248 przysługi braciszka be-  
nedyktyńskiego Wierzbięty Jaksy, i nakłady jego; ale jest tam-  
że tylko o warzonej soli z panwiów (chran seu caldarium) mo-  
wa. Chcąc rozszerzyć jeszcze tę saline, nową studnią czyli szyb  
zbijano zapewne górnikami węgierskimi r. 1251, i prawdo-  
podobnie temi samemi, którzy w szybie Kunegundzie na Mar-  
maruszu darowanym, podczas wrzucenia pierścionka pracowali.  
Dokopali się oni pokładu solnego: z błogosławioną no-  
winą przynieśli górnicy księżnie do Krakowa zarazem ów zło-

(1) Długosza rękopis w bibliotece Ossolińskich: Vita S. Cu-  
negundae, oraz wydrukowany in Actis SS. Jul. V str. 695 w wy-  
daniu Bollandystów. Jest jego tłumaczenie polskie X. Przeclawa  
Mojeckiego, Kraków 1617. Mówi str. 90: „et res quidem tunc acta,  
jocum magis quam serium habere a circumstantibus visa est.

Acta inquisitionis super vita Cl. Virg. Cunegundae z r. 1629,  
to jest: badania kanonizacyjne św. Kingi, podobnież stwierdzają,  
bo świadkowie słuchani 40, 66 i 68, wspominają o wzięciu w po-  
siadanie szybu czyli góry, przez wrzucenie pierścionka przez św.  
Kingę; K. Szajnocha, Szkice str. 48.

(2) Wyrażenie to ostatnie przypomina nawzajem końcową  
formułę licencji (pozwoleń) żupniczych olkuskich polskich, przy-  
znających używanie szybów: „nikomu ku przeszkodzie i bezpra-  
wii” (nemini in damnum et praejudicium).

ty pierścionek marmaruski wraz z rozbitą piérwszą bryłą soli z nowego szybu (1).

Pamięć szczęśliwego odkrycia skarbów bocheńskich, następstwo żartu (jak go zwie Długosz) w kopalni zakarpackiej, zespolone z pierścionkiem św. Kunegundy, nie pozostały w prostocie powyższego opowiadania Długoszewego; lecz w cudowności obleczone szatę, pomieszana z posagiem św. Kingi, ze sprowadzeniem soli za pomocą ślubnej obrączki do żup wielickich zamiast bocheńskich, utworzyły powieść w rzęd gminnych bajek liczyć się godną. Bolesław Wstydlivy sam stwierdza, iż za jego panowania odkrycie to twardej soli w Bochni nastąpiło, w dyplomie wydanym na łożu śmiertelném, na cztery dni przed skonem 6 grudnia (datum in Korczyn octava idus decembris) r. 1279, który znajduje się w kopii urzędowo stwierdzonej, pomiędzy rękopisami biblioteki Ossolińskich we Lwowie. W tym testamencie zapisuje dla zbawienia swój duszy kanonikom kapituły kościoła krakowskiego, „wieś, którąśmy po imieniu naszym nazwać kazali Bolesław, założoną przez nas niezbyt daleko od biskupiěj wsi Sławkowa (2), i podobnie dla zbawienia duszy naszej dwieście grzywien z żupy soli bocheńskiej, której skarby i obfitość Bóg Wszechmogący za naszych czasów na jaw wydobyć dozwolił” (3).

Skarbyto te i obfitość świeżo odkrytej soli, wzniosły znaczenie miejsca. Zjeżdżał tu panujący, tu bawiąc i przebywając podpisywał nadania (4); wnet téż wioska i górnicza osa-

(1) Rzeczyński: *Historia naturalis curiosa Reg. Pol.* str. 58, twierdzi, że najdawniejszy szyb w Bochni jest szewczy (sutorius), w którym obrączkę Kunegundy znaleźć miano.

(2) Bolesław, dotychczas wieś z kościołem, na pół drogi na trakcie bitym od Olkusza do Sławkowa, należy do pani senatorowej Łubieńskiej; posiada kopalnie galmanu.

(3) Eandem autem ecclesiam ampliori munificentia prosequi cupientes, memoratis canonicis conferimus similiter pro animae nostrae salute ducentas marcas argenti de zuppa salis in Bochnia, cujus thesaurus et copiam nostris temporibus omnipotens Deus aperire dignatus est, ab ipsis canonicis annis singulis in perpetuum percipiendas. Testament Bolesława Wstydl. datum in Korczyn octava idus decembris a. Dni 1279 w bibliotece Ossolińskich tom XCH rękopisów pod napisem: *Archivum iurium et bonorum episcopi cracoviensis (in folio)* str. 97.

(4) Np: A. D. 1251 in die B. Agathae virginis in Bochna. Nakielski *Miechovia* str. 171.

da wzrosła na miasto, które w kilka lat potem (po r. 1251) zasadził Bolesław Wstydlivy, pod datą w Korczynie 3 marca 1253 na prawie wrocławskiém, snąc dlatego, że założyciele miasta, czyli pierwsi osadnicy byli szlązacy, jakoto: Mikołaj syn Wolkmara, niegdyś mieszczanin z Lignicy, świeżo wójtem nowego miasta ustanowiony; oraz Mikołaj z Kijowa, Idzi syn Henryka ze Słupa, i Mikołaj z Glupszyc (dziś Leobschütz w górnym Szląsku). Cały przywilej fundacyjny dochował nam transumpt Zygmunta I z r. 1528 (1); w nim miasto nowo założone w miejscu kopalni soli (in loco salisfodinarum) zowie się „polonice Bochnija et Saltzberg theutonice.“ Pierwsza a dawniejsza nazwa kopalni utrzymała się i dla miasta, nowa zaś niemiecka *Salzberg*, równie jak i przezwisko niemieckie Wieliczki: *zu dem grossen Salze*, nie przeszły obrębu zapisywan w księgach miejskich krakowskich od pierwszych lat XIV do początku XV wieku, to jest póki te po niemiecku przez pisarzy Niemców były utrzymywane (2). Nazwisko Bochnia lub Bochna wyprowadzać chciano od kształtu soli w bochnach dobywanój. Trudne to są w ogólności, a zwykle wątpliwe te wywody początku nazwisk miejsc; lecz widzieliśmy, iż sól twarda czyli w bryłach w Bochni, przynajmniej w jakie półtora wieku po odkryciu tamże źródeł słonych nastąpiła: domysły przeto o początku nazwy czy od bochna soli i to chyba warzonój, czy od bochna chleba osolonego, niczego nie nauczą, nic nie dowiodą.

Nazwa Wieliczki, niby od ważności i wielkości saliny, *magnum sal*, *grosse salcz*, albo porównawczo od większej obfitości źródła słonego, tamże w odległej starożytności téj saliny, aniżeli innych źródełek solanki obok niój w Przewechnie, Siedzynie, Studziencie, Morystas i t. d. większą nosi cechę prawdopodobieństwa. A ileżto Wielkich wsi, Wielkich wól, ileżto szumnych nazwisk miejsc, które tylu osadom ponadawano, w wielkich przyszłości nadziejach, które do ich wzrostu nie pomogły. Pomyślność i sława Wieliczki odpowiedziała nazwaniu; czas i rozszerzone w niój roboty daleko poniosły rozgłos jój dziwów, a długie wieki przetrwa jój bogactwo solne.

(1) Dyplomat ten wypisany jest całkowicie z transumptem w księdze lustracyjnej wojew. krak. z r. 1569 w archiwie głównym pod liczbę 35 str. 303. Także Górn. w Polsce T. II str. 81.

(2) Już w aktach grodzkich krakowskich pod r. 1306. Wieliczka nazwana jest „in dem Grossen Salze“. Ambroży Grabowski.

Wieliczka nie przestawała być źródłem szafunków. Każde prawie nowe uposażenie zakonne za Piastów, znajdowało tu dla siebie jakiś przekaz od panującego.

Klaryski osadzone zrazu w Zawichoście r. 1257 (1), pod ksienią, a raczej opatką (abatissa), Salomeą ciotką Bolesława Wstydliwego, otrzymały sto grzywien srebra i wartość dwóch niecek soli, które korytami zwano w Wieliczee; później przeniesione do Krakowa, obok kościoła św. Andrzeja, dostawały do końca przeszłego wieku rocznie 20 beczek soli zielonej (patrz pensyonarz żupy). Klasztor w Koprzywnicy r. 1277 otrzymał zapewnienie od Bolesława Wstydliwego na nieckę soli z Wieliczki, nadaną przez Leszka Białego (2).

Jakkolwiek bądź Wieliczka, *wielką solą* zwana, a zatem najpotężniejszą skarbnicą soli monarchów polskich być musiała, i są zdania, że tamże oddawna miasto być musiało, które jakoby Tatarzy w napadzie r. 1241 zburzyć mieli; lecz na to dowodów nie posiadamy, owszem zdaje się pewnym pierwszego około roku 1290 zasadzenia dowodem, przywilój, który mieszczanie wieliccy okazywali jeszcze w oryginale kommissyi lustracyjnej roku 1660 (3). Jest on Henryka księcia krakowskiego i sandomierskiego, dla Jeskona i Hizymbolda braci (Jeschoni et Hismboldo fratribus), na założenie miasta na prawie frankońskim.

Mylnie dawniej mniemałem, że ta lokacja Wieliczki pochodzić mogła od Henryka Brodatego około r. 1230; właściwie bowiem nadawcą téj fundacyi był Henryk Łagodny czyli rzetelny, który zarządzał temi księstwami między rokiem 1289 a 1290 (4). To też zaraz po nim na tronie zasiadłszy Przemys-

(1) Codex diplom. Polon. Rzyszcz. i Mucz. T. I str. 77, z metryki kor. księga ŻK nr. 76 str. 415, obejmuje ten dyplom z potwierdzeniem r. 1395 przez Spytka wojew. krak., Zygmunta Augusta w r. 1569, Michała króla r. 1670 i Jana III r. 1683.

(2) Bolesław Wstydlivy mówi: „alveum salis quem pater noster (Leszek Biały między 1194 a 1227), in salisfodina Magnum sal vulgariter vocata contulerat. W metryce koronnej księga 115 str. 148. Wyraz *salisfodina* każe się domyślać, że tam sól już kopano za Leszka Białego, zatem dawniej jak w Bochni.

(3) W arch. metr. kor. księga lustracyjna wojew. krak. z r. 1660 nr. 41 część II, str. 208.

(4) Henryk IV Łagodny czyli rzetelny (probus, przez Niemców zwany *der milde Fuerste*) syn Henryka III, wnuk Henryka II Pobożnego, a prawnuk Henryka I Brodatego ks. wrocławskiego.

śław II księżę polski (tojest wielkopolski), potwierdził tymże samym Jeschonowi i Hismboldowi owe pozwolenie założenia miasta, dodając im co tydzień bałwan soli z żupy, z wolnością sprzedania go lub wywiezienia, i grunta dziedziczne Gaet zwane, później włączone do łąnów wójtowskich.

Pierwsza to wyraźna wzmianka o bałwanie soli, a zatem dowod, że już kopano sól zieloną, jako najwyżej czyli najpłyćiej w ziemi leżącą, a zatem niewątpliwie najpiérw natrafioną.

Leszek Czarny odstąpił biskupowi krakowskiemu dziesięciny z kopalń kruszcowych i soli w swém księztwie, a całkowitą własność tych, któreby wynalezione zostały w gruntach biskupich (1).

Kromer pod r. 1295 świadczy, iż Przemysław zostawszy królem, jeszcze dalej hojność swą posunął, bo wiecznemi czasy odstąpił 20<sup>ta</sup> część czyli półdziesięciny z dochodów z żup krakowskich biskupowi krakowskiemu, a Wacław czeski przeszedł swych poprzedników, gdyż całkowitą dziesięcinę z kopalń tych dla biskupów krakowskich przeznaczył. Dochody te biskupie w późniejszych pensyonarzach żupnych nie istnieją: pobierała tylko kapituła krakowska rocznie z samej Wieliczki złp. 169 gr. 18.

Nawet i zagraniczne klasztory miały miewać nadania w Wielicze: i tak Dr. Boczkowski w opisie swym Wieliczki (wyd. r. 1843), powołując się na: Wolny, Topographie von Maehren T. IV str. 444, wymienia, iż opactwo w Welehradzie w Morawii otrzymało od księcia Bolesława (jakiego?) corocznie 50 bałwanów soli, i że ten przywilój potwierdził Wacław roku 1295.

Przemysław wielkopolski, Władysław Łokietek sieradzki i Kazimiérz księżę łęczycki brat jego (poległy r. 1294), zapewnili w r. 1293 arcybiskupowi gnieźnieńskiemu Jakóbowi II corocznie 300 grzywien srebra z Wieliczki (2), skoro którykol-

(1) Ks. Gładysiewicz w życiu Prandoty wydrukował dyplom ten bez daty, przypisując go Leszkowi Białemu; lecz Kromer mówi o tymże przywileju, Histor. Pol. LX. str. 571 (wyd. Pistoryusza) jako Leszka Czarnego z r. 1289.

(2) In zuppa majori ducatus cracoviensis; patrz w Dyplomatarjuszu wielkopolskim Raczyńskiego str. 84, akt datowany w Kaliszu in octava epiphaniae (13 stycznia) 1293.



wiek z nich dostąpi księstwa krakowskiego, lecz w pierwszych dwóch latach tylko wypłatę po sto grzywien przyrzekli.

Kazimierz Wielki, zamykając poczet królów z szcudrego plemienia Piastów, wydawał przywileje na wypłaty oparte na żupach. Pomędzy niemi arcybiskupowi gnieźnieńskiemu Jarosławowi w r. 1352 (1), zapisuje grzywien sto (po 48 gr) z żup Bochni i Wieliczki. Widać ztąd, iż obietnica poprzednia trzech książąt nie weszła w wykonanie; z czasem arcybiskup gnieźnieński pobierał, zapewne skutkiem przemiany w oznaczeniu wartości monet, z Wieliczki rocznie (według pensyonarza żupnego) złp. 106 gr. 20.

Dyplom ten Kazimierza Wielkiego z r. 1352, wkłada obowiązek rzeczonój opłaty na żupnika lub żupników czy to dzierżawiących, czy zarządzających (*sive empticii fuerint, sive commissarii*), czyli rozróżnia dwa sposoby poruczania gospodarstwa w salinach żupnikom, a mianowicie iż ci byli albo dzierżawcami dochodów (*empticii*) lub, jak ich później zwano *arendatarii, tenutarii*, którzy pewną umówioną summę rocznie płacili królowi, zaspokajali wydatki, opłacali przekazane wypłaty z nadań w pieniądzech lub soli, albo téż ustanawiani przez króla, (*commissarii*) to jest mający zlecenie, i ci zarząd żupy mieli oddany do rąk wiernych (*ad fideles manus*), tylko z końcem roku zdawali liczbę. O tém jeszcze mówić nam obszerniej wypadnie poniżej.

Wszystko to cośmy o soli, o początkach powstania tego przemysłu w ziemi krakowskiej przywiedli, wynależliśmy prawie wyłącznie w dowodach świadczących o pobożności panów, fundatorów klasztornych, o hojności Piastów, dzielących się w miarę rozszerzania się salin w ich posiadłościach dochodami z onych z duchowieństwem. Żadnych jeszcze dotąd śladów wewnętrznych urządzeń, szyku robót, rozciągłości nawet produkcji, oznaczenia wielkości dochodów lub ich wartości.

Ze sposobu tylko wydzielania nadań solnych, z owych cezurów i warów (*sartagine, zawar, chran*), z owych miar, niecek, pecyn i głów (*alveus, corito, pecine, capita*) i t. d. wnosimy, że studnie bite naprzód były sączących się źródeł słonych ściekowiskiem, gdzie czerpano bogatą, to jest równie solą

(1) Cracoviae feria 5ta post diem bb. Viti et Modesti martyrum 1352. Cod. Dipl. Maj. Pol. Raczyńskiego str. 110.

przesyconą jak dotychczas pod Karpatami surowicę czyli solankę; że ją od niepamiętnych czasów warzono na sól sypką, i na objętość mierzono lub w głowy albo pecyny zgruzloną, a nawet płynną na beczki lub koryta rozdawano i sprzedawano: bo ztąd panujący mieli dochody, do których przekazywali wypłaty gotowizną w grzywnach srebra czystego, a wówczas szło na grzywnę groszy 48.

Zaledwie piérwsze dokopanie się soli twardéj w Bochni ma swą datę. Wielicze oznaczyć nie można chwili, kiedy tam sól właściwie kopać zaczęto.

Te źródła stóne z warzelniami, a potém i kopalnie soli, zwano żupami; lecz owe nazwy żupy i żupników, z dochowanych dokumentów nie daléj sięgają jak Bolesława Wstydliwego. Za niego dopiéro bywa wspomniany piérwszy raz *zupparius*, jako odpowiedzialny za wypłatę grzywien i wydawanie na czas soli, i kopalnie soli zwane są *zuppae nostrae*, a nawet o Wielicze mówiono *in zuppa majori*.

O żupach i żupnikach już w inném miejscu mówić nam wypadło (1); tu tylko historyczny rozwój tych obowiązków w salinach przejdziemy.

Za Bolesława Wstydliwego, jak się okazuje z dyplomu zasadenia Bochni r. 1253, wyłączeni byli z pod sądów wójta bocheńskiego: żupnik z pisarzem i komornikiem (*zupparii nostri cum scriptoribus et camerariis eorum*). Taki więc tylko być musiał skład zarządu saliny. Rzecz ta się z wzrostem kopalni na obszerną rozwinęła stopę; w sto lat późniéj inny już był porządek: pokazują nam to urzędzenia Kazimierza Wgo, z których dwa są nader ważne: piérwsze, o obowiązkach bachmistrza z r. 1355;—drugie, statut kopalń solnych z r. 1368. Oprócz żupnika, który obowiązany był zarządzać żupami solnemi, zaopatrywać solą panującego dwór i obdarowanych, oraz ze sprzedaży zdawać rachunki, albo téż poręczając za dochód, ogólną królowi wyliczać sumę jakby dzierżawę; Kazimierz W. stałe ustanowił górmistrza, (*magister montium*), z niemiecka barkmistrza (od *Bergmeister*), a jak go pospolicie zwano, bachmistrza. Obowiązki jego i płacę oznacza ordynek wydany przez Kazimierza Wgo w Żarnowcu w niedzielę w oktawie

(1) Dawne żupy i żupnicy w Polsce; p. Bibl. Warsz. 1846, T. I, str. 246.

Wniebowzięcia N. M. P. r. 1355. Piérwszym tym bachmistrem dziedzicznym był Janek (Hanko) z Zakliczyna z rodu Jordanów, wójt myślenicki. Dyplom ten wylicza obowiązki górmistrza, przyznając, iż je odznaczająco spełniał Hanko, jakoto: utrzymanie szybów (sachta) i kopalń aby nie niszczały, powiększenie ich pracą kopaczy piecowych (fornatores), którzy pędzili chodniki poszukiwalne, piecami (fornaces) zwane, wreszcie obsadzając robotnikami roboty czyli działa, t. j. wybiéranie soli; w końcu tego dyplomu czyni górmistrza odpowiedzialnym za szkody lub opuszczenia w sprawie lub utrzymaniu szybów z winy jego lub cieśli górniczych i kopaczy (vice-carpentariorum vel fornatorum). Wynagrodzenie dla bachmistrza wyznacza: co tydzień w sobotę  $\frac{1}{2}$  grzywny, codzienne utrzymanie (żywienie) jego i 2 parobków, ubiór jeden letni, drugi zimowy, dzienny zasiłek (diaria, diurnalia) w czasie spełnienia służby wojskowej, trzy grzywny na każde suchedni tytułem toporowego (jure bipennali), wreszcie codziennie dwa korce owsa i wagę siana ile go dla trzech koni potrzeba. Urząd ten bachmistrzowski był ustanowiony dziedziczny, lecz w zakończeniu dyplomu dozwala, aby był odstępowany i sprzedawany.

Po Janie był bachmistrem brat jego Wojciech; później przeszły te obowiązki za czasów Jana Alberta na Pawła Szwarca, a od tego na Betmana, w końcu weszły w rodzinę Morsztynów.

Nie przestawali na uposażeniu wymienioném następni bachmistrze, i dlatego skracając nadużycia, Zygmunt I r. 1510, przy potwierdzeniu bachmistrzowstwa dla Zygryda Betmana, powołuje się na wyrok zabraniający im poboru opłaty 8 grzywien tytułem struclowego, której nie chcieli się poddać stolnicy i rębacze, i postanowił jeszcze: że kopaczy piecowych do szukania soli utrzymywać ma 12, że ich za pozwoleniem żupnika do roboty używać może rębaczom, którzy za to płacić im mają myta po 4 grosze, zostając jednak pod nadzorem bachmistrza, który źle pracujących może karać i oddalać. Prócz tego dozwala bachmistrzowi Betmanowi, aby na swój użytek kopał sól czterema parobkami z nazwiska wymienionemi: Job, Kuchczik, Pistor i Jordan (1). Co znaczyło takie kopanie soli swemi parobkami, co stolnicy i rębacze, poniżej zaraz wyjaśnimy.

(1) Ustanowienie bachmistrza Hanki z Zakliczyna czyli Jana Jordana z Zakliczyna, wójta myślenickiego, w Żarnowcu w nie-

Taki bachmistrz jak w Wieliczce, był także w Bochni, zdaje się dopiero od r. 1368: bo gdy Kazimierz Wki nabył od Jana Gładysza dobra Brzeszcze pod Bieczem, dał mu za takowe pozwolenie kopania sobie soli twardój w Bochni 4<sup>ma</sup> parobkami według dawnego zwyczaju, (*more antiquitus consueto*), a nadto dał mu dziedzicznie bachmistrzowstwo w Bochni z wynagrodzeniem co tydzień w sobotę po  $\frac{1}{2}$  grzywny pieniędzy zwykłych i sukna do znoszenia na Wielkanoc 12 łokci brussyckiego (bruxelskiego), a na św. Marcin postaw wartości 5 grzywien, utrzymanie jego z dwojgiem parobków i trzema końmi na stajni zupełnej (1).

Ordynacya salin wielickich i bocheńskich Kazimierza Wg o spisana w piątek po Przewodniej niedzieli 1368 r. jest właści-

dzielę w tydzień po Wniebowzięciu N. M. P. 1355, potwierdzone przez Jana Alberta dla Pawła Szworcz (Szwarcza czyli Czarnego), w Krakowie w poniedziałek po św. Łucyi 1498, znajduje się w metryce kor. księga J. 17, str. 127. Zatwierdzenie przez Zygmunta I dla Zajfreda Betmana jest w archiw. metr. kor. księga Q. 24 str. 309. Wyrok zaś wspomniany, odsądzający bachmistrza od nieprawnie wymaganój opłaty struclowego, jest z tejże daty i tamże str. 308.

Podobnież potwierdzenie bachmistrzowstwa dla Floryana Morsztyna, w którego rodzinie długo obowiązki te zostawały dziedzicznie, wydane przez Zygmunta Augusta, w Wilnie w sobotę przed św. Stanisławem 1558 r. w archiw. metryk. kor. księga ze Szwecyi XAA, 91 str. 206.

Naruszewicz tom X str. 118 (wyd. Bobrow.) mówiąc o mniemanój bytności króla Ludwika w Polsce r. 1381, spomina o przywileju datowanym: *Visliciae, proxima 2 feria post festum Pentecosten 1381*, w którym Ludwik potwierdza Hankowi z Zakliczyna kupno kilku parobków w żupie bocheńskiej, (*sectores salis in montibus zuppae bochnensis*), twierdząc, że takowy był wydany w imieniu króla przez Zawiszę biskupa, jako jego namiestnika. Przywileju tego nie widziałem, lecz być może potwierdzeniem powyższego; przypuszczam zaś że nie o Bochni samój, lecz i o wielickiej soli jest w nim mowa, zwłaszcza, że podobny przywilej i z tegoż roku jest w archiwum miejskiem wielickim.

(1) Przywilej dla Gładysza, którego rodzina dziedzicznie urząd bachmistrzowski w Bochni spełniała, wydany w Sączu, feria 3 (we wtorek) po niedzieli *reminiscere* 1368. W archiw. metr. kor. J. 16 str. 84. Zdaje się, iż najdawniej tylu bywało górmistrzów, ile szymbów w Wieliczce i Bochni.

wie spisem zwyczajów, jakie tam były w zachowaniu, i dowodzi, że przedtém nie było w tój mierze porządku (1).

Owo *regestrum compilatum* owych *consuetudines zupparum* jako spis zwyczajów obowiązujących, do zachowywania przekazanych, jest istotnie ustawą zasadniczą salin; zarówno jednak jest on ciekawym pomnikiem wykrywającym wiele szczegółów o tém, co się tam działo w czasach Władysława Łokietka i za Kazimierza W. aż do daty spisania.

Z samego wstępu okazuje się, iż żupy solne wielickie i bocheńskie, stanowiące ważne źródło dochodu panującego, dozwoleńmi kopania, pobiéraniem soli i rozrzutnością a dowolnością żupników tak zostały uszczuplone i do nieporządku doprowadzone, iż przy wypuszczaniu ich w dzierżawę wówczas zamierzonym, nawet cena roczna dzierżawna oznaczyć się z pewnością nie dawała. To wywołało polecenie Demetrowi podskarbiemu, aby ów rejestr zwyczajów, obowiązków i nadań spisał, i dochody wykazał, co tenże w obec wielu duchownych i dostojników, oraz miejscowych urzędników i służebników żupy dokonał. Przywołano wszystkich tych urzędników żupnych, którzy wówczas żyli, chociażby już nie urzędowali, przeszłych żupników, bachmistrzów, jako téż i tych, którzy w obowiązkach przy żupie w r. 1368 zostawali.

Gdyby nie wspomnienie w aktach grodzkich miasta Krakowa pod r. 1338 o żupniku Świętosławie (Swentko) *unser zupnik und Zolner*, i tamże znowu *Sventoslaus noster zupparius et theloneator*, nie znalibyśmy z imienia dawniejszego żupnika żup krakowskich nad wymienionego w ordynacyi Wojciecha Poryna, Francuza (Albertus Porinus gallicus), o którym mówi, iż zmniejszył miary soli drobnej. Mógł on być żupnikiem około r. 1350 (2).

(1) *Ordinatio salinarum*, znajduje się w Statutach Łaskiego fol. 76, in *Volumine Legum I* fol. 159—170, w Bandtkiego *Jus Polonicum* z r. 1831 str. 174—183, *Górn. w Polsce T. II* str. 105, 123. P. Karol Bayer posiada oryginał potwierdzenia przez Kazimierza Jagiellończyka w r. 1451 na sejmie piotrkowskim, w którym jednak sama ordynacya wypuszczona. Inny oryginał całkowity znajduje się w zakładzie imienia Ossolińskich we Lwowie n. XXIII.

(2) Andreas Kożycki: *Propugnaculum libertatum*, Crac. 1643 in 4, mówi, że Poryn Francuz r. 1343 przepisał obowiązki robotników, wprowadził dogodne maszyny i narzędzia, i zaprowadził gór-

Następnie był żupnikiem Piotr Wierzynek (Petrus Vinrici albo Wyrnici). Wiadomo, że w r. 1363 Wierzynek z przepychem podejmował w Krakowie gości swego króla, t. j. cesarza niemieckiego Karola, i królów: Ludwika węgierskiego, Zygmunta duńskiego, Piotra cypryjskiego, oraz książąt: Ottona bawarskiego, Ziemowita mazowieckiego, i szlążkich: Bolesława świdnickiego, Władysława opolskiego, Bogusława szczecińskiego. Dodać jednak wypada, że właśnie ten Wierzynek zwany jest w ksiązkach miejskich krakowskich Stanisławem, i że nazwisko jego pisano różnie: Venricus, Verzing, Verzinge, Verinus, a w tychże księgach krakowskich jest ślad, że był rajcą krak., poborcą ziemskim, zarządcą żup i podskarbidem królewskim, i że umarł r. 1368. Być więc może, że on już nie był na tej kommissyi, lecz syn jego Petrus, i dlatego może nazwany raz Vinricus, drugi raz Vinrici, i Wyrnici czyli Piotr Wierzynka (syn).

Wraz z nim wymieniony Gotfridus Gallicus i D<sup>nus</sup> Adam Presbyter, o którymto żupniku Adamie wspomina przywilój mogiński z r. 1363; a mieszcząc obok nich żupnika Mikołaja, dodano, że oni żupy mieli oddawane w zarząd do rąk wiernych.

Gdy w roku spisania zwyczajów żup, czyli 1368, oddane być miały one w dzierżawę, kilku się o to zgłosiło. i jako tacy wymienieni są; Trukla albo Trita, Henselburg (Henzel Burg), żyd Leszek albo właściwie Lewek (1), który wtedy trzymał menicę do rąk wiernych z Janem Jelitkowiczem; także mincarz Bartko, (który nim był według śladów w księgach miejskich krakowskich między r. 1366 a 1370), wreszcie Arnold Welkier; i dodaje, że zmiany tych czterech dzierżawców nastąpiły krótko po sobie, bo nawet w jednym tygodniu z powodu, że jeden drugiego w dzierżawie podkupywał.

mistrza (magistrum montium), powierzając mu czuwanie nad wyprzątaniem soli i wypieraniem przestrzeni (in substructionibus faciendis).

W księgach miejskich krak. pod r. 1350 napotyka się Paulinus Gallicus supparius D. Regis. Czy to nie ten sam Porinus?

(1) W statutach Łaskiego wydrukowano Lessko, w Bandtkiego Jus Polonicum Leszko. K. Szajnocha: Życie Jadwigi i Jagielly T. I str. 36 opierając się na rękopisie zakładu Ossolińskich XXIII, wyjaśnia, że tam stoi: Lefko i Lewko. Z rękopisu tego przedrukował świeżo ten statut A. Z. Helcel przy zbiorze statutów mazowieckich str. 204.

Rejestr ten wymienia prócz tego i innych urzędników i oficyalistów czyli służebników, jakoto: bachmistrza w Wieliczce Wojciecha brata Hanka z Myślenic (Jordana), a zatém już jego następcę; w Bochni zaś 3-ch: Penaka, Bulejna i Kutę; widzieliśmy zaś, że świeżo co król dał bachmistrzostwo w Bochni Janowi Gładyszowi. To zdaje się wskazywać, że albo wymienieni, obowiązki te dawniej miewali, albo téż ile szybów, tyle było do owego czasu górmistrzów w Bochni, co z ustanowieniem Gładysza ustało.

Podżupków (vicezuparii) przytacza dwóch w Wieliczce: Jana Pauliniego i Czandycza z Opawy: co domyślać się dozwala, iż tamże dwa szyby czyli dwie góry, jak pospolicie mówiono, wówczas być musiały, i to zapewne jeden szyb, którym solankę ciągniono, drugi szyb zwany królewskim. Wymienia téż warycza (magister carbariae) Jana Steberim z Wieliczki i wielu sztygarów, a nawet cieślów górnicznych (1).

Na czele przepisów zebranych stoi nader ważny i ciekawy, a który jak się łatwo domyślić, do ich spisania się przyczynił, dowodząc z jednej strony samowoli panów dostojników, dążności ich do wyłączenia się z pod przepisów porządkowych, gdy szło o ich korzyść, z drugiej potrzeby srogich przepisów dla skrócenia nadużyć. Przepis zaś ten pierwszy brzmi jak następuje: „najprzód, najpierw i nadewszystko, J. K. M. Kazimierz z całą radą potwierdza zwyczaj tu w rejestrze wymieniający się, aby żaden z panów, bądź wielki, bądź mały, czy to kasztelan, czy starosta, nie śmiał zajeżdżać do żupy. Za powód podano, iż przyjechał przed żupę pan Neorza wojewoda (2), i kazał sobie dać poczęstowanie; skoro o tém J. K. Mość dowiedział się, tak się nań ze dwa miesiące gniewał, iż zaledwie raczył mu przebaczyć. A tak król JMość pod karą gardła i utratą dóbr rozkazuje, aby żaden z panów więcej nie śmiał do żupy zajeżdżać, bo gdy szlachta do żupy przybywa, wówczas

(1) Sztygarowie dawni w Wieliczce: Czyndel z Kutnej-góry (Czech), Tyczkracz z Tęczyna, Bernard z Węgier i sztygar Kazimierski; oprócz tego sztygarowie Giszko i Mikołaj. W Bochni: Jan Prokendorf i Piotr Werusch, cieśle w Wieliczce: Roreżek, albo Korczel w Bochni: Czkufunf, albo Czwofunf.

(2) Neorza wojewoda krakowski zmarły r. 1368, zapewne przed spisaniem tego rejestru zwyczajów żupy, i dlatego tak jawnie przewinienie jego śmiałości co do żądania poczęstowania (praelibatio), wymienia.

żupnik nie może tak skrętnie pożytków króla JMości dogłądać, bo mu ci panowie przeszkadzają przez zwiedzanie żupy. Stanowi się przeto, że szlachta nie ma zwiedzać nigdy żupy, tylko za poprzedniem dozwoleńiem z łaski króla JMości". Dalej zakazuje nawet karmienia koni szlachty lub panów (t. j. dostojników), i przepisuje, iż tylko konie królewskie mają być trzymane na stajni żupnej, a wysłanym tamże należy dawać korzec owsa na konia dziennie, siana i słomy ile potrzeba, i do 4-ch koni, utrzymanie parobka (famulus, subagazo).

Stanowi cenę soli, zapłatę robotników, sposób sprzedaży soli, wywozu jej do Węgier i na Spiż, sprzedaży mieszczanom wielickim i bocheńskim, którzy stragany z solą w Krakowie posiadać mają, ceny za materiały, jakoto liny konopne i łykowe (gdyż jeszcze łykowych lin wówczas używano), lój do kaganków, sztaby w snopach, blachy i kliny żelazne; że bałwany soli mają być wagi 6 i 8 centnarów, dawniej bowiem wycinano cięższe bałwany do 30 centnarów wagi.

Ceny soli były postanowione za bałwan 6-cio centnarowy  $1\frac{1}{2}$  grzywny, za 8 centnarowy krajowym kupcom 2 grzywny, za granicę (do Węgier i Spiza) po 2 kopy groszy, centnar zaś soli tamże po 4 grosze (w złocie płacone); sól drobną sprzedawano w Wieliczce 6 miar za grzywnę.

Żupnik miał obowiązek utrzymywać w Wieliczce i Bochni po 6-ciu żebraków z jałmużny żyjących i onych odziewać.

Gdy żupy idą w dzierżawę, żupnik (qui emit zuppas) t. j. który się utrzymał przy dzierżawie, winien królowi corocznie złożyć 100 czerwonych złotych, a 50 królowej w darowiznie, a z żup płaćć dzierżawy rocznej przynajmniej 18,000 grzywien.

Płace ofycyalistów w żupach przepisano: Podżupkowi tygodniowo  $\frac{1}{2}$  grzywny; sztygarowi w Bochni 1 wiardunek; sztygarowi w Wieliczce 7 groszy; ważnikowi w Wieliczce 7 groszy i trzecią część od wagi; ważnikowi w Bochni 6 groszy i czwarta część z warzeln; waryczowi w Wieliczce 7 groszy; szafarzowi (procurator) w Wieliczce 7 groszy i skórki małe; szafarzowi w Bochni 6 groszy; piwnicznemu (pincerna) 2 grosze; podrzeńczemu (vice-procurator) 2 grosze; strzelcom i łucznikom (sagittariis) po 4 grosze; leśnemu strzegącemu lasów po 4 grosze; kucharzowi (cocco) 4 grosze; kuchcie i zmywającemu miski oraz nakrywającemu stoły po 2



grosze; wrotnemu (portulano) 2 grosze; komornikowi odbierającemu sól kradzioną (zatem defraudowaną sól) 4 grosze; skarbnikowi mającemu skarbonkę 2 grosze; palaczowi pieców 2 grosze; i wszystkim powyżej wymienionym odzienie letnie i zimowe.

Oprócz wydawanych nadań solnych, których nie wymienia, wylicza statut ten następujące wypłaty coroczne:

Kapitulę krakowskiej 100 grzywien; kapitulę gnieźnieńskiej 100 grzywien; prebendarzowi żupy bocheńskiej po 2 grzywny w każde suchedni, i ubiór dla niego i jego parobka; plebanowi w Bochni tygodniowo grzywnę; plebanowi w Wieliczce tygodniowo korzec soli drobnej; plebanowi w Piwnicznej 5 grzywien i 8 łokci sukna toruńskiego; plebanowi z Niepołomic rocznie 4 kamienie łożu i 4 kamienie wosku; wikaryuszom kapituły krakowskiej 66 miar soli drobnej.

Jankowi Steberin majstrowi waryczowi w Wieliczce rocznie 30 grzywien. Żądanie zaś Jana z Tarnowa kasztelana krakowskiego i brata jego Rafała, aby im dawano co tydzień kopę groszy z żupy bocheńskiej, jako oparte tylko na piśmie bachmistrza, przez króla odrzucone zostało.

Podkomorzy krakowski przy wprowadzaniu nowego żupnika w urzędowanie (quando zupparium inthronisat ad zuppas), ma od niego otrzymać postaw sukna mechlińskiego lub 10 grzywien; lecz nie ma zajeżdżać z swemi końmi do żupy, tylko do karczmy czyli zajazdu.

Żupnik odpowiada przed królem, a sam sądzi ludzi do żupy należących.

Ilość rebaczy, zwanych pospolicie stolnicy, miała być nie większa jak 60 ludzi w obu żupach razem, aby ci żup z soli nie wyprzatali; pracować zaś tylko mieli od św. Marcina (11 listopada) do Zielonych Świątek: a gdyby tego potrzeba zaszła, to mogą zacząć od św. Michała (29 września).

Gdyby stolnik nieposłuszny sól psuł, lub gdyby ciagarze nie byli posłusznymi żupnikowi lub sztygarowi, wolno ich od robót oddalić.

Bachmistrz nie ma być płatny z żup, lecz mieć tylko swych parobków od siebie płatnych, za pieniądze zebrane z opłaty toporowego, która jak widzieliśmy wynosiła 3 grzywny na kwartał. Cieśli górniczemu, który dla niego własnoręcznie pracuje w kopalni, ma płacić tygodniowo wiardunek, żywić go i odzie-

wać. Wreszcie w każdej górze, to jest części kopalni, mającej szyb, powinien trzymać dwóch piecowych dla szukania soli, i dojścia do ścian: co innemi słowy znaczy, że powinien prowadzić chodniki (piece) poszukiwalne dla osiągnięcia calizny solnej (ścian).

Taka jest główniejsza treść tego statutu żup, czyli zbioru zwyczajów żupnych; z czego nadto następujące wyciągnąć się dają wnioski:

Już za Kazimierza W. wycinanie bałwanów soli stanowiło główną produkcją, ale warzelnie istniały, bo mowa jest o warzyczach i o soli drobniej.

Handel solą oprócz krajowego, rozciągał się na pogranicza węgierskie i na Spisz.

Żelazo do potrzeb żupy brano z Węgier, używano lin tykowych, a do przyświecania łożu; co jest jeszcze dotychczas w zwyczaju, i zapewne kształt dzisiejszych kaganków w Wieliczce od Kazimierzowskich czasów nie zmieniony.

Żupnik utrzymywał na swój kuchni służebników, ztąd też był i szafarz, kucharz, piwniczny i t. d.; dawał im odzież, a urzędnikom postawami sukno; trzymał na stajni konie królewskie i konie żupy, dlatego byli więc koniuszowie (agazo) i parobcy (subagazo, famulus).

Żupnika obowiązki odnosily się do dostarczania lin, żelaza, łożu i t. d. do odebrania soli, oniej wydawania i sprzedaży; zatém całe gospodarstwo kopalń. Prowadzenie zaś podziemnych robót już należało do bachmistrza, którego głównym obowiązkiem było, tyle chodnikami poszukiwalnemi prześledzić pola, aby zawsze nowe calizny soli były gotowe dla rąbania z nich bałwanów.

Z wyliczenia kilku bachmistrzów w Bochni i dwóch podżupków w Wieliczce, okazuje się, albo że jednocześnie z pełnieniem wówczas te obowiązki, król także dawniejszych do spisania statutu przywołać kazał; lub że ich tylu tam było, ile gór oddzielnych: a zatém, że kilka już szybów było otwartych. Co bądź, to pewna, że oddzielny był w Wieliczce, oddzielny w Bochni; i że bachmistrze rozstawiali ludzi do roboty sami, lub przez zastępującego ich cieślę gór (carpentarius montium), t. j. górnika starszego, znajdującego się na oprawie (cembrunku).

W każdej górze ma być dwóch piecowych, mówi statut, t. j. dwóch górników pędzących chodniki, w Wieliczce piecami

zwane; zatém widać, że jeszcze spody szybów nie były w łączności z sobą za Kazimierza Wielkiego, i że każdy szyb z chodnikami (piecami) z podszybia wyprowadzonymi aż do ścian solnych czyli natrafionej calizny lub do dział (opera) w tychże, t. j. gdzie już sól wyrębywano, jeszcze oddzielną stanowił górę czyli kopalnię (1).

Skoro dodamy, że podkomorzy krakowski miał przywilej installowania żupnika i sąd za obrębem żupy, pokaże się, iż tak zwany Trójurząd żupy wielickiej rozdzielał się w ten sposób: iż bachmistrzowie podziemny zarząd, żupnik w obrębie żupy, a głównie nad powierzchnią onę, a podkomorzy za obrębem żup w Bochni i Wieliczce władzę swą rozciągali.

Jeszcze jeden przedmiot winien uwagę naszą zwrócić, nie jest bowiem dosyć jasno w statucie wyłuszczoney, mianowicie o tak zwanych stolnikach.

Statut mówi, że w obu żupach 60 rębaczy ma być użytych, i to tylko przez 7 a najwyżej 8 miesięcy do roku, aby zbytecznie żupy nie wyprzątać z soli.

Przywileje Hanki z Zakliczyna na bachmistrzostwo wielickie z r. 1355, a Jana Gładysza na bocheńskie z r. 1368, przeznaczają im płacę tygodniową po  $\frac{1}{2}$  grzywny, utrzymanie dla nich 2 parobków i obrok na 3 konie; statut zaś r. 1368 mówi, że nie powinni pobierać płacy tygodniowej lub rocznej, a za pieniądze które otrzymuje bachmistrz kwartalnie po 3 grzywny tytułem toporowego, opłacać piecowych do śledzenia chodnikami za solą, aby rębacze mieli gotowe ściany solne w działach, do wyrębywania w nich soli.

Otóż takich rębaczy sól w caliznie wyrębujących miało być sześćdziesięciu w dwóch kopalniach za Kazimierza Wielkiego, a ci rąbali sól dla swych panów; miał ich król, mieli pa-

(1) W Bochni najdawniejsze 3 szyby są: Gazaris czyli więźny, dający surowicę na wieżę (gaza), czyli do karbarii (warzelni); Sutoris czyli szewczy, gdzie obrączkę Kunegundy znaleźć miano, i Regis czyli królewski, a może i Findar, który już niewątpliwie istniał za Władysława Jagielly w r. 1396.

W Wieliczce były: góra Szurawica, zapewne to wodna góra, i królewski, czyli regis. Hrdina w opisie Wieliczki „Geschichte der Wieliczkaer Saline” wyd. 1842 str. 17 mniema, że dwa szyby oddawna opuszczone, Świętosławski i Goryszowski, za Kazimierza W. otwarte były, nie przytaczając dowodu na czém to twierdzenie opiera.

nowie, miał i bachmistrz, a prócz tego i różni prywatni; nadto klasztory, bractwa ołtarzy, a wszystko z pozwolenia monarszego (1).

Parobcy ci czyli otroki, utrzymywani byli przez żupnika, a właściciel działów zwracał koszt ten w zapłacie za wyrobioną sól w bałwanach, licząc już w to i inne koszta, jakoto: łój, liny, pomocników czyli ciągarzy (tragarii). Wydawany łój do przyswiecania był miarą czasu użytego do pracy. Ztądto pochodzi, że prawo posiadania parobka czyli otroka rąbiącego sól w dziale czyli komorze, w ścianie albo caliznie solnej, zwało się zarówno: działem, otrzystwem, łojem, (po łacinie opera, famulus, sebum), a robotnicy użyłci stolnikami (mensarii): od wybierania soli na użytek stołu, albo się téż zwali rębaczami (sectores) od rodzaju roboty rąbania soli w ścianach.

Za czasów Kazimierza Wielkiego, w Wieliczce roboty dochodziły tylko do pokładów soli zielonej, a z pewnością otwarte były tylko szyby: królewski i wodna-góra, którą surowicę dla warzelnicy ciągniono; w Bochni zaś szyb wieżny (gazaris), szewczy (sutoris) i królewski (regis). Ztąd to może, gdy każdy szyb oddzielną stanowił kopalnię, pochodzi, że statut Kazimierzowski mówi o jednym bachmistrzu w Wieliczce a o trzech w Bochni. Później chociaż więcej było szybów, z zasady przywilejów Kazimierza Wielkiego na bachmistrzostwa wynikło, iż tylko po jednym bywało bachmistrzu dziedzicznym w Wieliczce i Bochni.

Powyższa ilość kopy rębaczy nie utrzymała się w swęj okrągłej liczbie; z czasem wzrosła ona przez nowe pozwolenia na kopanie soli, gdy pomnażały się otrzystwa z łaski szczodrych Jagiellonów; a za ostatniego z nich było w Wieliczce 121,

(1) Takto parobcy ci, jedni byli królewscy czyli miejscowi górnicy, inni obcy czyli gościnni, których do żupy obdarzeni przywilejem dla zaopatrywania się solą przysyłali. Sam bachmistrz bocheński miał ich czterech, gdyż Kazimierz W. dając Gładyszowi to bachmistrzostwo w zamian za dobra Brzeszcze, dał mu prawo kopania soli czterema parobkami: *quatuor homines seu famulos ad incidendum sal durum ibidem (in Bochnia) more antiquitus consueto.* (p. Górń. w Pol. T. II str. 103). Lecz wszystkich rębaczy miało być według statutu z r. 1368 tylko 60, licząc w tém nawet i klasztornych (*famulis hospitalibus inclusis*).

w Bochni 115, zatém i tyluż rębaczy w każdój z tych kopalń; a piecowych w Wieliczce 12, i zapewne tyluż w Bochni (1).

Owe otrzystwa, czyli łoje, uważane za rzecz dziedziczną, brano w spadku; przechodziły one z rąk do rąk, sprzedawano je i odstępowano. I tak: mieszczanin wielicki Mikołaj Gisko, panu Hankowi z Zakliczyna, sprzedał r. 1381 dwa otroki z prawem bachmistrzostwa i użytku góry Surowica zwanój (Wodna Góra), za 80 grzywien (po 48 gr); na co jest przywilój Ludwika króla, znajdujący się w aktach miejskich wielickich (2).

Co wyrobić zdołali ci robotnicy, było własnością stólników (gdyż i nazwanie to służyło także właścicielom otrzystwa). Że tak było, widać to z fundacyi szpitala wielickiego przez Kazimierza Wielkiego z r. 1363, znajdującego się w aktach miasta Wieliczki; dochody albowiem z soli wydobytej przez 2<sup>ch</sup> parobków przy każdój górze czyli szybie, opłatę tychże przenoszące, na utrzymanie ubogich w szpitalu przeznaczone zostały. Gdy za Zygmunta Augusta było 6 szybów w Wieliczce otwartych, wzrosła zatém do 12 ilość przez szpital posiadanych działów (3).

(1) Dziś podobno w Wieliczce liczą kopaczy 94, piecowych 54, kruchowych 100, pomocników 500.

(2) Naruszewicz T. X str. 118, mylnie zatém mówi, że przywilój Ludwika króla na kupno otroków do kopania soli przez bachmistrza Hankę z Zakliczyna, ściąga się do Bochni.

(3) Ślady sprzedaży otrzystw w aktach miejskich wielickich są nader ciekawe:

R. 1467 Katarzyna Pauluczkowa i Katarzyna Szokołowa sprzedały swe dział, t. j. prawo utrzymywania 20 (?) robotników w żupie wielickiej Janowi Białkowskiemu, pod ten czas sędziemu górnicznemu za 74 grzywien; patrz: Boczkowski, Opis Wieliczki str. 53.

R. 1487 (w archiw. metryk koronnych, księga EE, 14 str. 191) na wykupienie dwóch dział (duorum operum alias dzyala) w Bochni, Walentemu z Bochni altaristae Stae Crucis, z rąk dwóch stólników opatrnych (providi) Mazanek i Franek.

R. 1487 (w archiw. metryk koronnych, księga EE, str. 226) potwierdzenie na posiadanie jednego działu w górach wielickich (unum opus in montibus wielicensibus) Piotrowi Sepin.

R. 1504 (w archiw. metr. kor. księga M. 21 str. 40), potwierdzenie praw bractwa stólników wielickich na posiadanie kilku działów z łojem (plura opera montana cum sebo), a mianowicie: czterech aktów spisanych przed podkomorzym krak. Zbigniewem z Tęczyna na działo z łojem r. 1484; inne z r. 1499, tu-

Jak ilość parobków prywatnych powiększała się i kiedy ten sposób wydobywania soli ustał, poniżej zobaczymy.

Zakończając mowę o tém, co się działo za Kazimierza W. w salinach, przyznać należy, że król ten znał ich ważność i wzrostu ich pragnął; nie tylko bowiem ustalił zwyczaje żupne, spisując je w prawo, lecz miasta Wieliczkę i Bochnię murami opasał, oraz w r. 1356 policzył je w rzed 6 miast, wraz z Krakowem, Olkuszem, Sączem i Kazimierzem, które w ziemi krakowskiej wysyłały po dwóch rajców do Krakowa, stanowiących najwyższy sąd miejski do sądzenia spraw według prawa magdeburgskiego (1).

Dla ułatwienia handlu solą bocheńską, Kazimiérz W. rozpoczął r. 1362 kopanie kanału od Bochni do Krakowa na mil 5 ciągnącego się. Wpuszczone wody Wisły miały służyć do przewozu na tratwach i łodziach soli do Wisły (2). Niedokończony kanał od Bochni zatarły się do dziś dnia ślady.

Niedostateczność statutu Kazimierzowego dla salin w spisie zwyczajów, wnet się okazała co do stolników czyli rębaczy. Władysław Jagiełło r. 1393 (3), uzupełniając przepisy, postanowił, że kto posiada nabyte własną pracą piece (chodniki) i ściany (solne) w Bochni, używać ich ma aż do zupełnego wybrania w nich soli; a gdy te się skończą, nie wolno nowych rozpoczynać, dopóki im takowych nie wskażą podkomorzy krakowski wraz z żupnikiem i bachmistrzem. Dalej, że sprzedaż i odstępywanie działów w kopalni soli, tylko za dozwoleństwem króla może nastąpić. Król zaś tylko może tylu otroków czyli parobków do wybierania soli na własny użytek użyć, ile tego zechce; i nawet rąbanie soli téj przeciągnąć do Zielonych Świątek, lecz prywatni rębacze tylko od Ś. Michała do Świątek sól wybierać mają.

Przywilej ten, jakkolwiek tylko dla Bochni wydany, i w Wieliczce musiał być stosowany; wyjaśnia bowiem dlacze-

dzież z r. 1498 i z r. 1495. Te prawa zatwierdził Zygmunt August dla bractwa stolników czyli rębaczy wielickich w r. 1579 (p. w archiw. metryk kor. księga XU, 119, str. 308). Wówczas miało to bractwo działów 10.

(1) W Krakowie w wilią św. Franciszka 1356; p. Volum. Legum I str. 143. J. V. Bandtkie, Jus Polonicum str. 461.

(2) Długosz T. I str. 1333.

(3) W Niepołomicach w dzień św. Marcina 1393, w archiw. metryk kor. księga J. 16; str. 83.

go pozwolenie kopania ograniczało się do działu czyli ściany, dopóki ta wyrobioną nie została przez wybranie soli i utworzenie się przez jęj wyprzątnienie komory. Dlatego téż z nowych coraz nadań wzrastająca ilość działów, ustała potém po Jagiellońskich czasach przez wyrobienie rozpoczętych wówczas komor, gdy pozwolenia na nowe działły wydawać przestano (1).

Okres panowania Jagiełłów domu, odznacza się rozrzutnością skarbu, i jeszcze hojniejszym szafunkiem łask i przekazów do Wieliczki i Bochni jak za Piastów. Żupnik wielicki stał się płatnikiem podskarbiego: doń szły przekazy do wypłat nie tylko w soli, ale i w pieniądzech. Płace professorów akademii krakowskiej w r. 1364 założonej, z żupy pobierane zrazu były przez 8 professorów po 40 grzywien, a Władysław Jagiełło r. 1399 (2), udzielił akademii przekaz na sól, za którą w końcu wieku XVIII pobierała jeszcze według pensyonarza żup z Bochni Żłp. 138 gr. 20.

Swidrygiełło książę litewski, miał téż stały dochód z Wieliczki (3).

Rudolf legat papieżki za pokój skojarzony z krzyżakami, otrzymał na żupach solnych dożywocie żłp. 200 rocznie (4).

Burgrabiów zamku krakowskiego obdarzył także Jagiełło solą r. 1393. Wielkorządca do końca wieku XVIII otrzymywał 36, a 11<sup>tu</sup> burgrabiów 6 beczek soli z Wieliczki (5).

Za Władysława Jagiełły napotykamy w registrach podskarbiego (wydanych przez Alex. hr. Przezdzieckiego) żupnika Winka około r. 1393 i 1395, już to samego, już spólnie z Mikołajem (zapewnie Bochnerem). W r. 1396 był żupnikiem krakowskim Jakosz Ostróżka (6).

(1) Co do przywilejów stolników, rębaczy i robotników w żupie wielickiej, takowe potwierdził Stefan Batory w Warszawie 22 grudnia 1579. Metr. kor. księga XV, 119 str. 308.

(2) Długosz T. I str. 167.

(3) Długosz T. I str. 177 i 463.

(4) Długosz T. II str. 394.

(5) Długosz T. I str. 139.

(6) W archiw. metr. kor. księga DD, 39 str. 541. Władysław Jagiełło, w Bochni, w wilią św. Jana Chrzc. 1396, na wniosek Jakosza Ostrożki żupnika (Jacossius Ostroska zupparius noster), zatwierdza kopanie jednym parobkiem soli przy szybie Findara w Bochni dla bractwa ołtarza N. M. Panny przy kościele parafialnym św. Mikołaja w Bochni.

Dopiero od r. 1397 rozpoczyna się szereg nieprzerwany wiadomych żupników z Mikołajem Bochnerem.

Mik. Bochner, mincarz, poborca ceł i żupnik olkuski i checiński, w wielkich u Jagielly zostawał łaskach i jego zarządzał dochodami; wynagradzając tego roztropnego męża (*prudens vir*), i jego usługi, dał mu król prawo na 4 działę w Wieliczce (1). Następnie tenże Bochner żupnik obu salin i ołowiu (*zupparius utriusque salis et plumbi*) (2), wykopał własnym kosztem nowy szyb w Bochni, jego nazwisko noszący, a Jagiello dał mu za to przywilej oddzielny na 4<sup>ch</sup> rębaczy czyli działę w Bochni, z dodaniem jednej kopy groszy szerokich pragskich tygodniowo (3).

Po Bochnerze, który żupy te do rąk wiernych trzymał do r. 1409 lub 1413, był żupnikiem Piotr Pikarn, kupiec wenecki; mniemam, że musiał się ten Wenecyanin zwać Piccaroni (4). Żupy krakowskie długo w ręku jego zostawały, bo lat 8 lub 12, to jest do r. 1421, i są wieści, że miał być biegły i przeznorny gospodarz kopalni.

Abraham Schwarz, także Niger i Czerny zwany, z Borszyc, trzymał w dzierżawie żupy krakowskie za 2,200 dukatów węgierskich, oraz olkuskie i cła krakowskie. Oprócz dzierżawy królowi Władysławowi Jagielle płaconej, następnie dodatkowo zobowiązał się, iż Hince podskarbiemu płacić bę-

(1) *Quatuor operarios, famulos seu salicidas, vulgo otroki*; w dyplomie wydanym „*Sandomirae in 8va Paschae 1396*”, będącym własnością Edw. bar. Rastawieckiego.

(2) W aktach miejskich krakowskich napotyka się pod r. 1397, 1398, 1399 i 1405 Nicolaus Bochner, Nic. Bochnar i Nic. Bochner; raz zwany *zupparius salis et plumbi*, to *utriusque salis zupparius*, to *zupparius beides salzes*. Paprocki w *Herbach rycerstwa* str. 57 mówi o nim; „Mikołaj Bochnar h. Starykoń, syn Nawoja Bochnara podkomorzego krakowskiego, był żupnikiem krakowskim za Władysława Jagielly w r. 1405, był wzięt po Arnoldzie Welkier, po jego śmierci był Piotr Pikoranus r. 1413; trzymał ten Bochnar żupy lat 8”. Widzimy jednak, że nie bezpośrednio po Welkierze nastąpił, i że już był żupnikiem solnym w r. 1397.

(3) W Nowém Mieście Korczynie w sobotę przed św. Janem c. 1399; p. w archiw. metr. kor. księga XD, 98 str. 34.

(4) Tegoż akta grodzkie krakowskie zowią Petrus Pikarn lub Pykarn, *zupparius beides salzes*. W aktach metr. kor. księga C, 11 str. 266 i 592 zowią Petrus Pikaran mercator de Venetiis, i Petrus Pikarny.



dzie 2000 grzywien rocznie, co syn jego król Władysław Warneńczyk zatwierdził w Krakowie w dzień św. Syksta (28 marca) 1433. Za jego żupnictwa odwiedził Wieliczkę król Władysław Jagiełło r. 1424, i podziemia téj kopalni okazywał przybyłym na koronacją małżonki swój Zofii gościom, jakoto: Erykowi królowi duńskiemu, 14 innym książętom i licznym postom obcych dworów (1). Do dzierżawy téj żup solnych krakowskich miał od r. 1429 spółnika Antoniego syna Jana z Kleparza (2), a od r. 1434 od żup wielickich odstąpił, przy olkuskich tylko pozostając. Ten Abr. Czarny w pismach przez Władysława króla doń wydawanych, zwany jest rycerzem mężnym (*miles strenuus*); był to mąż zasłużony i wielkiego u króla zaufania używający.

W r. 1434 (Crac. fer. 3 ante festum SS. Simonis et Judae), wzięli w dzierżawę żupy wielickie i bocheńskie oraz ruskie: Antoni z Kleparza (czyli de Florentia, jak to przedmieście krakowskie po łacinie wówczas nazywano), i Mikołaj Serafin rajca krakowski, z obowiązkiem płacenia przez pierwsze lat pięć po 15000 grzywien, w następnych zaś z samych krakowskich 16000 grzywien. Z czasów Antoniego z Kleparza czyli de Florentia, pochodzić się zdaje wybicie szybu Floris czyli Florentia w Bochni.

Po nich przez lat 12 do r. 1456 trzymał w dzierżawie żupy Mikołaj z Tarnawy, a od r. 1456 znów Mikołaj Serafin (3), ów rajca krakowski, mianowany miecznikiem krakowskim, a dziedzic Barwaldu, aż do r. 1458 włącznie. Tenże Serafin trzymał w dzierżawie i żupy ruskie. Czynił on znaczne nakłady na te żupy; za niego pogłębiono w Wieliczce szyb Seraf, który po dziś dzień istnieje i służy robotnikom dla zjazdu do kopalni. Wieść niesie, że on rozszerzył odbyt przez sprzedawanie drobnój soli do Szlązka: to téż za swe zasługi, ustępując w r. 1458 z żupnictwa, otrzymał dożywocie 100 grzywien z żup wielickich (4).

Ogółcone żupy z zarządcy po Serafinie, postanowił zjazd piotrkowski r. 1459 (5), aby wydzierżawić Hince (z Rogowa,

(1) Długosz księga XI str. 475.

(2) Antonius Johannis de Florentia. Akta grodzkie krakowskie, księga n. 1536, str. 253.

(3) Arch. metr. kor. księga C, 11 str. 266.

(4) Arch. metr. kor. księga C, 11 str. 408.

(5) Jus Polonicum J. V. Bandtkie, str. 307.

podskarbiemu) jeżeli zechce; jeżeli zaś nie zechce i nie zdarzy się kto inny odpowiedni, król będzie mógł powierzyć ich zarząd do rąk wiernych osobie zaufanej.

Już w r. 1458 pożyczone królowi Kazimierzowi Jagiellończykowi od Magdaleny Morsztynowej dukatów węgierskich 500, zabezpieczone zostały na żupach (1), a stosując wkrótce potem postanowienie sejmu, oddał król w r. 1459 w dzierżawę Jerzemu Morsztynowi i jego żonie Magdalenie żupy wielickie, bocheńskie i ruskie (t. j. przemyskie w Słonie, samborskie w Jesienicy, sanockie w Tyrawie) za 18000 grzywien rocznie. Przedłużana co lat 4 dzierżawa trwała do r. 1472 czyli lat 22 (2).

W r. 1472 poszły naprzód warzelnie soli w Wieliczce i Bochni w zastaw miastu Krakowowi za 13000 zł. (3), potem tegoż roku żupy wielickie i bocheńskie oddane również w zastaw Adamowi z Rzeszowa (4).

W r. 1487 królowa Elżbieta żona Kazimierza Jagiellończyka, pożyczwszy 2000 dukatów węgierskich od rajców Krakowa, zastawiła u nich suknię atlasową perlami wyszywaną, a takową odebrawszy zapewniła wypłatę długu przez odstąpienie poboru 500 grzywien rocznie z żup krakowskich (5). Wówczas gdy żupy były zastawione, a nawet i dochód z nich królowej przynależny, tytularnie żupnikiem czyli raczej słuchającym rachunków był ksiądz Grzegorz z Lubrańca (de Lubrancz) podkanclerzy Królestwa „et zupparum factor“ (6). Wreszcie Adam z Rzeszowa zastawny posiadacz żup, dostąpił i żupnictwa r. 1489 (7); tymczasem rozrzutny Kazimierz coraz nowe długi zaciągał na żupy, jak np. r. 1490 od Matiasza księcia raciborskiego czerw. złotych węgierskich 2300 (8).

Takie zastawy dochodów w rękach chciwych zysku wierzycieli, przywodziły żupy do bezrzędu i nieładu.

Żupy ruskie król oddał w zarząd do rąk wiernych Włochowi Arnolfowi Tedaldi z Florencyi; potem Włoch ten wziął

(1) W arch. metr. kor. księga C, 11 str. 395.

(2) W arch. metr. kor. księga C, 11 str. 420, 592.

(3) W arch. metr. kor. księga E, 12 str. 62.

(4) W arch. metr. kor. księga E, 12 str. 91.

(5) Górn. w Pol. T. II, str. 168.

(6) W arch. metr. kor. księga EE, 14 str. 225.

(7) W arch. metr. kor. księga EE, 14 str. 309.

(8) W arch. metr. kor. księga EE, 14 str. 383; dokument ten jest pisany po czesku.

wszystkie żupy krakowskie w administracyą na lat dwa (1) 1488—1490; lecz ani sztuki górnictwa, ani miejscowości nieświadomy, nie pilnował bezpieczeństwa robót, i za niego bywało zawały się komory źle podparte, niosąc śmierć górnikom. Chciwemu zbytecznie zysków Włochowi odebrał więc król żupy krakowskie (2), lecz pozostał przy dzierżawie ruskich w Drohobyczy, Dolinie i Nahojowicach, a te po śmierci jego trzymał jeszcze synowiec Perocio Thedaldi, a po tym brat ostatniego Jan Thedaldi, za dukatów 4500 do r. 1498.

Tymczasem w Wieliczce ciągle były zmiany żupników. Roku 1490 przeznaczony został na żupnika ks. Jan Borzymowski proboszcz z Chrobrzy, (3) niegdyś (r. 1475) podzupek bocheński, potem od 1494 do 1496 Maciej Głowacki z Głowaczowic (4), który był przedtém sztygarem w Bochni. Ci, jako z rzeczą obeznani, błędy zastawników i poprzednika Włocha poprawiać mieli obowiązek.

Po nich Mikołaj Biechowski także lat 2 zarządzał obiema żupami (5), aż w roku 1498 dostały się żupy w ręce Pawła Szwarca czyli Czarnego z Witowic, starosty korczyńskiego i bachmistrza wielickiego.

Bachmistrzowstwo to nabył on był r. 1490 (6), od Jordanów z Zakliczyna, dzierżących ten urząd dziedzicznie od czasu owego Janka z Zakliczyna wójta myślenickiego za Kazimierza W. Przodek Czarnego, Abraham Szwarc był żupnikiem solnym na początku tego wieku. Za Pawła to Czarnego wyszły z użycia liny łykowe, i do lepszego nieco żupy przyszły porządku; to téż i urząd żupnika nabrał pewnego znaczenia, jako bogata nagroda stając się już odtąd tylko udziałem możnych

(1) W arch. metr. kor. ksiąg. M, 21 str. 22.

(2) Andrzej Kożycki, Propugnaculum libertatum.

(3) W archiw. metr. kor, ksiąg DD, 39 str. 541.

(4) J. V. Bandtkie. Jus Polonicum, str. 359.

(5) Za Kazimierza W. szła sól w dzierżawę za 18,000 grzywien, (grzywna liczona po 54 zł. 25 gr.), czyli wartość milion zł. dzisiejszych. Za Władysława Warneńczyka r. 1434 płacili Antoni z Kleparza i Mik. Seraf z Krakowa 15,000 grzyw. (licząc po zł. 42 gr. 20) wypada już tylko wartość 640,000. W r. 1496 zebrano za sól 13,800 grzywien, wydatki były 4,000 grzyw. pozostało na dochód 9,800 grzywien czyli wartość 418,000 złp. Tak przez niedład szły żupy do upadku i zmniejszały się korzyści skarbu królewskiego (p. rejestr wydatków za Jana Alberta od r. 1496).

(6) Arch. metr. kor. księga J. 16 str. 127, ks. Q, 24 str. 309.

i dostojników. Piastował Czarny żupnictwo krakowskie do r. 1504, a będąc już tylko starostą brzeskim i oświęcimskim, wykupił żupy ruskie w Dolinie od Jana Theodaldego arendarza tej żupy za zł. 5280, które w części wytrzymał, w części przekazał do wytrzymania Mikołajowi Gliškiemu staroście drohobyckiemu r. 1507 (1).

W r. 1504 zamianowany został żupnikiem Jan Jordan z Zakliczyna kasztelan biecki, starosta oświęcimski (2). Przeznaczenie Jordana na żupnika, przed tym jeszcze rokiem, takiemu powodowi przypisuje Niesiecki (Herbarz T. IV st. 502) „Jan Jordan powróciwszy z cudzych krajów, na dwór się królewski stawił, w zupełny kirys przybrany; tam przy ochocie, za zdrowie króla Alexandra szybę w Wieliczce solną, tak jak był odziany, dufając swojej chybkości przeskoczył; w podziwieniu to wszystkim było, ale osobliwie królowi; ucieszony jednak tą jego odwagą, żupnikiem go bocheńskim i wielickim przełożył, pewny dochód z nich na osobę jego naznaczywszy. Dał mu potem kasztelanią biecką, z którym tytułem czytałem go pod r. 1502”.. Dalej pisze Niesiecki... „starostą był spiskim, które sobie miał obligowane (zastawione) w 12000 czer: złot., a żupy w 14000 czer. złot., które spłacił Zygmunt I przez Bonera. (Biel: fol. 507, Sarnicki); przydano mu do tego starostwo oświęcimskie i wielko-rządy krakowskie; umarł r. 1507.” W tém podaniu Niesieckiego nie zgadza się o lat kilka data zostania żupnikiem; musiał czyn ten przeskoczenia szybu o wiele uprzedzić chwilę nagrody, gdyż w akcie ustanowienia go żupnikiem z r. 1504, zwany jest już kasztelanem bieckim i starostą oświęcimskim. Żupy oddane mu zostały w zarząd zupełny na czas nieoznaczony, od łaski króla zawisły (3), z obowiązkiem tylko wypłaty pensyi królowej matce Elżbiecie (4), bratu królewskiemu Zygmunto-

(1) Arch. metr. kor. księga O, 22, str. 20, 88 i 98 v.

(2) Z daty: Cracoviae feria 3 ant. Convers. S. Pauli 1504, w arch. metr. kor. księga M, 21 str. 33 ustanowienie żupnika Jana Jordana.

(3) Ad tempus beneplaciti regii nostri, mówi akt ustanowienia żupnikiem Jordana.

(4) W arch. metr. kor. księga M 21 str. 265 v. znajduje się zanotowanie in margine: Elisabeth conjux Kasimiri regis Pol., trium regum et cardinalis mater morte obiit Sab. post festum S. Bartholomei, hoc est 30 mensis Augusti, hora diei sedecima A. D. 1505.

wi (1), i wszelkich zwykłych wypłat, które i jego poprzednik uiszczal różnym osobom duchownym, kościołom, ołtarzom urzędnikom, i z przekazów króla. Nadto włożony miał obowiązek zapłacenia długu królewskiego zaciągniętego u Pawła Czernego na 2000 grzywien. W końcu król zapewnił Jordano- wi w akcie stanowiącym go żupnikiem, płacę coroczną 40 grzy- wien, postaw sukna mechlińskiego, adamaszku na suknię i futro marmurkowe, oprócz korzyści jakie po wypłacie przekazów od- niesie.

Zwyczaj oddzielania wyborowej soli orłowej dla dworu królewskiego, zwykle odnoszą do czasów żupnictwa Jana Jor- dana. Nazwanie jej ztąd pochodzi, iż wybraną najczystsza sól pakowano w beczki, na dnie których wypalany był herb króle- wski, orzeł.

Zdaje się, iż przed śmiercią Jana Jordana, pomocnym mu był w zarządzie żup, brat jego Mikołaj; lecz nie musiał być spółnikiem jego, gdyż z zarządu żup i wypłacania się pokwito- wani zostali synowie Jana; Achazy, Krzysztof i Hermolaus w r. 1508 (2). Niesiecki twierdzi, że po bracie, Mikołaj Jordan wszystkie starostwa, wielko-rządy zamku krakowskiego i żupni- ctwo objął, a to ostatnie z Kościeleckim; jednakże coroczne po- kwitowania z zarządu i wypłacania się z żup dla samego Koście- leckiego (3), świadczą, iż tylko ten ostatni nim być mógł.

Andrzej Kościelecki, podskarbi nadworny i kasztelan bie- cki, później kasztelan wojnicki i podskarbi koronny, trzymał żu- pniectwo od r. 1508 do swój śmierci w r. 1515 (4). Był on także starostą spiskim, oświęcimskim, zatorskim, sądeckim i byd- goskim, oraz wielkorządcą krakowskim (5).

Za jego żupnictwa wydarzył się okropny w dziejach kopal- ni wielickiej wypadek w r. 1510, to jest pożar; rzecz straszli- wa, gdy wszędzie, a cóż dopiero w podziemnych pieczarach, do

(1) Zł. 1500 z zapisu w arch. metr. kor. księga M, 21 str. 60.

(2) Arch. metr. kor. księga O, 22 str. 226.

(3) W arch. metr. kor. księga Q, 24 str. 17, 115. 303.

(4) Niesiecki Herbarz T. V str. 274 jako powody śmierci Kościeleckiego przytacza: zmartwienie po śmierci jedynaka syna, ominięcie go starostwa krakowskiego, i gniew braci „delikatnych w poczciwości i honorze,” obrażonych nań iż się ożenił z Katarzy- ną Telniczówną szlączką przedtém kochanką Zygmunta I.

(5) Paprocki Herby rycerstwa st. 410.

których przystęp niełatwy, ratunek prawie niepodobny, a wszędzie śmierć grozi. Wypadek ten opisał nam współczesny Jodok Ludwik Dycz, Decyuszem zwykle zwań, sekretarz Zygmunta króla (1).

„W pieczarach gór słonych wielickich niegodziwy robotnik kopalni, wychodząc podrzucił ogień, z którego wszczął się pożar: przepełniły się dymem i smrodem komory, wielu robotników dla dymu trafić do wyjścia nie mogli, i w śród ucieczki błądząc w podziemiach karki połamali lub poduszeni zostali. Wówczas Andrzej Kościelecki żupnik, wśród ogólnej obawy, wystawił się na największe niebezpieczeństwo, bo gdy nikt z popolitych ludzi nie śmiał zejść do kopalni, kazał się uwiązać na linie, aby dla niesienia ratunku spuścić się do głębi. Towarzyszył mu Seweryn Betman rajca krakowski starzec prawie 90cioletni, poważny siwizną, ówczesny górmistrz; ten żupnika już u dna szybu od dymu zemdlonego uratował: słowem, za sprawą obudwóch ogień został ugaszony, a góry z największego niebezpieczeństwa staraniem ich wybawione zostały.”

(1) Jodocus Ludov. Decius, uzupełniając kronikę Mateusza z Miechowa napisał trzy księgi: 1. de vetustatibus polonorum, obejmującą historią aż do Jagielly czasów. 2. de Jagellonorum familia, czyli panowania następne aż do Zygmunta Starego. 3. de Sigismundi regis temporibus aż do r. 1517 w Krak. u Hier. Viatora 1521.

Wypadek pożaru opisuje w tej księdze III pod r. 1510 str. 73 (w zbiorze Pistorego, Basileae 1682 T. II str. 310): „Apud Cracoviam in vielicensi oppido, in caverna montium, homo nequam laborator montanus exeundo ignem ipsis cavernis injecerat, quo exuscicato montes fumo atque foetore repleti; plurique ex laboratoribus dum fumo impedirentur, aberrantes in ipsis cavernis aut colla fragere aut suffocati sunt. Andreas Coscielecus salinarum tunc praefectus, metu percussus, periculo se ingenti exposuit, dum enim ex obscuris etiam nemo esset qui descendere vellet, ipse accinctus ut rem salveret, descendit. Eum comitatus est Severinus Bethmanus consul cracoviensis, fere nonagenarius, homo veneranda canitie, montium magister qui Andream jam fumo delapsam in montis summa profunditate servavit; nihilominus utriusque postea industria ignis extinctus, et montes in maximo discrimine positi, amborum diligenti opera servati sunt.

Pożar ten kopalni Wieliczki poetycznie odmalował Franciszek Weżyk w poemacie: Okolice Krakowa; zob. także Górn. w Polsce T. I str. 146.

Betman ten umarł tegoż roku co Kościelecki, t. j. 1515, w 95 roku życia (1), dzierżąc od r. 1510 do śmierci bachmistrzowstwo wielickie, zakupione przez ojca jego Zygryda (2). W tych czasach także bachmistrzowstwo bocheńskie niegdyś przez Gładyszów posiadane, od Jana Chiszowskiego w r. 1509 nabytém zostało przez Jana Sapię (Sopiha) wielkiego sekretarza W. ks. Litewskiego (3).

W r. 1515 żupnictwo krakowskie solne otrzymał Jan Boner. Nowa odtąd epoka nastąpiła dla świetności salin, bo téż Boner był człek niepospolity, umiejętny i gospodarny, a godny monarchy któremu służył. Wypadki zarządu jego godzi się szczegółowo przedstawić.

(1) Pod r. 1514 Decius na str. 105 (w zbiorze Pistor. T. II str. 331) mówi, iż Seweryn Betman po stracie syna Seweryna na zarazę w kwiecie wieku zmarłego (d. 9 paźd.), a po wydaniu córki Zofii za Jana Bonera (d. 23 paźd.), umarł d. 26 paźd. 1515 w wieku lat 95.

(2) W arch. metr. kor. księga Q, 24 str. 309, księga T. 29 str. 376.

(3) W arch. metr. kor. księga Q. 24 str. 305-



## ŚMIECH.

(NAŚLADOWANIE Z FRANCUZKIEGO).

---

**M**ysimy wszystko stracili wśród niewiary grzechu,  
Do owego głośnego, serdecznego śmiechu,  
Od którego twarz szczerą wesołością błyska,  
Co policzki rozdyma, z oczu łzy wyciska,  
I taki jowijalny, a bez zółci przecie,  
Że się człowiek śmiejący wydawał jak dziecię!

O! śmiech ten nie był milczkiem pełznącą gadziną,  
Ale lał się strumieniem jako stare wino!  
Lecz dzisiaj, o ty śmiechu ubiegłego czasu,  
Coś jak wino wytrawne nie miał w sobie kwasu,  
Ty nasz wesoły kumo, ty drużbo serdeczny,  
Już z nami stary śmiechu wzięłeś rozbrat wieczny!

A uśmiech nasz dzisiejszy, smutny i nieszczerzy,  
Cichy i nudny, jak maryasz bez kozery.  
Cierpko potrzasa głową i przygryza wargi,  
Które jakby gorączka przepaliły skargi.  
Któż się dzisiaj zanosi albo śmiechem krztusi,  
Czyżże się brzuch od śmiechu jak dawniej trząść musi?

Już nie ma dykteryjek i wina w puharze,  
Gdzież są owe pyzate a rumiane twarze  
Co swoją tęgą pierśią (popijając z dzbana)  
Nuciły świeckie pieśni, lub chwaliły Pana!  
Gdzie przy ogniu kominka cnych małżonków gwary,  
Gdzież naiwne koncepta, gdzież jest drabant stary!

Odkąd śmiech małpi skrzywił policzki Woltera,  
Odtąd w Paryżu skonał ów głośny śmiech stary,



Co miał swoje korzenie, miał swoje konary,  
Jak wszystko to, co żyło w czasach silnej wiary.  
A w miejsce jego nastał ów uśmiech jałowy,  
Jak szkoły d'Alamberta i serca i głowy:  
Odtąd Paryż się próżno wśród wstrząśnień szamoce,  
Bo niewiara nie stwarza, lecz tylko druzgoce....

O biada talentowi, co pełen zapалу  
Chce jak orzeł ulecieć w kraje ideału!  
Głupi uśmiech go śrótem szyderstwa postrzeli,  
I ptak ten, co już słuchał niebieskiej kapeli,  
Co już swém okiem niebios zaczerpnął uludy,  
Musí zpod wrot niebieskich upaść w ziemskie brudy,  
Nim go ztamtąd, bez skrzydeł, tracącego pierze,  
Piołunna ręka śmierci przed czasem zabierze.

*A. Czajkowski.*



# O WYPIEKU CHLEBA.

PRZEZ

S. Przysiański.

---

Od pół wieku wypiek taniego a dobrego chleba stał się przedmiotem badań i usiłowań. Wszystkie prawie przemysłowe i rolnicze zawody, przyjęły udział w poszukiwaniach wiodących ku temu celowi, wielce obchodzącemu higienę publiczną i ekonomią polityczną.

O ważności téj kwestyi najlepiej świadczą wykazy statystyczne. Wzorowo pod tym względem układane tablice w *Bureau des Subsistances* przy ministerstwie rolnictwa i handlu we Francyi, przekonywają dowodnie, że chybotanie lub równowaga między produkcją i konsumcją, zwiększanie lub zmniejszanie ludności w kraju, a nawet większa lub mniejsza śmiertelność ludności w całej w ogóle Europie, podlega wpływowi ceny zboża i chleba.

Rządy czuwające nad higieną publiczną dokładają wszelkich usilności, rozwijaniem konkurencyi, ułatwieniami czynionemi przedsiębiorcom, polecaniem wykonywania prób i doświadczeń, aby wypiek zdrowego i pożywnego chleba uczynić dla mass jak najprzystępniejszym. W skutek tych podnieć, wypiek chleba należący dawniej do gospodarskich zatrudnień, w wielu już miejscach za przykładem municypalności stał się przed-

miotem fabrykacyi na wielką skalę, oszczędzającąj znacznie czas i pracę, a zatem i koszta produkcji.

Nadto, przekonane o potrzebie czuwania nad wyrobem tego artykułu żywności, z powodu nadużywania zaufania publicznego, municypalności w wielu miejscach np. Holandyi, Niemczech, Sardynii, Austryi, u nas, ogłaszają co miesiąc ceny chleba przez zmianę wagi bochenków, albo cenę bochenków, zachowując ich stałą wagę (1). W innych znów krajach, władze rządowe jedynie występują z konkurencyą z prywatnemi, jak np. w Prusach, Szwecyi, Hiszpanii, Anglii, (Londyn, Liwerpool, Dublin, Edyburg); liczba piekarzy nie jest ograniczoną żadnemi dekretemi, ani warunkami cechowemi, nie ogłaszają tam cen chleba, ale wielkie piekarnie rządowe sprzedają go po znizonej cenie, i skoro piekarze podnoszą zbyt wysokie ceny, władza miejscowa zmusza ich mocno rozwiniętą konkurencyą do znizenia ceny, a to proporcjonalnie do rzeczywistych cen zboża.

U nas zdaje się wchodzić połączony system: władza pośredniczyć ma między publicznością i piekarzami ogłaszaniem cen miesięcznych, a nadto Bank przychodzi groźnie w konkurencyą, rozwijając swój zakład piekarski, dla pomiarkowania w zyskach zbyt korzystnego u nas fachu piekarskiego.

Chwalebny ten zamiar, bez zaprzeczenia wywoła ulepszenia w prywatnych piekarniach, przez co błogi może wyrzucić skutek nietylko dla miasta, ale i dla całego kraju: bo za tym przykładem zapewne że i mniejsze gminy pomyślą o dobrém i tanim pieczywie tego artykułu. Dlatego zamierzaliśmy w dalszym ciągu obznajomić czytających z zasadą i ulepszeniami, wprowadzonymi dotąd przy wypieku zwykłego chleba, pomijając wyrób wszelkich gatunków zbytowego ciasta, nie stanowiącego ważnego przedmiotu i nie podlegającego żadnym ograniczeniom i taxom.

Nauki przyrodzone, ta ozdoba naszego wieku, a jednocześnie dźwignia pomysłności narodów, wielki w téj kwestyi

(1) Pierwszy sposób zdaje się właściwszym; podniesienie cen zboża nie jest zawsze tak wielkie, aby mogło za sobą pociągnąć podniesienie ceny funta chleba. W tym jednak razie brak drobniejszej monety nieraz zmusza dla okrągłości do zbytowego podniesienia ceny, która w drobnym handlu bywa jeszcze podważaną. Lepiej w takim razie zmniejszać o parę łutów wagę bochenka chleba (byle jęj dobrze pilnować), pozostawiając zawsze stałą cenę.

miały udział: im to zawdzięczamy dokładne poznanie przedmiotu, podanie różnych środków na oszczędzenie czasu i kosztów fabrykacyi, słowem niemało pomogły schorzałej Europie w zapatrywaniu się w tańszy chleb powszedni, będący nieodłącznym warunkiem bytu naszego.

Zboża, które od wieków stanowią nasze główne pożywienie, zapewne początkowo instynktem na pokarm wybrane, przedstawiają, jak nas chemia naucza, wielkie podobieństwo z mlekiem pod względem składu i działania na nasz organizm. Materya ziarn zbożowych, tak jak mleko, zawiera w sobie oprócz części nieazotowych, wiele innych połączeń, do których składu wchodzi azot, i które właśnie pomagają do odżywiania krwi, mięs, wywołują siłę, rozwijają organizm ludzki. Z tego względu, wartość różnego rodzaju zboża ceni się w handlu niemal proporcjonalnie do ilości tych połączeń w ziarnie zawartych. Nadto ziarna zbożowe zawierają w sobie najwłaściwszy stosunek materij azotowych do nieazotowych, t. j. do połączeń tłustych, cukrowych, przeznaczonych głównie do zachowywania życia, przez podtrzymywanie w nas ciepła zwierzęcego, jako téż do soli mineralnych koniecznie potrzebnych dla wzmacniania i odświeżania rusztowania kościstego, podpory naszego ciała.

Z różnych gatunków zbóż, pszenica jako najbogatsza w połączenia azotowe, najwięcej bywa używaną do wypieku chleba na zachodzie Europy.

Analizy Pelligot'a z różnemi gatunkami pszenicy wysuszonej w 100<sup>o</sup>, przekonywają o takim ich składzie:

	Sando- mierka 1844 r.	Odessa	Tagan- róg
Woda . . . . .	13,2	15,2	14,8
Materje tłuste . . . . .	1,5	1,2	1,9
Materje azotowe w wodzie nieroz- puszczalne . . . . .	19,8	12,7	12,2
Materje azotowe rozpuszczalne w wo- dzie (białko). . . . .	1,7	1,6	1,4
Materje nie azotowe rozpuszczalne .	6,8	6,3	7,9
Krochmal . . . . .	55,1	61,3	57,9
Cellulon (błonnik) . . . . .	—	—	2,3
Sole . . . . .	1,9	1,4	1,6

Wybraliśmy te tylko gatunki pszenicy, jako najbogatsze w materje pożywne, i dlatego więcej poszukiwane i popłatne.

W ogóle jednak po Sandomierce idzie pszenica egipska, po niej francuzka *Mitadin du Midi*, *Poulard bleue*, *Odeska* i t. d.

Ziarna zbożowe składają się z twardej powłoki, łuski, która co do wagi zawiera 14—16<sup>0</sup>/<sub>0</sub> ciężaru ziarna, i z masy wewnętrznej, kruchej, do której składu wchodzi połączenia azotowe: klój roślinny, białko, włókno roślinne; połączenia nieazotowe: krochmal, cukier, gumma; i na koniec ciała nieorganiczne: chlorek potassium, siarczan potażu, fosforan magnezyi, węgiel wapna, krzemionka.

Dwie te części ziarna przez zemlenie, a następnie przesiewanie oddzielają się od siebie; na pytle pozostają okruchy, łuski, zawierające drewnik i trochę kleju roślinnego, które w potocznej mowie nazywamy otrębami. Im lepiej jest mąka zemlona i spytlowana, tym jest droższą. Na rozdzielanie tych części zwrócono pilną uwagę; bo jakkolwiek tylko mąkę spożywamy, a otręby oddajemy zwierzętom (zwykle przeżuwającym), aby części pożywne jeszcze w nich zawarte wróciły nam w formie mleka i mięsa, jednakże przy często ponawiających się neurodzajach i drożyznach wypada ze zboża odciągać jak największą część pożywnych dla ludzi. Przekonano się, że za czasów Ludwika XIV we Francyi, przez złe mlewo tracono prawie 40<sup>0</sup>/<sub>0</sub> materyi, któreby mogły być przez nasz organizm przyswojone, gdy dziś przez udoskonalenie sposobów mlenia, strata wynosi za ledwie 12<sup>0</sup>/<sub>0</sub>—15<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, i zapewne przy coraz większych ulepszeniach młynów na tém się jeszcze nie ograniczymy.

Lecz starając się o wydzielenie ze zboża jak największej części pożywnych przy najmniejszym koszcie, roztrząsano kwestyą, czyby nie było korzystnem wypiekać chleb z mąki dobrze zemloną bez oddzielania otrąb. Millon, który badał ten przedmiot naukowo, dowodzi, że otręby zawierają w sobie materye i dla nas pożywne, albowiem massa środkowa ziarna najbliższa łuski, najbogatszą ma być w połączenia azotowe, i wraz z Bousingault poczytuje otręby za zdolne do wypieku. Pelligot jest przeciwnego zdania: wniósł bowiem z licznych analiz, iż powłoki ziarn zawierają materye tłuste, prawie w potrójnym stosunku względem ich ilości zawartą w mące, i że właśnie ten zbytek tłustych połączeń przeszkadza w przerabianiu mąki na chleb.

Innym jeszcze sposobem usiłowano odebrać otrębom części pożywne, a mianowicie przez ich wygotowywanie w wodzie

i używanie precedzonego rozcieku do drożdzy lub kwasu. Jednak te próby nie okazały się szczęśliwemi; mąka wprawdzie wydawała większy procent, lecz ten przybytek zaledwie równoważył koszt przygotowania roztworu. Nadto chleb wypieczony był czarniejszy, podobno mniej smaczny, a co najważniejsza, pozostałe otręby z kotłów były tak ubogie w materje pożywne, iż nie dały się używać na pokarm dla bydła.

Dobroć mąki pszennej z wejrzenia ocenić się daje: winna być koloru białego, cokolwiek w żółtawy wpadającego, nie okazywać żadnego śladu otrąb, a ciasto z niej w palcach ściśnięte ma być sprężyste, jednostajne, zdolne do wyciągania się i spłaszczania.

Pszenne mąki bywają często fałszowane dodatkami niekiedy szkodliwemi, a prawie zawsze niepożywnemi; lecz jak liczne są sposoby fałszerstw, tak również nauka liczne podaje środki na ich wykrycie.

We Francyi probowano w czasie drożyzny do pszenicy dodawać ryż; okazało się jednak ostatecznie, że chleb wypieczony z takiej mąki jest ciężki, zbity, zawiera w sobie większą ilość wody, i względnie do kosztów niepożywny, a nawet trochę niestrawny, tak, iż niewielkie zniżenie ceny chleba ostatecznie okazało się zwodniczym.

Podobnie radzono do mąki pszennej dodawać mąkę z pieczonych kartofli; lecz taka mieszanina zawiera w sobie mniej części plastycznych, a natomiast zbytek części ciepło podbudzających. Dodawanie do mąki zemlonych roślin strączkowych, np. grochu, bobu, fasoli, należy do fałszerstw, które pod żadnym względem cierpianemi być nie powinny: ich bowiem materja azotowa nie jest podobną do kleju roślinnego, a nadto swą bytnością mają zmieniać cechy fizyczne kleju zbożowego.

Wspomnieliśmy, iż na Zachodzie do wypieku chleba powszechnie używają pszenicy: u nas jednak i w Niemczech chleb wyrabianym bywa z mąki pszennej pomieszanej z żytnią, albo z czystą żytnią. Żyto, ten dar nieoszacowany dla mieszkańców mniej żyznych, a nawet piaszczystych okolic, podobnie jak pszenica, przez zemlenie i spytlowanie wydaje mąkę, różniącą się od pszennej ciemną barwą, pochodzącą, zdaje się od powłoki ziarna, która łatwiej daje się rozdrabniać od pszennej, i dlatego zaciemnia wewnętrzną masę ziarna żytnich.

Analiza mąki żytniej wysuszonej w temp. 100<sup>0</sup> daje:

Wiedeńska mąka żytnia		
	Nr. 1.	Nr. 2.
Kleju i białka . . . . .	11,92	18,69
Krochmalu . . . . .	60,91	54,48
Drewnik, gumma } . . . . .	24,74	24,49
Cukier           } . . . . .		
Popiół. . . . .	1,33	1,09
Świeża mąka ma wody . .	13,78	14,68

W ogóle żyto zawiera mniej kleju jak pszenica, a nadto klój roślinny zawarty w życie, jęczmieniu, owsie, jest mniej sprężysty, mniej gąbczasty, a z tego powodu chleb żytni nie jest tak pożywny jak pszeniczny, wymaga więcej kwasu do zarobienia, cieplejszej wody, gęstszego ciasta, mniej soli, a natomiast dłuższego czasu do wypieku.

Przerobienie mąki na chleb można podzielić na dwie czynności: przygotowanie ciasta i jego wypieczenie, po urobieniu, rozumie się, w stosownej formy kawałki, mające oznaczoną wagę.

Mąkę można zarobić w ciasto przez same dodanie pewnej ilości wody, która rozpuszcza jedne części składowe mąki, a inne tylko przenika. Takie ciasto wysuszone w umiarkowanym cieple daje masę ciężką, bez smaku, trudną do strawienia, w której większa część połączeń, mąkę składających, jest prawie niezmienioną. Skoro zaś tak zarobione ciasto przez pewien czas będzie wystawione na temp. 100, wówczas krochmal staje się rozpuszczalnym w wodzie, a cała masa twardniejąc, wydaje ciasto niełatwe jednak do strawienia. Na podobny sposób przygotowują dotąd niektóre ludy np. Indyanie, Żydzi (mace,) ciężkie placki mączne zastępujące chleb.

Trudność, jakiej doznają nasze organa trawienia w przyswojeniu sobie, czyli wydzieleniu z takiego chleba części potrzebnych i pożywnych dla organizmu, spowodowała od wieków do wyrabiania kawałków ciasta mających masę lżejszą, więcej dziurkowatą, przedstawiającą organom trawienia znaczną powierzchnię, aby łatwiej przez soki żołądka przeniknąć się dała.

Ten cel osiągamy obudzając w cieście fermentacją, podczas której wydzielający się kwas węglany nadyma całą masę, i następnie wypiekając ciasto, przyczem parująca woda jeszcze więcej przyczynia się do podniesienia bochenków. Fermentacją

w massie ciasta na chleb przeznaczonego wzbudzić można albo trochę ciasta, które przez pozostawienie w ciepłym miejscu do pewnego stopnia przeszło w ferment, tak, że może swą obecnością wywołać szybką fermentacją w całej massie zarobionej mąki; albo, jak to często się dzieje przez dodanie drożdży, stanowiących bardzo dobry i szybki ferment.

U nas wyłącznie przy fabrykacji chleba żytniego używa się ciasto kwaśne czyli kwas. Jestto część ciasta pozostawiona w dzieży z poprzedniego pieczywa, i umieszczona w ciepłe, pewną stałą posiadająca temp. ( $18 - 20^0$ ), a to stosownie do pory roku, a nadto w zupełnie spokojnym miejscu, aby nic nie wstrzymywało rozpoczętej fermentacji. Takie ciasto po upływie dnia przechodzi w fermentację, tworzy się w nim kwas octowy i mleczny, które nadają mu smak kwaskowaty, z kąd właśnie pochodzi jego nazwa. Aby jednak fermentacja nie rozwinęła się zbyt znacznie, przez co całej massie zarobionej pod chleb mąki mogłaby nadać smak kwaskowaty; kwas zwykle poddaje się różnym przeróbkom. I tak świeży kwas pozostawia się naprzód w spoczynku 7—8 godzin; wtedy jego objętość przez wywięzywanie się kwasu węglanego, prawie dwa razy się zwiększa, a z całej masy wychodzi dość przyjemny zapach (*levain en chef*). Następnie po 9 godzinach do tego dodaje się tyle mąki i wody i wybija się, żeby powstała ztąd masa podwójnej objętości, lecz posiadająca pewną tęgosc (*levain de première*); w 6 godzin po raz drugi dodaje się mąki, lecz wody więcej jak w poprzednim stosunku i ciasto się znów wybija (*levain en seconde*); nakoniec po raz trzeci dodaje się mąka i woda i otrzymuje się gotowy kwas (*levain de tout point*) do wybijania ciasta pod chleb. To częściowe dodawanie mąki i wody ma na celu podtrzymywać ciągle fermentacją alkoholyczną, lecz nie dozwolić przejścia jej w octową; nadto przez powolne dosypywanie mąki, które Niemcy zowią *Aufrischen*, odświeżaniem, i to się zyskuje, że bardzo małą ilością kwasu w bardzo znacznej ilości mąki wzbudza się fermentacja, i cała masa zarobionego ciasta wszędzie jednostajnie jest przeniknioną wywięzującym się kwasem węglanym.

Przygotowawszy w ten sposób potrzebną ilość kwasu do wybijania żądanej ilości mąki na ciasto, wlewa się do niego naraz cała ilość wody, odpowiadająca mającej się dosypać mące, i taki zacier dobrze się rozrabia, aby był jednorodny, bez grudek,



i dlatego potrochu dosypuje się mąka. Ciasto powstałe przewraca się rękami, przerywa, tłucze, podnosi, rzuca i t. p. aby jak najwięcej dotykało się powietrza potrzebnego jeszcze do fermentacji. Do massy dodaje się sól kuchenna, stosownie do zwyczaju: i tak we Francji 2 killogr, a w Anglii  $4\frac{3}{4}$  killogr na 300 killogr, mąki. Po dostatecznym wybiciu, pozostawia się ciasto do dalszej fermentacji w spoczynku w ciepłej izbie pod nakryciem (niekiedy flanelą), i to zwiąż narastaniem ciasta. Narośnięte ciasto po pewnym czasie powtórnie się przerabia dlatego, aby chleb nie był ciężki i kwas węglany równo rozdzielony. Piekarze poznają dostateczny stopień wybicia, gdy ciasto ręką ujęte nie przylega do ciała, nie lepi się.

Chleb wypiekany z ciasta fermentowanego za pomocą kwasu ma w swém środku wielkie otwory, zwane *oczami*; ścianki tych otworów są połyskujące jakby zakalcowate; nadto smak jest kwaskowaty, a niekiedy przy zbyt posuniętej fermentacji, kwaśny. Z tej przyczyny nie wszyscy mogą go używać na pokarm, szczególnież też osoby z osłabionemi funkcjami trawienia.

W czasie fermentacji część massy ciasta zmienia się w cukier, a ten następnie w alkohol i kwas węglany, który dopiero całą masę nadyma, czyniąc ją dziurkowatą. Ilość par alkoholycznych jest dość znaczna: część ich uchodzi z chleba przed wstawieniem do pieca, a część wydziela się w samym piecu. Część mąki, która posłużyła do tych przemian jest więc zupełnie dla konsumentów straconą. Z tego powodu myślano sprawić dziurkowatość w massie ciasta przez wywięzywanie się gazów z ciał obcych, umyślnie w tym celu dodanych, któreby jednak nie wywierały żadnego szkodliwego na zdrowie wpływu. Proponowano zarabiać ciasto pod chleb ze stosowną ilością dwuwęglanu sody i ze słabym roztworem kwasu solnego; wtedy wydzielający się kwas węglany podnosiłby ciasto, a z reakcyi tych dwóch ciał powstały chlorek sodium (sól kuchenn.) pożytecznym byłby dla chleba. Według prób tym sposobem czynionych w Anglii, możnaby od 7—10% otrzymać więcej ciasta, jak za pomocą zwykłego fermentu. Do tegoż samego celu zamierzono użyć półtora-węglan amoniaku, sól, która w umiarkowanym gorącu rozkłada się na swe części składowe gazowe; dlatego mieszano ją w proszku do mąki, albo rozpuszczano w wodzie przygotowanej pod ciasto, i następnie zara-

biano nią mąkę, i wybijano ciasto, aby sól jednostajnie w całej massie się rozdzieliła. Podobnie probowano w miejsce drożdży brać dwuwęglan sody i kwas winny i t. p.

Wszelkie te jednak przyprawy nie weszły w użycie tak z obawy nadużycia, jak i dla téj niedogodności, że chléb z nich wypieczony nie jest dosyć dziurkowatym i lekkim; ciasto bowiem musiałyby być bardzo szybko obrabiane, piekarze nim zdążyliby urobić bochenki, jużby znaczna część kwasu węglanego wyszła. Dotąd przynajmniej te wszystkie sposoby sztucznego spulchniania ciasta policzyć należy do prób; nie dały bowiem nigdzie wypadków pewnych i wolnych od wymagań, zresztą bardzo słusznych, jako dotyczących najważniejszego artykułu żywności.

Główną rolę przy wypieku chleba odgrywa klój roślinny, który z krochmalem tworzy ciasto, na mocy szczególnego sposobu zatrzymywania w sobie wody, w jaki naprzykład tkanki muskularne lub ścięte białko zawierają ją w sobie znaczną ilość, a jednak nie wilgocą ciał suchych. Klój roślinny w kształcie chleba może się przechowywać czas nieograniczony, lecz zetknięty z wodą szybko się przekształca, traci swą spójność i lepkość, staje się rozpuszczalnym w wodzie, a ztąd czyni się niezdolnym do utworzenia ciasta.

Takaż sama zmiana kleju roślinnego następuje i w mące, gdy ta przez czas długi w skutek swéj hygrometryczności przyciągnie znaczną ilość wody; wówczas mąka coraz staje się gorszą i niezdolniejszą do przemienienia na chléb. Dla zabezpieczenia się od tego przekształcenia, starano się naprzód w sztuczném cieple mocno wysuszać mąkę, a potem usuwać ją od zetknięcia z powietrzem, szczególniej wilgotném. Nie porzeczono jednak na tym sposobie, pewnym, ale pociągającym koszta. Przed dwudziestą kilku laty belgijscy piekarze natrafili na inny bardzo szkodliwy środek otrzymania chleba z zepsutej mąki, zupełnie podobnego do chleba wypiekanego z najlepszej; sekret polegał na przymieszaniu do mąki nadpsutej siarczanu miedzi (koperwasu miedzianego) albo alunu (siarczanu glinki i potazu). Działanie tych soli Liebig w ten sposób objaśnia: pod działaniem ciepła w piecu, te sole z klejem roślinnym zmienionym od wilgoci tworzą połączenia (1), które

(1) Znana jest własność ściągająca alunu; zażyty w wielkiej ilości wywołuje suchość w ustach, gardle, wzmaga pra-

materii proteinowej, stanowiącej zasadę kleju, wraca jój pierwotne własności t. j. nierozpuszczalność i hygroskopijność. Liebig wychodząc z téj zasady, że kazein (twarog) ma własność tworzenia z wapnem połączenia stałego, proponuje podstawiać tę nieszkodliwą zasadę w miejsce siarczanu miedzi lub alunu. Stosunek wody wapiennej do mąki może być jak 19:5, czyli 52—54 kwart wody wapiennej na centnar mąki: skoro zaś ta ilość wody nie będzie dostateczną do zarobienia ciasta, należy dodać resztę czystej wody. Ciasto utracą przez to swą kwasowatość i zmienia cokolwiek swój smak chlebny, do którego przywykliśmy, lecz dodanie większej ilości soli kuchennej usuwa i ten niedostatek. W domu Liebiga 19 funt. mąki bez wody wapiennej wydawało 24½ funt. chleba; zarobiona zaś ta ilość mąki z 14 funt. wody wapiennej, wydała 26 funt. i od 6—10 uncyi; tak, że przez dodanie wapna zwiększał się prawie o 2% wydatek chleba. To zapewne pochodzi ztąd, iż mąka w przytomności wapna może zatrzymywać znaczniejszą ilość wody. Dodanie wapna nie może być wcale szkodliwem dla zdrowia, wychodząc z tego fizjologicznego faktu, że czysta mąka spo-

gnienie i inne ważniejsze wstrząśnienia w naszym organizmie; w większej zaś dozie wywołuje bardzo szkodliwe działanie, prowadząc choroby tym większe, im osoba słabsze posiada trawienie. Dumas jest mniemania, iż dla osób słabego układu, codzienne zażywanie alunu w chlebie może śmiertelne wywołać skutki. W Londynie, Liverpool i innych miastach, użycie téj soli dość było powszechne; czujność władzy i kary pieniężne, (od 30 do 120 rub. sr.) zdaje się usunęły to fałszerstwo.

W r. 1840 doktor Lefebre okazał, że przypadłości których doznało wiele osób w pewnym cyrkule Paryża, wywołane były przez chleb, w którym rozkład analityczny okazał pewną ilość alunu.

Siarczan miedzi w znacznej ilości zażyty jest trujący, a w małych, lecz ciągle podawanych cząstkach, bardzo szkodliwie na organizm działa. W r. 1844 w Bruxelli o mało cała familia nie została otruta przez chleb, do którego piekarz domieszał znaczną ilość siarczanu miedzi. W r. 1843 trybunał w Bruxelli skazał piekarza za podobne fałszerstwo na dwa lata więzienia, 443 fr. kary, pozbawienie na zawsze przywileju piekarskiego i rozgłoszenie wyroku po mieście i przedmieściach Bruxelli. W r. 1847 jedenastu piekarzy bruxellskich wezwano przed sądy, i po przeprowadzeniu procesu, pięciu skazano na dwu-letnie więzienie i karę pieniężną po 200 fr.

Kuhlmann, Chevalier, Parizot, Hauw i inni podali różne sposoby wykrycia najmniejszej ilości téj soli.

zywana w formie chleba, sama nie może wystarczyć do utrzymania zdrowia, bo chociaż zawiera dostateczną ilość kwasu fosforycznego do wyrabiania systematu kościstego, zamało posiada wapna, mniej jak rośliny strączkowe. Lekarze są zdania, że tej przyczynie przypisać właśnie należy niektóre ciężkie choroby więźni, żywionych wyłącznie prawie chlebem, albo rachityzm dzieci w tych krajach, gdzie chleb, główne stanowi pożywienie.

Gdy wypiek chleba stał się przedmiotem fabrykacyi na wielką skalę, okazała się potrzeba mechanizmów oszczędzających pracę i czas. W tym przedmiocie liczne poczyniono wynalazki: usunięto użycie rąk do wybijania ciasta: działania wymagającego wiele wprawy, nadzwyczajnej czystości, a przytém znacznego czasu, podstawiając dzieże mechaniczne poruszane siłą pary lub innym motorem; wprowadzono nowe piece wymagające mniej materiału opałowego i tak urządzone, iż wypiek chleba bez przerwy na nich prowadzonym być może.

Być może, że do upowszechnienia tych nowych dzież i pieców, oprócz powyżej przytoczonych, przyczynił się także wzgląd na zdrowie osób pieczywem się trudniących (1).

Znanych jest kilka urządzeń dzieży mechanicznej, różniących się drobnymi szczegółami, gdyż zasada ich budowy jest jednakową i polega na przerzucaniu lub przecinaniu ciasta.

(1) Nie wchodząc w rozbiór ważnej kwestyi, dotyczącej wpływu, jaki na budowę fizyczną człowieka wywiera życie nocne, (wymagającej zresztą więcej specjalnych pod tym względem wiadomości), przytoczymy tu zdanie lekarzy, utrzymujących, iż nagłe zmiany temperatury wywierają szkodliwe działanie na zdrowie piekarzy i że ztąd pochodzą panujące u tych rzemieślników cierpienia płucowe i reumatyczne. Podobnie, bladeść cery cechująca czeladź piekarską, ma mieć źródło w zbyt gorącej atmosferze, w której przebywają; wyziewy z ciasta gorącego, z ciasta fermentującego, usposabiają ją ma do choroby, która znów wywołuje skłonność do pniaństwa i nierządu. Syndykat piekarski we Francyi zmuszonym był uciec się do surowych środków i przepisów, tamujących te ostatnie wykroczenia.

Te i inne spostrzeżenia lekarskie nad stanem zdrowia piekarzy, równie jak zdarzające się przypadki zagorzenia lub uduszenia od źle przygaszonych węgli, wyrzucanych z pieców drzewem wypalanych, zapewne przyczynić się mogły do szybkiego upowszechnienia mechanizmów i nowej budowy pieców.

Do najlepszych liczą dziezę Clayton'a, składająca się z walca wewnątrz pustego, osadzonego na osiach obracać się mogących, i z żelaznej kraty, złożonej z noży stosownie pochyłych. Krata jest osadzoną na osobnej osi, przechodzącej przez oś podtrzymującą walec i obraca się jednocześnie z nim, lecz w przeciwnym kierunku, przy pomocy bardzo prostego mechanizmu, stanowiącego główny warunek podobnych machin.

W niektórych zakładach piekarskich francuzkich, a szczególnie braci Muchot piekarzy w Montrouge, (których zakład bez zaprzeczenia do najlepszych należy, i gdzie wszystkie mechanizmy porusza para), używają dzieży pomysłu p. Fontaine. Podobnie jak poprzednia, jest ona kształtu walca wydrążonego, osadzonego na osi wprawianej w ruch obrotowy za pomocą pasów, idących od wału rozprawdzającego siłę od machinki parowej. Dzieża, kręgami równoległymi od podstawy przedzieloną jest na 3 części, a w każdej umieszczone są poprzeczne przegrody i sztaby, służące do przerywania i przerzucania ciasta. Dwa oddziały dzieży wybijają ciasto pod wypiek, a jedna rozczynia ciasto drożdżowe. Po stosownym napełnieniu, dzieża puszcza się w ruch, i po 7 minutach obrotu, przyrząd umieszczony na osi dzwoniąc, ostrzega, że dzieża uskuteczniła doświadczeniem wskazaną liczbę obrotów. Wtedy dozorujący czeladnik przerywa ruch, otwiera klapę, a przekonawszy się o stanie ciasta, dodaje albo mąki, albo wody, stosownie do tego, czy ciasto jest zarzadkie czy zatęgie. W 10 minut powtórnie daje się słyszeć dzwonek, przywołujący czeladnika, i wtedy ciasto zupełnie bywa wybite. Nie podajemy tu szczegółów dotyczących ilości wody, mąki, soli: to bowiem zależy od gatunku mąki i wypieku zwyczajem przyjętego. Nadmienić jednak należy, że tak urządzona dzieża ciągle może być czynną: sama zaczyna drożdże, wybija ciasto, zatrudniając dwa dobrze urządzone i w ciągłym działaniu zostające piece.

Nakoniec wspomnieć tu wypada uproszczoną dziezę znanego paryzkiego piekarza Rolland: składa się ona z naczynia półwalcowego, nieruchomie osadzonego, takiej objętości, iż przygotować może naraz ciasto do wypieku jednego pieca. Przez środek walca przechodzi oś, do której przymocowaną jest krata, złożona ze sztab krzywo-linijnych naprzemian dłuższych i krótszych, osadzonych na przeciwległych bokach żelaznego prostokąta. Krzywizny sztab przedstawiają ćwierć powierzchni walco-

wój i tak są ustawione, że podczas obrotu powierzchnia jednych obróconą jest wypukłością, drugich wklęsłością ku dnu dzieży. Jój działanie ma być bardzo szybkie, potrzeba bowiem tylko 10 minut aby wór mąki zmienić w ciasto dokładnie nastroszone, przewrócone, bez grudek; a nadto z powodu dodanego koła rozpednego i dwóch kółek zębatach przesyłających ruch motora, wymaga siły jednego tylko człowieka. Podobnie urządzone dzieże o kratkach ze zginanemi prętami, wprowadzone zostały do piekarni szpitali cywilnych w Paryżu przez Bollanda.

W zakładzie piekarskim Bankowym u nas używaną jest dzieża, zbudowana według systematu Rollanda; ma dobrze i szybko działanie odbywać, lecz wymaga, jakśmy to widzieli, siły trzech ludzi do wybicia ciasta żytniego pod zwykły chleb.

Co się tyczy użycia dzież mechanicznych, oszczędzających czas i pracę, a nadto odznaczających się czystością, jaką nie zawsze znajdziemy przy użyciu rąk, dodać należy, że fermentacja ciasta tym sposobem wybijanego, nie odbywa się tak szybko jak z pomocą rąk ludzkich. Przyczyna tego zjawiska spoczywa naprzód w ciepłe rąk naszych, a powtóre w dodatku potu wydzielającego się z rąk czeladzi ciasto wybijającej. Ta to powolna fermentacja wstrzymała proponowane użycie dzieży mechanicznej do wypiekania chleba dla wojska, w czasie kampanii.

Po ostatecznym wyrobieniu, ciasto wyklada się z dzieży na obszerne stoły, rozdziela się na kawałki trzymające przyjętą wagę, i nadaje im się zwykłą formę. Bochenki z surowego ciasta więcej ważyć powinny, gdyż w piecu ciasto utracą znaczną część wody; w zakładzie Bankowym podobno 13 łutów na 3 funtach chleba. Wyrobione bochenki posypują mąką, aby nie przylegały do rąk, i w spokojności pozostawiają w ciepłej izbie, gdzie wydzielający się ciągle kwas węglany lub rozszerzający się gaz już istniejący w chlebie, czyni masę więcej dziurkowatą, i prawie podwaja objętość. Czas, przez jaki bochenki stać winny w ciepłym miejscu, może tylko wskazać doświadczenie; zbyt wczesne wstawianie do pieca sprawia ciasto nabite i ciężkie, wysoka bowiem temperatura pieca przecina dalsze wywiązywanie się kwasu węglanego.

Budowa pieców piekarskich w nowszych dopióro czasach znacznym uległa ulepszeniom. Zwykle używane piece są mrowane z cegły lub kamienia kształtu owalnego, głębokie na 12,

szerokie prawie na 10, a wysokie na 1 1/2 stopy. Wypalane bywają po miastach drzewem dającym mocny płomień, a po wsiach torfem; skoro drzewo się zwęgli i węgle zaczynają się żarzyć, wyrzucają je z pieca i trzon starannie oczyszczają. Głęb pieca bywa zwykle mocniej rozpalony, dlatego przed zupełnym wygarnięciem zarzewia, węgle zsuwają trochę naprzód, aby i tę część pieca dostatecznie rozgrzały.

Przed wsadzeniem, bochenki smarują się wodą, przez co w piecu przyjmują połyskującą skórę, a nadto parowanie tej wody łagodzi zbyt gwałtowne działanie ciepła na zwierzchnią warstwę ciasta. Czas, przez jaki chleb pozostaje w piecu, zależy głównie od wielkości bochenków, różnej konstrukcyi pieca, i użytego materiału opałowego. Piece wypalane drzewem nigdy równo ogrzać się nie dają; w części przedniej, wskutek wpadającego świeżego powietrza prędko stygną, i z tego powodu chleb po pewnym czasie musi być przesuwany.

Jeżeli kilka razy wypiek ma być powtórzonym, to drugie pieczywo albo bardzo długo musi stać w piecu, albo wcale się nie dopiecze, wtedy gdy pierwsze się nadpała. W takich razach po pierwszym pieczywie, piec się trochę wygrzewa. Według Rumforda doświadczeń, jeżeli do pierwszego wygrzania pieca potrzeba 366 funtów, to do drugiego wygrzania wychodzi 134 funt., do trzeciego 100 funt., do czwartego 90 funt. i t. d. drzewa jodłowego.

Jasną jest rzeczą, że im więcej wypieka się ciasta w jednym piecu, tym większą jest oszczędność materiału opałowego, stanowiącego ważny artykuł w kosztach produkcji.

Piece dotąd przez piekarzy używane, marnują znaczną ilość drzewa na mocne rozpalenie grubych ścian, konieczne dlatego aby po wyjęciu zarzewia temperatura odpowiednia przez długi czas w piecu utrzymać się mogła. Ta to niedogodność, jako też strata czasu na wygrzewanie i czyszczenie naprowadziła na myśl takiej budowy pieców, w którychby ognisko było zupełnie odosobnione od samego trzona na chleb przeznaczonego.

Urządzenia podobnych pieców są bardzo rozmaite.

W zakładach piekarskich w Hanowerze, pod poziomym trzonym pieca z przodu znajdują się dwa sklezione ogniska, a pod częścią głębszą kilka pomniejszych sklepień. Płomień uderza pod trzon, gazy przechodzą następnie przez 6 kanałów ciągnących

się ponad trzonem i uchodzą do komina. Dla lepszego ogrzania części przedniej pieca, wprost z ogniska wznoszą się trzy kanały, które jak obręcze otaczają tę część, i gazy wypuszczają wprost do komina lub stosownie do potrzeby, za otwarciem zasów do wnętrza pieca. Pary powstałe podczas pieczywa odprowadzają się osobnymi rurami na zewnątrz. Tak urządzony piec, według obliczeń, przy ciągłej czynności zużywa tylko  $4\frac{1}{2}$  f. węgla kamiennego na wypieczenie 100 f. chleba.

W Sztudgardzie od kilkunastu lat używany jest piec zbudowany przez Laderer (majstra mularskiego) i Muck (piekarza). Trzon pieca jest ceglany, sklepienie z żelaza lanego; między żelazem i murem zachowaną jest pewna odległość, przeznaczona na równe rozprowadzenie gorących gazów, uchodzących z ogniska. Pod przednią częścią trzonu znajduje się główne ognisko urządzone pod drzewo. Płomień i gazy rozchodzą się pod całym trzonem kanałami rozłożonemi w kształcie wachlarza, następnie unoszą się nad sklepienie pieca. Nakoniec ciepłe jeszcze gazy użyte zostały do ogrzewania kotła z wodą.

Z przestrzeni znajdującej się nad sklepieniem pieca wychodzą cztery kanały, wiodące dym do komina: są one opatrzone zasuwami, za pomocą których można regulować kierunek gazów, osłabiać ich działanie, a to stosownie do temperatury termometru merkuryalnego, mającego bańkę nie w samym piecu, ale w ścianie otaczającej (pokazuje tylko  $160^0$ ). Nadto, obok drzwi osadzoną jest w otworze soczewka szklana, a za nią lampka olejna oświetlająca całe wnętrze pieca.

Schoerg w Monachium zbudował cały piec z blachy żelaznej, i aby nie stygł prędko, otoczył go popiołem. Ogień umieszczony pod trzonem ogrzewa także kocioł z wodą, której pary stosownie do potrzeby w piec wpuszczane bywają. Przy powtarzaniem pieczywie na 100 f. chleba ten piec ma zużywać 7 f. drzewa.

Nakoniec znane jest jeszcze urządzenie pieca Rolland'a, ogrzewanego powietrzem gorącym, wychodzącym z ogniska znacznie odsuniętego od otworu pieca. Dym wraz z powietrzem rozchodzą się kanałami w kształcie wachlarza nad sklepieniem i podtrzonem pieca. Trzon okrągły ułożony z cegieł polewanych, spoczywa na tarczy żelaznej, która za pomocą prostego mechanizmu w ruch wprawianą być może. Łatwo pojąć dogodności takiego urządzenia przy wkładaniu, wyjmowaniu i do-



kładniem obejrzeniu pieczywa; przez stosowne bowiem obrócenie tarczy, bochenki trudniejsze do wypieku zatrzymać można w tych miejscach, które bywają najgorętsze. W 25 minut chleb jest wypieczony, tak, iż ładunek 18—20 razy ponowionym być może, i to z oszczędnością prawie 50<sup>0</sup>/<sub>0</sub> materiału opałowego.

Piece wyżej wzmiankowane wygrzewają z zewnątrz miejsce, gdzie się pieczywo ustawia; i stosownie do rozkładu kanałów, utraconych ich wymiarów, oszczędzają znaczną część paliwa.

Lemarc i Jamlet urządzili w Paryżu piec ogrzewany gorącym powietrzem, który następnie udoskonalony przez Grouvelle i Muchot, czynnym jest w wspomnianych wyżej zakładach piekarskich Montrouge. Ten piec zwany „*four aérotherme*” różni się tém od poprzednich, że do wnętrza pieca wchodzi strumienie gorącego powietrza, przez otwory porozmieszczane naokoło trzonu. Powietrze ogrzewające piec i dym z ogniska oddzielnymi krążą kanałami, nie mieszając się nigdzie. Skoro koks do ogrzewania użyty dobrze się rozпали, wtedy szczelnie zamykają się otwory, przez które płynie do ogniska powietrze potrzebne do podsycenia gorenia, a żarzenie węgla odbywa się kosztem powietrza, które się przeciska przez szczeliny ścian ogniska, a których otwory od ciepła mocniej zostały rozszerzone.

Koks ogrzewa naprzód powietrze znajdujące się w kanałach otaczających ognisko: tam rozpalone wchodzi pod trzon pieca, pędzi po licznych kanałach wzdłuż rozmieszczonych, następnie wpada do wnętrza pieca. Ogrzane początkowo do 300<sup>0</sup> C. przez zetknięcie z ciastem znacznie się ostudza, i wraca znów do kanałów otaczających ognisko, gdzie się powtórnie rozpala do żadanego stopnia ciepła.

Ten piec ma przedstawiać wielką oszczędność materiału opałowego, a nadewszystko wypiek odbywa się tak regularnie, iż więcej życzyć niepodobna.

Wypiek trwa pół godziny, można więc w ciągu dnia 24 razy piec napełnić; a że za każdą razą wychodzi około 133 funt. chleba, przeto na jednym tak urządzonym piecu można wyrobić do 3,192 killogr. chleba, przy pomocy 650 killogr. koksu. Dla obejrzenia pieczywa służą dwa gazowe płomienie, osadzone na dość długich łamanych rurkach.

Zwykle temperatura pieców winna trzymać 300<sup>0</sup> C. co łatwo obserwować za pomocą pyrometrów metalowych, albo nawet za pomocą merkuryalnego termometru, którego tylko gałka w wnętrzu pieca jest umieszczoną.

Jeżeli temp. pieca jest zawysoka, chleb wychodzi spalony, a środkowa masa często mało się różni od ciasta surowego, albowiem zwęglona skórka jako zły przewodnik ciepła nie dopuszcza go do środka bochenków. Ciasto potrzebuje ciepła przynajmniej  $100^{\circ}$  C. i to trwającego pewien przeciąg czasu, iżby kulki krochmalu, kleju roślinnego i białka połączyły się między sobą i zatrzymały odpowiednią ilość wody.

Możnaby więc wypiekać chleb i przy temp.  $100^{\circ}$ , lecz wówczas bochenki pozbawioneby zostały skórki; najniższy zaś stopień ciepła potrzebnego do wypieczenia chleba ze skórką, przypada między  $160^{\circ}$  i  $204^{\circ}$  C.

Podczas, gdy chleb w piecu odbiera ciepłik promieniejący ze ścian, gazy w nim zawarte rozszerzają się, ulatnia się znaczna ilość wody, wstrzymuje się fermentacja, a następuje silne spojenie między różnymi wodnianami części składowych ciasta.

Dobry chleb powinien więc być lekki, a klój stanowiący główną część pożywną nie ma ulegać żadnej zmianie.

Przez wypiek ciasto traci średnio  $\frac{1}{10}$  część wagi, co jednak zależy od czasu przez jaki chleb pozostawał w piecu.

Chleb wypieczony przedstawia  $\frac{5}{6}$  ośrodka, a  $\frac{1}{6}$  skórki; środek zawiera  $45\%$  wody, skórka  $15\%$ , a wszystko średnio  $40\%$  wody. Ta jednak ilość wody jest rozmaita; i tak chleb wojskowy we Francji ma  $\frac{4}{5}$  środka a  $\frac{1}{5}$  skórki, środek  $50\%$  wody a skórka  $15\%$ . Przyczyną znaczniejszej ilości wody w chlebie gorszego gatunku są otręby, które pochłaniają wielką jej ilość; woda w tym razie ułatwia wybijanie ciasta i zwiększa wydatek chleba. Jednakże to zwiększenie wydatku chleba jest tylko pozorne, gdyż chleb podobny wymaga daleko wyższej temperatury dla utworzenia na nim skórki, która przez to staje się brunatną, daleko grubszą i przykrego smaku. Ciepło bowiem zbyt znaczne, sprzyja tworzeniu się niektórych przypalonych produktów.

Millon przekonywa, iż przy terażniejszym sposobie oceniania chleba na sprzedaż, naprzód pilnie zwrócić wypada uwagę na ilość wody używanej do zarobienia ciasta. Piekarz sprzedający pewną wagę wody, zamiast odpowiedniej ilości chleba, jednocześnie czyni uszczerbek i kieszeni, i zdrowiu konsumenta.



# KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

Giulia Grisi.—Ristori: Myrrha i Rosmunda Alfierego.—Przyjęcie pana Legouvé do Akademii.—Studnia artyzejska w lasku Bulońskim.—Gospodarstwo rybne pana Coste.—Wiadomości literackie.

Na paryzkim wokalnno-dramatycznym świecie zaszły w ciągu ubiegłego miesiąca dwa wypadki, które zanotować warto. Od 8 lat niewidziana Giulia Grisi ukazała się znowu w Normie, Lukrecyi i Semiramidzie, a Ristori powtórnie w roli Myrrhy, która zeszłego roku zyskała jój w Sale Ventadour powodzenie tak głośne, iż mu odpowiedziały echa całej Europy.

Giulia Grisi jest prawie taką, jaką była, kiedy ją świat podziwiał w roli Normy: zawsze wspaniała i potężna Diva z równie przeczystym głosem, doskonałą metodą i wyborną akcją; piękność zaś jój należy do rzędu tych, jakich czas niszczytel spożyć nie umie. Iskrzące jój oczy długo jeszcze żartować sobie będą z brodatego starca, a twarz regularna i ramiona na wzór karraryjskiego utoczone marmuru, jak jój ojczyste posągi, gotowe przetrwać wieki, jeżeli ich jaki kataklizm natury nie pochłonie.

To też we włoskim teatrze witano ją z niewystowioną radością, nietylko jako ulubioną artystkę, ale jako wspomnienie najświetniejszych czasów włoskiej muzyki w Paryżu: owych wieczorów niewygastłych w pamięci diletantów, kiedy nowe utwory Belliniego i Donizettego śpiewane po raz pierwszy przez nią, Rubiniego, Tamburyniego i Lablacha, trzęsły sercem słuchacza

i sprawiały mu zachwyty jedyne, którym podobnych na próżno szukał później w utworach nowszych kompozytorów. Z całej tej świetnej trupy śpiewaków już tylko sama Grisi pozostała, i sama jedna, jak pominięta zębem czasu kolumna, stoi na gruzach tej zapadłej świątyni harmonii.

We wszystkich dawnych rolach, a mianowicie w roli Semiramidy, Grisi odnalazła swoje młodociane natchnienia; co tém większe sprawia wrażenie, iż majestatyczna jęj postawa odpowiada zupełnie kształtom owych potężnych azyatyckich mocarek, które wyobraźnia widzi oparte o kolumny na uczcie Baltazara, lub spacerujące po wiszących Babilonu ogrodach, zgodne z ogromem ram swoich. Na powitanie Giulii wykoszono w Paryżu całe tany kamelii, fiołków i hiacenców, a związane w formę monstrualnych bukietów, rzucono jęj pod nogi, witając ją i zarazem żegnając nazawsze: gdyż sławna artystka przybyła w zamiarze pogrzebania swęj sławy w tém samym miejscu, które było jęj kolebką.

Ristori także zastała w sale Ventadour wszystkich swoich wielbicieli, i niemniejsze niż zeszłego lata pozyskała oklaski w roli Myrrhy, która podobnie jak suknia Dejaniry otacza płomieniem artystkę i udziela się całej sali.

Myrrha Alfierego znalazła prawo obywatelstwa we Francji. Fedra może ją nazwać siostrą i zstąpić z nią razem do piekieł: Rosmunda, którą temi dniami pierwszy raz przedstawiano we włoskim teatrze, jest najstarsza z jego tragedyi; układem swym i monotonią zabija wszelki efekt, a jęj bezkolorowość nie zastąpiona pięknnością formy, może znużyć najpoważniejszego słuchacza, a cóż dopiero Paryżanów, którzy jak Ateńczycy przedewszystkiém szukają na scenie palących wzruszeń. Myrrha szalone swe powodzenie zawdzięcza w znacznej części mistrzowskiej grze Ristori, ale głównie temu, iż jest najtragiczniejszą z bajek starożytnych.

Podanie mówi, że Myrrha, córka Cynira króla Cypru, zakochała się w ojcu; za co ten przeklął ją i wypędził z swego królestwa. Myrrha uciekła aż do Arabii, gdzie bogowie litując się nad jęj rozpaczą, przemienili ją w drzewo tegoż nazwiska.

Podobne metamorfozy były zwyczajnym oczyszczeniem czarnych bohaterów legend starożytnych. Mitologia na tak ciężkie wystawiała proby swoje ofiary, tak je plamiła brudem rozkiełznanych namiętności, że w końcu nie wiedząc jak rozwiązać fatalne węzły, ani co począć ze skażonemi wszelkim występkiem zbrodniarzami, przeobrażała ich w zwierzęta lub rośliny. Kora drzewa pokrywała nieczyste piersi, skażone nimfy osłaniał kielich kwiatu, występna dusza pozbywała się zbrodni przywdziewając pióra i niewinność ptasia. Często w źródłach topniały cierpiące istoty, lub zastygały w twardym łonie granitu. Tak Biblis roztopiła się we łzach wodotrysku; Niobe skamieniała z rozpacz; Dafne ukryła swą czystość pod laurowe liście, Filomela słowiczym śpiewem ukoła swą skargę. Słowem, panteizm był ostatnim przytułkiem mitologicznej rozpacz: chronił nieszczęśliwych jej bohaterów od boskich i ludzkich gwałtów, był jak ocean, który chłonie i oczyszcza w swych głębiach rzeki, które doń przyptywają skalane krwią i nieczystością ziemi.

Jednakowoż, mimo poetycznej szaty, w jaką odział Myrrhę Owidiusz w swoich Przemianach; mimo posagowej piękności, którą nadał jej Alfieri: historia Myrrhy równie jak Rosmundy i wszystkich sióstr jej namiętnych i zapamiętałych, budzi dziś wstręt i przestrah. Chrześcijańskie dusze nasze nie mogą pojąć tego obłąkania materji, a jej paroxyzmy równą przejmują nas trwogą, jakowe zagubione choroby, których straszliwe symptomata opisują starożytni lekarze. Jakoż cielesna miłość owych wieków była rzeczywiście chorobą: puls Safony w jej odach bije jak w paroxyzmie śmiertelnej gorączki, którą tylko morskie nurty ugaszą; namiętność Fedry w tragedji Eurpiday ma wszystkie oznaki materyalnego otrucia: nawet Dydona Wirgiliusza zdradza nerwową malignę, nieznaną dzisiejszym namiętnościom.

Miłość nie była wtedy aniołem, gwiazdą, zapachem, głosem Boga: tém, czém jest lub czém chce być dzisiaj. Miłość u starożytnych było jakiś geniusz ślepy, ognisty, jakiś ptak drapieżny, nieprzyjaciel Boga i ludzi, który kogo uderzył skrzydłem, ten już nie znalazł szczęścia ani spoczynku, tego życie wyszło jak

źródło palone afrykańskiem słońcem. Grecy też uważali boginią miłości jako czarownicę, która zadawała trucizny tym, którzy na jej gniew zasłużyli. Ztąd owa litość starożytnych poetów dla miłosnych potępieńców, ztąd tzy i pachnidła, któremi starali się obmyć zbrodnią Myrrhy.

Ze wszystkich tragedyj Alfierego, w Myrrze przebija się podobno najwyraźniej wzniosły i surowy geniusz jego. Alfieri nie jest malarzem, ale rzeźbiarzem: nie koloruje nic, tylko żłobi, ale jak żłobi! Czytającemu starożytne jego tragedye, wydaje się, iż wchodzi do marmurowej świątyni greckiej, symetrycznej, białej, osamotnionej, pełnej harmonijnych proporcji i smukłych kolumn, pomiędzy któremi krążą poważne postacie osłonięte fałdzistą draperyą. Nie szukaj tam drobiazgów, szczegółów, ozdób, lub życia: nóż ofiarniczy Greka, samobójczy miecz Rzymianina, bronzowe czary z trucizną—oto jedyne sprzęty, jakie znajdziesz w tym spartańskim przybytku.

W tragediach Alfierego nigdzie nie ma tłoku: same tylko osoby niezbędne do rozwinięcia akcji spotykają się i grupują z posagową powagą. Ruchu mało, zmiana postawy rzadka, ale nadzwyczajna i uderzająca kamienną nieruchomością: nie są to ludzie, ale dusze potężne, obrane ze wszystkiego co śmiertelne, które się kochają lub nienawidzą, i rzucają sobie wzajemnie myśli i czucia, stojąc zawsze od siebie zdaleka. Układ tych tragedyj podobny jest do fresku Michała Anioła, gdzie figury nagie, rozrzucone bez efektu na ogromnym murze, zdają się zajęte solenną rozmową, dotyczącą jakiegoś straszliwego wypadku. Ale jakaż siła jest w tej nagości, jaka proporcya i wyrazistość w tych statuach! Przymiemy język ich twardy, styl trzeźwy, który błędnie raczej nie czerwienieje oddając wzruszenia, i zastępuje kolor energią kroju, co nadaje utworom włoskiego dramaturga zupełne podobieństwo do posagowej grupy, wykutej z jednej bryły marmuru.

Ta surowa metoda wybornie posłużyła Alfieremu w Myrrze: niegodny przedmiot znika prawie zupełnie w abstrakcyi stylu. Fatalna namiętność żarzy się w piersiach Myrrhy jak popiołem przysypany ogień: tragedia stąpa ciągle po wulkanie, ale ten wybuch do-

piéro w chwili skończenia sztuki. Jedynym efektem trzech pierwszych aktów jest głęboki smutek dziewicy, którego przyczyny ani rodzice, ani narzeczony, ani piastunka zbadać nie mogą. Na ich prośby i zaklęcia, Myrrha odpowiada tylko nieokreśloną skargą: mówi, że ją ściga zagniewana bogini; że spokój uciekł od niej na zawsze; że ją męczą sny straszne.... Pereo widząc taki stan duszy swój narzeczonój, oświadcza jój, iż go-tów zerwać śluby, może nienawistne jój sercu; ale ona zaklina go owszem, aby przyspieszył dzień ślubu i wy-wiózł ją czempredzój daleko, daleko od Cypru.... A kie-dy ojciec bada o powód tak nagłego wyjazdu, córka zmieszana, znowu zamyka się w ogólnikach; poczem rzuca się na szyję piastunki, błagając, żeby jój śmierć zadała.

Przez długie trzy akty Myrrha pozostaje tak zam-knięta w sobie, blada, konająca, duszona tłumioną żąd-zą, z usty wykrzywionemi, powstrzymywanym płac-zem, lub bolesnym uśmiechem. Wydawałoby się, iż taka rola musi być zabijająco nudna: otóż przeciwnie, efekt jest ogromny. Trudno napotkać coś dramatycz-niejszego nad tę pokutującą duszę, która milczy uparcie, osłaniając tajemnicą czarne przepaści swego serca. Zwolna umysł widza jednoczy się z duchem dramatu, oko jego przyzwyczajone do tych ciemności, odkrywa w najczarniejszym ich zakątku ukrytą zbrodnię i przy-sposabia się do jój widoku.

W czwartym akcie następuje wybuch bez światła: piorun poprzedza błyskawicę. Pereo przyprowadza Myrrhę przed ołtarz, przy którym palą się kadzidła, i kapłan czeka ich z błogostawieństwem. Kiedy już rozpoczął się obrzęd zaślubin, oblubienica blednieje, chwieje się i pada w objęcia piastunki.... Obląkana od-pędza rękoma furię, które dokoła spostrzega, i dreszczem zgrozy zdjeta pyta jój: „Son io gia sposa? Ohime!” (czy jestem już małżonką). Przelekniona ma-tka przybiega, chcąc ukoić nieszczęsną: wtedy córka w najwyższem obłąkaniu przeklina ją.

Rozwiązanie zamyka się tylko w jednej scenie, w jednej gruppie, w jednym dyalogu ojca z córką. Dwie te figury osamotnione na ostatecznym krańcu tragedyi, wzbudzają nieopisane zajęcie. Cała sala

wstrzymuje oddech, chwyta każde ich słowo, śledzi każdy ich ruch. Myrrha przybywa zmieniona, złamana cierpieniem; Cynir z królewską powagą zapytuje się o przyczynę jej cierpienia i powód zerwania ślubu, które Pereo życiem przypłacił. Mówi, iż tylko miłość może usprawiedliwić to obłąkanie; kogóż więc kocha? Myrrha jeszcze nie chce wyjawiać prawdy, ale zmuszona naleganiem ojca, prowadzi go na grobowiec; odkrywa tajemnicę, wrywa z pochwy miecz zawieszony u boku Cynira, przebija się i pada u nóg jego. Król zakrywszy twarz płaszczem, idzie ku drzwiom, w których spotyka żonę, szepce do ucha jej słowo fatalnej zagadki, i oboje uciekają przeklinając wyrodną. Myrrha opuszczona od wszystkich, kona na ręku piastunki w straszniejszej samotności niż owa pustynia, na której piaskach legienda zasadziła posępne drzewo Myrrha, wiecznie płaczące bursztynowymi łzami.

Ileż sztuki potrzeba było do utrzymania crescendo tej tajemnicy, która rośnie w każdej scenie, aż w końcu przebita mieczem, wypływa wraz ze krwi potokiem; ile potęgi do utrzymania przez 5 aktów jednej sytuacji z corazto wzrastającym zajęciem słuchaczy.

Łatwo było opowiedzieć treść tragedyi, ale jakże opowiedzieć grę artystki, która ją wypełnia swym geniuszem? Jakże oddać martwą literą urok, jakim otaacza widzów? Jak wytłumaczyć czar, jaki na nich rzuca? Oto trzeba chyba zapytać miliona zachwyconych Francuzów, którzy dziś jeszcze słuchają Myrrhy z tym samym zapałem, z jakim ją poraz pierwszy słyszeli; którym włoska muza potrafiła wycisnąć żywe, chociaż jak wiadomo, sentymentalizmem nie grzeszą.

W pierwszych aktach Ristori zamknięta w sobie, tylko mimiką twarzy i ocz. wyrazem zdradza wewnętrzną walkę. Postawa jej studywana po mistrzowski jest żyjącym posągami, drgającą rzeźbą. W czwartym akcie, w scenie zaślubin wpada w konwulsje, których widok wywołuje niepodobne do opisanego wzruszenie: wtrąca widzów w szal, wybuchający z mocą nawałnicy. Nie można pojąć, jakim cudem artystka może się tak mienić i udać to, co za ledwie najgwałtowniejsze uczucia mogą wypiętnować na twarzy kobie-



ty. Oczy jój zapadają, twarz zielenieje, głos się rwie, zimny pot kroplami występuje na czoło...

Przy końcu Ristori staje na szczycie sztuki, prawdy i natury, poza któremi zdaje się, że już nie ma nic, coby mógł zdobyć artysta. Nie obwini nas o przesadę, kto widział Ristori w ostatniej scenie z Cynirem, kiedy zgięta i drżąca, to ucieka od niego ze zgrozą, to znów pada w jego objęcia, jakby przyciągana magnetyczną siłą; kto widział jak umiera zakrywając ranę tuniką; kto podziwiał ów gest, jaki czyni konająca spostrzegłszy, że ojciec ma powierzyć matce powód jój samobójstwa: gest zaklinający go żeby milczał, podobny do nagłego ocknienia wstydu, zbudzonego z pierwszego snu śmierci; kto nakoniec widział ją, kiedy czołga się na klęczkach i powstaje, żeby złożyć ostatni pocałunek na czole piastunki, poczem pada dobita wysileniem. Oddanie tej ostatniej chwili jest niezrównanym obrazem katuszy moralnych, spotęgowanych całą zgrozą śmierci, cudownie pochwyconym dagierotypem uroczystej sekundy rozstania się z ciałem nieśmiertelnej duszy, który Ristori przyniósł palmę nieśmiertelności.

Chcąc dać sprawozdanie z Rosmundy, przedstawianej pierwszy raz temi dniami w Paryżu, musieliśmy zacząć od Myrrhy; inaczéj bowiem ograniczając się na rozbiórze tej wyjątkowo nudnej sztuki, nie dalibyśmy rzeczywistego pojęcia ani o tragediach Alfieriego, ani o grze Ristori. Zdziwieni czytelnicy pytaliby słusznie, jak mogą w tego rodzaju utworach gustować Paryżanie, a jeszcze słusznieéj, jak mogą wynosić pod niebiosą geniusz artystki, zasadzający się na recytowaniu rozwlekłych monologów, których słuchając można usnąć stojący.

Odpowiedziawszy z góry na to pytanie krótkim rozbiórem Myrrhy; wskazawszy wszystkie piękności tej tragedyi, oraz niezrównaną grę Ristori: przystępujemy śmiało do Rosmundy, i jak tam, tak tu oddając sprawiedliwość Alfieremu, musimy mu przyznać, iż skoro uweźmie się być nudnym, jest nim do najwyższego stopnia. Gdyby nie galwanizujący organ Ristori, byłaby niezawodnie zasnęła publiczność zeszłego wieczora, przy końcu pierwszego aktu słuchając monoton-

nego jęczenia Rosmundy, jak usypiamy słuchając wycia wiatru w kominie.

Ze wszystkich rodzajów tragedyi układanych od początku świata, tragedia barbarzyńska jest niezaprzeczenie najmniej sympatyczna, dlatego, że najmniej naturalna. Cóż może być sprzeczniejszego z naturą, jak słyszeć deklamujących Wandalów, widzieć Ostrogotów udrapowanych w togi, Gepidów tańczących klasycznego menueta, wszystkie te dzikie i drapieżne zwierzęta z przyczesaną grzywą, wytresowane i zaprzężone do tragicznego rydwanu Melpomeny. Zaprawdę, pomysł to nader dziwny naginać do rzymskiej mody i w rzymskie stroić szaty ludzi spadłych umyślnie, jakby z innej planety, dla zdruzgotania swym ciężarem cywilizacyi starego świata.

W kobiecie jeszcze więcej razi ta maskarada. Fedra w rogówce i w trzewikach na czerwonych korkach à la Pompadour nie byłaby mniej śmieszna, jak Rosmunda córka Hunnimonda króla Gepidów w szatach Fedry i koturnach Klytemnestry, wyrażająca swe katusze jak Medea lub Rodoguna. Cóż może być wspólnego między klassyczną córą Aten lub Rzymu, a córą północnej dziczy? Bogi ich, zwyczaje i dusza inna: czaszka ich nawet inaczéj sformowana i krew innego koloru.

W epoce, w której kobiety rzymskiego świata wyniszczone trzech-wiekową rozpustą są już tylko trzodą bladych wszetecznic, błądzącą po ruinach olbrzymiej orgii, jawią się inne niewiasty wylęgte ze mgły północnej, a przeznaczone do panowania na ich miejscu: niewiasty potężne, przy których spartańskie matrony wyglądają jak bezsilne dzieci. Kolosalne te córki puszczą i lodu, zimne są i tajemnicze jak ich rodzice; nie znają ani miękkości, ani rozkoszy płci swojej: każda z nich jest zarazem matką życia i siostrą śmierci. Ideałem dzikiej niewiasty jest kapłanka Druidów, poświęcająca krwawemu bóstwu ludzką ofiarę na ołtarzu oświeconym księżycową kwadrą, odbijającą się w krzywej klindze ofiarniczego sierpa. W miejscu słabej, mdlejącej, wiotkiej niewiasty, o której marzy poeta południowa, wyobraźnia północy stawia silne, dzikie, surowe i potężne kolosy, wykute z granitu wedle tyta-

nicznych wzorów. Brunehilda bohaterka Niebelungów, królowa Islandyi, łamie na turniejach w obec dworu swego lance i ciska kamienie, których 12 północnych olbrzymów podźwignąć nie mogło. Emma córka Karola Wielkiego, na swych barkach przenosi kochanka, żeby nie zostawił śladu na świeżo śniegiem zasypaném podwórzu zamkowém. Żony Cymbrów po przegranej bitwie zarzuciwszy sobie na szyje powrozy, wiązały je do rogów swych wołów i kłóły dopóty, aż rozwścieklone zwierzęta stratowały je w biegu kopytami. Czémże jest Klytemnestra obok Brunehildy, Fredegondy i wszystkich tych mocarek germańskich, które legienda ukazuje nam z toporem w dłoni pośród rzezi Merowingów, lub przy stosach swych wymordowanych synów.

Oto ideały kobiet, o jakich mogli marzyć (jeżeli marzyli) Ostrogoty, Goty, Hunny, Gepidy i ich wodze Alhun-ryki, którzy przy świetle komety wiedli dziką czerń na Romę, a dla zabawki kazali jéj kopać na sto mil przekopy, z kąd pozostał:

„Ślad maluchny ich przechodu,  
łamięć, czém był świat za młodu”.

Ale powrócmy do przyprawionéj po włosku Rosmundy, przed którą daremnie uciekając zapędziliśmy się aż w ciemny las legiend. Historia jéj znana. Rosmunda wedle podania była żoną i niewolnicą Alboina króla Lombardów, który się z nią ożenił, zabiwszy poprzednio jéj ojca, z którego czaszki kazał sobie zrobić czarę do wina. Pewnego razu przy bankiecie zmusił żonę, żeby wychyliła toast z ojcowskiej głowy. Królowa poddała się woli męża, ale poprzysięgła, że mu odda krew za wino. Jakoż pozyskawszy sztuką niewieścią serce młodego Germka Helmiges, użyła go za narzędzie do zamordowania męża, poczem w nagrodę oddała mu swoją rękę. Zbuntowane Lombardy wypędzili występłą parę do Rawenny, której wielko-rządca Longin ujrzawszy Rosmundę, zakochał się w niej z kolei. Rosmunda wprawna do zbrodni podała mężowi czarę trucizny; Helmiges wypił połowę, ale z goryczy zatrutego wina domyśliwszy się prawdy, zmusił Rosmundę aby wypła resztę — poczem umarli oboje.

Osnuta na powyższej treści tragedia Alfieriego, przekształca i osłabia dziką legendę. Germek Helmiges przemieniony w Amalchidesa, kocha Romildę córkę zamordowanego Alboina, męża Rosmundy. Romilda nienawidzi zabójcę swego ojca, i w zamian miłosnych oświadczeń recytuje mu obelżywo - płaczące jeremiady. Rosmunda schodzi niewiernego męża na występnej rozmowie, i łączy swe przekleństwa z żalami Romildy. Szarpana furją zazdrości, z pomocą Idowalda kochanka Romildy, wywołuje przeciwko mężowi bunt w obozie Lombardów, który uśmierzywszy Amalchides, powraca z Idowaldem kochankiem Romildy przypatrywać się, jak ta niewinna owieczka ginie pod sztyłem Rosmundy. Idowald, który z założonemi rękami był przytomny tej operacyi, po ukończeniu jęj przebija się i kona obok kochanki.

Właściwie Rosmunda nie zasługuje na nazwę tragedyi: jest ona raczej kwartetem granym ciągle na jedną nutę przekleństwa, które bez akcji i bez intrygi, rozlega się i szamocę w próżni bajecznych czasów. Zwyczaj wprowadzania do sztuki kilku tylko osób, który, jak powiedziałem wyżej, w przedmiotach starożytnych dodaje powagi i mocy tragedjom Alfieriego, jest zupełnie niewłaściwy, a nawet rażący w obrazie barbarzyńskim, którego rozległe ramy zaledwie hałaśliwy zgiełk Szekspirowskich dramatów zdołałby zapełnić. Alfieri przeznaczył cztery osoby na zaludnienie pięciu długich aktów Rosmundy: cztery osoby i jednego lombardzkiego kaprała, który od czasu do czasu przybywa z kilką zaspanemi kolegami, mającemi wyobrażać nieistniejące wojsko i dokonywać śmieszne aresztowania. Dwaj bohaterowie, Amalchides i Idowald, obaj wydani na pastwę Rosmundy, niewiele wzbudzają współczucia: pierwszy, łotr i rozbójnik wypchany jest miłością i wyrzutami sumienia; drugi niby wojownik, podobny do tych, których studenci na okładkach swych kajetów rysują. Ristori zrobiła co mogła, ażeby nadać figurze Rosmundy monumentalny charakter geniusza złego; ale że od początku do końca musi pozostać zakuta w jedną pozę: efekt nie może się utrzymać, bo duszą tragedyi jest walka i sprzeczność uczuć. Mimo wszystkie te niedostatki, publiczność

odważnie wysłuchawszy sztuki aż do końca, obsypała oklaskami Ristori i wywołała ją trzy razy, co na paryżkiej scenie odpowiada tryumfowi Korynny w Kapitolu. Jakoż rzeczywiście Ristori nie zabrakło talentu, tylko jej zabrakło tragedyi. Słychać, że niezadługo Ristori wystąpi w tragedyi Legouvégo *Medea*, którą umyślnie dla niej przełożono na język włoski.

---

Oddawna zapowiadane, odraczane i znowu zapowiadane przyjęcie pana Legouvé w akademickie grono, odbyło się nareszcie, powitane radością przeważnej liczby tutejszej publiczności, a mianowicie kobiet; które widząc swego obrońcę usadowionego w jednym z czterdziestu foteli, z których dotąd tylko surowe wydawano o płci słabiej wyroki, pomyślny zład dla siebie wyciągnęły horoskop.

Obrządek przyjęcia nowego członka Akademii, podobny jest zarazem do pogrzebu i narodzin. Prześwietne zgromadzenie przystępuje najprzód do pochowania nieśmiertelnego kolegi. Balsamuje go, owija zamiast aloesowych liści w karty wydarte z dzieł sławnych, które był w ciągu życia napisał; wywołuje głośno wszystkie prawa zmarłego do nieśmiertelności; poświęca wprawdzie niewiele łez, ale za to wiele komplementów pamięci drogiego kolegi, poczem intonuje *requiescat in pace*. Większa liczba członków akademickiego grona, wielbionych mówców, mędrców i poetów, nie otrzymuje od potomności innego uczczenia, prócz tej uczonój pochwały, odmówionój poważnie nad swym opróżnionym fotelem, zanim w nim zasiądzie nowo-narodzony akademik.

Zazwyczaj w połowie sessyi zaczynają się chrzciny. Nowicyusz ubrany w zielone palmy i beret z piórami, które są ozdobą każdego członka Instytutu, odbiera w sanktuarium nauki zawsze pozazdroszczone, a nigdy nie odrzucone pomazanie na wieczystą sławę.

Ceremoniał przyjęcia pana Legouvé nie różnił się w niczem od poprzednich, ale mowa jego zawierała ustępy, które echa poważnego gmachu podawały sobie zdziwione,

O drugiej z południa, prezydujący p. Flourens zagał posiedzenie. Po lewej jego stronie siedział podsekretarz Akademii p. Alfred de Musset z twarzą zdradzającą mocne znudzenie, jakim go przejmowała konieczna powaga urzędu; po prawej, wieczysty sekretarz pan Villemain, którego uśmiech naprzemian szyderczy lub potakujący, wskazywał strony słabe lub szczęśliwe wyrażenia w mowach obu członków. Na przyległych fotelach siedzieli pp. Guizot, Cousin, de Broglie, Montalembert, Noailles, Odilon-Barrot, Viennet, de Vigny, Vailant, Portalis, Saint-Marc Girardin: słowem, wszystkie znakomitości Akademii.

Przemowę swoją niepospolicie wypracowaną i świetną, pan Legouvé rozpoczął wspomnieniem ojca swego, zasłużonego literata, którego pamięci, jak mówił, zawdzięcza zaszczyt, jaki go dzisiaj spotyka. Ostoniwszy zrećźnie swój obiór ojcowską opieką, autor *Medei* wykładał, jakie jest wedle niego stanowisko i cel tragedji. Drugą połowę przemowy, wedle zwyczaju, poświęcił swemu poprzednikowi: z czego wywiązał się z godnością, bez niepotrzebnych panegiryków, a tém samém serdeczniej. Opowiedział z czuciem i prostotą stosunki pana Ancelot z Kazimierzem Delavigne, jak początkowo rywalizowali z sobą, a później byli najlepszemi przyjaciółmi; jak wrodzona prawosć jego poprzednika pana Ancelot, pokonała wszystkie drobne literackie zawiści, od których tak rzadko który literat jest wolny: słowem, uchwycił szczęśliwie jedyny temat, na który bez kłamstwa można było zaintonować hymn pochwalny szanownego akademika, słynnego raczej z dobroduszości, nie z uczoności swojej.

Pan Ancelot należał do szkoły, której blask przelotny trwał bardzo krótko we Francji: był on słabym naśladowcą Delilla, którego liryczne pienia zgłuszył potężny wybuch romantyzmu w 1828 roku. Obok *Medytacyi*, *Oryentalów*, *Jesiennych liści*, obok świetnych i błyskotliwych poezyj Musseta, zgał niepowrotnie sam Delille, a cóż dopiero naśladowcy jego, czyli podszewki, jak ich zowią Francuzi. Uczuł to Ancelot i wziął się do spekulacyi, wiersze zaś składał już tylko z nawyknięcia. Oprócz tragedji *Ludwik IX*, która była pierwszém i ostatniém słowem jego pisarskiego ta-

lentu, nigdy nie znakomitego nie napisał; głównym powodem przyjęcia go do Akademii było to, że posiadał rzadki dar pięknego czytania. W ustach jego najgorsza książka wydawała się niezłą; tém sobie podobno do tyła zobowiązał uczone grono, iż go przyjęło w swój poczet.

Przytaczam te szczegóły, ażeby dać poznać czytelnikom całą trudność położenia, w jakim znajdował się pan Legouvé, mając pisać panegiryk niewinnego poprzednika; a zarazem dać możność ocenienia sztuki, z jaką się z tego zadania wywiązał.

Odpowiedź Flourensa była długa, wypracowana wedle wszelkich klassycznych prawideł językowych, retorycznych i estetycznych; wypowiedziana w sposób zwracający uwagę słuchaczy na ważność każdego słowa, bo żadne nie stało tam napróżno. Na złośliwości nie zbywało jój także: dowodem ustęp, w którym Flourens w następujący sposób tłumaczy sławę literacką i świetne powodzenie protektora poci pięknej, ojca pana Legouvé: „Pod zasłoną obrony, której potrzeba może się wydawać zagadkową, znakomity ojciec pański uczynił z pochwał bodziec dla cnoty. Umiał pocieszać, głaskać, uwodzić dusze, ażeby je wznioślejszemi uczynić, a powoli tak uzacnić, iżby potrafiły znaleźć szczęście w obowiązku.” Następnie szanowny akademik, kilku słowy na właściwe odrzucił miejsce za wody i niesprawiedliwości, które obrońca kobiet tak jaskrawo odmalował w Medei. Flourens przemawiając w imieniu Akademii, nie dozwolił, ażeby ta wzięta nawet bierny udział w deklamacyach i narzekaniach tego rodzaju, powtarzanych tak często i na wszystkie tony przez młode autorskie pokolenie. Przytaczam kilka wyjątków z obydwóch przemów, z których czytelnik najlepiej właściwy sąd o nich wyrobi.

Wspomniawszy o Ludwiku IX, tragedyi Ancelota, pan Legouvé tak dalej mówi:

....., Wiem, że tragedia małdziś znajduje zwolenników; jednakowoż ma ona tę wielką zasługę, że chociaż już kilkakrotnie wskazywano ją na śmierć, jednak żyje: ażeby ją wskrzesić, dość było jednego godnego jój wielkości tłumacza. Przyczyna bytu tragedyi, tak dobrze jak komedyi i dramatu, leży w naturze człowie-

ka. Komedya i dramat przedstawiają w swych obrazach prawdę i rzeczywistość: zadaniem tragedyi jest ideał. Człowiek, mniej więcej zawsze ułomny i samolubny nie wystarcza jój: tragedia chce mieć w człowieku zarazem człowieka i bohatera jak Cyd, człowieka i obywatela jak Horacy, człowieka i męczennika jak Polyeucte, albo człowieka i proroka jak Jo ad. Dziedziną komedyi i dramatu jest ziemia; tragedia potrzebuje koniecznie kawałka nieba. Nawet ludzkie namiętności przedstawione jój pędzlem, obłóczą szatą ideału, jak to Racine cudownie urzeczywistnił w osobie Fedry. Fedra nie przestaje być Greczynką, nawet wtedy, kiedy w sercu jój chrześcijańskie budzą się uczucia; a jeżeli prawda, że Hippolit nadto podobny do dworzanina Ludwika XIV: to jedna więcej nauka, jaką nam dał poeta, pokazując w tym samym utworze o co potrzeba się starać, a czego unikać.

„Rozmaite są sposoby tłumaczenia historii na scenie: każdy z wielkich nowoczesnych tragików, Schiller, Corneille, Racine, Shakspeare, z innego na nią zapatrywał się stanowiska. Schiller nie dosięgnął ani Szekspirowskiej prawdy, ani moralności Cornela: nie dlatego, żeby mniej znał serce ludzkie niż pierwszy, lub mniej był religijny niż drugi; ale że geniusz jego młody, chciwy kolorów i zakochany w abstrakcyi, ciągnął go mimowolnie ku teatralnym efektom i patetycznym schadzkom. Dla osiągnięcia scenicznego efektu nie wahał się układać sceny wprawdzie bardzo piękne, ale niemożliwe moralnie i historycznie: jak naprzykład Maryi Stuart z Elżbietą, Wilhelma Tella z Janem-Ojco-bójcą, Filipa II z Pozą”.

Przebiegłszy zawód literacki swego poprzednika, Legouvé tak opowiadał dalej jego historią:

....., Rewolucya lipcowa zniszczyła całą fortunę pana Ancelot: stracił posadę, a ulotne pisma nie mogły zabezpieczyć go dostatecznie od grożącej mu nędzy. Szczęściem, Opatrzność postawiła przy jego boku jedną z tych istot anielskich, których pomocy tak bardzo potrzebuje nasza męzka siła. Żona poety widząc upadłego na duchu męża, rzekła doń, przemawiając zarazem do czucia i rozsądku, tak jak tylko kobiety mówić umieją: „Jesteśmy ubodzy, a nasza córka dorasta: cze-



mu nie chcesz użyć swoich zdolności na zebranie jej posagu?" „Nie mam zdolności," odpowiedział zniechęcony mąż. „Jako nie masz?" „Mówię ci, że nie mam: mam tylko trochę geniuszu, a ten jak widzisz nie popłaca." „Kto może więcej, może i mniej", szepnęła kobieta. „Cóż więc chcesz żebyśmy robili?" „Pisz powieści". „Powieści? może prozą?" Tu poeta zamilkł, a czując się obrażony w swą literackiej dumie, odrzucił z oburzeniem propozycją.

„Ale miał do czynienia z tém, co jest najuporczywsze na świecie: z matką, starającą się o zapewnienie przyszłości swego dziecka. Matka napisała więc samą powieść i podpisała ją nazwiskiem męża. Powieść zyskała wielkie powodzenie: pan Ancelot odbierał zewsząd powinszowania, które chociaż prozą, podobają mu się dosyć. Spostrzegłszy to żona, opowiedziała mu pewnego wieczoru treść do napisania wodewillu. Przedmiot był wyborczy. Dramaturg zapalił się do niego, i jeszcze tego wieczora plan został nakreślony. Ale potrzeba go było dopełnić, a poeta już ostygł w zapale. Żona zaproponowała mu, że napisze role kobiece, jeżeli on męskie napisze. Z tego podziału pracy wynikła śliczna komedyjka, która podobąca się publiczności, a panu Ancelot otworzyła nową drogę do sławy.

„Ten rodzaj pisania na wspótkę, zwany kollaboracją, bardzo się rozpowszechnił odtąd między francuzkami dramaturgami; niektóre poważne umysły ganią go i potępiają: co do mnie, zawdzięczam nadto drogą przyjaźń temu rodzajowi pracy, ażebym miał nie uznać szczęśliwego jej wpływu na pisarzy i słuchaczy. Teatr już nie jest tém, czém był dawniej; publiczność stała się zarazem sto razy łatwiejsza i sto razy więcej wymagająca. Ażeby ją zadowolnić, potrzeba zgromadzić bardzo rozmaite zalety; a jest bardzo mało umysłów nawet pomiędzy najznakomitszemi, gdzieby tę rozmaitość napotkać można.

„Cóżto jest współpracownictwo? Rozmowa o jednym przedmiocie, a komedia napisana we dwoje lub czworo, wierném odbiciem towarzyskich sprzeczności. Jesteśmy interesowani, chociażby przez patryotyzm do bronienia współzawodnictwa, które nietylko nie zabija

samoistności, ale podnosi talenta podrzędne, podnieca wyższe zdolności, a nadto rozpowszechnia po całej Europie dowcip, obyczaje i uczucia francuzkie.”

W końcu pan Legouvė temi słowy dowodzi umoralnienia społeczeństwa francuzkiego:

„....„Skalą wielkości wieku nie jest sam tylko postęp, ale i dążenie ku niemu; kto chce dobrego, ten już tem samém jest lepszy: dzisiejszy ideał stanie się jutro rzeczywistością. Już nią jest nawet. Ileżto kobiet gruntowniejszém wykształceniem przysposobionych do rzeczywistėj roli małżonki, dopomaga mężom w ich umysłowėj lub handlowej pracy; w trudnych zaś kolejach życia przynosi im, że tak powiem, drugą duszę w pomoc. A dzieci o ile więcej kochane są teraz niż dawniej! Dziś widzimy ojców powracających do swych szkolnych książek, ażeby mogli lepiej doglądać nauk swoich dzieci; są matki, które uczą się po grecku w sekrecie, ażeby mogły być korepetytorami synów.

„Życie familijne nie było nigdy więcej rozwinięte we Francyi jak teraz; miłość rodziny przebija się nawet na scenie. Zapewne nikt nie posądzi o świętoszkostwo nowoczesnej komedyi: w teatrach widzimy codziennie obsypywane poklaskami śmiałe myśli i dwuznaczne słowa, a jednakowoż, gdyby który z najśmielszych młodych dramaturgów poważył się przedstawić, co przedstawił Molier w *Fourberies de Scapin*, lub *Skąpcu*: syna naśmiewającego się z ojca po okradzeniu go; albo zmawiającego się z lokajem na zadanie mu plag cielesnych:—cała sala oburzona wygwizdałaby sztukę i wzgardziła bluźniercą, który śmiał podać na pośmiewisko godność ojcowską.

„Nie powątpiewajmy więc o pokoleniu, w którego sercu uczucia natury tak są rozwinięte. Autorowie! bierzcie natchnienia wasze z żywych źródeł; zawsze nosząc w sercu ideał rodziny, ulepszajcie się jako bracia, ojcowie, mężowie i syny—prawdziwa sława za tę kupuje się cenę. Ten tylko swój wiek przeżyje, kto zdoła odbić w swych dziełach, co w wieku tym było najwznioślejsze, przedstawić, co w nim nieśmiertelne”.

Po komplementach zwyczajnych, Flourens w imieniu Akademii temi słowy odpowiedział panu Legouvė

na zdanie jego o dramatycznym współpracownictwie i pojmowaniu tragedyi;

..., „Mówisz pan, że umysły surowe nie aprobują i lękają się współpracownictwa wprowadzonego do sztuki dramatycznej we Francyi; rzeczywiście, nie mamy nadziei, ażeby z kollaboracyi urodził się kiedykolwiek nowy Mizantrop. Ale sztuka dramatyczna jest również rozmaita, jak potężna i żywotna; codziennie odmładza się ona, pożyczając nową formę od chwilowego popędu. Do układania tych jednodniowych przelotnych utworów, taka spółka różnorodnych talentów, które, jak słusznie pan powiedziałeś, kompletują się w połączeniu, może być bardzo dobra. Zresztą, theza pańska najlepsze znajduje poparcie w Adrienne Lecouvreur, sztuce lekkiej i powabnej, pełnej wysokiego dowcipu i dokładnej znajomości scenicznych efektów, które zdradzają współpracownika pańskiego, a zarazem szczęśliwie uzupełniają dzieło.

„Co do pojmowania tragedyi, która, jak pan słusznie powiedziałeś, ma przyczynę bytu w naturze człowieka, a celem jej powinien być ideał; pozwolisz, iż wprowadzę niejakię restrykcyę. Z pomocą fikcyi wpajać w społeczność zbawienne nauki, było odwiecznym zadaniem teatru; ale w tragedyi sztuka udoskonalona winna położyć sobie za obowiązek ograniczenie dziedziny ideału, a mianowicie też nie nadużywać daru poruszania słuchaczy. Autor powinien baczyć na to szczególnie, żeby nie wlewać niepokoju w duszę, tę iskrę Bożą, którą w sobie nosimy; powinien zachować jej tylko jedno ostateczne wrażenie: najwyższej sprawiedliwości.

„Tragedya pańska Medea jest owocem długiej i chwalebnej pracy, której poświęciłeś się, chcąc wyjść ze zwyczajnego zakresu dzisiejszych dramaturgów; praca podniosła talent pana, i nadała mu powagę, która jest właściwym tonem tragedyi. Chwalebnej wytrwałości swęj zawdzięczasz pan również nakreślenie pięknej roli Orfeusza, w której przedstawiłeś poetę sprowadzonego do pierwotnego typu, odbierającego natchnienie od bogów i skupiającego całą potęgę swego talentu ku jednemu celowi: pobudzeniu ludzi do zgody i cnoty.

„Powiedziałeś pan, że tragedia potrzebuje koniecznie kawałka nieba. Nie sądzę, żeby fatalny ideał Medei mógł zająć tam miejsce. W pierwotnych swych utworach poetycznych zapisałeś myśl jedną, która niezawodnie łatwiej, niż Medea porwać nas mogła do nieba: Bóg pośród nędzy ludzkiej stworzył pocątki dzieci dla też matek”.

„Napisałeś to pan pod wpływem miłości rodzinnej, i onato natchnęła cię do rozwijania dalej myśli autora Zastugi kobiet. (Dzieło ojca pana Legouvé). Pod zastoną obrony, której potrzeba może się wydawać zagadkową, ojciec pański uczynił z pochwał bodziec dla cnoty. Umiął pocieszać, głaskać, uwodzić dusze, ażeby je wznioślejszemi uczynić, a powoli tak uzacnić, żeby potrafiły znaleźć szczęście w obowiązku. Chwaląc i egzaltując poświęcenie, ojciec pański usunął skargę, zapobiegł gorzkim rozpamiętywaniom nad swą dolą: gdyż tam, gdzie jest prawdziwe przywiązanie, nie ma poświęcenia. Ażeby rady jego zostały przyjęte, pan Legouvé, jako doświadczony poeta, przybrał formy czci prawie bałwochwalczej. Skromność niewieścia była do tyła wspaniałomyślną, że mu to przebaczyła; nie widząc w pochwałach przesady, przyjęła wszystko. Dzięki pochwale, nauka nie poszła w las. Książka powitaną została namiętnemi okrzykami wdzięczności; wdzięczności, której trwanie dowodzi, iż są entuzjazmy nieprzelotne.

„W ten sposób znalazłeś się pan niejako urodzonym obrońcą połowy rodzaju ludzkiego, a wspierany jej sympatją, przedsięwzięłeś malować jej cierpienia. Po wielu probach napisałeś Medeę. Do téj historyi tylu zawodów i tylu niesprawiedliwości, czy nie mógłbyś pan odmalować jako pendant niemniej czarny obraz cierpień i odpowiedzialności, jakie ciężą na drugiej połowie rodu ludzkiego?

„Mój poprzednik, ksiądz Saint-Pierre czytając pewnego dnia dzieło kobiety, wyrażającej znakomicie płochę myśli, zawołał: „Jaka szkoda, że ona nie pisze tego, co ja myślę.”

Dwie przemowy, z których najciekawsze przytoczyliśmy wyjątki, dlatego na szczególną zasługują uwagę, iż są wyrazem dwóch przeciwnych, nieustannie

ścierających się z sobą opinij: walką ducha młodej Francyi z duchem Akademii, które piérwszy raz dopiéro wystąpiły do tak blizkiego pojedynku, i wbrew zwyczajowi przyjętemu w poważném kole, wypowiedziały sobie, nie obwijając w bawełnę, wprost przeciwnie zasady. Przyjęcie pana Legouvé było rodzajem skandalu, który poruszył wszystkie namiętności dwóch stronnictw, i dlatego zapewne długo w pamięci Paryżanów pozostanie.

W połowie kwietnia ma się odbyć przyjęcie do Akademii księcia Broglie. Pan Nisard będzie odpowiadał nowemu członkowi. Po téj recepcyi nastąpi przyjęcie Ponsarda. Dwa opróżnione fotele pp. Lacreteille i Molé nie mają jeszcze napewne wyznaczonych następców. Kandydatura pana Falloux nieco się chwieje: szanowne zgromadzenie obawia się słusznie, ażeby ten obiór nie skompromitował Instytutu w opinii publicznej. Dla odzyskania względów ogółu, który corazto wstrętniejszy okazuje się dla Akademii, ta zamyśla podobno oddać dwa opróżnione miejsca pp. Augier i Sandeau; tak przynajmniej życzą sobie rozsądni członkowie, ale na nieszczęście, dobre natchnienia niezawsze odnoszą zwycięztwo w pałacu Mazarin.

---

Sprawozdawcy francuzcy, którzy jak wiadomo posiadają w tak wysokim stopniu talent chwaleńczego, co u nich wymyślono, wybudowano lub napisano, że co na miejscu jest ładne lub niezłe, reszcie świata wydaje się przecudne, kolosalne, olbrzymie: pisali wiele w ciągu ostatnich dwóch lat o upiększeniach łasku Bułońskiego. Po wszystkich dziennikach, tygodnikach i miesięcznikach brzmiały nieustannie idylle, opiewające zielone łąki, gaje, sztuczne kaskady, skały, rzeki i jeziora, gondole które po nich pływają, wzgórze i strumyki, które na gładkiej powierzchni wywołane jakby łaską czarodzieja, powstały, i przemieniły to niegdyś zarosłe niesfornemi krzakami pole, w cudny park angielski.

Jakoż rzeczywiście, nigdy może hymny pochwalne w pismach tutejszych nie były więcéj usprawiedliwione wartością opiewanego przedmiotu. Tą razą sumiennie

przyznać można, że chwalono co godném było pochwały; tém więcéj, że oprócz powierzchownych, miłych oku upiększeń, lasek Buloński stał się laboratoryum, w którym odbywają się obecnie ciekawe doświadczenia, mogące oddać wielkie przysługi nauce, i najużyteczniejszym jéj zastosowaniom. Chcę tu mówić o artyzejskiej studni, kopanej tamże przez inżyniera Kinda, i o sztuczném zarybieniu jezior przez pana Coste, które powiodło się bardzo pomyślnie.

Przodkowie nasi mawiali, że w winie prawda; możnaby dodać do tego przysłowia, że w wodzie zdrowie. Skoro ludzie z rozważą wybierają pokarm, który ich przyzwyczajenie lub natura najlepiej przyswaja: czemużby nie mieli dołożyć kosztów i pracy, aby napój, ta druga połowa konieczna do ich utrzymania, była jeżeli nie pomocną w odżywianiu, to przynajmniej nieszkodliwą. Miasta i miasteczka, które swój grosz publiczny na upiększenia używają: sadzą drzewa, sypią groble, biją kanały, chcąc tym sposobem przysporzyć sobie zdrowia i życia, najprędzój dopną celu, jeżeli zaczną od zaopatrzenia się w dostateczną ilość zdrowej wody.

W Paryżu, gdzie woda dystylowana cyrkuluje pod ziemią tak, jak gaz lub korespondencya telegraficzna, na jednego mieszkańca przypada dziennie dwa garnce wody, którą potrzeba przynieść i zapłacić. W konsumcyi nie wliczam téj massy wody, którą tryskają wielkie i małe fontanny, ku odświeżeniu powietrza lub przepłukania ścieków.

Wszystkie te potrzeby dotąd obsługiwały dwa rezerwoary i jedna pompa Chaillot. Dwa rezerwoary zasyca woda z Sekwany, w czém każdy dopatrzy *circulum Viciosum*; do wodociągu zlewa się cały strumień o milę za Paryżem położony. Często przypadek lub potrzeba czyszczenia, przerywa na wielu punktach miasta dystrybucyą wody. Zdarzyło się raz, że gdy przy zmianie inżyniera, który ma sobie poruczoną dostawę wody dla miasta, jeden rezerwoar przez kilka miesięcy nie był czyszczony, znaleziono na ścianach jego grubą warstwę jakiegoś czerwonego pokładu; warstwę tę utworzyły miryady czerwonych robaczków, które nieostrzeżone w bieżącej wodzie, dorosły do rozmiarów

widzialnych w wodzie stojącej, albo téż były nowym gatunkiem nieznanym pierwej żyjatek.

W obec takich potrzeb, oddawna przemyśliwano w Paryżu nad otworzeniem nowój arteryi podziemnej; ale wiercenie studni artyzejskiej wymaga wielkiego nakładu, przeto projekt odkładano. Dziś, kiedy odrabia się wszystko co dotąd zaniedbano, kiedy rozbudzona praca chce poświęceniem własném uprzyjemnić życie przyszłemu pokoleniu: nie cofnięto się i przed tém przedsięwzięciem.

Nowy system wiercenia przyszedł w pomoc projektowi. Pan Kind inżynier saski zaproponował muni-cypalności Paryża, że wybije studnią artyzejską na swoje ryzyko w mieście lub za miastem, w miejscu któreby mu wyznaczono. Zobowiązał się dać jeden metr średnicy otworowi studni, i kopać tak głęboko (za granicę położył 720 metrów), dopóki przychód dzienny wody nie osiągnął 40,000 metrów sześciennych. Projekt przyjęty wykonywa się w lasku Bulońskim. Przekuwszy rękoma ludzkiemi skałę na 11 metrów głęboką, nastawiono maszynę parową i zaczęto wiercenie. Pierwsze dwa tygodnie zesły na regulowaniu maszyny i wprawianiu do roboty ludzi.

Od sierpnia zeszłego roku do połowy lutego we-rznięto się w ziemię na 300 metrów. Pan Kind obiecuje, że z pierwszym maja będzie już 710 metrów głębokości. Rezultat byłby nadzwyczaj pomyślny, zwłaszcza w porównaniu ze studnią na przedmieściu Grenelle, którą przy 550 metrów głębokości kopano przez siedm lat.

Nowa studnia ma 60 centymetrów otworu w całej głębokości, będzie sięgać na 20 metrów pod pokład zielonego i drobno-ziarnistego piaskowca, który leży na 550 metrów pod powierzchnią równiny Passy, i jest arterją wodną. Ocembrowanie będzie dębowe. Woda wznosić się ma na 76 metrów wyżej powierzchni morza; a ta wysokość jest dostateczną na wszelkie postugi lasku Bulońskiego. Koszta są obrachowane na 350,000 franków, z warunkiem ukończenia roboty w czerwcu bieżącego roku.

Cała trudność tego rodzaju pracy leżała w tém, że dotąd używano do niej świdra żelaznego. Pan Kind

zapatrując się na Chińczyków, składa swój świder z drewnianych prętów na kilka metrów długich, zbitych razem żelaznemi obręczami. Taki świder ma gatunkową ciężkość wody: ponieważ zaskórną wodę napotyka się już na 20 do 30 metrów głębokości, i takowa nie przestaje wypełniać otworu aż do końca operacji; dlatego świder drewniany jest prawie unoszony, a wytrzymałość jego dostateczna, ażeby go ustrzedz od skręcenia, które jest nieuniknione przy świdrze żelaznym. Cały więc sekret nowego pomysłu zasadza się na tém, że ciężar gatunkowy świdra umorzony jest przez wodę, skutkiem czego z łatwością podnosić go i zniżać można.

Kiedy bity kafarem świder zmiażdżył już ziemię na kilka metrów, wydobywa go się, rozkłada na części, i zamiast nożyc, zakłada mu się na koniec wiadro z klapą, i na nowo spusza w ziemię. Poczém znów zakładają się nożyce, które za każdym podniesieniem lub opuszczeniem świdra, otwierają się lub zamykają, krusząc napotykanne przedmioty.

Kafar uderza 20 razy w minutę na podźwignięty świder. Wiadro jest tylko spuszczone co 12 godzin. W niektórych miejscach kładą się rury blaszane, dla powstrzymywania osypującego się piasku, którego warstwy świder już przebił.

Obok innych korzyści, operacja ta rzuca wielkie światło na geologiczny skład skorupy ziemnej. Dotąd nie różni się ona w niczem od napotkanych pokładów przy kopaniu studni Grenelle. Pod ziemią roślinną znaleziono cztero-metrową warstwę żółtego piasku, pomieszanego z wapnem; po niej na 7 metrów gruby pokład wapienny; pod nim 20-metrowy pokład piasku zmieszany z muszelkami, a dalej 6 metrów sypkiego piasku, którego przekopanie było nader mozolne, bo grunt osypował się nieustannie. Teraz zapuszczono się w pokłady krzemionkowe i kredowe, których wiercenie jest bardzo łatwe.

Probkę każdej nowo natrafionej warstwy ziemnej, robotnicy odkładają osobno; a ludzie specyjalni rysują z nich mapę, która będzie dokładną kartą geologiczną paryzkiego gruntu. Nadto pan Kind przyrzekł członkom Akademii wydziału geologicznego, iż skoro napo-



tką jaką warstwę, która wyda mu się godną uwagi, natychmiast każe wydobyć sporą jej bryłę, i zakommunikuje takową Akademii, ażeby naocznie o jej składzie przekonać się mogła.

Nie ulega już wątpliwości, iż koszt wiercenia studni artyzejskiej w lasku Bulońskim nie przejdzie obliczonych przez Kinda 350,000 franków. Muncypalność paryzka zachęcona taniością i szczęśliwym rezultatem roboty, zaraz poukończeniu rozpoczętej pracy ma wyznaczyć panu Kind kilka innych miejsc na kopanie podobnych studni w lasku, które zasyciłyby tamże wykopane jezioro i rzekę sztuczną, bez pomocy Sekwany i maszyn parowych, dostarczających dziś wody rzecznej, a przy zaprowadzeniu artyzejskich studni, zwolnioneby zostały z tej mozolnej i kosztownej pracy.

— Przed trzema laty donosiliśmy czytelnikom naszym o uczynionej przez pana Coste na wielką skalę probie zarybiania wody stojącej rybami, które dotąd tylko w rzekach się poławiały. Piętnaście tysięcy łososiów i pstrągów wyległych sztucznie w laboratorium pana Coste w Collége de France, wpuszczono wtedy do Bulońskiego jeziora, i zostawiono je własnemu przemysłowi, nie dając innego pożywienia, prócz zwykłych cząstek znajdujących się w wodzie Sekwany. Skromny ten regime postłużył nadspodziewanie sztucznym wychowañcom sztucznego jeziora, o czém przekonał, nawet niedowiarków, temi dniami dokonany prawdziwie cudowny połów.

Raz zapuszczoną na brzegu siecią, wyciągnięto sto dziesięć łososiów i pstrągów. Pomiedzy temi rybami było wiele rocznych, a już długich na 14 do 16 centymetrów; trzechletnie miały 44 do 50 centymetrów długości i ważyły około dwóch funtów, co na paryzkim targu daje każdemu z nich wartość przynajmniej trzech franków.

Pan Coste na posiedzeniu Akademii zwrócił uwagę członków, iż żadna z tych ryb żyjąca w stanie natury nie dorasta w tak krótkim przeciągu czasu do rozmiaru jego wychowañców: o czém przekonał szanownych kollegów, pokazując im równego wieku i gatunku ryby wyłowione w Sekwanie.

Nadto, mięso tych ryb wylęgłych sztucznie ma smak wyborny, nieskończenie delikatniejszy od tych, które w stanie dzikości zostają.

Z powyższej próby okazało się przeto, że każdą stojącą wodę można z pomyślnym rezultatem zarybić najprzedniejszym gatunkiem ryb rzecznych; i że te nie tylko w niej żyć będą, ale tam hodowane nabiorą lepszego od ryb rzecznych smaku. Tak więc piscicultura wyszła nareszcie z dziedziny dyskusyi i przypuszczeń, a stała się jedną z najważniejszych zdobyczy cywilizacyi, mogącą oddać ludziom przysługi, których ważności obliczyć jeszcze dzisiaj nie można.

---

Oprócz nawały broszur politycznych różnej wartości i różnej treści, któremi w ostatnich czasach zasypało księgarnie paryzkie, książek mających wartość naukową lub historyczną pojawiło się bardzo mało, a i od tych uwaga powszechna zupełnie jest odwrócona, skutkiem ważności bieżących wypadków. Najważniejszą publikacją zeszłego miesiąca jest Micheleta nowy tom historii francuzkiej w XVI wieku, obejmujący Wojny Religijne. Ale ponieważ dzieło to należy do rzędu tych, którym albo bardzo obszerny rozbiór poświęcić należy, albo ich też wcale tykać się nie godzi: ograniczamy się przeto na prostém wymiśnieniu téj nader zajmującej książki.

— Wyszły dwa pierwsze tomy dzieła pod napisem: *Mémoires et Journal de l'Abbé le Dieu, sur la vie et les ouvrages de Bossuet*. Książka *Le Dieu*, autor kilku książek teologicznych, był przydany Bossuetowi w roku 1684, i pozostawał przy nim przez ostatnie lat dwadzieścia jego życia, jako sekretarz prywatny z tytułem kanonika jego katedralnego kościoła. Nie był on atoli z Bossuetem w stosunkach przyjaźni, jaka łączyła księdza Langeron z Fenelonem: był raczej wiernym sługą swego biskupa. Jak sam powiada, przez cały ciąg pobytu przy nim, nie otrzymał od Bossueta żadnego zwierzenia: o wszystkich ważnych jego dziełach i przedsięwzięciach dowiadywał się po ich dokonaniu.

Dzieło księdza Le Dieu, jak to sam tytuł wskazuje, obejmuje dwa różne dzieła: Pamiętniki i Dziennik. Pamiętniki napisane wkrótce po śmierci Bossueta są starannie wykończonym obrazem życia, zdolności i cnót sławnego biskupa: znać tam człowieka, który żył z Bossuetem i mówi o nim z uwielbieniem, bo go kochał całą duszą. W dzienniku, pisanym zdaje się dla siebie samego w formie notatek, mających służyć jako materiały do dzieła, ksiądz Le Dieu mówi wprawdzie zawsze z uszanowaniem o Bussuecie, ale wspomnienia swoje zapisuje bez wyboru; ztąd napotyka się tam wiele trywialnych i niepotrzebnych szczegółów. W ten sposób nakreślone wizerunki są zapewne najwierniejsze i bardzo ciekawe dla potomności; ale zazwyczaj życiorys odkrywający dzień po dniu wszystkie sprawy i uczynki wielkiego męża, do niepoznania go pomniejsza.

Pamiętniki, w których autor nie drobiazgowo, ale ogólnie maluje swego bohatera, są nader pięknym jego obrazem. Ksiądz Le Dieu zaczyna od genealogii Bossueta, potem opowiada wychowanie jego domowe; następnie nauki w Dijon, szkole de Navarre i Metz, gdzie trawił życie na czytaniu biblii i dzieł św. Augustyna, gotując się do wielkiego zawodu duchownego, do którego powołanie czuł w sobie od dzieciństwa.

Daléj opowiada ksiądz Le Dieu wrażenie, jakie sprawiły w Paryżu pierwsze kazania Bossueta, i jego mowy pogrzebne, a następnie jego teologiczne zatargi z Fenelonem; w końcu opisuje ostatnie chwile tego wielkiego męża, a jako rzadki przykład pokory obok geniuszu, przytacza, iż skóro w ostatniej chorobie Bossueta, proboszcz Varedes wyraził mu swoje zadziwienie, że ten, któremu Bóg tak wielkie dał światło, jeszcze jego rady zasięga, odpowiedział mu: „Mylisz się: Bóg daje człowiekowi światło tylko dla drugich; jeżeli chodzi o sądzenie własnych postępów, częstokroć zostawia go w zupełnej ciemności.”

Dalszy ciąg tego dzieła wkrótce zapewne pojawi się w tutejszych księgarniach.

— Pan Villemain ogłosił *Etudes d'histoire moderne*. Większą część téj czysto-politycznej książki zajmuje rozbiór powstania greckiego 1821 roku, oraz roli, jaką w niém odgrywała interwencya Zachodu.

— Pod redakcją księdza Mulois pierwszego cesarskiego kapelana, wychodzić będzie: Encyklopedia ludowa, Dziennik dla wszystkich. Encyklopedia ta w formie dziennika, w alfabetycznym porządku rozbierać ma przedmioty obchodzące miejską i wiejską ludność. Cały tegoroczny odcinek tego pisma poświęcony zostanie badaniom środków uniknięcia nędzy w Paryżu, nieznanym sposobów przemysłu i polepszenia losu robotników. Nowa ta publikacja rokuje wiele dobrego.

— Dziennik powszechny oświecenia publicznego donosi, iż na żądanie ministra oświecenia, rada cesarska zajęła się przejrzeniem *Wiek u Ludwika XIV Voltaira*, celem zastosowania powyższego dzieła do użytku szkół. „Minister, powiada Dziennik powszechny, zadość uczynił tym sposobem wymaganiom opinii powszechnej i życzeniu rodziców młodego pokolenia, którzy nie chcieliby, żeby ich dzieci były wychowane w zupełnej niewiadomości o tak wielkim pisarzu, jakim był Voltaire, ale którzy również radziby im dać poznać tylko nieskazitelną część dzieł jego.”

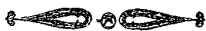
— Pod napisem *Les Femmes d'Homère*, pan Chamboulin wydał dość zajmującą książkę, w której rozbiera charaktery wszystkich bohaterek *Iliady* i *Oddyssei*. Autor położył sobie za cel wyjaśnić idee, które Homer uosobił w swych typach niewieścich, tak ogromnych, że trudno ich całość ogarnąć. Maluje najprzód *Andromakę* opłakującą zmarłego męża; po niej *Hekubę* nieszczęśliwą monarchinią; *Płochą Helenę*, której wiarołomstwo tyle pociągnęło za sobą nieszczęść; dalej piękną i cnotliwą *Nausicaę*; królowę *Arete* ubóstwianą od ludu swego; *Eurykleę* wielkoduszną niewolnicę; w końcu *Penelopę*, wzór wierności małżeńskiej. Charaktery wymienionych kobiet pan Chamboulin określił jasno i zgodnie z oryginałem; dzieło jego niezmiernie moralne, służyć może użytecznie jako komentarz dla młodzieży, zapuszczającej się w olbrzymie areny *Homerowskich* poematów.

— Pan Bruno ogłosił seryą *Studyów Szekspirowskich*. Pierwsza część już wydana, nosi tytuł: *Don Garcia Fernandez*; potem wyjdą *Miłości Trybuleta*, i *Akademicy Hejdelberscy*. Autor

ma najlepsze chęci; szkoda, że siły nie odpowiadają zadaniu. Nowy komentator Szekspira niechęć zdefiniował wybornie dzieło swoje w kilku słowach, które na końcu przedmowy umieścił: *J'ai la tête si vide et le coeur si plein, qu'on dirait que ma tête est tombée dans mon coeur.*"

— Méry napisał komedią we trzech aktach wierszem: *les deux Frontins*, która, jak wszystkie jego utwory dramatyczne, została jednomyślnie przyjętą do *Théâtre Français*.

W teatrze *Ambigu-Comique* przedstawiono pierwszy raz *Raj utracony* Milтона, ułożony w formę czarodziejskiego dramatu przez pp. Dugué i Dennery. W wiekach średnich grywano na scenie podobne dramata pod nazwą tajemnic: w Hiszpanii przechowały się one najdłużej. Lope de Vega i Calderon pisali jeszcze tak zwane *autos sacramentales*; za czasów Cornella, Calderon ułożył sztuk takich sześćdziesiąt ośm, a reprezentacje ich wówczas bardzo świetne, mogły nawet natchnąć Miltonowi myśl do napisania *Raju Utraconego*. Ale w dzisiejszym sceptyczno-krytycznym wieku nie zdaje nam się, ażeby ludzie posiadali jeszcze potrzebną duszy prostotę do ukochania dzieł takich, i mogli się zbudować widokiem tych biblijnych rozdziałów, przeistoczonych w akty dramatu. Z drugiej strony poważny umysł dzisiejszego pokolenia rażą podobne igraszki. Sztuka przedstawiona w *Ambigu* nie jest wprawdzie niereligijna, ale wolelibyśmy, żeby jej kosztowna wystawa wybrała sobie mniej poważny przedmiot. Upadek aniołów i ludzi, skazanie ich na śmierć i pracę, ukaranie potopem skażonej ludzkości, są to kwestye nadto wysokie, ażeby je można wprowadzać na teatralne deski; układać zaś rozmowy Boga z aniołami i szatanem, Adama z Ewą i tam dalej, wydaje nam się rzeczą nader trudną, której sam Milton niezawsze podołał.



# JULIUSZ CEZAR.

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH.

PRZEKŁAD Z SZEKSPIRA

PRZEZ

*J. Paszkowskiego.*

---

## OSOBY.

JULIUSZ CEZAR.  
OKTAWIUSZ CEZAR.  
MAREK ANTONIUSZ. } Tryumwirowie po śmierci Juliusza Cezara.  
MAREK EMILIUSZ LEPIDUS. }  
CYCERO. }  
POPILIUSZ LENA. } Senatorowie.  
PUBLIUSZ. }  
MAREK BRUTUS. }  
KASSYUSZ. }  
KASKA. ' }  
TREBONIUSZ. } Sprzysiężeni przeciw Juliuszowi Cezarowi.  
LIGARIUSZ. }  
DECYUSZ BRUTUS. }  
METELLUS CYMBER. }  
CYNNA. }  
FLAWIUSZ. } Trybunowie.  
MARULLUS. }  
ARTEMIDORUS, Sofista z Knidos.  
Wieszczek.  
CYNNA, poeta.  
Drugi poeta.  
LUCYLIUSZ, TYTYNIUSZ, MESSALA, młodszy KATO, WOLUMNIUSZ, przyja-  
ciele Brutusa i Kassjusza.  
WARRO, KLITUS, KLAUDYUSZ, STRATO, LUCYUSZ, DARDANIUSZ, słudzy  
Brutusa.  
PINDAR, sługa Kassjusza.  
KALPURNIA, małżonka Juliusza Cezara.  
PORCYA, małżonka Brutusa.  
Senatorowie, Obywatele, Straże i inne osoby.

---

*Scena odbywa się przez większą część sztuki w Rzymie; następnie  
w Sardes i pod Filippami.*



## AKT I.

## SCENA PIÉRWSZA.

*(Jedna z ulic Rzymu).*

FLAWIUSZ, MARULLUS I GROMADA OBYWATELI.

FLAWIUSZ.

Precz ztąd: do domów, do domów próżniaki!  
 Czy to dziś święto? Jaktó, czy nie wiécie,  
 Że w dzień roboczy, bez znaku professyi  
 Rzemieślnikowi włóczyć się nie wolno?  
 Jakiegoś Wasze rzemiosła?

PIÉRWSZY OBYWATEL.

Ja, panie? ja-m sobie cieśla.

MARULLUS.

Gdzież masz skórzany fartuch i liniał?  
 Dlaczego-ś dzisiaj tak strojnie wystąpił?  
 A Wasze, jakież Waścine rzemiosło?

DRUGI OBYWATEL.

Prawdę mówiąc, panie, daleko mi być znakomitym  
 majstrem. Jestem sobie poprostu, jak to mówią, partacz.

MARULLUS.

Ale ja pytam o Waści rzemiosło:  
 Wprost odpowiadaj.

DRUGI OBYWATEL.

Jestto rzemiosło, którém zdaje mi się, iż mogę się  
 z spokojném trudnić sumieniem. Łatam, panie, skórę  
 tym, co nie statkują.

MARULLUS.

Jakie rzemiosło twoje, gburze? pytam:  
 Jakie rzemiosło?

DRUGI OBYWATEL.

Proszę was, panie, nie zaczynajcie ze mną tak z ko-  
 pyta, bo na kopyto! mógłbym wam łatkę przypiąć.

MARULLUS.

Mnie łątkę przypiąć! Co przez to rozumiesz,  
Zuchwalcze?

DRUGI OBYWATEL.

Nie chcecie łątki, panie, no, to mógłbym wam dać  
przyszczepkę.

MARULLUS.

To tedy z ciebie naprawiacz obuwia?

DRUGI OBYWATEL.

Nieinaczéj, panie, z szydła tylko żyję. Nie mieszam  
się do interesów niczyich, nie wyłączając kobiécych, ni-  
czém inném jak szydłem. Słowem, panie, jestem chirur-  
giem starych chodaków; jeżeli im wielkie niebezpieczeń-  
stwo grozi, robię im operacyą, i mogę się pochlubić, że  
moja partanina służy niejednemu z owych wielkich pa-  
nów, co na wołowej skórze chodzą.

FLAWIUSZ.

Ale dlaczego-ś dziś nie przy warsztacie?  
Dlaczego wodzisz po mieście tych ludzi?

DRUGI OBYWATEL.

Dlatego, panie, mówiąc między nami, żeby zdarli  
obuwie, i żeby mi się tym sposobem dostała robota. Ale  
rzetelnie mówiąc, świątkujemy dziś, panie, dlatego, żeby  
zobaczyć Cezara i cieszyć się jego tryumfem.

MARULLUS.

Cieszyć się? Z czego? Jakież on Rzymowi  
Niesie podboje? Jakież zhołdowane  
Przez niego ludy, spętany orszakiem  
Uwieńczyć mają koła jego wozu?  
O głąby! o! wy bałwany nieczule,  
Stokroć nieczulsze od nieczułych głazów!  
O! twarde serca, okrutni Rzymianie,  
Zapomnieliście już o Pompejuszu?  
Ileżto razy, nie tak dawno jeszcze,  
Wdzieraliście się na mury i domy,  
Na wieże, okna, nawet na kominy,  
Z dziećmi na rękę; i tam siedzieliście  
Całemi dniami, cierpliwie czekając,  
Rychło Pompejusz, ów wielki Pompejusz



Przejeżdżać będzie przez ulice Rzymu.  
 A gdyście jego wóz ujrzeli zdala,  
 Nie wydaliścież jednocześnie wszyscy  
 Takich okrzyków, że aż Tyber zadrżał  
 W swoich łożyskach, słysząc powtórzenie  
 Odgłosów waszych wzdłuż brzegów?  
 I wyżto dzisiaj przywdziewacie stroje?  
 I wyżto dzisiaj obchodzicie święto?!  
 I wyżto kwiaty dziś posypujecie  
 Na drodze temu, który tryumfuje  
 Dlatego, że krew Pompejusza przelał?!  
 Precz ztąd zmienniki!  
 Idźcie do domów, zegnijcie kolana,  
 Błagajcie bogów, błagajcie penatów  
 O odwrócenie klęsk, jakie podobna  
 Niewdzięczność musi pociągnąć za sobą.

FLAWIUSZ.

Odejdźcie dobrzy ludziska, odejdźcie;  
 Dla naprawienia zaś waszego błędu,  
 Zgromadźcie rzeszę równych wam biédaków  
 U brzegów Tybru, i dopóty lejcie  
 Łzy wasze w jego koryto, dopóki  
 Najniższy jego strumień nie podskoczy  
 Do najwyższego z okolicznych brzegów.  
*(Obywatele wychodzą).*

Patrz, i najlichszy kruszec da się wzruszyć;  
 Świadomość winy krępuje im język:  
 Milcząc rozchodzą się. Idź ty tą stroną,  
 Ja tędy pójdę: pozdzieraj z posągów  
 Ozdoby, jeśli je na nich zobaczysz.

MARULLUS.

Nie będzież to krok zaśmiały?  
 Wszakże to Rzym dziś święci Luperkalia?

FLAWIUSZ.

Cóż z tego: wara trofeom Cezara  
 Wisieć na jakim-bądź posagu. Przejdę  
 Dokoła miasto, pospędzam gmin z ulic:  
 Ty zrób to samo skoro tłum spostrzeżesz.  
 Rosnące pióra u skrzydeł Cezara  
 Trzeba oskubać, powściągnąć wzlot jego:  
 Inaczéj móglby wznieść się zawysoko,  
 I nas obrócić w drżących poddańczuków.  
*(Wychodzą obadwaj).*

**SCENA DRUGA.***(Plac publiczny w Rzymie).*

*Processjonalnie, z towarzyszeniem muzyki, wchodzi: CEZAR, ANTONIUSZ, w pogotowiu do gonitwy; KALPURNIA, PORCYA, DECYUSZ, CYCERO, BRUTUS, KASSYUSZ I KASKA; za nimi wielki tłum ludu, wśród którego WIESZCZEK.*

CEZAR.

Kalpurnio!

KASKA.

Hola! milczcie: Cezar mówi.  
*(Muzyka ustaje).*

CEZAR.

Kalpurnio!

KALPURNIA.

Jestem, panie.

CEZAR.

Stań na drodze  
Antoniuszowi, gdy przebiegać będzie.  
Gdzie jest Antoniusz?

ANTONIUSZ.

Cezarze, rozkazuj.

CEZAR.

Pamiętaj, biegnąc dotknąć się Kalpurnii.  
Starzy albowiem zapewniają ludzie,  
Że na nieplodnych niewiastach przestaje  
Ciężyc przekleństwo, gdy się ich kto dotknie  
Świątą gonitwę odbywając.

ANTONIUSZ.

Będę  
O tém pamiętał: kiedy Cezar powie,  
Zróbcie to, już to zostało spełnioném.

CEZAR.

Postąpmy dalej:  
A nie pomińcie nic z zwykłych obrzędów.  
*(Muzyka).*

WIESZCZEK.

Cezarze!

CEZAR.

Kto mnie wzywa?

KASKA.

Hola! Uciszcie się, Cezar chce mówić  
(*Muzyka ustaje*).

CEZAR.

Kto się tam w ciszbie téj odezwał? Jakiś  
Głos donośniejszy od muzyki wołał:  
Cezarze! Cezar gotów go wysłuchać.

WIESZCZEK.

Strzeż się dnia Idus w marcu.

CEZAR.

Któż to taki?

BRUTUS.

To jakiś wieszczek daje ci przestrozę.

CEZAR.

Przywiedźcie go tu, niech ujrzę twarz jego.

KASKA.

Bracie, wyjdź z tłumu: przystąp do Cezara.

CEZAR.

Cóżeś to wasze mi powiedział? powtórz.

WIESZCZEK.

Strzeż się dnia Idus w marcu.

CEZAR.

To marzyciel.

Nie zatrzymujmy się. Naprzód panowie.

(*Odgłos trąb. Wszyscy wychodzą, prócz Brutusa i Kas-*  
*syusza*).

KASSYUSZ.

Czy i ty pójdziesz przyjrzeć się gonitwie?

BRUTUS.

Ja, nie.

KASSYUSZ.

Proszę cię, pójdz.

BRUTUS.

Nie mam humoru do zabaw: nie jestem  
W usposobieniu takim jak Antoniusz.

Nie zatrzymuję cię jednak, Kassyuszu:  
Idź, jeśli masz chęć.

KASSYUSZ.

Brutusie, już ja od pewnego czasu  
Uważam ciebie: nie widzę w twych oczach  
Owój życzliwej dobroci, do której  
Zdawna przywykłem: zimno, obojętnie  
Podajesz teraz dłoń przyjacielowi,  
Który cię szczerze miłuje.

BRUTUS.

Kassyuszu!

Nie winń mnie: jeśli wzrok pokrywał chmurą,  
To nie dla czego innego, jak tylko  
Dla utajenia wewnętrznych niepokojów.  
Miotany jestem od pewnego czasu  
Rozmaitemi troskami, myślami,  
Mojój jedynie głowie właściwemi,  
Które rzucają może cień na moje  
Postępowanie. Ale niech się na to  
Nie żalą moi dobrzy przyjaciele,  
(Do których rzędu pozwól mi i ciebie  
Liczyć, Kassyuszu); niech obojętności  
Mojój za powód to jedynie dają,  
Że biędny Brutus sam z sobą w niezgodzie,  
Czule na drugich patrzeć zapomina.

KASSYUSZ.

Skoro tak, błędnie-m więc sobie Brutusie  
Tłumaczył stan twój duszy, i dlatego  
Piers ta przed tobą ukrywała dotąd  
Ważne, wielkiego znaczenia pomysły.  
Powiedz mi, proszę, Brutusie, czy możesz  
Ujrzyć twarz własną?

BRUTUS.

Nie, Kassyuszu: oko

Nie może bowiem samo siebie widzieć,  
Chyba w odbiciu.

KASSYUSZ.

Prawda: to też wielu

Boleje nad tém, Brutusie, że nie masz  
Takich zwierciadeł, któreby ci mogły  
Stawić przed oczy twą ukrytą wartość,  
Abyś ją ujrział widomie. Słyszałem  
Najszanowniejszych Rzymian, (z wyłączeniem  
Nieśmiertelnego Cezara), mówiących

Wśród utyskiwań nad niedolą wieku:  
„Gdyby szlachetny Brutus chciał się przejrzeć!”

BRUTUS.

Na bogi, w jakieżto niebezpieczeństwo  
Chcesz mię pociągnąć, Kassyuszu, żądając,  
Ażebym w sobie szukał tego, czego  
Znaleźćbym nie mógł?

KASSYUSZ.

Słuchaj mnie, Brutusie:

Skoro uznajesz, że nie możesz siebie  
Widzieć inaczej, jak tylko w odbiciu;  
Ja, niby lustro, spróbuję ci odkryć  
Tę twoją stronę, której jeszcze nie znasz.  
Nie miej szczerości mojej w podejrzeniu,  
Brutusie. Gdybym był gminnym pustakiem,  
Gdybym, szafując przysięgą, za bezcen  
Sprzedawał przyjaźń moją lada komu;  
Gdybyś był świadom, że się komukolwiek  
Przypoehlebiałem, zem go czule ścisnął,  
A potem czernił za oczyma; gdybyś  
Był świadom, że się z lada zbiegowiskiem  
Łączę dla podłych uczt i pohulanek:  
Wtedybyś mógł mnie niebezpiecznym sądzić.  
*(Odgłos trąb i okrzyki).*

BRUTUS.

Cóżto za okrzyk? Lękam się, czy tylko  
Lud nie chce królem obwołać Cezara.

KASSYUSZ.

Lękasz się tego? Byłżebyś więc temu  
Przeciwny?

BRUTUS.

Byłbym przeciwny, Kassyuszu,  
Pomimo tego, że mu bardzo sprzyjam.  
Ale dlaczegoż mnie tu zatrzymujesz  
Tak długo? Cóżeśto miał mi powiedzieć?  
Jeżeli idzie o dobro ogółu,  
Staw mi przed oczy honor obok śmierci,  
A pewnie kroku nie cofnę; bo niech mię  
Bogowie skarżą, jeżeli nie bardziej  
Miłuję honor, niż się śmierci lękam.

KASSYUSZ.

Znam ja tę twoją cnotę, o Brutusie!  
Znam ją tak dobrze, jak rysy twój twarzy.

W istocie, honor jest osnową tego,  
 O czém ci mówić zamierzyłem. Nie wiem,  
 Jak tam kto sobie wyobraża życie;  
 Ale co do mnie, mniemam: że na jedno  
 Wychodzi nie żyć wcale, jak żyć w ciągłej  
 Obawie kogoś nam równego. Jam się  
 Urodził wolnym, tak samo jak Cezar;  
 Ty także: obu nas równie karmiono,  
 I oba, tak jak on, umiemy znosić  
 Zimowe chłody. Raz w dzień niepogodny,  
 Kiedy wzburzony Tyber wstrząsał brzegi,  
 Rzekł do mnie Cezar: „*Miałżebyś, Kassyuszu,  
 Odwagę rzucić się ze mną w te fale,  
 I płynąć razem do tamtego punktu?*”  
 Ledwie to wyrzekł, ja nierozebrany  
 Skoczyłem w rzekę, wzywając go, żeby  
 Zrobił toż samo; co on też uczynił.  
 Nurt ryknął, myśmy smagali go siłą  
 Naszych muszkułów, roztrącali na bok,  
 Wstrzymywali go przekornymi pierśmi.  
 Aleśmy jeszcze nie dosięgli kresu;  
 Aliści Cezar zawołał: „*Kassyuszu,  
 Ratuj mię, tonę!*” Jak niegdyś Eneasz,  
 Nasz wielki pradziad, na barkach z pożaru  
 Troi starego wyniósł Anchizesa;  
 Tak i ja wtedy nawpół omdlałego  
 Cezara z Tybru wyniosłem: I tento  
 Człowiek jest dzisiaj bożyszczem, a Kassyusz  
 Nędzném stworzeniem; pokornie się musi  
 Chylić do ziemi, kiedy Cezar ledwie  
 Głową mu kiwnie z niechcenia. Kiedyśmy  
 Byli w Hiszpanii, miał on zimną febrę,  
 I uważałem jak drżał, ile razy  
 Przyszedł paroxyzm. Tak, to bóstwo drżało:  
 Z tchórzliwych jego lic uciekła farba,  
 Wzrok jego stracił blask, ten sam wzrok, który  
 Trwogą świat teraz krępuje. Słyszałem  
 Jego jęk, i te usta, które dzisiaj  
 Każą Rzymianom na czatach mieć słuchy,  
 I mowy jego do ksiąg zapisywać,  
 Wołały: „*daj mi wody Kassyuszu,*”  
 Jak chora dziewczka. O! bogi, słupieję,  
 Kiedy pomyślę, że tak kruchy człowiek  
 Może wybiegać nad majestat świata,  
 I palmę dzierżyć sam jeden.

(*Okrzyki. Odgłos trąb*).

BRUTUS.

Znów jednogłośnie okrzyki!  
 Pewnie ten poklask jest oznaką jakichś  
 Nowych honorów, któremi Cezara  
 Lud obsypuje.

KASSYUSZ.

Tak, mój przyjacielu:  
 Rozkraczył się on na tym ciasnym świecie  
 Jak kolos, a my, maluczcy jak mrówki,  
 Przechodzić musim między olbrzymiemi  
 Jego nogami i zerkać, ażali  
 Gdzieś w kącie sobie nie upatrzym grobu.  
 Przecież czasami, kochany Brutusie,  
 Ludzie panami są swoich przeznaczeń:  
 Jeżeli nisko spadamy, częstokroć  
 Nie jest to wina gwiazd, ale nas samych.  
 Brutus i Cezar! czémże tu jest Cezar?  
 Czemuż to imię ma twoje zacięrać?  
 Napisz je razem: twoje niemniej piękne;  
 Wyrzecz je razem: twoje równie zabrzmi;  
 Zważ je: nie będzie pewnie twoje lżejszém;  
 Użyj obudwu do zaklęć: a Brutus  
 Wywoła duchów tak dobrze, jak Cezar.  
*(Okrzyki).*

Jeszcze ten okrzyk! W imię wszystkich bogów,  
 Jakiemiż się to pokarmami żywi  
 Ten nasz potężny Cezar, że tak wyrósł?  
 Hańba ci, wieku! Rzymie, wysechł w tobie  
 Zródź krwi szlachetnej!.. W jakimż-to okresie  
 Ubiegłych czasów, od daty potopu,  
 Jeden mąż tylko sławą świat napełniał?  
 Kiedyżto kto mógł powiedzieć o Rzymie,  
 Że jego mury, te rozległe mury,  
 Jednego tylko męża w sobie mieszczą?  
 Dziś Rzym jest Rzymem, też sama w nim przestrzeń,  
 Ale w nim tylko jeden mąż.

Opowiadali nam ojcowie nasi,  
 Że żył przed laty jakiś Brutus, który  
 Byłby był raczej ścierpiał w Rzymie panem  
 Diabła, niż króla.

BRUTUS.

O! ja nie wątpię, że mi szczerze sprzyjasz;  
 Pojmuję trochę to, coś mi nasunął.  
 Co o tém wszystkiém myślę, później powiem.  
 Teraz zaś proszę cię w imię przyjaźni,

Nie chciéj mié badać. To, coś mi powiedział,  
Rozważę; tego, co mi jeszcze powiesz,  
Wysłucham: i mam nadzieję, że wkrótce  
Znajdę sposobną chwilę do bliższego  
Rozmówienia się w tak ważnej materji.  
Tymczasem przestań na tém, przyjacielu:  
Że Brutus prędjéjby wieśniakiem został,  
Niżby uchodzić chciał za syna Rzymu  
Pod tak twardemi warunkami, jakie  
Zdaje się na nas wkładać czas obecny.

KASSYUSZ.

Przestaję na tém i cieszę się z tego,  
Że słabe słowa moje wywołały  
Z piersi Brutusa choć tyle zapala.  
*(Cezar wraca z orszakiem swoim).*

BRUTUS.

Już po igrzyskach i Cezar powraca.

KASSYUSZ.

Kiedy nas będą mijać, uchwyc Kaszę  
Za krawędź szaty: jeżeli dziś zaszło  
Co ciekawego, on nam to opowie  
Oryginalnym swoim stylem.

BRUTUS.

Dobrze, Kassjuszu: ale patrz, czy widzisz,  
Jak się płomiéni na czole Cezara  
To zdradzające gniew znamię; a orszak  
Jego wygląda jak zfuwana gawieź.  
Kalpurnia blada, a Cyncero błyska  
Tym samym wzrokiem łasicy ognistym,  
Jakiśmy nieraz u niego widzieli  
Na Kapitolu, gdy senatorowie  
Opponowali mu się w czasie obrad.

KASSYUSZ.

Kaska nam powie, co to wszystko znaczy.

CEZAR.

Antoniuszu!

ANTONIUSZ.

Cezarze!

CEZAR.

Otocz mié ludźmi poszytemi w ciało,  
Którym się świecą policzki, i którzy  
W nocy sypiają. Ten Kassjusz wygląda



Chudo i głodno; snadź zawiele myśli:  
Z takimi ludźmi niebezpiecznie.

ANTONIUSZ.

Oddal obawę, Cezarze; ten człowiek  
Nie może się zwać niebezpiecznym: jestto  
Szlachetny, dobrze myślący Rzymianin.

CEZAR.

Szkoda, że nie jest cokolwiek otylszy;  
Ale ja się go nie obawiam; chociaż,  
Gdyby me imię szło w parze z obawą,  
Nie ma człowieka, któryby mnie bardziej  
Mógł niepokoić, jak ten suchy Kassysz.  
On wiele czyta, wiele obserwuje;  
Wdaje się w rozbiór spraw ludzkich; nie lubi  
Igrzysk, do których ty, mój Antoniuszu,  
Taki masz pociąg; nie lubi muzyki;  
Rzadko się śmieje, a gdy się rozśmieję,  
To tak, jak gdyby sam z siebie chciał szydzić,  
Jakby się z siebie samego naśmiewał,  
Że go coś w świecie zdołało rozśmieszyć.  
Ludzie takiego charakteru nigdy  
Nie patrzą chętnie na wyższych od siebie;  
Ztąd też są oni wielce niebezpieczni.  
Mówię ci o tém jak o rzeczy, której  
Baćby się można, nie której się boję,  
Boć nie przestałem być jeszcze Cezarem.  
Pójdź tu na prawo, bo to ucho głuche,  
I szczerze powiedz mi, co o nim myślisz.

*(Cezar z orszakiem wychodzi. Kaska pozostaje).*

KASKA.

Pociągnęłeś mnie za płaszcz, czy masz mi co do  
powiedzenia.

BRUTUS.

Nie inaczej: Kasko, powiedz nam, co się to stało,  
że Cezar tak ponuro wygląda?

KASKA.

Albożeście z nim nie byli? Jakto? nie byliście?

BRUTUS.

Gdybym z nim był, nie pytałbym Kaski co się stało.

KASKA.

Cóż się miało stać? Ofiarowano mu koronę, a on  
ją płazem ręki odepchnął: ot tak. Co widząc lud, dajleż  
wrzeszczeć.

BRUTUS.

Cóż znaczył ów drugi okrzyk?

KASKA.

To, co i pierwszy.

BRUTUS.

Ale ten okrzyk trzy razy się powtórzył, cóż spowodowało ostatni?

KASKA.

To samo, co i pierwszy.

BRUTUS.

Więc mu po trzykroć ofiarowano koronę?

KASKA.

A jakże, i on ją po trzykroć odepchnął, jednakże za każdym razem łagodniej; a za każdym jej odepchnięciem, szanowni moi sąsiedzi huknęli z całego gardła.

BRUTUS.

Któż mu koronę podawał?

KASKA.

Któżby? Antoniusz.

BRUTUS.

Opowiedz nam to, Kasko, dokładnie.

KASKA.

Dam się obwiesić, jeżeli dokładnie opowiedzieć to potrafię; było to istotne dzieciństwo. Nie natężyłem uwagi. Widziałem, że mu Marek Antoniusz podał koronę, to jest właściwie nie koronę, tylko pewien rodzaj tego, co królowie noszą na głowie; a on ją odepchnął, jak powiedziałem: chociaż o ile mogę sądzić, nie byłby jej zatrzymał niechętnie. Po niej jakim czasie podał mu ją znowu Antoniusz, i on ją znowu odepchnął; chociaż, o ile mogę sądzić, nie bez odrazy przyszło mu od niej odjąć palce. Nareszcie podał mu ją Antoniusz po raz trzeci, i on ją po raz trzeci odepchnął; a za każdym takowym jego postąpieniem, motłoch wyć zaczął, klaskać w popękane dłonie, rzucać do góry obszarpane czapki, przyczem wyzionął taką dozę nieprzyjemnego oddechu z radości, że Cezar nie przyjął korony, że Cezarowi musiało się mgło zrobić, bo zemdlął i padł na ziemię. Co się mnie tyczy, nie śmiałem się rozśmiać, bom się bał usta otworzyć, i wciągnąć w siebie zepsute powietrze.

KASSYUSZ.

Zwolna, zwolna: mówisz więc, że Cezar zemdlął?

KASKA.

Padł na środku rynku: pianą mu się usta pokryły i głos mu się zatamował w piersiach.

BRUTUS.

Nie ma w tém nic nadzwyczajnego; on choruje na padaczkę.

KASSYUSZ.

Nie onto na nią choruje: ale ty, i ja, i nasz poczciwy Kaska.

KASKA.

Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć; wiem tylko tyle, że Cezar padł na ziemię, że ta hołota poklaskiwała mu lub sykała na niego w miarę, jak się jój podobał lub nie podobał: tak, jak to robi komedyantom na teatrze. Jeżeli to nieprawda, to nie chcę się zwać poczciwym człowiekiem.

BRUTUS.

Cóż powiedział przyszedłszy do siebie?

KASKA.

Jeszcze przed swoim upadkiem widząc radość popółstwa, z powodu, że nie przyjął korony, obnażył szyję na znak, że gotów ją sobie dać urznąć. Gdybym był prostym rzemieślnikiem i nie był go wtedy wziął za słowo, to niechby mnie była z temi szubrawcami ziemia pochłoneła. Potoczył się więc i upadł. Powróciwszy do zmysłów, rzekł: że jeżeli coś niestosownego zrobił lub powiedział, prosi szanowne publicum, aby to było na karb jego słabości policzone. Trzy czy cztery baby wpodłe mnie stojące, wykrzyknęły: „*Niestety, poczciwa dusza!*” — i przebaczyły mu z całego serca. Ale tego nietrzeba brać tak ściśle, bo choćby im był Cezar matki kazał zarznąć, nie byłyby były mniej czułe.

BRUTUS.

I dlatego Cezar miał minę tak posępną?

KASKA.

Zdaje się, iż dlatego.

KASSYUSZ.

Nicze Cycero nie powiedział?

KASKA.

I owszem, mówił po grecku.

KASSYUSZ.

Cóż mówił?

KASKA.

Ba! i bardzo! Gdybym wam to powtórzył, nigdybym wam już w oczy nie mógł spojrzeć: ale ci, co go zrozumieli, śmieli się między sobą i potrząsali głowami. Co do mnie, było to dla mnie po grecku. Mogę wam jeszcze więcej nowin udzielić: Marullus i Flawiusz zostali na odo-sobnienie skazani za zdzieranie ozdób z posągów Cezara. Bądźcie zdrowi. Było tam jeszcze więcej dzieciństw, ale mi wywietrzały z pamięci.

KASSYUSZ.

Przyjdiesz-li do mnie na wieczerzę, Kasko?

KASKA.

Nie, jużem zamówiony gdzieindziej.

KASSYUSZ.

To może jutro na obiad?

KASKA.

Zgoda, jeżeli żyw będę: twoja chęć dobra, i obiad twój wart jedzenia.

KASSYUSZ.

Będę cię oczekiwał.

KASKA.

Możesz. Bądźcie zdrowi obadwa.

*(Odchodzi).*

BRUTUS.

Jakże ten człowiek ocięzał na duchu!  
Kiedyśmy razem chodzili do szkoły,  
Byłto chłop dziarski.

KASSYUSZ.

Jest on i dziś takim,  
Ilekróć razy przychodzi mu spełnić  
Jaki czyn piękny i śmiały, i tylko  
Na pozór takim tępym się wydaje.  
Jego rubasznosc jest jak sos zaprawą  
Jego dowcipu, i żołądki ludzkie  
Sposobi z lepszym apetytem trawić  
Jego wyrazy.

BRUTUS.

Być może. A teraz  
Żegnam cię. Jutro, jeśli wola twoja,  
Przyjdę do ciebie na dłuższą rozmowę;  
Albo jeśli wolisz, sam przyjdź do mnie,  
Będę na ciebie czekał.

KASSYUSZ.

Dobrze, przyjdę:  
Tymczasem pomnij o świecie.  
(*Brutus wychodzi*).

Wiedziałem

O tém, Brutusie, że szlachetnie myślisz;  
Ale uważam, że twój grunt szacowny  
Zmienić się może pod obcą uprawą.  
Dlatego dobrzeto, kiedy szlachetnie  
Myślący ludzie, zawsze się podobnych  
Siebie trzymają: bo któż ma sam w sobie  
Dosyć rękojmi, że się nie da uwieść?  
Cezar coś na mnie krzywo patrzy, ale  
Kocha Brutusa: gdybym był Brutusem  
A ten Kassyuszem, mnieby nie polubił.  
Tój nocy wrzucę mu przez okno listy  
Odmiennej ręki, jakoby przez różnych  
Obywateli pisane; a listów  
Tych treścią będą wysokie nadzieje,  
Jakie Rzym w jego pokłada imieniu;  
Przyczém nieznacznie napomknietém będzie  
O Cezarowém pięciu się do władzy.  
Niechże się potém to bożyszcze krzepko  
Trzyma na nogach: bo albo usuniem  
Jego piedestał, albo sami runiem.

(Wychodzi).

**SCENA TRZECIA.***(Inna ulica w Rzymie).*

*Grzmoty i błyskawice. Z przeciwnych stron wcho dzą*  
KASKA *z dobytym mieczem* i CYCERO.

CYCERO.

Cóżto za burza? Dobry wieczór, Kasko:  
Odprowadziłżeś Cezara do domu?  
Dlaczego taki zdyszany? i z miną  
Tak przerażoną?

KASKA.

Możnaż być spokojnym,

Gdy cała ziemia, by wątpła machina  
 Chwieje się w swoich posadach?  
 O! Cyceronie, widziałem ja burze  
 Takie, że wichry zdąsany  
 Sękate dęby wrywał; widziałem  
 Dumny ocean wzdymający fale,  
 Wściekający się i plujący pianą  
 W twarz groźnym chmurom: ale nigdy dotąd,  
 Po tę noc, nigdy nie przyszło mi jeszcze  
 Być pośród dżdżączej ogniem nawałnicy.  
 Albo w niebiosach jest domowa wojna,  
 Albo bogowie niemogąc już ścierpieć  
 Nadużyć świata, zsyłają zniszczenie.

CYCERO.

Cóżęśto widział tak osobliwego?

KASKA.

Niewolnik jeden, znany ci z widzenia,  
 Wzniósł lewą rękę, która zapłonęła  
 Gdyby dwadzieścia złączonych pochodni;  
 I mimo tego żaru pozostała  
 Nieszkodzoną. Potém, (jeszczem dotąd  
 Nie schował miecza), gdym kapitol mijał,  
 Zaszedł mi drogę lew i wlepił we mnie  
 Wzrok gorejący, i nie zaczepiwszy  
 Zuchwale przeszedł koło mnie: a owdzie  
 Zbiegło się jakie sto kobiet, okropnie  
 Z trwogi poblądłych, które zapewniały  
 I przysięgały, że widziały orszak  
 Ludzi w płomieniach, szybko tam i nazad  
 Przechadzających się pośrodkiem ulic.  
 A wczoraj w samo południe ptak noeny  
 Usiadł na rynku i huczał i kwilił.  
 Niech mi nie mówi nikt, że takie dziwy,  
 Tak jednocześnie się pojawiające,  
*W porządku rzeczy są, w zgodzie z naturą;*  
 Jam przekonany, że to są złowrózbe  
 Znaki dla kraju, w którym się trafiają.

CYCERO.

W dziwnych żyjemy czasach, ani słowa;  
 Lecz nieraz ludzie uważają rzeczy  
 Wedle pozoru ich, nie wedle wątku.  
 Czy jutro Cezar przyjdzie na kapitol?

KASKA.

Przyjdzie, bo kazał cię Antoniuszowi  
Uprzedzić o tém, że będzie tam jutro.

CYCERO.

Dobranoc zatém, Kasko: w taką porę  
Niebardo chce się używać przechadzki.

KASKA.

Dobranoc wzajem, Cynceronie.  
(*Cycero wychodzi*).

(*Kassysz wchodzi*).

KASSYUSZ.

Kto tu?

KASKA.

Rzymianin.

KASSYUSZ.

Kaska, sądząc z głosu.

KASKA.

Dobry  
Masz słuch, Kassyszu. Cóżto za noc dzisiaj!

KASSYUSZ.

Wcale rozkoszna dla poczciwych ludzi.

KASKA.

Któż kiedy widział tak gniewne niebiosy?

KASSYUSZ.

Ci, co widzieli ziemię przepelnioną  
Tak wielką masą zdrożności. Co do mnie,  
Chodziłem sobie po ulicach sztydząc  
Z groźb atmosfery; i tak, jak mnie widzisz,  
Z rozpiętą szatą nadstawiałem łono  
Strzałom piorunów: a kiedy zębato  
Błękitny rozbłysk zdawał się otwierać  
Piers firmamentu, jam mu się umyślnie  
Za cel w centrowym kierunku podawał.

KASKA.

Dlaczegoś, bracie, tak doświadczał niebios?  
Ludzi udziałem jest drzeć, gdy bogowie  
Za pośrednictwem tych strasznych heroldów  
Raczą nam swoje potęgę obwieszczać.

KASSYUSZ.

Zaflegmatyczny jesteś, Kasko; nie masz  
 Tęj iskry życia, która znamionuje  
 Rzymian, albo ją w sobie zaniedbujesz.  
 Lica twe blade, wzrok twój osłupiały,  
 Ulegasz trwodze i z zdumieniem patrzysz  
 Na niepojętą niecierpliwość niebios.  
 Lecz gdybyś wejrzał w prawdziwą przyczynę  
 Tych zjawisk, gdybyś się chciał zastanowić  
 Nad rzeczywistém znaczeniem tych wszystkich  
 Ogniów, tych lotnych widm, ptaków i zwierząt,  
 Odstepujących od zwykłej swęj normy;  
 Gdybyś pomyślał, dlaczego dziś starcy  
 Dzieciństwa robią, a dzieci rachują;  
 Dlaczego wszystko dziś wychodzi jakoś  
 Z karbów porządku natury, i bierze  
 Postać potworną: poznałbyś zaiste,  
 Że fenomena te sprowadza niebo,  
 Jako narzędzia trwogi i przestrogi,  
 Uprzedzające o jakichś ogólnych,  
 Potwornych zmianach. Mógłbym ja ci teraz,  
 Kasko, wymienić nazwisko człowieka,  
 Do tęj okropnej nocy podobnego;  
 Który grzmi, błyska, otwiera grobowce,  
 I ryczy jak ów lew na kapitole:  
 Człowieka, który osobiście nie jest  
 Silniejszy od nas obudwóch; lecz który  
 Nad miarę wzmógł się i stał się nam groźnym,  
 Tak właśnie, jako te nocne straszycła.

KASKA.

To Cezar: o nim myślałeś Kassyuszu?

KASSYUSZ.

Kto bądź, to jedno: bo Rzymianie tylko  
 Z rysów i z członków są podobni teraz  
 Do swoich przodków. Duchy ojców naszych  
 Wymarły, został nam tylko duch matek.  
 Jarzmo gniojące nas i obojętność,  
 Z jaką je znosim, pokazuje, żeśmy  
 Niewieściuchami.

KASKA.

Słyszałem, że jutro  
 Senat ma królem obwołać Cezara:  
 Wolno mu będzie używać korony  
 Gdzie tylko zechce, na morzu i lądzie,  
 Prócz tu, w Italii.



KASSYUSZ.

Wiem ja, jaki wtedy

Użytek zrobię z tego pugiuału;  
 Kassysusz uwolni od więzów Kassysusza.  
 W tym punkcie dają nieśmiertelni słabym  
 Wigor, a karzą niemocą tyranów.  
 Niczém kamienne wieże, niczém wały  
 Z kutego spiżu, niczém lochy, niczém  
 Żelazne pęta: nie wstrzymają one  
 Potęgi ducha, rwącej się na wolność.  
 Życiu, któremu szranki tego świata  
 Już się sprzykrzyły, nie brak nigdy środków w  
 Do wydobywania się z nich raz nazawsze.  
 Ponieważ to wiem, niechże wszyscy wiedzą,  
 Że skoro zechcę, mogę zrzucić z siebie  
 Tę część niewoli, któraby się mogła  
 Stać mým udziałem.

KASKA.

I ja, i tak samo

Każdy niewolnik ma zawsze w swym ręku  
 Moc otrząśnienia się z więzów.

KASSYUSZ.

Zkądżeto proszę, Cezarowi przyszło  
 Chcieć być tyranem? Biedny człowiek! Wiem ja,  
 Żeby mu ani się śniło być wilkiem,  
 Gdyby nie wiedział, że Rzymianie owce:  
 Ni lwem, gdybyśmy nie byli sarnami.  
 Od wstępnj słomy zaczyna, kto szybko  
 Wielki chce ogień rozniecić. I cóżto,  
 Czyto Rzym śmieci, wiór albo łach jaki,  
 Aby miał zagwią być do oświecenia  
 Tak nikczemnego jestestwa jak Cezar?  
 Ale dokądże boleść mnie unosi?  
 Może ja mówię do słuźalca, który  
 Smakuje w więzach. Wiem, że w takim razie  
 Zmuszony będę zdać z słów moich sprawę:  
 Lecz mniejsza o to, jestem uzbrojony,  
 I obojętne mi niebezpieczeństwa.

KASKA.

Mówisz do Kaski, do człowieka, który  
 Nie jest bezczelnym szczekaczem. Daj rękę:  
 Pomyśl o środkach zaradzenia złemu,  
 A ja tą nogą tak postąpię naprzód,  
 Jak ten, co robi krok podwójny.

KASSYUSZ.

Zgoda:

Układ zrobiony. Wiédźże teraz Kasko,  
 Żem już nakłonił kilku najszlachetniej  
 Myślących Rzymian, do przyjęcia ze mną  
 Udziału w pewnym chlubnie hazardownym  
 I nader płodnym w skutki przedsięwzięciu.  
 Czekają oni na mnie o tój dobie  
 W Pompejuszowym portyku.  
 Ta noc, pod której zasłoną nie spotkasz  
 Żywego ducha; ta walka żywiołów,  
 Sprzyja nam: bo jest tak, jako nasz zamiar,  
 Krwawą, palącą i przerażającą.

*(Cynna wchodzi).*

KASKA.

Cicho! ktoś ku nam spiesznym zdąża krokiem.

KASSYUSZ.

To Cynna, jeden z naszych towarzyszków:  
 Znam go po chodzie. Cynno, gdzie tak spiesznie?

CYNNA.

Szukam cię: któż to jest? Metellus Cymber?

KASSYUSZ.

Nie Cymber: Kaska, świeżo zwerbowany  
 Przyjaciel. Cynno, czy na mnie czekają?

CYNNA.

Cieszę się z tego. Cóżto za noc! kilku  
 Z naszych widziało szczególne zjawiska.

KASSYUSZ.

Cynno, czy na mnie czekają?

CYNNA.

Czekają.

O! gdybyś także potrafił, Kassyuszu,  
 Na naszą stronę Brutusa przeciągnąć!

KASSYUSZ.

Bądź pod tym względem spokojny. Tymczasem,  
 Kochany Cynno, staraj się niezwłocznie  
 Złożyć to pismo na krześle pretorskim.  
 Tak, aby Brutus je znalazł; to drugie  
 Wrzuć mu przez okno, a to trzecie przylep  
 Ponad statuą starego Brutusa.

Co uczyniwszy, jak można najprędzej  
Wróc do portyku Pompejuszowego:  
Już ja tam będę. Czy jest tam Treboniusz  
I Decyusz Brutus?

CYNNA.

Są wszyscy zebrani,  
Oprócz Metella Cymbra, który poszedł  
Szukać cię w domu. Spieszę bez odwłoki,  
I sprawię wszystko tak, jakżeś mi zlecił.

KASSYUSZ.

A pomnij wrócić w miejsce umówione.  
*(Cynna wychodzi).*

Pójdź, Kasko; zanim jutrzienka mrok spędzi,  
Musimy jeszcze odwiedzić Brutusa.  
Trzy jego części do nas już należą:  
Reszta ulegnie przy piérwszej rozmowie.

KASKA.

Wysoko stoi on w opinii ludu,  
I uczestnictwo jego jak alchemia  
Zamieni w cnotę to, coby w nas mogło  
Wydać się niecnem.

KASSYUSZ.

Dobrze ocenileś  
Prawdziwą jego wartość i powody,  
Które go czynią nam potrzebnym. Idźmy,  
Bo już minęła północ; a przededniem  
Musim go zbudzić i mieć jego słowo.  
*(Wychodzą).*

## AKT II.

### SCENA PIÉRWSZA.

*(Tamże; ogród Brutusa).*

BRUTUS *(wchodzi).*

BRUTUS.

Lucyuszu, wstawaj!  
Nie mogę dociec z biegu gwiazd, daleko  
Jeszcze do rana. Lucyuszu, czy słyszysz?  
Radbym móż zgrzeszyć snem tak twardym. Wstawaj,  
Wstawaj, Lucyuszu!

*(Lucyusz wchodzi).*

LUCYUSZ.

Wolałeś na mnie, panie?

BRUTUS.

Idź zanieść świecę do mego pokoju:  
A jak zapalisz ją, przyjdź mi tu donieść.

LUCYUSZ.

Stanie się, panie, jak każesz.

(*Wychodzi*).

BRUTUS.

Śmierć jego jest więc nieuchronną. Nie mam  
Ja osobistej do niego niechęci,  
Jedynie tylko ze względu na ogół.  
Korony pragnie: o ile ta żądza  
Mogła grunt jego zmienić, to pytanie.  
Blizką jest chwila wyklucia się żmii,  
Trzeba więc baczenie kroki stawiać. Mamyż  
Mu dać koronę? Jeśli mu ją damy,  
Damy mu żądło, którym, skoro zechce,  
Będzie mógł stać się niebezpiecznym. Władza  
Ma to do siebie, że jej trudno chodzić  
W parze z sumieniem. Nie widziałem wprawdzie,  
Ażebym kiedy namiętność w Cezarze  
Przeciwważyla uczucie słuszności:  
Wiemy atoli, że często pokora  
Młodej ambicyi służy za drabinę,  
Do której zawždy ten, co się pnie w górę  
Twarz ma zwróconą, lecz gdy na najwyższym  
Ujrzy się szczeblu, natychmiast się do niej  
Tyłem odwraca, spogląda w obłoki,  
Z wzgardą za sobą zostawiając stopnie,  
Po których przeszedł. Tak samo się może  
Stać i z Cezarem; gdy się więc stać może,  
Zapobiedz trzeba, aby się nie stało.  
Że zaś spór z tego rodzaju  
Osobistością bladoby wyglądał,  
Tém go wypada ukoloryzować:  
Że osobistość ta, wzmógłszy się bardziej,  
Mogłaby dane przekroczyć granice.  
Zaczém uważać go należy jako  
Jaje gadziny, któreby się stało  
Fatalném, gdyby się z niego płód wyłagł:  
—I wcześniej zgnieść go w skorupie.

LUCYUSZ (*wchodzi*).

Panie, już świeca gore w twój pracowni.  
Szukając skałki na oknie, znalazłem

Ten oto papier zapieczętowany;  
A pewny jestem, że go tam nie było  
Kiedy się kładłem.

BRUTUS.

Idź, połóż się jeszcze:  
Jeszcze noc. Chłopcze, czy to jutro Idus?

LUCYUSZ.

Nie wiem dokładnie.

BRUTUS.

Zajrzyj w kalendarz i przyjdź mi powiedzieć.

LUCYUSZ.

Natychmiast, panie!

(*Wychodzi*).

BRUTUS.

Błyski wyziewów krążących w powietrzu  
Tak jasno świecą, że mogę rozpoznać  
Przy nich litery.

(*Rozkłada list i czyta*).

„Ty śpisz, Brutusie. Ocknij się! Wejdz w siebie!  
Trzebaż, ażeby Rzym.... Mów! uderz! popraw!  
Ty śpisz, Brutusie: Ocknij się!”

Podobnych odezw siła już podniosłem  
Na różnych miejscach.

Trzebaż ażeby Rzym... toby się dało  
W taki podobno sposób uzupełnić:  
Trzebaż ażeby Rzym popadł pod władztwo  
Jednego pana? Rzym? Przodkowie moi  
Wygnali przecie z Rzymu Tarkwiniusza,  
Kiedy go królem ogłoszono.

Mów! uderz! popraw! Wzywają mię tedy,  
Abym głos zabrał i uzył ramienia.

O! Rzymie! Ufaj, że jeżeli tylko  
Poprawa złego ma po tém nastąpić,  
Otrzymasz z ręki Brutusa zupełne  
Żądaniu twemu zadośćuczynienie.

(*Lucyusz wraca*).

LUCYUSZ.

Panie, czternaście dni marca już przeszło.

(*Pukanie zewnątrz*).

BRUTUS.

Dobrze. Pobiegnij do bramy; ktoś puka.

(*Lucyusz wychodzi*).

Odkąd mię Kassysz przeciw Cezarowi  
 Podburzył, jeszcze nie zmrużyłem oka.  
 Między spełnieniem okropnego czynu  
 A piérwszém jego wszczępieniem się w umysł,  
 Wszystko pośrednie jest jako fantazma,  
 Lub sen straszliwy: duch wtedy odbywa  
 Walną naradę z wszystkimi władzami,  
 I całe wnętrzne jestestwo człowieka,  
 Jakoby małe królestwo,  
 Zostaje w stanie chorobliwym buntu.  
*(Lucysz wraca).*

LUCYUSZ.

Panie, to brat twój, Kassysz, jest u bramy.  
 Chce mówić z tobą.

BRUTUS.

Czy sam jest?

LUCYUSZ.

Jest w towarzystwie kilku. Nie, panie:

BRUTUS.

Któż są tamci?

LUCYUSZ.

Nie wiem: wtłoczone mają kapelusze  
 Na same oczy i płaszcze napoły  
 Kryją im twarze, tak, żem w żaden sposób  
 Nie mógł rozpoznać ich rysów.

BRUTUS.

Niech wnijdą.

*(Lucysz wychodzi).*

To sprzysiężeni. O spisku!  
 Czy się ty wstydzisz twe złowrogie czoło  
 Odsłaniać w nocy, gdy tylko złość czuwa?  
 O! w takim razie, gdzieżbyś znalazł za dnia  
 Tak ciemną ustron, byś w niej mógł pogrzebać  
 Potworne twoje oblicze? O spisku!  
 Nie szukaj mroku jaskiń ani pieczar;  
 Pokryj się raczej uśmiechem, słodyczą:  
 Bo gdybyś szczerą twą postać ukazał,  
 Nawet ponury Erebus nie zdołałby  
 Zatrzeć wrażenia twojego widoku.

KASSYUSZ, KASKA, DECYUSZ, CYNNA, METELLUS CYMBER I TREBONIUSZ *wchodzą.*

KASSYUSZ.

Zaśmiało może przychodzimy przerwać  
Twój wypoczynek, Brutusie? Dzień dobry!  
Nie przeszkadzamyż ci?

BRUTUS.

Już dawno wstałem.

Nie spałem całą noc. Czy to znajomi?

KASSYUSZ.

Wszyscy znajomi: nie ma tu nikogo,  
Coby cię nie czcił, i każdy serdecznie  
Pragnie, ażebyś miał o sobie samym  
Takie mniemanie, jakie ma o tobie  
Każdy szlachetnie myślący Rzymianin.  
To jest Treboniusz.

BRUTUS.

Witam go w mym domu.

KASSYUSZ.

To, Decyusz Brutus.

BRUTUS.

Witam go podobnież.

KASSYUSZ.

To Kaska; tamto Cynna; to Metellus  
CyMBER.

BRUTUS.

Witam ich wszystkich najuprzejmież.  
Cóżto za troska stanęła napoprzek  
Między waszemi oczyma a nocą?

KASSYUSZ.

Mogęż cię prosić na ustęp?  
*(Rozmawiają pocichu).*

DECYUSZ.

Wszak tu wschód? Czyliż tu dzień nie dochodzi?

KASKA.

Zdaje się, że nie.

CYNNA.

Przepraszam, i owszem;  
Owe szarawe szlaki na obłokach  
Są zwiastunami dnia.

KASKA.

Przyznajcie, że się obadwa mylicie:  
Słońce tu wschodzi gdzie wskazuję mieczem,  
I na tak wczesną jak dziś porę roku  
Zabardzo zwraca się ku południowi.  
Za dwa miesiące posunie się ono  
Wyżej na północ i ranny wschód będzie  
Tu prosto w stronie kapitolu.

BRUTUS.

Podajcie mi dłoń wszyscy po kolei.

KASSYUSZ.

I przedsięwzięcie swe stwierdzmy przysięgą.

BRUTUS.

Przysięgą? na co? Jeżeli współczucie,  
Bolesć dusz naszych, nadużycia czasu,  
Słabą są dla nas pobudką: niech każdy  
Wstecz się zawróci, w gminne skoczy łoże;  
Niechaj tyrania z podniesioną głową  
Grassuje, póki ostatni mąż z mężów  
Z kolei losu nie padnie.  
Ale jeżeli te wszystkie powody,  
Jak się spodziewam, są dostatecznemi  
Do obudzenia męztwa nawet w tchórzach,  
I do nadania hartu nawet miękkiem  
Niewieścim sercom; o! rodacy moi,  
Na cóż nam bodźca innego do czynu,  
Jak własny nasz stan? innych ubezpieczeń,  
Jak tajemnica Rzymian, jedno słowo  
Ludzi niezdolnych kłamać? Na co przysięg  
Tam, gdzie prawości prawość zcicha ręczy,  
Że to lub owo spełnim albo zginiem?  
Niech przysięgają sektarze, oszusty,  
Tchórze i dziady, i te chore dusze,  
Którym pochlebia doznawana krzywda.  
W złej sprawie zwykle przysięgają tacy,  
Którym nie daje wiary żaden mąż:  
Ale my cnego przedsięwzięcia swego  
I niepodległej tęgości dusz naszych  
Nie plammy myślą, że do naszej sprawy



I do szczęsnego jój przeprowadzenia  
Potrzeba przysiąg; kiedy każda kropla  
Krwi Rzymianina bękarcieje hańbą,  
Jeżeli który, choćby najdrobniejszą,  
Cząstkę danego przyrzeczenia złamie.

KASSYUSZ.

Lecz cóż Cycero? Mamyż go wybadać?  
Ja mniemam, że on silnie krok nasz poprze.

KASKA.

Nie pomijajmy go.

CYNNA.

O! nieinaczéj!

METELLUS.

Starajmy się go pozyskać, koniecznie:  
Bo jego srebrny włos kupi nam dobrą  
Opinią świata i pochwalne głosy.  
Jegoto zdanie, powiedzą, wpływ miało  
Na nasz postępek; wiodło nasze dłonie;  
I nasza młodość, nasza szorstkość zniknie  
Pod płaszczem jego powagi.

BRUTUS.

Nie mówmy o nim; bądźmy mu życzliwi,  
Ale nic więcéj. Nigdy się on nie wda  
W sprawę przez kogo innego zaczęta.

KASSYUSZ.

Obejdźmy się więc bez niego.

KASKA.

W istocie,

Nie jestto człowiek dla nas.

DECYUSZ.

Samże ma tylko Cezar paść ofiarą?

KASSYUSZ.

Słusznie rzuciłeś tę kwestyą, Decyuszu:  
Ja mniemam, żeby niestosowném było,  
Gdyby Antoniusz, którego tak bardzo  
Cezar miłuje, miał Cezara przeżyć.  
Zawiląbyśmy z nim mieli przeprawę;  
Ma on, jak wiécie, takie srodki w ręku,  
Że gdyby użył ich, mógłby nam wszystkim  
Bardzo zaszkodzić: dla zapobieżenia  
Czemu, niech będzie zgładzon wraz z Cezarem.

## BRUTUS.

Za krwawymby to było czynem, bracie,  
 Obrzynać członki po ucięciu głowy;  
 Traciłoby to gniewem i zawiścią:  
 Antoniusz bowiem jest poprostu tylko  
 Członkiem Cezara. O! Kassysuzu, bądźmy  
 Ofiarnikami, a nie rzeźnikami.  
 Powstajem przeciw duchowi Cezara,  
 A duch krwi nie ma. O! gdybyśmy mogli  
 Ugodzić w jego duch nie szkodząc ciału!  
 Ale niestety, krew Cezara musi  
 Popłynąć! Skoro więc mamy go zabić,  
 O! przyjaciele, zabijmyż go śmiało,  
 Ale bez gniewu; poświęćmy go jako  
 Żertwę dla bogów, ale nie ćwiertujmy  
 Jako odprawę dla psów. Niechaj nasze  
 Serca tém będą względem rąk, czém owi  
 Wyrachowani w działaniu panowie,  
 Coto podżegłszy wściekłość swych podwładnych,  
 Łają ich wrzkomo po spełnionym czynie.  
 Wtedy postępek nasz będzie miał cechę  
 Potrzeby a nie zawiści; i w oczach  
 Ludu zbawcami będziemy nie zbójcami.  
 Co się zaś tyczy Marka Antoniusza,  
 Nie myślmy o nim; nie więcej on bowiem  
 Może uczynić, jak ramię Cezara,  
 Kiedy Cezara głowy już nie będzie.

## KASSYUSZ.

Ja się go jednak lękam: bo serdeczna  
 Przychylność jego do Cezara..

## BRUTUS.

Nie myśl

O nim, Kassysuzu: jeśli on istotnie  
 Kocha Cezara, to tylkoby biernie  
 Mógł dlań coś zrobić; mógłby co najwięcej  
 Mieć go w pamięci i umrzeć dla niego.  
 Byłoby to już wiele z jego strony,  
 Bo lubi uczty, gry i towarzystwa.

## TREBONIUSZ.

Nie mamy się go powodu obawiać:  
 Niech żyje. Ręczę, że nie umrze z żalu,  
 I jutro wróci do zwykłej pustoty.  
*(Słychać bijącą godzinę).*

BRUTUS.

Którażto bije?

KASSYUSZ.

Trzecia.

TREBONIUSZ.

Czas nam odejść.

KASSYUSZ.

Wątpliwą wszakże jest rzeczą, czy Cezar  
 Wyjdzie dziś z domu. Od pewnego czasu  
 Stał się on bardzo przesądnym; zupełnie  
 Inne, jak dawniej ma wyobrażenia  
 O snach, przeczuciach i świętych obrzędach.  
 Być może, że ta noc dziwnie okropna,  
 Te nadzwyczajne zjawiska, nareszcie  
 Rada augurów wstrzymają go dzisiaj  
 Od ukazania się na kapitole.

DECYUSZ.

O to nie troszczcie się: gdyby przyjść nie chciał,  
 Ja go do tego potrafię nakłonić:  
 Lubi on bowiem, kiedy mu się prawi,  
 Że do złowienia jednoroźców służą  
 Drzewa, niedźwiedzi zwierciadła, lwów sieci,  
 Słoni, wadoły a ludzi pochlebstwa:  
 A kiedy mówię mu, że nienawidzi  
 Pochlebców, on mi odpowiada, tak jest;  
 Nie domyślając się, że wtedy właśnie  
 Najmocniej został pochlebstwem ujęty.  
 Spuście się na mnie:  
 Nagnę ja jego humor według woli,  
 I przyprowadzę wam go na kapitol.

KASSYUSZ.

My wszyscy raczej pójdziemy po niego.

BRUTUS.

O ósmój. Czy to umówiony termin?

CYNNA.

Niech będzie: żaden z nas go nie uchybi.

METELLUS.

Kajus Ligaryusz nie cierpi Cezara,  
 I ten do niego także czuje niechęć,  
 Odkąd śmiał przed nim Pompejusza chwalić.  
 Dziwi mnie, że on na myśl wam nie przyszedł.

BRUTUS.

Biegnij do niego, kochany Metellu,  
Poproś go do mnie: ja mu rzecz przelożę.  
Ma on niejaki dla mnie obowiązek,  
Mogę więc liczyć na niego.

KASSYUSZ.

Już ranek:

Musimy cię już pożegnać Brutusie.  
Niech teraz każdy idzie w swoją stronę,  
Niech pomni na to, co wyrzekł, i czynem  
Dowiedzie, że jest prawym Rzymianinem.

BRUTUS.

Przybierzcie lica, zacni przyjaciele,  
W maskę wesolą; niech gra naszych rysów  
Nie wyda na jaw naszego zamiaru.  
Starajmy się go umiejętnie pokryć  
Na wzór aktorów naszych, wyuczona  
Jednostajnością obejścia. A teraz  
Żegnaj was, życząc wszystkim dnia dobrego.  
*(Odchodzą wszyscy prócz Brutusa).*

Lucyuszu! Znowu zasnął. Spij mój chłopcze!  
Ciesz się miodową rosą wypoczynku:  
Nie znasz ty jeszcze owych widm dręczących,  
Którymi troska napełnia pierś męża,  
Dlatego spisz tak spokojnie.

*(Porcja wchodzi).*

PORCYA.

Brutusie, panie mój!

BRUTUS.

Porcja! tak wcześnie?

Nie jest to dobrze dla twojego zdrowia,  
Tak się narażać na ostry chłód ranny.

PORCYA.

Podobnież i dla twojego, Brutusie.  
Chyłkiem wykradłeś się z mojego łóżka:  
A wczoraj nagle powstałeś od stołu,  
I skrzyżowawszy na piersiach ramiona,  
Chodziłeś tonąc w myślach i wdychając.  
Kiedym spytała, co ci jest, pochmurno  
Spojrzałeś na mnie: a gdym nalegała,  
Toś się odwrócił i tupnąłeś nogą.  
Ja nie zrażona, nastawałam jeszcze;  
Tyś ciągle milczał. Poznałam nakoniec

Po gniewném ręki twojej poruszeniu,  
 Żebyś się rad był mnie pozbyć. Odeszłam,  
 Bojąc się zwiększać niecierpliwość twoją,  
 Której zbyt jawne widziałam oznaki.  
 Myślałam zresztą, że to było tylko  
 Wypływem złego humoru; humoru,  
 Którego przystęp każdemu się trafia.  
 Ależ ten humor nie pozwala tobie  
 Ani jeść, ani rozmawiać; ten humor  
 Odbiera ci sen: gdyby twoja postać  
 Tak się zmieniła, jak twój stan wewnętrzny,  
 Nie poznałabym ciebie. O! mój mężu,  
 Wyjaw mi powód téj zmiany.

BRUTUS.

Nie jestem

Zdrów temi czasy: oto cały powód.

PORCYA.

Brutus roztropny jest; gdyby był nie zdrów,  
 Szukałby środków odzyskania zdrowia.

BRUTUS.

Tak ja téż czynię. Idź, połóż się, Porcyo.

PORCYA.

Brutus jest chory? godziż się choremu  
 Chodzić w tak lekkiej odzieży, i wciągać  
 W siebie wyziewy wilgotnego ranku?  
 Brutus jest chory i porzuca zdrowe,  
 Krzepiące łoża, aby się narażać  
 Na zaraźliwy wpływ nocy? Doświadcza  
 Zgniłych powietrznych miazm, by tym sposobem  
 Wzmógł swą chorobę? Nie! Brutusie drogi,  
 W twoimto raczej umyśle jest jakiś  
 Zaród choroby, którybym ja z mocy  
 Praw mych w tym domu znać może powinna.  
 O! mężu, o! mój panie, na kolanach  
 Zaklinam ciebie, w imię moich niegdyś  
 Chwalonych wdzięków; w imię téj miłości,  
 Któraś mi ślubił, i owęj przysięgi,  
 Która nas w jedność nierozdzielną zsprzegła:  
 Odkryj mi stronę ukrytą twój duszy.  
 Co ci jest? jacyto ludzie téj nocy  
 Byli u ciebie: było ich tu bowiem  
 Sześciu czy siedmiu, a każdy starannie  
 Zasłaniał sobie twarz, choć było ciemno.

BRUTUS.

Powstań, kochana Porcyo.

PORCYA.

O! Brutusie,  
 Nie klęczałabym, gdybyś mnie ty kochał.  
 Czy jest w układzie naszego małżeństwa  
 Zawarowane, że nie będę mogła  
 Znać twych tajemnic? Jestżem ja połową  
 Twoją pod pewnym tylko, marnym względem;  
 Na to jedynie, aby z tobą dzielić  
 Twój stół i twoje łożę rozweselać,  
 I lada kiedy przemówić do ciebie?  
 Toż ja więc mieszkam tylko na przedmieściu  
 Powszednich uciech twoich? W takim razie  
 Porcyo jest tylko prostą nałożnicą,  
 Ale nie żoną Brutusa.

BRUTUS.

Ty jesteś prawą, zacną żoną moją,  
 Tak drogą dla mnie jak ta krew,  
 Co wre w mém sercu stroskaném.

PORCYA.

Gdyby tak było, znalazłabym twe troski.  
 Jestem niewiastą, ale jestem przytém  
 Niewiastą, którą Brutus wziął za żonę;  
 Jestem niewiastą, ale jestem przytém  
 Niewiastą godną czci: — córką Katona.  
 Mniemaszli, że ja dzielę płci méj słabość,  
 Mając takiego ojca i małżonka?  
 Zwierz mi się, ja twój ufności nie zwiode.  
 Jużem stałości mojej dała dowód,  
 Zadając sobie w udo z dobrej woli  
 Głęboką ranę: jęk z ust mych nie wyszedł,  
 A wyjśćzeby z nich miała tajemnica  
 Męża mojego?

BRUTUS.

O! bogowie, sprawcie,  
 Abym był godnym tak szlachetnej duszy.

*(Słysząc kołatanie).*

Ktoś puka: Porcyo, opuść mnie na chwilę:  
 Wkrótce podzieli pierś twa tajemnice  
 Mojego serca, odkryję ci wszelkie  
 Moje stosunki, objaśnię ci każdą  
 Z tych chmur, co moje zasępiają czoło:  
 Ale w téj chwili oddal się.

*(Porcyo odchodzi).*

LUCYUSZ I LIGARYUSZ (*wchodzą*).

Lucyuszu,  
Któżto kołatał?

LUCYUSZ.  
Jakiś chory, panie,  
Pragnie pomówić z tobą.

BRUTUS.  
To Ligaryusz,  
O którym Cymber wspominał. Odejdź, chłopcze.  
Cóż tam mój dzielny Ligaryusz?

LIGARYUSZ.  
Cherlak  
Przyszedł ci oto powiedzieć dzień dobry!

BRUTUS.  
Jakżeśto czas wybrał, o! Kajuszu,  
Do krępowania głowy bindą? Szkoda,  
Że jesteś chory!

LIGARYUSZ.  
Może nie tak bardzo,  
Jeżeli Brutus ma na pogotowiu  
Jaki czyn, godzien iść w parze z honorem.

BRUTUS.  
Mam ja podobny czyn na pogotowiu,  
Jeżeli tylko szlachetny Ligaryusz  
Do wysłuchania mnie zdrowe ma ucho.

LIGARYUSZ.  
Na wszystkich bogów, których czczą Rzymianie,  
Nigdy nie byłem zdrowszy. Duszo Rzymu!  
Synu szanownych lędźwi nieodrodny!  
Ty jedném słowem, jako exorcysta,  
Rozbudzasz duch mój z letargu. Mów! rozkaż!  
A pójdę walczyć z niepodobieństwami  
I wsiąść im na kark. Cóż jest do roboty?

BRUTUS.  
Coś, co powrócić może chorym zdrowie.

LIGARYUSZ.  
Ale czy nie ma tylko takich zdrowych,  
Którychby trzeba przywieść o chorobę?

BRUTUS.

Są, mój Kajuszu. Wyluszczę ci bliżej  
Rzecz całą, skoro iść będziem do kogoś,  
Kogo się głównie ta sprawa dotyczy.

LIGARYUSZ.

Wyślij twą nogę naprzód, a ja moje  
Z zapalem krok w krok powiodę do czynu,  
Którego nie znam, ale dość mi na tém,  
Że Brutus wzywa mnie do niego.

BRUTUS.

Pójdź więc.  
(*Wychodzą*).

**SCENA DRUGA.**

(*Tamże, komnata w pałacu Cezara*).

*Gzmoty i błyskawice. CEZAR w nocnym ubraniu  
wchodzi.*

CEZAR.

Niebo i ziemia szalały téj nocy:  
Trzy razy przez sen krzyknęła Kalpurnia:  
„*Hola! ratunku! Chcą Cezara, zabić!*”  
Jest tam kto?

SŁUGA (*wchodzi*).

Jestem, panie.

CEZAR.

Zarządź kapłanom ofiary, i spiesznie  
Wracaj mi donieść o skutku ich wieszczby.

SŁUGA.

Stanie się temu zadość.

(*Wychodzi*).

KALPURNIA (*wchodząc*).

Jakto, Cezarze, chcesz wyjść? Dziś przynajmniej  
Pozostań w domu.



CEZAR.

Wyjdzie z domu Cezar.

Złe zawsze tylko z tyłu mi groziło;  
Skoro spojrzęło Cezarowi w oczy,  
Pierzchnęło natychmiast.

KALPURNIA.

Nigdy ja tak wielkiej

Do złych wróżb wagi nie przywiązywała,  
Jak dziś; dziś one dreszczem mnie przejmują.  
Opowiadał mi właśnie jeden sługa  
Okropne rzeczy, które obok tego  
Cośmy słyszeli sami i widzieli,  
Wartom téj nocy miały się objawić.  
Lwica wśród miasta poroniła młode;  
Groby stanęły otworem, i z głębi  
Podziemnych ciemnic wyrzuciły zmarłych.  
Ogniem ziejące wojska, ustawione  
W rotę i hufce, jak zwykle na wojnie,  
Walczyły z sobą zawzięcie na chmurach,  
Tak, że aż krew się lała na kapitol,  
Zgiełk bitwy dawał się słyszeć w powietrzu,  
Konie parskwały, jęczały ginący;  
A widma snuły się pośrodkiem ulic  
Hucząc i kwiląc. Wszystko to, Cezarze,  
Przechodzi zwykły bieg rzeczy, i musi  
Przejmować trwogą.

CEZAR.

Któż uniknie kresu,

Komu go wola bogów nazaczyła?  
Dlatego wyjdzie Cezar: bo te wszystkie  
Złowrogie znaki tak dobrze się mogą  
Całego świata tyczyć, jak Cezara.

KALPURNIA.

Gdy nędzarz kona, nie świecą komety;  
Niebo płomieni się przed śmiercią księżąt.

CEZAR.

Lękliwy stokroć umiera przed śmiercią;  
Mężny kosztuje jój tylko raz jeden.  
Ze wszystkich dziwów, o których słyszałem,  
To mi się zdaje być najosobliwszém,  
Że ludzie boją się śmierci i szemrzą  
Na to, że ona będąc nieuchronną,  
Musi przyjść kiedyś.

*(Sługa wchodzi).*

Cóż augurowie?

SŁUGA.

Augurowie proszą,  
Abyś dziś, panie, nie opuszczał domu.  
W rozprutém wnętrzu zabitej ofiary  
Nie mogli znaleźć serca.

CEZAR.

Snadź bogowie  
Chcą tym sposobem zawstydzić tchórzostwo.  
Byłby i Cezar bydlęciami bez serca,  
Gdyby z bojaźni w domu dziś pozostał.  
Nie, tak nie będzie:  
Niebezpieczeństwo wie dobrze, że Cezar  
Niebezpieczniejszy jest od niego. Myśmy  
Dwa lwy bliźnięce w jednym dniu zrodzone,  
A ja i starszy jestem i straszniejszy:  
Dlatego wyjdzie dziś Cezar.

KALPURNIA,

O panie!  
Ufność zbyt uczynna usypia twą mądrość.  
Nie wychodź dzisiaj: niech cię w domu wstrzyma  
Nie twoja własna, ale moja bojaźń.  
Marek Antoniusz pójdzie do senatu  
I powie, że się czujesz dziś niezdrowym;  
Błagam cię o to na kolanach.

CEZAR.

Dobrze:  
Marek Antoniusz powie, że jestem niezdrowy,  
I kaprysowi twemu dogadzając,  
Zostanę w domu.

(DECYUSZ *wchodzi*).

Oto Decyusz Brutus,  
Ten im obwieści me postanowienie.

DECYUSZ.

Wszelkich powodzeń Cezarze! Dzień dobry,  
Wielki Cezarze! Przychodzę tu celem  
Towarzyszenia ci do kapitolu.

CEZAR.

W sam czas przychodzisz, abyś senatorom  
Upzejmie moje zaniósł pozdrowienie,  
I uwiadomił ich, że dziś nie przyjdę  
Do kapitolu; nie przyjdę, bo nie chcę.  
Fałszem byłoby mówić, że nie mogę;

A większym jeszcze powiedzieć, że nie śmiem.  
Nie chcę przyjść, tak im powiedz, mój Decyuszu.

KALPURNIA.

Powiedz, że Cezar słaby.

CEZAR.

Nie, to kłamstwo;  
Cezar nie skłamię. Na tożem rozpostarł  
Zwycięzkie ramię moje tak szeroko,  
Abym się lękał siwobrodym starcom  
Prawdę powiedzieć? Powiedz im Decyuszu,  
Że Cezar nie chce przyjść.

DECYUSZ.

Wielki Cezarze,  
Racz mi objawić przyczynę, ażebym  
Donosząc o tém, nie został wyśmiany.

CEZAR.

Przyczyna tego leży w woli mojej.  
Nie chcę przyjść, to dość dla zaspokojenia  
Przedostojnego grona senatorów.  
Dla prywatnego zaś zaspokojenia  
Twojego, kochany Decyuszu, dodaję:  
Oto Kalpurnia, żona moja, nie chce  
Puścić mnie z domu. Sniła jęj się dzisiaj,  
Jakoby moję statwę widziała,  
Z której ze wszech stron przez mnóstwo otworów  
Krew jak z fontanny tryskała; a wielu  
Rzymian ochoczo, z uśmiechem na ustach  
Przystępowało, i w krwawym tym stoku  
Maczało dłonie. Upatruje ona  
W tym śnie przestrogę, przepowiednię jakiejś  
Wielkiej niedoli; i klęcząc błagała,  
Ażebym dzisiaj z domu nie wychodził.

DECYUSZ.

Nie takby sen ten potrzeba tłumaczyć:  
Było to owszem fortunne widzenie.  
Statua twoja, potężny Cezarze,  
Mnogie strumienie krwi wyrzucająca,  
Krwii, w której wielu Rzymian, jak powiadasz,  
Z uśmiechem dłonie maczało, oznacza,  
Że z ciebie wielki nasz Rzym czerpać będzie  
Zdrój krwi ożywczej, i że wielcy ludzie  
Cisnąć się będą do ciebie po leki,  
Maści, kordyały i rady zbawienne.  
To się rozumie przez ów sen Kalpurnii.

CEZAR.

Wcaleś go nieźle wyłożył.

DECYUSZ.

I wcale

Nie czyzy to wykład, jak się to okaże  
Z dalszych słów moich; wiedz bowiem, że senat  
Zamierzył dzisiaj koroną ozdobić  
Skroń potężnego Cezara.  
Gdybyś im doniósł, że przyjść nie chcesz, wieść ta  
Mogłaby zły wpływ wyrzeć na ich chęci.  
Byłby to zresztą żart, na który łatwo  
Mógłby ktoś także żartem odpowiedzieć:  
*Czekajmy, póki małżonka Cezara  
Nie będzie lepszych snów miewała.* Gdyby  
Cezar się schował, ażaliżby wtedy  
Pomiędzy sobą nie szeptano: *patrzcie,  
Cezar się boi?* Przebacz mi, Cezarze;  
Miłość to moja dla twych cnót, dla ciebie,  
Każe mi mówić w ten sposób, a rozum  
Jest sprzymierzeńcem téj mojej miłości.

CEZAR.

Jakże się teraz dziecinnemi zdają  
Twoje obawy, Kalpurnio?  
Wstydę się, żem im uległ. Daj mi szaty;  
Idę natychmiast.

PUBLIUSZ, BRUTUS, LIGARYUSZ, METELLUS,  
KASKA, TREBONIUSZ I CYNNA *wchodzą.*

Oto już i Publiusz

Przychodzi po mnie.

PUBLIUSZ.

Dzień dobry, Cezarze.

CEZAR.

Witaj, Publiusz. Ho! i Marek Brutus;  
Ranny dziś z ciebie ptak. Dzień dobry, Kasko.  
Jakże się miewasz Kaju Ligaryuszu?  
Wierz mi, że Cezar nigdy nie był takim  
Nieprzyjacielem twoim, jak ta febra,  
Od którejś schudłeś. Którażto godzina,  
Moi panowie?

BRUTUS.

Osma biła właśnie.

CEZAR.

Dzięki za trudy i uprzejmość waszę.

*(Antoniusz wchodzi).*

Patrzcie, Antoniusz! i on już na nogach,  
 Chociaż się lubi późno w noc weselić:  
 Dzień dobry, Marku Antoniuszu.

ANTONIUSZ.

Tegoż

Samego życzę cnemu Cezarowi.

CEZAR.

Powiedz tam, aby mój orszak był gotów.  
 Za złe mam sobie, gdy na mnie czekają.  
 A! Cynna: witaj Cymbrze! Treboniuszu!  
 Z tobą szeroko mam do pomówienia;  
 Pamiętaj o tém, i bądź w poblizkości,  
 Ażebym o tém nie zapomniał.

TREBONIUSZ.

Będę

Tuż, o! Cezarze; *(na stronie)* i tak blisko nawet,  
 Że radbyś potém ażebym był dalej.

CEZAR.

Terazże moi przyjaciele, pójdźcie  
 Skosztować mego wina; poczem wszyscy,  
 Jak tu jesteśmy udamy się razem,  
 Na podobieństwo drużyny przyjaciół.

BRUTUS.

Że podobieństwo bywa często różném  
 Od tożsamości, myśl ta, o! Cezarze,  
 Gorzkim napęlnia smutkiem pierś Brutusa.  
*(Wychodzą).*

### SCENA TRZECIA.

*(Tamże. Ulica w poblizkości kapitolu).*ARTEMIDORUS *wchodzi czytając list.*

ARTEMIDORUS.

Cezarze, strzeż się Brutusa, unikaj Kassyusza, nie  
 zbliżaj się do Kaski; miej Cynnę na oku, nie ufaj Trebo-

nieszowi; zważaj na Metella Cymbra; Decyusz Brutus nie lubi cię, naraziłeś się Ligaryuszowi. Jedna jest tylko myśl w tych wszystkich ludziach, a ta zwróconą jest przeciw tobie. Jeżeli nie jesteś nieśmiertelnym, miej się na baczności. Zaufanie toruje drogę sprzysiężeniu. Niech cię potężni bogowie chronią!

Twój wielbiciel, *Artemidorus*.

Tędy ma Cezar przechodzić, tu czekać  
 Będę na niego, i niby błagając  
 O jakąś łaskę, oddam mu ten papier.  
 Serce mnie boli na myśl, że zasługa  
 Nie może obstać przed zębem zawiści.  
 Jeśli natychmiast przeczytasz to pismo,  
 Jeszcze, Cezarze, ratunek nie zniknął;  
 Jeśli nie, los twój z zdrajcami się spiknął.

#### SCENA CZWARTA.

(*Tamże. Inna część tejże samej ulicy przed domem Brutusa*).

PORCYA I LUCYUSZ *wchodzą*.

PORCYA.

Biegnij co żywo do senatu, chłopcze;  
 Nie odpowiadać nic, tylko pospieszaj.  
 Czemu nie idziesz?

LUCYUSZ.

Bo nie wiem, o! pani,  
 Co mi masz zlecić.

PORCYA.

Wolałabym, żebyś  
 Już był z powrotem, niż żebyś ci miała  
 Mówić dopiero po co cię posyłam.  
 O! wytrwałości: bądź mi nieodstępna!  
 Staw nieprzepartą zaporę  
 Pomiedzy sercem a ustami memi.  
 Mężki mam umysł, lecz siły niewieście;  
 A dla niewiasty skrytość jest nieznośną.  
 Jeszcześ tu?

LUCYUSZ.

Pani, cóż mam czynić? Pobiedz  
 Do kapitolu i wrócić, nie więcej?

PORCYA.

Zobaczysz tylko jak twój pan wygląda,  
Bo wyszedł chory. A uważaj dobrze  
Co robi Cezar i kto będzie przy nim.  
Cóżto za wrzawa? czy słyszysz?

LUCYUSZ.

Nie, pani,

Ja nie nie słyszę.

PORCYA.

Nadstaw pilnie ucha:  
Zdawało mi się słyszeć odgłos walki,  
A wiatr przynosił go od kapitolu.

LUCYUSZ.

Łaskawa pani, rzetelnie powiadam,  
Że nie nie słyszę.

(*Wieszczek wchodzi*).

PORCYA.

Zbliż się tu, człowieku:

Zkąd idziesz?

WIESZCZEK.

Z domu, miłościwa pani.

PORCYA.

Która godzina?

WIESZCZEK.

Niespełna dziewiąta.

PORCYA.

Czy Cezar poszedł już do kapitolu?

WIESZCZEK.

Nie jeszcze, pani; idę właśnie zająć  
Miejsce na drodze, którą on iść będzie.

PORCYA.

Masz pewnie jaką prośbę do Cezara?

WIESZCZEK.

Tak, pani. mam ją: jeśli Cezar zechce  
Tak się okazać względny dla Cezara  
Iż mię wysłucha, to go prosić będę,  
Ażeby sobie sam łaskę wyświadczył.

PORCYA.

Miałabyś wiedzieć, że mu co zagraża?

WIESZCZEK.

Nie wiem nic co się stanie, ale z tego  
 Czego się lękam, wiele się stać może.  
 Żegnam cię pani. Ulica w tém miejscu  
 Trochę przyciasna: ów tłum senatorów,  
 Pretorów, gminnych supplikantów, który  
 W trop za Cezarem postępować będzie,  
 Zgniółby takiego jak ja nieboraka.  
 Otwartsze sobie zajmę stanowisko,  
 I tam Cezara oczekiwać będę.

*(Odchodzi).*

PORCYA.

A ja tu muszę pozostać. Jak wątlém  
 Jest serce niewiast! O Brutusie! niech cię  
 Nieba wspierają w twojém przedsięwzięciu! —  
 Pewnie mnie Lucyusz zrozumiał. — I Brutus  
 Ma także prośbę do której się Cezar  
 Nie chce przychylić. Coraz mniej sił czuję:  
 Biegnij kochany Lucyuszu i pozdrów  
 Odemnie pana. Powiedz mu, tak, powiedz,  
 Żeś mnie zostawił zdrową i wesołą,  
 I wracaj donieść mi co on ci powie.

*(Dalszy ciąg nastąpi).*



# KRONIKA LITERACKA.

---

## PRZEGLĄD MUZYKALNY.

---

*Dorecznik muzyczny przez Józefa Sikorskiego.*

Muzyka jest drugą połową każdego wychowania,  
bo ona ukształca duszę człowieka.

*Platon.*

**P**o ilości i jakości dzieł wydanych w jakim kraju, sądzić można o stopniu jego ukształcenia. Uczeni mężowie oświecają promieniami swój nauki horyzont wszelkich umiejętności, czerpiąc ją u źródła wiedzy z wytrwałością, nie zawsze przez współczesnych uznaną i ocenioną. Składają oni owoce długoletnich studyj na ołtarzu dobra powszechnego, zlewając je do ogólnego skarbu naukowości, by służyły za stopnie, po których następne pokolenia coraz wyżej wznosićby się mogły. Tym tylko sposobem społeczność na drodze oświaty rozwijać się może do nieskończoności, aż spełni missyą od Boga jej naznaczoną.

Byli ludzie, którzy utrzymywali, że kwitnący stan literatury jest dowodem upadku duchowego w narodzie. Jeszcze to zdanie zastosowane do poezji, może mieć pozór prawdy, gdyż powiedziano jest, że „co ma ożyć w pieśni, martwem być powinno,” lecz do nauk ścisłych, a szczególnie sztuk pięknych, tego w żaden sposób stosować nie można. Weźmy za przykład Niemcy: pomijając liczne gałęzie naukowości wysoko rozwinięte w tym narodzie, obaczmy, że pod względem sztuk pięknych a szczególnie muzyki, najwyżej stoją w rzędzie ludów europejskich. Muzyka wsiąknęła tak dalece w obyczaje tego narodu, że stała się niejako elementem koniecznym dla jego egzystencji; pochodzi to głównie z wielkiej liczby genialnych kompozytorów, którzy muzykę w Niemczech doprowadzili do stopnia niezwykłego potęgi i sławy: Bach,

Hayden, Mozart, Beethoven i Mendelsohn, są głównymi ogniwami tego wielkiego łańcucha mistrzów, łączącego i opasującego cały naród. Ichto arcydzieła przemawiając od stu lat prawie szczytnymi natchnieniami do serca i duszy współziomków, zespoliły się, zbratały z ich bytem do takiego stopnia, iż stały się koniecznym pokarmem dla ducha umysłowego Germanów.

Ztądto uroczystości muzyczne, jak naprzykład przy odkryciu pomnika dla Beethovena, lub ostatnie dla uczczenia stuletniej rocznicy urodzin Mozarta, są uroczystościami narodowymi, bo całe Niemcy w nich udział biorą, bo muzyka u nich nie jest uważaną jako zabawka, jako środek przyjemnego spędzenia czasu, lecz jako sztuka dana od Boga ludziom, jako najmiłsza i najwdzięczniejsza z nauk, wzbudzająca tysiące szlachetnych rozkoszy umysłowych; nareszcie jako ogień święty zesłany tak szczerze od Boga, a który czeią i uwielbieniem patryotycznem pielęgnuje i strzeże naród niemiecki.

W chwili obecnej Niemcy rozdzielone są na dwa obozy: klassycyzmu i romantyzmu; toczą walkę zawziętą o pierwszeństwo mające nadać wszechwładzę panującą jednemu z tych dwóch rodzajów. Do pierwszego obozu należą wszyscy prawie wieley kompozytorowie dawniejsi, jakoto: Hayden, Mozart, Beethoven i inni ich styl naśladowający; drugiego zaś, głównymi przedstawicielami są: Schumann, Berlioz, Liszt i Wagner (1). Prowincye południowe zostając więcej pod wpływem pierwszych (z małemi tylko wyjątkami), wierne są tradycyom klassycznej muzyki; przeciwnie północne hołdują utworom palącym się namiętnym żarem uczuć romantycznej szkoły. Dlatego mylić się będzie ten, co zdaleka i tylko z dzienników zechce śledzić ruch muzyczny dzisiejszy w Niemczech. Redakcyje pism peryodycznych dzielając opinią swych wyznawców, walczą bronią nasiąkłą uprzedzeniami stronnictwa; i tak naprzykład, z powodu koncertu danego w Berlinie, na którym Liszt swą symfonią i inne wyższego rodzaju dzieła wykonywał, jedne gazety nie miały dostatecznych słów na pochwały i uwielbienia dla niego, gdy tymczasem inne potępiały bezwarunkowo dzieła i tendencyje sławnego artysty. Tak samo rzecz się ma z ostatnią operą Wagnera, tamże wystawioną pod tytułem *Tannhaeuser* (2). Czas nam pokaże, który z tych dwóch rodzajów tryumfować będzie. Według mego przekonania, jeden drugiemu krzywdy nie wyrządzi: prawdziwa wielkość i piękność każdego z nich zostanie po należytem i rozwa-

(1) Berlioz właściwie należy do Francyi, lecz szkoła romantyczna w Niemczech uważa go za swego wyznawcę i dzieła jego wysoko bardzo ceni.

(2) W przekonaniu Wagnera, muzyka pisana w operach sposobem dotychczas przyjętym, wstrzymuje bieg akcji dramatycznej. Wiadomo, że Wagner chcąc temu zaradzić, sam do swych oper treść układa, mając to głównie na uwadze, by muzyka nie tylko akcji nie wstrzymywała, lecz owszem dopomagała do jej rozwoju.

zném przekonaniu załączoną do ogólnego bogactwa muzycznego, a może jaki inny w przyszłości nieznanym nam rodzaj wywiąże się z tego.

Kto chce widzieć Niemców w obliczu muzyki, niech wejdzie do sali koncertowej, gdzie się zwykle wyższego rzędu dzieła wykonywają, jeżeli będzie tak szczęśliwym, iż miejsce dla siebie dostanie; a przekona się z jaką czcią, powagą i skrucą przysłuchują się muzyce. Od lat dwóch podobno zaprowadzono ustawę w Saxonii, że nikt nie może być dyrektorem czyli naczelnikiem jakiegokolwiek orkiestry, bez upoważnienia komitetu konserwatorium, ustanowionego głównie w tym celu. Dawniej kto chciał mógł sobie zwerbować muzyków, i w miejscach publicznych to jest placach, ogrodach, kawiarniach i t. d. urządzać muzykę: ztąd orkiestry przez niedołączonych i nieznanających rzeczy ludzi prowadzone były nędzne; a tak ich się wiele namnożyło, że opinia publiczna troskliwa o dobroć muzyki, poczęła na to powstawać. Wyszła więc decyzja od władzy rządowej, że tylko ci, którzy uzyskają patent na dyrektora orkiestry, mogą jedynie dzieła muzyczne publicznie wykonywać. Ażeby takowy otrzymać, potrzeba złożyć przed komitetem próbkę własnej kompozycji na orkiestrę: w tym względzie nie wymagają wielkich rzeczy. Następnie tenże komitet zadaje przykład kontrapunktowy, który należy w sposób zadowalniający opracować, a dopiero po takim egzaminie pretendent otrzymuje patent, czyli prawo formowania orkiestry i przed publicznością może z nią występować. Od tego czasu mniej jest kompanii muzycznych, ale są daleko lepsze, bo przez zdolnych i umiętnych ludzi prowadzone; a często nawet w małym ogródku usłyszeć można najznakomitsze dzieła Beethovena, Mendelsohna i Wagnera, wcale dobrze wykonane. A owe liczne zgromadzenia tak powszechne, gdzie czas przepędzają na śpiewaniu różnych pieśni narodowych: owe *Liedertafel*, *Gesangverein*, gdzie nawet walczą o nagrody w oddzielnych popisach: wszystko to przekonywa, jak w Niemczech lubią, poważają i cenią muzykę. Więc gdzie ona jest tak popularną i tak uprawianą, nic dziwnego, że i literatura muzyczna jest w kwitującym stanie. Trudno byłoby zliczyć ilość dzieł teoretycznych od lat kilkudziesięciu wyszłych i ciągle jeszcze wychodzących, oprócz wielu gazet, wyłącznie treści muzycznej poświęconych. Niżej w tym względzie stoją Francuzi i Włosi, a najniżej my, niestety! Parę dzieł naukowych o muzyce Jarmusiewicza, Kurpińskiego i kilka szkół na fortepian, to wszystko co dotychczas posiadamy. Przed kilką laty nasz krytyk J. Sikorski wydał dzieło większego znaczenia, ogólniejszego poglądu na całość muzyki; lecz zaledwie niewielu może osobom więcej interesującym się nią jest wiadome, a jednakże zasługuje, by było powszechniej znane. Tém dziełem jest: *Doręcznik Muzyczny: treściwe przedstawienie muzyki dzisiejszej ze szczególném baczeniem na miejscowe potrzeby, przykładami w nutach do*

*objaśnienia niektórych szczegółów niezbędne, i słownikiem wyrazów muzycznych. Wydany nakładem autora 1852 r. w Warszawie.*

Obaczmy, jakie powody skłoniły p. Sikorskiego do wydania tego dzieła. „Muzyka (powiada on, wstęp i przedmowa) tak dziś upowszechniona, stanowiąca konieczną niemal część wychowania staranniejszego, nietylko jest sztuką, ale i umiejętnością także. Jako pierwsza ma podnieć i wzór w uczuciach i w życiu ludzkim, jak tego dzieła mistrzów dowodzą; jako druga ma obszerną naukę w teorią wcieloną. Więc oswojenie się z teorią prowadzi w dziedzinę sztuki, więc nauka przybytek jęj otwiera. Prózniactwo tylko i ciemnota bronią się sofizmatem, że ona natchnienie wysusza, zapał chłodzi, wikła zamiast prowadzić; bo i czemuż nikt dotąd za artystę powszechnie uznany, za rzetelnego znawcę i miłośnika okrzyknięty nie został, kto nauką pogardził? Dlatego też muzycy z zawodu, dlatego inni miłujący sztukę szanują naukową jęj stronę, i pragną jak najwięcej ją poznać, by się godniejszemi sztuki pokazać. Od dwudziestu lat przeszło, jak niezupełnie rozwinięta jeszcze wyższa muzyki szkoła w Warszawie (konserwatoryum) zamkniętą została, niesłychanie trudno u nas o ogólniejsze nieco kształcenie się w muzyce. Ztąd, czy kto z powołania chce się jęj oddać, czy tylko oświeceńszym jęj miłośnikiem zostać, poprzestać musi na dorywczy chwytanym wiadomościach, albo ničem prawie nieułatwioną pracą je zbierać. Szczęśliwy, jeśli znajomość obcych języków przyjdzie mu w pomoc, ułatwi używanie muzycznych rozkoszy, których wielka część od pojmowania, a więc od wykształcenia zależy; jeśli go usposobi do sumiennego pełnienia zawodu na całe życie obranego, obroni od rumienienia się za niewiadomość”. Dalej mówi o potrzebie książki „mogącej zawierać w sobie całość rzeczy muzycznych, by je choć zdaleka okazać”, i słusznie robi uwagę, że takowa potrzebniejszą jest w niskim stopniu ogólnego wykształcenia muzycznego u nas, niż konieczne także dzieła oddzielnemi gałęziami muzyki się zajmujące.

Oto powód pracy niniejszej.“

Następnie autor tłumaczy się, dlaczego tak a nie inaczej ułożoną została.

„Przypuszczając istotną i ogólną jęj potrzebę, należało przygotować ją dla takich czytelników, których muzyka obchodzi, a łatwo podzielić ich na kategorie. Jedni pragnęliby dowiedzieć się bez mozołu, dlatego tylko, że ukształconemu człowiekowi wszystko wiedzieć przystoi, ale nie myślą nigdy zbliżyć, osobiście muzyką się zajmować. Są to miłośnicy łatwego użycia, radziby w autorze mieć kucharza zręcznego, by podał w treści pokarm leniwemu lub czém inném zabawnemu umysłowi; dla tych techniczność unikana być musi, bo ich odstrasza. Drudzy pragną napewno wiedzieć jak rzeczy stoją, cokolwiek techniki im nie zawadza i owszem ciekawie w nią zaglądną, pojmując, że tym sposobem lepiej zrozumieją jęj płody; radziby nietylko wiedzieć

co to jest kontrapunkt, generalbass, fuga, symfonia, z kąd się to wszystko wzięło; ale i poznać czemu się to tak a nieinaczej układa i t. d. Inni nakoniec chcą z gruntu rzecz wyrozumieć, by ją tém lepiej uprawiać: bo grają, śpiewają, komponują czasem lub uczą nawet. Ci radziby techniki jak najwięcej, by do dna dotrzeć; gotowi są najzawilsze badać traktaty to przez zapal, to z przekonania o potrzebie i różnostronności nauki. I ci ostatni byłiby najpilniejsi: oni to bowiem najpierwszemi są doradcami, przewodnikami w smaku; od nich w wielkiej części zależy, czy rosnące pokolenie skazane będzie na zarozumiałą ciemność, czy oświecone blaskiem sztuki godnej tego nazwiska. Zbyt jednak mała ich liczba, książkę wyczerpującą przedmiot niepodobną jeszcze u nas czyni. Zdawało się nam, że pierwsze takiej treści dzieło, a może na długo jedyne, dla wszystkich coś zawierać powinno”...

Autor w szczupłej książce chcąc dać wyobrażenie wszystkiego, co wyczerpująco tomy wypełnia, wziął za zasadę plan ku temu najwłaściwszy i najprostszy.

Dzieło swoje podzielił na dwie główne części, to jest: pierwsza, *materyał muzyczny*; druga, *zastosowanie materyału muzycznego*. Część pierwszą składają dwa działy: 1-szy o *jakości muzycznej czyli nauka o tonie*. Tutaj rozwija zasadę i bogactwo systemu muzycznego począwszy od praw akustyki tonu, czyli jego przyczyny i dążności, aż do klasyfikacyi, nazwy i pisma, którym go wyraża.

Dział ten starannie przez autora opracowany nie pozostawia do życzenia; a szczególniej przegląd i wykład gamm twardych i miękkich, tudzież o pokrewieństwie tonacyi, opisany w sposób jasny i zrozumiały, dostępny jest dla każdego, najmniej nawet w tym względzie przygotowanego czytelnika.

Dział drugi, o ilości muzycznej czyli nauka o rytmie, tak przez autora jest określony. „Czas, drugim jest muzyki żywiołem; prawie zawsze ściśle pomierzony, pojedyncze jego cząstki stosunkowo się do siebie mające, stanowią *rytm*. W wykonaniu muzyki, ścisłość ta przecież zachowaną jest o tyle tylko, o ile uczucie wykonywającego na to zezwala. Uczucie biegiem krwi, biciem serca rozrządza; a że w nichto jest podstawa duchowa pomiaru muzycznego, więc ścisłość jego względna się staje.“ Niniejszy peryod zamieszczony w odsyłaczu str. VI wymaga objaśnienia.

Rytm tak silnie działa, że można powiedzieć, iż on jest główną rzeczą w muzyce. Jak tylko bieg rytmu jest symetrycznie i dobrze oznaczony, chociażby zmienić tonacyą, skutek jego nie będzie wątpliwym. Przeciwnie niezmieniając jój nawet, a nadać mu ruch inny, zatrze się natychmiast jego właściwy charakter i to tak dalece, iż zdawać się będzie, że się słyszy zupełnie co innego. Rytm działa potężniej na duszę jak melodia lub harmonia. Można by rzec, iż on jest tém dla ucha, czém symetria dla oka. Sta-

rożytni mieli słuszną utrzymując, że muzyka przyprowadzała do wściekłości ludzi lub ich zapędy łagodziła, stosownie do organizacyi mniej więcej uczuciowych; mamy tego dowody na Alexandrze Wielkim, Grachu i t. d.: było to najczęściej dziełem rytmu”.

Powyzszą uwagę dlatego tylko uczyniłem, iż p. Sikorski zanadto niewyraźnie określił znaczenie rytmu, poświęcając go dowolnemu rozporządzeniu wykonywającego. Cały ten drugi dział, mający głównie na względzie podział czyli miarę czasu, tudzież akcent czyli tonowanie, kończy uwagami o tempie, to jest ruchu i objaśnieniami metronomu Maelzla, którego przeznaczeniem jest ujednostajnić ruch muzyczny na całym świecie.

Część druga: zastosowanie materiału muzycznego, dzieli się na cztery działy:

- 1) Melodyka czyli nauka o melodyi.
- 2) Harmonika, nauka o harmonii.
- 3) O formach muzycznych.
- 4) Organika czyli nauka o narzędziach muzycznych.

W założeniu do pierwszego działu powiada autor, że materiał muzyczny dany przez naturę człowiekowi, zbadany przez niego do celów artystycznych, w duchu właściwym sobie używany być winien; ztąd pochodzi wielka kompozycyi muzycznej nauka. Na pierwszym tu miejscu staje kształcenie szeregu pojedynczych tonów, składanie z nich wyrazów i wyrażeń, czyniących z muzyki mowę powszechną, bo zrozumiałą wszędzie, gdzie sięga cywilizacya, która ją wywołała, i gdzie bije serce uczuciami przepelnione. Rozpoczyna go wykładem zarodu melodyi i najprostszego jej rozwinięcia; pokazuje co to jest *zgiętos* (motyw). Objasnia trojakość formuły w melodyi, wspierając się zawsze przykładami; później przychodzi do orzeczenia porządku rytmicznego różno-taktowego, kończy zaś, o ozdobieniu melodyi i jej ważności.

Słusznie p. Sikorski w tym rozdziale powstaje na nadużycie, jakiego się często dopuszczają w szpeceniu melodyi, tego „kwiatu muzyki”, jak się autor wyraził. dodatkami, niby ozdobami, obciążając nieraz do niepoznania jej prostotę lub charakter.

Dawniejsza metoda śpiewu we Włoszech, szczególnie w czasach, gdy opery Paisiella, Cimarosy i Guglielmi miały wziętość, melodye szerokie i pełne prostoty mało wymagały fiorytów i innych dodatków tak dziś częstych. Dobre prowadzenie głosu, wytworne uczucie, dokładne frazowanie, były jedynemi zaletami, któremi śpiewak mógł błyszczeć. Lecz wyżej wspomniani kompozytorowie sami swój styl formowali w szkole śpiewaków wykształconych ich poprzednikami, jakimi byli: Jomelli, Majo, Piccini i Sacchini; szkoła ta śpiewu szeroka, patetyczna, bierze swój początek z czasów Alexandra Scarlatti i Porpory. Wirtuozi obdarzeni zdolnościami nadzwyczajnymi, jak Farinelli, Caffarelli i Gabrielli, wprowadzili wbiegli w sfery śpiewu nazwanego *brawurą*, gdzie się rozwijała z korzyścią potęgą giętkiego ich organu; lecz ten rodzaj wymagał długiej i nadzwyczajnej pracy i nie miał zasto-

sowania, jak tylko w kadencyach nazwanych *pointo d'orgue*. We wszystkich innych zdarzeniach, kilka tryllów, kilka grupp i appogiatór, składały główne ozdoby śpiewu, a prawdziwe jego zalety były: piękne prowadzenie głosu, nadzwyczajna łatwość wokalizacyi, nieposzlakowana czystość intonacyi; do tego potrzeba jeszcze dodać wysoko posuniętą sztukę oddychania w właściwem miejscu, i wyborną a czarującą dokładność czucia miarowego czyli rytmu. Ta ostatnia zaleta jest godną uwagi i powinna zastanowić wszystkich śpiewaków naszej epoki, bo jest cokolwiek przez nich zaniedbaną. Im się zdaje, że *expressya* zależy na zwalnianiu lub przyspieszaniu pewnych części frazesu; na wstrzymywaniu co chwila taktu, by zatrzymywać się nad niektórymi nutami, chcąc im nadać wibracyą, że nawet ginie charakter rytmu i znaczenie właściwe ustępu śpiewanego. Są oni przekonani, że bez tych sztuczek nie zrobią efektu.

Znakomity śpiewak w końcu XVIII stulecia Garat, był nieporównanym w sztuce frazowania. Pełen czucia i zapału, śpiewając nawet *a tempo rubato*, nigdy sobie nie pozwalał najmniejszej zmiany w takcie: wymagał on od orkiestry i akkompaniatora nadzwyczajnej akuratności tempa, umiał bowiem przybyć zawsze na czas tam, gdzie oni, chociaż zdawał się poddawać całej werwie *expressyi* dramatycznój. „*Expressya, której się nabywa kosztem taktu,*” powiadał on „*jest tylko grymasem, bo nie ma nic prawdy.* (1).

W dziale czwartym autor wykłada naukę harmonii, wykazując sposobem zrozumiałym, jak z natury tonu harmonia się rodzi, w jakie układa się akkorda, jakim sposobem zyskują związek z melodyą, jak różnym ją darzyć mogą charakterem albo go od niej zyskiwać, jak wedle praw jednakich się rozwijają i jakie sobie oddzielne pismo harmonia wyrobiła.

Ważne są powody mniemać, że starożytni nie znali harmonii. Tak wielu utrzymuje, i p. Sikorski dowodzi tego w niniejszém dziele. Lecz gdy sobie przypomnimy, że najświetlejsi i najznakomitsi mężowie owych czasów, jakoto: Pitagoras, Platon, Arystot, Polib i t. d. uprawiali i kształcili muzykę, czego mamy dowód

(1) Fetis. Wady w takcie i rytmie, o których mowa, nie są tylko udziałem śpiewaków, lecz nawet prawie wszystkich wirtuozów instrumentalnych. Nic trudniejszego dzisiaj dla orkiestry jak towarzyszyć skrzypkom, posiadającym jakąkolwiek wziętość. Zakłócanie ruchu w ich grze jest tak ustawiczne, że ta *expressya* grymasowa niszczy wszelkie znaczenie muzyki, którą wykonywają. Przypominam sobie, gdy Antoni Kątski miał pierwszą próbę z orkiestrą Wielkiego Teatru Warszawskiego, a miał wykonać, zdaje mi się. Koncert Humla *h* moll. Wszyscy byli przekonani, że tak jak brat jego Apollinary, powtarzać będzie po kilkanaście razy przynajmniej każdy ustęp, nim skończy. Lecz z wielkiem zadziwieniem wszystkich członków orkiestry, bez żadnej zmiany ruchu bez żadnego jej nawet zatrzymania, bez zrobienia komukolwiek najmniejszej uwagi, odegrał z wyborną dokładnością całe dzieło, jak gdyby na koncercie; za co huczne otrzymał od artystów oklaski, za tak rzadkie, sumienne i wolne od wszelkich indywidualnych zmian lub dodatków, wykonanie.

w ich dziełach aż do naszych czasów dochowanych, niepodobna przypuszczać, by harmonia choć w części nie była im znana. Powiadają, że nie ma na to piśmiennych dowodów, i że gammy greckie, pisownia muzyczna i instrumenta powszechnie przez starożytnych używane, o jakich wiadomość posiadamy, dowodzą, że istnieć nie mogła. Prawda, że znaki muzyczne przez Greków nam zostawione, nie wskazują wyraźnie znajomości harmonij; lecz wiadomo, że w nutach swoich używali mnóstwa znaków dzisiaj dla nas będących tajemnicą, które stanowiły zapewne o rozciągłości, zmianie, lub całości frazesu; a kto wie, czy pomiędzy nimi nie było takich, coby drugi jaki ton do melodyi dodać nakazywały? U Hebrajczyków w dnie świąt uroczystych formowały się wielkie chóry z kapłanów, wyłącznie na tę posługę w świątyni utrzymywanych; przygrywali oni śpiewom swoim na różnych instrumentach, więc niepodobna, by to wszystko *unisono* mogło się odbywać; zresztą arfa, instrument wyłącznie zdający się być przeznaczonym tylko do wtórowania, a prawie niezmieniony z pierwotnego kształtu do dnia dzisiejszego, rzuca największą wątpliwość co do zdania przeczącego o istnieniu harmonii u starożytnych. Wiemy, że Dawid śpiewał wtórując sobie na arfie, i najszczytniejsze swoje psalmy przy jój akompaniowaniu tworzył. Nakoniec, natura brzmienia struny na arfie jest ta sama, co na fortepianie; już nawet Pitagoras zauważał, że struna z spoczynku zbudzona drga, wydając kilka tonów, które nawet najniewprawniejsze ucho rozróżni. Pan Sikorski na 7 i 130 stronicy Doręcznika jasno tego teorią wyklada, więc jeszcze jeden powód więcej do przypuszczania znajomości harmonii w czasach przedchrześcijańskich. Mogła się ona ograniczać li tylko do użycia akkordów konsonujących, a przynajmniej dwóch głównych; lecz ponieważ nie mamy na to żadnych pewników, więc tak dobrém może być jedno jak i drugie twierdzenie.

Dział ten o harmonii kończy autor wykładem generalbassu. Słusznie p. Sikorski zwraca uwagę na to powszechne mniemanie, jakoby wiadomość generalbassu była dowodem wielkiej mądrości muzycznej: jestto nauka o jednej części pisma muzycznego z trochę znajomości harmonii połączona. „Przez samą wprawę można być wyborynym generalbassistą, to jest umieć wyczytać cyfrowane bassy, jak można czytać po grecku nie wiedząc jakie ten i ten wyraz ma znaczenie. Że ztąd daleko jeszcze do kompozycyi, a nawet istotnej znajomości harmonii albo muzykalności w szlachetniejszym tego wyrazu znaczeniu, łatwo się domyśleć. Przymiotnikiem muzykalności” mówi tenże dalej „obdarzają u nas każdego, kto się uczył grać lub śpiewać ile-tyle, choćby ani grać, ani śpiewać nie umiał; każdego kto zna nuty, choćby nie wiedział jak się nazywają; każdego niemal kto je widział tylko; każdego, kto ze *śluchu* coś wyśpiewa albo wyklepie na fortepianie; każdego wreszcie komu się podoba dać zdanie o muzyce i muzyku; kogo stać na taką dozę zuchwałstwa, że się i pisać ośmieli choćby nie



wiedział jaka różnica między *f* i *fis*. Na co mu to, kiedy ma czucie? O „biędna muzykalności!” Muzykalnością nazywać się powinno w ogólności wysokie ukształcenie, jeżeli nie w dziedzinie teorii, to przynajmniej w praktyce.

Od harmonii do kontrapunktu tylko jeden krok; więc autor w dziale piątym wyklada system téj ważnej, trudnej i najobszerniejszej w kombinacye różnorodnej nauki. Na więcej szczegółowy opis potrzebaby wiele bardzo miejsca: p. Sikorski zaledwie szkielec jój wykazał; niepodobna bowiem inaczej uczynić w małej książce, gdzie o wszystkiém trzeba było potrochu powiedzieć. Tutaj na każdym kroku spotyka się piszący z trudnościami, jakimi są: brak wyrażen technicznych w naszym języku. Ciekawe w tym ustępie są uwagi z tego względu autora i sposób w jaki się z niego wywiązał. Nie możemy w zupełności podzielać zdania, jakoby dziś fuga i canon samym tylko prawie uczniom, jako ćwiczenie, zostawione były. Spójrzmy naprzykład na każdy wyższy utwór muzyczny niemiecki lub francuzki, a przekonamy się, że jeżeli tam nie ma fugi albo canonu w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, to prawie każdy mniej lub więcej pisany jest w ich duchu. Rozdział w którym mowa o pieśni i jój teorii, zakończony jest taką definicyą „Pieśń jestto niewielki obraz jednego uczucia, w pewnych granicach zamkniętego. Pieśń może być mniej więcej rozwinięta, byle to rozwinięcie wszystko co wprowadza nowego, należało do głównego pomysłu, oddawało pod rozkazy tematu, główne uczucia znaczącego”.

W ustępie o *muzyce głosowej* zatrzymuje się autor nad pieśnią ludową. „Nie uczona a dowcipna, charakterystyczna, widocznie w natchnieniu stworzona, zadziwia krótkością, w której tyle dosadności, że rzadko przez uczonego kompozytora szczęśliwie naśladowaną być zdoła... Ocenili ją ludzie od niedawnego dopiero czasu i zrozumieli, że ona jedynym jest źródłem, z kąd uczeńsza muzyka może czerpać wzory, by prawdziwie narodową została”. Kończy się dział piąty opisem muzyki narzędziowej i jój licznych form, jakoto: koncertu, sonaty, symfonii i t. d. W tém miejscu ważną bardzo rzeczą są przypiski odnoszące się do krajowych kompozytorów.

Nakoniec dział szósty: *organika* czyli nauka o narzędziach muzycznych, uzupełnia to wielkiej zasługi dzieło. Autor zastanawia się i opisuje charakter i własność głosu ludzkiego, jako téż każdego instrumentu, należącego do składu orkiestry, dowodząc, że dźwięk tém jest w muzyce, czém farba w malarstwie. Lecz jak dźwięku opisać niepodobna, tak i koloru: więc autor chcąc dać pojęć zasadę na której się opiera sztuka łączenia różnostronnych instrumentów, ma nadzieję objaśnić całość dźwięku muzycznego. Na samym ostatku w miejscu, gdzie mowa o orkiestrze, instrumentacyi i partyturze, daje przykład z symfonii Hajdena, chociaż króciutki, by pokazać, jak się pisze muzyka na orkiestrę. Słownik abecadłowy treści, zawierający i używające wyrazy

w muzyce, i wyrażenia textem nie objęte, dodany na końcu, wypełnia tę trudną i chwalebłą pracę.

Niech nam będzie wolno przytoczyć jeszcze słów kilka z przedmowy autora (str. IX).

„To, co się w niniejszej książce zawiera, jakkolwiek nie wyczerpuje przedmiotu, nauczy pragnących go poznać bliżej o jego naturze, środkach, dążności, potędze, niezmierniej rozległości. Pomoże do zrozumienia muzyki wykonywającym i słuchającym, może zachwieje mniemaniem dosyć niestety upowszechnionym, że taniec albo wyjątek z opery są już czémś tak znakomitým, że o resztę nie dbać wolno; może oświeci, że muzyka nie na to istnieje, by nas *bawiła*, jak bawi kuglarz lub akrobata; zachęci może rodziców i opiekunów, by ich dzieci i wychowañcy nietylko *grać*, ale i muzyki się uczyli, bo pierwsze bez drugiego na niewiele się zdało, jak się o tém przekonywają ci nawet, których głos powszechny do lepiej grających zalicza. Gdyby jeszcze udało się książce niniejszej wmówić w niektórych nauczycieli potrzebę przyjęcia innej rozleglejszej metody (w uczeniu grania na fortepianie szczególnie, bo najłatwiejsze przy nim zastosowanie), by nie szybkobiegaczów tylko, ale pojmujących rzecz kształcili, by choć dorywczo i wedle okoliczności wykładać chcieli szczegóły tutaj w rozmyślanym porządku przedstawione (choćby się na nie inaczéj zapatrywali); gdyby to wszystko nastąpiło, ileżby muzykalność ogółu, w którą on tak chętnie wierzy, zyskała? Byłby to tryumf przedmiotu książki niniejszej nie jéj autora, który go przecieź nie stworzył, ale opisał jak go widzi i pojmuje.”

Do słów tak wymownie skreślonych dodać nam tylko wypada, by dzieło z taką prostotą, rozmysłem i nauką wypracowane, było w ręku wszystkich, którzy jakiegokolwiek mają zamiłowanie do muzyki lub jéj się uczą. Dla dobra więc téj nadobnej sztuki śmiało polecamy do użytku powszechnego *Doręcznik muzyczny*, bo ufni jesteśmy w korzyści, jakie ztąd ogół odniesie przez właściwsze poznanie jéj dziedziny; uczący się zaś, będąc cokolwiek przygotowanemi, znajdą w téj książce przewodnika, który ich wielu rzeczy pożytecznych i potrzebnych nauczy.

M. K.

---

*Mechanika teoretyczna dla użytku inżynierów i techników, przez Juliusza Weisbacha i t. d., przełożona na język polski przez Stanisława Bakka inżyniera. Warszawa. 1856. Nakładem Henryka Natansona.*

Do rzadkich zjawisk u nas policzyć należy ukazywanie się dzieł naukowych specjalnych wyższego zakresu; literatura nasza

nie grzeszy ich obfitością, zaledwie bowiem w każdej gałęzi po kilka właściwych dzieł naliczyćby można.

Jakkolwiek różne są tego przyczyny, między niemi jednak, jedną z ważniejszych jest brak nakładców, którzyby nie licząc na zbyt szybki obrot dobrze procentującego kapitału, poprzestawali na jego zwrocie powolnym, ze stosownym zyskiem. Często słyszymy „piszę, napisałem, ale kto wydrukuje?” Wydawanie u nas własnym kosztem może tylko zniechęcić, odstraszyć.

Do dzieł wyszłych w latach ostatnich, które ze wszech względów zasługują na upowszechnienie i bliższe poznanie, należy Mechanika teoretyczna Weisbacha, wydana przez H. Natansona, któremu jesteśmy obowiązani za wydrukowanie w polskim języku znakomitego dzieła „Kosmos,” napisanego przez sławnego Humboldta. Mechanika, o której wspomnieliśmy, przełożona z języka niemieckiego, należy, o ile nam się zdaje, do najlepszych dzieł traktujących o mechanice teoretycznej w literaturze niemieckiej. Tłumacz zamierzając obdarzyć nasze biedne w tym rodzaju piśmiennictwo, z wielkim postąpił rozmysłem przy wyborze oryginału. Jakże często przez niestosowny wybór czynimy swą pracę bezkorzystną dla ogółu, a co ważniejsza, pośrednio zrażamy publiczność od tłumaczeń dzieł naukowych, na których niedostatek zewsząd dochodzą zażalenia. Jeżeli już tak okoliczności każą, że tłumaczeniami żywić się musimy, dobrze wybierajmy przed rozpoczęciem pracy, czy tłumaczone dzieło zastąpi rzeczywiście brak dobrych polskich dzieł naukowych.

Dotąd posiadamy pierwszy tom, obejmujący mechanikę teoretyczną; spodziewać się wszakże należy, że skoro wyjdą następne tomy, mające obejmować mechanikę praktyczną, zapewne i te w polskim przekładzie ujrzymy. W tym tomie, autor te głównie części traktuje, które w praktycznych zawodach najczęstsze spotykają zastosowania; dlatego, aby praktyczniejszą uczynić swą pracę, Weisbach liczne załącza przykłady, które niejako za wzór posłużyć mogą, szczególnież téż dla osób samouczących, których u nas, pomimowolnie, najwięcej się znajduje.

Nadto chcąc swe dzieło przystępném uczynić dla większej liczby czytelników, autor w tym kursie o ile możności ogranicza się na algebrze, rzadko wprowadzając rachunek różniczkowy lub całkowity. A wychodząc z tego przekonania, że osoby poświęcające się praktyce, mogą zapomnieć jeżeli nie główne zasady, to przynajmniej szczególne przypadki różniczkowania funkcji; zamieścił na wstępie krótki zarys rachunku wyższego, przedstawiając go w formie i duchu bardzo właściwie pojętym tak względnie do osób, dla których całe dzieło przeznacza, jako téż względnie do przedmiotu traktowanego.

Zrobić tu można tłumaczowi uwagę, że właśnie nie chciał się przejąć celem tego wstępnego ustępu, i obawiając się, aby sposób zapatrywania się autora „nieznających rzeczy nie dopro-

wadził do mylnego wyobrażenia o nieścistości prawa rachunku, przez opuszczanie wyrazów bardzo małych i t. d." uczynił parę dopisków rzecz wyjaśniających. Nie tu jest miejsce obszernie o tém mówić: jesteśmy o tém jednak przekonani, że autor mechaniki teoretycznej pisał swe dzieło dla osób, które jeżeli dziś dobrze nie pamiętają, to kiedyś musieli się obszerniej uczyć analizy wyższej, i sposobem traktowania przez autora podanym w błąd wprowadzeni być nie mogą. Dodatek ten jest tylko przypomnieniem przepisów różniczkowania i całkowania dla osób poświęcających się mechanice praktycznej, i pod tym względem Weisbach bardzo oględnie postąpił, wprowadzając sposób pojmowania różniczek za ilości, które zbliżając się ciągle do zera, ostatecznie stają się mniejsze od wszelkiej ilości danej czyli nieskończenie małe. Taki sposób pojmowania, podany pierwotnie przez Leibnitza, najwłaściwszym jest przy zastosowaniu rachunku do geometrii i mechaniki, i zapewne dlatego Weisbach przeprowadza go w całym dziele.

Treści szczegółowej niniejszego dzieła wypisywać nie uważam za rzecz potrzebną; dodać tylko wypada, że ta Mechanika teoretyczna bogatą jest we wszelkie szczegółowe roztrząsania, i może pod każdym względem zastąpić brak oddawna czuć się dający polskiego dzieła, w tym ważnym dla wszystkich zawodów technicznych przedmiocie.

Co do języka oddać należy sprawiedliwość tłumaczowi za pracę sumienną i starannie wykonaną. Być może, znajdują się pewne usterki lub małe niepoprawności: te jednak nikną w ogromie dzieła i wcale nie są w stanie ująć prawdziwej zasługi, jaką p. Bakka dla literatury położył. Nie podzielamy np. z tłumaczem przekonania, aby spolszczenie wyrazu areometr na ciężkościomierz było zadowalające; podobnie możeby było lepiej zamiast wyrazu ciężkość gatunkowa (poids, Gewicht) używać wyrazu ciężaru właściwego lub zresztą gatunkowego; zamiast waga bezwzględna, ciężar bezwzględny i t. p. Tłumacząc, możebym starał się spolszczyć wyraz dziwnie u nas brzmiący, choć dość często używany, wentylle, na klapy; podobnie możeby się utarł wyraz polski przez Libelta podany, zamiennik, w miejsce modułu.

Co się tyczy wydania, z przyjemnością można powiedzieć, że przychodzimy przecie do wydań swojskich pięknych nietylko pod względem druku, ale i powierzchowności; umieszczanie figur w texcie, powszechnie przyjęte za granicą, i u nas zdaje się wchodzi w użycie częstsze. Jak wielką to jest dogodnością dla osób czytających dzieła matematyczne, każdy pojmie i oceni, pamiętając na to, że wzrok nasz nietyle się psuje drobnym drukiem, co częstą zmianą odległości uważanego przedmiotu, jaka ma miejsce przy odszukiwaniu liter lub figur na osobnych tablicach, lub przy wykonywaniu rachunków za pomocą logarytmów.

S. P.

*Wyrachowanie masy i wartości drzewa opałowego w kłocach, oraz porównanie wartości tegoż z węglem kamiennym i torfem, przez Benedykta Alexandrowicza. Warszawa. 1855 r.*

Mała ta, dwanaście stronnic obejmująca książeczka, zawiera tablicę przybliżonej miąższości drzewa od 6 do 40 cali średnicy w cieńszym końcu, i od 6 do 40 stóp długości; tablicę wartości browarki od 6 do 40 stóp długości, w porównaniu do cen sążnia sześciennego drzewa w szczapách; tablicę porównawczą palności rozmaitego gatunku drzewa, oraz uwagi nad palnością węgla kamiennego i torfu.

Jakkolwiek przyjęta do obliczania miąższości zasada stałego przyrostu po  $\frac{1}{4}$  części cala na każdy sążeń długości, daje wypadki różniące się od rzeczywistych, w miarę większej różnicy pomiędzy średnicami w cienkim i grubym końcu, której przy ustanawianiu wartości drzewa opałowego nigdy z uwagi spuszczać nienależy; jakkolwiek trudno pojąć istotne znaczenie objaśnienia, że wyrachowanie miąższości obejmuje ilość stóp wypadłą ze średnicy w cieńszym końcu *zrównanej przez stosunkowe podwyższenie rachunku o  $\frac{1}{4}$  część cala na każdym sążniu długości i dodaniu już do objętości*: mimo to jednak obliczenia p. Alexandrowicza, dając przynajmniej minimum miąższości i wartości drzewa opałowego w kłocach, znajdować się powinny w ręku tych wszystkich, którzy dziś kupują i sprzedają drzewo opałowe, oceniając wartość jego na targu od oka, lub płacąc po składach ceny, których zasady bardzo często odgadnąć nie jest podobna.

Ocenienie stosunku palności rozmaitych gatunków drzewa, zależy od tylu rozlicznych względów, że otrzymane wypadki w praktyce prawie żadnego nie mogą mieć zastosowania. Toż samo powiedzieć można o porównaniu palności drzewa z węglem kamiennym i torfem, chociaż nie ulega zaprzeczeniu, że przy użyciu węgla kamiennego, koszta opału niemal o połowę są mniejsze, z ułatwieniem zaś jego dostawy, wypadki pod tym względem więcej jeszcze przedstawią korzyści; a niedaleki zapewne czas, w którym. przynajmniej co do Warszawy, torf i węgiel kamienny zastąpią zupełnie w użyciu drzewo na opał.

K. S.

## ROZMAITOŚCI.

---

### *O rzeźbiarstwie.*

**W**idzieliśmy w tych dniach dzieło sztuki, które ze wszech względów zasługuje na uwagę miłośników i zwolenników sztuk pięknych: jestto grupa rzeźbiona z marmuru karraryjskiego, sprowadzona niedawno z Włoch.

Kraina ta prawdziwa kolébka poezyi i sztuk pięknych, lubo w nowszym czasie nie wydała w malarstwie talentów swojskich, mogących się mierzyć z dawnymi swemi poprzednikami, nawet z wielkimi artystami innych krajów; w rzeźbie zdołała utrzymać palmę pierwszeństwa i dawną chwałę przez dzieła nieśmiertelnego Kanowy i nowszych artystów jakimi są: Tenerani, Bartolini, Marchesi i inni rzeźbiarze, między którymi znakomite miejsce zajmuje Benzoni w Rzymie, znany z dzieł swoich na wystawie powszechnej w Londynie i Paryżu. Otóż tego dzieła oryginalne, prawie naturalnej wielkości wykonane, oglądaliśmy przedstawiające Amora i Psyche.

Podstawa ozdobnie rzeźbioną jest z szarego marmuru, na której czterech stronach wpuszczone są cztery płaskorzeźby z białego marmuru, przedstawiające zdarzenia z dziejów Psychy. Dwie dłuższe rzeźby przedstawiają ją w piekle, za pośrednictwem Amora proszącą Plutona o puszkę maści, za pomocą którejby mogła zawsze piękność i młodość zachować, i w Olimpie być umieszczoną między nieśmiertelnymi bogami. Na dwóch mniejszych, ogląda Amora przy lampie mimo zakazu, i zostaje uniesioną przez Zefira do świątyni miłości.

Płaskorzeźby te pięknie są pomyślane, lecz niezbyt troskliwe, lubo z gustem wykonane: może dlatego, żeby niezbyt odrywały uwagę widza od dużej grupy, którą tylko objaśnić mają. Na tej bogatej podstawie wznoszą się dwie powabne postaci; Amor skrzydlaty jakby ulatujący, wspina się na palcach i wznosi wyżej wspomnioną puszkę; Psyche przymilając się głaszcze go prawą

ręką, a lewą go przytrzymuje, jakby go o ten upragniony dar prosiła. Grupa ta tworzy niezrównaną harmonijną całość, i wykonana jest po mistrzowsku w najmniejszych szczegółach. Bardzo piękną jest postać młodzieńczej bogini, odziana lekką draperyą, lecz daleko powabniejszą głowa Amorka i cała postać jego.

Nawet dla samego technicznego wykończenia zasługuje ta rzeźba na pochwały, zwłaszcza dla sztucznego wyrobienia z marmuru rąk, draperyi i skrzydeł. Oprócz tego dzieło to jest bardzo korzystnie umieszczone w rotundzie oszklonej oranżeryi, wpośród bujnej wegetacji zwrotnikowych roślin.

Kiedy promienie zachodzącego słońca ozłacają te postaci, zapominając o rzeźbie z kamienia, zdają się ukazywać widzowi jakieś magiczne postacie. Wszystkie piękności tego utworu trudno opisać: oko tylko wpraw nego znawcy potrafi je wynaleźć.

W każdym razie czyni to dzieło zaszczyt talentowi artysty i dobremu gustowi nabywcy, który takowe nabył i sprowadził. Benzoni w pracach swoich mniej zbliża się do Thorwaldsena, który w skromnych idealnych formach w stylu dawnych rzeźb greckich swe dzieła tworzył; bardziej zaś do manieri Canovy, który się więcej do malowniczości natury zbliżał, to jest nadawał więcej miękkości ciału, i lekkości we włosach i akcesoryach.

U nas rzadko się zdarza widzieć dzieło nowszych artystów znakomitszych, bo oprócz téj grupy, nie przypominam sobie nic innego prócz mniejszego modelu oryginalnego z brązu do kolosalnej Amazonki Kissa w Berlinie, nabytego w Paryżu przez p. Xawerego Pusłowskiego, i mniej troskliwie wykonanych modeli Karyatyd, tegoż artysty, do wodociągów tutejszych; dlatego śmiem uwagę amatorów sztuki i młodszych rzeźbiarzy na tę pracę zwrócić; tem bardziej iż wyznać trzeba, że u nas w tym zawodzie jeszcze wiele zostaje do życzenia, lubo nie brak i nam na zdolnych artystach w Warszawie, a za granicą rzeźbiarze jak Sosnowski, Władysław Oleszczyński i młody Stattler, zaszczyt nam robią w tym zawodzie.

A. L.

---

# KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1855.

64. Mowa Xiędza Henryka Hr. Platara miana w kościele w Pabianicach w czasie obrzędu pochowania zwłok ś. p. Teresy Rotkiewicz, wdowy po ś. p. Tomaszu Rotkiewiczzu Referendarzu Rady Stanu, zmarłej w Widzewie dnia 5 Listopada 1855 r. 8ka. Warszawa (bez roku) W drukarni J. Jaworskiego. Str. 8.

65. Roczniki Gospodarstwa Krajowego. Okresu drugiego Tom I. N. I i II. Ogólnego zbioru Tom XXV. Rok trzynasty. (Lipiec i Październik 1854). 8ka. Warszawa. Expedycja główna w księg. R. Friedlejna. W drukarni Gazety Codziennój. Kart napis. I. i str. 317. Okresu drugiego Tom II N. I i II. Ogólnego zbioru Tom XVI. Rok trzynasty (Styczeń i Kwiecień 1855). Kart napis. I. i str. 316. Spisu rzeczy karta I. (Z 6 litografowanemi tab. i 1 drukowaną). Rsr. 3.

1856.

12. Katalog książek polskich w czytelni przy księgarni Aleksandra Nowoleckiego w Warszawie przy rogu ulicy Senatorskiej.... Cena kop. 7½. 18ka. Warszawa. 1856. W drukarni Gazety Codziennój. Str. 90.

13. Katalog książek polskich w czytelni przy księgarni I. Klukowskiego i W. Rafalskiego w Warszawie przy ulicy Miodowej w domu W. Bujno, N. 497 lit. C. Cena kop. 7½. 18ka. Warszawa. 1856. W drukarni Gazety Codziennój. Str. 94.

14. Katalog duplikatów biblioteki książąt Radziwiłłów niegdyś w Królikarni, oraz innych książek w różnych językach, wystawionych na sprzedaż publiczną w dniu 12 marca 1856 roku i dni następnych, za pośrednictwem księgarni Zygmunta Szteblera w Warszawie..... 8ka. Warszawa. 1856. W drukarni Gazety Codziennój. Kart nap. 2 i str. 47.

15. Kuchmistrz Polski czyli poradnik napisany przez doświadczonego w pierwszych domach polskich kuchmistrza, zawierający sposoby tak przyrządzania najwykwintniejszych potraw, jako też wykaz stosownych pokarmów i napojów dla różnego wieku i organizmu. W dwóch tomach. 8ka. Warszawa. 1856. Tom I (druk St. Strąbskiego) kart. napis. 2 i str. 272. Rejestru str. X. Tom II (w drukarni Gazety Codziennój) napisów kart 2 i str. 369. Rejestru str. X. Rsr. 2.

16. Kodex rolnictwa i zarazem uwagi dotyczące ogrodów, sadów, lasów i plantacji, przez John Sinclair Baronet (,) założyciela Kommissyi Rolniczej (,) z dodatkami wyjętymi z tłumaczenia Dombasla, IIIgo wydania (,) z angielskiego. Tom drugi. 8ka. Warszawa. 1856. Nakładem Redakcyi Roczników Gosp. Krajowego. W drukarni St. Strąbskiego i Gazety Codziennój. Napisów i rejestru kart nieliczb. 6 i str. 568.

17. On perły szuka. Powieść P. Poutmartin. Przekład z francuzkiego Ignacego Badeniego Rady Tajnego, Członka Towarzystwa Naukowego Krakowskiego. 16ka. Warszawa. 1856. Nakładem tłumacza. W drukarni Gazety Codziennój. Str. 272 (do str. VI znaczone rzym. liczbami). Rsr. 1 kop. 20.

18. Pan Starosta Kaniowski. Obraz powieściowo - historyczny w trzech rozdziałach przez Edwarda Tarszę. 16ka. Warszawa. 1856. W drukarni Gazety Codziennój. Kart napis. 2 i str. 179.



19. Roczniki Gospodarstwa krajowego, Okresu drugiego Tom III. N. I i II. Ogólnego zbioru Tom XVII. Rok czternasty (Lipiec i Październik, 1855). 8ka. Warszawa. W księgarni R. Friedlejna. W drukarni Gazety Codziennéj. Kart napis. I i str. 309; okresu drugiego Tom IV. N. I i II. Rok czternasty (Styczeń i Kwiecień, 1856). Kart napis. I, i str. 320. Rejestru karta I. Rsr. 3.

20. Zasady Geometrii. Wyłożone przez Clairaut. Z rozporządzenia Ministra Wychowania publicznego, przeznaczone dla szkół Okręgu Naukowego Warszawskiego. (Tłumaczył St. Przysiański) 12ka. Warszawa, 1856. W drukarni Gazety Codziennéj. Kart napis. 2, przedmowy str. XII i str. 154. (Ze 145 drzeworytami). W oprawie kop. 37<sup>1</sup>/<sub>2</sub>.

21. Z podań ludu i z obcej mowy. Przez Jana Prusinowskiego. 16ka. Warszawa. 1856. W drukarni S. Orgelbrańda, nakład Czerniaka w Białocerkwi. Str. 126 i rejestru karta 1. Kop 60.

22. Ziemianin (.) czyli łatwy sposób powiększenia dochodów za pomocą wiejskiego gospodarstwa; praktyczne podręczne dziełko, obejmujące treściwe wiadomości o rolnictwie, o hodowli wszelkiego rodzaju domowych zwierząt, ich chorobach, leczeniu; o pszczołach etc, etc; tudzież zbiór mało dotąd znanych, lub zupełnie nowych zaradczych w domowym gospodarstwie środków, przez Jana Sikorskiego. *Z godtem.*

„Omnium rerum ex quibus aliquid acquiritur  
nihil est agricultura melius, nihil uberius, nihil  
dulcius, nihil, homine libero dignius,”

*Cicero, de Off, L. I n. 151.*

Nakładem autora, 12ka. Wilno. 1856. Drukiem J. Zawadzkiego. Str. XXIV i 348.



## Doniesienia literackie.

### WARSZAWA.

M. Fajans przygotowuje chromolitograficzny Kalendarz na rok 1857. Różni się tćm od poprzednich, że wyjdzie w zmniejszonym formacie, z rycinami na dwie strony, a na każdej po sześć miesięcy. Z jednéj strony pod drzewem, widzimy siedzących trzech naszych pierwszych poetów: Reja, Kochanowskiego i Klonowicza; z drugiey w całych postaciach dwie figury historyczne. Taki szkic utworu znanego artysty Gersona, jużśmy oglądali.

— Bibliografii krajowej (o której już wspomnieliśmy) wyszedł zeszyt 2gi, i zawiera oprócz bibliografii ksiązek, nut i rycin za r. 1855 i 1856: rozprawę K. Wł. Wójcickiego „o handlu księgarskim,” oraz zapowiedź przeglądu pism peryodycznych. „Pisma peryodyczne (czytamy w odcinku tego pisma) treści naukowej, pomieszczały często jużto ważne rozprawy objaśniające szczegółowe ustępy dziejów polskich, już ogłaszały same materiały. Oddawna uczuwać dawała się potrzeba, ażeby zająć się ich dokładnym spisem, który byłby wielką pomocą dla badaczy krajowych dziejów. Była myśl poprzednio zebrać w jedno dzieło te wszystkie rozproszone po różnych pismach zasoby; ale gdy nie doszła do skutku, uważamy za stosowne w Bibliografii krajowej spis taki czytelnikom naszym przedstawić. Zaczniemy od r. 1801 od Pamiętnika Franciszka Dmochowskiego, aż do pism obecnych. Z każdego szczegółowy spis podamy, nietylko rzeczy dotyczących dziejów polskich, ale i literatury krajowej. Biblioteka Warszawska pod napisem „Bibliografii starożytnej” mieściła opis i treść, z wyjątkami nawet ważniejszych a rzadkich już tak dzieł, jak i broszur. Rzecz ta zwróciła uwagę badaczy literatury dawnéj, bo oznajmiała z rzadkościami starożytnego piśmiennictwa polskiego, i podawała mo-

żność ocenienia należycie tych zabytków. Ale niedługo trwała ta publikacja w Bibliotece Warsz.: sądzymy, że w odcinku Bibliografii krajowej najwłaściwsze będzie dla niej miejsce." W końcu zapowiadają wydawcy, że: „nie odmówią miejsca opisom ważnych i ciekawych rękopismów." Zeszyt 3, który już jest pod prasą, obejmuje w odcinku: spis szczegółowy przedmiotów i materiałów dotyczących tak dziejów, jak i literatury krajowej z 20 tomów „Pamiętnika” F. Dmochowskiego.

— W r. b. upływa sto lat, jak szpital główny Dzieciątka Jezus w Warszawie wybudowany i zamieszkały został. Szpital przez kwestę ks. Gabryela Piotra Baudoin wybudowany został; sam założyciel był pierwszym rektorem tegoż szpitala, i zarządzał nim przez lat 12 aż do zgonu swego, do dnia 10 lutego 1768 r. Tyle zasłużony i godny pamięci mąż, nie ma jeszcze pomnika wystawionego, na który zasłużył. Że była myśl o nim, dowodzi przygotowany napis przez Ignacego Krasickiego, przeznaczony na nagrobek X. Baudouin'a.

„Którego święta miłość bliźniego ujęła,  
Mężu prawy, spoczywaj wpośród twego dzieła.  
Bajeczna starożytność niech rycerzów głosi:  
Nędzna sława, co światu nieszczęście przynosi.  
Nie ten godzien pamięci, kto gnębił, kto zdzierał,  
Nie ten co lzy wyciskał, lecz kto je ocierał”.

Może przypomnienie niniejsze pobudzi kogo, aby się zajął wystawieniem, odpowiednio zasługom zgasłego męża, chociażby skromnego pomnika, z napisem, który Krasicki zostawił.

— Kiedy napróżno wyglądamy u nas pisma poświęconego badaniom archeologii krajowej, nauki, której zwolenników wielu liczymy: otrzymane z Pragi Czeskiej: „Pamatky Archaelogicke a Mistopisne” przekonują, że Czechi już nas w tym względzie wyprzedzili. Mamy dzieła tego zeszytów 5 w 4ce, z rycinami i obszernym tekstem. Pismo to zaczęło wychodzić w r. 1854, nakładem Maticy czeskiej, pod redakcją Karola Władysława Zapa. Ryciny litografowane starannie przedstawiają tak plany, jak widoki już całych kościołów, już ich części; starożytnych zamków i domostw, zwracających uwagę pod względem osobliwości architektury, ołtarzy, fresków, krucyfixów; malowanych kart rękopismienych, i monet. Pod względem wydania „Pamiętniki” te nie mogą się porównać nawet z pięknym wydaniem „Wzorów sztuki średniowiecznej w dawnej Polsce” A. Przezdzieckiego i E. Rastawieckiego, których dzieło jest pomnikowym, wszelako w planie przyjęto szersze rozmiary, bo i zabytki budownictwa, i monety czeskie. Nasi wydawcy „Wzorów” słusznie ze swego dzieła usunęli tak opis monet, jak i medali polskich, bo już mamy w tym przedmiocie wielkiej wartości dzieła K. Bandtkiego, K. Stronczyńskiego, Zagórskiego, Albertrandego, Bentkowskiego, Raczyńskiego, a nadto wielu miłośników przygotowują do druku nowe prace: sądzymy przecież, że dla „Wzorów” nie obojętne być powinny i zabytki najdawniejszych pamiątek budowli tak zamków, jak kościołów, domostw i dworów ziemiańskich, z których już rzadkie tylko szczątki (wyjąwszy kościołów) pozostały na naszej ziemi. Tym bardziej tego pragnąć musimy, mając dowody sumiennosci godnej czci naszej, w wydawnictwie tego dzieła. Wzorów tych, „Seryi drugiey” wyszły nowe zeszyty V, VI, VII i VIII, i obejmują: Grobowiec Kazimierza Jagiellończyka widziany z przyczółka, i z boku; postać tegoż króla na grobowcu; Pomnik grobowy Piotra z Bniua Moszyńskiego biskupa kijowskiego, w katedrze włocławskiej; (tekst polski Edwarda Rastawieckiego, francuzki Alexandra Przezdzieckiego). Dwa wizerunki: Zygmunta Augusta króla polskiego i jego trzeciej żony Katarzyny arcy-księżniczki austriackiej, malowane roku 1553, czy nieco później przez Łukasza Kranacha syna. Chromolitografie są wielkości oryginałów. Matka Boska z dzieciątkiem Jezus, obrazek w kosztownej oprawie z XVII wieku, własność niegdyś królowej Maryi Ludwiki, małżonki króla Władysława IV, a następnie Jana Kazimierza. (Tekst polski E. Rastawieckiego, francuzki A. Przezdzieckiego). Klejnoty polskie z XVI

wieku; orzeł polski dyamentowy z rubinami, wzięty (jak się słusznie domyśla A. Przeddziecki) ze skarbcu koronnego przez Henryka Walezysza, i przewieziony do Paryża; łańcuch złoty z emalią, wedle podania wyjęty z grobu Zygmunta III przez T. Czackiego.

*Lwów.* (Z listu). Z drukarni zakładu Ossolińskich wyszły, nakładem Manieckiego: „Kazania i nauki na wszystkie uroczystości w ciągu całego roku, miane przez kapłana obrządku ormiańskiego Archidiecezyi lwowskiej.—Szkaplerz męki Jezusa Chrystusa i boleści Najświętszej Panny, czyli pobożne rozmyślenia i t. d., tłumaczenie z francuzkiego, przez siostrę Ł. B.—Wykład popularny sztuki malowania farbami wodnymi: rzecz o krajo-widokach, dla szkół, pensyi i prywatnej nauki. Z pism Jerzego Barrot, przełożył ś. p. Karol Balicki. W drukarni propagandy w Chełmnie, w Prusach Zachodnich wychodzi czasopismo: „Nadwiślańin“, dwa razy na tydzień pod redakcją Gołkowskiego.

*Poznań.* (Z listu 19 lutego 1856 r.). Wkrótce wyjdą powieści p. n. „Zarysy społeczeństwa XIX stulecia“ zgrabnie i zajmująco napisane, ale na wskroś francuzkie.—P. Paulina Wilkońska znana w naszym świecie literackim i waszym, wdowa po powszechnie żalowanym autorze „Ramot i Ramotek“, ukończyła powieść p. n. „Pani Podkomorzyna“, którą ma ogłosić w Poznaniu. Obecnie wykończyła w obszerniejszych ramach powieść p. n. „Irena“, Załączam wam kilka szczegółów do życio-rysu ś. p. Jędrzeja Moraczewskiego, którego dopiero prace cenić zaczęto, gdy umarł. Smutna to dola dla pracownika sumiennego, kiedy za życia nie dozna współczucia należnego, w nagrodę trudów własnych. Jędrzej Moraczewski urodził się dnia 4 lutego 1802 r. we wsi Dusinie pod Gostyniem; pierwsze nauki szkolne pobierał w Poznaniu. W roku 1816 przeszedł do szkoły wojewódzkiej w Kaliszu, i tu nauki w r. 1822 ukończył. Tegoż roku udał się na wyższe nauki do Niemiec, mianowicie na uniwersytet lipski, a następnie heidelbergski, gdzie się głównie nauce historii prawa i filozofii poświęcał. W r. 1825 wrócił w rodzinne strony, osiadł we wsi „Zielądkowie“ pod Obornikami, i rozpoczął zawód literacki. Przełożył naprzód miarowym wierszem poezye Tybulla i wydał w Wrocławiu u Korna 1827. Niedługo wszakże przybył na uniwersytet warszawski, i w r. 1828 złożył examen magistrowski. Do r. 1830 mieszkał w Warszawie. Od r. 1842 osiadłszy stale w mieście Poznaniu, tu do śmierci zamieszkiwał. W tym roku wydał pierwszy tom dziejów Rzeczypospolitej, a w r. 1855, w wigilią śmierci d. 19 lutego, oddał do druku tom IX i ostatni. Umarł o godzinie 8 z wieczora d. 20 lutego, rażony paraliżem płucowym. Pogrzeb odbyty dnia 23 t. m. i r. zgromadził tak liczną publiczność, jakiej oddawna Poznań nie widział.

— Do współpracowników stałych „Czytelni niedzielnej“, których jużesmy wyliczyli, należą jeszcze: Wł. Garbiński, Karol Kucz, St. Przysiański, Dr. Esterejcher i p. Schlenker. PP. Garbińskiego i Kucza wieleśmy już w tém piśmie dostępnych czytali artykułów, równie jak p. Schlenkera, którego rozprawki popularne o soli, papierze, szkle i t. p. z zajęciem przyjęli czytelnicy. Professora Przysiańskiego pogadanki z nauk przyrodzonych, a z higieny doktora Esterejchera, odpowiadają w zupełności zadaniu tego pisma, tak treścią jak wybornym wykładem. Autor „Kłopotów starego komendanta“ liczy się także do współpracowników; obrazek jego „Prawy sługa“ z wielkiem zajęciem był czytany. Wiele artykułów mieści to pismo i samej redaktorki.

— A. Kosiński wynalazł rękopism z r. 1671, w którym jest najdokładniejszy spis szlachty pruskiej. Rzecz dotąd zupełnie nieznaną, a rzucająca wielkie światło na przeważającą stronę rodowitości polskiej szlachty w Prussach. W następnych zeszytach naszego pisma podamy sprawozdanie A. Kosińskiego z pomienionego rękopismu.

— Wkrótce rozpocznie się druk ważnego dzieła W. A. Maciejowskiego: „Historja Prawodawstw słowiańskich;“ rzecz zupełnie przerobiona, i obejmująca sześć obszernych tomów. Od wydania pierwszej edy-

cy, pracował uczony autor nad tém dziełem przez lat kilkanaście, i obecnie zamierzył je wydać. Dla ułatwienia nabycia, ogłoszoną zostanie prenumerata. Druk dzieła ukończonym będzie w ciągu dwóch lat najdalej.

— Zasłużony w zawodzie nauczycielskim professor Teodozy Sierociński przygotował do druku: „Pisma rozmaite uczniów i uczennic, poprawione i wydane przez T. Sierocińskiego profesora emeryta”. Jak szczęśliwa była myśl w ułożeniu tego dziełka, tak dla wielu będzie ciekawą i zajmującą rzeczą, spotkać się w wieku dojrzałym z pracą własną z lat młodocianych i szkolnych ławek.

— B. Lessmann księgarz warszawski drukuje: 1) Nowe wydanie Grammatyki Chapsala i Noela z ważnemi zmianami, zaprowadzonemi przez Akademią francuzką, oraz Zadania do teje grammatyki w porządku prawideł ułożone, z dodaniem licznych uwag wyjaśniających różnicę języków: polskiego i francuzkiego, a niezbędnych dla uczącej się młodzieży. 2) Kurs drugi Metody praktycznej i łatwej nauczenia się w krótkim czasie języka niemieckiego, z zastosowaniem do użytku młodzieży polskiej. 3) „Amelia matką” dzieło będące dalszym ciągiem „Pamiętki po dobrej matce” przez Klementynę z Tańskich Hofmanową.

— Oskar Kolberg ogłosił prospekt na dzieło p. n. „Pieśni ludu polskiego z melodyami i rycinami,” o którym jużśmy wspominali. W prospekcie mówi: „Mamy już zbiory pieśni ludowych, które okazały całe bogactwo tego skarbu dotąd niewyczerpanego. Wszelako zbiorom tym brakuje części najżywoźniejszej, bo dokładnie a sumiennie zebranych melodyj. Wśród wielkiej rodziny słowiańskiej, lud nasz jeżeli nie stanął w pierwszym rzędzie co do układu poetycznego słowa, to niezawodnie pierwszeństwo trzyma co do melodyi muzycznej. Text pieśni nie zawsze da wyobrażenie tej wzniosłej poezji, w którą dopiero rzeczna melodia go przyodziewa: w niej drga życie i uczucie ludu naszego”. Dzieło to wychodzić będzie zeszytami: sześć zeszytów stanowi całość we dwóch tomach, z 10 kolorowanemi rycinami, przedstawiającemi jak najwierniej ubiory ludu. Ryciny te z natury zdjęte wykonali artyści nasi Karol Markoni, i Antoni Kolberg, brat naszego wydawcy; mają one nie tylko zaletę wierności ubiorów, ale i charakteru oblicza. Widzieliśmy próbki wykonane w Dreźnie, ściśle podług przesłanych rysunków, i musimy przyznać, iż nic do życzenia nie zostawiają. Dzieło to będzie prawdziwą skarbnicą dla utalentowanych kompozytorów naszych, i umiejących cenić narodową muzykę.

*Wilno.* (Z listu). „M. Orgelbrand drukuje swoim nakładem poemat Wł. Syrokomli p. n. Wielki Czwartek.—Księgarnia Rubena Rafałowicza, która zakupiła cały nakład krotochwili p. n. „Hrabia na Wątorach” wyda wkrótce tegoż poety gawędę ludową i komedią: tytuły obu tych prac nowych nie są wiadome. Wszyscy księgarze na przegony upędzają się za drukowaniem wszelkich utworów Syrokomli. Ledwie wyda się co pomyślał i co chce pisać, już księgarze zawierają umowy, i płacą z góry. W całej Litwie też prawda zyskał sobie bardzo popularne imię. Syrokomla z poetów, a wasz Tripplin z prozaików najpoczytniejsi: publikum czytające każdy ich utwór chwytą z upragnieniem. NB. największą część tej publiki składają piękne Litwinki. Czy co do naszego młodego wieszczka, taki nacisk księgarski nie wpłynie szkodliwie na jego utwory:—czas pokaże; pośpiech i zaliczenia kontraktowe na utwory niegotowe, trudno aby oddziaływały korzystnie. Tomu trzeciego Literatury Syrokomla wcale nie pisze, i Bóg tylko wie, kiedy ta publikacja ukończoną będzie, i czy będzie ukończoną.—Zebrano znaczny zbiór medali nieznanego Raczyńskiego; zaczynają się tu krzątać nie tylko co do ich układu, ale napisania textu, jako dalsze tomy gabinetu Raczyńskiego. Ze będzie więcej jak jeden, to wiadomo, ale czy dwa, lub trzy, dopiero później doniosę. Księgarnia Rubena Rafałowicza bierze nakład na siebie. Nie dziwię się, że u nas niewielką przywiązują czytelnicy wiarę do ogłasza-

nych prospektów, i nie skorzy do prenumeraty, gdy ciągle mają zawody. Wapowskiego T. IV napróżno czekamy; Syrokomli dalszych tomów toż samo. Żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich także nie skończono. Jakaś fatalność ciąży tu u nas nad prenumeratą; dlatego nie spodziewajcie się poparcia od nas na te dzieła, które wychodzą zeszytami. Pokup ich rozpocznie się dopiero jak wykończone zostaną“.

(Wyjątek z listu). „Powoli wy Warszawiacy zapoznacie się lepiej z naszą Ukrainą. Michał Grabowski czyli Tarsza, dał już niejedną i bardzo szczęśliwie schwytaną artystycznie obrazek ukraiński. Po nim Zenon Fisz, znany pod pseudonimem Tadeusza Padalicy, w powiastkach ze znakomitym talentem kreślonych, ślicznie maluje ten kraj poetyczny. Drukowaliście Zofią Żytkiewiczównę, opowieść pełną wdzięku, kolorytu i prawdy. Znaćcie zapewne jego powiastkę: Nestor malowany, w której dał tak dosadną postać towarzysza Żeleźniaka. Pisarz to rzeczywistego talentu, i jeden z najzdolniejszych ze stron naszych. Trzeci Marcinkowski, który się podpisuje zawsze A. Nowosielski. Mamy już jego wizerunek litografowany u was w Warszawie, w litografii Flecka. Płaszcz hiszpański zarzucony na ramionach, a w ręku widać autorska ulubiona laska, z ciekawym biuścikiem, ale czym?— nie wiem: musi być to jednak ciekawa postać. Nowosielskiemu już sama Biblioteka dowiodła, że dobrze pisać po polsku nie umie: ale się teraz poprawia. Napisał on dzieło p. n. Lud Ukraiński. Może myślicie, że to są wdzięczne obrazki Grabowskiego lub Fisz. Przepraszam. Są to lingwistyczne badania języka, zwyczajów i obyczajów mieszkańców Ukrainy dla okazania, że pochodzi z Sanskrytu. Ucieszy się zapewne cień szanownego metrykanta Skorochoła Majewskiego, że znalazł w naszych czasach godnego następcę. Czy nauka i literatura z tych mrzonek Nowosielskiego co skorzysta, bardzo wątpimy: mybyśmy woleli wierne obrazki życia ludu, nie wywody i nakręcenia wyrazów i obyczaju do Sanskrytu. Podpiera się autor ogromną erudycją, bo masz tu i greckich i łacińskich pisarzy, badaczy niemieckich i. w. i.; Rzecz przypisami rozrosła ogromnie. Lubo zwoleńnikiem jestem prawdziwej nauki, zawsze ubolewam nad ludami, co praktycznie nie umieją pracować. Autor tego dzieła jest i wszechstronnym krytykiem; ale o tych krytykach nic nie powiem, bo macie je często w waszych gazetach umieszczane. Michał Grabowski już ukończył całą opowieść o staroście Kaniowskim, z której część wielce zajmującą Gazeta Codzienna umieściła w r. b. Pragnąć należy, aby pisarz ten wytrawny i umiejący tak władać piórem, malarz stepu i koliszczyzny, dał nam więcej ukraińskich obrazków. Wiemy, że Zenon Fisz przygotowuje w tym rodzaju nowe opowieści; czekamy na nie z utęsknieniem, a to uczucie i w was się zapewne obudza, którzy tak miłujecie obrazy krajowe, a skreślone z talentem i prawdą“.

— Znany badacz Pamiątek historycznych Warszawy, Alexander Wejnert, wydał „Starożytności Warszawy“ Tom IV z ryciną, w starannej i ozdobnej edycji. Tom ten zaczyna nową seryą, i objąć ma trzy tomy w sobie, czyli IV, V, i VI ogólnego zbioru. Autor w przedmowie zapowiada, że pragnie nie ustawać w zamierzonej pracy; „nie przestanę, (pisze) póki sił stanie dorzucać zasobów, w tej nadziei, że kiedyś rodzinne moje miasto będzie się mogło szczyścić dokładnymi dziejami“ Życzymy powodzenia autorowi, aby myśl piękną i szlachetną mógł szczęśliwie dokonać.

— o —

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**

**w Obserwatoryum Astronomiczném**

**WARSZAWSKIÉM.**

***Marzec, 1856.***

Marzec 1856.

Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obse

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziomem morza, czyli w łuku 18°41'25,7" N i w długości 1g. 14m. 45s.,7 czyli w łuku 18°41'25,7" N

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stus topniowy				Wilgotność na 100 cz. sredn. dzienne
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god.rano	god.rano	godz. w.	godz. w.	god.rano	god.rano	godz. w.	godz. w.	
1		755.88	757.78	758.49	758.26	+ 0°.4	+ 1°.7	+ 1°.8	+ 0°.4	89.2
2		754.82	753.78	749.42	747.03	+ 0.4	+ 0.0	+ 1.4	+ 1.0	100.0
3		746.68	746.59	749.70	753.26	+ 0.6	+ 1.3	- 0.2	- 3.5	90.0
4		751.77	752.64	753.03	753.54	- 4.1	- 3.2	- 4.2	- 6.3	81.0
5		750.10	747.70	741.55	736.63	- 5.6	- 1.8	+ 0.2	+ 0.0	95.0
6	☉	735.17	740.43	747.15	751.49	- 0.2	- 9.3	- 9.2	- 14.9	87.7
7		752.74	753.34	753.44	755.48	- 16.4	- 7.7	- 6.4	- 9.3	91.7
8		755.54	754.36	749.36	746.58	- 11.7	- 7.4	+ 0.1	- 1.7	95.2
9		749.44	752.80	751.98	747.97	- 0.2	- 0.2	+ 1.5	+ 0.6	85.0
10		741.96	741.36	743.11	745.95	+ 1.2	+ 1.7	+ 0.6	- 2.6	88.2
11		743.44	744.70	748.86	752.87	- 2.6	- 1.3	- 1.3	- 7.7	88.5
12		751.20	748.92	743.90	745.62	- 7.5	- 2.5	+ 1.6	- 2.5	86.8
13	☾	753.21	756.98	760.25	763.48	- 2.3	- 2.6	- 0.2	- 2.5	78.5
14		766.75	768.84	769.66	771.73	- 7.6	- 4.2	- 3.1	- 8.0	78.3
15		771.32	771.05	767.97	767.63	- 11.4	- 5.7	+ 0.6	- 4.4	72.8
16		767.80	769.28	769.60	772.22	- 2.6	- 0.6	+ 0.7	- 5.4	75.0
17		772.39	772.49	770.76	770.08	- 9.1	- 0.0	+ 1.4	- 1.1	87.7
18		768.67	768.63	766.94	766.88	- 3.6	+ 0.1	+ 4.1	- 2.5	88.5
19		765.34	764.79	761.96	760.90	- 5.2	+ 0.7	+ 4.8	- 1.3	83.0
20		759.39	759.44	756.92	755.74	- 3.9	+ 1.7	+ 6.5	- 0.7	77.5
21	☉	755.02	754.79	752.25	752.34	- 4.4	+ 1.7	+ 8.7	+ 0.8	75.0
22		750.52	749.99	749.04	748.91	- 1.9	+ 6.0	+ 8.6	+ 3.3	82.5
23		746.76	746.91	746.74	749.78	+ 2.3	+ 3.6	+ 6.5	- 1.1	88.3
24		750.70	751.34	749.80	749.06	- 1.3	+ 2.6	+ 3.6	+ 0.4	79.9
25		748.85	748.82	748.63	752.53	- 0.8	+ 0.8	+ 1.6	- 6.5	85.0
26		755.11	756.15	755.22	755.06	- 10.2	- 7.6	- 5.2	- 7.8	84.9
27		753.62	753.44	752.44	751.82	- 10.5	- 3.3	- 0.4	- 4.2	87.9
28		744.65	742.72	740.25	739.70	- 3.3	+ 1.4	+ 4.7	- 0.5	78.3
29	☾	743.60	744.98	748.79	753.34	- 5.2	- 4.2	- 2.8	- 6.7	85.1
30		754.80	755.11	754.58	754.81	- 7.4	- 3.5	+ 1.6	- 1.9	86.9
31		754.62	755.30	755.54	756.93	- 0.6	+ 2.7	+ 7.2	+ 3.1	78.0
Sre.		753.931	754.369	753.817	754.439	- 4°.34	- 1°.26	+ 1°.12	- 3°.02	85.

se watorium Astronomiczném Warszawskiem.

00 ziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie  
n wschód względem południka paryzkiego.

S T A N N I E B A				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé- szczu	śnie- gu
0.2 poch. mgła	pochmurny	pochmurny	napół pog.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Z.	1.8	2.8
0.0 mgła	mgła	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PnZ.		
0.0 pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	pogodny	PnZ.	Pn.	Pn.	Pn.		
1.0 napół pog.	lek. pochm.	pochmurny	napół pog.	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.		
5.0 pochmurny	śnieg	śnieg	śnieg	PdW.	Pd.	Z.	PdZ.		
7.7 pochmurny	napół pog.	pogodny	pogodny	Z.	Pn.	PnZ.	PnZ.	4.4	
1.7 pogodny	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	—	Z.	PnZ.	PnZ.		
5.2 pogodny	pr. pogodny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Z.		
5.0 k. pochm.	pogodny	pogodny	pochmurny	PnZ.	Pn.	PdZ.	PdZ.		
8.2 pochmurny	poch. desz.	pr. pochm.	pogodny	PdZ.	Z.	Z.	PnZ.		
8.5 k. pochm.	pochmurny	pr. pochm.	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.	7.2	1.6
8.6 pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	Pd.	PdZ.	Z.		
7.8 pochmurny	pr. pogodny	pogodny	lek. pochm.	PnZ.	Pn.	Pn.	Pn.	3.2	
7.8 pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	W.	W.	—		
7.2 pogodny	pogodny	pogodny	lek. pochm.	W.	PdW.	PdW.	—		
7.5 pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	W.	W.	PnW.	—		
87.7 pogodny	pr. pochm.	pogodny	pog. mgła	W.	PdW.	Pn.	—	2.8	
88.5 pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	PdW.	Pd.		
83.0 pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
77.3 pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	Pd.	PdW.	PdW.		
75.0 pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
82.3 k. pochm.	smugi	lek. pochm.	dészcz	Pd.	PdZ.	—	Z.		
88.8 mgła gruba	lek. pochm.	lek. pochm.	pochmurny	—	Z.	—	PnZ.		
79.0 pogodny	lek. pochm.	pochmurny	napół pog.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Pn.		
85.0 pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	Z.	Z.	PnZ.	PnW.		
84.0 pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	PnZ.	PnW.	2.8	
87.0 pogodny	pochmurny	lek. pochm.	pogodny	Z.	PnZ.	PnZ.	Pd.		
78.0 pochmurny	napół pog.	napół pog.	śnieg	Pd.	Z.	Z.	Z.	5.6	
85.0 lek. śnieg	śnieg	pochmurny	pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Pn.		
86.0 pogodny	pogodny	napół pog.	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		
78.0 pochmurny	lek. pochm.	lek. pochm.	pochmurny	Z.	Z.	Pn.	PnZ.		
85.0								5.0	32.4



	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	754.140	27	10.307
Najwyżej barometr dochodził d. 17 o g. 10 r.	772.49	28	6.442
Najniżej — — d. 6 o g. 6 r.	735.17	27	1.898
Średnia zmiana dzienna barometru	5.384		2.386
Największa zmiana dzienna barometru d. 12—13 o g. 10 w.	17.86		7.917
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	5.123		2.271
Średnia temperatura marca wynosi: i ta jest niższa o od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	— 1 <sup>o</sup> .87 C.	—	1 <sup>o</sup> .49 R.
	2.32 „		1.85 „
	+ 0.45 „	+ 0.36 „	
Największe ciepło było d. 21 o g. 4 w.	+ 8.7 „	+ 6.96 „	
Największe zimno — d. 7 o g. 6 r.	— 16.4 „	— 13.12 „	
Średnia zmiana dzienna temperatury	3.539 „	2.831 „	
Największa zmiana dzienna temperatury d. 6—7 o g. 6 r.	16.0 „	12.8 „	

Termometrograf wskazał:

Maximum: + 8<sup>o</sup>.0 R. d. 22 po połud.

Minimum: —13<sup>o</sup>.6 „ d. 7 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 85.1, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 4.10 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest przeszło o 0.02 mniejsza od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 5.0 mil. czyli 2.22 lin. par.; z śniegu 32.4 mil. czyli 14.36 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 37.4 mil. czyli 16.58 lin. par.; ilość ta wody jest o 2.88 lin. par. mniejsza od tej, jaka średnio w marcu spada.

Dni pogodnych było 8, napół pogodnych 8, pochmurnych 15.

— deszczu 5 (d. 2, 8, 10, 22, 23).

— śniegu 15 (d. 1, 3, 4, 5, 6, 8, 10, 11, 12, 25, 26, 27, 28, 29, 30).

— gradu 5 (d. 3, 10, 13, 24, 25).

— mgły 4 (d. 1, 2, 17, 23).

Wichrów było 4 (4 Pn.).

Wiatrów mocnych 18 (6 Pn., 6 Z., 4 PnZ., 2 PnW.).

Wiatr panujący: Zachodni, często były także: Północno-Zachodnie.

Marzec r. b. był pogodny, suchy, zimny, niezbyt w śnieg obfity, blisko o 2 stop. R. zimniejszy niż zwykle. Początek miesiąca, a osobliwie pierwsze trzynaście dni były zimne, śnieżne i niepogodne. następne osmnaście pogodne i suche. Najcieplejsze dni były: d. 1, 21, 22, 23, 24, 31; najzimniejsze d. 6, 7, 8, 14, 15, 26. Barometr przy wietrze wschodnim bardzo wysoko się utrzymywał, osobliwie w dniach 15, 16 i 17; d. 17 o godz. 10 rano wzniósł się do wysokości 28 cali 6.44 lin. par. tylko o 0.60 lin. par. mniej jak d. 6 marca 1852 r. Pod względem stanu nieba miesiąc ten pogodniejszy był niż zwykle, osobliwie od d. 13 do 21. W stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych jest jak 4,4:8,7:17,9. W r. b. stosunek tychże dni jest jak 8:8:15. Elektryczność atmosferyczna w dniach 13, 15, 18, 20, 21, była silna.

# TEOFRAST,

## I NIEKTÓRZY NOWSI BADACZE CHARAKTERÓW.

(Z księgi Szkiców i Fragmentów).

---

### I.

Niewyczerpanym przedmiotem badania jest człowiek; dlatego może poczęści, iż siebie przedewszystkiém kochamy, sobą zajmować się lubimy: głównie przecież dlatego, że łączy w sobie tajemnice świata fizycznego i tajemnice ducha. Właściwie nawet badanie to tak może być różnostronne, na tak odmiennych może poruszać się polach, z tak rozmaitych wychodzić punktów widzenia, iż w jedną umiejętność wszystkiego objąć niepodobna. Można raczej powiedzieć, iż większą część umiejętności ludzkich składają badania nad człowiekiem, uważanym to jako istota organiczna, to jako istota myśląca, to wiążąca społeczeństwa, nadająca sobie prawa, odbierająca lub tworząca religie, snująca pasmo dziejów, żyjąca wreszcie życiem nie tylko indywidualném, rodzinném, społeczném, narodowém, ale jeszcze między-narodowém. Poza obrębem człowieka, w rzędzie umiejętności pozostają tylko: nauki matematyczne, nauka świata fizycznego, mechanika niebieska i Bóg. A może i te wszystkie odrębne poza granicami siebie samego leżące przedmioty odrzuciłby człowiek lub pominął, gdyby Boga nie znajdował naprzód w samym sobie, we własnej myśli i sercu, świat nie wyzywał go ciągle do walki i pracy, a niebo nie otaczało sklepieniem jego głowy i blaskiem

ciał niebieskich tajemniczych, a wiecznie świecących nad nim i patrzących na niego; nie budziły w nim téj iskry nieśmiertelnej rozumu, usiłującej przedrzeć się do tajemnic świata Bożego i nurtować w przepaściach nieskończoności.

Wszystkie więc nitki, cały wątek umiejętności rozpina, rozprawdza człowiek naokoło siebie jak pajak nitki pajęczyny, sam sadowiąc się w środku. Wszystkie wychodzą z jego intuicyi lub rozumu, ale jedne pośrednio, drugie bezpośrednio do niego się odnoszą. Z tych znowu ostatnich jedne zatrudniają się człowiekiem zbiorowo, inne wyjątkowymi i nadzwyczajnymi indywidualnościami: te przeszłością, te terażniejszością, każda ma odmienną stronę władz, usposobień lub faktów przez niego dokonanych na celu, i każda w oddzielny sposób przyczynia się do poznania człowieka.

Nie wchodzi w zamiar ani zakres naszego pisma, śledzić bieg i zakres tych szczegółowych umiejętności. Założywszy sobie mówić o pismach traktujących charaktery ludzkie, dosyć nam będzie zatrzymać się o ile można najkrócej nad temi gałęziami literatury, które w jakibądź sposób objaśnienie, przedstawienie lub zbadanie tychże charakterów mają na celu; wskazać różnice dróg, jakimi idą do celu; oznaczyć w jaki sposób każda z nich wedle natury swojej bierze się do opracowania różnych zjawisk moralnych, poetycznych lub historycznych, jakie w życiu i dziejach spotyka; i wreszcie oznaczyć, jak się właściwie ma gałąź literatury traktująca wyłącznie o charakterach do innych jój pobratymczych.

Dlatego, że filozofia świat cały fenomenów moralnych i fizycznych obejmuje, niektórymi więc tylko ze swoich składowych części dotyka badania natury sił, skłonności, popędów i władz człowieka.

Zajmuje ją Bóg, świat widomy i związek jednego z drugim; niemniej jednak wchodzi w naturę praw bytu i myślenia człowieka. Człowiek jest więc jój przedmiotem, tak dobrze jako indywidualum, jak równie jako istota społeczna. Ale filozofia z natury swój bierze rzecz tę zbiorowo, bada masę ludzi a nie człowieka; patrzy na przedmiot z tak wyniosłego stanowiska, iż jednostka ze swemi pojedynczemi różnicami ginie dla niej: zostaje za przedmiot summa pojedynczości, wypadek obserwacyj szczegółowych, wynik masy uczuć, myśli, pojęć, sił, skłonności.

Filozofia zwłaszcza moralna niepospolitą może przynieść sumę idei do praktycznego użycia społeczeństw; można w niej znajdować określenia warunków bytu, zasad i praw myślenia i działania w stosunkach ludzi do ludzi i do Boga. Ale ona szuka prawd ogólnych, wiecznych, nigdy nie zmieniających się, trwałych, że tak powiemy nieśmiertelnych, jeżeli o nieśmiertelności może być mowa w odniesieniu się do życia ludzkości i jej wędrówki po tym padole płaczu.

Jak dla malarza rozległego krajobrazu giną pojedyncze rośliny pełne niezmiernego zajęcia dla botanika, a zostają tylko masy zieloności, smugi światła i cieni, gra kolorów, ustrój odmienny liści drzew, siła wegetacji i ogólny wyraz i harmonia całości; tak dla filozofa-moralisty giną wszystkie różnice sił, uczuć, popędów serca, walk namiętności, zgoła wszystkie pojedyncze fenomena: zostaje cyfra ogólna prawd, odnosić się mających do wszystkich ludzi, czasów i wieków.

Historia jest umiejętnością, która więcej z człowiekiem czynnym i działającym, z objawami jego serca, rozumu i woli, jak z teoryami, prawdami i zasadami ogólnymi ma do czynienia. Wypadki i zdarzenia kreśli, do przyczyn je odnosi, skutki ich rozwija: nie swoją przędlę z rzeczywistości. Nie masz w niej nic wiekuistego i niezmiennego, chyba górująca nad wszystkimi wypadkami świata myśl i wola, która je wszystkie ogarnia i niewiedomie w nich panuje. Prawdy szczególne odnoszące się do miejsca i czasu pierwsze w niej zajmują miejsce. Nie ludzkość, ale narody w niej występują; a z pomiędzy tych tylko jednostki górujące, mające ważny wpływ na losy ich, kulturę, wielkość, upadek i odrodzenie: głównie i wyłącznie prawie, prawodawcy, mężowie stanu, wojownicy. I tu więc niknie jednostka w znaczeniu moralnym, wychodzi odznaczająca indywidualność w znaczeniu politycznym.

Pomimo tego historia jest jednym z najważniejszych źródeł znajomości serca i umysłu ludzkiego. Studyując człowieka w uroczystych chwilach życia i działania publicznego, odkrywa najciekawsze tajniki moralne: wskazuje sprężyny działań, pobudki; przedstawia skutki cnót i występków, stosunek zasad i wyobrażeń do wypadków dziejowych i losów państw; znaczenie pojedynczych ludzi łączy z katastrofami politycznymi. Biorąc tylko przeważne, odróżniające się wpływem i znaczeniem indywidualności, przedstawia niejako człowieka w próbkach

najwybitniejszych. W dziejach wychodzą na wierzch albo ludzie mający najczynniejszego ducha, albo najmocniejszą wolę, albo największy popęd inicjatywy, albo rozległe dary umysłu, albo na wysokim stanowisku przeważne namiętności i wielką ambycją. Poznaje się więc w historii świat czynnej i działającej ludzkości i to w chwilach zastosowania tego działania, tej czynności do najważniejszych faktów życia narodów.

Jestto wiele, ale to nie wyczerpuje przedmiotu. Człowiek publiczny jest jednostką wśród wielu innych; życie publiczne częstą niekiedy żywota, częstą nieraz tak małą, że zaledwie ustęp jeden w długim jego zakresie stanowi. Nieraz mąż znakomity zkadinał albo nie znajduje miejsca dla siebie, albo usuwa się prędko od życia publicznego, albo późno bardzo i to na chwilę wychodzi na widownię polityczną. A przecież rozum jego rozwijał się ciągle, dojrzewał, działał, życie jego płynęło z korzyścią lub szkodą dla rodziny lub społeczeństwa, serce wrzało namiętnościami, kochał, spodziewał się, pragnął, doznawał zawodów, wierzył, wąpił, upadał, podnosił się.

To, co historyk z życia wielkich mężów usuwa jako nie swoje, lub w cieniu tylko stawia: to bierze i na pożytek swój obraca biograf. Przecież na tém się nie ogranicza: bierze całość żywota. Od młodości idzie krok w krok za rozwijającym się umysłem i sercem; patrzy na wychowanie, przykłady, świat otaczający młodzieńca; dalej na życie czynne męża, zasady, wiarę i przekonania; ukształcenie się tego, co jest summą wszystkich władz, uczuć i zdolności, to jest: charakteru; na związek wreszcie z światem otaczającym i wpływ na terażniejszość i przyszłość. Biograf więc uzupełnia historią śledząc i zapisując każdy krok życia takich ludzi, którzy z nią w jakibądź sposób są w stosunku. Objaśnia ją wykrywając tajniki charakterów, skryte sprężyny wypadków dziejowych.

Ale biograf jest zarazem filozofem-moralistą. Wgląda w głąb ducha ludzkiego, śledzi zarody cnót i występków, przyczyny upadku i wzniesienia, wpływ wieku, obyczajów, wychowania; stawia wielkość geniuszu obok wartości moralnej, i nacza podług tego miejsce pomiędzy rzeczywiście wielkimi lub fenomenalnymi istotami. Dlatego Plutarch jest nie tylko nauczycielem młodzieńca i towarzyszem jego nieodstępnym, ale jeszcze doradcą męża stanu, wojownika, żywą krynicą dla

poety i niewyczerpaną kopalnią dla mędrca, śledzącego tajniki myśli i serca ludzkiego.

Biografie są jeszcze ważnym materiałem do historii umiejętności pojedynczych, odkryć, a mianowicie do historii obyczajów i ich przekształceń, do oznaczenia ściślejszego charakteru i wyrazu pewnych epok i okresów w dziejach narodów i ludzkości. Obyczaje i charakter epoki wpływają na tworzenie się takich lub innych ludzi; nawzajem ludzie wyżsi kierują nieraz, lub przynajmniej wpływ pewny na kierunek wyobrażeń i obyczajów wywierają. Myślący biograf obu tych stosunków pomijać nie może, a uchwyciwszy je ubogaca i objaśnia wewnętrzną historią społeczeństwa, niknącą w wielkim obrazie wypadków ogólnych historycznych, a niemniej przeto ważną dla dostrzegacza całego ruchu przeobrażeń społecznych.

W ostatnich czasach zjawili się filozofowie, którzy usiłowali większą jeszcze (jeżeli można) jak dotąd nadać ważność żywotom wielkich figur historycznych, przypisując im wpływ przeważny i stanowczy na bieg ludzkości i narodów. Nie byłoby się co sprzeciwiać temu kierunkowi, gdyby ten tylko miał skutek, iżby tych mężów wybranych i górujących nad pewnemi epokami dzieje i żywoty, uległy pilniejszemu jak dotąd rozważaniu i baczności. Jako przedstawiciele myśli i dążeń pewnych epok narodowych lub ludzkości, w najwyższym stopniu pociągają oni za sobą uwagę myślącego człowieka; ale z drugiej strony zbyt rozciągłość dana téj myśli i zbyt rozległe jój zastosowanie, byłoby nieraz sfałszowaniem, nieraz istotnym zubożeniem historii. Często wielkie inteligencye wyprzedzały swój wiek lub stały z nim w sprzeczności i wojnie; nieraz niepoznane i prześladowane ginęły marnie i nieszczęśliwie. Oprócz tego nie wszystko daje się objaśnić, wytłumaczyć, pojąć wpływem i działaniem geniuszu tych wybranych luminarzy ludzkości: bo téż rzeczywiście nie oni sami są jój kierownikami. Powiedziano słusznie, że jest ktoś, co ma więcej rozumu jak najrozumniejszy z ludzi: ten ktoś, to są wszyscy. Otóż ten ktoś kieruje, popycha nieraz, pociąga za sobą nawet najpotężniejsze umysły. Dojrzewają one, wychowują się pod wpływem ducha czasu, wprzód nim same na niego działać poczną. Nie koniec na tém: ludzie mniejszych rozmiarów, podrzędni, niegrający ważnej roli, częstokroć nieznanymi i znikli w zapomnieniu lub zmroku przeszłości, dają popęd, stwarzają pomysły, lub wskazują drogi, ma-

jące prowadzić do nowój przyszłości. Małożto takich wielkich nieznanym w dziejach kultury, wynalazków i umysłu ludzkiego! Przypadek, albo raczej niewidoma a przeważna ręka Opatrzności, działa nieraz tak dziwnie, że zdaje się jakoby ludzie byli tylko prostemi narzędziami, prostemi aktorami dramatu, którego treść i słowa podyktowane są z wysoka.

Właściwiej więc podobno, aby w filozoficznych poglądach na narody, zbyt szerokiego miejsca nie dawać pewnym wybranym indywidualnościom; tém więcej, że kierowanym będąc to skłonnością, to duchem stronnictwa, to obłudem mimowolnym, łatwo tym sposobem podnosić nazbyt wysoko jednych, a omijać z krzywdą prawdy drugich, i jak powiedzieliśmy, błąkać umysły i ścieśniać pole historyczne, Właściwiej zostawić, aby historia zachowała swoje dawną swobodę, niepodległość i szerokość koryta, i nie rozdzieliła się na łachy i ustępy psujące żeglugę. Właściwiej, aby biografia została tém, czém była w literaturze: była ona dotąd gałęzią pomocniczą dla historyka i dopełnieniem historyi, ważnym materiałem dla moralisty, krynicą nieoszacowaną dla poety, szkołą dla młodzieńca. Piękneto i ważne stanowisko: szkodaby jój tego utracić. Wedle teorii filozoficznej, o której mówiliśmy, miałaby być kluczem dziejów, punktem wyjścia w ich rozpatrywaniu, normą do mierzenia kroków ludzkości: na téj wysokości zaś utrzymaćby się nie potrafiła, i straciłby jeszcze mogła w téj przemianie dotychczasowe swe znaczenie.

Jakikolwiek jednak kierunek i rozmiary weźmie gałąź literatury biograficznej, sądzimy, iż nie przestanie być najwyborniejszym studjum charakterów, zwłaszcza przy pomocy autobiografij, korespondencyj prywatnych i pamiętników.

To wprowadza nas na nowe pole literatury, prawie nieznané u starożytnych, a nader ważnéj i rozległych rozmiarów w ostatnich czasach. Niepotrzeba szperać po obcych literaturach, dosyć jest spojrzeć na naszą własną, aby dostrzedz, jakie ważne stanowisko zajmują pamiętniki, jakie ważne przysługi oddają historyi obyczajów, dla których są bezwątpienia najbogatszym i najczystszy źródłem. Wszystkie księgi historyczne i cała piękna literatura jednéj epoki, nie zdołają nam tego światła na obyczaje swojego czasu rzucić, jakie rzucają na swój czas Pamiętniki Paska lub Kitowicza. Tém więcej żałować nam przychodzi, że w téj gałęzi literatura nasza jest stosunkowo ubogą.

Pamiętniki w ogólności dlatego lepiej malują czasy i obyczaje, aniżeli utwory artystyczno-literackie, iż biorą ludzi, rzeczy, wypadki jak były rzeczywiście; kiedy pisarz z wyobraźni i w widokach sztuki piszący, stwarza świat sztuczny, idealny, zapełnia go nieraz istotami konwencyonalnymi lub zkadynąd pożyczonymi i naśladowanymi: może zmyślać uczucia, przenosić je z innych czasów i obyczajów, fałszować pojęcia i myśli swojej epoki dla efektu, oryginalności, lub innych jakich widoków. Rzadkie, wielkie tylko talenta biorą wszystko z natury; ale natomiast tyle w to kładą z własnego łona i z własnej myśli, tak ubierają potęgą swojej wyobraźni, iż rzeczywistość staje się ideałem. Bez wątpienia jest to zasługą. Sztuka, wyobraźnia, serce, uczucie, rozum nawet, nie mają przeciwko temu nic do powiedzenia; nawet pod tym warunkiem tylko literatura piękna może istnieć. Są potrzeby jednak i wymagania, którym ten sposób kreślenia ludzi i społeczeństwa zadosyć nie czyni. Filozof, historyk, moralista, chce czystej prawdy, obrazu wiernego czasu i epoki, nawet ze wszystkimi drobnostkami, szczegółami oddającymi żywo wszystkie drgnięcia umysłowe i obyczajowe. Chce widzieć ludzi jakimi byli, z ich śmiesznościami, ułomnościami, domowemi cnotami, zmiennościami myśli i uczuć, wybrykami dowcipu. Chce mieć przed oczami cały bieg coraz zmieniający się i zaledwie dający się pochwycić zwyczajów, form towarzyskich, stroju nawet, jako ich objawu zewnętrznego. To dają nam pamiętniki, i dlatego życzyby można, aby ich więcej bywało. Ale życzenie nasze odnosi się tylko do pamiętników pisanych z miłością prawdy, darem obserwacyi, bez celów efektu pisarskiego lub spekulacyi (1). Zdaje nam się, że większe rękojmie przedstawiają te, które nie są przeznaczone do ogłoszenia za życia. Wprawdzie i do tych zakrada się nieraz namiętność, błąd, jednostronność; ale jakież dzieło ludzkie bez błędów? Prawdę wydobywa się zawsze konfrontując różnego rodzaju świadectwa. Zresztą w tych rzeczach, które nie dotyczą piszącego osobiście, których jest widzem a nie działaczem, łatwo zachować bezstronność i utrzymać się w granicach umiarkowania. Niekoniecznie więc ludzie ważną rolę odgrywający, mogą ciekawe pamiętniki przekazywać potomności; tacy mogą

(1) Że takie Pamiętniki jak Warrena i Soplicy należą do zupełnie odmiennej kategorii dzieł sztuki, o tém zapewne dosyć napomknąć.



raczej ważne objaśnienia dać dla historyi właściwej. Ale aby wierny i szczegółowy obraz ludzi, obyczajów i społeczności skreślić, nie trzeba koniecznie być w ognisku wielkich wypadków: owszem lepiej w pewnej odległości, w położeniu niezawisłym, tylko mieć od Boga umiejętność patrzenia, choćby bez wielkich zalet pisarskich.

Nie masz ścisłej i stale oznaczonej granicy pomiędzy utworami ducha ludzkiego; jedne z drugimi spływają się i łączą: jakaś barwa tajemnicza jednoczy je, tak jak w obrazie powietrze oblewające przedmioty. Powiedziano słusznie, że wielki filozof musi mieć ducha poetycznego, a wielki poeta być głębokim filozofem: jestto niewątpliwie prawdą, chociaż te dwie gałęzie literatury są jakby przeciwieństwem jedna drugiej. Cóż dopiero mówić o innych utworach, które są jakby pośredniczącymi i tylko mniej lub więcej odnoszą się do jednego lub drugiego z oddziałów głównych, na jakie dzielą też utwory ducha ludzkiego, to jest do dzieł rozumu lub dzieł wyobraźni. Pomimo tego tajemniczego połączenia duchowego, są pewne cechy charakterystyczne, które tu chcieliśmy w krótkości ująć i oznaczyć z jednego tylko stanowiska, to jest ze stanowiska stosunku, jaki ma każda z pojedynczych gałęzi literatury do znajomości ludzi, zgłębienia, określenia, obrazowania i nacechowania charakterów.

Mówiliśmy o stosunku filozofii, historyi, o biografjach, pamiętnikach: pomineliśmy listy, bo każdemu dostatecznie wiadomo, że jak pod pewnemi względami są one wybornem zwierciadłem ludzi i dopełnieniem znajomości ich serca i umysłu; tak znowu to, co piszący w najpoufniejszej korespondencji wyjawia, nie może być dostatecznym do poznania, zgłębienia i osądzenia jego charakteru.

Przechodzimy do dramatu.

Nie będziemy tu rozszerzać się ani nad stanowiskiem, jakie zajmuje w literaturze, ani nad jego ważnością, ani nad warunkami jego doskonałości i piękności, bo to nie kurs literatury; ani będziemy ubolewać nad ubóstwem jego w naszej literaturze, choćby to było słusznie: należy nam tylko oznaczyć właściwość jego w przedstawianiu i studyowaniu charakterów. Pod tym względem dramat odrębnie zajmuje stanowisko: bierze człowieka w jednej z ważnych, stanowczych chwil jego życia i stawia go spełniającego czyn, mający wysokie, historyczne lub moralne znaczenie. Aby człowiek wzbudzał za-

jęcie musi być albo postacią historyczną, albo typem, uosobieniem idei, czasu, epoki. Tak samo wypadek będący przedmiotem dramatu, musi być albo dziejowy, albo, jak powiedzieliśmy, musi mieć wysokie moralne znaczenie. Czyn sam, walka wolnej woli z namiętnościami, losem, ludźmi, rozwijają się widomie i dopełniają przed oczami widza. Pobudki czynów, głębie myśli i serca osób działających przedstawiają się w słowach, które w ich usta kładzie poeta. Nic się nie określa, nie opisuje. Dla analizy ludzi nie masz tu miejsca. Myśli zbiorowe, ogólne, spostrzeżenia nad wielą indywidualnościami dopełnione, niejako treścią doświadczenia i znajomości ludzi i świata będące, jakkolwiek nieodzowne, szczupłe tu znajdują zastosowanie. Dramat musi działać, nie rozumować. Wszystko w nim odnosić się musi do miejsca, czasu i położenia. Nic nie może odrywać uwagi i myśli widza, przenosić go w krainę abstrakcyi. Postaci jak ze spiżu jednym rzutem odlane to tylko mogą mówić, co do wypadku toczącego się ściśle się odnosi. A lubo treść charakteru człowieka w ważnej chwili i w wielkiem zdarzeniu wychodzi w całości na jaw, to przecież są rysy i odcienia, które tylko rozważaniem całości życia pōchwycić się dadzą.

Z tego widzimy, że dramat jakkolwiek na głębokich studyach ludzi i charakterów oparty, musi się z natury swęj ograniczać na wielkich poetycznych postaciach, do których łączą się ważne lub zajmujące pod moralnym albo historycznym względem zdarzenia, albo na postaciach typowych, wyobrażających idee, namiętności, przesady, cnoty lub występki, cechy zbiorowe epoki, narodu, kast. Widzimy dalęj, że poeta dramatyczny tylko niektóre strony charakteru osób wprowadzonych może odbijać w zwierciadle swém poetyczném: to jest te, które do danęj chwili, miejsca i akcji są potrzebne, objaśniają ją, podnoszą, uwydatniają. Widzimy jeszcze, że w dramacie to tylko może mieć miejsce, co ma najwznioślejsze poetyczne piętno na sobie. Żałowaćby można dramaturga, któryby się poświęcił mikroskopowej analizie charakterów: odbiegłby od swego powołania, opuścił cały wpływ dramatyczny. Zanurzone w medytacyi audytoryum, nie przejęłoby się drzeniem namiętności, trwogą i nadzieją, nie uniosło ogniem myśli i uczuć poety w świat nadziemski zachwycenia estetycznego. Pozostałoby na ziemi zadumane, może głęboko, może użytecznie, ale zimne i obojętne dla dramatu.

Dramat jest jedną z najwyższych, jeżeli nie najwyższą formą poetyczną. Wszystko w nim się zbiega, co poezya ma najszczytniejszego, najbardziej poruszającego i wstrząsającego wszystkie sprężyny i działacze naszego ducha. To też tylko w nim miejsce dla tych wybranych rzadkich postaci, które pojawiają się niekiedy, równie rzadko jak wielkie czyny, wielkie idee, wielkie katastrofy. Są to szczupłe szranki tylko dla pewnych indywidualności, szczególném piętrem wielkości i poezyi oznaczonych od Boga poniędzy wszystkimi. Postaci tragiczne są to postaci wyjątkowe, przerastające innych głową, a oprócz tego otoczone tą aureolą wyłączną, aureolą tragiczności. Można wprowadzić do dramatu każdą postać dziejową, wydatną, z którą wiąże się jaki ważny wypadek, około której gromadzą się ludzie z wyłącznym obyczajem i sposobem myślenia, w której odbijają się czasy, z ich charakterem odrębnym. Przecież to nie są jeszcze zawsze postaci tragiczne. Liczba takich jest ograniczona. Są to, jak powiedzieliśmy, istoty wyjątkowe, palcem bożym naznaczone na to, aby służyły za jakąś wielką przestrożę, przykład, naukę; za kamień probierczy dla serca i rozumu przyszłych pokoleń; za światło świecące w ciemności; za źródło wiekuiste wzruszeń, łez, lub natchnień wielkich i bohaterkich. Jestto prawie przywilejem geniuszu odkryć lub stworzyć postać prawdziwie tragiczną, i nadać jój w dramacie życie, i ten urok poetyczny, i tę siłę wstrząsającą, bez którychto warunków nie masz rzeczywistego dramatu. Mierni dramaturgowie odświeżają stare figury tragiczne, lub tworząc nowe, tworzą je pozbawione wielu lub wszystkich warunków tragiczności.

W postaciach i figurach przecież drugiego rzędu mógłby poeta dramatyczny składać zapas swoich znajomości serca ludzkiego i różnic charakterów zwyczajnych, codziennych, nie wyjątkowych, nie nadzwyczajnych, gdyby w samej drugorzędności tych postaci nie leżała ku temu przeszkoda: bo właśnie dlatego, że nie są głównie działającymi, charakterzy te nie mogą być dostatecznie widziane, nie mogą mieć zupełnej wydatności. Są one w półcieniu, albo może są jakby tłem, na którym tém wydatniej jaśnieje osoba główna, im więcej sztuczném stopniowaniem barw i światła, rozjaśnia się główne punkta obrazu a przyćmią inne.

I dla tych przecież postaci, które oznaczyliśmy nazwą drugorzędnych w dramacie, kapitalnym warunkiem jest wdzięk

i urok poetyczny. Nie może wejść do dramatu żadna wybitniejsza postać, którejby tego warunku zabrakło. Wielcy poeci posiadają wprawdzie tajemnicę zamieniać, wszystko, czego się dotkną w złoto poezji; ale może ta tajemnica leży w tém, iż nie dotykają się niczego, coby się nie dało w złoto poezji zamienić. To przecież pewna że są postaci, charaktery i strony charakterów, które nie pojmuję iżby można kunsztownym blaskiem poezji rozjaśnić, i skorupę prozaicznej powłoki ziemskiej z nich zedrzeć: i tu więc zakres poety dramatycznego ścięsniony jest warunkami sztuki.

Dramat oprócz tego że jest dziedziną najwyższych i najpoetyczniejszych, a więc wyjątkowych charakterów i indywidualności, jest jeszcze odbiciem poetycznym społeczeństwa, narodu, wiary, przekonań, wyobrażeń i zasad. Jestto tryumf sztuki, że może ująć rozmaitość nieskończoną życia w jedną ścisłą, piękną, pełną myśli i poezji chwilę; w małej liczbie słów i w jednym wybitnym zdarzeniu, oznaczyć pobudki działania i ukazać wydatne rysy epoki w najpoetyczniejszych formach. To też sztuka dramatyczna po wszystkie wieki, stał nieledwie w pierwszym rzędzie sztuki. Ale, jak powiedzieliśmy, jestto zawsze odbicie tylko najpoetyczniejszych, najwznioślejszych, najwięcej bohaterskich postaci lub chwil życia narodów.

W ostatnich czasach zstąpił dramat z téj wysokości na jakąś stawiano go dawniej, i na jakąś my go stawiamy; bierze za przedmiot życie codzienne, domowe i ludzi codziennych, wlewając w nich tylko namiętności tragiczne i stawiając ich w położeniach tragicznych. Lubo więc granice jego rozszerzyły się i wstęp dla charakterów więcej ziemskich ułatwił; gdy jednak warunki tragiczności i poetyczności pozostały te same, wstęp do niego dla większej nieco, zawsze jednak dla małej liczby indywidualności jest otwarty.

Komedia ma swobodniejsze pole badania tajników i skrytości charakterów i serc: więcej też może wymaga znajomości jednych i drugich. Zrobiono przynajmniej spostrzeżenie, że najlepsze komedye napisane były przez pisarzy już w wieku dojrzałym będących, a mianowicie pomiędzy 40tym a 50tym rokiem ich życia. Ale jak postaci tragicznych, tak sytuacji i figur komicznych liczba jest ograniczona przez sam warunek komiczności: komedia bowiem nie jest to wcale satyra w działaniu. Wielu już pisarzy dramatycznych upadło przez to, iż nie pojeli, jak od-

mienne są warunki jednej i drugiej. Warunkiem *sine quo non* komedyi jest komiczność, w całą akcją przed oczami widza roztańczającą się wpleciona i ściśle z nią związana. Satyra może być surową, cierpką, gorzką; komedia musi być wesołą. Satyra może być dowcipną; komedia musi być dowcipną. Satyra więc wszystkiego może dotknąć, a komedia tych tylko i takie położenia, które przedstawiają stronę komiczną.

Ze wszystkich form poetycznych najswobodniejsza jest forma powieści: właściwie jest ona zlanem wszystkich innych. Dramat, komedia, dydaktyzm, liryzm, wszystko się w niej łączy lub przynajmniej może łączyć do pewnego stopnia, z tym dodatkiem, że jak najobszerniejsze zostaje tu pole dla poezji opisowej. Można powiedzieć, iż powieść dzisiejsza jest eklektyzmem poetycznym. Idylla i satyra, kronika i podania gminu spotykają się obok siebie w tej formie poezji elastycznej i swobodnej, a niekiedy zdolna jest przybrać styl i polot epopei.

Taż sama nieograniczona wolność w treści, co i formie. Niczym tu nie jest związany poeta. Widzieliśmy z kolei historią, archeologią, grammatykę, abstrakcyjne pomysły filozoficzne, eteryczną fantastyczność, medycynę, prawnictwo, zjawiska jaśnowidzenia obok burz namiętności ludzkiego serca, obok spokojnego obrazu obyczajów i różnych sfer społeczeństwa, stanowiące grunt i treść główną powieści. Przemysł i organizacja pracy, utopie polityczne, w które nasze czasy tak są bogate, i wszystkie kipiące i tlejące zadania czasowe wprowadziła w zakres swojego czarodziejskiego koła. W niej, jak w zwierciadle magicznym, pokazuje poeta wszystko i wszystkiego tyle ile chce i ile mu potrzeba, oświecając sztucznym światłem do swojego wyboru. Ztąd korzyści, równie jak nadużycia i zbłąkania tej formy.

Nie masz wątpliwości, że żadna może nie odpowiada, nie dogadza więcej potrzebom i żądaniom dzisiejszych społeczności. Potrzeba czytania rozszerzyła się, wzrosła, w takich nawet pokładach towarzyskich, dla których dawniej książka była zupełnie obcą. Potrzeba czytania raz obudzona goni za coraz nowym pokarmem, i powieść zaspokaja najłatwiej tę potrzebę i zarazem pobudza ją, wprowadzając coraz nowy świat zjawisk i zadań to naukowych, to socyalnych, to obyczajowych; utrzymuje w napięciu, cuci, otwiera umysły dla kwestyj, któreby na innej drodze,

głowom, żadnego z niemi zetknięcia niemającym, nie zdołały się nastreścić.

Oprócz tego trafną zrobiono uwagę, że życie nowoczesnych jest więcéj rodzinném, domowém, przez to wymaga rozrywek i zajęć, jakich dawniej nie uczuwano potrzeby. Człowiek zamknięty, odosobniony w swoim kółku rodzinném, w ciasnym zakresie obowiązków i uciech żywota domowego, nie zrzeka się dlatego współczucia i zajęcia dla reszty świata; owszem, im mniej osobą swą może należeć i wpływać do życia zbiorowego towarzyskiego, tém chętniej myślą się do niego przenosi: chce tą lub ową drogą zjednoczyć się z tym ruchem, biegiem, życiem myśli, wypadków, pojęć, uczuć, do których współdziału czuje się od Boga powołanym. Spaja ten łańcuch związków społecznych myślą, słowem, przez posłannictwo poety przesłaném, któreto w innych formach społeczności, z powodu czynnego wzięcia się do ruchu towarzyskiego, mniej było pożądaném.

Ciekawość wrodzona porywa nas jeszcze do poznania skrytości, tajemnic, zakątków, miejsc zacięzionych i odsuniętych wśród społeczeństw porozdzielanych na kasty, wyznania, narodowości, stronnictwa, niemające często ze sobą związku i stosunku, odmienne sposobem życia i obyczajami, rozdzielone nienawiścią. Otóż powieść zaspakaja tę ciekawość, przenosi nas we wszystkie miejsca, czasy, sfery, zaułki społeczne, w jeden zajmujący obraz łączy wszystko, co granice prawa, obyczaje lub przesady rozłączyły; wszędzie wyszukuje człowieka, ściga jego słabości i ułomności, podnosi cnoty, a jeżeli nawet unika roli pedagoga i moralisty, to jeszcze bawi, zagrzewa i podnosi ducha żywością farb, umiejętnym rysunkiem i samém żywém przedstawieniem wszystkiego co piękne i wzniosłe w obrazie życia ludzkiego.

Niemalato rozkosz dla człowieka zamkniętego wśród czterech ścian, przed gorejącém ogniskiem kominka, w ciszy domowej, widzieć przed sobą rozłaczający się, jakby przez zakłęcie, wielki i nieskończony dramat żywota we wszystkich jego różnicach, odcieniach, wielkie i małe, śmieszne i tragiczne: serce młodej dziewczyny, uczucia biednej sieroty, marzenia poety i wątek myśli bohatera, bogate opisy natury i wywołane z grobu obrazy przeszłości; niemalato mówię rozkosz, widzieć ten

fantastyczny dramat, toczący się przed naszą myślą, pod zaklęciem słowa poety.

Proza poetyczna powieści tak trywialna, tak nadęta pod piórem miernego pisarza, ma niekiedy pod piórem prawdziwego talentu taką lekką swobodę ruchu, taki wdzięk prostoty, taką płynność, potoczność i zapał, iż nowego powabu dodaje tego rodzaju utworom. Dla społeczeństw mianowicie lubiących krzesła dobrze wyściełane, odzienia obszerne i wiszące, pojazdy na elastycznych resorach; dla społeczeństw, które pokochały komfort i odrzuciły wszystkie formy niewygodne, wszystko co je uciskało i gniotło, zacząwszy od przepisów klasycyzmu aż do ścisłych form surowości religijnej, które w salonach leżą a w tańcu chodzą; ta miękka, giętka, łatwa, poddająca się na wszystkie strony, mogąca swobodnie nurzać się w marzeniu i abstrakcyi lub przybierać tok codzienną rozmowy: taka mówimy proza poetyczna jest jakby uprzywilejowaną, jakby konieczną formą w literaturze.

Powieść więc w nowszych czasach stała się rzeczywistą potęgą w piśmiennictwie. Nie bez trafności jeden znakomity krytyk postawił ją jako pokarm duchowy na jednej linii z kartoflami, uważanymi jako pokarm ciała. Porównanie to może dalej zachodzić jak przypuszczał ten, który je pierwszy zrobił. Powieści i kartofle prawie jednocześnie upowszechniły się, rozpostarły, stały potrzebą ogólną i ulubionym pożywieniem. Jedne i drugie na różne cele i pożytki obrócono, złe i dobre. Jedne i drugie mają własności pobudzające. Przy większej objętości, mniejszą ilość części pożywnych zawierają jak inne rodzaje pokarmów. Jako wyłączne pożywienie użyte wydają pokolenia rachityczne, niezdrowe, pozbawione siły i krzepkości; a jak rozdział o literaturze szalonej w pismach Mich. Grab. przekonywa, ulegają powieści chorobom, podobnie jak kartofle. Nie chcemy dalej posuwać tego porównania, powtarzamy przecież, że powieść stała się rzeczywistą potęgą w literaturze obecnej. Napróżno niektórzy poważni krytycy jak Villemain i Menzel patrzyli na nią z góry i zaledwie wdawać się z nią chcieli; napróżno inni zarzucali jej wodnistość; inni upominali o skłonności do sofizmu, o lekkomyślność z jaką potrząsa najpoważniejszymi i najgłębszymi zadaniami, o gonienie za efektem. Napróżno mówię: ta gałąź nowoczesnej literatury odpowiadała na zarzuty utworami pełnymi prawdy, życia i obrazami tak ponętными, ma-

lowniczemi, porywającemi obyczajów, taką znajomością serca ludzkiego i charakterów, że krytyce nic nie pozostało i nie pozostaje jak czuwać nad tym nowym prądem, a porzucić wszelkie pokusy, aby go wstrzymać.

Przez swój mianowicie stosunek do obyczajów, związek z nimi, wpływ jaki na nie wywierać może, powieść nowsza zyskała prawdziwe socyalne znacznie, nietylko literackie. Z nich snuje się: one jej służą za wątek i osnowę. Ruchoma, ciekawa, wszędzie wglądająca, giętka jak żadna inna gałąź literatury, swobodna w swoich ruchach jak żadna inna forma, szeroko rozlana i ostatnich kończyn towarzystwa sięgająca, do każdego najniższego pojęcia przystając, ma najwięcej łatwości rozprawadzenia pojęć pewnych i wyobrażeń, znizenia innych do pojęcia wszystkich, wzruszania serc dla uczciwych i zacnych uczuć, obudzania sympatyj, poruszania sprężyn moralnych nieczynnych lub zardzewiałych, podnoszenia szlachetnych dążeń, jeżeli tylko szlachetne umysły nią się zajmują.

Co się tyczy związku powieści z charakterami ludzi i sposobu w jaki je maluje, nad tém jeszcze na chwilę zatrzymać się musimy, bo pod tym względem głównie powieść nas obchodzi tutaj: wszystko powiedziane o niej dotąd, powiedziane było nawiasem.

Ludźmi przedewszystkiém zajmuje się powieść, bo obyczaje są jej czołowym zadaniem, chociaż świat cały z jego cudami, dzieje, umiejętności, tajemniczą i poza-rozumową nawet sferę zjawisk, wprowadza niekiedy w swój zakres. Stwarzając i odtwarzając postaci wszystkich kast, warstw społecznych, narodowości, wieków, nastrojów duchowych, wprowadza nieskończoną ilość ludzi. Wszystko maluje co żyje, i co da się poruszyć życiem sztuki. W istocie powieść nowoczesna jest kopalnią niewyczerpaną charakterów. Ale bogactwo téj kopalni, bogactwo żył jej kruszcowych, rozrzucone w nieskończonej ilości warstw i pokładów innéj natury, przeznaczenia i pierwiastku. W tém leży niedogodność, Ktoby chciał za pośrednictwem powieści zapoznać się z ludźmi, tajemnicami ich serc i ciemnymi zaułkami ich charakterów, mógłżeby się odważyć kopać przez warstwy grube opisów natury, miejsc, zdarzeń przypadkowych, intryg, okoliczności pobocznych, dla zajęcia i wrażenia obmyślanych, aby się dokopać do żyły potrzebnego mu metalu? Mógłżeby odważyć pchać się przez różne



języki, wieki, narodowości, stosunki, których szczegółowemu badaniu powieść jest poświęcona, dla zdobycia tego, co część tylko jęj bogactwa stanowi? Prawda, że poszukiwania nierazby się wyplącały szczerém zajęciem, wzruszającemi wrażeniami, nieraz może z bogaceniem umysłu i podniesieniem ducha. Zawsze owoc pracy nie byłby w stosunku do jęj ogromu, a zwłaszcza szukający nie szedłby najbliższą drogą do celu, który sobie założył. Oprócz tego zapominać nie możemy, że powieść jest gałęzią poezji. Jako poezya ma swoje odrębne prawa, pogląd na świat, sferę działania i warunki tworzenia. Rzeczywistość wychodzi z nięj w postaci ideału; toż samo dzieje się z charakterami ludzi. Są powieściopisarze, którzy kreślą typy i charaktery ludzi, takie, jakimi są rzeczywiście; ale są tacy, którzy tworzą ich takimi, jakimi być powinni lub jakimiby ich mieć chcieli; są i tacy, co tworzą ludzi jakich nigdy nie bywa i nie bywało. Jest więc w poetycznym obrazie odtworzonym w powieści mieszanina rzeczywistości i ideału, prawdy i złudzenia, światła słonecznego i ognia bengalskiego; mieszanina, którą nie każde oko rozróżnić potrafi, a która niejednego uwiedzie i zbląka.

Otóżto są niedostateczności (ale niedostateczności z naszego obecnie przyjętego stanowiska uważane) w nauce charakterów, za pośrednictwem powieści. Z innego punktu patrząc, kreślenie idealne charakterów ma wielki poetyczny urok i ważny cel moralny. Dobrze jest przecież i pożytecznie popatrzeć czasem na ludzi wprost, dla zbadania ich jakimi są w istocie i dla oświecenia się w trudnej sztuce życia. Dobrze téż jest iść do tego celu drogą najkrótszą, opuszczając chodniki kwiatowe, cieniste, przez które prowadzi nas poezya; z zimną rozwagą zajrzeć wewnątrz duszy, umysłu i serca, zliczyć, zważyć, zmierzyć, rozkładać skalpelem, popatrzeć przez mikroskop, zanalizować. Rzeczywiście obok znajomości człowieka jaką nam dają: historia, biografie, dramaty, komedia, powieść, zostawało jeszcze miejsce, otwarta droga oddzielna dla praktycznego filozofa-moralisty w badaniu charakterów. Drogą tą poszedł naprzód Teofrast, za nim inni, a pisma tego rodzaju stały się istotnym dopełnieniem poszukiwań nad człowiekiem pod względem moralnym. O nich teraz.

## III.

Nie pozostało jak 30 obrazków z ksiąg charakterów Teofrasta, ale te dają wyobrażenie całości. Zapowiedział w nich przecież studia cnót i występków: obrazy ostatnich tylko doszły do nas, pierwszych zaginęły. Ztądto może poszło, że ci, którzy później studyowali charaktery na wzór jego, więcej zawsze trzymali się wad i ułomności, zbywając lub pomijając cnoty, zalety, przymioty. Więcej wprawdzie wszędzie złego jak dobrego, ale jeżeli księgi tego rodzaju mają na celu wpływ na formowanie charakterów, to do tego zarówno potrzeba przykładów piękna i dobrego, jak obrazów złego. Ostatnie same wyłącznie przed oczy stawione, poniżają, psują, każą serce: trzeba obok oddziałacza, coby je podnosił, uzacniał. Tak myślał Teofrast. Powiada on, że dzieło jego powinno być użyteczne dla potomności, bo wskaże jej wzory do naśladowania, nauczy z kim się ludzie mają wiązać stosunkami bliższymi, i z kim współubiegać się w cnocie i mądrości.

Ale, jak powiedzieliśmy, samych wad tylko pozostały rysunki. Każda z nich stanowi oddzielny obrazek. Uderza nas we wszystkich forma prawdziwie atycka, owa niedościgniona grecka prostota, którą tylko czuć umiemy, do której naśladowania trafić nie jesteśmy w stanie. Jakaś filozoficzna spokojność wieje przez wszystkie kartki tych drobnych ułamków. Metoda raz przyjęta, nieodstępnie zachowuje się aż do końca. Wszędzie w niej miara i ścisłość taż sama. Nigdzie zboczeń, odskoków: wszystko jak gdyby odlane ze spizu lub wyrzute dłutem, z kunsztem niepospolitym i z jednością myśli zadziwiającą. Taka jest zaś wyrazistość stylu i metody, że przeczytawszy jeden kawałek, możnaby nieznając drugich odgadnąć je za przypadkowym spotkaniem.

Ani teorii, ani rozumowań ogólnych, ani zdań oderwanych nie wysyła autor naprzód, ani ich nie miesza do toku opowiadania: ztąd obrazy jego mają pewną jędrność i życie. Nie toną we mgle, ale wybitnie i wydatnie stoją na pierwszym planie: nic nie odrywa od nich uwagi i myśli czytelnika. Nie opisuje on obyczajów ateńskich, ale one same wpisują się w jego księgę wtenczas, kiedy kreśli ułomności, zdaje się wspólne

wszystkim wiekom, czasom i narodom. To nam wskazuje, iż dla odcechowania wieku i epoki, niepotrzeba oddzielnych szerokich opisów i obrazów: dosyć jest kreślić z prawdą ludzi w odbiciu ich cnót i wad, a obraz czasów i miejsca sam się znajdzie, bo każda myśl, słowo, rys wzięte z natury, już nosi na sobie piętno miejsca i czasu.

Ponieważ charaktery Teofrasta są tylko ułamkami zaginionej całości, nie można z nich sądzić o stanowisku pisarza jako filozofa, męża stanu, o stosunku jego wyobrażeń do religii, praw i instytucyj ateńskich. Ogólny pogląd jego na ludzi, ich obowiązki, przeznaczenie, na źródło cnót i występków, na wychowanie, nie wychodzą na jaw w tych okruchach, które nas doszły. Może pisarz chciał pozostać na polu czysto praktycznym, może te części w których możnaby się było tego dopatrzeć, zaginęły. Ten brak stanowi stronę ujemną Teofrasta. Jeden tylko spotykamy fragment, odbijający w sobie część obyczajów politycznych, to jest rozdział: „o możliwych w rzeczypospolitej.” Opisuje ich autor przechadzających się dumnie po placach publicznych, w wykwintnym stroju, odpychających tłum wzgardliwie; skarżących się na krzyki i przewagę adwokatów i mowców; na sąsiedztwo w naradach publicznych ludzi źle ubranych. Wskazuje ich ambycją, chciwość władzy i urzędów, ich odosobnianie się od ludu i usiłowania usunięcia go od wpływu na sprawy publiczne. Ten jeden tylko, powtarzamy, znajduje się fragment dotyczący charakterów, z życia politycznego wziętych. Na to miejsce nieoszacowane spotykamy wskazówki owych praw zwyczajowych, tak odmiennych zawsze podług wieku, praw, religii i instytucyi, a tém ciekawszych, że tak zmiennych; owych praw etykiety ateńskiej, tego co się godziło lub niegodziło według jej wyobrażeń ówczesnych. Dowiadujemy się, jak raziło wyrafinowanych Ateńczyków zaniedbane obranie, obuwie grube i nieforemne, pachnidła polspolite i niewyszukane. Ze nieprzyzwoitością było śpiewać w kąpielu, kupować samemu owoce i jeść je na ulicy. Dowiadujemy się, że ludzie próżni i lubiący ostentacją przybijali na drzwiach swoich skórę z czoła wołu ofiarowanego bogom, ubraną we wstęgi i kwiaty, aby lud widział, jak wielki dar złożyli na ołtarzach. Ze zdając sprawę z urzędów przywdziewali togi białe i wieńczyli się kwiatami. Dowiadujemy się, że było brutalstwem nie do przebaczenia, kiedy kto wśród uczyty nie

chciał należeć z kolei do zabaw i wzbraniał się brać udziału w śpiewie, tańcu albo opowiadaniu, i wiele tym podobnych rysów, obyczajów, których nie wymieniamy.

Ciekawy jest jeszcze urywek o przesądach: pokazuje nam autor człowieka przejętego nieroztropną bojaźnią bogów, jak chodzi z listkiem laurowym w ustach, aby uroki do niego nie miały przystępu; jak buduje ołtarze na miejscu, gdzie spotkał węża; jak zlewa oliwą kamienie, poświęcone przesądem gminu; jak pozbywa spiesznie worek z mąką, w którym szczur dziurę przegryzł, bo to zła wróżba; jak unika usiąść na grobie, wnijść do domu położnicy; jak szuka u wróżbitów wytłumaczenia snów; jak w każdej fontannie publicznej głowę obmywa; jak się każe czyścić kapłanom, jak pluje spostrzegłszy człowieka w konwulsjach i t. d.

Wszystko to wchodzi mimowolnie do rysunku obyczajów, chociaż autor zamierzył tylko rysować charaktery. Niemniej przeto jest szacowném, bo chętnie obok człowieka, którego serce i namiętności są zawsze jedne i też same, widzimy to tło zmienne, na którym malują się jego uczucia, myśli i czyny.

Te liczne rysy obyczajowe wmieszane w nieliczne ułamki Teofrasta, zdają się wypływać ze samej jego metody kreślenia charakterów. Niewiele on wchodzi w głąb człowieka, nie szuka ukrytych sprężyn jego czynności, nie zapuszcza się w tajniki jego serca i umysłu: w czynach, w słowie, w ubraniu, ruchach, we wszystkich wskazówkach zewnętrznych szuka słowa zagadki i znajduje ją. Nie powiemy, żeby ta metoda była najlepsza, ale wskazujemy ją jako jemu właściwą, a mającą tę zaletę, iż obrazując charaktery, obrazuje zarazem czas, miejsce, epokę, zgoła obyczaje. Często jest przecież nazbyt powierzchowną i pomija to, co najważniejsze do poznania i zgłębienia serca ludzkiego; a dla dzisiejszych czasów, w których ogląda zewnętrzna i pewne konwencyjonalne formy, zatarły wszelkie zewnętrzne różnice, i jakby powłoką jednostajności pomazały wszystkich, byłaby niedostateczną.

Rozpisałiśmy się nieco obszerniej o Teofraście dlatego, że to jest ojciec zagajonej przez nas materii; nie mamy przecież bynajmniej zamiaru wszystkich pisarzy idących w jego tropy podobnej sekcji, poddawać. Głównie mamy na celu pisma naszej literatury w tej materii, i do nich dążymy, a tylko dla porównania i miary zatrzymamy się na chwilę na Labruyerze, tak powszechnie znanym u nas.

On sam odróżniając dzieło swoje od fragmentów Teofrasta co do ducha i formy, tak o niém mówi: „Nasze charaktery odkrywają myśli, uczucia, drgnienia wewnętrzne ludzi; śledzą pierwiastki złego, zarody słabości, a z tych łatwo już wyprowadzić wnioski co zdolni są powiedzieć i zrobić, i podziwienie dla ich lekkomyślności i błędów ustaje samo przez się”. Z tego widzimy, że Labruyere więcej w głąb człowieka zagląda i więcej sprężyny ruchu, działacze moralne, jak ruchy same, jak działanie obserwuje. W nim jak w wielu utworach nowoczesnych, duch góruje nad plastycznością grecką, nie dorównując starożytnej formie. Jakoż więcej jest różnorodności, bogactwa, treści, ducha filozoficznego w Labruyerze; ale układ, forma, szyk nie ma odlewowej jednostajności i prostoty. Lękając się owszem tej jednostajności w dziele znacznych rozmiarów, ten ostatni, o ile może urozmaica formę, która nawet przy obfitości i różnorodności uwag i spostrzeżeń jego, corazto inaczej wyrażać się musiała i zmieniać jak sama rzecz. Jest, można powiedzieć, niewyczerpanym w bogactwie zmian, w jakie przyobleka swoje myśli, a czytający nieraz z wdzięcznością patrzy na tę troskliwość pisarza o to, aby zajęcie jego znużyć się mogące, podnieść i podtrzymywać, i z zadziwieniem na kunszt pisarski w wynajdywaniu coraz nowych ku temu środków. Raz są to myśli, spostrzeżenia, aforyzmy; to znowu portrety w krótkich ale dosadnych rysach; raz czujemy lekką ironią, drugi raz surową powagą pod jego piórem; tu allegoryą wzywa w pomoc i obleka prawdę gazową zasłoną. W samém kreśleniu portretów jakaż wyrazistość! Wszędzie zwięzły, poważny w myśli, wytworny w wysłowieniu. Rysunki ludzi tak dalece robione z natury, że wiadome są wzory z których były brane. To wplecenie aforyzmu, myśli oderwanych, uwag i spostrzeżeń do żywej a urozmaiconej galerii ludzi, uderzających wszędzie podobieństwem, podoba się w czytaniu, bo je urozmaica, różnorodnością zajmuje umysł, bo wprawia w ruch i ćwiczy reflexyą i obserwacyą, przywiązuje do pisarza w którym widzi się ciągle nie prześladowcę wad i ułomności od których nikt z nas wolnym nie jest, ale przyjaciela ludzkości, który zastanawia się, porównywa, sądzi, szuka dróg dla prawdy i karcąc złe, nie omijając go, zarazem pobudza do cnoty, i świętość jej, wpływ na człowieka i społeczeństwo, wskazuje.

Charaktery więc Labruyera nie są wcale satyrą, paszkwi-  
lem, nie mają tej własności ujemnej, jaką pisma zajęte samém  
ściganiem złego wyłącznie posiadają, to jest, iż wstręt obudzają  
albo do ludzi, albo do pisarza. Wierny swojemu godłu; „*ad-  
monere volumus non mordere; prodesse non laedere; consu-  
lere moribus hominum non officere*” pisze bez zółci, jest spo-  
kojny i sympatyczny.

Jakkolwiek nie jestto umysł téj potęgi i rozległości jak  
np. Pascal albo Demaistre, w granicach jakie sobie nakreślił nie  
brak mu na niepospolitej przenikliwości i głębokości swojego  
rodzaju, to jest zastosowanej ściśle do strony praktyczno-mo-  
ralnej człowieka. To zaś go podnosi szczególnie jako moralis-  
tę, że mu jest obcy wszelki duch stronnictwa, kasty, wyłączno-  
ści, systematu jakiegoś wymarzonego w głowie mędrkującej.  
Patrzy na ludzi z téj wysokości, na jakiej powinien postawić się  
mędrzec, chcący wszystko okiem swego ducha ogarnąć, wszystko  
oznaczyć i ze wszystkiego zdać sobie sprawę. Trzeba pewnej  
wyższości umysłu, aby się wyzucić z interesu, namiętności, prze-  
sądu i widzieć rzeczy, ludzi, stosunki jakimi są w istocie, nie  
jakimi je sobie marzy pisarz, lub jakby je chciał widzieć w in-  
teresie systematu, zasad i wyobrażeń, jakie poślubił.

Jest bez wątpienia ideał piękna moralnego, cnoty i obo-  
wiązku, i ten ideał musi tchnieniem swoim przejmować umysł  
pisarza moralisty i piórem jego kierować; ale z pewnością ten,  
kto jako bojownik stanie w szeregach, aby walczyć za formą po-  
lityczną, doktryną sektarską, albo teorią naukową lub literacką,  
a piśmo swoje mające być kodexem praw moralnych, użyje za  
narzędzie walki i przeleje w nie swoje, chwili obecnej tylko  
dotyczące namiętności; ten, mówię, pewno zgubi głos wyższy  
ideału, a co gorzej, uplątawszy nogi w fałszu lub obłudzie, upa-  
dnie zdeptany od współczesnych, zapomniany od późniejszych.

Księga Labruyera podobnie jak Teofrasta, tylko w wię-  
kszej nierównie mierze, bo ta jest ułamkiem, a tamta całością,  
jest zarazem obrazem człowieka w ogólności i wizerunkiem  
obyczajów, wieku i społeczeństwa. W Labruyerze jest to na-  
wet przewidziane i obmyślane. Nie będziemy się zatrzymywać  
nad tém, co przyniósł nowego i własnego do znajomości serca  
ludzkiego i gry jego namiętności, ani wskazywać dróg, jakimi  
szedł do tego celu; nie będziemy się również zatrzymywać nad  
szczegółami i charakterystyką kreślonych przez niego obczya-

jów: zadalekoby nas to sprowadziło z wyznaczonej sobie drogi. Niepodobna nam tylko nie wskazać na różnice wybijające się z obyczajów kreślonych przez Teofrasta i Labruyera od tych, na jakie dziś patrzemy.

I tak np. w 30stu fragmentach Teofrasta nie masz mowy o kobiecie. Cóż rzeczywiście mógł powiedzieć moralista o kobiecie ateńskiej? Gdyby się znalazły wszystkie zagubione części charakterów, znalazłby chyba jaki fragment o hetajrach.

Labruyere również najniniejszą część swojego pisma poświęca kobietom. Ta sama szczupłość zakresu, w jakim tę materią zawrzeć zdołał, wskazuje, że rola jaką w społeczeństwie ówczesném odgrywały, nie była wysoka i wydatna. Jakoż widzimy je w jego wizerunkach lekkimi, zalotnemi, zeszpeceniami malowidłem, pogardzającemi wyższém ukształceniem umysłu.

Jakżeto odmiennój sztuki, innego rysunku i pędzla musiałby użyć dzisiaj malarz-moralista dla skreślenia charakterów kobiecych, o tak wiele swobodniej rozwijających się z postępem obyczajów, z rozszerzeniem granic zakreślonych ich wychowaniu, z rozkwitnięciem nieużytych wprzód władz umysłu, z pędem do wolności, z jej nadużyciami, ze zmianą położenia towarzyskiego, które stało się inném pod wpływem rozleglejszej swobody, jaką prawa i obyczaje dla nich przyniosły.

Na to miejsce Labruyere obszernie mówi o rozmowie i towarzyskości. Jestto część pisma jego, do której klucz stracony dla naszego społeczeństwa. Moznaby tylko w księdze kreślącej nasze obyczaje krótki rozdział napisać o wysychaniu powolném źródeł rozmowy towarzyskiej i wskazać, że wszystkie inne powody zdolne są zbierać jeszcze ludzi w większe lub mniejsze gromady: przyjemności stołu, zalotność, interes, ciekawość, próżność, gra, rozpusta, ale nie ten najzacniejszy cel zbierania się ludzi, to jest: podział wspólny myśli, wrażeń, uczuć, wiadomości, wymiana nabytków moralnych i umysłowych, ściąganie się zdań, kojarzenie serc w miłość i przyjaźń, i wiązanie w duchowe braterstwo i wzajemne współczucie.

Nareszcie dodamy jeszcze, że w dziele Labruyera widzi się owę zupełność, jaka dzieła wykończone i dobrze obmyślane cechuje. To, co zamierzył dokonane jest w całości: wszystkie cechy i odcienia charakterów, różne pokłady społeczeństwa, wydatności obyczajowe, zbliżenia, porównania takich i innych

indywidualności, różnice, powody różnic w uczuciach i wyobrażeniach, objęte są mniej więcej; i rzeczywiście ludzie i obyczaje danego czasu i społeczności odbijają się w niém jak w zwierciadle. Jest to więc jedna z niewielkiej liczby ksiązek, która dotrzymuje co obiecała.

Pomimo tego wszystkiego, co na pochwałę tego pisarza powiedzieliśmy, nie sądzim, iżby to miał być wzór od którego odstępować się nie godzi tym, którzy charaktery i obyczaje mają opisywać. Różnemi drogami idzie się do piękności i prawdy; różnemi wyrazy można zapukać do serca i przekonania ludzkiego, w coraz nowe formy oblekać żywe myśli i pojęcia. Nikt jeszcze daleko nie zaszedł ślepém naśladownictwem. Kształty w których wyraża się piśmiennictwo nie mogą być te same, kiedy wszystko zmienia się naokoło: pojęcia, summa wiadomości, obyczaje, zwyczaje, formy towarzyskie.

Spieszmy na własną niwę, a tutaj niepodobna nam pominąć jednego z dawniejszych naszych pisarzy.

Przestrogi polityczno-obyczajowe Andrzeja Maksymiliana Fredry nie są właściwie książką przeznaczoną badaniom nad charakterami, jak to już i tytuł sam wskazuje: są to raczej zdania męża wytrawionego w długim zawodzie politycznym, który wiele doświadczył i o wielu ludzi się obtarł. Nie stracił widać w biegu swojego czynnego żywota żadnego doświadczenia: wszystko w swój głowie rozważył i zapisał. Nic nie było dla niego straconem; wszystko weszło w skład jego myśli dojrzałej: ludzie, księgi, wypadki. Doskonale widać w tej małej książeczce świat jaki otaczał autora, i koło, w jakim przebył pasmo swojego żywota. Życie polityczne stanowi tło główne obrazu, jak to przystało na pismo męża żyjącego w kraju, którego formy były tak swobodne, w którym wyższy urodzeniem i zdolnościami obywatel był ciągle pracami publicznymi zatrudniony. To też cała jego sztuka życia obraca się w rzeczonym piśmie, do celów politycznych; moralność dąży i nachyla się ku polityce, polityka skłania się i używa ku moralności. Przecież taka jest siła rozumu i prawości, taki zasób wiary w tej niepospolitej głowie, iż jedna i druga na tém sąsiedztwie nie cierpią. Moralność i wiara wychodzą z tego połączenia czyste i nieskażone; przestrogi polityczne uszlachetnione i podniesione. Fredro nie widzi wcale ludzi doskonałemi; nie pokłada w nich nieograniczonego zaufania, zanadto



jest skąpany w ukropie doświadczenia, ale zanadto ma cnotliwych przekonań i szlachetności w głowie i sercu, izby wszystkimi pogardzał i nie przypuszczał innej pobudki i podstawy czynności ludzkich, jak egoizm. I to głównie odróżnia go od słynnego autora Maxym Laroche Foucaulda. Nie wieje w nim ten chłód ironii i pogardy dla serca ludzkiego, co w tym ostatnim. Ten bowiem zniża wszystkie cnoty, skłonności, popędy uczciwe: jedne nuża w błocie, drugim kładzie na czoło czapkę błazna lub arlekina. Zaszczepia choćby chwilowo jakieś zwątpienie w samego siebie w czytającym. Może mało powiedzieć zwątpienie: człowiek lęka się, wstydi się samego siebie, kiedy się w niego wczytuje. Usiłując zedrzyć maskę obłudy i pozory cnoty, niszczy cnoty same w sercu ludzkim, albo raczej samo ich istnienie w wątpliwość podaje. Odjąwszy przez ciąg swoich maxym, nie jeden, a może cały powab i urok życia, w ostatniej odejmuje jeszcze odwagę śmierci i usiłuje przekonać, że śmierć jest rzeczą straszną. Jakażto smutna księga moralności!

Nasz autor przestrog spokojny i chrześcijański nie szpera w źródle czynności ludzkich, ani ich pobudek nie bada, i bierze człowieka za to, czém jest: za zlepek gliny i drogich kamieni, za mieszaninę wzniosłych, szlachetnych przymiotów i błędów, ułomności i słabości. Nie mówi on przecież tego o przyrodzeniu człowieka: strzeże się rozprawiać; wybija się to tylko na jaw z jego spostrzeżeń i przestrog, które ściśle krążą w kole żywota praktycznego. Śnać nawykł działać i iść uczciwie i śmiało do pewnego celu, zamiast błędzić w ciemnościach zwątpienia i mędrkowania. Religijność i żywot publiczny posłużyły moralistcie i oczyściły jego umysł z błędów sofisty. Każda przestroga Fredry ma cechę praktycznej wartości i wychodzi z myśli nieskażonej, miłującej ludzi i cnotę, usiłującej zadosyć uczynić obowiązkom względem Boga, ludzi i samego siebie. Ta praktyczna dążność jego, pomimo miłości ludzi i właśnie obok niej i w zgodzie z nią, daje autorowi wielki zasób ostrożności i wyrozumowaną zręczność. Widzi on dobrze, że życie jest obowiązkiem, brzemieniem, poświęceniem, ale zarazem i kunsztem, sztuką, i tój właśnie sztuce kierowania sprawami, wpływania na ludzi, ujmowania ich serc i podbijania ich rozumów, większą część pracy swojej poświęca. Jakkolwiek gruntowna, posilna, żywotna jest treść filozoficzna

przestróg Fredry, kryje się ona, nie wychodzi na zewnątrz w słowach: odgaduje się ją i widzi myślą na wylot w ciągu całego pisma. Główném jego zadaniem, jak powiedzieliśmy, jest życie, mianowicie życie którego częścią nieodłączną jest zawód publiczny. Niektóre z jego przestróg straciły o tyle zastosowanie, o ile formy dawnego społeczeństwa zmieniły się i ustąpiły miejsca innym, i o ile życie nasze ścięsiło się w wązkie koryto domowych obowiązków. Żadna z nich przecież nie straciła na prawdzie i istotnej swój wartości: głębokie znaczenie praktyczne prawd opartych na doświadczeniu, religii i znajomości ludzi pozostało toż samo. Dziś, jak przed stu laty, czyta się je ze zbudowaniem i pożytkiem. Umysł zamiast upadać i słabnąć w zwątpieniu, krzepi się niemi, wola się hartuje, zakres myśli rozszerza. To, co z własnego doświadczenia się uzbierało, dopełnia się doświadczeniem bogatém tego zacnego męża; to co się we własnej myśli wyrobiło, waży się z czystém ziarnem jego poczciwój i światłój myśli. Szkoda przecież, że to tak treściwe, jędrne, a duchem i powagą zasad i stylu prawdziwe narodowe pismko, wszystkie przykłady jakie w sobie zawiera, czerpało w dziejopisarzach i moralistach cudzoziemskich. Nigdzie prawie autor nie sięgnął koło siebie i nie zaczerpnął w krajowych wypadkach; nigdzie nie obejrzał się po domowe przykłady. Wiele mu to ujmy przynosi dzisiaj, i niewysłownyby powab miało dla nas, gdyby nie ten błąd, który przecież był błędem wieku, ukształcenia ówczesnego i smaku, a nie autora samego.

Jak powiedzieliśmy na początku, *Przestrogi* Fredry nie są bynajmniej dziełem, poświęconém studyowaniu charakterów; wszystko co tutaj o niém napisaliśmy, możnaby uważać za zboczenie od naszego przedmiotu, gdyby w swojej całości i duchu nie było wyborynym materiałem dla każdego, kto by chciał rozpatrywać się w pismach, charakter narodu przedstawiających. Żywo malują się w niém nie osobiste, ale rodowe i narodowe przekonania, sposób zapatrywania się na ludzi, rzeczy, wypadki, tryb kierowania sprawą publiczną, równie jak własną łodzią, wśród prądu życia i nawałnic namiętności. Tę stronę pisma chcieliśmy podnieść i wskazać, bo nie jest obojętną dla naszego przedmiotu; ale oprócz tego są w niém rysy i pojedyncze miejsca, które wprost malują pewne charaktery. Niepodobna przytaczać tutaj wszystkich; wskażemy tylko nie-

które, przytoczym jaki kawałek dla przykładu i porównania. Widać z tych miejsc, że autor byłby bardzo sposobny niepospolite rzeczy w tym rodzaju utworzyć, gdyby to był przedsięwziął: bo nie zbywa mu ani na duchu spostrzegawczym, ani na darze ujęcia w wybitne rysy cech umysłowych i fenomenów serca ludzkiego, ani na łatwości słowa jędrnego i treściwego.

I tak: mówi o stateczności i śmiałości, o wytrwałości; porównywa ludzi teorii i ludzi czynu, bardzo trafnie mówi o ludziach geniuszu i wszechstronnych zdolności, o nieudolności wysokich rozumów do spraw drobnych, o różnych cechach rozumów *w radzie*; maluje fałszywych przyjaciół, ludzi umysłu miękkiego i gnuśnego, zazdrosnych, natrętów. Młodość i starość tak porównywa:

„Starych spracowanie, albo młodych usilność daleko się z sobą rozchodzą. Młodzi gadają albo wrzeszczą i łają; starzy robią. Tamci z pozoru sądzą, ci ważą rzeczy. Młodzi dla żywoci wieku smakują w skwapliwości, a wydaje im się śmiałe i wielgomyślne, co jest często zuchwalstwem. Przejrzenie i opatrzenie się wcześniejsze znajduje się u sędziwych, dla czego częstokroć są odwłóczycielami, rzadziej doświadczają albo się na powodzeniu sparzają; zcicha upatrują jedno okazyi, zynślając niby śpiączkę i ociężałość. Młodzi skłonni do gniewu, skorzy do urazy. Mężę dojrzali zmyślnie przeglądający i częstokroć spokojni; ale gdy się podczas trafi stanąć w sprawie, mądrze i obrotnie są mężnemi. Tamci przypatrują się rzeczom, siła widzą, coś wiedzą, ani przecie do końca poznają; ci, sprawy i co się ma robić równie przenikają, poznawają i rozeznawają. Młodzi dla swobodności pierwiastkowego wieku najmniej myślą o fałszu w rzeczach, dla czego łatwo dają się omamić, dla zbytniej bezpieczeństwa; podżyli zaś, że się sparzyli na bardzo siła powodzeniach przeciwnych, przypadków świadomi. Kolorami więc w rzeczach i dowodach gardzą, pozorne pomiatają, ale zdarłszy maskarę, we środek rzeczy i sam grunt przepatrują i przestrzegają na wzór zawołanych łowczych, lis-li? lub zając, tedy srogi dzik, lub pewnie eelniejszy jelen ślad zostawił, po samych śladach gatunków zwierząt dochodząc; nacierają więc jako rzecz i okoliczność wyciąga”... „Młodzi wdzięcznością pospolicie nadrabiają i co takie radzi słuchają: ni o co niestojąc, podług pozorów tylko o rzeczach sądzą, zagadkami i bajkami uciesznie się zabawiają; a że dla niedokładnej wiadomości w sprawach się przyczęsto chwieją, przetoż mitrężą

bardziej rzeczy niż robią, zaczynają, potem opuszczają. Starzy trwają statecznie, że do końca spraw myślą dochodzą; ani dlatego nadaremnie się kuszą, co się nie według myśli ma kończyć, ale z rozmysłem poczynają. A że się nie zastanawiają na środkach (ale się udają do końca rzeczy, jako wytrawni w sprawach) o zarzutach krótko stanowiąc, ztąd młodzi burzyć się zwykli na starych, jakby to po prostu i nie biegle rzeczy robili, że swoim dowcipkiem i ciekawością ich mierzają, sami do przyprawy rzeczy i słów wezwyczajeni. Mają atoli starzy doskonalszą i zupełną biegłość; doświadczając oni pod czas niekształtnego i bliższego na poratowanie się, ale że je sądzą za przygodniejsze, niż zdala zasiągnięone. Dodaje krótko. Warowne albo inaczej niebezpieczne wcześniej starzy upatrują i prawdziwie niby palcem wytykają. Jeśli zwłaszcza niegnuśny, ale dla nabycia mądrości, sprawowaniem rzeczy zabawiony żywot wiodą i czytaniem poważnych pisarzy, kiedy się długo bawią, coby dopełniło i dołożyło wieku. Młodzi nadto dają się powodować skłonnościom a nadewszystko widok i przyłuda pierwiastkowej fortuny uwodzi ich i zwodzi. Starzy silniej swemi chęciami i żądzami władną i przetoż przystojnie i wczas drugimi rządzą. Słowem młodych sprawowanie jest wesołe i z niejaką zaprawą, coś poszło na wiosenną porę; meże wystali pracowite lata po sobie zostawują; bardziej bowiem bezkunsztowny i poważny (a tak i przysmutny) tryb w sprawach zachowują; surowszemi są, ale w cnocie jednostajniejszymi. Młodzi są w czynieniu powolnemi i częstokroć płochemi. Ztąd mężom dostaliśmy wszystko się jak z płatka wywija, że ich nie zatrzymują sprawy, ani zastanawiają interesa, ale oni utrzymują je i kierują podług swej woli” i t. d.

Z epoki Stanisławowskiej, dalej z epoki walki romantyzmu z klassycyzmem, równie jak z epoki odmłodzenia się literatury na żywiołach rodzinnych, nie zdarzyło nam się napotkać pisma materyi, którą zagailiśmy, wyłącznie poświęconego. Znalazłyby się po niektórych pisarzach naszych z tych czasów fragmenta mniejsze lub większe do niej odnoszące się, lub związek z nią mające, ale tych nie będziemy wyszukiwać. Współcześni dopiero więcej się nią zajeli.

Michał Wiszniewski dołożył kartkę do wielkiej księgi charakterów. Mówimy kartkę, bo książka jego o charakterach rozumów ludzkich jest tylko badaniem jednej strony przedmiotu. Rozum gra przeważną bardzo rolę w organizmie charakteru,

ale przecież jest tylko jego częścią. Charakter bowiem jest summą wszystkich władz fizycznych i moralnych człowieka i zastosowaniem téj summy do wszystkich działań, jakimi na zewnątrz się objawia. Więc temperament, wola, rozum, serce, fantazyja, wpływ wiary, wychowania, powołania, wszystko to na niego się składa, wszystko co jest w człowieku i to, czego mu nieobstaje.

Każde przeto badanie jednéj z części składowych wchodzących do organicznej budowy charakteru, jest objaśnieniem samychże charakterów. Pism tego rodzaju jest mnóstwo, bo o czémże nie pisano. Pisano wiele w różnych językach o temperamencie, namiętnościach, uczuciach, o rozumie, o woli, o wychowaniu: zgola o wszystkich jednostkach, których summa stanowi ogół charakteru człowieka. Pisano o pojedynczych wadach i ułomnościach. Od Erazma do Jana-Pawła wieleżo wybornych charakterystyk głupstwa nie napisano? Pisano o wpływie klimatu, prawodawstwa, religii na charakter ludzi i narodów. Voltaire porównywał w historii ducha i obyczaje różnych ludów, a Herder śledził ich charakter w poezji i literaturze. Pisano o stosunku jednych władz do drugich. Kant oznaczył związek temperamentu z uczuciem estetycznym. Otóż wśród pism tego rodzaju, Charaktery rozumów ludzkich M. Wiszniewskiego niepoślednie zajmują miejsce. Pomysł i układ jest jemu właściwy. Pomimo pewnej sztywności, która pedantyzmem trąci, książka ta będąca owocem dojrzałej myśli i rozległej nauki, ma istotną wartość. Otwiera nową sferę myśli i spostrzeżeń. Każdy może w niej znaleźć zajęcie i pożytek, ale szczególnież w ręce młodych ludzi mogłaby być podawana z korzyścią.

Dla badaczy charakterów, dzieło Wiszniewskiego ma tę wartość, iż podaje klucz do poznania pewnego rzędu, pewnej kategorii charakterów. Jak bowiem są ludzie, w których pierwiastkiem dominującym jest fantazyja, serce, temperament; tak są inni, których pierwiastkiem poruszającym i władającym jest rozum. Owoż Wiszniewski śledząc wszystkie jego tajniki, różnice, odcienia, działanie, powinowactwa, związki z wolą, fantazyją, sercem, nawyknięciami, sposobem życia i tym podobnymi przypadkowemi lub trwałemi stosunkami w ludziach się zdarzającemi, daje, jak powiedzieliśmy, klucz do zbadania takich charakterów. Tak więc każdy, co szuka rozprzestrzenienia swojego poglądu na rozumy ludzkie, jak ten co bada zawilosci

i tajemnice charakterów, a rozum śledzi tylko jako jeden z pierwiastków zapładniających, książki téj opuścić i pominąć nie może.

Piérwszém z rzędu w naszej literaturze, z dzieł wyłącznie badaniu charakterów poświęconych, poważném treścią i samym rozmiarem swoim jest *Teofrast polski*. Sam tytuł wskazuje, iż odnosi się wprost do źródła z któregośmy wyszli w tym przeglądzie, lubo w formie od niego odbiega, a różnorodnością treści i naturą swą polemiczną zupełnie się od niego różni. Autor Teofrasta polskiego kładzie w przedmowie jakoby podwalinę do swojej budowy: oznacza w szerokich rysach swój pogląd filozoficzny, moralny i historyczny. Broni uczucia religijnego w sercu ludzkim. Kilku cięciami razi panteistyczną filozofią niemiecką i zły jój wpływ na nasze piśmiennictwo. Podnosi myśl Demaistra o winie spadkowej i expiacji generacji i pokoleń następnych. Potępia doktrynę fatalizmu historycznego, tkwiącą w zasadzie postępu bezwzględnej ludzkości. Rzuca słów kilka, z których widać, że uznaje upadek arystokracji i upadek ten uważa za nieszczęście. Boleje nad rozlaniem się materializmu i chciwości z bogacenia się *per fas et nefas*. Wreszcie kończy uwagami nad niektórymi błędami, w jakie popadła umiejętność tegoczesna, historyzofia w swoich wnioskach o postępie i celach ludzkości, wnioskach nie zgadzających się z nauką kościoła i wiarą w rzędy Opatrzności w świecie.

W tych uwagach ogólnych zasadniczych, o jakich dopiéro mówiliśmy, i w tych, jakie są rozprowadzone po całej książce we wstępach rozumowanych i przypisach, łatwo dojrzeć wyrażenie się ducha zachowawczego, który we wszystkich społecznościach europejskich, wstrząśniętych rewolucjami i pchanych naprzód doktrynami nowemi, znajduje mniej lub więcej wymowne, mniej lub więcej logiczne, mniej lub więcej bezinteresowne organa. Nie piérwszy to raz w dziejach kultury europejskiej zdarza się, iż umysły dzielą się w zapatrywaniu się na przeszłość, terażniejszość i przyszłość. Nie piérwszy raz dwa powstałe ztąd obozy staczają bój zacięty. Bywało tak jednak nieomal zawsze, że po czasach w których umysły rozpadały się na dwa przeciwne prądy, w odwrotnym kierunku od siebie dążące, przyszłe pokolenia w kompromisie przeciwnych zasad i przekonań znajdowały dla siebie ocalenie i wskazówkę do przyszłych przeznaczeń.

Widzimy jeszcze w zasadach i wyobrażeniach fundamentalnych Teofrasta polskiego, iż idzie za stronnictwem, które niezadowolone kierunkiem i tokiem współczesnych idei na polu literatury i polityki, przestraszone eklektyzmem w sztuce, a pan-teizmem w filozofii, na wzór umysłów XV i XVI wieku, które znużone scholastycyzmem, odgrzebując literaturę starożytną sprowadziły wieki odrodzenia w literaturze, umiejętnościach i sztukach: usiłują zwracać się do innéj epoki przeszłości, aby w niej czerpać nowe siły i wzory dla pokoleń dzisiejszych. Kierunek ten i dążenia te zjawiają się nieomal wszędzie: widoczne są w sztukach, poezyi, a do pewnego stopnia w filozofii i wyobrażeniach politycznych niektórych stronnictw. Na polu poezyi i sztuki niejednokrotnie pomyślnie przyniosły owoce. Czy inne ważniejsze ztąd wypłyną pożytki dla nowoczesnego świata: przyszłość pokaże — nie chcemy przesądzać wyroków czasu. To pewna, że jak wszystkie usiłowania wieków odrodzenia nie odbudowały Rzymu i Grecyi, tak prace dzisiejsze nie wywołają z grobu wieków średnich; a jeżeli wyniosą jakie pożyteczne lekarstwo na niemoce czasów dzisiejszych: zasługi tych, którzy w tym kierunku pracują, będą sowiec wynagrodzone, a krytyki na nich miotane, pomszczone.

Zasady te przekonania, wyobrażenia i teorye pisarza pozostawiamy w pokoju: nie myślim ani podnosić tego co w nich podzielamy i za swoje przyznajemy, ani występować przeciwko temu, co odrzucamy; treść, zakres i zamiar pisma nie są potemu. Idąc tylko wprost do celu i oceniając dzieło jako przeznaczone do dania nam obrazu charakterów i obyczajów, powiedzieć musimy, że autor Teofrasta polskiego, wprowadzając na tak obszerną skalę te zasady, teorye, nadał pismu swojemu charakter polemiczny. Jakoż jest ono nieustającą kontrowersją z światem nowoczesnym. Wstąpił autor w szranki stronnictw bojujących, wypowiedział wojnę obyczajom, których przedsięwziął historyografią; a zstępując z wysokości, na której musi stanąć filozof-moralista badający charaktery i obyczaje, i wzięwszy się do walki, wniósł do dzieła swojego wszystkie namiętności wojny domowej.

Ztąd poszło, iż Teofrast polski niezawsze może utrzymać szale bezstronności niezachwianą ręką, i niezawsze chce oddać sprawiedliwość temu, co w sobie dobre, ale do poślubionych przez niego teoryj nie przypada; niezawsze chce potępić, ba! nawet wskazać to, co złe w istocie, ale z jego wyobraże-

niami jest w zgodzie. Ztąd opuszczenia, któreby można niekiedy pomówić że są umyślnemi, bo z ducha położonych z góry zasad zdają się wypływać. Ztąd niesprawiedliwości krzyżujące, wyrządzone niekiedy ludziom, powołaniom, stronnictwom i niektórym umiejętnościom. Ztąd czasem śmiało sofizmata rzucone w zapale polemicznym. Ztąd gorycz słowa.

Na trzy właściwie działy rozpada Teofrast polski: na obrazy charakterów, na ustępy rozumowane i na część anegdotyczną. Trudno mieć za złe autorowi, że od ścisłości i jedności formy dotychczasowych wzorów odstąpił dla z bogacenia i urozmaicenia treści. Nie będziem się także wadzić z pisarzem Teofrasta pols. że przerzuca nas to w wiek XIX, to w wiek XVIII; bierze ludzi bez kolei z dwóch epok tak od siebie odległych i różnych. Niekiedy ustępy rozumowane nie wiadomo do jakich czasów się odnoszą i kogo dotyczą. Jedność i porządek dzieła na tém cierpi. Jak powiedzieliśmy jednak nie będziemy się o to z autorem wadzić, bo treść jest zażywotna, zapelna, z bogata, abyśmy na tych niedostatecznościach formy zatrzymywać się mieli. Wreszcie jak we wspomnieniach sędziwego pisarza, tak w jego dziele mieszają się dwie epoki, z których jedna jest dla nas obca, bo jój nie pamiętamy, i odległa, bo w niej nie żyliśmy.

Do ustępów rozumowanych tak dobrze jak do wstępu i do przypisów odnosi się to wszystko, cośmy na początku powiedzieli o ogóle pisma i stanowisku pisarza, i nie będziemy się już dłużej nad tém zatrzymywać.

Częścią anegdotyczną nazywamy to wszystko, gdzie autor mówi o ludziach których znał, spotykał, lub o których słyszał; a chociaż każda z osób, o której mówi, podciągnięta pod pewną rubrykę, odpowiadającą jego charakterowi: uważamy je jednak jakby za kartki wyjęte z pamiętników. To nie zmniejsza ich interesu i wartości; jakoż czytają się te ustępy dzieła z niemałym zajęciem, i są niekiedy ciekawym dopełnieniem do historii obyczajów u nas. Szkoda tylko, że tyle łotrów i tyle łotrostw wejdzie razem z niemi do tejże historii.

Do téj metody anegdotycznej kreślenia ludzi i charakterów, przyjętej od Teofrasta polskiego, nie przyznałby się zapewne stary Teofrast grecki. O ile ten jest zwięzły, ścisły w raz przyjętej formie, plastycznie uwydatniający przez objawy zewnętrzne poruszenia duszy; o tyle tamten szeroki, swobodny, szczegółowy. Dowcipne słówka, dykteryjki, zdarzenia, wszyst-



ko wprowadza, co nietylko charakter opisywany uwydatnić, ale i zajęcie czytelnika utrzymać i podnieść może. Teofrast polski rad rozprawia, naucza, żartuje. W niejednym rysie i pociągu pióra widać więcej satyrycznej werwy, niżeli umiarkowania i bezstronności moralisty.

Zbiór charakterów Teofrasta greckiego przypomina nam medaliony brązowe, rzniete biegłą rękę mistrza, odlane wyborne, i oddające wiernie wyraz twarzy znajomych nam ludzi: Teofrasta polskiego raczej portrety olejne w całej wielkości, w których dużo akcesoryów.

Ta sama metoda zachowana jest w rysunku i obrazowaniu postaci uosabiających pewną stronę ujemno-moralną, pewną wadę, co w portretach osób wymienionych po nazwisku, i pod rubrykę pewnych wad lub charakterystycznych właściwości podciągniętych, a które do części anegdotycznej zaliczyliśmy: wolnomyślny, matka kościoła, pyszno-skąpski, dorobnik, gbur, fakturą swoją podobne są do tamtych. Obok miękkości pędzla, zaniedbania niekiedy rysunku, jest prawda, nieraz wielkie naśladowanie natury i pilne w nią wpatrzenie się. Nieco więcej zwięzłości i plastyczności, a mogłyby to być wyborne postaci.

Przebiegając obrazy skreślone przez Teofrasta polskiego, spostrzegamy z żalem jak wiele brakuje w tej galerii, jakie w niej luki znaczne i jak niemałoby jeszcze trzeba do niej dolożyć, aby w szeregu ludzi i ich charakterów dała wyobrażenie obyczajów społecznych. Kobiety np. które autor słusznie tak wysoko ceni, taką sprawiedliwość oddawać umie ich wrodzonej szlachetności, przymiotom umysłu i serca, nader niedostatecznie są przedstawione; i to właśnie w epoce, w której charakter kobiet wydatniej występować zaczyna w życiu i rzeczywistości, kiedy kobiety zawstydzają, zdaniem niektórych moralistów i samego nawet autora Teofrasta polskiego potęgą moralną, drugą połowę rodzaju ludzkiego. Szkoda, że autor ze swego przeglądu obyczajowego wyłączył dumę narodową, hipokryzją religijną, obłudę i egoizm wielkiego świata, kosmopolityzm możliwych. Jakiżto zajmujący obraz byłby mógł przedstawić możnowładcy spadłego ze swojej wysokości, który zachował wszystkie tradycje, a upuścił władzę i mienie, *per fas et nefas* goni za jednym i za drugim, niczego się nie wzdyga i nie wstydzi tylko pracy, a w poniżeniu największym zachowuje całą swoje pychę. Sztuka i przemyśl i ich związek ze sferą moralną i obyczajową, uwydatnienie ich wpływu w charakterach, nic

dziwnego, że nie weszły do Teofrasta polskiego, bo téż zaledwie wejść probują do życia narodowego; a choćby już w niém gościły, autor musiałby je odrzucić, wierny swojej teorii, jako nie płynące z tradycyji narodowych i niezgodne z duchem i powołaniem szlachectwa.

Teofrast polski, jak to już powiedzieliśmy, jestto książka głównie polemiczna; żywa, namiętna, często paradoxalna, mnóstwo myśli obudza: porusza namiętności, gniew, wzgardę, współczucie, miłość naprzemiany; wyzywa do boju jak zniewaga i pociąga w świat błogi uczuć chrześcijańskich. Wtenczas nawet, kiedy najmocniej z autorem jesteśmy w niezgodzie, oddaje usługę naszemu umysłowi, bo nas zmusza do wyszukiwania dowodów przeciwnych i argumentów, w rozumie, w dziejach, i popędza do pracy myślenia i nauki. Jako obraz obyczajów i charakterów jest jednostronna, niedostateczna, niezupełna.

Jedną jeszcze uwagę mamy do zrobienia, zanim się z nim rozstaniemy. Nie dziwim się, że autor wytyka błędy naszej społeczności, bo to cel jego pisma. Nie dziwim się, że się surowo z nią obchodzi; nawet wyrozumiemy do pewnego stopnia, że w niej nie smakuje. Są w niej grube i wielkie wady i przewinienia, sromotny upadek i rażące zło. Każdy umysł wyższy staje się u nas gorzkim i cierpkim w wynurzeniu zarzutów jej czynionych; ale samo oburzenie, jakkolwiek z szlachetnych źródeł i powodów płynące, musi mieć swoje granice. Nie wszystko zło jest winą téj społeczności. Sąż przecie i cnoty i zalety; są tak dobrze w górze, jak i na dole. Zresztą ojciec chcąc dziecię które miłuje poprawić, musi się z niém obchodzić tak, aby uczucia godności w niém nie zabić; kapłan musi słowem miłości osłodzić gorzkie lekarstwo, jakie upadłemu grzesznikowi podaje; pan zepsutego i winowajczego sługę, powagą i słodyczą chrześcijańską słowa, jedna dla siebie jego poszanowanie i ufność. Otóż nie to mamy za zło pisarzowi, że w dziele o którym mowa, sądzi surowo; ale że brak mu tego charakteru miłości bliźniego, współczucia pociągającego do siebie. Nic sympatycznego nie odezwie się nigdy wśród pełnego goryczy słowa. Zdaje się jak gdyby na to pisał, aby usprawiedliwić swoją pogardę dla wieku i społeczności. Żałujemy mocno, że tak pełne treści i niejedną prawdę żywotną zawierające pismo, tego powabu sympatycznego się wyrzekło, bo wpływ dobrego, jakie w sobie zawiera, byłby na tém zyskał.

Przechodzimy do ostatniego pisma na tém polu, do *Typów i Charakterów*.

Na którąkolwiek zwrócimy się stronę, gdziekolwiek stawimy stopę na polu naszej literatury, wszędzie spotykamy ślady umysłowej działalności autora *Typów i Charakterów*. Pisarz ten niezmordowany, z ruchomym, łatwym, jasnym umysłem, wszystko poruszył, wszystkiego dotknął; nic nie prześliznęło się po powierzchni jego duszy, wszystko z kolei w nią uderzyło, a każde jęj drgnienie pozostawiło ślad jakiś w jego pismach. Na jednych przedmiotach zatrzymał się dłużej, skupił swoje uwagę i zbadał je bliżej; po innych przesunął się, a tracił o nie jakby mimochodem. Te obszerniej, te krócej, te w osobnych dziełach, te w pisemkach ulotnych i artykułach traktował. Ale te nawet przedmioty, które zyskały honory oddzielnego dzieła, nie wszystkie można uważać jako wyczerpane; nie każde z dzieł jako całość wykończoną i zupełną.

Do rzędu tych ostatnich należy książka: *Typy i Charaktery*. Zdaje się, iż nie była jako całość obmyślana, wymodelowana i naraz z rozpuszczonego spizu odlana. Raczej widać składała się powoli z pism różnych epok, z rozmaitych studyów, w niejednakowém usposobieniu ducha i pod odmiennymi wrażeniami pisanych. Niektóre téż niezupełnie wstawić się dają w ramy zakreślone przez autora. *Bietka i Krystyna* należą raczej do fenomenów, jak aerolity wpośród kamieni. *Rotmistrz Jakubowski* jest powiastką drobnych rozmiarów. Trafny zkądinąd urywek o dowcipie jeszcze mniej, sądzimy, zastosowałyby się dał do dzieła, któreby rościło prawo do ścisłego zamknięcia się w stale określonych granicach. *Szlachcic* jest właściwie typem, ale wieleżto razy ten typ skreślony już był w silniejszych rysach i bez tego pesymizmu, który często szarą, zbyt szarą farbą nawodzi obrazy i obrazki pana *Kraszewskiego*. *Paliwoda* i *Zawalidroga* odznaczają się humorystycznym akcentem, właściwym przedmiotowi; ale mówiąc nawiasem, w znaczeniu zwyczajnie przyjętém, *paliwoda* znaczy raczej kłamcę, człowieka który rozpowiada rzeczy niepodobne, chwalcę, który szczyci się wykonaniem tego, co nigdy nie było i nie mogło być dokonane. Dobry człowiek, reformator, motyl są klassycznie skreślonymi charakterami.

Nie mamy potrzeby rozszerzać się nad tém, ile w rysunkach pojedynczych osób jest lekkości, śmiałości i siły; ile zwro-

tów zręcznych, ile uwag trafnych choć pobieżnie i jakby z niechęcia rzuconych. Biegły rysownik w każdym pociągu ołówka się cechuje. Ale pomimo tego książka ta nie zaspakaja: brak jej myśli ogólnej, cechy, wyrazu, charakteru. Nie odbija się w niej ani człowiek w ogólności, ani pewne społeczeństwo, ani epoka. Jestto kilka trafnych rysów do historyi obyczajów różnych epok. Jestto zbiór fragmentów różnolitych, mających wiele zalet, oprócz wspólnej rodowości, oprócz podobieństwa familijnego. Jestto album, w którym jest kilka rysunków z natury, kilka z pamięci lub fantazyi, arabesk o dowcipie i kilka karykatur. Każdy kawałek, jak to już powiedzieliśmy, robiony w innym czasie, pod inném wrażeniem i w inném usposobieniu fantazyi. Nie jestto przecież dzieło, któreby albo za filiacją i przeniesienie na pole naszej literatury i naszych obyczajów pierwowzorów Teofrasta i Labruyera uważać można, albo za utwór odmienny formą i treścią, ale w tym samym duchu poczęty. O wyższym poglądzie na człowieka, społeczność, epokę ani mowy przy niém być nie może. Zawsze jestto cegielka do budowy, rys do obrazu obyczajów i charakterów rodzinnych, za który wdzięczność się należy znakomitemu pisarzowi.

Załużemy, że autor Typów i Charakterów niezwrócił większej bacności i starania na dzieło, które przy jego wysokim talencie i duchu spostrzegawczym, mogło się być stać prawdziwym pomnikiem w literaturze. Skupiając w sobie treść tak pracowicie uzbieranych, taką przenikliwością oka i taką podniosłością umysłu nacechowanych pojęć, wyobrażeń i zdań autora o świecie, życiu i ludziach, byłoby jedną z tych trwałych budowli, których czas tak prędko nie trawi, a potomność starannie pielęgnuje. Niepospolite jego myśli i pogląd na stosunki społeczne byłyby zyskały na sile i wydatności w tém skupieniu, a forma sama dzieła takiego, wymagająca większej ścisłości i systematyczności, byłaby wprowadziła pisarza na pole nowych uwag i spostrzeżeń, których w powieściach nie mógł dotknąć, albo przebiegł bez zgłębienia.

(Dokończenie nastąpi).

---

Wyjątki z Baśni p. t.

## KSIĄŻĘ NA OSTROGU (\*).

---

**W** najmilejsze brzęknę struny....

Bo ci w ustach skrzepły słowa,  
I coś piersi ledwie dyszą,  
I spuszczone na dół głowa,  
I kozackie wąsy wiszą!

I ja nie znam co rozkosze,  
Całe życie biędę noszę;  
Lecz choć nieraz mi zaskurzy,  
To ja śmieję się w najlepsze:  
Zobaczmy kogo dłużój,  
Zobaczmy które przeprze!

Miałem chatę gdzieś pod słomą,  
Gdziem się rodził, gdziem się bawił;  
Aż tu ojczę, nie wiadomo  
Zkądś na stepie czort się zjawił,  
Jak wziął kręcić tumanami,  
Nieść snopami, rwać dachami:  
Tak najpierwój z mojej chaty  
Porozrzucał snopki, łaty;  
Potém w zęby złapał drzewo,  
I na prawo i na lewo  
Nuż szamotać śród wichury:  
Pogryzł ściany w drobne wióry.

Miałem konia od Czumaka,  
Kupił jego za psie groszę;  
Czumak sprzedał konia ptaka,  
Tożto chodził, widzieć proszę!

(\*) Baśń ta napisaną była przez jednego z przyjaciół autora jeszcze w r. 1849, pod wrażeniem opowiadania o Ukrainie. *Przyp. aut.*

Niech daruje Pan Dobrodziój,  
 Dziewka w tańcu tak nie chodzi!  
 Czumak głupi zna się może  
 Na stokfiszu, na wyzinie,  
 I na sadle, co w rogoże,  
 W maty, w czorty jak owinie,  
 To i wiezie w woły siwe  
 Do Odessy, do Kijowa;  
 Nie Czumacza na to głowa  
 Żeby konie znać prawdziwe!  
 Wziął trzy woły na zamianę.  
 Oj! takiego jak bułany,  
 To już ojciec mój kochany  
 Chyba w niebie tam dostanę!

Zajeżdżiłem konia w drodze,  
 Do dziewczyny, do niewiernój;  
 A dziś Boże miłosierny,  
 Z krzywym kijem po wsi chodzę!  
 Trudna rada, jednak żyję,  
 Na pociechę wódkę piję;  
 Wódkę piję, w torban dzwonię,  
 Miła w sercu dawna nuta!  
 I z dnia na dzień biędę gonię  
 Taki oto szalaputa.

Jeszcze tylko torban służy  
 O trzech strunach. Ej! ladaco,  
 Reszty kupić nie ma za co.  
 Niechaj służy jak najdłużej,  
 Bo jedyna to pociecha!  
 Jak się spojrzę na to drewno,  
 Jak się do mnie tęskno, rzewno  
 Torbanisko to uśmiecha:  
 To mi w piersiach tak przestrono,  
 Tak stepowy wiatr tam wchodzi,  
 Tak się w duszy coś pogodzi,  
 Jak tych niebios jasne łono,  
 Kiedy zorzą nad stepami  
 Bożym świtem się rozplonie!  
 Kładę palec nad strunami  
 I powoli brzęczę, dzwonię,  
 Aż zagrają dumy w głowie.  
 Niechże wtedy kto mnie powie  
 Że ja kozak nieszczęśliwy:  
 Ja szczęśliwy, jak Bóg żywy!

. . . . . O slobodzie

Zawsze pełna myśli głowa,  
O slobodzie, o narodzie!...

Co to ojcze! wasza dola  
Była jeszcze kiedyś gorszą,  
Gdy Ostrogski wyszedł w pola  
I nuż sprawnie grać pod *Orszą*.  
Z nim młodce, by step bujny,  
Poruszany tchnieniem sławy;  
Byłto hetman mądry, czujny,  
Godny czapli i buławy.

Głowa harda, podgolona,  
A wąs taki na ramiona;  
Zawsze ręka z szablą razem,  
Jak żelazo ze żelazem.  
Gdy się modli, bierze skrucha,  
Kiedy mówi, czuj duch słucha.

Kto nie zaznał co niedola,  
Ten nie z chęcią idzie w pola:  
Lecz Konstanty znał się na tém,  
To i wiedział komu bratem!...

Oj! jak orzeł za szczeblami,  
Tak on siedział za kratami.  
Kajdanami, obręczkami,  
Poprzerzynał białe nogi;  
Żelaznemi naręczniami  
Skrwawił ręce. Boże drogi!  
W ciemnej jamie, na rogoży,  
Czy noc chmurna, czy dzień boży,  
Kto się dowie? Ot swoboda,  
Słup i łańcuch, chleb i woda!

I tak byłby zmarniał może  
Wysiadując tę niewolę,  
Gdyby nie był się w sokole  
Zmienił postać: i nad mury  
Nie wyleciał ponad chmury  
Na rodzinne Zaporozie!

Wtedy kozak, jak ja oto,  
Siedział piejąc dumkę złotą,  
A koń przy nim szczypał trawę.  
Jedną razą, kiedy łzawe  
Zwróci oczy, aż tu z góry  
Leci sokół szparkopióry,

Leci, leci i upada;  
 A no, tak nasz brat zagada:  
 — „Hej! ty ptaku z której strony?  
 Czy daleka twoja droga,  
 Co tam robi utęskniony,  
 Uwięziony kniaź z Ostroga?”  
 Na to sokół:— „Bracie miły!  
 Przedzierzgnął się w ptasią postać,  
 I tak leciał co miał siły,  
 Byle się na stepy dostać.  
 I przyleciał w Żaporozie  
 Od poroga do poroga,  
 „Na koń bracia w imię boże!  
 Ja to jestem kniaź z Ostroga.“  
 I przemienił się w hetmana,  
 W kozackiego atamana!

Ach! tak zaraz sto kureni  
 Konno, zbrojno, wystąpiło,  
 A co potém ojciec było!  
 Jeszcze dziś się step czerwieni,  
 Jak się szable rozmachały,  
 Jak się spisy rozigrały!

Jaka dusza! oh! jedyna:  
 Było weźmie żupan suty,  
 Pas ze złota, krasne buty,  
 To się śmieje hej! Dubyna!  
 Ty lackiego widzisz pana  
 Nie kozaków atamana.  
 — „Wirno batku” a gdzie smola?  
 I z pięknego jak anioła  
 Czarny diabeł ojciec drogi  
 Kapią smolą ręce, nogi,  
 Taki miły, ot brat wierny,  
 Ach ty Boże miłosierny!

A w Stambule, w Trabizondzie  
 Sułtanowi jak podkadził,  
 Wszystkie dziewczki mu poczadził.  
 Płomień straszny jak na sądzie  
 Ostatecznym. Sułtan kłania,  
 A on jego wziął za ucho:  
 „Nie chcę twego przeproszania  
 A nie ujdiesz mi na sucho;  
 Dostyc tobie w świecie broić,  
 Trzeba ciebie uspokoić.”



To się sultan kłania, prosi,  
 Co ma tylko wszystko znosi:  
 Srebro, złoto, atlas biały,  
 Nic nie nada: „Weź ty sobie!  
 Na co nam się srebra zdały?  
 Ja atlasem nie ozdobię  
 Mojej duszy” To znów błaga,  
 Ale wszystko nie pomaga!  
 Aż dopiero na Talmudzie  
 Jak poprzysiągł: że nie ruszy  
 Chrześcijańskiej żadnej duszy,  
 Tak dopiero nasi ludzie  
 Odstąpili: „Dziękuj Bogu,  
 A znaj kniazia na Ostrogu.”

Gdy postarzał, że z świetlicy  
 Nie mógł na świat wiele chodzić,  
 By tęsknotę ulagodzić,  
 Kazał sobie przy łóżnicy  
 Na torbanie co dzień grywać,  
 I kozackie dumy śpiewać.  
 To jak nieraz się zasłucha,  
 Siedzi martwy jak bez ducha:  
 Ręce na pierś założone,  
 Tylko usta uśmiechnione,  
 Tylko wąs się czasem ruszy.  
 Kiedy mu tam coś do duszy  
 Jakoś więcej przemówiło;  
 To się oko roziskrzyło,  
 I odetchnął jakby zdrowe  
 Pił powietrze, to stepowe!  
 Gdy usłyszał rzenie koni,  
 To leżący hetman stary  
 Wyschłą ręką macał broni,  
 Na pogany, na Tatary.  
 I tak oto miły panie,  
 Skończył hetman przy torbanie,  
 Sławny człowiek!....

To ja nieraz  
 Kiedy dziad pod cerkwią siedział,  
 Były grosze nie jak teraz,  
 To i dałem, by powiedział  
 Tój przeczystój, temu zbawcy  
 O hetmanie, Ukrainie;  
 To dziad siwą głową skinie,  
 Więc jak z Bogiem się rozgada,  
 To mu z oczu łza upada.

Bo to mówią, że Piotr święty  
 Póty nieba nie odkryje,  
 Aż człek łzami się obmyje,  
 Aż to wszystko, co przeklęty  
 Czart narzuca, nie oczyści,  
 Wszystkich grzechów, nienawiści.

\* \* \*

Jak nic nie mam, a coś czuję  
 Że się z światem poprobuję;  
 Stracił siodło, kozuch, konia,  
 Pogardziła harda Donia,  
 Nie ma maty, ani chaty,  
 Ukraina moja maty,  
 Puszczej czortu! Piosnka dzwoni  
 Na dobranoc mojej Doni!  
 Kiedy stepem w nocną ciszę  
 Kozak w siodle się kołysze,  
 A bułany pod nim pryca:  
 Uciekają wszystkie licha,  
 I kryją się w owój porze  
 Jak tumany na jeziorze.  
 Kiedy słońce spojrzysz na dno,  
 Tak zaginą i przepadną,  
 Jak to dzikich gęsi granie,  
 Co to lecą nad stepami,  
 I przelecą i czasami  
 Słyszać tylko ich gęganie!

T. L.



# JERMOŁA.

## O B R A Z K I W I E J S K I E

PRZEZ

*J. I. Kraszewskiego.*

---

(Ciąg dalszy).

Zmierzając do chaty garncarza, położonej na wzgóreczku, gdzie pod wspaniałą starą gruszą widniał zastawiony świeżymi garnkami piecyk garncarski; Jermoła począł się bardzo namyślać i zdało mu się wreszcie, jakoby wpadł na niewinny a szczęśliwy podstęp: rozjaśniła mu się twarz stara i pomarszczona, zatarł ręce, raźniej i ochotniej przestępując próg Prokopa.

Po wydaniu za mąż córki, stary zdun małyczkowski mieszkał z parobczakiem i gospodynią młodą jeszcze rekrutką, uchodzącą za jego ulubienicę, w opustoszonej chacie, wiodąc życie wiejskiego hulaki i wygodnisią. Pracował mało, wierząc już w stare ruble, rzadko się brał do toczenia i wypalania, częściej w karczmie zasiadywał, lub w domu z gosposią wywczasu zażywał.

I teraz właśnie zastał ich we dwoje Jermoła nad kwartą wódki i misą kwaśnego mléka ze śmietaną. Prokop poszpakowaciały już starzec, krzepki był jeszcze: ogromne chłopisko, barczysty, silny jak dąb,

z brodą po pas. Spojrzawszy nań znać było, że się jeszcze mógł poborykać z niedźwiedziem. W karczmie gdy sobie podpił, obawiali się go wszyscy, bo chłopami jak gruszkami rzucał, pod oś plecy podłożywszy wóz ładowny dźwigał, a korcem zboża zamiętał jak plewą.

W butach juchtowych po kolana, w szarawarach białych, skrojonych z kozacka, w szarój koszuli z guzem ogromnym i sutym czerwonym pasie; Prokop siedział z tyżką nad misą naprzeciw rekrutki, która do niego białe wyszczerzała zęby i śmiała się ręką zasłaniając. Znać jej niedorzeczności prawić, gdy Jermoła pokazał się z pobożnym pozdrowieniem w progę.

— Sława Bohu!

Trochę się znali i wprzód, ale Prokop dla każdego był gościnniej póki nie podpił i nie zadartł się, a nie począł być strasznym; wstał więc z ławy, rekrutka uciekła, a starzy się przywitali.

— A z czém Pan Bóg prowadzi?—zapytał gospodarz—napijemy się na dobry czas?

— 'Napijemy — odparł. Jermoła — choćto ja nie zwykły.

— E! jeden nie zaszkodzi.... i zaraz do dzieła, jeśli jakie macie....

— A jest tam coś trochę—rzekł przybyły—ale to długo gadać.

— No, to wcześniej zaczynać trzeba....

— Poczekajcie, niech trochę odetchnę...

— Jak sobie chcecie.

Powoli i rekrutka pokazała się z alkierza. Sprzątnięto misę, zostawując wódkę; poczęli stękać na czas, na drożyznę, Prokop jął kłać rzemiosło i rozgadali się jakoś serdecznie.

— Otóżto trzeba wam wiedzieć — rzekł Jermoła nie bez obawy—że i ja jestem także syn garncarski, a dziadowie moi z dawien dawna byli zdunami.

— Oho! — z niejakiem podziwieniem odezwał się Prokop—doprawdy?

— Tak jest w istocie, ale ojciec i matka odumarli mnie w małości: ledwie troszynkę mogłem się przypatrzeć rzemiosłu. Jeszcze dodziśdnia na dawnym naszym ogrodzie jest stare piecysko zieleń zarosłe, ale ta ojcowizna poszła w obce ręce....

— Jak świat światem w Popielni o garncarzu słychać nie było.

— Bo ojciec był z Wołynia, a tu krótko robił.

— A to co innego—wódkę popijając rzekł Prokop.

— Otóż widzicie, na starość zachciało mi się powrócić do rzemiosła—wybąknął Jermoła.

Prokop spojrzął mu w oczy i poskrobał się w głowę coś mrużąc.

— To ty mi kawałek chleba chcesz odebrać?—ofuknął się groźnie.

— E! posłuchajcieżno — rzekł Jermoła—jeszcze go może i wam dam: nie strachajcie się-no zawczasu.

— Gadajże, gadaj.

— Syna nie macie, córkę wydaliście za gospodarza, sami dosyć nachowaliście grosza: jużby wam i czas odpocząć. Tu glina nie do rzeczy, musicie jeździć z garnkami daleko, bo koło siebie ich nie sprzedacie, takięto niepotém....

— O! o! a ostrożnieno bracie! co gadasz!—ofuknął się, pięścią w stół stukając gospodarz.

— Nie gniewajcie się: toć się bez was nic nie zrobi..

— Ty mnie chcesz obedrzeć!

— Nie! nie, jeszcze się wam z tego darmo kawał chleba okroi.

— A nu! to gadaj, czortby miał twoję duszę...

— Ot jak: ja sobie łatwo przypomnę rzemiosło, byle mi cokolwiek pokazać, bo ono we krwi jest... Założycie wy ze mną piec w Popielni, dopilnujemy razem

wypalenia, a za to póki waszego życia, połowę zarobku mego do was należeć będzie, choćbyście sobie do góry brzuchem leżeli....

Prokop bardzo zaczął trząść głową.

— Dobreby ło było; a kto za was zaręczy?

— Wasz pan....

— Rotmister! stary rotmister!—krzyknął Prokop.

— A no, on! bo téż to on widząc gorzką moję dolę na starość, tę radę mi podał.

Prokop zafrasowany aż się za brodę targnął.

— H de rym, h de krym! Rotmister! on tobie to poradził? Albotó wy wiecie co nasze rzemiosło? Wam się zdaje, że garnek zlepić jak grzędę skopać, albo piec wypalić i to mała sztuka. Atoć ja całe życie robię garnki i niezawsze mi się udaje.

— Bo wam już się niebardzo chce tém zajmować: macie grosz, chatę, chléb, a na co wam to?

— Nu! to prawda... ale ty mój stary także niełatwo się nauczysz: tu potrzeba młodéj głowy...

— Poprobuście, i Rotmister wam będzie wdzięczen.

— Kroćsetby diabłów zjadł ze swoim Rotmistrem, —mruczał Prokop—jemu człowieka obedrzyć to nic.

— A jeśli w Popielni lepsza się glina znajdzie na białe garnki? Wy to tylko palicie czarne, a to lichota....

Prokop aż się zerwał z gniewem; oczy mu krwią zachodziły.

— Lichota!—krzyknął—ej stary! jak cię pochwyce, to cię i twój Rotmister z moich łap nie wyrwie.

— A co wam z tego przyjdzie, jak biédnego człowieka i sierotę zgubicie—rzekł potulnie Jermoła.

To rozbroiło starego Prokopa. Uśmiechnął się.

— Jaką sierotę?—zapytał.

— A to nic nie wiecie?

— Nic, jeździło się po świecie; gadajże co to za sierota?

Rad z uspokojenia gospodarza, który choć gwałtowny i popędliwy, niezłe w istocie miał serce: dworak rozpoczął swoje dzieje z tą szczegółowością, z jaką zwykle wieśniacy każdą rzecz opowiadają, nie pomijając najdrobniejszej okoliczności. A potrafił je tak rozpowiedzieć, że Prokopa i zajął i poruszył; zawołał gospodarz rekrutki żeby słuchała także, i ani się opatrzyli, jak godzina upłynęła wśród gawędy z Jermołą. Uczucie wywołało uczucie, zbudziła się w sercach litość; Prokop klął, ale już nie gościa, tylko te gadziny, które śmiały biędne dziecko porzucić tak na drodze na los szczęścia, na sierocą dolę. Położenie Jermoły usposobiło go do przyścia mu w pomoc, a może téż i wspomnienie rotmistrza, którego się wszyscy obawiali, pomogło nieco do tego; dosyć, że gdy wstali od stołu po kilkogodzinnej gawędzie, stary garncarz obiecał nazajutrz przyjechać do Popielni dla zobaczenia razem i dziecka i gliny.

Wziąwszy odeń słowo, które zapieć potrzeba było dla mocy kieliszkiem wódki, Jermoła wstąpił jeszcze do dworu opowiedzieć się rotmistrzowi, i pospiesznie, naprost, ścieżyną przez lasy mało komu znaną pobiegł do Popielni, co chwila już niespokojniejszy będąc o swego wychowanka, że mu Horpyna spać nie da pieszczotami, lub przysmakami zakarmi.

Spocony, umęczony, z zaschłemi usty, padając ze znużenia, miotany niepewnością co jutro będzie z garncarzem i czy się uda lub nie proba; w obawie, żeby darmo czasu nie stracić, wrócił Jermoła do chaty kozaczychy, a pochwyciwszy Radionka, którego jak po pół-rocznym niewidzeniu wyściskał, niebardzo chcąc się spowiadać z tego co zrobił, pospieszył do swojej chaty.

---

Nazajutrz raniuchno był już na nogach. Dziecko znów musiał zanieść Horpynie, bo nosić się z niem nie

było podobna: sam począł zamiatać i biegać przyspasabiając wódkę i obiad mięsny w piecyku dla spodziewanego Prokopa, którego lada czém zbyć nie wypadało, bo gębę miał popsutą.

Nie chybił zdun stary i około ósmej zajechał wózkiem jednokonnym przed karczmę. Umieszczono jakkolwiek konia pod ścianą obwaloną w zakątku; a że Prokop wódki się napiwszy naprzód zażądał widzieć sierotę, poszli po kilku kieliszkach do kozaczychy. Tu się ich widać spodziewano, a starucha sprzyjając Jermole, trochę téż przez próżność chcąc się pokazać i wystąpić przed obcym, nagotowała krupniku z miodem, przyrzadziła kiełbasę, największy przysmak na jaki zdobyć się mogła, a w dodatku i jajecznicę, co przyjęcie to podniosło do najwyższego stopnia przepychu, niepospolite dając Prokopowi wyobrażenie o zamożności domu.

Stary zdun wprawiony w doskonały humor, nie mógł się odchwalić sierotki: prawda, że Jermoła popisać się z nim umiał. Dalej tedy gdy nasz dworak wrzał z niecierpliwości, wyszli jakoś nareszcie szukać gliny we dwóch, choć Prokopowi od misy i flaszki niebardzo się chciało, i rad był odłożyć na kiedyindziej.

Jermoła gorąco Pana Boga prosił, żeby się dobra glina znalazła, ale prawdę rzekłszy, ani pojęcia nie miał gdzie jej szukać, ani nadziei znalezienia: ufał jednak że to się powiedzie więcej w Opatrzność i los, niż ludzi. Słyszając zawsze, że dęby rosną na pokładzie glińnianym; wiedząc, że glinę do obmazywania chat brano zawsze nieopodal od drzew, koło jego ogródka, w miejscu właśnie gdzie sierotkę znalazł, które się nawet glinkami nazywało: instynktem poprowadził tam zduna.

Wzięli z izby rydel, czyli jak go tam zowią zastup, i z milczącym Prokopem, który dla nadania sobie powagi obie ręce za pas pozakładał, poszli oba za pustkę na wzgórze.



— Ale to tu szczére piaszysko,—rzekł stary—głina musi być bardzo głęboko, i kto wie, czy się zda na co: niżéjby szukać jéj potrzeba.

Postąpili kilka kroków, i jakoś niedaleko dęba, który Jermoła Radionowym nazywał, dworakowi kopać się koniecznie zachciało.

Prokop, że to był rozkosznie i fatygi nie lubił, zaraz sobie usiadł na ziemi, a Jermoła plunawszy w dłoń, zamaszysto wziął się do kopania. Zrazu co odrzucił; licha było warte: piasek szary, piasek biały, piasek żółty i żwir, aż zastup coś twardszego napotkał i pokazała się glina... Ale i ta nicpotemu: prosto żółta i kamyczkowa, jeszcze w niéj nadto było piasku.

Pokazał na rydlu próbkę Prokopowi, ale ten na nią wzgardliwie spojrzawszy, ruszył tylko ramionami.

— Kopcieno dalej—rzekł sapiąc po kietbasie i jajecznicy—a dajcie mi swoje fajkę.

Oddałby był nie lulkę, ale ostatnią koszulę Jermoła, byle załagodzić Prokopa; żywo więc pozbywszy się cybuszka, jął się dalszój roboty w milczeniu.

Po téj glinie, coraz zsiadlejsza i gęstsza pokazała się druga, ale i z téj Prokop jeszcze nie był rad: nie byłato prawdziwa garncarska. Nareszcie w trzeciej szychcie zazieleniało coś i pokazało się nie wiedzieć do czego podobnego, płowego, gęstego, zsiadłego jak kamień. Jermole aż w sercu zastygło: odrzucił precz dobytą ziemię, sparł się na zastupie i westchnął. Wtém oko Prokopa padło na odrobinę téj ziemi wyrzuconéj pod nogi, twarz mu pojaśniała, porwał ją w palce, roztarł, posmakował.

— O! o! toście to wy wiedzieli o téj glinie na pewniaka!—zawołał—wiecie wy co to za glina: takiéj tu nie ma nigdzie naokoło aż we Włodzimiercu!.. O! filut z ciebie stary!—zakrzyknął Prokop, rzucając fajkę.

Jermoła zaniemiał, ale mu wypadło udać, że istotnie szedł z wiadomością rzeczy, tam, gdzie w istocie Opatrzność go tylko prowadziła. Uśmiechnął się.

— A głęboko to tego: poprobujcieno? — zapytał garncarz...

O! o! będą garnki! i jakie! Na dwanaście mil nie ma takich prócz Włodzimierca... śliczna glina, choć ją tyżką jeść jak masło.

Jeli już oba kopać i rozgrzebywać, a warstwa tego drogiego pokładu pokazała się obfita. Przerzynały ją wprawdzie wązkie żyły bielszej z piaskiem jeszcze i żwirem pomieszanej, ale te zaledwie okazywały się i znikały, a zielonawa śliczna glina zdawała się niewyczerpaną... Zawiazali jęj w płachtę dobrą kupę dla sprobowania, i zapiwszy tę sprawę, Prokop siadł na wóz strasznie głową kiwając, a spiesząc do Małyczek.

Takim sposobem odkryto w Popielni glinę, o której wprzód nikt nie wiedział, i pierwszy garncarz z radością w sercu niewystłowioną, pokląkł się pomodlić w swęj izdebce, po odjeździe Prokopa.

— Dziecię chłeb będzie miało!—wołał odchodząc od siebie z radości—dzięki ci Panie Boże, żeś mnie wysłuchał! Dziecię chłeb będzie miało!

---

Pan Bóg radzi o swęj czeladzi, powiada przysłowie, a czeladź boża to wszyscy ludzie dobrej woli, w których życiu tak znać widoczną rękę i pomoc bożą, jak często w losach dzieci ciemności i zła, widome są skutki grzechu. Świat ten zbudowany tak przemydrze, kierowany tak cudownie, że na nim samo dobro spełnione owocuje naturą swoją, a złe niesie karę i zgniliznę jak chorobliwy pierwiastek. Często dla oczu ludzkich niewidocznemi zrazu są te działania wielkich owych czynników, ale w końcu wychodzi na jaw głośno, co się wśród ciszy fermentując przygotowywało. Często znowu ostateczne skutki dobra i zła spełnionego na świecie, poza granicami jego dopięro się rozwijają: tam już sprawiedliwość boża każe ich się tyl-

ko domyślać. To pewna, że w żywocie ludzkim gdziekolwiek znajdziesz miłość i poświęcenie, za nimi idą w ślad spokój wewnętrzny, ubłogostawienie ducha, siły nadspodziewane, potęga sięgająca cudu. Nic dzielniej nie kieruje wolą i nie nadaje jej większego znaczenia. Miłość ma jasnowidzenia nieziemskie, ma wiedzę wlaną, instynktową, niechybność zdumiewającą.

Gdziekolwiek się ona i w jakiegokolwiek objawia formie, poznasz królowę: w zwierzęciu nawet wydziedziczonym, ilekroć je instynkt podnosi chwilowo do przeczcucia miłości wyższej, macierzyńskie przywiązanie, związek dwóch istot uszlachetnia je i niemal przybliża do człowieka. Nie ma smutniejszego bytu nad żywot anormalnie nacechowany samolubstwem, nienawiścią, wydzieleniem się z ogółu. Świat stoi tą wielką więzią miłości, która go czyni całym i jednym, a w którym sercu jej nie ma, odpadł od wielkiej bożej rodziny.

Miłość bezsilnego starca, jakim był Jermoła, przetworzyła go cudownie: nad grobem tęnęła weń życie nowe, i dała mu siły, jakich nie miał w młodości. Spytacie może: czemu-m tak maluczką istotę wybrał na przedstawiciela skutków tak wielkiego i wzniosłego uczucia? Ale jestże co małym i lichym z miłością w sercu? Zresztą powtórzę zawsze: natura maxime miranda in minimis. Prawda ta nie do jednego mikroskopowego świata naturalistów zastosować się daje: w świecie moralnym czasby ją też przystosować.

Po znalezieniu garncarskiej gliny w Popielni, wielkim w życiu Jermoły wypadku, poszło już wszystko staremu jak z płotka, choć nie do wiary zdawało się prawie ludziom, żeby zgrzybiały niemal staruszek, jął się skutecznie zupełnie sobie nieznanego rzemiosła. Ale wola wszystkiem jest w człowieku, a kiedy nią skieruje uczucie silne, czegoż we dwoje nie dokażą?

Na probie w Małyckach, gdzie się piec właśnie zasklepiął do wypalania, gdy parę garnków wytoczył

Prokop z nowój gliny, i poznačywszy, umieścił je między swojemi; kiedy następnie ostudzono je i rozebrano, wyszły potóm dwa białe, śliczne, dzwoniące, lekkie, a tak różne od wyrabianych z małyczkowskiej ziemi, że i Prokop i wszyscy przytomni osłupieli.

Żaden z nich nie pękł przy wypale, i kiedy je przywieziono do Popielni do chaty kozaczychy, zesła się gromada podziwiać tę osobliwość, a Jermoła całowal je i płakał.

Z Prokopem umowa o naukę, o postawienie pieca, urządzenie garncarskiego warsztatu stanęła bardzo łatwo; szło już tylko o ekonoma Hudnego, od którego téż pozwolenia było potrzeba na kopanie gliny i wystawienie pieca w ogródku. Szczęściem pani ekonomowa obiecywała sobie z tego wygodę: podarowano jej jeden z garnków na próbę wyrobionych, i pan Hudny nie mógł być bardzo przeciwny. Nie chcąc jednak wyjątkowo odstąpić od prawa przyjętego, dał do zrozumienia, że Jermoła powinien mu się będzie opłacić. Tymczasem nowemu garncarzowi nim został rzemieślnikiem, tyle razem wypadków spadły na głowę, że nie miał im czém podostać; Prokop darmo się nie ofiarował, a warsztat i kopanie, i cegła, i przyrządy kosztowały także. Izba okazała się zamałą, drugą więc, obok potrzeba było wyłatać i oporzadzić: czasu straciło się dużo, grosz zapaśny wprędce się wyszastał.

Nim cokolwiek przyszło z tego korzyści, trzeba się było zadłużyć po uszy. Przychodziło wprawdzie na myśl staremu ruszyć owo złoto Radionka, schowane skrzętnie, ale miał wstręt od tego; a obawiał się nie bez przyczyny, żeby pokazanie się dukata nie obudziło niepotrzebnych domysłów i nie spowodowało jakiego prześladowania.

Stara kozaczycha choć skrobiąc się i kiwając głową, ale że lubiła malca i Jermołę, potrosze rozwiązywała węzółki i podsycala go ciągle: im większy je-

dnak był wydatek, tém więcéj obawiała się, żeby całej téj garncarki lichu nie wzięło, i wyrzucała sobie, że do niej namawiała w początku.

Prokop, którego rotmistrz zawołał do dworu i surowe dał mu napomnienie, żeby się zajął nauką Jermoły, potrosze w tém i swego pilnując zysku, wziął się zaraz do roboty.

Hudny dostał 20 złotych za pozwolenie kopania gliny i wystawienie pieca; najęto dwóch ludzi do wyporządzenia izby, i w kilka tygodni stary Jermoła już niesił, gnoił, toczył, suszył, zabierając się do wypalania pierwszych garnków popielańskich. Sam Prokop pilnował ognia, i tak ślicznie wyszły, że ich w stratę nadzwyczaj mało odpadło; a kiedy je rozstawiono w izbie aż się oczy radowały, tak wyglądały schludnie i pięknie, tak dzwoniły, obiecując być trwałemi. Probę gotowania i drugiego ognia wytrzymały zwycięzko; a że nowość i na wsi popłaca, w kilka dni nie było jednej misy i jednego garnka na składzie, tak się doskonale sprzedawały. Nie popłaciło to długów, ale koza-czycha odebrała część jakąś, grosz się staremu został, Prokop się pożywił swoją częścią, ekonomowa uprowidowała, a nadzieje na przyszłość jak najpiękniejsze się zdawały.

W czasie całego tego zamętu, małego Radionka Jermoła nie spuścił z oka ani z rąk, o ile tylko mógł. Chłopak się téż stawał coraz mniej zawadny: rósł, roztropniał i już można było przewidzieć, jak śliczne zeń będzie pachole. W najkłopotliwszych chwilach Jermoła porzucał go u Horpyny, która temu gościowi zawsze była bardzo rada; ale nocy nigdy mu nie dał przebyć pod obcym dachem, bo smutno już było na dłużej pozostać bez dziecięcia. Nawet biędna koza w takich razach nie wiedziała co począć: zostawszy przy dziecku beczala za starym; pobiegłszy za Jermołą, tęskniła do Radionka.

Szczyściem najtrudniejsze do przebycia pierwsze chwile nauki i wprawy przeszły wprędce. Jermoła przekonał się o prawdzie przysłowia, że nie święci garnki lepią, i uczeń pojętny pochwycił żwawo pierwsze zasady swój sztuki; ale toczenie i lepienie, przysposobienie gliny, daleko było łatwiejsze od układania garnków w piecu i wypalania ich. Tu umiarkowanie ognia, dopilnowanie go, zagaszenie w porę, poznanie dojrzałości, żeby w pół surowe lub przepalone nie wyszły: stanowiły dość trudne zadanie, potrzebujące i wprawy, i doświadczenia, i wiadomości pewnych.

Prokop, który chciał zawsze być staremu potrzebny, tajemnice owe półgębkiem tylko wyjawiał: musiał je odgadywać Jermoła, sam niejako domacując się prawdy. Silna wola skupiająca wszystkie władze umysłu na ten jeden przedmiot, i to mu wielce ułatwiała.

Pierwsze lody były przełamane, a gdy zima przeszła, a druga wiosna zalała brzegi Horynia; gdy znowu flisacy pokazali się nad rzeką, Jermoła już naprawdę został garncarzem, i cały swój zapas garnków sprzedał cieślom i robotnikom przy drzewie. Rozerwano je w okamgnieniu: ekonomowa się pognięwała, stary swoje nawet garnuszki musiał pooddawać.

Mały Radonek rósł tymczasem szczęśliwie i tak się bujnie rozwijał, że w sercu było błogo nań patrzeć. Bełkotał już to słodkie imię ojca, które łyzy z oczu wywoływało Jermole: próbował chodzić, nie potrzebował starój kozy, bo i ze skórką chleba dał sobie rady, a żydówka poczciwa służyła mu tylko do zabawy.

Przybyło i koźlą do tego gospodarstwa, za co się Jermoła nie gniewał, choć więcej niem zajęta żydówka, przeniosła często naprzykrzone dowody swojego przywiązania na rodzzonego syna. Radonek też zabawiał się z tym braciszkiem jeszcze wcale niestrasznym w sposób tak śmieszny, że stary często patrząc na nich dwoje, brał się za boki; a że później miał zawsze po-

wód do tego wyściskać dziecko, i koźlęciu był wdzięczny.

Do téj smutnej i osamotnionej przed rokiem pustki, dziś z podrzutkiem razem wstąpiły: nadzieja, wesele, i życie. Trudno było poznać Jermołę, tak wymłodniał, tak się stał czynnym i żwawym. Część karczmy, którą zajmował wyłatanó, na nowo pokryto, wyporządkowano drugą izdebkę, ogród gdzie teraz był piec miał już płoty i wrota porządne: widać było choć powolny wzrost zamożności. Do kozy i jej synka przybył służka nowy, którego do pomocy wziął Jermoła: chłopak lat około dziesiątka, sierota także, zwany Huluk; samemu trudno już było podołać na wszystko, a wyrostka miał czém zapłacić. Kobięty tylko brakowało w chacie, ale stara kozaczycha zastępowała im gospodynią: u niej się chleb wypiekał, bieliznę szyła i prała, a poczęści warzyła strawę, i przygotowywała zapasy spiżarniane.

Ile razy Jermoła chwalił się swoim garncearstwem, wdowa zawsze przypominała mu ów pęknięty garnek, który do niego pierwszą myśl podał; a jak często zdarzenie to opowiadała, wyliczyć trudno. I jej téż jakoś Bóg szczęścił w tém, czego najmocniej pragnęła, bo Horpyna nareszcie wyszła za mąż bardzo świetnie. Pisarz ów, który oddawna do niej dojeżdżał, umizgał się, kręcił, rozpatrzywszy lepiej, a serca widać pohamować nie mogąc, naostatku oświadczył się staruszce. Nie było jej to może zupełnie po myśli, bo choć córka szła za jednodworca i niby los robiła, ale wdowa wolała by gospodarza, wieśniaka, któryby przy niej został przyjmakiem. Chłopcu zaś o tém ani gadać było: na gospodarstwo wiejskie przechodzić nie myślał, wybierał się ekonomować i roił Bóg wie co: kozaczycha więc traciła córkę i sama jak palec zostawała w Popielni na dożywocie. Po szumném weselu, kiedy żonę nazajutrz wzięwszy, pisarz odjechał z nią do domu:

wdowa w swój pustej chacie wytrwać nie potrafiła, tak jej te kąty przypominające córkę osmutniały, i poszła na cały dzień do Jermoły. Odtąd rzadko doba upłynęła, żeby go nie odwiedziła, mogąc się z nim przynajmniej wygadać o Horpynie, o swém sieroctwie, a taki i Radionek ją trochę obchodził. bawił i rozrywał: starucha przywiązała się doń powoli.

---

Przeskoczmy teraz lat więcej dziesiątka, i spojrzym znowu na tych, których porzuciliśmy dziećmi i starcami, pracujących z nadzieją na przyszłość.

Wiele się tu odmieniło, a naprzód niktby Radionka nie poznał, tak wyrósł i dojrzał zawczasie.

Ludzie więjcy, których dzieci pracą przybite powolniej odrastają od ziemi, patrzyli nań z podziwieniem i potrzęsali głowami, szepejąc pocichu, że w nim krew musiała być szczęśliwa i silna, która taki wzrost, wejście i rażność mu dawała. W istocie ani go było porównać do rówieśników ulicznych, ale też żaden z nich takiego jak Jermoła nie miał ojca, i nie wyrósł na kolanach ukochanym jedynakiem. Wśród tłumu zaraz na siebie ściągał oko: rysy twarzy miał bardzo regularne, owal nieco przedłużony, oczy piwne pełne życia, nos prosty, usta małe, i nieco wystające, co im nadawało wyraz szczególny, niby z odrobiną dumy, niby z uczuciem siły. Ten charakter fizjonomii powiększało jeszcze podgolenie głowy wysokie, będące we zwyczaju na Polesiu, istotnie twarz uszlachetniające uwydatnieniem czoła; na wierzchu tylko głowy pozostawiony włos długi, piękny, spadał na tył z fantazją w puklach złocistych. W budowie jego ciała nie znać było, że mu brakło macierzyńskiego pokarmu: tak była silną i krępką. Barczysty w ramionach obiecywał wzrost więcej niż mierny, a wychowanie proste i nawyknięcie wczesne do pracy, powietrza i niewygód, dało mu gibkość, sprężystość i zręczność niemal dzikiego zwierzątka.



W wejrzeniu Radionka małował się rozum bystry: śmiałe było i pewne, jakby o walce życia i ciężarach jego nie miało pojęcia, lub całkiem się ich nie obawiało. Gorących uczuć, ciekawy, żywy młody chłopak, wychowaniu starca troskliwemu i pieśczośliwemu winien był rozwinięcie swoje, ciepłym sercem i miłością ojcowską przyspieszone. Miłość przelewa się w otaczające istoty, uzacnia, podnosi, nadaje rozum i władzę, jakimi nie w świecie obdarzyć nie może. Otoczony opieką, czuwaniem i staraniem Jermoły, wszystko co go okalało od dzieciństwa widząc łagodnym i przyjaznym, przywykł do tych uczuć Radionek i upodobał w nich sobie: kochał wszystkich i czuł, że mu z tym było dobrze. Cała też wieś uważała go, rzecz można, za swojego wychowanka; i wyjąwszy ekonoma Hudnego, zawsze jeszcze mieszkającego w Popielni, chociaż wybierającego się co roku na dzierżawę, który chłopca nie lubił, reszta go kochała i pieściła.

Wioskowa młodzież, chłopaki i dziewczęta szli na jego skinienie w każdej sprawie, a on choć trochę lepiej od nich wyglądał, choć więcej umiał, nigdy nie pomyślał nadużyć swój siły, albo się nią przechwalać. Usługiwał się drugim, ale nie szkodził nikomu. Żaden też ojciec ze krwi nie wychucha tak swego dziecięcia, jak Jermoła Radionka. W pierwszych latach hodował ciało; później, gdy się oczy i usta otwały, począł wypieszczać duszę i zbroić ją w siły na życie.

Instynkt przywiązania wskazał mu wybornie drogę, jaką miał postępować.

I stał się tu cud, który często niepostrzeżony przechodzi po świecie: nauczyciel wykształcił się razem z uczniem, wola wyrobiła serce, uczucie rozjaśniło rozum. Szukając dobra dla dziecka, Jermoła znalazł je dla siebie: z zamartwych nasion wyrosły owoce późne, ale piękne.

Chcąc nauczyć dziecko, musiał sam wprzód szukać nauki starzec: ślęczał, zgadywał, badał, modlił się i trafiał na to sercem, na co rzadko rozumem wpaść można.

Maluczko tam było téj nauki, ale wielkiéj. Dziecię umiało czytać, a innéj książki nie znało nad ewangelią..... Ta je odrazu wykarmiła zdrowém słowem życia.

Oprócz tego starzec zawsze w obawie, by sieroty zawczasie nie odumarł, jak tylko rękami władać począł Radonek i siłę miał potemu, wprawiał go do rzemiosła, oswajał z potrzebniejszymi w powszedniém życiu tajemnicami, które oswobadzają człowieka, czyniąc go mniej zależnym od drugich. Wieśniacy nasi wszyscy są jeszcze na tym stopniu pół-dzikich ludów, które wyższość ich nad ucywilizowanemi stanowią, mogąc bez cudzej pomocy prawie wszystkie swe zaspokoić potrzeby. Chłopek umie mnóstwo rzeczy; codzién co innego robić będąc zmuszony, jest zarazem rolnikiem, cieślą, stolarzem, budowniczym, mularzem, farbiarzem, tkaczem, a w gwałtownéj potrzebie wynajduje łatwo środki poradzenia sobie.

Inaczéj się ma wcale z ludami w stanie wyższéj cywilizacyi żyjącemi, i spojonymi w solidarniejszą całość. Nie powiem żeby to stanowiło ich wyższość; przemienieni na osadników w krajach nowych angielscy wyściancy, po większej części upadają pod ciężarem życia, któremu podołać nie mogą. Nietylko w wielkich miastach, ale po wsiach nawet każdą rzecz kupuje się gotową, a zatém jedno się tylko umie, i zamianą zdobywa resztę. To prawda, że to jedno fabrykuje się dobrze, tanio i zyskuje na zamianie; ale takie wyłączenie człowieka i uczynienie prostém kółkiem maszyny, które tylko na swoim miejscu na coś się przydało, a wyrzucone z osi nie przyda się nigdzie: nie może być zdrowéj cywilizacyi wynikiłością. Nieopatrzny to i niespodziewany skutek zbytecznego podziału pracy, który

ma wielkie korzyści, ale posunięty do ostateczności jest także wielkiem niebezpieczeństwem. Myśmy w tym względzie nie podpadli jeszcze przesadzie, na jaką już Zachód chorować poczyna.

Jak każdy chłopek wiejski tego wieku, Jermoła umiał wiele rzeczy, które nabył w codziennych wypadkach pospolitego życia, a nie liczył ich nawet za umiejętność: przecież były to zapoznane skarby.

Z rzemioła garncarz i garncarz wyborny, oprócz tego potrosze był rybakiem, nauczywszy się za zabawkę stawiania więcierzy i użycia ości; siekierą robił zręcznie, nie obca mu była ciesiołka, znał się z wozem, a w powszedniem gospodarstwie potrafił mnóstwu drobnych zajęć dać radę, które gdzieindziej są rzemiosłem wyłączeni.

Gdy dziecię to tak szczęśliwie podрастаło i stawało na nogi, Jermoła przez ten lat dziesiątek niewiele na oko postarzał. Powierzchnownie zmienił się mało: trochę nagiął się tylko, skurczył, posuwał nogami czasem, ale współ z synem przybranym garncarzował, krzątał się, i ciągła czynność utrzymywała w nim siły. W nauce życia, której niestety nie uczą nigdzie z katedry, wielka to także tajemnica czynność nieprzerywana; wielu starców zawczesnych sami się wyrzekli życia, któreby przedłużyć mogli, nie dając ognisku wygasać. W pracowitej doli wieśniaka do ostatniej godziny, do choroby ostatniej, dnie są zawsze zajęte, ciało nie twardnieje w gnuśnym spoczynku: ruch je podsyca, krzepi, zastala. U nas często dobrowolnie pieszczota i niemoc umysłowa zabija ciało, nieużyte organa ulegają rodzajowi atrofii, władze moralne nawet niszczejają nie wprowadzone w czynność: kładziemy się spać i już później nie wstajemy. Jermoła żył w ruchu i pracy, i niestarzejąc widocznie, zawiądł tylko.

Wprawdzie robota około garnków dość lekka i krzątanie się domowe, całém były jego zajęciem, bo

go w cięższych rzeczach wyręczał Radionek i Huluk; ale życie było nie próżne, a pod pozorem starości, ani godziny więcej nie dawał sobie spoczynku. Spokój umysłu i serca wpływał na utrzymanie go w tym stanie błogiego bytu i zdrowia. Nigdy mu nawet na myśl nie przyszło, żeby kto kiedy o dziecię jego mógł się upomnieć i śmiać mu je odbierać. Jeszcze lat kilka, a spodziewał się je widzieć usadowione bezpiecznie, ożenione, niepotrzebujące pomocy, idące o własnych siłach. Garncarstwo szło im coraz a coraz pomyślniej: stary Prokop zmarł coś w lat kilka po przelaniu swojej umiejętności na Jermołę, piec jego utrzymywany zrazu przez parobka, później coraz gorszych dostarczając wyrobów, upadł w ostatku całkowicie. Nie potrzebował tego Jermoła dla odbytu swoich garnków, które i tak rozprzedawały się wybornie; ale nie zaszkodziło mu i to, że Małycki zasposabiały się w Popielni. Zresztą garnki tutejsze tak były lekkie, mocne, tyle miały przymiotów, że się z nimi zapraszać nie mieli potrzeby; a nawet rzadko wozić je musieli, i to nie dalej, jak na targ do miasteczka, gdzie żydzi i przyjezdni natychmiast je rozchwytywali. Sąsiedni zdunowie robili tylko czarne i kruche, ukazanie się więc białych na targu, zabiło całkiem odbył ostatnich.

Jermoła robił wedle form i zwyczajów tylko różnych miar garnki gospodarskie, misy i hładysze, nie myśląc o czém inném; ale gdy podrośł Radionek, chłopak przebiegły a żywy, znudziło go wkrótce jedno toczyć a jedno. Najprzód owe czerwone pasy, pręgi i lęgotki zawsze jednostajne na wszystkich garnkach, począł coraz przemieniać i bawić się figlami, które na nich rysował; potem przyszła mu ochota dziwaczna wyrabiać niebywałych kształtów garnuszki, dzbanuszki, dwojaczki: aż do tego przyszedł, że i koniki ze świstałkami (zabytek indyjski pono, bo tam koniki takie gliniane są talizmanem strzegącym pól i ogrodów), i różne dla dzieci

małe zabawki wyrabiać sprobował. Wszystko źle się wypalało, nie udawało zrazu, ale stary na te trzpiotowate próby pozwalał.

Kiedy to pierwszy raz na targ wywieziono i rozstawiono na rynku, zleciały się baby i spostrzegłszy różne rzeczy nowe, bardzo potrząsały głowami: garnki niezwykłych rozmiarów przerażały je, przywykłe były już do swoich znajomych, krytkowały więc tę reformę niepotrzebną. Ale młodszym i dzieciakom tę drobnostki tanie a pocieszne podobały się: bogatsze gospodynie zamiast obwarzanków powiozły dzieciom koniki i dwojaczki maciupenkie, a koniec końcem zakupiło się to bardzo dobrze. Jermoła śmiał się i rad był, w głowę Radionka całował; chłopiec klaszcząc w ręce wieszał mu się na szyi.

Ale na tymże targu wpadły mu w oko gdzieś misy polewane, tygielki w środku zielone i różne wyroby ze szklistą powłoką, której dawać nie umieli; chłopiec począł się już tém niepokoić.

Wrócili do domu, Radionek posmutniał.

— A toż się cieszyć powinienes! — rzekł mu Jermoła — powiodło ci się nad moje spodziewanie; czego się znów chmurzysz moje dziecko?

Chłopak uściskał go w milczeniu.

— Ot co, ojcze — rzekł — polewa ta spać mi nie da.

— Polewa! znowu co nowego: a nam to na co? Garnki nasze i tak się dobrze dzięki Bogu sprzedają! Na polewane roboty innéj podobno gliny potrzeba, robota insza koło tego, zachód nowy: do czego sobie tém głowę suszyć?

— Ale bo to nie widziałeś ojcze, jaką cenę brał garnkarz za polewane misy... A jakie to harnel!... malowane w liście różne i taki czyściejsze i mocniejsze... Ludzie mówią, że strawa się w to nie wjada i nie przechodzi, wymyć łatwiej. Czemubyśmy, batku, i my nie mieli się nauczyć polewy?

— O! co ci się zachciewa— westchnął Jermoła ciężko, obawiając się zmiany, bo z dotychczasowej do- li był kontent.—Nie wiesz dziecko, jak to rzecz trudna! Mnie już do nowego ciężko, tobie jeszcze zawczasu: gdy zechcesz to się i później nauczysz.

Radonek nic już nie odpowiedział, ukrył w sobie gorące pragnienie, ale polewy nie zapomniał, tylko dla spokoju starego już o niej nie mówił.

Ale ojciec, który pragnął nad wszystko dziecku swojemu dogodzić, choć nie był pewien czy się uda, i dlatego nie łudził go nadzieją zawczasem, aby na zawodzie nie cierpiać: nie omieszkął starania, i począł przemyślać o owój nieszczęsnej i kłopotliwej polewie. A że u niego nic się nie działo bez kozaczychy, więc poszedł wieczorem do niej na radę.

Tu także lat dziesiątek wielkie, choć powolne zrobił zmiany: wdowa podupadła na siłach, choć zawsze jeszcze trzymała się na czele swojego gospodarstwa; Horpyna już gdzieś we wsi była ekonomową o mil parę, i zacząwszy nosić szlafroczyki i chustki na głowie, a nareszcie czepeczki i kapelusze, niebardzo się do matki przyznawała, chcąc trochę za szlachciankę uchodzić. Rzadko już przyjeżdżała do Popielni i to zawsze tylko z jakąś potrzebą; ale stara Harasynicha błogosławiła chwile ciężkie, gotową będąc do datku, byle się przez dni kilka córką i wnuczetami pocieszyć. Gdy się przyszło rozstawać, a nigdy jej nawet dziecka zostawić nie chciano, kozaczycha upłakała się: siedziała potem dni kilka milcząca u pieca tży tżykając, ale i w tém dogadzając córce, wstydu jej sobą robić nie chciała i nie jeździła do niej. Ten stan ciągłego pragnienia i samotności zrobił kozaczychę smutniejszą niż dawniej była: jedyną dla niej pociechą stał się Jermoła, z którym o Horpynie mówić mogła, poskarżyć się i poboleć; on nawzajem naradzał się z nią o Radionku i bez niej nie wziął się do niczego ważniejszego. Te-

raz téż, gdy się począł polewą zajmować, zaraz z nią do staréj przyjaciółki pospieszył, zostawiwszy Huluka i Radionka uprzątających coś koło warsztatu.

— No! a coście tam nowego przywieźli z jarmarku?—zapytała wdowa— nie było tam mojej Horpyny?

— A była!—rzekł Jermoła—O! ani jój poznać, taka teraz pani: przyjechali parą końmi w półszorkach rzeziennych, wózkiem malowanym: kudy мене wedes z!! Stanęli w karczmie i kupowali coś po sklepach!

— A nie pytała się ona o mnie?—westchnęła stara.

— Owszem, owszem, jakże nie: kazała się kłaniać—podchwycił dworak—wołała mnie umyślnie do siebie, pogładziła pod brodę mego Radionka.

— A miała z sobą które z dzieci?

— Nie, żadnego....

To rozpytywanie nie miałoby końca, gdyby smutny wyraz twarzy przyjaciela nie uderzył kozaczychy.

— A co ty, nie słaby?—zapytała—coś tobie jest?

— Oj! odgadliście matko—zawołał siadając na ławie staruszek—mam znowu biędę....

— A no! to mi ją powiedzcie, poradzimy.

— Trudno! Mój chłopak, jako gorączka a młode, najrzał na targu polewanego naczynia; teraz mu go z głowy nie wybić, zachciało się polewy!

— A co? nie mówiłam?

— Mówiliście?

— Jakże nie! Przypomnijcieno sobie, jak zaczął koniki lepić, i te garnuszczyki nie do rzeczy, w które ledwie półkwaterek włazi: zarazem prorokowała, że mu się poczekawszy polewy zachce.

— Otóż się tak i stało—rzekł Jermoła—ani teraz wyperswadować; ja go trochę pomiarkowałem, ale chciałoby się dziecku dogodzić, a nie wiem jak.

— No! to pójdziesz się polewie przypatrzeć.

— Moja matko, jabym to zrobił, ale czy potrafię? Garnek zlepić to inna rzecz, polewa trudniejsza dale-

ko; bo to tam, słyszę, do niej różne kramne rzeczy wchodzą: trzeba wiedzieć jak to smażyć.... Oczy mi nie służą, pamięć nie potemu — westchnął stary — A! a takby się chciało dziecku dogodzić!

— Cóż zrobicie?—spytała kozaczycha.

— Sam nie wiem jeszcze: kupić nie kupić, potargować można—rzekł Jermoła—juściżby choć spróbować potrzeba.

— Byłam tego pewna—odpowiedziała stara z uśmiechem—jakbyście to wy potrafili oprzeć się w czém swojemu dziecku. Znam ja to, znam; to tak właśnie, jak ja z moją Horpyną: człowiek stęknie, ale musi robić co oni zechcą.... Pójdiesz gdzieś nieboraku za polewą.

— Juściż pójdę—westchnął Jermoła — alebym chciał, żeby dziecko o tém nie wiedziało. A nuż się tam nie uda? będzie go już korciało: za to jak się zrobi, o to będzie radość!

— Zupełnie tak jak ze mną—zawołała kozaczycha—słowo w słowo. O mój Boże! ja to znam; ale dokądże pójdziecie?

— A cóż? wezmę trochę grosza i pociągnę do tych garncarzy, co na targ polewę wywożą: za pieniądze mnie nauczą. Bylebym ja cokolwiek rzecz pokosztował, byleby się zresztą zgodzili. Jak ja nie potrafię, zaprowadzę malca: on to odrazu pojmie! Boję się tylko, żeby mnie nie przegnali... A jak się tu do tego brać? przyjść z tém do nich żeby im chléb odbierać?

— Już to prawda, że nie z każdym tak pójdzie jak z Prokopem; ale nad syrotoju, Boh z kalitoju—dodała baba—jakoś to będzie.

— Takto i ja myślę—rzekł wstając Jermoła—Ja jutro niby za inną sprawą pociągnę do miasteczka: moja kumo, miejcie oko na Radionka, żeby z Hulukiem razem nie zmalowali czego, bo gotowi popłynąć dziurawém czółnem, albo co!



— E! to chłopcy stateczne.

— Niczego, chwiała Bogu, ale pałki, szalone; jak im co do głowy zaświta, gotowi polecieć w las, pójść nad rzekę: uchwaj Boże jakiego nieszczęścia.

— Trudnoż mnie ich dopilnować.

— Ale najrzyjcie i przestrzeźcie.

Tak się starzy rozstali, a Jermoła powróciwszy do domu, zaraz chłopcu zapowiedział, że mu żydzi w miasteczku za garnki zawinili i kazali po jarmarku przyjść po pieniądze; że musi pójść długi odbierać, więc może kilka dni zabawi, przestrzegając, żeby pod jego niebytność domu pilnowali i wzięli się do roboty, a rzece i lasom dali pokój.

— A to wy pieszkim iść myślicie?—zapytał Radionek....

— A cóż? wszakci konno nie pojedę?—żartując odparł stary.

— Alebyście sobie wóz nająć mogli?

— E! pożał się Boże! Koni u nas we wsi nie ma prócz Chwedkowej kobyły, której się nie doprosić; a wołami jechać, to lepiej już iść piechotą. Przytém nogi zakłękają ustawicznie siedząc, trochę się człek rozprostuje.

Stary nie liczył lat swoich, a siedzeniu tylko przypisywał osłabienie nóg, które było skutkiem wieku. Żał mu było grosza wydać, bo od czasu jak się im cokolwiek lepiej wiodło, składał dla Radionka co mógł, żeby na czarną godzinę nie zostawić go bez zapasu. Wolałby być z Chwedkiem pojechać, ale na to trzeba było wydatku, a dla siebie Jermoła był oszczędny.

Nie mógł go chłopak namówić, żeby furę najął; ale z wieczora cichaczem posłał Huluka na zwiady, czy kto nie jedzie do miasteczka, i za swój grosz tak najął wóz, żeby Chwedko nie powiadał, że jedzie najęty, ale darmo podwozi Jermołę, mając inną sprawę do miasteczka. Trafili szczęśliwie do Chwedka, że nie był za-

mówiony, a stary wzięwszy dwa złote, podjął się udawać i kłamać. Z wieczora już wszystko Radionek ułożył, a po powrocie Huluka ze wsi, przyszedł starego w rękę całując:

— Mój bał'ku—rzekł—tylko cośmy się spotkali z Chwedkiem; on jutro jedzie swoją kobyliną do miasteczka, nudno mu samemu, więc prosi się, żebyście z nim jechali: grosza nie dacie.

— Chwedko? gdzie? jak?—niedowierzająco spytał Jermoła, ściskając Radionka—ej, czy tylko nie bałamucisz, moje dziecko?

— Ale nie, poświadcież Huluk?—zawołał Radionek, który nad parobczakiem taką miał władzę, jaką zawsze daje wyższość umysłowa, połączona z sercem poczciwém.

— A jakże nie!—podchwycił chłopak gorąco.—Sam słyshałem jak prosił, żebyście się bez niego nie wyrwali, bo on tu jutro dodnia przed chatę zajedzie.

Jermoła pokiwał głową, myśląc już tylko, jak się dalej dostanie; ale rad był, że Chwedka mu złapali, i nóg nie namęczy: ucałował Radionka raz jeszcze i położył się spać, przemyśliwając o polewie.

Radionek milczący dumiał o tém samym, a choć się nie odzywał, żeby starego nie męczyć, wciąż mu chodziło po głowie, jakiego on dzbanki i misy robił, jakby je ślicznie malował zielono, czerwono, czarno, biało i żółto, gdyby tylko umiał. Usiłował odgadnąć jaka w tém tajemnica być mogła; ale biédnemu dziecku bez żadnej skazówki niepodobieństwem było wpaść na tor jakiś: wzdychał tylko i biedził się.

---

Nazajutrz raniuchno, na dzień się zabierało gorąco, i od świtu straszliwie wypogodzone było niebo, co zawsze zapowiada niepogodę; nad lasami nawet białe maluczkie obłoczki polatując, zwiastowały zebrać się na

wieczór mającą burzę: słońce piekło, wiatru ani powiewu. Chwedko słownie przystawił się ze swoim wozem i szkapą, i co lepiej, umiał Radienkowi dochować tajemnicy. Wszedł do chaty oznajmić się i fajkę zapalić, powołując Jermołę, jakby z łaski zajechał, i narzekając na tę podróż.

— No kumie, a prędko? Wybierajcie się: we dwóch nam będzie weselój. Licho mi nadało interesa do miasteczka, a tu skwar, a tu ogniem pali... Co to będzie o południu! trzeba pospieszać! Siadajcie, siadajcie, nie marudźcie.

Jermoła pokryjomu tylko wziął z groszem węzełek zanadrę, zapalił lulkę i już był gotów.

— Jedziemy kumie.

Starzy przyjaciele umieścili się oba w półkoszku na wiązce siana, i dereszowata Chwedkowa kobyła zaprzężona w chomąto i dużą prostą, obejrzawszy się na swojego pana, wolno ruszyła drogą przez wioskę.

W tém życiu naszego ludu, stworzenia, które są mu pomocą, składają razem niejako towarzystwo jego: owieczka, koza, krówka, byczek, koń, nawet gęś i kura sąto wszystko przyjaciele serdeczni, druhowie: ile to po każdym z nich płaczu, choć z niemi ile kłopotu! Po przyjacielsku gniewają się na siebie, biją, kłóca, przeklinają, ale niechże bydłatko zachoruje lub broń Boże zdechnie, ile też, jakie tam żale! Chwedkowa dereszowata, o której tu nareszcie wspomnieć muszę, bo na to ze wszech miar zasługuje, należała do tych istot wybranych, z którymi życie jest ciężkie, ale bez których obejść się nie można. Wielkich przymiotów i wad ogromnych, stanowiła bogactwo swego pana, jego utraćenie i pociechę, a w życiu jego niezmiernie ważną odegrywała rolę. Naprzód w téj wsi poleskiej, jak inne tego rodzaju prawie całkiem obrabiacjącej rolę wołami, była niemal jedynaczką; znano ją, szanowano powszechnie i na niej opierały się wszystkie przyspieszo-

ne posyłki, do których najmowano Chwedka nieustannie. Zarabiał nią stary w rok najmnień jakie trzysta złotych, to jest trzykroć więcej niż dereszowata warta była, jeżdżąc do miasteczka z posyłkami, najmując się z żydkami i t. p. Woły wozity belki z lasu i odrabiały z chaty pańszczyznę, a sam Chwedko utrzymywał się całkiem z téj klaczy. Wyżywienie jój niewiele go kosztowało, w lecie bowiem nie znała nic prócz zielonéj paszy podróznój, a zimą, zgoniny, sieczka, plewy, garść siana, rzadki garniec owsa wystarczały wstrzemięźliwój z musu chudzinie. Niezbyt rosta, stara jak świat, bezdzietna zawsze, zdrowa i niezmiernie wytrwała, do pociągu silna: dereszowata miała moc charakteru i grzbietu nadzwyczajną. Małeńkim kłusikiem, w miarę obładowana, ciągnęła byle jój nie pokazywać batoga; uderzona, stawała, i naówczas żadna siła ludzka ruszyć jój z miejsca nie mogła. Chwedko téż dla proporcji jako insignia nosił batóg, bo znów żaden wieśniak bez niego z domu nie wyjedzie; ale go nigdy kobyle nie pokazywał, a jeśli podpiwszy ćwiknął nieostroźnie, pewnie za to pół godziny w miejscu pokutować musiał. Instynkt dereszowatej długim nabyty doświadczeniem był nieomylny: wiedziała dokąd pan jechał, wiozła go, kierowała, omijała kałuże, wybierała drogę, zatrzymywała się gdzie było potrzeba z trafnością podziwiania godną, choć lejce jak batóg, były tylko dla oka, i całkiem się z nią stawały bezużyteczne. Chwedko rozmawiał z nią jak z człowiekiem, przybierając tylko pewien głos donośniejszy, który klacz zaraz brała do siebie; swarzył się z nią, chwalił, pochlebiał, zachęcał, obiecywał, a o niej tak rozprawiać lubił, dzieje jój i czyny opowiadać, że w przysłówie poszła po wsi Chwedkowa kobyla. Gdy kto co nazbyt często powtarzał, śmiano się z niego, mówiąc: O! o! Chwedkowa kobyla!

Wywdzięczając mu się, dereszowata nikogo téż znać nie chciała prócz niego, i obcy człowiek nie miał

do niej przystępu, tak była złośliwa i uparta: jeden Chwedko mógł sobie z nią dać rady. We wsi znali ją tak wszyscy, jak kozę Jermoły dawniej, póki nie zdechła; jak gniadosza Hudnego i sroką krowę Szmulowej. Typ naszego konia wiejskiego: niepozorna, mała, grubo-płaska, koścista, z nogami grubawemi, ale dobrze zbudowanemi, na zębach z przywileju wrześniaków zawsze siódmy rok pokazująca: dereszowata z początku każdej podróży nalegała na jedną nogę, ale ta ułoga ją mijała, gdy się nieco rozeszła i rozgrzała. Łeb miała dosyć duży, jedno oko nieco przybolate, sierć miejscami powydrapywaną, bo się tarta w stajence o chrustianą ścianę, grzywę i ogon potrosze straciła, trzechby groszy za nią nie dał spojrzawszy: ale niejedno dobrze pasiony szkapa, z pozoru piękny, nie sprostałby jej w wytrwałości. Cały dzień mogła nicnie jeść i żyć tylko napojem, bo żydzi i chłopci po sześć razy konie poją, pewni, że to poczęści zastąpi owies, którego szcędzą. Głód był dla niej pospolitą rzeczą: na noc zaspakajała się trochę siana i garścią zgonin, nie przebierała w jadle, nie potrzebowała podściołu, trawę gryzła gdzie już tak było czarno, że zdaje się, iżby i gęś nie pożywiła się: skrzywdzić się jednak nie dała.

Zwłachawszy worek z owsem pewnie go odwiązała i wyjadła, odgryść się z oboroti potrafiła czując w tém korzyść lub wygodkę; cudzemu koniowi odebrała zawsze obrok choćby się o niego pokasać przyszło, a obronić się czy psu, czy ludziom umiała nietylko kopytami, ale i zębami. Obcy musiał bardzo do niej przystępować ostrożnie, gdyż na wszelki wypadek zawsze nieznanomego częstowała wierzgnieniem. Nieoszacowane to stworzenie, wedle najumiarkowańszej rachuby, służyło Chwedkowi lat już ze dwadzieścia, a pewnie nie później piątego roku było do zaprzęgu wzięte; do-  
tąd jednak, prócz trochy początkowej astmy, nie miała innego defektu.

Usiadłszy na wozie, pozapalał fajki, Chwedko i Jermoła niezważając już wcale na dereszowatą, która wzięła na siebie pokierowanie podróżą, poczęli gawędzić swobodnie.

— A pamiętacie, kumie, jakto ja wam kozę kupowałem?—rzekł stary śmiejąc się—he! Szmul jeszcze mi to dodziśdnia pamięta.

— Bóg ci zapłać, Chwedku, ślicznie się nam udało; choć koza zdechła, ale mi dziecko wyżywiła.

— Niech Bóg szczęści, śliczny chłopak.

— Aż pociecha patrzeć, gdyby jagoda! A! a! co to za chłopiec—dodał Jermoła—rokby o nim potrzeba gadać, żeby wypowiedzieć, jakie to pocziwe, rozumne, i śliczne, i roztropne...

— Jak moja kobyła — dorzucił Chwedko — nie porównywając: coto za skarb dereszowata! A nu! wiu! staruszko! wiu, gołąbko! wiu, he!..... A wy się na starość wyprowadzili na garncarza?.....

— Ha! potrzebać było dać chleb dziecku.

— Zapewne.... Ale czyto myślicie, że się o niego rodzice nie upomną do końca?

— A któżby się śmiał upomnieć?—zawołał niespokojnie Jermoła — a na cóżby go rzucali, żeby się potem dopominać?

— Ta! to się różnie trafia—odpart Chwedko—bywa i tak, że rodzice się wyrzekną nazawsze; ale bywa, że potem przyjdą i powiedzą: oddaj nam nasze.

Jermoła aż się wzdrygnął.

— A jakie ono ich?—krzyknął—a coto? przecież go rzucili nieboraka precz! A kto go hodował, harował, pracował i chuchał? Więcej on dziś mój niż ich....

— Myślicie? Ja to tam nie wiem—rzekł Chwedko—ale tak sobie kmetuję różnie.... A powiedzieliście małcowi jak do was przyszedł?

— Nie robiłem z tego tajemnicy—odpart Jermoła—zresztą i ludzie i cała wieś wie o tém, byliby bezemnie

dziecku wyśpiewali: na co było taić? Zarazem mu całą rzecz jak była wypowiedział, skoro do rozumu przyszedł; ale chłopak mówi, że gdyby się teraz i opatrzyli rodzice, on już mnie nie porzuci.

— Dobre dziecko.

— Złoty chłopiec, sokół, mój Radionek.

— E! powiedzcie mi, po co wy do miasteczka jedziecie?—zagadnął po chwili Chwedko.

— A prawdę wam powiedzieć?—rzekł Jermoła.

— Jużciż: a co byście mieli zmyślać?

— No, to ja nie do miasteczka jadę, a dalej.....

— Ot to! a chłopiec wasz mówił, że jedziecie długi u żydów odbierać?

— Takemto ja przed nim pobałamucił..... ale to co innego.

I tu Jermoła z westchnieniem opowiedział staremu historyą polewy, a Chwedko splunął ruszając ramionami.

— At! zachciało się dziecku kafli z pieca! Kiedy wam dobrze, trzymalibyście się tego co jest, a nie szukali lepiej: czasem, kumie, zbyteczna mądrość to także głupstwo. Robicie proste garnki, na to macie kupców codzien: lada żebrak bez was sobie jadła nie uwarzy, najuboższy potrzebuje garnka. Z polewą to już inna rzecz: we wsi niewiele jój kto weźmie, musicie do miasteczka. Żydzi od was będą szachrować, na targu sprzedaż licha: to całkiem co innego.

— Ale się chłopcu zachciało.....

— Zobaczycie, że to nicpotém.....

— A no: a cóż robić?

— Jeszczeż mniejsza o to, dla proby nie zginiecie; ale czy myślicie, że ci garncarze od polewy tak się rublem skuszą, że wam swój sekret wydadzą?

— A ja i dobrze zapłacę.

— Wszystko oni nie głupi za szeląg sprzedać złotówkę, wiedząc, że im chleb z gęby odbierzecie: boć dla zabawki tego nie będziecie robić.

Jermoła posmutniał i opuścił głowę.

— Wiemci to ja — rzekł — ale kiedy pan Bóg raz pomógł, nie opuści i do końca. Żle było z Prokopem, gliny téj anim wiedział gdzie szukać; a ot, znalazło się i pokleilo, i poszło: to i tu jakoś będzie.

Jakoś to będzie jest ostatecznym ludu argumentem, gdzie innych braknie: wszystko się na tém kończy, w tém jakoś jest wiara w Opatrzność i pośrednictwo Boże.

Wtém dereszowata, która była przywykła trochę siana przegryzać zawsze przed karczemką, na trzeciej części drogi do miasteczka, położoną w lesie u granicy dwóch posiadłości, stanęła sama. Chwedko regularnie wypijał tu kieliszek wódki i fajkę sobie zapalał.

Zawstydziło go to jednak nieco, że bez jego pozwolenia zatrzymała się dereszowata; nie śmiał tak bez racyi pójść na porcyą, ale zsiadł z wozu i siano koby-le podrzucił.

— Ale parzy! — rzekł wytrząsając lulkę powoli.

— Jak ukropem.....

— Możebyście poszli pod dach, a ja się wódki napiję, bo czegoś po żołądku kręci.

— A skwar?

— E! nie! wódka ochłodzi.

— No, to pij zdrów, ja zapłacę — rzekł Jermoła złączając z wozu.

Karczemka, o której mowa, była jedną z tych jamek żydowskich, w których oni czatują na biedną chłopka duszę. Nie kryła się nawet z tém, że wódką żyła: zajazdu przy niej nie było, mała, odrapana z tynków, krzywa, w ziemię wsiadła, placykiem tylko obszernym, który przed nią był wydeptany, świadczyła jak była uczęszczaną.

Miejsce to u krzyżujących się trzech dróg, wśród zarośli dębowych i krzaków olszyny, szeroko wyjeź-



dżone wozami, dla oka badacza mieściło w sobie całą historią Dubówki (tak się nazywała owa gospoda w gąszczach postawiona). Słomy, siana, łupin, ziarenek, resztek biesiady, skorup od jaj i czerepów pełno było dokoła, nie licząc śladów pobytu licznych furmanek, które się zatrzymywały przed Ickiem często dłużej, niżeli chciały. Temi resztkami siana, słomy, plewy i czasem ziarna, łuczyła się krowa i kilka kóz żydowskich, wyuczonych doskonale złodziejstwa, bo ledwie się pokazał wóz, już pewnie jedno z tych stworzeń z tyłu cichaczem przykradło się do niego wyciągać pożywienie; a próżno je odpędzano batogiem, bo na stuknięcie drzwi odbiegały, ale w chwilę powracały z uporem głodu i łakomstwa. Starzy gospodarze dobrze znający miejscowość nigdy wozu nie zostawiali przed karczemką, żeby na nim żony lub dziecka z biczem nie posadzili, dla odpędzania napastników. A takięto było przebiegłe, że byleby się dzieciak zapatrzył lub baba zdrzémnęła, pewnie koza z tyłu się spiąwszy szkodę zrobiła.

Icek, miejscowy gospodarz, był żydek najlichszego rodzaju: rudy, kulawy, głupi, ale po głupiemu chytry, a zły najbrzydliwszym sposobem. Oszukiwał bezwstydnie, niekiedy aż do bójek przychodząc z chłopami, a zawsze guzy potęm swoje umiając zamienić na gotowy grosz, i pobity czy bijący kierował tak, że mu się fatyga musiała opłacić.

Jak on tam żył w tęg ciągłęg wrzawie dnia i nocy, w boju i pracy nieustannęj, nigdy prawie drzwi nie mogąc zamknąć i spać się nie kładąc chyba nade dnem na ławie: to należy do niezbadanych tajemnic, których rozwikłania zbyt szczegółowego psycho i fizyologicznego wymagałoby rozbioru.

Icek znał cały świat i wiedział naturę nietylko pojedynczych ludzi, a częstych swych gości, ale nawet gromad sąsiednich. Z góry gdy zajeżdżały furmanki,

umiał się na ich przyjęcie przygotować uśmiechem, kułakiem, pokorą lub miną nadętą. Popielańscy—mówił—to wszystko wielkie panowie: bez cebuli lub czosnku nie zakasają, każdy prawie kugła kupi. Z Małyczek to majstry i pijaki, z Wierzbna to cyganie, a z Jurków złodzieje.....

Głowę tylko Chwedkowej kobyły zobaczywszy przez okno, poznał zaraz żyd kto jedzie; a że pusto było w karczemce, wyszedł na próg:

— Aj! gwałt—rzekł wyciągając się—Chwedko znowu do miasteczka; co ty tak bardzo je polubił? A! i stary garncarz; a to dziś nie targ, pewnie jaka okazya.

— Aha! okazya!

— A tymczasem dajno dobrej wódki.

— Co to jest dobrej?—ofuknął się Icek—alboto kiedy u mnie zła była? A waj! albo u waszego Morejne Szmula jest kiedy taka, jak moja: on połowę wody leje.

— Jużto prawda, że u Icka sprawiedliwa szumówka—rzekł Chwedko spluwając.

— Teraz taka, że na okoliczność nie ma podobnej! Proszęno pokosztować; tylko panowie taką piją! Starka, dwuletnia, kupiona w Bębnowie. Drogo kosztuje, ale ja lubię recht.... u mnie tak.

Tak rozprawiając weszli do izby, do której wpa-dało się z progu jak do lochu, bo budynek był osiadł znacznie, sufit wisiął nad głowami, a tok zastępujący podłogę wrył się tak głęboko, że okna leżały na przyzbie. To położenie starego karczmiska, wzgórek przed nią, na którym fury stawały, brak ganku i spływ wody ku niej, sprawiały, że u wniścia wewnątrz stała wiekuista kałuża, przez którą przechodziło się po cegłach. Kaczki i gęsi żydowskie swobodnie się w niej pluskały, a znajomi goście zgiąwszy się dla niskich drzwi, z uwagą przebierali się przez to morze czarne,

aby się po kostki nie zamoczyć. Żyd nigdy nie pomyślał o zaradzeniu téj niedogodności. W czasie wielkiej posuchy trafiło się wszakże, że kałuża gęśniała i przerabiała się na zsiadłe błoto; ale świeżo po dészczu, zajmowała połowę izby. Icek nie znajdował, żeby to co do życia przeszkadzało.

W izbie oprócz Ickowej saméj, strasznej baby, rozmamanéj i brudnej, sześciorga dzieci różnego kalibru, sługi, kilka kóz, kur i gęsi, nie było przybylców; jakiś tylko kapotowy na ławie siadłszy, głowę na stole położył i drzémał. Wchodząc Chwedko opsnął się z cegły wśród kałuży, pośliznął, plusnął w wodę i krzyknął przekleństwem; a ów obcy się przebudził.

Zakrawał on nieco na mieszczanina, miarkując po kapocie wyszywanéj z klapami, zielonym pasie, wysokiej czapce i kiju kutym, który przy nim wraz z węzełkiem leżał. Młody, najwięcej trzydziesto-letni mężczyzna, twarzy rumianéj, wzrostu wysokiego, znać nie zaznał biędzy, bo mu z oczu patrzała hulanka; nawet i teraz Ickową wódką z Bębnowa podpił widać sobie, bo ledwie głowę podniósłszy, zaśpiewał:

„Oj! będziesz ty moja!”...

A gdy Chwedko topić się począł w kałuży, dodał:  
— Gwałt! ratujcie! Popielańcy się topią!

Rozśmiał się Icek i drudzy, a rezolutny chłopak podparłszy się w boki, wpatrywać się począł w przybyłych.

— A zkadżeto nas znacie, żeśmy Popielańcy?—zapytał Jermoła.

— O! wa! wielka sztuka: wszyscy Popielańcy poznaczeni!

— Czemże? krzyżami na plecach?

— A to nie wiecie—odparł parobek—że wam krawcy wasi inaczéj kaptury szyją, jak gdzieindziej na świecie?

W istocie tak było, że z dawien dawna, we wsi téj inny był krój sukmany na plecach, o czém zapo-

mnieli Jermoła i Chwedko; ale i oni jak inni pilnowali w tém święcie zwyczaju, i żadenby innój siermięgi nie kupił i nie nosił, krom tak uszytój, jak dziadowie używali.

— A wyto zkąd?—spytał Chwedko parobka.

— Z za siódmego morza, z za siódmój rzeki, z siódmój ziemi!—odpart wesoły hulaka.

— No! no! to i tam widać Popielańców znają.... Bez żartu, panie bracie, zkąd Pan Bóg prowadzi?

— Z Mrozowicy.

Byłato wielka osada szlachty czynszowój, w której właśnie owi mieszkali garnicarze, do których wybrał się Jermoła; tego aż tknęło coś, gdy nazwisko miejsca usłyszał.

— Z Mrozowicy? a dokąd? jeśli spytać wolno?

— W świat, gdzie oczy poniosą.

— O! to daleko!

— A cóż? już mi się unudziło nogi podkuliwszy na miejscu siedzieć: idę dalej biedy szukać....

— Na co jój szukać?—rzekł Chwedko—ona i sama przychodzi.

— Alboto się jój złęknę! poborykamy się!—rzekł parobek.

— Czy nie krawiec?—spytał Jermoła—kiedyście się tak na naszych świtach poznali?

— A czemu nie? może i krawiec,—wesoło odpart rozpierając się Mrozowiczanie—zapytajcie czém ja nie byłem; byłem gospodarzem, byłem kowalem, byłem cieślą, byłem krawcem, byłem tkaczem, muzykusem i szewcem.... Tfu! Wszystko to kiepstwo! Ot! będę sobie panem!

— Tak myślicie? to najlepiej podobno—rzekł śmiejąc się Chwedko—A! bodaj cię kołtunie! bodaj cię! Kłaniam się jaśnie panu!—i czapką do ziemi się pokłonił.

— Coś mi się widzi —przerwał Jermoła—że wy, coście już wszystkiém byli, to niedługo i panem po-  
będziecie: i to się wam naprzykrzy.

— A no! to się zostanę dziadem: i to dobry stan, mnie wszystko jedno—rzekł chłopak i począł śpiewać:

„Kij u meni bratom.  
Torba meni żinka...”

— To jakiś wesoty chłopiec—mruknął Jermoła—ale dobrze mi się trafia w sam czas; nim dereszowata zje siano, a Chwedko wódkę cebulą z chlebem przekąsi, dowiem się od niego cokolwiek o Mrozowicy. E! bracie—rzekł zbliżając się do parobka—nie napijesz się wódki?

— Aby za cudze pieniądze, czemu nie! Cygan dla przyjaźni dał się powiesić!

— Dajcieno Icku, tylko téj, co z Bębnowa....

— Dawaj Icku, niewiarno, słyszysz!—wtorował Mrozowiczanie.

— Boto ja do Mrozowicy jadę umyślnie—rzekł zbliżając się i na ławie siadając Jermoła.

— A! a! weźcież ze dwa kije, i pozaszywajcie kieszenie, bo tam rozbójnicy i złodzieje....

— A! co gadacie?

— Zapytajcie tych, co tam byli: żywój duszy poczciwój.

— A garncarze?

— A, to najgorsze paskudztwo..

— Patrzcie, a tom się dobrze wybrał.

— A po co?

— Długoby gadać, a mało słuchać.

— I nie ma po co jechać—rzekł chłopak—chcecie co kupić popekanego, to ruszajcie.

— Ale gdzie tam, mnie nie o to chodzi..

— Powiedźcież o co?

— Ale bo to...—skrobiąc się po głowie wybąknął Jermoła.

Chwedko, który się wódką dobrze pokrzepił, przerwał mowę i postanowił służyć za tłumacza. Trzeźwy

z podpiętym ciężko się rozumieją, ale podchmielony z pijanym doskonale i łatwo.

— Bo to widzicie—szepnął na ucho parobkowi—Jermoła oto... niby, garncarz... widzicie! O! ale nie od polewy! O! a jemu się zachciało nauczyć polewy! o!

— Tfu! a po cóż jemu z tém do Mrozowicy....

— A gdzież jój będzie szukał?

— Ja go nauczę... Co da?

Jermoła i Chwedko postąpieli i popatrzyli na siebie.

— Bałamucicie! albo to wy i garncarzem byli?

— Otóżto że i syn garncarza jestem, i polewę umiém, bo koło tego robiłem lat sześć; ale to głupie rzemiosło, mnie się go nie chciało—odparł Mrozowiczanin:—smaruj się w glinie, paskudź się w tych zacierkach, piecz się w ogniu! Plunałem i porzuciłem, ale choć i teraz dlatego pomagałem panu Marcinowi, i znam się dobrze na polewie, choćby jakiej, choćby jakiego koloru... A u mnie taka wychodzi czysta, jak szkło.

— Pewnie?

— A no, to próbę wam dam.

Jermoła aż się rozśmiał.

— Co chcesz?

— Co dasz?

Icko słysząc targ a nie zrozumiawszy o co chodzi, wpadł nagle między nich, myśląc, że się co sprzedaje: wścibił nosa i stanął osłupiawszy, bojąc się, żeby mu okazała jaka zysku nie uciekła.

— Co to wy targujecie?—szepnął.

— Kota w worku—odparł chłopak...

— Nu! co to kota gadać! co to kota gadać!—obruszył się gospodarz—co to jest? ja kupię!

— O polewę się targują!—dodał Chwedko.

Żyd nie rozumiał jeszcze, ruszył ramionami i odszedł na kilka kroków, pilnując dalej z pod pieca i targu, i mohoryczu.

Targ w targ, stanęło na pięciu rublach gotówką, Przybito ręce, zapito wódką bębnowską, i Jermoła już począł się nazad wybierać do wsi z Mrozowiczaniem.

— No! to i ja już do miasteczka dziś nie pojedę!— wybąknął namyślając się Chwedko—i tak pewnieby mnie deszcz schluszał.

Siedli tedy na wóz z Siepakiem (tak się nazywał) we trojgu i zawrócili nazad do Popielni z wielkim gniewem Icka, który całego interesu zrozumieć nie mógł, a czuł pod nim jakieś niedostępne dla siebie pieniądze.

Tak tedy i polewa przyjechała do Popielni, a Jermoła znowu za nią Bogu jak za cud dziękował.

Było już około południa, bo się i w karczmie i po drodze nie spiesząc zamarudziło, gdy nasi podróżni namówiwszy dereszowatę do zawrotu, nazad do wsi ściągnęli i stanęli z Siepakiem przed drzwiami starej karczmy. W progu zastali Radionka nad kołem toczącego olbrzymią hładyszę, i Huluka, który mu pomagał, wesoło z nim rozmawiającego.

Zobaczywszy ojca, dzieciak zdziwiony i przestraszony zarazem, porwał mu się pomagać.

— A co to ojcze? czy się wam co w drodze nie zrobiło, że tak prędko powracacie?

— Nic, moje dziecko, nic, owszem zdybaliśmy tego oto poczciwego chłopaka, który był przy garncarzach w Mrozowicy, i ofiaruje się nas polewy nauczyć.

Radionek z krzykiem podskoczył.

— Czyż to być może?

— Ot tak! jak mnie żywego widzicie!—zawołał Siepak—i rad jestem, że moim kochanym Mrozowiczanom figla wypłatał, bo mi łotry kością w gardle siedli.....

Ja tobi ne brat... ty meni ne swat...

Ne wertajsia wże nazad...

Począł śpiewać wzięwszy się w boki, i wyskoczywszy z wozu nuż się przyglądać z miną znawcy przyrzędom garncarskim; ale znać w nim było wiejskiego próżniaka, który na wszystko rad z góry patrzeć i śmiać się z każdej rzeczy. Przybór prostego zduna wydał mu się taką lichotą, tak ramionami ruszał, a brał się za boki oglądając go, że Jermole i Radionek niezmiernie posmutnieli. Siepak gorzko się odzywał o ich wyrobach, nie miał ich za śmieci: podrzucał, tłukł i rozparłszy się zaraz na ławie, począł z góry wychwalać co sam robił i mógł dokazać.

Niepodobało się to Jermole, który znał się na ludziach, ale ścierpiął próżniackie wychwałki Siepaka, w nadziei, że coś od niego skorzysta, choć z mowy coraz mniej miał w nim ufności.

Tymczasem Mrozowiczanie kazał sobie wódki postawić, słoninę przypiekać, położył się spać, a na wieczór poszedł do karczmy.

Nazajutrz trzeba było do miasteczka po glejtę, po inne farby i ingrediencye do polewy potrzebne, gdy Radionek pod kierunkiem wciąż wysławiającego Siepaka robił według jego wskazówki potrzebne pod polewę naczynia. Gdy przyszło w ostatku do roboty, Siepak nad wszelkie spodziewanie okazał się zręczny, i tym niemniej zadziwił jak samochwalstwem swoim; ale ledwie pół godziny wytrwał w chacie, do karczmy uciekł, gdzie muzykę najął, pół wsi sprowadził i wódki wiadro postawiwszy, hulankę na dobre rozpoczął.

Wieczorem późnym pijaniuteńkiego Siepaka dwóch niemniej od niego napitych parobków przyprowadzili śpiewając, i położyli podedrzwiami Jermole. Hulak i Radionek z politowaniem poglądali na niego.

Nierychło jakoś przyszło nareszcie do próby stanowczej, ale nim się na to zebrało, pojętny wychowaniec Jermole, z kilku wskazówek, ze słów, z roboty



czeladnika tyle skorzystał a raczej domyślił się, że przygotowawcze czynności już mu nie były obce. Tak samo poszło i z resztą: dość dla niego było kilku wiadomości, opowiedzenia sposobu, wprowadzenie na drogę, a młode pojęcie dopełniało, czego brakło w nauczycielu. Rad był go się pozbyć Jermoła z domu, bo się lękał wpływu szkodliwego na Radionka, który z ciekawością dziecięcą poglądał na szaleńca; ale on dlań był przez los wyznaczoną istotą, dla obrzydzenia rodzaju życia, którego całą cześć widać było przez samo nieustanne powtarzanie i nagromadzanie przyjemności. Siepak zaprawdę ciekawy typ stanowił, typ jaki w całej naiwności często powtarza się u ludu: zdalny, pojętny, zręczny, roztropny, przerzucał pracą i zabawą, zrażając się pierwszą, a nie mogąc drugiej nasycić.

Czasem znowu dnie całe złamany hulankę wrzającą, spędzał leżąc do góry brzuchem na sianie, śpiwając na całe gardło i wzdychając piersiami całemi, jakby za chwilę miał skonać. Przez godzinę jakąś gotów był pracować zajadle: i ręka, która mu z początku drżała, niestłuchając go, w krótkim czasie nabywała wprawy zdumiewającej; ale zaledwie ją uzyskał, lekceważąc zniechęcał się, rzucał wszystko, czepiał się pierwszego przechodzącego, poczynił żartobliwą rozmowę i szedł najczęściej do karczmy, gdzie połowa życia jego za stołem schodziła.

Ledwie Radionek począł pod jego kierunkiem polewaną robotę, która się dosyć udawała, po kilku próbkach, Siepak którego już znudził pobyt w Popielni, Jermoła, karczma i spokojność jaka tu panowała; nieznajdując sobie towarzyszków do zabawy, upomniawszy się o resztę należnej zapłaty, z nią razem przeniósł się do Szmula, gdzie trzy dni trwała pijatyka i muzyka szalona, a na czwartym wzięwszy tłumoczek z kijem na plecy, nie pożegnał się z nikim i nie dawszy do-

brege słowa, powlókł się dalej z wielkim żalem szynkarki i kilku towarzyszków hulanki, którzy kosztem jego codziennie miłe spędzili wieczory.

Tyle go i widziano w Popielni.

Spokój na chwilę zmacony wrócił do stariej gospody Jermoły. Radionek wziął się gorąco do roboty, i zrazu chciał już wszystko tylko polewane robić, ale go stary opamiętał.

— Pamiętaj—rzekł—że to niedosyć zrobić, trzeba jeszcze sprzedać, żebyśmy mieli co jeść; niewiadomo jak nam pójdzie targ: jeśli nie zechcą naszych mis i dzbanów, lub zmuszą nas do sprzedawania ich po lichéj cenie, to choć cokolwiek kosztu powróci się z prostych garnków, które dotąd doskonale nam kupują. Kto to wie jak się uda z polewą, a porzuciwszy nasze garnki, nauczymy ludzi szukać ich gdzieindziej.

Tym sposobem namówił jakoś Jermoła gorącego chłopca, że nawpół rozdzielił robotę. Dotąd szło im bardzo dobrze, obawiał się więc, by ta zmiana nie pogorszyła położenia; a Radionek tak pragnął nowości i rachować nie umiał, że dla niego bojaźń ojca zdawała się urojonym postrachem. Tymczasem u ludu naszego nie się w istocie odrazu nie przyjmuje: powoli i ostrożnie potrzeba z najmniejszą nowostką, bo silnie się on trzyma instynktem konserwacyjnym przy zwyczajach starych, nawet w najmniejszych rzeczach.

Pokazało się to zaraz po wypaleniu pierwszych pieców z prostym naczyniem i polewą. Nadchodził wielki praznik i targ w miasteczku, zapas został przygotowany, Chwedkowa kobyła najęta; wóz naładowano starannie, i wyjechawszy z północy z Popielni, nadejściem stanęli w miasteczku Radionek z Jermołą. Mieli oni zwyczaj rozkładać się z towarem zawsze w jednym miejscu pod okapem głównego żydowskiego zajazdu, gdzie już do nich jak w dym szli kupujący po garnki, i cały dzień do nocy szła sprzedaż ogromnie, tak, że na

nią ledwie we dwóch można było wystarczyć. Rozpakowali się i teraz w zwykłym kącie garncarze nasi, dzieląc swój sklep na dwie połowy: robotę prostą i polewaną. Radionek oczekiwał na kupujących z nadzieją, Jermoła z obawą. Jak dzień poczęli się schodzić, ale kto tylko przyszedł, zawracał się do garnków. Na próżno podstawiano mu polewę, zniżając jej cenę: gospodynie kiwały głowami nic nie mówiąc, inni otwarcie przyznawali się, że wolą się zasposobić u mrozowickich garncarzy. Natóg przemagał, i ani piękność wyrobów, ani przystępne ich ceny nie pociągały: pokazywano przymioty, przekonywano o dobroci; niedowierzająco przyjmowali to ludzie i szli, gdzie chodzić przywykli. Radionek płakał pocichu, a stary sam go teraz pocieszał wmawiając, że tak być musi z początku, że trzeba zrazu przecierpieć i umieć czekać.

Nad wieczór trochę się polewy sprzedało nieznanym, a garnków zabrakło. Zostało dużo niezbytego, a żyd za pół ceny zakupił to do klatki, bo się już Jermoła nazad wozić nie chciał z towarem.

Obrachowawszy, pokazała się strata... Posmutniało dziecko; przez całą drogę stary pocieszał je jak umiał, przysposabiając tém matém niepowodzeniem do większych życia zawodów, które ani odwagi, ani nadziei łamać w człowieku nie powinny.

(Dokończenie nastąpi).



# JULIUSZ CEZAR.

TRAGEDIA W PIĘCIU AKTACH.

PRZEKŁAD Z SZEKSPIRA

PRZEZ

*J. Paszkowskiego.*

(Dokończenie).

AKT III.

SCENA PIĘRWSZA.

(*Tamże. Kapitol. Posiedzenie senatu.*)

*Tłum ludu na ulicy wiodącej do Kapitolu: wśród tego tłumu ARTEMIDORUS I WIESZCZEK. Odgłos trąb. CEZAR, BRUTUS, KASSYUSZ, KASKA, DECYUSZ, METELLUS, TREBONIUSZ, CYNNA, ANTONIUSZ, LEPIDUS, POPILIUSZ, PUBLIUSZ i inni wchodzi.*

CEZAR.

Idus marcowy nadszedł.

WIESZCZEK.

Tak, Cezarze;

Ale nie przeszedł.

ARTEMIDORUS.

Wspaniały Cezarze,  
Cześć ci i chwala! Przeczytaj ten papier.

DECYUSZ.

Treboniusz prosi, abyś w wolnej chwili  
Przejrzał to jego pokorne podanie.

ARTEMIDORUS.

Przejrzyj wprzód moje, Cezarze; bo moje  
Bliżej się cię dotyczy: przeczytaj,  
Wielki Cezarze.

CEZAR.

Co się nas dotyczy,  
To się zachowa na koniec.

ARTEMIDORUS.

Przeczytaj  
Zaraz, Cezarze; nie zwlekaj przeczytać.

CEZAR.

Cóż to za jakiś szaleniec?

PUBLIUSZ.

Precz z drogi!

CEZAR.

Dlaczegoż mi tu podania wręczacie?  
Pójdźcie do sali obrad.

CEZAR *wchodzi do Kapitolu, za nim inni. Wszyscy senatorowie powstają.*

POPILIUSZ.

Życzę, ażeby się wam przedsięwzięcie  
Wasze udało.

KASSYUSZ.

Jakie przedsięwzięcie,  
Popiliu...?

POPILIUSZ.

Bądźcie zdrowi.

*(Przystępuje do Cezara).*

BRUTUS.

Popiliusz Lena?

Co powiedział

KASSYUSZ.

Powiedział, że życzy,  
Ażeby się nam przedsięwzięcie nasze  
Udało. Czyżby odkryto nasz zamiar?

BRUTUS.

Patrz, jak się zbliżył do Cezara.

KASSYUSZ.

Kasko

Śpiesz się, bo lękam się zdrady. Cóż mamy  
Czynić Brutusie? Jeśli rzecz się wyda,  
Cezar lub Kassyusz nie wyjdzie ztąd żywcem,  
Bo sam śmierć sobie zadam.

BRUTUS.

Bądź spokojny;

Popiliusz Lena mówi o czémś inném,  
Bo się uśmiecha, jak widzisz, i wyraz  
Twarzy Cezara nic się nie odmienił.

KASSYUSZ.

Treboniusz czasu nie traci: patrz, oto  
Odwodzi na bok Marka Antoniusza.  
(*Antoniusz i Treboniusz wychodzą. Cezar i senatorowie za-  
siadają*).

DECYUSZ.

Gdzie jest Metellus Cymber? Niech wystąpi  
I Cezarowi przedłoży swą prośbę.

BRUTUS.

Już on postąpił naprzód. Stańmy przy nim,  
Ażebym poprzec jego przedstawienie.

CYNNA.

Kasko, ty pierwszy dłoń wzniesiesz; bądź gotów.

CEZAR.

Czyśmy już wszyscy. Czyżaj naprzód prośbę  
Cezar i jego senat ma rozpoznać?

METELLUS.

Dostojny, wielki, potężny Cezarze!  
Metellus Cymber uchyla przed tobą  
Korne swe czoło.

(kłęka).

CEZAR.

Muszę cię uprzedzić

Cymbrze, że tego rodzaju przemowy  
I unizone gesta, mogą działać  
Na krew zwyczajnych ludzi, i dzisiejsze  
Postanowienia przeistaczać jutro  
W wyroki godne żaków. Nie przypuszczaj

Tak niedorzecznój myśli, aby Cezar  
Do tego stopnia miał krew łaskotliwą,  
Iżby jój obieg mógł być przyśpieszony  
Tém, co ją wzrusza w niedoleżnych sercach;  
Rozumiem przez te słodko-brzmiące słówka,  
Korne submissye i nadskakiwania  
Łaszających się psów stawiające obraz.

Twój brat skazany został na wygnanie;  
Jeżeli za nim przychodzisz tu skomleć,  
Odrącam cię precz, jak pudła. Wiedz o tém,  
Że Cezar krzywdy nie czyni nikomu,  
I nie bez słusznych powodów wymaga,  
Aby mu stało się zadość.

METELLUS.

Nie ma-ż tu głosów godniejszych od mego,  
Któreby w uszach wielkiego Cezara  
Milój zabrzmiały, i silniej poparły  
Sprawę mojego wygnanego brata?

BRUTUS.

Nie przez pochlebstwo całuję dłoń twoję  
Cezarze, prosząc, aby Publiusz Cymber  
Niezwłocznie wolność powrotu uzyskał.

CEZAR.

Co słyszę? Brutus!

KASSYUSZ.

Przebacz mi, Cezarze,  
Że się uniżam do nóg twych padając:  
Na klęczkach błaga cię Kassyusz o rychłe  
Ułaskawienie dla Publiusza Cymbra.

CEZAR.

Mógłbym wam uleż, gdybym był z was jednym;  
Gdybym mógł kogo prośbami chcieć wzruszyć,  
Wtedyby prośby wzruszyć mnie zdołały.  
Ale-m ja stały jak gwiazda polarna,  
Która pod względem swój niewzruszoności  
Na firmamencie nie ma sobie równój.  
Jest co nie-miara iskr na sklepie niebios,  
Każda z nich płonie, każda jasno świeci;  
Lecz tylko jedna trzyma się na miejscu:  
Tak i na świecie jest bez liku mężów,  
Każdy ma ciało, krew i światło swoje,  
Ale w tym tłumie znam jednego tylko,  
Który jak skała na swém stanowisku

Żadnym wzruszeniem niezachwiany stoi.  
 Tym jednym jestem ja; że zaś nim jestem,  
 Pozwólcie, abym poniekąd wam dowiódł  
 W agitującej się okoliczności:  
 Żem stały — Cymber poszedł na wygnanie;  
 Żem stały — Cymber na niém pozostanie.

CYNNA.

Łaski!

CEZAR.

Precz! Chceszże Olimp wzruszyć z posad?

DECYUSZ.

Wielki Cezarze!

CEZAR.

Oszczędzaj kolana.

KASKA.

Mówże ty za mnie, ręko!

*(Uderza Cezara w kark puginałem. Cezar chwytą go za ramię. W tejże chwili otrzymuje pchnięcia od kilku innych sprzysiężonych, nakoniec od Marka Brutusa).*

CEZAR.

*Et tu, Brutus?*

Stań się więc dolo Cezara!

*(Umiera. Senat i lud rozpierzcha się w nieładzie).\**

CYNNA.

Skonał już Cezar! Wolność przywrócona!  
 Biegnijcie, głoscie tę wieść po ulicach.

KASSYUSZ.

A inni niech się udadzą na rynek,  
 I z mownic powrót wolności obwieszczą.

BRUTUS.

Senacie i ty ludu, oddal trwogę;  
 Pozostań w miejscu: spłaciliśmy dumie  
 Dług przynależny.

KASKA.

Idź ty na mownicę,

Brutusie.

DECYUSZ.

I ty, Kassyuszu.



BRUTUS.

Gdzież Publiusz?

CYNNA.

Stoi tu jeszcze nawpół odurzony  
Zaszłym wypadkiem.

METELLUS.

Poczekajmy trochę,  
Bo może jaki przyjaciel Cezara  
Zechce wystąpić.

BRUTUS.

Nie mów o czekaniu.  
Publiuszu, ocknij się, bądź dobrej myśli;  
Nie myśli tu nikt krzywdy ci wyrządzić,  
Ani komubądź z Rzymian: powiedz o tém  
Wszystkim, Publiuszu.

KASSYUSZ.

Opuść nas Publiuszu,  
Ażeby czasem lud wieku twojego,  
Jeśli się na nas rzuci, nie zabaczył.

BRUTUS.

Uczyn tak, niechaj skutki tego czynu  
Tylko na sprawców spłyną.

*(Treboniusz wraca).*

KASSYUSZ.

Gdzież Antoniusz?

TREBONIUSZ.

Pobiegł do domu zdjęty przerażeniem:  
Meże, niewiasty, dzieci uciekają,  
Krzyczą jak w sądny dzień.

BRUTUS.

Losie, zobaczym,  
Co nam przeznaczasz. Że musimy umrzeć,  
To nam wiadomo: o czas tylko idzie,  
I liczbę pasem dni, które snuć mamy.

KASSYUSZ.

Tak, i kto sobie odcina naprzykład  
Parę dziesiątków lat życia, ten sobie  
Odcina tyleż lat obawy śmierci.

BRUTUS.

To przypuściwszy, śmierć jest dobrodziejstwem,  
I myśmy dali Cezarowi wielki

Dowód przyjaźni, skracając mi liczbę  
 Lat, w ciągu których byłby się być musiał  
 Śmierci obawiać. A teraz, Rzymianie,  
 Idźmy na rynek i wznosząc do góry  
 Zbroczone miecze, wołajmy:  
 Wolność wrócona, niech się święci wolność!

KASSYUSZ.

Zróbmy tak: dalej!—Przez ileżto wieków  
 Wzniosła ta scena powtarzaną będzie  
 W nieznanym dotąd językach i formach?

BRUTUS.

Ileżto jeszcze razy na żart skona  
 Ten wielki Cezar, który jak proch teraz  
 U stóp posągu Pompejusza leży?

KASSYUSZ.

Ilekroć razy wznowi się ta scena,  
 Tylekroć razy nazwą nas zbawcami  
 Swojego kraju.

DECYUSZ.

Mamyż iść zaraz?

KASSYUSZ.

Idźmy: Brutus przodem;  
 W ślad jego kroków ponieśmy odważnie  
 Kwiat nieodrodnym rzymskich serc.  
*(Sługa wchodzi).*

BRUTUS.

Któżto nachodzi? Antoniusza sługa.

SŁUGA.

Tak mi, Brutusie, pan mój klęknąć kazał,  
 Marek Antoniusz tak mi upaść kazał,  
 I tak na klęczkach kazał mi powiedzieć:  
 Brutus jest mężny, cny, mądry i prawy,  
 Cezar był silny, śmiały, wielki, słodki;  
 Powiedz, że kocham Brutusa i czczę go;  
 Żem się Cezara bał, czcił go i kochał.  
 Jeśli z Brutusa wolą zgodnem będzie,  
 Ażebym Marek Antoniusz bezpiecznie  
 Przybył do niego, i powziął wiadomość,  
 Co śmierć Cezara mogło spowodować:  
 Żyjący Brutus w Antoniusza sercu  
 Zastąpi miejsce zmarłego Cezara,  
 I stanie Marek Antoniusz przy boku  
 Cnego Brutusa, i z niezłomną wiarą

Podzieli jego los i wszelkie sprawy.  
To ci oznajmia Antoniusz, mój pan.

BRUTUS.

Twój pan, zaiste, mądry jest i mężny;  
Nigdy z tej strony źle o nim nie trzymał.  
Idź mu powiedzieć odemnie, że śmiało  
Może tu przybyć; stanie mu się zadość,  
I na mój honor, powróci nietknięty.

SŁUGA.

Spieszę po niego:

*(Ochodzi.)*

BRUTUS.

Wiem, że będziemy mieć w nim przyjaciela.

KASSYUSZ.

Oby tak było! Ale jest coś we mnie,  
Co go się lęka; i nieufność moja  
Trudno się godzi z jego oświadczeniem.  
*(Antoniusz wchodzi).*

BRUTUS

Otóż on.—Witaj, Marku Antoniuszu!

ANTONIUSZ.

Tyżto, Cezarze, leżysz tak nikiemnie?  
W takżeto lichy zamknęły się wątek  
Wszystkie zwycięstwa, wszystkie laury twoje,  
Wszystkie tryumfy, trofea i łupy?  
Żegnam cię.—Nie wiem ja, moi panowie,  
Co zamierzacie; kto może być jeszcze  
W waszém uznaniu potępienia godnym,  
I kto ma zginąć: jeśli mnie to czeka,  
Nie ma ku temu stosowniejszej chwili,  
Jak chwila śmierci Wielkiego Cezara;  
Ani narzędzia odpowiedniejszego,  
Jak te orężę wasze, uzacnione  
Najszlachetniejszą krwią z wszystkich krwi świata.  
O! jeśli macie jaką niechęć ku mnie,  
Zaspokóćcie ją teraz, błagam was,  
Dopóki wasze purpurowe ręce  
Tą krwią się dymią. Choćbym żył lat tysiąc,  
Nigdy nie umrę chętniej jak w tej chwili,  
W tém miejscu, obok Cezara, z rąk waszych,  
Wyboru, wzoru tegoczesnych mężów.

BRUTUS.

Nie żądaj od nas śmierci, Antoniuszu!  
 Musimy ci się wydawać okrutni,  
 Sądząc po rękach i obecnym czynie;  
 Ale ty widzisz tylko nasze ręce  
 I to zbroszone krwią ciało: nie widzisz  
 Gruntu serc naszych;—jest w nich wszakże litość.  
 Litośćto nasza nad niedolą Rzymu  
 Śmierci Cezara stała się powodem:  
 Bo litość litość ruguje, jak ogień  
 Ruguje ogień. Co się ciebie tyczy,  
 Oreże nasze, Marku Antoniuszu,  
 Mają dla ciebie ołowiane ostrza:  
 Ramiona nasze silne przeciw złości,  
 I serca nasze skłonne do braterstwa  
 Stoją dla ciebie otworem:  
 Znajdziesz w nich przyjaźń, szczerłość i szacunek.

KASSYUSZ.

Głos twój słuchany będzie przy rozdziale  
 Nowych godności.

BRUTUS.

Bądź tylko cierpliwym:  
 Ukoim pierwój lud, potóm ci powiem,  
 Dlaczego Brutus miłując Cezara,  
 Dłoń swoją przeciw Cezarowi podniósł.

ANTONIUSZ.

Znaną mi mądrość wasza. Niechże każdy  
 Skrwawioną poda mi rękę. Ty najprzód,  
 Marku Brutusie, pozwól mi prawicę  
 Swoję uściskać; pozwól mi toż samo  
 Kaju Kassyuszu; Decyuszu Brutusie,  
 I ty Metellu, i ty dzielny Cynno,  
 I ty mój męzny Kasko, i ty także  
 Cny Treboniuszu, ostatni z kolei,  
 Ale zaprawdę nie ostatni w sercu.  
 Szlachetni moi panowie: niestety!  
 Cóż mam powiedzieć? Kredyt mój na ślizkim  
 Gruncie spoczywa: jestem w oczach waszych  
 Na jednej z dwóch dróg nagannych; myślicie,  
 Że ze mnie albo tchórz, albo pochlebca.  
 Żem cię, Cezarze, kochał. o! to prawda:  
 Jeśli w téj chwili duch twój patrzy na nas,  
 Nie boliż cię to gorzej, jak śmierć, widzieć  
 Twojego Marka zawierającego  
 Z nieprzyjaciółmi twemi sojusz zgody,

I krwawe dłonie ich ściskającego  
 W obec twych martwych zwłok? O! wielki mężu!  
 Gdybym miał tyle ócz, ile ty ran,  
 Roniących tyle łez, ile z ran twoich  
 Krwi popłynęło: byłoby to z mojej  
 Strony przystojniej, jak zachodzić w przyjaźń  
 Z wrogami twemi. Przebacz mi Juliuszu!  
 Dzielny jeleniu! Tu uszczwano ciebie:  
 Tu padłeś. Oto stoją łowcy twoi,  
 Nacechowani i zarumienieni  
 Śladem twojego upadku. O! świecie!  
 Ty byłeś temu jeleniowi lasem,  
 A on był twoją, o! świecie, ozdobą.  
 Jakżeś podobny do pysznego zwierza,  
 Którego dłonie książąt powaliły!

KASSYUSZ.

Miarkuj się, Marku Antoniuszu.

ANTONIUSZ

Wybacz,

Kaju Kassyuszu: takby powiedzieli  
 Nieprzyjaciele Juliusza Cezara;  
 Skromnie to zatém ze wszech miar i zimne  
 Umiarkowanie w jego przyjacielu.

KASSYUSZ.

Niemam ci za złe, że Cezara chwalisz;  
 Ale na jakież z nami chcesz stać stopie?  
 Chceszże się liczyć do naszych przyjaciół,  
 Czyli téż mamy obejść się bez ciebie?

ANTONIUSZ.

Podawszy wam dłoń, jużem wam dał poznać  
 Co myślę; ale w téj chwili na nowo  
 Tknięty zostałem widokiem Cezara.  
 Sprzyjam wam wszystkim, wszystkich was miłuję,  
 W nadziei, że mi raczycie oznajmić:  
 Pod jakim względem i dłażcego Cezar  
 Był niebezpiecznym.

BRUTUS.

Gdybyśmy w téj mierze

Milczeli, czyn nasz dzikoby wyglądał.  
 Powody nasze tak są sprawiedliwe,  
 Że choćbyś nawet był synem Cezara,  
 Byłbyś z nich kontent.

ANTONIUSZ.

Tego tylko żądam.

Teraz zaś proszę, abym mógł na rynek  
Zanieść to ciało, i jako się godzi  
Przyjacielowi, z publicznej trybuny  
Mieć na cześć jego mowę pogrzebową.

BRUTUS.

Masz k'temu wolność, Marku Antoniuszu.

KASSYUSZ.

Brutusie, słowo. (*Na stronie*). Na bogi! co czynisz?  
Nie pozwalaj mu na to; nie wiesz jaki  
Wpływ na lud wyrzecz może jego mowa.

BRUTUS.

Nie troszcz się: ja wprzód wstąpię na mównicę,  
I powód śmierci Cezara wyłożę.  
Niechaj Antoniusz co chce potem mówi;  
Postaram się wprzód dać do zrozumienia,  
Że on za naszym mówi pozwoleniem,  
Za naszą zgodą; że pragniemy szczerze,  
Ażebym Cezar z wszelkimi zwykłymi  
Ceremoniami pogrzebiony został.  
Nie stracim na tém nic: — zyskamy raczej.

KASSYUSZ.

Nie wiem, co z tego wyniknie; jednakże  
Nie jestem za tém.

BRUTUS.

Marku Antoniuszu,

Wolno ci zabrać to ciało; nie będziesz  
Ganić nas w swojej pogrzebowej mowie:  
Powieśz jedynie o Cezarze wszystko,  
Co się dobrego o nim da powiedzieć;  
I dodasz, żeś do powiedzenia tego  
Otrzymał od nas przyzwolenie.  
Nie będziesz zresztą z pogrzebem Cezara  
Nic mieć wspólnego, i rzecz swą mieć będziesz  
Z tej samej, co ja mownicy, i po mnie.

ANTONIUSZ.

Niech i tak będzie.

BRUTUS.

Uczyń więc potrzebne  
Przygotowania i zdążaj za nami.

(*Wszyscy, prócz Antoniusza, wychodzą*).

## ANTONIUSZ.

Przebacz mi, o! ty krwawa garści prochu,  
 Żem tak łagodny względem tych rzeźników!  
 Ty jesteś szczytkiem największego z ludzi,  
 Jacy kiedybądź żyli w toni czasów.  
 Biada przelewcom téj krwi tak szacownej!  
 Tu, w obec tych ran, które nakształt niemych  
 Ust otwierają rubinowe wargi,  
 Piersi mych o głos prosząc, przepowiadam:  
 Że od téj chwili klątwa na Rzym padnie;  
 Domowa wściekłość i dziki bój bratni  
 Ze wszech stron będą szarpały Italią;  
 Mord i zniszczenie tak pójdzie w obyczaj,  
 I zgrozy tak się powszedniemi staną,  
 Że matki rzymskie uśmiechać się będą,  
 Widząc swe dzieci rwane żębem wojny;  
 Nałóg występków stłumi wszelką litość:  
 A duch Cezara, łaknąc zemsty, wyjdzie  
 Zpośrodku piekieł z Hekata przy boku,  
 I krążyć będzie po kraju, wołając  
 Monarszym głosem: *biada!* A psy wojny  
 Głosowi temu odpowiadać będą,  
 Aż się ta zbrodnia ulotni ku niebu,  
 W wyziewach trupów wyzutych z pogrzebu.  
*(Sługa wchodzi).*

Nie jesteś ty u Oktawiusza w służbie?

## SŁUGA.

Jestem w niej, Marku Antoniuszu.

## ANTONIUSZ.

Cezar  
 Pisał do niego, by przybył do Rzymu.

## SŁUGA.

Odebrał on list jego i przybywa:  
 Mnie zaś polecił ustnie ci oznajmić,.....  
 Co widzę? Cezar!

*(sposstrzegając ciało)..*

## ANTONIUSZ.

Serce twe wzbiera: idź, i płacz na stronie.  
 Jest snadź w wzruszeniu coś zaraźliwego:  
 Widząc te krople żalu w twoich oczach,  
 I moje także wilgnać zaczynają.  
 Twój pan przybywa więc?

SŁUGA.

Tak jest: dziś jeszcze  
Stanie na nocleg o siedm mil od Rzymu.

ANTONIUSZ.

Wracaj mu co tchu donieść, co się stało:  
W Rzymie żaloba teraz, niebezpiecznie,  
Nie byłby teraz w nim twój pan jak w domu;  
Śpiesz go uprzedzić o tém. Ale czekaj:  
Nie wprzód oddalisz się, aż ja to ciało  
Zaniosę na plac publiczny: przemówię  
Chcę tam do ludu, i zobaczyć, jak on  
Przyjmie postępek tych okrutnych ludzi.  
Będiesz mógł wtedy dokładnie młodemu  
Oktawiuszowi stan rzeczy opisać.  
Pomóż mi!

(*Wychodzą z ciałem Cezara.*)

**SCENA DRUGA.**

(*Tamże. Forum.*)

BRUTUS I LUCYUSZ *wchodzą; za nimi tłum  
obywateli.*

OBYWATELE.

Objaśnień chcemy, żądamy objaśnień!

BRUTUS.

Pójdźcie więc za mną, moi przyjaciele,  
I posłuchajcie mnie. Bracie Kassyszu,  
Odwiędź część tłumu na inną ulicę.  
Chcący mnie słuchać niech tu pozostaną;  
Ci zaś, co wolą posłuchać Kassysza,  
Niech pójda za nim. Śmierć Cezara będzie  
Wszem wobec zaraz usprawiedliwioną.

PIERWSZY OBYWATEL.

•Ja chcę Brutusa słyszeć.

DRUGI OBYWATEL.

Ja Kassysza:  
Niechaj oddzielnie mówią, mniejsza o to;  
My ich powody porównamy potem.  
(*Kassysz odchodzi z pewną liczbą mieszczan, Brutus wstę-  
puje na rostrum.*)



## TRZECI OBYWATEL.

Szlachetny Brutus wstąpił na mównicę:  
Słuchajmy!

BRUTUS.

Bądźcie cierpliwi do końca.

Rzymianie! współobywatele i łaskawcy moi! Posłuchajcie mnie przez życzliwość dla mnie, i uciszcie się, abyście mnie mogli usłyszeć. Zawierzcie mi na uczciwość moją i miejcie wzgląd na moją uczciwość, abyście mi mogli zawierzyć; sądźcie mnie w swojej mądrości, i zbierzcie zmysły wasze, abyście mnie lepiej mogli osądzić. Jeżeli się w tém zgromadzeniu znajduje serdeczny jaki przyjaciel Cezara, niech wie, że Brutus nie mniej od niego Cezara miłował. Jeżeli się zaś ten przyjaciel spyta, dlaczego Brutus podniósł na Cezara rękę, oto moja odpowiedź: nie przeto, żem mniej Cezara kochał, ale żem bardziej kochał Rzym. Woleliżbyście widzieć Cezara przy życiu, a sami żyć jak niewolnicy; niż widzieć Cezara zmarłym a sami żyć wolnemi? O ile mnie Cezar kochał, o tyle oplakuję go; o ile los mu sprzyjał, o tyle cieszę się z tego; o ile był walecznym, o tyle czczę go; o ile był dumnym, o tyle nie miałem dlań litości. Tak więc ma lży za miłość; radość za szczęście; cześć za waleczność; a śmierć za dumę. Jestli tu kto tak podły, iżby chciał być służalcem? Niech się odezwie: bo zaiste, obraziłem go. Jestli tu kto tak nędzny, iżby nie chciał być Rzymianinem? Niech się odezwie; bo zaiste, obraziłem go. Jestli tu kto tak nikczemny, iżby ojczyzny swój nie kochał? Niech się odezwie, bo zaiste obraziłem go. Zatrzymuję się i czekam na odpowiedź.

OBYWATELE (*jednogłośnie*).

Nikt z nas, Brutusie; nikt z nas!

BRUTUS.

Nikogo więc z was nie obraziłem? Nie postąpiłem sobie z Cezarem inaczej, jak wybyście sobie z Brutusem postąpili. Śmierć jego zapisaną jest w Kapitolu: nie ujęto mu chwały, na którą zasłużył; ani powiększono win jego, za które śmierć poniósł.

ANTONIUSZ

(*wchodzi z orszakiem niosącym ciało Cezara*).

Oto się zbliża jego ciało pod żałobnym konwojem Marka Antoniusza, który aczkolwiek nie miał w jego śmierci udziału, otrzyma jednak udział w korzyściach z tej śmierci, to jest miejsce w rzeczypospolitej. A ko-

muż z was ono zagrodzone? Kończę oświadczeniem, że ten sam sztylet, którym dla dobra Rzymu zabiłem najlepszego mego przyjaciela, zachowuję i dla siebie na przypadek, jeżeli się mojej ojczyźnie podoba zażądać śmierci mojej.

OBYWATELE.

Żyj, żyj Brutusie, żyj!

PIÉRWSZY OBYWATEL.

Odprowadźmy go w tryumfie do domu.

DRUGI OBYWATEL.

I postawmy mu posąg obok przodków.

TRZECI OBYWATEL.

Niech będzie drugim Cezarem.

CZWARTY OBYWATEL.

Ukoronujmy lepszą część Cezara  
W jego osobie.

PIÉRWSZY OBYWATEL.

Wzniesmy go na rękach  
I z oklaskami zanieśmy do domu.

BRUTUS.

Ziomkowie moi!

DRUGI OBYWATEL.

Cicho! Brutus mówi.

PIÉRWSZY OBYWATEL.

Milczenie!

BRUTUS.

Drodzy ziomkowie, pozwólcie mi, proszę,  
Odejść samemu, i przez miłość dla mnie  
Zostańcie tutaj z Markiem Antoniuszem:  
Uczcijcie zwłoki Cezara, uczcijcie  
Mowę ku jego chwale zmierzającą,  
Którą Antoniusz ma tu mieć niebawem  
W skutku naszego pozwolenia. Niechaj  
Prócz mnie jednego, nikt ztąd nie odejdzie  
Przed wysłuchaniem mowy Antoniusza.

(*Wychodzi*).

PIÉRWSZY OBYWATEL.

Zgoda! Słuchajmy Marka Antoniusza,

TRZECI OBYWATEL.

Będziem go słuchać; niech zajmie mównicę.  
Wstąp na mównicę, zacny Antoniuszu!

ANTONIUSZ.

Z łaski Brutusa winienem wam wdzięczność.

CZWARTY OBYWATEL.

Cóż on tam mówi o Brutusie?

TRZECI OBYWATEL.

Mówi,

Że nam z Brutusa łaski winien wdzięczność.

CZWARTY OBYWATEL.

Otby Brutusa lepiej nie zaczepiał.

PIÉRWSZY OBYWATEL.

Cezar był tyran.

TRZECI OBYWATEL.

Rzecz jasna jak słońce:

Szczęście, że z niego Rzym jest oczyszczony.

DRUGI OBYWATEL.

Cicho! Słuchajmy, co powie Antoniusz.

ANTONIUSZ.

Mili Rzymianie!

OBYWATEL.

Cicho! już zaczyna.

ANTONIUSZ.

Rzymianie, bracia, rodacy, użyczcie  
Ucha mym słowom. Nie przychodzę tutaj  
Chwalić Cezara, przychodzę mu tylko  
Oddać ostatnią pośmiertną przysługę.  
Złe czyny ludzi żyją po ich śmierci,  
Dobre—bywają częstokroć grzebane  
Z ich popiołami. Tak się ma z Cezarem.  
Szlachetny Brutus mówił wam, że Cezar  
Był chciwym władzy: jeżeli to prawda,  
Była to ciężka wina z jego strony,  
I on też ciężko ją odpokutował.  
Za pozwoleniem Brutusa i innych,  
(Bo Brutus jest mąż ze wszech miar szanowny,  
I tamci wszyscy są szanowni ludzie);  
Przyszedłem tu mieć pogrzebową mowę  
Na cześć Cezara. Był on przyjacielem

Moim, rzetelnym, dobrym, sprawiedliwym;  
 Lecz Brutus mówi, że on był ambitnym,  
 A Brutus jest mąż ze wszech miar szanowny.  
 On mnogich jeńców sprowadził do Rzymu,  
 Których wykupem wzmógł się skarb publiczny:  
 Tożto był dowód ambitu Cezara?  
 Kiedy ubogi jęczał, płakał Cezar;  
 Ambit z twardszego jest kruszcu: jednakże  
 Brutus powiada, że on był ambitnym,  
 A Brutus jest mąż ze wszech miar szanowny.  
 Pomnicie, jakem w czasie Luperkaliów  
 Po trzykroć razy koronę mu podał,  
 A on po trzykroć razy ją odepchnął.  
 Byłżeto ambit? Mimo tego jednak  
 Brutus powiada, że on był ambitnym,  
 A Brutus jest mąż ze wszech miar szanowny.  
 Nie zbijam tego, co Brutus powiedział,  
 Mówię tu tylko to, co wiem. Wy wszyscy  
 Miłowaliście go kiedyś i słusznie;  
 Słusznież to, że go dziś nie załujecie?  
 Śnać rozum uciekł gdzieś między zwierzęta,  
 Bo go u ludzi nie ma. O przebaczciel  
 Serce me przeszło do trumny Cezara:  
 Muszę zaczekać aż z niej do mnie wróci.

PIÉRWSZY OBYWATEL.

Zda mi się, że on po części ma słusność.

DRUGI OBYWATEL.

Jeśli tak o tém sądzisz, toć zaiste  
 Wielka się stała Cezarowi krzywda.

TRZECI OBYWATEL.

Doprawdy? Boję się, żeby ktoś gorszy  
 Po nim nie nastał.

CZWARTY OBYWATEL.

Czyście uważali?  
 Cezar po trzykroć nie przyjął korony;  
 Widoczna zatém, że nie był ambitny.

PIÉRWSZY OBYWATEL.

Jeżeli się to dowodnie pokaże,  
 Pewni ichmoście drogo to przypłacą.

DRUGI OBYWATEL.

Biędne człeczysko! Czerwone miał oczy  
 Od łez, jak węgiel.

TRZECI OBYWATEL.

Nie ma w całym Rzymie  
Szlachetniejszego jak Antoniusz męża.

CZWARTY OBYWATEL.

Baczność, panowie, znów zaczyna mówić.

ANTONIUSZ.

Niestety, jeszcze nie dalej jak wczoraj,  
Jedno Cezara słowo mogło z całym  
Mierzyć się światem; dziś on leży tutaj,  
I najbiedniejszy charłak nie pomyśli  
Sklonić się przed nim. O! panowie moi!  
Gdybym ja wasze umysły i serca  
Pragnął do gniewu i zemsty zagrzewać,  
Mógłbym Brutusa winić i Kassjusza,  
Którzy, jak wiecie, są ludzie szanowni.  
Nie chcę ja tego: wołałbym obwinić  
Tego, co umarł, siebie i was wszystkich,  
Niżbym miał winić tak szanownych ludzi.  
Lecz oto pismo z pieczęcią Cezara,  
Którym dziś znalazł w jego gabinecie:  
Ostatnia to jest wola tego męża.  
Skąd osnowa tego testamentu,  
(Którego, że wam nie odczytam teraz,  
Wybaczcie), będzie powszechnie wiadomą:  
Obywatele tego miasta przyjdą  
Całować rany zmarłego Cezara,  
I chusty swoje we krwi jego maczać;  
Co mówię! błagać chociażby o jeden  
Włos z jego głowy na wieczną pamiątkę,  
I umierając włos ten w testamentach  
Swoich wspominać, jako drogi legat  
Dzieciom go swoim przekazując.

CZWARTY OBYWATEL.

Cóż ten testament zawiera? Przeczytaj,  
Przeczytaj go nam Marku Antoniuszu.

OBYWATELE.

Chcemy usłyszeć testament Cezara.

ANTONIUSZ.

Mieście cierpliwość, moi przyjaciele,  
Nie mogę go wam przeczytać; nie pora  
Wam się dowiedzieć, jak was Cezar kochał.  
Wyście nie drewna, nie głązy, lecz ludzie;  
Ludźmi zaś będąc, nie możecie teraz  
Słyszeć osnowy tego testamentu:

Toby uniosło was aż do szaleństwa.  
 Nie powinniście wiedzieć, że jesteście  
 Spadkobiercami jego, bo gdybyście  
 O tém wiedzieli, o! cóżby się stało!

CZWARTY OBYWATEL.

Przeczytaj nam ten testament; koniecznie  
 Chcemy go poznać. Przeczytaj natychmiast.

ANTONIUSZ.

Bądźcież cierpliwi; poczekajcie nieco.  
 Żałuję teraz, żem wam o tém wspomniał,  
 Boję się skrzywdzić tych szanownych ludzi,  
 Których sztylety przebiły Cezara.

CZWARTY OBYWATEL.

To zdrajcy: co mi za szanowni ludzie!

OBYWATELE

O! Antoniuszu! przeczytaj testament!

DRUGI OBYWATEL.

To nikczemnicy, bezwstydni mordercy!  
 Ależ testament, testament!

ANTONIUSZ.

Gwałtem więc chcecie, bym go wam przeczytał?  
 Stańcież w krąg tedy przy zwłokach Cezara,  
 I mnie pozwólcie podnieść całun tego,  
 Co w nim zapisał swą ostatnią wolę.  
 Mamże zniść? Czyliż zgadzacie się na to?

OBYWATELE.

Znijdź! znijdź!

*(Antoniusz zstępuje z mównicy).*

TRZECI OBYWATEL.

Zgadzamy się.

CZWARTY OBYWATEL.

Stańmy w krąg.

PIERWSZY OBYWATEL.

Stańmy opodal, usuńmy się.

DRUGI OBYWATEL.

Hej! zróbcie miejsce najszlachetniejszemu  
 Antoniuszowi!

ANTONIUSZ.

Nie tłóczcie się tak koło mnie, odstańcie.

OBYWATELE.

Na bok! hej! na bok!

ANTONIUSZ.

Jeżeli macie łzy, lećcież je teraz.  
 Czy znacie ten płaszcz? Pomnę, kiedy Cezar  
 Po raz pierwszy na siebie zarzucił go  
 Byłoto w letni wieczór pod namiotem,  
 Tego dnia, kiedy pogromił był Nerwów.  
 Patrzcie! w to miejsce pchnął zawistny Kaska,  
 W to miejsce sztylet Kassjusza ugodził,  
 Tędy cios zadał Brutus ukochany;  
 A kiedy wyjął fatalne narzędzie,  
 Pomyślcie, ile krwi z Cezara trysło:  
 Buchnęła ona jak przez drzwi, chcąc ujrzeć,  
 Czyli Brutus tak silnie zapukał,  
 Czyli nie Brutus; bo Brutus, jak wiecie,  
 Był istnym w oczach Cezara aniołem.  
 Bogowie, wyście świadkami, jak bardzo,  
 Jak czule kochał go Cezar! Zaprawdę,  
 Byłto cios z wszystkich ciosów najdotkliwszy:  
 Skoro albowiem Cezar uczuł w piersiach  
 Sztylet Brutusa, niewdzięczność silniejsza  
 Od ramion zdrajców, wraz go pokonała.  
 Pękło mu serce, i twarz kryjąc płaszczem,  
 U stóp posągu Pompejuszowego,  
 Z którego ciekła krew, padł wielki Cezar.  
 O! jakieżto był upadek, rodacy!  
 Ja, wy, wszyscyśmy padli jednocześnie;  
 A krwawa zdrada nad naszym upadkiem  
 Wydała okrzyk radosny. Płaczecie,  
 Do łez jesteście rozrzewnieni: łzy te  
 Czynią wam zaszczyt. Czegóż wy płaczecie,  
 Poczciwe dusze? Płaczecie na widok  
 Przebitéj szaty waszego Cezara:  
 Spojrzcie tu, tu on sam leży zakłuty,  
 Zamordowany sztyletami zdrajców.

PIÉRWSZY OBYWATEL.

O oplakany widoku!

DRUGI OBYWATEL.

O szlachetny Cezarze!

TRZECI OBYWATEL.

O dniu żałoby!

CZWARTY OBYWATEL.

O zdrajcy! O nikczemnicy!

## PIÉRWSZY OBYWATEL.

O zgrozo!

## DRUGI OBYWATEL.

Zemsty nam trzeba; zemścijmy się. Daléj, biegnij, chwytaj ich, pal, kluj, bij, zabijaj! Niech żaden zdrajca nie ujdzie żywy.

## ANTONIUSZ.

Wstrzymajcie zapal, rodacy.

## PIÉRWSZY OBYWATEL.

Cicho! szlachetny Antoniusz przemawia.

## DRUGI OBYWATEL.

Gotowiśmy go słuchać, gotowiśmy pójść za nim, gotowiśmy z nim umrzeć.

## ANTONIUSZ.

O! przyjaciele, drodzy przyjaciele,  
 Niech moje słowa nie będą wam bodźcem  
 Do tak nagłego wybuchu.  
 Sprawcy téj śmierci są to, jak mówiłem,  
 Szanowni ludzie; jakie osobliwe  
 Powody mieli do takiego czynu;  
 Tego, niestety, ja nie wiem: są oni  
 Niezaprzeczenie mądrzy i szanowni,  
 I niezawodnie wam się wytłumaczą.  
 Jam tu nie przyszedł kraść wazszych affektów;  
 Nie jestem mowcą tak dobrym, jak Brutus:  
 Jestem, jak wiecie, dobroduszny prostak,  
 Do przyjaciela swego przywiązany;  
 I dobrze o tém wiedzą ci panowie,  
 Którzy mi o nim pozwolili mówić.  
 Brak mi dowcipu, słów, min i powagi,  
 Kunsztownych zwrotów i potęgi głosu:  
 Tego wszystkiego, co krew ludzi wzrusza.  
 Ja tylko mówię wprost prawdę; ja tylko  
 Wam opowiadam to, co wiecie sami.  
 Pokazuję wam rany kochanego  
 Cezara; biédne, nieme jego usta,  
 I im wymowę całą przekazuję.  
 Lecz gdybym ja był Brutusem, a Brutus  
 Był Antoniuszem: wtedyby Antoniusz  
 Nie szczędził pewnie swych piersi, i każdą  
 Ranę Cezara tak wymowną zrobił,  
 Że nawet głazy Rzymu poruszone  
 Z wściekłościąby się do buntu podniosły.



OBYWATELE.

I my bunt chcemy podnieść.

PIÉRWSZY OBYWATEL.

Śpalmy Brutusa dom.

TRZECI OBYWATEL.

Idźmy, szukajmy sprzysiężonych.

ANTONIUSZ.

Posłuchajcie mnie pierwej, posłuchajcie!

OBYWATELE.

Hola! Uciszcie się! Antoniusz mówi.

ANTONIUSZ.

O! przyjaciele, rodacy, nie wiecie  
 Co zamierzacie. Przez cóżto się Cezar  
 Stał godnym waszój miłości? Niestety!  
 Nie wiecie sami:—ja wam tedy powiem.  
 Nie napomknąłem wam o testamencie  
 Cezara? Czyście zapomnieli o tém?

OBYWATELE.

Prawda; testament:—czekajmy, słuchajmy.

ANTONIUSZ.

Oto jest w mowie będący testament,  
 A na nim pieczęć Cezara. Przeznacza  
 On nim każdemu obywatelowi  
 Rzymu, ba, nawet każdemu z pospółstwa,  
 Po siedmdziesiąt i pięć drachm.

DRUGI OBYWATEL.

Wielki Cezarze!—pomścim się za ciebie;

TRZECI OBYWATEL.

Wspaniałomyślny Cezarze!

ANTONIUSZ.

Wysłuchajcie mnie cierpliwie do końca.

OBYWATELE.

Hola! milczenie!

ANTONIUSZ.

Nadto, leguje on wam wszystkie swoje  
 Wille i świeżo sadzone ogrody  
 Z téj strony Tybru; oddaje to wszystko  
 Wam i następcom waszym w posiadanie

Na wieczne czasy, ku wspólnej wygodzie  
I przyjemności i wszelkiej korzyści.  
Takim był Cezar. Kiedyż na świat przyjdzie  
Drugi podobny?

PIÉRWSZY OBYWATEL.

Nigdy, nigdy:—idźmy:  
Spalmy na świętym placu jego ciało,  
Lecz jednocześnie puśćmy także z dymem  
Mieszkania zdrajców. Dalej, bierzcie ciało.

DRUGI OBYWATEL.

Rozniećcie ogień.

TRZECI OBYWATEL.

Walcie na kupę ławki.

CZWARTY OBYWATEL.

Rąbcie lamperye, okna, co się zdarzy.  
(*Obywatele wychodzą unosząc ciało.*)

ANTONIUSZ.

Rzucona żagiew: nieprawość przerwała  
Swoje zapory; niechże dalej działa.  
Cóż tam?

(*Sługa wchodzi.*)

SŁUGA.

Oktawiusz przybył już do Rzymu.

ANTONIUSZ.

Gdzież on jest?

SŁUGA.

W domu Cezara z Lepidem.

ANTONIUSZ.

Natychmiast spieszę do niego. W stosowną  
Porę przybywa. Fortuna jest jakoś  
W dobrym humorze i chce nam coś zrzucić  
Z swojego rogu.

SŁUGA.

Mówią, że przed chwilą  
Brutus i Kassyusz co tchu, jak szaleni  
Pędzili konno przez ulice Rzymu.

ANTONIUSZ.

Snadź im już doniósł lud, jakem go wzruszył:  
Tém lepiej. Prowadź mnie do Oktawiusza.  
(*Wychódza.*)

**SCENA TRZECIA.***(Tamże. Ulica).*CYNNA *poeta, wchodzi.*

CYNNA.

Snilem dziś, żem był z Cezarem na uczcie,  
 I rój mar groźnych napęłnił mi umysł:  
 Nie miałem wcale ochoty wyjść z domu,  
 A przecież coś mnie wyгнаło.

*(Obywatele wchodzi).*

PIÉRWSZY OBYWATEL.

Jak się nazywasz?

DRUGI OBYWATEL.

Gdzie idziesz?

TRZECI OBYWATEL.

Gdzie mieszkasz?

CZWARTY OBYWATEL.

Jestżeś żonaty, czy nieożeniony?

DRUGI OBYWATEL.

Odpowiedz prosto.

PIÉRWSZY OBYWATEL.

I krótko.

CZWARTY OBYWATEL.

I rozsądnie.

TRZECI OBYWATEL.

I rzetelnie: tak ci radzim.

CYNNA.

Jak się nazywam? Gdzie idę? Gdzie mieszkam?  
 Czym żonaty? Czy nieożeniony? Mam na to wszystko  
 odpowiedzieć prosto, krótko, rozsądnie i rzetelnie. Roz-  
 sądnie mówiąc—jeszczem nieożeniony.

DRUGI OBYWATEL.

To się ma znaczyć: głupiec, kto się żeni. Boję się,  
 żebyś za to nie dostał kuksa, bratku. Mów dalej, prosto.

CYNNA.

Idę prosto na pogrzeb Cezara.

DRUGI OBYWATEL.

Jako przyjaciel, czy jako nieprzyjaciel?

CYNNA.

Jako przyjaciel.

DRUGI OBYWATEL.

Na to pytanie prosto odpowiedział.

CZWARTY OBYWATEL.

A gdzie waść mieszkasz? Mów krótko.

CYNNA.

Krótko mieszkam w podłe Kapitolu.

TRZECI OBYWATEL.

A jakie waści nazwisko? Mów rzetelnie.

CYNNA.

Rzetelnie, nazwisko moje: Cynna.

PIÉRWSZY OBYWATEL.

Rozszarpcie go na sztuki, to jeden z sprzysiężonych.

CYNNA.

Jam Cynna, poeta; jam Cynna, poeta!

CZWARTY OBYWATEL.

Rozszarpcie go za jego kiepskie wiersze, rozszarp-  
cie go za kiepskie wiersze.

CYNNA.

Jam nie ten Cynna, co miał udział w spisku.

DRUGI OBYWATEL.

Mniejsza o to: nazywasz się Cynna, to dosyć. Wy-  
drzyjcie mu to nazwisko z serca i niech sobie potem idzie  
zdrow.

TRZECI OBYWATEL.

Rozszarpcie go, rozszarpcie. Hej! główni, pocho-  
dni! Do Brutusa, do Kassjusza! pal zdrajców! A inni do  
Decyuszowego, a inni do Ligaryuszowego domu, a inni  
do domu Kaski. Dalej, dalej!

(*Wychodzą*).

## AKT IV.

## SCENA PIÉRWSZA.

(*Tamże. Kohnata w domu Antoniusza*).

ANTONIUSZ, OKTAWIUSZ I LEPID *siedzą przy stole.*

ANTONIUSZ.

Ci wszyscy mają więc umrzeć: nazwiska  
Ich mam spisane.

OKTAWIUSZ.

Twój brat musi także  
Umrzec, Lepidzie; zgadzasz-li się na to?

LEPID.

Zgadzam się.

OKTAWIUSZ.

Umieść go więc, Antoniuszu,  
Na liście.

LEPID.

Ale tylko pod warunkiem,  
Że Publiusz, syn twój siostry, Antoniuszu,  
Podobnie śmierci ulegnie.

ANTONIUSZ.

Ulegnie.

Patrz, oto jedném pociągnięciem pióra  
Jużem go skazał. A teraz, Lepidzie,  
Chciej nam tu przynieść Cezara testament,  
Ażebyśmy się wspólnie naradzili,  
Czy się co nie da obciąć z uciążliwych  
Jego legatów.

LEPID.

Czy was tu zastanę?

OKTAWIUSZ.

Albo tu, albo w Kapitolu.

(*Lepid wychodzi*).

ANTONIUSZ.

Lekki to człowiek i bez żadnych zalet:  
Zdatny jedynie do posyłek. Jestże

On wart mieć udział przy podziale świata,  
I jedną trzecią część jego otrzymać?

OKTAWIUSZ.

Sameś tak sądził, skoroś go zawezwał  
Do układania z nami czarnej listy  
Skazanych na śmierć i proskrypcją.

ANTONIUSZ.

Więcej

Ja, Oktawiuszu, niż ty, dni widziałem.  
Jeśli na niego włożym część zaszczytów,  
Co nas uwolni od pewnych drażliwych  
Ciężarów władzy: dźwigać on je tylko  
Będzie, jak osioł dźwiga wór ze złotem;  
Pocić się, jęczyć w pracy, kierowany,  
Lub popędzany po wytkniętej drodze!  
Skoro zaś skarb nasz doniesie, gdzie zechcem,  
Wtedy zdejmujemy z niego drogi ciężar,  
I usuniemy go na bok, jak osła,  
Aby spokojnie z zwieszonymi uszy  
Pasł się na trawie.

OKTAWIUSZ.

Rób jak chcesz: jednakże  
Jestto odważny, doświadczony żołnierz.

ANTONIUSZ.

Takim jest także mój koń, Oktawiuszu;  
Ja mu też za to wyznaczam nie skąpą  
Porcją obroku; wkładam go do boju,  
Uczę go zwrotów, uczę jak i kiedy  
Ma stać, kłusować lub ruszyć z kopyta:  
Ruch jego ciała jest grą woli mojej.  
Tak samo prawie ma się rzecz z Lepidem:  
I jego trzeba tresować, prowadzić,  
Poganiać—bo duch jego jest leniwy.  
Kocha się w sztukach, rupiecicach i fraszkach,  
I takie rzeczy, które już oddawna  
Wyszły z użycia, na które my plujem,  
U niego modą się stają. Nie miejmy  
Go za nic więcej jak za sprzęt przydatny.  
Terazże otwórz Oktawiuszu ucho  
I wpuść w nie ważną wieść: Brutus i Kassjusz  
Gromadzą wojska: trzeba nam niezwłocznie  
Stawić im czoło. Obrachujmy przeto  
Złączone siły nasze, powołajmy  
Naszych przyjaciół i rozwińmy wszelkie

Możliwe środki; tymczasem zaś złóżmy  
Walną naradę i pilnie rozważmy,  
Jakby najlepiej tajne zle wysledzić,  
A jawnym z pewnym skutkiem odpowiedzieć.

OKTAWIUSZ.

Zróbmy tak: bośmy na sztych wystawieni,  
I obsadzeni mnóstwem nieprzyjaciół;  
Ci zaś, co w oczy się śmieją, chowają  
Nieraz jad w sercu.

(*Wychodzą*).

## SCENA DRUGA.

(*Przed namiotem Brutusa w obozie pod Sardes*).

*Odgłos kottów.* BRUTUS, LUCYLIUSZ I LUCYUSZ  
wchodzą z żołnierzami; TITINIUSZ I PINDAR  
nadchodzą z przeciwnej strony.

BRUTUS.

Stój!

LUCYLIUSZ.

Wymień hasło!

BRUTUS.

Cóż tam, Lucyliuszu?  
Gdzie Kassyusz? Rychłóż tu będzie?

LUCYLIUSZ.

Niebawem;  
Pindar pozdrawia cię od niego, wodzu.  
(*Pindar oddaje list Brutusowi*).

BRUTUS.

Pięknie pozdrawia mię. Twój pan, Pindarze,  
Bądź w skutek zmiany, bądź też złych poszeptów,  
Każe mi pragnąć, aby się odstało  
To, co się stało; lecz skoro ma nadejść,  
Porozumiemy się, mniemam.

PINDAR.

Nie wątpię,  
Że mój pan takim jak jest się pokaże:  
To jest zacności i honoru pełnym.

BRUTUS.

Któż o tém wąpi? Lucyliuszu, słowo.  
*(Biorąc go na stronę).*  
 Jakże on ciebie przyjął?

LUCYLIUSZ.

Dosyć grzecznie,  
 I z oznakami szacunku; jednakże  
 Nie z tą serdeczną otwartością, ani  
 Poufałością swobodną, jak dawniej.

BRUTUS.

Odmalowałeś obraz przyjaciela,  
 Którego zapal ochłódk. Z dawien dawna  
 Znajome to są dzieje, Lucyliuszu:  
 Że przyjaźń stygnąc przywdziewa subtelną  
 I wymuszoną szatę ceremonii.  
 Prosta rzetelność nienawidzi blichtrów,  
 Lecz ludzie zręcznie się układający  
 Są, jako owe konie paradiery,  
 Które na oko ogień obiecują,  
 Lecz niechno krwawą poczują ostrogę,  
 Wnet opuszczają grzywę, i jak chetki  
 Padają w probie. Idzież jego wojsko?

LUCYLIUSZ.

Dzisiejszej jeszcze nocy zajmie ono  
 W Sardes kwatery. Większa jego część,  
 To jest konnica, nadciąga z nim razem.  
*(Marsz za sceną).*

BRUTUS.

Czy słyszysz? To on.—Biegnij, Lucyliuszu  
 Jak najuprzejmiej na jego spotkanie.  
*(Kassysz wchodzi z żołnierzami).*

KASSYUSZ.

Hola! Stój!

BRUTUS.

Hola! Stój i wymień hasło.  
*(Za sceną trzy razy: „Stój”).*

KASSYUSZ.

Szlachetny bracie, bardzoś mi uchybił.

BRUTUS.

Niech mię bogowie sądzą: nie uchybiam  
 Nieprzyjaciółom nawet, a miałebym  
 Uchybiać bratu mojemu?



KASSYUSZ.

Brutusie,  
Kształtna to forma ukrytej niechęci!  
Jeżeli chcesz w niej trwać....

BRUTUS.

Zwolna, Kassyszu:  
Łagodnie wynurz swój żal. Znam cię dobrze.  
Nie toczmy sporów tu w obec wojsk naszych,  
Które powinny widzieć tylko naszą  
Przyjaźń i zgodę. Każ im się usunąć:  
Pójdziemy potem do mego namiotu;  
Tam mi twe skargi wypowiesz.

KASSYUSZ.

Pindarze,  
Powiedz dowódczom, aby swoje roty  
W tył ztąd cofnęli nieco.

BRUTUS.

Lucyliusz,  
Uczyn podobnie. Niech się nikt nie waży  
Wniść do namiotu mojego przed końcem  
Naszej rozmowy. Lucyusz i Tytyniusz  
Staną dlatego na straży u wnijscia.  
(*Wychodzą*).

### SCENA TRZECIA.

(*W namiocie Brutusa. Lucyusz i Tytyniusz przechadzają się w pewnej odległości*).

BRUTUS I KASSYUSZ *wchodzą*.

KASSYUSZ.

Żeś mi uchybił, dowód na to taki:  
Skazałeś na śmierć i okryłeś hańbą  
Lucyusza Pelle, za to, że Sardyanom  
Dał się przekupić; a kiedym listownie  
Wstawiał się za nim, bom go znał, tyś listy  
Moje odrzucił i prośbą pogardził.

BRUTUS.

Sameś uchybił sobie pisząc za nim.

KASSYUSZ.

W obecnych czasach niegodzi się wdawać  
W zbytnie rozbiory ladajakię winy.

BRUTUS.

Pozwolisz sobie powiedzieć, Kassysuszu,  
 Że i na tobie ciąży podejrzenie,  
 Jakobyś maczał rękę w nadużyciach,  
 Skrycie frymarząc stopniami, i one  
 Niegodnym ludziom sprzedając za złoto.

KASSYUSZ.

Ja, moją rękę maczać w nadużyciach?  
 Wiész dobrze, że to Marek Brutus wyrzekł:  
 Inaczej mowa ta, na wszystkie bogi,  
 Byłaby twoją ostatnią.

BRUTUS.

Nazwisko

Kassysusz, ucznia niecność twych postępków,  
 I kara przed niem kryje głowę.

KASSYUSZ.

Kara!

BRUTUS.

Przypomnij sobie marzec, Idus marca:  
 Za cóżto, jeśli nie za świętą sprawę  
 Słuszności, zginął wielki Juliusz Cezar?  
 Jakiż nikczemnik w innej, niż ta sprawie  
 Podniósł nań sztylet, tknął się jego ciała?  
 I myżto teraz, my, cośmy przeleli  
 Krew najpiérwszego z tegoczesnych mężów,  
 Za to jedynie, że cierpiał łupieztwa;  
 Myżto dziś mamy brudzić sobie palce  
 Plugawym wziętkiem, i rozległy zakres  
 Obywatelskich dostojenstw sprzedawać  
 Za garść barłogu? Zaprawdę, wolałbym  
 Sto razy być psem, co szczeka na księżyc,  
 Niżeli takim Rzymianinem.

KASSYUSZ.

Nie szczekaj na mnie, Brutusie, nie zniosę  
 Tego obejścia: chcąc mnie upokorzyć,  
 Zapominasz się: jam żołnierz, Brutusie,  
 Starszy od ciebie w praktyce; i prędjéj  
 Mógłbym ja tobie dyktować warunki,  
 Niż ty mnie.

BRUTUS.

Tegobyś nie mógł, Kassysuszu.

KASSYUSZ.

Mógłbym.

BRUTUS.

Powiadam, że nie.

KASSYUSZ.

Nie wyczerpuj  
Mój cierpliwości; mógłbym się zapomnieć.  
Miej wzgląd na siebie, nie kuś mego gniewu.

BRUTUS.

Idź, gardzę tobą.

KASSYUSZ.

Czy podobna?

BRUTUS.

Słuchaj,  
I nie przerywaj mi. Cóżto, czy myślisz,  
Że ja wybrykiem twoim kadzić będę;  
Że zadrzę, gdy mi urąga szaleniec?

KASSYUSZ.

O bogi! bogi! mamże znieść to wszystko?

BRUTUS.

To wszystko? Więcej jeszcze: Wrzěj z wściekłości.  
Dopóki dumne twe serce nie pęknie,  
Idź, pień się w obec twoich niewolników,  
I każ służalcom twym truchleć. Co? jażbym  
Miał się chwiać? ja stać na palcach przed tobą?  
Czołgać się przed twym humorem? Na bogi,  
Musisz sam w sobie strawić jad twój zółci,  
Chociażby ci miał wnętrzości rozsadzić.  
Od dzisiaj gniew twój jest dla mnie igraszką  
I pośmiewiskiem.

KASSYUSZ.

Do tegożto przyszło?

BRUTUS.

Mówisz, żeś lepszy żołnierz: dowiedz tego.  
Zamień chępliwość w czyn, będzie to dla mnie  
Miłym widokiem; bo co się mnie tyczy,  
Lubię się uczyć od szlachetnych ludzi.

KASSYUSZ.

Krzywdzisz mię ciągle, krzywdzisz mię, Brutusie  
Pod każdym względem; mówiłem, żeś starszy,  
Nie zaś żeś lepszy żołnierz. Czym ja mówił,  
Żeś lepszy?

BRUTUS.

Mniejsza mi o to, czyś mówił.

KASSYUSZ.

Cezar za życia nie śmiał mię tak drażnić.

BRUTUS.

Milcz: tyś to nie śmiał go tak niecierpliwić.

KASSYUSZ.

Jam nie śmiał?

BRUTUS.

Tak jest.

KASSYUSZ.

Jego niecierpliwić?

BRUTUS.

Tak jest: nie śmiałeś, bo ci miłe życie.

KASSYUSZ.

Nie dufaj zbyt w mą przyjaźń, bo mógłbym  
Zrobić coś, czegobym potem żałował.

BRUTUS.

Mógłbyś żałować tego, coś już zrobił.  
 Groźby twe niczem są dla mnie, Kassyuszu;  
 Bo mnie poczciwość tak warownie zbroi,  
 Że one koło mych uszu przechodzą,  
 Jak ów wiatr, którym gardzę. Posyłałem  
 Po pewną sumę pieniędzy do ciebie:  
 Odmówiłeś mi onęj; posyłałem  
 Po nią do ciebie, bo nie umiem grosza  
 Podłemi zbierać środkami. Na bogi!  
 Wolalibyśmy raczej serce me stępować,  
 I krew mą sączyć za drachmy, niż z twardych  
 Rąk biednych kmieci, pokątnym sposobem,  
 Wyciskać krwawo zarobione mienie.  
 Chciałem od ciebie pożyczyć pieniędzy  
 Na zapłacenie żołdu mym legionom;  
 Odmówiłeś mi: któżby po tym kroku  
 Poznał Kassyusza? Byłżebym ja sobie  
 Tak był postąpił z Kajusem Kassyuszem?  
 Jeżeli Marek Brutus kiedykolwiek  
 Do tego stopnia okaże się sknerą,  
 Iż nędzne swoje skrzynie na klucz zamknie  
 Przed przyjaciółmi: o! wtedy, bogowie,  
 Spuście na niego wszystkie swe pioruny,  
 I w proch go zgnieście!

KASSYUSZ.

Jam ci nie odmówił.

BRUTUS.

Odmówiłeś mi.

KASSYUSZ.

Nie, nie odmówiłem:

Jakiś półgłówek przyniósł ci tę bajkę.  
 Brutusie, ciężko zraniłeś mi serce:  
 Przyjaciel kryje wady przyjaciela;  
 A ty, Brutusie, zwiększasz owszem moje.

BRUTUS.

Nie zwiększam, gdy wprost sam tylko je znoszę.

KASSYUSZ.

Nie cierpisz mię więc?

BRUTUS.

Nie cierpię twych przywar.

KASSYUSZ.

Przyjazne oko nie dostrzega nigdy  
 Podobnych rzeczy.

BRUTUS.

Nie dostrzega onych  
 Oko podchlebców, chociażby tak wielkie  
 Były, jak Olimp.

KASSYUSZ.

Przybądź, Antoniuszu,  
 I ty, bezbrody Oktawiuszu, przybądź,  
 Nasycić zemstę swą we krwi Kassjusza.  
 Bo Kassjuszowi obrzydł już świat, skoro  
 Go nienawidzi ten, co mu był droższym  
 Nad wszystko w świecie; skoro nim brat gardzi,  
 Jak psem pomiata, wszystkie jego błędy  
 Notuje, uczy się onych napamięć,  
 Aby mu niemi z rejestru pluł w oczy.  
 O! mógłbym z żalu we łzy się rozpląnąć!  
 Oto mój sztylet, oto moja pierś:  
 Bije w nią serce pełniejsze, bogatsze  
 Od Plutusowych min; droższe od złota:  
 Wyrwij je, jeśli jesteś Rzymianinem.  
 Jam ci odmówił złota, daję-ć serce:  
 Uderz w nie, jakoś uderzył w Cezara;  
 Boś ty Cezara bardziej nienawidził,  
 Aleś go lepiej kochał niż Kassjusza.

BRUTUS.

Schowaj twój sztylet: gniewaj się i zzymaj,  
 Jeśli chcesz; wszelką masz wolność potemu.  
 Rób, co chcesz; zakał nazwijmy kaprysem.  
 O! mój Kassyuszu, tyś wprzagniety w jedno  
 Jarzmo z jagnięciem, którego zawziętość  
 Równie jest trwała, jak ogień krzemienia,  
 Który, skrzesany nieco silniej, szparką  
 Wydaje iskrę i wnet znowu chłodnie.

KASSYUSZ.

Na toż żył Kassyusz, aby Brutusowi  
 Za pośmiech tylko i igraszkę służył,  
 Gdy go gwałtowna krew i żal uniesie?

BRUTUS.

Jeślim to wyrzekł, wyznaję, że byłem  
 Niemniej gwałtowny.

KASSYUSZ.

Ty mi to wyznajesz?

Daj rękę.

BRUTUS.

Razem z sercem.

KASSYUSZ.

O Brutusie!

BRUTUS.

Czegoż chcesz więcej?

KASSYUSZ.

Zechceszże być odtąd  
 Pobłażającym dla mnie, gdy porywczosć,  
 Którą mam z matki, sprawi kiedykolwiek,  
 Iż się zapomnę?

BRUTUS.

Będę nim, Kassyuszu!  
 Ilekroć razy okażesz się cierpkim  
 Względem Brutusa, on sobie pomyśli  
 O twojej matce i chętnie-ć wybaczy.  
*(Hałas za sceną).*

POETA *(za sceną).*

Wpuście mnie, wpuście do wodzów; jest jakieś  
 Pomiedzy nimi nieporozumienie:  
 Nienależy ich samych pozostawiać.

LUCYLIUSZ *(za sceną)*.

Nie wnijdiesz.

POETA *(za sceną)*.

Chyba śmierć zdoła mnie wstrzymać.  
*(Wchodzi)*.

BRUTUS.

Cóżto jest, co się to znaczy?

POETA.

Wodzowie!

Wstyďte się; wamże przystoi się waśnić?  
Podajcie sobie dłonie, mir uderzcie:  
Dawniej ja od was żyję, więc mi wierzcie.

KASSYUSZ.

Cha, cha, jak nędznie rymuje ten Cynik!

BRUTUS.

Precz ztąd, zuchwały natręcie; precz zaraz.

KASSYUSZ.

Wybacz mu, już to taka jego mania.

BRUTUS.

Umiem cierpliwie słuchać jego dziwaectw,  
Kiedy stosowny do nich czas wybierze.  
Wojna obejdzie się bez tych kuglarzy.  
Precz ztąd, precz.

KASSYUSZ.

Oddal się, dobry człowieku.  
*(Poeta wychodzi)*.

*(Lucyliusz i Tytyniusz wchodzi)*.

BRUTUS.

Idź, Lucyliuszu, i ty Tytyniuszu,  
Kazać dowódcom przygotować nocleg  
Dla wojsk nadeszłych.

KASSYUSZ.

I wróćcie tu zaraz

Z Messalą.

*(Lucyliusz i Tytyniusz wychodzą)*.

BRUTUS.

Chłopcze, przynieś puhar wina.

KASSYUSZ.

Nie spodziewałem się nigdy, Brutusie,  
Abyś mógł tak być gniewnym.

BRUTUS.

O Kassjuszu,  
Gdybyś znał wszystkie moje utrapienia!

KASSYUSZ.

Gdzież się podziła twoja filozofia,  
Skoro chwilowym troskom się poddajesz?

BRUTUS.

Nikt smutków lepiej odemnie nie znosi.  
Porcyą nie żyje.

KASSYUSZ.

Co! Porcyą?

BRUTUS.

Nie żyje.

KASSYUSZ.

Dlaczegożes mię nie zabił na miejscu,  
Kiedym cię przyszedł w takiej chwili drażnić!  
O niepowrotna, oplakana strato!  
Na cóż umarła? cóż spowodowało  
Tę śmierć tak nagłą?

BRUTUS.

Niespokojność o mnie,  
A przytém rozpacz, że młody Oktawiusz,  
Oraz Antoniusz przyszli do takiego  
Stopnia potęgi; jednocześnie bowiem  
Wiść ta mię doszła z wieścią o jój śmierci.  
To ją dotknęło tak, że w obłąkaniu,  
Pod nieobecność sług połknęła ogień...

KASSYUSZ.

I tak umarła?

BRUTUS.

Tak.

KASSYUSZ.

O nieśmiertelni!  
(*Lucyusz wchodzi z winem i światłem*).

BRUTUS.

Nie mówmy o niej. Dobrze, daj tu puhar:  
W nim wszelką niechęć pogrzebiem, Kassjuszu.  
(*Pije*).



KASSYUSZ.

Szlachetny toast ten łechce mi serce:  
Lucyuszu, napełń czarę aż po brzegi.  
Pijąc za zdrowie mojego Brutusa  
Nie mogę wypić zawiele.

*(Pije).**(Tytyniusz wchodzi z Messalą).*

BRUTUS.

Wnijdź, Tytyniuszu: witaj nam, Messalo!  
Siądźmy tu teraz razem przy tej świecy  
I radźmy, co nam pozostaje czynić.

KASSYUSZ.

Już cię więc nie ma, Porcyo!

BRUTUS.

Przestań, proszę.

Siądźcie, panowie. Odebrałem właśnie  
Wiść, że Oktawiusz i Marek Antoniusz  
Z ogromną siłą przeciwko nam ciągną,  
I ku Filippom kierują swój pochód.

MESSALA.

I ja przed chwilą odebrałem listy  
Podobnej treści.

BRUTUS.

Z jakimże dodatkiem?

MESSALA.

Z tym, że Oktawiusz, Antoniusz i Lepid  
Stu senatorów skazali na gardło.

BRUTUS.

W tym punkcie nie są zgodne nasze listy.  
W moich jest mowa o siedemdziesięciu,  
Którzy zginęli skutkiem ich proskrypcyi.  
W liczbie tych był i Cycero.

KASSYUSZ.

Cycero?

MESSALA.

Tak jest, Cycero padł z innemi razem.  
Nie miałeś, wodzu, listów od swój żony?

BRUTUS.

Nie miałem.

MESSALA.

I nie ci o niej nie piszą?

BRUTUS.

Nie.

MESSALA.

To mnie dziwi.

BRUTUS.

Dlaczegoż mnie badasz?  
Miałebyś o niej co wiedzieć?

MESSALA.

Nie, wodzu;

Nie nie wiem.

BRUTUS.

Jeśli jesteś Rzymianinem,  
Powiedz mi prawdę.

MESSALA.

Znieście, wodzu, prawdę,  
Jako Rzymianin. Żona twa umarła,  
I to sposobem nadzwyczajnym.

BRUTUS.

Żegnam cię, Porcyo! Messalo, my wszyscy  
Musimy umrzeć. Często myśląc o tém,  
Że kiedyś będę ją musiał utracić,  
Znoszę dziś mężnie myśl, żem ją utracił.

MESSALA.

Tak wielkie serca znoszą wielkie ciosy.

KASSYUSZ.

W sztuce téj chciałbym ci zrównać, Brutusie;  
Lecz siły moje sprostać ci nie mogą.

BRUTUS.

Wróćmy do rzeczy. Jakież wasze zdanie:  
Mamyż się teraz udać ku Filippom?

KASSYUSZ.

Nie jestem za tém.

BRUTUS.

Jakiż tego powód?

KASSYUSZ.

Następujący: Według mego zdania,  
Zawsze jest lepiej, kiedy nieprzyjaciel

Nas szuka, nie my jego. Tym sposobem  
 Nuży on wojsko, wyczerpuje środki,  
 Słowem, przyprawia się sam o uszczerbek;  
 Kiedy tymczasem my, spokojnie siedząc,  
 Pełne i świeże zachowujem siły,  
 Zawsze gotowi dzielny stawić odpór.

BRUTUS.

Dobre powody winny zawsze lepszym  
 Miejsca ustąpić. Lud zamieszkujący  
 Całą od Sardes do Filippów przestrzeń,  
 Sprzyja nam tylko w przymuszony sposób,  
 Żywiąc tajemną niechęć za pobrane  
 Przez nas podatki. Gdyby nieprzyjaciel  
 Ciągnął tym krajem, powiększyłby siły,  
 I pokrzepiony tym nabytkiem, śmieliej  
 Natarłby na nas. Utraci tę korzyść,  
 Jeżeli spiesznie stawimy mu czoło  
 Pod Filippami, dalszym niebezpiecznym  
 Pochodom jego zagrządzając drogę.

KASSYUSZ.

Bracie, posłuchaj mnie.

BRUTUS.

Za pozwoleniem.

Trzeba ci jeszcze obok tego zważyć,  
 Żeśmy już wszelkie wyczerpali źródła;  
 Że nasze legie są już wypełnione;  
 Że nasza sprawa doszła dojrzałości;  
 Nieprzyjaciołom sił przybywa codzien,  
 A nam na szczycie przesilenie grozi.  
 W zabiegach ludzkich jest przyływ i odpływ:  
 Pora przyływu stosownie schwytna  
 Wiedzie do szczęścia; kto onę opuszcza,  
 Ten podróż życia po mieliznach z biędą  
 Musi odbywać. Myśmy teraz właśnie  
 Na tak wezbrane wypłynęli morze:  
 Trzeba nam z fali przyjaznej korzystać,  
 Inaczéj okręt nasz zginie.

KASSYUSZ.

Chcesz tego,

Niechże tak będzie: postąpimy naprzód,  
 I stoczmy z niemi bój pod Filippami.

BRUTUS.

Późna w rozmowie noc nas zaskoczyła.  
 Natura musi konieczności uleż:

Skrzepmy ją trochę snu. Jestże co więcej  
Do załatwienia?

KASSYUSZ.

Nic więcej. Dobranoc.  
Jutro ze świtem opuścimy leże  
I marsz!

BRUTUS.

Lucyuszu, daj mi nocne szaty.  
(*Lucyusz wychodzi*).  
Bądź zdrow, kochany Messalo; dobranoc,  
Cny Tytyniuszu; szlachetny Kassyuszu,  
Dobranoc: śpijcie zdrowi.

KASSYUSZ.

Drogi bracie!  
Źle się zaczęła ta noc. Niech się odtąd  
Takie jak dzisiaj rozdwojenie nigdy,  
Nigdy pomiędzy nami nie powtarza!  
Dobrze, Brutusie?

BRUTUS.

Wszystko będzie dobrze.

KASSYUSZ.

Dobranoc, wodzu nasz.

BRUTUS.

Dobranoc, bracie.

TYTÝNIUSZ I MESSALA.

Dobranoc, wodzu.

BRUTUS.

Żegnam was, koledzy.  
(*Kassyusz, Tytyniusz i Messala wychodzą*).

LUCYUSZ.

(*przynosi nocne ubranie*).

Daj tu tę szatę. Gdzież jest twoja lutnia?

LUCYUSZ.

Jest tu w namiocie, panie.

BRUTUS.

Drzemiąc mówisz.  
Nie mam ci tego za złe, biedny chłopcze;  
Zadługoś czuwał. Zawołaj Klaudyusza.  
I jeszcze kogo; chciałbym, żeby przy mnie  
Spali tej nocy.

LUCYUSZ.

Warronie! Klaudyuszu!  
(*Warro i Klaudyusz wchodzi*).

WARRO.

Czy nas pan wołał?

BRUTUS.

Proszę was, przepędźcie  
Tę noc pod moim namiotem. Być może,  
Iż będę musiał was zbudzić i posłać  
Z jakimś zleceniem do mojego brata  
Kassjusza.

WARRO.

Stanie się, panie, jak każesz,  
Będziem tu stali i czuwali.

BRUTUS.

Tego ja nie chcę: połóżcie się, śpijcie;  
Może się jeszcze namyśle inaczej.  
Patrzaj, Lucyuszu, oto owa książka,  
Któręj szukałem; wetknąłem ją wczoraj  
W kieszeń téj nocnej szaty.  
(*Studzy pokładają się*).

LUCYUSZ.

Pewny byłem,  
Żeś mi-jój, panie, nie oddał.

BRUTUS.

Wybacz mi: złą mam pamięć, mój Lucyuszu;  
Będzieszli jeszcze mógł unieść na chwilę  
Ciężkie powieki, i ze strun twój lutni  
Wydobyć parę akkordów?

LUCYUSZ.

Panie, jeżeli ci to będzie miłym...

BRUTUS.

Będzie. Zabardzo trudzę cię, mój chłopcze,  
Ale ty dla mnie chętnie trud ponosisz.

LUCYUSZ.

Panie, to moja powinność.

BRUTUS.

Nie żądam  
Aby powinność przechodziła siły;  
Wiem, że krew młoda potrzebuje wczasu.

LUCYUSZ.

Jużem się trochę przespał.

BRUTUS.

Dobrześ zrobił;  
Będiesz mógł wkrótce znowu się położyć:  
Wkrótce-ć uwolnię. Jeżeli bogowie  
Żyć mi pozwolą, będziesz ze mnie 'kontent.  
(*Muzyka i śpiew*).

Senna tych dźwięków melodya.  
Nielitościwy śnie, jużżeto kładniesz  
Twe ołowiane berło na tém dziecku,  
Które cię pieśnią chce zakląć? Spij słodko  
Lube pacholę: nie będę tak srogim,  
Iżbym cię budził. Lecz on zgniecie lutnię,  
Jak się pochyli: odłóżmy ją na bok.  
Dobranoc, moja chłopczyno.  
(*Bierze książkę*).

Zobaczmy,

Czy nie ma czasem znaku, gdzie stanąłem.  
Al tu podobno.

(Siada).

(Duch Cezara wchodzi).

Jak źle się pali ta świeca!—Na bogi!  
Któż się to zbliża? Chorobaż to wzroku  
Stawia przedemną to widmo okropne?  
Zbliża się ku mnie:—Stój! powiedz, czém jesteś,  
Straszliwa maro, od której widoku  
Krew moja marznie i włos mój się jeży?  
Jestżeś ty jakim rzeczywistym tworem,  
Bóstwem, aniołem lub wyrzutkiem piekieł?  
Mów!

DUCH.

Jestem twoim złym duchem, Brutusie.

BRUTUS.

Po coś tu przyszedł? Czego chcesz?

DUCH.

Przyszedłem  
Powiedzieć tobie, że mnie wkrótce ujrzysz  
Pod Filippami.

BRUTUS.

Dobrze: mam więc ciebie  
Zobaczyć znowu?

DUCH.

Tak, pod Filippami.  
(Znika).

BRUTUS.

Pod Filippami mam cię tedy ujrzyć!  
Teraz gdy serca nabrałem, ty znikasz,  
Złowrogi duchu; byłbym był rad dłużej  
Z tobą pomówić. Hej, Lucyuszu, wstawaj!  
Warro, Klaudyuszu, wstawajcie, wstawajcie!  
Klaudyuszu!

LUCYUSZ.

Struny fałszywe są, panie.

BRUTUS.

Myśli, że jeszcze przygrywa na lutni.  
Lucyuszu, przebudź się!

LUCYUSZ.

Panie, co każesz?

BRUTUS.

Miałeś zły jaki sen, żeś tak wykrzyknął?

LUCYUSZ.

Nie o tém nie wiem, panie, czy krzyknąłem.

BRUTUS.

Krzyknąłeś, mówię. Nie widziałeś czego?

LUCYUSZ.

Niczego, panie, nie widziałem.

BRUTUS.

Idź spać, Lucyuszu. Klaudyuszu, Warronie,  
Wstawajcie!

WARRO.

Jestem, panie.

KLAUDYUSZ.

Jestem, panie.

BRUTUS.

Dlaczegożeście tak krzyknęli przez sen?

WARRO I KLAUDYUSZ.

Czyśmy krzyknęli, panie?

BRUTUS.

Nie inaczej.

Nie widzieliścież nic?

WARRO.

Jam nic nie widział.

KLAUDYUSZ.

Ani ja.

BRUTUS.

Idźcie odemnie pozdrowić  
Brata Kassjusza; powiedźcie mu, żeby  
Wcześniej się z swemi pułkami wyprawił,  
A my ruszymy za nim.

WARRO I KLAUDYUSZ.

Spieszym, panie.  
(*Wychodzą*).

## AKT V.

### SCENA PIÉRWSZA.

(*Równiny pod Filippami*).

OKTAWIUSZ I ANTONIUSZ *z wojskiem wchodzą  
na scenę.*

OKTAWIUSZ.

Tak więc nadzieje moje, Antoniuszu,  
Nie okazują się płonne. Mówiłeś,  
Że nieprzyjaciel nie zechce zejść ku nam,  
Tylko się trzymać będzie wzgórz i wyżyn;  
Przecież inaczej się stało: ich wojska  
Stoją przed nami tu pod Filippami.  
Chcą nas zastraszyć, dając nam odpowiedź  
Piérwój, niżesmy przemówili do nich.

ANTONIUSZ.

Gardź tém: przenikam ja ich i wiem dobrze  
Czemu tak czynią. Nie byliby oni  
Wcale nie radzi być teraz gdzieindziej;  
I jeśli z trwożną junakieryą przyszli  
Działać zaczepnie, to tylko dlatego,  
Że tym pozorem myślą nas przekonać



O swój odwadze: nie złudzą nas jednak.  
(*Goniec nadchodzi*).

GONIEC.

Baczność, wodzowie: nieprzyjaciel śmiało  
W zbitych szeregach postępuje ku nam;  
Wojenne jego znaki powiewają.  
Czas nagli coś przedsięwziąć.

ANTONIUSZ.

Oktawiuszu,  
Poprowadź swoje kolumny na lewo.

OKTAWIUSZ.

Idź ty na lewo, ja w prawo się udam.

ANTONIUSZ.

Dlaczegoż mi się sprzeciwiasz?

OKTAWIUSZ.

Sprzeciwiasz?  
Bynajmniej: tylko tak chcę i tak czynię.  
(*Marsz*).

*Odgłos kottów.* BRUTUS, KASSYUSZ, LUCY-  
LIUSZ, TYTYNIUSZ I MESSALA, *wchodzą na*  
*czele wojsk.*

BRUTUS.

Stoją: chcą widać rozmówić się z nami.

KASSYUSZ.

Zdaje się. Wstrzymaj pochód, Tytyniuszu:  
Trzeba nam z niemi kilka słów zamienić.

OKTAWIUSZ.

Mamyż rozpocząć walkę?

ANTONIUSZ.

Nie, Cezarze,  
Niech lepiej oni nas zaatakują.  
Postąpmy nieco; panowie dowódcy  
Chcą piérwój z nami zmierzyć się na słowa.

OKTAWIUSZ.

Nie ruszcie się na krok, aż damy sygnał.

BRUTUS.

Słowa przed rzezią. Takżeto, rodacy?

OKTAWIUSZ.

Nie przeto byśmy kochali się w słowach,  
Tak jak wy.

BRUTUS.

Dobre słowa, Oktawiuszu,  
Lepsze są, wierzaj, niż złośliwe ciosy.

ANTONIUSZ.

U was złośliwe ciosy w parze chodzą  
Z dobrymi słowy; świadczy o tém rana,  
Którąście w łonie Cezara otwarli,  
Wołając: *Żyj, żyj, Cezarze!*

KASSYUSZ.

Co twoje ciosy mogą, Antoniuszu,  
Nikt jeszcze nie wie; ale słowa twoje  
Niebezpiecznemi są dla pszczoł hyblejskich,  
Kradną im bowiem miód.

ANTONIUSZ.

Ale nie żądła.

BRUTUS.

I owszem, i głos; bo ty im odjąłeś  
Możność brzęczenia, Marku Antoniuszu,  
I mądrze grozisz piérwój nim ukąsisz.

ANTONIUSZ.

Nędznicy! wyście tak nie uczynili,  
Gdy wasze niecne sztylety zaszczyły  
W piersiach Cezara; wyście wyszczerzyli  
Zęby jak małpy, jak psy się łasili,  
Jak niewolnicy pełzali, całując  
Nogi Cezara, nim przekłęty Kaska,  
Jak wściekły brytan, na kark mu się rzucił.  
Nędzni pochlebcy!

KASSYUSZ.

Pochlebcy! Brutusie,  
Twoja to wina. Nie byłby nam dzisiaj  
Ten jadowity język tak nabluźnił,  
Gdyby Kassyusza głos miał był przewagę.

OKTAWIUSZ.

Daléj do rzeczy! Jeżeli spór słowny  
Potem okrywa nas, w sporze bojowym  
Czerwieńsze krople niebawem wystąpią.  
Patrzcie!  
Oto dobywam miecz przeciw spiskowym.

Kiedyż, myślicie, miecz ten spocznie w pochwie?  
 Nie prędjéj, bogi świadkami, aż każda  
 Z dwudziestu dwóch ran Cezara zostanie  
 Zpełna pomszczoną; lub aż drugi Cezar  
 W ślady piérwszego zarzezany padnie  
 Ofiarą zdrajców.

BRUTUS.

Nie bój się, Cezarze,  
 Nie zginiesz ty z rąk zdrajców; chyba żeś ich  
 Z sobą sprowadził.

OKTAWIUSZ.

Tak tuszę: nie mojęm  
 Jest przeznaczeniem paść z Brutusa ręki.

BRUTUS.

O! choćbyś ty był gwiazdą twego rodu,  
 Zaszczynieć umrzéć nie mógłbyś, młodzieńcze.

KASSYUSZ.

Hardy żak, a z nim lalka i wszetecznik,  
 Nie warci tego zaszczytu.

ANTONIUSZ.

Po gębie  
 Poznać Kassyusza.

OKTAWIUSZ.

Idźmy, Antoniuszu.  
 Zdrajcy! rzucały wam w oczy wyzwanie:  
 Jeżeli śmiecie dziś walczyć, wystąpcie:  
 Jeśli nie, czekać będziem aż wam przyjdzie  
 Lepszy apetyt.  
*(Oktawiusz i Antoniusz oddalają się z wojskiem swoim).*

KASSYUSZ.

Dmij teraz wicherze, wrzój falo, płyn łodzi!  
 Rykneła burza, los grę swą zaczyna.

BRUTUS.

Hej, Lucyliusz!

LUCYLIUSZ.

Co rozkażesz, panie?  
*(Brutus rozmawia z nim na stronie).*

KASSYUSZ.

Messalo.

MESSALA.

Słucham cię, wodzu.

KASSYUSZ.

Messalo,

Dziś jest rocznica mych urodzin: w dniu tym  
 Rodził się Kassyusz. Daj rękę, Messalo:  
 Bioreć za świadka, że wbrew woli, muszę  
 Tak, jak Pompejusz, stawiać wolność naszą  
 Na szalę jednej bitwy. Wiiesz, żem dotąd  
 Był zwolennikiem wiernym Epikura  
 I jego zasad: teraz zmieniam zdanie,  
 I wróżbom jakoś dowierzać zaczynam.  
 Kiedyśmy tu szli z pod Sardes, dwa orły  
 Siadły na naszych frontowych chorągwiach,  
 I przewiesiwszy lby, jak najspokojniej  
 Jadły i piły z rąk żołnierzy naszych.  
 Dziś równo ze dniem uleciały one;  
 Natomiast ponad głowami naszymi  
 Latają kruki, wrony i krogulce,  
 I patrzą na nas z góry jak na zdobycz,  
 Na którą wkrótce będą mogły zapaść.  
 Czarne ich chmary są jak gdyby kirem,  
 Pod którym skonać mają nasze wojska.

MESSALA.

Nie myśl tak, wodzu.

KASSYUSZ.

Trochę tylko myślę;

Bom zresztą silny na duchu, i gotów  
 Niebezpieczeństwu śmiało stawić czoło.

BRUTUS.

Tak, Lucyliuszu.

KASSYUSZ.

No, szlachetny bracie,

Niechże nas dzisiaj bogowie wspierają,  
 Abyśmy mogli w pokoju i zgodzie  
 Pędzić dni nasze do późnego wieku!  
 Lecz że los ludzi zawsze jest wątpliwy,  
 Godzi się przeto być przygotowanym  
 Na gorsze. Jeśli przegramy tę bitwę,  
 Ostatnia to już będzie, o Brutusie,  
 Nasza rozmowa: powiedz mi więc szczerze,  
 Co w takim razie postanawiasz czynić?

BRUTUS.

To, co mi każe owa filozofia,  
 Dla której za złe miałem Katonowi,  
 Że sam śmierć sobie zadał. Nie wiem czemu,

Ale mi się to wydaje tchórzostwem,  
 A więc podłością, skracać sobie życie,  
 Z obawy czegoś, co może nastąpić.  
 Uzbrajam się więc w cierpliwość i czekam  
 Wyroku owych niezbadanych potęg,  
 Które tu nami rządzą.

KASSYUSZ.

Jeżeli zatem przegramy tę bitwę,  
 Pozwolisz na to, aby cię w tryumfie  
 Przeprowadzano po ulicach Rzymu?

BRUTUS.

O! nie, Kassyszu. Zacny Rzymianinie,  
 Nie myśl, ażeby Brutus kiedykolwiek  
 Miał iść w kajdanach do Rzymu: duch jego  
 Tak się nie zniży. W każdym jednak razie  
 Dzień ten zakończyć musi to, co zaczął  
 Marcowy Idus. Czy się zobaczymy,  
 Nie wiem: dlatego na wszelki przypadek,  
 Odbierz ostatnie moje pożegnanie:  
 Na wieczne czasy żegnam cię, Kassyszu!  
 Jeśli nam jeszcze przyjdzie się zobaczyć,  
 Zamienim uśmiech; jeżeli przeciwnie,  
 Bracie mój, w poręśmy się pożegnali.

KASSYUSZ.

Na wieczne czasy żegnam cię, Brutusie!  
 Jeśli nam jeszcze przyjdzie się zobaczyć,  
 Zamienim uśmiech; jeżeli przeciwnie,  
 Zaprawdę w poręśmy się pożegnali.

BRUTUS.

Idźmy więc. Gdyby można było wiedzieć  
 O końcu tego dnia, nim się on skończy!  
 Że się on skończy jednak, to rzecz pewna;  
 Zatem wiadomy koniec. Dalej! naprzód!  
 (*Wychodzą*).

## SCENA DRUGA.

(*Tamże. Pole bitwy*).

*Wojenna wrzawa.* BRUTUS I MESSALA *wchodzą.*

BRUTUS.

Spiesz co tchu oddać to pismo legionom  
 Po tamtej stronie.

(*Głośniejsza wrzawa*).

Niech natychmiast natrą,  
 Bo Oktawiusza skrzydło, jak uważam,  
 Powolnie działa. Nagły atak rzuci  
 Między nich popłoch. Spiesz co tchu, Messalo,  
 I każ im wszystkim uderzyć odrazu.  
 (*Wychodzą*).

### SCENA TRZECIA.

(*Tamże. Inna część pola bitwy*).

*Wrzawa wojenna.* KASSYUSZ I TYTYNIUSZ  
*wchodzą.*

KASSYUSZ.

Patrz, Tytyniuszu: patrz, lotry pierzchają!  
 Musiałem zostać wrogiem własnych ludzi.  
 Chorąży mego legionu tył podał:  
 Przebiłem tchórza i wzięłem chorągiew.

TYTYNIUSZ.

Zawczasie Brutus dał sygnał: za żywo  
 Wziął się do rzeczy zyskawszy przewagę  
 Nad Oktawiuszem: żołnierz jego poszedł  
 Rabować; myśmy tymczasem zostali  
 Przez Antoniusza wojsko otoczeni.  
 (*Pindar nadchodzi*).

PINDAR.

Chroń się, o panie, chroń się zład czempredzój!  
 Marek Antoniusz jest już w twym obozie.  
 Chroń się, szlachetny panie.

KASSYUSZ.

Na tym wzgórk  
 Bezpieczny jestem. Patrzno, Tytyniuszu,  
 Naszże to obóz tam, gdzie widzę ogień?

TYTYNIUSZ.

Tak, to nasz, wodzu.

KASSYUSZ.

Tytyniuszu, siadaj  
 Na mego konia, utop w nim ostroge,  
 I póty ją w nim dzierz, aż cię zanieśie  
 Do tych tam pułków i tu wróci z tobą;

Chcę bowiem wiedzieć, czyli owe pułki  
Są przyjacielskie, czy nieprzyjacielskie.

TYTYNIUSZ.

Za chwilę będę tam i nazad, wodzu.  
(*Wychodzi*).

KASSYUSZ.

Wstąpno, Pindarze, wyżej na ten wzgórek:  
Bo ja mam tępy wzrok; śledź Tytyniusza,  
A jak co ujrysz w polu, to mi powiedz.  
(*Pindar wychodzi*).

Dziś się rodziłem: czas obiegi swe koło.  
Gdziem zaczął, tam i skończę; życie moje.  
Stoi u mety. Cóż tam?

PINDAR

(*ze wzgórką*).

O panie!

KASSYUSZ.

Cóż tam?

PINDAR.

Tytyniusz został otoczony jazdą;  
Ze wszech stron godzą nań. On sadzi naprzód.  
Już są tuż przy nim. Broń się Tytyniuszu!  
Ha! oto zsiada z koni kilku jeźdźców:  
On także zsiada. Wzięli go:  
(*Okrzyk*).

Wydają:

Okrzyk radości.

KASSYUSZ.

Znijdź, nie patrz już więcej.

Jakiżem podły tchórz, że jeszcze żyję,  
Kiedy najlepszy mój przyjaciel został  
W pęta ujęty przed memi oczyma.  
(*Pindar wraca*).

Zbliź się tu, słuchaj:

W Partyi przed laty, wziąłem cię w niewolę:  
Darowałem ci życie, tyś mi za to  
Przysiągł wypełnić z całym poświęceniem  
Wszystko, co bądź ci kiedykolwiek każe.  
Nadeszła chwila: dotrzymaj przysięgi!  
Wracam ci wolność; lecz pierwej tym mieczem,  
Który tkwił niegdyś w wnętrznościach Cezara  
Przeszyj mi łono. Nie marnuj przełożeń:  
Oto rękojeść. Skoro twarz zasłonię

O! tak, pchnij ostrzem. Pomszczonyś Juliuszu!  
Ten sam, coś zabił, miecz tonie w Kassyszu.  
(*Umiera*).

PINDAR.

Jestem więc wolny: nie byłbym nim jednak  
Gdybym był wcześniej panem mojej woli.  
Kassyszu, żegnam cię! W świat idzie Pindar,  
Gdzie nigdy rzymska nie postanie noga.  
(*Wychodzi*).  
(*Tytyniusz wraca z Messalą*).

MESSALA.

To tylko prosty odwet, Tytyniuszu,  
Bo Brutus zadał taką samą klęskę  
Oktawiuszowi, jak Antoniusz legiom  
Kassysza.

TYTYNIUSZ.

Wieść ta pocieszy Kassysza.

MESSALA.

Gdzieżeś zostawił go?

TYTYNIUSZ.

Na tym pagórku,  
Z sługą Pindarem.

MESSALA.

Nie onże to leży?

TYTYNIUSZ.

Ktoś, co tak leży, nie żyje. O bogi!

MESSALA.

Onżeto? powiedz.

TYTYNIUSZ.

On to był, Messalo,  
Ale Kassysza już nie ma. O słońce!  
Jak twój promienny krąg krwawo zachodzi,  
Tak krwawo zaszła Kassyszowa gwiazda:  
Zgasło z nią słońce Rzymu! Dzień nasz zamierzchtł;  
Chmur, dżdżów i cieniów zaczyna się państwo.  
Ciąg naszych czynów przerwany. Zwątpienie  
O naszej sprawie czyn ten wywołało.

MESSALA.

Tak jest, zwątpienie czyn ten wywołało.  
O! błędzie, dziecię fatalne rozpaczy!



Czemuż ty musisz wyobraźni ludzkiej  
Przedstawić rzeczy, które nie istnieją?  
Poród twój zawsze przedwczesny i smutny,  
Bo ty się nigdy szczęśliwie nie rodzisz:  
Owszem zabijasz tę, co cię poczęła.

TYTYNIUSZ.

Gdzieżto jest Pindar? Pindarze!

MESSALA.

Poszukaj  
Go, Tytyniuszu: ja tymczasem pójdę  
Wieścią tą ucho Brutusowi przeszyć:  
Przeszyć zaiste, bo najjadowitszy,  
I najostrzejszy pocisk, byłby pewnie  
Dla jego uszu równie pożądanym,  
Jak wieść podobna.

TYTYNIUSZ.

Dobrze, idź Messalo,  
A ja tymczasem poszukam Pindara.

*(Messala wychodzi).*

Dlaczegożeś mię wysłał, o Kassyszu!  
Czyliżem twoich nie spotkał przyjaciół?  
Czyliż mi na skroń nie włożyli tego  
Wienca zwycięstwa, bym go tobie oddał?  
Nie doszedłże cię ich radosny okrzyk?  
Trzebaż ci było wszystko wziąć na opak?  
Stało się. Odbierz ten wieniec: twój Brutus  
Kazał mi włożyć go na twoje czoło.  
Dopełniam tego. Przybywaj, Brutusie;  
Patrz, jakem uczcił Kajusa Kassysza.  
Rzymianinowi tak przystoi kończyć.  
Mieczu Kassysza, pójdź mnie z nim połączyć!

*(Przebija się i umiera).*

*Wojenna wrzawa. BRUTUS I MESSALA wchodzą;  
za nimi młodszy KATO, STRATO, WOLU-  
MNIUSZ I LUCYLIUSZ.*

BRUTUS.

Gdzie jego ciało, gdzie? Messalo, pokaż.

MESSALA.

Owdzie, a przy nim Tytyniusz w rozpacz.

BRUTUS.

Tytyniusz na wznak leży.

KATO.

On zabity.

BRUTUS.

Jakżeś ty jeszcze potężny, Juliuszu!  
 Duch twój wkoło nas krąży i obraca  
 Oreże nasze w własne nasze piersi.  
*(Głośniejsza wrzawa).*

KATO.

Zacny Tytyniusz! Patrzenie, jak sumiennie  
 Uwieńczył zimne czoło przyjaciela.

BRUTUS.

Jestże gdzie jeszcze dwóch podobnych Rzymian?  
 Ostatni z synów Rzymu, bądźcie zdrowi!  
 Nigdy on, nigdy równych wam nie wyda.  
 O! przyjaciele, winienem ja więcej  
 Łez tym dwom mężom, niż ich tu wylewam.  
 Znajdę czas na to, bądź pewien Kassyszu.  
 Wyprawcie drogie te zwłoki do Thassos;  
 Nie pogrzebiemy ich w obozie naszym,  
 Boby ten obrzęd odjął nam odwagę.  
 Pójdź, Lucyliszu, pójdź młody Katonie;  
 Idźmy na nowy bój. Labro i Flawiusz  
 Niechaj prowadzą naprzód swoje hufce.  
 Teraz punkt ósma; zanim noc nastanie,  
 Raz jeszcze szczęścia spróbujmy, Rzymianie.

**SCENA CZWARTA.***(Inna strona pola bitwy).*

*Wojenna wrzawa. Żołnierze obu wojsk wchodzi  
 walcząc; następnie BRUTUS, KATO, LUCYLIUSZ  
 i inni.*

BRUTUS.

Jeszcze, o jeszcze, wytrwałości, bracia!

KATO.

Bękart, kto stehórzy: któż nie pójdzie za mną,  
 Skoro na polach zagrzmie moje imię?  
 Jestem syn Marka Katona; słyszycie!

Przyjaciół swobód, wróg ciemężycieli;  
Słyszycie? Jestem syn Marka Katona!  
(*Naciera na nieprzyjaciół*).

BRUTUS.

A ja, jam Brutus, Marek Brutus; Brutus,  
Wierny ojczyzny syn: wieǳcie, zem Brutus.  
(*Rzuca się między walczących. Kato śmiertelnie raniony  
pada*).

LUCYLIUSZ.

I tyś legł młody, szlachetny Katonie!  
Umierasz jak mąż chrobry, jak Tytyniusz,  
I godzien jesteś nazwiska Katona.

PIÉRWSZY ŻOŁNIERZ.

Poddaj się albo giń.

LUCYLIUSZ.

Poddam się tobie,  
Dlatego tylko, abym prędzej zginął:  
Masz złoto, ale zabij mię natychmiast.  
(*Podaje mu pieniądze*).  
Zabij Brutusa; zabójstwo to wiecznąć  
Sławę przyniesie.

PIÉRWSZY ŻOŁNIERZ.

Nie mogę; taki jeniec...

DRUGI ŻOŁNIERZ.

Idźcie donieść  
Antoniuszowi, że Brutus pojmany.

PIÉRWSZY ŻOŁNIERZ.

Ja mu doniosę. Otóż i on.

ANTONIUSZ (*wchodzi*).

Wodzu.

Brutus pojmany, Brutus w naszych rękach.

ANTONIUSZ.

Gdzież on?

LUCYLIUSZ.

W bezpieczném miejscu, Antoniuszu:  
Mogę ci ręczyć, że żaden wróg żywcem  
W niewolę cnego nie weźmie Brutusa.  
Niech go bogowie chronią od téj hańby!  
Czyli go żywym znajdziesz, czy umarłym,  
Znajdziesz go zawsze tém, czém jest—Brutusem.

ANTONIUSZ.

Nie jestto Brutus, przyjacielu:  
 Ale upewniam cię, że zdobycz twoja  
 Niemniej dlatego jest szacowną. Czuwaj  
 Nad tym człowiekiem, miej dlań winne względy.  
 Podobnych ludzi, wołałbym zaiste  
 Mieć przyjaciółmi, jak nieprzyjaciółmi.  
 Idź, zobacz co się tam dzieje: czy Brutus  
 Żyje, czy zginął; i przynieś mi wieści  
 Do Oktawiusza namiotu.

(Wychodzą).

**SCENA PIĄTA.**

(Inna strona pół).

BRUTUS , DARDANIUSZ , KLITUS , STRATO  
 I WOLUMNIUSZ *wchodzą.*

BRUTUS.

Pójdźcie tu, biedne przyjaciel mych szczątki!  
 Spocznijmy na téj skale.

KLITUS.

Statyliusz ujrzał był światło pochodni,  
 Ale nie wrócił; snadź wzięty lub zginął.

BRUTUS.

Siądź tu, Klitusie: słowa zabijają,  
 Czyn tylko zbawia. Posłuchaj, Klitusie.  
*(Szepce mu).*

KLITUS.

Co? ja, mój wodzu? Nigdy, za nic w świecie.

BRUTUS.

Cicho więc.

KLITUS.

Prędzejbym zabił sam siebie.

BRUTUS.

Pójdź, Dardaniuszu, coś ci powiem.  
*(Szepce mu).*

DARDANIUSZ.

Jażbym

Miał spełnić taki czyn?

KLITUS.

O Dardaniu!

DARDANIUSZ.

O Klitusie!

KLITUS.

Czegóżto Brutus zażądał od ciebie?

DARDANIUSZ.

Żeby go zabił: patrz, jak się zadumał.

KLITUS.

Boleść przepelnia tę szlachetną czarę,  
Tak, że aż z oczu ścieka mu jęk gorycz.

BRUTUS.

Zbliź się, kochany Wolumniu, słuchaj.

WOLUMNIUSZ.

Co każesz, wodzu?

BRUTUS.

Słuchaj: duch Cezara

 Po dwakroć mi się ukazał wśród nocy:  
Raz w Sardes, drugi raz tu, na tych polach.  
Ostatnia moja godzina nadeszła,  
Wiem dobrze.

WOLUMNIUSZ.

Tak źle nie będzie, mój wodzu.

BRUTUS.

 Będzie tak, pewny jestem, Wolumniu.  
Sam widzisz, jaką rzeczy biorą postać;  
Nieprzyjaciele nad dół nas zagnali:  
Szlachetniej będzie, samym w niego skoczyć,  
Niż czekać aż nas wtrąca. Wolumniu,  
Wiész, żeśmy razem chodzili do szkoły;  
W imię tak dawnych stosunków przyjaźni,  
Proszę cię, nadstaw ostrze mego miecza,  
Abym się piersią nań rzucił.

WOLUMNIUSZ.

O! panie,

 Takię przysługi nie czyni przyjaciel.  
(*Wrzawa nieustająca*).

KLITUS.

Chron się, o panie; zguba cię tu czeka.

BRUTUS.

Bądź mi zdrów, i ty, i ty Wolumniuszu.  
 Stratonie, spałeś, jak widzę, dotychczas;  
 I ty, Stratonie, bądź mi zdrów. Rodacy!  
 Serce me czuje pociechę, żem dotąd  
 Przez całe życie nie znalazł nikogo,  
 Coby mi święcie wiary nie dochował.  
 Więcej zyskuję chwały w tym dniu klęski,  
 Niż jęj Oktawiusz i Marek Antoniusz  
 Odniosą z swego niecnego tryumfu.  
 Raz jeszcze, żegnam was. Z tém pożegnaniem  
 Usta Brutusa zamykają dzieje  
 Jego żywota: noc wzrok mi pomracza;  
 Członki me pragną spoczynku po trudach,  
 Z jakimi włokłem je do téj godziny.  
 (*Wrzawa. Słychać za sceną: uciekaj! uciekaj!*)

KLITUS.

Uciekaj, panie, uciekaj!

BRUTUS.

Idźcie; niebawem pospieszę za wami.  
 (*Dardaniusz, Klitus i Wolumniusz wychodzą*).

Stratonie, proszę cię, zostań tu przy mnie.  
 Pocziwy z ciebie człowiek; życie twoje  
 Zawsze prawością tchnęło i honorem.  
 Nadstaw mi miecz ten i odwróć się twarzą  
 Gdy się nań rzucę. Czy dobrze, Stratonie?

STRATO.

Podaj mi pierwój rękę: o! mój wodzu,  
 Żegnam cię!

BRUTUS.

Bądź zdrów, pocziwy Stratonie!  
 Cezarze, teraz bądź zaspokojony.  
 Stokroć mi ciężej przyszło przeciw tobie  
 Użyć téj stali, niż w obecnej dobie.  
 (*Rzuca się na miecz i umiera*).

*Wrzawa. Odwrót.* OKTAWIUSZ I ANTONIUSZ  
 wchodzą; za niemi MESSALA, LUCYLIUSZ i ich  
 wojsko.

OKTAWIUSZ.

Co to za człowiek?

MESSALA.

Sługa Brutusa. Gdzie twój pan, Stratonie?

STRATO.

Wolny od jarzma, które ciebie tłoczy,  
Zwycięzcy mogą mieć jego proch tylko:  
Bo Brutus sam się jedynie pokonał,  
I nikt nie zbierze chwały z jego śmierci....

LUCYLIUSZ.

Tak tylko Brutus mógł być znalezionym!...  
Dzięki ci, składam, Brutusie, żeś sprawdził  
To, co o tobie powiedział Lucyliusz.

OKTAWIUSZ.

Słudzy Brutusa znajdą miejsce u mnie.  
Stratonie, chceszze mi czas swój poświęcić?

STRATO.

Jeśli Messala da za mną porękę.

OKTAWIUSZ.

Daj ją, Messalo.

MESSALA.

Opowiedz mi pierwój,  
Jakim rodzajem śmierci nasz pan zginął.

STRATO.

Padł na miecz, który ja mu nadstawiłem.

MESSALA.

Weź go więc do twych usług, Oktawiuszu,  
Bo on ostatnią tą posługą dowiódł,  
Jak wiernie umie służyć.

ANTONIUSZ.

Ze wszystkich Rzymian ten był najzacniejszy.  
Wszystkich sprzysięgłych przeciw Cezarowi  
Ślepa jedynie zawiść podzęgała;  
On jeden tylko w poczciwym zamiarze,  
Dla ogólnego dobra wziął w tém udział.  
Charakter jego był słodki, i wszelkie  
Żywioły tak w nim były skojarzone,  
Że się natura mogła nim poszczycić,  
I rzec całemu światu: *Oto człowiek!*

OKTAWIUSZ.

Postąpmyż sobie z nim w miarę cnót jego,  
I z czią należną wyprawmy mu pogrzeb.  
Niech jego zwłoki umieszczone będą  
Przez tę noc w moim namiocie, z wystawą,  
Jaka przystoi ciału wojownika.  
Teraz zaś idźmy spocząc i szczęśliwem  
Dnia dzisiejszego podzielić się żniwem,  
(*Wychodzą*).



## KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

„Franciszka” komedia w czterech aktach pani Georges Sand. — „Jak wam się podoba” wolny przekład z Szekspira, téjże. — Historia artystów żyjących Silvestra: listy z Rossyi Verneta. — Przedmowa Lamartina do kursu literatury. — „Les Contemplations”, Wiktora Hugo. — Wiadomości literackie.

Dwie sztuki, których pani Sand równocześnie dostarczyła paryżkiej scenie: zajmowały szczególnież zeszłego miesiąca tutejszych sprawozdawców. Pierwsza, oryginalna komedia w czterech aktach, *Franciszka*, graną była w *Gymnase*; drugą *As You like it* Szekspira, w tłumaczeniu przedstawił *Theâtre Français*. Obiedwie te sztuki należą do rzędu utworów sielankowych, w których lubuje się teraz George Sand, a do których Szekspir także powracać lubił na wypoczynek po krwawych dramatach. Powodzenie obu komedyj było dosyć wątpliwe: pierwszej dlatego, że Francuzi w żaden sposób nie mogą zasmakować w prostocie; drugiej dlatego, że autorka obraziła próżność Paryżanów w przedmowie do swego przekładu, gdzie usiłuje zwrócić uwagę Francuzów na *nieznane im* piękności Szekspirowskich dramatów, i za zasługę sobie poczytuje, iż pierwsza wtajemnicza ziomek w szczytne utwory, które *mało kto* czytał we Francyi. Ztąd krzyki, ironiczne koncepta, docinki, i śmiech sarkastyczny, który zabiłby w Paryżu nietylko tłumaczenie, ale nawet oryginalne arcydzieło.

— Jakto! my nie znamy Szekspira?—wołali jedni,—nasze to przychodzi oświecać wiejska babula, dobywająca z pod czepca nieśmiertelne prawdy, o których nam się ani śniło!—Inni stosowali adresa dziękczynne do pani Sand za to, iż dała Francyi po-



znać Szekspira, o którym przed nią nikt ani wiedział, ani sły-  
szał; inni składali powinszowania *Komedyi francuzkiej*, która  
choć ma tam kilku miejscowych poetków bazgraczy, jak Cor-  
neille, Racine, Moliere, ale odłożywszy na bok bezrozumną mi-  
łość do swoich dramaturgów, woli przedstawiać w tłumaczeniu  
cudzoziemskie *nieznane* arcydzieła; inni nakoniec proponowali,  
żeby wystawić osobny teatr w którymby grywano same tłuma-  
czone sztuki, a resztę teatrów radzili pozamykać, bo już Francyi  
zabrakło na oryginalnych pomysłach i autorach: słowem byłato  
istna burza w szklance wody, wywołana jedną niebacznie wpu-  
szoną kroplą antypatycznej mikstury, gryzącej miłość własną.  
Kropla ta nietylko zniweczyła powodzenie *Franciszki*, ale po-  
dała w śmieszność niepospolity przekład sztuki Szekspira, cho-  
ciaż rzecz, nie ubliżając w niczem dostojństwu miejscowych dra-  
maturgów, zasługiwała na gościnniejsze przyjęcie pod dachem  
Moliera.

Nowa komedia napisana podobnie jak *Pressoir*, *Fran-  
çois le Champi*, *Maitre Favilla* i t. d. należy do galeryi owych  
półcieniowych obrazów, które pani Sand lubi przedstawiać na  
scenie. Tło sztuki proste, osoby nieco idealne, intryga wiąże się,  
rozwiązuje od niechcienia, które nie jest bez powabu. Żadnych  
szukanych efektów, ani naciąganych sytuacji: koloryt blady, ma-  
ło dowcipnych słówek, a za to wiele myśli poczciwych, mało  
ciała, wiele duszy, wiele wdzięku w tych prostych i zacnych fi-  
gurach, których widok przenika i w zadumanie wtrąca: oto ogól-  
na cecha téj sztuki.

Jak wszystkie terażniejsze bohaterki pani Sand, *Fran-  
ciszka* przypomina madony Holbeina z przyćmioną aureolą: zam-  
knięta w sobie, cnotliwa, pełna tak wielkiej cierpliwości, wy-  
rozumienia i pobłażania, że możnaby ją nazwać szarą siostrą mi-  
łości. Jestto ideał niewieści protestanckiej rodziny: spokojny,  
słodki, surowy, moralizujący, z duszą podobną do fijołka, do  
którego zbliżyć się potrzeba, aby woń jego poczuć. Jest coś  
może nadto wyrafinowanego w téj cnocie, nadto sztywnego  
i jednostajnego w téj perfekcyi; mniejsza doza doskonałości obu-  
dziłaby niezawodnie więcej współczucia w śmiertelnikach, bo  
taka już natura ludzka i prawdziwszym uczyniłaby charakter Fran-  
ciszki. Trudno to atoli nazwać wadą utworu, gdyż większa po-  
dobno sztuka stawiać ideały, niż malować ludzi z natury. Jeżeli

nie ma takich kobiet, zamknijmy oczy, ażebyśmy spokojniej marzyć o nich mogli i lubować się wdziękiem téj mary.

Rola Franciszki jest ciągłą ofiarą i zaparciem się siebie na rzecz niewiernego i lekkomyślnego kochanka, który się odznacza brakiem charakteru. Henryk chociaż nibyto kocha Franciszkę, zatruwa jój życie ciągłą zmiennością: zawiązuje intrygi tu i owdzie, nareszcie ma się żenić dla majątku z bogatą córką dorobkowicza. Ażeby mózdz doprowadzić do skutku zamierzone małżeństwo, potrzebuje pieniędzy: zaciąga długi, wystawia weksle, których nie płaci, skutkiem czego zamiast do ołtarza, poszedłby do więzienia, gdyby Franciszka sprzedałszy całe swoje mienie, nie wydzwignęła go z tego położenia.

Henryk już prawie przy stopniu ołtarza, gdzie ma przysięgać miłość bogatęj dziedziczce, niespodziewanym zwrotem ku cnocie, ocenia wartość Franciszki: zrywa z narzeczoną i powraca do dawnęj kochanki, składając u nóg jój miłość swoje wraz z ręką. Ale przybywa zapóźno. Wszystko się kończy, wszystko zużywa i wyczerpuje na tym świecie: cierpliwość, wyrozumiałość, pobłażanie, nawet taka miłość jak Franciszki. Przywiązanie jój do Henryka stargane ostatniem wysileniem, umarło: oczy jój, w których oschła ostatnia łza miłosna, już tylko z litością spoglądają na słabe dziecko, kwilące u kolan. Miłość, to pajęcza tkanka: starga ją łatwo, kto z nią igra zadługo. Henryk roztrwonil cały zapas przywiązania, który posiadał w jój sercu: daremnie szuka, już nie znajduje nic, oprócz politowania. Franciszka oddaje rękę człowiekowi, który ją prawdziwie kochał, a na dawnego swego ulubieńca rzuca przy rozstaniu wejrzenie jeszcze błyszczące, ale już nie miłością, lecz promieniem ogni-stego miecza, którym anioł wypędzał z raju grzesznika, który go własną winą utracił.

Uważana ze stanowiska dramatycznego *Franciszka*, zapewne nie wytrzyma krytyki; pojedyncze atoli sceny są tak pełne uczucia i subtelnych spostrzeżeń, iż wykształconym umysłem zupełnie zastępują brak intrygi i efektów.

Zpomiedzy licznych dzieł Szekspira, pani Sand wybrała do tłumaczenia jedną z owych świeżych idylli, które są jakby nicią wiążącą ziemskie z czarodziejskimi utworami wielkiego dramaturga. Nic dziwniejszego i miłszego zarazem jak ta leśna siełanka, ochrzczona dziwném mianem *Jak wam się podoba*, gdzie wygnany monarcha kryje się z całym dworem w Ardeńskim le-

się, i rzuciwszy koronę w krzaki, jak niegdyś doża wenecki swój pierścień w morze, zatrzymawszy zegarek, żeby mu niepotrzebnie godzin nie liczył: przepędza dni na łonie natury, poluje, łowi ryby i rozmawia o marnościach tego świata z Jakóbem, najrozumniejszym z Szekspirowskich filozofów.

Któż z nas czytając Szekspira, choć raz w życiu nie marzył o tém, jak przyjemnie byłoby porzucić ludzi i ukryć się wraz z nim w tajemniczym lesie Ardennów? Czyż może być miłsze schronienie dla duszy rozczarowanej, której już nie nęci sława, ani ułudne nie przywabiają oczy. Zdaje ci się, że słyszysz głos matki przyrody wołający cię w tę głuchą puszcę, której harmonijne szumy mają ukołysać twe bole; że widzisz te wzgórza pokryte zielonym płaszczem rozłożystych dębów, na których szczyty się wdarłszy, zaledwie dostrzegasz gdzie daleko dymiące kominy ludzkich pomieszczeń, lub wiejską dzwonnice wskazującą niebo.

Wszystko tu oddycha świeżością i spokojem: szum drzew wtoruje ludzkiej mowie, lub odpowiada jej echem; leśna dekoracja nagle odkrywając osoby, nadaje im fantastyczny urok zjawiska; nie słysząc ich chodu, biegają cicho jakby po mchu stąpały. Rozalinda z Celią, jak dwie boginie, jawią się pod dębem, gdzie stary król odpoczywa z orszakiem myśliwych. Pośród głuchej puszczy zawiązują się owe Szekspirowskie dyalogi, podobne do gry w rakiety, w której zapytany odbiera wolanta a odrzuca gwiazdę. Jedyne świadkami tych scen brylantowych są leśne kwiaty i drzewa, jaka spłoszona sarna lub zadziwiony dzięcioł, który oderwawszy dziób od kory, wyciąga szyję i przysłuchuje się tej filozoficzno-fantastycznej rozmowie, która błyszczy i ulata jak fruujące stada kolibrów.

Czy taka sztuka może być przedstawioną na scenie, lub czy nie lepiej ażeby znowu w książce pozostała, gdzie imaginacja czytelnika najwłaściwsze wymaluje do niej dekoracje: jestto pytanie, na które różni różnie odpowiadają. Muzyka może najlepiej zdołałaby wypowiedzieć te wdzięki Eolskiej harfy i te chóry leśnej przyrody; autor *Freyschuetza* może byłby najlepszym tłumaczem idylli Szekspira, oddając ją językiem duszy, który poczyna się tam, gdzie się kończy bezsilne słowo. Nie idzie za tém, ażebyśmy ganili przekład pani Sand. Przeciwnie wolne jej tłumaczenie ma wielką zasługę, że uplastycznia oku i czyni przystępną scenie tę skrzydlatą fantazją, wążącą się pomiędzy ziemią

a niebem. Niejeden zagorzały miłośnik Szekspira wołałby zapewne przekład dosłowny: to mu żal, że brakuje jakiegoś konceptu, to znów że obcięto przydługi monolog. Dla tych zostanie oryginał, publiczność zaś francuzka mieć będzie jeżeli nie zupełnie wierną, to przynajmniej bardzo piękną kopią obrazu. George Sand prawie nic nie zmieniła w texcie, tylko nawłokła na nitkę perły, które Szekspir rozsypał na murawie Ardeńskiego lasu: kilka zaledwie dodała własnych w miejsce tych, które zaginęły w trawie, a i te tak dobrze dobrane, że ich odróżnić od prawdziwych nie można.

Wiersz Szekspira nie ginie w skrzydlatęj prozie pani Sand; drobne zmiany jakie wprowadziła, dokonane są z wielkim gustem i taktem. Słuchać głębokich myśli wypowiedzianych pięknym językiem, podziwiać polot imaginacyi i żywość uczucia: nie jestże to przyjemność wyższa jak rozwiązywać pracowicie zasupłany węzeł siedmio-aktowego dramatu? Jeżeli czyn bez myśli tak dobrze zazwyczaj przyjmowany bywa na terazniejszych teatrach, czemużby raz dla odmiany nie miano przyjąć dobrze myśli bez czynu?

Jakoż subtelniejsza część mieszkańców Paryża, tak zwana paryzka *haute volée*, okazała wiele spólcucia Szekspirowskiej komedyi. Dyrekcyja teatru francuzkiego dołożyła wszelkiego starania, żeby wystawę uczynić jak najpiękniejszą, uważając słusznie, że dekoracya nietylko nie odrywa uwagi słuchacza, ale jest koniecznym dopełnieniem myśli ogólnej dzieła. Wymalowano umyślnie kilka nowych płócien, w których wprowadzone zostały pożądane ulepszenia. W obrazie przedstawiającym las, drzewa już nie wyrastają z desek, jak to zwykle bywało dotąd: dęby zdają się wyrastać z rzeczywistego gruntu. Naśladuje go malowane płótno rozciągnięte na powierzchni nierównej, w jednym miejscu zarosłej trawą, w drugim odkrywającej piasek lub skały. To ulepszenie drobne na pozór, sprawia wielki efekt: nikną rażące deski, scena nabiera naturalności, aktorowie zaś jak figury na obrazie, stąpają po właściwym gruncie i oddychają właściwym powietrzem.

---

Wyszedł z druku ósmy poszyt *Historyi artystów żyjących* Teofila Silvestra. Dzieło to pisane z nadzwyczajną prostotą i bezstronnością, rzuca zupełnie nowe światło na tutej-

szych artystów, tyle razy a prawie zawsze fałszywie opisywanych przez miejscowych recenzentów. Dzisiaj kiedy sztuki piękne na Zachodzie stały się niejako jedną z koniecznych potrzeb życia, nie zbywa także na piszących o sztuce, a mianowicie téż na tak zwanych „salonowych krytykach.” Mimo to, sąd o wartości dzieł artystów żyjących nie jest wcale wyrobiony, dlatego, że na zdaniu tych krytyków wcale polegać nie można. W Paryżu, może z powodu elastyczniejszego sumienia, stosunek prywatny więcej niż gdziekolwiek wiąże ludzi, a osobiste względy kępują ich lub zaślepiają w sądach: mianowicie téż jeżeli takowe wydawać przyjdzie o rzeczy tak dowolnej jak sztuka, którą z równą na pozór słusnością źle lub dobrze przedstawić można.

W Paryżu krytyka wybitniej niż gdziekolwiek dzieli się na dwa obozy: jedni wynoszą pod niebiosa najdrobniejszy utwór pewnej liczby artystów, opisują na klęczkach lada szkic nakreślony przez nich na ćwiartce papieru, i powiększają tak zalety owego dzieła, że w druku przybiera co najmniej rozmiary *Sądu ostatecznego*; drudzy ganią zapalczywie to, co ubóstwiają piérwsi, odsądzają od czci, od wiary tamtych, a natomiast deifikują innych mistrzów o których ich koledzy wydali nieprzychylny wyrok, lub przemilczeli zupełnie.

Z takiej dwulicowej krytyki, choć zdolnie i pięknie napisanej, pożytek żaden, bo pytam: jakiż sąd z tych wprost przeciwnych zdań, równie umiejętnie wypowiedzianych, zdołają wyciągnąć przyszłe pokolenia, kiedy nawet spółczesni, nienależący do żadnego z dwóch obozów i nie dzielący sympatyj lub niechęci, częstokroć zachwiani bywają w opinii, którą sobie sami wyrobili, sprzecznościami i sofizmatami wyczytanemi w bieżących sprawozdaniach.

Z tychto powodów oddawna dawała się czuć w nowożytnych Atenach potrzeba jakiejś książki, któraby przechowała pamiętności mniej więcej zbliżone do prawdy wizerunki swych artystów, i zaprowadziła mniej więcej sprawiedliwą pomiędzy nimi hierarchią. Autor tego rodzaju, chociaż niezupełnie jeszcze odpowiadający życzeniom ludzi sprawiedliwych, zjawił się w osobie pana Silvestre. Pan Silvestre człowiek zimny, a obok tego, co rzadko chodzi w parze, posiadający głębokie poczucie piękności, po długich studyach nowożytnych dzieł sztuki, nie znalazłszy w nich dość jasno wyświeconej idei, przedsięwziął studyo-

wać ich twórców, badać charaktery, dowiadywać się co myślą i czy myślą artyści.

W ten sposób poznawszy przez nich samych ich dzieła, Silvestre wziął się śmiało do opisu malarzy i malowideł. Za wzór do téj pożytecznej pracy posłużyły mu niedrukowane listy Diderota, w których tenże poufnie opisuje jednemu z książąt niemieckich charaktery spółczesnych malarzy i rzeźbiarzy francuzkich. Pan Silvestre naśladowując zimny, zwięzły a jasny pogląd sławnego encyklopedysty, zapewne nie dorównywa mu talentem, ale go przewyższa odwagą, wypowiadając głośno prawdy, które Diderot śmiał tylko szeptać na ucho przyjacielowi.

Autor *Historji Artystów żyjących* rozbiera żywych z nie-mniej zimną krwią, jakby dessekował trupów: ręka mu nie drży, wzroku nie zaciemnia uczucie. Jest on podobny do chirurga, który uznawszy operacyą za konieczną, tnie swoją sztukę, nie zważając wcale na krzyki pacyenta. Prócz określenia charakterów i umysłu tutejszych sławnych malarzy, Silvestre podaje nauczające opisy właściwości, jakich każdy z artystów używa do malowania, nie pomijając najmniejszych szczegółów, jak np. przyrządzenia i tarcia farb, gatunku pędzli, płótna, pokostu i t. d.

Prozaiczne studia Silvestra podobają się bardzo: może dlatego, że są oryginalne i mocno odbijają od częściej kwiecistości zwykłych recenzyj. W pierwszych poszytach autor zestawił Ingra i Courbelta, dwóch malarzy stojących na dwóch przeciwnych krańcach klawiatury artystycznej we Francji. Daléj rozwinął filozoficzny i poważny system Chenavarda; daléj z wielkiem uwielbieniem opisał osobę i dzieła Eugeniusza Delacroix. W rozdziałach obejmujących biografią Verneta, napotykamy listy tegoż artysty pisane do żony w czasie podróży jego po Rosji w roku 1842 i 1843. Listy te dane przez samego Verneta panu Silvestre, jako mające służyć za drogoskaz biografowi, tém więcéj uderzają, że nie były przeznaczone do druku. Nie ma w nich ani sztuki, ani frazesów z pawiami ogonami; ani starannego obrobienia rzeczy przygotowanej dla publiczności, często nawet nie ma loiki, bo list drugi pod inném napisany wrażeniem zaprzecza temu, co twierdził piérwszy: ale właśnie wszystkie te niedostatki dają tym listom cechę naturalną, tém powabniejszą, że wszędzie przebija żywy i elegancki dowcip najweselszego z malarzy francuzkich. W gruncie widać bystry sąd,

który artysta, jako o rzeczach nie należących do jego ukochanej sfery, rzadko wypowiada, ale bardzo często domyślać się go każe.

Vernet zaproszony do Petersburga przez Cesarza Mikołaja, który go łaską swoją zaszczycał, podróżuje z nim po całej Rosyi: ogląda obozy, miasta, pomniki, kościoły, krajobrazy, i w kilku słowach stara się o nich dać wyobrażenie żonie, pozostałej w Paryżu. Nie mogąc wszystkich, podaje kilka listów Verneta, które nie wątpię, że zajmą czytelników naszych.

Petersburg, 17 czerwca 1842 roku.

„Przybywam z Peterhoffu; wszystko układa się wedle mych życzeń, prócz zamierzonej podróży na Kaukaz, która zapewne nie przyjdzie do skutku. Cesarz przyjął mnie bardzo dobrze. Kazał mi powiedzieć, żebym go czekał na mostku, z kąd mnie zabierze z sobą najprzód na morską przejażdżkę, a potem odwiezie do pałacu, gdzie mi przygotowano mieszkanie. Pojmujesz, że nie zapomniał stawić się na rendez-vous.

Cesarz wysiadłszy z powozu przyszedł do mnie z otwartymi rękoma i ucałował mnie w obadwa policzki, mówiąc: „Kochany Vernecie, czy jesteś mój?“ (*êtes-vous à moi*). „Jestem na Twe usługi N. Panie“ odpowiedziałem. „Jeżeli tak, rzekł Cesarz, nie puszczę cię tak prędko; pomówimy później; teraz myślm tylko o fetach, które się tu gotują. Proszę cię, bądź zawsze przy moim boku.“

Otóż jestem na jakiś czas uwiązany jak wróbel na nici, ale mam nadzieję, że użyję dobrze dni wypoczynku.

W Peterhoffie skorośmy zamienili zwyczajne komplementa, książe Walkowski (zapewne Wołkoński) zapytał mnie, czym przywiózł jaki obraz dla N. Pana. Odpowiedziałem że nie, i dodałem, że nie mam zwyczaju rozwozić swoich towarów; że podróże są dla mnie wytchnieniem i rozrywką; że przybyłem do Rosyi i ofiarowałem moje usługi Cesarzowi jedynie w celu okazania mu méj wdzięczności za dawniejsze jego względy, o czém proszę, żeby zapewnił N. Pana, i t. d. Tym sposobem zniweczyłem wszelkie podobieństwo, jakieby istnieć mogło między mną, a niektórymi wojażującymi artystami, których postępowanie zostawiło tutaj niemile wspomnienia.“

Petersburg, 26 czerwca 1842.

„Pisałem wczoraj, i znowu piszę: na listach odemnie zbywać ci nie będzie. Odebrałem zaproszenie na familijną kolacją do Cesarzowej; były tylko trzy obce osoby. Mimo uprzejme przyjęcie, mimo poufałości jaka panowała w rozmowie, Niemcy byli sztywni jak sztaby żelaza. Trzeba przyznać, że Rosyjanie mają daleko więcej od nich towarzyskości i łatwości w pożyciu.

Rozmawiałem z księżniczkami, które są śliczne. Trzecia bardzo wyładniała przez czas jak jój nie widziałem, ale W. K. Olga zawsze najpiękniejsza.

Cesarz jest na mnie nadzwyczaj łaskaw, co stawia mnie w nader wygodnej pozycji. Mam ochotę malować. Księżę Woroncowa żąda, żebym mu zrobił portret żony na koniu, taki sam, jak księżny Vinkinsztejn. Zapewne zrobię. Cena 25,000 franków, a do tego pani jest piękna. Obaczymy.

Wyjeżdżamy dziś w nocy na wielką rewią, która ma trwać trzy dni. Prócz Karola przyjąłem sobie drugiego służącego, gdyż potrzebuję drogomaną.“

Petersburg, w lipcu 1842.

„Znowu widziałem Cesarza, który mnie przyjął ze zwykłą uprzejmością. Rozmawialiśmy krótko. Pytał mi się, w jakim stanie odjechałem królewską rodzinę (Orleańską). Życzliwość dla niej Cesarza Mikołaja nie ostygła, ale nie uważałem chwili za stosowną, ażeby przystąpić do wielkiej explikacji; księżę Walkowski był przytomny... w tych dniach pewnie upatrzę stosowną porę.

W początku września mam się puścić z Cesarzem w tyśiąc-milową podróż, którą odbyć mamy w siedm tygodni, nie wyjeżdżając za granicę państwa. Najdłuższe kursa bez wypoczynku będą trwały 48 godzin; na czas dłuższy zatrzymamy się tylko dwanaście razy. Cesarz, generałowie Orłów, Aldelberg, Ohaok (?) i ja, oto wszyscy podróżni: widzisz, że towarzystwo dobrane. Co tam obaczę, tego ci jeszcze dziś nie powiem, bo sam nie wiem; ale jeżeli można wnosić z liczby rozesłanych na wszystkie strony adjutantów, przygotowania muszą być wielkie. Nie będę ci mógł z nich zdawać sprawy z podróży, zawsze jednak doniosę ci o stanie mego zdrowia. Ty pisz do mnie tylko raz do Warszawy, zresztą do Petersburga, jak zwykle.



Podróż którą przedsięwzięję jest nader ważna. Przez sześć tygodni będę nieustannie przy boku Cesarza. Zapewne niejedna ciekawa nastąpi rozmowa, w której pracować nie omieszkać nad pożądanym zbliżeniem. Mam nadzieję, że mi się uda, bo opinia powszechna już jest u nas przygotowana i pragnie widzieć Francją połączoną z Rosyją; spodziewam się pomyślnie zakończyć sprawę (1).

Rodzina Cesarska wyjechała z Peterhoffu do Starego Siela; korzystając z okazji, udaję się do miasta po sprawunki potrzebne do podróży, jakoto: poduszkę skórzaną, worek na książki i szkice i t. p. Już dziś wieczorem Cesarz kazał mnie zapytać czym nie chory, i czy przyjdę jutro.

Hrabia Woyna, ambassador austriacki, powtórzył mi długą rozmowę, którą Cesarz prowadził o mnie z królem pruskim, w której wychwalał bardzo mój charakter i stałość moich opinij. „Nie jesteśmy zawsze jednego zdania, rzekł w końcu Cesarz, i dlatego właśnie szanuję go: — ludzi otwartych jest bardzo mało.“

Moskwa, 15 września 1842.

„Wyjechałem sześć godzin pierwój niż Cesarz, ażeby się mógł zatrzymać w Nowogrodzie, gdzie chciałem obejrzyć malowniczy kościół, zbudowany w roku dziewięćsetnym. Drzwi tego gmachu przywiezione kiedyś z Konstantynopola, są ze żłobionego bronzu. Jestto bardzo ciekawa starożytność z powodu mieszaniny świętości i pogaństwa. Malowidła greckie zdobiące wnętrze kościoła nieźle są zachowane; ale najciekawszy widok ogólny budynku: cały ułożony jest z baszt okrągłych różnej wysokości, co zdaleka czyni go podobnym do murowanych organów. Dumanie moje przerwało przybycie Cesarza.

Zatrzymaliśmy się niedaleko Tuli dla przypatrzenia się manewrom czterech pułków kawaleryi, a wieczorem byliśmy z powrotem w Moskwie. W ciągu dnia zdarzył się zabawny wypadek: obiad w karczmie.

Pędziliśmy jak wiatr. Nagle Cesarz kazał stanąć, wszedł do stojącej przy drodze karczemki, gdzie za pięć minut wezwał nas na obiad. Wyobraź sobie mały pokoik z desek, oświetlony

(1) Z powyższego ustępu pokazuje się, że Vernet miał od Ludwika Filipa missyą pojednania dworu rossyjskiego z francuzkim.

dwiema łożówkami, a w nim stolik, cztery krzesła: Cesarza, dwóch generałów i malarza, jedzących kapuśniak i rozmawiających swobodnie. Rozmowa toczyła się o Konstantynopolu, Syrii, wejściu Francuzów do Moskwy, którego właśnie nadchodziła trzydziesta rocznica. Upewniam cię, że pogadanka była nader zajmująca. Gdybym sam nie miał w niej udziału, sądziłbym, że mi się śni:

Dzisiaj cesarz zwiedzał pałac, który każe budować w środku Kremlina. Jestto gmach olbrzymi w byzantyńskim smaku bardzo dobrze zrozumianym, i pozostającym w harmonii z resztą otaczających go budynków.“

Elizabethgrad, 30 września 1842.

„Z niespodzianki w niespodziankę wpadam. Doprawdy, Francuzi nie mają żadnego pojęcia o wnętrzu Rossyi, a mianowicie téż o prowincjach, które teraz przebywam. Wiem, że nie wszystko widzi w rzeczywistém świetle, kto podróżuje z monarchą; ale niemniejszego przeto nabieram przekonania, że wszystkie instytucje rządowe dążą do postępu. Wojskowe zakłady są przepyszne, a mianowicie *szkoła Kadetów*, która wydaje co rok przeszło sześć tysięcy oficerów. Szkoła ta prócz wysoko posuniętych nauk, celuje wygodnym urządzeniem i wybornym dozorem uczni.

Kraj jest w ogóle płaski. Od wyjazdu z Moskwy aż tutaj same tylko równiny przecinane od czasu do czasu wąwozami, strumieniami lub rzekami; przebyliśmy już dwie wielkie: Wołgę i Dniepr. Na drodze pełno spotykamy kości, które ciągle zdają się powtarzać podróżnemu: *tu staczano bitwy*. Zwycięzcy i zwyciężeni śpią razem; równie bujna trawa rośnie na ciele Tatara, Polaka, Szweda i Kozaka. W gromadzie mogił znalazłem jeden zajmujący nagrobek: był na nim krzyż, a na krzyżu napis: „Piotr nie dba o życie, byleby żyła Rosssa, wasza wiara i wasza pomyślność.“

Czytając te słowa, dwa wielkie cienie stanęły mi w myśli: Karol XII i Napoleon, Pułtawa i Waterloo! Serce mi się ścisnęło kiedym rozmyślał nad podobieństwem tych dwóch bitew, gdzie się skruszyły dwie wielkie sławy. Tutaj przynajmniej waleczni śpią razem pod mogiłami, które mówią o dzielności jednych i drugich. Ale pole bitwy pod Waterloo pokryte jest pomnikami, świadczącymi tylko o przegranej Francuzów, a tryumfie

nieprzyjaciela. Żaden krzyż nie znaczy miejsca, gdzie spoczywają nasze pułki; mimo to świat wie, że poległy z nieustraszoném mężstwem. Zamiast kamiennych pomników, bohaterski ich zapał zdobył sobie inne mogiły: pogrzebał się w nieśmiertelnej admiracyi narodów.

Kraj zaczyna przybierać inny charakter; widać mnóstwo żydów. Spotykamy ich wszędzie, ale podłych, brudnych, chorych i biednych, a wszyscy się czolągają. Ubiór turecki pojawia się już między kobietami; jak przybędziemy na mołdawską granicę, odnajdę znowu wszystkie obyczaje mego ulubionego Wschodu, który co dzień więcej kocham. Im bliżej grobu, tém mnie więcej przeszłość zachwyca, a ciemnieje przyszłość. Zdrów jestem zupełnie. Jaskółcze rzemiosło odbywam, jakby mi było lat dwadzieścia. Od czasu wyjazdu z Petersburga widziałem już 284 pułków.“

Warszawa, 11 października 1842.

„Przyjęcie jakiego tutaj doznałem od wszystkich, pochlebiłoby mi niezmiernie, gdybym podobnego nie doznawał wszędzie. Ach! cóż za duma! zawołasz. Bynajmniej. Wszystkich tych honorów nie przypisuję wcale mojej zasłudze. To moja szczęśliwa gwiazda stawia mnie w tak przyjemnej pozycji. Cała moja zaleta żem za nią poszedł, zamiast chcieć ję pannaować sposobem sztucznym. Upadek Ingra jest tego dowodem. Społeczność, która prędej czy później oddaje każdemu sprawiedliwość, nie będąc tutaj podbudzana przez klakierów, pogrzebała owę sławę wyhodowaną i dojrzałą w gorącej szklarni: świeże powietrze ją zabiło. Obrazy Ingra grają tu bardzo smutną rolę: nie śmiałyby się pewnie, słysząc, jak go tu ubierają. Jakkolwiek nie podzielałem entuzjazmu, jaki dzieła jego obudzają w Paryżu, zawsze utrzymywałem, że ma wielki talent. Szkoła jego może być zgubna, ale Ingres niemniej przeto ma swoje indywidualność, chociaż natchnienia rabuje u starożytnych”.

Petersburg, 22 listopada 1842.

„Podaje ci listę gubernij, przez które przejeżdżaliśmy: Tulska, Orelska, Kurska, Ukrainka, Katarynosławska, Taurycka, Kersońska, część Bessarabii, którą przebyć trzeba było chcąc zwiedzić Bender i Mołdawię; potem przez Podole i Wo-

łyn udaliśmy się do Księztwa Warszawskiego, a ztamtąd zwykłą drogą napowrót do Petersburga. Na mappie przekonasz się, że to spacer dość długi. Nie chciałem widzieć Odessy, gdyż tam nie ma ciekawego dla malarza. Miałem bardzo wygodną karete, sześć koni, kamerdynera przy sobie, a na koźle służącego Rossyanina; rzeczy pozamykane w kufrach, prócz tego torbę, którą napełniano codziennie łakociami, żeby było co gryźć przez drogę, gdyż tylko raz na dzień stawaliśmy na obiad.

„Cesarz żyje po spartańsku; na zupę jada zwykle kapuśniak, w którym pływają kawałki słoniny i mięsa, trochę zwierzyny, rybę, ogórki kwaszone, a pije tylko wodę. Ja piłem wino; zresztą jadłem to, co wszyscy i smakowało mi dosyć. Skoro zatrzymaliśmy się gdzie na dni kilka, kuchnia była wykwintniejsza; w osadach dawano nam wojskowe kwatery po domach prywatnych: wtedy już nie było przysmaków, którychby nam nie ofiarowano. Dość było należeć do Cesarskiej świty, żeby obywatel swój dom do góry nogami przewrócił z wielką gościnnością. Mnie dogadzano mianowicie, bo moje imię znają tam wszędzie. *Sławny Vernet* był celem ciekawości powszechniej i odwiedzin wszystkich starych weteranów Francuzów, którzy tu pozostali po kampanii dwunastego roku. Większa ich część jest, albo była guwernerami; nie ma jednego z nich, któryby do mnie nie przebył z orszakiem swych uczni. Jedni mi mówili: „Sądziłem, żeś pan grubszy,” a drudzy: „myślałem, żeś pan wyższy:” słowem przeszedłem przez przegląd Małej i Wielkiej Rosyi.

„Piszę, co mi przyjdzie pod pióro. Nie ma ładu ani składu; ciągła walka kilku idei w biędnej głowie malarza: każda z nich chce wyjść pierwsza jak spektator z teatralnej sali, kiedy wołają „gore!” Ułóż te myśli jak zechcesz. Wyobraź sobie, że uprzątasz moją pracownię; wtedy być może, że wszystko co tu piszę, zrozumiesz”.

Petersburg, 26 grudnia 1842.

„Dwadzieścia godzin nocy, a cztery godziny dnia chorego, miła rzecz! Jak tu malować? Jak tu żyć? Jak tu nie umrzeć z nudów? Do tego 19 stopni mrozu i nadzieja podwojenia doży. Jednakowoż potrzeba przyznać, że zimno jest jedną z najmniejszych niedogodności tego kraju. Tylko nos cierpi: zresztą ciepło wszędzie, bo wyborne są opatrzenia przeciw ostro-

ści klimatu. Prawdziwa moja przyjemność jest jeździć sankami. Ale ponieważ wyjeżdżam tylko w nocy, szczęście trwa krótko: tyle, że przeleczę z domu do domu.

„Jadam prawie zawsze w mieście, wieczorem bywam w wielkim świecie, i zawsze toż samo. Toż samo w całym znaczeniu tego słowa, bo nie ma żadnej różności: kto widział jeden salon, tak dobrze jakby znał wszystkie; kto zjadł jeden obiad, wie jak tu smakuje każdy; kto słyszał jedną rozmowę, nie dowiędzie się nic nowego nazajutrz. W salonie wszyscy siedzą; nie ma kominka, któryby, jak u nas, służył za punkt do orientowania się. Gdzie cię posadzą, tam siedzieć musisz kamieniem; ani sposobu się wydostać; musisz mówić z tym, kto na cię patrzy. Jeżeli natrafisz na piękną kobietę, ażeby jej się podobać trzeba obgadywać drugich, albo słuchać jak ona obmawia; jeżeli brzydka, zawiąże z tobą rozmowę, ale chcąc pozyskać jej względy trzeba utrzymywać, że świat cały diabła wart: inaczey sam przepadniesz. Rozmowa jest tu nieustanną, bezkolorową i niesmaczną plotką, dlatego, że wychowanie ludzi salonowych jest jednakie, do jednej doprowadzone wysokości, i że ich wrodzone lenistwo nigdy nie przekroczy poza tę granicę. Pojmujesz, że takie towarzystwo wkrótce się znudzi. Salon przedstawia tak smutną jednostajność, że nie ma nawet pola do obserwacji. Czasem mówię sobie: zestarzałeś się mój kochany, i nic cię już tak nie zajmuje jak wtedy, kiedyś brał czynny udział w towarzyskich intrygach; ale nie, znam pełno młodzieży, z których każdy zmarznięty aż po brodę. Nie sztuka mieć dobre obyczaje, kiedy się nie ma namiętności.

„Już dziesiąta, dnieje, wezmę paletę i zagram w ślepą babkę z moimi pędzlami.”

Petersburg, d. 14 stycznia 1843.

„Śniegi stopniały, ulice miasta płucze nieustannie drobny dęszczyk. W Boże Narodzenie mieliśmy tu bardzo oryginalny jarmark. Wszystkie targowiska były zapełnione mięsiwem, rybami i drobiem zmarzłym. Prowianty te zwykle konserwują się tym sposobem aż do postu. Nieszczęściem tego roku nagle przyszła odwilż i zniweczyła wszystkie zapasy. Ztąd rozpacz powszechna.

„Nic zabawniejszego, jak ten jarmark: spędziłem tam całe rano. Wyobraź sobie ulice pobudowane z wołów, baranów

i świń zamrożonych i poukładanych w piramidy; a wszystko sztywne jakby wystrugane z drzewa: do użytku rąbie się ogromnemi toporami.

„Jestto widok nader dziwny, mianowicie skoro noc nadejdzie; wtedy wszystkie te martwe ciała oświecają łożówkami, a przekupnie zasiadają w wołowym brzuchu lub na świńskim grzbiecie. Jeden zaczepia cię, drugi ciągnie za suknię, zachwalając swój towar, a krzyczą wszyscy razem. Zdarzył mi się zabawny wypadek na tym targu. Zapatrzyłem się był z czułością na ogromną macioreę, otoczoną mnóstwem prosiąt, które jak ona, leżały nieżywe na bruku. Przekupnie widząc mnie w téj kontemplacyi, sądzili, że chcę nabyć owę nieszczęsną Niobe; w okamgnieniu otoczyło mnie grono towarzyszek świętego Antoniego, których wdzięki wychwalali kupcy na wszystkie tony wymowniej, niż wielu poetów piękność Wenery.

„Nie mogąc się z nimi rozmówić, z dobrą miną rejterowałem ku sankom, myśląc, że uda mi się wyjść cało: ale tam czekała mnie ostatnia porażka. Nie wsiadłem sam: nieszczęsna maciora przybyła ze mną, posadzono ją przy mnie, nie żądając zapłaty. Pojmujesz mój kłopot. Stojący obok żandarm nie mógł mnie zrozumieć, musiałem więc odjechać ze swinią. Przybywszy do domu zastałem moich gospodarstwa w sieni śmiejących się do rozpuku. Rzecz się wyjaśniła.

„Młody Wielhorski, u którego rodziców mieszkam, spostrzegłszy mnie spacerującego po targu, kupił owę macioreę i kazał mi ją zanieść do sanek. Koncept nielada, żeby mi kazać podróżować w parze z ogromną swinią, wyższą odemnie o głowę.

„Rodzina na której łonie tak miłej doznaje gościnności, cieszy się blizkiem zamęciem jedną z córek. Narzeczeni kochają się jak turkawki. Prawdziwa to radość dla mnie samotnika patrzeć na szczęśliwych. Ojciec jest bardzo niepospolity człowiek, uczony, wielki pan, trochę hulaka. Matka była kiedyś prześliczna; od czasu jak się zajęła wychowaniem córek, nie bywa nigdzie. Stała się surowa i może zbyt nabożna, mimo to zachowała dość ciepła w duszy, żeby móżdż kochać i być kochaną. Starsza córka blondynka, już od kilku lat zamężna, sama karmi dziecko, maluje, gra na fortepianie. Surowe zasady nie pozwalają jój chodzić do teatru; z literatury nowożytniej czyta tylko pisma swego męża, który jest młody, sil-

nie zbudowany szlachcic, grający potężnie w karty i śmiejący się tylko z tego, co sam powie. Reszta siostr ma włosy czarne i obiecuje szczerzej jak najstarsza spłacić swój dług społeczności; ale dotąd wszystkie niezachwianie stąpają po drodze cnoty, nie przypuszczając, żeby uczciwa kobieta mogła czytać coś więcej nad *Naśladowanie Chrystusa*. Prócz córek jest jeszcze syn, dobry i miły chłopiec, ale słabowity i wiecznie cierpiący.

„Reszta domu uzupełniająca obraz przy stole jadalnym, składa się z samych guwernerów i guwernantek; pierwsi uszczęśliwieni, iż porzucili książki, grają na klarynetach i fletach. Guwernantek jest trzy: jedna Angielka w zielonych okularach i szarym kapeluszu; druga Polka, jakaś sentymentalna osoba *poussant des soupirs à renverser les meubles*; trzecia Niemka, która je za wszystkich, je aż strach! Gdybym był łatwiejszy do połknięcia, zarazbym dom opuścił. *Oh! la Gailarde!* Oto szczeka, którą zacytować warto!...

„Już nie mam papieru; kończę przeto ten list i wysyłam czémprędzej z obawy, żeby go Niemka nie zjadła”.

Petersburg, 12 lutego 1843.

„Wracam z dworskiego balu. Rozmawiałem długo z Cesarzem o kościele św. Izaaka; mówiłem jak z katedry. Wyłożyłem moje zdania o koniecznej jednolitości kompozycji wewnętrznych malowideł. Tyle tam potrzeba obrazów, że jeden człowiek przez najdłuższe życie nie wykonałby ich, gdyby je miał robić sam, a nawet tylko poprawiać. Potrzeba więc, żeby jeden genialny artysta podjął się kompozycji kartonów, któreby trzydziestu lub czterdziestu artystów wykończyło; tym sposobem tylko może być jedność, choć sto rąk nad nią pracować będzie. Zresztą projekt mój nie napotyka żadnych trudności, ponieważ wszystkie obrazy mają być malowane na skórze w ogniu złoconej, którą przybić będzie można po ukończeniu.

„Mówiłem długo cały zajęty moim przedmiotem, ale w końcu kilka słów Cesarza rzuconych nawiasem, na inny wcale tor skierowały moje myśli. Kiedy zapytywany, ile czasu potrzeba będzie do ukończenia kościoła, odpowiedziałem, że tego dokładnie oznaczyć nie można: Cesarz rzekł: „Wszystko musi

być ukończone w ciągu lat pięciu; chciałbym tam choć jednej mszy wysłuchać, bo wiem że pracuję dla syna, i że niedługo pożyję.

„Ta przepowiednia rychłej śmierci, objawiona pośród bałlu, w słowach tak prostych, i w ustach człowieka w kwiecie wieku i zdrowia, miała w sobie coś tak dziwnego, że się wzdrygnął i zamyślił głęboko, opanowany mnóstwem różnorodnych uczuć, których istnienia nie przypuszczałem w sobie, zwłaszcza w czasie roztopów.”

Petersburg, w lutym 1843 r.

„Muszę ci opowiedzieć kilka szczegółów o zaślubinach hrabianki Apolonii Wielhorskiej, terazniejszej Winerelinoff. Ceremonia odbyła się u dworu o siódmym wieczorem. Panna-młoda pojechała najpierwsza do Cesarzowej, która w takich razach wedle zwyczaju ubiera oblubienicę w dyamenty koronne. Niedługo przybyłem z panem-młodym i rodziną jako świadek. Cesarz zaprowadził pannę-młodą do zamkowej kaplicy, gdzie duchowieństwo dopełniło zwykłego obrzędu. Rozpostarto na ziemi sztukę różowej materyi, na której mieli ukłęknać małżonkowie. Jest przesąd, że kto pierwszy na nią ukłęknie, będzie panem w domu; żadne przeto nie chciało ukłęknać pierwój: zaboronnie oboje razem podnieśli nogę. Teraz może już się sprzecza ją o to, kto ją pierwój postawił.

„Ceremonia trwała godzinę. Po błogosławieństwie wszyscy wrócili na pokoje, gdzie nalano gościom puhary szampańskiego wina, które tak kobiety jak mężczyźni obowiązani są wypić duszkiem. Potém Cesarz udał się naprzód do mieszkania nowożeńców i zawiesił święte obrazy, następnie na progu oczekiwał na zaślubionych, którzy za nim weszli, i klękli przed nim. W domu nowożeńców znów cukierki i szampan powrócił. Tyle co do materyalnego obrzędu.

„Co do części moralnej zaślubin, niespodziewana okoliczność dała mi miarę wagi religijnej, jaką przywiązuje panna-młoda do przysięgi, której ma dokonać przed Bogiem. Przy ołtarzu odpięła się jój bransoletka i trzymała ją w rękę. Spostrzegłszy to Cesarz, z rycerską grzecznością przeszedł całą kaplicę, ażeby odebrać zenujący klejnot. Panna-młoda oddała mu bransoletkę, nie patrząc wcale na niego, ani mu dziękując najmniejszym skinieniem. Ten brak grzeczności w takiej chwili, był oceniony od obecnych: ty także jesteś nadto religijna, że byś go nie miała ocenić.”



Petersburg, 17 kwietnia 1843.

„Dostałem od Cesarza dorożkę i frzy konie. Nie wiem co z tém począć; czy ją tu komu darować przed wyjazdem, sprzedać nie mogę, czy zabrać? Jeżeli tak uczynię, to przygotuj się, że będziesz jeździć w Paryżu końmi, które biegają jak wiatr... Tylko po rusku mogą być zaprzężone, a posłuszne tylko Tatarowi z kwadratową twarzą, rzadką brodą i szerokiemi barkami, który jada tylko końskie mięso. Ztąd widzę, jak ci się fizyonomia wydłuża, ztąd słyszę jak mówisz: „O niedołęga! zawsze same głupstwa robi” i różne tym podobne komplementa. Ale jakże zrobić? Na pocieszenie skreślę ci obraz przyjemności, jakich możesz się spodziewać od nowych przyjaciół. Twój Tatar nie umie ani słowa po francuzku, ja ani słowa po rusku: będziemy tedy rozmawiali na migi: przypomni ci to niemowlęctwo Filipa. Dorożka jestto mały powozik na czterech kołach nie wyższy od tabureta, niezmiernie przyjazny trawieniu, skutkiem twardości swych resorów, mianowicie jeżeli skacze po tutejszym bruku. Jak tylko raz spróbujesz przyjemności takiej jazdy, wzgardzisz wszystkiemi powozami paryzkiemi. A do tego jak usłyszysz wykrzykniki woźnicy: *padi, padi dourah, na prava, na leva!* i t. d. reszty nauczysz się sama”.

Petersburg, 3 kwietnia 1843.

Wymalowałem dla Cesarza małego Napoleona na koniu, za co podarował mi powóz. Wystaw sobie, w Wielką Niedzielę wołają mnie na wystawę prezentów, które N. Pan zwykł rozdawać w tym dniu. Wchodzę i znajduję kopią mego obrazu na przepysznym wazonie, na trzy stopy wysokim, formy Medicis, naśladowanej ze sewrskich wzorów. Po drugiej stronie wazonu był ozdobiony cesarskim herbem napis: „*Panu Horacemu Vernetowi w dowód szacunku za jego znakomity talent*”. Pojmujesz jak byłem rad z tak pochlebnego daru. Takie prezenta dają się tylko monarchom lub książętom. Udałem się natychmiast do księcia Wołkowskiego, prosząc go, żeby oświadczył Cesarzowi wdzięczność moją. Książę powiedział, że najmiłszą oznaką wdzięczności będzie dla N. Pana, jeżeli udam się dziś wieczorem na nabożeństwo do dworskiej kaplicy.

Była to nowa łaska, bo prócz ambassadora austriackiego i mnie, nikogo z obcych nie przypuszczono. Obrządek jest bar-

dzo ciekawy. W kościele zgromadził się tylko dwór i deputacye wszystkich oficerów gwardyjskich, co jednak razem czyniło do 3000 osób.

Około północy rodzina Cesarska weszła do kaplicy. Po ewangelii każdy z osobna przychodził do Cesarza, a ten mówił: „Chrystus zmartwychwstał.“ „Tak jest,” odpowiadał stojący przed nim, i całował N. Pana w oba policzki. Cesarzowa dawała rękę do pocałowania.

Prawda, że to dziwny obyczaj? Ale najciekawsze jest to, że po mszy Cesarz całuje pierwszą osobę, którą spotka wychodząc. Zwyczajnie honor ten dostaje się stojącemu na warcie sztyldwachowi. Przed kilką laty pocałował grenadyera z preobrażeńskiego pułku, mówiąc mu: „Chrystus zmartwychwstał.“ A żołnierz na to: „Nie! N. Panie.“ Był to żyd. Odtąd wszystkich żydów oddano do marynarki.

Jeszcze tu muszę pozostać do 15 lipca. Nie wiem jak ten czas przesiedzę! Zdaje mi się, że już wyszafowałem wszystką odwagę, albo też, że naprzód uciekła na statek i tam mnie czeka. Tam ją pewnie znajdę, a skoro siądę na okręt, wydać mi się będzie, jakbym już widział moją parafialną dzwonnice: Paryż! Co za radość!“

*Horacy Vernet.*

Mimo poparcia jakie znajduje w całym piśmiennictwie francuzkiem, *Kurs literatury* Lamartina został przyjęty dość ozięble. Napróżno we wszystkich księgarniach i redakcyach zaprowadzono biura przenumeraty; napróżno główne dzienniki umieszczały gorące odezwy, wystosowane do serca publiczności, przedstawiając, że jest obowiązkiem każdego Francuza rzucić w formie abonamentu grosz jaki do skarbonki Ojca ojczyzny i poetów, który na starość zamiast odpoczywać na laurach, zapracowuje się dla zdobycia kawałka powszedniego chleba. Daremnie te odezwy podpisywali *in gremio* najświetniejsi w kraju literaci: ogół pozostał niemy, głuchy i obojętny, nawet po przeczytaniu przedmowy, którą autor dołączył do pierwszego poszytu swój publikacyi; przedmowy rozpacznej, bolejącej i płaczliwej, która byłaby bardzo właściwa w ustach jakiej podupałdziej na siłach a zwątpiałej na duchu niewiasty, ale razi w ustach wielkiego Lamartina.

Ta przesadzona pokora w piśmie człowieka tak dumnego jak Lamartine; ta spowiedź przed tłumem, którym gardzi; ten upadek genialnego wieszczka, który winien otwierać przed narodem skarbnice wiary i nadziei, a otwiera otchłań zwątpienia, do którego doszedł po sześćdziesięciu latach nieskazitelnego życia: ma w sobie coś nader przykrego i dziwnie mroczny tę dotąd jasną postać, stojącą na szczycie francuzkiego Parnasu. Wszakże jakkolwiek smutne jest to przeobrażenie, nie znałby nikt Lamartina, ktoby go nie widział dzisiaj. Przedmowa do *Kursu literatury* jest wiernym, bo własną ręką nakreślonym obrazem obecnego stanu duszy autora *Medytacji*:—jest jego ostatniem słowem, które powtórzyć mamy sobie za obowiązek.

.....„Są rzeczy, które się mówią raz tylko w życiu, ale wypowiedzieć je trzeba: bez tego nie zrozumielibyście wszechpotężnej władzy, jaką miłość literatury wywiera na życie człowieka prywatnego i publicznego.

„Będę szczery: otworzę wam najskrytsze zakątki serca. Tak zwana przyzwoitość nie dozwala błachym pisarzom obnażać swęj duszy, ale serce nabrzmiałe goryczą nie wstydzi się zrywać marne opony, które osłaniają jego rany. Gdyby Laokon wijący się w węzowych skrętach nie był nagi, widzianożby jego tortury?

„Pod zwodniczym pozorem życie moje nie jest z tych, którychby pozazdrościć można; więcej powiem, jest ono skończone: *je ne vis pas, je survis*. Byłem kiedyś człowiekiem uczuciowym, człowiekiem czynu, poetą, mówcą; wszystko to już umarło we mnie: został tylko literat, a literat jeżeli wyłącznie literaturą żyje, szczęśliwym być nie może. Wiek mi niebardzo cięży jeszcze, więcej ciężą rany serdeczne. Przeżyte lata, jak Makbeta jędze stają za mną, i przez ramię wytykają mi palcem nie wawrzyny, ale grób, w którym, daj Boże! żebym spoczął co rychlój.

„Nie mam nic, do czegobym mógł się uśmiechnąć, ani w przeszłości, ani w przyszłości; zestarzałem się bezpotomnie w mym pustym domu, otoczony grobami wszystkich, których kochałem: nie mogę już wyjść z mieszkania, żebym się nie potracił o jeden z tych głazów, pod którymi spoczywa miłość moja i nadzieje. Są to jakby żyły krwawe, wyrwane z żyjącego serca, i pogrzebane przedemną, kiedy to serce bije jeszcze w mych piersiach jak zegar, którego zapomniano zatrzymać opuszczając domostwo, i wydzwania godziny, których nikt już nie słucha.

„Wszystko życie jakie mi pozostało skupilem w kilku sercach i małej posiadłości. Ukochane serca cierpią przeze mnie, a posiadłość nie jestem pewny, czy mi nie będzie odebrana jutro, i czy nie będę musiał, jak Dante, umierać na jakim zagranicznym gościńcu. Ognisko, które ogrzewało mego ojca i które mnie jeszcze grzeje, nie do mnie należy; obca ręka może je zgasić kiedy zechce, może je sprzedawać i odprzedawać dowolnie: również jak łożo mojej matki, również jak psa, który litościwie liże mi ręce, kiedy nań patrzę marszcząc brwi z rozpaczą! Z tego mienia mam zdawać rachunki obcym, którzy polegając na mym honorze i pracowitości, złożyli tu dziedzictwo swych dzieci, owoc własnych zabiegów!...

„Gdybym codziennie nie pracował dla nich, co mówię? gdybym sypiał po nocach, albo gdyby choroba (od czego Bóg zachowaj przed czasem) zatrzymała na chwilę me pióro, to narzędzie, które używam dla nich: poczciwi ci ludzie zginęliby wraz ze mną, lub byliby zmuszeni szukać w popiołach moich swęj fortuny. Znaleźliby ją zapewne, ale dopiero po mojej śmierci.

„Oto widzicie, dlaczego znoszę pracę często nad siły, na którą skazany jestem. Cóż powiecie: tę pracę, tę cnotę z przymusu, ale w końcu cnotę zawsze, są tacy, którzy mi wyrzucają, zowiąc ją próżnym pragnieniem sławy, które mnie dręczy jeszcze nad grobem! Ludzie nieloiczni w swych zarzutach, czemuż nie zarzucacie temu, co rozbija na gościńcu kamienie, że zawadza na publicznej drodze, kiedy tą pracą żywi żonę, starca i dziecko!

„Mieszkańcy Samos lżyli kiedyś Homera, mówiąc, że im zacieśnia wązkie drogi na wyspie, recytując swe wiersze przed domami. A gdzież je miał wypowiadać, jeżeli nie na drodze, on, który nie miał innej katedry prócz niebieskiego sklepienia? Dziś druk jest tém dla pisarza, czém było sklepienie nieba dla Homera.

„Nie jestem Homerem, a jednak krytycy moi twardsi są niż obywatele z Samos. Karty, na których zarzucają mi, że stawiam méj próżności pomniki, nie atramentem, ale krwawym potem są pisane! Nie imię moje staram ja się powiększyć, ale fortunę tych, których to imię jest całym mieniem, Imię moje! wiem ja, tak jak wy wiecie, co ono warte i co je czeka. Bóg mi świadkiem, iż wolałbym, żeby nigdy nie było wymówione, a resztę dni moich oddałbym za to, żeby mogło już być po-

grzebane wraz z tym, co je nosił, w cichym dôle, bez śladu *tam*, bez pamięci *tutaj!* Potrzeba przypuszczać niezwykłą dozę próżności w człowieku, który żył długo, i widział co ja widziałem, ażeby sądzić, iż chodzi mu jeszcze o to echo nicestwa, które zwie się ludzką pamięcią. Bylebym żył w pamięci Boga, o ludzką nie dbam! Życie nie jest już niczém dla mnie.

„Życie w méj samotności, po probach, jakie przeszedłem i przechodzę, podobne jest do tych widowisk, z których wychodzisz ostatni, wstrzymywany ciżbą, i widzisz, spojrzawszy w pustą salę, jak dymią gasnące lampy, jak odzierają ściany z dekoracyj, jak fatalna, naga rzeczywistość powraca na tę scenę przed chwilą tak jasną i pełną złudzeń.

„I czegożbym miał tearz żałować z tego życia? Nie byłem przytomny śmierci wszystkich moich złudzeń? Mógłbym mieć ochotę śpiewać tu jeszcze zagasłem tchnieniem strofy, którebym zakończył łkaniem? Mógłbym rozpoczynać na nowo polityczne walki, w którychby już nie poznano mego głosu? Mogeż ufać w te formy rządów, które naród porzuca z równą skwapliwością, z jaką je zdobywał? Jestemże szalony dotyla, ażeby mógł wierzyć, iż zdołam ułać lub wykuć z marmuru kolosalny posąg ludzkości, kiedy Bóg największym rzeźbiarzom dał na zlepianie jój tylko trochę piasku lub gliny? Po co żyć, ażeby liczyć wkoło siebie ruiny tego, co się stawiało w myśli! Szczęśliwi ci, co umierają w czynie, zabici rewolucją, w którą się wmieszali. Śmierć ich jest męczeństwem, ale jest także przytułkiem! A męka życia czyż za nic się liczy?

„Co do mnie byłbym już tysiąc razy umarł śmiercią Katona, gdybym miał religią Katona; ale mam inną: wielbię Boga w zamiarach jego. Mniemam, iż cierpliwa śmierć ostatniego żebraka na słomie, wznioślejszą jest od niecierpliwéj śmierci Katona na mieczu. Kto tak umiera, ucieka—a uciec się nie godzi. Katon się buntuje, żebrak jest posłuszny; być posłusznym Bogu—oto prawdziwa chwała!

„Jest jeszcze jeden wzgląd potępiający te gwałtowne a paradne skony: albo życie jest dobrodziejstwem, albo męczeństwem. Jeżeli jest dobrodziejstwem, trzeba w niém smakować do końca, choćby gorzkim było; jeżeli jest męczeństwem, trzeba je znosić jako tajemniczą a pożyteczną expiacją błędów naszych.

„Żyję więc, ale jak<sup>7</sup> widzicie nie na różach. Sam Katon nie miał pewnie większego odemnie wstrętu do swéj epoki. Liczę i czuję jedne po drugich, nie przeklinając ich, wszystkie kamienie, któremi mnie zabijają. Nie obwiniam ludzi; nie—byłaby to niesprawiedliwość lub głupota. Ludzi zawsze znajdowałem dobrych, tylko los okrutny:—oto szczerą prawdą.”

Wiktor Hugo wydał w Paryżu nowy zbiór poezyj pod napisem: *Les contemplations*. Pojawienie się tych dwóch tomów, z których pierwszy nosi tytuł *Autrefois*, drugi *Aujourd'hui*, było tém większą niespodzianką, że autor Hernaniego od szesnastu lat żadnych lirycznych nie ogłosił poezyj. Dziesięć tysięcy wierszy zgromadzonych w tém wydaniu, dzieli się na dwie części: pierwsza obejmuje peryod od 1830 do 1843, druga od 1843 do 1855. Książka znajduje ogromny odbyt: ogół, ciągnie ku niej niewygasła miłość dla wielkiego poety; niechętnych, nadzieja wyszukania jakiejś nowéj broni na nieprzyjaciela. Dosyć, że z tych lub owych pobudek kupują wszyscy; pierwszą edycją wyczerpano we dwadzieścia cztery godzin. Paryżanie znudzeni monotonną czczością rytmów, które się pojawiały w przeciągu ostatnich lat kilku, tak ubogich w wyższe płody, z upragnieniem rzucili się w głęboką rzekę poezyj, która od dwudziestu pięciu lat w złych i dobrych czasach, płynie ciągle, podsycana natchnieniem i nauką. Dwadzieścia pięć lat, mówi w przedmowie autor, zamknąłem w tych dwóch tomach; *grande mortalis aevi spatium*. Książka ta sama napisała się we mnie; życie sącząc się po kropli przez wypadki i cierpienia, złożyło ją w mém sercu. Ci, co weń spojrzą, obaczą własne postaci odbite w smutnej i głębokiej wodzie, która się powoli zebrała na dnie duszy.”

Jest to najprostsza i najprawdziwsza definicya téj książki. *Kontemplacye* nazwaćby można dagierotypem ludzkiego życia, który mógł odbić tylko ten, kto czuł, kochał i cierpiał. Wszystkie uczucia znajdziesz tam z kolei: nadzieje młodości, rozczarowania dojrzałego wieku, walki, bole, oburzenia i jęki złamanéj duszy. Wiktor Hugo jak Dante, spełnił do dna kielich goryczy. W południu chwały los rzucił go na obcą ziemię dziwne przeznaczenie poetów.... dziwne koleje ludzi.

„Których myśli, jak dymy wjeźdźnie nad dach ulatują,  
Których sercu nie może szczęście domowe wystarczyć.”

„Poeto nasz! woła jeden z tutejszych znakomitych sprawozdawców, z czcią religijną przyjmujemy ten wonny snopek, który nam przysyłasz z wygnania. Nie zapomnieliśmy ani twojego geniuszu, ani twój chwały, ani promieni złotych, któremi oświeciłeś nasze kolebki. Wszyscy pamiętamy twój cichy dom otwarty dla nas, kiedyś był z nami; wszyscy ścigamy cię myślą na dzikiej skale, gdzie teraz przebywasz. Burza strząsała twą nawę, wielki poeto; aleś ty ocalał, żyjesz i żyć będziesz w sercach Francuzów, dopóki Francyi stanie!”

Słychać, że pani Hugo pisze życie męża; on zaś od czasu wyjazdu z Francyi napisał wiele nowych dzieł, które zapewne nierychło wyjdą na widok publiczny. Ci, co je czytali w rękopisie nie mogą dosyć nachwalić trzech poematów, pod napisem: *Dieu, la Fin de Satan, i les petites Epopées*. Są podobno także w tece poety trzy dramata: *Homo, le Théâtre en liberté, les Drames de l'Invisible*; z poezyj ulotnych: *les Chansons des rues et des bois* i wielki filozoficzny poemat, który ma być koroną geniuszu Wiktora Hugo: *Essai d'explication*.

— W tydzień po przyjęciu księcia de Broglie, odbyło się w Akademii wotowanie na następcę pana Molé. Kandydatami byli: p. Augier, Falloux i Teofil Gautier. Głosy akademików podzieliły się jak następuje:

Za panem Augier wotowali: pp. Dupin, Empis, Flourens, Lebrun, Legouvé, Mérimée, Musset, Nisard, Pongerville, Sainte-Beuve, Segur, Scribe, Viennet, de Vigny: razem głosów czternaście.

Za panem Falloux: p. p. Barante, Berryer, Brifaut, de Broglie, Cousin, Dupanloup, Guizot, Mignet, Montalembert, Noailles, Pasquier, Patin, Rémusat, Saint-Marc Girardin, Salvandy, Sacy, Tocqueville, Villemain, Vitet: razem głosów dziewiętnaście.

Lamartine sam jeden wotował za Teofilem Gautier; pan Thiers i inni członkowie nie byli obecni. Pan Falloux przeto większością pięciu głosów został mianowany członkiem Akademii wbrew opinii publicznej, która bardzo gwałtownie przeciw obiorowi jego powstawała. Oficjalna recepcya pana Falloux odbędzie się dopiero w jesieni. Fotel, który został mu przy-

sądzony był od wieków w posiadaniu samych sławnych mężów z rodu lub nauki: w roku 1653 zasiadał w nim Pelisson; 1693 Fenelon; 1715 de Boze; 1754 hrabia Clermont; 1771 Dubelloy; 1775 książę Duras; 1803 Garat; 1816 kardynał Beausset; 1825 biskup de Quélen; 1840 Molé; 1856 Falloux.—Méry umieścił w *Revue Contemporaine* długi artykuł, w którym dowodzi potrzeby rozwiązania Akademii, a zastąpienia jęj towarzystwem literackim, złożonęm z pięciuset członków.

— Pan Guizot wydał trzecią część *Historyi angielskiej*, nad którą od trzydziestu lat pracuje. Nowe dwa tomy obejmują protektorat Cromwella. Francuzcy krytycy tego dzieła porównyując je z historyą Macaulaya, przyznają jednozgodnie pierwszeństwo tęg ostatniej: twierdzą oni, że dziejopis angielski opowiada z większém życiem, daleko jest oryginalniejszy, sprawiedliwszy, nadto podaje mnóstwo nieznaných szczegółów, na których Guizotowi zbywa.

— Remusat wydał także *Historyą Anglii w XVIII wieku*.

— Pan Figuier wydał dwa nowe dzieła: piérwsze *Alchemia i Alchimiści*, szkic historyczno-krytyczny, zaleca się mnóstwem wiadomości dotyczących tęg nauki, dla których zebrania musiał autor pracować wiele, i ogromne stosy dzieł przerzucić; drugie ważniejsze, bo traktujące kwestye żywotne, we trzech tomach pod napisem: *Exposition et histoire des principales découvertes scientifiques modernes*, jest najpraktyczniejszą i najgruntowniejszą z tego rodzaju książek, jakie dotąd napisano we francuzkim języku, a których wiele natchnęła wystawa powszechna.





# GENEALOGIA PORTRETOWA

## SAPIEHÓW

W KOŚCIELE PARAFIALNYM ŚWIĘTEJ ANNY W KODNIU.

PRZEZ

*Józefa Łoskiego.*

---

(Z ryciną).

**W** wiadomo jest każdemu umięjącemu cenić zabytki przeszłości, jak drogocenną po praojcach naszych spuścizną są dawne portrety. Ze stanowiska sztuki zapatrując się na nie, widzimy w nich bogaty materiał dla malarstwa historycznego. Artysta chcący przedstawić wypadek dziejowy, nietylko skwapliwie z dawnych portretów kopiuje oblicza osób dawno znikłych z tej ziemi, ale nadto ich ubiór i starożytna zbroja nieocenionym dla niego będą nabytkiem. W nich badacz przeszłości śledzić będzie stan sztuki w danej epoce; filozof, historyk i poeta z równym jak artysta zajęciem wpatruje się w odwieczną postać sławnego męża, stara się wybadać duszę, która ją ożywiała, niejedną niepojętą jej stronę odgadnąć: wreszcie każdy człowiek chociażby nie był specjalnie naukowym, ani też artystą, gdy ma serce i myśleć umi, z zajęciem i współczuciem patrzeć będzie na nieme, a jednak tak wymowne zmarłych postaci. Dzieła ich dobre czy złe tém żywiiej staną mu przed oczyma; poczuje ku nim uwielbienie lub wzgardę, niejedna myśl piękna zabłyśnie mu w duszy, kto wié? może wzbudzi w nim poprawę, posta-

**GENEALOGIA PALATINORUM**



VITENES.  
M. DVX LITVAN.  
Objit Aº 1315.

GEDIMINVS.  
VITENIS FILIVS.  
Vixit Aº 1328.



NARIMVNDVS.  
GEDIMINI FILIVS.  
Vixit 1341.

GEORGIVS BELZENSIS DVX.  
circa 1377.

YVNIGAILO.  
SOPHIA DVCTVS.  
Aº 1380.

SVNIGAL.  
PRIMVS CHRISTIANVS.  
Objit 1420.


nowienie, lub tylko westchnienie wywoła!.... Kochajmyż więc stare, zatarte praocjów portrety!

Przejęty będąc takimi uczuciami dla tych kawałków płótna, nieraz niestety tak bezbożnie poniewieranych, często nasuwała mi się myśl: aby, gdy nie jest w méj mocy ocalić je od zaguby i otoczyć tą czcią i poszanowaniem, których są godne, gdy również trudno byłoby mi rozpowszechnić je rysunkiem; aby przynajmniej zebrać troskliwie wiadomość niemal o każdym starożytnym wizerunku, i chociażby w suchym na pozór spisie uwiadomić ziomków, gdzie jeszcze rozproszone znajdują się te pamiątki. Praca taka, każdy to przyzna, artystom naszym i amatorom nader byłaby pożyteczną, a niejednemu z braci szlachty miło zapewne byłoby dowiedzieć się o konterfekcie jakiego antenaty, o którego istnieniu nie wiedział. Do takiej pracy, wiem, że wiele gotowych znalazłoby się materiałów w dziełach szanownych badaczy, którzy w tych kilku latach stworzyli nam dzieje naszej sztuki: mam tu między innymi na myśli dzieło barona Edwarda Rastawieckiego, lecz wieleż rzeczy jest jeszcze nietkniętych, nieopisanych. Co więcej, w biografiach malarzy lub w opisie zbiorów i galeryj, autorowie wymieniając szczegółowo obrazy znaczniejsze sławnych mistrzów, zwykle mniejszą zwracają uwagę na portrety, jako na dzieła podrzędne; gdy zaś te miernego są pędzla, nieraz nawet na wzmiankę u nich nie zasługują. Z mego zaś stanowiska zapatrząc się na dawny portret, chociażby on miernego artysty był dziełem, a nawet nie przedstawiał historycznej osoby, jak tylko ma charakter wieku, już za ważny uznaje go zabytek. W przedsięwziętej w tym celu wędrowce artystycznej nietylko pociągałyby mnie ku sobie wyniosłe mury starożytnego kościoła, zamku lub pałacu możnych: pragnąłbym zajrzeć do niejednego szlacheckiego dworku w nadziei, czy tam nie znajdę na ścianie jakiego męskiego marsowego oblicza, lub jakiej poczciwej matrony. Nie opuściłbym żadnego płótna, któreby wymaganiom moim odpowiadało: dlatego téż te moje *pia desideria* nieprędko ziszczone być mogą. Tak myślałem, zbierając potrosze za pomocą pióra i ołówka materiały do téj pracy, gdy uprzejma zachęta kilku światłych osób skłoniła mnie do ogłoszenia małego wyjątku z notat i rysunków moich. Jestto opis genealogii portretowanej Sapienhów w kościele kondeńskim, czyli *Moles Genealogica Sapienharum*, jak ją pełen

erudycy monograf Kodnia, Jan Fryderyk Sapięha w dziele swém łacińskim nazywa (1).

W miasteczku Kodniu, w dawném województwie brzesko-litewskim, a dzisiaj w gubernii lubelskiej, powiecie bialskim położoném, wznosi się piękny kościół parafialny pod wezwaniem św. Anny, zbudowany około roku 1630.

Kościół ten w stylu odrodzenia, pod względem sztuki dotąd nie oceniony, ani téż w rysunku nie ogłoszony, posiada dwie główne ozdoby: pierwsza, która największy blask rzuca na całą osadę jest cudowny obraz Matki Boskiej, zwanój „*De Guadelluppe*,” po częstochowskim jeden z najbardziej w kraju naszym słynących. Po tym świętym obrazie, drugą najznakomitszą ozdobą świątyni jest bez wątpienia genealogia portretowa Sapięhów umieszczona w kaplicy Św. Krzyża naprzeciw kaplicy Matki Boskiej cudownój.

Wchodząc do kaplicy Św. Krzyża, cała ściana z prawój strony będąca, pokryta jest od sklepienia aż na dół portretami wielkości naturalnój do pasa, malowanemi na płótnie.

Portrety te, jak widzimy na załączonój rycinie umieszczone jedne przy drugich, oddzielone są między sobą wązką ramą, tak, że ogół stanowi jakby jeden ogromny obraz: co sprawia widok wspaniały. Przestrzeń zajęta tą galeryą obejmuje około 220 łokci kwadratowych.

Opisując te portrety Sapięhów wiem, że nie donoszę wam nic nowego. Kodeń, mimo że dziś zupełnie zapomniany i w stanie blizkim upadku, jak większa część naszych miasteczek, miał swą epokę świetniejszą i był szczęśliwszy pod tym względem od wielu miast znaczniejszych: miał nawet kilku historyków, którzy obszernie dzieje cudownego obrazu, kościoła i mia-

(1) Jeżeli pojedynczy starożytny portret za szacowny uznają zabytek, cóż dopiero powiedzieć mam o tych wspaniałych zbiorach portretów familijnych, porządkiem genealogicznym ułożonych, które dotąd w niejednym znakomitym domu przechowują się. W tych postępujących jedne po drugich generacyach magnatów, którzy przyznać należy, że przodkowali niegdyś społeczeństwu polskiemu, nietylko poznajemy z typów twarzy, ubiorów i akcesoryj, charakter, obyczaje i stopień cywilizacyi narodu; ale co więcéj, dojrzyć można żywotną ideę, która przewodniczyła téj lub owój epoce i przerabianie się ducha ludzkości w ciągu wieków. Zarzuci mi kto może, że przesadzam, przypisując tyle głębokiego znaczenia powierzchownej łupinie ludzkiej: pewna to jednak, że odbijamy na sobie i otaczających przedmiotach cechę właściwą naszemu moralnemu usposobieniu, dążnościom, ideom. Myśl tę nie podaję tu za nową, gdyż wielu obserwatorów już to dawno zauważało.

sta, opisywali. Mimo jednak, że Jan Fryderyk Sapieha poświęcił mu gruby tom in folio, który Innocentemu XIII papieżowi i Augustowi II królowi polskiemu ofiarował, a inni pisarze prozą i wierszem opiewali sławę cudownego obrazu i przechwalali piękność kościoła; jednak żaden z nich nie zastanowił się bliżej nad tą galerią portretów (1). Z tegoczesnych autorów, p. Michał Baliński opisując Kodeń w 3cim tomie „Starożytnéj Polski” zaledwie o nich wspomina; p. Sobieszczański w swém dziele „O sztukach pięknych” zupełnie je pominął: jeden tylko p. Kraszewski trafnie choć pobieżnie ocenia je w swym opisie Kodnia, zaleca zwiedzanie ich wszystkim artystom, i z obawy jakich nowoczesnych Wandalów, jak również z powodu ważno-

(1) Oto jest spis dzieł dotyczących Kodnia, które mam pod ręką; przytaczam je wszystkie z powodu, że znajdują się między niemi i mało znane:

1) „Historia przecznego obrazu kodeńskiego przenajdostojniejszej Panny Maryi, świętemu Grzegorzowi Wielkiemu ulubionego, de Guadeluppe nazwanego, od Urbana VIII papieża Jaśnie Wielmożnemu Mikołajowi hrabi S. P. R. na Kodniu Sapieże kasztelanowi wileńskiemu w r. 1635 ofiarowanego i t. d. przez ks. Jakuba Walickiego altarystę kodeńskiego. *Cum permissu superiorum*. Thorunii, apud Johan Christian Laurer, MDCCXX”. Książka ta in 4-to ma str. 207 i registr alfabetyczny. Najdawniejsze to jest dzieło, o ile mi wiadomo, wydane o Kodniu i najważniejsze nietylko co do historii tego miasta, obrazu i kościoła, ale nawet co do historii domu Sapiehów; a jednak nie znali go bibliografowie nasi: Bentkowski, Chłędowski ani też J. I. Kraszewski i M. Baliński, którzy wszystkie wiadomości o Kodniu z dzieła Jana Fryderyka Sapiehy zaczerpnęli. Ciekawa ta książka mieści najprzód poemat na cześć Matki Boskiej kodeńskiej, całą historią cudownego obrazu, z autentyków spisaną; opis kościoła, wszystkie znajdujące się w nim nagrobki, bulle papieżkie, dyploma biskupie, przywileje miasta, fundusze, legata kościelne, z oryginałów dosłownie przedrukowane, oraz genealogią Sapiehów z przydaniem szczegółów o życiu każdego, którą prawie przepisał Niesiecki w Koronie polskiej.

2) „Monumenta antiquitatum Marianarum i t. d. przez Jana Fryderyka Łukasza Sapiehę, kasztelana trockiego, w r. 1721 w Warszawie wydane. Dzieło to w łacińskim języku in folio na dwie części podzielone, bardzo rozwlekłe, było tak słusznie przez p. Kraszewskiego krytykowane z niestosownej i ciężkiej erudycji, z którą popisywał się w niém autor.

3) Toż samo dzieło przetłumaczone na polski język przez księdza Albrychta Stawskiego, p. t. „Monumenta albo zebranie starożytnych ozdób przenajświętszej Boga-Rodzicy Panny Maryi, etc. r. 1723.”

4) W nader rzadkiej książce do nabożeństwa p. t. „Serdeczne do Boga, matki jego i św. patronów westchnienia etc.” Sandomiriae, Typis Coll. Soc. Jesu 1724, przez ks. Albrychta Stawskiego, ofiarowanej Annie Wincencyi z Fredrów Sapieżynie wojewodzinie trockiej, jest na końcu, jakby osobne dziełko p. t. „Memoryał starożytnych ozdób przecznego Boga-Rodzicy obrazu de Gwadalupi Kodeńskiego, z oryginalnej historii po łacinie i po polsku obszernym stylem świeżo wydanej wykonotowanej i przez ks. A. Stawskiego do druku podany w r. 1724 w Sandomierzu.” Ta obszerna książka do nabożeństwa (in 120 str. 1318), zawiera

ści archeologicznej tych portretów, pragnie, aby rozpowszechnione być mogły rysunkiem. Życzenie to podzielałem od dawna z pełnym zasług pisarzem naszym (1).

Zamieszkując stale w pobliżu upadłego sapieżyńskiego grodu, ile razy znajdowałem się w tamecznym kościele, zawsze uderzało mnie wspaniałością swą to odwieczne zebranie kilkunastu pokoleń zasłużonej w kraju rodziny, które jakiś nieznaną artysta potęgą sztuki z grobów do życia powołał, i tu w obliczu ołtarza w jednym poważnym orszaku połączył. Żałowałem, że tak piękny pomnik przeszłości niedość ceniony od terażniejszych ludzi, niszczyje pod wpływem czasu, i powoli tłała myśl, aby te starożytne wizerunki okazać ziomkom; nakoniec po długiej zwłoce, w roku bieżącym zabrawszy się do pracy, skopiowałem wszystkie portrety Sapiehów z podpisami i herbami. W ogóle galeryja ta zawiera siedemdziesiąt pięć portretów z długimi w języku łacińskim podpisami, wymieniającemi nietylko nazwiska, urzędy, datę śmierci, ale nieraz i główne czyny przedstawionych mężów, które w wielu miejscach z powodu zatarcia za ledwie odczytane być mogły (2). Niektóre z nich blisko na dwa-

wiele modlitw do matki Boskiej kodeńskiej, pieśń do błog. Józefata, opisującą jego męczeństwo w Połocku, do patronów polskich do wszystkich relikwii znajdujących się w kościele kodeńskim i t. d.

5) W dziele p. t. „Obrazy z życia i podróży” p. Kraszewskiego, Wilno 1842: Opis Kodnia, i wyobrażenie cerkwi zamkowej w tém mieście.

6) W. Athaeneum krótki opis Kodnia p. Kraszewskiego.

7) Starożytna Polska p. Balińskiego i Lipińskiego, tom 3, str. 745. Opis Kodnia wyjęty po większej części z dzieła Sapiehy.

Do historii domu Sapiehów, która nieraz blisko dotyczy dziejów Kodnia, patrz „Historia Illustrissimae domus Sapiehae etc. p. Miszłota; Życie Sapiehów Kognowickiego, i wiele innych.

(1) Pan Kraszewski mówi o tych portretach Sapieżyńskich między innymi te słowa: „Piękna, ciekawa pamiątka, najlepsza historia strojów męskich polskich, któraby warta była upowszechnienia rysunkiem;” a dalej: „Rysownik, artysta mógłby tu wyczerpać wiele materiałów, wiele typów twarzy ciekawych, wiele strojów, któreby się użyć dały. Zalecamy artystom naszym obejrzenie tej kaplicy.” (Ob. Wspomnienia z życia i podróży tom I). Gdy w r. b. widząc się z p. Kraszewskim w Romanowie, powiedziałem mu o mym zamiarze skopiowania portretów Sapieżyńskich w Kodniu będących, mąż ten niespracowany na polu literatury i sztuki, gotów zawsze do nowych w tym celu poświęceń, nietylko zachęcał mnie mocno do tego i udzielił wiele świątłych uwag, ale nawet oświadczył się z wszelką z swój strony do publikacji tej pomocą. Składam mu tutaj w imieniu sztuki i archeologii krajowej publiczne podziękowanie.

(2) W podpisach tych obok imion, które gdy powtarzają się, numerowane są podług zwyczaju przez panujących książąt przyjętego; dodane są wielu Sapiehom szumno-brzmiące przydomki, odpowiednie ich

dzieścia łokci w górze są umieszczone, inne przez czas i niedbałość ludzką znacznie uszkodzone. Dodajmy do tego brak dostatecznego światła, i że obrazy te przytwierdzone są w ogólnej ramie tak, że zdejmowane ze ściany być nie mogą; a będziecie mieli wyobrażenie o trudnościach, jakie pokonać trzeba było.

Po skopiowaniu wszystkich portretów (każdy z osobna formatu in 8-vo), chcąc dać wyobrażenie całości, odrobiłem załączającą się tu tablicę, która przedstawia w tym samym, co w kościele porządku, całą genealogią Sapiechów. Rozpatrzmy się w niej nieco (1).

Na samym szczycie tego poważnego pomnika, w purpurze, w mitrach książęcych na głowie i z berłami w rękę, spoglądają na nas z odległej przeszłości: Witenes, i syn jego Gedymin Wielcy książęta litewscy, od których znakomity ród Sapiechów pochodzi. Pod nimi siódmy syn Gedymina Narymund książę Pińskie, i dwaj jego synowie Jerzy i Punigayło zwany *Sophia*: z tych pierwszy jest protoplastą rodu książąt Rożyńskich, a drugi Sapiechów (2). Ten szereg portretów zakończy Sunigał

czynom i zasłudze; i tak hetmani i wojownicy nazywani są: Magnus, Victoriosus, Strenuus, Bellator. Belli fulmen, Gentium Domitor i t. p.; ludzie zasługi cywilnej: Gentis decus, protectio Lithuaniae, Liberalis, Pater demens, pius, justus; takim wreszcie, którzy widać nie mieli jakiej wyższej moralnej zasługi, dano przydomek od pewnej cechy fizycznej, jak np: imberbis, pulcher, senex i t. p. Na załączonej tu w tak drobnym rozmiarze tablicy, musiałem ograniczyć się dla braku miejsca na umieszczeniu tylko imienia, urzędu i daty.

(1) Genealogia ta jest ułożona w porządku chronologicznym; przeglądając ją trzeba rzędami, zaczynając od lewej strony, czyli tak, jak się zwyczajnie czyta.

(2) W tém miejscu genealogia niniejsza prostuje błędy Bartosza Paprockiego, który pisze: „Od Narymunda syna Gedyminowego nie wiem o potomstwie.” (Gniazdo cnoty str. 1145). Poprzednio zaś tamże pisze, że protoplastą domu książąt Rożyńskich jest Koryat piąty syn Gedymina; tymczasem podług kodeńskiej genealogii, jak również innych wiarogodnych źródeł wiadomo (patrz w dziełach Walickiego, Misztolta, Sapiehy, Kognowickiego i Niesieckiego), że Narymund siódmy syn Gedymina, miał synów trzech, t. j. Alexandra Podolskiego (Niesiecki nazywa go Bazylim), Jerzego Bełzkiego księcia, od którego idzie linia książąt Rożyńskich, i trzeciego Punigayła Narymundowicza, który, że w pogaństwie do samej śmierci utrzymał się, gdy inni członkowie jego rodziny przyjęli chrystyanizm, dlatego zwanym był od swoich współwyznawców po grecku *Sophia*, t. j. mądry. Ten Punigayło *Sophia* jest głową całego rodu Sapiechów. Syn jego Sunigał przyjąwszy na chrzcie świętym imię *Simeona* był kasztelanem trockim; odrzucił on pogańską nazwę przodków (Narymundowicz), a zachował przydomek ojca, który następnie na Sopiha, w końcu zaś na Sapiebę przemieniono. Ten Sunigał podpisał unię Litwy z Koroną w r. 1401, a na sejmie w Horodle obrał sobie i dla potomków herb Lis.

czyli Simeon kasztelan trocki, pierwszy w swym rodzie chrześcianin.

Portrety tych sześciu znakomitości historycznych, które na rycinie widzimy górujące nad całą galeryą Sapiehów, najmniejszą posiadają wartość w oczach archeologa. Dwaj książęta Witenes i Gedymin są w malarstwie oklepanym komunatem wszystkich panujących. Otoczeni symbolami władzy monarchicznej, nie mają nic charakteryzującego ich narodowość lub epokę; i gdyby nie podpisy, mogliby tak dobrze przedstawiać jakich odwiecznych książąt germańskich, jak i litewskich.

Czterej pod niemi znajdujący się mężowie, z tych pierwszy w złocistej szacie bogato klejnotami naszytej, a trzej inni całkiem zakuci w zbrojach, zdają się być kopiami z drzeworytów po dawnych naszych kronikach lub w herbarzu Paprockiego znajdujących się; i nic w tém dziwnego, skoro nie mamy prawie, o ile wiem, współczesnych wizerunków pogańskich Litwinów z XIVgo wieku (1).

Za to począwszy od Jana wojewody podlaskiego (pierwszy w trzecim rzędzie) zaręczyć można, że wszystkie portrety są kopiami z oryginałów, w domu Sapiehów od wieków przechowywanych, tak z nich pełna uroku woń przeszłości powiewa (2). Jan, czyli Iwan, wojewoda podlaski, hetman, marszałek W. Ks. Lit., założyciel miasta Kodnia i głowa, jak już mówiłem, jednej linii Sapieżyńskiej, wyobrażony jest w wielkim futrzanym kołpaku, w szubie, z laską marszałkowską w jednej, a z buła-

(1) Jednym z najdawniejszych tego rodzaju zabytków są resztki malowideł al fresco na ruinach zamku w Trokach, przedstawiające sceny z dziejów Witolda. (Ob. Wspomnienia Trok p. W. Smokowskiego w Atheneum 1841 str. 166). Co zaś do portretu Witolda, który znajdował się w Nieświeżu i znany jest powszechnie z litografii, ten błędnie dotąd uważanym był za współczesny, gdyż ma charakter malowania z XVI wieku.

(2) Iwan Sapieha mając nadane od króla Zygmunta I wiele włości nad Bugiem, pierwszy przemieszkiwał w tych stronach; a jako założyciel Kodnia, pewnie zostawił swój wizerunek w tamiecznym zamku. Przodkowie jego przebywali w odległych ztąd województwach na Litwie, gdzie posiadali obszerne dobra: ztąd portretów ich pewnie w Kodniu nie było, tém bardziej, że to była epoka, w której sztuki zaledwie pojawiać się w tych stronach zaczynały (\*).

(\*) Co do portretów Sapieżyńskich w Kodniu, muszą one być autentyczne, gdyż kilkanaście z nich porównywałem z dawnymi wizerunkami téj familii w innych stronach znajdującemi się, oraz ze sztuchowanemi ich portretami, i znalazłem zupełne między niemi podobieństwo, a nieraz zupełne powtórzenie.



wą w drugiej ręce; licznie rozrodzeni potomkowie jego zajmują następujące pięć rzędów téj galeryi, co czyni łącznie z Iwanem 52 portretów doprowadzonych do pierwszych lat XVIIIgo wieku, epoki, w której genealogia niniejsza odmalowaną była. Dwa ostatnie dolne rzędy zajmuje linia Siewierska Sapiechów, której protoplasta Bohdan (Theodatus) wojewoda smoleński, a brat Iwana, ożeniwszy się z Maryą księżniczką Siewierską był panem na tém księstwie, dopóki prowincya ta w skutek wojny z Rosyą nie odpadła od Polski. Jegoto portret rozpoczyna przedostatni szereg genealogii, kończącej się na młodzieńcu w stroju francuzkim, pod którym nie ma podpisu. Nie jest zamiarem moim rozszerzać się nad tak wielką liczbą wizerunków, odkładam to do późniejszego bardziej obszernego wydania; zwrócę tu jednak uwagę na kilka z tych postaci, których imiona najświetniej błyszczą na kartach naszej historii.

Ten starzec z głową siwizną okrytą, czołem wyniosłym a szlachetnym, to najpiérwsza ozdoba całego rodu, Lew Sapieha hetman i kanclerz W. Lit., (piérwszy w czwartym rzędzie) mąż wielkiej cnoty, równie w boju jak w radzie znamienity: jemu to kraj zawdzięcza ułożenie i wydanie Statutu litewskiego.

Pod portretem Lwa, ten mąż równie jak on sędziwy, to Paweł wojewoda nowogrodzki i marszałek W. Ks. Lit. syn Iwana, a drugi dziedzic Kodnia; onto zbudował w tém mieście gotycką obok zamku cerkiew, która dotąd istnieje. Był posłem od Zygmunta Augusta króla polskiego do Maksymiliana II cesarza. Zwano go dla lat sędziwych *Saecularis Nestor*, a dla zasług w ojczyźnie *Protectio Lithuaniae*.

Pod nim syn jego Mikołaj wojewoda wileński i marszałek W. Ks. Lit.; trzeci dziedzic Kodnia, posłował także do cesarza Maksymiliana II i od niego kawalerem Złotego Runa, i hrabią Państwa Rzymskiego na Kodniu kreowany; odtąd tytułu tego Sapiehowie dziedzice tych dóbr używali, odrzuciwszy wszelkie inne świetniejsze, do których mieli prawa (1).

(1) Mimo niezaprzeczonych praw do tytułu książęcego, jako pochodzący z rodu Gedymina, Sapiehowie podobnie jak kilka innych rodzin krajowych, szanując zasadę równości obywateli w rzeczypospolitej, nie używali go wcale; co więcej, gdy za panowania Władysława IV cesarz niemiecki Janowi Stanisławowi Sapieże marszałkowi - W. Ks. Lit. i posłowi polskiemu na swym dworze nadał tytuł księcia S. P. R. nie przyjął on tego zaszczytu. Później w XVIII wieku cesarz Leopold nadał znowu tę godność Michałowi Sapieże koniuszemu W. Ks. Lit. i generałowi swych

W samym środku galeryi najwięcej zwraca uwagę widza mąż z wąsami i brodą z szwedzka, trzymający w ręku mały kościółek. Wąznato zwłaszcza dla miejscowości figura, Mikołaj kasztelan wileński, fundator kościoła kodeńskiego; onto uniesiony zbytnią żądzą posiadania świętości, wykradł cudowny obraz Matki Boskiej z oratorium papieżkiego w Watykanie. Szczegóły tego nadużycia żarliwości religijnej, wiadome są ogólnie ze Starożytniej Polski i z opisu Kodnia przez p. Kraszewskiego. Cały ubrany czarno Mikołaj, trzyma w ręku model wystawionego przez siebie kościoła. Ciekawy to rysunek, z niego bowiem jedynie dowiadujemy się o pierwotnej budowie kościoła kodeńskiego, który następnie ważnym uległ zmianom. Był on wtedy piękniejszym, gdyż oprócz wieży frontowej, zdobiły go trzy kopuły, obecnie zaś dwie nad kaplicami nie istnieją; główna zaś nad nawą środkową kopuła, przez nakrycie jój dachem blaszanym, znacznie zepszeconą została. Na portrecie fundatora ukazuje się w głębi wizerunek cudownego obrazu Matki Boskiej kodeńskiej.

Obok Mikołaja zwanego *pobożnym*, uderzają szczegółnością ubiorów bracia jego Krzysztof i Alexander: piérwszy kawaler jerozolimski, a drugi maltański. Piękneto postaci, lecz to już, równie jak Mikołaj, nie Polacy; chociażbyś nie znał ich życia, patrząc na nich, poznasz, że włócząc się całe życie po świecie przesiakli na wskrós obczyzną, i nie omylisz się: dowiadujemy się bowiem z podpisu, że oba pomarli we Włoszech, a co więcej, Krzysztof ma przydomek *Continuus viator*. Kazimierz syn fundatora kościoła, to jeszcze Polak prawdziwy; drugi zaś syn jego Jan Ferdynand, to jakaś postać dziwaczna srogością wojennego ryszpunku. Ten napót rzymski, napót średniowieczny rycerz, w misiurce drucianej na głowie i w takimże kaftanie, w prawej ręce dzierży włócznię wzniesioną do pchnięcia, a w lewej tarczę złotą z wyobrażeniem straszliwej Méduzy. Począwszy od panowania Władysława IV, pojawia się tu coraz więcej tych egzotycznych figur: przyznać jednak trzeba, że w rodzie Sapiehów mniej ich napotkasz jak w niektórych innych domach polskich i litewskich, łączących się nieraz z domami cudzoziemskimi przez związki małżeńskie.

wojsk. Dopiero familia ta otrzymawszy od króla Stanisława Augusta na sejmie extraordinaryjnym r. 1767 i 8-go potwierdzenie tytułu książęcego, odtąd używać go poczęła (ob. Konstytucye sejmu extraordinaryjnego w Warszawie r. 1767, 5-go października zaczętego, a r. 1768 d. 5 marca ukończonego w Warszawie, str. 340.

Kto czytał prześliczną powieść Kraszewskiego *Dwa światy*, ten pewnie oglądając tę galerję Sapieżyńskich portretów, przypomni mu się opowiadanie pana Atanazego o rodzie Karlińskich; zamieszczone tam uwagi o zmianie fizyonomij, ubioru i całych postaci polskich panów, uderzają tu swoją trafnością i prawdą.

Mężowie z czasów Jagiełłów, Batorego, a w części jeszcze za Zygmunta III, są to prawdziwi słowiańscy panowie; twarze surowe ale bez dzikości, długie ich brody tchną prostotą pełną szlachetnej powagi. Tak to odmienne od dzisiejszych postaci, że mimo różnicy plemienia, więcj one do senatorów rzymskich z czasów najścia Brennusa i Gallów podobne, niż do naszego zkarłałego pokolenia. Lecz patrzcie, jak wszystko z czasem się przeistacza: podgolone czupryny zmieniają się w podstrzyżone z szwedzka włosy, lub w monstrialne francuzkie peruki; miejsce śmiała, lecz bez sztuki zakręconych wąsów i bród poważnych, zastępują już gdzieniedzie wąsy w górę najeżone i spiczaste wandykowskie bródki; co więcj, niektórzy nasi panowie jakby czarami zmienieni w zręcznych aktorów, przybierają inne rysy, inną fizyonomią (1). Ze śmiałego wejrzenia jakim dotąd nasz lud na świat spogląda, z tych oczu mocno otwartych, robią się oczy *en amende* zlekka przymknięte, z niewieścią zalotnością patrzące, usta jakby na myśl rozkoszy mile się uśmiechają, rysy twarzy stają się drobniejsze, a cera bardziej delikatna; słowem, ówczesni panowie są to markizowie lub paziowie z dworu Ludwików francuzkich, jeżeli zaś który z nich przywdział zbroję, to tylko dla przepychu i próżnej ostentacyi, bo widok jej na polu bitwy nie przerazi nieprzyjaciół. Na szczęście podobnych typów kilka tylko naliczyliśmy w zajmującej nas genealogii Sapiearów; najwybitniejszym zaś w tym rodzaju jest portret Mikołaja VI starosty mściławskiego: twarz jego delikatna, olbrzymia i ślicznie utrefiona peruka i ubiór, przypominają nieco postać Ludwika XIV w młodym wieku. Podobnie czysto francuzkie typy napotykamy w portretach Leona Karola, Michała III i ostatniego w całej figurze młodzieńca, pod którym nie ma podpisu (2).

(1) Uwagi niniejsze stosujemy nie do wszystkich wizerunków Sapieżyńskich z XVII i XVIII wieku, ale tylko do niektórych.

(2) Porównawszy ten portret z wizerunkiem księcia Kazimierza Sapiehy, będącego w ratuszu w Warszawie, nabrałem przekonania, że to jest wyobrażenie tego ostatniego w młodym bardzo wieku.

Zwracam tu jeszcze uwagę na wizerunki kilku znakomości dziejowych. Siódmy szereg genealogii rozpoczyna Jan IX pisarz polny litewski, którego Jan Kazimierz mianował hetmanem polnym litewskim po śmierci Gąsiewskiego. Na skórzanym kaftanie ma on drucianą koszulę z polerowanej stali, przerabianą złotem na rękawach; dwie taśmy ponsowego koloru krzyżują się na piersiach, rękawy i pas ponsowe: wszystko to stanowi ubiór jaki rzadko napotyka się na dawnych portretach. W przedostatnim rzędzie portret Jana starosty uświatkiego przypomina sztychowany wizerunek tego sławnego wojownika, umieszczony w Panowaniu Zygmunta III. Nakoniec w dwóch ostatnich rzędach mamy portrety trzech hetmanów wielkich litewskich, to jest: Pawła V, Kazimierza IV i Jana XI, które tak ze względu na piastowane przez nich najpierwsze godności wojskowe, jak również dla przepychu zbroi, zasługują na uwagę.

W rysunku moim tak drobnym nie można było oddać świetności ubiorów, głównie zaś różnaitości i silnego efektu kolorów, jakie naoryginale różnobarwność płaszczów, drogocennych futer, bogactwo spinek, buław hetmańskich i lasek marszałkowskich, portretem tym nadaje. Przepych ten nie jest fantazyą artysty, gdyż ze starożytniej cechy klejnotów tych poznać można, że musiał on je mieć przed oczyma. Każdy płaszcz spięty jest ogromną spinką, drogiemi kamieniami wysadzana; między wielu innemi najwięcej zadziwia bogactwem i wielkością brylantów spinka Kazimierza IV hetmana i wojewody wileńskiego, oraz Benedykta I podskarbiego w. ks. lit. jakby w kształcie pochwy od miecza. Wszystkie te szczegóły ubioru starałem się oddać wiernie w portretach skopiowanych na większą skalę, które chciałbym, jeżeli Bóg dozwoli, w osobnym wydaniu koloryzowane ogłosić: tam więc odsyłam amatora, a teraz jeszcze słów kilka o wartości téj galeryi portretów pod względem sztuki.

Lubo powyższe obrazy zblizka widziane nie przedstawiają tego wykończenia, jakie lubimy widzieć w portretach, ale zważywszy na ogrom téj galeryi i efekt ogólny, wyznaczyć trzeba, że artysta odpowiedział swemu zadaniu: rysunek poprawny, koloryt świetny a niezbyt rażący, najbardziej zaś cenimy to, że potrafił oddać właściwy każdej twarzy charakter. Sztukę tę, zdaje mi się, że dawni malarze lepiej posiadali od wielu dzisiejszych.

W dawnych portretach nieraz niedołącznie namazanych, charakter osób wybitnie jest oddany; w dzisiejszych zaś lubo nieraz zbytecznie wylizanych, najczęściej go nie ma. Winażto artystów, czy pozbawionych charakteru twarzy naszych?—nie wiem.

Nie znam zbioru portretów Radziwiłłowskich w Nieświeżu, ale znając licznie rozproszone w kraju naszym dawne portrety po kościołach i klasztorach, a między innymi resztki galeryi portretowej Radziwiłłów, niegdyś w zamku bialskim licznie nagromadzonej, zapewnić mogę, że genealogia Sapiehów w Kodniu lubo nie jest arcydziełem sztuki, jednak do lepszych tego rodzaju zabytków pędzla w kraju naszym policzoną być może.

Z zalem lubownik krajowych pamiątek spostrzega, że wiele z tych portretów znacznie jest uszkodzonych. Najlepiej dochowały się umieszczone wysoko, gdzie ich barbarzyńska ręka dosięgnąć mi mogła; niżej położone w gorszym są stanie, farby w wielu miejscach zniknęły, znajdziesz hak wbity w pierś sławnego męża, szramę szeroką lub napis zniszczony; jak zaś widzicie na przyłączonej rycinie, czterech portretów na dole brakuje. Miejscowa wieść niesie, że one zniszczonemi zostały w r. 1812. W téj pamiętnej w dziejach świata epoce, wojska nieprzyjacielskie zrabowały kościół i w grobach nawet skarbów szukając, kości kilku Sapiehów w trumnach znieważyły. Gdy dzisiaj nie możemy obawiać się podobnych nadużyć, jakże pożądaném jest, aby zajęto się restauracją tego pięknego pomnika przeszłej wielkości jednej ze starożytnych rodzin krajowych: nikt jednak dotąd o tém nie pomyślał, mimo że tak małej na to potrzebaby ofiary, bo kilku tysięcy złotych.

Lecz zapytacie: kto i kiedy malował te portrety? Na to w krótkości odpowiedzieć mogę, że Jan Łukasz Sapieha kasztelan trocki, a potem kanclerz W. ks. Lit., którego na rycinie pod imieniem Jana XII wycbrazonego widzimy, pod portretem Mikołaja fundatora kościoła, wznosił ten pomnik całej swój rodzinie około r. 1720. Oprócz tego kościół kodeński po fundatorze swym najwięcej zawdzięcza panu temu ozdób i przywilejów, a mianowicie, że uzyskał w Rzymie przywilej na infułacją. W r. 1709 przybudował dwie kaplice i nową z frontu do kościoła facyatę. Miłośnik i znawca sztuk pięknych zakupił we Włoszech za kilka tysięcy skudów obrazów, i niemi kościół kodeński ozdobił; wznosił grobowce poprzednikom swoim, na-

koniec chcąc rozgłosić po świecie sławę cudownego obrazu N. Panny Maryi kodeńskiej i całej świątyni, napisał o niej kilka razy wspomniane przezemnie dzieło (1). Umarł w r. 1751 i ma w kościele kodeńskim pięknej rzeźby nagrobek, który postawił sobie za życia.

Nazwiska malarza, który całą tę galeryą malował, wynaleźć nie mogłem ani na portretach, ani w książkach opisujących Kodeń, ani nakoniec w małej liczbie rękopismów, które znajdują się w skarbcu kościelnym. Mimo że nie wszystkie obrazy równie są wykończone, zdaje mi się, że jednej ręki są dziełem. Dwa tylko w ostatnich rzędach w całej figurze portrety z pewnością przez innego malarza wykonane były: delikatniejszy pędzel, odmienny koloryt i pewne manierowanie w układzie figur w stylu szkoły francuzkiej XVIII wieku, przekonywają nas o tém. Nie były one malowane do niniejszej galeryi, jak to widać z formatu, i zapewne znacznie później po jej ukończeniu umieszczone tu zostały. Jak już mówiłem, ostatni ze wszystkich wizerunek przedstawia młodego księcia Kazimierza Sapiechę generała artylerji litewskiej: zrobię tu więc uwagę, że przez dziwny traf, który smutną miał być wróżbą, iż linia kodeńska Sapiehów na nim wygaśnie, już miejsca w téj galeryi dla dalszych potomków zabrakło.

Oprócz portretu księcia Kazimierza Sapiechy marszałka wielkiego sejmu, ważniejszą kościół kodeński po nim posiada pamiątkę, bo reszty ziemskie tego męża, które w grobie familijnym pod kaplicą Matki Boskiej cudownej spoczywają.

(1) Niesiecki w Herbarzu swym wymienia kilka innych wydanych dzieł przez Fryderyka Sapiechę, między niemi sztychowaną genealogią Sapiehów. Rzadki ten zabytek posiada w zbiorach swych p. Kraszewski.

D. 10 października 1855 r.

## KRONIKA LITERACKA.

---

*O pracach naukowych Kommissyi ustanowionej przy uniwersytecie św. Włodzimierza, dla opisanja Kijowskiego Naukowego Okręgu. 1849 — 1853.*

Ukraina, od czasu jak poznano ją w utworach wieszczów, zajęła niepodrzedne miejsce w literaturze naszej. Od lat przeszło dwudziestu na wszech krańcach ziemi naszej czytają z zajęciem co piszą o niej, badają jej historyczne koleje, znajomią się z jej podaniami i pieśniami ludowemi; a pisarze, nawet ci, co znają ją li z książek, ustawicznie probują odwzorowywać przeszłe historyczne jej życie. Ztąd historyczna, podaniowa, i że tak powiem, poetyczna strona tej krainy, już nam wiadomą została przynajmniej w główniejszych zarysach; są nawet obrazy z życia towarzyskiego współczesnego, a ostatniemi czasy niektóre pisma warszawskie zamówiły ztąd kilku pisarzy na stałych dla siebie korrespondentów. Widzimy, iż każde nasze odezwanie się, choćby nieudolne, zyskuje na interesie ze względu jedynie na miejscowość. Odbicie się więc tego światła, jakie nań rzucili poeci, trwa na obrazie ciągle i nie przestaje zachwycać widzów.

Wiadomą jest kolój takiego wypadku. Za wrażeniem poetycznym, za farbą i natchnieniem, idzie analiza. Poeta i malarz prowadzą za sobą przemysłowca i mędrca, którzy z innego punktu poglądają i oceniają te przedmioty, i nowe, różne od tamtych, z rozmaitych objawów wyprowadzają wnioski. Człowiek, jakby się nie pieścił długo pustynnym wdziękiem przyrody, chociażby zaczerpnął niemało z niej natchnień do swych obrazów, musi w końcu spojrzeć na przedmiot z utilitarnego stanowiska i zacząć badanie pod względem osobistych korzyści. Nauka, znajdując

kątek ziemi, którego jeszcze nie zbadała. z cyrklem, motyką lub szkielkiem, równie skwapliwie toruje sobie drogę w pokładach przyrodzonych jej skarbów; a obadwa te rodzaje badań rok po roku wyraźniejszymi rysami znaczą to oblicze, i zbliżają je do grona dawniejszych przez oświatę i przemysł, gdzie odpowiednie zdobywa sobie miejsce.

Dziś właśnie w tym peryodzie czynnego życia zostaje Ukraina. Gospodarskie i przemysłowe jej stanowisko szybkie robi postępy, tém korzystniejsze, że całym jej zadaniem nie jest zasada, ale umiejętne jej zastosowanie. Myślący i czynny Zachód pracuje dla niej na wszystko: wynajduje, bada, ulepsza i rzecz prawie gotową podaje do rąk przedsiębiorcy; gdy tymczasem nauka obznajamia go ze skarbami, jakie ma pod ręką i naprowadza na drogę korzystnego ich zużytkowania.

Powiem tu o kilku rodzajach jej czynności, już dość ciekawych samych przez się, lecz ciekawszych ze względu zupełnej naszej o nich niewiadomości.

Uniwersytet kijowski św. Włodzimierza, pomimo że datował założenie swe od 1830 roku, żadną wszakże nie odznaczył się czynnością co do badań miejscowych, prawie do 1848 roku. Miał on w swém gronie ludzi zdolnych, ale zbywało mu na środkach, a może i na idei zastosowania zasobów wiedzy i nauki do miejsca, na którym zaszczipiano ją teoretycznie. Jak zwykle zdarza się w podobnych okolicznościach, jeden szczęśliwy pomysł dał zaród myśli żywotnej i skierował prace ogólne do prawdziwszych celów. Professor Kessler i adjunkt Rogowicz, w roku 1848 wystąpili z prośbą do Rady uniwersyteckiej, ażeby im pozwolono przedsięwziąć podróż na Kaukaz w celu naukowym. Miejscem poszukiwań ich naturalno-historycznych miał być Dagestan, a za pozwolenie i wsparcie stosownym pieniężnym zasiłkiem, zobowiązali się ofiarować do muzeum uniwersytetu wszelkie uzbierane tam kollekye.

Otrzymano pozwolenie, dano wsparcie, i ci dwaj uczeni w towarzystwie dodanego im studenta, odbyli zamierzoną wędrówkę. Ale ta piękna myśl znalazła na miejscu zastosowanie lepsze. Rzucono pytanie: do jakiego stopnia zbadano kraj, w środku którego leży Kijów; i czy nie korzystniej byłoby, zamiast badań w krainach dalekich, robić naukowe poszukiwania w okolicy własnej? Zebrano natenczas skrzętnie wszelkie stosowne materiały, z których okazało się, iż miejscowość kijowskiego naukowego okręgu, do którego obwodu zaliczają się pięć okolicznych gubernii: kijowska, wołyńska, podolska, czernihowska i połtawska, nie jest zbadaną w jednakim stopniu. Lepiej od innych są opisane prowincye leżące po prawej stronie Dniepru, jako posiadające od lat dawniejszych wyższe naukowe zakłady.

Wprawdzie, mineralogia i geognostyka tego kraju wiadome już były z prac kilku badaczy, lecz w zaogólnych rysach.



Pod względem geognostycznym pisali o nim: Andrzejowski (1), Eichwald (2), Dubois de Montpereux (3), Pusch (4), Murchison (5); botanicznym: Jundziłł (6), Besser (7), Eichwald (8), Hildenschedt (9), autor „*Badań w przedmiocie rzeczy przyrodzonych w Galicyi, w Królestwie Polskiem, na Wołyniu i na Podolu*” (10) i inni, a notaty odnoszące się do zoologii, znaleziono w pismach Ejchwalda, Andrzejewskiego i Kesslera. Do prac tych wpływali wszyscy prawie naturaliści będący przy uniwersytecie kijowskim: Besser, Zienowicz, Andrzejewski; a z nowszych, profesorowie: Trautfetter, Kessler; adjunkci: Teofilaktow i Rogowicz, a także ogrodnik Hochgutt.

Ci ostatni posiadali nadto mniej więcej wykończone prace, lecz ze względu na obecne wymagania nauki, oddać je do druku w tym stanie, jak były, nie mogli. Postanowiono więc wszelkie już uzbierane materiały ułożyć systematycznie, dopełnić je najnowszymi badaniami i wydać w osobnym tomie. Dla zredagowania tych prac, ustanowiono wyłączny komitet, złożony z członków fizyko-matematycznego fakultetu, i nakreślono plan do działań przyszłych.

Był to plan obszerny. Weszły tu: mineralogia i geologia, botanika, zoologia, geografia i statystyka, technologia i astronomia. Programmata pomyślane były dobrze i ułożone systematycznie, jak to umieją robić ludzie fachowi i uczeni. Środki jakimi rozrządzali nie były odpowiednie, a raczej wystarczające do tej skali. Żeby dać o tém pojęcie, dość jest przebież plan ułożony dla geograficzno-statystyczno-historycznego opisanie kraju, który jeśliby mógł być wykonany, obdarzyłby nas najzupełniejszym opisem, jakiego w całym kraju nie posiadamy dotąd.

Pierwsze prace Kesslera, Teofilaktowa, Rogowicza, dokonane w 1849 roku, tak zdały się być korzystne i interesujące, iż pomyślano wnet o ustanowieniu przy uniwersytecie kijowskim stałej kommissyi na podobnej zasadzie, jak kommissya archeologiczna, dla wyszukiwania starożytności i wydawania historycznych aktów. Postanowiono mieć w jej składzie prezesa, członków i sekretarza; zaprosić do uczestnictwa obywateli miejscowych: sło-

(1) Rys botaniczny. Wilno. 1823.

(2) Naturhistorische Skizze von Lithauen, Volhynien und Podolien. Wilno. 1830.

(3) Conchiologie fossile du Plateau Wolhyni-Podolien. Berlin. 1831.

(4) Polens Paleontologie. Stuttgart. 1837.

(5) The geologie of Russia in Europe and the Ural-Mountains. London. 1845.

(6) Opisanie roślin w Litwie, na Wołyniu, Podolu i Ukrainie i t. d. Wilno. 1830.

(7) Enumeratio plantarum hujusque in Volhynia, Podolia, gub. Kijoviensi, Bessarabia cis-tiraica et circa Odessam collectarum. Wilno 1822, i: Aperçu de la géographie physique de Volhynie et de Podolie.

(8) Naturhistorische Skizze von Lithauen etc. Wilno. 1830.

(9) Reisen durch Russland. (10) Lwów. 1845 r.

wem rozwinąć wszelkie środki, ażeby jak najzupełniej odpowiedzieć zadaniu. Projekt ten przez pośrednictwo ministra Narodowego oświecenia przedstawiony został Najjaśniejszemu Panu, i pozyskał zatwierdzenie 22 grudnia 1850 roku, a w roku następnym, 21 lutego, kommissya otwartą została.

J.W. kijowski wojenny, podolski i wołyński generał-gubernator, pod którego głównym kierunkiem kommissya rozpoczęła swe prace, zamianował na prezesa rzeczywistego radcę stanu Józefowicza, pomocnika honorowego kuratora; na wiceprezesa rektora uniwersytetu Trautfettera, i sekretarza, urzędnika do szczególnych poleceń przy kijowskim cywilnym gubernatorze, znanego już z prac statystycznych, Żórawskiego. Nasamprzód przystąpiono do rozklassyfikowania zajęć pomiędzy członków, i w tym celu przedmioty wchodzące do składu czynności, rozdzielono na cztery główne i siedm ubocznych oddziałów. Pierwszy główny obejmował matematyczną i fizyczną geografiją. Drugi, naturalno-historyczny, mineralogiją, geologiją, botanikę i zoologiją. Trzeci, przemysłowy, gospodarstwo i technikę, i nakoniec czwarty był statystyczny. Na redaktorów wybrani zostali: przy wydziale pierwszym: Fiodorow; przy drugim: Teofilaktow, i dla botaniki, Rogowicz; dla zoologii, Kessler. Przy trzecim, dla gospodarstwa, Jabubowski; dla techniki, Tychomandrycki. Nakoniec przy czwartym statystycznym, Żórawski.

Przy końcu 1851 roku kommissya liczyła już członków rzeczywistych 39, honorowych 60, i współpracowników 13. A do 1 maja 1853 roku człon. rzeczyw. 67, honorowych 71; współpracowników 22. W liczbie członków honorowych znajdujemy wiele imion polskich, znanych zaszczytnie w kraju tutejszym, jakoto: Z. Hołowińskiego, hr. Ilińskiego, Jotejko, Korzeniowskiego, hr. Moszczeńskiego, Orzeszko, hr. Platera, K. Podwysockiego, Poniatowskich, hr. Potockich, Sanguszko, Sarneckiego, hr. Choloniewskiego, hr. Czackich, ks. Czetwertyńskiego. Jaczewskiego i wielu innych.

Z prac dokonanych już i zawartych w dwóch tomach pod tytułem: „Труды Коммисіи учрежденной при Императорскомъ Университетѣ Св. Владиміра для описанія губ. Кіевскаго Учебнаго округа. Кіевъ. 1851 и 1853 годы” jako téż ze sprawozdań ogłoszonych o pracach mających wejść do tomu trzeciego i następnych, widzimy, iż wyłączna uwaga kommissyi zwróconą została, zwłaszcza w ostatnich latach, na statystykę kraju. Redaktor tego wydziału, Żórawski, nakreślił plan dla niej tak obszerny, iż urzeczywistnienie onego sumienne, zebranie rozmaitych danych, nie może być pracą jednego roku ani kilku ludzi. Zadaniem jego jest nietylko zebranie ogólnych wiadomości wchodzących zwykle do prac tego rodzaju, lecz nadto ułożenie pomniejszych szczegółowych programatów dla niektórych przedmiotów. W tych programmatach zwraca on uwagę na kilka ważnych gospodarsko-statystycznych kwestyj, któ-

rych, rozwiązanie pod względem nauki i miejscowych potrzeb, byłoby ważne. Kommissya spodziewa się po téj pracy najkorzystniejszych następstw i zwraca na nią wyłączną uwagę czytelnika.

Lecz w pierwszych dwóch tomach żadnych nam jeszcze nie podano owoców statystycznych zajęć. Wiemy tylko ze sprawozdania kommissyi, że wiele osób wchodzących do jęj składu, piszą rozmaite statystyczne i gospodarskie artykuły, zbierają wiadomości i obrabiają oddzielne, umyślnie na ten cel w planie wyróżnione przedmioty. Takimi są np. o handlu żelazem, o żelaznych rudach, o szczegółowych opisaniach dóbr prywatnych i t. p.; nadto, z liczby przygotowanych do trzeciego tomu artykułów, zwracają na siebie szczególną uwagę: artykuł Łukomskiego „*O cukrownictwie w połtawskiej gubernii, w stosunku do gospodarstwa krajowego i techniki*”. Tarnowskiego. „*O wpływie nauki na przemysł*” gdzie ten wpływ objaśnia postępek cukrownictwa u nas i t. p. Jako zaś materiały mające wejść do składu statystyki ogólnej kraju, zasługują na uwagę prace: Witkowskiego: o jarmarkach i skali ich obrotów; Fiodorowa: o ludności żydowskiej w 5 guberniach nauk. okręgu; Żórawskiego: o ludności ogólnie wziętej w tychże guberniach, i t. p. Z artykułów opracowanych oddzielnie, pomieszczony został w tomie drugim artykuł Tarnowskiego pod tytułem: „*O familijnych podziałach w Małej Rusi*”. Jestto pogląd ze stanowiska gospodarskiego na fakt dość szczególny w swoim rodzaju: rozdziałów familijnych, ku czemu mają nieprzezwyyczajną skłonność w ogóle wszyscy wieśniacy ukraińscy. Autor powiada, że byłoby rzeczą nader ciekawą rozwiązać pytanie: kiedy i z jakich przyczyn nastąpiły te familijne rozdziały w Małej Rusi? I my uważamy takie pytanie za wielkiej wagi pod względem historycznym. Ludy słowiańskie cechowała w dawnych czasach patryarchalność rządów. Starszy stopniem pokrewieństwa lub wiekiem zawsze był głową rodziny i nią rządził, a radę składali starcowie. Dlaczego zwyczaj ten przestał istnieć w Ukrainie, kiedy widzimy że trwa dotąd w Rosyi i plemionach słowiańskich za Dunajem? Na Ukrainie nietylko pokrewni lub dalecy familianci nie żyją wspólnie na jednym gospodarstwie, ale syn, jak tylko się ożenił, oddziela się od ojca, buduje osobną chatę i własną zaprowadza gospodarkę. Dwaj bracia żonaci prawie nigdy nie mieszkają w jednej izbie. Nawet tam, gdzie ubóstwo lub inne jakie przyczyny stają im na przeszkodzie, postrzega się we wspólnym ich pożyciu nieuszanowanie względem starszych i odosobnienie się w pracy. Bracia, zmuszeni mieszkać w jednej chacie, nietylko że dzielą się ruchomościami; ale najczęściej mają oddzielne stoły i osobno przyrządzone pokarmy. Żonaty syn, zmuszony mieszkać wraz z ojcem, oddziela troskliwie własność swą od ojcowskiej, i w gospodarstwie ojca nowe, własne zakłada gospodarstwo. Wszystko to dowodzi, że w plemieniu tém upadła władza patryarchalna,

władza rodu. Autor powiada, iż zdarzyło mu się raz tylko spotkać familią odznaczającą się czystą moralnością, zgodą i jednością. Wzięła go chęć poznać ją bliżej. „Kto u was zastępuje głowę rodziny, ojca?” zapytał on braci. „Bóg — odpowiedzieli mu wszyscy.” Dalsze badania przekonały go, że starszy brat nie miał tu zwierzchniej władzy. „Któż u was kieruje gospodarstwem? — zapytał. „Ja, odpowiedział starszy, poradziwszy się uprzednio z moimi braćmi.” „Któż wymierza karę za wykroczenia?” „Jeśli który z braci zawini, więc ja; a jeśli ja wykroczę, więc bracia.”

Ta nieprzeparta chęć do rozdziałów rodzinnych wpływa niekorzystnie na byt gospodarski ukraińskiego wieśniaka. Autor rozwijając tę myśl dzieli najprzód ludność wioski na trzy rodzaje wieku: na dzieci do lat 16, na dorosłych od 16 do 60, i starców od 60. Pierwszy i trzeci zalicza do klasy nieroboczej. Tym sposobem wypada, iż prawie połowa ludności każdej wioski składa się z ludzi zdatnych do pracy; druga przeciwnie, z niezdatnych. Z tego stosunku wynika obowiązujące prawo, według którego każdy zdatny do pracy człowiek, prócz utrzymania samego siebie; winien jeszcze żywić jedną niezdatną do pracy duszę. Wielkie korporacje towarzyskie składają się z małych, a między temi najliczniejsze są osady wiejskie. Te znowu zwykłą koleją składają się z familij, połączonych wzajemnymi obowiązkami życia. W każdej z nich muszą powtarzać się wszelkie warunki towarzyskiego bytu, jego rozmaite koleje i zmiany. Jeśli każde zmniejszenie się sił wspólnych sprowadza ściślejszy między pozostałymi związek; za to każde podobne wyłamianie się niejako z pod ogólnego prawa, silniej dotyka i oddziałuje szkodliwiej na pomyślność tych pozostałych. Ztąd wypada, iż im mniejsze stowarzyszenie lub rodzina, tém dotkliwiej działają na nie klęski, wynikające z nadwreżenia równowagi.

Drobnostkowy podział wywiera szkodliwe następstwa. Urządzenie osobnego gospodarstwa zawsze wypada drogo: tém więcej kosztuje zaprowadzenie kilku oddzielnych, bo miasto jednej chaty, należy budować kilka, i w tymże stosunku zaopatrzyć każdą w konieczne gospodarskie narzędzia i sprzęty. Toż samo dzieje się z utrzymaniem tych gospodarstw nadal. Bydło równie podlega ustawicznym podziałom, więc większa część gospodarzy pozostaje bez bydła, i dla uprawy własnego pola wynajmuje je u drugich. Niezawsze jest możność oddzielić jednego z familii dla oddania go na naukę jakiegobądź rzemiosła, ztąd Małorusini cierpią stosunkowo więcej na braku rzemieślników i tracą na korzyści, jaka dałaby się osiągnąć od połączenia rzemiosła z rolnictwem. Cierpią oni zawsze na brak zapasowych kapitałów, a ztąd każdy sprzęt, każde narzędzie kosztuje ich drożej, bo kupują je w małej ilości i na rozdrób. Śmierć lub kalectwo ojca lub męża, pogrąża pozostałą familią w nędzy, z której nawet po przywróconej równowadze trudno bywa powstać.

Niektórzy obywatele, powiada autor, starali się przeszkodzić następstwom podziałów, odradzając wieśniakom takowe, lub niepozwalając na nie wcale; lecz wszelkie ich usiłowania nie przynosiły pożądanego skutku. W rzeczy samej, cóż dobrego nastąpić może z takiego przymusu? Czy nie roztropniej więc byłoby starać się uchylić zgubne następstwa podziałów przez rozporządzenia i ustawy, zgodne z tym zwyczajem?

Jeśli żywy organizm podpada jakimubądź nienaturalnemu rozprzężeniu, ale zawiera jeszcze w sobie siły żywotne; zwykle postrzegamy w nim pewne oddziaływanie, neutralizujące chorobę. Symptomata podobnego oddziaływania znajdujemy i w bycie ukraińskiego ludu. Autor wylicza ich kilka: szlachetna gotowość do ofiar i wsparcia; stosunek wzajemnej pomocy pieszych i ciąglych w uprawie roli i zasiewie; nakoniec: kredyt.

Pierwszy środek istotnie ma miejsce na Ukrainie, lecz pobudki te i ich następstwa tak są zawarunkowane, iż żadnym sposobem do rachunku wejść nie mogą, i jedynym znamieniem pozostanie chlubne świadectwo współczucia i miłości bliźniego, dowodzące czynem istnienia w sercach gminu téj chrześcijańskiej cnoty. Drugi ma zastosowanie rozległe, a zasadza się na tém, iż bogatszy chłopiec, to jest: posiadający bydło, orze i zasiewa niwę ubogiego pieszaka, a bierze za to połowę plonu. Wieśniacy posiadający każdy po jednej parze wołów, sprzęgają się na trzy lub cztery pary, i orzą tym sposobem kolejno pola swoje. Piesi odbywają rozmaite robocizny ciąglym w czasie letnim, i za to wymawiają sobie orkę ich niwy. Co do kredytu, ten również ma miejsce, lecz ile nam się zdaje, ani jest powszechnym, ani się praktykuje na tak dogodnych warunkach, ażeby mógł być jedną z głównych przyczyn wpływających na urównoważenie wad organizacji społecznej.

I autor artykułu nie myśli o tém inaczej; owszem, utrzymuje on, iż te wszystkie środki wynikłe z potrzeby, podtrzymują byt włościan, lecz nie podnoszą go do stopnia pomyślności. Rzucą więc tu myśl, iż los rodzin tak rozdrobnionych, powinien zostawać pod ciągłą opieką pewnego uorganizowanego wiejskiego stowarzyszenia. „Lecz, powiada dalej, jakakolwiekby to była opiekuńcza władza, czy wyrażona stowarzyszeniem, czy zjednoczona w osobie obywatela, czy pochodząca od rządu, natenczas tylko może być korzystną, zbawienne wyrzucić skutki, jeśli kardynalną jej zasadą będzie rozwijać instytucją swoją na zasadach właśnie téj organizacji, rozdrabniającej do nieskończoności familijne ogniwa i ich materialne zasoby.”

Ścisłe biorąc na uwagę podany przez autora środek, nie możemy go ani bezwzględnie odrzucać, ani przyjmować. Autor nie rozwinął swego projektu, nie objaśnił nam na jakich zasadach dałoby się uorganizować owo stowarzyszenie, z kąd czerpałoby konieczne fundusze; czy byłoby poprostu wspierającym jak jałmużną, czy udzielałoby się rodzajem pożyczki; ktoby niém rządził

i z jaką władzą; czy działania jego ograniczałyby się li wspieraniem potrzebnych bez względu na przyczyny sprowadzające ubóstwo, czy byłoby ono razem instytucją kontrolującą te przyczyny z władzą decydującą o charakterze ich? Są to kwestye wszakże konieczne przy ułożeniu jakiegobądź statutu, chociażby dla wiejskiej gminy, jeśli go chcemy mieć zastosowanym powszechnie.

Nam się zdaje, iż zamiast przystąpienia wprost do ustawy tak nowój, a niewyrozumowanej pod wszystkimi względami, czy nie lepiej byłoby wpatrzeć się pierwój w rozmaite rządy prywatne obywateli ukraińskich, odznaczające się dobrym bytem włościan, i zbadać dokładnie jak sobie radzą tu i owdzie w przypadkach, o jakich mówi autor. Jak się powiodły reformy te w tém miejscu, tamte w inném? dlaczego jedne okazały się niepraktyczne. drugie lepsze? Mając pod ręką rozmaite proby, możeby znalazł się środek podciągnięcia owych wypadków pod jedną ustawę.

Autor nic nie wspomina o bezpośredniej władzy obywatela, nie mówi o konieczném jego uczestnictwie w każdym takim przedsięwzięciu; a wszakże jest on tu główną osią, na której obraca się cały mechanizm familijnych podziałów, bo dokonywać się musi za jego pozwoleniem i od niego brać drzewo na budowę a ziemię z łanów: co już samą kwestyą sprowadza do możności obrachowania jój przez cyfry. Co tu pomoże wiejskie stowarzyszenie, zasilając oddzielającego się familii członka kilkunastą rublami, kiedy mu obywatel nie da ziemi na sadybę i kilku dziesięcin ze swego pola? A nie dać może przez proste wyrachowanie, że tym sposobem uszczupła własne łany i na tém traci. U nas, gdzie pańszczyzna odbywa się z chaty, bez względu na ilość dusz zdalnych do pracy, kwestya podziałów familijnych ułatwia się sama przez się, bód dokonywa się z korzyścią dla stron obudwu. Za zrobienie nowego wydziału ziemi i sadybę, dla oddzielającego się włościanina, obywatel zyskuje na rok pańszczyzny od niego, wraz z żoną, dni 188. Gdzie gruntów mało, a produkta mają odbyty i stosunkowie wyższą cenę, tam obywatel traci więcej, wyzuwając się z trzech dziesięcin ziemi i sadyby, niżli zyskuje na pańszczyźnie; ale zastosowanie powyższe nie może już wcale mieć miejsca w Ukrainie zadnieprzańskiej. Tam pańszczyzna odbywa się od duszy, po trzy dni w każdym tygodniu z każdój, ile ich jest w chacie, a ilość gruntu w posiadaniu włościanina jest jednaka, to jest, na jeden tylko inwentarzowy numer. Tu oczywista strata na stronie obywatela, jeśliby zechciał zadość czynić żądaniom oddziałów familijnych, bo musi oddzielającemu się wieśniakowi dać drzewo na chatę, sadybę i kilka dziesięcin ornego pola, a pańszczyzny nie zyskuje ani dnia więcej nad to, co miał przedtém. Nie wspomina także autor o inném jeszcze rodzaju powinności włościańskich, praktykującym się wyłącznie w wielu powiatach gubernii: połtawskiej i ekaterynosławskiej, które muszą znowu w inném stosunku równoważyć obowiązki wzajemne dziedzica do poddanego; mianowicie o tych dobrach, gdzie włościanin nie ma swego pola, a dziedzic zasiewa łan ogólny i używa pańszczyzny

ile mu trzeba bez żadnego rachunku. Potem wspólnymi siłami zbiera plon, i z ogólnego urodzaju oddziela włościanom część trzecią. Są jeszcze, zwłaszcza w niektórych powiatach południowych gub. ekaterynosławskiej i chersońskiej, dobra prywatne, gdzie każda zdalna do pracy osoba odbywa prócz trzech dni pańszczyznianych, dzień czwarty; a za to obywatel przyjmuje na siebie opłatę wszelkich podatków do skarbu. Gdzie więc taka jest zależność włościanina od obywatela, gdzie działały familijne bezpośrednio muszą dotykać interesów dziedzica, tam wątpię, czy same przez się stowarzyszenia wiejskie coś zrobić mogą.

Wypadki częste działów familijnych, o jakich mówi autor, dokonywają się ciągle przed naszymi oczyma; patrzymy więc na nie, znamy je, poczęści sami zmuszeni jesteśmy mieć wpływ na nie. I cóż? wszystko to, widzimy, reguluje się u nas pod wpływem mnóstwa przyczyn, które w danej miejscowości, przy pewnych warunkach są dobre, ale nie będą już takimi gdzieindziej. Klecić z tego wszystkiego jakąś formułkę, niepodobna. Oprzeć prawo na nieomyślnym współzuciu obywatela, zrobić je zależnym od jakichś szlachetnych usposobień indywidualnych, lub zmusić przez prawo do poświęcenia korzyści własnych gwoli kaprysom masy, która jakby przez upor nie chce zaniechać szkodliwego zwyczaju rozdrabiania się w oddzielne familijne kółka, byłoby równie niesprawiedliwem i nie poprowadziłoby do niczego. Z lepszym już skutkiem, według mojego przekonania, dałoby się zastosować prawo, na mocy którego każdy oddzielający się członek familii nie miałby prawa prosić o wydział pierwój, aż złoży dowód, że potrafił zaopatrzyć się przez pracę w konieczny kapitalik na zbudowanie chaty i zaopatrzenie się gospodarstwem. Tym sposobem wstępowałby na własne gospodarstwo nie obciążony żadnym długiem, i już jesliby nie mógł pomnożyć dobytku, przynajmniej rychło nie zapadałby w nędzę, na wypadek klęsk nieprzewidzianych. Praca uprzednia, z której zebrał konieczny fundusz, byłaby już w części rękomią dalszego jego prowadzenia się; a warunek któremu podległ musiał byłby niejako pożyteczną karą za wyłamanie się z form, gubiące własną rodzinę, obywatela i społeczność. A zresztą to, czy inne prawidło, zawsze mogłoby się znaleźć, stosownie do miejscowych warunków okolicy, majątku i skali powinności włościańskich. Bijemy tu głównie na zasadę samego prawa, i jeśli, jak gotowiśmy utrzymywać z autorem, konieczności działów familijnych poddać się musim; to znowu pod żadnym względem ustępstwa tego nie należy robić, nie pociągnąwszy stronę powodową do pewnego rodzaju kary lub wynagrodzenia, czyniącego zadość moralnej idei prawa: i to właśnie na korzyść tych społecznych cząstek, które mogą najdotkliwiej ucieść na tém.

Z opisu autora, mniej świadomy miejscowości czytelnik mógłby powziąć przekonanie, że chodzi tu istotnie o konieczne zaradzenie nędzy; że ciało społeczne cierpi na tę ranę, a ekono-

miści, nasi, jak na Zachodzie, są powołani do obmyślenia rozmaitych środków, niszczących złe w zarodzie. Tak nie jest. Autor chciał widzieć w tej kwestyi przeszkodę do polepszenia bytu włościan; ale nie obecna ich nędzę. Ukraiński wieśniak przestaje na małym, jest leniwy, a ziemię ma urodzajną i środków do wyżywienia się dosyć. Jeszcze on żadnego z tych środków nie wyeksploatował ostatecznie, chociaż dziś nawet mógłby zdobywać drugie tyle, ile już korzysta. Nadto sam kraj ten ma przed sobą najświetniejszą przyszłość, która mu otworzy nowe źródła do zarobkowania i polepszenia bytu. Probę tego widzimy na przemyśle cukrownictwa.

Ale najciekawszą bez wątpienia kwestyą dla nas jestto upadek zupełny w tym narodzie patryarchalnej władzy; z kąd poszło, iż plemię jedno z najliczniejszych w słowiańszczyźnie, plemię które przechowało najpiękniejsze podaniowe legendy i myty, które żyło silnym politycznym życiem: mogło niepostrzeżenie, bez żadnych widomych reform i wstrząśnień, tak, że tego przeistoczenia nie zanotował nikt z badaczy, zniszczyć w łonie swém stare, święte prawo Słowian, prawo władzy starszego w rodzie. Wypadek takiej natury nie mógł być przypadkowym, tém bardziej nagłym. Musiały na to pracować wieki, jak pracowały na tę czarną warstwę żyznej ziemi, która pokrywa płaszczyzny Ukrainy. Musieliśmy przy rozwiązywaniu sobie tego pytania prześledzić dawne dzieje tego kraju, jego instytucye i zwyczaje którym podlegał; i, zdaje się nam, że przyczyn tej zmiany szukać należy w kolejach historycznego życia i wyjątkowym położeniu tego ludu. Kraj narażony na ustawiczne wojny i napady, nie zasłoniiony górami ani lasami, stojący otworem dla okolicznych wrogów, mógłże oddawać się spokojnym zatrudnieniom około roli, żyć odosobnionym i przez kilka wieków na jednym miejscu? Życie tylko ciche, rolnicze, ustala patryarchalną władzę. W jednostajnym lat biegu nie wyrabiają się potężne czyny ani zdolności, nie obudza się samodzielność, i oczywiście, doświadczenie zdobywa najwięcej. Niewywołany żadną koniecznością do poczucia sił własnych i rozwinięcia przymiotów wrodzonych, młodzieniec tamtych czasów opóźniał lata dojrzałości; patrzył bojaźliwie w przyszłość, a w długim szeregu lat ojca, lub jeszcze dłuższym dziada, widział znamię nieomyślniej mądrości. Było też tak istotnie, tylko że ta mądrość leżała nie w wieku, lecz w doświadczeniu zdobytym za pomocą lat długich. Nie człowiek je wywoływał życiem energicznym i czynnym: owszem, to życie w pasmie całego stulecia rozwijało przed nim fazy rozmaite zjawisk; a ile mu ich pokazało, w jakim stopniu oddziaływało na bierną jego istotę, o tyle był on mędrszym. Kto żył dłużej, ten widział więcej, mówi u nas przysłowie, i zapewne nie jestto sentencyą moralną nowej daty. Krąży jeszcze między ludem ukraińskim bajka następnej treści: „Kiedyś, dawno, bardzo dawno, był głód wielki, i król, dla zmniejszenia ludności, rozkazał pozabijać wszystkich starców, żeby przynajmniej ocalić od śmier-



ci młodych. Wszędzie w państwie spełniono ten rozkaz, ale w jednej rodzinie pożalowano starą głowę i schowano ojca do jakiegoś lochu, gdzie synowie żywili go jak mogli. Już jak tam karmili, to karmili; ale przeżył staruszek do jesieni. Przyszedt czas siejby, a siał nie ma czego. Otoż weszli synowie do ojca i mówią mu z płaczem:—Teraz ojciec i ty umrzesz i my pomrzemy z tobą: zjedliśmy wszystko i posiać nie ma czego. A ojciec im na to:—Pójdźcie i obedrzyjcie wszystkie dachy ze słomy, omłóćcie tę słomę, a tam znajdziecie ziarna tyle, że starczy wam na posiew. Poszli synowie, zrobili jak im powiedział ojciec i istotnie namłócili tyle, że starczyło na obsianie kawałka pola. Doszła o tém wiadomość do króla, Każe ich król zawołać do siebie i pyta: zkąd wzięliście zboże na posiew? Ci powiadają—że oto tak a tak: pozdzieraliśmy słomę z dachów, omłócili ją i ziarnem tém obsieli pole; ale nic nie powiedzieli o ojcu. Król na to:—któż wam dał tak mądrą radę?—Samiśmy doradzili sobie.—Nieprawda wasza, rzekł król i jak zaczął ich pytać, oni się nie przyznawali długo, a nakoniec padli do nóg i wyznali, że ojciec, którego schowali i karmili skrycie. Otóżto, co stara głowa, to nie młoda! Żeby ci synowie zabili swego ojca, któżby dał radę? A tak zaczęto młócić dachy i uzbierano tyle ziarna, że starczyło na posiew i od śmierci głodnej wybawili się ludzie. Natenczas król wezwał staruszkę i zapytał go:—Zkąd on wiedział, że w starych strzechach mogło się znaleźć ziarno? A staruszek pokłonił się i rzekł:—Dawno już, bardzo dawno był taki głód jak teraz. Otóż pamiętam, że starzy ludzie tak robili i obsiewali pola. Otóż-to! A od tego czasu aż do terażniejszego roku nie było głodu; więc nikt nie wiedział tego sposobu; a jak starzy wyginęli, to i poradzić nie było komu.”

Dla kogóż tu niejasny moralny sens téj bajeczki, niezaprzeczenie dawnéj jak wszystkie kazki nasze? Doświadczenie jest tu rozumem, a rozum nietylko nie zdobył się na żaden zaradczy środek, ale co więcej, popełnił błąd, wytępiając starych. Wszystkie prawdy czerpią się z tradycji, których posiadaczami są starzy; bez tych zginąłby kraj cały, bo młodź pozostałaby bez wiedzy. Przenieśmy teraz tę garstkę osady z spokojnego ustronia na punkt kraju inny; wystawmy na konieczność walki, trudy koczowniczego życia, napady i klęski; prześledźmy uważnie rozmaite koleje tego niespokojnego życia, a obaczmy zaraz, że wyolbrzymieje ono w heroizm osobisty i w groźną uorganizuje się całość. Młodzieniec rozwinięte uspięte zdolności w przygodach, a siłę w boju; wspólna zaś potrzeba ochrony nakazuje stowarzyszenie się, gdzie już nie przewodzi stary, ale waleczny. Starzec wreszcie zejdzie do rzędu słabych kobiet, i cała władza jego ograniczy się na wpływie moralném na dziecko. Wypada ztąd, że węzeł władzy patryarchalnéj przeobraża się w uczuciowy, a władza istotna jednoczy się i organizuje w stowarzyszeniu pojętém ogólniej, od którego krok jeden do stowarzyszenia się w naród cały.

Na Ukrainie pojęcia te rozwinęły się jeszcze dosadniej pod wpływem ustaw zakonu rycerskiego, jakim bez wątpienia był zakon zaporozki. Niepodobna, ażeby to awanturnicze i surowe w regułach życie, jednoczące węzłem zupełnej równości rozmaitego pochodzenia ludzi, nie oddziaływało na Ukrainę, której najlepsza część właśnie prezentowaną była w Zaporozżu i potem powracała do domów. Jakie już wtedy były stosunki ojca do syna i nawzajem, mamy próbkę z jednej wyborniej powieści małosruskiego pisarza Gogola, gdzie pułkownik zaporozki Taras Bulba, mieszkający w Małejrusi, przybywającym do domu z kijowskiej akademii synom, każe na wstępie spróbować się z nim na kułaki, i gęste a bolesne odbiera razy. Lecz myliłby się każdy, ktoby z tych objawów przyszedł do wniosku, posądzającego o niemoralność lud ukraiński, zwłaszcza w stosunku dzieci do rodziców. Szacunek i miłość są wyrte głęboko w tych sercach, chociaż nie przyświecają na zewnątrz oglądą: nie ma tylko uznania władzy w pojęciu jej cywilnym.

Drugą przyczyną podtrzymującą ten sam stosunek przy warunkach obecnego bytu, jest bezsprzecznie duch czasu, inny stopień oświaty, odmienna od dawniej stosunkowość ludów, i w ogóle niepodobny do tamtych system całego życia. Nietylko na Ukrainie, ale wszędzie widzimy dążność do wywalczenia niezależnego bytu w pojęciu jego ekonomicznym. Idea własności, wiara w siły własne, stały się dziś dostępne pojęciom nawet gminnym, i dążność taka naganna być nie może. Obywatel, ekonomista, patrząc na ten objaw z punktu gospodarskiego, oceniając w massie korzyści i szkody, widzą w tym rozprężenie zasobów materialnych wieśniaka i mitrężenie społecznego ciała; ale to ustawiczne wydzielanie się cząstek z massy, gdzie miały one znaczenie bierne lub niezupełne, i usiłowanie stateczne do stworzenia sobie własnej sfery bytu, jest znamię moralnej godności człowieka, symptomem jego wywyższenia się i peryodem przechodu z życia organicznego do wyższego.

Jest jeszcze jedna okoliczność w artykule p. Tarnowskiego, na którą musim zwrócić uwagę czytelnika. Autor w dążności ukraińskiego ludu do stowarzyszeń rozmaitego rodzaju, jak np. w robotach polowych, kosowicy, tłokach, czumaczce i t. p. upatruje słusznie środek zaradczy, wywołany koniecznością i oparty na zwyczaju, radząc zastosować go do potrzeb obecnych; ale myli się przyznając mu pewne ogólniejsze znaczenie, które w rozwinięciu mogłoby zaradzić złemu o jakim mowa. Stowarzyszenia ukraińskiego ludu wywołane zostały potrzebą ochrony wzajemnej, i noszą cechę dawnych społecznych ustaw owych czasów, w których nie było bezpieczeństwa dla jednostki, ani poszanowania dla własności cudzej. Były one koniecznym oddziaływaniem na bezład i prawo mocniejszego; gdy dzisiejsze znowu stowarzyszenia zachodniej Europy są skutkiem ładu społecznego, i nie skupiają do ograniczonych środków, jak tamte, prac

wspólnych, lecz rozwijają je na zasadach wiary publicznej i prawa, do rozmiarów olbrzymich. Tamte, że wyrażę się przez porównanie, wyobrażały sprzężaj licznój zgrai koni, których używano razem dlatego, że wóz był mechaniki pierwotnej a zle drogi, nie mógł przeto być ciągnionym stosowną liczbą siły; gdy dzisiejszych stowarzyszeń jest zadaniem pojnować tę zasadę w odwrotném jój znaczeniu.

Tyle tylko mamy do zanotowania z oddziału prac statystycznych. Jeśli zwróciliśmy szczególną uwagę czytelnika na artykuł p. Tarnowskiego, to dlatego, że dotknął kwestyi żywotnej, leżącej u nas jeszcze odłogiem, a którą słusnie byłoby zbadać pod wszelkimi względami przed zmianą, jaka wcześniej czy później nastąpić musi. Sądząc z planu nakreślonego przez kommissyą dla statystycznego wydziału, wątpić należy, ażeby go wykonano prędko. Byłaby to jednakże praca, z której dałoby się poczerpnąć wiele ciekawych rzeczy i objaśniłoby się kilka nierozwikłanych pytań. Żałować nam tylko przychodzi: dlaczego część historyczną kraju, tak dobrze i szczegółowie określoną w planie, nie wzięto dotąd do obrobienia, i w pierwszych dwóch tomach nie mamy jeszcze żadnej z téj rubryki próby, wyjąwszy artykułu Szulgina „*O starożytności miasteczka Iskorosći*,” o którym wiemy tyle tylko ze sprawozdania, że napisany został.

Przechodzimy następnie do prac kommissyi, czysto-naukowej treści.

Adjunkt Teofilaktow zebrał z dwukrotnych wycieczek po kraju ciekawe postrzeżenia pod względem mineralogicznym i geognostycznym. Już powiedzieliśmy na wstępie, że poszukiwania w tym przedmiocie uczonych, jak profesora Ejchwalda, Murchissona, i t. d. pomimo niezaprzeczonej ich wartości, były zaogólne. Słuszną więc było miejscowym uczonym sprawdzić te poszukiwania i w niektórych szczegółach rozpatrzyć się bliżej. Teofilaktow postanowił: 1) zbadać krystaliczne gatunki pod względem mineralogicznym i geognostycznym; 2) określić stosunek rodzajów krystalicznych względem utworów osadowych.

„Pod względem geognostycznym, powiada autor, kijowska gubernia dałaby się rozdzielić na dwie połowy. z których jedna, większa, składa się z formacyi krystalicznych; druga z utworów osadowych, rozmaitych eo do ich dawności. Obiedwie te połowy pokryte są jednakim grubym pokładem napływowym, gliniano-piaszczystego rodzaju. Ten pokład napływowy okrywa istotną granicę obudwu tych części, chociaż w przypuszczeniu nakreślić ją można linią przez Pieniaziewiczze, Byszów, Bohusław, Korsuń, Horodyszczce i Kamionkę”. Ztąd utrzymuje autor, iż „na mappie Murchissona, wschodnią granicę krystalicznych gatunków należałoby przenieść o wiele ku wschodowi”. Na północy, zachodzie i południu, łączą się one z massami tegoż samego rodza-

ju, leżącemi w guberniach: mińskiej, wołyńskiej, podolskiej i chersońskiej. Pokłady osadowe opierają się o Dniepr.

Mówiąc najprzód o rodzajach krystalicznych, określa im granice od granitów błot pińskich do granitów gubernii chersońskiej, a strony: wschodnią i zachodnią opiera o pokłady osadowe rozmaitego rodzaju. Całą tę masę granitu uważa być częścią owego olbrzymiego ellipsoidu, który się rozciąga od gubernii mińskiej do Azowskiego morza.

Granica zachodnia tej części idzie przez Horodnicę, Strozów, Korzec, Zviahel, po Bohu, na Proskurów, Międzybóż, Winnicę, Brailów, Krystopól, Sawrań, Koniecpole; wschodnia, przez Owrucz, Pieniaziewiczze, Tomaszówkę, Bohusław, Korsuń, Horodnicę i Kamionkę. Tym sposobem granica zachodnia rozciąga się w prostym kierunku od północy na południe (od Horodnicy do Proskurowa), następnie zwraca się na wschód-południe i postępuje jakby w kierunku rzeki Bohu; wschodnia idzie równoległe z Dnieprem od północo-zachodu ku południo-wschodowi, i dopiero za Czehrynem zawraca się cokolwiek na południe. Największa szerokość tej masy dochodzi wiorst 280 między Proskurowem a Bohusławiem. W tych granicach rodzajów krystalicznych, Teofilaktow nigdzie nie odkrył pokładów osadowych.

Jakże zdziwiłby się podróżny, który przeczytawszy o tej masie granitu, zalegającej kraj cały, nie znalazłby jej w rzeczywistości! Rzecz cała objaśnia się tém, iż powierzchnia opisywanej miejscowości nie ma właściwie gór żadnych, a przetrziętą jest tylko mnóstwem jarów i dolin, formujących tym sposobem spłaszczone oddzielne wyżyny. Zapelnivszy te wklęsłości, cała powierzchnia stałaby się podobną do chersońskiego stepu. Różnica w tém tylko, iż w miejscowościach krystalicznego rodzaju, znajduje się większa liczba wklęsłości i dolin, jak w chersońskich stepach. Górzystość niektórych okolic właśnie zależy od głębokości leżących w ich łonie dolin i jarów. Ogromne pokłady osadowe ukrywają, przed okiem badacza krystaliczne rodzaje, i badać je tylko można na wybrzeżach rzek i w rozpadlinach. Tém głębiej pokazują się one, im bliżej są pokładów osadowych: tém płyćiej, im dalej od nich na wydętym grzbiecie ellipsoidu.

Krystaliczny obwód gubernij: kijowskiej, podolskiej i wołyńskiej, składa się ze czterech rodzajów: *granitu*, *sienitu*, *hyperstenu* i *opalowego granitu*. Piérwszy dzieli autor na dwa główne rodzaje: szary i czerwony, i utrzymuje, że oprócz różnicy w kolorach, pochodzącej od ortozu, znajdują się w nich petroleiczne i geognostyczne własności, wyróżniające dobitnie jeden od drugiego.

Szary granit składa się z szarawego lub białawego ortozu, brunatnego koloru dwuosioowego łyszczyku i szarawego lub matowego kwarcu. Łyszczyku w nim stosunkowo więcej niżli w czerwonym, ztąd autor nazywa go granitem łyszczykowym. Kryształy granitu i albitu charakteryzują go, chociaż tego ostat-

niego ma on bardzo niewielką dozę. Szary granit rozkłada się nader bystro w stosunku do czerwonego.

Fajansową glinę znajdującą się przy Korcu, Horodnicy i Baranówce, autor uważa za rozkład chemiczny ortozu szarego granitu.

Czerwony granit składa się ze znacznej ilości rozwiniętego w nim ortozu, koloru czerwonego, olikogłazu zielonawego, łyszczyku blaszkowatego czarnego (jednoosiowego) i z ziarn kwarcu błękitnego koloru. Mniej posiada łyszczyku niżli granit szary: zład gnejso-granit jest właściwy szarym tylko granitom. Kryształów granatu nie posiada wcale, a znajdującą się w nim blenda rogowa spaja czerwony granit z sienitem. Rozkłada się w małej ilości, co robi go zdatnym do użycia na budowy.

Szary granit napełnia północną stronę opisywanego kraju; znajduje się około Owrucza i Berdyczowa przy brzegach Horynia, Słuczy, Teterowa, na miejscowościach bagnistych, jednostajnych i stosunkowo mniej zasiedlonych.

Autor opisuje następnie wszelkie mniej więcej wyraźne odmiany szarego granitu, dostrzeżone w Owruczu nad brzegami Słuczy, Kurczyka, Teterowa, Hnyłopiata; w Jahniatynie, Pleskowie, Skale, Rajgrodzie, Krystopolu, Antonówce, Czarniej Kamionce i Korsuniu, i zwraca wyłączną uwagę na granit antonowiecki i kamioński, gdzie miejscowość pokryta wyniosłami i malowniczymi skałami, obnażonemi w większej części przy brzegach Górnego Tykiczu, pozwala jasno widzieć stosunek granitu szarego do czerwonego. Przedstawicielem pierwszego jest tam gnejso-granit. Miałko ziarnista massa onego składa się z blaszkowatego czarnego łyszczyku, ułożonego naksztalt warstw łupkowych, z białego ortozu i szarego kwarcu. Gnejso-granit znajduje się tam całemi oddzielnymi massami wśród czerwonego granitu, który jest panującym. Zaś w Czarniej Kamionce, ten sam gnejso-granit ukazuje się w przewyższającej ilości, a czerwony przecina go dwiema żyłami.

Czerwony granit w stosunku do szarego, posiadał najpiękniejszą część kraju. Malownicze doliny i wzgórza leżą na nim. Większe zaludnienie okolic, brak bagnisk, dosadnie odróżniają miejsce rozwinięcia się wyłącznie czerwonego, od takowegoż rozwinięcia się wyłącznie szarego granitu. Znajduje się on w Zwiąhlu, przy brzegach Kamionki około Żytomierza, przy rzece Irszy, przy Irpieni nieopodal Łuczyna, przy Bohu, Sobi, Rosi, w Humaniu, przy Górnym Tykiczu, w Szaulisie, Wesołym-kacie, Zwinogrodce, Jampolu, Kuryłowcach i Chomenkach. Autor powiada, iż najdoskonalsze przecięcia wszystkich naszych krystalicznych rodzajów, znajdują się w humańskim powiecie, a czerwony granit tamtejszy ma tę szczególność pod geognostycznym względem, iż miałko ziarniste i małowyszczykowe jego formacje posiadają piękne kryształy rogowej blendy; zaś grubo-ziarniste więcej łyszczykowe, prawie nie mają ich.

Obok czerwonego granitu znajdował autor w kilku miejscach kwarcyty (krzemieńce). Już prof. Ejchwald dostrzegł je obok międzybożskich granitów. Teofilaktow znalazł je także w ogromnych massach nieopodal od Żorniszcz (w lipowieckim pow.) i nieopodal od Berezówki (przy Górnym Tykiczu w humań. pow.). O stosunku piérwszych do otaczających rodzajów granitu, nie powiedzieć nie można, z przyczyny że są nakryte pokładami osadowymi. Kwarcyt (krzemieniec) berezowiecki wyróżnia się cokolwiek i formuje niekształtne massy pośród czerwonego granitu, lub bywa przecięty żyłami granitu. Żyły te posiadają podłużne, tabliczkowe kryształy białego ortozu, albitu i szarawego kwarcu; łyszczyku nie mają wcale. Kwarc granitu jest jakby dalszym ciągiem kwarcytowej massy, i sformowany został w ziarnistą granitową masę przy pomocy kryształów ortozu i albitu. Autor uważa te kwarcyty jako ogromne wydzielenie się kwarcu z granitowej massy.

Przy opisywaniu czerwonego granitu, autor wspominał nie raz o charakteryzującej ten rodzaj cząstce, rogowej blendzie. Jestto właśnie dodatek, towarzyszący czerwonym granitom przy łączeniu się ich z *sienitem*. Autor znalazł go w stanie zupełnie rozwiniętym w okolicach Korsunia, Horodyszcz i Chłystunówki.

Pod imieniem *granitu opalowego*, autor rozumie ten sam rodzaj, który prof. Ejchwald nazywa gliniastym feldspatowym porfirem. Zachodzi różnica w tém, iż pr. Ejchwald uważa tu porfir jako zamianę zbitego ortozu i nazywa go *pelikanitem*, na cześć wiadomego doktora Pelikana; Teofilaktow przeciwnie nie odnosi go do ortozu, lecz do opalu, a ztąd rodzaj ten granitu nazywa opalowym. Ma to być według jego zdania przeobrażenie granitu, który pod żadnym względem nie można nazwać porfirem.

Składa się on w największej części z pelikanitu, potem kwarcu i błyszczyku; ten ostatni zresztą często bywa zastąpiony talkiem. Odpowiednio do ilości tych elementów, stosowne przybiera kształty: granitu, gnejsu lub porfiru. Gdy w opalowym granicie znajdują się kryształy ortozu, przechodzi on natenczas do rodzajów średnich; gdy zaś ortoz zupełnie zastępuje pelikanit, jest on natenczas naszym szarym granitem, berdyczowskim. Między normalnym a opalowym granitem zachodzi taka sama różnica, jaka istnieje między sienitem, topazowemi i turmalinowemi rodzajami i normalnym granitem. W żadnym zresztą przeobrażeniu opalowego granitu nie masz kryształów granatu, jak to ma miejsce w naszych szarych granitach.

Znajduje się on w największej ilości w berdyczowskim i lipowieckim powiatach. Dobywa się przez jamy z powierzchni ziemi. W okolicy Mecherzyniec-Wołoskich najlepsze znajdują się rodzaje opalowego granitu. Zwyczajny opal (hydrofan) i szlachetny opal, znajdują się tam w formie cienkich żyłek lub blaszek; lecz ten ostatni nader rzadko. Jeszcze rzadziej można

znaleźć zwyczajny opal, jako odosobnione ziarnko, wśród ziarn pelikanitu, kwarcu i łyszczyku. Bywa on natenczas spojony z masą pelikanitu.

Znajduje się on także przy brzegach Rosi, w Bułajach i Spiczynicach, około Pohrebyszcz i Podosów, Andrusówki, Zozowa i przy rzece Budnówce; około Oradówki, Szaulichy, przy Górnym-Tykiczu i w 5 wiorstach ku wschodowi nieopodal Wesołego-Kąta. W gubernii podolskiej w Bandurówce, Pohurcach i przy rzece Witekli. *Hypersten* jest nadzwyczaj ciekawym rodzajem w szeregu krystalicznych granitów i wyłącznie znajduje się przy brzegach niewielkiej rzeczki Bystryjowki we wsi Kamiennym-brodzie (radomyślskiego powiatu). Jeszcze przed poszukiwaniami Teofilaktowa, pisano o nim dużo. Obywatel wsi Kamiennego-brodu Zenon Fisch, postanowił był sprzedać go skarbowi i w tym celu zlecono pr. Segetowi zająć się chemicznym tego kamienia rozbiorem. *Hypersten* ma dwa przeobrażenia: porfirowe, miątko-ziarniste z kryształami labradoru wielkości od  $\frac{1}{2}$  do 2 cali i więcej; i granitowe, grubo-ziarniste. Teofilaktów utrzymuje, że przejście z jednego do drugiego rodzaju jest stopniowe: Seget zaś dzieli go na dwie odrębne części. W *Hyperstenu*, jako istotne i zasadnicze pierwiastki figurują: labrador i *hypersten*. Kryształy i ziarna labradoru są w przewyższającej ilości. Wielkość ich od kilku linii dochodzi niekiedy do pięciu cali, w kierunku długości głównej osi. Proste kryształy są nader drobne i rzadko się znajdują; podwójne zaś z charakteryzującymi je żyłkami w spojeniach, zaliczają się do zwykłej formy. Oprócz zrastania się kryształów nakształt albitu, są jeszcze zrastania, jakie widzimy w karlsbadzkim ortozie. Ziarna labradoru rozmaitej wielkości częściej znajdują się w porfirowym *hyperstenu*. Kryształy są koloru szarego, przechodzącego w czarny lub jasno-zielony; ziarna zaś światło-szarego lub popielatego. Kąty łamania się światła w kryształach tworzą nader piękną grę kolorów: zielonego, błękitnego, żółtego i czerwonego. Pierwsze dwa są panujące, a zielony zawsze się postrzega we środku, przepleciony paskami błękitnego. Czerwony kolor daje się widzieć niezawsze. Na szczególną uwagę zasługuje układ tych kolorów paśmami rozmaitej wielkości, odpowiednio do ścian sześciścianu. Kryształy i ziarna *hyperstenu* znajdują się w niewielkiej ilości, są koloru brunatnego, a na spojeniach przechodzą w blask mocny perłowo-muszlowy, zbliżający się do metalicznego. Można tamże często widzieć kryształy *hyperstenu* zrosnięte z kryształami labradoru. Grubo-ziarnisty *hypersten* ma wiele rozpadlin i wywietrza się prędzej od miątko-ziarnistego: w obróbieniu zaś, pierwszy o wiele jest piękniejszy. Jestto jedyny kamień prowincyj naszych użyty na wyroby szlachetniejsze chociaż przez zupełny brak zakładów szlifierskich, próby te w małej nader są liczbie. Wszelkie ozdoby marmurowe możnaby zastąpić wybornie tym *hyperstenu*, i rozumiem że przewyż-

szłyby go on o wiele w piękności. Po odszlifowaniu, płyta zwykle przybiera kolor ciemny, a rozmaicie rzucone kryształy dają grę kolorów bardzo efektowną i mieniącą się ustawicznie, stosownie do punktu łamania się światła.

Teofilaktow przechodzi następnie do uwag nad wzajemnym stosunkiem krystalicznych rodzajów, i tych znowu do napływowych; i powiada, iż granit czerwony jest u nas formacji późniejszej od szarego; a opalowy granit uważa jakby niedokończoną formacją elementów, jednoczesną wszakże co do powstania, z szarym. Czerwony w stosunku do opalowego uważa późniejszym; co zaś do hyperstenu, wyznaje, iż o stosunku jego do innych krystalicznych rodzajów, nic pewnego powiedzieć nie może.

O stosunkowej dawności tych rodzajów robi następne postrzeżenia: Pierwsza połowa przecięcia idealnego do rzeki Bohu, zupełnie podobna do takowego od Jampola do Winnicy. Czerwony granit i sienit jampolski pokryte są horyzontalnie leżącymi na nich osadami sylurskiej, kredowej i tryasowej gromad. Takież położenie zatrzymują rodzaje tryasowe na granitach bużskich. Ztąd Bledę słusznie wnosi, iż granitowy ellipsoid służył za łożę dla sylurskiego morza, i granity guber. podolskiej dawniejsze są od napływów, jakie tylko znajdują się na nich. Z drugiej strony ellipsoidu pod osadami kredowymi okolic Kaniowa, pokrytymi tryasowymi warstwami, leżą osady juraskie (formacji oxforckiej gliny), których pokład wiadomym nam nie jest. Granit rzek Rosi i Olszany, bezpośrednio pokryty osadami tryasowej gromady. Warstwy jurassowych i kredowych pokładów leżą w fałistym kształcie. Fałowanie to daje się zrozumieć w następnym przykładzie: na prawym brzegu Dniepru od Kijowa do Rzyszczowa leżą horyzontalnie rozmaite rodzaje tryasowej gromady, i glina kijowska ciągle w jednakim utrzymuje się stosunku nad powierzchnią rzeki. Około Rzyszczowa już pod tą gliną spotykają się twarde piaskowce tryasowej gromady, a w podniesieniu się ich widzimy przyczynę uchylenia się łożyska Dnieprowego ku Monastyrkom. Za Rzyszczowem dają się widzieć wyborne przecięcia rozmaitych rodzajów. Jurasskie i kredowe pokłady leżą tu o dziesięć sążni wyżej nad powierzchnią wody, a ta ich wydętość wpłynęła silnie na nadwzrężenie horyzontalnej pierwszej formy. Pagórki Hryhorówki, Przeniczników, Buczaka i Kaniowa pokryte są twardym piaskowcem tej samej natury, któryśmy widzieli w Rzyszczowie leżącym równolegle z powierzchnią wody. Te wszakże wydęcia nie są dokoła w jednakowym stopniu.

Skutkiem takiego podniesienia, było pokazanie się jurassowych i kredowych osad, i nadto silne rozparcie pokładu piaskowca i gliny tryasowej gromady. W wielu miejscach znikł on dziś zupełnie i napływy leżą bezpośrednio na kredowych osadach.

Takie podniesienie się trzech gromad razem, dokonało się wszakże na niewielkiej przestrzeni stron wschodnich kaniowskie-



go, czerkaskiego i czechryńskiego powiatów, i jakby od uderzeń z dołu do góry, jak to można wnosić z falistój powierzchni osadów.

Ztąd wniosek: że owo wstrząśnienie musiało nastąpić już po sformowaniu się pokładów starój tryasowój gromady. Autor nie zgaduje przyczyny, lecz utrzymuje, że nie mogło ono być skutkiem tworzenia się całej masy granitowego elipsoidu, ani nawet żadnego z jego rodzajów.

Horyzontalne, a więc niezmienione położenie osadów sylurskiej, kredowój i tryasowój gromad na granitach podolskich, każe nam przypuścić, że znaczna część granitowego elipsoidu, w dawne epoki sylurskiego, kredowego i tryasowego morza, była jakby wyspą, której rodzaje dostarczały materji rozmaitym osadom. Jeśliby wstrząśnienie tych rodzajów miało się dokonać z przyczyny granitowego, tak zwłaszcza ogromnego jak nasz elipsoidu, to niewątpliwie zmiana taka w inny sposób wyraziłaby się była powinna. Ztąd autor wnosi, że chociaż czerwony granit później powstał od szarego, ale przed sformowaniem się sulurskich osadów. Przez to wczesne powstanie krystalicznych rodzajów, tłumaczy się i brak zupełny u nas rodzajów metamorficznych (przeobrażonych).

Niemniej ciekawe są poszukiwania autora nad jurasowemi i kredowemi osadami; lecz te dokonane zostały li w gub: kijowskiej i głównie nad brzegami Dniepru, w okolicach Rzyszczowa i Kaniowa. Zachodnią granicą tych osadów uważa linią od Trachtymirowa do Moszen, północną i wschodnią Dniepr, a Moszniańskie góry są ostatnim punktem wystającym ku południowi, na którym kończy się rozwinięcie drugiego peryodu kijowskich osadów.

Jeszcze w roku 1832 opisał je Du Bois de Montpéreux, i jemu właściwie winniśmy odkrycie osadów drugiego peryodu w gub. kijowskiej. Osady juraskiej gromady znajdujące się u nas, rozdziela autor na trzy stopnie: piérwszy, od spodu, składa się z miękkiej gliny ciemno-brunatnego koloru, szypiącej w kwasach i zawierającej drobne blaszki łyszczyku i kryształy gipsu; śródkowy zawiera szaro-zielony, drobny i syPKi piasek, w którym dają się postrzegać nieregularne rozgałęzienia twardego piaskowcu.— Obadwa te gatunki składają się z nadzwyczaj drobnych, białawych i szarych ziarn kwarcu, blaszkowatego łyszczyku i ziarn glaukonitu. Grubość jego dochodzi czterech i pół sążnia, a organicznych szczątków autor nie znajdował w nim wcale. Trzeci wreszcie, zmienny co do składowych części i miąższości, zawiera cienki łupek żelezistej gliny szarego koloru, mieszczącej w sobie gips i blaszki łyszczyku. W glinie téj ciągną się rzędami twarde gliniasto-żelaziste rozgałęzienia. Pod gliną leży cienkim słojem żelazisto-gliniasty gruby piasek. Miąższość pokładu nie przechodzi jednego sążnia.

Wszystkie te trzy piętra kijowskiej jurassowój gromady i stosunek ich względny, doskonale dają się postrzegać w obnaże-

niach między Trachtymirowem a Monastyrkiem. Autor po ważnym zbadaniu tak samych osadów, jak organicznych szczątków, utrzymuje, że powinny być zaliczone do oxfordzkiej formacji.

Osady kredowej gromady odznaczają się jednostajnością rodzajów i składają się z szarawo-zielonych i ciemno-zielonych sypkich piasków, zawierających twarde, piaszczyste, szarawo-zielone lub krzemionkowe, ciemno-zielone massy. Pokrywają one osady jurassowe i wszędzie powtarzają na sobie zmiany, jakim podlegały tamte. Wiele rodzajów zielonych piasków gub. Kijowskiej są jedno-rodzajowe z osadami gromady kredowej gub. podolskiej. Znajdowane w nich skamieniałości każą się domyślać formacji ich dawniej i każą odnieść ją do epoki, którą określają pod imieniem *Terrain Albien* francuzcy geologowie.

W roku 1851 Teofilaktów udał się na Podole, wyłącznie w celu zbadania doliny Dniestrowej. Ta wycieczka wzbogaciła go wielą ważnymi wiadomościami, które ma uporządkować i wydać wkrótce. Tymczasem podał on kilka rysów z tej podróży, dotyczących się wyłącznie doliny Dniestrowej pod geologicznym względem.

Dolina Dniestrowa na przestrzeni między Żwańcem a Kamionką, ma formę wężykowatej rozpadliny, szerokości od 1 do 3 wiorst. Ściany jej są skaliste prostopadłe, lub odarniowane i pochyle. Autor zanotował tam jedno szczególnie rzadkie zjawisko, mianowicie: że brzegi Dniestru przechodzą kolejno z wyniosłego do poziomego położenia, w tym sposobie, iż wyniosłości dwóch następujących górnych brzegów łączą się z mniej lub więcej oddalonymi od rzeki i w półkole zarysowanymi wyżynami; a górne brzegi w tej samej ścianie doliny wyobrażają jakby linie nowych kątów. To się powtarza na obudwu jej brzegach, z tą tylko różnicą, iż górne brzegi jednej strony odpowiadają poziomym brzegom strony przeciwnej; a w rzadkiem zdarzeniu zbliżają się obie ściany do siebie i są skaliste lub pochyle; Dniestr kolejno omywa jeden brzeg lub drugi.

Ściany doliny Dniestrowej formują dwa terrasy: z tych dolny wyraźnie odkreślony, leży nad rodzajami przechodowych formacji; zwierzchni zaś nad rodzajami kredowej lub spodnimi warstwami tryasowej gromady.

Lewy brzeg Dniestru ma mnóstwo ubocznych dolin i jarów, z których wiele służą za łożyska znaczniejszym rzekom. Ciekawe i trafne są jego postrzeżenia o formowaniu się u nas rzek pomniejszych, a co mówi o dolinie Dniestrowej, to da się zastosować w wielu miejscach i u nas. On powiada, że początek jaru i jego wielkość zależą właściwie od miąższości warstw, które go pokrywają; że ściany jaru obnażając się stopniowo, odkrywają źródła, z których formuje się rzeczka. Ztąd punktem pierwotnego wyjścia doliny i jaru jest właśnie ściana Dniestru, a terażniejszy powstał z następnego sformowania się rzeczki; jest to więc postęp z ciągle ponawiającym się odwrotnym ruchem. Gdy tę zasadę

przystosujemy do rzeki, okaże się, iż jej obecny początek jest właśnie ostatnim punktem stopniowego zwiększania się, a ujście właściwie początkiem pierwotnego sformowania się. Więc posuwanie się rzeki było stopniowo cofające się, a zwiększanie pochodziło od odkrywających się źródeł (1).

Tamże zanotował autor w wielu miejscach ogromne usunięcia się warstw, od podmycia brzegów. Te, co są nieopodal Krzywego-Woza, Kalusa i w mohilewskich jarach, nastroczają ciekawe zjawiska łękowatych skrzywień w łupkach przechodowego utworu, co nastąpiło w skutek silnego ściśnienia ich boków w chwilę spadnięcia.

Obnażone granity znajdują się w dolinie Dniestrowej przy Ożewie, Mohilewie i Jampolu. A więc leżą równolegle do pasma granitów naszych, gdyż Dniestr od Ożewa płynie w tym samym kierunku.

Osadowe utwory wchodzące do składu ścian Dniestrowej doliny, należą do trzech rozmaitych gromad: dewońskiej, kredowej i tryasowej. Dewońska przy Żwańcu i Brazie dochodzi 15 sążni miąższości i nie jest pokryta kredowym ani tryasowym pokładem. Przed i za Kalusem grubość ta zmniejsza się, a za Kuźminem ginie zupełnie, a natomiast na równi z powierzchnią Dniestru daje się widzieć kredowy margiel. Co się tyczy stratygraficznych stosunków rodzaju jednego względem drugiego, autor daje tu dość szczegółowe opisanie ułożenia się tych rodzajów, składających się z wapienia, gliniastych łupków i szarej waki, a z badania przychodzi do wniosku, że wszystkie musiały powstać jednocześnie.

O pokładach utworów kredowych i tryasowych pobieżne daje objaśnienia, bo dokładniejsze zbadanie ich zostawia na później.

Tyle o mineralogii i geologii.

Teraz przechodzimy do sprawozdania z oddziału botanicznego. Miał on trzech pracowników: Trautfettera, adjunkta Rogowicza i Augustynowicza. Jeśli się nie mylimy, obadwa ostatni są Małorusini, i za przedmiot swych poszukiwań wzięli florę gubernij zadnieprzańskich. Rogowicz zwiedził powiaty: perejasławski, pyryatyński, łochwicki i łubieński, gdzie badał lasowe rośliny; a w powiatach: chorolskim, połtawskim i konstantynogrodzkim, stepowe i rosnące na łąkach solonośnych. Te ostatnie są celujące w gub. połtawskiej pod względem bogactwa i różnorodności roślinnych. Następnie zwiedził okolice aż do Kremeńczuga i dolinę Dnieprówą, wyraźnie różniącą się od stepowej flory.

(1) Co mówi tu autor o formowaniu się rzek, jeszcze istotniej daby się zastosować do formowania się suchych ukraińskich i podolskich jarów, z tą różnicą, iż co się tam przypisuje działaniom źródeł, tu należy przypisać działaniom wiosennych wód i deszczów.

Jego poszukiwania dały następne wnioski: Flora północnej części gub. połtawskiej aż do Suły, jest zupełnie podobną do tej, jaka się znajduje w gub. czernihowskiej i kijowskiej. Miejscowość lewego brzegu Suły staje się więc jednorodną. Iły solonczne znajdują się w niewielkiej ilości, a brzegi rzek porastają lasami w większej części dębowymi i topolowymi (*quercus pedunculata* Ehrh. i *populus alba* L.). Pomimo tej jednorodności, nowe formy roślinne spotykają się stopniowo w coraz większej ilości, im się dalej posuwa ku południowi. Rogowicz przeprawił się z powiatu żółtonoszskiego przez Dniepr i zrobił kilka wycieczek, w okolicach Czerkas, Smiły, Szpoły, Humania, Zwinogródka Bohusławia, Kaniowa i Międzyrzecza. Tu znalazł on kilka rzadkich exemplarzy: następnie udał się do gubernii połtawskiej, a ztamtąd do północnych powiatów gubernii czernihowskiej. Z wycieczek tych przywiózł 1364 rodzajów i 5000 exemplarzy.

Augustynowicz dał dość obszerną pracę pod tytułem: „*O lekarskich roślinach rosnących w stanie dzikim w gub. połtawskiej.*” Powiat łubieński jest celującym pod względem przygotowania tych roślin dla tamtejszej skarbowej apteki, jak równie prywatnej, która znaczny prowadzi niemi handel. Wieśniacy zajmują się zbieraniem korzeni, liści i nasion, i sprzedają je po nader umiarkowanych cenach. Są tam nadto dwa botaniczne ogrody: jeden nieopodal od miasta Łubny, drugi we wsi Tertach. W liczbie mnóstwa innych roślin posiadają one: *Aconitum Napellus*, *Atropa Belladonna*, *Capsicum annum*, *Digitalis purpurea*, *Lactuca virosa*, *Matricaria Chamomilla*, *Mentha crispa*, *Mentha piperita*, *Papaver somniferum*, i t. p.

To wyjątkowe bogactwo pod względem botanicznym, zawdzięcza powiat łubieński urozmaiconej miejscowości, która posiada na niewielkiej przestrzeni rozmaite pokłady ziemi, wyniosłości i bagna, doliny i ługi nad brzegami Suły i Udaju, a także stepy i lasy.

Roślinność pow. łubieńskiego rozgatunkował autor na 25 odrębnych i znaczniejszych familij, potem szczegółowie opisał roślinę każdą, dodając oparte na doświadczeniu postrzeżenia lekarskich własności lub sposobu używania ich przez spólstwo do leków, nastojów, nalewek i innych potrzeb, i załączając do każdego naukowego nazwiska, ludowe, pod którymi znane są na Ukrainie. Jestto praca dokonana sumiennie i pożyteczna ze względu na jej naukowo-praktyczny wykład.

Rektor uniwersytetu Trautfetter napisał niewielki artykuł pod tytułem: „*O roślinno-geograficznych okregach Rossyi europejskiej.*” Szczegółowiej traktuje on ten przedmiot w dziele swoim: „*Die pflanzengeographischen Verhältnisse des Europäischen Russlands*”; wszakże są i tu ważne i pożyteczne postrzeżenia. Dzieli on Rossyę na cztery roślinne obwody, a te znowu na 18 okregów.

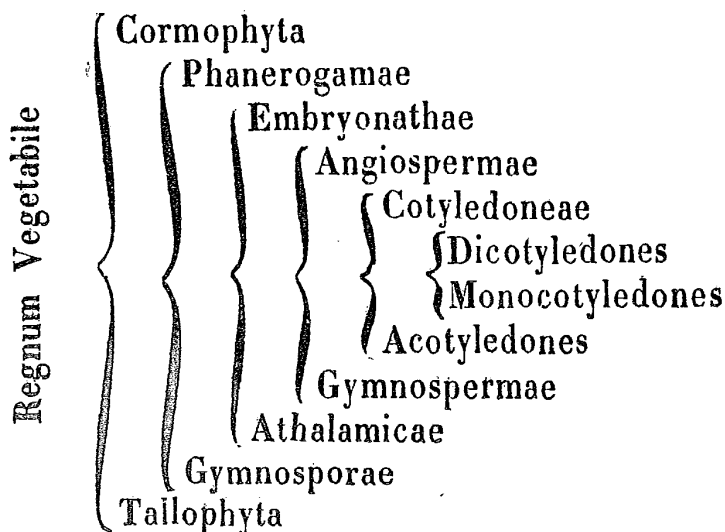
a) Północna Rossya: pas bagien (tundrów) całkowicie bezleśny;

b) Zachodnia: pas europejskiej jodły, leśny; c) Wchodnia: pas sybirskich, choinowych (iglastych gatunków); d) Południowa: pas drzew liściowych.

Kijowski naukowy obwód, według powyższej klasyfikacji autora, leży w granicach dwóch ostatnich obwodów i ma pięć roślinnych okręgów. Część północna gub. czernihowskiej, północno-wschodnia wołyńskiej i ką połnocny kijowskiej, gdzie przy sośnie i europejskiej jedlinie rośnie grab pospolity, należy do okręgu pospolitego grabu; południowo-zachodnia część gub. wołyńskiej, gdzie obok europejskiej jedliny i sosny, rośnie buk, należy do okręgu buku; lecz wszystkie te miejscowości słuszną jest odnieść do obwodu Zachodniej Rosyi, czyli pasa europejskiej jodły.

Część południowa gub. czernihowskiej i prawie cała połtawska, nie mają europejskiej jodły, a z gatunku choinowych, posiadają li sosnę i przy niej pospolitą leśną gruszę: więc należą do okręgu pospolitej gruszy. Dalej: południowo-wschodnia część Wołynia i gub. kijowska i podolska, także nie posiadają europejskiej jodły, lecz już tu się spotyka prócz sosny, pospolita leśna grusza i pospolita leśna czereśnia; ztąd formują one bezpośrednio okrąg, który autor zowie okręgiem czereśni. Nakoniec południowy pas gub. podolskiej, kijowskiej i połtawskiej, pozbawiony jest lasów, a natomiast posiada odkryte, żyzne stepy, co mu nakazuje zaliczyć go do okręgu traw dolinowych. Wszystkie zaś wzięte razem, wchodzą do składu obwodu południowego, czyli pasa drzew liściowych. Do artykułu tego, dla tém jaśniejszego zrozumienia owych podziałów, dołączona jest mappka.

Drugą pracą Trautfettera jest „*Opisanie familij naturalnych, wchodzących do składu flory gubernij kijowskiego naukowego okręgu.*” Ponieważ botanicy dotąd nie mają stałych prawideł co do istotnego skreślenia roślinnych familij i ich rozgatunkowania autor więc trzymał się następnój formuły:



Następnie opisał szczegółowie wyróżnienia charakterystyczne każdej klasy i uporządkował je systematycznie. Nic nie powiemy za

ani przeciw wyłożonej tu metody, która li botaników z profesyji interesować może, i służy raczej za normę dla prac przyszłych.

Nakoniec winniśmy wspomnieć tu, iż członek komisyyi Warzański, przygotowuje do druku: „*Opisanie flory gubernii połtawskiej.*”

W zoologicznym wydziale, jak dotąd, jeden Kessler okazał się najczynniejszym współpracownikiem. Jeszcze w 1849 roku przedsięwziął on odbyć naukową wycieczkę do południowych okolicznych gubernij, w celu zebrania dokładnych wiadomości o świszczach i susłach, nadzwyczaj rozrodzonych w stepowych okolicach, a także o kilku gatunkach ptaków południowego pasa Rosyyi.

Podczas piérwszój podróży przez zadnieprzańskie okolice, zwiedził on te ogromne stepy, które się rozciągają nad Orzelą w konstantynogrodzkim powiecie, i służy za główne siedlisko dla mnóstwa świszczów, susłów, chomików, skoczków nocnych, ślepców i t. p. W drugiej podróży przejechał południowe powiaty gub. kijowskiej i dni dziesięć bawił w bałckich stepach, leżących na wschodnim brzegu Dniestru, i znanych z mnóstwa drapieżnych ptaków, gnieźdzących się w skalistych brzegach rzeki.

O świszczach (*Arctomys baibac* Pall.) powiada, iż nie znalazł ich w tak wielkiej ilości, jak o tém twierdzili podróżni dawniejsi. Zapewne wyniszczono je, jak i zwierzęta inne w miarę, zasiedlania się kraju. Utrzymuje, że nie masz ich wcale w gub. kijowskiej, podolskiej i czernihowskiej; a w połtawskiej widział je tylko w konstantynogrodzkim powiecie, wyłącznie w dwóch dolinach (bałkach) wszakże w znacznej ilości.

W guberniach naszych znajdują się dwa rodzaje susłów, a nie jeden, jak powszechnie mniemano dotąd. Jeden z nich jest centkowany (*Spermophilus guttatus* Femm.), drugi szary (*Spermophilus musicus* Ménétr). Piérwszy znajduje się w południowych powiatach gub. kijowskiej, podolskiej i czernihowskiej, a nawet w północnym pasie gub. połtawskiej. Drugi, którego znajdowano przedtém wyłącznie na Kaukazie i w okolicach Rostowa nad Donem, jest dziś i w południowych powiatach gub. połtawskiej. Obadwa te rodzaje znajdują się tam w ogromnej ilości i zrzadzają szkody w zbożu i basztanach; lecz gdzie mieszka jeden rodzaj, tam nie ma drugiego. Kessler notuje, iż lud nazywa ich nie susłami jak gdzieindziej, lecz *owraszkami*.

Skoczki nocne znajdował autor w chorolskim i konstantynogrodzkim pow. gub. połtaw.: są to zwierzątka nocne, a ztąd mniej znane jak susliki; nigdzie ich zresztą nie masz w takiej ilości. Piérwsze (w chorol. pow.) odnosi autor do rodzaju *Dipus jaculus* Pall., drugie do r. *Dipus vexillarius* Eversm. Ten ostatni widziany był piérwój wyłącznie na wyniosłych stepach między Kaspijskiem i Aralskiem morzem.

Prócz zwyczajnych chomików, znajdują się w gub. połtaw. czarne chomiki. Pallas i inni utrzymywali, że pochodzą one z wypadkowej różnicy; Kessler zaś dowodzi, że są osobnym rodzajem.

W gub. czernihowskiej znalazł Kessler małą mysz, *Mus betulinus* Pall. znajduwaną dotąd wyłącznie w Syberyi, której jedyny exemplarz posiada tylko muzeum petersburskiej Akademii nauk.

W Humaniu, w podziemnym wodociągu słynnego tamecznego ogrodu, udało się mu złowić kilka niedoperzy z rodzaju *Vespertilio Daubentonii* Leisl. Raz tylko znajdowany był ten gatunek w Rossyi nad Dunajem, przez pr. Nordmanna.

Na Podolu, w pow. bałckim, znalazł Kessler kilka drapieżnych ptaków, należących do rodzajów najrzadszych południowych krain. Sęp szary (*Vultur fulvus* L.), sokół czerwony (*Falco cenehris* Naum.) i orzeł-karzełek (*Aquila pennata* Gmel.). Pierwsze dwa rodzaje gnieźdzą się na skałach Dniestrowych, a ostatni w pięknych dąbrowach znajdujących się w okolicach Bałty.

Na stepie bałckim znajduje się także sokół-bałaban (*Falcolanarius* Pall.). Nikt go nie znajdował od czasów Pallas'a i już myślano, że zaginął ten rodzaj. W lasach graniczących ze stepami gub. kijow. i podol. gnieździ się w znacznej ilości mucholówka (*Mussicapa parva* Bechst.). Kessler miał możność zbadać wielorakie jej odmiany względnie do płci i wzrostu, a także śledzić za sposobem jej życia. Piękną tę ptaszynę, jak dotąd, widziano tylko bardzo rzadko w południowych Niemczech i Węgrzech, a także w odesskim botanicznym ogrodzie; ztąd nie miano żadnych dokładnych o niej wiadomości.

Było powszechném mniemaniem zoologów, iż opisany przez pr. Nordmanna piaskownik czarno-skrzydły (*Glareola melanoptera*) znajduje się wyłącznie w stepach opasujących Kaspijskie i Czarne morza; tymczasem Kessler przekonał się, iż ptak ten bystrolotny nietylko że się gnieździ w wielkiej ilości w gub. połtawskiej; lecz znajduje się także w konotopskim powiecie, (gub. czernih.) i w białocerkiewskich stepach, gub. kijowskiej.

Na szerokiej, piaszczystej dolinie rzeki Worskli, nieopodal Połtawy, Kessler znalazł rozrodzoną obficie jaszczurkę różnokolorową (*Eremias variabilis* Pall.) Piękny ten płaz widziany był przez Nordmanna li przy kaspijskim stepie. Później znajdowano go w Krymie i na Podolu; ale nie wiedziano wcale, żeby mógł być tak posuniętym ku północy.

Kesslerowi udało się także zbadać w szczegółach sposób życia i wewnętrzną organizacją naszej tarantuli (*Lycosa songarensis* Laxm.) Tak np. przekonał się on, że pająk ten znajduje się nawet w Konotopie, a więc pod 51½° północnej szerokości; że jak hiszpański, bywa ścigany od pewnego dużego owadu z rodzaju *Calicurgus*, który ukąszeniem swém wprawia go w odrętwienie i potem zakopuje w ziemię, złożywszy uprzednio jaja swe pod skórę jego; że przy otworze nory robi stopień, na który chroni się, w razie zalania jej wodą. Kessler pisze zupełną monografią tego pajaka, i urywek z niej już był drukowany w *Bulletin de la Société de naturalistes de Moscou*, 1849.

Gabinet zoologiczny przy uniwersytecie kijowskim pozyskał od Kesslera 23 exempl. zwierząt ssących, około 40 ptaków, wybrane exemplarze jaszczurek wszelkiego rodzaju, dwóch czarnych żmij (*Vipera prester Pall.*), znaczną ilość owadów, pajaków i wszystkie rodzaje suślików, chomików, świszczów i t. p.

W liczbie przywiezionych tysiąconogów, znajduje się kilka podolskich exemplarzy tej jadowitej czterdziestonóżki (*Scolopendra cingulata Brandt*), która w południowej Europie zwykle daje się postrzegać w tych miejscach, gdzie i niedźwiadki.

Oprócz powyżej wymienionych poszukiwań, Kessler opisał w czterech odrębnych artykułach, już wydrukowanych w pierwszym i drugim tomie *Prac kommissyi, płazy i ptaki* kijowskiego naukowego okręgu. W pierwszym pod tytułem: *Płazy* powiada, iż w okolicach naszych znajdują się prawie wszystkie rodzaje płazów, właściwych północnej i umiarkowanej strefie Europy; a nadto kilka należących już do południowej strefy Europy i graniczącej z nią Azji.

Przeświadczyliśmy się z tego opisu, iż wszystkie rodzaje płazów, właściwe naszym stronom nie tylko iż nie są jadowite, wyjąwszy żmii, lecz w większej części pożyteczne, jako wyniszczające szkodliwe owady. Pomimo tego, nie umiemy je rozróżniać, boją się ich w ogólności, jak np. węża gładkiego i żmiję biorąc za jedno, liczą zarówno jadowitemi. Autor rozdziela opisywane przez się płazy na cztery oddziały: żółwie, jaszczurki, gady i żaby. Weszło do opisów w ogóle rodzajów 16 i odmian 25. Opisy są dokonane z najdrobniejszymi szczegółami.

Drugi artykuł zawiera opisanie *ptaków drapieżnych i należących do rzędu kurzego*; trzeci *o ptakach rzędu wróblowatego*. Ptaków drap. opisano rodz. 38, kur. 8., rzęd. wróbl. z podziałami, w ogóle rodz. 122. Czwarty nakoniec: *O ptakach błotnych i pływających*, (szczudlatych i płetwonogich). Pierwszych znajduje się w opisie rodz. 24, odmian 52; drugich rodz. 11, odm. 46.

Widzimy, że w oddziale zoologicznym najczynniejszym i jedynym pracownikiem był Kessler. Prace jego mają tém większą zasługę ze względu na jasność i szczegółowość wykładu. Ważny to przyczynek do historii naturalnej naszego kraju. Teraz zajmuje się on badaniem peryodycznych przelotów ptactwa, i już ciekawe zebrał w tym przedmiocie wiadomości od Belkiego z Kamieńca Podolskiego, Regulskiego z Nowej Uszycy, Krzyżanowskiego z Milatyna, Michałowskiego z Kucharów (radom. pow.), Waszańskiego z Połtawy, Augustynowicza z Łubnow, Iliaszenka z Perejasławia i Taraczkowa z Orła.

Wypada nam jeszcze zanotować tutaj pracę z oddziału geografii matematycznej, dokonaną według planu nakreślonego uprzednio przez prof. Fiodorowa. Studenci (dziś kandydaci) kijowskiego uniwersytetu: Pilipenko i Nite, wysłani zostali dla oznaczenia geograficznego położenia następnych punktów gub.



kijowskiej: Białej-cerkwi, Czerkas, Czehryna, Kaniowa i Korsunia. Astronom uniwersyteckiego obserwatorium Połuchtowicz oznaczył je na Wołyniu: we Włodzimierzu, Radziwiłowie i Zwiąhlu, a student Łapicki (dziś kandydat) miał podobne polecenie do oznaczenia geograficznego położenia na punktach: Złotopola, Zwinogrodka i Humania.

Geograficzną szerokość wszystkich tych punktów stosowano wyłącznie do wymiarów zenitowych odległości gwiazdy biegunowej a *Ursae minoris*, posługując się teodolitem astronomicznym Ertel'a. Długość geograficzną oznaczano w części za pomocą dwóch chronometrów, w części postrzeżeniami nad południkiem podczas przechodu księżyca i gwiazd przyległych. Czas oznaczano na każdym punkcie wyłącznie postrzeżeniami nad gwiazdami stałymi w chwilę przejścia ich przez południk, za pomocą przenośnego astronomicznego narzędzia, wyrobu Ertel'a; w części zaś wymierzano go wedle stosunkowej wysokości słońca za pomocą teodolitu.

Otrzymano ztąd następną summę wypadków geograficznej szerokości, wziętych odrębnie dla każdego punktu: dla Białej-cerkwi 6, Czerkas 12, Czehryna 14, Kaniowa 12, Korsunia 8, Złotopola 6, Zwinogrodka 2, Humania 10, Włodzimierza (Wołyn) 7, Radziwiłowa 8, Zwiąhla 2.

Szczegółowe sprawozdanie o tej pracy ma dać pr. Fiodorow do jednego z następnych tomów prac naukowych komisji. Wszakże wspomnieć tu musim, iż te tylko kulminacye księżycowe weszły tu do postrzeżeń, którym odpowiednie są w obserwatorium kijowskiem. Przeniesienie zaś czasu z Włodzimierza do Zwiąhla, a ztamtąd do Kijowa, uskuteczono podczas najgorszej zimowej drogi, na prostym, trzęsącym wózku.

Nakoniec dajemy tu miejsce kilku uwagom nad artykułem Wołoszyńskiego treści numizmatycznej: *O monetach wykopanych nie opodal od Nieżyna 1852 r.* Znalaziono je właściwie między wsią Magierki i futorem Bobrykiem, w liczbie sztuk do 200, wszystkie srebrne, a umieszczone były w glinianém naczyniu mającém formę naszego garnka. Kilkadziesiąt sztuk potrafiiono ocalić od zatracenia, i dziś weszły one do ogólnego zbioru numizmatów uniwersytetu kijowskiego, który, jak wiadomo, posiada bogatą kolekcją tego rodzaju.

Polegając na różnicy stępla i napisów, rozdzielono je na pięć rodzajów i badano każdy jak najdokładniej. Wiadomo, iż archeologowie rossyjscy nie odkryli dotąd żadnych śladów o biciu monety przed XIVtym wiekiem; i że wszystkie znajdowane pieniądze z tamtej epoki, uważali raczej za monetę tych słowiańskich południowych plemion, które zostawały w najbliższych stosunkach z Bizantyjskiém państwem. Przypuszczenia te gmatwały się najbardziej imionami własnymi panujących książąt, z których: Włodzimierze, Jarosławy i Świętosławy, byli zarówno na dzielnicach Rusi jak i w zadunajskim kraju. Wołoszyński usiłuje

dowieść, iż znalezione w okolicy Nieżyna monety, prawdopodobniej należy nazwać ruskimi niż słowiańskimi; a wspiera swe dowodzenia miejscem ich wykopania i różnicą co do objętości i formy, odmiennych od wiadomych bizantyjskich exemplarzy. Kwestya pozostała nierozstrzygniętą ostatecznie, i sam autor nie daje jój jako pewnik; wszakże zdanie to rzuca nowe światło na kilka wątpliwości archeologicznych, które w późniejszym czasie rozjaśnione być mogą. Do artykułu dołączone są wizerunki tych monet, ze szczegółowem opisaniem każdej.

Kończąc nasz artykuł, wyszczególniamy niektóre cenniejsze przedmioty, złożone w darze bibliotece kommissyi:

Rossyjskie geograficzne towarzystwo nadesłało nową mapę Aralskiego morza i Chiwy, zrobioną przez Chanykowa; Arendarenko dał plan fortecy w Perejasławiu, zdjęty 1846 r.; plan starożytnój twierdzy w powiecie zińkowskim, plan starożytnój twierdzy w Glińsku, plan szwedzkich okopów przy m. Perewołoczne, plan starożytnój twierdzy w Bielsku, mapę główniejszych rzek i jarów w gub. połtawskiej i mapę etnograficzną téż gubernii. Roskoszenko ofiarował książkę pod tytułem: *Antonii Possevini Societatis Jesu Moscovia. Wilna, 1587 r. i t. p.*

Oto jest wyszczególnienie prac naukowych kommissyi kijowskiej. Daruje nam czytelnik, jeśli zatrzymaliśmy uwagę jego cokolwiek dłużej na przedmiotach ściśle naukowej treści; lecz zrobiliśmy to z wyrachowania. Sześć lat trwa już owo stowarzyszenie, ma tak rozgałęzione stosunki, tyle wiadomych imion polskich, nie obcych nawet piśmiennictwu naszemu, wchodzą do składu jego; tyle już różnorodnych prac rozpoczęto o kraju, który interesować nas powinien i musi, bo z nim wiąże się cała historyczna przeszłość Polski, na nim wzeszły najpiękniejsze kwiaty poezyi naszej; a któż chciał poświęcić chwil kilka, ażeby donieść wam o tém wszystkiém? A jeśli wiadomostka pobieżna ma się udzielać tak trudno, cóż już myśleć o przyswojeniu literaturze naszej jakich wyjątków z owój pracy? Bartoszewicz, Malinowski, Wojcicki i inni, chwytają co mogą, o czém gdzieś zasłyszą że się robi, a ma stosunek do nas, i wiadomości te ogłaszają, w gazetach; ale nikt z indexu nie chce dojść do źródła i wszystko kończy się na wzmiance.

Nie chcieliśmy więc, ażeby i w obecném zdarzeniu skończyło się na wzmiance. Daliśmy sprawozdanie ile można szczegółowe, z któregooby czytelnik mógł zrozumieć znaczenie tych prac, i aby może ktoś zachęcił się do przekładu artykułów obchodzących nas bliżej (1).

*Tadeusz Padalica.*

(1) Ktoby życzył nabyć wyżej opisane dwa tomy prac naukowych, może się zgłosić do kommisanta Pawła Dołżykowa w Kijowie, nadsyłając za tom pierwszy rsr. 4 kop. 80, a za drugi rsr. 4; lub do księgarni Józefa Zawadzkiego, tamże.

*Przegląd muzyczny.*

Koncerta amatorskie. — Mozart i jego Don Juan. — Słówko o ogólnej u nas dążności muzycznej. — Historya o jednym fortepianie Erarda. — Koncerta pp. Prüme, Albano, Haumana, Thalgrüna, panny Ortolani. — Muzyka kościelna w Wielkim Tygodniu. — Lubowski i Brzowski.

Najobfitszą w wypadki mogące zajmować miłośnika muzyki u nas, jest epoka czasu zawarta pomiędzy Nowym Rokiem a Wielkanocą. W niejto co rocznie mają miejsce amatorskie koncerty, dawane zwykle w celu dobroczynnym. Amatorowie muzyki chętnie w nich udział biorą, bo wiedzą dobrze, że ofiara ich talentów mile przez ogół przyjęta, i za zasługę w sprawie ulżenia cierpiącej ludzkości policzoną im będzie. Warszawa pod tym względem słusznie za wzór dla reszty kraju służyć może, gdyż nie było przykładu, by jakiegokolwiek usiłowanie podjęte w chęci przyniesienia ulgi ubóstwu, nie osiągnęło pożądanego skutku.

W żadnym może innym mieście jak w Warszawie, mieszkańcy nie znajdują się w tak ciągłej styczności ze sprawami dobrego dla bliźnich uczynku; więc że są tak liczne i stałe, należą do głównych cech charakteryzujących nasze społeczeństwo, a nawet wszczepiły się głęboko w obyczaje naszego miasta. Teatra, bale, loterye fantowe i t. d. hojnym groszem zasilają każdego roku te szlachetne przedsięwzięcia, które uświęcone zwyczajem, stają się pomnikami wiary chrześcijańskiej, ugruntowanymi na podstawie współczucia i miłości dla bliźnich, a biorących początek w świętym źródle prawd ewangelicznych.

Wiadome są fundusze wpływające do kass licznych instytucyj dobroczynnych. Ztądto zapewne pochodzi, że pomimo upodobania do muzyki, jakim się nasi mieszkańcy odznaczają, koncerty dawane przez najznakomitszych nieraz artystów małą niekiedy liczbę słuchaczy miewają; gdy te, co przez rodzime, amatorskie tylko talenta, lecz w celu dobroczynnym są urządzone, tłumy publiczności zawsze sprowadzają. Nie było przykładu, by który się nie powiódł, czyto dla braku członków udział w nim biorących, czy dla braku słuchaczy; a koncert dawany zwykle w poście przez Resursę Kupiecką, należy do świetniejszych, ważniejszych w kronice miasta naszego wypadków, i w dziedzinie muzyki wywiera wielki wpływ na podniecenie ruchu tutejszego świata muzycznego.

Nie mamy potrzeby rozwodzić się nad zasługą, jaka spływa na tych, którzy talentami swemi przychodzą w pomoc tym pięknym przedsięwzięciom. Ofiara, jaką z siebie czynią, jest niezawodnie przez wszystkich należycie ocenioną; więc w niniejszym przeglądzie pozostaje nam tylko imiona ich przekazać powszechnej pamięci, jako jedyną nagrodę ich trudów, i załączyć szczerę

życzenie, by znalazły w przyszłości godnych chwalebne go czy-  
nu naśladowników.

Koncert w Resursie Kupieckiej wykonany został dnia 27 lutego b. r.; zaraz po nim, bo 8 marca, w domu hr. Augusta Potockiego danym był drugi, wraz z loteryą fantową i obrazami z żywych osób na dochód zakładów starców i kalek. Ponieważ osoby, które w obu tych koncertach udział brały, z małemi tylko wyjątkami były prawie te same: zatem uznaliśmy za rzecz najwłaściwszą podciągnąć je pod jedno sprawozdanie.

We wszystkich tego rodzaju koncertach, część muzyki wokalne j znacznie przemaga instrumentalną. Naprzód w ogólności, pomiędzy kobietami nie zbywa nam na pięknych głosach, a ukształcenie śpiewających mniej wymaga czasu i pracy: a potem, jakeśmy to już poprzednio wykazali (1), od lat wielu istniejące w niektórych kościołach chóry z samych prawie amatorów złożone, ułatwiają wielce wszystkie podobne przedsięwzięcia.

Pomiędzy amatorkami muzyki naszego miasta, pani Reszke posiada najwięcej rozgłosu, i nie bez słuszności: głos jej piękny i silny lubo niezbyt obszerny, mechanizm znacznie wyrobiony, sposób jego użycia pełen smaku, kształcony widocznie na wzorach włoskiej szkoły: jednem słowem metoda tak wyborna, że dla niejednej śpiewaczki byłaby już rękojmą świetnego artystycznego powodzenia. To też odśpiewanie arii z Freischütza, tego genialnego utworu znakomitego niemieckiego kompozytora, i Barkarolli z chórem z opery *Etoile du Nord* Mejerbeera na koncercie w Resursie, nic do życzenia nie pozostawia, a budzi tylko w nas żal, że tak rzadko szanowna amatorka obdarza licznych wielbicieli swego talentu podobnie szczęśliwie dokonanym wyborem dzieł przez siebie wykonanych: bo *cavatina* Mercadantego, zdaje mi się z opery *Eleonora*, chociaż dobrze wykonana na koncercie w domu hr. Potockich, nie mogła w zupełności zadowolnić tych, co mieli przyjemność słyszeć panią Reszkę śpiewającą w Resursie. Już te ciągle *cavatiny*, *canzonetty*, *cabaletty* i t. d. przestały oddawna być rzadkością dla naszych słuchaczy; zresztą są one polem popisu dla wszystkich początkowych śpiewaczek, od takiej zaś znakomitej amatorki, jak pani Reszke, wolno nam się czegoś innego, bogatszego w treść muzyczną spodziewać: tém więciej, że sama wyborem w Resursowym koncercie uczynionym, do tego wymagania nas upoważniła.

Wprawdzie pani R. miała zamiar wykonać arię Thomasa z opery *Le songe d'une nuit d'été*, lecz podobno fortepian przeznaczony do akkompaniamentu był tak nizko strojny, że trzeba było inny wybór uczynić. Wykonanie mazurka Nowakowskiego: *Ach! tyś spóźnił się!* jest tutaj wyjątkiem: bo chociaż to

(1) Biblioteka Warszawska za miesiąc luty 1856 r.

kompozycja mała, ale tak piękna i tak zawsze dla nas miła, gdyż uszczknięta na ojczyściej niwie, że wśród najpoważniejszych obcych utworów wdzięczną się nam wydać musi. W każdym razie, najmocniej przepraszamy złą amatorkę za powyższe uwagi; wiemy bowiem dobrze, iż gdy mowa o koncertach na ubogich, nie służy nam prawo narzucania zdań lub sądzenia krytycznego osób w nich udział biorących: lecz jedynie powodowani uznaniem niepospolitego jój talentu, i szczerém pragnieniem postępu ogólnego sztuki muzycznej u nas, ośmieliliśmy się takowe uczynić.

Żaden koncert amatorski nie obejdzie się bez uczestnictwa panny Cichorskiej. Piękny jój głos contr-altowy, tak rzadki w ogólności, kształconym był przez Dobrskiego u nas, a Lambertego w Medyolanie. Rady i uwagi takich nauczycieli musiały zbawiennie wpływać na wydoskonalenie organu, dlatego i znawcy nawet słusznie podziwiają wyborne prowadzenie głosu, deklamacją i sumienne wykonanie każdego ustępu, odśpiewanego przez tę utalentowaną amatorkę. Oprócz sekstetu Mozarta w którym panna C. udział wzięła w Resursie (o czém będzie niżej), na koncercie u hr. Potockich wykonała romans Belliniego z towarzyszeniem wiolonczelli, pod tytułem: *Sorgi o Padre*.

Panna Idzkowska posiada głos sopranowy miły i nadzwyczajnie czystego dźwięku. Z prawdziwą przyjemnością słuchano ustępów przez tę amatorkę wykonanych, a było ich trzy; w pierwszym czyli Resursowym koncercie: sekstet z *Poliuto* Donizettego, *Die Thraene*, *Kueckena* i *Angelo mio* Marianiego; a w drugim dwa, czyli arija z opery *Genoveffa del Brabante* Pedrotti, i część solowa w finale z *Westalki* Mercadantego. Pragnęlibyśmy tylko, by panna Idz. częściej nam się w podobnych koncertach słyszeć dawała, gdyż taki głos mile słuchanym zawsze będzie.

Do osób po raz pierwszy przed publicznością naszą występujących, najprzód policzyć należy panią hr. Maurycową Potocką. Opinia krążąca w kółkach muzycznych pochlebna była dla téj amatorki, a wykonaniem arii z opery *Vepres Sycyliennes* Verdego w Resursie, tudzież duettu Alarego *Giulio* z panem Negronim, i arii z chórem z *Przysięgi*, najlepszej opery Mercadantego, pani Potocka dowiodła, że w zupełności na takową zasługuje. Głos *mezzo-sopranowy* bardzo przyjemny, dosyć wyrobiony; sposób zaś wykonania, nawet wiele wymagających w tym względzie, dostatecznie zadowolnił.

Wystąpienie księżniczki Janiny Czetwertyńskiej na koncercie u hr. Potockich, słusznie było interesującym dla niektórych słuchaczy; Kuryer bowiem warszawski donosił kilka razy o nadzwyczajnym talencie téj amatorki, która już w kościele Pijarskim kilka razy słyszeć się dała, a mianowicie w modlitwie Stradelli. Księżniczka odśpiewała z p. Negronim duet

*buffo* z opery Donizettego, *Borgomastro*. Rodzaj ten rzadko u nas w podobnych zdarzeniach słyszany, nie wymaga głosu wielkiego, ale za to znacznej wprawy w wymawianiu języka włoskiego, pewności intonacyi, swobody w frazowaniu. Wybornym wzorem śpiewaka *buffo* był u nas przed dwoma laty Zucchini, a i p. Negroniemu potrzeba oddać sprawiedliwość, że oswojony jest z tym rodzajem śpiewu należycie, i umie go nauczyć: czego mieliśmy dowód w powyższym duecie, weale dobrze wykonanym. Przystępując teraz do ocenienia dwóch sekstettów wykonanych w Resursie, przyznać potrzeba, że osoby, które się ich odśpiewania podjęły, w sposób bardzo zadowolniający z tego się wywiązały. Pierwszy z *Peliuto* (panna Żylińska, pp. de Fryze, T. Zachorowski, Szymański, Einert, i Różniecki) nie przedstawiał zbyt wiele trudności: styl bowiem jego nadto przystępny i łatwy do wykonania, dla osób posiadających wiele wprawy do zbiorowej muzyki; za to drugi z Don Juana, Mozarta, zasługuje na bliższą rozwałę.

Żaden z kompozytorów nie jest w stanie wyrazić w muzyce z taką dokładnością najdelikatniejsze odcienia charakterów, uczuć i namiętności, nie szkodząc zarazem ogólnej całości w trudnych nieraz szczegółach obrazowania dramatycznego, jak Mozart. Jego Don Juan pozostanie na zawsze niezrównanym pod tym względem arcydziełem, i w najpóźniejsze czasy jedynym w doskonałości modelem. Dzieje muzyki nie przedstawiają nam doskonalszej organizcyi muzycznej nad Mozarta. Bogactwo i piękność pomysłów, ogromna wiedza i swobodne władanie wszystkimi jej tajnikami, były przyczyną, że każda chwila jego natchnienia nie będąc krępowaną trudnościami technicznymi, stwarzała arcydzieła w różnych rodzajach muzyki; a że w poetycznej duszy swojej posiadał niesłychane zasoby uczuć, ztąd w muzyce dramatycznej, której jest zadaniem jak najwierniej takowe malować, geniusz Mozarta jest najszczytniejszym.

Mozart mając lat czternaście, napisał w r. 1770 dla teatru *la Scala* w Medyolanie operę, pod tytułem *Mitridate re di Ponte*, i tamże była wystawioną doznawszy znacznego powodzenia. W trzy lata później dano drugą jego operę *Lucio Silla*, lecz te dwie opery utopione w powodzi licznych naówczas miejscowych kompozytorów, nie zwróciły na siebie wielkiej uwagi, i na tém się tylko ograniczyło powodzenie, jakiego we Włoszech, w kraju najwięcej muzykalnie wykształconym, doznał.

Około 1807 roku, kilku panów włoskich, których Napoleon ciągnął za sobą w kampaniach 1805 i 1806 r., słysząc w Mníchowie wiele dzieł Mozarta, zapragnęli, by ich ziomkowie takowe poznali; i w skuteko ich starania, postanowiono wystawić *Porwanie seraju*. Jednakże nie było to rzeczą tak łatwą jak się zrazu zdawało: bo chcąc wykonać taką operę, potrzeba, ażeby grający umieli dobrze czytać nuty, a przedewszystkiem, by w takt grać umieli. Nie byłato bowiem muzyka łatwo w ucho

wpadająca, któraby raz lub dwa razy posłyszawszy, napamięć już wszyscy umieli. Śpiewacy i orkiestra nie mogli sobie dać rady w tym oceanie nut, czerniących partyturę niemieckiego kompozytora; nie umiano ani wejść na czas w miejscu oznaczonym, ani taktu właściwego utrzymać. Przyzwyczajenie i lenistwo nie mogąc przełamać dawniej rutyny, ani pokonać niezwykłych trudności w tej operze zawartych, wzięło górę, i okrzyczano muzykę Mozarta jako *barbarzyńską!* I byliby ją zarzucili zupełnie, gdyby nie kilku młodych, bogatych i z pewnym znaczeniem ludzi, którzy powodowani uczuciem pychy narodowej, znajdowali, iż byłoby ubliżającym dla Włochów rzucać dlatego tylko muzykę, że się jej nie jest w stanie wykonać, jako zbyt trudnej. Zagrozili przytém antreprenerowi, że mu odejmą protekcją, jeżeli w mowie będącej opery nie wystawi. Nareszcie wykonano dzieło Mozarta. Biedny Mozart! niepodobna sobie wyobrazić, co się działo na tém przedstawieniu. Wszystkie większe ustępy, a nadewszystko finały w takim nieładzie, rozprzężeniu i niezgodzie były oddane, iż zdawało się, że całe piekło sprzysięgło się na uszy słuchaczy. Oburzenie publiczne było tak wielkie, prasa tak gwałtownie wystąpiła przeciwko nieszczęśliwemu Mozartowi, że imię jego stało się postrachem dla amatorów spokojnej, lekkiej a słodkiej muzyki Paisiela, Zingarelli, Fioravanti, Sacchini i t. d. Więc o wystawieniu Don Juana i myśleć nawet nie można było, a ktoby się z tém odezwał, za złe myślącego Włocha byłby niezawodnie okrzyknięty!

Jednakże pewien magnat lombardzki odbierając wówczas bardzo często listy z Wiednia, w których pisywano o Mozarcie, jako o największym kompozytorze na świecie, postanowił koniecznie położyć tamę przesądom i uprzedzeniom tak silnie rozwiniętym względem twórcy Don Juana. W tym celu dobrał kilku najlepszych wirtuozów, jakich mógł znaleźć w Medyolanie, zamknął ich w swym pałacu, a otoczywszy dostatkami i przepychem, kazał im pracować w nadzwyczajnym sekrecie nad ważniejszymi ustępami Don Juana. Gdy w przeciągu sześciu miesięcy byli w stanie wygrać takowe w takcie i bez zmyłki, dobrał stosowną liczbę śpiewaków i śpiewaczek, zaleciwszy im również jak największą tajemnicę. W ośm tygodni dzieło było gotowe i sam ów amator począł w mieście wspominać o możliwości wykonania Don Juana, i że on tego tak trudnego przedsięwzięcia podejmuje się dokonać. Całe miasto z niedowierzaniem o tej excentryczności bogatego melomana mówić zaczęło. On sam wyzywał na zakłady, utrzymując, że każe odegrać ważniejsze miejsca Don Juana, i że spuści się na sąd znanych powszechnie ludzi, zdolnych w podobnej rzeczy wyrokować: a pewnym jest naprzód, że oddadzą sprawiedliwość Mozartowi, który tyle przynajmniej wart, co Mayer i Paër, wzięci bardzo w tamtych czasach kompozytorowie niemieccy we Włoszech. *Umierano ze śmiechu* słysząc tak zuchwałe twierdzenia. Nare-

szenie nadeszła chwila przez wszystkich z największą niecierpliwością oczekiwana, i w mieszkaniu wiejskiemu bogatego amatora, z niesłychanym powodzeniem wykonanie nastąpiło. Zdarzenie to stało się głośnym w całych Włoszech, i zaraz w Rzymie około 1811 roku przedstawiono Don Juana. Prawda, że z orkiestrą długi czas rady sobie dać nie można było, lecz jakoś pomalutką wprawiono się w egzekucyę. Później w 1814 w teatrze *la Scala* taż opera z zapalem była przyjęta, i od tego czasu, Mozart przestał być dla Włochów *barbarzyńcą*. Chociaż utwory tego genialnego kompozytora nie wzbudzały tamże nigdy takiego entuzjazmu, ani nie stały się tak popularnymi, jak niektóre Rossyniego, Donizettego a nawet i Verdeggo, podziśdzien atoli imię Mozarta we Włoszech szanowane jest powszechnie.

U nas, Don Juan nigdy także nie wywoływał wielkiego zapalu w publiczności; ogół uznaje geniusz Mozarta, wierząc bliżej wtajemniczonym w jego nieśmiertelne dzieła; lecz przecie nasi amatorowie kiedyniekiedy wykonywając pomiędzy sobą niektóre ustępy z Don Juana, oswoili się z tą kompozycyą, a na koncercie w Resursie odśpiewali sekstet z drugiego aktu, słusznie za arcy-dzieło w swym rodzaju uważany.

Leporello przebrany w suknie swego pana, wchodzi do domu donny Elwiry, która go przyjmuje w swe objęcia, sądząc, że to jej małżonek. Podczas gdy Leporello szuka drzwi, by się mógł wymknąć przed grożącym mu niebezpieczeństwem, wchodzi donna Anna, don Ottawio, Zerlina i Masetto: wszyscy rozgniewani na Don Juana; i w chwili gdy się chcą pomścić na sprawcy wszystkich nieszczęść swoich, Leporello się odkrywa i kim jest wyznaje... Okrzyk zadziwienia wyrażony cudowną modulacyą, grupuje rozpierchłe głosy, i po nim idzie prześlizgnięty ustęp, pełen uczonej kombinacyi głosów. By wyrazić czułość Elwiry, głęboki smutek Anny, tkliwość zboląłego serca don Ottawio i Zerliny, wściekłość Masetta i tchórzostwo Leporella, tak różnych w odcienia uczuciowe; wyrazić powtarzam z taką nadzwyczajną dokładnością, tylko takiemu mistrzowi jest dane. Wykonanie tego sekstetu, należącego do większych i trudniejszych numerów w Don Juanie, było staranne, pod względem czystości intonacyi bardzo dobre, a najważniejsza, że to, co niegdyś najbiegłszemu w muzyce narodowi było prawie niedostępne do wykonania, nasi utalentowani amatorowie, to jest, panny Cichorska, Idzkowska, Żylińska, tudzież panowie de Fryze, Izbiński i Roźniecki, jedną tylko próbę zrobiwszy, wykonali i wywiązali się z zadania w sposób nadzwyczaj dla nich zaszczytny.

Więc, jak widzimy, muzyka wokalna, która zawsze większą część naszych koncertów amatorskich stanowi, godnie była reprezentowaną; wprawdzie niewiele nowych rzeczy w programach się znajdowało, i niewiele nowych talentów przed publicznością się ukazało, ale za to muzyką instrumentalną pod tym



ostatnim względem była ciekawszą. Oprócz fortepianu, słyszeliśmy skrzypce f wiolonczellę, najpiękniejsze, najtrudniejsze i najrzadziej dające się słyszeć na amatorskich koncertach instrumenta.

Panny Halpert i Młodecka należały w domu hr. Potockich do wybornego odegrania uwertury z Oberona na dwa fortepiany, wraz z panami Noch i Peschke (1). Następnie w drugiej części tegoż koncertu, panna Młodecka odegrała z niepospolitą wprawą fantazyę Thalberga z Hugonottów. Tamże młody amator p. Jaworski, uczeń p. Hornziel'a członka orkiestry Teatru Wielkiego, po raz pierwszy wykonał na skrzypcach waryacje Beriota. Dobra szkoła, czysta intonacya, są to zalety, które wiele na przyszłość rokują. To samo można powiedzieć o Marcellim Le Brun uczniu p. Hermana, z tą tylko różnicą, że młodzieńki ten amator, jedenaście lat mający, stosunkowo nad wiek swój więcej posiada mechanizmu na wiolonczell jako tego spodziewałyby się wypadało. Odegrał on barkarollę z towarzyszeniem fortepianu kompozycyi Lee. Przyjęcie jakiego doznał było nagrodą za pracę, i powinno wzmocnić go jeszcze w zamiłowaniu do muzyki. Najwięcej zajęcia wzbudziło wystąpienie pana Kleczyńskiego. Fortepian lubo znanym jest powszechnie i oddawna żaden amatorski koncert bez niego obejść się nie może, lecz że na programie w Resursie czytano, iż pan K. wykona Adagio i Allegro z koncertu F. *minor*, utwor znakomitego ziomka Chopina, ciekawość była powszechną. I w istocie, gra tego utalentowanego amatora należy do rzędu wyższej egzekucyi.

Adagio czyli *largetto* było tak pięknie odegrane, każdy frazes w recitativach tak dobrze wypowiedziany, tudzież taka miękkość w legatach, bez których nie ma dobrego wykonania w kompozycyach Chopina, a przedewszystkiem passażę szczególnie w Allegro, którego, mówiąc nawiasem, tempo było cokolwiek zażywe, jasne i zrozumiałe: że z prawdziwą przyjemnością słuchano p. Kleczyńskiego, a niemałą ma w tém zasługę p. Krzyżanowski, bo taki uczeń będąc wiernym odbiciem pojęcia i wiedzy nauczyciela, prawdziwy zaszczyt mu przynosi.

Tylko co wymienieni młodzi amatorowie, pierwsze swe kroki w świecie muzykalnym, pierwsze swój pracy owoce, złożyli na ołtarzu cierpiącej ludzkości. Dobra to wróżba dla nich samych: ofiara taka miłą jest Bogu i ludziom; sądzę nawet, że pomimo dowodów współczucia i zachęty, poklaskiem słuchaczy okazanych, w sercu swoim znajdują dostateczne wynagrodzenie z chwalebnie spełnionego uczynku. Nam zaś miło jest notować tak widoczny u nas postęp w muzyce instrumentalnej. Od

(1) Pan Noch, starannym urządzeniem i dyrygowaniem koncertu Resursowego, zyskał sobie niemałą zasługę; również jako i p. Peschke, przewodniczący muzyce u hr. Potockich;

dawnego czasu, oprócz śpiewów i fortepianu, nie słyszano na koncertach amatorskich innej muzyki; dzisiaj, jak tego mamy świeże dowody, pojawiają się skrzypce i wiolonczella: a zatem kółko zwykłych popisów zaczyna się rozszerzać. Upodobanie i chęć kształcenia się na tych narzędziach wzrasta, i śmiało patrzymy w przyszłość dziejów muzyki amatorskiej, bo zaprawdę nie zbraknie jej żywiołów do egzystencji: a ponieważ celem jej zwykle jest niesienie pomocy biednym i cierpiącym, podwójnie więc z tego się cieszymy.

A teraz niech nam wolno będzie poczynić niektóre uwagi dotyczące się muzyki w ogólności.

Już w rozbiorze Doręcznika muzycznego mówiliśmy o potrzebie staranniejszego kształcenia się w muzyce. Zdaje mi się, iż dzisiaj dostatecznie wszyscy pojmują, że muzyka nie jest prostą tylko zabawką, że ma ona cel wyższy. Jako jedna z sztuk za pośrednictwem tonów do duszy naszej przemawiająca, jako jedyny język łączący duszę naszą z światem nadzmysłowym, zasługuje na bliższe, godniejsze poznanie: a do tego przyjsć tylko możemy, wnikając za pomocą nauki w jej zasady, prawa, znaczenie, bo im dalej posuwać się będziemy na drodze doskonałego kształcenia, tém silniej wzmagać się w nas musi pragnienie poznania tajników uroczej dziedziny sztuki. Więc dopóki muzyka różnostronniej uprawiana nie będzie, trudno zaiste wymagać postępu. Wszędzie tylko słyszymy fortepian, wszyscy na nim grać pragną, jak gdyby nie było innych, również wdzięcznych, a nawet piękniejszych nad niego instrumentów. Słusznie płeć piękna jego sobie upodobała i jemu się poświęca, bo jest łatwiejszym od wielu innych narzędzi muzycznych, sam w sobie zupełniejszy, i dla skromnej niewiasty, której świat cały jest niejako w szczupłym kółku ścian domowych zawarty—najwłaściwszy. Lecz zdaniem mojem, mężczyźni, silniejsi i wytrwalsi fizycznie, przeznaczeni do obszerniejszego działania i wpływu na rzeczy dotyczące się sztuki i umiejętności, powinni by innemi drogami zmierzać do zaspokajania i dogadzania skłonnościom muzycznym. Za granicą łatwo jest zebrać z samych amatorów orkiestrę nawet; u nas, oprócz pewnej liczby grających na skrzypcach, zaledwie dwóch lub trzech jest amatorów flotrowersu, klarynettu lub wiolonczelli: oto wszystko, co posiadamy, a zatem nie można myśleć o skompletowaniu większej muzyki, tak każdy garnie się do fortepianu. Nie ma domu, gdzieby nie było jednego lub kilku nawet tych instrumentów. Jęczą biedne fortepiany pod nawałem palców, jak grad sypiących się na klawisze, dopóki nie ochrypną ich dźwięki; by je oddawszy na kuracyą w ręce fabrykantów, na nowo pod naciskiem niemiłosiernych dłoni głosy wydawały. Smutne jest nieraz przeznaczenie tych pięknych instrumentów! W domach, gdzie liczna dziatwa, a mianowicie na pensjach, gdzie wielu uczniów lekcy muzyki pobiera, po całych dniach bez litości się z nimi obcho-

dzą. A przecież, we mnie przynajmniej, widok instrumentu obudza tę myśl, że ponieważ w każdym odgłosie z głębi jego wnętrza wychodzącym tyle jest czasem życia, tak silnie nieraz do duszy naszej przemawia, iż zdaje się, jakoby twórca jego zostawił w nim cząstkę swego ducha, oczekującą tylko na dotknięcie biegłej ręki, by znak życia okazać! Znakomity kompozytor i krytyk francuzki Hektor Berlioz, w dziele pod tytułem: *Les Soirées de L'Orchestre*, przytacza zdarzenie osnute na tle fantastycznej wyobraźni, które ze względu na jego oryginalność, czytelnikom naszym opowiemy.

....., Oto fakt w całej niewytłumaczonej i strasznej prostocie. Gdy się konkurs w Konserwatoryum rozpoczęły, Auber dnia tego zdecydowany na wszystko, ogłosił popis na fortepianie. Dzielni i wytrwali sędziowie nie okazali żadnej oznaki przerażenia, chociaż ich uwiadomiono, że jest trzydziestu jeden kandydatów, których słuchać mają: czyli ośmnaście kobiet i trzynastu mężczyzn. Koncert Mendelssohna *G minor* wybrany został na konkurs. Więc kolejno trzydzieści jeden razy koncert ma być odegrany, chyba, że który z grających dostanie ataku apopleksyi. Lecz ja nie będąc tak nierozsądnym, bym się miał znajdować na podobnym posiedzeniu, dopiero w kilka godzin później przechodząc przez dziedziniec Konserwatoryum, słyszę, jak jeden z uczniów mówi te słowa:

— Ach! biedny Erard! co za nieszczęście!

— Erard, cóż mu się stało?

— Jakto! więc pan nie byłeś na konkursie fortepianowym?

— Oczywiście że nie: ale cóż się stało?

— Wyobraź pan sobie, że Erard był tak dobrym, iż na ten dzień pożyczył nam przepyszny fortepian, który tylko co skończył; i tak był z niego zadowolonym, że postanowił go wysłać na wystawę powszechną. Ton piekielny, bass jakiego nigdy nie słyszano: jednem słowem instrument nadzwyczajny. Klawiatura była nieco zaciężką, lecz właśnie dlatego nam go udzielił. Erard zna swoją rzecz i ma doświadczenie; powiedział sobie: trzydziestu jeden uczniów grających koncert, rozruszają moje klawisze, i to im na dobre wyjdzie. Tak, tak, lecz nie przewidział biedny człowiek, że jego klawisze rozruszają się w sposób tak straszliwy. Jeden koncert wykonany trzydzieści jeden razy z rzędu tego samego dnia! Kto mógł się spodziewać skutków podobnego powtarzania? Pierwszy uczeń, który wystąpił, dociągnął jakoś do końca, nie żałując ręki na tak ciężkim fortepianie; drugi, to samo; trzeciemu, instrument nietyle się już opierał; piątemu mniej jeszcze. Nie wiem jak się wydał szóstemu, bo w chwili gdy się zbliżał do niego, pobiegłem szukać eteru dla jednego z naszych sędziów, któremu się słabo zrobiło. Siódmy kończył, gdym wrócił, i słyszałem jak mówił idąc po skończeniu za kulisę: „Ten fortepian nie jest tak ciężki, jak mówiono: przeciwnie, znajduję go wybornym. Dziesię-

ciu, albo dwunastu konkurentów tego samego było zdania, z tych zaś ostatni zapewniali, że nietylko nie jest wcale ciężkim w dotknięciu, lecz nawet bardzo lekkim.

Okolo godziny trzy kwadranse na trzecią, doszliśmy do numeru 26, a zaczęto o dziesiątej; teraz przyszła kolej na pannę Hermancyą Lévy, która niecierpi ciężkich fortepianów. Nic więcéj nie mogło być dla niéj sprzyjające: każdy się skarzył w téj chwili, że nie można było dotknąć klawisza, ażeby się zaraz nie odezwał; to téz tak nam lekko odegrała koncert, że odrazu otrzymała piérwszą nagrodę, a jeżeli mówię odrazu, to się ma znaczyć, że panny Vidal i Roux równiez były uznane za godne z nią nagrody (1). Te dwie panny korzystały wiele z lekkości klawiatury, lekkości posuniétej do takiego stopnia, że dmuchnąwszy z wierzchu w klawisze, głos można było wydobyć. Widziano téz kiedy podobny instrument? W chwili gdy mieliśmy słuhać nr. 29, jeszcze raz wyjść byłem zmuszony dla wyszukania doktora, bo drugi z naszych sędziów zrobił się tak czerwonym, iż trzeba było koniecznie krew mu puścić. Konkurs na fortepianie—to nie ma z czém żartować! Właśnie w sam czas doktor przybył. Gdy wrócił do *foye* z teatru, spotkałem się z nr. 29; mały Plauté, cały blady, trzęsący się od stóp do głowy rzekł: „Nie wiem, co się fortepianowi zrobiło, lecz klawisze same się poruszają. Moznaby przysiądz, że się kto ukrył w środku i pałeczki podnosi. Ja się boję.—Dajesz pokój, malcze, odpowiedział mały Cohen trzy lata od niego starszy.—Puść mię, zobaczysz, że ja się nie boję. Cohen (nr. 30) wchodzi na estradę, siada przy fortepianie, nie patrząc nawet na klawisze gra cały koncert doskonale; i po ostatnim akkordzie, w chwili, gdy wstawał, patrzymy: aż tu sam fortepian zaczyna grać koncert! Biedny chłopiec jakiś czas zucha udawał; lecz po chwili osłupienia, drapnął co miał siły z estrady. Odtąd fortepian, którego głos wzrastał co chwila, począł wygrywać gammy, trylle, arpedzie. Publiczność nie widząc niktogo przy instrumencie, a słysząc go wydającego tony dziesięć razy mocniejsze niż piérwej, zaczęła się poruszać z miejsca; jedni się śmieli, drudzy trwożyli: wszyscy byli mocno zdziwieni, jak to łatwo się domyślić. Jeden tylko sędzia z głębi łoży nie mogąc dojrzeć estrady, a myśląc, że p. Cohen zaczyna koncert na nowo, wrzasnął: „Dosyć! dosyć! dosyć! przestań już! Niech wejdzie nr. 31 i ostatni.” Byliśmy zmuszeni wołać do niego: „Panie sędzio, nikt nie gra; to fortepian tak się wyuczył koncertu Mendelssohna, że sam go wygrywa bez niczyjéj pomocy. Niech pan zobaczy”. „Doprawdy, lecz to nieprzyzwoicie: przywołajcie Erarda. Spieszcie się! może będzie w stanie pohamować

(1) Panny H. Lévy i Roux, fortepianistki wysoko bardzo dzisiaj cenione w Paryżu.

ten okropny instrument." Szukamy Erarda. Przez ten czas, rozbójnik fortepian skończywszy koncert, zaczął go znów od początku na chwilę nie ustając, i ciągle, ciągle z coraz wzrastającym wrzaskiem, jak gdyby na czterech tuzinach fortepianów grał unisono: passażę, tremolle, gammy w sekstach, tercye w podwójnych oktawach, akkordy kolumnowe, potrójne trylle, pedał forte, powódź tonów, Belzebub i cała rzesza diabłów. Erard wbiega, lecz nie wie co ma robić: fortepian, który sam siebie nie poznaje, i jego także znać nie chce. Kazał przynieść wody święconej pokropił klawisze—nic nie pomaga: dowód, że tam czary miejsca nie miały, i że to był tylko skutek naturalny trzydziesto-krotnego wykonania jednego i tego samego koncertu. Otworzyli instrument, wydobyli klawiaturę, która ciągle się ruszała; rzucili go na środek dziedzińca, gdzie p. Erard oburzony i zagniewany kazał go porąbać siekierą w drobne kawałki. Lecz co się dzieje: każdy kawałek tańczy, skacze, trzęsie się na bruku; rzuca się pomiędzy nasze nogi, odbija się od muru i to tak dalece, że aż ślusarz blisko mieszkający pozbierał cęgami całą tę wścieklą mechanikę i rzucił ją w ogień swój kuźni. Biedny Erard! tak piękny instrument! Nam wszystkim z żalu serce się krajało. Ale cóż, tym tylko sposobem można się go było pozbyć. Trudno, ażeby trzydziści razy z rzędu odegranego koncertu w ciągu dnia jednego, fortepian nie nauczył się napamięć. Zaprawdę, Mendelssohn nie powinien się uskarżać na brak egzekutorów swoich, kompozyj; lecz jakieżto oplakane skutki pociąga za sobą!

M. K.

(Dokończenie nastąpi).

*List otwarty Wacława Alexandra Maciejowskiego do redakcyi Biblioteki Warszawskiej, z powodu wzmianki w jej piśmie przez p. Alexandra Tyszyńskiego o najnowszém dziele jego uczynionej.*

Szanowna Redakcyo!

Prosił mnie jeden ze znajomych, ażebym mu poufnie objawił swe zdanie o przypisku, który p. Tyszyński do artykułu swego „o krótkich wiadomościach z dziejów piśmiennictwa polskiego”, do Biblioteki Warszawskiej (1) podanego, zrobił, i w nim o *Piśmiennictwo też moje w Warszawie u Orgelbranda 1851—2* w trzech tomach wydane zawadził. Odpowiedziałem mu przysłowiem

(1) Poszyt marcowy z r. b. stron. 591, 592.

wielkopolskiem „że się nie zda i psu na budę” co tam napisał szanowny autor Amerykanki w Polsce, i że wiedząc o tém dobrze, jak jest stronny w swych zdaniach, raz na zawsze u siebie postanowiłem nie zważać na nic, cokolwiek o mnie powie. Ale nie przestał na takiej odpowiedzi mój znajomy, i owszem odparł ją temi słowy: „że się nie pisze na to, com wyrzekł: bo jeżeli za nic sobie ważyć co kto powie o mém dziele, to może znajdą się tacy, którzy słowa p. Tyszyńskiego wezmą za coś; milcząc więc utwierdzą ich w mniemaniu, żem w najnowszym swém dziele istotnie popełnił rażące błędy; że, jak mi autor Amerykanki zarzuca, ułożyłem dzieło o literaturze polskiej nie praktycznie, nie opowiedziawszy jój historii ani koleją gałęzi nauk, ani epok, lecz koleją jakowąś, którą raz zwrotami, a drugi raz obrotami nazywam i t. p.”

Uznawszy więc słuszność uwag tych, przerywam milczenie, by wykazać: że autor Amerykanki przekreślił znowu, com o literaturze, którą od piśmiennictwa odróżniam, powiedział; że myśli mój o zwrotach i obrotach literatury jak należało nie przedstawił; że o ścisłym łączeniu się polskiej literatury z łacińską dobitnie w dziele mém wyrażonem przemilczał, ani powiedział, dla jakich to przyczyn pisarzy jednych w pierwszym, innych zaś, a między nimi Wujka i Orzechowskiego, w drugim stawiam rzędzie.

Nie ma literatury ten naród, który, jak dotąd Madziarowie, a nawet niejeden z ludów słowiańskich, pisaniną zabawiając się zwyczajną, nieczem artystycznie i w duchu narodowości swój obrobionem poszczycić się nie może. Bo, że przykład na to z poezyi wezmę, nie dosyć jest wyśpiewać pieśń na nutę narodowi właściwą, nie dosyć przedstawić w niej obraz rodowości i narodowości najwyrazistszy: ale powinna jeszcze pieśń przedstawić się tak, że najściślejsze wymaganie krytyki nie mogłoby jój odmówić miejsca w rzędzie arcytworów europejskiej literatury. Ciągnie się przez wieki pieśń polska, zawsze taż sama, zawsze narodowa; ale niezawsze odznaczająca się artyzmem. Sam nawet artyzm bywa różny, gdyż w miarę stopnia cywilizacyi narodu postępuje i wstecz się cofa, czyniąc *zwroty*; które, nie mając oznaczonych ram czasu, zachodzą za siebie, spływają jak bałwany wód, albo fale obłoków, lub jak barwy przedstawiającego się w różnym załamaniu światła, jaśnieją. Troiste są one w literaturze każdego ludu, do pewnego przynajmniej stopnia już rozwiniętej, która jeżeli za takową uchodzić zechce, powinna mieć w sobie zwrot ludowej poezyi, wykazujący, jak się w ustnym śpiewie ludowa objawiła pieśń; jak ją wlewano na papier, (*piśmiennictwo*), jak wlewając w nią artyzm, używano za tło do dzieł w duchu prawdziwie narodowym pisanych (*literatura*). Powiedziałem, jak poezya polska pod tym uważana względem, uczyniła do wieku XVII postęp; jak w tymże wieku cofnawszy się wstecz, olbrzymi zrobiła znowu krok za naszych czasów. Nie będąc bowiem pewny, czy siły starczą na to, com przedsięwziął, podałem, po obszernym poezyi tój aż do r.

1650 wykładzie, główne zarysy dalszego kierunku zwrotów téjże poezji do wieku XIX rozwiniętej. Co p. Tyszyński wyopaczywszy rzekł: „że miłość polemiki tak mnie dalece uniosła, iż mówiąc o wieku XVI nie oparłem się aż o lata obecnie wpływające.”

Nie ma dziś w Europie narodu, któryby choć piśmiennictwa nie miał: że zaś są takie ludy, u których się nie dopatrzysz literatury, przyczyna tego leży w piszących, ilekroć ci pisarkami są tylko, na pisarzów nie ukształtowawszy się jeszcze. Pisarzami zaś nazywam tych mężów, którzy porwani od ducha czasu, przebiegali niezmiernie naukę pole w rozlicznym kierunku, czyniąc na niem *obroty* w różnych gałęziach nauk i umiejętności, tudzież w sztukach pięknych. Prace ich zamknij w epokach historyk-szkolarz; historyk-pragmatyk, jakich mieli starożytni Grecy i Rzymianie, nie uczyni tego, lecz ujmie ją dla dogodności czytelnika w pewne ramy, którym zwroty za przestwor naznaczywszy bytu, oznaczy przez nie postęp lub wsteczną literatury dążność. To też dzisiejsi historycy zarzucają epoki, jako szkolarstwa zabytek.

Tylko piszących w ojczystym języku miał nasz naród za pisarzów prawdziwie polskich. Jeżeli w obcym wyborze pisali dzieła, był im wdzięczny za to, ale do rzędu cudzoziemskich policzał ich. Los ten spotkał Orzechowskiego, który piękne po łacinie a liście po polsku pisał dzieła. Nieraz, bo niezawsze, skorzystał z jego światła naród, ale pośrednio tylko. O nim, jako o mądrym po łacinie Polaku, nie mogąc wiele mówić w samém dziele, odesłałem go do dodatków, które da Bóg nastąpią. Tam też będzie i o tych Polakach, którzy po niemiecku lub po francuzku pisali. Tylko o nich bowiem godziło się mówić w samém dziele o tyle, o ile z nich który zrosł się że tak powiem z piśmiennictwem lub literaturą ojczystą, o ile wzorem się stał dla piszących po polsku i t. p. (Marcin Kromer niech posłuży za przykład). Ale o tych, którzy dlatego tylko po łacinie pisali, ażeby ich czytała zagranica, którzy w pisaniu szukali próżnej dla siebie chwały, nie dbali o swój naród i t. p. o tych nie można było rozprawiać nie powiedziawszy wprzód o polskich w ogóle wszystkich, ilukolwiek zaznać z nich mogłem. Bo chociaż największa część pisarzów niższego rzędu ojczystej używających mowy, była podobną do trutki, które chodząc około pszczoł roboczych służą im do rozplodnienia jedynie; i chociaż pisarze ci, niby owe trutki, są przeznaczeni na to, by rozsiewali po świecie myśli autorów genialnych, nie będąc sami w stanie utworzyć coś znakomitego, coś godnego, coś przyjemnego; nie zdolni ni wosku ulepić na świecę ofiarną dla ołtarza Pana zastępów niebieskich, ni miodu zrobić na posmak dla ludzi: jednakże był i z tych pismaków a nawet bazgraczy większy, niż z piszących liście broszury łacińskie pożytek. Ich prace bowiem przydały się przynajmniej dla grammatyka, dla frazeologa; a tych, zwłaszcza też nadętych panegirzystów, jałowych moralistów, czczych publicystów i po-

lityków prace, jakich krociami natworzył nam przez swe pisma Orzechowski, istnych, jakim był sam, warchołów, nikomu się nie przydały na nic. Jeden tylko zbieracz barbaryzmów łacińskich mógł ztąd nagromadzić jakowy zasób dla przyszłego Diukanża polskiego (1). I o tychto piśmiślach miałem się rozpisywać równie troskliwie, jak o pismach i pisemkach polskich?

W tymże, co Orzechowskiego rzędzie położyłem Wujka, a położyłem przeto, że nie artystycznego nie utworzywszy, nie mógł stanąć w pierwszym poczcie pisarzów. Czemże się bowiem odznaczył Wujek?—pracowitością, a niczém więcej. Przyznaję, że i przez to położył dla piśmiennictwa polskiego zasługi wielkie, za co też nie szczędziłem mu pochwał; ale że się nad poziom nie wznosił, że nie miał oryginalnych pomysłów, że nie był w stanie dać polotu swój myśli, przeto musiał stanąć poza Skargą, i pomieszczonym być w drugim rzędzie. Lecz przypatrzmy się szczegółowi temu, jest on bowiem niemałej w historii piśmiennictwa i literatury wagi.

Pisarkowie i pisarze dawali obrot zwrotowi, czyli raczej dawali go drudzy sami od siebie, a pierwsi wtedy tylko, jeżeli pacholując tamtym, służyli do rozplodnienia wielkiej ich myśli. Wszelako i piśmiennictwo, nawet nie kierujące się lub kierujące mało wielkich pisarzów myślą, miało swoje zasługi, swoje obroty, ilekroć pochodziło od mężów, którzy jeżeli nie artyzmem, to nauką i wysłowieniem celowali. Pod tym uważany względem Wujek, wyższym jest od wielu pisarzów innych, i chociaż artystą nie jest, nie może być na téj, co Piotr Moskorzowski ważony szali. Lubo o tym Piotrze, tam, co i o jego ojcu, a więc przy pisarzach pierwszego rozprawiałem rządu, przecież wyraźnie oświadczyłem tamże, że go tu jedynie przeto położył, iż wydawał dzieła tejże treści co Moskorzowski Jarosz. Daleko mu wszelako było do nauki jaką Wujek posiadał, do stylu jakim ten pisał. Tak też obok Marcina Bielskiego, obok Jana Kochanowskiego położyłem innych Bielskich, innych Kochanowskich, z wyraźnym nadmienieniem przyczyny, dla której o nich w tém mówić chciałem miejscu.

Minął się szanowny autor Amerykanki i w tém z prawdą, co o niepraktyczności wykładu mego, o różnicy piśmiennictwa a literatury ludowej, o miłości jaką ku polemice mam, powiedział. Baczny czytelnik rozważywszy rzecz należycie odgadnie łatwo, kto z nas praktyczniejszy: czy on, który za epokami, czy ja, który za zwrotami i obrotami obstaję. Pochlebiam sobie, że i tego nie powię, jakobym raczej dla tych, co już literaturę polską znają, niż dla tych co ją poznać chcą, miał pisać; jakobym nie przedstawił literatury polskiej ani koleją gałęzi i nauk, ani epok: jest bowiem u mnie jedno i drugie, a jest jak sobie pochlebiam praktyczniej, niż u moich poprzedników wyłożone. O epokach już myśl

(1) Du Cange zebrał słownik barbarzyńskiej łaciny.



moję objawiłem, o gałęziach nauk dosyć powiedzieć, że wykazawszy w tomie pierwszym co każdy z osobna uczynił pisarz, opowiadałem następnie w drugim, co uczynili dla oświaty w ogóle, gdy się wszyscy wzięli za ręce, i gdy znowu każdy z nich oryginalnie się wyrażał, czyli po swojemu *obracał się w każdym zwrocie*. Obrót więc częścią będąc zwrotu tyloraki jest, ile jest gałęzi nauk. Rozważając je, przeszedłem tém samym każdą naukę. Kto myśleć umie i lubi, dowie się z tychże zwrotów i obrotów, jaki był początek piśmiennictwa naszego, jaki rozwój i postęp; a dowiedziawszy się, fałsz zada twierdzeniu; „że ja przystępując do opowiadania historii literatury, przypuszczam w swym czytelniku poprzednią znajomość swego przedmiotu, i zamiast opowiadać go, zajmuję się tylko polemiką niektórych szczegółów, po fakta zaś odsyłam zwykle do pism innych; że z dzieła mojego nie pozna czytelnik literatury polskiej; że nie pozna ani jój biegu historycznego w ogóle, ani historii jój gałęzi.”

I w tém się szanowny autor Amerykanki pomylił, co o ludowej literaturze powiedział, twierdząc: „że ta literatura, a piśmiennictwo, są to według tego, jak obie przedstawiłem, dwa jednoczesne i równoległe przez wszystkie wieki kierunki;” bo i owszem są to różnoczesne i różnoległe zwroty. Dosyć spojrzeć na broszury w trzecim wymienione tomie, dosyć zawarte w nich piosnki z Sobótką Jana Kochanowskiego zestawić razem, i znowu tę z Sobótką Seweryna Goszczyńskiego porównać, ażeby się przekonać o tém, że pieśń ludowa przechodząc z piśmiennictwa w literaturę, czyniła rzeczywiście postępy wielkie i czyni je dotąd. Toż samo się działo z klechdą. Przedstawiając i tę przez zwroty i obroty, wykazałem usiłowałem, jak ją sobie obrazował lud; jaką w tém obrazowaniu odgrywała jego wyobraźnia rolę; i jak mylnie zaprzeczali utworom tego rodzaju historyczności pisarze dzisiejsi, niby bijąc w to: że we wszystkiém, co sobie opowiadał lud, wyobraźnia główną odgrywała rolę, a rzeczywistości w pogadankach jego nie było i nie ma żadnej.

Nie ja, ale owszem autor Amerykanki dowiódł tego na sobie, że się od miłości polemiki dał owładnąć zupełnie. Ja, pamiętny na to, co rzekł przed wieki Rzymianin, mówiąc: „pomyśl nad tém, co masz przedsięwziąć, nie chwytaj za myśl lekkomyślnie, ale gdy pomyślisz przystępuj rąco do dzieła” (1); na to, mówię, pomnąc, nie puszczałem nigdy w obieg méj myśli, pókim jój nie rozważył i nie wytrawił w sobie: ale wtedy bronilem jój statecznie, dopóki mi ktoś nie dowiódł, że i on długo nad tą samą dumając myślą, znalazł ją błędną. Wtedy ustępowałem już, i nie spierałem się o to, by mieć koniecznie ostatnie słowo. Nigdy też nie groziłem pismu, dla którego pracowałem, że go od-

(1) *Nam priusquam facias cogita, et postquam cogitaveris mature facto opus est.* (Salustius w *Katyliny* życiu).

stąpię, gdy w kolumnach swych nie otworzy dla mnie miejsca, a nie zamknie go dla przeciwnika mojego. Myślałem bowiem, że ludzie nie są w ciemną bici i poznają się na farbowanych lisach, że wyjaśni się prawda, i jeżeli nie zaraz, to później oceniona należycie będzie.

Raczy szanowna Redakcyja umieścić w swém piśmie to moje poufne wyznanie. Uczyniłem go k'woli nalegania o to na mnie, uczyniłem na usilne prośby, uczyniłem niechętnie; bo lepiej było na coś inszego obrócić ten czas, aniżeli marnotrawić go, wyjaśniając rzecz, samą z siebie, jak rozumiem, jasną.

Pisałem

w Warszawie, w miesiącu maju 1856 r.



## WIADOMOŚCI

### na drodze postępu nauk przyrodzonych.

---

*Przyrząd ciepłorodny bez ognia, przez pp. Beaumont i Meyer.*

**W**ydawca pisma czasowego *Cosmos*, ksiądz Magno, unosi się nad wynalazkiem przyrządu rodzącego ciepło (*thermogène*) panów Beaumont i Meyer, znajdującego się na wystawie paryzkiej; podziwia pomysł przyrządu, z którego strumień pary gwizdząc uchodzi, a nie wymaga paliwa i ognia.

Przyrząd to jednak prosty, i w niewielu wyrazach tu go opisujemy: kocioł cylindrowy z grubej blachy żelaznej, długi 2 metry ( $6'6\frac{1}{2}$  angiel.); średnicy 50 cent. ( $18\frac{1}{2}$ " ang.); środkiem niego przechodzi rura miedziana nieco ostrokąrkowa, w jednym bowiem końcu ma 35 cent. ( $13\frac{3}{4}$ " ang.); a w drugim 30 cent. (11,8 cali ang.) średnicy. W rurze tej miedzianej obraca się, wymiarami mu odpowiadający walec, również nieco stożkowy drewniany, okręcony ślimakowo raz koło razu liną konopną, nasycaną ciągle olejem; przez środek tego walca przechodzi na wylot oś żelazna, zakończona czopami, obracającymi się w panewkach. Ruch udziela się za pomocą korby, sposobem jakim bądź, używając czy to siły rąk ludzkich, czy też innej, np. korzystając z siły wiatru, spadku wody i t. p.

Obrot walca sprawia tarcie na pozór łagodne, a jednakże jest ono dostatecznym aby przemienić wodę w parę zapełniającą kocioł, otaczający ów cylinder czyli rurę miedzianą; a co większa, zużycie linki konopnej i powierzchni miedzi, nawet po wielu miesiącach ciągłego działania jest nader nieznaczne.

Przez tarcie zużywać się jednak mogą z czasem dwie powierzchnie, to jest walca okręconego konopną powłoką, i wnętrza cylindra czyli blachy miedzianej, a zatem zmniejszałoby się tarcie i stopień wywiązywanego ciepła. Temu zaradza przyrząd oddzielny (dajmy na to sprężyna), który w grubym końcu przy-

ciska walec drewniany i wpycha go stopniowo coraz więcej w rurę, tak, aby tarcie się nie zmniejszało.

Oddzielne naczynie z olejem wpuszcza z wolna po kropelce tłuszczu tego, który po splotach konopnych linki, ślimakowo się na całą powierzchnię walca rozkłada.

Sam kocioł opatrzony jest w klapę bezpieczeństwa, świstawkę, pływaka, paromierz (manometr), ciepłomierz, pompę pożywną do wody, rurę parową przeprowadzającą parę, gdzieby tego zachodziła potrzeba dla zastosowania jój działania.

Przyrząd opisany na wystawie paryzkiej zwracał na się oczy zwiedzających, gdzie zastosowano go do przyrządzania otrzymaną parą gorącej czekolady, której filiżankę zaraz przytém sprzedawano po 30 centimów.

Robili téż oddzielne doświadczenie nad tą machiną pp. Fortoul i Petit, i w sprawozdaniu swém dowodzą, że gdy kocioł był napełniony 400 litrami czyli kwartami wody, a walcowi drewnianemu nadano ruch z prędkością 400 obrotów na minutę, po kilku godzinach temperatura wody podniosła się do 130 stopni Cels.; a skoro para doszła do ciśnienia dwóch atmosfer, wówczas gwizdząc uchodzić zaczęła klapą z kotła. Przyrząd pp. Beaumont i Meyer stał się przedmiotem wielu sporów między fizykami: jedni upatrują w nim tylko zamianę użytej siły ruchu na sprawienie ciepła; inni zaród wielkich zastosowań zwłaszcza tam, gdzie opał drogi a siła poruszająca czyli ruchodawcza darmo do rozrządzenia się przedstawia.

Co bądź, pomysł to świetny, który bardzo może być użytecznym.



# KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1855.

66. Jak się u nas żenią. Obrazek społeczny przez L. Sz. 8ka. Lwów. 1855. Nakład H. W. Kallenbacha. (druk E. Winiarza). Napisów i rejestr. Kart 4 i str. 272. Rsr. 1 kop. 80.

67. Listy z Krakowa. Napisał Józef Kremer. Tom pierwszy. (Wstępne zasady estetyki). Wydanie drugie poprawne i pomnożone. Z portretem autora. 8ka. Wilno. 1855. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. 348. Tom drugi. Dzieje artystycznej fantazyi. Część pierwsza. Str. 412.

68. Los opiekun (.) Powieść przez Alexandra Niewiarowskiego. 12ka. Wilno. 1855. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. 162.

69. Nauka prozy przez Jana Rymarkiewicza, Dokt. Fil. i Nauczyciela wyższego przy Król. Gimnazjum Śtej Maryi Magdaleny w Poznaniu. 8ka. Poznań. 1855. Nakładem J. K. Zupańskiego (druk N. Kamieńskiego i spółki). Napisów karta 1, rejestru i przedmowy str. IV i 123. Kop. 80.

70. Nowomodne zaloty. Komedja w jednym akcie. Oryginalnie napisana. 16ka. Kijów. 1855. Tłocznia J. K. Wallnera. Str. 63. (autorem jest J. K. Gregorowicz).

71. Nowy Ekonom wiejski czyli szkoła porządnego wykonywania głównych robót w roli, narzędziami zaprzęgowemi udoskonalonemi lub dawnemi, z oszczędzeniem czasu i wydatku przez Maxymiliana Żelkowskiego O. P. i N. A. M. b. profesora praktyki rolniczej i prawa wiejskiego w szkole Grignon. 16ka. Kraków. 1855. Druk J. Czecha (nakład autora). Str. XXII i 223. (z 6 tablicami). Rsr. 1 kop. 60.

72. O płodzeniu i rozwijaniu się zapłodnionego jaja. Przełożył z francuzkiego (Longet, Physiologie. T. 2—fasc. 3-e) Adam Kozaczyński kandydat filozofii, Uczeń Medycyny. (Rękopism pośmiertny). Z dwoma (*dwoma*) tablicami rycin kolorowanych. 8ka. Kijów. 1855. W drukarni Uniwersyteckiej (Józefa Zawadzkiego). Napisów kart 2, od wydawcy str. III, i 59.

73. Powieść bez tytułu, przez J. I. Kraszewskiego. *Z godłem:*

*Militia est vita hominis super terram.  
Legenda średniowieczna.*

4 tomy we 2ch. 12ka. Wilno. 1855. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Tom I str. 356. Tom II, str. 396.

74. Sny życia naszego (.) Poezye przez Wincentego Gaździckiego. 12ka. Warszawa. 1855. Nakład i druk S. Orgelbranda. Str. 110. Kop. 60.

75. Uczony. Powieść w dwóch tomach Jana Zachariasiewicza. 8ka. 2 tomy. Lwów. 1855. Nakładem H. W. Kallenbacha. Tom I kart 4 i str. 214. Tom II kart 4 i str. 239.

76. Wyrachowanie massy i wartości stosunkowej drzewa opałowego w klocach (.) oraz porównanie palności tegoż z węglem kamiennym i torfem. Przez Benedykta Alexandrowicza. Cena kop. sr. 20 (złp. 1 gr. 10). 8ka. Warszawa. 1855. (Nakład autora, druk J. Jaworskiego). Kart 2 i str. 12.

## 1856.

23. Dwie komedyjki przez J. I. Kraszewskiego. Portret (,) komedyjka we 3ch aktach. Łatwiej popsuć niż naprawić (,) przypowiadka we 3ch aktach. 12ka. Wilno. 1856. Nakład i druk Józefa Zawadzkiego. str. 245.

24. Gawęd, rymów ulotnych i przekładów Władysława Syrokomli poczet trzeci. 16ka. Wilno. 1856. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Kart napis. i przedmowy str. VIII i 247.

25. Grobowy napis Bolesława Wielkiego w Poznaniu, tudzież grobowiec Bolesława Śmiałego w Ossjaku. 8ka. Poznań. 1856. Nakładem J. K. Żupańskiego (druk L. Merzbacha). Str. 31. Kop. 40.

26. Hrabia na Wątorach, krotoczwila wierszem, z XVI wieku, przez Władysława Syrokomlę. *Z godłem:*

„Comes de Wątory  
Jeden kmieć a trzy dwory,”  
Rysiński. *Proverbiorum.*  
Centuria VI.

12ka. Wilno. 1856. Czcionkami A. Marcinowskiego. Napisów i przypis. (J. Korzeniowskiemu) kart 3, przedmowy str. IV i 108. Rsr. 1.

27. Mechanika teoretyczna dla użytku inżynierów i techników. Przez Juliusza Weisbacha. Professora przy królewsko-saskiej górniczej Akademii w Frejbergu. Przełożył z drugiego wydania niemieckiego na język polski Stanisław Bakka inżynier. 8ka. Warszawa. 1856. Z 630 drzeworytami w texcie. Nakładem Henryka Natanson (druk J. Jaworskiego). Kart napis. 2 i str. 798. Rejestru str. 11. Rsr. 4 kop. 50.

28. Metoda uczenia czterech działań początkowych Arytmetyki na kartkach ułożona przez Władysława Ołędzkiego. Cena egzemplarza złp. 3 gr. 10. 12ka. Warszawa. 1856. Nakład autora, druk J. Jaworskiego. Str. 44. (z 14 tablicami).

29. Polska (.) Dzieje i rzeczy jej rozpatrywane przez Joachima Lelewela. Tom IV (zawiera). Dostojności i urzędy. Herby w Polsce. Pojedynki w Polsce. Grobowe królów polskich pomniki. Pszczoły i bartnictwo w Polsce. 8ka. Poznań. 1856. Nakład J. K. Żupańskiego (druk L. Merzbacha). Napisów i porządku rzeczy str. IX, i 533. (z 2ma tabl. nagrobków). Rsr. 4 kop. 80.

30. Salomon. Dramat z XVI wieku, w trzech aktach przez Wacława Szymanowskiego. 8ka. Warszawa. 1856. Druk J. Ungra. Str. 103. Rsr. 1.

31. Szuler. Obrazek. Napisał Andrzej Janowicz. 18ka. Kijów. 1856. W drukarni T. Gliksberga. Kart 2 i str. 96. Rsr. 1.

32. Technologia leśna czyli nauka korzystnego użycia drzewa i produktów leśnych przez Alberta Thieriot C. K. Rzeczywistego radcę leśnego..... Z 90 drzeworytami. 8ka. Kraków. 1856. Nakładem D. E. Friedlejna (druk Breitkopfa i Hertla w Lipsku). Rsr. 2 kop. 25.

33. Teodora Narbutta pomniejsze pisma historyczne (,) szczególnie do historii Litwy odnoszące się. *Z godłem:*

Ileż wypadków, ileż to wrażeń  
Każdy odświeża mu kątek:  
Gdy lotem wspomnień, na skrzydłach marzeń  
Ulata w kraju pamiętek!

*Al. Karłowicz.*

Z dziesięciu rycinami 8ka. Wilno. 1856. Nakład i druk T. Glücksberga. Kart napis. 2 i str. 300. Rejestru karta 1.

34. Żydówka (,) opera w pięciu aktach (,) z muzyką F. Halevy (.) Tłumaczenie z francuzkiego E. Scribe i podkład pod muzykę Jana Chęcińskiego. 16ka. Warszawa. 1856. Nakładem Bernstejna, (druk Jaworskiego). Kart 4 i str. 88.



## Doniesienia literackie.

### WARSZAWA.

Wystawa archeologiczna w salach pałacu hr. Augusta Potockiego już się urządza. Bogate zbiory z Willanowa, i ze zbrojowni Wincen- tego hr. Kraszińskiego, podeprą najsilniej tę wystawę; wszyscy posiadają- cy prywatne zbiory, ofiarowali je na ten piękny użytek, bo dochód z tej wystawy, obróconym zostanie na cel dobroczynny. Katalog naukowy objaśni dokładnie wszystkie szczegółowe zabytki zebrane tu razem.

— Józef Korzeniowski, po napisaniu powieści: „Wyprawa po żo- nę,” ma na ukończeniu powieść we 4 tomach p. n. „Krewni,” którą Ga- zeta Warszawska ma drukować.—Kronika wiadomości krajowych i za- granicznych zapowiedziała, iż wkrótce ogłosi powieść J. I. Kraszew- skiego p. n. „Choroby wieku” i Pamiętniki Rulikowskiego.—Gazeta Co- dzienna rozpoczyna druk nową powieści Z. Kaczkowskiego.—Czy- telnia Niedzielną, do której jako współpracownicy stali należą także J. Papłoński, Floryan Czermiński, prof. Czajkowski i Luczeński, nietylko w Warszawie chętne znalazła przyjęcie, ale i po wsiach ma licznych pre- numeratorów. Pogadanki starego rolnika, J. K. Gregorowicza, zwróciły uwagę naszych ziemian. W nich autor zamierzył dać popularny (języ- kiem ludu) wykład najpotrzebniejszych dla rolnika wiadomości.

— Józef Szaniawski archiwista akt dawnych kaliskich i sieradzkich w Kaliszu, którego Opis dawnej ziemi sieradzkiej ogłosiliśmy w naszym piśmie, zajmuje się obecnie ułożeniem słownika łacińsko-polskiego, do- brzej i kuchennej łaciny, sposobem encyklopedycznym, z wyjaśnieniami historycznymi, prawnymi, geograficznymi it. p., a to celem zrobienia go użytecznym dla archiwistów i dla czytających średniowiecznych autorów.

— Znany z wielu prac szacownych professor szkół lubelskich Fe- lix Jeziński, przełożył z najcelniejszych utworów sławnego angielskie- go poety Longfellowa *Złotą legendę*, i *Ewangielinę*: pierwszą z podań średniowiecznych, drugą z dziejów anglo-amerykańskich.

— Pani Seweryna z Żochowskich Pruszkowa ogłosiła prospekt na pismo nie peryodyczne, ale tomowe, p. n. Rozrywki dla młodociane- go wieku, którego treścią będą powieści, zarysy obyczajów, literatury, podróży, i t. p. przedmiotów, łączących moralność, naukę, i rozrywkę, a z szczególną troskliwością dla młodego wieku zastosowanych. Pismo to wychodzić będzie zeszytami: trzy zeszyty stanowią tom obejmujący od 400 do 480 stronnic. Prenumerata po kop. 30 za zeszyt, czyli kop. 90 (złp. 6) za tom jeden. Znakomitsi literaci nasi, jak i znane literatki, przyrzekli czynną i gorliwą pomoc temu pismu, które niewątpliwe znajdzie współczucie i upowszechnienie.

— Paulina Wilkońska drukuje w Poznaniu dwie swoje powieści: Panią podkomorzyń, w jednym tomie, i Ireń w dwóch częściach. W Poznaniu J. K. Zupański, którego wszystkie niemal nakłady są isto- tném wzbogaceniem literatury naszej, zamierza ogłosić w IV tomach Zbiór rękopismów do dziejów i literatury polskiej. Będą to pomniki zupełnie nieznanne dotąd, a wielkie rzucające światło na przeszłość hi- storyczną. Nakładem tegoż wychodzą ryciny w stalorytach, przeznaczone do znakomitszych utworów poetycznych naszych. Już wiele postąpiono w ilustracyi tej co do Maryi Malczeskiego. Prześliczny jest staloryt utwo- ru A. Zalewskiego, przedstawiający starego miecznika na cmentarzu, klę- czącego i opartego o grobowiec Maryi, a pod nim dwu-wiersz z poematu:

„Znaleźli go w cmentarzu: przy córki i żony  
Przyległych dwóch mogiłach, klęczał nachylony”.

— Nakładem tegoż księgarza wyszły: „Dzieje panowania Augusta II od śmierci Jana III do chwili wstąpienia Karola XII na ziemię polską”.

Godna uwagi przedmowa, z nowego stanowiska skreślona, wnika głębiej w dziejowy rozwój XVII i XVIII wieku, i wykrywa sprężyny, które późniejszy rozstrój narodu spowodowały.

— Wincenty Pol, ogłasza drukiem poezye swoje p. n.: *Z podróży po burzy*. Tytuły pojedynczych części są: 1. Wiele, mało, przebolało. 2. Cierpienie bez ceny. *Treny* — nie treny. 3. *Z klasztoru i z boru*. 4. *Ze dworu*.

— Józef Korzeniowski otrzymawszy w darze exemplarz nowój powieści K. Wł. Wojcickiego p. n. *Pałac i Dworek*, takim wierszem podziękował autorowi:

„Dworek i pałac razem odebrałem:  
Przeczytam jeszcze, chociaż już czytałem.  
*A że w pałacu pusto bywa w worku,*  
*W sercu i głowie: często zaś we dworku*  
Jest właśnie tyle mąki, ile trzeba  
By był dostatek pierogów i chleba;  
Tyle się z ulów pszczołek wyroiło,  
By gorycz życia czém osłodzić było;  
Że tam dla oka ściele się murawa,  
Dla głowy z cieniem szumna lipa stawa,  
Dla gości zawsze brama się otwiera  
I przyjaciela ściska ręka szczerą;  
Że tam się baczniej dobra czyta księga,  
Myśl bujniej rośnie i wyżej dosięga,  
A serce, które uzdrawia prostota,  
Pragnie pokoju, ciszy, a nie złota:  
Więc autorowi życzę nie pałaców,  
Jaki niegdyś *Paców*,  
Lecz życzę, by go spotkała siwizna  
We dworku takim, jak *Mereczowczyzna!*”

— Maxymilian Fajans wydaje „Album widoków warszawskich.” Pierwszy zeszyt, który wkrótce wyjdzie, zawiera cztery widoki wodotrysków z otaczającemi je gmachami, dokładnie i wiernie odrobione. Okładka z ryciną fantastyczną odznacza się trafnym pomysłem, i zręcznością wykonania.

— Felicyan Faleński, syn znanego historyka naszego, ogłosił drukiem zbiór swoich poezyj, p. n. „*Kwiaty i kolce*”. Utwory te, z wyjątkiem niektórych, zalecające się prawdziwie wyższym talentem, tchnieniem poetycznym i wyborym językiem, stawiają autora w rzędzie nieposłednim poetów naszych. Sprawiedliwa krytyka potrafi ocenić wysoką ich wartość.

— P. A. Zabierzowski z Radomia ogłosił prospekt na dzieło p. n. „*Praktyczne budownictwo wiejskie*”. Zawierać będzie plany na rozmaite budowle wiejskie, a mianowicie: domy mieszkalne, tak zwane dwory, oficyny dla służby, gorzelnie, spichrze, stodoły, obory, stajnie, owczarnie, domki włościańskie, plebanie, kościoły, kaplice, i t. p. Do każdej z tych budowli dołączone będą: wykaz materiałów potrzebnych, i ceny praktykujące się w kraju naszym do ugody rzemieślników: słowem, najsumienniejsze kosztorysy. Dzieło to będzie wychodzić zeszytami, w seryach: XII zeszytów (co miesiąc jeden) stanowić ma jedną seryą. Obszernych więc będzie rozmiarów, gdy wydawca nie oznaczył ilości zeszytów i seryj.

— S. Orgelbrand kończąc wielkie przedsięwzięcie wydawnictwa *Historii powszechnej Cezara Kantu*, zamierzył jeszcze wydać obszerniejsze dzieło: *Encyklopedyą powszechną*. Przed kilkunastą laty, księgarnia E. Glücksberga zaczęła wydawać *Encyklopedyę*: myśl ta znalazła współzucie niemałe, kiedy zebrało się wówczas do 3,000 prenumeratorów. Wkrótce nieregularność wydawnictwa zaczęła ich liczbę coraz zmniej-



sząć, tak, iż przedsięwzięcie całe, z niemałym podjęte kosztem, skutkiem niedołożności redakcyi upadło. Zostały tylko na pamiątkę cztery tomy, które dziś na makulaturę służą.

Nowy wydawca, przedsiębiorczy, który dowiódł czytającej publiczności, jak znakomite nakłady jest w stanie ponieść i wywiązać się z obowiązków swoich, z całą oględnością i rozważą przystępuje do wydawnictwa tak ogromnego dzieła, które obejmować ma najmniej 15 dużych tomów, i w ciągu lat 3ch będzie ukończone. Zapewnił już sobie pomoc znanych literatów, i przygotował potrzebne ku temu materiały. Nie będzie tu jednego redaktora głównego, ale kilku; stosownie do podziału nauk. S. Orgelbrand wprowadza w prenumeracie nowość, bo żadnych zaliczeń brać nie chce: każdy zeszyt po cenie kop. sr. 30 sprzedawanym będzie. Spodziewamy się, że to dzieło znajdzie miłe przyjęcie, bacząc na wielki użytek, jaki dla ogółu przynieść może.

— H. Natanson zamierza wydawnictwo Encyklopedyi wyłącznie polskiej. Jakie temu dziełu chce nadać rozmiary wydawca, nie wiemy; po ogłoszeniu prospektu podamy obszerniejszą wiadomość. Myśl to trafna, bo w tém dziele jest dostateczne pole do obszerniejszego rozwinięcia przedmiotów wyłącznie krajowych.

— P. Barankiewicz przełożył wierszem dramat W. Hugo: Ernani. Przekład ten zalecający się artystycznym wykończeniem, wkrótce podamy czytelnikom naszym.

— Franciszek Kowalski znany tłumacz komedyj Moliera, autor Wspomnień, które z takim zajęciem czytaliśmy ogłoszone w Gazecie Warszawskiej, pobudzony rozprawą J. I. Kraszewskiego: o legendach herbowych, wierszem je ułożył. Wkrótce dzieło to zajmujące podaniami historycznymi, ma być ogłoszone drukiem.

*Wilno.* (Z listu). „Maurycy Orgelbrand rozpocznie w ciągu trzech miesięcy druk swego słownika. Syrokomi druk poematu: Wielki Czwartek, już ukończony. „Stare wrota“ we dwóch częściach wyjdą niebawem. Poemat ten szczególnego natchnienia, zajmie jedno z pierwszych miejsc pomiędzy utworami tego rodzaju“.

*Lwów.* (Wyjątek z listu Jana Wagilewicza do W. A. Maciejewskiego). „Otrzymawszy list od szanownego pana, większą niż dotąd zwróciłem był uwagę na dackie zielne nazwy Dyoskorydesa, i w tym celu wypisałem z Grimma *Gesch. der. deutsch. Spr.* takowe. Poczém zestawilem jego wykład z wyjaśnieniem szan. pana, i bez wahania przyznałem panu pierwszeństwo, bo nie znalazłem w Grimmie tej szczerości, która jest główną cechą badania naukowego: pomijam jego najdowolniejsze naciągania. Prócz tego, inne powody skłoniły mię wziąć wyjaśnienia pana, jako jedynie stosowne. Jakoż w swoim dziele: „Wywód początków Słowian od Traikoilyrów,“ przy wzmiance zielnych nazw dackich, wspominam zaszczytnie o panu, i to z przekonania i bez żadnego pochlebstwa. Chociaż z drugiej strony, przyznam się panu, że jeszcze nie ze wszystkiem podzielam zdanie, iż nazwy te należą właściwym Dakom, i pochodzą od Dyoskorydesa, współczesnego Trajanowi. Wątpliwość moja pochodzi głównie ztąd, iż Apulejusz ma także w rozprawie de *virtute herbarum* zielne nazwy dackie, jak uwiadamia Grimm. We Lwowie nie masz z tą rozprawą Apulejusza, ale w Słowniku łacińsko-niemieckim Drümmelego, znajdują się nazwy zielne dackie Dyoskorydesa, podane jako łacińskie z Apulejusza, o których nic Grimm nie mówi, mianowicie *mantia*, *olma*, *sciare*, *simptax*. Skoro więc biblioteka Instytutu Ossolińskiego nabędzie jedno z lepszych wydań dawniejszych, będę mógł coś stanowczego w tym względzie powiedzieć. Ztémwszystkiem przypuściwszy nawet, że te zielne nazwy należą do ludności mieszkającej w Dacyi po podboju Trajanowym: przybysze zgromadzeni z całego państwa rzymskiego przyjęli od krajowców niemało wyrazów, między niemi szczególnie na zioła, bądź że takowe tylko w samej Dacyi rosły, bądź dla ich użytku. A nawet owe niby łacińskie nazwy według Apulejusza mogą być

właściwe dackie, ponieważ rzymski język był w późniejszych czasach przepoławiony obcemi żywiołami. Dotąd te nazwy zielne dackie dały się wyszukać w słowiańskich językach: *zofit*, *perunik*, *delan*, *kukulinda*, *zeba*, *pegryn*. Bardzo dobrze mi wiadomo, że do stanowczego przeprowadzenia początków Słowian jeszcze wiele brakuje: jednakowo dotychczasowe prace pod tym względem dają rękojmię, że zostaną wkrótce jasno wykazane, ponieważ, jakbym ja sądził, stoją tu tylko jedynie archeologiczne przesady: jako naprzykład, spowinowacenie najróżniejszych ludów, przeniesienie tegoczesnych pojęć w czasy dawne, i inne tego rodzaju gmatwaniny, wbrew świadectwu wszystkich pisarzy. Przygotowuję do druku rozprawę: „O stosunku języka starosłowiańskiego do polskiego,” chociaż z drukiem jeszcze nie ze wszystkiemi załatwiłem się. Chcę ją wydać razem z rozprawką o pierwiastkach języka starosłowiańskiego, pod tytułem: „Studia filologiczne”. W dziele tém złożyłem nową teorią o językach słowiańskich, i spodziewam się, że potrafi ono zsadzić z bardzo hardzego stanowiska naszych filologów. Mam ja jeszcze inne niektóre prawie zupełnie nkończzone roboty, tylko niełatwo znaleźć nakładzcy. Także zająłem się wypracowaniem uzupełniającego tomu Słownika Lindego i zgrubsza już takowy ukończyłem. Tojest spisałem wszystkie wyrazy przez niego opuszczone, a używane w pospolitej mowie. Zresztą zbieram materiały z pisarzy dawnych jemu nieznanym, co wiele pracy i czasu kosztuje. Zamyślam pod tym względem wyczerpać wszystko, co ma Instytut Ossolińskiego”.

*Lwów.* „Tomu 2go Słownika Lindego drukuje się już 61 arkusz. —Józef Dzierzkowski wydał powieść p. n. Król dziadów, z wielkim talentem obrobioną”.

† Dnia 15 kwietnia r. b. zmarł w Łęczycy Marcelli Rostkowski, autor *Gawęd i Domków na rybakach*. Pismo nasze umieściło kilka utworów jego pióra, zalecających się artystycznem obrobieniem. Postępowaniem szlachetnym i godnością charakteru, zjednał sobie szacunek tych wszystkich, którzy go bliżej poznali.

† Dnia 17 kwietnia r. b. zmarł z powszechnym żalem we wsi Jeziorna za Willanowem nauczyciel tamtejszej szkółki elementarnej, Józef Wodzyński. Skromny i cichy, lubo otrzymał wyższe nauki, poświęcił się szczerze przyjętemu zawodowi i wielu wykształcił uczniów: ztąd zjednał sobie piękne imię i wdzięczną pamięć. Zostawił w rękopismie: „Encyklopedyą dla włościan”.

## OD REDAKCYI.

Z niniejszym poszytem kończy się przedpłata na półrocze I<sup>sz</sup> Biblioteki Warszawskiej r. b. Dla uniknienia zwłoki w odbiorze dalszych zeszytów, raczą szanowni prenumeratorowie zamieszkałi w Królestwie, wnieść zwykłą przedpłatę i na półrocze II<sup>gie</sup>, którą przyjmują wszystkie urzędy i stacye pocztowe.

*Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.*

**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**  
**w Obserwatoryum Astronomiczném**  
**WARSZAWSKIÉM.**  
***Kwiecień, 1856.***

Kwiecień 1856.

Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatorium

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziomem morza, czyli w łuku  $18^{\circ}41'25''$  na północ.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. sredn. dzienna
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god.rano	god.rano	godz. w.	godz. w.	god.rano	god.rano	godz. w.	godz. w.	
1		758.43	759.29	758.97	758.93	+ 0°.2	+ 3°.6	+ 3°.9	+ 1°.3	87.2
2		758.95	759.18	757.81	758.12	— 1.0	+ 3.6	+ 6.3	— 0.9	64.3
3		758.77	759.26	757.82	757.38	— 3.3	+ 2.3	+ 7.5	+ 0.4	66.7
4		755.14	754.13	750.37	748.63	— 2.6	+ 5.3	+ 12.6	+ 5.2	69.0
5	☉.	745.65	746.40	745.40	743.06	+ 6.1	+ 10.7	+ 12.9	+ 7.7	81.5
6		741.52	741.49	741.91	743.67	+ 6.5	+ 9.6	+ 15.4	+ 7.5	81.0
7		744.75	745.21	744.57	743.96	+ 6.3	+ 9.3	+ 13.0	+ 6.9	86.0
8		742.59	742.62	742.90	743.74	+ 5.0	+ 10.8	+ 10.5	+ 6.3	84.5
9		744.06	744.23	743.09	743.54	+ 3.9	+ 9.3	+ 14.4	+ 8.5	70.8
10		742.34	742.04	742.27	743.54	+ 5.8	+ 13.3	+ 10.4	+ 6.5	82.7
11		743.82	744.21	744.17	745.77	+ 4.3	+ 11.6	+ 12.2	+ 8.4	85.5
12	☾.	748.27	749.25	749.10	749.41	+ 6.9	+ 9.6	+ 13.1	+ 7.9	78.8
13		746.02	746.93	746.91	747.00	+ 9.1	+ 14.4	+ 16.4	+ 10.0	76.2
14		745.94	745.22	744.67	746.08	+ 8.9	+ 15.0	+ 14.2	+ 9.1	74.5
15		746.62	747.88	747.94	749.72	+ 6.5	+ 5.6	+ 7.3	+ 2.9	75.8
16		750.37	751.19	750.59	752.73	— 0.2	+ 2.7	+ 7.5	+ 3.1	70.7
17		753.05	752.85	750.24	749.39	+ 0.0	+ 5.0	+ 10.4	+ 3.6	67.3
18		746.98	745.78	742.80	742.85	+ 1.6	+ 9.4	+ 13.3	+ 5.2	62.7
19		744.60	747.32	748.70	749.69	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.2	— 0.6	69.3
20	☉.	746.93	746.53	744.92	748.88	— 0.4	+ 4.9	+ 5.0	+ 0.7	77.5
21		751.89	753.17	752.37	751.88	— 0.9	+ 2.1	+ 7.7	+ 2.7	67.5
22		749.78	749.68	748.47	748.96	+ 2.6	+ 8.0	+ 11.2	+ 6.5	70.0
23		750.11	750.74	749.52	749.57	+ 3.8	+ 8.0	+ 14.5	+ 7.1	76.2
24		750.06	750.03	749.67	750.46	+ 5.3	+ 12.9	+ 18.4	+ 12.7	61.5
25		751.10	750.43	747.62	746.18	+ 6.3	+ 16.5	+ 21.1	+ 12.7	61.0
26		745.19	745.17	743.04	742.84	+ 11.3	+ 17.8	+ 23.5	+ 15.5	53.0
27		743.42	743.44	741.31	741.72	+ 11.8	+ 20.0	+ 24.5	+ 16.4	52.0
28	☾.	741.79	741.25	739.07	739.85	+ 12.1	+ 20.1	+ 25.1	+ 16.9	55.5
29		739.21	738.34	738.28	738.64	+ 13.8	+ 24.0	+ 24.6	+ 17.7	47.8
30		740.39	741.87	743.00	744.77	+ 13.8	+ 16.1	+ 16.4	+ 9.7	65.2
Śre.		747.591	747.838	746.917	747.367	+ 4°.84	+ 10°.16	+ 13°.25	+ 7°.25	70.

## watoryum Astronomiczném Warszawskiem.

ziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie wschód względem południka paryzkiego.

S T A N N I E B A				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé- szczu	śnie- gu
pochmurny pogodny pogodny pogodny lek. pochm.	pochmurny pogodny pogodny pogodny lek. pochm.	pochmurny pogodny pogodny pogodny pochmurny	pochmurny pogodny pogodny pogodny poch. dész.	PnZ. PdW. PdW. PdW. PdZ.	Pn. PdW. PdW. PdW. Z.	PnW. PdW. Pd. Pd. PdZ.	W. W. Pd. Pd. W.	1.2	
pochmurny pochmurny pochmurny pr. pogodny lek. pochm.	pogodny pochmurny lek. zamat. pogodny lek. pochm.	pr. pogodny pogodny pochmurny pr. pogodny poch. dész.	poch. dész. pogodny napół pog. pogodny pogodny	PnW. Z. PdW. Z. —	PnW. Z. PdZ. Pd. PdW.	Z. PnW. Z. PdW. Z.	Z. PdW. Z. PdW. PdZ.	8.0 10.6	
pochmurny lek. pochm. pochmurny lek. pochm. pochmurny	lek. pochm. pochmurny pochmurny lek. pochm. pochmurny	poch. dész. lek. pochm. poch. dész. lek. pochm. lek. pochm.	lek. pochm. lek. pochm. pogodny lek. pochm. pochmurny	Pd. Z. Pd. PnW. PnW.	Pd. Z. Z. PdW. Pn.	Z. PnZ. PnZ. PnW. PnW.	Z. Pd. PnW. PnW. PnW.	3.2 1.0	
pogodny pogodny pogodny pochmurny pochmurny	pogodny pogodny lek. pochm. napół pog. poch. śnieg	pogodny pogodny lek. pochm. pr. pogodny poch. dész.	pr. pochm. pogodny lek. pochm. pogodny pogodny	PnW. Pn. Z. PnW. Z.	PnW. Pn. Z. PnW. Z.	PnW. PnZ. PnZ. PnZ. Z.	PnW. — Z. PnZ. PnZ.	4.4	2.2
napół pog. pr. pogodny poch. l. mg. pogodny pogodny	pogodny pochmurny pochmurny pogodny pogodny	pr. pogodny pochmurny lek. pochm. pogodny pogodny	lek. pochm. pogodny pogodny pogodny pogodny	PnZ. PdZ. PnW. — PnW.	Pn. Z. PnW. PdZ. PdW.	PnZ. Z. PnW. PnZ. PdW.	PdZ. Z. W. Pn. Pd.		
napół pog. lek. zamgl. napół pog. pr. pogodny pochmurny	napół pog. pogodny lek. zamgl. pogodny pochmurny	pogodny lek. zamgl. pr. pogodny lek. pochm. pogodny	pogodny pogodny pogodny pr. pochm. pr. pogodny	PdZ. PdZ. PdW. Pd. PdZ.	PdZ. PdZ. PdW. Z. Z.	PnZ. — Pd. PdW. Z.	Pd. — Pd. PdW. PnZ.		
								38.4	2.2

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	747.428	27	7.332
Najwyżej barometr dochodził d. 1 o g. 10 r.	759.29	28	0.591
Najniżej — — d. 29 o g. 4 w.	738.28	27	3.276
Średnia zmiana dzienna barometru	2.739		1.214
Największa zmiana dzienna barometru d. 4—5 o g. 6 r.	9.49		4.207
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	1.796		0.796
Średnia temperatura kwietnia wynosi: i ta jest wyższa o od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	749.224	27	8.128
	+ 8 <sup>o</sup> .88 C.	+	7 <sup>o</sup> .10 R.
	1.68 „		1.34 „
	+ 7.20 „	+	5.76 „
Największe ciepło było d. 28 o g. 4 w.	+ 25.1 „	+	20.08 „
Największe zimno — d. 3 o g. 6 r.	— 3.3 „	—	2.64 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.464 „		1.971 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 14—15 o g. 10 r.	9.4 „		7.52 „

Termometrograf wskazał:

Maximum: +22<sup>o</sup>.0 R. d. 29 po połud.

Minimum: — 2<sup>o</sup>.9 „ d. 3 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 70.7, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 6.42 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blisko o 0.04 niższa od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 38.4 mil. czyli 17.02 lin. par.; z śniegu 2.2 mil. czyli 0.97 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 40.6 mil. czyli 17.99 lin. par.; ilość ta wody jest o 9.08 lin. par. większa od tej, jaka zwykle u nas w kwietniu spada.

Dni pogodnych było 9, napół pogodnych 9, pochmurnych 12.

— deszczu 8 (d. 5, 6, 7, 8, 10, 11, 13, 20).

— śniegu 3 (d. 1, 19, 20).

— gradu 4 (d. 1, 10, 11, 20).

— mgły 1 (d. 23).

— grzmotów 3 (d. 6, 10, 11).

— błyskawic bez grzmotów 1 (d. 6).

Wichrów było 1 (Z.).

Wiatrów mocnych 10 (3 PnW., 2 Z., 2 Pd., 1 Pn., 1 PnZ., 1 PdZ.).

Wiatr panujący: zachodni częste były także północno-wschodnie i południowo-wschodnie.

Kwiecień r. b. był suchy, pogodny, blisko o półtora stopnia R. cieplejszy niż zwykle. Pierwsze cztery dni, oraz dni 19, 20, 21 były znacznie chłodne; przeciwnie dziesięć dni od d. 5 do 15 i ostatnie ośm dni były ciepłe a nawet gorące jak wśród lata. Najcieplejsze dni były d. 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30; najzimniejsze d. 1, 2, 3, 4, 19, 20, 21. Dnia 10 i 11 po południu dały się słyszeć grzmoty powtarzane przy błyskawicach deszczu i gradzie. Po znacznych ciepłach w dniu 19 nastąpiła nagła zmiana temperatury, w ciągu dnia pruszył chwilowy śnieg, w nocy z d. 19 na 20 spadł śnieg i na cał wysoko i pokrył murawy już zielone. W stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 5,5:11,7:12,8, w r. b. stosunek tychże dni jest jak 9:9:12; co pokazuje iż kwiecień r. b. pogodniejszy był nieco niż zwykle. Z przyczyny znacznego ciepła krzewy i drzewa rozwinęły się o pół miesiąca wcześniej niż lat innych. Powietrze było suche. Ostatni mróz dochodzący — 1.1 stop. R. był dnia 21 z rana; ostatni śnieg pruszył d. 20. Elektryczność atmosferyczna w dniach 4, 6, 8, 11, a osobliwie d. 25, 26 była silna. Największa wysokość wody na Wiśle dochodziła stóp 8, cali 11 dnia 12; najmniejsza stóp. 3 cali 10 dnia 30.

Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :



ul. Ostatnia 17

60-102 Poznań

[www.digital-center.pl](http://www.digital-center.pl)

[biuro@digital-center.pl](mailto:biuro@digital-center.pl)

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82